This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 5198.541.19

HARVARD COLLEGE LIBRARY

BOUGHT WITH THE INCOME
OF A FUND LEFT BY
GEORGE RAPALL NOYES

PRZYJACIEL LUDU

czyli

Tygodnik potrzebnych i pożytecznych wiadomości.

Rok trzynasty.

Tom I. Nr. 1—26.

W Lesznie 1846.

Nakładem i czcionkami *Ernesta Günthera.*

1—2

Slav 5190.511.19 (13)

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
28 OCT 1970

Spis artykułów

w tém czasopismie zawartych.

*Artykuły oznaczone * mają dodane ryciny.*

	Strona
Daniel O'Connel * .	146. 154. 162. 169
Floryan Saryusz *	74
Galicyanie *	118. 123
Geologiczny rys brzegów Warty, podług pana Puscha * . . .	203
Górale w Tatrach mieszkający * .	83
Grób świętéj Jadwigi w Trzebnicy *	98. 153
Grzegorz Girard *	91
Hydrarchos, czyli wielki wąż morski *	9
Jarosław *	113
Kamień Świętéj Jadwigi w Pępowie .	22
Kazimierz Brodziński. . . .	105. 115
Kilka słów o Grzegorzu XVI. * .	122
Kilka słów o krytyce . . .	90
Kilka słów o wieczorach pod lipą .	26. 34
Kilka słów o znaczeniu ludu . .	116
Klechdy ludu polskiego w Szląsku	22. 55. 79. 91. 98. 111. 124. 135. 143. 150. 174.
Konstanty Ostrogski oskarza przed Zygmuntem I. Jana Tarnowskiego *	90
Kopia skryptu w gałce ratusznéj miasta Krakowa	130. 138
Kościół Najświętszéj Panny Piekarskiéj z pieśnią o niéj * . . .	34
Kościół Panny Maryi w Jarosławiu *	202
Kościół i klasztór Panien Benedyktynek w Jarosławiu * . . .	203
Krakowianie *	30. 46
Krótka wiadomość o Błogosł. Bronisławie.	122
Kujawiacy *	155
Kurpie *	163
Leon Haber . . .	140. 147. 158. 164
Lew Thorwaldsena *	76
List do redakcyi, zawierający wykład napisu etruskiego na kamieniu na ratuszu w Orwietto . . .	39
List Jana Kardynała Lipskiego do JW. Kasztelana Lędzkiego roku 1741 .	119
List Ludwika XV. do Maryi Leszczyńskiéj	87
List Prokopa Mielżyńskiego, Marszałka koła rycerskiego, do Jaśnie Wielm. Kwileckiego, z roku 1790 . .	127
Listy o Szwecyi, pisał Eust. Hr. Tyszkiewicz *	50
Lwów *	138
Mazurzy *	139
Memoryał dotyczący wstępu na tron i panowania Jana III., Króla szwedzkiego, i jego żony Katarzyny Jagielonki, rodziców Zygmunta III., Króla polskiego i szwedzkiego * . .	100
Mieszkańcy okolic Sandomierza i Radomia	195
Mina diamentowa Sincura w Brazylii *	107
Mistres Niemcewicz, Amerykanka *	146
Niektóre zdania Stanisława Leszczyńskiego.	86
Obraz Algeru *	35
Ocalony rękopis	95
O chłopach we Francyi .	44. 50. 60. 65.
O kamieniach ostrowskich . .	21
Okna i oczy *	179
Olkusz *	194
Opis mieszkańców Wielkopolski * .	4
Ostatnia chwila życia i śmierć Stanisława Leszczyńskiego, Króla polskiego *	62
Oświadczenie Redakcyi Roku . .	128
O Szarzyńskim, figlarzu warszawskim, za czasów Króla Stanisława Augusta	7

Strona

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje (dalszy ciąg) 12. 27. 66. 74. 82
Pius IX., Papież * 186
Popielnice starosławiańskie i obrzędy przy pogrzebach * . . . 53. 58
Przeczucie 167
Przysłowia 136. 151
Przywiléj na kościół kalwiński w Lesznie 205
Przywiléj na szkołę kalwińską w Lesznie 206
Rafael Sanzio * 82
Relikwiarz znajdujący się w kościele Trzebnickim, w którym głowa świętéj Jadwigi przechowana . . 153
Rys życia księdza Franciszka Faygla * . 2
Smogorzów 78
Skamieniałości formacyi Jura * . . 195
Stanisław Trepka * 18
Stryjkowski i jego kronika . 10. 18. 38
Święty Floryan * 194
Święty Kazimierz * 26
Szpital górniczy pod Będzinem * . 174
Warunki podane od redakcyi Biblioteki warszawskiéj dla autora powieści na przeznaczoną nagrodę . . 79
Wiadomości literackie 32. 70. 88. 96. 207.
Wildbad, wody mineralne w Wirtembergskiém * . . 183. 186. 199
Wykradziona 132
Wzmianka o Alexandrze Hr. Batowskim * 42

Strona

X. Andrzéj Pohl . . . 167. 171
X. Marcin Białobrzeski, Biskup kamieniecki, Opat mogilski * . . 178
Xiądz Michał Symonowicz * . . 130

WIERSZE ROZMAITE.

Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga . 8. 16. 24. 32. 40. 48. 56. 64. 72. 80. 88. 96. 104. 112. 120. 128. 136. 144. 152. 160. 168. 176. 184. 208.
Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku 87. 103. 127
O kowalu, który nie chciał przyjąć na nocleg Panny Maryi. (Legenda.) . 63
Piosnki ludu wielkopolskiego ze zbioru Fr. Wawrowskiego . 152. 184. 200

ANEKDOTY.

Jędrzéj Górka. 48
Trafna odpowiedź Jana III. . . 7
Zygmunt III. i Grochowski . . 55

DONIESIENIA.

J. Lissnera w Poznaniu o wyszłym u niego katalogu Nr. 7. i 8. . 40. 152
L. Levita w Bydgoszczy . . . 80
Ernesta Günthera w Lesznie względem ceny półrocznéj tego czasopisma 8. 16. 24
— — względem prenumeraty na drugie półrocze roku trzynastego tego czasopisma . . 192. 200. 208
Zadanie do nagrody . . . 160

Nr. 1. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 3. Stycznia 1846.

Rys życia ks. Franciszka Faygla. — Opis mieszkańców Wielkopolski. — Kilka fraszek. — Anegdota. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Franciscus Faygiel

Szanowna Redakcyo!

Wystawienie pomnika czcigodnemu, tyle zasłużonemu kapłanowi i przełożonemu, zniewoliło mię do podania potomności niektórych szczegółów z życia poświęconego dla dobra ludzkości. Używam słów szanownego biskupa, księdza Michała Korczyńskiego, który będąc przyjacielem ś. p. Infułata, miał na pogrzebie jego mowę, z któréj, z małą odmianą, te szczegóły wyjęte. Ten rys życia, równie jak wizerunek Infułata, szanownéj Redakcyi z tą prośbą przesyłam, aby je w szacownym swym Tygodniku umieścić raczyła.

Rys życia księdza Franciszka Faygla, proboszcza Infułata kapituły przemyskiéj i oficyała przemyskiego obrz. łać. (1)

Ksiądz Franciszek Faygiel, urodzony dnia 20. Września 1777. w Nowosielcach, w obwodzie sanockim, ze szlachetnych ale podupadłych rodziców, przez krewnych najprzód wysłanym został na nauki normalne i łacińskie do Rzeszowa, na filozoficzne i teologiczne udał się do Lwowa, gdzie w roku 1794. do seminaryum wstąpił. W zawodzie tym przez lat obeszło 10. tak się odznaczał postępem nadzwyczajnym w naukach i językach sobie dotąd obcych, iż był to pierwszym, to między pierwszymi miejsce otrzymał, a przytém skromnością, uległością, pilnością, statkiem niezmiernie celował.

Gimnazyum i filozofią w r. 1796. z wielką ukończywszy chlubą, miał sobie otwarte wrota do różnych stanów, w których nauka, pilność, statek popłacają, w których podówczas dostać można było łatwiéj chleba, niż dziś, gdzie ludźmi zdolnymi różnych nawet prowincyj przepełnione są wszystkie stany, wyjąwszy stan duchowny, wymagający długoletnich wydatków, prac, ofiar, a mało dający widoków. Do tego atoli właśnie stanu mało obiecującego, tak niesłusznie nieraz od wyższych lekce cenionego, miał Fr. Faygiel, którego rodzice i krewni byli bogobojni, wielką od młodu ochotę, do tego on się sposobić umyślił, temu téż został późniéj wiernym aż do śmierci, i w nim wiele dobrego poczynił.

Potrzeba mu było najprzód wstąpić do seminaryum, a mając duszę przejętą powołaniem swém wysokiém, zacném, poszedł z ochotą do seminaryum lwowskiego; poszedł na nauki duchowne, zaprzągł się odważnie w jarzmo Pańskie, które zrazu może ciężyć, ale daléj stawa się lekkiém, ba i słodkiém; sposobił on się na wiernego sługę ołtarza przez lat 4, od r. 1796. do 1800., a célując pięknemi przymioty rozumu i serca, skromny, miły, przyjacielski, usłużny, wesoły, zdolny dla drugich z siebie czynić ofiary, pozyskał dla siebie najlepsze świadectwa od nauczycieli i przełożonych, gdy w r. 1800. seminaryum ukończył. Przy święceniu przelał w niego, przy łasce Ducha najśw., przez rąk włożenie, świętobliwy biskup Antoni Gołaszewski, którego pamięć zawsze w kraju i za krajem w błogosławieństwie, swą pobożność, dobroć, gościnność, o chwałę Pańską gorliwość, którą sam tyle jaśniał, a wyświęconego oddał w roku 1800. do pomocy czcigodnemu starcowi Ex-Jezuicie ks. Jarockiemu, proboszczowi drohobyckiemu. Pokochał starzec młodzieńca, którego serce pałało dla wszystkiego, co się piękném, dobrém zowie; młodzieniec znowu słuchał rad doświadczonego starca; obadwa stali się jedném sercem i jednym duchem. Od starca utwierdził się młody wikary i kaznodzieja w pobożności, od niego nauczył się żarliwości w opowiadaniu słowa Bożego, dosiadywania w trybunale spowiedzi, godnego sprawowania śś. Sakramentów. Obadwa pracowali około upiększenia kościoła, około prowadzenia należycie nabożeństwa. W krótkim czasie pozyskał sobie Fr. Faygiel szacunek i miłość u parafian, u obywateli, u magistratu, u ludu miejscowego, tak dalece, że, gdy Bóg nad staruszkiem w Listopadzie r. 1802. swe spełnił wyroki, wikary Faygiel od magistratu i ludu po dwuletnich usługach, prezentę na proboszcza drohobyckiego otrzymał, na które dnia 27. Marca 1803. został zaprowadzonym i na téj téż posadzie lat 12 zostawał.

O działaniu jego jako proboszcza i dusz pastérza wieleby powiedzieć można. Faygiel wystawił nieboszczykowi pomnik, urządził i pomnożył bibliotekę kościelną, muzykę dobrą zaprowadził, zajął się podźwignieniem budynków i dobrem poddanych; ale na tém nie przestając, zajął się tém gorliwiéj kościołem wewnętrznym, t. j. dobrem dusz sobie powierzonych. Znał on z gruntu owce i potrzeby ich, nie żałował sił, by miały paszę obfitą. Uczył gorliwie małych i dorosłych (2), szukał owiec po wsiach dalekich od kościoła i w górach leżących; przesiadywał w konfessyonale czasem aż do omdlenia; był ojcem ubogich, wspierał potrzebnych, edukował tylu młodzieńców, był ludzkim, gościnnym, był miłym sąsiadem. Wziął on w opiekę szczególną szkołę miejscową główną, a przez lat 11. uczył młodzieży w szkole wojskowéj nauki religii. On był

(1) Wyjęty z kazania w czasie nabożeństwa żałobnego, odprawionego za duszę ś. p. ks. Fr. Faygla .... powiedzianego dnia 14. Marca 1836 roku w katedrze przemyskiéj przez ks. Michała Korczyńskiego, biskupa przemyskiego, ś. teologii doktora. We Lwowie, czcionkami Piotra Pillera, 1836.

(2) Życzyćby wypadało, aby się zajęto uporządkowaniem i wydaniem kazań nieboszczyka Infułata, tak potocznych parafialnych, jako i przygodnych, których zapewne nie małą zostawił liczbę, a wielką byłoby przysługą dla duchowieństwa.

wszystkiem dla wszystkich, by Bogu wszystkich pozyskać.

Gdy w roku 1809. dziekan drohobycki.... zeszedł z tego świata, biskup Gołaszewski powierzył zaraz proboszczowi Fayglowi ten ważny urząd, który on też przez lat 6. sumiennie, gorliwie, wedle serca Boskiego, sprawował.

„Niechaj więc będzie sława ztąd zmarłe„mu, — mówi ks. biskup Korczyński w wspo„mnioném kazaniu, — iż jako kapłan przy„świecał swoim pobożnością, iż do ołtarza ta„jemnic przystępował w czystości, iż był słu„gą dobrym, niespracowanym opowiadaczem re„ligii niebieskiéj, iż zachowując nawet rzeczy „na pozór mniejsze: posty, kapłańskie pacierze, „okazał się też Bogu swemu w rzeczach wię„kszych wiernym; iż jako nie mogąc nikomu nic „odmówić, z uszczérbkiem nieraz własnym, wie„lu tu uszczęśliwiał, tak i Bogu wielką dusz „liczbę poświęcił i pozyskał.“

Tak miłego Bogu i ludziom plebana i dziekana zalecił był najjaśn. cesarzowi Franciszkowi ś. p. biskup Gołaszewski na dostojność dziekana kapituły, którą też godność od 5. Stycznia roku 1815. do 17. Sierpnia 1820 r. zaszczytnie piastował. Tu jest czas, od którego ks. Fr. Faygiel począł zostawać przełożonym nad licznemi kościołami i kapłanami. Od 5. Stycznia 1815 r. ciągle już mieszkał w Przemyślu. Nowa godność, zaufanie biskupa, powierzanie przezeń nieboszczykowi interessów dyecezyalnych i dochodów dóbr, nie podniosły go w ambicyą, *owszem na przełożeństwie tém tak żył, iż się stał godnym czci podwójnéj.*

Wzięty już w r. 1814. do boku ks. biskupa Gołaszewskiego, gdy ten był wiekiem i słabościami znękany, to zwiedził imieniem jego część dyecezyi, jak później za tegoż i za drugiego biskupa wiele klasztorów zwizytował; to dopomagał owemu biskupowi podeszłemu w rządach dyecezyi, w rządach dóbr; podejmował się podróży, poleceń, komissyj najważniejszych i najtrudniejszych; traktował z osobami najwyższemi względem dyecezyi, względem dobra biskupstwa, lub względem seminaryum. Jeździł on często, po nocach całych pracował; chcąc się przytém kapitule odwdzięczyć, interessa jéj zaniedbane w ład wprawić usiłował.

Wysokie władze galicyjskie zdały nań przytém w r. 1815. dozór szkół dyecezyalnych narodowych, któremi się zajmował przez lat 3 najgorliwiéj, i miał z tego powodu prac i zatrudnień bardzo wiele. Wśród tylu zatrudnień żądano po nim w roku 1816., aby zastępował dyrektora gimnazyum przemyskiego. Nie wymówił się i z tego, był vice-rektorem przez lat 3. Gdy w témże mieście teologiczne i filozoficzne w r. 1819. nauki zaprowadzano, przyjął ks. Faygiel na siebie dwa urzędowania uciążliwe: dyrektorat filozofii i rektorstwo, czyli rząd nad seminaryum. Dyrektoryą filozofii piastował bezpłatnie przez lat 7., przejrzawszy się w przódy z gruntu we wszystkich gałęziach nauk filozoficznych, pełniąc powinności swe trudne, a nieraz i wielce nieprzyjemne, siedząc przy tylu egsaminach, pisząc sam wszystko, co mu wiele czasu zabierało. Rektora urząd pełnił przez lat 16., dołożywszy wprzód nie mało starań około odłączenia przemyskiego seminaryum od lwowskiego, tudzież około przekształcenia budowy seminaryckiéj. On trudnił się sam przez lat wiele prowadzeniem nawet rachunków seminaryckich według manipulacyi nader trudnéj i zawiłéj. Zajmował się zaś cały ukształceniem i dobrém prowadzeniem młodzieży duchownéj, tak przez siebie, jak przez dobranych bogobojnych, zacnych nauczycieli i przełożonych. Pobłogosławił też Bóg pracom jego w tym zawodzie. Zapobiegło się wielkiemu brakowi duchowieństwa w téj dyecezyi, wiele młodych sług ołtarza odznaczają się bogobojnością, pracowitością, znamienitą zdolnością. Daléj był zastępcą biskupa Gołaszewskiego przez lat 5., tudzież biskupa Potockiego przez lat 6., a biskupa Korczyńskiego na początku przez półtora roku, jako oficyał; jakim był rządcą dyecezyi w czasie wakansów biskupstwa przez lat 4., jak był niespracowanym, przystępnym, łaskawym, kochającym dobrych, gościnnym dla wszystkich, to wszystkim, co go znali, w długiéj zostanie pamięci.

Był więc na przełożeństwie rodzaju różnego lat z górą 20., piastował przytém urzędy najważniejsze w zawodzie naukowym, pożyteczny kościołowi, zaszczycony zaufaniem wysokich władz galicyjskich, ukochany od duchowieństwa, od obywatelstwa, miłowany od ludu, od ubogich, których bez różnicy religii i wyznania, wspierał; podwójną od wszystkich cześć odbierając, zaszczycony został w r. 1835. przez najjaś. cesarza Ferdynanda ozdobami biskupiemi, których niestety! tylko krótko używał; umarł bowiem dnia 10. Marca 1836., a zatém w 59 roku życia swego. Ale choć nie doszedł lat późnych, liczne zostawił po sobie prac owoce w dyecezyi, w kapitule, w seminaryum, w szkołach niższych i wyższych. Pamięć jego będzie zawsze wdzięczna, miła; imię jego zostanie słynném i będzie w błogosławieństwie, bo zostawił wszystkim przykład cnót rzadkich, osobliwego poświęcenia się za sprawę wiary i za dobro ludzkości. (3)

Pogrzeb jego odbył się, przy nadzwyczajném zgromadzeniu ludu, z okazałością, przez dwóch szanownych i czcigodnych biskupów przemyskich: księdza Michała Korczyńskiego, biskupa obrz. łać. (4), i księdza Jana Snigurskiego,

(3) Dopóty wyjęto ze wzmiankowanego kazania.

(4) Już też i ksiądz biskup Korczyński, tak wierny przyjaciel zmarłego Infułata, pospieszył za nim do wieczności. Dnia 11. Października 1839 r. z powszechnym żalem jego zwłokom ostatnią uczyniono przy-

biskupa obrz. gr. kat., których obu zaszczycał się przyjaźnią. Wdzięczna dyecezya uczciła pamięć jego pomnikiem z lanego żelaza, którego odrys później przesłanym będzie, a teraz portret księdza Infułata tutaj się przyłącza. — — — Pokój jego duszy! —

.....

Baczni na naszę narodowość, szukamy w naszych czasach z chciwością wszelkich pamiątek, które nam życie przodków naszych przypominają. Lecz gdzież je znajdujemy? Czy na łonie familij, które górując wyższą oświatą, roszczą sobie prawo do pierwszeństwa w narodzie? Niestety! ogólna cywilizacya zatarła w nas znamiona, któreby mogły być naszą ozdobą. Dziś nie znajdziesz domu ani szlacheckiego, ani mieszczańskiego, któryby przechował u siebie owe zwyczaje, które w tak pięknem świetle wystawiają całe serce, całą duszę, całe usposobienie Polaka; a jeżeli pojawi się taka familia, tysiączne trudności przezwyciężać musi, aby się oprzeć natarczywości świata zmodniałego, którego kole wszystko co nie jest modném, co nie jest wymuszoną grzecznością, lecz szczerością i otwartością. Na próżno więc pomiędzy tymi ludźmi szukać będziesz dawnych zwyczajów i obyczajów polskich. Gdzież więc je znajdziesz? Oto albo butwieją w papierach i grobach, zkąd je wygrzebać trzeba, albo spoczywają na ustach ludu, brzmiąc jakoby odgłos dawnéj świetności, który podsłuchać musimy, albo kwitną jeszcze życiem bujném pomiędzy ludem niewinnym, wolnym od zepsucia, któremu się przypatrzéć powinniśmy, abyśmy się odrodzić mogli. Z takiego to stanowiska na rzecz się zapatrując, rozumiem, iż nie będzie od rzeczy w piśmie takiém, jakiém jest Przyjaciel ludu, którego głównem zapewne jest zadaniem trzymać się w obrębie dziennika zbiorowego, odświeżyć zwyczaje i obyczaje ludu wiejskiego z całéj Polski. Mamy w tym względzie piękną pracę, p. t.: *Zbiór ubiorów ludu polskiego Leona Zienkowicza*, który wyszedł w Paryżu roku 1841. w języku francuskim. Dzieło to mało dotąd znane, jużto, że nie wiele odbito exemplarzy, jużto że jest bardzo drogie; postanowiłem więc obeznać z niém szanownych czytelników Przyjaciela ludu, wzywając razem wszystkich miłośników obyczajów narodowych, aby starali się uzupełnić przedsięwzięcie moje przez nadsyłanie czy to rycin, czy opisów, któreby wszelkim niedokładnościom zapobiedz mogły. Przy takiém przedsięwzięciu jest rzeczą niepodobną, aby się to i owo, co już w dawniejszych latach ogłoszono, choć nie w ten sam sposób, ale podobny, nie powtórzyło; spodziewam się, iż szanowni czytelnicy dla tego nam złych zamiarów nie przypiszą. Oto następuje obraz Wielkopolan, wyjęty z wspomnionego dzieła.

Mieszkańcy Wielkopolski.

Województwa poznańskie, kaliskie, gnieźnieńskie, sierackie, łęczyckie i ziemia wschowska i wieluńska, stanowiły niegdyś właściwą Wielkopolskę. Jest to kraj płaski, zawierający w sobie kilka jezior, pomiędzy którémi znajduje się Gopło, największe z całéj Polski. Główniejsze miasta prowincyi téj są: Poznań, Leszno, Bydgoszcz, Międzyrzecz, Gniezno, Wschowa, Rawicz, Kalisz, Sieradz, Piotrków, Wieluń i Łęczyca. Rólnictwo i chodowanie bydła jest głównem zatrudnieniem Wielkopolan; oszczędność wiejska i przemysł wielki postęp pomiędzy nimi zrobiły. Większa część umie czytać i pisać, odznaczają się przez swoją prawość i czystość obyczajów.

Ubiór zwyczajny mężczyzn jest kaftan z sukna zielonego lub granatowego, podszyty najczęściéj materyą białą, czerwoną lub jasno-niebieską; wyłogi i kołnierz są z aksamitu czarnego lub niebieskiego. Spodnie latowe są z grubego białego płótna, zimowe ze skóry lub sukna granatowego lub zielonego. Nie mają wcale szelek, spinka lub wstążka zwięzuje wązki kołnierz ich koszuli. Długie ich bóty, z małemi podkówkami, dochodzą aż do kolan. Mała, miałka czapka, z sukna zielonego lub niebieskiego, obszyta barankiem siwym lub czarnym, pokrywa ich głowę. W niedzielę obłóczą na kaftan, którymśmy dopiero co opisali, dwie suknie z sukna granatowego lub zielonego; jedna krótka, ozdobiona sznurami i spięta z przodu, jest nazwana spodnią suknią, a druga wierzchnią, albo sukmaną; ostatnia zachodząc aż za kostki, podszyta jest materyą koloru czerwonego, białego albo jasno-zielonego; przystrojona sznurkami jedwabnémi, mocno fałdzista i zawsze rozwarta. Na głowie mają czapkę, kształtu wysokiego, z sukna zielonego lub granatowego, obszytą szerokim i pięknym barankiem, lub kapelusz czarny, okrągły, kształtu niskiego, z szerokim brzegiem; tak kapelusz jak czapka są przystrojone wielu wstążkami rozmaitego koloru i piórami pawiemi. Ludzie, będący już w bardzo podeszłym wieku, noszą zwyczajnie brodę, lecz nigdy nie noszą wąsów; włosów nie obcinają sobie. Parobczaki palą czasami tytuń, starsi zaś po większéj części mają zwyczaj zażywać tabakę.

Młode dziewczęta noszą na głowie tak nazwane czółko, bogato ozdobione wstążkami różnéj barwy, pod którém chowają swój warkocz, czasami spuszczają go także na ramiona. Koszule obszywają muślinem lub perkalem;

---

sługę. Umarł z budującym przykładem *pośród duchowieństwa przemyskiego*, dla którego był ojcem i przyjacielem, spoczywa *na cmentarzu powszechnym pośród swych owieczek*, których był prawym apostolskim pasterzem. Takie było jego wyraźne życzenie, spełniono je sumiennie. Cześć popiołom jego!!

Wielkopolanie.

szmurówka jest koloru jasnego, z materyi jedwabnéj lub bawełnianéj; naramniczki są wstążkami związane. Na wierzchu noszą kaftanik krótki, fałdzisty, z sukna granatowego. Spódnica jest sukienna, albo bawełniana, w różne kolory; u dołu obszyta szerokiémi wstążkami,

a często galonkami śrebrnémi lub złotémi; fartuchy są z muślinu białego, czerwonego lub też w paski; pończochy noszą białe; trzewiki z kokardkami, bez korków. Kobiety zamężne noszą czepiec, który opasują zwykle chustką jedwabną; kaftany ich są długie; z resztą ubierają się jak młode dziewczęta, tylko ich postać jest więcéj poważna, stósownie do wieku.

Wielkopolanie mają prawie te same obyczaje i zwyczaje, co ich sąsiady Kujawiacy i Mazurzy.

Ceremonie ślubne również uroczyste pomiędzy nimi jak w innych stronach polskich, jednak różnią się nieco, i o tém wspomnieć nam wypada.

Skoro tylko chłopek zapozna się z dziewczyną i przekona o jéj miłości, postanawia ją sobie obrać za towarzyszkę, oświadczając to jéj rodzicom. Ci zapraszają dwóch krewnych z obu stron, jako też rodziców kochanka, i w ich przytomności wyjawia młoda para swoje wzajemne uczucia. Osoby najstarsze wystawiają im ważność związku, który zawrzeć mają, wyliczają obowiązki małżeńskie, przekonywają o potrzebie ich wykonywania sumiennie i aby poprzeć swoje napomnienia, przytaczają niektóre przykłady czerpane z ich doświadczenia lub też życia powszedniego; napominając ich w reszcie poddać się Opatrzności Boskiéj, która zapewne kierowała usposobieniem ich serc. Gdy się więc rodzice i krewni przekonali o prawdziwéj miłości młodéj pary, czyli raczéj, gdy znaleźli w tym związku jéj wspólne szczęście, błogosławią jéj zamiar, naznaczając oraz dzień ślubu i osoby, które zaprosić zamyślają; i to nazywa się zmowinami.

W następną Niedzielę z rana idą narzeczeni do spowiedzi i do stołu Pańskiego, po obiedzie odwiedzają swych przyjaciół i krewnych, zapraszając ich na ślub. Ten, który najgłówniejszą rolę w tych zaprosinach odgrywa, jest przyjacielem narzeczonych i nazywa się drużbą. W Czwartek przed ślubem, który zawsze w Niedzielę ostatniéj zapowiedzi przypada, drużba w towarzystwie innego młodego parobka wsiada na konia i zaprasza gości. W dzień ślubu udają się narzeczony i kilku innych parobków konno do młodéj panny, wszyscy goście zaproszeni wchodzą za nimi, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Na co im odpowiadają: „Na wieki wieków. Amen.“ Potém drużba ma mowę wierszem, w któréj stara się opisać szczęście, którego narzeczony doznaje i wszystkie piękne przymioty młodéj panny. Po nim występuje z kmiotków najwięcéj poważany dla wieku jak i charakteru, prawiąc zwykle o obowiązkach małżeńskich. Jego mowa prosta, spokojna i naturalna, jak uczucie, które ją dyktuje, robi tém większe wrażenie na przytomnych, ponieważ jest wyrazem prawdy. Drużba, który w czasie téj mowy trzymał ręce narzeczonych, prowadzi ich przed rodziców młodéj panny.

Narzeczona rzuca się do nóg i wynurza im swoją głęboką wdzięczność za wychowanie, które winna ich staraniu. W czasie gdy narzeczeni odbierają błogosławieństwo od swych rodziców, daje się słyszeć muzyka rzewna, a dziewczęta jak i parobcy śpiewają stósowną piosnkę. Gdy śpiewy ustają, sposobią się do wyjazdu do kościoła; drużba wsadza do woza, gdzie się muzyka znajduje, narzeczoną i druchny, a wskazawszy każdemu wóz, jedzie sam z drugimi parobkami konno. Skoro przyjadą przed kościół, całe towarzystwo zajmuje miejsce, wyznaczone przez drużbę, który w ten czas wypełnia służbę mistrza ceremonii. Po ślubie wsiada narzeczona na wóz z mężatkami, lecz zawsze ma przy boku dwie młode dziewki czyli druchny. W czasie pochodu daje się słyszeć muzyka, a młodzi śpiewają. Zajechawszy przed drzwi młodego pana, zastają je zamknięte. Drużba puka, a gdy osoby z domu wyjdą i zapytają, czego on żąda; odpowiada im, iż przyprowadzają gołębicę białą, na pociechę i szczęście gospodarstwa. Ledwie te słowa wymówi, już cała ulica zapełniona muzyką i śpiewem całego towarzystwa. Nagle drzwi się otwierają i goście schodzą z wozów; drużba podawszy ręce młodemu państwu, wchodzi do domu, a za nim wszyscy. W ten czas dopiero taniec i śpiew ożywia wszystkich, zgoła oddają się wszelkim zabawom, które wesołość w nich wzniecają. Poźniéj zastawiają stoły, a drużba zaprasza gości wierszami miłémi i dowcipnémi, aby rozpoczęto gody. Po obiedzie zaczynają znowu tańczyć, ku wieczorowi wprowadzają mężatki potajemnie młodą pannę do komory, a zdjąwszy z niéj wieniec i włożywszy jéj na głowę czepiec, wracają z nią całą we łzach i sadzają ją do stołu obok mężatek. W ten czas młody pan przychodzi i prosi ją do tańca, ale ona odmawia, podając za przyczynę, iż jest kulawą. To odmówienie, którego się on bynajmniéj nie spodziewał, wystawia go na wszelkie żarty drużby, który mu z miną szyderczą zarzuca, iż nie umie prosić i sam zaprasza młodą pannę, która też na to przystaje. Na próżno ponawia młody pan swą prośbę, ona zawsze udaje kulawą, a młody pan musi znowu znosić żarciki drużby; to powtarza się po kilka razy; nareszcie narzeczony nie mogąc tego już znieść, woła z gniewem: kobieto, poznaj męża twego! Na te słowa daje mu narzeczona z żywością rękę i rozpoczynają taniec. W tym to czasie śpiewa towarzystwo zwyczajną piosnkę, tańczą potém jeszcze z wielką żywością i na tém kończy się wesele.

O Szarzyńskim, figlarzu warszawskim za czasów Króla Stanisława Augusta. (*)

(*Frazka.*)

Wiadomo, jaki szał cudzoziemczyzny, za czasów owego wspaniałego Króla, opanował świetną i zbytkującą pod tedy Warszawę, tak dalece, iż nie tylko świat młody, ale nawet i kontuszowa starszyzna w francuzkiéj zamiłowała reformie. Nie dziw więc, iż ze strony mniéj możniejszych, jako i patryotów, upatrujących w tém tylko śmieszność i niepotrzebny zbytek, stawił się duch oporu, do którego, w rodzaju Pszonki, liczył się i Szarzyński, szlachcic, krotofilista, co nie pisywał satyr, ale chodząc i gadając, żartem satyrycznym publiczność bawił warszawską.

Owoż tedy (opowiada relator) pomiędzy innémi wkradła się i do Warszawy moda i konieczność, aby francuzkiemu nie ubliżyć strojowi, noszenia perspektyw i okularów; a jakto zwykle w stolicach, najpierw dworu czepia się mody nowość, spodobało się i Królowi Stanisławowi po publicznych spacerach i widowiskach scenicznych używanie, może i z potrzeby, zbrojnego oka.

Dnia tedy jednego zapowiedziany był przez Króla spacer do Bielan; za dworem, ruszyło świetnych dużo pojazdów; a że do dobrego tonu należało, czy kto dobrze widział, lub był ślepym, noszenie okularów, większa część publiczności za Królem przez modne patrzała szybki.

Szarzyński mając napiętego figla na myśli, ruszył za drugimi do Bielan, i gdy Król i dworzanie powysiadali z pojazdów i zasiedli do podwieczorku, Szarzyński, w obawie, iżby mu za złe bracia nie wzięli, iż się na spacer wybrał bez szkiełka, zdejmuje bót dziurawy z nogi, i przez cholewę patrzy się na Króla i publiczność. Powie tu może czytelnik, iż podobnego czynu, w obecności Monarchy, nie mógł się dopuścić Szarzyński, gdyżby to była obraza Majestatu; bajka zmyślona! A jednak tak było; Szarzyński zebrał sobie nawet na owym wiejskim podwieczorku w Bielanach, będąc w potrzebie, za ów choć nieprzystojny, lecz trafny żarcik, kilkanaście dukatów, do czego i sam Król chętnie datkiem się przychylił.

Przy téj sposobności jeszcze jedno o Szarzyńskim wiedząc wspomnienie, z obowiązku do redakcyi niniejszego przesyłam je pisma.

Ów więc Szarzyński, na stare lata podupadły na zdrowiu, dostał się chudy pachołek w Warszawie do szpitala. Na raz tedy rozchodzi się po stolicy wieść, iż Szarzyński z nędzy umarł w szpitalu, i nie masz zgoła za co go pochować. Odgłos żalu po skonie tak dziwnie żartobliwego człeka był powszechny, licznie więc mieszkańcy Warszawy, aby uczcić złożone na marach ciało, i wieczny za duszę nieboszczyka zmówić paciórek, schodzili do szpitala; a przy téj sposobności, jakżeż nie było, w miarę stanu, na przyzwoity dla ś. p. Szarzyńskiego złożyć się pogrzeb? Ale o północy w dniu drugim wystawy ciała, jakiż to pomiędzy weteranami owego szpitalnego zgromadzenia robi się popłoch i wrzawa! trup Szarzyńskiego, schwyciwszy pełną dukatów i złotówek puszkę, przeznaczoną na pogrzeb jego, by dusza zaklęta starce i baby w szpitalu przestrasza. Zbiegają nocni stróże, milicya, zakonnicy, i w istocie w Szarzyńskim chodzącego poznają nieboszczyka; kropią święconą wodą, żegnają, pytając, czy dusza jego jakiego nie potrzebuje ratunku; aż przecież po nad ranem całe się odgadło dziwo, upamiętał się ś. p. Szarzyński, i do zgromadzonego ludu następnie przemówił: „Szarzyński, zacni dobrodzieje, nie umarł, jeszcze on żyje, skonał pozornie tylko, aby się jedynie bez wsparcia będącemu tu zakładowi przysłużyć. Widzicie w téj tu skarbonie, która jest ważna złotem i srebrem, a która na pogrzeb mój miała być przeznaczoną, jest liczna ofiara; tę nie dla siebie, ale na dobro owego tu osieroconego z potrzeb składam bractwa.“

Zakon szpitalny, do żywego rozczulony, rzucił się do nóg Szarzyńskiemu, i odtąd dobrodziejem, ojcem go mianując, pielęgnował go śród siebie starannie do śmierci.

Z.

(*) Wspomnienie z gawędy adwentowéj byłego wojsk polskich Majora.

Trafna odpowiedź Jana III.

(Anegdota.)

Sobieski będąc pod Wiedniem, na oswobodzenie nieszczęśliwych Niemców, a nie zacząwszy jeszcze z Turkami żadnéj walki, taką wiadomość wraz z kwartą maku od Wezyra do obozu otrzymał: „W. K. M., Janie III.! racz przyjąć i policzyć tę kwartę maku; a jak ją zrachujesz, dowiész się o liczbie mojego wojska.“ — Sobieski, nie w ciemię bity, na taką się odpowiedź zdobył, z którą spiesznie posłańca do Wezyra wyprawił: „Wezyrze! liczyć kwartę twojego maku, jest to rzecz nazbyt mozolna, ale do wykonania bardzo podobna; ale z resztą na cóżby się przydało liczyć twój mak, Wezyrze? — Poślam ja ci kwartę pieprzu, który masz nie liczyć, ale zjeść, (bo jeść, jest rzecz bardzo prosta), — a jeżli zjész, poznasz dzielność mojego wojska.“ — Spróbował się później Sobieski z Turkiem, i dał całemu światu poznać, że nie ilość wojska, ale zgoda, wytrwałość, odwaga, posłuszeństwo wodzowi i zupełne poświęcenie się, to, ale nie co innego, zwycięża.

J. P......

Miłym zapewne będzie szanownym czytelnikom dar pana Colberga, za który mu redakcya jest nader wdzięczną. Wiadomą jest rzeczą, iż w Poznaniu nakładem Zupańskiego wychodził męża tego zbiór pieśni, z którego kilka poszytów już wydrukowano. Ponieważ przedsięwzięcie doznało przeszkód, podarował pan Colberg resztę zbioru naszemu pismu, aby w niém wychodziła. Zaczynamy od Nru 126.

№ 126.

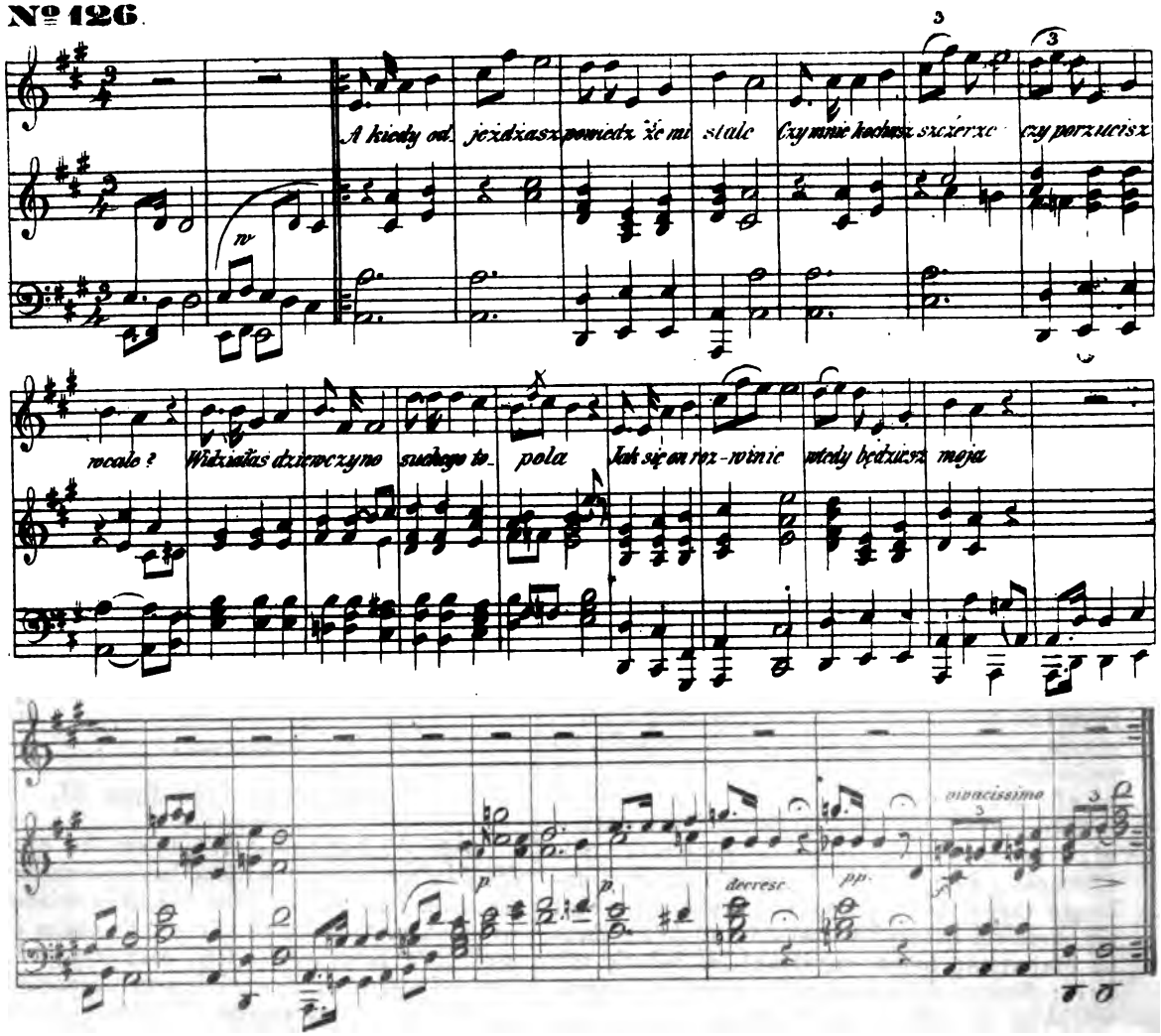

Text do *Nru. 126.*

A kiedy odjeżdżasz powiedzże mi stale:
Czy mnie kochasz szczérze, czy porzucisz wcale?
„Widziałaś dziewczyno suchego topola,
Jak się on rozwinie, wtedy będziesz moja.“
Wyglądała dzisiaj, wyglądała wczora;
Niewidać, niesłychać liścia na topola,
„Wezmę koneweczkę, będę wodę nosić,
Będę podlewała, będę Boga prosić.“
Wyglądała dzisiaj, wyglądała wczora;
Niewidać, niesłychać liścia na topola;
Smutnie kukaweczka żałośnie kukała,
A smutna dziewczyna żałośnie płakała.“
„Pada deszczyk, pada, na konika ślisko;
Powiadają ludzie, że kochanie blisko.
Oj przyrzekł, lecz może i skłamał przedemną,
A ja podlewała topola daremno.“

(*Wojcicki*, P. 1., T. II. str. 173.)

Cena półroczna tego czasopisma wynosi 1½ talara, czyli 9 zł. pol., za którą przez wszystkie królewskie urzędy pocztowe, jako też wszystkie księgarnie nabyć go można. *Ernest Günther*, wydawca.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 2. Rok 13.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 10. Stycznia 1846.

Hydrarchos, czyli wielki wąż morski. — Stryjkowski i jego kronika. — Dalszy ciąg panowania Augusta III. i t. d. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

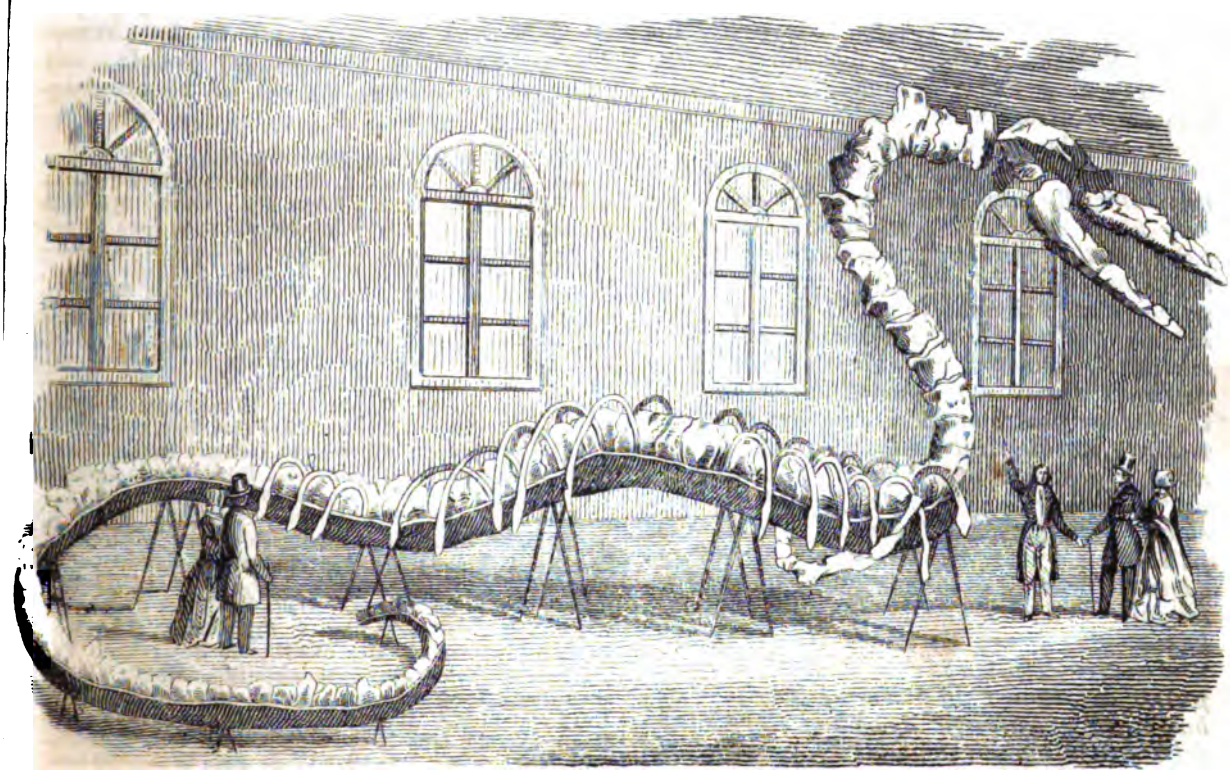

Skielet Hydrarcha.

Hydrarchos, czyli wielki wąż morski.

Odrysowany skielet, mający 114 stóp długości, ważący 7,500 funtów, jest zupełnym kościotrupem najdziwniejszego stworzenia z królestwa zwierząt, które dotąd na ziemi odkryto. Dr. Koch znalazł tę ogromne szczątki świata przedpotopowego niedawno w czasie swéj geologiczno-naukowéj podróży w Alabama. Pojedyńcze członki kości pacierzowéj mają 15—18 cali długości, a 24—30 cali objętości. Tego węża uważać trzeba za potwór morski, który przez tysiące lat nieznany po głębinach morza się ros-

pościerał. Jeżeli zważamy na to, że należał do zwierząt, które się mięsem karmią, zdumiewać się musimy, że ta ogromna massa, będąc kiedyś ożywioną, po bałwanach morskich igrała, lotem błyskawicy od brzegu do brzegu pływała, z wielorybami jak z maleńkiemi owadami się uganiała, a może nawet mamuta i missuriana z nad brzegów wielkich rzek wypłaszała. Skielet różni się zupełnie od wężów, które dotąd istnieją lub odkryte zostały; może jednak potwierdzić wiarę ludu zapewne dosyć uzasadnioną, że jeszcze w naszych czasach znajdują się w morzach potwory, które zwykle zowią wężami morskiémi. Węża tego oglądano w Nowym-Yorku.

Stryjkowski i jego kronika.

Nie ma podobno dziwaczniejszego zjawiska w literaturze XVI wieku w Polsce, nad kronikę Macieja Stryjkowskiego, ani oryginalniejszéj postaci nad niego, między pisarzami jemu współczesnymi. Wyszła ta kronika, mianowicie Litwę obchodząca, z szumnym dodatkiem, że *nigdy jeszcze światła nie widziała*, pod następującym tytułem, malującym już, jak się nam zdaje, charakter autora i dzieła:

„*Kronika polska, litewska, żmudzka, i wszystkiéj Rusi kijowskiéj, moskiewskiéj, siewierskiéj, wołyńskiéj, podolskiéj, podgórskiéj, podlaskiéj etc., i rozmaite przypadki wojenne i domowe pruskich, mazowieckich, pomorskich i innych krain Królestwu polskiemu i Wiel. ks. litewskiemu przyległych, według istotnego i gruntownego zniesienia pewnych dowodów z rozmaitych historyków i autorów postronnych i domowych i kijowskich, moskiewskich, sławiańskich, liflantskich, pruskich, starych, dotąd ciemno-chmurną nocą zakrytych kronik i latopisców ruskich, litewskich i Długosza, ojca dziejów polskich, i z innymi z wielką pilnością i wężowatą pracą (osobliwie około dziejów litewskich i ruskich od żadnego przedtém niekuszonych) przez Maciéja Osostowicyusza Stryjkowskiego dostatecznie napisana, złożona i na pierwsze światło z wybadaniem prawdziwie dowodnéj starożytności własném wynalezieniem (?), przeważnym dowcipem i nakładem nowo wydźwignionu, przez wszystkie starożytne wieki, aż do dzisiejszego roku 1582. a naprzód wszystkich ile ich kolwiek jest ludzkich na świecie narodów, gruntowne wywody.*“

To wielkich nadziei dzieło, Bóg wie wielu patronom i protektorom przypisane i polecone zostało, bo oprócz dedykacyi J. K. M. Stefanowi Batoremu, X. Jerzemu Radziwiłłowi, Biskupowi wileńskiemu, XX. Jerzemu, Szymonowi, Alexandrowi Olelkowiczom i całemu w powszechności korony i Litwy senatorskiemu kołu, rycerstwu, a szlachcie jeszcze pojedyńcze xięgi i niektóre rozdziały nawet, osobno różnym osobom są przypisane. Sądziliśmy, iż w tych przypisach autor uważał na jaki związek historyczny osób, którym przypisywał, z dziejami opisywanémi, lecz tego dostrzedz niepodobna. To tylko pewna, że niekiedy po dwa razy jednym, w niedostatku nowych patronów, to tę, to ową xięgę ofiarował. (1)

Autor téj kroniki, szlachcic, żołnierz, wędrowiec niezmordowany, historyk, poeta, rysownik, panegirysta, xiądz nareszcie, urodzony koło Łęczycy, a przedmiotem ciągłych badań niejako naturalizowany Litwinem, od szesnastego roku życia w nieustannych podróżach, poszukiwaniach, pracach, zbierając xiążki, rysując mappy, plany i ozdoby rękopismów, bijąc się na wojnach, śpiewając psałterz w chórze, strawił swój żywot, polecając się potomności wielkiém dziełem, którego dziś bardzo trudne, prawie niepodobna użyć w potrzebie, cóż dopiero bez koniecznéj potrzeby przeczytać? Życie jego jest tak dziwaczną mieszaniną jak dzieło. Wszędzie się kusi, nie pytając, czy podoła, czy rozumie o co chodzi, czy mu sił na przedsię-

(1) Cytujem tu wszystkie te dedykacye dla ciekawości: Xięga II. Rozd. I., X. Melchiorowi Gedrojcowi, Bisk. żmudzkiemu. Xięga III., do X Mikołaja Radziwiłła, Wojewody wileńskiego i syna jego Krzysztofa. Xięga IV., do Ostafijeja Wołłowicza, Kanclerza Wiel. xięst. lit. Rozd. IV. téjże do Jana Kiszki, Starosty żmudzkiego. Xięg. V. Rozd. I., do X. Konstantego Ostrogskiego; téjże Rozd. VIII., do Mikołaja Radziwiłła, Woj. nowogrodzkiego, Xięg. VI. Rozd. I., do Mikołaja Moniwida Olechnowicza Dorohostajskiego, Woj. połock. Rozd. VIII., do X. Janusza ostrogskiego. Rozd. X., do Jana Hlebowicza, Wojew. mińskiego. Xięg. VII., do Mik. Paca, Bisk. kijowskiego. Do Wojewody wileńskiego i Pawła Paca, Wojewody mścisławskiego. Xięg. X., Rozd. I., do Jerzego Zienowicza, Kaszt. smoleńskiego. Xięg. XI., do Jana Talwosza, Kaszt. żmudzkiego. Xięg. XII., Rozd. I., do X. Albr. Radziwiłła, Marszałka dworu Wiel. xięst. lit. Rozd. XI., do Mikołaja Bielewicza-Stańkiewicza, Podkom. żmudzkiego. Xięg. XIII., Rozd. I., do Mik. Sapiehy, Woj. mińskiego. Xięg. XIV., bez dedykacyi. Xięg. XVI., do Alexandra X. Pruńskiego, Wojewodzica kijowskiego. Xięg. XVII., do Eustachego Tyszkiewicza, Wojewodzica smoleńskiego. Rozd. VI., do Stanisława Naruszewicza, Ciwona wil. Xięg. XVIII., Rozd. I., do Mik. Radziwiłła, Woj. nowogrodzkiego. Rozd. IV., do Jana Hlebowicza, Kasztelana mińskiego. Xięg. XIX, Rozdział I., do Jana Wołmińskiego, Kaszt. połockiego. Rozd. IV., do Jana Jaśieńskiego, Podkom. wil. Rozd. VII., do Stanisława Siemiota, Kuchmistrza Wiel. xięst lit. Xięg. XX., Rozd. I., do Wacława i Jana Siemiotów, Kaszt. żmudzkich. Xięg. XXI., Rozd. I., do Marka Wnuczka, Ciwona retowsk. Xięg. XXII., Rozd. I., do Jana Abramowicza, Wojsk. wil. Xięg. XXIII., Rozd. I., do Kn. Alex. Połubińskiego. Rozd. IV., do Michała Wołłowicza, Starost. słonimsk. Xięg. XXIV., Rozd. I., do Mik. Radziwiłła, Woj. nowogrodz. Rozd. IV., do Wojciecha Przetockiego, Horodn. wil. Xięg. XXV., Rozd. I., do Jana Wołmińskiego, Kaszt. połockiego. Rozd. IV., do Balka, X. Siewierja.

wzięcie wystarczy, rzuca się przez niebezpieczeństwa zuchwale, porywa nie na swoje i ze wszystkiego cało wychodzi, śpiewając swój tryumf i chwałę: pełen próżności tysiąc kroć na plac w dziełach siebie, swoje prace, swoje życie i zasługi wyprowadza. Słuchaj tylko jak jest wielkim człowiekiem, wiele widział, wiele uczynił, jak się zasłużył, ilu niebezpieczeństwom się oparł, jak pracował! Sto razy powtarza ón, że pierwszy a najpierwszy litewskie dzieje oparł na stałych posadach i z pleśni na jaw wywiódłszy oczyścił, sto razy bije w uszy potomności, sądząc, że go nikt już nie poprawi: *„Być tysiąc kronik stósował (porównywał), nic innego nie znajdziesz.“* to jest zwykła jego formuła ostateczna, którą usta krytyce i niedowiarstwu zamyka; lecz nie potrzeba tysiąca, dość jednéj dobrze zrozumianéj, żeby go w nieskończonéj liczbie miejsc poprawić. A jakże on swoją pracę i mozoły wysoko wynosi! Snać nie urodzony do tego rodzaju mozolnych badań, dziwił się sam sobie, że w nich wytrwał i tak się z nich chlubił; bo na każdéj niemal karcie jego przesławnéj kroniki znajdziesz go osobiście stawiącego się przed czytelnikiem, przypominającego po raz setny to, co już o sobie powtarzał w dedykacyach do Króla, Xiążąt Olelkowiczów, PP. Senatorów i Rycerstwa, Xięcia Biskupa żmudzkiego i t. d. Boi się, żeby go za pospolitego historyka, kompilatora nie wzięto, wzywa Pana Boga na świadectwo, że on pierwszy dzieje Litwy wyjaśnił. A cóż to tam za wyrażenia u niego, jakie przekleństwa na tych, co temu wierzyć spełna nie chcieli, jakie krytyki poprzedników, jakie ostre im zarzuty, myślałbyś potém, że urodzi arcydzieło dokładności.

Życie i pisma tego człowieka, jak to się często trafia, są z sobą w zupełnéj harmonii i zgodzie; jedno drugie objaśnia, uzupełnia i do poznania charakteru obojga pomaga. Jak żył tak pisał i odwrotnie. Wszystkie jego namiętności, cały jego charakter, dobitnie się w najmniéj nawet egotyzmu przyjmującém dziele, w kronice wydają. Rzekłbyś, że z wieczora przy ognisku i kuflu grzanego piwa prawi sobie staruszek ambaje historyczne, naczytawszy się do zbytku kronik, a niespełna je zrozumiawszy. Tylko że go nie widzisz żywego.

Przebieżmy ile można jego życie, abyśmy wiedzieli, jak się z dziełem obejść i jak je uważać. Rodzi się ten przyszły historyk Litwy dość od niéj daleko, bo w Stryjkowie, dawniéj przodków swoich Osostowczyków herbu Leliwa dziedzinie, miasteczku w Łęczyckiém. Rodzina jego stara ślachecka, która już w XV wieku ze Stryjkowa się pisała (2), jedną właściwie stanowiła z Piorunami i Tulkowskimi. Sam nam opowiada, opisując wierszem życie swoje, iż dzieciństwo jego oznamionowały wypadki dziwne, rokujące niejako wielką i głośną przyszłość, niebezpieczeństwa, z których po herkulesowemu wychodził. Tu dzieje swego dzieciństwa prawi nam, jakby o urodzeniu i młodości jakiego wielkiego męża starożytności z Plutarcha tłumaczył. Pięcioletni naprzód utonął w stawie, wyciągnięty nie rychło bez życia, martwy zupełnie wyniesiony na marach do kościoła, już miał być pogrzebiony, a z nim litewska kronika, już go rodzice opłakali, gdy huk bijących na pogrzeb jego dzwonów, ze snu go przebudził i do życia nazad powołał. Zmartwychwstał przyszły Matys Prekonides (nazwa jego używana w pierwszych dziełach), ale na cały tydzień stracił mowę, w chorobie z chwili przestrachu powziętéj. Zaledwie sześcioletni, oddany już do szkółki do Brzezin. O jakże on te sławne Brzeziny, gdzie się grammatyki uczył, wynosi! Za nic Padwa i Sorbona! gdy o nich pisze. Muzy i Apollo z za rękawa mu lecą; leje się źródło kastalskie, i czegoż tam niema w tym opisie? Lecz znowu przypadek. Dzwony mu oddały życie, dzwon go potém o mało nie zabił, uderzony nim w głowę, od téj pory stał się zająkliwym. Dodaje, *jak Mojżesz*, bo się rad z wielkiemi równać i przymierzać. W szesnastu leciech już skończył nauki i od razu człowiek wziął laskę pielgrzymią, puścił się drogą żywota na wędrówkę po świecie, nie mając już spocząć aż nad grobem, zmieniwszy zbroję na kapicę mniszą, a oręż na pióro.

Przebiega naprzód Litwę i Prussy, dziwi się starym horodyszczom, kopiszczom i zwaliskom zamczysk dawnych, zaciąga się do wojska, a tymczasem pisze już Sielanki, Elegie, Wywód o Lechu i o Czechu i t. d., trawi życie pisząc i wojując na przemiany; kilka lat służąc wojskowo na Witebsku, zbiera powoli historyczne materyały. Tu nowa a niepospolita spotyka go przygoda.

Rotmistrz, Włoch, niejaki Gvagnini, najrzawszy u niego rękopisma i raptularze *opisu Sarmacyi europejskiéj* (taki miał być tytuł pierwszego dzieła naszego Stryjkowskiego) swobodną porą, gdy się on oddalił, zachwyciwszy coś z tych materyałów, układa z nich xięgę i pod swojém imieniem ją drukuje. Stryjkowski woła w niebogłosy o zdradę, o łupiestwo, szkaluje cudzoziemca, z pogardą złodziejstwo literackie wierszem i prozą po łacinie i po polsku mu wyrzuca, świadczy się panem Pacem i wielką ilością znakomitych osób, które jego raptularze widziały na Witebsku. Zdaje się, że całą winą Gvagnina było pochwycenie *materyałów*, które obrobił po swojemu, lepszym trochę od Stryjkowskiego łaciny stylem.

Ale posłuchajmy, jak o tém pisze sam okradziony.

„Ale będąc w rocie jednego Włocha na

(2) Łaski Statut. f. 141. Pokój brzeski. 1436 r.

Witebsku, przywiódłszy w zgodę *Martem armis gerentem cum Musis*, napisałem dzieje niemałe łacińskim językiem, którym jest tytuł: *Sarmatiae Europeae descriptio*, które księgi tenże Włoch (nigdzie go po imieniu nie nowie Stryjkowski) *acz nie jakom myślił*, śmiał dać pod swoim tytułem drukować, aczkolwiek *Deum Opt. Max. apello, ne primus quidem Heliconis fontibus labia admoverit.* A kto chce tego spróbować spytaj go, jako i którym sposobem tam która się rzecz toczy, jako się co rozumie i t. d., (obacz jeszcze między innemi, co o tém pisze xięga VI., rozdz. XIII. i xięga VIII. ad finem et passim. W rozdziale XIII., xięg. VI.: „*in eo libro, quem latine sub titulo descriptionis Sarmatiae Europeae etc., anno 1573. exaravi, dum adhuc adolescens in Vitebsca cuidam Italo cohortis podestris praefecto familiariter adhaererem, ac Marte interdum respirante obscoena perosus ocia ingenuis musis operam navarem.*“ Tedy o tém racz wiedzieć, że ta praca moja, *abortum in immatura edenda prole passa est. Hlius etenim nostri laboris, cujus testem Deum Opt. Max. contra conscientiam meam apello, fructu per quendam Italum et eundem peditum in Vitebsca praefectum, frustratus sum, qui quamvis ipse ne primis quidem musarum fontibus labra admoverit et prorsus litterarum expers fuerit, praefati libri exemplar, ut populari satiaretur aura, sub nomine suo quibusdam verbis et sententiis (ut ipsius inventio, inde appareret) facile immutatis, imprimendum dedit. Et sic nos non nobis.*

Sam Gvagnina, w przypisie Sarmacyi swojéj datowanym w pięć lat po dacie przez Stryjkowskiego podanéj (1573.—1578.) z Krakowa 20. Czerwca, xięgę tę zowie wprawdzie *meum laborem* i opowiada prawie, jak ją złożył (3), ale to wcale nic na stronę jego nie dowodzi. Oto są słowa Gvagnina, który przypisując Sarmacyą Stefanowi Batoremu, użyteczności nauki dla monarchy zupełnie napróżno dowodzi: *Quare nactus ego occasionem temporis, dum a duro marte respirarem, quaedam scitu non indigna de moribus, legibus, initio, incremento, rebus gestis imperii Polonici populorumque Sarmatiam incolentium, denique de situ dispositioneque regionum earum omnium, quas in se Sarmatiae orbis complexus est, militari stilo, conscribere non dubitavi.*

Wytoczyła się ta sprawa, aż do dni dzisiejszych na sąd. Różni różnie sądzili. Kojałowicz, Braun, Hartknoch, nie wahali się pracy téj Stryjkowskiemu przyznać, późniejsi zaprzeczali. Ale zdaje się, że nie spełna uważano na słowa Stryjkowskiego, gdy Gvagnina kradzieży dochodząc, porównywano jego Sarmacyi opisanie, z późniéj dobrze urodzoną i daleko odmienną kroniką Stryjkowskiego. Ktoś na mocy tego porównania, dorywczo uczynionego, zuchwale dosyć osądził, że Gvagnin niesprawiedliwie został o kradzież pomówiony. Ależ tu nie o kronikę wcale rzecz idzie, tylko o *Opis Sarmacyi*, dzieło, którego Stryjkowski zrażony już później nie wydał, uważając wydane pod cudzém imieniem za własne, a wiele też poprawek historycznych z późniejszych badań uczyniwszy, które do kroniki już weszły. Niema więc z czém porównywać i trzeba narzekaniu odartemu ze swéj pracy uwierzyć, zwłaszcza, że Stryjkowski ciągle nawet *Opis Sarmacyi*, jak swoje dzieło cytuje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(3) Militari stilo. Dedyk. do Stefana Batorego. Ed. Spirae 1581. fol.

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

Łatwo Puławski ich żądaniu dogodził, bo jego interesem pierwszym i jedynym było, mieć jak najwięcéj ludzi zbrojnych. Zyskawszy takie blankiety sancyta, uznające ich Konsyliarzami od Konfederacyi, prosto obydwa pojechali do Szmiły, gdzie przybywszy, zastali w Szmile zamek głęboką fosą otoczony i ostrokołami wysokiemi obstawiony. Gubernator tych dóbr na ten czas zwał się Pan Wąż, którego w domu nie zastali, lecz będąc uprzedzony od Świejkowskiego i jego kolegów, by nikomu nie ulegał, rządu nie oddawał i nikogo nie puszczał do zamku, żonie to wszystko polecił, która miała 50 Kozaków na obronę zamku, prochu i amunicyi dostatek; a gdy uwiadomiona była, że Komisarze jadą do niéj, od Ekonomów ze wsiów, przez które przejeżdżali, Gubernatorowa zamknęła zamek i nikogo nie puszczała. Panowie Komisarze przybyli, posłali do niéj z oświadczeniem władzy swojéj nad jéj mężem, przyłączając kopją instrumentu danego sobie przez Księcia na komisarstwo, i rozkaz Pana Wołynieckiego jako Komisarza, by zamek natychmiast otworzyła, czyniąc jéj wielkie pogróżki. Ona odpowiedziała, że mąż jéj nieuna żadnego Komisarza innego, jak tylko czterech, których Książę przeznaczył transakcyą warszawską. Po takiéj odpowiedzi przez Panią Gubernatorową zamku, widzą PP. Komisarze, że i zamku dobywać, a po dobyciu onego rząd nad dobrami siłą tylko objąć potrafią, pytają się tedy, kto komenderuje Kozakami Rodowymi; dowiadują się, że Pan Tymberski, posyłają do niego do wsi, w któréj mieszkał; ten stanąwszy u nich, każą mu ściągać Kozaków Rodowych, ściągnionym obiecując dopomódz do utrzymania się przy służbie, byle tylko attako-

Krakowiacy.

wali i dobywali zamku. Kozacy to przyjmują, a zawieszywszy, obrotniéj przystępują do attakowania zamku; tu zamknięci, bronią się dzielnie, kilka attakujących ubijają„ a wielu ranią,

tak dalece, iż Kozacy sądowi zmuszeni byli do odstąpienia. Pan Wołyniecki z Panem Bobrowskim pytają się o liczbę Kozaków leżnych, w zamku broniących się, czy mają żony i dzieci; te sprowadziwszy i uformowawszy z nich linią, Kozakom rodowym za niemi postępować kazali, i zamek attakować, sądząc, że Kozacy broniący się, widząc swe żony i dzieci, strzelać nie będą.

Kozacy rodowi powtórnie posłuszni rozkazom Komisarzów, idą za żonami i dziećmi Kozaków w zamku zamkniętych i attakują. Kozacy zamknięci, nie zważając na żony i dzieci, strzelają i zamku dobycia bronią, i własne swe żony ranią i zabijają; to widząc rodowi Kozacy i za ciężki grzech poczytując, iż zmuszają Kozaków zamkowych do zabijania własnych żon i dzieci, odstąpili od attaku, i więcéj Komisarzy słuchać nie chcieli.

Rozgniewany Wołyniecki i Bobrowski, przed kilku dniami przyrzekłszy dopomagać Kozakom, do wyznawania wiary greckiego kościoła nie połączonego z Rzymem, późniéj ich straszyć zaczęli, że Konfederacya barska przyjdzie i w pień ich wytnie, i że psy ich krew chłyptać będą za ich nieposłuszeństwo, a napisawszy ordynans Tymberskiemu na blankiecie Puławskiego, Marszałka Konfederacyi barskiéj, kazali mu iść do Baru ze wszystkimi Kozakami, w komendzie jego będącymi. Tymberski posłuszny rozkazom Marszałka Konfederacyi, zebrał Kozaków i nakoniec z nimi za pojazdem Bobrowskiego i Wołynieckiego maszerował, a przybywszy do wsi Ostréjmigiłéj, w starostwie biało-cerkiewskiém, powrócił P. Tymberski, Pułkownik PP. Konsyliarzy, że dla otyłości jemu ciężko jechać, i koń nie może wciąż dźwigać jego, bo był wzrostu dużego, aby mu pozwolili na wózku dalszy marsz odbywać, na co chętnie zezwolili PP. Komisarze.

Jak tylko Tymberski zsiadł z konia, i na wózek się przeniósł, i wózek jego ruszył za pojazdami PP. Konsyliarzów, tak starszeństwo kozackie, Stobnicy i Attamani, Asaułowie, oderwali wózek Pana Tymberskiego od pojazdów PP. Konsyliarzy i przytrzymali go, zapytując się Tymberskiego, gdzie nas prowadzisz Panie Pułkowniku. On im odpowiedział, że wiecie, że mam ordynans od Marszałka Konfederacyi barskiéj, bym do Baru z wami przybył, i tam maszerujemy. Oni mu odpowiedzieli, jeżeli chcesz Pan Pułkownik, jedź sobie do Baru, a na Kozaków krzyknęli, obróciwszy się do domu ku Smilańszczyznie: Mołodcy idą za nami!

Pan Tymberski, Pułkownik, po uczynionym odwrocie przez Kozaków, pospieszył za PP. Konsyliarzami, i wypadek im ten oznajmił. Oni przestrzeżeni, żeby Kozacy ich nie ścigali, uciekli czémprędzéj.

Pamiętać potrzeba, że Wołyniecki oddalając się ze Śmiły, groził chłopstwu i Kozakom, że przyjdzie wojsko Konfederacyi wycinać ich w pień. Nieszczęśliwe zdarzenie chciało, że w kilkanaście dni potém, prowadzono delikwentów dekretowych na śmierć przed sąd żytomierski na stracenie, in loco delicii w Śmilańszczyznie. Siedmiu na rozbojach pojmanych Hajdamaków, przez cztery chorągwie pancerne i huzarskie, Kozacy wracając do zabotyńskiego klucza, którzy niechcąc iść do Baru, porzucili Komisarzy, sądząc, że to wojsko przysłane na ich ukaranie, zaczęli uciekać za granicę rossyjską przez Dniepr pod Periosławem, gdzie ich puszczono z końmi, zostawując ich broń przy rogatkach. Do tego dodać należy, że między tymi dekretowanymi na wbicie na pal delikwentami, prowadzonymi na exekucyą przez wspomnione chorągwie, był siostrzeniec rodzony Władyki Przyosławskiego dworskiego, z klasztoru mochylańskiego Czernców, któren był Wataszką zebranéj kupy Hajdamaków, a w domach szlacheckich wielkie popełniał okrucieństwa i rabunki.

Humenny ten Przysławski Jezworski miał właśnie pod ten czas u siebie kilkunastu Kozaków zaporowskich, którzy na nabożeństwo i pokutę do niego przybyli, przez zemstę na Polaków, za siostrzeńca swego na pal wbitego, namawia Zelaźniaka i jego kompanią, żeby oni wojnę religijną w Polsce zaczęli, ponieważ Polacy zrobili Konfederacyą w Barze przeciwko ich wierze, i na wielkim arkuszu pergaminu napisał ukaz do tego stósowny imieniem Imperatorowéj, zmyśliwszy jéj podpis i pieczęcie na laku czerwonym rublem wycisnął, pisząc tytuły Imperatorowéj złotemi literami.

Zelaźniak wymawiał mu się, że z kilkunastu ludźmi tę czynność przedsiębrać nie może. On mu odpowiedział: oto jest blisko tysiąc Kozaków zbiegłych, którzy przy rogatkach zostają, i którzy uciekli przed wojskiem Konfederacyi, bo ich chciano w pień wyciąć; z tymi Kozakami umówiwszy się wejść do Polski, Lachów i Żydów rznij w Czambuł, a tym sposobem znajdziesz wszystkich chłopów i Kozaków garniących się do ciebie, i wzmocnisz się i za wiarę błacho-czynną wojnę prowadzić będziesz.

Usłuchawszy Zelaźniak téj rady dworskiego Humennego, poszedł do wskazanych Kozaków, pokazawszy im patent niby od Imperatorowéj, i przeszedłszy Dniepr w granicę polską, zaczął rznąć Żydów i Lachów, i im daléj posuwał, coraz więcéj się do niego chłopów i Kozaków wiązało, wszędzie rznęli, rabowali, gdzie zastali Żydów i Lachów, tak dalece, że przyszedłszy do Lisianki, kilka tysięcy zgrai zbuntowanego chłopstwa już było.

To się działo w Śmilańszczyznie; zobaczymy teraz, co się robiło w Humańszczyźnie.

P. Wojewoda kijowski, dziedzic Humańszczyzny, Potocki, miał Rządcą generalnym w włości humańskiéj Pana Mładanowicza, Kassyerem Pa-

na Rogaszewskiego. Pułkownikami Kozaków był piérwszy P. Obuch, drugi P. Laszcz, trzeci P. Magnuszewski, Komendantem piechoty, i kilka sztuk armat. Miasto Humań, głębokim wałem opasane i wysokiemi ostrokołami otoczone jeszcze przez Pana Ortyńskiego było, któren ustawną wiódł wojnę z zaporozkimi Kozakami, którzy się w stepy humańskie udali i napadali miasteczko Humań dla zrabowania kupców.

Pan Wojewoda kijowski dawał przystęp wielki Żydom tarłakowskim i bracławskim i wierzył ich powieściom i skargom tak dalece, że któren Komisarz lub Kassyer miał przeciwko sobie Żydów, na swéj funkcyi się nie utrzymał; do tego Pan Mładanowicz żył w poróżnieniu się z Panem Rogaszewskim; wysłali tedy nawzajem Emisarzów do Krystyanopolu, skarżąc jeden na drugiego przed Wojewodą kijowskim o nadużycia. Wojewoda kijowski chcąc wiedzieć prawdę, zobligował W. Ciesielskiego, Miecznika bełzkiego, któren mu possessye puszczał pod Krystyanopolem, człowieka postaci i figury tak wielkiéj i okazałéj, jak sam był Wojewoda, ale rozumu małego, rezolucyi żadnéj, bez odwagi, i zesłał go z mocą nieograniczoną do roztrząśnienia wszystkich nadużyć, i zdecydowania, aby intraty jego w całości zostawały.

Przybywszy Pan Ciesielski w Humańszczyznę, gdy opowiadał doniesienia wszystkie, które miał Wojewoda kijowski przeciw Mładanowiczowi i Rogaszewskiemu, że te oskarzenia przesadzone były, nad ich zlecenia, które Żydom dawali do doniesienia Wojewodzie kijowskiemu, nie sądzili, aby te oskarzenia wypadały jeden nad drugiego, aby je czynił, ale sądzili, że Gonta Sotnik, którego lubił Woj. kijowski i ten w Krystyanopolu bywał, że on ich tak mocno oskarzał. Miał ten Sotnik nadane od Woj. kijowskiego trzy uroczyska na osadzenie słobód, jakoż marne wsie na nich posadzał, pod ten czas do 20,000 złtp. dochodu czyniąc. Otóż Pan Mładanowicz z Rogaszewskim, przez zemstę za mniemane doniesienia, które sami robili przez Żydów Woj. kijowskiemu, chcąc upokorzyć Sotnika Gontę, radził powiększenia intraty, a jako chłopów poddanemu Kozakowi naznaczyć 100 złtp. za sotnikostwo, co i Ciesielski dopełnił.

W tym czasie rekwirowała Konfederacya barska od rządu wołyńskiego, humańskiego, i z innych dóbr, by odesłano do Baru do Konfederacyi wszystkę milicyą i Kozaków Woj. kijowsk., o czém gdy donosił P. Ciesielski Wojewodzie kijowskiemu, Wojewoda przysłał ordynans Pułkownikom swoim, żeby zebrali Kozaków wszystkich, i na stepie stanęli nad rzeką Sieniuchą, graniczącą z Rossyą od jego dóbr, co do Generała i Gubernatora kijowskiego Wojcykowa pisał, z którym miał przyjaźń, prosząc, żeby Kozaków jego puścić kazał do kraju rossyjskiego, w przypadku, gdyby Pułkownicy ich żądali schronienia się u rogatek. Wojcyków, Gubernator kijowski, odpisał Wojewodzie kijowskiemu, że stósownie do żądania jego wydał rozkaz Oficerom i Oficyalistom, aby Kozacy i ich Oficerowie puszczeni byli przy rogatkach, zostawiwszy broń.

A do Puławskiego, Marszałka Konfederacyi barskiéj i do Podczaszego litewskiego, generalnego Regimentarza napisał list, że zamiast Kozaków, którzy z Moskalami szczerze się nie bili, kazał ze Szlachty uformować milicyą konną i pieszą, i oddać z trzymiesięczną płacą i prowiantem do Baru, a Panu Ciesielskiemu polecił dopełnienie tego. Kozacy wyprowadzeni na step na Sieniuchę przez Pułkowników, zostawieni byli sobie pod komendą Sotników: Duska, Gonty i Jazemy.

Pan Ciesielski, Mładanowicz i Rogoszewski radząc się, zdecydowali, aby oszczędzając kassę Woj. kijow., by na oporządzenie milicyi, którą do Konfederacyi barskiéj nakazał, w mundury, broń, amunicyą, płacę trzymiesięczną i prowiant, z samych gospodarzy kozackich pobór ten uczynić, któren aż nadto uciążliwie i srogo natychmiast exekwowali.

Tu wiedzieć potrzeba, że jednego Kozaka rodowego, opatrzonego w broń, umundurowanego porządnie, na dobrym koniu, wystawiało trzech gospodarzy najmajętniejszych, i dawali synów swoich albo najmitów, doświadczonych o odwadze, a w potrzebie wszyscy iść musieli ojcowie, synowie, gospodarze, i najniżsi wszyscy; tą exekucyą i ostro exekwowaną rozjątrzyli najmajętniejszych poddanych na wszystkich dobrach Woj. kijowskiego, nie zastanawiając się nad tém, co Żelaźniak w sąsiedztwie o granicę robi.

Żydzi patrząc na postępowania niesłuszne z Kozakami i z Sotnikiem Gontą przez PP. Ciesielskiego, Mładanowicza i Rogoszewskiego, wnosili sobie naturalnie, że to zły musi wziąść skutek, jak się Żelaźniak zbliży z buntowném chłopstwem i Kozakami, poszli do Pana Ciesielskiego, mówiąc mu, że zapewne Gonta ma porozumienie z Żelaźniakiem osobliwie w ten czas, gdy Insko, pierwszy Sotnik, na stepie umarł, mający więcéj kredytu między Kozakami, i rozeszła się była wieść, że gdy Gonta żyjącemu proponował łączenie się z Żelaźniakiem, odmówił mu, i powiedział: bo siedm niedziel byłoby waszego panowania, a siedm lat będą was wieszać i ćwiartować.

Pan Ciesielski napełniony obawą przez Żydów, posłał ordynans Goncie, jako najstarszemu Sotnikowi, by się stawił w Humaniu u niego; ten przyjechał we trzy konie, przybyłego kazał okuć w kajdany, a nazajutrz wyprowadzić na plac pod szubienicę, aby go powiesić. Pani Pułkownikowa Obuchowa, zaczęła bardzo prosić na placu Pana Ciesielskiego, by Gon-

tę życiem darował, i zaręczała za wierność Gonty najmocniéj. Pan Ciesielski zmiękczony prośbami Pułkownikowéj Obuchowéj, zapewniwszy się jéj zaręczeniem, uwolnił go z kajdan, darował go życiem, i pozwolił pojechać mu na step do Kozaków, objąć nad nimi komendę. Tymczasem Żelaźniak coraz bliżéj do granicy humańskiéj posuwał się; już w Lesiance wyrznęli dom Komisarza Księcia Jabłonowskiego, tudzież Żydów, Polaków wszystkich, a tu w Humaniu kupcy ładują bryki suknami i bławatnemi materyami, składki pieniężne robią i wiozą na step, w prezencie dla Gonty i Kozaków, oddając się ich opiece i obronie. Gonta im powiada: wyróbcie ordynans od Pana Ciesielskiego, bym poszedł przeciwko Żelaźniakowi; nakoniec gdy żądanie Gonty Żydzi oświadczyli Ciesielskiemu, posłał ordynans Pułkownikom, by poszli do swych pułków, i z niemi wyruszyli przeciw Żelaźniakowi. Pułkownicy, objąwszy każdy swój pułk Kozaków, ruszyli pod Humań, maszerując ku Lisiance, a zbliżywszy się do Uhorskiego Tykicza, dowiedzieli się, że Żelaźniak już ciągnie ku wsi Paguzynie, nad rzeką Uhorskiem Tykiczem. Ostatniéj tedy nocy nocowali Pułkownicy z humańskiemi Kozakami o półtoréj mili od Żelaźniaka. Pułkownik Magnuszewski powiadał mi, że rozstawił był pikiety i placówki tego wieczora, ale w nocy rewidując one, nigdzie ich nie zastał, i że Kozacy powiadali mu, że Gonta, Sotnik, z placówek i pikietów kazał zjechać Kozakom na kwatery. To widząc, pojechał Magnuszewski do kwatery Obucha, jako starszego Pułkownika, z którym Gonta w jednéj izbie nocował. Opowiedziawszy Obuchowi o téj zdradzie Gonty, chciał do śpiącego strzelić, lecz Pułkownik Obuch niedozwolił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№ 127.

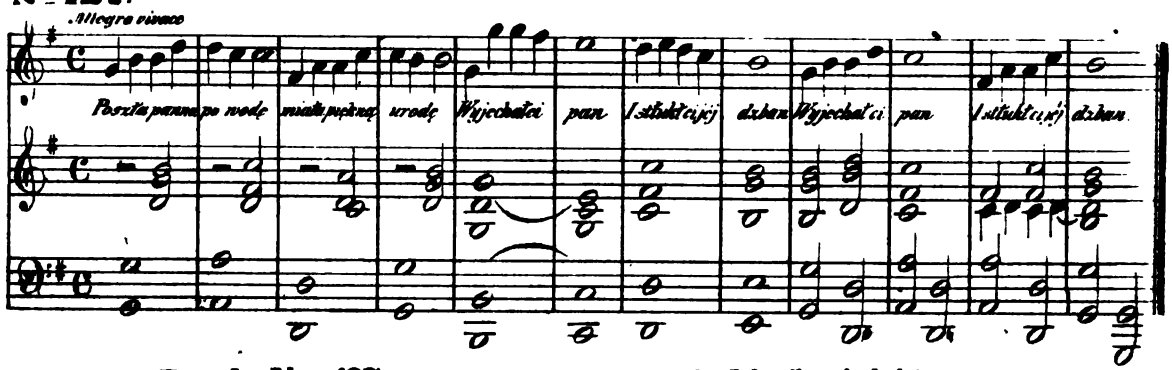

Text do Nru. 127.

1. Poszła panna po wodę,
   Miała piękną urodę,
   Wyjechał ci pan
   I stłukł ci jéj dzban.
2. Moja panno nie płaczże,
   Ja ci ten dzban zapłacę;
   Talara ci dam
   Za zielony dzban.
3. I talara niechciała,
   Tylko dzbana płakała;
   „Mój zielony dzban,
   Co mi go stłukł pan!“
4. „Moja panno nie płaczże,
   Ja tobie dzban zapłacę;
   Konika ci dam
   Za zielony dzban.“
5. I konika niechciała,
   Tylko dzbana płakała;
   „Mój zielony dzban,
   Co mi go stłukł pan.“
6. „Moja panno nie płaczże,
   Ja tobie dzban zapłacę;
   Sam ci się oddam
   Za zielony dzban.“
7. „Chwała Tobie z wysokości,
   Żem dostała jegomości;
   Za zielony dzban
   Dostał mi się pan.“

(*Wojcicki*, P. I. T. I., str. 41.)

Cena półroczna tego czasopisma wynosi 1½ talara, czyli 9 zł. pol., za którą przez wszystkie królewskie urzędy pocztowe, jako też wszystkie księgarnie nabyć go można. *Ernest Günther*, wydawca.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 3. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 17. Stycznia 1846.

Stanisław Trepka. — Dalszy ciąg Stryjkowskiego i jego kroniki. — O kamieniach ostrowskich. — Kamień świętéj Jadwigi w Pępowie. — Dalszy ciąg klechdów ludu polskiego w Szląsku. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Stanisław Trepka.

Stanisław Trepka.

W roku 1843. wydał w Paryżu Antoni Oleszczyński dzieło, mające na celu zachować w pamięci ludu świetne czyny naszego narodu, p. t.: *Wspomnienia, część I., o Polakach co słynęli w obcych i odległych krajach.* Jest to piękny zbiór opisów i wizerunków, który na to zasługuje, aby go każda familia posiadała. Bo jeżeli śpiewy historyczne przemówiły do serc naszych, praca Oleszczyńskiego dopnie zapewne tegoż celu, zwłaszcza, że ryciny są bez porównania piękniejsze i liczniejsze. Rodzice majętniejsi nie mogą dać dzieciom lepszéj książki do ręki; będzie ona zaprzątała ich rozum i serce, zajmując oraz ich wyobraźnią, słowem, będzie dla nich nauką i zabawą. O dziele swojém wyraża się autor nader skromnie w ten sposób: „Nim przystąpię do rzeczy, winienem ostrzedz, że w tych poszukiwaniach żadnéj nie miałem pretensyi bibliograficznéj lub naukowéj. „Są to raczéj odrobiny uronione ze stołów literackich, ja zaś tą razą byłem tylko jak ów alchemista, co szukając złota, przypadkiem trafił na fosfor. Robiąc bowiem od lat wielu poszukiwania do sztuk i pomników się odnoszące, często napotykałem szczegóły, lubo obce mojemu przedmiotowi, lecz nieobojętne moim uczuciom; te niekiedy mimo méj usilności, czepiały się pamięci mojéj; dzisiaj, jeżeli z płodem tak chromym wystąpić się ośmielam, to jedynie w tém przekonaniu, że jest właściwą w naszém położeniu rzeczą rozpamiętywać, choćby to nawet w sposób mniéj udolny, świetne chwile naszéj przeszłości... gdyż tém jedynie wznawiamy i obudzamy w strapionych sercach naszych, przykład, pociechę, nadzieję i wytrwałość. Wam to mianowiciéj, cnotliwym, pracowitym a najnieszczęśliwszym z ziomków... Polacy! rozproszeni nad brzegami Atlantyku!... pismo niniejsze poświęca — Antoni Oleszczyński.“ Z tego zbioru wyjęliśmy wizerunek wystawiający Trepkę. Wiadomą jest historya Michała Glińskiego, który w skutek dumy obrażonéj przeszedł na stronę Cara moskiewskiego. Jednakże uczuł wkrótce szkaradność swego czynu i dla tego pragnął pojednać się z swym Królem. O czém gdy się Zygmunt I. dowiedział, wyprawił do Glińskiego Stanisława Trepkę, aby mu doniósł, iż gotów przypuścić go do swéj łaski. Lecz nieprzyjaciele Glińskiego, baczni na wszystkie jego kroki, gdy ujrzeli rycerza polskiego tajemnie z Kniaziem rozmawiającego, domyśliwszy się o co rzecz idzie, donieśli o tém Moskalom, którzy Trepkę zatrzymali. Aby się o tajemnicy dowiedzieć, postawili go na węglach rozpalonych; lecz mimo największych boleści nic nie wydał, przekładając śmierć wśród najsroższych mąk nad ocalenie dla dobra kraju. Podobny przykład poświęcenia przytacza autor o żołnierzu Ig. Brzozowskim, rodem z Wasilkowa, wsi w bliskości Tarnopola. Służąc pod Kniaziewiczem, w legionach, podjął się przewieźć oddziałowi polskiemu, rozłożonemu pod Terraczyną, rozkaz: zkąd, kiedy i jak miał uderzyć na nieprzyjaciela; lecz na nieszczęście od geryllasów został schwytany. Ci przywiązawszy go do drzewa, chcieli go rózgami i obelgami zmusić do wydania celu podróży, a gdy to nie pomogło, rozpalili pod nim ogień, aby go w ten sposób zniewolić. Lecz nic dzielnego wiarusa nie ustraszyło, a Bóg zlitował się nad nim i zesłał na ocalenie jego oddział wojska właśnie w téj chwili, gdy się w największém niebezpieczeństwie znajdował.

Stryjkowski i jego kronika.

(Ciąg dalszy.)

Długo się nad tém zastanawiając i szukając w słowach Stryjkowskiego śladów téj sprawy, i dochodzić się zdajem, że cudzoziemiec Gvagnin bieglejszy w łacinie od niego, na historyi północnéj nie bardzo świadom (bo się jéj tak prędko na Witebsku wyuczyć nie mógł), materyały Stryjkowskiemu porwał, ufając może, iż się o nie nigdy nie dopomni; po swojemu ją ułożył, uporządkował i wydał naprzód u Macieja Wirzbięty w Krakowie 1578 roku. Nie mniéj jednak, choć je może po swojemu przerobił, nie byłby w stanie dzieła napisać, gdyby Stryjkowskiego raptularzy nie pochwycił. Dla tych zaś co nierozważnie wyrokują spojrzawszy tylko na *opis Sarmacyi* i kronikę, że Gvagnin nic nie skradł, powtarzamy, że kronika dziełem jest późniejszém, odrębném, i że nie o téj kradzież, lecz o pierwszy *Opis* wołał pomsty i sprawiedliwości nasz autor. Rzecz to może nie wielkiéj wagi, lecz wydając wyrok o dobréj sławie zmarłych a zasłużonych ludzi, warto się dobrze zastanowić i wprzód sprawę ściśle roztrząsnąć.

Jedna tylko część opisu Sarmacyi da się jakkolwiek porównać z kroniką, ta jest o Litwie i wywodzie Xiążąt litewskich.

Tu jakkolwiek są drobne różnice, które obrabiając materyały poczynił Gvagnin, ogół téj części tyle jest podobny do wywodu Xiążąt u Stryjkowskiego, że niepodobna przyznać jéj Gvagninowi i niewidzieć bijącéj w oczy kradzieży. Chcąc zaś być zupełnie sprawiedliwym, nie trzeba téj nawet części *Sarmacyi* porównywać z kroniką, ale raczéj z podobnym wywodem w *Gońcu cnoty*. Tu nie tylko fakta po większéj części są też same, jakie Stryjkowski z kroniki Dymitra Mnicha wyciągnął, lecz nawet interpretacya ich ducha taż sama, uwagi nad niemi nic a nic nie różne, zda się tylko przetłumaczone z *Gońca*. Gvagnin tylko wstrzemięźliwszy w wywodach i domysłach; lecz ani mniéj, ani więcéj od Stryjkowskiego nie wié, ty-

le tylko co on. Gvagnin tak jak on, cytuje kroniki ruskie, lecz unikając zbytecznego do źródeł pierwotnych uciekania się, daje do zrozumienia, że je zna z drugiéj ręki, to jest z raptularzy pochwyconych w Witebsku.

Czasem ledwie przebąkuje o ruskich kronikach i znów do ogólników powraca.

Porównamy niżéj genealogie jego ze Stryjkowskiego, tu tylko czynim uwagę, że odmiana, jaką zrobił, czyniąc *wnukami* trzech Stryjkowskiego *synów* Palemonowych i t. p., od mniéj śmiałego i ostrożniejszego z historyą obchodzenia się, powstały. Niepodobna zaś, aby tak ściśle toż samo i tym samym duchem Gvagnin napisał bez pomocy raptularzy Stryjkowskiego, i pozostaje dla nas niezawodnem, że go skradł. Cała historya Litwy, jeżli nie więcéj, żywcem jest wydarta naszemu autorowi.

W innych częściach *opisu*, gdzie Gvagnin naocznie widział coś, mógł dodać z siebie: wiemy bowiem, że od dzieciństwa w kraju polskim zostawał i że ojciec jego jeszcze (Ed. Spirae, 1581. fol. 59. verso) Ambroży Gvagnin, także służył na Witebsku jako syn, dowodząc pół tysiąca ludzi; że Alexander dziesięć lat tam mieszkał. Mógł więc niejaką ogólną kraju powziąść znajomość, lecz niezawodnie bez kradzieży wypisów Stryjkowskiego nie byłby nic zrobił. Nadewszystko tu chodzi o część, wywód Xiążąt litewskich zawiérającą, do któréj na tytule rozdziału dodał Gvagnin: *Deductio et origo celeberrimae gentis Litvanorum probabilis hactenus a nemine historicorum Latinorum explanata.* O to także pierwszeństwo chodziło mocno Stryjkowskiemu, który wprzód nim Gvagnin wydał swój *opis*, już takiż wywód w *Gońcu cnoty*, acz nie po *łacinie* prawda, wydrukował.

Układ dzieła, styl, obrobienie, musi być zapewne wiele Gvagninowi winno; sam Stryjkowski acz niechętnie zdaje się to przyznawać i czuć, gdy narzeka, że dzieła *natchnione* powtórzyć się nie dają, że nie jest w mocy pisarza równie zawsze być doskonałym; jakby dawał do zrozumienia, iżby nic z niższości jego kroniki w sprawie ukradzionego *opisu Sarmacyi* nie wznoszono. Oto są słowa własne:

„A jest to przyrodzona u ludzi tych, którzy co z mózgu czynią, iż gdy jaką rzecz pierwszy raz z szczęśliwéj fantazyi, jako Jovis Minervam urodzą, a potém im, jak się to często mnie trafiało, zginie, już trudno w taką drugą fantazyą potrafić usiłują.“

To równie Stryjkowski stósował do zginionych rękopismów w Choroszczy przy Alexandrze Chodkiewiczu, jak i do kradzieży Gvagninowéj i kroniki swojéj.

Po części zrażony kradzieżą nasz autor, rzucił przedsięwzięte tłumaczenie na polskie Długosza, które mu zapewne pierwszą myśl kroniki podało i posłużyło do niéj niezmiernie, jak to niżéj okażem, a jął się rysowania mapp i planów.

W r. 1574. po ucieczce Henryka Walezego, puścił się w podróż do Turcyi z Andrzejem Tarnowskim Beliną, nieustannie posłującym od Polski na wschód; jedynie powodowany niepohamowaną szlachetną ciekawością i żądzą nauki, którą sobie z poznania obcych krajów obiecywał.

Przedsięwziął téj podróży dziennik szczegółowy, zdejmował w niéj plany Konstantynopola i Adryanopola mianowicie; z niektórych zaś pozostałych notat, wydał zaraz w następnym roku (1575.) xiążkę o Turcyi: *O wolności polskiéj i wielkiego Xięst. litewskiego, a srogiém zniewoleniu wiernych pod jarzmem tureckiém y o rokoszu Cesarza Amurata, 4to. Krak.* Daty przekonywają, że już ciągle od r. 1574. nie porzucał myśli napisania kroniki, którą w dziewięć lat po opisie Sarmacyi wygotował do druku, ukończywszy awanturnicze podróże swoje.

W tych podróżach, przedsiębranych po większéj części bez przyzwoitych ku temu pomocniczych środków, dorywczym sposobem dokonywanych, spuszczając się na los i szczęście, gdzie wiatry zaniosą; zwiedził Stryjkowski różnemi czasy niemal całą Europę i część Azyi, a mianowicie pilniéj i po kilkakroć Ruś, Inflanty, Kurlandyą, Finlandyą (Finnland), aż do Szwecyi, Oezel, odnogę Kurońską, całe wybrzeże Baltyckie, Turcyą, Moreę, Bulgaryą, Serbyą, Tracyą, Multany, Wołoszczyznę, Bessarabią, brzegi Dunaju, Balchany, Hellespont, Adryanopol, Konstantynopol, Galatę i t. d. Spomina także, iż opłynął Europę tą drogą, którą mniemał być bajecznego Palemona do Litwy. Tysiąc wszędzie spotkało go przygód (może przesadzonych w opisaniu), któremi się chwalić lubi, i jak zasługi wynosi szczęśliwe ich przebycie. Raz (1575., 1576.) pojmany od Rusi nad Dźwiną za Ułą, drugi raz na Czasnyckich polach, trzeci raz nie daleko Suszy, zawsze się umiał wywinąć z niewoli. W Turcyi płynąc batem z Galaty do Konstantynopola, zrozumiawszy, iż go tureccy przewoźnicy chcą na czyste morze ku Skutari wywieść, a domyśliwszy się, że go tam w niewolą sprzedać mogą, porwał wiosło, jedyną broń, i dwóm się im opierając niém, zmusił ich, że go na brzeg pod szubienicę Wiśniowieckiego wysadzili. Dostawszy się raz w niewolę turecką, naiwnie się pocieszał, że tym sposobem uda mu się może więcéj kraju zobaczyć i więcéj się nauczyć, układając sobie wcześnie rysowaniem obrazków, (!) w którém miał niejaką wprawę, życie utrzymywać w Turcyi, prócz tego jeszcze o mało dwa razy w niewolę się nie dostał. Toż samo pisze i w Moskwie, że go już na galery sprzedać miano. Trzy razy walczył z morowém powietrzem, w Bałchanach błądził i ledwie się jakoś do swoich

dobił, w Prusiech potém w jednéj z historycznych swoich wędrówek od zbójców napadnięty, zbity i w pół martwy porzucony, jeszcze i ten raz nie dał się śmierci.

Ale tak gęste w życiu burzliwém wypadki, zaczęły go uważniejszym czynić, począł się nad sobą zastanawiać i pełen samolubstwa a wiary odgadnął, że Bóg nie byłby go tyle razy ochronił od zguby, gdyby go na wielkie rzeczy nie gotował, na świetny los jakiś i ważne czyny.

Wybierając zatém, coby to było za wielkie jego przeznaczenie, wymyślił sobie, iż powołaniem jego zapewne jest pisać historyą i z ciemności na jaw litewskie dzieje wyprowadzić, tém się wsławić i zasłużyć. Tu zasiadł do pracy, która mu już kilka lat po głowie chodziła, a nad którą potém jeszcze pracując, ośm lat całkowitych wykończeniu jéj poświęcił. Ale kończył je już w mniszéj sukni, Kanonikiem żmudzkim, po większéj części na chlebie Panów litewskich, z spokojniejszym nieco, lecz za to śmielszym umysłem, z wysokiém zaufaniem w siły i zdolności swoje.

Biskup żmudzki wezwawszy go, kanonią mu dał i Archidyakonem uczynił, jako ma Starowolski, (*) tu pracę swą powolnie dokończał.

Ale do jakiéjże wziął się pracy! Spytaj go, ile on xiąg przewartował, ile stósował (porównywał, godził) kronik, ile się namęczył, ile natrudził nieborak. Ośm lat nad swą historyą pracował; „żem snać będąc człowiekiem wolnym one Żydy w pilności przewyższył, nad których szyjami w Egipcie przy robocie cegły z biczami i kijami przystawowie ustawicznie stojąc trzymali.“ Pozbierał sobie chłopców na przepisywaczy; (ile to z tego musiało urosnąć omyłek, pojąć łatwo; sam Stryjkowski pisząc o Miechowicie, omyłki jego takimże żakom kopistom przyznaje), stósował po kilkadziesiąt exemplarzy rękopismów kronik ruskich, mozkiewskich, litewskich, łacińskich, greckich, szwedzkich, duńskich, polskich, pruskich, liflantskich i t. d. Rozumiem, że w tém wyliczaniu, wziętém z jego własnych wyznań, jest właściwa jemu wszędzie szumna amplifikacya, a patrząc na jego łatwowierność, przeczuwam, że nie tyle tam było oddzielnych kronik, ile mu się ich w zakłóconéj swoją wielkością głowie dwoiło. Zaraz o tém szérzéj powiemy.

Jakkolwiek bądź, pisze, iż tak pracował, że samych jego raptularzy nie zabrałby na wielki furmański wóz. A ileż to razy papiery gubił, z przeszkodami materyalnemi walczył, po dworach pańskich protekcyi i pomocy szukając dla siebie i dzieła swego; od pana Chodkiewicza do XX. Olelkowiczów i t. p. jeździł. Ileżto osób usiłował kroniką swoją zainteresować, tylu ją przypisując, a zawsze jednak głośno się zarzekając, że nikomu nie pochlebił za datek, dla nikogo za pieniądze nie pisał. Tak się to urodziła w znoju, pocie i wędrówkach, sławna owa, *która nigdy przedtém światła nie widziała*, kronika! nieforemny zlepek tysiąca kawałków tłumaczeń, skróceń, amplifikacyi, wierszy, domysłów postronnych i niepotrzebnych wiadomości. Autor umyślnie z nią pojechał do Królewca i pilnował jéj druku.

Trudno ją dzisiaj przeczytać, użyć, ocenić; jak szary z białym mak w gadce gminnéj, tak w niéj prawda z bajkami pomieszana, potrzebne z niepotrzebném. Mała to rzecz, że wszystkie ważniejsze bitwy i poetyczniejsza dziejów część szumnym wierszem odlana; zdarzają się w wiekach średnich całe nawet wierszowane kroniki, współczesnéj mu jednak wierszem zdaje się znaleść trudno. Historyą bowiem wkrótce, rzeczą tak ważną a niemal matematycznie ścisłą nauką pojęto, że się jéj tknąć z fałszującym częstokroć poetycznym zapałem, uczucie zamiłowania prawdy wzbraniało. Mniejsza o wiersze wreście, ależ i proza Stryjkowskiego w takim nieładzie; materyały tak niewytrawione, niepojęte, taki brak zupełny porządku i jedności, że trudno pojąć, jak sam autor mógł siebie nawet zadowolnić taką łataniną. Słuchając jak czci Kompilatora Długoszowego Miechowitę, myślałbyś, że sam stworzy najporządniejsze dzieło; pisze bowiem (Xię. VI. R. VI.)

„U Miechowiusa każdéj rzeczy jak w labiryncie szukać, gdyż wszystko *confuse* napisał, a jednę rzecz w czworgu i pięciorgu *Capitulum* położył, dzieląc ją co mógł w jednym jak przystoi odprawić, także *seriem et ordinem temporum et actionum* konfundował.“ To co napisał o Miechowicie, tak się do niego samego da zastósować, że ani słowa nie ma do wyrzucenia, a możeby jeszcze coś dodać wypadło; bo w Miechowicie, zbieranina nie jest ani w części tak widoczną, jak u Stryjkowskiego. Stryjkowski nie godzi wiadomości, kompilując je, w jednę całość nie zlewa, zaledwie umie ruskich latopisców podania, nierozważnie je mieszając, w jednę bryłę zbijać; waryanty ledwie tysiączny raz przytacza wyraźnie, resztę ze znajomych kronikarzy, mianowicie polskich in crudo, bez zastósowania, wyciągami (a często jeszcze nie w miejscu) kładnie. Düsburga rzadko używając w ciągu kroniki, urywkowo go tylko tłumaczy, treść jego nie pod stósownemi laty, lecz w jednym ciągu osobnym przyszywając do xiążki (Xię. VII. między Ryngoldem a Mindowe).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(*) Latinis et graecis literis imbutus, haud vulgarem, nominis famam in Schol. Academ. Cracov. promeruit. Lipsiae etiam studuit, germaniam peragravit. Italis viris doctissimis fama doctrinae innotuit, plurimisque in Gallia. In exteris notus, domi quoque; a viris illustribus amatus, ab Episcopo Samogitiae vocatus, Canonica dignitate et Archidiaconi officio ornatus: ab Augusto autem Rege sanctioribus reconditarum rerum notis praefectus in eodem studio aetatem consumpsit.

Kijacy z Podgórza.

O kamieniach ostrowskich.

(*Legenda.*)

Przed laty, kiedy w Gostyniu dzisiajszy kościoł farny zaczęto budować, znalazł się onego czasu pewien świętobliwy dziadek, co chcąc przyczynić się do wzniesienia domu Bożego, a

żadnych bogactw nie mając po temu, w pokorze serca, poślubił sobie na fundamenta owéj świątyni kwestować i znosić z całéj okolicy kamienie. Ale skoro pierwsze takie brzemię dźwignął, i dla ulżenia sobie jego zbytniego ciężaru, wyjąć musiał z torby kilka kamieni, by je zostawić na drodze, ujrzał zdziwiony, że one cudowną mocą poruszone, same po ziemi toczyły się za nim. Przejęty więc świętą otuchą, szedł daléj a daléj, od wioski do wioski; i pobożni ludzie widząc coraz większe gromady kamieni, idące za nim, niby trzody owiec za swoim pasterzem, przyjmowali go wszędzie jakoby świętego i użyczali w daninie wszystkich kamieni z pól swoich. Aż dziadek zaszedł nad łąki i strugi obrzańskie do leżącéj na górze wioski Ostrowa, gdzie naówczas mieszkał jakiś wielce nieużyty i bezbożny dziedzic. Ten świętobliwego dziadka srodze ofuknąwszy, i z jego cudownéj kwesty natrząsając się jeszcze, kiedy go precz ze swych granic wypędza i nie pozwala zabrać ani małego kamyczka, doznaje wnet ciężkiéj i zasłużonéj za to kary niebios. Albowiem owo wielkie mnóstwo wędrujących za dziadkiem kamieni, z dopuszczenia Bożego, odstąpiwszy naraz swego przewodnika, rozkulnęły się po niwach téj wioski, i zaległy na nich; a dziadek nową otuchą natchniony, szedł znowu daléj a daléj po kweście, i jeszcze ich więcéj zebrał w okolicy i na budowę kościoła do miasteczka przyprowadził; od którego téż czasu stanęła Fara gostyńska i do dziś dnia jeszcze we wszystkich okolicznych wioskach nie widać tyle kamieni, ile ich jest dotąd na owéj jednéj górze ostrowskiéj.

Kamień świętéj Jadwigi w Pępowie.

O kościele pępowskim, którego rysunek i krótki opis zamieszczono w pierwszym roczniku Przyjaciela ludu, dodajemy przechowujące się dotąd między tamecznym ludem podanie.

Za owych czasów, kiedy jeszcze téj wsi, ani kościoła nie było, tylko dzikie puszcze na tych miejscach rosły, wybrała się, żyjąca w ów czas w Trzebnicy, święta Jadwiga w pieszą pielgrzymkę do grobu świętego Wojciecha w Gnieźnie; zaszedłszy w te puszcze, znużona spoczęła na wzgórku przy rzeczce i upatrywała miejsca, kędyby przejść mogła przez wodę. A zobaczywszy leżący w strumyku kamień, wstąpiła nań i szczęśliwie dostała się na drugą stronę. Pastuszkowie leśni, którzy się przypatrywali przechodzącéj przez strumień pielgrzymce, spostrzegli wnet po jéj odejściu, wyciśnioną na owym kamieniu stopę, o czem gdy wieść roznieśli, zewsząd zbiegali się ludzie na oglądanie cudu; aż z czasem i wioska zaczęła się budować nad tym strumykiem, który się teraz Dobrocznią nazywa i dotychczas przy Pępowie płynie, a późniéj postawiono i kościoł pod imieniem świętéj Jadwigi, na owym wzgórku, gdzie niegdyś pokorna Księżna wypoczywała. Podobno jeszcze i ów kamień z wyciśniętą jéj stopą leży dotąd na smugu przy téj saméj rzeczce.

Klechdy ludu polskiego w Szląsku. (1)

(Ciąg dalszy.)

V.

O dwóch dzieciątkach na wodę puszczonych.

Za dawnych czasów mieszkały w ubogiéj chałupie trzy młode i urodziwe siostry, które jednego wieczora tak sobie gwarzyły:

Starsza mówiła: Jabym sobie tylko piekarza za męża życzyła, bo bardzo ciepłe podpłomyki (2) lubię.

Średnia rzekła: A ja kucharza, bo rada smaczne poleweczki jadam.

Najmłodsza odezwała się wreszcie: Jabym tylko samego naszego Królewicza pragnęła, bo miałam takie widzenie, że gdybym mu syna powiła, to po każdém jego skąpaniu, zamiast wody, musiałoby się samo złoto wylewać; a gdybym mu córkę porodziła, toby na jéj licach przy każdym uśmiechu prawe róże zakwitały, a przy każdym jéj płaczu, nie łzy, ale prawe perły jak groch z jéj oczu musiałyby padać.

Królewicz, który miał w zwyczaju, często wieczorem do ubogich chatek zaglądać i podsłuchiwać, na co się skarżą, a czego pragną jego poddani, stał był właśnie tego wieczora pod okienkiem téj chatki, kiedy owe trzy siostry taką rozmowę między sobą wiodły; nazajutrz więc kazał je do siebie przywołać i zapytał najstarszéj: Powiedz mi, czegoś ty sobie wczoraj życzyła? Ona rzekła: Życzyłam sobie za męża piekarza z królewskiego zamku; a Królewicz jéj odpowiedział, że zadosyć się stanie jéj życzeniu. Kazał i drugiéj siostrze wyznać, czego pragnęła, a skoro ta powiedziała, że chciałaby za męża królewskiego kuchmistrza, przyzwolił i na to Królewicz. Potém zapytał najmłodszéj; ta bała się powiedzieć i długo się ociągała, aż ośmielona łaskawością i usilną namową Królewicza, uklękła i szczerze wyznała swoje życzenie, a Królewicz podniósł ją i rzekł: więc będziesz mnie miała!

I odprawiły się trzy uroczyste wesela. Ale siostry starsze zazdrościły młodéj Królewiczowéj szczęścia, którego tak niespodzianie dostąpiła i potajemnie spiknęły się na jéj zgubę.

Zdarzyło się potém, że kiedy Królewicz w dalekie strony był wyjechał, Królewiczowa podczas niebytności jego porodziła syna. Siostry odebrały dziecię i puściły je w pudełku na wodę, która pod zamkowemi oknami płynęła, a matce podłożywszy szczenię, dały Kró-

(1) Ob. Przyj ludu R. X. str. 247. R. XI. str. 228.

(2) Podpłomyk, podpłomienny, podpopielny chleb, czyli placek, który się pod żarem, albo u samego płomienia piecze. Ob. *Słown. Lindego.*

lewiczowi wiadomość, jakoby małżonka jego zamiast dziecięcia, psa porodziła. — Gdy powrócił, nie okazywał przed żoną żadnego zmartwienia, tylko rzekł do niéj: Otóż widzisz, jakoś się przerzekła, zamiast syna i złota z kąpieli, powiłaś mi psa.

Stało się potém, że Królewiczowa znowu w czasie niebytności męża, który był z wojskiem wyciągnął na wojnę, powiła córeczkę. Siostry odebrały dziecię, i podłożyły jéj kociątko, a dziecię, tak jak pierwsze, puściły w pudełku na wodę, i dały znowu znać Królewiczowi. Ten do żywego już zmartwiony, w pierwszym gniewie poséła natychmiast rozkaz do domu, żeby żonę jego żywo zamurowano. Rade temu rozkazowi siostry, zbrodniarki, zaraz téż spełnienia rozkazu dopilnowały. Ale nieszczęsnéj Królewiczowéj do zamurowanéj ciemnicy donosił anioł pokarmy i napój. Tak téż i nad jéj puszczonemi na wodę dziatkami wejrzała Opatrzność, że je pewien biedny rybak ułowił, i sam nie mając dzieci, za swoje przyjął. A ile razy po skąpaniu synka wodę z wanienki wylewał, to zamiast wody samo szczere złoto się sypało; a kiedy znowu córeczka płakała, to same perełki z jéj oczek padały; przez co ów rybak do bardzo wielkiego przyszedł majątku i wychowańcom swoim złoty domek wystawił.

Tam śniło się jednego razu tym dzieciom, że jest gdzieś nie daleko zdrój taki, co na sto łokci w górę wybija; także drzewo, co śpiewa, i ptaszek, co gada. Nazajutrz więc odważył się chłopczyk, iść do puszczy i szukać tych trojga rzeczy. Ale na drodze spotkał go siwy dziadek, i pytał, gdzie idzie; a gdy mu chłopczyna powiedział swój zamysł, dziadek go przestrzegł, żeby się miał na baczeniu, bo skoro wody z owego zdroju nabierze, pocznie za nim grzmieć i huczeć okrutnie; a gdyby się wtenczas obejrzał, toby się zaraz w kamień obrócił. Chłopczyk poszedł i nabrał wody, ale gdy łoskot za sobą usłyszy, zląkł się i obejrzawszy się mimowolnie, zaraz się w kamień przemienił. Siostrzyczka tęskniąc za bratem, poszła go szukać i wzięła z sobą dzbanuszek do wody. Dziadek siwy, z którym się także spotkała, dał jéj tę samę, co braciszkowi, naukę, i radził jeszcze, ażeby sobie uszy zatkała, gdy będzie od zdroju odchodzić; i żeby potém tą wodą z dzbanuszka na tę i ową stronę kropiła. Dziewczynka téż wszystko tak uczyniwszy, jak jéj był dziadek powiedział, zobaczyła wnet obok siebie drzewo śpiewające, i ptaszek gadający nadleciał, i z przydróżnego kamienia zdrowy braciszek do niéj przystąpił. A tak przyszli społem do domu, i z nimi ptaszek przyleciał, i drzewo przywędrowało, i woda z dzbanuszka ustawicznie w górę wytryskała.

Tymczasem Król po utracie żony, będąc wielce smutnym i nie mogąc nigdzie znaleść pokoju, wyjechał do onéj puszczy na łowy, gdzie jego dziatki mieszkały. Chłopczyk ciekawy, usłyszawszy grające trąbki i psów szczekanie po lesie, przyłączył się do myśliwców królewskich i z prostego łuku w oczach samego Króla ubił szczęśliwie zająca, którego Król mu darował, i powiedział, żeby go sobie zaniósł do domu i że on sam tam na posiłek wstąpi. Skoro więc młodzieniaszek ze zającem do siostry powrócił, frasowali się oboje, czem Króla uraczą; aż ptaszek odezwał się do dziewczynki: Oto upiecz zająca przy gałązkach z owego drzewa, które przyszło za tobą, i uwarz klósek, a te przesyp twemi perłami i daj Królowi napić się wody z dzbanuszka, to i dosyć będzie.

Po chwili téż zajeżdża Król przed ów złoty domek, i gdy się dziwi jego kosztownéj budowie, a miski obsypane perłami obaczy, wtedy ów ptaszek przemówił do niego: Czemu się dziwisz Królu? wszakci to są perły z łez córki twojéj, o których ci żona twoja naprzód przepowiadała; a wszakci ten domek ulany ze złota, które po każdém skąpaniu syna twego, zamiast wody się lało. I Król wtedy ucałowawszy dopiero dzieci swoje, pytał ptaszka, ażali jeszcze i matka ich żyje? na co gdy mu ptaszek powiedział, że ją dotąd anioł żywi i napawa, pospieszył Król z dziećmi czémprędzéj i kazał ów mur rozwalać, z którego téż zdrowa i czerstwa wyszła Królowa.

Od tego czasu wszyscy w długie i szczęśliwe lata żyli, oprócz owych dwóch siostr zbrodniarek, które Król kazał żelaznemi bronami na polu roztargać. (3)

(3) Niniejsza klechda zdaje się z bardzo dawnych czasów pochodzić, a nawet dotykać zdarzenia historycznego; wzmiankowane w niéj bowiem odrzucenie dzieci, narodzonych w czasie niebytności ojca, a przysadzanie *szczeniąt* do piersi matczynych, przypomina wiadomą z naszych dziejów karę, którą był naznaczył Bolesław śmiały na pohańbienie żon wiarołomnych po nieszczęśliwéj wyprawie kijowskiéj. Ślady, świadczące o silném wrażeniu, jakie była ta kara na lud uczyniła, znachodzimy dotąd nie w samej powiastce niniejszéj, lecz i w równie jak ona upowszechnionym dotychczas przesądzie, że nieszczęśliwą jest wróżbą dla dzieci, skoro narodzą się w domu, gdzie się równocześnie ulęgły *szczenięta*. Za starożytnością niniejszéj klechdy przemawia także jéj upowszechnienie w różnych okolicach Polski; podobnéj treści powiastkę prawią do dziś dnia niańki wielkopolskie; w zawikłańszéj zaś i nieco odmiennéj osnowie podał ją K. Baliński, (Powieści ludu spisane z podań. Warszawa 1842.) pod napisem: *Przeznaczenie, czyli powiastka o złotym ptaszku.* Tenże Baliński nadmieniając, że lud owym dwojgu dzieciom przydaje imiona Borusia i Klebusia, wpada na domysł i zostawia to późniejszemu sprawdzeniu, ażali one nie zostają w jakowym związku z imionami Borysa i Chleba, Książąt ruskich. Atoli, oprócz tego zbratania imion, nie znajdujemy w życiu rzeczonych Książąt żadnéj okoliczności, któraby w czémkolwiek odpowiadała osnowie niniejszéj powiastki.

№ 128. *x. Krakowskiego.*

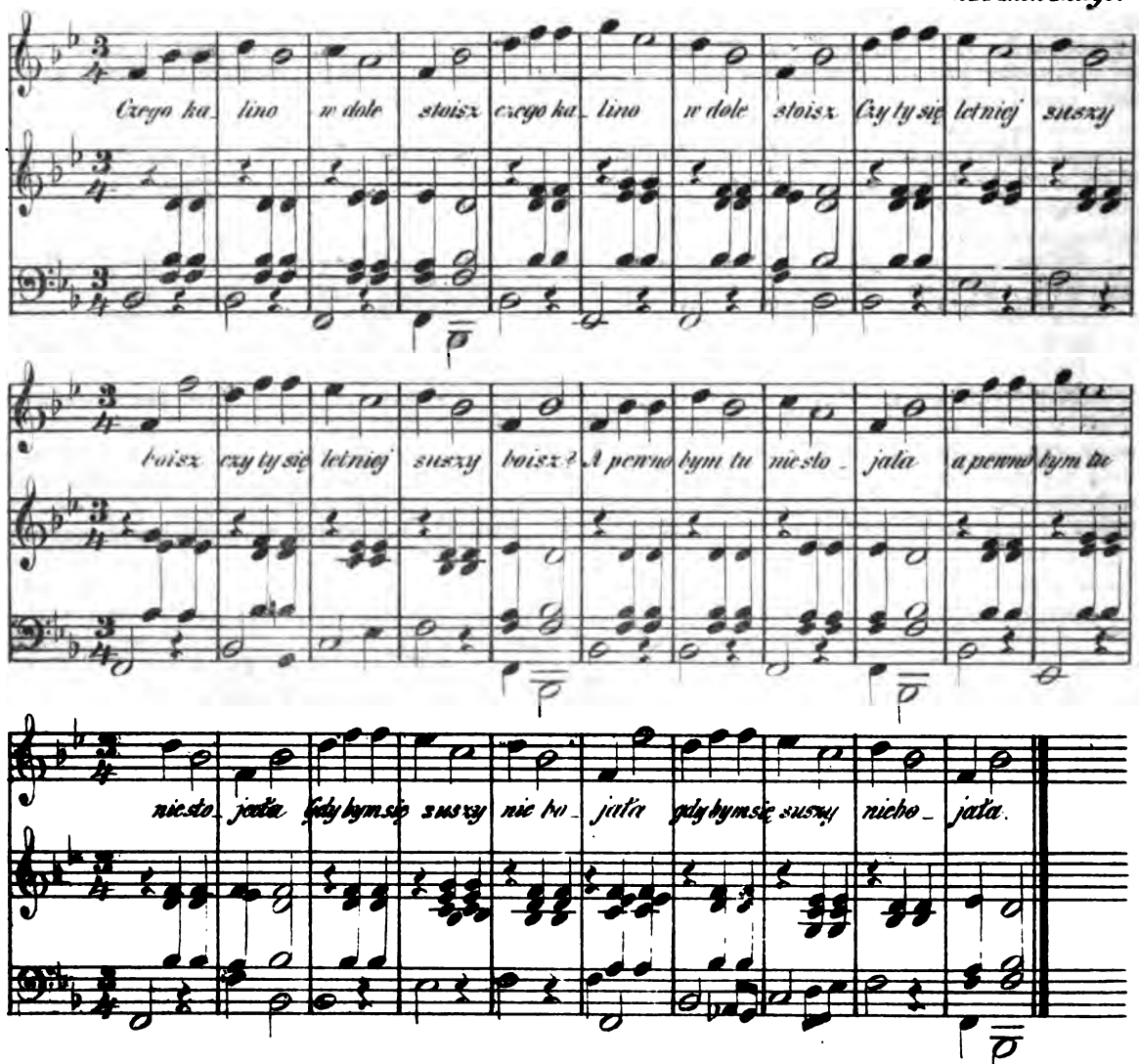

Text do *Nru.* 128.

Czego Kalino w dole stoisz,
Czy ty się letniéj suszy boisz;
„A pewnobym tu nie stojała,
Gdybym się suszy nie bojała.“
„Wędruj Kalino w ten ciemny las,
Zaśpiewa ci tam słowiczek w czas;“
Słowiczek śpiewa, a Kasia płacze,
„Dla ciebie Jasiu wianek swój tracę.“
Wjeżdża braciszek w podwóreczko,
Wtém zapłakało dzieciąteczko.
„Czyje to dziecię siostro płaczę?“
„Méj sąsiadeczki panie bracie.
Oj sąsiadeczka mnie prosiła,
Żebym jéj dziecię ponosiła.“
„Podaj mi chłopcze ostry ten miecz,
Co zetnę siostrze swéj główkę precz.“ —
Dzieciątko choć niemowle było,
Tak do wujaszka przemówiło:
„Któż mnie wujaszku teraz przytuli,
Gdy dzwony grają mojéj matuli?
Twoja wujaszku żona jeszcze chodzi,
Mnie się matula więcéj nie urodzi.“
(*Wojcicki*, P. 1. T. I. str. 64.)

Cena półroczna tego czasopisma wynosi 1½ talara, czyli 9 zł. pol., za którą przez wszystkie królewskie urzędy pocztowe, jako też wszystkie księgarnie nabyć go można. *Ernest Günther*, wydawca.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 4. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 24. Stycznia 1846.

Obraz Śgo Kazimierza. — Kilka słów o Wieczorach pod lipą. — Dalszy ciąg panowania Augusta III. i t. d. — Opis Krakowian. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Wiadomości literackie.

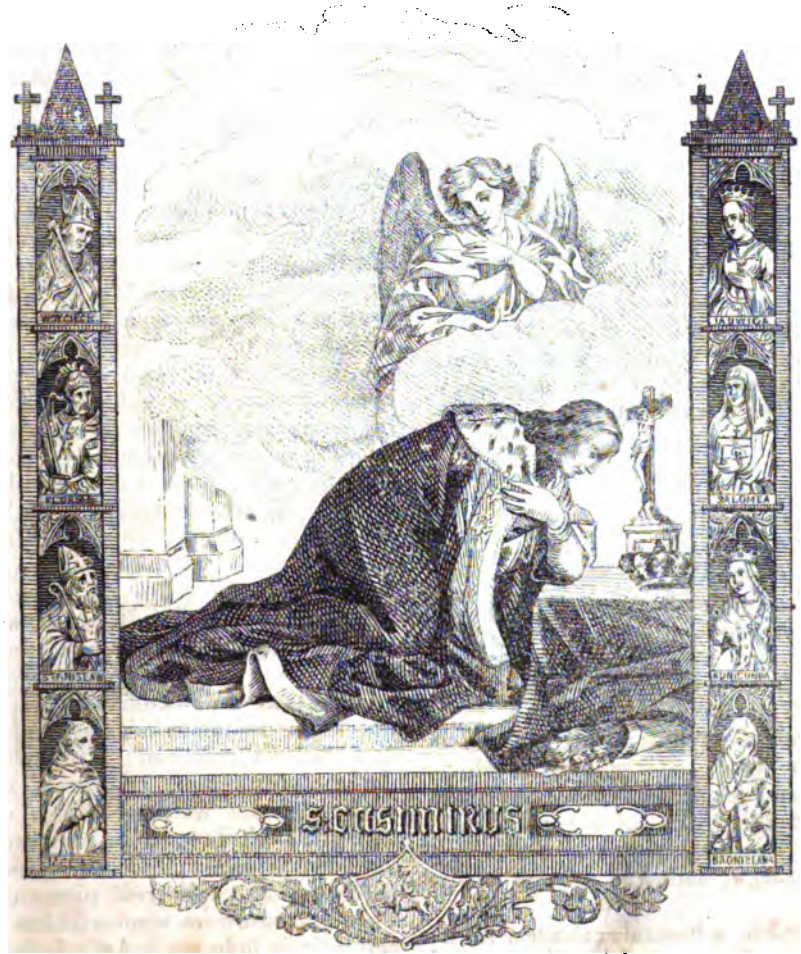

Święty Kazimierz.

Święty Kazimierz.

Śty Kazimierz, Królewicz polski, syn Króla Kazimierza Jagiellończyka, urodził się roku 1456., umarł 1480. Czterdzieści lat późniéj kanonizonowany został od Papieża Klemensa VIII. i za Patrona Litwy uznany. W tym obrazie otoczony jest wyobrażeniami innych Patronów i Patronek polskich. Wizerunek ten jest wzięty także z *Wspomnień o Polakach.*

Kilka słów o Wieczorach pod lipą. (*)

Do najsłabszych stron literatury naszéj należy zapewne ta, iż dotąd bardzo mało dzieł posiadamy, któreby w właściwém znaczeniu były popularnémi, t. j. któreby dla ogółu, dla ludu były pisane. Liczne są tego powody, lecz pomiędzy niemi najważniejszy jest ten, że do ostatnich czasów sprawa ludu bardzo podrzędną odgrywała rolę. Nie jest to jednak winą Polaków, jak raczéj okoliczności, które od blisko stu lat ojczyznie naszéj nie sprzyjają. Wszakże po latach ciemnoty, która dłużéj niż wiek cały dawną świetność niszczyła, a zgubę zupełną narodowi gotowała, powstali w drugiéj połowie 18go wieku znakomici mężowie, którzy życie i majątek poświęcali, aby ojczyznę ocalić, aby naród oświecić. Niestety, wszystkie wysiłenia były bezskuteczne; bo Bóg zsyłał na nas kary, abyśmy za dawne grzechy najprzód odpokutowali. Nieustanne wojny i grabieże niweczyły najślachetniejsze przedsięwzięcia w samym narodzie i dla tego i literatura nasza nie mogła wziąć tego kierunku, któryby zbawiennie na naród wpływał. Wśród zamieszania politycznego panował razem zamęt umysłowy; pisarze polscy nie wiedzieli czego się chwycić, aby odpowiedzieć swemu powołaniu. Większa część służyła kaprysom wyższego towarzystwa i dla tego stawszy się służalcami panów, zapomniawszy o swém przeznaczeniu, iż mieli być kapłanami ludu, pozbawili się najlepszéj nadgrody, t. j. pamięci ludu; po większéj części przeżyli swoję własną sławę. Mała garstka pojmując swoje stanowisko, korzystała z swego talentu, aby się rodakom przysłużyć; jéj ozdobą był szczególniéj jeden mąż, który nam przez wszystkie czasy za wzór pisarza, obywatela służyć będzie, który zużył wszystkie siły swoje ku dobru ojczyzny. Nim był J. U. Niemcewicz. Od lat młodzieńczych aż do lat sędziwego starca występował co chwilę z jakiém pismem, jeżeli jaka nowa myśl lub zdarzenie w narodzie rozwijać się zaczynało, lub rozwinąć się miało; a pisząc z natchnienia uczucia patryotycznego, nadawał pracom swoim taką barwę, iż od całego narodu, że się tak wyrażę, były pożérane. On sam zasługuje w tym czasie na nazwę pisarza popularnego. Dopiero początek wieku 19go wydał kilka mężów, którzy w ślady Niemcewicza wstąpili; chociaż w ogóle powiedzieć można na pochwałę nowszych pisarzy, że prawie wszyscy piszą dla ludu. Z nich kilku odznaczyło się tak prostém wystawieniem rzeczy, iż tak dla języka jak formy są przystępnymi dla każdego. Taki talent po wszystkie czasy będzie szanowany, lecz dla nas jest tém ważniejszy, gdy okoliczności tego wymagają, aby myśląca część narodu na cały lud wpływała. Dla tego zasługi Brodzińskiego, Tańskiéj, autora pamiątek Soplicy i Wincentego Pola, i innych pisarzy w tym rodzaju, nie wygasną w pamięci ludu. Do tego poczetu zbliża się L. Siemieński, którego imię już słynne z wielu prac literackich; lecz jeżeli mu która zgotuje sławę, a co większa zjedna wdzięczność narodu, to niezawodnie najnowsza. Cieszyliśmy się z jego powieści p. t.: „Muzameryt," cieszyliśmy się z jego zbioru legend i t. d.; lecz daleko większą napełnił nas radością, gdyśmy jego „Wieczory pod lipą" ujrzeli. Dzieło to napisane jest prawdziwie w duchu ludu i dla ludu; dla tego powinnością jest naszą, tak ze względu na autora, jak na nas samych, skreślić wrażenie, jakiegośmy doznali, gdyśmy jego historyą czytali.

Trudném a może najtrudniejszém jest zadanie pisarza popularnego; wymaga bowiem talentu, któryby autorowi nadawał moc, iżby pomysły, wzięte z świata, wyższém światłem obdarzonego, przeniósł do świata, gdzie lud do myślenia nie przywykły błąka się jeszcze po ciemnościach. Kto więc chce pisać dla ludu, nie dosyć, że się sam zaopatrzy w nauki najgruntowniejsze, że nabędzie ich jak najwięcéj, że je wreście obejmie z największą jasnością; on musi jeszcze zaprzeć się siebie samego, musi zapomnieć o swojém usposobieniu, a przedrzeć się do duszy ludu i przeniknąć wszystkie tajniki jego ducha, aby wiedział, jak on rzeczy pojmuje i jak pojęcie jego rozszerzyć można. Dla tego tylko ten rozwiąże tak trudne zadanie, kto żył i żyje z ludem, kto czuje jego potrzeby, kto się z nim cieszy lub smuci, słowem, kto dla ludu poświęcić się umie. Z tego wynika, że rozbierając pracę przeznaczoną dla ludu, zastanawiać się musimy szczególniéj nad dwiema rzeczami: 1) czyli forma dla ludu jest przystępną, czy język, wyrażenie, styl, czyli ułożenie wreście całego dzieła jest tak skromne, tak łatwe, iż to wszystko może być najlepszym przewodnikiem żywego zajęcia się dziełem; 2) czyli treść pisma da się pogodzić z dotychczasowém stanowiskiem ludu, albo jeżeli pojęcie ludu ma być wzniesioném, czyli sposób wyłożenia rzeczy jest tak jasny i tyle uzmysłowiony, iż lud za pomocą swego zdrowe-

(*) Dziełko to wyszło w Poznaniu nakładem i drukiem J. Łukaszewicza 1845 r., p. t.: „Wieczory pod lipą," czyli „Historya narodu polskiego opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic."

go rozsądku zdążyć może za tym postępem. Zobaczmy teraz, co uczynił L. Siemieński, postanowiwszy potocznym sposobem wyłożyć dzieje narodu polskiego.

Autor „Wieczorów pod lipą“ będąc należycie przeświadczonym, jakie jest zadanie pisarza popularnego, nie popadł w błąd, którego niedoświadczeni pisarze zwyczajnie uniknąć nie umieją, iżby starając się o popularność, o przystępność dla ludu, napełnił swe dzieło licznemi zdrożnościami, które zwykle pomiędzy gminem goszczą. Znając godność pisarza, iż on ma być kapłanem, a zatem oświecicielem ludu, nie schlebia jego słabościom, ani go w nich utwierdza, przejmując bez wyboru wszelkie jego zwyczaje i obyczaje; lecz przygania im często, czy to je przemilczając, czy też jako błędy wytykając. Dla tego w „Wieczorach pod lipą“ znajdujemy język, wyrażenie i styl ludu, bo się oznacza swą prostotą, szczerością i jasnością, którą w ludu jeszcze nie zepsutym każdego czasu podziwiamy; lecz nie masz tam oraz owéj sprosności, gadatliwości i rozwlekłości, która nas razi, gdy z ludem przestajemy; to musiał autor pominąć, bo słabości nie stanowią i nie mogą stanowić jądra narodu, bo pisarza zadaniem na wszystko zapatrywać się z wyższego stanowiska, i wszystko do wyższéj wynosić potęgi, bo wreście nie było zamiarem autora kreślić żywe obrazy, gdzieby i słabe strony ludu występować musiały. Pod tym względem rozwiązał S. zadanie jak najszczęśliwiéj. Jeden tylko zrobiłbym mu zarzut, iż w wyrażeniu wpada niekiedy w gminność; szczególniéj uderzały mnie miejsca, gdzie mówi o rządach kobiecych, jako to: na str. 113—114., gdzie opisuje panowanie Królowéj Elżbiety, matki Króla Ludwika, daléj na str. 173., gdy mowa o Bonie, tam jego ulubione wyrażenie „baba“, i tak wyraża się o Bonie: „Ale w końcu musiał (Król) pozwolić, jak mu baba (Bona) zaczęła ciągle *klekłać* nad uchem.“ W tym względzie posunął się zapewne za daleko w przejmowaniu sposobu mówienia ludu; nie leży to bowiem w duchu naszego narodu mówić w ten sposób o osobach wyższych, zwłaszcza panujących; większość uważać to będzie za prostactwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz gdy z noclegu ruszyli, i przez wieś Romanówkę przeszli, Gonta swoim rozkazem wszystkich Kozaków zatrzymał, a wszystkim trzem Pułkownikom powiedział: „Wy Mości Panowie Pułkownicy, możecie teraz pojechać precz, my was już nie potrzebujemy; jeżeli chcecie, weźcie z sobą Kozaków, którzy z wami jechać zechcą, ja im pozwalam.“ Z początku ci, którzy na usłudze byli Pułkowników, pojechali z nimi, a potém odprowadziwszy o kilkanaście stacyj, popowracali do Gonty, a Pułkownicy ujeżdżali czém prędzéj i to manowcami, dla zabezpieczenia siebie, gdy tymczasem Gonta ciągnął naprzeciw Żelaźniaka pod Papażynce; tu Gonta z całą hordą Żelaźniaka połączył się, a połączeni szli do Humania; po drodze, gdzie zastali Żydów, Szlachtę i Polaków, wszystkich w pień wycinali, i coraz więcéj chłopów łączyło się do nich, wspólnie z nimi rabując, pijąc i zabijając. W kilka dni przybywszy pod Humania równinę obszerną, stanęli przy lasku objezdnym zwanym Greków; tam Żelaźniak zsiadłszy z konia, dobył onego patentu zmyślonego przez Ihunana Penałowskiego Jaworskiego, niby to Katarzyny Imperatorowéj, i na rozłożonym dywanie usiadłszy, i Gontę obok siebie posadziwszy, kazał diakowi jakiemuś, niby to Sekretarzowi swojemu, przed wszystkiém wojskiem Gonty i tłumem zbuntowanego chłopstwa głośno czytać, a po przeczytaniu, Żelaźniak, Gonta i wszystka starszyzna pojechali na folwark pod Humaniem sytuowany, nad rzeką Humanką, na nocleg i przepędzenie reszty dnia. Kozakom zaś i chłopstwu kazali puścić konie na paszę, za któremi wielka liczba szła, te z gorzałką, z miodami i wiśniakami, do których się rzucili nie tylko starszyzna, ale wszystka tłuszcza zbuntowana, całą noc przepędzając na pijaństwie.

A że już nie było Pana Ciesielskiego, Miecznika bełskiego, w Humaniu, bo uciekł do Krystynopola po wydanym ordynansie Pułkownikom Kozaków, by ruszyli przeciwko Żelaźniakowi przy Panu Mładanowiczu, któremu władza zostawała nad milicyą i dobrami, Pan Mładanowicz, Komendant piechoty, przez szpiegów wysłanych z żołnierzy komendy swojéj po chłopsku przybranych dowiedziawszy się, że zapojone chłopy z Gontą i Żelaźniakiem na folwarku nocują, udał się do Pana Mładanowicza, radząc i prosząc go, aby mu pozwolił zrobić wycieczkę z miasta do folwarku, zapewniając, że mu się uda wyrznąć pijanych Gontę i Żelaźniaka, i wszystkich Naczelników śpiących zbuntowanego chłopstwa. Pan Mładanowicz nie przyjąwszy tego projektu, zwołał Kahał Żydów i kazał im nabrać na bryki atłasu, adamaszku sztukami, sukien cienkich, płócien, i zawieść na folwark dla Żelaźniaka i Gonty w prezencie, prosząc ich o kapitulacyą. Gonta z Żelaźniakiem pijani, prezenta przyjęli z łagodnością, kapitulowanie odłożyli do jutra.

Nazajutrz przyjechał konno Żelaźniak i Gonta ze wszystkimi Naczelnikami Kozactwa przed bramę miasta, przed którą był most zwodzony nad głęboką fosą, i wszyscy w kupie stanęli na tym moście. Mładanowicz, Komendant garnizonu piechoty, kazał nabić kartaczami armat

ontery. PP. Mładanowicz i Rogaszewski to widząc, zaklinali Komendanta piechoty, by nie palił z armat, gdyż zgubi wszystkich; co słysząc Szlachta przytomna, na armatach się kładła i żołnierzy z zapalonemi lontami oddaliła, a tymczasem Pan Mładanowicz z Zelaźniakiem i Gontą o kapitulacyą się umawiali: 1., aby Katolików, Szlachty i Polaków nie rznęli, i własności ich nie zabierali; 2., Żydów zaś na dyskrecyą Zelaźniaka i Gonty zostawią wraz z ich własnościami.

Po téj kapitulacyi wszyscy prawie Polacy obojéj płci poszli do kościoła modlić się Bogu, a Kozacy i chłopstwo wypadłszy do miasta, zaczęli rznąć Żydów i dzieci żydowskie, a jak tych nie stało, ową milicyą przeznaczoną do Baru, która była bezbronna; potém udali się do kościoła, a wywłócząc mężczyzn, kobiety i dzieci zabijali, niektóre kobiety sobie za żony, a dzieci adoptowali, zawsze pijani, dolewając kunkwi, które w mieście należli.

Pan Mładanowicz pod swoją opiekę wziął Gontę, a supponując, że Rogaszewski namówił Pana Ciesielskiego, aby mu wsie odebrał, kazał Kozakom zakłuć, którego synów Zelaźniak adoptował za swoich. Dnia drugiego Gonta zapiwszy się jeszcze bardziéj, ściął swoją ręką szablą turecką Mładanowicza, mówiąc, iż to dla tego czyni, aby kto inny nie pastwił się nad nim. Co widząc Kozacy pijani, porwali córkę jego siedmioletnią na spisy, którą chłop jeden wyprosił, by ją nie zabijali, z zadanych ran ją wygoił, a nie mając dzieci, wziął ją za swoją córkę. W ten czas całe miasto Humań napełnili trupami, studnią głęboką w rynku pozabijanemi dziećmi, a chłopi po wsiach Żydów i ich dzieci zabijali, rabowali Possessorów i Szlachtę wiązali i do Humania zwozili, a w Humaniu Kozacy pijani zabijali.

Potém Gonta i Zelaźniak ogłosili się, pierwszy Wojewodą bracławskim, drugi Wojewodą kijowskim, i wysłali podjazdy liczne w różne strony na rabunki, rznięcie Szlachty i Żydów, i na zabieranie majątków wszystkich.

Jeden tylko oddział liczny poszedł do Bałty miasteczka, które leży nad samą granicą tatarską, i które przedzielała tylko rzeczka Kodyma, na któréj drugiéj stronie było miasteczko tatarskie, nazwane *Hatła;* te dwa miasteczka przedzielone jedną rzeczką, zdawały się być jednem miastem.

W téj Bałcie bywały sławne jarmarki na konie, bydło, owce i towary tureckie kilka razy do roku, gdzie po kilkadziesiąt tysięcy bywało koni, i tam na remonty Prusacy, Sasi i wszyscy obywatele potrzebujący młodych koni, jeździli kupować; temi jarmarkami zbogaciło się to miasteczko, i osiadło w niém wiele Żydów, Greków, Ormian, Turków i Tatarów.

Przyszedłszy do tego miasteczka oddział z kilku tysięcy buntowników Zelaźniaka i Gonty, wyrznęli obydwa te miasteczka bez różnicy, i zrabowawszy, spalili.

Han tatarski, namówiony od Potockich, by nakłonił Portę na wojnę przeciw Moskwie, jak się dowiedział o napadnieniu Bałty i Hatły jego miasteczka, wyrznięciu w nim Tatarów, Turków i zrabowaniu kupców tureckich, tém silniéj popierał naleganie swoje na Sułtana, przekładając mu granicę i zniszczenie miasta przez Moskwę, i to podobno zdecydowało Portę do deklarowania wojny Moskwie, w krótce po spaleniu Bałty nastąpionéj.

Potém gdy widzieli Gonty i Żelaźniaka nieskończoną ilość, pomnażającą się z zbuntowanego chłopstwa, którzy opuścili rolę i gospodarstwo, chcieli być uznanymi przez nich, jako należą do wojska kozackiego, a wcale nie zdatni będąc, tylko pijaństwem i rabunkiem się bawiąc, zaczęli rozróżniać Kozaków od chłopów, i pierwszych pooddawali ustanowionym Komendantom, a nad drugimi postanowili po wsiach Attamanów, którzyby pilnowali, by chłopstwo robiło i gospodarowało na ich imię i intraty zbierali dla nich, i wyznaczone przez nich prowianta i furaże wrócili do wojska.

W takim tedy stanie rzeczy gdy Generał Kreczetników dowiedział się o wszystkiém przez szpiegów, wysłał Porucznika Guryewa z trzema pułkami Dońców do Humania z instrukcyą mu daną.

Ten Porucznik przymaszerowawszy do Humania i po bratersku przywitawszy się z Gontą i Zelaźniakiem, oświadczył im, że przysłany jest od Imperatorowéj w pomoc im, i zrobienia wojskowego między niemi porządku.

Najprzód oświadczył im, że obejmie miasto na swą konsystencyą, a że to miasto zarażone było fetorem z tysiąca trupów niepogrzebionych, żądał od Gonty i Zelaźniaka, by chłopom oczyścić je kazali, do którego się z komendą po oczyszczeniu wprowadził.

Daléj żądał imieniem Imperatorowéj, aby Żydów i Polaków, których chłopi przywiozą i podjazdy odsełają do nich, nie zabijali, ale jemu pod straż do miasta oddawali, bo Imperatorowa chce nimi zasilić Syberyą.

Jakoż od czasu układu tego zrobionego między Porucznikiem Guryewem a Gontą i Zelaźniakiem, nikogo nie zabijali, ale jemu wszystkich oddawali. On ich żywił, i w mieście utrzymywał w bezpieczeństwie, potém mówił im, że nie po wojskowemu stoją w obozie, radził im przenieść się na drugą stronę Humania, oni go usłuchali, i wprowadził ich za Widły, dwóch rzeczek błotnistych schodzących się; tam im na placu równym wytknął obóz, nakazawszy przed frontem obozu postawić w piramidy spise i samopały; Kozaków Dońców ustawił na skrzydłach, sam zaś swój namiot ulokował na środku, a pod pretextem nasłanych Żydów i Polaków, i nadesłać się mogących jeszcze więcéj

Skawiniacy.

przez podjazdy wysłane, by mógł do Syberyi wysłać bezpiecznie, mówił obydwom Wojewodom, by kazali wsiom zrobić kilkadziesiąt tysięcy dybów, i te gdy chłopstwo zwiozło, w piramidy ułożone przed obozem poukładał.

Po uporządkowaniu takiém, gdy Generał Kre-

czetników Guryewi nadesłał pułk Karabinierów, i Pułkownik tego pułku o zbliżeniu się swojém uwiadomił Porucznika, i tym raportem swoim donosił Pułkownikowi o pozycyi obozu buntowników; zaprosił Guryew Gontę i Żelaźniaka pod pozorem narodzin Imperatorowéj do siebie na obiad do namiotu wielkiego, mającego podwójne ściany, między któremi ukryci stali Dońcy silni z postronkami.

Gdy przyjechał Gonta i Żelaźniak z Atamanami i Naczelnikami swemi na ten obiad, kazał przysposobić sobie Porucznik butel spirytusu najtęższego, i niby przed obiadem pijąc do Żelaźniaka i Gonty szklanką tę gorzałkę za zdrowie Imperatorowéj, gdy się Żelaźniak i Gonta przed tém imieniem nisko do ziemi schylił, Porucznik jeszcze niżéj spuszczoną ręką trzymając szklankę, w oczy im spirytusem i Gontę pięścią w gębę uderzył, co było hasłem u drzwi stojącemu Kozakowi wystrzelić, a Dońcom stojącym między ścianami wypaść, i wszystkich wraz z Gontą i Żelaźniakiem powiązać, pułki zaś stojące w gotowości, i konie trzymające w ręku, zbuntowane chłopstwo od spis i samopałów oddzielić, i w przysposobione dyby pozabijać, do czego dopomagał regiment nadesłany Karabinierów, w tym samym momencie, który stał na froncie obozu ukryty Kozakami. Wszystkie tedy dostatki z rabunku zgromadzone przez buntowników, dostały się Porucznikowi Guryewi, Pułkownikowi Karabinierów, i ich komendzie.

O czém gdy Pułkownik doniósł Generałowi Kreczetnikowi, że buntownicy zabrani, pytał się, co ma daléj czynić, których było przeszło 30-tysięcy. Generał Kreczetników dysponował, by Panu Branickiemu, na ten czas Łowczemu koronnemu, któren był wyprawiony od Króla z pułkami królewskiemi i gwardyą litewską i z Panem Stąpkowskim, któren zebrał chorągwie husarskie i pancerne na zniesienie buntowników Gonty i Żelaźniaka, i właśnie w ten czas, gdy Gonta i Żelaźniak zabrani zostali, Pan Branicki z komendą swoją znosił przez nich wysłane podjazdy w Pobereże (właśnie ten sam, który zrabował i spalił Bałtę i Hatłę) i znajdował się pod Serbami o dwie mile od Mohilowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Krakowianie.

Mieszkańcy okolic Krakowa nazywają się Krakowianami; są zdrowi, silni i miernéj wielkości. Ich ciemne włosy, których nie obcinają, spadają w kędziorach na ramiona; oczy niebieskie, rzadko czarne, jako też i białość płci, odznaczają ich od innych mieszkańców Polski. Młodzi noszą czasami wąsy, lecz większa część Krakowian nie ma tego zwyczaju, a nigdy nie zapuszczają brody. Obie płcie łączą do piękności twarzy kibić kształtną; w mowie przeciągają słowa, lecz wynagradzają ten błąd dobitnością wyrażeń. Skłonni do wesołości, dobrego humoru, dowcipni z natury, namiętnie lubią muzykę, śpiew i taniec; dla tego śpiew im towarzyszy tak przy pługu jak przy bitwie. Rzetelni, otwarci, i roztropni odznaczają się swemi zdolnościami tak, że są zdatni do wszystkiego. Niektórzy pomiędzy nimi umieją czytać i pisać; ich rozum naturalny, rozmowa pojedyńcza, lecz przyjemna, trafność myśli, wystawiają ich w korzystném świetle i czynią ich nader towarzyskimi. Umiarkowani w piciu, zwyczajni przestawać na małem, znosić od dzieciństwa tak upał jak zimno, nie zważają na najgorsze powietrze, gdy mają podróż przedsięwziąć; pomimo wiatru i burzy weseli w drodze; gdy przemokną od deszczu i wstąpią do karczmy, rzucają się bez narzekania na słomę rozłożoną na ziemi; a potém ledwie sobie kilka chwil odpocząwszy, z równym zapałem puszczają się w dalszą drogę. Krakowianie uważają gościnność za najpierwszą z cnót domowych; podróżnego, który do nich zawita, jak najserdeczniéj przyjmują; wszystkie domy są dla niego otwarte; przytułek znajdzie przy każdém ognisku, jest jakby członkiem familii. Krakowianin łatwo zapomina urazy; lecz, gdy honor jego zostanie obrażonym, rzadko wypuści z pamięci tę zniewagę. W nieszczęściu pokazuje wielką moc charakteru, cierpliwość i wytrwałość nadzwyczajną; nigdy się nie użala, nieszczęście nie może go przygnębić, bo jest gotów na wszystko. Nadewszystko kocha swoję familią, swoje ognisko i swoję trzodę. Znany z waleczności osobistéj, ma wielkie upodobanie w sztuce wojennéj; przyzwyczajony od dzieciństwa do konnéj jazdy, lubi nadewszystko konnicę, i z łatwością nauczy się cwiczeń z bronią. Krakowianin zawsze był nieustraszonym obrońcą swego kraju; we wszystkich wojnach, jego lanca i kosa zawsze się sławą okryły, a nieprzyjaciel więcéj jak raz doznał jego waleczności. Lubo nieraz został zawiedziony w swych najpiękniejszych nadziejach, znów się w nim odradza zapał do bitwy, skoro jest powołany bronić swą ojczyznę.

Wszyscy Krakowianie wyznają bez wyjątku religią rzymsko-katolicką; są bardzo nabożni. Każda wieś ma swego Patrona; zwykle nim jest Śty Stanisław, Kazimierz albo Floryan. Panna Marya była uznaną od najpierwszych czasów za Patronkę Polski; cały naród ją wielce uwielbia, i poświęca jéj sobotę każdego tygodnia.

Ubiór chłopów krakowskich, którzy zamieszkują lewy brzeg Wisły, jest skromny, ale gustowny; nie noszą chustek na szyi ani latem, ani zimą, koszulę noszą wierzchem, u któréj rękawy i kołnierz są związane wstążkami kolorowemi, i która spada na spodnie aż blisko

kolan, u pasa, przystrojonego kółkami mosiężnemi, wisi na rzemieniu nożyk, tak nazwany *kosik*; w jednéj kieszeni noszą krzemień, a za koszulą albo w bócie lulkę. Spodnie ich są zazwyczaj z białego płótna, albo w czerwone paski, czasem też z żółtéj skóry. Bóty, które aż do kolan dochodzą, są ze skóry juchtowéj; korki są dobrze okute, służą one im przy tańcu do dobijania taktu, i do pewności chodzenia po górach. Czapki mają czworograniate, obszyte karmazynowém suknem, z barankiem czarnym, i przyozdobione pawiém piórem. Ich wierzchni ubiór nazywa się *sukmaną*, z sukna różnego koloru, u góry szeroki, w środku wązki, szerszy na dole i spięty na przodku. Chłopi najbliżsi Krakowa noszą sukmanę granatową, tak nazwaną *karazyą*, którą wyszywają jedwabiem lub bawełną karmazynową; kołnierz ozdobiony klinklinami spada nisko na plecy. Skalmierzacy mają sukmanę brunatną z białemi sznurami, i z bardzo długim kołnierzem. Proszowiacy sukmanę białą z czarnemi sznurami, i ta suknia jest oraz suknią wojenną Krakusa. Latem noszą ubiór z białego płótna, spodnie z płótna, bóty aż do kolan i szeroki kapelusz, ale niski, przystrojony wstążkami i piórami pawiemi.

Ubiór chłopów krakowskich jest bardzo elegancki i stósowny do ich postaci. Młode dziewczęta mają długie warkocze, u dołu zawiązane kolorowemi wstążkami. Na szyi mają paciorki różnego koloru, lub też piękne korale. Naramniczki i mankietki są czerwono wyszyte. Gorset mają z merynosu, atłasu, lub innéj materyi jedwabnéj. Spodnica różnego koloru dochodzi aż do pięt; bogatsze mają obszytą galonami złotemi lub srebrnemi. Latem, aby się ochronić przed kurzawą, noszą szal płócienny, albo muślinowy, który nazywają *rańtuchem*. Mają także fartuch, który zarzucają na ramiona gdy idą w pole pracować. Ich kaftanik z sukna granatowego, podszyty czasem zimową porą barankiem, podobny jest do męzkiego i dochodzi do kolan. Za obówie noszą trzewiki, ale najczęściéj bóty z wysokiemi korkami. W czasie pięknym chodzą boso. W święta noszą młode dziewczęta na około głowy w kształcie dyademu wstążkę ze złota lub aksamitu, u któréj wierzch jest przyozdobiony kwiatami i długiemi wstążkami. Mężatki okrywają sobie głowę chustką białą, albo czepcem, który jest przystrojony złotem.

Mieszkańcy prawego brzegu Wisły, do których liczymy Kijaków i Skawiniaków, przyjmują także nazwisko Krakowian. Kijacy zamieszkują okolicę, która się ciągnie pomiędzy kopalnią Wieliczki i Podgórzem; noszą sukmanę z sukna granatowego, podszytą materyą karmazynową; pas zielony, często jedwabny, ozdobiony złotem i srebrem, obwiązują na około ciała. Noszą czapkę okrągłą z aksamitu zielonego, obszytą barankiem popielatym. Skawiniacy, tak nazwani od miasta Skawina, noszą sukmanę z jasno-niebieskiego sukna, podszytą materyą karmazynową, kamizelkę zieloną, czapkę czworograniatą zieloną, obszytą barankiem czarnym, lub popielatym. Kobiety z Podgórza mają kaftan niebieski, gorset koloru czerwonawego; spodnica żółta dochodzi aż do kostek; fartuch w różnych kolorach jest krótszy. Młode dziewczęta zdobią głowy kwiatami; mężatki okrywają je białemi chustkami. Skawinianki okręcają głowę długiém płótnem, które zgrabnie na ramiona spuszcza się; gorset ich jest jasno-niebieski; spodnica zielona, na dole obszyta taśmami; fartuch różnego koloru, a szal uzupełnia zazwyczaj ich ubiór.

Rólnictwo jest głównem źródłem utrzymania Krakowian; lecz w okolicach, gdzie ziemia nie jest tak urodzajną, przemysł i handel dostarcza im innych źródeł. Niektórzy pomiędzy nimi zostali w ostatnich czasach dziedzicami gruntów.

Krakowiacy zazwyczaj lepiéj się mają od innych mieszkańców wiejskich w Polsce. Mieszkania ich są czyste, dobrze utrzymywane; zwykle otoczone sadkiem z pięknych drzew owocowych; jak młoda dziewczyna znajduje się w domu, koniecznie musi mieć przed swojém oknem mały ogródek, pełen ostróżek, róż, narcysów, pierwiosnków, rozmarynów i innych kwiatów. Jadło Krakowian także jest lepsze niż innych chłopów; chléb żytni, a zwłaszcza ten, który ma nazwisko *prądnik* od wsi, w któréj jest robiony, jest smaku doskonałego i ma tę własność, iż nigdy nie pleśnieje, chociaż jest przechowany przez kilka tygodni. Chleb ten, którego średnica ma dwie stopy, a grubość jednę, jest znany w Warszawie, nawet i w Gdańsku. Krakowianie jedzą trzy razy na dzień: z rana, w południe i na wieczór. Gdy dla roboty oddalają się z domu, biorą z sobą w pole śniadanie i obiad, które im zanoszą ich dzieci lub żony. Jadło, włożone w dwa garneczki gliniane, które się *dwojakami* nazywają, ponieważ są spojone, składa się najwięcéj z jarzyn, bo mieszkańcy tych stron chodują wiele gatunków. Krakowianie nie bardzo lubią mączne potrawy; w okolicach, gdzie jest wiele lasów, chętnie jedzą grzyby, które suszą i zachowują na zimę. Co dzień oprócz dni postu, podczas którego nawet wstrzymują się od masła, najbogatsi mają mięso na stole. Przed jedzeniem piją zazwyczaj mężczyzni po małym kieliszeczku wódki, a starsze kobiety wiernie ich w tém naśladują. Piwo i miód są także ich ulubionemi napojami; wino nie jest tym obce, którzy sąsiadują z Węgrami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№ 129.

z Galicyi i Sandomiersk.

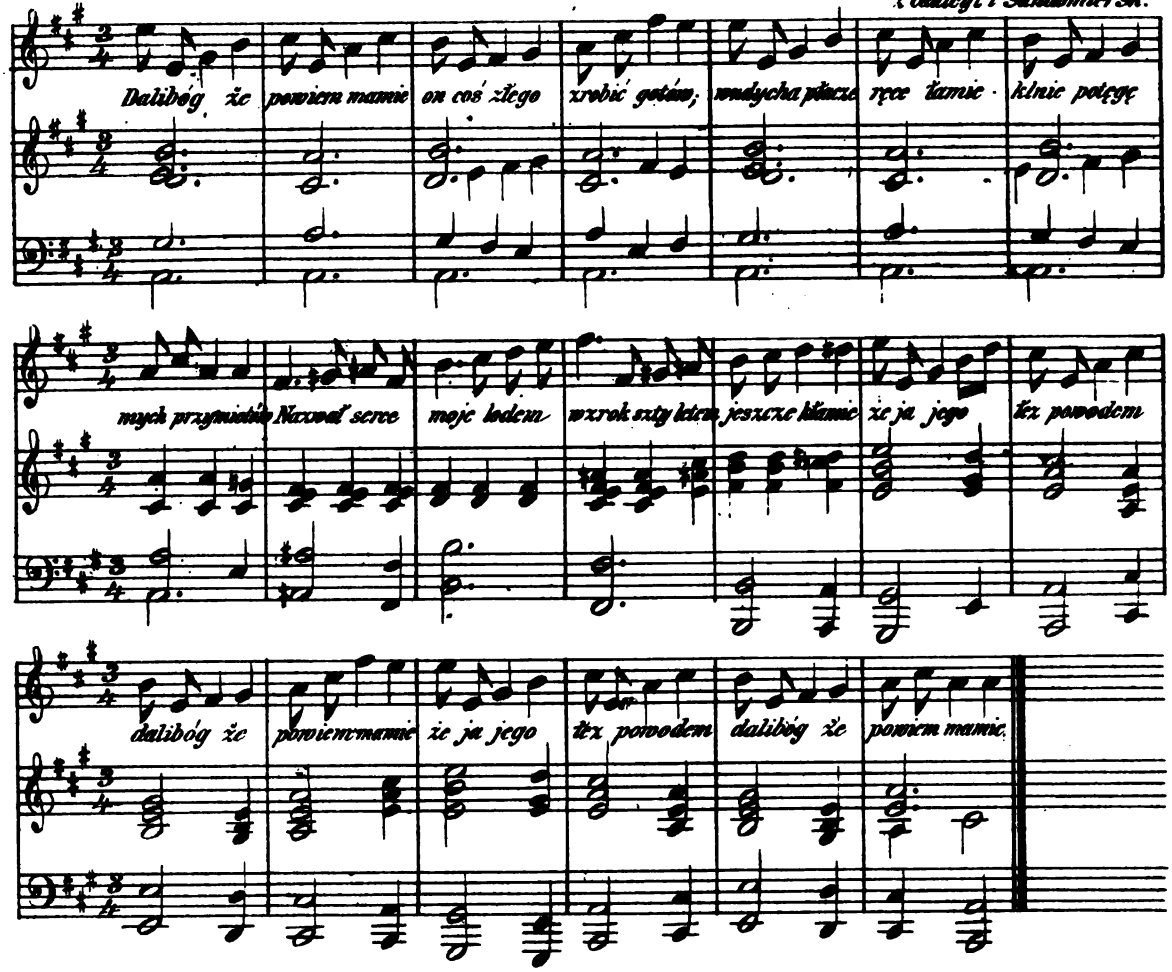

Text do *Nru. 129.*

1. Dalibóg że powiem mamie,
   On coś złego zrobić gotów,
   Wzdycha, płacze, ręce łamie,
   Klnie potęgę mych przymiotów.

2. Nazwał serce moje lodem,
   Wzrok sztyletem, jeszcze kłamie,
   Że ja jego łez powodem,
   Dalibóg że powiem mamie.

3. W noc pod oknem mém narzeka,
   Dzień przepędza nieprzytomnie,
   Gdy przy ludziach to zdaleka,
   Gdy bez ludzi to on do mnie.

4. Chcę nań patrzyć, czuję trwogę,
   Chcę doń mówić, a nie umiem,
   Chcę uciekać, a nie mogę,
   Sama siebie nie rozumiem.

5. Płakać muszę gdy się żali,
   Gdy mu dłoń kładę na ramie,
   To mnie ogień jakiś pali,
   Dalibóg że powiem mamie.

6. Lecz, gdy mama go połaje,
   On przypłacić gotów zdrowiem.
   Albo pójdzie w cudze kraje....
   Nie, już nic mamie nie powiem.

(*Wacł. z Oleska*, P. l. g., str. 263.)

Wiadomości literackie.

1. W Krakowie wyszedł 7my tom: „Historyi literatury polskiéj, Michała Wiszniewskiego," zawierający: „Dalszy ciąg literatury wieku Zygmuntowskiego."
2. W Wilnie wyszła powieść narodowa: „Tajkury przez Edwarda Tarszę, autora Koliszczyzny, Stannicy i t. d." Dotąd doszły nas 2 pierwsze tomy, skoro 3ci odbierzemy, pospieszymy z skreśleniem treści téjże powieści, która w dwóch pierwszych tomach kilka scen zajmujących zawiera.
3. Tamże wydał Jan ze Śliwina: „Pamiętniki umysłowe," które zawierają w sobie prace wielu znakomitych pisarzy. Dotąd wyszły 2 pierwsze tomy. Wkrótce udzielimy bliższéj wiadomości o tém dziele.
4. Daléj wyszły tam: „Listy o Szwecyi." Pisał Eust. Hr. Tyszkiewicz, Towarzystw uczonych członek i korrespondent. Tom I. z rycinami litografowanémi.
5. Opowiadania wierszem Johna of Dycalp.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 5. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 31. Stycznia 1846.

Kościół Najśw. Panny Piekarskiéj z pieśnią o niéj. — Kilka słów o Wieczorach pod lipą (ciąg dalszy i dokończenie). — Obraz Algeru. — Stryjkowski i jego kronika (ciąg dalszy i dokończenie). — List do redakcyi, zawierający wykład napisu etruskiego na kamieniu na ratuszu w Orwietto. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie o wyszłym niedawno u pana Lissnera w Poznaniu katalogu Nr. 7.

Kościół Najśw. Panny Piekarskiéj.

Kościół Najświętszéj Panny Piekarskiéj.

Słynie cudami obraz Najśw. Panny Piekarskiéj na całym Śląsku. Rodacy nasi codziennych tam łask doznają, a miejsce to i dla tego jest pamiętne, że dnia 27. Lipca r. 1697. Kurfürst saski a Król polski August II. złożył wyznanie wiary jako Katolik.

Proboszczem w Niemieckich Piekarach pod Bytniem jest X. Alojzy Fink, mąż zacny, który słowem i przykładem do obudzenia wiary się przyczynia; jemu to mamy do zawdzięczenia przedrukowanie Żywotów ŚŚ. Skargi; owo szacowne dzieło dziewięć kroć z razu przedrukowane, a w końcu przeszłego wieku po raz 10ty wydane i wyczerpnięte, uszło baczności mecenasów literatury, nagrodził to zacny Proboszcz na Śląsku. Mając on szczególne nabożeństwo do Najśw. Panny Piekarskiéj, któréj obraz cudowny w ubogim drewnianym kościółku się znajduje, przedsięwziął przed czterema laty wystawienie nowego kościoła murowanego; żadnych nie miał funduszów, lecz szczęśliwym natchniony pomysłem, ogłosił plan téj budowy na akcye. Akcyj pragnął 5,000 rozprzedać po złotp. 30; każdemu więc wolno za tę składkę tak szczupłą zostać spółfundatorem kościoła. Co Sobotę wiecznemi czasy ma być śpiewana wotywa za wszystkich spółfundatorów. Zebrawszy zaledwie 12,000 złotp. zaczął budowę; aliści kopiąc fundamenta znalazł niespodzianie skład dawniéj ugaszonego wapna, co zapewne jakiś pobożny poprzednik na podobny cel przygotował. Spuszczając się więc na łaskę Najśw. Panny i pomoc Opatrzności, rozpoczął dzieło i w ciągu lat kilku zebrał do 100,000 złotp. i budowlę znacznie posunął. Nie wiem, wiele mu jeszcze zostaje do dokończenia; jednakże pociecha wielka, że o tak pobożném przedsięwzięciu nie wątpił na chwilę; Opatrzność widocznie mu nagrodziła nieograniczoną w niéj pokładaną ufność.

Załączam trzy dawne pieśni do Najśw. Panny Piekarskiéj, przez lud krakowski śpiewane, którem kupił na rynku téj dawnéj stolicy kraju. (*)

Pieśń o Najśw. Pannie Maryi Piekarskiéj.

1.
O jakoś piękna Panienko Piekarska,
W obrazie stoisz ozdobo Śląska,
Ślicznaś jest, biała jako lilia,
Dobrocią pachniesz jak kanwolia.

2.
Liczka rumiane jako dwie róże,
Pozornie patrzysz na grzeszną duszę,
Radabyś wszystkich u siebie miała,
Niechcesz być która dusza zginęła.

3.
Nakłoniłaś nam Synaczka swego,
Na lewéj ręce Twéj siedzącego;
Jesteś Panienko bardzo dobrego,
Że jak poglądasz na Syna swego,

4.
Synaczek Ci Twój ma książeczkę w ręce,
Którą pokazuje swéj najmilszéj Matce,
Prośże Go Matko, niech nas zapisze
Do téj książeczki, która nie zginie.

5.
Cóż to Panienko jabłko ma za znaki,
Że nam przyniosło tak dobre przysmaki,
Tajemnica to jest bardzo wielka,
W niéj się zawiera szczęśliwość wszelka.

6.
Znaczy jabłuszko nam wieczne roskosze.
Których mieć będziemy w niebie potrosze,
Boś Ty nam Panno Syna naprawiła,
Co zepsuła Ewa kiedy zgrzeszyła.

7.
Nie frasujcie się ludzie udręczeni,
Panno Piekarska! Ty na nas wspomnij,
Boś się nie darmo w Śląsku zjawiła,
Tylko żebyś nas w smutkach cieszyła.

8.
Ach pociesz, pociesz, Ciebie prosiemy,
Ratuj nas Jezu! niech nie zginiemy;
Abyśmy wszyscy z Bogiem wiecznie żyli,
A potém się z Tobą w niebie weselili.

D. 11. Marca 1846.

* * *

(*) Nie upatrując w tych pieśniach nic, coby na szczególniejszą uwagę zasługiwało, nie umieszcza redakcya wszystkich w tém piśmie, wybrała tylko drugą, ponieważ ma związek z obrazem.
Przyp. redakcyi.

Kilka słów o Wieczorach pod lipą.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Zewnętrzna forma w ułożeniu całego dzieła zapewne się każdemu podobać będzie; zmyślenie Grzegorza z pod Racławic jest trafne, dobrze obrachowane i przez całą książkę aż do końca konsekwentnie przeprowadzone. Podział całości na wieczory, jest dla dzieła, które ma być popularnem, które ma przystęp znaleźć i przyjąć się u ludu, nader korzystny. Przezeń nie obciążamy umysłu ludu, który nie ma wprawy w myśleniu; przeciwnie ułatwiamy mu wszystko, podając rzecz cząstkowo, a jednak w całkowitych obrazach. Dla tego z zadowoleniem położy czytelnik książkę, ciesząc się naprzód, że w następnym wieczorze dowie się znowu czego nowego. Wreście ma i tę wielką korzyść taki podział, że zgrabnym sposobem może pisarz na początku wieczora przypomnieć to, o czém dawniéj była mowa, a w końcu przydać nauki i uwagi, które tém silniejszy wpływ wywrą, że stanowią zakończenie rzeczy. Dziwi nas więc, że autor opuścił tę metodę; w późniejszych bowiem wieczorach nie znajdujemy na początku takiéj rekapitulacyi. Czytelnik zajęty sprawą swego narodu, gdy przeczyta jaki rozdział i przytém uwagi historyka, mimowolnie sam nad rzeczą się zastanowi, a gdy myśli jego spotkają się z uwagami autora, nabędzie książka tém większéj dla niego wartości. Te wszystkie zalety znajdziemy w pracy Siemieńskiego; szkoda tylko, że jeszcze jednéj myśli, którą w kilku miejscach objawia, nie wykonał, t. j., że nie przydał mappy całego kraju polskiego. Dodatek ten jest koniecznym i dla te-

go wielceby się ten zasłużył, ktoby się tą pracą jak najprędzéj zajął.

Jeżeli autor pięknie rozwiązał zadanie co do formy, na równą pochwałę zasługuje obrobienie treści. Napisać historyą narodu w sposób tak przystępny, iżby ją lud pojął, uważałbym prawie za rzecz, któréj dopiąć nie podobno, a jednak dał nam S. jasny dowód, iż wszystkie trudności pokonać można, jeżeli się serdecznie pracą przejmiemy. Nie zniża autor historyi do powiastki, lecz zachowuje jéj całą powagę, rozbierając najważniejsze sprawy, które do jéj całości należą. Dla tego historya S. nie jest samém opowiadaniem życia Królów, wojen i innych podobnych wypadków, lecz daje razem jasny obraz urządzenia państwa i usposobienia narodu w różnych czasach. Już z tego względu ważném jest to dzieło w naszéj literaturze, lecz wartość jego tém większą, skoro się przekonywamy, że autor umiał to skreślić sposobem potocznym, jakby od niechcenia. Unikając bowiem wszelkiéj ciężkości naukowéj, wtrąca uwagi względem wewnętrznego stanu Rzeczypospolitéj tam, gdzie mu się właśnie dobra podaje sposobność. Tak uczynił na str. 162, 197, 217. W ogóle powiedzieć można, iż różnych użył środków, aby pracy swojéj nadać jak najwięcéj powabu; dla tego nie rzuci tak łatwo czytelnik téj książki, bo co chwilę napotyka przedmioty, które i serce jego zadowolnią i ciekawość zaostrzą. Takie środki są następujące: 1. Zbiera różne podania i powieści, krążące pomiędzy ludem i łączy je z historyą tegoż czasu. 2. Wtrąca przysłowia i objaśnia je wypadkami historycznemi, jak np. na str. 264 o Piekarskim. 3. Rzeczy, które serce Polaka więcéj zajmują, stara się żywiéj i dobitniéj skreślić. Takie opisy mamy na str. 113, (pogrzeb Kaźmierza Wielkiego), 214, 224, 231. Tu nadmienić wypada porównanie Polaków z Moskalami za pomocą obrazu rządów Iwana Srogiego i Rzeczypospolitéj Babińskiéj. Wreście daje dobre nauki, jako to: na str. 144, 173, 175, 243, 273, 300.

Jeżeli więc Wieczory pod lipą co do formy jak treści tak wielkie mają zalety, niezawodnie nastąpi ten skutek, iż w krótkim czasie całéj publiczności czytającéj będą znane. Mężowie, którzy czuwają nad dobrem ludu i z wszelkiéj okoliczności korzystają, aby go wznieść na wyższy stopień oświaty, w pracy Siemieńskiego spostrzegą pomoc, za jaką się od dawna z upragnieniem oglądali. Dla tego powitawszy ją z radością, tém bardziéj starać się będą, aby poznana od ludu, piękne owoce wydała. Dla tych zaś, których natura obdarzyła talentem pisarskim, niechaj będzie bodźcem, aby korzystając z swego daru, stali się oświecicielami ludu w ten sam sposób, co i Siemieński. Niechaj pomną, że jeżeli w dziełach gruntowność i uczoność wysoko cenimy, jednakże w ten czas dopiero prawdziwą wartość mają, gdy się odznaczają tą jasnością i popularnością, która przemawia do każdego człowieka zdrowego rozsądku. W ten czas wzniesie się u nas ta gałęź literatury, która dotąd najbardziéj jest zaniedbana, chociaż nam najbardziéj potrzebna. Jeżeli bowiem pragniemy stanąć w oświacie na równi z innemi narodami europejskiemi, jeżeli przez ślachetne poświęcenie zysków materyalnych dowodzimy, iż nasze postanowienie jest szczére, starać się nadewszystko musimy o podniesienie oświaty pomiędzy ludem. Do środków zaś, które niemylnie do celu tego doprowadzają, należą książki popularne; starajmy się więc, aby ich było jak najwięcéj.

Ułamki z podróży.

Obraz Algeru.

W 48 godzin po odbiciu z Marsylii, chmurą zakryte, nagle powstające z morza ujrzeliśmy wysokie i poważne pasmo Atlasu; i wkrótce stanęło przed nami miasto Alger piętrzące się na pochyłości góry, jak pyramida z białego piaskowca.

Widok tego miasta nader malowniczy. Część dolna zbliżona do portu, ma place i ulice szerokie, na sposób francuski zbudowane; na nich domy wszystkie, opatrzone arkadami, niedostateczny cień dają przechodniom. Górne miasto zupełnie inną, wschodnią ma postać, ulice kręte spadziste i ciasne tak, że trzech ludzi tylko może się zminąć. Wyższe piętra domów wystają na ulicę belkami podparte, albo stykają się sobą, tworząc sklepienie po nad chłodną i cienistą ulicą. W tych uliczkach tłoczy się ludność różnych narodów w rozmaitych ubiorach: Francuzy, Hiszpany, Włochy, Maury, Kabyle, Araby, Murzyny.

Maura poznasz po kurcie, kamizelce i szerokich szarawarach krótkich po kolana; wszystko z lekkiego sukna karmazynowego lub granatowego. Na głowie czapka czerwona, *fez* nazwana, z niebieskim kutasem, chustką owinięta, turban składa. Głowa ogolona oprócz czuba dla tego, żeby nieprzyjaciel, jeżeli ją utnie, miał za co wziąć a twarzy się nie tykał. Broda długa. Na nogach pantofle, które u drzwi pokojów i meczetów zostawują. W zimie kładą na wierzch burnus, czyli płaszcz z kapturem. Te burnusy często się noszą podwójne: spodem biały wełniany, z wierzchu ciemny, w mieście sukienny, na wsi z wielbłądziéj sierści. Maurowie są właściwymi mieszczanami Algeru. Trudnią się rzemiosłami i kupiectwem, na wielki lub mały rozmiar. Wielu rozszerzyło obręb czynności swoich od wejścia Francuzów; tylko nieczynni kapitaliści stracili przez podwyższoną cenę żywności. Kupiec siedzi po-

ważnie w sklepie, paląc długą fajkę, nie zaprasza przechodnia i powiada zwykle umiarkowaną, ale stałą cenę. Kobiety maurytańskie chodzą po ulicach w bieli jak cienie, z twarzą zasłoniętą, tak, że im oczy tylko widać. Krok ich powolny; idąc przechylają się z jednéj nogi na drugą. Jak w domu się noszą, wiedzieć trudno, bo wstęp obcemu jest zabroniony. Jednak kobiety europejskie zaproszone bywają do tych zaczarowanych więźniczek, i od nich można się dowiedzieć o ubiorze Maurytanek. Widać także ten ubiór sprzedawany po sklepach. Składa się on z lekkiéj koszuli jedwabnéj, z szarawarów szerokich a krótkich po kolana, i z małego gorsecika karmazynowego, złotem haftowanego. Ten gorsecik jedwabny, jest na plecach wązki jak ręka; na piersiach jeszcze węższy, kończy się sznureczkiem i guzikiem. Noga bez pończoch obuta w pantofel axamitny, złotem haftowany. Na głowie mała czerwona czapeczka, obwiązana równie jak włosy chustką jedwabną złotolitą. Prócz tego noszą często pas złocisty i chustkę jedwabną, z tyłu u pasa zawieszoną. Mówią, że Maurytanki w ogólności pięknych rysów i pięknie zbudowane, ale rzadko świeżéj cery. Włosy i oczy czarne. Ręce i nogi farbują henesem.

Żydzi ubierają się podobnie jak Maury, tylko w ciemnych kolorach, i podobne mają zatrudnienia. Żydówki chodzą po ulicach bez zasłony, rzadko są piękne, zato ubrane z wielkim zbytkiem. Noszą suknię jedwabną bez rękawów, złotem wyszywaną; na głowie bogatą chustkę, albo stożkową metalową klatkę. Przepych ten zmniejsza się pod wpływem prostych, ale często zmienianych i pranych ubiorów europejskich.

Kabyle, czyli Górale, odziani po prostu w koszulę i szarawary płócienne, z czapką czerwoną na głowie, noszą ciężary, wiosłują i tym podobne wyrobnicze prace w mieście wykonywają. Składają oni osobne cechy, równie jak Murzyni i inne pokolenia z nad granic Sahary. Każden z cechów ma na czele Amina, który ma prawo dozorować i sądzić podwładnych swoich, nawet karać więzieniem i biciem w pięty. Ważniejsze sprawy wytaczają się przed rząd francuski. Tych cechowych wyrobników jest w Algerze przeszło pięć tysięcy. W nocy owinięci w burnusy śpią po ulicach. Żyją oszczędnie chlebem i wodą, a zebrawszy trochę pieniędzy wracają w góry. Kabyle mają język od Arabów odmienny, i nie są jeszcze Francuzom poddani. Arabowie z dolin chodzą w koszuli i długich burnusach, na głowie sznurkiem z wielbłądziéj sierści przytwierdzonych. Kobiet kabylskich i arabskich niema w Algerze. Owszem Murzynów mało, a Murzynek wiele, które chodzą w niebieskim burnusie, i trudnią się zwykle sprzedażą krajowego chleba, w bochenkach okrągłych a płaskich.

Patrząc na tę rozmaitość ubiorów, tłoczących się na placu królewskim, a w głębi widząc morze, okręty i błękitne góry Atlasu, zdaje się, że podobny, chociaż nieskończenie wspanialszy, będzie widok nieba: taka rozmaitość narodów, zjednoczonych pod prawem doskonałéj wolności, w obliczu morza nieskończoności.

Domy maurytańskie nie mają zewnątrz wcale, albo bardzo mało okien, i wcale są niepozorne, ale cały ich przepych i ozdoba jest wewnątrz, jak w duszy prawego Chrześcianina; wchodzi się do domu przez małe drzwiczki, i ciemny przysionek, który prowadzi do małego wewnętrznego podwórza. To podwórze jest brukowane marmurem, i otoczone podwójnym, albo potrójnym rzędem małych, krętych i ozdobnych marmurowych słupów. W koło chodniki przy izbach. W izbach ściany wyłożone polewanemi cegiełkami do 4 lub 6 stóp wysokości, ściany bielone, gzymsy na wzór alambry, albo sufit cedrowy. Te domy krajowe są malownicze i przyjemne dla chłodu; rodzina w nich mieszka zupełnie odosobniona. Zamiast dachu jest taras, na który idą wieczorem cieszyć się okazałym widokiem morza przy świetle xiężyca. Niestety, Francuzi wiedzeni chęcią zysku, burzą wiele tych domów, i natomiast stawiają nowe na sposób paryski z wielu oknami. Chociaż okna osłonięte są drewnianemi żaluzyami, jednak w tych domach, do klimatu nie stósownych, upał nieznośny. Z czasem nikt we francuskich domach nie będzie chciał mieszkać, i wtedy chciwi spekulanci przestaną je stawiać, ale tymczasem większa część dawnego Algeru będzie zburzona. Miasto straci na tém nie tylko chłód, ale jeszcze podlegać będzie bardziéj trzęsieniom ziemi. Niedaléj jak w 1717 roku trzęsienie ziemi trwało 9 miesięcy i obróciło w gruzy cztery piąte części miasta. Odtąd krajowcy podpierali domy jeden o drugi. Tylko główne ulice, jak Babazun i Babelued, sprawiedliwie są rozszerzone, dla ruchu powozów. Xiążę Isly, to jest Marszałek Bugeaud, i władze urzędowe, nie dzieląc powszechnego przesądu, mieszkają w domach maurytańskich, a nowe domy, które Rząd stawia, są przynajmniéj małą liczbą okien mniéj wystawione na upał afrykański.

Lud francuski nie umie stósować się do obcych zwyczajów, a tém uporniéj swoich pilnuje. Już zaprowadzili w Algerze ulubioną Francuzów rozrywkę, i urządzili teatr z desek papierem wyklejonych. Zwykłą jednak zabawą wieczorem jest przechadzka na placu królewskim, który we dnie za giełdę służy. Stawiają na tymże placu budynek, który będzie razem zawierał giełdę i teatr. Na nim stoją najlepsze hotele i kawiarnie. Plac ku morza otwarty, widać port, morze, okręta i góry. Chodząc wtedy po mieście, słychać śpiewy i zabawy różnych narodów. We francuskich kawiarniach

Proszowiacy.

stoły są marmurowe, statki czerwonym axamitem obite. Czytają tam dzienniki, grają w karty, a zamiast lodów i chłodzących napojów, piją kawę czarną z koniakiem, albo wódkę piołunową z wodą. Tam często uszy obrażają wędrowne śpiewaczki i gminne trubadury. W uboższéj izbie piękniejszą nucą barkarolę Włochy albo Hiszpany. Jeżeli daléj odważysz się

zabłądzić w labirynt ciemnych i krętych uliczek, znajdziesz kawiarnią krajową. Tam schodzą się Maury z długiemi fajkami, a zdjąwszy pantofle siadają na słomianych tkankach. W milczeniu czasem paląc fajkę, piją czarną kawę z fusami w filiżankach bez uszka i spodka, płacąc za jednę dwa sous, czyli pięć groszy polskich. Słuchają oni także śpiewaków swoich. Są to starcy; jeden brząka na staroświeckiéj gitarze, wypukłéj jak pół gruszki; drugi szemrze na dziwacznych, pierwotnych, przedpotopowych skrzypcach; trzeci ręką trąca na bembenku. Jednostajna nóta ich śpiewu jest podobna do naszych kantyczek, albo dumek ruskich, podobna do szumu fali morskiéj, który im często wtoruje. Nie rozumiejąc arabskiéj mowy, pojąłem jednak treść smutnéj piosenki: żałość niewoli, pobudka do wojny świętéj; bo w sercu mojém podobne odzywały się uczucia, jak wdzięczne echo zbudzone.

Stryjkowski i jego kronika.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Materyały Stryjkowskiego mijając już cytaty z xiąg drukowanych za jego czasów lub późniéj ogłoszonych, a dziś nam dobrze znajomych, były dość liczne, a szumniéj jeszcze dla zjednania wiary i wyniesienia pracy opisane przez niego, teraz się nam może jeszcze znamienitszemi i liczniejszemi, niż w istocie były, wydają. To pewna, że Stryjkowski, chociaż znał Długosza dobrze (bo go tłumaczył) jego się nawet przykładem nie nauczył używać do historyi dokumentów i aktów oryginalnych, nigdzie się w kronice na nich nie opiera, a jeżli gdzie one *per occasionem* cytuje, to z drugiéj już ręki, sam ich nie przejrzawszy.

Per extensum żadnego aktu nie umieścił; jest tylko początek przywileju erekcyjnego Biskupstwa wileńskiego odłamany i aktu Unii horodelskiéj cząstka i t. p., ale oba nic nowego do historyi nie wprowadzają, niczego nie podpierają, a pierwszy tylko z rękopismu wypisany. Wyżéj 1387 r. trudno zapewne (chociaż nic niepodobna) było mieć akta i dyplomata, ale późniejsze daleko łatwiéj, a nie mniéj potrzeba, Stryjkowski jednak wolał gotową rzecz z latopisców i kronik zbierać, niżeli tworzyć. Miał on mieć dwanaście latopisców litewskich, pięciu pruskich, czterech inflantskich, pięciu polskich (Długosz, Miechowita, Kromer, Bielski i Wapowskiego ułamek), czterech kijowskich, w ogóle trzydziestu; a jeden z nich miał być po słowiańsku pisany. Latopisców litewskich czasem liczy aż do piętnastu (Xię. III.): „Wszystkie latopisce ruskie, litewskie i żmudzkie, którychem z różnych miejsc zebranych piętnaście zgadzał i w jedno miejsce dla wybadania a doświadczenia prawdy historyi znosił z pilnością, konformował na to etc.“ Toż pisze, iż dochodząc potomstwa Olgerdowego, piętnaście ich konkordował (Xięga XII. Rozd. XIII.). Czasem (już późniéj) dwanaście ich tylko wymienia (jako Xię. XVIII. Rozd. IV., toż Xię. XVIII. Rozd. VI.). Jeżeliby się ściśle wzięły te słowa i uważyło, że tam ich piętnastu, tu tylko dwunastu zgadzał, możnaby wnieść, że trzy kroniki już mu daléj nie służyły i nie dochodziły do XV wieku opowiadaniem, a zatem, że były trzy starsze nad wiek XV. Innych bowiem ciągle jeszcze cytuje, aż w XVI wieku nawet, jako źródła, acz coraz już rzadziéj, mając dostateczniejsze materyały w polskich kronikarzach. Pod rokiem jeszcze 1459. (Xię. XIX. Rozd. II.) latopisca ruskiego, pod r. 1479. (Xię. XX. Rozd. IV. ad finem) i jeszcze latopisce w r. 1505. (Xię. XXII. Rozd. III.) cytuje, nawet daléj. Ci latopisce, jak byli pisani, i że *nie po litewsku*, wątpliwości niema najmniejszéj. Raz, że za tém jest poparte wszelkiego rodzaju podobieństwy przekonanie moralne, powtóre, nawet słowa samego Stryjkowskiego wyraźne, już to w *Gońcu cnoty*, gdzie pisze:

Przeto i oni (Litwa) choć pisma nie znali,
Jednak potomstwu świadectwo podali,
Spraw swych, *których też Ruś część spisała*,
Z swemi zmieszała.
(*Goniec cnoty*, 1574. sign. Oiij.)

już to w kronice saméj, gdzie o Witenie mówiąc (Xię. X.) przy końcu jego panowania, dowodzi, że on był synem xiążęcym, a Gedymin jego synem, nie Marszałkiem; używa świadectwa latopisców i tak się wysławia:

„Latopisce też *wszystkie litewskie po rusku pisane*, których Litwa starodawna za kronikę używa.“ Zdaje się, że to najmniejszéj wątpliwości nie zostawia, iż owe latopisce, były z rodzaju takich, jaki jeden ogłosił częściowo uczony Daniłłowicz. To też, że były po rusku pisane, w części odkrywa, że nie były tak starożytne jak je mieni Stryjkowski, a mianowicie, że nad wiek XIII., żaden starszy być nie mógł; zdaje się zaś, że bardzo owszem a bardzo były późniejsze.

Dojść też można z zażaleń Stryjkowskiego, iż owe latopisce nie wymieniały i nie oznaczały lat (o czém i Bielski świadczy) po prostu z podania pisząc dzieje i nie troszcząc się o chronologią, on zaś dopiero (Stryjkowski) sam, jak mógł lat podochodził i tylą błędami zasypał historyą, dowolnie zupełnie odnosząc wypadki, niemal jak mu wygodniéj było. Tego układu kronik są liczne dowody. O Erdziwille Montywiłłowiczu pisząc, przywodzi on latopisce litewskie, z tym dodatkiem, że lat nie kładą kiedy się to działo, a on sam z innych uwag, rok nadał 1212. wyprawie jego na Ruś, ze trzema, podejrzanéj exystencyi towarzyszami. Oto jego słowa:

„Acz lat liczby kiedy się co działo, nie kładą na żadnym prawie punkcie, bo tak głęboko

w inne historyki wejrzeć nie mogli, dla prostości owych czasów, z kądby porządek lat wyczerpnęli, ale zgoła *prosto* brną (co i ja chwalę. (?)

I znowu (Xię. VI. Rozd. XIII.): Tacy byli nikczemni (tu się już pognieważ na nich) i bez mózgu prawie Pisarze latopisców ruskich i litewskich, iż swoje historyjki, lada jako bez baczenia, co im ślina do ust przyniosła, pisali, a lat albo roków, którego się co czasu działo, na żadném miejscu nie kładą, nie uważywszy tego i t. d.

Łatwo się domyśleć, ile to błędów z bałamutnego determinowania dat urodzić się musiało, przy tak nikczemnéj krytyce i szczególnéj skwapliwości w pochwytywaniu pierwszego z brzegu podania, nieco z rzeczą związku mającego, bez rozpatrzenia, czyli w istocie ono w te czasy odnieść należało.

Co się tycze liczby kronik, dziś nam dziwnéj, gdy my tylko parę ułamkowych, a późno regulujących się latopisców znamy; z samegoż Stryjkowskiego domyślać się godzi, iż nie tyle ich było oryginalnych, ile pisze, *exemplarzy*, lecz jednéj, dwóch, trzech nareście, oddzielne, a nieco tylko różne kopie. Stryjkowski bowiem i druków często po dwa wydania cytować lubi. W kilku miejscach cytaty w tłumaczeniu z latopisców, okazują (cf. xięg. II., rozd. VIII. o przyjściu Włochów za Nerona), że one już w chrześciańskiéj Rusi pisane były. Styl bowiem w tłumaczeniu czuć przekładem ze słowiańskiego, a lata liczone od stworzenia świata.

Z wielkiéj téj liczby latopisców ledwie kilka da się odróżnić w kronice, wyraźniéj wymienionych i odznaczających się.

Znajdujem w przedmowie *Gońca cnoty* (do Jana Chodkiewicza), że do historyi Litwy używał kroniki rękopismowéj Dymitra Mnicha jakiegoś, po rusku starożytnym charakterem pisanéj, zawierającéj do dziejów Litwy materyały, zkąd i o Palemonie miał wziąć. Lecz kiedy pisana była ta kronika i z jakiego czasu? ani słowa, Ep. Dedic. A. *Et partim Litvanicae historiae commentarios Demetrij Monachi Ruteno charactere antiquitus scriptos suppeditavit* etc. *Quomodo Itali duce Palemono (Mathia Miechovita et Demetrio Ruteno testantibus etc.)* Z resztą trudno jest co więcéj dojść o téj kronice, prócz, że wszystkie waryanty, jakie między powieścią w *Gońcu*, a *Kronice* spotykają się, do niéj należą i z Dymitra Mnicha tego wyczerpnięte.

Dwa jeszcze w kronice saméj uda się odkryć litewskie latopisce, wyraźnie wymienione, pierwszy wspomniony jako użyczony od XX. Zasławskich z Berestowicy większéj. Tego cytując Stryjkowski w tłumaczeniu cząstkę, zdaje się nas przynajmniéj naprowadzać na drogę do śledzenia, kiedy był pisany.

O Atylli bowiem pisząc, wspomina rzekę Juhr i dodaje: „A Juhra *teraz* w ziemi Iwaka Cara," (ma być Iwana). To pokazuje, że Kronikarz berestowicki pisał zapewne za Cara Iwana Bazylewicza Groźnego, a zatém już w XVI wieku. Tym to zapewne samym latopiscem długo posługuje się Stryjkowski, bo po rok 1505. z niego może cytuje powieść o koronie Witolda, którego Posły mieli, wedle latopisca, lat trzy we Włoszech bawić, dla rozruchów niemogąc powrócić do Litwy.

Inny jest jeszcze wymieniony wyraźniéj u Stryjkowskiego latopisiec błędny, któremu on wymawia, że i jego w błąd wprowadził nieraz, w wywodach dawniejszych rodziny XX. litewskich; u którego bajeczna córka Kiernusa Pojata, jest córką Kukowojtysa; inne też omyłki w powieściach od pospolitych, użytych przez Stryjkowskiego do kroniki, różniące się: o Kukowojtysie, Utenesie, Giedrusie, pięciu synach Romunda, przypisanych Trabusowi. Po tém wszystkiém poznać byśmy mogli dostawszy tego latopisca. Lecz, że właśnie takie omyłki znajdują się w *Gońcu cnoty*, a *Goniec* opierał się wyłącznie na Dymitrze Mnichu, wnosim za pewne, że ta kronika błędna, o któréj mowa, nie inszą jest, tylko latopiscem Dymitra; co rozbiór *Gońca* jak najmocniéj potwierdza. Reszta latopisców litewskich i ruskich, po większéj części z sobą zgodnych, nie wychodzą nigdzie u Stryjkowskiego na jaw. Są niekiedy jednak cytowane drobne waryanty w podaniach (jako xięg. V., rozd. I. ad finem) na przykład w dziejach Rusi, po Kornasie i Gimbucie wpakowanych, gdzie i Herberstein wezwany na pomoc przy kronikach staje. Począwszy od Swintoroha owego, który, wedle rachuby naszego autora, urodzić się miał dobrze wprzód, nim jego ojciec i dziad żyli, daléj już historya Litwy i cytaty do Ryngolda rzadsze i mniéj znaczące, dołatywane rzeczy próżne, postronne i następstwo tylko Xiążąt, Bóg wie po jakiemu ciągnione. O Witenesie też mało z kronik ruskich i litewskich; z ruskich tylko o wzięciu Połocka 1307 roku. Lecz żebyśmy jeszcze lepiéj wiedzieć mogli, ile z latopisców korzystał nasz autor, wymienim tu ogólnie, co z nich wyczerpnął, do roku 1387.

(Artykuł ten stanowi początek większéj pracy J. J. Kraszewskiego, która będzie wkrótce drukiem ogłoszona. Redakcya urywa na tém, ponieważ to, co dotąd wydrukowano, rzuca dostateczne światło na osobę Stryjkowskiego; reszta zawiera szczegółowy rozbiór kroniki Stryjkowskiego.)

Szanowna Redakcyo!

W numerze 20m roku dwunastego Przyjaciela ludu, na karcie 157, wyobrażony jest kamień z napisem etruskim na ratuszu w Orwietto.

Nie znalazłszy przytém wykładu tego napisu, który zapewne i samym dzisiejszym tegoż miasta mieszkańcom zrozumiałym nie jest, chcę go niniejszém wykładać. Napis ten, jak zwykle wszystkie starodawne Etrusków, Fenicyan i Sławian pomniki, czyta się wspacznie, od prawéj ku lewéj ręce, i brzmi:

LUTECIA CESARis.

Wyraz *Lutetia*, znaczący tyle co u nas: *gród*, był za czasów Juliusza Cezara przydomkiem okazałych miast, jak, naprzykład, w pismach tegoż Cesarza Paryż nazwanym jest: *Lutetia parisiorum*. Podobnież tedy i miasto dziś włoskiém oznaczone nazwiskiem: *Orwietto*, nazywało się w ówczas: Lutetia caesaris, to jest: Gród cesarski, albo Carogród; a jeżeli nie miasto całkowicie, to może sam tylko ratusz; jak podobnież i w Polsce Burgrabiowie królewscy po większych miastach w odosobnionych grodach, czyli zamkach, wyższém zarządzali sądownictwem.

Bydgoszcz, dnia 26. Marca 1846.

Tadeusz Wolański.

№ 130.

Od Wielczki.

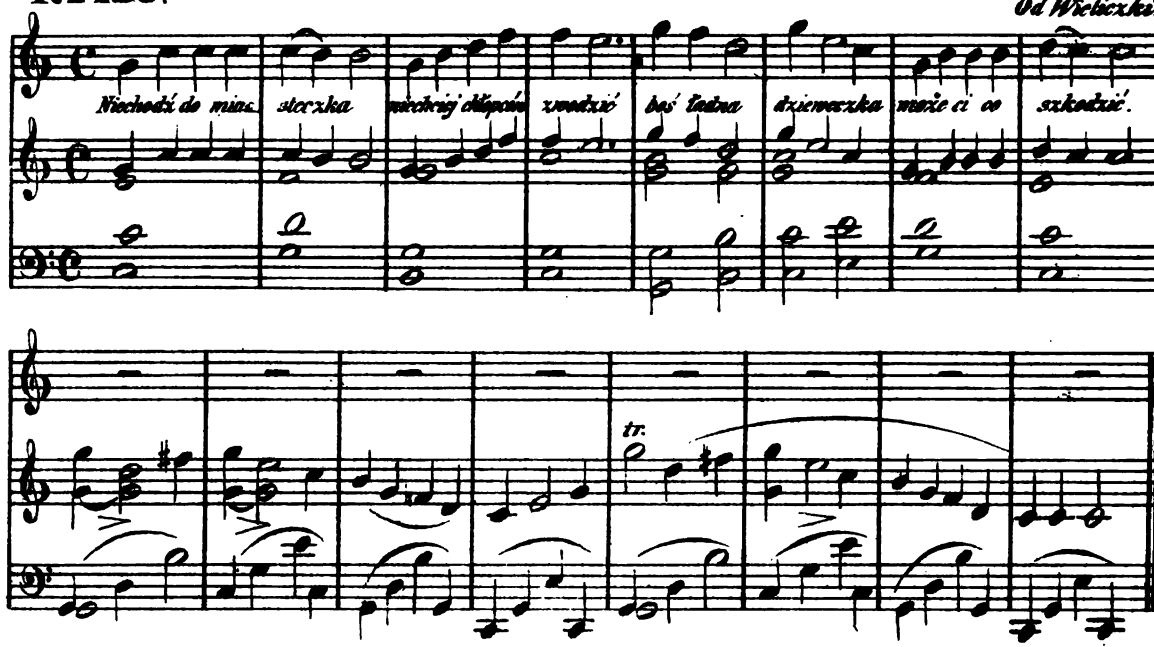

Text do *Nru. 130.*

Nie chodź do miasteczka, nie chciéj chłopców zwodzić,
Boś ładna dzieweczka, może ci co szkodzić.
Nie chodź koło wozu, nie trzymaj się osi,
Nie chodź do dziewczyny, niech cię sama prosi.
(*Wacl. z Oleska*, P. I. g., str. 125.)

Sprostowanie.

W numerze 3cim na stronie 17téj wkradł się błąd przez nieuwagę w spisie rzeczy; proszę poprawić „klechd“ zamiast „klechdów.“

Przyp. redakcyi.

UWIADOMIENIE.

Poważam się szanownéj publiczności, zajmującéj się historyą polską, moje nie dawno wydane 2 katalogi:

a, do historyi polskiéj, i
b, do teologii,

powtórnie z tém nadmienieniem polecić, iż nowy katalog Nr. 7. do historyi polskiéj właśnie u mnie wyszedł.

Wszystkie te 3 katalogi są u Jabłońskiego w Lwowie, u Orgelbranda w Warszawie, u Deubnera w Rydze, bezpłatnie do nabycia.

J. Lissner,
w Poznaniu na Wilhelmowskim placu.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 6. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 7. Lutego 1846.

Wzmianka o Alexandrze Hr. Batowskim przez Kajetana Koźmiana. — O chłopach we Francyi. — Krakowianie (ciąg dalszy i dokończenie). — Anegdota. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Alexander Hr. Batowski.

Wzmianka o Alexandrze Hr. Batowskim.

(Przez *Kajetana Koźmiana.*) (*)

Rok 1841., który nie jednę zacną rodzinę grubą okrył żałobą, nie zeszedł bez nowéj i dotkliwéj straty. Na dniu 29. Grudnia w Preiche, w Francyi, w departamencie Mozeli, wszedł do grobu Alexander Hr. Batowski, Wielki Łowczy dworu Najjaś. Cesarza wszech Rossyi, Kawaler wielu orderów, w wieku więcéj nad 80ty rok życia. Śmierć jego nie przestanie być żałośną dla tych wszystkich, którzy ubiegłą przeszłość skłonniejsi są cenić niż obmawiać; którzy w niéj chętniéj wyszukują dobrych i zacnych wzorów, niż ohydnych przykładów; chętniéj cnót i zalet, niż wad i przywar, wspólnych wszystkim wiekom i czasom. Będzie ona szczególniéj bolesną dla téj już małéj liczby sędziwych świadków, towarzyszów, przyjaciół zmarłego, którzy go szanowali i kochali, bo go znali gruntownie. Batowski żył długo; częściéj przemieszkiwał we Francyi niż w Polsce; po raz ostatni widzieliśmy go w Warszawie w r. 1829. Nie wielu żyje z dawniejszych, coby go pamiętali; nowego plemienia jedna część go nie znała, druga może i o nazwisku jego nie wie; damy więc ile być może krótki rys jego życia. Alexander Benedykt Batowski, urodził się w województwie niegdyś Sandomirskiém d. 18. Maja 1760 r. z Antoniego Wojskiego (Tribunus) Pilznieńskiego i Franciszki Paszkowskiéj Batowskich, zacnych i znakomitych w obywatelstwie, a dostatnich majątkiem rodziców. W nader młodym wieku udał się z Pacem, członkiem Konfederacyi Barskiéj, a przyjacielem ojca swego, do Paryża; tam przedstawiony Panu Vergennes, Ministrowi interessów zagranicznych, z polecenia jego umieszczony w pułku francuskim *Royal Suédois*, dosłużył się kapitaństwa; w r. 1788. porzucił zagraniczną służbę, wrócił do Polski, i na sejm 1790. został Posłem z województwa Inflantskiego; r. 1791. mianowany był pierwszym Sekretarzem Poselstwa nadzwyczajnego w Berlinie; r. 1792. Komisarzem pełnomocnym Stanów Rzeczypospolitéj koronnych do Kurlandyi, a między 1798. i 1807. Ajentem polskim we Francyi, gdzie wszedł w małżeńskie śluby z Panną De Wackiers, majętną w Belgii dziedziczką. Mieszkając ciągle we Francyi, miał sposobność zaznajomienia się z najznakomitszymi owéj epoki mężami, z wielą w ścisłéj żył przyjaźni, a szczególniéj z Xięciem Tallejrand, który im go więcéj do swoich osobistych widoków potrzebował, tém usilniéj do siebie pociągał. Podczas wojny pruskiéj przedstawił go Napoleonowi, został więc mianowany Komisarzem Rady najwyższéj, przy osobie Cesarza. Po zawarciu pokoju w Tylży, Napoleon wysłał go do Króla saskiego z oznajmieniem, że nowo utworzone Xięstwo warszawskie dostaje się pod berło tego monarchy, a dając mu to zlecenie, na znak zadowolnienia z jego posług, odjął sobie krzyż Legii honorowéj i nim piersi Batowskiego własną ręką ozdobił. Król saski zatrzymał przy sobie wskazanego mu do względów Posłannika i mianował Posłem do Hiszpanii. A gdy skutkiem zmiennych kolei wojny na półwyspie spóźniał się powrót Króla Józefa do Madrytu, a nowa wojna na północy wynikła, Król saski powierzył mu r. 1812. urząd Komisarza do przyjęcia Ambassady francuskiéj, zesłanéj przez Cesarza Napoleona do Warszawy, zrobiwszy go wprzód Krajczym Xięstwa warszawskiego. Po oddaleniu się władz rządowych i zagranicznych z Warszawy, Batowski udał się do Drezna, a ztamtąd z Napoleonem do Paryża. Po zrzeczeniu się przez Cesarza tronu, osiadł w dobrach swoich w zamku Carlopont, położonym o mil kilkanaście od Paryża; używał obszernéj i w dzieła starożytnych i nowoczesnych najznakomitszych pisarzy zamożnéj biblioteki; a sprawując razem urząd miejscowego gminy zwierzchnika, łagodnym rządem i dobroczynném postępowaniem tak sobie lud wiejski swojéj gminy ująć potrafił, iż ten lud, na znak wdzięczności i dla uwiecznienia pamiątki w jego osadzie (Batowskiego), utworzył z dobrowolnych składek pewną uroczystość wiejską, za naczelnika jéj wybrał swego zwierzchnika i patent przez starców gminy w ręce jego złożył. Tym upominkiem najwięcéj lubił chlubić się Batowski. Lecz wkrótce większy dowód ufności go czekał. Po wylądowaniu Napoleona z Elby, został obrany przez gminę swego departamentu Reprezentantem na pole Majowe; rzadki zaszczyt dla cudzoziemca we Francyi. Powtórne wejście wojsk sprzymierzonych do Paryża zastało go w tém mieście, gdzie w cichości mieszkał, ani usuwając się od nowych wypadków, ani nastręczając rozwijającym się nadziejom. Cesarz Alexander wezwał go do siebie: krótka i otwarta z tym wielkim, a słusznie od całéj ludzkości wielbionym monarchą rozmowa, tyle ujęła i przekonała Batowskiego, iż przedał swoje dobra we Francyi, zgromadził fundusze, zabrał z sobą rodzinę i zjechał do Warszawy, w zamiarze już osiedlenia się na zawsze w ojczyźnie. Wkrótce Cesarz Alexander raczył go przy swoim dworze umieścić i godnością Wielkiego Łowczego w Królestwie nowo utworzoném zaszczycił. Opatrzność zmordowanemu tylu burzliwych i trudnych epok uczestnikowi, nie dozwoliła używać zasłużonego spoczynku. Wkrótce dla słabości żony wy-

(*) Autor Pochwały Mokronowskiego i Życiorysu Jana Tarnowskiego zbyt skąpo zasila swemi pracami publiczność, ażebyśmy nie mieli czytać acz krótkiéj, lecz z równą treściwością jak czułością skreślonéj przezeń *Wzmianki o Alexandrze Batowskim*, o umieszczenie któréj upraszam redakcyą Przyjaciela Ludu.

P. S.

jechać musiał do wód, ztamtąd po radę lekarzów do Paryża. Po śmierci téjże, znowu przez związki familijne i majątkowe dzieci swoich, znalazł się podzielonym między Francyą i Polską, i już tylko niekiedy do drugiéj uczęszczał. Ostatni raz widzieliśmy go w Warszawie roku 1829.; a wtedy otrzymawszy od Najjaśn. Monarchy najłaskawsze pozwolenie mieszkania we Francyi, już więcéj rodzinnego kraju nie ujrzał. Batowski osobą swoją przez wychowanie, ogładę obyczajów, oświecenie, miłość cnoty i honoru, wyobrażał piękniejszą epokę panowania Stanisława Augusta; jakoż mieścił się zawsze w gronie tych mężów, i z wszystkimi żył w ścisłych politycznych i przyjaźnych związkach, którzy: jak Adam Xiążę, Generał ziem pod., Józef Xiążę, Stolnik W. X. lit., Czartoryscy, Stanisław Xiążę Jabłonowski, Poseł w Berlinie. (*) Ignacy i Stanisław Potoccy, Julian Niemcewicz, Weyssenhoff i t. d., byli tego panowania zaszczytem i ozdobą. W młodości swojéj piękną i powabną obdarzony postacią, z tkliwém sercem i gorącemi uczuciami, z żywym dowcipem wykształcony wśród najcelniejszych towarzystw stolicy ucywilizowanego świata, snadny w układzie, przyjemny w obcowaniu, łatwy w pożyciu, nie dopuszczając się nigdy gadatliwości, chełpliwości, lub obmowy, pociągnął do siebie wielu, podobał się wszystkim, i temu powszechnemu w nim upodobaniu winien był nie jedno szczęśliwe powodzenie. Ale te powodzenia nie skaziły serca jego ani samochwalczą próżnością, ani odstręczającém zarozumieniem. Roztargnienia wielkiego świata, wdzięk i powab światłych towarzystw, nie trętwiły w nim chęci do nabywania cenniejszych zalet, ani zabierały czasu do usposobień, ku poświęceniu się ważniejszym obowiązkom społeczności i powinnościom jéj członka. Umiał czas trawić przyjemnie, umiał pożytecznie. W dziejach i dziełach rozumu ludzkiego czerpał naukę. W obcowaniu z najznakomitszymi swego wieku mężami, wyciągnął z nich dla siebie prawidło życia; *tenere ex Sapientia modum.* Cycero, Tacyt, Horacyusz, byli jego ulubionymi mistrzami. Tego ostatniego na pamięć prawie umiał, i we wszystkich przygodach życia miał zawsze w myśli jego rady, na ustach wyrazy. Kraj swój kochał, położenie jego rozumiał, potrzeby jego znał. Wylany dla niego, nie nastręczał się znaczeniu, lecz wezwany, z ochotą i gorliwością do posług jego się garnął. Wszystkie odbył z chlubą dla siebie, niektóre nie bez niebezpieczeństwa i nie bez ofiar majątku: bo to szlachetne serce, jak nigdy samolubstwu i chciwości nie było przystępnem, tak wszystkich poświęceń było zdolném. Gdy po traktacie Tylżyckim Cesarz Napoleon ubogacał Marszałków swoich dobrami Xięstwa warszawskiego i razem z nimi kilku Polaków do udziału tych nagród przypuścił; Tallejrand z rozkazu Cesarza umieścił na liście mających być obdarzonymi Batowskiego i wezwał, aby sobie dobra ze znakomitym dochodem wybrał. Lecz Batowski, bądź zasługi swoje zbyt skromnie cenił, bądź zubożonego skarbu uszczuplać wzdrygał się, odmówił. Z takiemi zasadami zbliżał się do podeszłéj starości, aby zaś zrobił ją dla siebie nietęskną, dla drugich nieuprzykrzoną, szedł ciągle z wiekiem, w który Opatrzność wątek dni jego przeciągnęła. Żył w dobréj harmonii z obecnością, przeszłości się nie wypierał; bo niemiał powodu rumienić się za nią. Młodszych pociągał do siebie, od starszych się nie oddalał. Pierwsi czcili w nim i lubili sędziwość rozweselającą się wspomnieniami przeszłości, drudzy widokiem czerstwości i świeżości jego serca i umysłu rozweselali posępną powagę starości. Przecież chociaż ciągle z postępującemi wyobrażeniami szedł naprzód, chociaż ze stałą ciekawością w wiek obecny się wcielał, nie czynił mu jednak żadnych ustąpień z ważnych i raz przyjętych przez siebie prawideł życia. Cześć jego dla religii, wyobrażenia jego o miłości kraju, o cnocie, o honorze

(*) Nie można pochlebniejszego dać o nim świadectwa jak *a*) przytoczyć wyrazy w liście Stanisława Augusta przez niego do Xięcia Jabłonowskiego do Berlina własnoręcznie pisanym dnia 12. Sierpnia 1791. z Warszawy: „*Le Chevalier Batowski,* (pisze Król) *est „une lettre vivante, ainsi je me rapporte à Lui pour tout „ce que vous aurez à savoir d'ici. Et je me borne donc „a Vous dire que je compte Batowski au nombre de „plus fermes apuis de notre Oeuvre du 3. Mai...*“ — *b*) załączyć list Stanisława Małachowskiego do niego pisany:

List Stanisława Małachowskiego, Prezydenta Rządu polskiego, do Alexandra Batowskiego.

Warszawa, dnia 29. *Junii* 807.

W godzinach ranniejszych miałem honor odebrać list z Królewca, pisany pod d. 26., za któren z serca dziękuję. Zawsze umiałem szacować JW. Pana, lecz teraz pozwól, iż żywiéj czuję ten ścisły obowiązek Jemu winny, gdy nie tylko ukazujesz się być dla mnie stałym w utrzymaniu przyjaźni, lecz i obywatelem a gorliwym w szukaniu szczęścia krajowego. Jeżeli przerażony byłem wiadomością o armistitium, to zapewnienie JW. Pana o sprzyjaniu Xcia Jmści Benevent zaspokaja mę troskliwość, ten bowiem Minister światły, przenikający na dal, a wchodzący w naszą niedolę, może te dotąd uciski w straceniu imienia Polaka potrafi zaradzić z uszczęśliwieniem nas a zaspokojeniem interessów Europy. Nie rozszerzam się w téj mierze czułemi wyrazami życzenia krajowi naszemu, bo wiedząc do kogo piszę, skracam, a przytém że kuryer wysyłany przez Generała Lemarois ledwie nie czeka na mój list, Racz kochany kollego znosić się z Jmć Panem Stanisławem, z którym jestem w ściśléj przyjaźni; obydwaj dzielcie swe trudy w dopomaganiu interessom naszym, abyśmy szczęśliwszymi zostać mogli, a mnie chciéj stale w swéj łasce i przyjaźni zachować jako przywiązanego sługi i przyjaciela

St. Małachowski.

Napis na kopercie: *A Monsieur Monsieur le Chevalier Batowski au Quartier Général.*

Mowy jego częścią w gazecie narodowéj i obcéj, czasu sejmu konstytucyjnego wychodzącéj, częścią osobno są drukowane. *P. S.*

były jedne i niezmienne. Nie ulegał w tém żadnéj opinii, chociażby upowszechnionéj: bo wiedział z doświadczenia i mawiał: „Że ta opinia, która się za powszechną głosi, jest częstokroć chwilowém obłąkaniem tłumu przez kilku.“ Pisał on w języku francuskim: *Pamiętniki epok, do których należał*, i ile sądzić mogę, godne będą ciekawości powszechnéj, jeżeli kiedy na widok publiczny wyjdą. Wszędzie w nich maluje się prawda, bezstronność, głęboka znajomość serca ludzkiego, trafność i podobieństwo rysów w obrazach osób, nigdzie złości, zawiści, uwłoczenia. Wszędzie owszem spostrzegać się daje dobrotliwość duszy piszącego i ta łagodna filozofia, która woli naturze ludzkiéj pobłażać, niż osoby spotwarzać; tak odbył młodość przyjemnie, męzki wiek pożytecznie, zacnie i świetnie, podeszły z pociechą, swobodnie i spokojnie. Był wprzódy bogatym; ofiary na publiczne posługi i hojna dobroczynność uszczupliły jego dochody; nie zasępiał się miernością, w ograniczeniu potrzeb znalazł dostatek. Ostatnie lat 10 przetrawił w domu córki, na łonie rodziny, i tam otoczony uszanowaniem i pieczołowitością, używał jedynéj dla dobrego ojca roskoszy z postanowienia i szczęścia dzieci; nie bez tęsknoty jednak do rodzinnéj ziemi, o któréj zawsze rozmawiać lubił, w listach do bliskich krewnych i przyjaciół do niéj wzdychał, przesyłał jéj życzenia, i odwiedzić ją jeszcze wróżył sobie. Śmierć uprzedziła jego nadzieje; po kilkoniedzielnéj chorobie w cierpieniach życie zakończył, błogosławiąc dzieci i trzymając ich ręce w ziębnących dłoniach (pisze zapłakany po stracie takiego ojca syn) *w polskim języku ostatnią swoją wolę wyrażał, w polskim ich pożegnał, i pożegnanie krewnym i przyjaciołom przesłać polecił*, przeznaczając mały datek dla szpitala instytutu dobroczynności w Warszawie; jakby się chciał zaświadczyć, że w stygnącém jego sercu miłość rodzinnego kraju nie umiera. Sam sobie nagrobek w tych słowach położył: *Fragilitatis humanae memor, hoc sibi ipse monumentum posuit*. Nie odległy od niego wiekiem, zakazałem już był sobie cobądź kreślić drżącą starości ręką. Niestety! nie spodziewałem się, że ból po stracie przyjaciela wyciśnie na mnie złamanie tego przyrzeczenia, i że zaschłe pióro będę musiał łzami odwilżyć!

O chłopach we Francyi.

(Wyjątek z dzieła Micheleta, pod tyt.: *Le Peuple, Lud.*)

Michelet, znany historyk francuski, wydał niedawno temu nader ważne dzieło pod tytułem: *Le Peuple, Lud*, i przypisał takowe przyjacielowi swemu Edgarowi Quinet. Zastanawia on się w tém dziele nad stanem ludu, którego przecież nie szuka, jak Eugeniusz Sue i inni Feuilletoniści dzienników paryskich, po przedmieściach, uliczkach, sklepach i poddaszach stolicy, lub nawet po jamach i kryjówkach złoczyńców, urwiszów i galerzystów, ale raczéj w pośród niezepsutych jeszcze i dzielnych klass ludu wiejskiego. Pochodzi on sam, jak we wstępie do dzieła swego powiada, z ludu, którego się losem zajmuje. Urodził się i wychował w górach ardeńskich, i miał się uczyć drukarstwa. „Zanim,“ powiada, „nauczyłem się idee składać, składałem pierwéj czcionki; znam zatem dobrze uczucia i potrzeby robotnika. Co najlepszego jest we mnie, to winienem bez wątpienia tym próbom; cokolwiek znaczę jako człowiek i historyk, to się doświadczeniom owym należy.“

Dzieło samo rozpada się na dwie części, z których piérwsza nosi napis: „*O służebności i nienawiści*,“ a druga: „*O usamowolnieniu przez miłość*.“ Druga ta część mieści znów dwa oddziały traktujące, piérwszy: „*O naturze*,“ a drugi: „*O ojczyźnie*.“ W miłości ojczyzny, w magicznym wyrazie *Francya*, widzi P. Michelet środek uwolnienia ludu, t. j. wychowania go i przysposobienia do szlachetniejszych celów życia. Ustęp o chłopie francuskim i jego uciśnieniu, wyjmujemy z pierwszéj części książki. Jest on następującéj osnowy:

Kto chce poznać najskrytszą myśl, namiętność chłopa francuskiego, ten nader łatwą do celu tego dojdzie drogą. Puśćmy się w niedzielę na przechadzkę za miasto, w pole, i uważajmy go. Oto idzie przed nami. Jest druga godzina z południa; żona jego poszła na nieszpory. On sam przybrany w strój świąteczny; założyłbym się, że idzie kochankę swoję odwiedzić.

Któż jest jego kochanką? — Ziemia jego.

Nie mówię, że się tam wprost uda; nie, toć dzisiaj jest wolny, może tam pójść, lub niepójść. Czyż nie musi tam chodzić w każdy dzień powszedni? Bierze więc inny kierunek i udaje się gdzie indziéj; ma coś gdzie indziéj do sprawienia; — a przecież idzie tamże.

Jakoż przeszedł tam tuż pomimo. Była to pomyłka. Przypatruje on się swéj roli, ale zapewne nie wstąpi na nię. Bo i w jakimże celu? — A przecież to czyni.

Aleć pracować dziś przecie nie będzie: ustrojony jest w suknie od święta; ma na sobie bluzę i świeżą koszulę. Ale czemużby nie miał zielska trochę wyrwać, albo kamienia odrzucić? Zielsko to prawda przy saméj drodze, ale nie ma przy sobie narzędzia i musi je tak już do jutra zostawić.

Teraz zakłada ręce, stawa, patrzy z namysłem i kłopotem. Patrzy długo, bardzo długo, i zdaje się zapominać. Skoro myśli, że go ktoś uważa, skoro kogoś przechodzącego spostrzeże, oddala się wolnym krokiem. W odległości trzydziestu kroków stawa, obraca się i rzuca okiem

Szkalmierzacy.

na ziemię swoję po raz ostatni. Jest to wzrok ponury i ciężki; ale kto dobrze dostrzegać umie, ten widzi, że tenże wzrok jest namiętny, całkiem z głębi serca pochodzi i pełen jest nabożeństwa.

Jeśli to nie jest miłością, po czémże tedy miłość na tym świecie rozpoznać mamy? Jest to miłość — nie śmiéjcie się. Ziemia wymaga miłości, aby być płodną; inaczéj nie wydałaby nic ta biedna ziemia Francyi, prawie bez bydła i mierzwy. Jest ona płodną, ponieważ jest kochaną.

Ziemia francuska należy do 15 lub 20 milionów chłopów, którzy ją uprawiają; ziemia angielska ma arystokracyą 32,000 osób, które ją uprawiać każą. Ponieważ Anglicy nie tyle związani są z ziemią, przeto wychodzą wszędzie, gdziekolwiek się zysku spodziewają. U nas łączy człowieka i ziemię węzeł nierozerwany, i dla tego nie opuszczają się nawzajem; zachodzi między obojgiem prawny związek małżeński na śmierć i życie. Francuz poślubił sobie Francyą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Krakowianie.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Chłop krakowski, choduje owce, drobiazg, trzodę; nie ma jak tylko kilka rogatego bydła, ale za to utrzymuje wiele koni, które w jego oczach mają wielką wartość. Najuboższy, który ma najmniéj cztery, używa ich do uprawienia roli, do podróży, a w niedzielę zaprzęga je do swego woza, aby się udać do sąsiada, do kościoła lub na jarmark; chłopczyk ośmio- albo dwunastoletni pojeżdża końmi ciągle galopem. Krakowiacy pracują pilnie cały tydzień, a w niedzielę po mszy, wielkie dla nich szczęście, znajdować się z swymi sąsiadami w karczmie, paląc lulkę i pijąc kieliszek wódki, albo dzbanek piwa. Rozmowa z razu spokojna, ożywia się coraz bardziéj; najczęściéj o przeszłości rozmawiają, o stósunkach familijnych, o krewnych albo przyjaciołach, których potracili, porównywają swego teraźniejszego pana z przeszłym, udzielają sobie, co wiedzą, o ekonomie, o komissarzu i innych urzędnikach swego pana. Po niejakim czasie przybywają dziewczęta z matkami do ich towarzystwa, bassetla i skrzypce dają się słyszeć; a wtenczas młodzi wstają, taniec się rozpoczyna, a często i najstarsi dzielą z nimi ochotę. Najprzód polonez, potém mazurek, a gdy się wesołość powiększa, krakowiaki się zaczynają. Otóż porządek tych zabaw: gdy pary raz lub dwa razy przetańczyły na okół izby, zatrzymuje się ten, który niemi dowodzi, przed muzyką i śpiewa wrotkę z którychkolwiek piosneczek, tak znanych w tym kraju, lub téż tworzy wiersz, który stósuje do swéj tanecznicy. Te śpiewy narodowe są jużto dowcipne, żartobliwe, dwuznaczne; jużto wyrażają uczucia głębokie, myśli poważne, i łączą się najczęściéj z historyą tegoczesną, lub wypadkami przeszłości. W środ tych zabaw i rozmów przepędzają dzień świąteczny, tańce trwają ciągle, śpiewy się rozlegają aż do chwili opuszczenia karczmy, a nazajutrz biorą się z tém większym zapałem do swéj trudnéj pracy tygodniowéj.

Nie ma pewnie kraju, gdzieby wesoła tak uroczyście obchodzono jak w Polsce. Gdy się młody Krakowiak chce żenić, jeden z jego krewnych, albo przyjaciół najstarszych, zwany wtenczas starostą, albo starym, prowadzi go zazwyczaj w czwartek w dom jego ulubionéj, ażeby go przedstawić jéj rodzicom i zaproponować zamęście; przy czém nie omieszka przynieść butelki z wódką. Dziewczyna spostrzegłszy butelkę, ucieka do drugiéj izby; starosta zaś po chrześciańskiém pozdrowieniu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ i po odpowiedzi domowych: „Na wieki wieków amen,“ żąda kieliszka. Jeżeli ojciec dziewczyny zezwala, jeżeli matka pospiesza się podać mu ten zadatek przyjaźni, domyślają się nowi goście, iż ich krok jest dobrze przyjętym; jeżeli zaś matka, pozornie zatrudniona szukaniem kieliszka, nie może go znaleźć, wiedzą, iż nie chcą się z nimi porozumieć. Skoro swat otrzyma kieliszek, leje weń wódkę i pije za zdrowie rodziców; przytomni dziękując probują wódki, a starosta niby od niechcenia dowiaduje się o dziewczynę. Gdy ta wejdzie z matką, podaje jéj kieliszek, sypiąc pochwały na jéj uprzejmość, dobre postępowanie, i znajomość gospodarstwa; z początku nie przyjmuje młoda dziewczyna kieliszka, i zdaje się być zawstydzoną, lecz zniewolona prośbami, pije kilka kropli wódki. Potém swat wynurza się i prosi rodziców o rękę ich córki.

Po odmówieniu i po obietnicach niepewnych, zezwalają nareszcie rodzice, a młoda dziewczyna zgadza się z ich życzeniem. W niedzielę następującą, młody pan daje do kościoła na zapowiedzi. Na podarek ślubny kupuje narzeczonéj chustkę, którą nosi na głowie, i w którą zawija kilka monet. Swat używa jéj najprzód, ażeby związać ręce młodych narzeczonych, przemawia do nich, i na tém kończą się zmowiny. Nie znają w tym kraju kontraktów tyczących wyposażenia młodych małżonków; lecz rodzice z jednéj lub z drugiéj strony starają się zapewnić im ich los.

Zatykają małą chorągiewkę czerwoną z białem na dachu domu, gdzie mają obchodzić wesele. W dzień ślubu, młodzi parobcy i młode dziewczęta, od boku młodego państwa, chodzą w towarzystwie muzykantów od domu do domu, zapraszać swych przyjaciół w imieniu narzeczonych. Po zaproszeniu muzyka daje się

słyszeć, a gdy całe towarzystwo przetańczyło poloneza, albo krakowiaka, opuszcza dom dla dalszych odwiedzin. W czasie tym zatrudniają się druchny ubiorem młodéj panny, siedzącéj na dzierzce, zdobiąc jéj głowę kwiatami i wstążkami. Mężczyzni, którzy są przytomni tym przygotowaniom, śpiewają z kieliszkiem w ręku piosnki stósowne do okoliczności; już to, że mąż zamienia swą wolność w złoconą niewolę małżeństwa; już, że narzeczona nie chce dłużéj nosić korony dziewiczéj; już, że rodzice rozczulają się nad losem swego dziecka. Śpiewacy zwracają także swoje śpiewy do piwa, do wódki, do chmielu, które przez swe dwuznaczne wyrażenia płonią narzeczoną, a bawią przytomnych. Gdy się już wszyscy goście zgromadzą, śpiewają pieśń do wyjazdu do kościoła, po czém narzeczona pada do nóg rodzicom, całując ich i oblewając łzami. Rodzice również dzielą rozczulenie swéj córki, błogosławią ją ze łzami w oczach, a potém na znak swata, całe towarzystwo udaje się do kościoła. Młodéj pannie, która siedzi na wozie, zaprzężonym czterema końmi, pomiędzy młodemi dziewczętami i muzykantami, towarzyszą konno: jéj narzeczony, swat i parobcy od boku, otaczając wóz z każdéj strony. Młodzi, z których się każdy starał wystroić konia jak najlepiéj, mając w jednéj ręce batog, a w drugiéj małą chorągiewkę, są czasami zmuszeni przejechać przez kupy słomy i cierni, które dzieci na drodze orszaku zapalają. Gdy towarzystwo wjeżdża do jakiego miasta lub wsi, muzykanci biorą swoje instrumenta, a młode dziewczęta śpiewają piosnkę, która ma zwrócić uwagę młodéj panny na akt solenny, który ma nastąpić.

Po ukończeniu ceremonii ślubnéj, spieszą się rodzice udać się jak najprędzéj do swego domu, aby przyjąć młodą parę z chlebem i solą. Ojciec sypie owies na głowy młodego państwa i wszystkich przytomnych; zbierają go potém starannie, sieją w pola, i jeżeli się uda, wróżą ztąd, iż młodzi małżonkowie cieszyć się będą szczęśliwym losem. Gdy nowo zaślubieni weszli do pokoju, swat ma mowę, wystawia im ich prawa i obowiązki wzajemne, i kończy temi słowy, które po kilka razy powtarza całe towarzystwo: Niech żyje młoda para!

Goście z nakrytemi głowami, zasiadają około stołu zastawionego potrawami. Po uczcie, zaczynają mężczyzni i kobiety najstarsze taniec polonezem, potém następuje mazurek, albo krakowiak, którego tańczą młodzi.

W czasie tych zabaw, jedna z najstarszych kobiet, uciąwszy warkocz młodéj pannie, kładzie jéj czepiec na głowę. Wśród téj ceremonii, którą nazywają oczepinami, młode dziewczęta śpiewają, a tańce trwają późno w noc.

Goście zazwyczaj opuszczają dopiero dom przy wschodzie słońca, ale rodzice i przyjaciele najbliżsi młodych małżonków zostają jeszcze; gdy znużeni zabawy dzielić nie mogą, kładą się spać w kącik izby, a po krótkim śnie, daléj się bawią. W dzień ślubu, o drugiéj w nocy udają się młodzi małżonkowie do swéj sypialni. W ten czas swat, albo organista, korzystając z chwili, przemawia do nich słowy żartobliwémi i dwuznacznémi, przez co bardzo bawi przytomnych. Potém tańczą poważnie poloneza z młodą mężatką, zaprowadzają ją do sypialni, i oddają mężowi. Piją jeszcze za szczęście młodéj pary; swat nagle wychodzi, wypędza wszystkich na dwór, zamyka drzwi, strzegąc ich sam, i bawi towarzystwo różnemi żartami i dowcipami. Śpiewy kończą zabawę.

Krakowiacy, zebrani u rodziców młodéj panny, albo młodego pana, obchodzą wesele ośm do dziesięciu dni; muzyka, śpiew i taniec stanowią ich zabawy. Młodzi małżonkowie uczciwszy po raz ostatni wszystkich gości w swojém pomieszkaniu, proszą ich o dalszą przyjaźń.

Od obchodów ślubnych, przechodzimy do obchodów pogrzebowych. Krakowianie zachowali w swoich pogrzebach zwyczaje, które się znajdują u wszystkich narodów chrześciańskich; lecz różnią się pod tym względem stypami, które zaraz po pogrzebach dają ubogim przyjaciołom zmarłego, księdzu i organiście swojéj parafii. Ten zwyczaj, zachowany we wszystkich wsiach Polski, objawia się w znacznych różnicach. Krewni, przyjaciele zmarłego i inne osoby, które były przytomne obchodowi żałobnemu, radzą o losie tych, których nieboszczyk zostawił, i jeżeli jego familia jest wystawiona na nędzę, starają się przez wspólne ofiary i wsparcia dobroczynne, ochronić ją od niéj. Jeden z ludzi najstarszych i najgodniejszych ze zgromadzenia, miewa mowę nad grobem, w któréj opisując życie zmarłego, wylicza cnoty jego; mówi, iż błędy jego są do wytłumaczenia, i jeżeli mu można co zarzucić, prosi wszystkich przytomnych, aby mu to darowali w chwili, gdzie używa pokoju innego życia. Te słowa pojedyńcze, wypływające z serca sąsiada, przyjaciela albo krewnego, większe robią wrażenie, niż rozprawianie uczone kaznodziei. Chłopy polscy nie noszą wcale ubiorów żałobnych.

Oto jest mały obraz zwyczajów i obyczajów ludu krakowskiego; możnaby go jeszcze o wiele rozszerzyć, gdyby się kto zajął skreśleniem przesądów i zabobonów, które pomiędzy Krakowianami panują. Oby te słowa zachęcić kogo chciały do takiéj pracy! Lecz z drugiéj strony życzyć należy, abyśmy podobny obraz Wielkopolan wystawili. Dla tego niechaj każdy, co ma talent do rysowania, wystawi chłopka z swéj okolicy i skreśli oraz zwyczaje, w których się różni od innych stron, a wkrótce będziemy mieli całkowity obraz ludu wielkopolskiego.

Anegdota.

Jędrzéj Górka, Kasztelan poznański, Generał wielkopolski, tak mawiał: „W młodości pycha łechtała mię do nabycia godności, i mawiała mi: Górko, Górko! kiedyż pójdziem w górę? a teraz mi rozum powiada: Górko! kiedyż będziesz w dole?“

№ 131.

Z okręgu Krakowskiego.

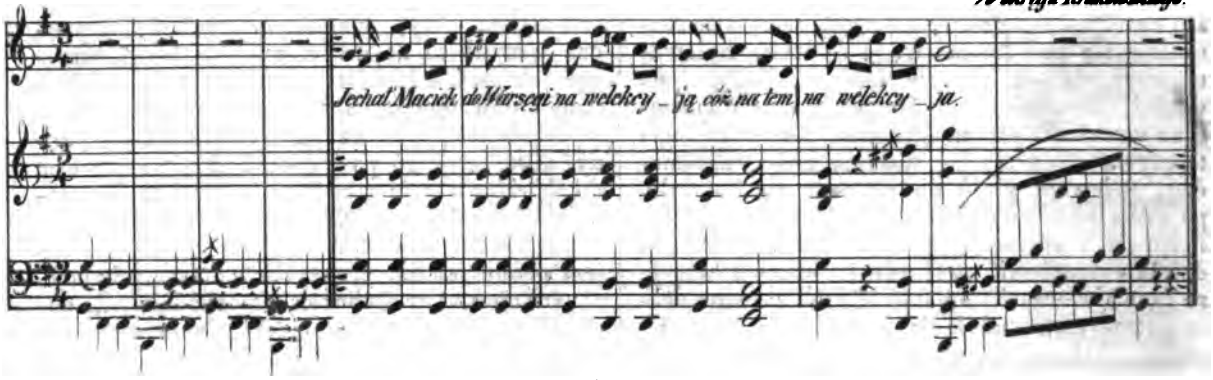

№ 132.

Modlnica pod Krakowem.

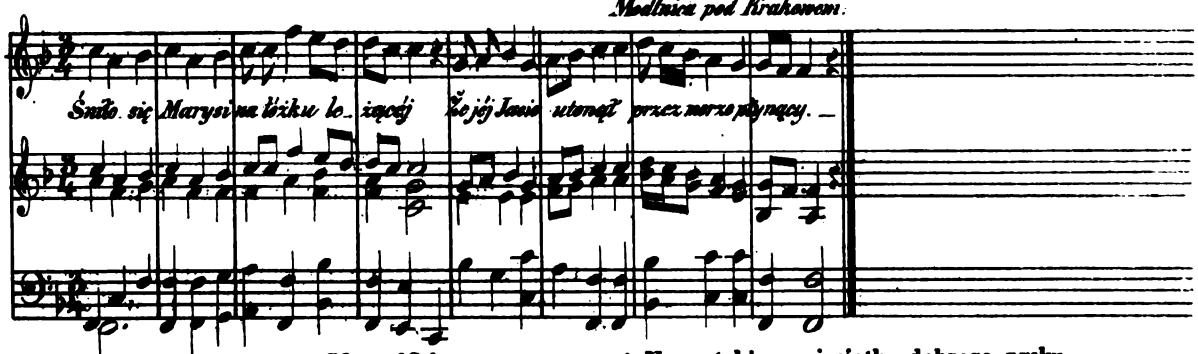

Text do *Nru. 131.*

Jechał Maciek do Warsęgi na welekcyą; cóż na tém, na welekcyą,
Najął sobie na przedmieściu w karczmie stancyą; cóż na tém, w karczmie stancyą,
I jęli go przyjaciele na piwo prosić; cóż na tém, na piwo prosić.
A on im się z familią zaczął wynosić.
Mój ojciec był wojewodą, bo woził wodę,
Miały Żydy po Warsędze z niego wygodę,
A stryjaszek kasztelanem, racya na to,
Bo miał głowę kieby szkapa kasztanowatą,
A wujaszek był chorążym na tę racyą,
Nosił świętą chorągiewkę przed processyą,
Starszego też mego brata Bóg szczęściem zdarzył,
Był kucharzem i nie lada, bo psom jeść warzył,
A młodszego za cześnika każdy szacował,
Bo on stryczkiem i pałeczką piesków częstował,
Jedna siostra kasztelanka, a druga sędzianka,
Jedna przędła, druga kradła zgrzebne przędzionka,
Matsia także świętą byli, cuda czynili,
I umarli na gorączkę, bo ją spalili;
Nasza także pani ciotka dobrego pysku,
Żaden jéj pies nie przeszczeka w starém karczmisku.
(*J. Konopka*, P. I. k. str. 162.)
(*Ż. Pauli*, P. I. g. str. 182.)

Text do *Nru. 132.*

Śniło się Marysi na łóżku leżącéj,
Że jéj Jasio utonął przez morze płynący.
Rybacy, rybacy, przez Boga żywego!
Czyście nie widzieli Jasieńka mojego?
Widzieli, widzieli, ale nieżywego,
Wśród morza płynącego, mieczem przebitego.
Skoczyła Marysia z brzegu wysokiego,
I wyrwała miecz ostry z boku Jasiowego.
Wyrwała, wyrwała i w siebie go wbiła.
„Przypatrzcie się wszystkie panny, jakem go lubiła.“
(*J. Konopka*, P. I. k. str. 122.)
(*Wojcicki*, P. I. T. I., str. 66.)
(*Ż. Pauli*, str. 94.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 7. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 14. Lutego 1846.*

Listy o Szwecyi pisał Kust. Hr. Tyszkiewicz. — O chłopach we Francyi (dalszy ciąg). — Popielnice starosłowiańskie. — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Anegdota. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

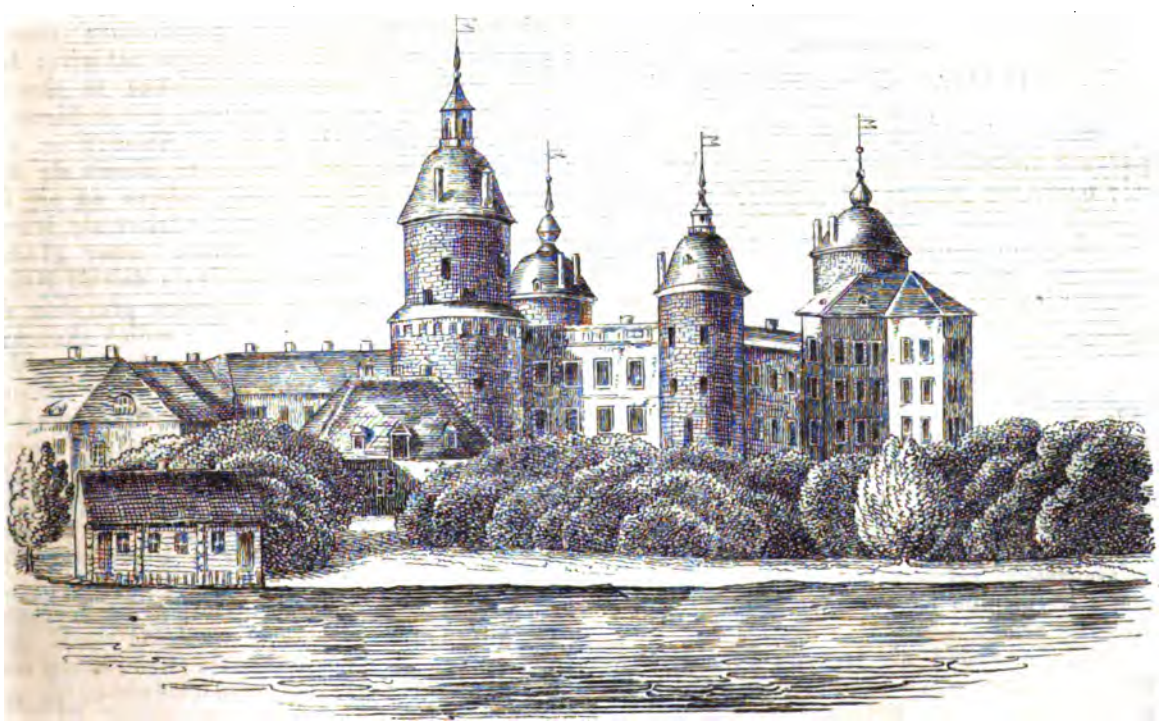

Zamek w Gripsholm, w Szwecyi.

Listy o Szwecyi pisał Eust. Hr. Tyszkiewicz. Wilno 1846.

W numerze 4tym donieśliśmy, że Eust. Hr. Tyszkiewicz napisał listy o Szwecyi. Są one owocem podróży, którą autor odbył przed kilku laty, a opisał 1844 r. Dotąd mamy dopiero tom Iszy. Język jest piękny; styl lekki, do przedmiotu zastósowany. Autor nie zamierza opisywać przygód małego znaczenia, lecz odbywając podróż jedynie w celu naukowym, mówi najwięcéj o rzeczach, które mają historyczną wartość, oglądając się najwięcéj za pamiątkami, które są w związku z literaturą i historyą polską. Zaprzeczyć nie można, iż w tym względzie znajdujemy w téj pracy wiele rzeczy, które rzucają światło na charakter i rządy Zygmunta IIIgo. Co się tyczy literatury: posłużyć mogą jego spisy różnych manuskryptów dla bibliografa i historyka, lecz szkoda, że prócz oznaczenia tytułu nie zapuszczał się w zgłębianie wartości manuskryptów. Z resztą wybaczamy chętnie autorowi gatunek chełpliwości, gdy o sobie mówi; lecz uderzała nas zbytnia przychylność ku wszystkiemu, co się z Rossyą łączy. W tomie Iszym znajdujemy kilka rycin, które nas zajmują. Do nich należy zamek w Gripsholm, miejsce urodzenia Zygmunta III. r. 1566., kiedy ojciec jego Jan przez Eryka, Króla szwedzkiego a brata swego i matka Katarzyna Jagiellonka uwięzieni zostali.

O chłopach we Francyi.

(Ciąg dalszy.)

Francya jest krajem słuszności i w przypadkach wątpliwych przyznała ona zawsze ziemię temu, kto ją uprawia. Anglia przeciwnie stanęła na stronie dziedzica dóbr, wypędzając chłopka; uprawiają tu ziemię tylko jeszcze najemnicy. Jest to ważna różnica moralna. Czy własność wielka, czy mała, zawsze ona serce podnosi. Nie jeden coby się dla siebie samego nie był szanował, szanuje się i poważa dla swéj własności. Uczucie to podnosi słuszną dumę, któréj ludowi francuskiemu udziela bezprzykładna tradycya wojskowa. Wybierzmy z pośrodka massy tego ludu pierwszego lepszego najemnika, posiadającego choćby tylko dwudziestą część morgi, a nie znajdziemy w nim uczuć wyrobnika, żołnierza najemnego; jest on właścicielem, żołnierzem w służbie kraju (był nim i byłby nim jutro); ojciec jego należał do wielkiéj armii.

Mała własność nie jest we Francyi nową. Niesłusznie sobie wyobrażamy, że takowa niedawno temu, w chwili jedynego przesilenia, utworzoną została, — że jest skutkiem rewolucyi. Jest to mylne wyobrażenie. Rewolucya zastała ten ruch w znacznym już postępie, i ona sama z niego wyszła. Już w roku 1785. zdumiewa się i przeraża wyborny spostrzegacz, Arthur Young, z powodu wielkiego podziału ziemi. W r. 1738. uważa Abbé de St. Pierre, że we Francyi wszyscy prawie wyrobnicy mają ogród, kawałek winnicy, lub innéj jakiéj ziemi. W roku 1697. żali się Boisguillebert, że wszyscy prawie drobni właściciele za Ludwika XIV. widzieli się zmuszeni sprzedać znaczną część własności ziemskiéj, nabytéj w wiekach 16 i 17.

Wielka ta, acz mało znana historya, wykazuje następujący uwagi godny charakter: w czasach najgorszych, w chwilach powszechnego ubóstwa, kiedy nawet bogacz ubogim jest i do sprzedaży zmuszonym, jest biedny w stanie kupowania. Kiedy się żaden kupiec nie zgłasza, przychodzi chłop w swoich łachmankach i ze swym groszem, i nabywa kawałek ziemi. Dziwna tajemnica; musi ten człowiek mieć jakiś skarb ukryty. Ma go w saméj istocie: oto pracę wytrwałą, mierność i post. Zdawałoby się, że Bóg temu niespożytemu rodowi udzielił w dziedzictwie dar pracowania i walczenia, życia — bez jedzy — z nadziei i wesołego umysłu.

Po tych czasach niedoli, kiedy chłop tanio ziemię mógł nabyć, następował zawsze nagły popęd, którego sobie wytłumaczyć nie umiano. Około roku 1480 n. p. kiedy Francya, przez Ludwika XI. wyczerpnięta we Włoszech, do zupełnego upadku zdążać się zdawała, musiała szlachta idąca na wojnę sprzedawać; ziemia przechodząca w inne ręce nagle zakwita; ludzie pracują i uprawiają. Piękna ta chwila nazywała się (w stylu historyi monarchicznéj) *dobrym Ludwikiem XII.* — Niestety — nie długo ona trwała. Ledwo co ziemia do dobrego przeszła stanu, aliści uderza na nię fiskus; nastają wojny religijne, zdające się wszystko niszczyć, okropna nędza, czasy głodu, w których matki własne pożerają dzieci! Któżby był sądził, że ta ziemia znów przyjdzie do siebie! A przecież zaledwo się wojna skończyła, aż téż oszczędzony grosz chłopka wydobywa się z opustoszałéj roli, z chaty chłopskiéj okopciałéj jeszcze po pożarach wojennych. Chłop kupuje: w lat 10 przybrała Francya całkiem inną postawę, wszystkie dobra poszły w górę o dwa- i trzykroć wyższą cenę. I téj chwili nadano miano królewskie: nazywa ona się *dobrym Henrykiem IV.* i *wielkim Richelieu.*

Piękny to bieg rzeczy, który w każdém sercu ludzkiém współuczucie wzniecać musi! Ale dla czegoż bieg ten co chwila tamować się musi? dla czegoż tyle usiłowań (ledwo co po zasłużonéj nagrodzie) znów w niwecz się obraca? Proste słowa: *Ubogi oszczędza, chłop kupuje.* Te proste słowa, które się tak szybko wymówią, ileż one nie mieszczą w sobie prac, ile ofiar, ile okropnych niedostatków! Czoło zalewa się potem, kiedy baczne dajemy oko na

różne zajścia w szczegółach, kiedy się przypatrujemy niezmiernym wytężeniom, z jakiemi się biedny ten człowiek ziemi Francyi chwyci, puszcza ją i znów się do niéj bierze — podobny do nieszczęśliwego, co poniósł rozbicie okrętu, który się do brzegu dostaje, chwyci go się, ale wałami porwany cofa się na głębią morza; zaczyna raz jeszcze i wytęża się, raz jeszcze chwyci się skały zakrwawionemi rękoma.

Bieg ten rzeczy okulawiał i stanął około r. 1650. Szlachta, która była posprzedawała, znalazła znów środki do odkupienia ziem za małą cenę. Kiedy włoscy nasi Ministrowie, Mazarin i Emeri, taxy podnosili, uzyskała szlachta, która dwór jakby obozem zaległa, bardzo łatwo uwolnienie od podatków, tak iż podwojony ciężar całém swém brzemieniem zwalił się na ramiona słabych i ubogich, którzy wnet ziemię ledwo co nabytą sprzedać lub zaniechać musieli, i prześli do stanu najemników, dzierzawców, zarządzców i wyrobników. Ileż to trudów i zabiegów potrzeba było, aby w czasach wojny i bankructwa za Ludwika XIV. i za regencyi utrzymać i odzyskać posiadłości, które w wieku 18. w ręku ich były.

Upraszam tych wszystkich, którzy nam prawa nadają lub takowe wykonywają, aby o szczegółach nieszczęsnéj reakcyi Mazarina i Ludwika XIV. przeczytać chcieli gniewem ziejące i boleści pełne stronnice wielkiego obywatela Pesant de Boisguillebert. Oby historya ta służyła im za przestrogę w chwili, kiedy różne zabiegi około tego chodzą, aby tamę położyć głównemu dziełu Francyi: nabywaniu ziem przez wyrobników. Przedewszystkiem nasi urzędnicy sprawiedliwości potrzebują pod tym względem oświecenia: powinniby oni sumienie swoje uzbroić, bo zdrada obsacza ich. Wielcy posiedziciele wyszli w ostatnich czasach z naturalnéj ich apatyi przez wpływ znawców prawa, i zapuścili się w tysiączne niesprawiedliwe processa. Przeciwko gminom, przeciw małym posiedzicielom utworzył się osobny rodzaj antykwarskich adwokatów, którzy historyą koszlawią, aby sprawiedliwość omamić. Wiedzą oni, że sędziowie rzadko czas mają do zbadania tych dzieł kłamstwa. Wiedzą oni, że ci, których oni attakują, rzadko znają wyraźne tytuły prawne; mianowicie gminy źle przechowały, albo ich też nigdy nie miały. Dla czego? oto właśnie dla tego, że prawo ich często bardzo jest stare i pochodzi z epoki, kiedy się na podanie spuszczano.

Osobliwie we wszystkich krajach pogranicznych prawa ubogich ludzi tém są świętsze, że bez nich niktby niebezpiecznych tych granic nie był zamieszkiwał; ziemia leżałaby była pustynią, nie byłoby ani ludu, ani uprawy. A teraz w epoce pokoju i bezpieczeństwa chcecie ziemię tę odebrać tym, bez którychby żadnéj ziemi nie było. Domagacie się ich tytułów prawnych; te są zakopane w ziemi; praojców ich kości pilnowały tych granic i poświęcone te okolice do dziś dnia zajmują.

Jest nie jedna okolica Francyi, gdzie rólnik ma prawo do ziemi, które bez wątpienia jest pierwszém ze wszystkich, t. j. prawo to, że on ziemię tę utworzył. Nie mówię ja pod figurą. Przypatrzcie się spalonym skałom, niepłodnym wzgórzom południa: zkądżeby się tam wziąć miała ziemia bez człowieka? własność polega tu całkiem na właścicielu. Polega ona na niezmordowaném ręku, która całemi dniami rozbija kamyki i pruchno to z trochą ziemi miesza. Polega ona na mocnych krzyżach uprawiacza winnicy, który rozwiewające się od czasu do czasu pole znów na pagórek dźwiga. Polega ona na pojętności i cierpliwéj odwadze żony i dziecka, które — okropny to widok! — ciągną pług pospołu z osłem. To też sama natura ma litość. Pomiędzy skałą a skałą zagnieżdża się mała winnica. Drzewo kasztanowe hoduje się bez ziemi; mierna a odważna roślina obejmuje gruby piasek swojemi korzeniami, zdaje się żyć z powietrza i podobnie jak pan jego wydawać owoc pomimo postu.

Tak jest, człowiek tworzy ziemię; powiedzieć to można nawet o ziemiach mniéj nieurodzajnych. Nie zapominajmy nigdy o tém, jeśli pojąć chcemy, jak dalece i z jaką namiętnością ją kocha. Pamiętajmy, że przez długie wieki generacye pot żyjących, kości umarłych, swój dobytek, swoję żywność tam znosiły. Ziemia ta, w któréj człowiek tak długo najlepszą cząstkę człowieka, swój sok żywotni i swoję substancyą, swoje wytężenia i siły swoje składał, ziemia ta — czuje on to — jest ziemią ludzką, i kocha ją jak osobę.

Kocha on ją; chcąc ją posieść, zezwala na wszystko, nawet na to, aby jéj więcéj nie oglądał: wychodzi z niéj, oddala się w razie potrzeby, pędzony tą myślą i tą pamięcią. O czémże, sądzicie, myśli siedzący we drzwiach waszych Sawojardzki robotnik, co ciężary dźwiga? Oto myśli o małém polu żytniém, o chudém pastwisku, które po powrocie swoim w górzystym swym kraju zakupi. Do tego potrzeba lat dziesięciu! Ale cóż ztąd? Aby po siedmiu latach ziemię nabyć, sprzedaje Alzaczyk swoje życie i szuka śmierci w Afryce. Aby nabyć kilka stóp winnicy, odmawia Burgundzka matka dziecku swojemu piersi, przysadza obce, a ojciec mówi: „Albo będziesz żyć, albo umrzesz, mój synu; ale jeśli żyć będziesz, będziesz miał ziemię.“ Nie jestże to surowością i prawie bezbożnością? Zastanówmy się przecież dobrze, nim zdanie pewne wyrzeczemy. „Będziesz miał ziemię, t. j.: nie będziesz najemnikiem, którego dziś przyjmują a jutro odprawiają; dla codziennego twego pożywienia, nie będziesz niewolnikiem, będziesz człowiekiem wolnym!“ Wolnym człowiekiem! wielkie słowo, zawierające

Tablica I.

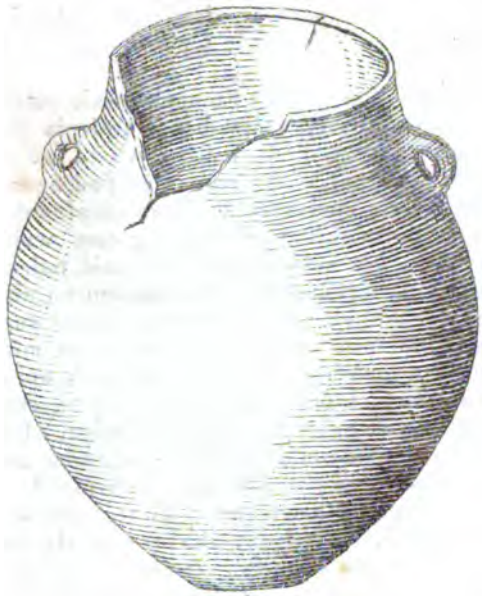

1.

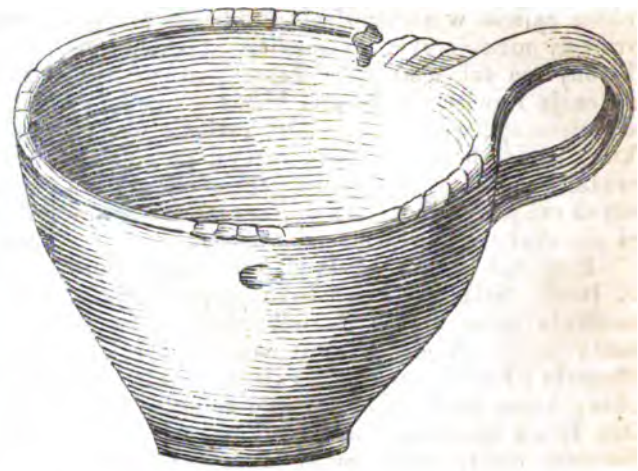

3.

5.

2.

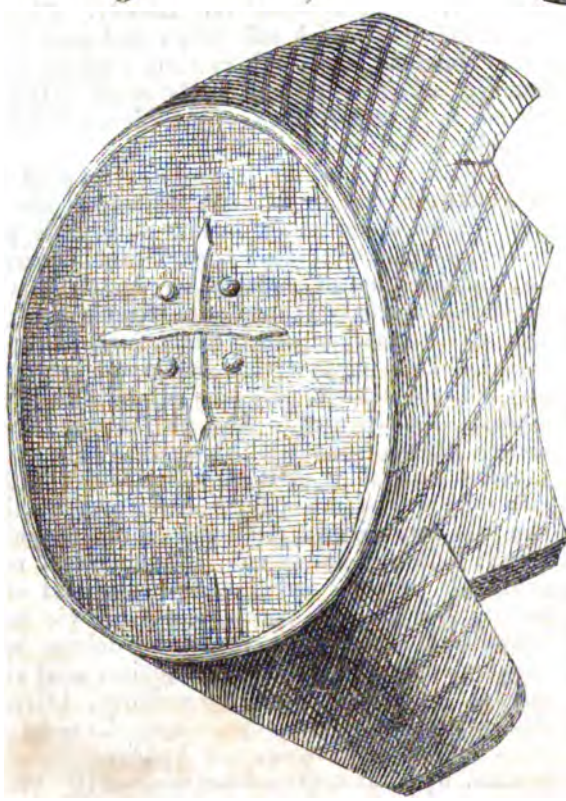

7.

4.

6.

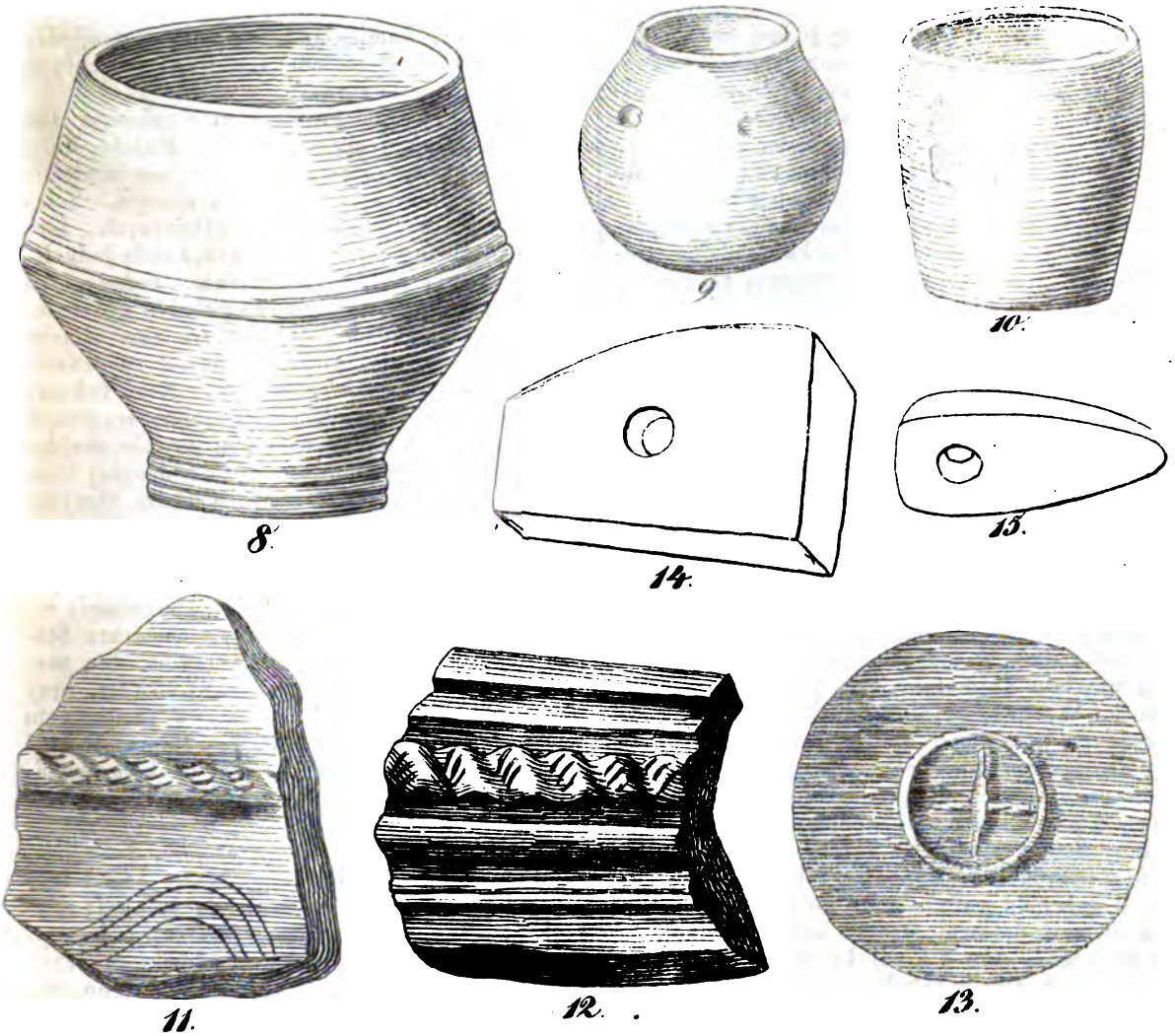

Popielnice starosłowiańskie.

w sobie zaiste wszelką godność człowieczą: niemasz cnoty bez wolności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Popielnice starosłowiańskie i obrzędy przy pogrzebach.

A czy znasz ty bracie młody,
Twojéj ziemi bujne płody,
Twe mogiły i kurhany,
I twe dzieje, co się ścmiły.
Pieśń o ziemi naszéj.

Runęły świątynie i ółtarze bożków, poświęcone im gaje i lasy wycięto, wywrócono bogi starosłowiańskie, przebrzmiały pieśni, które lud na chwałę ich wyśpiewywał, i nic prócz kilku wzmianek w kronikarzach nie zostało, zkądbyśmy poznać mogli życie, obyczaje i zwyczaje pogańskich praojców naszych. Jedynym zabytkiem, sięgającym onych czasów, są tylko groby, gęsto rozrzucone po piaszczystych wzgórkach i polach, zwykle pięknie położonych, nad łąkami, jeziorami i strumieniami w bliskości lasów, po całéj ziemi naszéj. Zaiste godną pracy byłoby rzeczą, gdyby obyczajem innych Słowian zawiązały się u nas towarzystwa, któreby się z większą wytrwałością zatrudniały odgrzebywaniem i odkrywaniem najdawniejszych zabytków. Mają Czesi swoje Towarzystwa (Zbór archeologicki) rozwinięte, mają Rossyanie jak najdokładniéj opisane swoje starożytności i coraz więcéj odkrywają. My tylko jedni dotąd nic prawie nie zrobiliśmy, wszystko się na chęci skończyło. Obojętném poglądamy okiem na te ostatnie szczątki odległéj Słowiańszczyzny; obojętnie chodzimy po cmentarzach, zgliszczach i mogiłach, a za trudno nam schylić się, aby zajrzeć co w sobie ukrywają i wandalską częstokroć ręką niszczymy je sami, pomimo, że czas sam tyle już zniweczył najpiękniejszych

pamiątek, któreby nam o nie jednéj rzeczy dały wyobrażenie. Ileż to porozrzucano i porozrywano żalników, natłuczono pięknych popielnic, popsuto narzędzi i rozmaitych rzeczy w nich się znajdujących! Małe to na pozór rzeczy, lecz duch badacza zastanawiając się nad niemi, do wielkich doprowadzić może rezultatów. (1)

Wielki to już czas, abyśmy drogie te pamiątki od zagłady uchronili, gdyż każdy dzień wiele ich zatraca; wielki czas, abyśmy, zebrawszy je w jednę całość, z opisaniem miejsc, gdzie je znaleziono, z domysłami naszemi, zostawili je następcom, aby i oni daléj na nich budować mogli.

Wiele u nas znajduje się miejsc, gdzie pogańscy Starosłowianie grzebali popioły umarłych swoich, jużto w popielnicach (urnach), jużto w grobach umyślnie na to z kamieni sporządzonych. Groby te są albo ze czterech kamieni, z których każdy tworzy ścianę i przykryte są znów wielkim kamieniem, albo też obkładane tylko małemi kamieniami. Pierwsze znajdują się w żalnikach, lecz zwykle jeden, a rzadko dwa w jednym. We Wierzchocinie, wsi powiatu Szamotulskiego, pół mili od miasteczka Wronek, pełno jest takich żalów, mieszczących w sobie groby. Z lewéj strony drogi, prowadzącéj ku Wróblewie, odkryto na żalniku grób, przykryty kamieniem dużym, wypukłym z wierzchu, a pod spodem gładkim i płaskim. Ściany stanowiły cztery kamienie, pięknie wygładzone. Długość grobu wynosi 4 stopy, 3 cale, od południa ku północy, szerokość zaś na południowéj stronie stóp 2 i cali 9½; na północnéj stóp 3 i cal 1; głębokość zaś rachując od znalezionych kości 3 stopy. Napełniony był piaskiem i gliną; kości na pół spalone leżały ułożone tak, że czaszka, która leżała na pięciu małych kamieniach, znajdowała się w południowo-zachodnim narożniku grobu, reszta zaś kości ułożona była w prostéj linii. Przy czaszce znajdował się toporek, a raczéj szaroblady młotek, zapewne z krzemienia, ostrzem w ziemię utknięty (N. 15.), w nogach znaleziono skorupy naczyń, węgle i żużel, ze 2½ funt. ważący. Znalazł się także między piaskiem ząb całki, lecz tak kruchy, iż trochę ściśniony rozsypał się zupełnie. Żalnik ten wzniesiony nad powierzchnią pola wynosi długości kroków 30, szerokości 16, obłożony w koło kamieniami. Przy samym grobie w nogach ustawione były trzy duże kamienie, cały zaś żalnik zasuty kamieniami małemi, z pomiędzy których widać było większe w równoległych przedziałach ustawione.

W drugim zaś grobie, przywalonym tak wielkim kamieniem, że ledwo sześciu ludzi z wielką pracą go zważyło, nic nie znaleźliśmy prócz skorup potłuczonych naczyń. Ściany jego nie były z kamieni gładzonych, lecz prostych, podługowatych, polnych, każda jednakże ściana była z jednego kamienia. Jedna z nich była wywrócona, gdy upowszechniło się mniemanie między ludźmi, jakoby się tam skarby ukryte znajdowały, niektórzy nawet twierdzili, że widzieli palące się pieniądze. Ktoś łakomy podkopał pod kamień, ścianę jednę wywrócił i wszystko poniszczył co się w grobie znajdowało. Grób ten znajduje się na drugiéj stronie wsi Wierzchocina, ku folwarkom Maryance i Ćmachowskim hubom, gdzie się kilkanaście żalników dość równolegle od siebie oddalonych ciągnie. Niektóre z nich są nad łąką i strugą wielkiemi przywalone kamieniami.

Godzień także uwagi jest tu cmentarz Starosłowiański, dość obszerny, przy drodze prowadzącéj do Głuchowa. Okopany rowem, przy nim mała sadzawka i źródło. Wykopują tu wiele popielnic różnéj wielkości i formy, w których między popiołem i kośćmi skalcynowanémi znajdują się rozmaite drobnostki: żelazne, bronzowe, korale kornaliowe, paciórki szklanne białe, z niebieskiemi prążkami, łzawnice, spinki podobne tym, jakich jeszcze przed laty nie wielu wieśniacy używali do spinania koszul pod szyją, pierścionki bronzowe i t. p. Popielnice i naczynia, jako też ułamki tu przyłączone, są po części z tego cmentarza, po części znalezione na piaskach pod Poznaniem:

1. Popielnica wyszczerbiona z dwoma uszkami, koloru czarnego, wysoka do 5 cali, napełniona była popiołem i kośćmi spalonemi.

2. Naczynie w kształcie dzbanka z uszkami, czarne do połowy.

3. Naczynie podobne do tak nazwanych *juchatek* z dużém uszkiem wystającém, koloru czarnego, z wyciskaniami po brzegach.

4. Dzbanuszek mały z gliny wcale niepalonéj, koloru szaro-czerwonego, z utłuczoném uszkiem.

5. Małe naczynie, które płaczkiem lub łzawnikiem nazywają, koloru szarego. (2)

6. Gruchawka z gliny blado-czerwonéj, u góry upiększona linijkami.

7. Dno ze znakiem jakoby krzyża z czterema punktami, znalezione na piaskach pod Poznaniem.

8. Popielnica piękna bladoczerwona, znaleziona na cmentarzu w Wierzchocinie, napełnio-

(1) W Czechach, w państwie Lochowickiém, znaleziono w pogańskiéj mogile między innémi starożytnościami pierścień szmaltowy (Emailring) w urnie popiołem napełnionéj. Był tak piękny, iż go Dobrowsky za wyrob naszych czasów osądził. Ale najnowsze archeologiczne badania przeświadczyły, że podobne pierścienie w grobach pogańskich: Niemiec, Szwajcaryi i Francyi, często znajdują się. (Casopis ceského Muz. roc. XXX., pag. 660.)

(2) Rakowiecki, w Prawdzie ruskiéj, tom I. str. 57., domyśla się, że naczynia płaczebne nazywały się *Riumkami* od *riumit* w polskim języku „ronić.“ *Riumka* w rossyjskiém znaczy „kubek.“

na była kośćmi białémi skalcynowanémi popiołem, w niéj znalazł się pierścionek bronzowy. (Ner. 6. Tab. II.)

9. 10. Naczynia z gliny blado-czerwonéj małe, w które równie jak pod Nr. 3. 4. pokarmy kładziono i wstawiano do grobów.

13. Znak na dnie popielnicy.

(Dokończenie nastąpi.)

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Nórek.

W jednéj wsi mieszkał ubogi rybak; miał żonę i kilkoro dzieci. Na jeziorze dworskiém wolno mu było ryby łowić i na swoje utrzymanie sprzedawać, jednak państwu tego jeziora musiał każdego czasu tyle dostarczać ryb, ile ich potrzebowało. Trafiło się raz, że u państwa miało być wiele gości, a ryb dużo potrzebować mieli; i oznajmili rybakowi, żeby ryb dostarczył. On cały dzień sieci zastawiał, lecz ani jednéj rybki nie złapał; łowił drugi dzień, nie mógł nic dostać. Meldował to panu, ale pan rzekł z gniewem: „Mnie nic do tego, jak „ryb nie oddasz, to musisz z domu mego wyjść.“ Rybak łowił trzeci dzień, ale nic nie złowił. Przyszedł wtedy do niego mały chłopek w czerwonéj sukni, był to Nórek, który mu rzekł: „Jeżeli mi dasz starszego syna, to wiel„kie mnóstwo ryb dostaniesz, a to nie jeno „dziś, ale zawsze. Musisz mi się jednak pod„pisać krwią z serdecznego palca.“ Nórek naranął mu palca, a rybak się podpisał. Ledwie potém założył sieci, aż tu mnóstwo wielkie ryb ułowił. W domu smucił się z tego rybak, a żona jego rzekła: „Cóżeś taki smutny, kiedy tyle ryb masz?“ A on jéj odpowiedział, „że musi za tydzień syna Nórkowi za to oddać.“

Gdy tydzień przeminął, wziął chłopca z wielkim lamentem i zawiódł go nad jezioro. Tam znalazł się Nórek, odebrał chłopca, i plusknął z nim we wodę. Pod wodą był pałac szklanny, w którym Nórek mieszkał, mający żonę, jednę córkę, i wielu sług. Chłopcu oznajmił, że go dla tego wziął, aby córkę jego bawił; a gdy się dobrze sprawować będzie, to mu też czasem do ojców swoich iść pozwoli. Chłopcu podobało się tam, ale go jednak bardzo tęskno było. Nórek pozwolił mu przeto na jeden dzień do ojców, ale z tém nadmienieniem: że jakby się nie wrócił, to on i jego rodzice z całém rodzeństwem w wodzie zginąć muszą. Chłopiec uradowany opowiedział w domu, że pod wodą miał wszelkie wygody; i tak od czasu do czasu ojców nawiedzał. Gdy córka Nórka podrosła, zeznała przed Jankiem, (tak się młodzieniaszek nazywał), żeby wolała żyć z nim na ziemi między ludźmi; a gdy ojca i matki w domu nie było, zabrawszy najlepsze skarby, wyniosła się z Jankiem nad wodę. Obejrzy się, a tu matka z wielkiém wojskiem ich goni; ona zaraz przemieniła się w srokę, a jego w samca, i wleciała z nim na wysoki dąb. Matka kazała strzelać, i wołała: „Samca strzelajcie, a samiczkę mijajcie!“ Zlecieli z dębu. Dziewczyna przemieniła się w zająca, a jego przemieniła w lisa, który ją gonił. Matka zbliżyła się z wojskiem i wołała: „Lisa strzelajcie, a zająca mijajcie!“ Dziewczyna uderzyła laską w ziemię, i stał się obszerny staw, i znów przemieniła się w kaczkę, a jego w dzikiego kaczora; matka postrzegłszy to, wołała: „Kaczora strzelajcie, a kaczkę mijajcie!“ ale oni, ile razy do nich strzelano, zaraz się pod wodę kryli. Widząc matka, że z nimi nie poradzi, rozpękła się od żalu, a wojsko się wróciło. Pośli potém do stołecznego miasta. Gdy tam przyśli, król właśnie w ten czas na wojnę się wybierał, i Janka z sobą zabrał, ona musiała służyć. Gdy się wojna skończyła, w któréj się Janek bardzo walecznym okazał, i wielkiemi zasługami okrył, przyobiecał mu król córkę swoją za żonę. Janek miał to sobie za wielkie szczęście, i o córce Nórka wcale zapomniał. Gdy wesele sprawiano, przyleciała gołębica i jastrząb', i siedli na szafie w sali, gdzie goście jedli. Gołębica przemówiła: „Pamiętasz Janku, kiedym dom ojcowski „opuściła, i ciebie z pod wody wyprowadzi„ła?“ A jastrząb' odpowiedział: „Pamiętam.“ „Pamiętasz, kiedy nas matka z wojskiem goni„ła, a jam ciebie i siebie w parkę srok prze„mieniła?“ Jastrząb znów odpowiedział: „Pa„miętam.“ Goście się wielce dziwowali, a gołębica daléj rzekła: „Pamiętasz, jakeśmy byli „parą kaczkami, a matka moja od żalu pę„kła?“ „Pamiętam!“ „Pamiętasz kochanku, „jako mi wieczną miłość ślubowałeś?“ „Pa„miętam.“ Pan młody, który miał teraz królownie ślubować, co raz bardziéj bledniał, a na ostatku mdleć począł. Król i goście pytali się o przyczynę tego, a on im zeznał, że ta gołębica jemu zarzuty czyniła. Uczta się skończyła; gołębica odleciała, Janek za nią wybieżał, serdecznie przepraszał, i w kilka dni późniéj, z gołębicą, przemienioną teraz w piękną dziewczynę, wesele odprawiał.

Anegdota.

Zygmunt III. przechwalał się, że w gospodarstwie najlepszemu rólnikowi nie ustąpi. Na co Grochowski, dawny dworzanin zasłużony, ale nieszczęśliwy, rzecze: „Najjaśniejszy Panie! cóż to za gospodarstwo u W. K. Mci, groch tak dawno wszedł, a jeszcze nie zakwitł.“ *Kowalicki*, k. 420.

№ 133. *Z Wielkopolski*

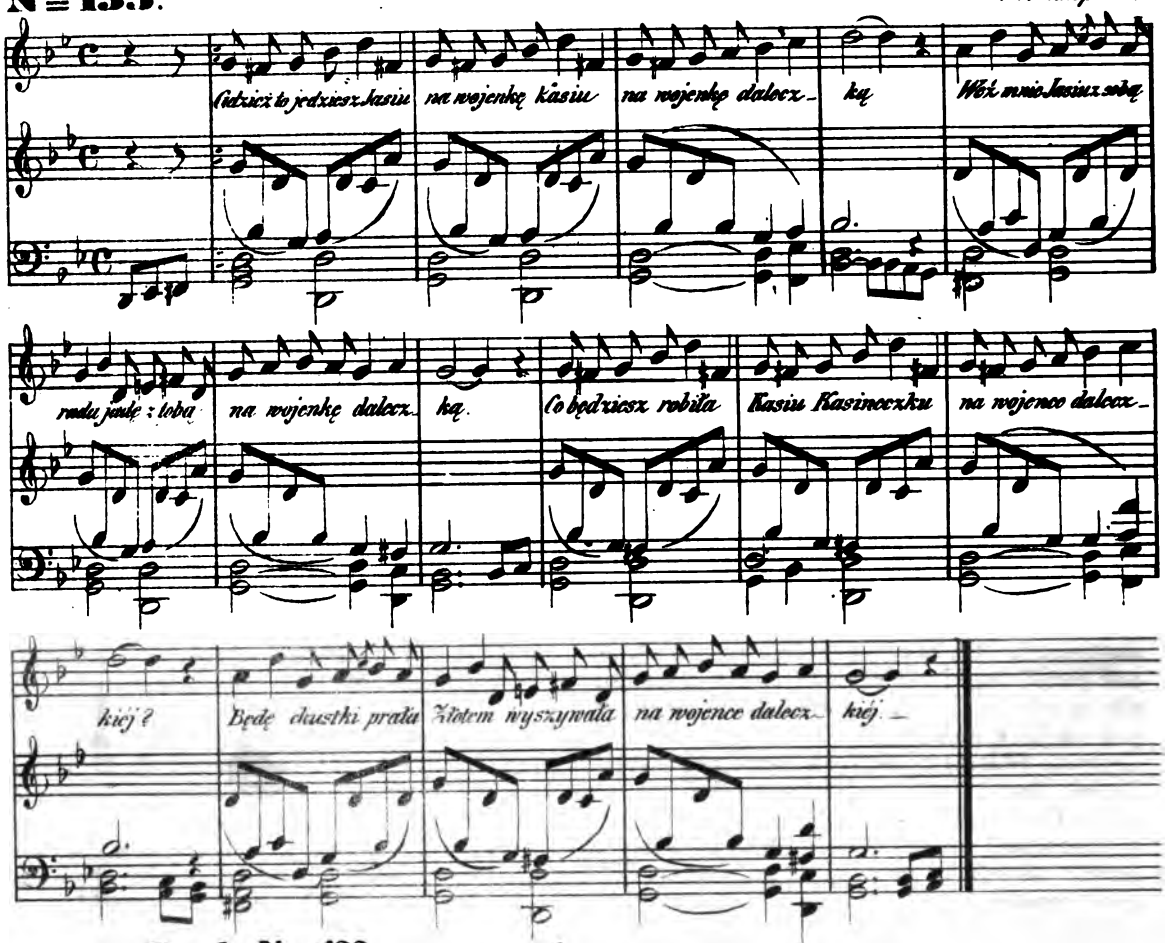

Text do Nru. 133.

1. „Gdzież to jedziesz Jasiu?“
„Na wojenkę Kasiu,
Na wojenkę daleczką.“
„Weź mnie Jasiu z sobą,
Rada jadę z tobą,
Na wojenkę daleczką.“

2. „Co będziesz robiła,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence deleczkiéj?“
„Będę chustki prała,
Złotem wyszywała,
Na wojence daleczkiéj.“

3. „Gdzie je będziesz prała,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence daleczkiéj?“
„U Króla w ogrodzie,
Na bieżącéj wodzie,
Na wojence daleczkiéj.“

4. „Gdzie będziesz suszyła,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence daleczkiéj?“
„U Króla na górze,
Na jedwabnym sznurze,
Na wojence daleczkiéj.“

5. „Gdzie będziesz manglować,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence daleczkiéj?“
„U Króla w piwnicy,
W téj złotéj manglicy,
Na wojence daleczkiéj.“

6. „Co będziemy jedli,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence daleczkiéj?...“
„Są na boru grzyby,
I we wodzie ryby,
Na wojence daleczkiéj?“

7. „Co będziemy pili,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence daleczkiéj?“
„Jest piwo w piwnicy,
W téj złotéj szklennicy,
Na wojence daleczkiéj?“

8. „Gdzie będziem spoczywać,
Kasiu, Kasineczku,
Na wojence daleczkiéj?“
„Jest przy morzu kamień,
Odpoczniemy na nim,
Na wojence daleczkiéj?“

(*J. J. Lipiński*, P. L. w., str. 77.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 8. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 21. Lutego 1846.

Popielnice starosłowiańskie (dokończenie). — O chłopach we Francyi (dalszy ciąg). — Ostatnia chwila życia i śmierć Stanisława Leszczyńskiego, Króla polskiego. — Legenda o kowalu. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Tablica II.

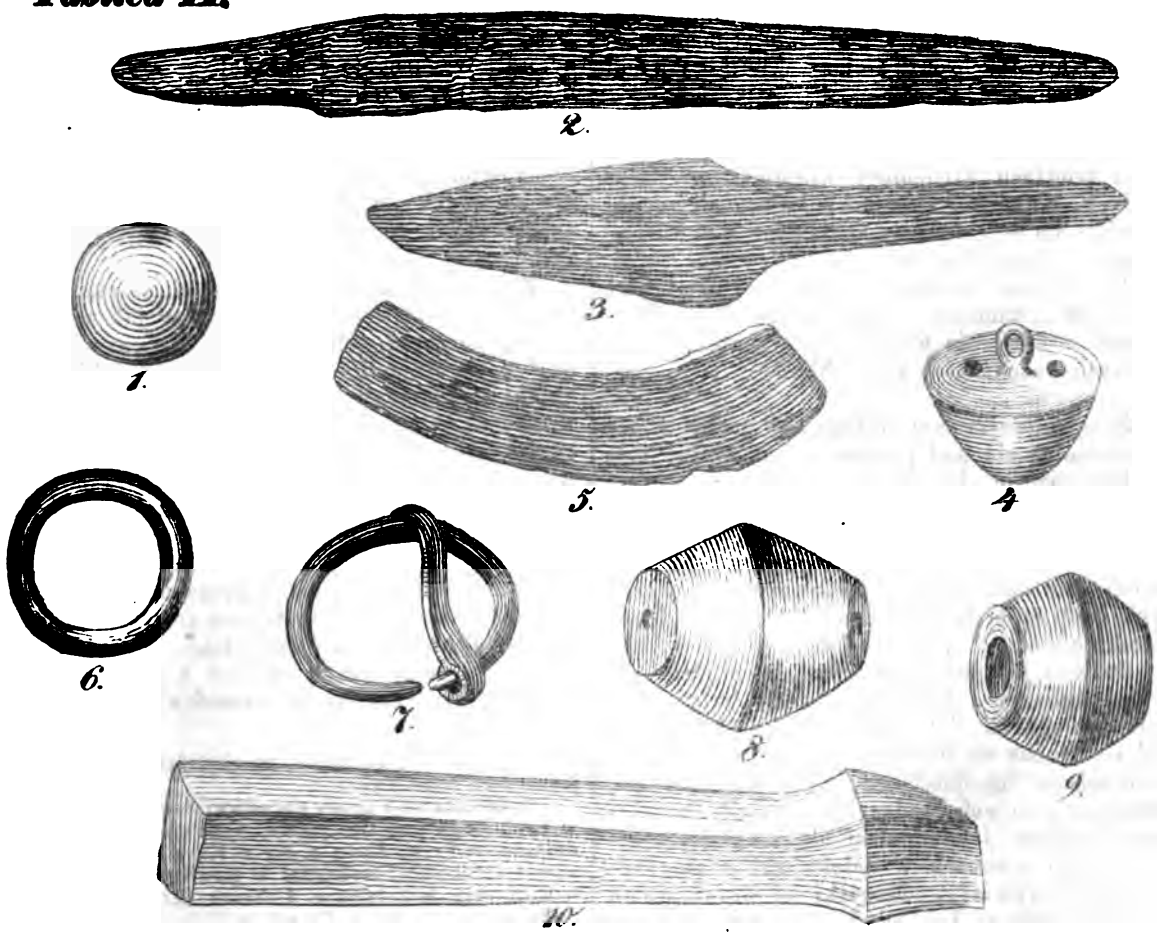

Popielnice starosłowiańskie.

Popielnice starosłowiańskie i obrzędy przy pogrzebach.

(Dokończenie.)

Oprócz tu przyłączonych znajdują się bardzo wielkie i bardzo wiele, wszystkie zaś bardzo pojedyńczéj roboty. Nie można jednak utrzymywać, aby Starosłowianie nie wyrabiali popielnic z różnemi ozdobami. Świadczą złamki znalezione, (jak Nr. 11. 12.) że i oni starali się o upiększenie naczyń, w których spoczywać miały ich popioły. A że zaś nie były tak wytworne i tak ozdobne jak Greków i Rzymian, to łatwo się wytłumaczyć może, gdyż pierwsi stawiali je w przedsionkach bogatych i pysznych pałaców, Słowianie zaś składali je w ziemi.

Tablica II.

1. Łzawnica ze szkła zielonego, okrągła, na wierzchu znak, że dziurka zalepiona; z Wierzchocina.

2. 3. Nożyki żelazne, rdzą czerwoną okryte, naturalnéj wielkości, znalezione w popielnicy na piaskach pod Poznaniem.

4. Guzik bronzowy, okryty zieloną rdzą, znaleziony w popielnicy pod Wierzchocinem.

5. Kawałek bronzu zielono-skwitłego z pod Wierzchocina. (1)

6. Pierścionek bronzowy.

7. Śpinka żelazna; podobną opisał E. Hr. T. w źródłach Archeologii krajowéj.

8. 9. Kamienne sprzączki, koloru ciemnego, podobne do przęsłyków, znalezione pod Poznaniem na piaskach w grobie.

10. Dłótko kamienne naturalnéj wielkości z pod Wierzchocina. Na *Tablicy I.* Nr. 15. młotek z kamienia piaskowego, znaleziono na piaskach poznańskich w grobie.

Z cmentarzem tym stykają się groby, które nie wznoszą się nad powierzchnią, widać tylko kamienie je okrywające, zasypane piaskiem i obrosłe trawą, lecz widać dobrze mniejsze kamienie tworzące granice żalników, ciągną się daleko w pole we formie trójkątów. W bliskości przy sobie jest pięć takich grobów, w których według mniemania ludu leży pięciu braci wielkoludów.

Dziwną jest jednak rzeczą, że nigdzie nie widać zgliszcza, miejsca, gdzieby były znaki palonych ogniów, jak to najoczewiściéj przekonać się można na piaskach pod Poznaniem, około młyna Śto-Jańskiego, gdzie massa węgli, z drzewa palonych, będących w mogiłach, między skorupami i kamieniami się znajduje, czernią się po piaskach z daleka zgliszcza, które wiatry wywiały. Mogiłki od strony stawu się wznoszące są bez kamieni na wierzchu jak żale (2), lecz ze saméj ziemi piasku, a po odgrzebaniu tego, zaraz ukazuje się czarna od popiołu ziemia, skorupy popielnic, kamienie drobne, błyszczak. Wielość skorup tu porozrzucanych i zgliszcz wnosić każe, że kiedyś wiele popielnic znajdować się tu musiało. Dziś rzadko się całka znalezie, wszystko potłuczone. Jednę całką zdarzyło mi się odgrzebać, a w niéj między popiołem z kośćmi były nożyki *Tab. II.* 2. 3., spinka (7) żelazna. W wielu miejscach znajdują się przy popielnicach potłuczonych kości zwierząt, które zapewne palono razem z trupami. Są groby obłożone kamieniami w około, równo ze ziemią, napełnione kośćmi zwierząt i popielnicami potłuczonemi. Najwięcéj takich jest ku Łącznemu młynowi na wzgórzu, gdzie pewnym porządkiem nawet kamieniami poobkładane wyglądają z ziemi. Ciekawą byłoby rzeczą, gdyby jaki miłośnik starożytności słowiańskich zajął się przeszukaniem zapewne najdawniejszych mogił i grobów (3).

Starosłowianie wystawiając sobie żywot przyszły zmysłowo, rozumiejąc, że każdy jak tu żył, tak i tam żyć będzie, kładli wszystkie ulubione rzeczy, zbroje do grobów nieboszczykom, palili z niemi konie i sprzęty, łzy nawet zbierali w naczynia i składali w grobach, aby nieboszczyk, przebudziwszy się kiedyś, widział, że były serca, którym był drogi i miły, że byli przyjaciele, którzy go kochali.

Niektóre zwyczaje i obrządki przy chowaniu umarłych do dziś dnia się między ludem zachowały i zapewne sięgają odległéj starożytności.

Za wprowadzeniem wiary chrześciańskiéj, lud przywykły do dawnych bogów jak nie łatwo je porzucał, tak téż nie łatwo czynił rozbrat z obyczajami i zwyczajami, do jakich od kolebki się przyzwyczaił. Ztąd téż poszło, że w czasach chrześciaństwa długo jeszcze lud zachowywał obrzędy pogańskie. Dwa prawie wieki mijały, jak krzyż Zbawiciela błysnął na ziemi praojców naszych, jak pokruszono bałwany, a lud jeszcze kładł na stósy swych nieboszczyków i zbierał popioły ich, aby je zesypawszy do naczyń na to przeznaczonych, zachował w ziemi. Płakali nad zmarłymi Poganie, jak płaczą po dziś dzień Chrześcianie, i nie dziw, bo serce pełne miłości i przywiązania od łez serdecznych wstrzymać się nie może.

---

(1) Wszystkie bronzy są okryte zieloną, żelaza czerwoną rdzą.

(2) E. Hr. T., kurchany, mogiły, żalniki mylnie za jedno i to samo uważa.

(3) Cmentarze i groby starosłowiańskie znajdują się w Grabonogu pod Gostyniem, w powiecie Krobskim, opisane w Przyj. Ludu r. 8.; w Krajewicach, w powiecie Krobskim; w Górze, w powiecie Szremskim; w Ciszkowie, Mikołajewie, Lubaszu, Miłkowie, Górze, Sokołowie, w powiecie Czarnkowskim; w Olesinie nad jeziorem Wielkie zwaném, w powiecie Szamotulskim; w Kotowie, w powiecie Bukowskim; pod Międzyrzeczem znaleziono urny z napisami, posiada je szkoła realna tamże.

Nie jest jednak dziś płacz ten wrzaskliwy najętych płaczków, ale szczéry, serdeczny, cichy, płacz cierpliwości i nadziei. Lecz są inne obyczaje, które zapewne w pogaństwie mają swój początek. Jak dawniéj, tak i dziś narzekają po niektórych stronach Sławiańszczyzny nad umarłym, lecz i to narzekanie przybrało tło chrześciańskie. Najlepiéj pokazuje się to u Słowian dolno-rakuskich (4), gdzie jeżeli kto umrze z rodzeństwa, schodzą się w dniu pogrzebu przyjaciela krewni do domu nieboszczyka, aby się z nim pożegnać. Jeżeli nieboszczyk był mężem, ojcem, przystępuje wdowa ze łzami w oczach ku trumnie, a ściskając, całując (ljbajic) martwe ciało, mówi do niego, żegnając się z nim. „Cóż sobie pocznę ja uboga, opuszczona bez ciebie. Tyś był mą ochroną, pociechą w smutku. Bardzo prędko upłynęły dni nasze. Krótkie były roskosze małżeństwa naszego. Bóg wszakże powołał cię ku sobie. Odpuść mi, jeżelim ci w czém ubliżyła, a pomnij o truchlejącéj małżonce twojéj i o sierotach przed obliczem Bożém i t. p. Na cmentarzu gdy spuszczają trumnę do grobu, opłakując go temi wyrzeka słowy: „Odpoczywaj w pokoju mój najmilszy mężu, śpij cicho, spokojnie. Jak tęskno będzie mnie po tobie, kocham cię bardzo mój najmilszy. Boże wszechmocny, nie opuszczaj mnie w téj chwili bolesnéj.“

Narzekania dzieją się zawsze przy każdym pogrzebie, a gdyby kto tego nie uczynił, byłoby zgorszeniem dla wszystkich. Któż czytając to, nie wspomni na staropolskie: „Halele lele, y procz ty mene umral, zato ty nye mial szto isty, albo pyty i procz ty umral. Halele lele, y za ty nye myal Krasice mlodzice y procz ty umral.“ Jest u nas mniemanie podobne zupełnie pogańskiemu, że dusze nie odstępują ciała zmarłego, lecz stoją przy nim, dopóki go nie spuszczą do grobu. Wszakże to samo wyobrażenie czytamy w rękopiśmie Królodworskim, gdzie dusze latają z drzewa na drzewo na około trupa Własława; wszakże czytamy w tymże, że dusz latających po górach ptastwo się boi i płochy zwierz, jedno sowy ich się nie boją. Na dowód przytoczę tu wyjęte słowa z oryginału, gdyż tłumaczenia polskiego nie mam pod ręką: (5)

Vlaslav strasno po zemi se koti,
i v bok, i v zad, vstàti nomozese;
Morena jej sypàse v noc crnu.
Kypese krev ze silna Vlaslava,
po zelené trave v sirú zemiu tece.
Aj, a vyjde dusa z roùcéj huby,
vylete na drvo, a po drvech
semo tamo, doniz mrtew nezzen. (*)

(4) Casopis Muz. Cesk. roc. XIX. O Slawanech w dolnich Rak. Narekani pri umrti.

(5) Cestmir a Vlaslav pag. 26. wyd. Hanki w Pradze 1835.

(*) W tłumaczeniu polskiém L. Siemieńskiego:
Strasznie się Własław po ziemi tarza,
powstać nie może tyłem ni bokiem;
Morena w czarną noc go umarza,
i krew z Własława ciekła potokiem;
trawą zieloną do ziemi ciekła.
Dusza się z jękiem gęby wywlekła,
z drzewa na drzewo w lot się przemyka,
pókąd niespłonie trup nieboszczyka.
Przyp. Redakcyi.

lub w pieśni o Zaboju:

Aj bratie, aj sery vrch!
bozi ny tamo vicestviem darili!
Tamo i vele dus teká
semo tamo po drevech.
Jich bojé se ptactvo i plachy zver;
jedno sovy nebojé se. (*)

W pieśniach ludu polatują jeszcze dusze zabitych w postaci gołąbków białych, kukułek nad grobami nieboszczyków, na których porosły dęby i brzozy:

A na mogile wyrosł tam dąbeczek,
I siada tam, siada biały gołąbeczek;

a w powieści o Madeju jabłoń okryta złotemi jabłuszkami na raz niknie, i z jabłuszek duszyczki jako gołąbki białe ku niebu się unoszą.

Po dziś dzień umywszy umarłego, ubierają go w czecheł, czyli gzło (6), kładą go w trumnę prostą z desek sosnowych, i tak stawiają na stołkach lub ławkach wśród izby, aby każdy mógł go obejrzeć i z nim się pożegnać. Stołki te, lub ławeczki, gdy w dzień pogrzebu wyniosą umarłego z domu, przewracają do góry nogami. Przed trumną idzie zwykle baba z garnuszkiem święconéj wody i kropi nią na wszystkie strony, odpędzając złego ducha, który w ten czas z aniołem o duszę nieboszczyka bój toczy. Obyczaj ten jawnie i oczywiście przypomina nam odpędzanie złego ducha od ciała nieboszczyka w pogańskich czasach wołaniem: „biegajte“ etc. A kto wie, czyli ono stawianie garnuszków, w których niesiono wodę święconą, pod krzyżami, których nikt nie ruszy z miejsca, nie ma swego znaczenia w pogaństwie. Jak bardzo przestrzegają, aby umarły nie leżał z otwartemi oczami w trumnie i nie upatrywał sobie, ktoby za nim iść miał najpierw do grobu, tak podobnie, aby nikt z krewnych, powinowatych nie rzucał na trumnę do grobu ziemi. Wspomnieć tu jeszcze trzeba, że wróżbą śmierci, oprócz snów, w których się marzy, że ząb wypada i t. p., jest jeszcze i wycie psa, hukanie sowy na dachu, która wedle wyobrażenia ludu woła: „Pójdź, pójdź

Morena w czarną noc go umarza,
i krew z Własława ciekła potokiem;
trawą zieloną do ziemi ciekła.
Dusza się z jękiem gęby wywlekła,
z drzewa na drzewo w lot się przemyka,
pókąd niespłonie trup nieboszczyka.
Przyp. Redakcyi.

(*) W tłumaczeniu polskiém L. S.:
Bracie! czy widzisz ówdzie wiérzch szary,
tam, z woli bogów, my zwyciężyli!
tam dusz tysiące lata téj chwili,
z drzewa na drzewo między konary.
Zwiérz się ich boi, boi ród ptaszy,
jedna się sowa tylko niestraszy.
W tekście czeskim nie są spółgłoski miękkie oznaczone dla braku czcionek czeskich.
Przyp. Redakcyi.

(6) Wyraz zapewne sięgający pogańskich czasów, przypomina *zgliszcze.*

w dołek, pod kościołek," zkąd ją także *puchą* nazywają.

Po pogrzebie odbywają się jak dawniéj strawy, uczty, lub niedawnemi czasy poczęsne, wśród śpiewania pieśni, z których jednę Zegota Pauli w zbiorze pieśni galicyjskich przytoczył. W miasteczkach wyprawiają jeszcze tak nazwane *boże obiady* dziadom ubogim. Zmiły zupełnie już u nas święta, na uczczenie pamiątki umarłych obchodzone, w Szląsku jeszcze do dziś na początku wiosny wynoszą Marzannę ze wsi i topią ją śpiewając pieśń, któréj tylko początek przytaczam:

Marzanka krasna,
W lesie urosła,
W lesie ją ścięli,
Do miasta ją wzięli; etc.

Oto są po krótce obrzędy pogrzebowe, które przybrawszy inne znaczenie od pogańskiego, utrzymały się między ludem. W całém życiu domowém wiele jeszcze jest zabytków pogańskich zmodyfikowanych na chrześciańskie, lecz chcąc je wszystkie zebrać, trzeba żyć między ludem od dzieciństwa, z nim się bawić i z nim płakać, trzeba pozyskać całą jego duszę i zaufanie, a z miłością serdeczną, szczerą i prostą otworzyć dla niego serce swe, jak je otwieramy dla najmilszych naszych przyjaciół.

Fr. Wawrowski.

O chłopach we Francyi.

(Ciąg dalszy.)

Wspominali często Poeci o przyciągającéj sile wody, o owych niebezpiecznych zjawiskach, które nieostrożnego rybaka wabiły. Niebezpieczniejszą jeszcze może jest przyciągająca siła ziemi. Wielka, czy mała, ma ona zawsze tę dziwną i nęcącą własność, że zawsze jest niezupełną; dąży ona zawsze do *zaokrąglenia*. Mało co tylko nie dostaje, tylko ten kawałeczek, albo mniéj jeszcze, tylko ten klinik. Tak powstaje pokusa zaokrąglania, kupowania, pożyczania. „Oszczędzaj, jeśli możesz, nie pożyczaj," mówi rozum. Ale to trwa za długo; namiętność mówi: „Pożyczaj!" Właściciel bojaźliwy nie łatwo się skłoni do pożyczenia; chociaż mu chłop piękny kawał ziemi pokazuje, bez długu, boi się przecież, aby żona lub sierota (bo takie są nasze prawa) z ziemi nie powstała, i prawem pierwszeństwa nie pochłonęła wartości zadatku. Nie waży się więc pożyczyć. Któż więc pożyczy? Miejscowy lichwiarz lub znawca prawa, który ma w ręku wszystkie papiery chłopa, który stan jego interesów lepiéj zna od niego samego, który wie, że się tenże na nic nie odważy, i który mu z przyjaźni nie pożyczy, tylko za 7, 8, 10 od sta pieniędzy dostawi.

Weźmież on te zgubne pieniądze? Żona jego rzadko jest tego zdania. Gdyby się dziada swego o radę zapytał, i tenby mu odradzał. Praojcowie jego, starzy chłopi francusey, nie byliby również tego uczynili. Potulny ten i cierpliwy ród liczył tylko na osobistą swą oszczędność, na swój grosz, który sobie od żywności okroił; na mały pieniążek, który sobie niekiedy z targu przynieśli i jeszcze téj saméj nocy wrzucili do garnka zakopanego w sklepie, aby się z rodzeństwem swojém połączył.

Dzisiejszy chłop jest inny; ma on wyższy popęd, był on żołnierzem. Wielkie czyny, których w wieku tym dokazał, przyzwyczaiły go do uważania rzeczy niepodobnych za nietrudne. Nabycie ziemi jest dla niego walką; przystępuje do tego celu jakby szturmem, i nie cofa się. Jest to jego bitwa pod Austerlic, którą, wie on o tém, wygra, choć nie bez trudu. Toć pod Cesarzem daleko większe rzeczy widział! Kiedyć w czasie, w którym tylko rany mógł zdobyć, tak dzielnie walczył, jakżeżby walkę o ziemię leniwie miał toczyć? Idź w ślady jego zrana, a zastaniesz jego i jego familią, żonę, która co tylko zległa i czołga się po wilgotnéj ziemi, zastaniesz ich, mówię, przy pracy. W południe, kiedy skały od gorąca pękają, kiedy osadnik Negrowi swemu wypoczywać każe, wolny Neger nie spoczywa. Przypatrz się jego żywności i porównaj ją z żywnością rzemieślnika; jé ten w dzień powszedni lepiéj, aniżeli chłop w niedzielę.

Bohatérski ten człowiek myślał, że mocą swéj woli wszystkiego dokaże, nawet czas przemoże. Ale to nie w wojnie; czasu przemódz nie można; cięży on, walka pomiędzy procentem lichwiarskim, który się z czasem przysparza, a siłą ludzką, która się zmniejsza, trwa ciągle i przedłuża się. Ziemia przynosi dwa od sta, a procent lichwiarski wynosi 8 od sta, t. j. walczy przeciw niemu, jak jeden przeciw czterem. Każdy rok procentowy chłonie cztery lata pracy.

I teraz dziwić się, że ten Francuz, który się dawniéj śmiał i śpiewał, teraz się nie śmieje! Dziwić się, że po ziemi, która go pożera, tak posępnie chodzi! Przechodzisz koło niego i witasz go; nie chce cię widzieć, wciska kapelusz na głowę aż za oczy. Nie pytaj go o drogę, bo gdyby odpowiedział, mógłby ci przeciwny kierunek wskazać.

Tak odosabnia się chłop, a usposobienie jego coraz się pogorsza. Serce jego tak ściśnione, że się życzliwym uczuciom oddać nie może. Nienawidzi on bogacza, nienawidzi sąsiada i świat cały. Żyjąc w swéj nędznéj posiadłości samotnie, jakby na wyspie jakiéj odległéj, dziczeje. Wstręt od towarzyskości, pochodzący z uczucia nędzy, czyni to usposobienie nieuleczonem; wstręt ten nie pozwala mu się porozumieć z tymi, którzyby jego sprzymierzeńcami i naturalnymi przyjaciółmi być powinni, z innymi chłopami; wolałby umrzeć, aniżeli na krok do nich się zbliżyć. Z drugiéj

Stanisław Leszczyński, Król polski.

strony unika go mieszkaniec miejski, i nie zbliża się do tych hardych ludzi; prawie ich się boi, mówiąc: „Chłop jest złośliwy, chciwy, gotów wszystko uczynić; w sąsiedztwie jego człowiek jest niebezpieczny.“ Tak oddalają się ludzie zamożni coraz bardziéj od niego; żyją oni przez czas niejaki na wsi, ale się tam na dobre nie siedlą; miasto jest miejscem ich zamieszkania. Bankierowi wiejskiemu, znawcy prawa, temu tajemnemu spowiednikowi wszystkich, który na wszystkich zarabia, zostawują wolne pole do działania. „Z ludźmi tymi nic już nie chcę mieć do czynienia,“ mówi właściciel, „niechaj notaryusz wszystko odrobi, spuszczam się na niego; porachuje on się zemną, wyda dzierzawy i rozdzieli, jak będzie chciał.“ Tym sposobem staje się w wielu miejscach notaryusz jedynym dzierzawcą, jedynym pośrednikiem pomiędzy właścicielem a ziemianinem; jest to wielkie nieszczęście dla chłopa. Uchodząc niewoli względem dziedzica, który zwykle czekał i długo na słowach przestawał, przyjął za pana prawnika, pieniacza, znającego tylko termin literalny.

Niepomyślną opinią właściciela utwierdzają zwykle ludzie pobożni, odwiedzający żonę jego.

Materyalizm chłopów jest zwyczajnym tematem ich elegii. „Bezbożny wiek!“ wołają, „materyalny ród! Ludzie ci kochają tylko swą ziemię! Jest to cała ich religia! modlą się oni tylko do mierzwy na ich polach!“ O nieszczęśni Faryzeusze! gdyby ziemia ta tylko ziemią była, nie kupowaliby jéj za tak szaloną cenę, nie uwodziłaby ona ich do takich obłąkań, do takich zaślepień. Wy ludzie duchowi, nie materyalni, nie dalibyście się tak usidlić; obliczacie wy aż do jednego franka, ile to pole przynosi w zbożu lub winie. A on, chłop, nadaje temu polu nieskończoną imaginacyjną cenę; jest on nadto duchowym, on jest poetą. Z błotnistéj téj i złéj ziemi widzi on wyraźnie błyszczące się złoto wolności. Dla tego, co zna niezbędne zbrodnie niewoli, jest wolność pierwszym stopniem i zwiastunką cnoty. Familia, która się z stanu najemnictwa podniosła do stanu posiadłości, ta ma o sobie jakieś wyobrażenie, nabiera szacunku ku sobie; sprząta ona na swém polu żniwo cnót. Wstrzemięźliwość ojca, oszczędność matki, dzielna praca syna, dziewiczość córki, toć to przecie nie są dobra materyalne, toć to skarby, których nadto drogo zapłacić nie można.

Mężowie przeszłości, którzy się mężami wiary mianujecie, jeśli nimi rzeczywiście jesteście, przyznajcie więc, że to wiara za dni naszych broniła wolności świata przeciw światu za pomocą rąk tego ludu. Nie gadajcież wciąż o rycerstwie. Czyny chłopów naszych były także rycerstwem, a to jedném z najszlachetniejszych. Powiadają, że rewolucya zniosła szlachectwo; aleć przeciwnie utworzyła ona 34 miliony szlachty. Emigrant przytaczał sławę swych przodków; chłop, który bitwy wygrywał, odpowiadał: „Ja sam jestem tym przodkiem!“

(Dokończenie nastąpi.)

Ostatnia chwila życia i śmierć Stanisława Leszczyńskiego, Króla polskiego. (1)

Na początku roku 1766. Stanisław w ośmdziesiątym dziewiątym roku życia swego będący, zachował w całéj mocy tę żywość umysłu i dobroć duszy, które go zawsze tak drogim dla poddanych czyniły; zdrowie jego było w najlepszym stanie, starość zdawała się jemu udzielać roztropności i cnoty, które ją tak szanowną czynią. Przytłoczony od sześciu tygodni okrutną stratą (śmiercią Delfina) najżywszą, najboleśniejszą, jaka kiedy serce jego dotknęła, pobożny monarcha szukał pociechy w religii. W dniu 3. Lutego (1766.) kazał odprawić w stolicy uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę Delfina, i sam chciał być na niém przytomnym. W czasie mowy żałobnéj, którą miał ojciec Elizeusz, płakał Król ukochanego wnuka, a z nim płakali wszyscy Lotaryngczykowie. Przymuszony nocować w Nancy z powodu przykrego czasu, wyjechał nazajutrz do Lunewillu, dokąd zaledwo w wieczór dopiero przybył. Mimo niewczasów podróży, Stanisław według zwyczaju swego wstał nazajutrz ze świtaniem, a chcąc się dowiedzieć, która była godzina, zbliżył się do kominka, iskra padła na jego szlafrok i natychmiast go zapaliła. Król zaczął dzwonić, lecz pokojowi jego nie byli na swojém miejscu; tymczasem ogień coraz się szerzył. Stanisław chciał się nachylić dla ugaszenia go, ale nieszczęściem potknął się i upadł nań ręką opartą na rozżarzonych węglach. W tak okropném położeniu, nie będąc w stanie ani powstać, ani wołać o pomoc, doznawał boleści, które mu nawet przytomność odebrały; już miał skonać bez ratunku, gdy żołnierz będący na straży przy pokoju królewskim, dostrzegł dym rozchodzący się po sali. Niespokojny zbliżył się do garderoby, zaczął wołać na służących, lecz żadnego nie było w domu; tymczasem dym się powiększał. Domyślał się żołnierz, że się musiał Królowi wydarzyć jaki przypadek, lecz nie wolno mu było wejść do pokoju Króla; zaczął przeto jeszcze mocniéj na dworzan wołać, nareszcie przybyli służący, i z trudnością podnieśli monarchę, który na to tylko odzyskał przytomność, aby się ujrzał ofiarą płomieni, które sam przygasić usiłował, kiedy tymczasem otaczający go rozrywali i odcinali suknie jego na pół spalone. Nieszczęśliwy monarcha okazał w tém zdarzeniu męztwo nadzwyczajne; zamiast wyrzucania niedbałości sługom, sam ich z dobrocią wymawiał, i dziękował za gorliwość, z jaką starali się ulżyć jego okropnym cierpieniom.

Na odgłos tak smutnego wypadku, zbiega się lud przerażony i napełnia wszystkie dziedzińce zamku, wołając głośno, aby im oświadczono, czego się mają lękać lub spodziewać względem ukochanego Króla. Wkrótce wszystkie drogi prowadzące do Lunevillu zostały napełnione mnóstwem rozpaczającego ludu, którego przywiązanie i niespokojność ze wszystkich stron Lotaryngii sprowadzały. Mieszkańcy najodleglejszych włości biegli z pośpiechem dowiadywać się osobiście o stanie drogiego Króla. Ponieważ domy zajezdne nie mogły mieścić wszystkich przejeżdżających, ubodzy wieśniacy nie byli do nich wpuszczani, widziano przeto tych nieszczęśliwych na dziedzińcach zamkowych, pożywających ze łzami chleb, któ-

(1) Stanisław Leszczyński, syn Rafała Leszczyńskiego, Wielkiego Podskarbiego koronnego, i Anny z Jabłonowskich, urodził się we Lwowie 20. Października 1677 r. Przodkowie jego, pochodzący z Morawii, osiedli w Polsce i mieli założyć miasto Leszno, od którego według ówczesnego zwyczaju przybrali imię Leszczyńskich. Dom ten od dawna liczył długi szereg mężów równie sławnych z wysokich godności przez nich piastowanych, jak z zasług osobistych, które większą bez wątpienia mają wartość od wszelkich zaszczytów.

ry na tę smutną pielgrzymkę z sobą zabrali. Raz Król spytał się przytomnych, coby znaczył ten zgiełk i odgłos dający się słyszeć na dziedzińcach pałacowych, a skoro się dowiedział o przyczynie, kazał natychmiast napisać następujący bilet do swego Marszałka dworu:

„Mocno się zasmuciłem kochany Panie Alliot, „dowiadując się w jak opłakaném zostają po„łożeniu biedni ludzie, przychodzący codziennie „z odległych stron, dla powzięcia wiadomości „o mojém zdrowiu, a którzy nie mogą nawet „w mieście znaleźć miejsca na spoczynek. Cze„mużeś mi o tém nie mówił? rozkaż więc roz„dać im chleba, a nawet wina, bo teraz jest „bardzo zimno; najuboższym zaś daj nieco pie„niędzy, aby mieli o czém powrócić do domu i „staraj się ich przekonać, że nie mają się cze„go tak bardzo o mnie lękać.“ Jednakże oznaki tak szczerego i żywego przywiązania przenikały czułą duszę Stanisława; „patrzcie,“ mówił, „jak ten dobry lud jest do mnie jeszcze „przywiązany, dzisiaj nawet, kiedy się niecze„go ani spodziewać, ani lękać z mojéj strony „nie ma.“ Mimo dojmującéj boleści, pragnął jeszcze zająć się urządzeniami na korzyść ubogich i nakazał złożyć w miejscu bezpieczném wszystkie prawa zapewniające im użytkowanie z jego dobrodziejstw.

Zważając, jak wielką boleścią ten smutny wypadek miał przejąć dwór francuski, Stanisław Leszczyński dyktował sam list do Królowéj, swéj córki; a ponieważ ona radziła mu, aby w podróży zabezpieczył się od zimna, „powinnabyś owszem,“ mówił Stanisław, „radzić mi, abym zbytniego gorąca unikał.“ Daléj opisywał swój przypadek w sposobie zaspokajającym jéj trwogę. Jednakże wesołość chorego, ani nadzieje przez doktorów czynione, nie mogły uspokoić serc, tak czule do niego przywiązanych; mnóstwo nadzwyczajnych gońców krzyżowało się na drodze z Wersalu do Lunewillu, dla powzięcia wiadomości o zdrowiu Króla; każdy z jego rodziny ubiegał się o pierwszeństwo w ukazaniu mu większego przywiązania. Jedna z wnuczek Stanisława (2) wysłała sama gońca, i kończyła temi słowy list do niego: „Błagam gorąco o to Boga, najukochańszy Dziaduniu, aby Cię w zdrowiu zachować raczył, dla szczęścia wszystkich żyjących, i mojego w szczególności.“ Niestety! nie wysłuchało niebo jéj prośby: od ośmnastu dni ciągle się powiększała choroba, i coraz bardziéj niebezpieczniejszą się stawała, a jednak męztwo i bohatérska stałość Stanisława, nie opuszczały go i na chwilę; kiedy ciężkie boleści sen mu odbierały, nie chciał pozwolić, aby obudzono lekarzy śpiących w jego pokoju; „oni mogą mię tylko namawiać do cierpliwości,“ mówił, „będę się raczéj sam starał do niéj skłonić;“ religia jedyną była osłodą jego cierpień i innéj nad nią nie szukał pociechy. — Obraz śmierci nigdy go nie trwożył; widział ją zbliżającą się z tą spokojnością i stałością umysłu, jakie najczystsze sumienie i pamięć życia poświęconego dobru ludzkości nadają. Lecz oto już odgłos dzwonu zapowiada wzmagające się niebezpieczeństwo Króla, pomieszanie maluje się na twarzach wszystkich, przestrach ogarnia ich serca, bogaci i ubodzy cisną się do świątyni Pańskiéj. Zbliża się kapłan, wznosi modły do Pana Zastępów za zdrowie ojca ojczyzny. Chce przemówić, głos mu się tłumi w piersiach, same tylko z nich wydobywają się westchnienia; łzy za niego odpowiadają, i modlitwy za zdrowie Króla są tylko ciągłym jękiem..! Wtém znagła nowy słyszeć się daje szelest, gońce przybywają; już się stało! skonał ten, którego życie było ciągłą dobroczynnością! Ostatnie jego wyrazy były wyrazami dobroci; ostatnie jego życzenia, miały na celu dobro cierpiącéj ludzkości.

Lecz jakże wyrazić zdołamy rozpacz ludu, tracącego zarazem monarchę, przyjaciela i czułego ojca i jakież pióro dokładnie oddać potrafi tę boleść?..!

Szanowne jego zwłoki złożone zostały w kaplicy Bonsecours, niedaleko Nancy, gdzie już spoczywały zwłoki ukochanéj jego małżonki. Miejsce to, uświęcone pobożnością, wdzięczność bardziéj jeszcze uwieczniła; codzień Lotaryngczycy, i cudzoziemcy nawet, wypłacają mu hołd należny, odwiedzając z poszanowaniem i w głębokiém skupieniu ducha ten święty przybytek, jako ostatni pomnik zamykający w sobie zwłoki najlepszego z Królów. (3)

(2) Księżniczka Adelajda.

(3) Obacz książkę pod tytułem: *Rys życia i wybór pism Stanisława Leszczyńskiego*, *Kr. pol.*, tłum. z Francuskiego przez K. Lubicz Niezabitowskiego, w Warszawie 1828 r.

O kowalu, który niechciał przyjąć na nocleg Panny Maryi.

Legenda. (1)

Najświętsza Panienka
Po świecie biegała,
Noclegu szukała.
— Kowalu mistrzorzu
Przenocujcie mnie tu.
— Niemam ja tu gromu. (2)
Najświętsza Panienka,
Długo nie czekała,
Pod szopkę bieżała.
W kowalowéj szopie,
Wielka jasność była,
Najświętsza Panienka,
Jezusa rodziła.

(1) Ob. podobną kolędę w pieśniach ludu krakowskiego, zebranych przez J. Konopkę, str. 96. Legenda ta i następna pieśń wyjęte ze zbioru pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku Roberta Fiedlera.

(2) Miejsca.

— Kowalowe dziewczę,
Podaj mi to dziecię!
— Jabych je podała,
Kiebych rączki miała.
Jeno go się dotkniesz,
To rączków nabędziesz.
Kowalowe dziewczę,
Do ojca ścigało (3),
Do ojca ścigało,
Rączkoma klaskało.
— Córko moja, córko,
Któżci te rączki dał?
— Ta Pani je dała,
Co noclegu chciała.
— Kiebych ja był wiedział,
Iż takowa była,
Byłbych ja jéj posłał,
W téj nowéj komorze,
W téj nowéj komorze,
Choć na mojém łożu;
Byłbych ja się układł,
Z głową na kamieniu,
Z głową na kamieniu,
Z nogami na cierniu! —
Nie jestci ja godzien,
Po świecie chodzenia,
Boch niechciał nocować,
Boskiego stworzenia.

(3) Pobiegło.

Wiem, że ja nie ujdę
Piekła gorącego,
Boch niechciał nocować
Jezusa samego.

O żalu, mój żalu,
Niewypowiedziany!
Gdzie mi się obraca
Mój miły, kochany!
Obraca mi się on
Po tém pruskiém polu,
Serce mi się kraje
Od wielkiego bólu!
Serce mi się kraje,
Serce mi się puka,
Bo mój najmilejszy
Inszéj sobie szuka! —
Pożal się mój Boże!
Oj méj matki słowa,
Jak mi się rozpomną,
Zaboli mnie głowa.
Matka mi umarła,
I wszystka rodzina,
Gdzież ja się mam podziać,
Uboga chudzina! —
Pójdę do miłego,
Siędę podle niego,
On mnie pocałuje,
On mnie umiłuje!

№ 134. *Z Kujaw i Wielkopolski*

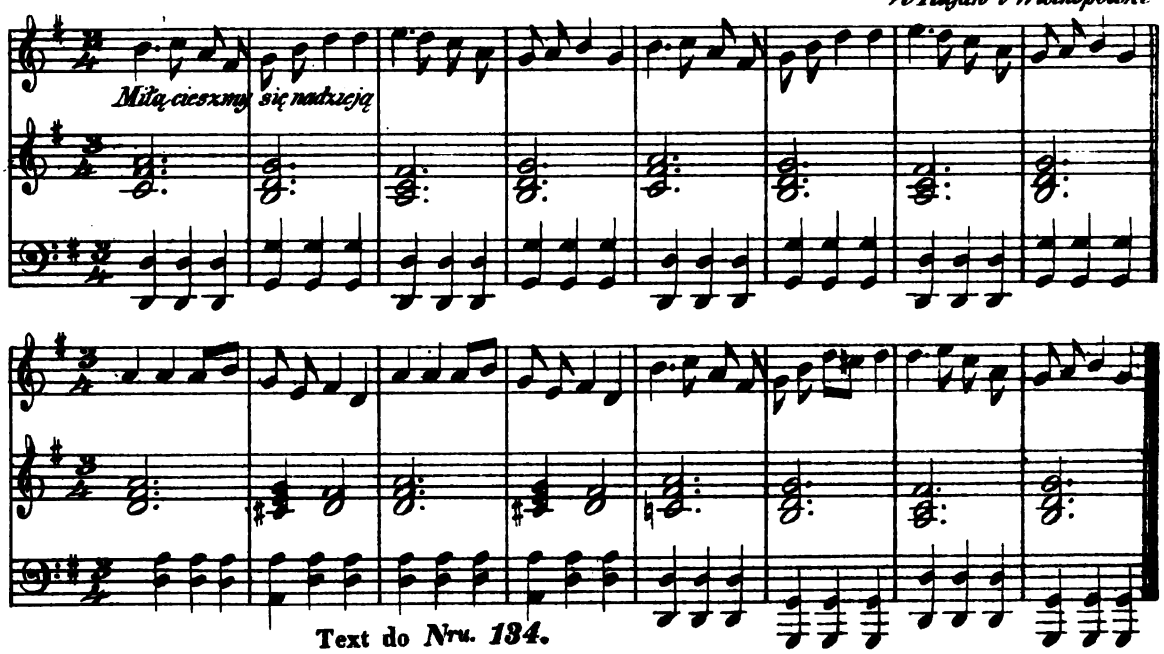

Text do *Nru. 134.*

„Miłą cieszmy się nadzieją.“

(Z pieśni wielkopol., u Rejznera 1826. wyd. w Poznaniu.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 9. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 28. Lutego 1846.

O chłopach we Francyi (dokończenie). — Dalszy ciąg panowania Augusta III. i t. d. — Wiadomości literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Medule srebrne, bite w Szwecyi, z wyobrażeniem Jana III. i żony jego Katarzyny Jagiellonki.

O chłopach we Francyi.

(Dokończenie.)

Po takich czynach uszlachcił się lud; Europa została w stanie filistroskim. Ale szlachty téj mocno bronić musimy, bo ona w niebezpieczeństwie. Gdyby chłop był poddańcem lichwiarza, nie tylkoby do nędzy przyszedł, aleby i serce swoje zwichnął. Dłużnik smutny, niespokojny, drżący, bojący się spotkania swego wierzyciela, nie może zachować wiele odwagi. Cóżby się stało z rodem, któryby w bojaźni przed Żydem wzrosł, i któryby żadnych innych ruchów nie znał, jak tylko strach przed aresztem osobistym, exekucyą i wywłaszczeniem? Prawa muszą się zmienić, muszą one uledz téj wielkiéj politycznéj i moralnéj potrzebie.

Gdybyście byli Niemcami lub Włochami, mówiłbym do was: „Spytajcie się prawników; zachowajcie tylko prawidła słuszności obywatelskiéj.“ Ale wy jesteście Francyą; jesteście nietylko narodem, ale nadto jesteście zasadą, wielką zasadą polityczną. Téj to zasady wszelkiemi mi siłami bronić należy; musimy my żyć jako zasada. Żyjcie dla szczęścia całego świata.

Żaden rząd od czasu rewolucyi nie zajął się sprawami gospodarskiemi. Przemysł, młodszy brat gospodarstwa, sprawił, że o starszym zapomniano. Restauracya sprzyjała posiadłości ziemskiéj, ale tylko na wielką skalę. Sam Napoleon, który chłopu tak drogim był i tak go dobrze rozumiał, zniósł podatek od przychodu, zniweczył prawa hipoteczne nadane przez rewolucyą, chcąc przez to pieniądz zbliżyć do chłopa.

Teraz jest panowanie w ręku samych kapitalistów i ludzi przemysłowych. Gospodarstwo,

akładające połowę lub więcéj podatków, odbiera tylko setną ósmą część wydatków. Teorya nie lepiéj je traktuje, jak administracya; zajmuje się ona przedewszystkiem przemysłem i ludźmi przemysłowymi. A przecież stanowi chłop nie tylko najliczniejszą część narodu, ale także najsilniejszą, najzdrowszą i w ogóle najlepszą, bo mieszkańcy miast, tworzący piątą część narodu, dostarczają dwie piąte części winowajców. W chwili osłabienia wiary religijnéj, która niegdyś podporą jego była, zostawiony sam sobie, chwiejąc się pomiędzy dawną wiarą, któréj nie ma, a nowszą oświatą, któréj nie odbiera, ma za jedyną podporę uczucie narodowe, wielką tradycyą wojskową i honor wojskowy. Jest on samolubem, upartym w interessach; cóż przeciw temu powiedzieć, wiedząc, ile cierpi? Jakimkolwiek on jest i cobądź mu zarzucić można, porównajmy go tylko w życiu codziennem z kupcami, kłamiącymi przez dzień cały, z czeredą rękodzielników.

Człowiek ziemi, który całkiem w niéj żyje, zdaje się na wzór jéj być utworzony. Jest on chciwym, jak ona; nigdy ziemia nie mówi: dosyć! Jest on uparty, jak ona jest silna i stała; jest on na wzór jéj cierpliwy, i niemniéj nie podpada zepsuciu jak ona; wszystko przeminie, on zostanie. Czyż to błędem nazwiecie? Gdyby on błędu tego nie miał, jużby dawno było po Francyi.

Kto chce żołnierzy naszych osądzić, niechaj im się przypatrzy po powrocie ich z służby wojskowéj. Patrzcie, okropni ci żołnierze, ledwo co powróciwszy z Afryki i lwiéj wojny, idą z swą siostrą i matką do spokojnéj roboty, rozpoczynają znów ojcowskie życie oszczędności i postu i wojują jeszcze tylko samych siebie. Widzicie, jak bez skargi, bez gwałtu, najuczciwszemi sposoby pracują około spełnienia dzieła dzisiejszego, które potęgę Francyi stanowi, około zaślubienia człowieka z ziemią.

Gdyby Francya czuła prawdziwie swoje posłannictwo, pospieszyłaby cała w pomoc tym, którzy około tego dzieła pracują. Zkądże dzieło to teraz w ręku jego zaporę znajduje? Gdyby stan obecny dłużéj trwać miał, natenczas chłop, zamiast kupować, sprzedawaćby musiał, jak to czynił w środku wieku 14go, i stałby się znowu najemnikiem. Dwa wieki byłyby stracone! Byłby to upadek nie jednéj klassy ludzi, ale raczéj ojczyzny!

Płacą oni rządowi przeszło 500 milionów rocznie; 1,000 milionów procentów lichwiarskich! A to jeszcze nie wszystko. Ciężar pośredni, nałożony na chłopa przez cła przemysłu, które wykluczając płody zagraniczne tamują także wywóz naszych towarów, ciężar ten zapewne równie jest wielki.

Najpracowitsi ci ludzie mają pokarm najgorszy. Nie jedzą oni mięsa; chodownicy bydła (ludzie przemysłowi) nie pozwalają rólnikowi jeść mięsa, a to w *interessie rólnictwa*. Najpodlejszy rzemieślnik jé biały chléb, a ten, co zboża dostarcza, jé tylko chléb czarny. Chodują oni wino, a miasto je wypija. Co mówię! świat cały dopija się wesołości z kielicha Francyi, wyjąwszy Francuza, który je choduje.

Przemysł miast naszych doznał niedawno temu znacznéj ulgi, któréj przewaga na ziemię rólnika spada, a to w chwili, kiedy lichy przemysł wiejski, skromna praca prządek, przez machinę do przędzenia cios śmiertelny odbiera.

Chłop, któremu w ten sposób jedna gałąź przemysłowa po drugiéj ginie, dziś len, jutro może jedwab', chłop taki z trudnością się przy ziemi utrzyma; straci ją, a z nią lata pracy, oszczędności, poświęcenia. Nastąpi wywłaszczenie go z własnego jego życia. Jeśli mu coś pozostanie, wezmą mu to spekulanci. Z łatwowiernością nieszczęśliwego słucha on wszystkich bajek, któremi go częstują: że Algier wydaje cukier i kawę; że w Ameryce każdy człowiek codzień 10 franków zarabia; że trzeba za morze wyemigrować. Cóż potém? Alzaczyk wierzy im na słowo, że Ocean nie szerszy od Renu. Zanim chłop tak daleko dojdzie, zanim Francyą opuści, muszą pierwéj wszystkie zasoby być wyczerpnięte. Pierwéj sprzeda się syn za następcę; pierwéj pójdzie córka w służbę; pierwéj pójdzie małe dziecko do sąsiedniéj fabryki; pierwéj pójdzie żona za mamkę do domu obywatelskiego, albo przyjmie do siebie dziecko małego kupca lub rzemieślnika.

Dopóki rzemieślnik jako tako na utrzymanie życia zarobić zdoła, jest on dla chłopa przedmiotem zazdrości. Rzemieślnik, który fabrykanta obywatelem nazywa, jest dla rólnika sam obywatelem. Widzi go rólnik w niedzielę w sukni pańskiéj na przechadzce; chłop, przywiązany do skiby, sądzi, że człowiek noszący z sobą swoje rzemiosło, pracujący bez względu na pogodę, mróz i grad, jest jak ptak swobodny. Nie zna on niewoli człowieka przemysłowego i znać jéj nie chce. Mierzy on ten cały stósunek według rzemieślnika wędrującego, którego na traktach spotyka, który sobie wszędzie na życie i na drogę zarabia, który, wśród śpiewek wesołych z kijem w ręku i lekkim swym tłomoczkiem na plecach, z miasta do miasta przechodzi.

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

Generał Kreczetników buntowników z poddanych Potockich rozkazał oddać Panu Branickiemu, by on przeznaczeniem ich dysponował, a buntowników rossyjskich poddanych, szubienicą piętnować, nozdrze i uszy rwać, i oddać komendzie do odesłania na Sybir polecił. I taki los

spotkał Żelaźniaka i wspólników jego, co wyszli z nim z Peryosławia, i innych wielu, co się późniéj do niego przyłączyli; ten rozkaz Generała Kreczetnikowa na Żelaźniaka i poddanych rossyjskich wyexekwował, a Gontę ze wszystkimi z nim zabranymi do wsi Serbów, pod Mohilowem leżącéj, wprowadził do obozu Pana Branickiego, któren nakazawszy Panu Stępkowskiemu, Komendantowi chorągwi autoramentu polskiego do sądzenia ich, sąd wojenny postanowić, jako i tych, których P. Branicki komendą swoją zabrał i uwięził, uganiając się za podjazdami i oddziałami przez Żelaźniaka i Gontę po kraju rozesłanemi, dla zbuntowania i zrabowania reszty kraju i wyrzynania Polaków i Żydów.

Ten tedy sąd dekretował Gontę na ćwiartowanie, i ćwierci jego na pale przybicie, i wszystkich naczelników jego, i tych, co zabrał Branicki na podjazdach i w oddziałach; resztę ludu zbuntowanego na powieszenie na szubienicach osądzono po miastach całego kraju, aż do Krasnego stawu, naznaczywszy ilość osób, które miały być powieszone pod każdém miastem i miasteczkiem; ten dekret na Goncie i Naczelnikach jego, zaraz był wyexekwowany pod Serbami, nie daleko obozu, i głowy i ćwierci ich na pale powbijane, a do wywieszania Kozaków i chłopów do miasteczek rozesłano, co wszystko wyexekwowano, wyłączywszy tylko Komendanta lwowskiego, Pułkownika Korytowskiego, któren tego samego dekretu nie dopełnił; jemu przyprowadzono przeszło 60 osób młodych, silnych i bardzo zdrowych ludzi; ten zamiast kazać ich powiesić, użył ich do fabryki swojéj, i wymurował nimi pod ów czas jednę z najpiękniejszych kamienic w rynku miasta Lwowa, trzymając ich w miejscu zdrowém i bezpiecznem, karmił ich za to i odziewał, że mu służyli do fabryk, aż do czasu zabrania Lwowa przez Austryaków, gdzie w ten czas uwolnieni z aresztu, popowracali do domów. Jeżeli nie można było naśladować Pułkownika Korytowskiego, to należało przynajmniéj, potraciwszy Naczelników, decymować tylko dla przykładu zwiedziony lud, i nie gubić haniebnie młodzieży do 30 tysięcy najzdrowszéj i najdorodniejszéj, z tém zgorszeniem i smutkiem, że nie było ni katów do wieszania ich po miasteczkach, tylko jeden drugiego wieszał, bez przygotowania religijnego na śmierć.

To wszystko, co czyni powieść, lubom przytomny nie był, wiem jednak tak doskonale, jak żebym na to patrzał, bo wiem od ludzi, którzy temu byli przytomni, i wchodzili w to, jakoto: od Tymberskiego Pułkownika, pod którego komendą w Ostréj mogile zbuntowali się pierwsi Kozacy, prowadzeni przez Bobrowskiego i Wołynieckiego do Baru; wiem od Pułkowników Magnuszewskiego i Łaszcza, Kozaków humańskich, w których komendzie zostawał Gonta; wiem od Szwiejkowskiego, natenczas Sędziego ziemskiego bracławskiego, zmarłego Wojewodą podolskim, teścia mego; wiem od wielu szlachty i obywateli, których cnotliwi chłopi przechowywali i ochronili od zguby; nawet od samych włościan dóbr humańskich; gdym przyjechał w Humańszczyznę r. 1775, zastałem jeszcze krew przyschłą w izbie, gdzie Gonta Pana Młodanowicza ściął; zastałem jeszcze przejeżdżając przez wszystkie Wołynia, Podola i Ukrainy miasteczka, szubienice, na których reszta zwłok powieszonego ludu zostawała; zastałem jeszcze głowy i ćwierci przybite na palach pod Serbami, Gonty i jego współziomków; zastałem mogiłę wysypaną nad studnią w Humaniu, która była dziećmi pobitemi przez buntowników napełniona; poznałem Pannę Młodanowiczównę, która była pokłuta, przez chłopa wyleczona i za córkę przyjęta; zastałem w służbie Panów Rogoszewskich u Grafa Potockiego, przez Żelaźniaka za synów adoptowanych, którzy przez niego używani byli do pisania rozkazów.

Król gdy wysłał Pana Branickiego z komendą dla zniesienia zbuntowanego chłopstwa przez Żelaźniaka i Gontę, znając, że Pan Branicki lubił się często napijać, przeto nie mogąc się od niego spodziewać regularnych doniesień o obrotach jego i Konfederacyi Barskiéj, dodał mu Pana Komarzewskiego do korrespondowania z sobą, z gabinetu pod Panem Obrockim, Sekretarzem koronnym, będącego, z cyframi gabinetowemi.

Pan Komarzewski swoją uprzejmością i aplikacyą pozyskał przychylność Pana Branickiego, któren osądziwszy go być zdatnym na Generała, rekomendował go Królowi, powróciwszy z téj wyprawy.

Król w roku 1775. na sejmie, gdy etat wojska na nowo był robiony, wystarał się, że umieszczono w nim Generał-Majora na Generała-Adjutanta królewskiego z pensyą od Rzeczypospolitéj, i na ten stopień patentował Pana Komarzewskiego.

Krótko przed tym czasem, w którym bunt wzmiankowany uspokojonym został, sejm się téż 1768. skończył. Sejmujący i magnaci rozjechali się. Mniszech, Marszałek W. koronny złożył laskę marszałkowską, którą oddał Król Księciu Lubomirskiemu, i pojechał do dóbr swoich w Góry do miasta Dukli, nad samą węgierską granicą położonych; Pan Potocki, Woj. koron. do Krystynopola, miasteczka rezydencyi swojéj; Wessel, Pod. W. koron.; Mostowski, Woj. chełm.; Wielohorski, Krasiński, za granicę wyjechali, i wielu innych; Książę Woj. wileński Radziwiłł, Pan Ogiński, Stolnik litewski i wszyscy inni rozjechali się po prowincyach do dóbr swoich, że nikt prawie z magnatów w Warszawie nie został, oprócz Księcia Prymasa podolskiego, Książąt obydwóch Czartoryskich starych, z Księciem Adamem, synem Woj. rusk. i braci królewskich, jako to: Księcia Podkomorzego koronnego i Księcia Opata, któren umarł Prymasem; Senatorowie i o-

soby, które zasiadały w Komissyi skarbowéj, wraz z Senatorami Księstwa mazowieckiego, blisko Warszawy mającemi dobra.

W krótce potém Generał Kreczetników odebrawszy posiłki z wojska rossyjskiego, i przyłączywszy się do niego P. Branicki z pułkami królewskiemi, poszedł attakować Konfederacyą Barską, zamkniętą w Barze i między sobą porożnioną.

Pierwsze attaki przez wojsko rossyjskie Baru doznały od Konfederatów walecznego odporu, lecz potém oblężeni, nie mając dowozu ani w prowiantach, ani w furażu, ściśle będąc ściśnieni przez wojsko rossyjskie, zrobiwszy między sobą radę, po któréj Podczaszy litewski, Regimentarz Krasiński, Marszałek, zebrawszy do 6,000 ludzi, wszystkich prawie z chorągwi i regimentów Rzeczypospolitéj złożonych, wyszli z Baru i poszli do Mohilowa nad Dniestr, a Puławski oddzieliwszy się z partyą swoją, poszli ku Podhajcom w Województwie Ruskiém leżącym i Bar zostawili, pod komendą Pana Giżyckiego, Chorążego kijowsk. Ten Komendantem zrobiony, gdy widział niepodobieństwo utrzymania się, mając po części zrujnowane fortyfikacye, mając żywności mało, kapitulował z Kreczetnikowem, by złożywszy broń, przy odzieży i wszystkich rzeczach do potrzeby zostawili, w niewolę poszli, zaręczając dla nich płacę, podług zwyczajów wojennych niewolników, i tych odesłano do Kazana, gdzie wolno pod nadzorem siedzieli.

Już téż w tym czasie i Porta wydała Rossyi deklaracyą wojny, powody kładąc do téj wojny najprzód te same, które Konfederacya położyła w akcie swoim, dla czego się skonfederowała, powtóre napadnienie na miasto Hotlę, spalenie onego i wyrznięcie w niém mieszkańców, co zrobili buntownicy Gonty, którzy spalili i wyrznęli Bałtę, przypisując Porta czynność tę Rossyi.

Podczaszy litewski z komendą swoją z Krasińskim Marszałkiem, po wydaniu wojny przez Portę Rossyi, przeprawił się z komendą swoją przez Dniestr i na Wołoszczyznę poszedł, potém połączył się z Wezyrem i Krim-Gerejem, Hanem tatarskim, prowadzącymi wojsko przeciwko Rossyi.

Puławski odłączywszy się pod Podhajcami, dopędzony przez wojska rossyjskie, stoczywszy i przegrawszy bitwę, w któréj zginął najstarszy syn Puławskiego, a najmłodszy dostał się w niewolę z Potockim, Wojewodzicem wołyńskim i z wielu innymi, a Kaźmierz Puławski uszedł z téj nieszczęśliwéj bitwy z komendą, i udał się w głąb' kraju z ludźmi i walczył w Konfederacyi do końca.

Katarzyna II. Imperatorowa, po wzięciu jéj Posła w Stambule, Pana Obreskowa, do zamku 7 wież w niewolę, po odebranéj deklaracyi wojny od Porty, napisała do Księcia Repnina, Ambassadora swego w Warszawie, by proponował Królowi objęcie komendy głównéj w téj wojnie nad wojskami rossyjskiemi, co mi opowiadał Książę Repnin ze wszystkiemi okolicznościami, dodając, że u nóg klęcząc, prosił Króla, by propozycyą przyjął Imperatorowéj; a gdy Król exkuzował się, że nie ma ani talentu, ani żadnéj znajomości w rzeczach wojskowych, odpowiedział mu Książę Repnin, że mieć będzie radę wojskową, daną od Imperatorowéj, która dysponować będzie wszystkiemi wojny obrotami, a w przypadku niepomyślności za wszystko odpowiadać będzie Imperatorowa, a Waszéj Kr. Mci, gdy się powiedzie wojna, sława i honor zostanie. Nareszcie ofiarował mu się Książę Repnin być u niego Generałem-Adjutantem i Dyżurnym.

Król jednak, mimo najmocniejszych perswazyi przez Księcia Repnina czynionych, nakłonić się nie dał pójść do wojska i porzucić Warszawę.

Powiadając mi o tém Książę Repnin, mówił, że gdyby Król był przyjął propozycyą Imperatorowéj, byłby sobie zrobił sławę i reputacyą w Europie, a dla Rossyi przysługę, bo wojna możeby tylko jeden rok trwała, a krajowi swemu szczęście przyniosło, bo by nigdy nie był podzielony.

Na ten czas Imperatorowéj wstąpienie na tron nie dawne było; nie sądziła, aby jéj panowanie już tak ustalone było, by nie mogło być wzruszone przez rewolucyą lub spiski. Osobliwie, że żył jeszcze pod ten czas Iwan zamknięty, Pretendent do korony, a syn jéj Paweł był małoletnim; dla tego nie znała wszystkich magnatów kraju swego zdatności, dla siebie nieporuszonéj wiary; aby tedy uniknąć emulacyi zrobienia między swymi, oddaniem głównéj komendy nad wojskiem, umyśliła oddać ją Królowi polskiemu, jako obowiązanemu sobie i nie krajowcowi, i dodać mu radę prowadzenia wojny, traktowania i zawierania traktatów dla Rossyi pod imieniem Króla polskiego. Nakoniec sądziła, że gdy Król komenderować będzie armią, postrzeże się Porta, że Polski nie ucisnęła Imperatorowa; postrzeże się, że tylko zwiedzioną jest przez kilku nieukontentowanych magnatów polskich i powody do wojny przez Portę deklarowane ustaną, i Sułtan prowadzić ją daléj nie będzie i do zgody przystąpi.

Gdy Król propozycyi Imperatorowéj nie przyjął i komendy nad jéj wojskiem objąć nie chciał, Imperatorowa oddała komendę Księciu Galiczynowi, Feldmarszałkowi; ten z armią poszedł attakować i wziąść fortecę Chocim, nad granicą polską leżącą, i oddzieloną przez rzekę Dniestr pod Zwańcem miasteczkiem polskiém, od któréj Galiczyn, Feldmarszałek, odpędzonym został przez przybyłego z wojskiem na odsiecz Wezyra, ze stratą wielką w ludziach i armatach, że przymuszeni byli porzucić oblężenie i przejść most na Dniestrze rzucony i cofnąć się do Pol-

aki w wielkim nieporządku, tak dalece, że za nim zapędziwszy się kilka tysięcy Turków w pogoń, do Polski wpadło. A że to się stało późno wieczorem, nadeszła ciemność nocy, i ta skończyła bitwę; téjże nocy wezbrana nagle woda na Dniestrze most zerwała, i te kilka tysięcy Turków, za wojskiem komendy Księcia Galiczyna do Polski zapędzonych, w jego potém dostały się niewolę. Po nieszczęśliwie zaczętéj pierwszéj kampanii, Katarzyna II. komendę Księciu Galiczynowi odjęła, a dała ją Grafowi Romansowowi, któren niepomyślność Księcia Galiczyna szczęśliwie zmienił swém komenderowaniem i zakończył wojnę traktatem zrobionym za Dunajem, za co miał przydane od Imperatorowéj nazwisko *Zadunajski* i 12 sztuk armat z przywilejem danym, żeby te zawsze w domu jego i sukcessorów zostawały, na pamiątkę jego zwycięztw i usług dla kraju.

Graf Romansów podczas siedmioletniéj wojny pruskiéj komenderował kawaleryą, i stał całą jednę zimę na kwaterze w domu ojca mego, o 6 mil od granicy brandeburskiéj i pomorskiéj; w tym czasie pobytu jego zaprzyjaźnił się z rodzicami mojemi, którzy nas 7 synów prezentując, prosili, że może w wypadku jakim któren z nas będzie w Rossyi, by pamiętał być mu w potrzebie pomocnym, i miał nasz ojciec książkę, w którą Generałowie i Sztabs-Oficerowie, z którymi miał zaprzyjaźnienie, wpisywali się, z pochlebnemi dla ojca mego oświadczeniami, i tam zapisany był Fermer, Sołtyków, Buterlin, główno komenderujący armią Suwarowa, Feldmarszałka, ojciec Dołgoruki, Romansów, Generałowie i wielu innych.

Ojciec nasz wszystkich 7 synów ubierał zawsze w mundur kadecki regimentów piechoty polskiéj, mieliśmy karabinki porobione, grenadyerskie czapki, pałasze i cały lederwerk, i kazał nas wyuczyć mustry staremu Unteroficerowi pruskiemu; ile razy chciał nas komu prezentować, to zawsze ze wszystkiemi munderunkami; gdy po nas posłał do oficyny, gdzieśmy się naukami bawili, przymaszerowaliśmy, i stanąwszy przed tym, któremu chciał nas prezentować, broń prezentowaliśmy, a potém wziąwszy na ramię, w tył się odwracali i odchodzili. To bardzo bawiło wojskowych, a nawet i damy, że prosząc, byśmy się wrócili, a odniósłszy broń do stancyi, do nich się powracali.

Gdym tu przybył na Ukrainę, i pierwszy raz byłem z wizytą u Grafa Romansowa, nietylko że mnie poznał z zadziwieniem wszystkich przytomnych, ale nawet jak mi imię powiedział; wypytawszy się o rodziców moich powodzenie i zdrowie i o każdego brata po imieniu, gdzie się obraca, mnie wypytywał się, com robił, skończywszy szkoły; gdym mu powiedział, żem był w wojskowéj służbie Fryderyka II., a potém w Konfederacyi Barskiéj, służbę pruską bardzo mi chwalił, a z Barskiéj Konfederacyi, żem zdrowo wyszedł, winszował; pytał mnie się po tém, czy wiem, że przyrzekł rodzicom moim być zawsze pomocnym, ich dzieciom, jeżeliby czego potrzebowali, mówiąc: „bo ja dotrzymać chcę godnemu staremu Panu Bolesławowi.“ Obligował mnie, bym u niego w jego dobrach bywał często, gdzie, gdym przyjechał, to mnie trzymał u siebie po 2 tygodnie.

W czasie bawienia u niego, najmilsza dla niego konwersacya była mówić o Fryderyku II., Królu pruskim, jego postanowieniach wojskowych i cywilnych, o jego przymiotach i o swoich zwycięztwach podczas 7-letniéj wojny, o zdobywaniu Kolberga, o konsyderacyi, którą miał dla niego Król pruski, o rozmowach z nim, które miał pod bytność jego u Króla pruskiego z Wielkim Księciem Pawłem, nakoniec o wojnie, którą tak szczęśliwie zakończył przeciwko Turkom traktatem, za Dunajem na bębnie podpisanym.

Między innemi rzeczami opowiadał, że gdy komendę odebrał po Księciu Galiczynie, piechota przyzwyczajona była nosić z sobą rogatki, i te składała i stawiała przed linią, a to dla zabezpieczenia się od natarczywego attaku kawaleryi tureckiéj, co przeszkadzało do wszystkich ewolucyj i manewrów wojska; objąwszy komendę kazał porzucić rogatki, a piechotę uformować w wielkie czworoboki i napełniać kawaleryą do wypuszczenia jéj za pierzchnieniem nieprzyjaciela, i te wzmocnione były na skrzydłach gęstą artyleryą.

Pierwszy raz jak te czworoboki maszerując zobaczyły nieprzyjaciela zbliżającego się, we froncie wszystkich czworoboków żołnierze awansować nie chcieli, i na ziemię grenadyerowie przyklęknąwszy, daléj nie postępowali, dla tego, że rogatek przed sobą nie mieli, tak dalece, że Feldmarszałek Romansów zmuszony był kazać Oficerom niechcących z ziemi powstać żołnierzy szpadami przebijać; gdy żadne rozkazy i perswazye nie skutkowały, dopiero przykładem, że kilku żołnierzy zabitych było, zmusił ich do powstania z ziemi i pójścia naprzód.

Ten sposób przez Feldmarszałka Romansów wprowadzony do wojska rossyjskiego był, Turków attakować uformowanem i czworobokami, których we wszystkich wojnach późniejszych głównokomenderujący zawsze używali, i tym sposobem Turków zwyciężali. Muszę tu wspomnieć, że Graf Romansów po ukończonéj wojnie z Turkami, z armią z Multan i Wołoszczyzny powracając do Rossyi, wykomenderował Generała Tekielego, by siczowych Kozaków otoczywszy między rzekami Bohem i Dnieprem, zabrał siedlisko ich nad progami Dniepru, zowiące się Sicz, ze wszystkiém zniszczył i zrujnował, na com patrzał, gdy te rozkazy dopełnił w r. 1766. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie.

W Poznaniu wyszedł:

„Feleton polityczno literacki," napisany przez K. Libelta, Dr. fil., zawierający w sobie wiele pięknych rozpraw.

W Lipsku w księgarni zagranicznéj wyszły następujące prace literackie:

1. „Słowa prawdy." Książeczka treści religijnéj, zawierająca objaśnienia przykazań bożych. Dziełko to jest potwierdzone i polecone przez ś. p. Arcybiskupa Dunina.

2. „Gęśla," przez Edmunda Chojeckiego. Są to poezye różnéj treści i różnego gatunku; kilka jest historycznych; do nich należy legenda: „Pokuta Szafrańca."

3. „Artykuł nadesłany," obraz z galeryi życia mego. Pracę tę nadesłał Stefan Witwicki nie jako własną, lecz obcą, któréj autor, według jego zdania, liczy się do znakomitych i pierwszego dziś rzędu pisarzy polskich.

O tém dziełku wyraża się Witwicki w liście do Wydawcy w ten sposób:

„Wiadomo Ci, szanowny Wydawco, że szczęśliwą mam rękę do ogłaszania cudzych rękopismów. Jam to pierwszy, i miło mi to wspomnieć, dał poznać między inszemi *Poselstwo*, — ja także pierwszy *Pamiątki Soplicy*. Dzisiejszy utwór kładę śmiało obok dwóch tamtych. Spuść się więc z ufnością na moje szczęście, — i drukuj chętnie.

„Prędko zapewne poznają Czytelnicy wartość tego pięknego płodu, pełnego poetyckiéj i oryginalnéj fantazyi, — opisów żywych, przyjemnych, i biegłą ręką skreślonych, — toż znajomości wszelkich teraz umysłowych w naszym kraju ruchów, — a nacechowanego wyższą myślą narodowéj prawdy i chrześciańskiéj mądrości. Dramatyczność wprowadzonych dyalogów, trafnie rzucony tu ówdzie dowcip lekkiéj ironii, wysłowienie wreszcie poprawne i gustowne nadały Rzeczy tém więcéj powabu i życia."

Po przeczytaniu „Artykułu Nadesłanego," podzielamy zupełnie zdanie Witwickiego; dla tego nie będzie od rzeczy dodać do téj krytyki treść całego dziełka.

W domu Hrabiego zebrała się ślachta okoliczna na polowanie. Lecz nim do niego zrobiono należyte przygotowania, zabawiali się goście w różny sposób, aby czas zabić. Gospodarz chociaż żonaty, prowadził życie więcéj kawalerskie, kobiet nie było widać; ale salon wykwintnie umeblowany podług najnowszéj mody. Przy jednym stoliku grało czterech w wista, pomiędzy nimi gospodarz, z przydomkiem Chatelain; reszta bawiła się w inny sposób, a raczéj nudziła, paliła lulki, cygara, przewracała bez czytania żurnale francuskie i niemieckie, czytała wreszcie gazety. W ogóle całe towarzystwo przedstawiało obraz bardzo rozmaity, cudzoziemczyzną, tak co do języka, jak obyczajów, przesiąkłe. Jeden tylko młodzieniec odznaczał się skromnością, milczał, nie mieszał się do towarzystwa, nie palił cygara, ale widać od gospodarza był bardzo szanowany i za wielce uczonego uważany. Autor nadał mu nazwisko niemieckie pan Werner, chociaż w nim żyje prawa polska dusza, zapewne z umysłu, aby go odróżnić od reszty towarzystwa.

Kiedy się tak wszyscy bawią jak mogą, Tadeusz, jeden z gości, więcéj poważany od drugich, a przytém z gospodarzem najpoufalszy, przerwał nagle spokojność, zwracając uwagę wszystkich na artykuł z Pszczółki, który pan Werner z sobą przywiózł. Był on wymierzony przeciwko narodowi polskiemu, a w szczególności przeciw ślachcie. Dowodzi, że pewne słowa: *„Nadzieja, ofiara, miłość, wiara, narodowość, ojczyzna,"* dziwnego doznają losu; zrozumiane od każdego w szczególności, pozostają zagadką dla ogółu ludzi. Przeciwnie wyrazy przeznaczone na użytek ziemski, materyalny, jak n. p.: *„Złoto, korzyść, ekonomika domowa i polityczna, wojna, roskosz, potęga, handel, rękodzieła"* i tym podobne, są wybornie od wszystkich pojęte, bez obawy dwuznacznéj myśli. Na dowód tego przytacza, jak wyraz *Ojczyzna* różnie od Polaków bywa pojmowany; inaczéj go pojmuje Litwin, inaczéj Warszawianin, Podolanin, Wołynianin, Polak z poznańskiego, Polak z Galicyi i Polak w Petersburgu osiadły. Przy téj sposobności scharakteryzował autor w ogóle trafnie różnych mieszkańców naszéj ziemi. Byłoby za wiele, gdybyśmy całą charakterystykę wyjęli, przytaczamy więc tylko, co o nas powiedział:

„„„Obywatel pruski pojmuje także dokładnie słowo *Ojczyzna* — bo zaraz mu staje w myśli mądry, ekonomiczny, przebiegły Rząd, wytrawiony plan podatkowania i finansów, silne prawodawstwo w zabezpieczeniu losu i prerogatyw urzędników królewskich, naukowe ich usposobienie, życie uniwersytetskie bujne, wolność zdań ledwie nie francuska, i tylko dla Katolików niedostępna, jako ludzi w oczach Rządu mniéj zdolnych postępu — a w Berlinie — pomysły Hegla, Saviniego, Ancillona, Humbolda, Niebura, Straussa — a wszystko to w ojczyznie, mogłoby być przy cierpliwości na polskie kopyto przedziwnie przerobione.""" — — —

Łatwo wystawić sobie można, że przedmiot ten żywo zająć musiał całe towarzystwo; to się oburzało i gniewało, to się łagodziło i zgadzało z autorem. Lecz na saméj krytyce nie kończy się ten obraz; autor uczuł potrzebę, powiedzieć coś pozytywnego, coby wszystkich zaspokoiło i ranę zadaną zagoiło. Dla tego kończy swój artykuł w ten sposób, iż powiada, jak ojczyznę pojmować należy. Trzeba poznać jéj historyą, a potém miłować się i zachować zgodę i pokój święty między sobą. Oto są słowa autora:

„„„Ja wygnaniec, marzący o ziemi opuszczonéj, chcąc przynieść ulgę stroskanemu duchowi, w prostocie serca pisałem razu jednego w sa-

motności to wszystko coś dopiero przeczytał, kochany Ziomku. Żałość niewypowiedziana przerywała mi pracę — co chwilę wytrącała pióro z ręki — i zmusiła w końcu takie samemu sobie zadać pytania:

„„Czyliż w istocie niema już dla tylu światłych ludzi sposobu zgodzenia się na znaczenie choć jednego tego słowa *Ojczyzna?* Czy się już nie znajdzie drugi Paweł, któryby ludowi swemu wytłómaczył to bóstwo nieznane, *deum ignotum*, któremu on z tak stateczną pobożnością ołtarze wznosi? — Niema, któryby tak wyraził Polskę, żeby ją wszystkie jéj rozsypane dzieci od razu poznały i zrozumiały???““

„„I niewiem jak długo byłbym w smutku i łzach gorzkich tonął — — — kiedy z nienacka ukazał mi się wspaniały Starzec i przerwał moje marzenia. — Strój jego był wielce poważny — lubo kroju szaty niemógłem wyrozumieć — tylko że mi się zdał do kapłańskiego podobnym. Twarz jaśniejąca, surowa i słodka na przemiany. — Włos srebrny. — Głos, jakoby głos potężny rzek wielu — rzek Polski — przystąpił do mnie, i rzekł, z dziwnie łagodnym lecz boleśnym uśmiechem, następujące słowa: — „Dumacie i rozprawiacie wiele o ojczyznie — a o tych, którzy wam ją utworzyli, tak dobrze jak zapomnieliście. — Jakże możecie pojąć Polskę, kiedy niewiecie jak ją pojmowali Ojcowie wasi, którzy ją w chwale widzieli. — Nie płacz — czytaj i zrozum, jeźli jeszcze możesz.“ — — I podał mi kartę niewielką gotyckiemi litery od ręki zapisaną — i znikł z oczu moich. — Jeno światłość jakowaś nadziemska i postrach Boży owionęły twarz moją — przecież dość miałem mocy zatrzymać w ręku rękopism. To było w nim napisano:

„„Dwoie przednieysze rozkazania umierając „„Pan Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swo„„im Testamentem raczył. Jedno, abyśmy się „„spólnie miłowali — drugie, abyśmy pokóy „„między sobą i zgodę świętą zachowali. Je„„dno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość „„rodzi zgodę — a bez zgody miłość być nie „„może. Miłość ku bliźniemu im iest szersza, „„tem iest lepsza. Dobrze miłować Sąsiada „„— lepiey wszystkie, którzy w iednem mie„„ście są, a pogotowiu ieszcze lepiey wszy„„stkie obywatele tey ziemi polskiey, gdy im „„co dobrego czynim, albo dla nich co cierpim. „„Także dobra zgoda i pokóy między pospoli„„tym ludem, ale lepsza między Pany, którzy „„ludźmi rządzą...

„„Jako nayczulszey Matki swey miłować i „„one czcić nie macie, która was urodziła, wy„„chowała, nadała, wyniosła? — Bóg Matkę „„czcić rozkazał; przeklęty, kto zasmuca Matkę „„swoią. — A która iest pierwsza i zasłu„„żeńsza Matka iako Oyczyzna, od którey imię „„macie i wszystko co macie od niey iest? — „„Która gniazdem iest wszystkich matek i po„„winowactw wszystkich, i komorą dóbr wszy„„stkich. — Jeruzalem Matka nasza (mówi A„„postoł) nad wszystkie Matki czci i szanowa„„nia godna. — Rozmyślcie, iakie od tey Ma„„tki, od Korony i Rzeczypospolitey dobro„„dzieystwa i upominki macie. — — Ona wam „„wiary Ś. Katolickiey, przez którą do wie„„czney Oyczyzny dochodzicie, dochowała, i „„Chrystusa, Zbawienie wasze, i iego Ewange„„lię przyniosła. — Ona was od fałszywych „„nauk i iadów heretyckich obroniła. — Po„„mniycie na Matkę i iey niewypowiedzianą „„ku wam miłość — pomniycie na cnoty stare „„i wasze teraźnieysze ubóstwo — brzydźcie się „„pychą, która towarzyszy nędzy, a światłość „„Pańska znów zabłyśnie w waszych sercach, „„i poznacie straconą Matkę!!!

„„Piotr Pawęzki, stary miłośnik i Słu„„ga Polski. — Roku od wybawienia Świata „„MCCCCC.....“

„„Pierwsze tylko cyfry widne były, dal„„szych wyczytać niemógłem na zciemniałym od „„czasu pargaminie.“

„„Ocknąwszy się z tego, niewiem czy snu, czy widzenia, pokój dotąd nie znany na duszy poczułem, i odtąd dobrze już pojmuję, co znaczy Ojczyzna.

„„Com myślał, cierpiał i marzył na wygnaniu, tom szczerze po prostu wypisał dla was rodaków moich — bo was kocham od dzieciństwa i poważam — bo wiem, że moją prostotą nie wzgardzicie — bo mam dobrą nadzieję, że ktokolwiek z was lepiéj te rzeczy pojmuje, nieomieszka sprostować mnie w błędzie — a tak choć dwóch nas, dzieci jednéj ziemi, zgodnie rozumieć będzie co znaczy Ojczyzna!! Żyjcie szczęśliwi!!!“

„„Pisałem roku 7. mego tułactwa —“

Po przeczytaniu Artykułu następują uwagi towarzystwa, które jasno dowodzą, że ludzie, chcący się u nas liczyć do klassy oświeconéj, nie posiadają wcale gruntowności w naukach; że mając nader powierzchowne wiadomości, tak że ich łatwo nieukami nazwać można, mają jednak największe pretensye, jakoby byli pierwszymi uczonymi. Nieuctwo pokazuje się tu największe, kiedy pytania, kto jest Piotr Pawęzki, prawie nikt rozwiązać nie może.

Wybornie jest wystawiony pan Tadeusz. Rozumiejąc, że pojął całą filozofią, poucza wszystkich, rozpościerając się swemi zdaniami filozoficznemi. Niejako przeciwnikiem jego jest pan Józef, człowiek zdrowego rozumu, który nie ma wprawdzie filozoficznego wykształcenia, lecz za to gruntowniejsze wiadomości niż pan Tadeusz. On to zawstydza całe towarzystwo, dowodząc, że tym Pawęzkim jest Piotr Skarga. Pan Tadeusz zarumienił się z początku, lecz nie za długo przybrał dawną postawę, tłuma-

czył się, jak mu Skarga na myśl nie wpadł, i zawyrokował w końcu, że cały ten artykuł jest facecyą, że uwagi w nim zawarte są tylko figlem. P. Werner, który przywiózł numer Pszczoły, nie mogąc znieść tego twierdzenia, stawa w obronie autora artykułu, dodając, że jest to mąż, którego poważne usposobienie nie dozwala, aby w tak ważnéj sprawie żarcikował. Zna go bowiem dokładnie i gotów udzielić towarzystwu bliższych o nim wiadomości. Gdy wszyscy chętnie na to przystają, gdy z chciwością słuchają, czego się o człowieku dowiedzą, który tak silnie poruszył ich umysły, gdy pan Werner zaczyna właśnie rzecz najciekawszą, słyszą, że z pewnością wilki się pokazały, polowanie całkiem ich zajmuje, wszyscy za strzelby porywają i pana Wernera w środku opowiadania zostawiają. Na tém kończy się cały obraz, a kończy się tak, że łatwo odgadnąć myśl autora, że ślachty naszéj ulubioném i prawie jedyném zatrudnieniem jest polowanie; że ją w ogóle błache rzeczy najwięcéj zajmują.

№135. KRAKOWIAK.

Presto — *Z Krakowskiego, Kaliskiego i Wielkopolski.*

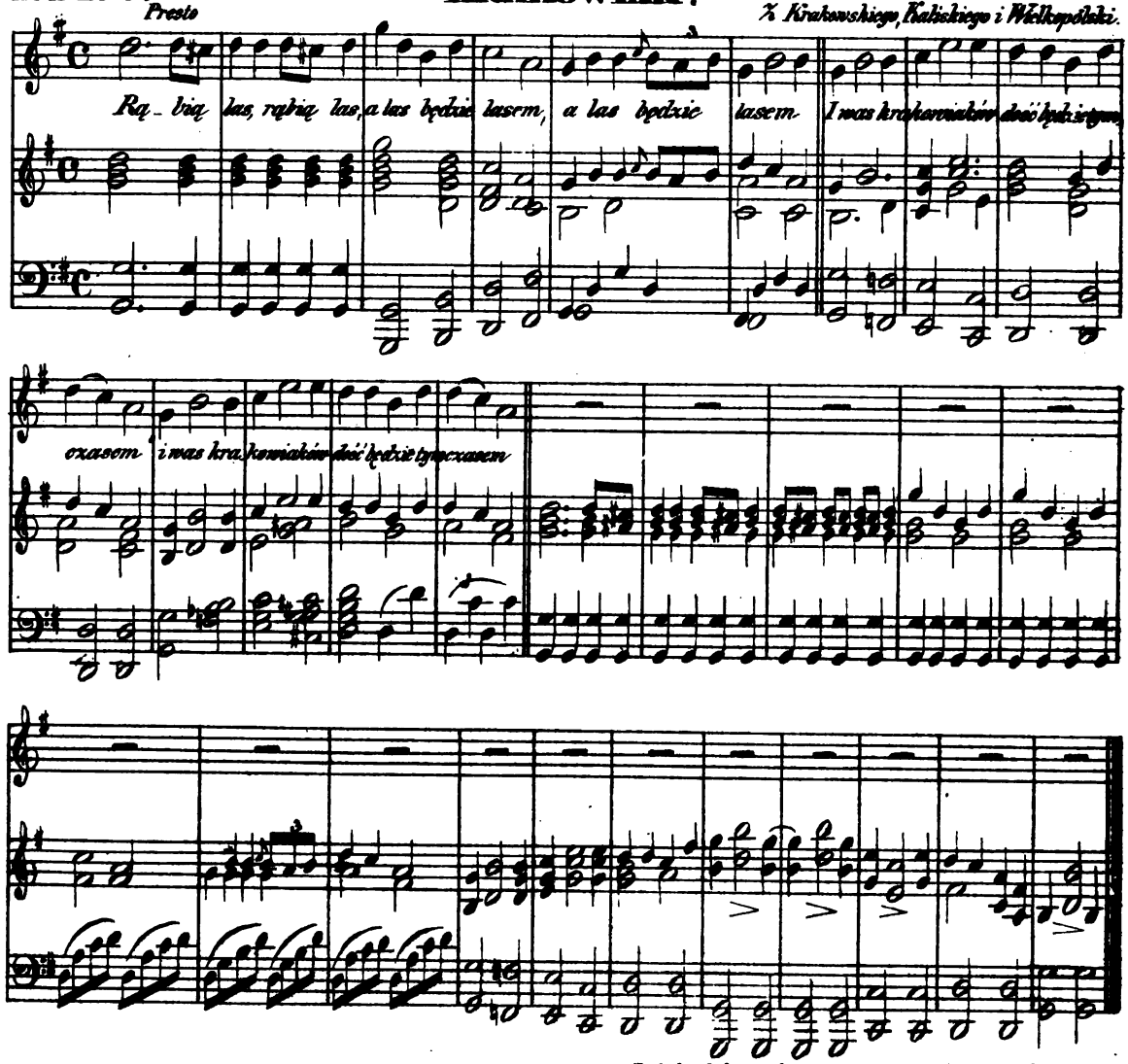

Text do *Nru. 135.*

Rąbią las, rąbią las, a las będzie lasem,
I was Krakowiaków dość będzie tymczasem.

Już będzie zadosyć tym żądaniom twoim,
Robię ja téż koniec Krakowiakom moim.
(*Wacł. z Oleska*, P. I. g., str. 157.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 10. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 7. Marca 1846.

Floryan Saryusz. — Dalszy ciąg panowania Augusta III. i t. d. — Lew Thorwaldsena. — Smogorzów. — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Warunki podane od redakcyi Biblioteki warszawskiéj dla autora powieści na przeznaczoną nagrodę. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie księgarskie.

Floryan Saryusz.

Floryan Saryusz.

Nazajutrz po bitwie pod Płowcami r. 1331., gdy Król Władysław Łokietek plac potyczki objeżdżał, znalazł jednego Szlachcica przebitego trzema włóczniami, nad którym gdy się zastanowił, ubolewając, iż wiele cierpiał, odpowiedział mu Floryan Szary (było to nazwisko jego): „Królu! bardziéj mię boli zły sąsiad, niżeli rany.“ Na to Władysław: „Bądź dobréj myśli, uwolnię cię od tego sąsiedztwa,“ i kazawszy go zanieść pod namiot dla wyleczenia, gdy do zdrowia przyszedł, kupił mu całą tę wioskę, a na pamiątkę do dawnego herbu Koźlerogi przydał trzy włócznie. Zamojscy i Gomolinscy, prócz innych, z tegoż herbu pochodzą. (*)

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

Grzymałtowskim traktatem część ziemi z prawéj strony Dniepru od Polski do Kijowa odstąpioną i odgraniczoną została, która składa wasilkowski powiat, wszystkich zaś Kozaków zaporoskich ze wszystkiemi siedliskami i ich osadami, po lewéj stronie Dniepru, tymże traktatem odstąpiła Polska Rossyi, a składa gubernią mało-rossyjską; daléj granicę między Rossyą a Polską postanowiły strony rzeką Dniepr, a że téj rzeki daléj ku morzu czarnemu brzegi nieosadzone, miały bardzo rozległe po obydwóch stronach stepy od miejsc kończących się osad polskich i kozackich, ostrzeżono wspomnionym traktatem, by trzy mile w szerz od Dniepru, osad żadna nie robiła strona.

Tu tedy widzieć można, jak Królowie polscy, Hetmani i Ministrowie strzegli granic Rzeczypospolitéj, kiedy Imperatorowa Elżbieta nie tylko, że osadziła swe stepy po lewym brzegu Dniepru, ale zabrała i polskie stepy, i sprowadzonymi Serbami z Węgier osadziła militarne kolonie, porobiwszy husarskie pułki, aż do rzeki Wisi, która wpada w Sieniuchę, a ta w Boh, i to bez najmniejszego traktowania o to z Polską.

Już tedy Polska, podług traktatu grzymałtowskiego, od miejsca, gdzie się kończyły osady polskie, które były, gdy traktat stanął, nie miała granicy Dnieprem w traktacie wyrażonym; daléj ziemia, która się rozciągała w szerz między Bohem a Dnieprem, a wzdłuż od granicy tatarskiéj aż do Sieniuchy, zajęli Kozacy zaporoscy, którzy się oderwali od tych, którzy traktatem grzymałtowskim odstąpieni byli Rossyi i swe siedlisko założyli blisko progów Dniepru, po prawéj ręce, i nazwali miasteczko Sicz na ziemi do Polski należącéj.

Rossya na to nic mówić nie mogła, bo ta ziemia nie do Rossyi, ale do Polski należała, a Polska może nie wiedziała o tém, że urywek zaporoskich Kozaków, którzy nie chcieli zostawać pod panowaniem Rossyi, na jéj ziemi osiedli, i uformowali sobie rząd podobny do Kozaków zaporoskich. Mieli oni Naczelnika, którego wybierali po śmierci zmarłego; ten się nazywał Koszowym dla tego, że gdy obrali Naczelnika, wymiatali dom zmarłego, i zgromadzone śmieci w kosz sypali, a potém ten kosz na wybranego Naczelnika głowę przewróciwszy, ze śmieciami wysypali, mówiąc: „Bądź naszym Koszowym,“ co miało znaczyć, że tak jak widzisz siebie obsypanego temi śmieciami, tak nas zawsze mieć będziesz około siebie we wszystkich przygodach nieodstępnymi. Miasteczko Sicz, oprócz domu Koszowego, któren niepowinien był umieć pisać, i domu Pisarza i Sędziego, składało się z 40 domów wielkich, podobnych do karczmów polskich, które znaczyło 40 kureni, do tyluż Pułkowników należących, a w każdym pułku rejestrowych towarzyszów powinno było być 1,000; z początku żyli tylko z rybołóstwa, i te suszyli na słońcu, a potém mieniali z włościanami Ukrainy polskiéj i w Mało-Rossyi osiadłymi Zaporozcami, którzy się potém nazywali Hetmańcy, bo zostawali pod władzą Hetmana w Batyryniu mieszkającego, a to za mąkę, krupy, słoninę i wódkę; najeżdżali, kradli obywateli Ukrainy polskiéj, równie i nowo Serbianów i Tatarów, wsi żadnych nie osadzali, ale późniéj towarzysze, Pułkownicy, Assawuli i Attamani, siedzieli po ziemiankach, oddzieleni każdy ze swoją czeladzią, i całą ziemię między Bohem a Dnieprem podzielili na 40 pułków swoich, którym dali imiona miast polskich i miast mało-rossyjskich Kozaków, jako to: pułk humański, targowicki, biało-cerkiewski, czechryński, smilański, korsunski, czerkiewski, etc.

Żon nie mieli, przyjmowali do siebie zbiegów, hultai najgorszych, ale najwięcéj utrzymywali się adoptowanymi synami, branymi z Ukrainy polskiéj.

Pobudowawszy sobie ziemianki, wzięli się do gospodarstwa, i przy tych trzymali stada koni, owiec i bydła, zimą pod gołém niebem zimującego, które chodziły po komyszach i utrzymywały się sianem przez nich i ich czeladź robionem; kobiecie żadnéj w ich kraju postać nie godziło się. Jak nowa Serbia osiadła w sposobie osady wojennéj, gdy Humańszczyzna i Smilanszczyzna się zaludniła, o najazdy i rabunki gdy grozić Rossya Koszowemu, a Lubomirski, Podstoli koronny, i Potocki, Wojewoda kijowski, prezentami go ujęli, wszedł tedy z nimi w ugody, najprzód, że wstrzyma Kozaków, czyli towarzyszów siczowych od najazdów; powtóre, że Żydom i kupcom wolno będzie jeździć do Siczy z towarami i po ziemiankach za kupnem bydła, koni i owiec; pierwszy tedy Pułkownik stał w Gardzie, dwie mile od ujścia Sieniuchy nad Bohem, to jest w miejscu, gdzie zrobili

(*) Wieś pod Radziejowem.

byli między skałami, na Bohu będącemi, jazy, czyli tamy do łapania ryb, i to miejsce nazywali oni Gardim; temu tedy Pułkownikowi dany był buzdygan żelazny, najeżony kolcami, dla konwojowania kupców lub posłańców do Siczy; ten tedy buzdygan wziął jeden towarzysz konwojujący, i już w ten czas nikt nie attakował przejeżdżających, lub powracających; jeżeli zaś gorzałkę wzięli, to wolno było towarzyszom, jako i czeladzi, choć konwojowanych zatrzymać, i tyle pić gorzałki, ile im się podobało, a byle kufę wypróżnioną przywieziono do Siczy, Koszowy je płacił, jakby napełnioną wódką, mając świadectwo od konwojującego, że Kozaki wypili. Jeżeliby przez kradzież nocną kto szkodę poniósł, w ten czas cały pułk nagrodzić ją winien był, w którego obwodzie ta szkoda stała się. Jeżeliby który z siczowych wyjechał na rabunek, popełniał występki, i na niego zaszła skarga do Koszowego, przekonany o postąpieniu przeciw rozkazom Koszowego, śmiercią był karany, to jest po napisanym dekrecie przez Pisarza i Sędziego, przywiązano do słupa oskarzonego, i położono stós kijów i kadkę wódki; każden Kozak przechodząc koło niego, napiwszy się gorzałki, kijem go uderzył, i póty bili, póki go nie zabili; innéj zaś kary śmierci nie mieli.

Te Koszowego postanowienia wstrzymały rejestrowych towarzyszów od najeżdżania krajów polskich i rossyjskich, ale nie wstrzymały czeladzi ich, po ziemiankach u gospodarzy bawiących, którzy im dodawali koni i broni, i byle kilku przebrało się w kraj nasz, to im daléj szli, powiększali swą liczbę z chłopów naszych, których naprowadzili na obywateli i Żydów majętnych, i rabowali w ostatnich czasach; najwięcéj pieszo wychodzili, a wracając się ze zdobyczą, liczba się ich zmniejszała, w miarę powiększania się jéj, gdy w kraj wchodzili, bo ci, którzy się do nich przyłączyli, wracali do wsiów, zkąd byli, a wiele kup zebranego hultajstwa bywało, co wcale nie przybyli z Siczy, tylko Watuszka obrawszy się i namówiwszy kilku, powiedziawszy się być siczowym Kozakiem, zaraz hultaje z chłopstwa naszego łączyli się do nich, i najczęściéj bywali Watuszkami z Dyaków.

Powracając w roku 1776. z Brahiłowa do Szpikowa, do Pana Sędziego Szwiejkowskiego, późniéj Wojewody podolskiego, gdziem się starał o jego córkę, jechałem karyolką, i miałem w konwoju 10 humańskich Kozaków, między którymi był Sotnik, Kalennik zwany. Przejeżdżając nie daleko wsi Wujarzyniec, wyjechawszy z Kraśnego po nad Krąglach lasku czarnego, spotkałem ludzi 10 chłopów dużych i silnych, zatrzymałem ich, pytając się, skąd są i dokąd idą. Odpowiedzieli mi, że są ze wsi Krasińskiego, i że idą do miasta Krasnego; gdym ich tak dalece minął, że mnie już widzieć nie mogli, spuściwszy się z góry, Sotnik Kalennik stanął i mnie zatrzymał, mówiąc, że ci ludzie, których spotkaliśmy, nie są dobrzy, są Hajdamacy, bo kryją seledce na głowie, w zapuszczeniu włosów na całéj głowie. Ja tedy, że już nad zachodem słońca było, pospieszałem czém prędzéj do Szpikowa, gdziem zastał w gościńcu Księcia Lubomirskiego, Kasztelana krakowskiego, uczyniwszy relacyą Panu Sędziemu o spotkaniu tych ludzi; ten natychmiast posłał do Pana Dumaniewskiego, rządzącego miastem Kraśnem, by ich kazał wziąść i zabić w kajdany, wyindagowawszy ich, co są za ludzie; w kilka godzin potém Pan Domaniewski napisał, że są Hajdamacy, i że ich 40 nocuje w lasku, w jarze będącym pośród wsi Szpikowa. A że Pan Szwiejkowski nie miał rezydencyi w Szpikowie, tylko folwarek ostrokołami obstawiony, dał stancyą Kasztelanowi krakowskiemu w dworku Leśniczego, właśnie nad samym laskiem sytuowanego.

Przeczytawszy bilet od Pana Domaniewskiego Pan Szwiejkowski, mnie go do czytania oddał; a gdym go zapytał, któren to lasek? śmiejąc się odpowiedział: że właśnie ten, któren leży obok dworku, w którym Książę Kasztelan krakowski i WPan nocować będziecie. Nic WPan nie mów Księciu Lubomirskiemu, a jako Barskiéj konfederacyi Oficer, porób ostrożności i bronienia się sposoby; masz WPan 10 Kozaków, ja WPanu dam 30.

Zabezpieczywszy się na noc, nie rozebrany pilnowałem Księcia Lubomirskiego; lecz już kiedy słońce zeszło, rzuciłem się na łóżko ubrany. Książę Lubomirski, któren bardzo rano wstawał, wyszedłszy z izby, gdzie nocował, w sieni zastał leżących Kozaków, samopały po podściany ustawione, a przed dworkiem rozstawione pikiety, wszedł do mnie pytając się, czyli zawsze z taką ostrożnością nocujemy w tym kraju. Dopierom mu opowiedział, że nie zawsze, i powiedziałem o teraźniejszém zdarzeniu Czém prędzéj poszedł z tego dworku na folwarek do państwa Szwiejkowskich, i ledwo co się kawy napił, naglił swój wyjazd, i musieliśmy go wyprawić ku Wołyniowi, polami samemi.

Nim spać poszedłem, napisałem rozkaz do Tulczyna, by Pułkownik Obodyński przybył z sotnią Kozaków; napisałem do Murafy do Brygadyera Golejewskiego kawaleryi narodowéj, dając mu wiedzieć o tych Hajdamakach. Sotnik zaś Kalennik wziąwszy swoich 9 Kozaków i Atamana Szpikowskiego ze 30, poszedł do lasku atakować ich, lecz nie zastawszy, szedł taśmą na rosie poznaczoną za nimi, i doszedł ich w Kraglaku czarnego lasu, zawalonym wywrotami drzewa, na przód dąbrowy Derebczyńskiéj, i dał znać przez Kozaków Panu Brygadyerowi Golejewskiemu, któren przyciągnąwszy, zaczął attakować, strzelając do nich. Ten attak

i strzelanie trwało prawie cały dzień aż do wieczora, bo oni strzelających towarzystwa zwodzili, kładąc czapki na wywroty; jednak, że rzęsisty trwał ogień do lasku małego, do chroniącego się po za dęby towarzystwo strzelało, i szeregowi, których oni kilkunastu postrzelili w uda, którzy się całkiem za dąb schować nie mogli.

Kalennik Sotnik widząc noc nadchodzącą, odezwał się do Brygadyera: pójdźmy z ręczną bronią, bo nam w nocy uciekną, i sam na czele Kozaków z Attamanem Szpikowskim posunął się, i obydwa Naczelnicy zabitymi zostali, ale i z reszty Kozaków, z których żadnego nie było, żeby kilka razy postrzelonym nie był, kilkunastu zabitych zastali przez ów rzęsisty ogień do lasku. Przy tych, którzy w Kraśném wzięci byli, zastano sto kilkadziesiąt czerwonych złotych pieniędzy, które wzięli u Arendarza we wsi Russawie, i z temi pieniędzmi szli kupować sukna na odzież kompanii swojéj.

Nim Rossya zniosła to gniazdo hultai, latem żaden possessor z żoną i dziećmi, ni ekonom, nie nocowali w domach, tylko po chwastach i zbożach, wychodząc z domu potajemnie, by ich chłopi nie widzieli, gdzie poszli nocować, i dopiero ze wschodem słońca powracali do domu, to samo i Żydzi. Widziałem siczowych rejestrowych Kozaków po 4 do 5 wozów prowadzących rybę suszoną, zaprzężonych najpiękniejszemi wołami, którzy zajechawszy do miasteczka, sprzedawali ryby i wozy, a sprzedawszy nakupili atłasu karmazynowego, sukna granatowego na kontusze i szarawary, i czapki porządne z barankami siwemi, tudzież pasy i bóty czerwone, i kazawszy porobić sobie te suknie, ubierali się, wprzód się skąpawszy, a ubrawszy się, zapraszali chłopów, i tych traktowali gorzałką, którą za sobą w wiadrach nosić kazali, i póty pili i częstowali wszystkich przechodzących, póki wszystkich pieniędzy nie przejedli i nie przepili, co wzięli za ryby, wozy i woły; a przepiwszy wszystko, kazali nalać w kadkę dziegciu, w tę z całym ubiorem włazili, a potém wychodząc, niby to marnościami gardząc świata, te suknie z siebie zdiąwszy, na ulice rzucali, by je wziął kto zechce, a siebie ubierali znowu w koszulę w łoju zmaczaną i w siermięgę, w któréj przyszli, z biczem do domu wracali; do takowych balów nie zapraszali kobiet. Intratę Koszowy miał z opłaty koni, bydła i owiec, i miał wyspę na Dnieprze, na któréj kilka wsi osadzonych było z chłopów żonatych i ci mu czynsz płacili, i jego był wyszynk wódki.

Pułkownikom na utrzymanie kurenia osobny podatek płacili, a za to Pułkownik w każdém kurenin utrzymywał Kozaków, co chléb piekli, jeść gotowali i gorzałkę szafowali dla rejestrowych Kozaków, lub ich czeladzi, którym w kureniu podobało się bawić lub hulać. Cerkiew mieli bogatą, bo po każdym towarzyszu, któreby nie miał adoptowanego syna, połowę brał majątku zostawionego Koszowy, a połowę cerkiew.

Dawniéj nim Koszowy z dziedzicami Smilańszczyzny, a osobliwie z dziedzicem włości humańskiéj porobił układy w formie traktatów, to siczowi Kozacy całymi pułkami najeżdżali granicę kraju polskiego, i tak miasto Humań ostrokołem obstawione i wysokiemi wałami obwiedzione, wstępnym bojem attakowali i dobywali, którego bronił Potocki, Wojewoda kijowski, Komisarz, Pułkownik Kozaków humańskich, i nadwornéj milicyi Komendant Pan Ortyński, i odpędzili ich ze znaczną dla siczowych Kozaków klęską, co zaświadcza do dziś dnia pięć mogił na przedmieściu Humania wzniesionych, gdzie siczowi Kozacy pobici pod niemi pogrzebani zostali.

Ośmielony tą bitwą Pułkownik Ortyński, któren umarł Podczaszym bracławskim, na odwet najeżdżał ziemianki siczowych Kozaków i one palił, a swoim Kozakom stada i bydła zabierać pozwalał.

Przed zabraniem Siczy przez wojska rossyjskie i zrujnowanie ich siedliska za ostatniego Koszowego, tego samego, któren niechciał i odmówił żądanego sukkursu do dobywania Baru z Konfederatami, część Kozaków siczowych była się zbuntowała przeciwko niemu, tak dalece, że zmuszonym został szukać protekcyi u Rossyi z głównym naczelnikiem. Ten bunt między Kozakami Rossya za wdaniem się swojém uspokoiła i ich pogodziła, lecz dla bezpieczeństwa niby to Koszowego, tam, gdzie jego dom, pisarza i sędziego, i cerkiew, co wszystko było pobudowane na najwyższém miasteczka Siczy miejscu, kazała obsypać wysokiemi wałami w formie czworobocznéj reduty, i na tych wałach postawiono 12 sztuk armat, i stało w niéj zawsze kilka set piechoty rossyjskiéj z Kapitanem i trzema Oficerami, mając potrzebną amunicyą, i oddani byli w komendę Koszowemu. (Dokończenie nastąpi.)

Lew Thorwaldsena.

Mając sposobność, podróżując w roku 1844 po Helwecyi, zwiedzenia w mieście Luzernie jednego z mistrzowskich utworów Thorwaldsena, sądzę, iż może czytelnikom pisma Pańskiego miłą, artystyczną sprawię rozrywkę, gdy przy krótkim owego pomnika opisie wierną w kopii klassycznego w swym rodzaju pomysłu dołączę rycinę.

Lew Thorwaldsena, w roskosznem miasta Luzerny wystawiony ustroniu, pięknem wykonaniem uderza przechodnia i wzbudza po niejakiéj chwili owo winne hołdu dla mistrza uczucie, który wzniosłe swe myśli w tak wydatnych umiał odlać formach.

Widzimy, jak nam następująca przedstawia

Lew Thorwaldsena.

rycina, lwa w wykutém olbrzymiéj skały schronionego sklepieniu, który, ugodzony włócznią w niemocy oswobodzenia cielskiem lilii godła, wpada w omdlenie. Lew, ciężko ranny, w skruszonéj stali, co ciału jego bolesnie dolega, czuje brzemię śmierci; jednakże groźną wystawia szponę, jakby się do nowéj chciał sposobić walki.

Widzimy obraz szlachetnego cierpienia, spokojnéj i determinowanéj odwagi, rozlanéj w całym majestatycznym jego utworze, słowem, pomysł tchnący prostotą i wzniosłą poezyą, przymioty, jakiemi zgasły a nieśmiertelny mistrz celował.

Powyżéj groty napis: „*Helvetiorum fidei ac virtuti.*“ Niżéj wyryte są nazwiska oficerów i żołnierzy, którzy 10. Sierpnia 1792 polegli w Tuileryach, (*) zarazem i tych, co uszedłszy śmierci, przyczynili się do erekcyi owego pomnika. Opodal, o kroków kilka, wznosi się kapliczka z napisem: *Invictis pax.* W stronie przeciwnéj odpowiednio kapliczce wystawione mieszkanie dla inwalidy, stróża owego pomnika.

Rozmiar całéj budowy wykutego w skale pomnika 28′ długi, do 18′ wysoki. Robotę dłótem wykonał w roku 1822 pod dyrekcyą Półkownika Pfyffer, który model z gipsu Thorwaldsena z Rzymu sprowadził, młody rzeźbiarz z Konstancyi nazwiskiem Ahorn.

Całemu obrazowi wiele w końcu dodaje uroku czystéj wody strumyk, w którym się odbija ogrom skalistego głazu, w bujną strojny wegetacyą i drobnemi zroszony zdrojami.

Z.

Smogorzów.

Starożytne podanie ludu.

(Z powiatu namysłowskiego w Dolnym Szląsku.)

Za czasów jeszcze pogańskich był w Smogorzewie (1) smok, któremu cześć wyrządzając, dawano żywych ludzi na pożarcie. Apostołowie, opowiadający wiarę chrześciańską, przyszedłszy do Smogorzowa, zanocowali w gospodzie tamtejszéj; a gdy nazajutrz w dalszą udać się mieli drogę, usłyszeli naraz krzyk i jęczenie okropne w izbie gospodarza, która była pod nimi, albowiem sami na górze pod strzechą nocowali. Ciekawi, coby te krzyki znaczyły, dowiedzieli się wreszcie, że żona gospodarza powiła téj nocy syna, który ponieważ był ich dzieckiem pierworodném, przeto musi być onemu smokowi na pożarcie dany, i ztąd owa wielka w domu żałość nad utratą nieszczęśliwego dziecięcia. Na to, oświadczyli się apostołowie uratować to dziecię od śmierci i smoka zwalczyć, za pomocą prawdziwego Boga, który jest potężniejszym od takowéj poczwary. Wszelako dziecię musiało już być tymczasem oddane kapłanom, którzy je do jaskini smoczéj już byli nieśli, kiedy apostołowie, uzbroiwszy się, niebawem wkroczyli w jaskinię i po straszliwéj walce z krwawożerczym smokiem, ubili go wreszcie i uratowane dziecię wynieśli na rękach z jaskini. Lud tym widokiem wzruszony skłonił się też wnet do przyjęcia wiary onych mężów, i wystawił chrześciańskiemu Bogu mały, drewniany kościółek, który dotychczas w Smogorzewie, dla obrządku katolickiego zachowany, stoi, chociaż wszyscy już niemal dzisiajsi mieszkańcy téj wioski do ewangielickiego wyznania należą.

Do téj legendy przydają jeszcze i to, że kiedy ów smok ryczał, ludzie w Głuszynie byli *ogłuszeni*, i aż do Rychtala słychać go było. (2) Na tém się kończy opowiadanie ludu.

W dziejach zaś mamy dawne podanie, że pierwsza szląska katedra biskupia miała być we wspomnianém tu Smogorzewie, o którego położeniu niedaleko Sycowa, o dwie mile odległego, znajdujemy świadectwo jeszcze z XI. wieku. (3) Wprawdzie Maciejowski (4) rzeczoną katedrę odnosi do Smogorzowa, w dzisiajszym powiecie Oławskim, a to z powodu wykopanych około Oławy pamiątek chrześciańskich; lecz niniejszy Smogorzów w powiecie namysłowskim, oprócz zamieszczonéj tu legendy, ma jeszcze kilka miejscowych w tym względzie pamiątek, które przeciwko domysłowi Maciejowskiego, raczéj za podaniem wyżéj wspomnianego kronikarza przemawiać się zdają. Kościół bowiem w Smogorzowie namysłowskim, a mianowicie jedna strona tegoż, z modrzewiowego drzewa nader po prostu zbudowana, zdaje się odległéj sięgać starożytności. Pokazują tam także do dziś dnia w małém wzgórzu wgłębienia, smoczemi jaskiniami zwane, oraz smoczą ścieżkę i smoczy staw. Przy nowém przed kilku laty odbudowaniu jednéj strony wspomnianego kościoła, znaleziono też krzyż biskupi z kruszcu; tamtejsza zaś pieczęć kościelna nosi dotąd za godło wizerunek Ś. Jerzego, zabijającego smoka, i tenże sam znak wyryty jest na dzwonach tamecznych. Zasługuje niemniéj i to na uwagę, że w bliskości rzeczonego Smogorzowa, we wsi Pawłowicach (Pauldorf) wykopano w piaszczystym pagórku, *garcą górą* zwanym, wiele popielnic, w których znaleziono drobniutkie pieniążki srebrne ze znakiem na jednéj stronie podobnym do krzyża, który miał kształt niby poczwórnego listka koniczyny. Wszystko to zdaje się poświadczać, że okolica

(*) Królowie francuscy przed rewolucyą r. 1792 mieli straż przyboczną w królewskich pałacach z Szwajcarów złożoną. Wyobrażone trzy lilie na tarczy, jak wiadomo, familijném są godłem Burbonów domu.

(1) Smogorzów, po niemiecku: Schmograu.

(2) Głuszyna (Glauſche), wieś o pół mili, Rychtal, mała mieścina, o milkę od Smogorzewa leżące.

(3) Bezimienny u Sommersb. II. str. 177.

(4) Pamiętniki I. 147—148.

ta w najdawniejszych już czasach zamieszkałą była, i że legenda niniejsza osnuła się poetycznie na jakiémś zapewne prawdziwém zdarzeniu.

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Banek i Bartosz.

Dwaj komotrowie, Banek i Bartosz, mieszkali w jednéj wsi i bardzo się kochali; ale Bartosz przy ciężkiém staraniu tak był podupadł, że się już czego jąć nie miał. Oprócz mizernéj chałupki, nic nie posiadał, i dzieci swych ani wyżywić, ani przyodziać nie mógł. W takiéj niedoli radził się Banka, coby miał czynić? „Ha! cóżbyście czynili!“ rzekł Banek; „niż takie biedne życie macie prowadzić, lepiéj zrobicie, kiedy się obwiesicie.“ Na to odpowiedział Bartosz: „Już ja bym to był dawniéj zrobił, ale ani tyle nie mam, żebym sobie mógł powróz kupić, a niechciałbym się na pożyczanym wieszać.“ „No! to ja wam dam na powróz,“ odpowiedział Banek, i dał mu dziewięć groszy. Bartoszowi smutno się zrobiło, milczał jednak przed żoną, i poszedł na jarmark do pobliskiego miasteczka. Tam kupił sobie za sześć groszy powróz, a za trzy grosze bułkę, i szedł z powrotem. Przyszedłszy w las, pomyślał sobie: żebym do domu powrócił, zrobiłbym dzieciom tą bułką uciechę; lecz cóż z tego? za chwilę znówby jeść wołały, a ja nie miałbym im co dać! lepiéj kiedy ja tak uczynię, jak mi komotr raił (*). Tak myśląc, obrał sobie sosnę, na któréj chciał zakończyć biedne swoje życie. Gdy już miał powróz na kark zadzierzgnąć, przyszedł djabeł w postaci myśliwca i rzekł: „A ty co tu chcesz?“ Bartosz przeląkł się i wyznał szczerze, że mu komotr Banek radził tak uczynić. Myśliwiec kazał mu zniść z powrozem na dół, i wybiwszy mu nim dobrze skórę, kazał iść do domu. Bartosz szedł i oglądał się, a widząc, że myśliwiec za nim nie idzie, znów się chciał wieszać. Alić, nie wiedzieć jak, znalazł się myśliwiec przy nim, i dawszy mu jeszcze raz po skórze, napomniał go, aby głupstwa tego zaniechał. Gdy już Bartosz na brzeg lasu wychodził, brała go pokusa tam się jeszcze powiesić, ale mu znowu myśliwiec przeszkodził. Szedł tedy w pola, i wlazł na gruszkę komotrową, umyśliwszy już koniecznie na niéj się obwiesić; ale gdy spojrzy na dół, a tu w gruszce dziura wypruchniała, a w niéj lepiéj jak miara pieniędzy. Odurzony ich widokiem spojrzy na stronę, a tu kilka fór jedzie, i przy nich ów myśliwiec, który mu w lesie przeszkadzał. Przeląkł go się więc okrutnie, i jak mógł najprędzéj do domu uciekł, zostawiwszy na gruszce przywiązany powróz. Przyszedłszy do domu, opowiedział żonie całą swoją przygodę. Na to rzekła ona: „Pójdźmyż, a wybierzemy z gruszki pieniądze; może już ten nie żyje, co je tam schował.“ Gdy pieniądze w domu mieli, rzekła żona: „Trzebaby téż komoterka do nas zaprosić.“ Mąż zgodził się na to, a żona nakupiwszy mąki, mięsiwa, i dobrych trunków, sprawiła sutą wieczerzą. Komotr Banek zaproszony myślał sobie, zkąd się téż tu taka zamożność znalazła? Jeżeli téż komotr Bartosz nie znalazł w gruszce moich pieniędzy? Ledwo co od niego wyszedł, udał się spiesznie do gruszki, miesiąc pięknie świecił. Banek ujrzawszy próżną dziurę, zdrętwiał. Zegar zamkowy bił właśnie godzinę dwunastą; widzi na gruszce powróz, na którym się miał Bartosz obwiesić; w rozpaczy zaciąga go sobie na szyję, myśliwiec przybliżył się, pociągnął go za nogi i tak życie skończył zły komotr.

(*) raił, czyli radził.

Warunki podane od redakcyi Biblioteki warszawskiéj dla autora powieści na przeznaczoną nagrodę. (*)

Spełniając oznajmione w zeszycie styczniowym r. b. Biblioteki warszawskiéj życzenie członka swego Augusta Cieszkowskiego, Redakcya tego pisma, oznacza bliżéj warunki spółubiegania się o nagrodę za napisanie najlepszéj powieści od niego wyznaczoną.

Za należące do spółubiegania się przyjęte będą tylko powieści: po 1sze, napisane w języku Polskim; po 2gie, osnowane na miejscowości krajowéj; po 3cie, złożone w Redakcyi Biblioteki warszawskiéj najpóźniéj do dnia 1. Maja n. s. 1847 r. włącznie; po 4te, opatrzone godłem tém samém na tytule, co i na osobnym opieczętowanym liście, zawierać mającym imię, nazwisko i zamieszkanie autora, jako téż oświadczenie jego, czyli w razie przyznania nagrody waruje sobie zachowanie bezimienności.

Do wyznaczonéj przez pana Augusta Cieszkowskiego nagrody złotych tysiąc, doda Redakcya autorowi powieści, za najlepszą uznanéj, za każdy arkusz druku po złp. 60, i oprócz tego pięćset exemplarzy téjże powieści jéj kosztem odbitych; wreszcie zostawi mu prawo rozrządzenia dziełem swojém po ukończeniu ogłoszenia jego w Bibliotece warszawskiéj.

Ustanowiona należność pieniężna oddaną zostanie autorowi w gotowiźnie zaraz po przyznaniu nagrody i po rozpoczęciu druku nagrodzonéj powieści w Bibliotece warszawskiéj, do czego termin zakreśla Redakcya na dzień 1.

(*) Być może, iż powyższe wezwanie zachęci kogo u nas do zajęcia się tą pracą; dla tego uważaliśmy za naszą powinność umieścić całkowicie tę wiadomość w Przyjacielu Ludu.

Przyp. Red.

Sierpnia 1847 r. Nie będzie mogła otrzymać nagrody powieść, obejmująca mniéj niż pięć arkuszy druku.

Spółcześnie z rozstrzygnieniem spółubiegania się, zniszczone zostaną opieczętowane listy, należące do wszystkich powieści nagrody nieotrzymujących, i powieści te zwrócone będą okazicielowi kwitu na złożenie ich od Redakcyi wydanego. Odbierającemu go oświadczono będzie, czy Redakcya, pomimo nieprzyznania pierwszeństwa, życzy sobie zwracaną powieść drukować w piśmie swojém, a to w tym celu, aby autor, jeżeli zechce, o to z nią ułożył się.

Autor, któryby nie miał nic przeciw temu, aby powieść jego, przed rozstrzygnieniem pierwszeństwa, była za zwykłe honorarium drukowana w Bibliotece warszawskiéj, jeżeliby to zgadzało się z zamiarami Redakcyi, zechce ją o tém przy składaniu powieści bezimiennie zawiadomić.

Nowy przeciąg czasu do spółubiegania zostanie naznaczony, jeżeli do dnia 1. Maja n. s. 1847 roku, albo jedna tylko powieść będzie złożona, albo żadnéj ze złożonych nagroda nie będzie przyznana.

Redakcya Biblioteki warszawskiéj.

№ 136.

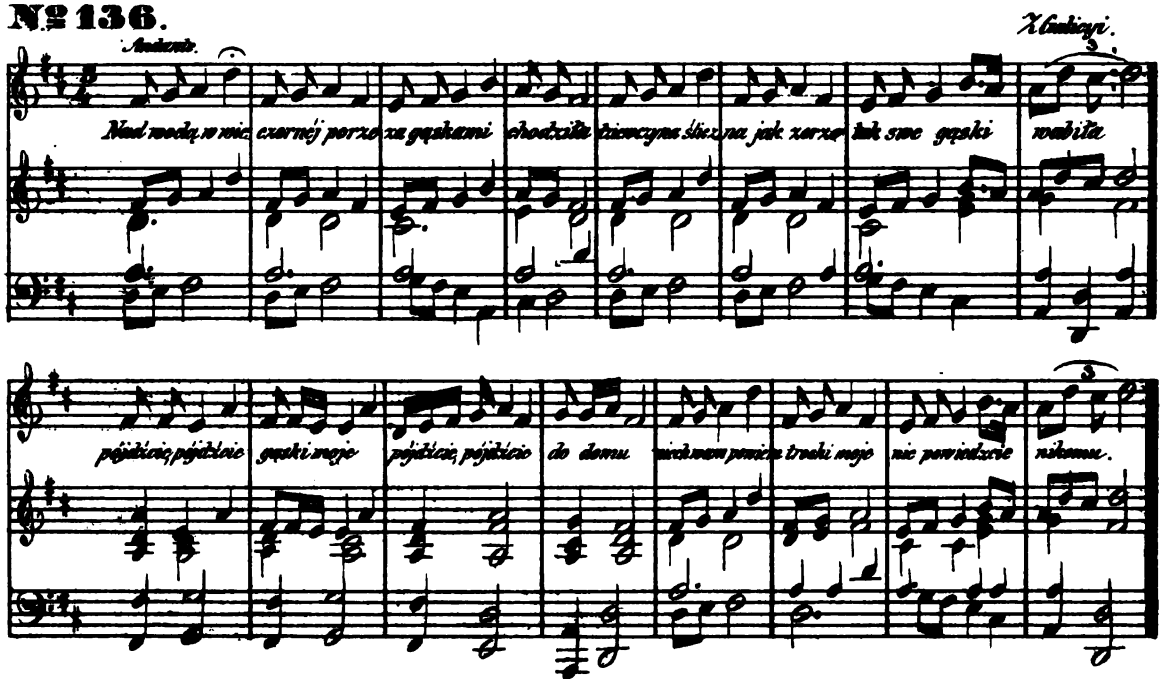

Text do *Nru. 136.*

1. Nad wodą w wieczornéj porze
   Za gąskami chodziła
   Dziewczyna śliczna jak zorze
   Tak swe gąski wabiła:
   Pójdźcie, pójdźcie gąski moje,
   Pójdźcie, pójdźcie do domu;
   Niech wam powiem troski moje,
   Nie powiedzcie nikomu.
2. Czy to zniesie moja dusza,
   Żebym temu sprzyjała,
   Który mię właśnie przymusza,
   Żebym jego kochała.
   Pójdźcie, pójdźcie gąski moje,
   Pójdźcie, pójdźcie do domu;
   Niech wam powiem troski moje,
   Nie powiedzcie nikomu.
3. Jam się w wolności rodziła,
   Choć nie znałam swéj matki;
   Temu sprzyjam, komum miła,
   Nie zwiodą mnie dostatki.
   Pójdźcie, pójdźcie gąski moje i t. d.
4. Niechaj kto chce przeczy temu,
   Jam mu słowo raz dała;
   Oddałam serce miłemu
   I będę go kochała.
   Pójdźcie, pójdźcie gąski moje i t. d.
5. I tak chodząc za gąskami
   Rzewnie się rozpłakała,
   Mając twarz zalaną łzami
   Na swe gąski wołała:
   Pójdźcie, pójdźcie gąski moje i t. d.

(*Wacław z Oleska* str. 240.)

U L. Levit w Bydgoszczy są do nabycia:
Sprawa zaprowadzenia Bractwa ś. trzeźwości i wstrzemięźliwości w parafii Bydgoskiéj, przez ks. T. K. 3 śgr.
Amulet, to jest: Słowa miłości i napomnienia, poświęcone Ludowi katolickiemu przez ks. S. S. 15 gr. pol.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 11. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 14. Marca 1846.

Rafael Sanzio. — Dalszy ciąg panowania Augusta III. i t. d. — Górale w Tatrach mieszkający. — Niektóre zdania Stanisława Leszczyńskiego. — Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku. — Powieści dla dzieci. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Rafael Sanzio w 15tym roku, przez niego samego malowany.

Rafael Sanzio.

Obraz tego sławnego malarza posiada w oryginale galerya w Louwrze w Paryżu i może się dla tego mienić szczęśliwą. Wysokość jego wynosi cali 22., szerokość 17.

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

Jak Generał Tekeli zabrał Koszowego, Sędziego i Pisarza, w podeszłym już wieku będących, odwieźli ich do Monasteru, by tam do końca dni swoich nabożeństwem się bawili. Pułkownikom Attamanom dali patenta na rangi sztabsoficerskie, i pozwolono im nosić feldcechy u szabel, a tém samém uszlachcono ich podług ustaw rossyjskich. Dano im grunta dziedzicznem prawem w proporcyi ich rangi, te na dziesięciny podzielono, do osadzenia słobód dla siebie, potém wybrano miejsca dla osadzenia słobód na skarb imperatorski, i tam Kozakom osiadać proponowano, którzyby z gruntu służbę czynić (Kozaków zaporoskich) chcieli, przez siebie lub swoich najmitów; resztę ziemi pomierzonéj rozdano między Generałów, Sztabsoficerów i ich subalternów armii Grafa Romansowa, i między osoby, które tylko jakiekolwiek usługi czyniły, lub używane były w téj wojnie od komenderującego, a osobliwie, którzy rekomendowani byli do nagrody od Feldmarszałka Romansowa. Z całego tedy kraju zrobiła Imperatorowa gubernią wozneseńską i miasto gubernialne założyła, i pobudowała miasto Woznesensk zwane, nad rzeką Bohem, a razem wzięta gubernia tauryczewska, hersońska i wozneseńska, robiły namiestniczostwo ekaterynosławskie. Z tych zaś Kozaków i czeladzi siczowéj, którzy na osiedlenie wsiów skarbowych pójść nie chcieli, ani żenić się, porobiono pułk Kozaków czarnomorskich, i ci na żołdzie skarbowym zostali, i dano im za Komendantów Attamanów, Ukołowatego i Cepigę, obydwaj urodzeni w Polsce, pierwszy ze wsi do starostwa bogusławskiego należącéj, a drugi ze wsi Horodeckiego z włości humańskiéj.

Po zabraniu Siczy, wkrótce potém Imperatorowa skassowała hetmaństwo Kozaków zaporoskich, owych to, co odpadli od Polski przez traktat grzymułtowski z miastami i wsiami Panów polskich. Hetmana ich, Grafa Rasumowskiego, zrobiła Feldmarszałkiem, nadała mu znaczne dobra w obrębie kraju tych Kozaków, z miastem Baturynem, gdzie rezydencya była Hetmanów kozackich. Wszystkim Oficerom kozackim przyznała szlachectwo, resztę rejestrowych Kozaków uznała równie za szlachtę, nazywając ich jedno-dworcami, którzy na rekrutów nie idą, i swobodnie w swych domach żyją; tym wolno wsie i dobra kupować, a gdy do wojska idą dobrowolnie, i mają przyzwoitą edukacyą, mogą awansować tak w wojskowym jako i cywilnym stanie; kraj zaś cały, to jest, miasta i wsie, na gubernie podzieliła i rząd kraju rossyjskiego zaprowadziła. Tegoż samego czasu zabrała na skarb wszystkie dobra metropolitańskie, biskupie i monasterów bardzo znaczne, i tych część podzieliła między obywateli osobliwie rossyjskich. A duchowieństwa i Zakonników dostojności porównała z rangami wojskowemi, i te same wyznaczyła im pensye; i tak Metropolita, Generała-Lieutenanta; Biskup, Generał-Majora; Opat, Pułkownika, a Zakonnik, prostego żołnierza, miał wyznaczony żołd i płacę, a Parochowie i Protopopi zostali przy gruntach i dochodach, które dawniéj pośród swych gromad mieli; potém w czasie, gdy Książę Potemkin, Feldmarszałek, to jest około roku 1789., komenderował armią przeciwko Turkom, znowu hetmaństwo skasowane około roku 1777. na osobie Grafa Rasumowskiego wskrzesiła Imperatorowa, i zrobiła Hetmanem Księcia Potemkina, nie tylko tych, którym hetmanił Graf Rasumowski, ale przyłączyła do jego hetmaństwa wszystkich Kozaków całéj Rossyi, to jest: Uralskich, dawniéj zwanych Jajeckich, Dońskich, Czukojowskich, Zaboskich i Czarnomorskich, i przy reskrypcie, które mu na to hetmaństwo dała, przysłała mu cztery buławy, które niegdyś Hetmani kozaccy zadnieprscy od Królów polskich mieli.

Będąc do Jass do Księcia Potemkina posłanym w wojska naszego interessie od Księcia Józefa Poniatowskiego, któren komenderował partyą Ukraińską, gdy Graf Potocki, Generał artylleryi, był za granicą, jako Pułkownik i Komendant regimentu imienia Potockich, opowiadając mi Książę Potemkin swe zwycięstwo nad Turkami, pokazując mi pobranych fortec rysunki, jak były ufortyfikowane i jak attakowane i wzięte, jako to: Oczaków, Bender, Kilię, Izmaiłów, między innemi rozmowami, zapytał mnie się, czylim go widział w hetmańskim mundurze, któren się składał z pantalonów długich (jak się nazajutrz ubrał umyślnie), i kamzelki materyalnéj paliowego koloru, ciżmy miał krótkie czarne, na wierzchu suknia robiona w formie jak węgierska, niżéj kolan długa, tabaczkowego koloru, w około wydrami sybirskiemi obłożona z kołnierzem, które futro czarne świecące się, końce jego są białe, jakby srebrem obsypane były; jest to futro najdroższe w Rossyi, guzy i guziczki w kamzelce brylantowe, sznurkami brylantowemi ugarnirowane suto, kołpak wysoki z tegoż futra z pąsowym aksamitnym wierzchem, z kitą wielką brylantową, z piórami na niéj zatkniętemi czarnemi czaplemi; widziałem w Księciu, iż go hetmaństwo wszystkich Kozaków całéj Rossyi więcéj prawie kontentowało niżeli ranga Feldmarszałka. Zostawszy Książę Hetmanem, przez

niego wszyscy Oficerowie kozaccy, przez Imperatorową porównani byli z Oficerami całéj armii rossyjskiéj w rangach; Ataman dońskí został zaraz Generałem en Chef, Denisów również Generałem en Chef, wypromowował na Generałów: Orłowów, Izajewów, Deniskowów, Gekowów, i wszystkich Pułkowników, Oficerów uszlachcił, zgoła, co przedtém Chorąży piechoty, lub Porucznik od kawaleryi regimentu jazdy, komenderował kilka pułków dońskich, od tego czasu, wszyscy Generałowie i Oficerowie dońscy, biorą w komendę podług starszeństwa wszystkich rang Oficerów armii całéj, zgoła, do tego punktu wyniósł Kozaków Książę Potemkin, że familianci rossyjscy cisnęli się być Oficerami w pułkach kozackich, i starali się o to u Księcia Potemkina, jako o łaskę szczególną. Z śmiercią Księcia Potemkina i to wskrzeszone hetmaństwo nad wszystkimi Kozakami upadło. Dla Kozaków został się zaszczyt, że awansują Generałowie w korpusach kozackich, tak jak Generałowie kawaleryi w korpusach kawaleryi, a Generałowie piechoty w korpusach piechoty, i są uformowani na lekką jazdę regularną, mając zostawione manewry im tylko właściwe, są uznani za szlachtę, mają wsie, i poddanych jak w Rossyi zowią Chrześcianami, i porównani w przywilejach szlacheckich z całą szlachtą rossyjską i zapewnione mają sobie prawa dawne, któremi się na Donie rządzili, mają artyleryą konną, mają akademią, w któréj się ich młodzież uczy wszystkich języków i nauk tak jak i w innych akademiach.

JW. Graf Seweryn Potocki i aktualny Tajny Radca, będąc Protektorem akademii Harkowskiéj i Czerkasawskiéj na Donie w mieście Czerkasach, powiadał mi, jak z wielką aplikacyą dzieci Kozaków się uczą, i jak wielki postęp w naukach czynią, że aż do zadziwienia tyle mają sposobności, gdy był u nich na rewizyi akademii i szkół, gdy mu wszystka kozacka szlachta dziękowała za ustawy, w akademii poczynione, z dawania dla młodzieży nauk, prosili go, by im raczył odmienić Professora do języka francuskiego. Graf Potocki rozumiejąc, że go oskarzać będą o jaki błąd nieprzyzwoitości lub niepilności w dawaniu lekcyi języka francuskiego; gdy ich się zapytał, dla czego im ten Professor nie podobał się, odpowiedzieli, że jest najlepszych przymiotów człowiek, ale mający zły akcent, jakoż w saméj rzeczy był Niemiec, i znał doskonale język francuski, ale miał zły akcent; aby zaś mieli dobrze mówiącego Professora, ofiarowali do pensyi, którą ma od akademii, dołożyć dla niego co rok po kilka tysięcy rubli. Dodał mi Graf Seweryn Potocki, że w czasie obywatele, rodu kozackiego, bardzo się będą dystyngować w Rossyi, bo mają applikacyą, ochoty wiele do nauk, tudzież sposobności i zdatności, a są niezepsutych obyczajów, i więcéj moralni jak innych prowincyj rossyjskich obywatele.

Już teraz, gdy się trafi w kompanii na balach, lub w inszych posiedzeniach, znajdować się z Oficerami pułków kozackich, widzieć można młodzież starającą się, by ich wszyscy uznali grzecznymi; jakoż pełni są nauki, i doskonale mówią językami, a na kwaterach, gdy stoją, nie wie obywatel, że ich ma u siebie, tańcują ładnie, trzeźwo się zachowują, grami ażardownemi się nie bawią, i wielu między nimi jest ładnych figur i twarzy.

Na zniesieniu Siczy zdało się, że choć straciła Rzeczpospolita ziemię, która do niéj należała, przez nierządność i niedbalstwo Królów i Ministrów, odniosła korzyść pozbycia się kilkudziesiąt tysięcy hultajstwa, graniczącego z nią, które się rekrutowało z chłopów i poddanych polskich, i dokąd wszyscy kryminaliści z naszego kraju mieli ucieczki. Wcale nie nowe znowu uciemiężenie nastąpiło dla pogranicznych dziedziców polskich, bo tak Generałowie, jako i ci wszyscy, co mieli nadaną ziemię siczową na osady słobód, przemawiali poddanych obywateli kraju polskiego, obiecując im wiele wolności w nowych słobodach, a Generałowie i Pułkownicy w przechodach, po kilkadziesiąt gospodarzy, z żonami, dziećmi i całym dobytkiem i cerkwiami zabierali, i na swe słobody przewozili, czego najszczególniéj doświadczył Książę Aleksander Lubomirski, osobliwie Wołochów, Mołdawianów, od dawnych czasów osiadłych w Polsce; a kiedy skargi dziedziców zachodziły o to do rządu rossyjskiego, to albo rezolucyi nie odbierali, albo odpowiadali, że Mołdawianom i Wołochom, ludziom obcego narodu, nie polskiego, wolno im przenosić, gdzie im się podoba.

Górale w Tatrach mieszkający.

Naród, który zamieszkuje wschodnią część gór Karpackich, znanych pod nazwiskiem Tatrów, nie jest już dzisiaj tém, czém był pod panowaniem Bolesława Chrobrego, t. j. czystą rasą słowiańską. Jego skłonności, jego charakter i język dowodzą, iż Tatarzy, Rusini, Niemcy i Węgrzy wmieszali się do szczepu pierwotnego; lecz przedstawia nam zawsze rysy charakteryzujące dawny naród słowiański. Jeżeli pod tym względem Krakowiacy więcéj się odznaczają, trzeba nadmienić, iż zwycięztwo nie doszło do tego jądra wielkiego narodu polskiego, a burze, które się rozlały po kraju, szanowały zawsze kolebkę jego dawnéj potęgi.

Budowa fizyczna górali tatrzańskich, odpowiadając własnościom ziemi, którą zamieszkują, nosi piętno mocy i piękności. Ich fizyonomia jest szlachetna, kibić kształtna, często olbrzymia, poruszenia ciała nadzwyczajnie prędkie i zręczne.

Każda płeć ma swój ubiór; męski jest skromny, jak u dzieci i młodzieży. Koszula krótka, dochodząca do pasa, bez kołnierza, spięta sprzążką lub też guzikiem miedzianym, u czego są pozawieszane łańcuszki: otóż wszystko, co pokrywa wierzchnią część ciała. Spodnie ich wązkie, z sukna białego, są obszyte sznurkiem na bokach, i przyozdobione na przodku haftami na sposób węgierski. Pas skórzany, pokryty małemi kółeczkami miedzianémi, spina koszulę i spodnie. Suknia koloru brunatnego lub białego, tak nazwana gunia, bardzo rozwarta na przodku, zwyczajnie tylko jest zawieszona na ramionach. Noszą kapelusz czarny z małą głową i szerokiemi brzegami. Sandały mają przymocowane sznurami. Włosy ich długie, często splecione, spadają na ramiona i plecy. Ubiór ten jest prawie ten sam, z małemi tylko odmianami, w wszystkich wsiach, położonych na pochyłości Tatrów. Lecz jeżeli ubiór mężczyzn jest nadzwyczajnie skromny, ubiór kobiet odznacza się wykwintnością, co jest dowodem dobrego bytu. Na koszuli płóciennéj, albo perkalowéj, związanéj czerwonémi wstążkami, w któréj naramniczki haftowane jedwabiem czerwonym, jako i rękawy fałdziste, obszyte u dołu koronką, noszą gorset ciasny i dobrze ściągniony, z materyi zielonéj, jedwabnéj, zasznurowany z przodu i często przyozdobiony galonami. Fartuch z muślinu spada na spódnicę jedwabną, albo perkalową w kwiaty. Kawał muślinu, nakształt szalu, pokrywa ich ramiona i spada aż do nóg. Noszą jak mężczyzni sandały lub też bóciki ze skóry żółtéj; ich ubiór na głowie jest skromny, włosy wiążą sobie elegancko wstążkami różnego koloru.

Kobiety gór tych posiadają wszystkie wdzięki swéj płci; wysmukłość kibici, piękność rysów, czynią je próżnemi i chciwemi podobania się; otwartość, uprzejmość, naiwność, odznaczają je, jak i mężczyzn, którzy są powszechnie dobrzy i przyjemni, którzy nie przebaczają łatwo urazy lub zniewagi, a ufni w swoję siłę i lekceważąc życie, dają czasem uczuć swoim przeciwnikom cały ciężar swéj zemsty.

Górale tatrzańscy są powszechnie obdarzeni rozumem przemyślnym, pilni przy pracy, i zręczni w zatrudnieniach wszelkiego rodzaju. Ziemia ich, pokryta górami niezdatnemi do uprawy, na których nic nie rośnie, jak tylko owies, zmusza ich chwycić się innych gałęzi przemysłu, aby zaspokoili swe potrzeby i utrzymali familią. Ich zręczność najwięcéj się pokazuje w robotach stolarskich; dla tego też mają w Krakowie znaczne składy mebli wszelkiego rodzaju, i do nich się udają z wszystkich części kraju, aby dostać drzewa narzędziowego i do budowli. Niektórzy korzystając z czasu zbierania siana i ze żniw, rozchodzą się z kosą w ręku po całéj Polsce, ażeby znaleźć sposób utrzymania; inni oddają się ciesielstwu lub odrótowaniu glinianych naczyń; inni prowadzą handel płótna, ryb wędzonych i suszonego owocu; wszyscy, za zbliżeniem się zimy, wracają do swoich ognisk, opatrzeni pieniędzmi, które uzbierali wśród swoich wycieczek.

Ci zaś, którzy w przeciągu lata zostają w domu, prowadzą najczęściéj życie pasterskie, które przypomina czasy dawnych patryarchów. Na szczycie Tatrów zima jest dosyć długą; pastwiska są rzadkie, lecz począwszy od końca Maja, aż do początku Września, góry sąsiednie stają się podobnemi do raju, bo przedstawiają wszelkie bogactwa roślinne, które tylko piękne dni wiosny rozwinąć mogą, oraz wszystkie wdzięki skromnego życia pasterskiego. Dla tego też mieszkańcy gór, ogołoconych z zieloności i pastwisk, opuszczają w końcu Maja swoje chaty i udają się z swoją trzodą w okolice, gdzie urodzajność rozpościera cały swój przepych. Te pielgrzymki, które każda wiosna sprowadza, są dla nich najpiękniejszemi dniami w roku. Otoczeni trzodami owiec, krów i koni, za któremi ciągną wozy napełnione sprzętami domowemi, gospodarskiemi i pasterskiemi, schodzą w towarzystwie górali wszelkiego wieku i płci z gór i rozpraszają się po wszystkich dolinach, po borach, po łąkach, zaludnionych wkrótce ludźmi i zwierzętami. Wszędzie dają się słyszeć: szelest dzwonków, głosy dud, trąbki lub też skrzypcy, śpiewy i krzyki wrzaskliwe pasterzy. Wtenczas zmieniają swój ubiór. Krótka koszula, którą gotują w maśle, ażeby ją zabezpieczyć od robactwa, u któréj rękawy, fałdowane z góry, są spięte sprzążką, wystarcza im przez całe lato; spodnie wązkie, białe, i sandały, szeroki pas skórzany naokoło ciała, nóż wielki zawieszony u lewego boku, piękny worek ze sznureczków na plecach, przyozdobiony haftami w różnych kolorach, małemi klinklinami i długiemi frandzlami: otóż cały ich ubiór. Kapelusz czarny, właściwy pasterzom, przystrojony czerwonemi wstążkami i zielonemi gałązkami, pokrywa ich głowę, w ręku noszą małą siekierę przymocowaną na długim kiju, którą nazywają walaszką albo ciupagą, a w ustach trzymają ładną lulkę drewnianą z piękném przyozdobieniem mosiężném. Pasterz nazywa się Juhas, właściciel trzody Baca, a mieszkanie jego Bacówka. Pomieszkanie to, dla braku mocnego drzewa, składa się tylko z dwóch izb i jednych drzwi, ale bez okien. W środku izby znajduje się wielki kamień, który służy za ognisko; przy ścianie są mchem usłane łoża. Naczynia, które zawierają mleko i ser, i wszystkie inne sprzęty, są poustawiane na policach, albo pozawieszane na ścianie. Latem pasterze żywią się mlekiem, serem i gatunkiem serwatki, rzentycą zwanéj, która przez dobrą paszę wiele aromatyczności nabiera. Łatwo każdy pojmie całą przyjemność, cały dobry byt, który powstaje dla obu płci

Górale w Tatrach mieszkający.

z życia wspólnego, pod gołém niebem, i w najpiękniejszéj porze roku.

Wsie górali, w okolicy, gdzie się usadowili, są wielkie, i ożywione liczną ludnością; ich chaty są obszerne; w wielu miejscach widać ładne kamienne domki. Wewnątrz panuje porządek i czystość; zawsze się tam znajdzie izba dla podróżnych. Zagrody z przyległościami są starannie utrzymywane, lubo właściciel nie zbierze czasem jak kilką wierteli owsa lub ziemniaków, co często zła pora niweczy. W każdéj chacie znajduje się warsztat, i stajnia z kilkoma końmi, któremi górale odprawiają długie podróże do Prus, do Węgier i do Turcyi. Przez całe lato żyją tém, czego im trzoda dostarcza; zagrody są puste, a gdy do nich przyjdą, lekko się tylko posilają wspólnym kosztem. Kontent z swéj polewki z mąki i z placka owsianego, naród ten jest szczęśliwy, bo mając życzenia skromne, nie zna nie-

dostatku. Główną przyczynę ich usposobienia stanowi szczere przywiązanie do ziemi ojczystéj i do wszystkiego, czego im dostarcza. „Prawda,“ mówią oni, „iż ziemia może być w innéj okolicy żyzniejszą, lecz nigdzie nie jest chléb tak dobry, nigdzie powietrze tak zdrowe, jak w naszych górach.“

Lubo tańce tego narodu są znane w całéj Polsce, jednakowoż trudno je opisać. Najzręczniejszy z tancerzy stawa w środku towarzystwa, robi nogami i całém ciałem wiele różnych poruszeń, i rzuca znacznie wysoko siekierkę, którą trzyma w ręku; a im jest zręczniejszy w schwytaniu jéj, tém więcéj otrzymuje oklasków. Muzyka ma tak właściwy charakter i tak różny, iż obcy z trudna jéj się nauczy, lub jéj melodyą uchwyci. Pieśni podobne do krakowskich, zawierają te same porównania z obrazami, które przedstawia natura; lecz ton ich jest poważniejszy, posępniejszy, i podobny czasami do odgłosu powtarzanego przez góry. Trąbka pasterska, piszczałka z dwiema dziurami i dudy, są to instrumenta ulubione górali; jeżeli jeszcze dodamy skrzypce lub basetlę i gatunek gitary, można mieć wyobrażenie o muzyce tych okolic. Handel, przemysł i pielgrzymki w obce kraje wiele się przyczyniają do cywilizacyi krajowców, których rozum z natury przenikliwy, zdolny jest do wykształcenia się, tak dalece, iż pod tym względem przewyższają innych mieszkańców Polski. Niektórzy umieją czytać i pisać; a ci nawet, którzy odwiedzali szkoły publiczne, powracają do pługa i swéj trzody. Pomimo światła rozprzestrzenionego pomiędzy nimi, nie są wolni od przesądów i zabobonu; można ich nawet częściéj niż innych chłopów polskich słyszeć opowiadających wiele powiastek o istotach nadnaturalnych i rzeczach cudownych; źródła tych powieści szukać trzeba bez wątpienia w ich żywéj wyobraźni.

O obchodach weselnych, pogrzebowych i innych zabawach narodu tego, zamilczymy, ponieważ są te same, co u Krakowian.

Niektóre zdania Stanisława Leszczyńskiego.

Przeznaczeniem bohatéra jest walczyć i podbijać; Król zaś nad tém tylko powinien pracować, aby uczynił poddanych swoich dobrymi i szczęśliwymi. Pierwszy, potrzebuje nieprzyjaciół, żeby stał się sławnym; drugi, do swojéj chwały potrzebuje tylko miłości poddanych.

Prawda jest jak słońce, które zaćmienie może przyćmić na chwilę, lecz zniszczyć jego światła zupełnie nie zdoła.

Nie szczyćmy się nigdy, że mamy wielu przyjaciół; w nieszczęściu tylko poznamy prawdziwą ich liczbę.

Herb dowodzi wysokości i szlachetności imienia; ale szlachetność tylko serca czyni nas godnymi naszego rodu.

Wielu ludzi mają w sobie ukryty zaród geniuszu, o którym sami nie wiedzą; trzeba trafu, szczególnego jakiegoś wypadku, żeby go w sobie odkryli. Można ich przyrównać do kwiatków, które wiatr zasklepił, a które się rozwiną za okazaniem się promieni słonecznych.

Chcąc ocenić zasługę wielkich ludzi, trzeba być samemu usposobionym do wielkości. Geniusz bowiem tylko do geniuszu przemawia.

Człowiek roztrzepany i człowiek trwożliwy do niczego nie są przydatni; pierwszy bowiem zawsze działa bez zastanowienia, drugi wtedy rozmyśla i zastanawia się, kiedy działać potrzeba.

Męstwo jest jedyną cnotą, któréj fałszować nie można.

Często wznosimy się na wysokie stopnie przez podłości, najbardziéj poniżające godność człowieka; niekiedy czołgając się tylko można dojść wielkości.

Napróżno zawiść gani pospolicie wielkich ludzi, sława ich przemawia za niemi dostatecznie.

Zazwyczaj ludzie nieoświeceni, pocieszają się w swéj nieumiejętności, mianując nieużyteczném to wszystko, czego nie znają.

Zarozumiałość towarzyszy zawsze miernym umysłom, tak jak skromność zasłudze.

Wielu jest takich, którzy mówiąc dopiero myślą, ale nie równie więcéj takich, co mówią nie myśląc wcale.

Człowiek z geniuszem myśli i mówi zawsze według własnych pomysłów; lecz większa część ludzi nie mając własnego rozumu, myślą i mówią według innych. Tacy przecież najczęściéj śmią krytykować tych, których nędznem tylko są echem.

Czyliż najgłupszy ze źwierząt, osieł Ezopa, dla tego, że się odział lwią skórą, sądził, że jest lwem w istocie?

Wielkiego gadułę przyrównać można do rozhukanéj rzeki, która w wylewie swoim porywa z sobą bez różnicy kwiaty, kamienie i chwasty.

Nie można odmówić szacunku człowiekowi, który nań zasługuje, choćby największym był naszym nieprzyjacielem.

Serce czułe do wielu cierpień jest powodem; umysł pod tym względem jest dogodniejszy, bo go rzadko która rzecz dotyka.

Cieszyć się a nie śmiać należy, widząc na urzędach ludzi, którzy mniéj od nas warci.

Sama tylko religia może troski na rozkosze zamienić.

Nic bardziéj nie cechuje wyższości geniuszu, jak talent przygotowania zdaleka pomyślnych wypadków.

Doświadczamy w ciągu naszego życia kolejno radości i smutku; ztąd to pochodzi, że radość jest szacowniejsza kiedy po smutku następuje, a smutek tém jest dotkliwszy, kiedy go poprzedziła pomyślność.

Kto chce być przyjacielem wielu razem o-

sób, ten praw prawdziwéj przyjaźni zachować nie potrafi.

Szczery i otwarty człowiek może dać się oszukać, lepsze to jednak, niż żeby sam zdolny był oszukiwać innych.

Często z niezgody, między dwoma zachodzącéj, trzeci korzysta.

Publiczność jest to echo, które nie zawsze rzetelnie głosowi naszemu odpowiada.

Mała jest różnica między ubogim, co nic nie ma, a skąpcem, który sobie wszystkiego ujmuje.

Junak jest nim wtedy tylko, kiedy go inni widzą.

Jakże liczni są pochlebcy na dworach Monarchów! Przyrównać ich można do owadów, przybierających na siebie kolor trawy, do któréj się przyczepiają.

Monarcha pragnący pomyślności powszechnéj, rzadko celu swego dopnie bez naruszenia prywatnych widoków, a następnie bez wzbudzenia niesprawiedliwego szemrania; lecz w tym razie powinno go pocieszyć to przekonanie, że poczciwość, która w obecnéj chwili oburza, prawie zawsze staje się wkrótce przedmiotem uwielbienia tych nawet, którzy ją potępiali.

W obcowaniu z ludźmi największą jest rzeczą, umieć okazać zręcznie swoją zdolność.

Gdybyśmy obok tylu trosk i nieszczęść, życie nasze trujących, byli nieśmiertelnymi, los nasz byłby najnieznośniejszy na ziemi. Słodko jest poniekąd rozmyślać, że nie zawsze żyć będziemy.

Na tém polega cały rozkład naszego życia, to jest: że, myślimy o tém, czém jesteśmy, czém byliśmy, i czém być chcemy.

Człowiek, który traci wysoki urząd, utraca zarazem przyjaciół. Nie on przeto miał przyjaciół, ale jego urząd.

Trzeba zawsze w nieszczęśliwym szanować człowieka, nie poniżać go, i nie jątrzyć w nim rany przez nędzę zadanéj.

Miłość ojczyzny czyni człowieka dobrym obywatelem, a dobry obywatel chwałą jest swojéj ojczyzny.

Dowcip prędko bieży, rozsądek wolnym postępuje krokiem.

Rzadko kiedy umiemy dostatecznie ocenić cnoty i talenta osób, z którymi żyjemy; zwykle po ich utracie poznajemy całą ich zasługę; wszakże wtedy tylko można zmierzyć wysokość cedru, kiedy jest ścięty.

Zwykle fortuna nie sprzyja zasłudze; piana morska wznosi się nad powierzchnią wody, a perły na dnie zostają.

Rozumni nudzą zawsze głupców, i wzajemnie sami się nudzą w ich towarzystwie.

Zwykle ludzie to ganią, czego naśladować nie są zdolni.

Są takie okoliczności, w których największa biegłość na tém zależy, żeby się biegłym nie pokazać.

Wiele osób czyta dla zabicia czasu, nie zaś dla korzystania z niego.

Niedość, że Panujący zaradzi nadużyciom przez ciąg swego panowania, powinien on jeszcze dla przyszłych klęsk przygotować środki zaradcze. Losy państwa nie są mu powierzone jedynie tylko na czas jego życia, powinien bowiem przez swe prawa i przykład po śmierci nawet w niém panować.

Głos publiczności jest sądem, od którego apellować nie można.

Chceszli z pewnością dokazać tego, żeby gaduła milczał? przestań go słuchać.

Wielki gaduła podobny jest do muzykanta, który woli zagłuszyć, niż podobać się przez wdzięczną harmonią.

Nigdzie wesołość tyle nie jest potrzebną, ile na dworach Monarchów, a zwykle najmniéj tam znaleźć ją można.

Często lepianka wieśniaka pewniejszym jest portem przeciw nawałnościom fortuny, niż pałac najokazalszy.

List Ludwika XV. do Maryi Leszczyńskiéj.

Pani!

Wiadomość o zawarciu mojego małżeństwa, jest najmilszą, jaką mógłem otrzymać w ciągu mego panowania. Niecierpliwość, z jaką wyglądam przybycia W. K. Mci, odpowiada zupełnie temu wszystkiemu, czego się po takim związku spodziewam. Chciéj być Pani przekonaną, iż szczęście moje w jéj szczęściu będę zakładał. Rachuję niecierpliwie wszystkie chwile przybycia W. K. Mci, pragnąc z nią podzielić radość narodu, który z mojego wyboru przekona się, jak dalece jego szczęścia pragnę.

Ludwik.

Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku.

(Ze zbioru Roberta Fiedlera.)

Jabłuszko.

Wczoraj z wieczora, ranuszko, (1)
Przespała się Zosia maluszko.
Przespała,
Myślała,
Niewiedziała,
Jak jabłuszko sadzić miała.
Posadziła z wieczora,
O północy się przyjęło,
A nadedniem zakwitało;
Czerwieniuszkie jabłka miało,
Po jednéj stronie czerwone,
Po drugiéj pięknie zielone. —
Zawiéj ty wiatrku z daleczka,
Urwiéj jabłka z wierzchołeczka,

(1) wcześnie.

Urwiéjże jedno, albo dwie; (2)
Jedno méj miłéj, drugie mnie. —
Woźnico! zaprząż konie wrone,
Powieź to jabłuszko czerwone,
Powieź je czemprędzéj przez pole,
Złóż je u méj miłéj na stole.
A powiédz jéj téż: „dobry dzień! (3)
Stawię się do niéj za tydzień,
Albo już rychléj za dwa dni,
Jeno ty mi nie zbledniéj!“

U méj matuszki w ogrodzie
Stoi ta lipeczka przy wodzie;
A Zośka pod nią siadała,
Ona tak rzewnie płakała.
Przyszedł tam do niéj miluszki
W pięknéj sukience modrzuszkiéj,
A jéj się pytał: „cóż płaczesz?
Czy cię biła matka, czy ojciec?“ —
„Jakoż mnie matka bić miała,
Gdy ja jéj ani nieznała;
Bo moja matka dawno śpią,
O mojéj krzywdzie nie wiedzą.
Bo kieby oni wiedzieli,
Toby rzewnie téż płakali.
Niemam siostry, niemam brata,
Szedł na wojnę już trzy lata,
Ja się tu muszę potyrać
I wszystkie kąty wycierać.“

(2) forma dualis, jak np. dwie lecie, dwie słowie, zamiast: dwa lata, dwa słowa i t. p., co w Dolnym Szląsku często słyszeć się zdarzy.

(3) W Dolnym Szląsku pozdrawiają pospolicie: „Szczęść Boże! Boże wam pomagaj! Pomoże Bóg!“ Na co odpowiedź: „Panie Boże wam daj zdrowie! Boże wam daj szczęście!“ albo: „Witaj, witajcie!“

Wiadomości literackie.

W Warszawie u Gustawa Senewalda 1846 roku wyszły:

„Niezapominajki,“ powieści moralne dla dzieci przez M. K. Monikowską, z dwiema rycinami.

Powieści te ułożyła autorka w ten sposób, iż zastósowawszy się do wieku tych, dla których pisze, trafi zapewne do ich przekonania, tak, iż dzieci zabawi, zajmie i nauczy. Styl prosty i łatwy, język poprawny.

№137.

Z Galicyi.

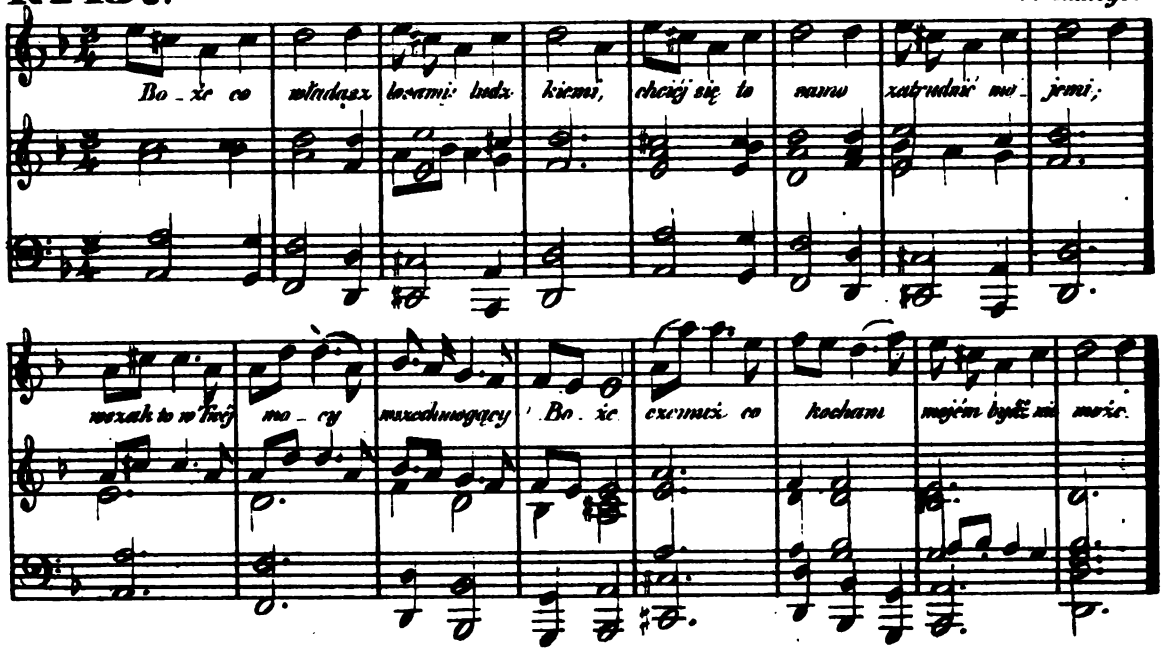

Text do *Nru. 137.*

1. Boże co władasz losami ludzkiemi!
Chciéj się to samo zatrudnić mojemi;
Wszak to w twéj mocy wszechmogący Boże,
Czemuż co kocham mojém być nie może?
2. Wszechmocny Boże czemuś nie przeszkodził,
Gdym się miał kochać, nimem się narodził?
Zabić się nie mam prawa ani siły,
Wszechmocny Boże, skróć mój wiek niemiły!!
3. Sen mnie opuścił, ona go zabrała,
Jak gdyby mało dnia całego miała;
Sen, to jedyne przepomnienia ziele
Dla nieszczęśliwych, którzy cierpią wiele.
4. Ona w podróży wszędzie za mną goni,
Przed nią Diason w liściu się nie schroni,
Płynie po rzece, ze mną na koń wsiada,
Ze mną się bawi, ze mną cień jéj gada.
5. W kościele Mekki, tam na końcu ziemi,
Gdzie Bóg przebywa z synami ludzkiemi,
Daleki pielgrzym łzami grób oblewa,
A mnie ma miła modlitwą przerywa.
6. Wielki Kalifo przyjm ofiarę moję,
Albo weź życie, o które nie stoję,
Albo mi pozwól niech przed miłą klęczę,
Może ją moją nędzą nie odstręczę.

(*Wacł. z Oleska*, str. 300.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 12. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 21. Marca 1846.

Konstanty Ostrogski. — Kilka słów o krytyce. — Grzegorz Girard. — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Ocalony rękopis. — Drugi śpiewnik domowy. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Konstanty Ostrogski oskarża przed Zygmuntem I. Jana Tarnowskiego.

Konstanty Ostrogski oskarza przed Zygmuntem I. Jana Tarnowskiego.

Jan Tarnowski, Kasztelan krakowski, Hetman W. koronny, należy do najznakomitszych mężów i największych wodzów wieku Zygmuntowskiego. Urodził się 1488 r., umarł 1561 r. Przychylny Zygmuntowi Augustowi, wspierał go zawsze rozsądnémi radami. Jako wojownik odznaczył się wielu czynami rycerskiemi, lecz przedewszystkiem zasłynął świetném zwycięstwem pod Obertynem 1530 r., gdzie Piotra, Wojewodę wołoskiego, mającego 22,000 wojska, czterema tysiącami zupełnie pobił i z Pokucia wygnał. Chęć wydoskonalenia się w sztuce wojennéj, żądza nareszcie sławy zawiodła go w młodości do obcych i oddalonych krajów, z których wróciwszy do ojczyzny, znalazł w niéj znaczne pole do popisania się swojém męstwem. Obraz powyższy wystawia scenę z tych czasów. Właśnie wtenczas wiodła Polska wojnę z Moskwą, w któréj przyszło do walnéj bitwy pod Orszą r. 1514. Tam gdy wojsko pod wodzą Konstantego Ostrogskiego miało bitwę zaczynać, młodzieniec nasz ubrany we zbroję i szyszak z piórami po hiszpańsku, wyjechał na harc, wyzywając którego z nieprzyjaciół sam na sam na pojedynek. Uraził się Hetman Ostrogski, że to bez wiedzy jego uczynił i przed Zygmuntem oskarzył. Bronił się Tarnowski, mówiąc: „Wyjechałem na harc, bym doświadczył męstwa nieprzyjaciela i swoich do sławy pobudził, nie narażałem na sztych wojsk królewskich, własne tylko życie na niebezpieczeństwo podałem.“ Na to Książę Ostrogski: „Wiedz, że w Polsce nie po Luzytańsku trzeba wojować; ani rozumiéj, aby Moskale byli Maurami; inszy szyk i karność w Luzytanii, a inny w Polsce.“ Gdy mąż ten umarł w Tarnowie, tak wielki smutek w Polsce panował, iż panny tańców przestały.

Kilka słów o krytyce.

Jeżeli wieków było potrzeba, aby nasz naród, chociaż w historyi swojéj świetne ma czasy, doszedł do uznania siebie samego; jeżeli dochodząc do tego w 16tém stuleciu ucieszył się tylko na chwilę czarującą zorzą, którą w krótce najciemniejsze chmury obskurantyzmu Jezuickiego pokryć i zagasić miały; jeżeli nareście i tę przebył zaporę, i po wielu walkach i najdotkliwszych klęskach dopiero na gruzach dawnego bytu nabył téj dojrzałości, iż w łono swoje z wszelką oględnością i dzielnością zajrzał, aby odrzuciwszy wszelką zgniliznę, rdzeń narodu dotąd zdrowy zachować i rozwinąć: natenczas ciesząc się, żeśmy po smutnych i cierpkich doświadczeniach w szkole nieszczęścia i prześladowania wyćwiczeni i wzmocnieni na stopniu dojrzałego męża stanęli, powinniśmy z największym zapałem, z poświęceniem wszelkiéj prywaty, do tego jedynie zmierzać, abyśmy ten gościniec, do najchlubniejszéj samodzielności narodu prowadzący, każdy stósownie do swych sił coraz bardziéj torowali. Jakoż ktokolwiek postępując z narodem, osądza z miłością jego rozwijanie, zaprzeczyć zapewne nie może, iż większość rodaków przejmuje się szczerze obowiązkiem, który obecność na nich wkłada. Lecz chociaż powiedziałem, żeśmy na stopniu dojrzałości męża stanęli, nie wyrzekłem jeszcze przez to, że się objawiła w czynach jéj godnych, w czynach ją urzeczywistniających; pokazuje się raczéj w swém pierwszém objawieniu, w kształcie ducha teoretycznego, który szuka dla siebie rzeczywistości. Nie dziw więc, gdy w naszych czasach tyle sprzeczności spostrzegamy. Tam, gdzie nowe życie powstaje, gdzie się budzi na gruzach przeszłości, gdzie każdy krok wywołuje wspomnienia dusze rozdzierające, tam musi się zrodzić walka bezwzględna na wszystko, cokolwiek jéj stawia przeszkodę, tam wreście obok prawdy liczne fałsze wkradać się będą. Taki jest stan naszego życia, a w szczególności W. ks. Poznańskiego. Ślachetne cele są cechą większości; w nich więc utwierdzać się i utrzymać, jest najświętszą powinnością każdego, komu Opatrzność środki do tego podała. Jeżeli w tym duchu działać będziemy, sprowadzimy nie jednego z manowcy, na których się, mimo wiedzy i woli błąkał, a wskazując każdemu drogę godną narodowości naszéj, godną ludzkości, utrzymamy działania nasze w jedności, któréj brak nam dotąd niewypowiedziane zgotował szkody. Ta dążność powinna być wątkiem całego naszego życia domowego i publicznego, powinna nam towarzyszyć od kolebki do śmierci. Wielkie, nawet największe, ale mogą być razem najmilsze i najroskoszniejsze, biorą na się obowiązki wszyscy, którzy wpływają na wychowanie i wykształcenie; od ich wypełnienia zależy cała przyszłość narodu. Lecz tego szczęścia nie dozna druga połowa narodu, która wychowana w dawnych błędach i przesądach, występując dziś czynnie w świecie politycznym obok najlepszéj chęci okropnie grzeszyć może. Dla nas więc musi być inna szkoła, któraby nasze błędy prostowała, któraby nie dozwoliła, iżby nasz zapał marniał, a nawet szkodził; tą szkołą może być tylko krytyka.

Krytyka może być albo najdzielniejszą dźwignią duchowości w życiu społeczném i naukowém, albo jéj przygnębieniem i zabiciem. Zkąd pochodzą te sprzeczności? Oto z fałszywego pojęcia stanowiska, z jakiego się krytyka na pojawy ducha zapatrywać powinna. Duch jest wolny i jako taki tylko wtenczas należycie rozwinąć się może, jeżeli w tym przymiocie nie doznaje uszczerbku. Ponieważ jednak z codziennego doświadczenia wiemy, iż jego rozwój ró-

wnie zbawienne jak zgubne przynosi owoce, wynika ztąd konieczność, iż, jeżeli dobro ludzkości mamy na celu, sprzeciwiać się powinniśmy wszelkiemi siłami rozwijaniu ducha, skoro zboczył z prawéj drogi. Ograniczamy więc wolność jego, ale ograniczenie to tylko wtenczas pożądany odniesie skutek, gdy natury ducha nie naruszymy; dokażemy zaś tego w ten sposób, iż tamując jego bieg, pomysłów naszych mu nie narzucimy, lecz budząc w nim wyższą wolność, wolność polegającą na oswobodzeniu z wszelkiéj namiętności, jedném słowem, z wszelkiéj ziemskości, dobrowolnie zmusimy go do przyjęcia naszego stanowiska; czyli innemi słowy: dokażemy tego, jeżeli krytykując rzecz, pokażemy oraz, że subjektywność osoby, przeciw któréj występujemy, jest dla nas świętą. Przeciwnie, jeżeli wystąpimy jako druga władza, która nie szanując ducha indywidualnego, każdemu despotycznie swe prawa narzuca, zamiast naprawienia wywołamy reakcyą, która się zwykle czepi ostateczności. Tak pozostanie okropny przedział pomiędzy nami a przeciwnikami, i zamiast przysługi wyrządzimy ludzkości tém większą szkodę, ponieważ prawdziwy postęp opóźniamy.

Niestety, krytyka polska nie stoi na tym stopniu; brak umiejętnego rozbioru wszędzie jest widoczny. Niech się pokaże u nas ważniejsze dzieło, a z pewnością rzadko znajdziemy artykuł w pismach peryodycznych, lub broszurę, któraby sobie tę pracę zadała, przejrzeć dokładnie pomysły tego płodu, aby na téj drodze pójść w pomoc czytelnikom, którzy może nie są w stanie ocenić ich zalet lub zdrożności; zwykle kilka ogólników, kilka słów szumnych stanowi wyrok śmierci lub chwały autora. Lecz zdarza się czasem, iż krytycy nie unikają mozołów, aby się nad płodem jakim dłużéj i głębiéj zastanowili; ale wtenczas biada autorowi, bo go z pewnością nie minie, iż jego kosztem krytyk się spanoszy. Nie pomnąc, iż sobie założył rozebrać dzieło, które się światu ukazało, puszcza jego treść; przeczytawszy na tytule nazwisko autora, jakby zelektryzowany idzie z nim w zapasy, budząc w sobie wszelkie namiętności, które dawniejsze lub obecne stósunki spowodowały. Wtenczas nicując wszystko, niszczy bez różnicy i dobre i złe, a gdy nareście wyczerpnął swą jednostronność, gdy wyniosłszy się nad wszystkich, autorowi dał niemylne nauki, na poparcie swéj nagany przebiega życie autora i kończy rzecz całą kilku niepochlebnemi obrazami, choćby o nich tylko cień był prawdy. Nie dawno temu czytaliśmy takie krytyki, krytyki, które nie tylko początkujących pisarzy szarpały, ale nawet najgenialniejszych autorów, jak n. p. A. Mickiewicza, oczerniały. Czas wielki, abyśmy w sądach o rzeczy zapomnieli o osobistościach, jeżeli nie chcemy ściągnąć na siebie słusznego zarzutu, że stanowiska naukowego wcale ocenić nie potrafimy. Skoro dójdziemy do téj dojrzałości, iż na każdą rzecz tak się zapatrywać będziemy, jak jéj natura wymaga, bez względu na wszelkie okoliczności podrzędne, zyskamy na tém jak najwięcéj, bo wspólne zaufanie, a w sądach publicznie wyrzeczonych uważać będziemy sąd sprawiedliwości.

X. Grzegorz Girard.

Mąż ten, który się urodził 16. Grudnia 1765 roku, wstąpiwszy do zakonu Franciszkanów, został professorem filozofii tegoż zakonu w Fryburgu szwajcarskim; późniéj przełożonym tamtejszéj szkoły francuskiéj. Światło nauk wyniosłszy go na wysokie godności, zjednało mu szacunek powszechny. Jako członek głównéj rady oświecenia brał wielki udział w sprawach, które w ostatnich latach zaciętą walkę wywołały; długo staczał bój z stronnictwem jezuickiém, lecz w końcu ustąpić musiał. Męża tego poznał osobiście ziomek nasz w podróży swojéj do Szwajcaryi i znalazł w nim człowieka godnego jak rzadko. Jako literat odznaczył się następującémi pracami:

1. „De l'enseignement régulier de la langue maternelle dans les écoles et les familles, par le P. Grégoire Girard, ancien Préfet de l'école française de Fribourg en Suisse, Professeur de philosophie au Couvent des R. P. Cordeliers de la mème ville. Ouvrage couronné par l'académie française. — Douxième édition. Paris, Dezobry, E. Magdeleine et Cie, lib. Éditeur, rue des Maçons Sorbonne, 1844.“
2. „Cours éducatif de langue maternelle à l'usage des Écoles et des Familles, par Grégoire Girard, Cordelier, ancien Préfet de l'école française de Fribourg en Suisse, membre Correspondant de l'institut de France (Acad. des scien. morales et polit.) Chevalier de la Légion d'Honneur. — Premiére Partie. Tome I. Syntaxe de la Proposition. Paris, Dezobry etc. etc. 1845. — Premiére Partie. Tome II. Conjugaison par Propositions et Vocabulaire. Paris, 1845.“

Ostatnie dzieło składać się podobno będzie z 5ciu tomów.

Kléchdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Kowal i diabeł.

Jeden kowal żył poczciwie z pracy rąk swoich, i dość znaczny mająteczek sobie uskładał,

chociaż za drobne roboty nic nie żądał, i słowem: „Bóg zapłać,“ chętnie się kontentował. Miał on zwyczaj, że sam nigdy nie jadł, tylko wspólnie z jakim ubogim, i wtenczas tylko zwykł jadać, kiedy się ubogi do domu jego trafił. Jednego razu trafiło się, że przez trzy dni nie przyszedł ubogi, kowal już trzy dni pościł. Czwartego dnia, gdy mu się już bardzo jeść zachciało, wyszedł sam przed wieś, chcąc jakiego żebraka zobaczyć, któregoby do siebie na obiad mógł zaprosić. Napotkawszy przede wsią dziadka, prosił go do siebie; po obiedzie prosił, aby dziadek został na wieczerzy; dziadek nie dał się nękać; po wieczerzy prosił go znów kowal na jutro, i tak aż do dnia trzeciego u siebie trzymał. Dziadek podziękował i przed odejściem rzekł kowalowi: „Stołek, na którym ja u ciebie siedziałem, bę„dzie mieć tę własność, że ten, któremu każesz, „tak długo na nim siedzieć musi, pókąd mu „wstać nie pozwolisz. Daję ci też moją torbę, „i ta ci będzie pomocną, bo na kogo ją wło„żysz, będzie on jak w kajdanach okuty. Kto„by zaś dotknął się téj jabłoni w twoim ogro„dzie, z któréj mi parę jabłek na drogę dałeś, „będzie musiał przy niéj stać tak długo, aż „mu odejść każesz. Wiedz przytém, żem jest „Jezus, któregoś miał gościem u siebie.“

Kowal cieszył się niewymownie z tego wszystkiego, i mówił sobie: „Teraz, kiedy już i „Pan Jezus u mnie gościł, pewny jestem, że „mnie niebo minąć nie może.“ Odtąd coraz mniéj począł pracować, myśląc, że mu majątku do śmierci wystarczy; nie trudniąc się pracą, zaczął się z początku pokrzepiać trunkiem, i wnet został pijanicą. Gdy już całą swoją fortunkę był utracił i miał się bardzo biednie, chodził z rozpaczy często po lesie. Jednego razu w lesie przychodzi do niego myśliwy i mówi: „Jak widzę, bardzoś jest smutny, cóż za przyczyna twojego smutku?“ Kowal wyznał przed nim, że przez zaniedbanie rzemiosła w taką wpadł nędzę.

Myśliwiec rzekł: „To ja temu mogę zaradzić, wieleżby ci potrzeba, abyś mógł przyjść znów do dawnego stanu?“ Kowal odpowiedział: „Czterysta talarów.“ „Dobrze,“ rzecze myśliwiec, „lecz musisz mi dać na to cyrograf, za rok przyjdę po moją należytość.“ Kowal się podpisał i wziął pieniądze, lubo miarkował, że myśliwiec diabłem być musi.

Jeżeli przedtém pił dobrze kowal, to teraz dwa razy lepiéj; i myślał sobie: że byle tylko innego złego nie robił, to pewno nie chybi nieba.

Za rok przyszedł myśliwiec, kowala nie było w domu, żona mówi: „Pewnie w karczmie bawi.“ Poszedł tam wierzyciel i przypomina słowo cyrografu. „Tak jest,“ mówi kowal, „chodźmy! ale sobie wypraszam urwać w ogrodzie moim na drogę kilka jabłek;“ djabeł przyzwolił. Gdy przyszli pod jabłoń, kazał mu kowal wnijść na nią, i urwać kilka jabłek, diabeł wlazł, ale żadną miarą zleźć nie mógł. Siedział dzień, drugi i trzeci, siedział do miesiąca; wtedy kowal idzie do niego i mówi: „A ty co ta robisz? schódź.“ „Nie mogę,“ mówi diabeł; i dopiero kiedy kowal począł go kropić wodą święconą, diabeł czmychnął. Niedługo znowu u kowala była wielka bieda; poszedł więc do lasu jak dawniéj, myśliwiec spotyka go i mówi: „Tuś to! pewnie ci znowu pieniędzy potrzeba?“ i pożyczył mu jeszcze dwieście talarów na rok. Kowal chulał sobie, rok prędko przeminął; a diabeł znowu zawitał do jego domu. Kowala jak zwykle w domu nie było, bo w karczmie siedział, poszedł więc tam do niego i rzekł: „Pamiętasz słowo cyrografu?“ Kowal odpowiedział: „Dobrze! pójdziemy, lecz muszę jeszcze wprzód wieczerzę zjeść.“ Jadł i posadził diabła na stołku przy sobie. Po wieczerzy diabeł ze stołka wstać nie może. Siedział jeden tydzień i drugi, dopókąd go kowal święconą wodą nie wykropił. Nie długo znowu kowal powędrował do lasu, myśliwiec spotkał go i teraz, i rzekł do niego: „Pewnie ci jeszcze pieniędzy trzeba?“ „A jużci nie inaczéj,“ odpowiedział kowal. Myśliwiec na to: „No, jużeś mnie po dwa razy uwiódł, tą razą pożyczę ci tylko pięćdziesiąt talarów.“ „Zgoda!“ mówi kowal, „dawaj.“ „Oto masz, ale pamiętaj, że tylko na pół roku.“

Gdy termin minął, przyszedł diabeł; kowal mówi do niego: „Trzeba sobie wziąć co na drogę;“ i napakowawszy torbę, włożył ją na myśliwca, mówiąc: „Poniesiesz ty, boś ty młodszy i silniejszy odemnie.“

Gdy już przed sień wyszli, rzekł kowal: „Poczekajno chwilkę, jeszcze coś zapomniałem;“ diabeł stoi, i stoi, a z miejsca się ruszyć nie może. Kowal kazał czeladnikom, aby go rozpalonemi szynami wypędzili, ale to nic nie pomogło; i dopiero jak go kazał na ognisko wrzucić i ogień święconą wodą kropić, wydarł się diabeł bokiem i torbę zostawił.

Nie długo potém kowal zachorował i umarł. Przed śmiercią kazał sobie włożyć do trumny młot i flaszkę gorzałki. Udał się do nieba, wziąwszy z sobą młot i gorzałkę. Gdy przyszedł i zapukał do bramy, Pan Jezus mówi: „Piotrze! otwórz, a patrz kto tam jest.“ Gdy Piotr wrócił, donosi Panu Jezusowi, że to ów kowal, u którego na ziemi Jezus był w gościnie; a Pan Jezus rzekł: „Nie znam go, źle użył darów moich, wzgardził mną, i diabłu się zaprzedał; niech idzie do piekła!“ Kowal powędrował do piekła; przychodzi do bramy, a tam właśnie wtenczas był na straży ów diabeł, który mu pieniędzy pożyczał; ujrzawszy tedy kowala z młotem i flaszą, myślał, iż go będzie tłuc i kropić święconą wodą. Kiedy nie drapnie, kiedy nie zacznie krzyczeć, aż drugie szatany na bok poczęły zmykać. Lucyper py-

X. *Grzegorz Girard.*

ta, co to za hałas? a kowal k'niemu uderzył, tak, że go Lucyper wypędzić kazał. Poszedł powtórnie kowal do nieba; Pan Jezus odprawił go jak pierwszy raz z niczem; daléj on znowu do piekła, lecz tak je znowu przestraszył, że go powtórnie ztamtąd wypędzono. Powrócił jeszcze trzeci raz do nieba, ale go Pan Jezus na zawsze ztamtąd temi słowy odprawił: „Zapisałeś się trzy razy piekłu, i użyłeś na „złe darów moich, aby piekło oszukać; tym „więc postępkiem zagładziłeś wszystkie twoje „dobre uczynki. Kto darów Bożych na złe u„żywa, takim na ziemi i źli i dobrzy jednako „się brzydzą; takiego po śmierci i niebo i pie„kło odpycha; ty jednak wiecznie w piekle „idź mieszkać.“

IX.

Szklarz.

Jeden ubogi szklarz chodził często do sąsiada swego pożyczać na szkło pieniędzy. Sprzykrzyło się to sąsiadowi, i jednego razu na dobre mu się wymówił; szklarz jednak prosił go tak długo, aż przecież kilka złotych wykołatał. (*) Poszedł on zaraz do miasta, gdzie właśnie był jarmark, i kupił sobie szkła. Powracając do domu, wypadło mu przechodzić w gęstym lesie miejsce bagniste, a że był bardzo znużony, bo dzień był parny, radby sobie był w tém miejscu odpocząć. Upatrując miej-

(*) Wykołatać, znaczy: wypukać; zdaje się, że autor miał tu na pamięci słowa Chrystusa: „Kołaccie, a będzie wam otworzono.“

sca, gdzieby mógł usiąść, ujrzał pniak dosyć wysoki i szeroki, i rzekł do siebie: „Tu będzie miejsce wygodne.“ Wsparł więc na nim skrzynkę, którą miał na plecach; a tu brzęk! skrzynka spadła! obejrzy się, szkło na drobne kawałki potrzaskane, a pieniek gdzieś się podział. Poczyna więc płakać, i gorzko narzekać temi słowy: „O miły Boże! cóż ja te„raz poczne, cóż będę biedny człowiek robił? „Z czegoż ja teraz sąsiadowi mojemu pożyczo„ne pieniądze oddam? lub jak będę mógł rze„miosło moje daléj prowadzić?“ Wśród tych lamentów nadchodzi myśliwy i pyta o przyczynę frasunku; szklarz opowiada mu cały swój przypadek i swój stan biedny. Myśliwiec rzekł mu na to: „Wiesz co? ja ci pomogę. Nie masz to już żadnych pieniędzy przy sobie?“ „Nie mam ani grosza,“ odpowiada szklarz. „No! „to masz parę groszy, wróć się do miasta i kup „tam powróz, tymczasem stanę ja się tucznym „wołem; ty weźmiesz mnie na powróz i po„wiedziesz na jarmark do miasta; pienią„dze, co za mnie weźmiesz, będą twoje, i „i tak się z biedy wyratujesz. O resztę ci się „starać nie trzeba; nie radbym, jednak abyś „mnie Chrześcianinowi sprzedał; jeżeliby się „przeto ksiądz lub pan jaki o mnie targował, „to mnie cen sto talarów; żydowi zaś możesz „mnie o połowę taniéj spuścić. Wiedz téż, że „ci to tylko dla tego czynię, żeś po szkodzie „swéj nie zaklął ani razu, ni téż diabła nie „wspomniałeś; bo gdybyś to był uczynił, ina„czéj z tobą byłbym się obszedł.“

Szklarz poszedł po powróz, a gdy się wrócił; już go ogromny tłusty wół czekał. Wziął go tedy na powróz, i wiódł do miasta. Spotykali go niektórzy znajomi, i dziwili się wołowi, dumając sobie: zkąd ów biedak takiego pięknego wołu mógł dostać? Niektórzy nawet z ciekawości wrócili się i szli za nim. W mieście garnął się lud w koło niego, dziwując się ogromnemu wołowi. Było zaraz kupców dosyć: ale sto talarów zdało się każdemu za wiele. Nareszcie kupili go Żydzi za pięćdziesiąt talarów, i wiedli żaraz do rzezalni zabić na koszer. Szklarz tymczasem poszedł nakupić szkła, i z resztą pieniędzy wrócił do domu; a wołu ledwo co Żydzi zarznąć dali, aliści zrobił się zaraz szum wielki i zerwał dach z szopy, gdzie wół leżał. Wół zaś w smole się rozpłynął, tak, że z niego, prócz brzydkiego zaduchu, nic nie zostało.

X.

Młynarz i trzej synowie.

Jeden młynarz miał trzech synów, najmłodszy był głupi; dwaj starsi mieli go sobie za błazna i różne z niego żarty stroili. Jednego razu rzekli do niego: „Pójdziemy księdzu u„kraść wieprza, a ty tymczasem będziesz z ko„stnicy wyrzucał kości.“ Głupi robił przez całą noc co mu kazano. Dodnia idzie organista dzwonić, i słyszy, że w kostnicy coś bawi, a ujrzawszy, że z niéj kości wyrzuca, bieży do księdza, by mu o tém donieść. Ksiądz już od dawna miał jakiś ból w nogach, niemógł więc chodzić, i musiało go czterech parobków w krześle na drążkach do kościoła nosić. Zaopatrzywszy się więc w świętości, kazał się im i teraz na cmentarz zanieść. Organista szedł przy nim, niosąc kropidło i kociołek z święconą wodą.

Gdy księdza na smętarz wnieśli, wyjrzał głupi z kostnicy, i zawołał głośno: „Nieście go tu, dajcie go sam.“ Parobcy przelękli się, postawili krzesło z księdzem, i uciekli; organista za nimi. Ksiądz widząc, że nie przelewki, zebrał się na nogi i uciekł do plebanii; a od tego czasu nie potrzebował już, aby go do kościoła noszono.

Gdy głupi wrócił do domu, bracia pytali go się, czy się nie bał stracha w kostnicy? on im na to: „A co to jest strach? pójdę ja go szukać po świecie.“ Poszedł; i gdziekolwiek przybył, pytał się o stracha. Przyszedłszy do jednego dworu, dowiedział się: że dziedzic téj wsi w bocznym tylko przy zamku mieszka dworcu, bo przed strachami nikt w zamku wytrwać nie może. „Oj! to ja spróbuję, czy tam nie wytrwam,“ rzekł głupi, i prosił bardzo, aby o tém panu donieśli. Pan odradzał mu, lecz on prosił koniecznie, by w zamku mógł nocować. Dano mu więc światła tyle, by mu przez noc nie brakło, i zaprowadzono do zamku. Około godziny jedenastéj, stał się w całym zamku wielki hałas, i wkrótce potém wpadła kominem ćwierć ciała ludzkiego, wpadła i druga, a na ostatku i tułów. Po tém przyszli diabli, znieśli te części ciała na kupę, które się zaraz zrosło i poczęło się ruszać. Oprawcy zaczęli ostrzyć noże, brzytwy i inne narzędzia, gdy głupi wstawszy, dźwignął umarłego z ziemi i posadził przy piecu; a po chwili mówiąc do niego: „Ale pfe! ty śmierdzisz;“ dał mu od lewéj ku prawéj stronie tęgi policzek. Diabli zobaczywszy to, natychmiast uciekli, a umarły powstał i rzekł do niego: „Tyś mnie wy„bawił, pokutowałem w tym zamku za nie„sprawiedliwie nabyte skarby, i miałem poku„tować aż dotąd, pókąd mnie ręka ludzka za „to nie ukarze.“ To powiedziawszy, wziął głupiego i prowadził do piwnicy; ztąd niżéj do drugiéj, i tak aż do trzeciéj; tam pokazał mu skarby schowane; polecił, co z nich miał dać ubogim, co kościołom; a resztę kazał mu dla siebie zatrzymać. Głupi tak zrobił, jak mu umarły kazał, i został mądrym; a w zamku odtąd więcéj nie pokutowało.

Ocalony rękopis.

Zakąty wszystkich klasztorów, a mianowicie ich biblioteki, pełne są rzadkich rękopismów i starodawnych pamiątek. Ręka profanów niszczy nieumiejętnie te szacowne zabytki. Szkoda, że niema teraz wielu w Polsce Czackich, Ossolińskich, którzyby z rąk nieświadomych pamiątki ocalali. Temu samemu losowi uległby i rękopis, z którego tu wyjątki przytoczymy, gdyby go staranność J. S. nie ocaliła, który w obowiązkach swych zbliżony do wielu klasztorów krakowskich, ma sposobność wspomniane pamiątki od wandalizmu ochraniać.

I.

Wyiątki z rękopisu, odnoszącego się do czasów panowania Augusta II. i Stanisława Leszczyńskiego. (*)

(Rytm na nótę: *Straszliwego Maiestatu* etc.)

Straszliwego Maiestatu Panie,
Co się daléy z Stanisławem stanie;
Dałeś Instynkt w dzień Obrania,
Że iest godzien panowania,
Wkrótce potém z Polski żalem
Umknąć musiał przed Moskalem
Do Fortecy.

Poszedł za Nim ten Tyran okrutny,
W Ludziach, bombach, attakach rozrzutny,
Żeby dopiął swéy imprezy,
Niedbał na woienne spezy,
Chcąc wziąść Pana niewinnego
Jak Amana wierutnego
W swoie kluby.

Z żalem wspomnieć Gdańskie pożegnanie,
Wziął z Rybakiem biednym porównanie,
Idzie pieszo w pruskie strony,
Szukaiąc Boskiéy Obrony;
O iak wielkim przeszedł cudem
Wszystkie Warty między Ludem
Szturmuiącym.

Stotysięczne wykrzyknęły głosy
Stanisława Wiwat pod Niebiosy.
Piianica w Karczmie wadzi,
Sasa wrzaskiem w Tron prowadzi.
Ach czopowy potentacie,
Coś narobił, to po Kacie
W Polsce naszéy.

O móy Boże! Sędzio sprawiedliwy!
Stłum praw Łamców przez Dekret straszliwy.
Wiem, Marya Monarchini
Za Polaków się przyczyni,
By Wolności nie tracili,
Sasa z Moskalem pobili.
Spraw Marya!

(*) Pisownia zachowana z rękopisu.

II.

Gracze europeyscy po śmierci Króla Jmci Augusta Wtórego.

Król Stanisław. (1)
Gram.

Francya.
Gracko dopomogę.

Elektor saski.
Będę grał w kontr.

Panowie polscy.
Graycie wy w kupca, my będziem w chapankę. (*)

Dom Wiśniowieckich i Lubomirskich.
Będziemy grać w Russa. (2)

Stanisław na elekcyi.
Na mnie chapanka, iuż zchapałem.

Partya Augustowska.
Życzymy ażard.

Carowa Jéymć. (3)
Życzę i niezawiodę.

Elektor saski. (4)
Teraz hazarduję.

Poniatowski.
Taką rzeczą idę i ia w Remis.

Stanisław do Polaków.
JMPanowie, iak teraz zadamy?

Poniatowski. (5)
Miłościwy Panie, uchodźmy z lepszą.

Wojewoda Podolski. (6)
Graycie, iak chcecie, idę ia z lepszą na koniec.

Król August.
Już teraz gram choć o Kraków.

Chorąży koronny. (7)
Jak marnię w wielką wpadłem płatkę.

(*) Kupiec i chapanka, gra, zobacz Gołembiowskiego: „Gry i zabawy."

(1) Leszczyński.
(2) Partya rossyjska sprzyjająca Elekcyi saskiéj.
(3) Aczkolwiek od Piotra Wielkiego Carowie tytuł Imperatorów przybrali, przecież Rzeczpospolita im dopiero z Sejmem konwokacyjnym za Augusta IV. przyznała.
(4) Król August III.
(5) Poniatowski, ojciec Króla Stanisława Augusta.
(6) Wojewoda podolski, August Czartoryski.
(7) Chorąży koronny.

Gdańsk. (8)
Bronię ia tego Króla.
Carowa do Menicha.
Lepszą choć ostatnią.
Menich.
Ja tę biię.
Poniatowski do Stanisława.
Miłościwy Panie, znowu ia mówię, uchodźmy z lepszą.
Król Stanisław.
Jużem ia uszedł.
Panowie polscy.
Ale my uyść nie możemy.
Gdańsk.
Zdaie się, idę w płatkę.
Monty. (9)
Nie pozwalam.

(8) Wiadomo, że Gdańsk najdłużéj bronił Stanisława Leszczyńskiego przeciwko Augustowi III.
(9) Monty, Poseł francuski, z Stanisławem Leszczyńskim trzymający.

Menich do Montego.
Areszt iużem wygrał.
Król August.
Wygrałem, mam dwie pierwsze.
Król Stanisław.
Przegrałem, mam trzy ostatnie.

Więcéj szanownéj redakcyi przesłać nie omieszkam.
Kraków. *Kaźmierz K.*

Wiadomości literackie.
W Wilnie, w litografii Klukowskiego, wyszedł:
„Drugi śpiewnik domowy, muzyka wokalna z towarzyszeniem fortepianu," ułożył S. Moniuszko.
W Bibliotece warszawskiéj z miesiąca Lutego r. 1846. w zeszycie LXII. znajdujemy recenzyą téj pracy, która ją w ogóle pochwala. Autor wyraża się na początku w ten sposób: „Nowy ten poszyt śpiewów utwierdził nas w mniemaniu powziętém o autorze przy pierwszym. (Bibl. warsz. tom IV. 1844 roku). Wolności wrodzone i nauka są niezaprzeczone."

№ 138.

Od Miechowa.

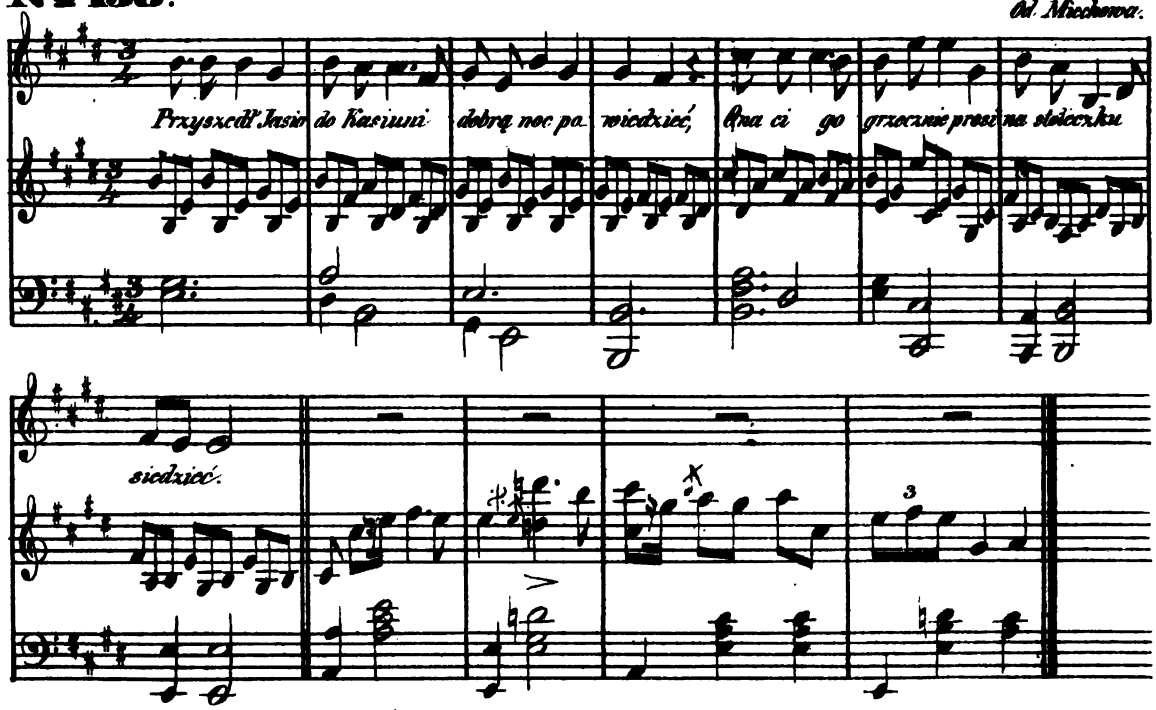

Text do *№ 138.*

Przyszedł Jasio do Kasiuni dobrą noc powiedzieć,
Ona ci go grzecznie prosi na stoleczku siedzieć.
Zawołała na służącą: „Podaj mi pończoszki,
A ty Jasiu, serce moje, zatrzymaj się troszki;"
„Moja Kasiu nie mam czasu, muszę w podróż śpieszyć,
Pozwólże mi, serce moje, z tobą się ucieszyć;"
„A jakiéj ty, mój Jasiuniu, chcesz ze mną uciechy,
Będziem sobie dla zabawy gryść włoskie orzechy."
„Niechcę ci ja, moja Kasiu, podarunku twego,
Bywaj zdrowa! dla mnie serce, orzech dla innego."
(*Wojcicki*, P. 1. T. I., str. 160.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 13. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 28. Marca 1846.

Grób św. Jadwigi w Trzebnicy. — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Memoryał dotyczący wstępu na tron i panowania Jana III., Króla szwedzkiego, i jego żony Katarzyny Jagiellonki, rodziców Zygmunta III., Króla polskiego i szwedzkiego. — Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Święta Jadwiga otoczona swą świętą familią.

Grób św. Jadwigi w Trzebnicy.

Przejeżdżając z Wrocławia do W. Polski, zwiedziłem grób naszéj świętéj Patronki w Trzebnicy. Miejsce to dla każdego Polaka szczególny ma urok, mianowicie jeśli ma wiarę w silne przyczynienie téj Świętéj za naszym narodem. Piękny klasztór cysterski jéj fundacyi, skasowany przed laty trzydziestu kilku, przerobiono na fabrykę; wielki kościół zaledwie ma trzech księży; jednakże lud polski jeszcze czasami odwiedza grób téj Świętéj naszéj księżnéj. Oglądałem główne ciekawości, t. j. piękny grobowiec w kościele, tudzież w piwnicy pod kościołem owę studnię, co była powodem téj fundacyi. Razu bowiem pewnego książę Henryk Brodaty, mąż Jadwigi, goniąc dzikiego zwierza, zapadł się wraz z koniem, i widząc, że żadna ludzka pomoc wydobyć go nie może, ślubował, że w tém miejscu przybytek boski wystawi. Tam więc obcembrowano zrazu studnię, a nad nią piękny kościół wystawiono. Do obecnéj chwili pobożny wędrowiec czerpie z wody, przypominając nam źródło w Poczajowie i sadzawkę na Skałce, w któréj chorzy zbolałe oczy przemywają.

Święta Jadwiga miała 18 Świętych i Błogosławionych między swymi krewnymi, pomiędzy którymi szczególniéj znane: Ś. Salomea i Ś. Kunegunda.

*

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Brat ubogi i brat chciwy.

W jednéj wsi mieszkało dwóch braci rodzonych, jeden był bogaty, drugi ubogi. Bogaty byłby może czasem ugęszczał do ubogiego, gdyby mu żona złośliwa nie była przeszkadzała. I dla tego siedm lat mijało, jak pierwszy u drugiego nogą nie postał. Jednego razu pojechał ubogi łączką po drzewo do lasu; żona dała mu pół bochenka chleba i pół gomołki sera na drogę; dla biednych dzieci ledwo garść mąki zostało. Gdy już drewka na taczkę nałożył i przywiązał, usiadł sobie, chcąc się posilić owym chlebem i serem. Ledwie jeść zaczął, a tu nadszedł ku niemu nie wielki chłopek w czarnéj sukmance i rzekł do niego: „Niech Bóg błogosławi na spół!“ Ubogi odpowiedział: „Proszę z sobą.“ I natychmiast rozdzieliwszy chleb i ser na poły, dał jednę połowę nieznajomemu; ten jadł z apetytem, i zjadłszy rzekł: „Za to, coś mnie posilił, możesz sobie trzy rzeczy u mnie wyprosić; co chcesz, to ci się stanie; tylko najlepszego nie zapomnij.“ Ubogi odpowiedział: „Kiedyć tak ma być, to powiem życzenia moje. Oto mam sąsiadę zwadliwą; ta, co może, na złość mi robi; ledwo się dzieci moje na dwór pokażą, zaraz je klnie, goni i bije; radbym tedy najprzód, żeby zemną w zgodzie żyła.“ — „Będzie to,“ rzekł mały chłopek; „sąsiada twoja dziś jeszcze do ciebie przyjdzie w gościnę.“ — „Po drugie,“ rzekł ubogi, „mam brata, który już siedm lat u mnie nie był; radbym, żeby się zemną pogodził.“ — „Stanie się tak, jak sobie życzysz;“ rzekł znów chłopek mały; „brat twój dziś wieczór u ciebie będzie. Cóż chcesz mieć na trzecie?“ — „Ha! przed kilku laty miałem ile mi było potrzeba, teraz na górze mam skrzynię srogą, (*) ale pustą; przedtém w niéj zawsze pełno bywało zboża, dziś, gdyby można, radbym, żeby było w niéj pełno dukatów.“ — „I to mieć będziesz wprzód, niźli do domu wrócisz.“ To rzekłszy chłopek w czarnéj sukni, zniknął.

Ubogi przyjechał przed swój domek. Żona wyszła do niego, chcąc mu pomódz drzewo z taczki znosić. Mąż mówi do niéj: „Pewnie „się chce dzieciom i tobie jeść, a i ja zjadłbym „co, wleźno na górę, weź ze skrzyni garść du„katów, zmień w karczmie, nakup chleba, bu„łek, mięsa i dobrego trunku, a przygotuj wie„czerzą.“ — Żona stoi jak wryta, i nie wie co na to odpowiedzieć; mąż mówi: „Uczyń jako powiadam;“ — ona zaś na to: „Ale czyś głupi, i zkądżeby się tam dukaty wzięły? a dyć tam ani złamanego grosza niemasz!“ — Mąż koniecznie obstawał, aby poszła: poszła więc, i z wielkiém zdumieniem wzięła jednę, drugą i trzecią garść złota, radując się niezmiernie z takich dostatków. Wzięła potém z tego trzy dukaty, starsze dziecko i taczkę, i pojechała kupować. Dzieci zwadliwéj sąsiady widziały, jak uboga Walkowa wiozła na taczce kilka bochenków chleba, parę butelek piwa, wódkę, ćwierć mięsa wołowego, ćwierć cielęcego i t. d., pobiegły więc czém prędzéj powiedzieć matce o tém. Ta zadziwiła się wielce, i gdy się zmierzchło kazała dzieciom, aby poszły z tyłu pod okna sąsiada podsłuchiwać. Gdy Walkowa mięso nastawiła do ognia, rzekł mąż do niéj: „Idź jeno téż do brata, a pożycz od niego wiertelika, będziemy mierzyć te dukaty.“ Żona poszła, bratowa dziwiła się wielce, coby takiego mierzyć chcieli. Oni mierzyli i liczyli. „No! toż będziemy mieli czternaście wierteli dukatów,“ rzekł do niéj mąż, „a teraz odeślij przez które dziecko ten wiertelik bratu.“ — Gdy brat wiertelik odebrał, ciekawy był, co też nim było mierzone: ogląda, a tu w szparach na składaniu ujrzał, że mu się coś błysło; dobywa nożem, widzi, że dukat; puka, aż tu czternaście dukatów wyleciało. Jeszcze go wię-

(*) Słowo „srogi,“ ma u ludu naszego znaczenie: „wielki;“ mówi on naprzykład: „Srogie błoto, sroga kukiełka za grosz,“ i t. d.

ksza wzięła ciekawość, pobiegł do brata i mówi: „Jakeście mierzyli? zostało czternaście dukatów w miarze, i niosę je napowrót.“ Walek rzekł: „Zatrzymaj je mój bracie! mnie Pan Bóg opatrzył!“ „Jakto?“ pyta brat; a Walek mu całą przygodę opowiada. — Zła sąsiada niechciała dzieciom wierzyć co jéj gadały, i sama pobiegła do Walków. Walek częstował chojnie brata i sąsiadę. Brat powróciwszy do domu, opowiada żonie co widział i słyszał; złośliwa żona mówi: „Ej to się może diabłu zapisał;“ „ale gdzie zaś,“ mówi mąż; a ona znowu: „Za kawałek chleba i séra diabeł tyle nie daje.“ — „Wiesz co,“ rzecze mąż, „pojadę ja téż jutro na to miejsce, gdzie brat był.“ — Żona dała mu wielki bochenek chleba i dwie gomołki. — Gdy już drewek na taczkę nałożył, ukazał się znowu ów chłopek w takim stroju jak mu go brat opisał i mówi: „Niech Bóg błogosławi na spół;“ bogacz rzecze: „Proszę do siebie,“ i dał mu połowę chleba i jednę gomołkę. Chłopek zjadł i rzekł: „Za to, żeś mnie pożywił, możesz sobie u mnie wyprosić trzy rzeczy, i pewien bądź, że ci się spełnią; pamiętaj tylko, byś co najlepszego nie zapomniał.“ — Bogacz nie mógł się zaraz namyślić czego ma żądać, i rzekł: „Radbym się z moją kobietą o tém rozmówić.“ — „To ci wolno,“ odpowiedział chłopek, „nie trzeba ci tu jednak z odpowiedzią wracać, gdyż co sobie z trzech rzeczy aż do zachodu słońca dziś zapragniesz, to ci się stanie.“ — Gdy bogacz do domu wrócił, opowiedział żonie, jaką miał rozmowę w lesie. — „Ej kto tam wie, czy téż to prawda? spróbujmy: chciéj, żeby nasza młoda, siwa krowa, która sobie rogi strąciła, nowych nabyła.“ — Ledwo co sobie tego życzyli, przychodzi dziewka z obory i powiada im, że siwuli piękne białe rogi urosły. — Pobiegli do obory, a tu w saméj rzeczy tak było. — Żona mówi znowu: „Ale czy téż to te rogi mocno siedzą?“ chwyci jeden, zaczyna kręcić, aż jéj zaraz w ręku został. — Mąż rozgniewany rzecze: „Ledwo urosł, a jużeś go ukręciła; żeby ci ten róg do głowy przyrosł,“ i zaraz się tak stało; wyciągają, odrywają! ale na próżno; cała wieś zbiegła się na to dziwo, jednak nikt rady, ani sposobu nie wiedział. — Słońce się już zniżało ku zachodowi, mąż mówi smutnie: „Dwie rzeczy się już spełniły, ja tylko jeszcze jeden sposób wiem na to, nim słońce zajdzie.“ — Nalegają na niego krewni żony, aby tego sposobu użył, aż on z gniewem rzekł: „Niechaj ten róg odpadnie,“ i zaraz się tak stało; lecz mąż z wielkiego żalu, że z przyczyny ciekawości żony stracił skarb duży, którego za jedno słowo mógł zostać Panem; poszedł i obwiesił się. Zona zobaczywszy to, poszła i z rozpaczy utopiła się w najgłębszéj studni w podwórzu.

XII.

Zły brat.

W jednéj małéj mieścinie żyli dwaj bracia; starszy był majętny, młodszy bardzo ubogi. Biedak chodził do bogatego prosić często o to, lub owo. Gdy razu jednego będąc w potrzebie przyszedł do niego, bogacz rzekł do żony: „Już mi téż zmierzło zawsze coś dawać; jabym go nie zbogacił, a siebie bym zniszczył; ale wiem co zrobię, wyżgam mu oczy, może sobie po żebrze chodzić.“ Żona nie rzekła nic na to, a on zawoławszy brata do komory, kazał mu usiąść i oznajmił mu swoją wolę. Brat prosił go się bardzo, aby tego nie czynił, ale bogacz niedbając na prośby, zgnął go szydłem w jedno i drugie oko, i tak ubogiego oślepił. Nieszczęśliwy brat prosił okrutnika, by go przynajmniéj pod krzyż na rozstajne drogi zaprowadził, zkądby mógł przechodzących o jałmużnę prosić. Bogacz zaprowadził go pod szubienicę, gdzie cztery słupy z wierzchu belkami związane stały. Ociemniały wołał, prosił, ale nikt nie nadszedł w tę stronę, nikt go nie usłyszał. Noc nadeszła, a on nie wiedział, gdzie się znajduje. W miasteczku, z którego go brat wyprowadził, zegar jedenastą godzinę wybił; wtém przyleciało trzech czartów przemienionych w kruki, i usiadłszy sobie na szubienicy, taką rozmowę z sobą mieli: Jeden mówi: „W pobliskiéj wiosce żona wieśniaka dziś zległa; moglibyśmy tam co dokazać; jéj dziewka ma zwyczaj, że gdy wieczerzę na stół zastawi, zamiast zawołać familii, to porzuciwszy łyżki na stole odchodzi, w ten czas kichnie położnica, i żaden jéj słyszeć nie będzie, żeby rzekł: *Boże ci daj zdrowie!* wtedy my przyciesi dźwigniemy, i porwiemy chorą.“ Drugi rzecze: „Wiecie, że o trzy mile ztąd w mieście, gdzie daleko po wodę jeździć muszą, wykopali górnicy na rynku głęboką studnią, a jednak wody niemogąc się dokopać, przestali roboty; gdyby jednak jeszcze ćwierć łokcia kamień przebili, wytrysłoby tyle wody, że się wierzchem studni wylewać będzie i całe miasto zaleje, ale jeżli kto do pierwszego lepszego domu wbiegnie, porwie ztamtąd pierzynę i studnią nakryje, to woda utęchnie i tyle jéj tylko w studni będzie, ile potrzeba.“ Trzeci znów prawi: „Pani w Paprocinach, od siedmiu lat chorująca, już wkrótce naszą będzie; mąż jéj cały prawie majątek na lekarzy stracił, ale jéj nikt nie pomoże, bo tego żaden nie wie, że ona hostyą wypluła, i że żaba, która ją połknęła, siedzi w jéj izbie pod wielką szafą; chcąc tedy chorą do zdrowia przyprowadzić, trzeba żabę rozciąć, hostyą z niéj wydobyć, obmyć, i choréj dać pożyć.“ Wiem ci ja więcéj, rzekł pierwszy: „Oto nie dawno spostrzegłem, że tu pod szubienicą rośnie takie ziele, że gdyby ślepy, choćby z urodzenia, oczy sobie

niém potarł, toby sobie zaraz wzrok przywrócił.“ Wtém zegar godzinę dwunastą uderzył, i owe trzy kruki wnet odleciały. Ślepy począł macać po słupach, i przekonał się, że leżał pod szubienicą; daléj począł znowu macać po trawie, urwał jedno ziółko, drugie, i trzecie, aż wreszcie trafiwszy na to, co wzrok przywraca, gdy niém potarł oczy, poczęło mu w nich błyszczeć, aż daléj co raz bardziéj robiło mu się jaśniéj, nakoniec przejrzał zupełnie. Wtedy gdy już świtać zaczęło, szedł na Bóg zdarz i dopytywał się do wioski i do domu owéj położnicy, o któréj krucy sobie radzili. Już się zmierzchało, gdy tam przyszedł i o nocleg gospodarza prosił. „Tu byście bardzo zły nocleg mieli,“ odpowiada mu gospodarz, „żona moja w połogu, dziecko całą noc niespokojne, lepiéj żebyście poszli do sąsiada, on niema małych dzieci.“ „Wolę ja u was choćby pod ławą leżeć,“ rzekł biedny, i usiadł blisko łóżka, czuwał ciągle; a gdy dziewka wedle zwyczaju łyżki na stół rzuciwszy odeszła i położnica kichnęła, rzekł do niéj: *Boże wam daj zdrowie!* Wtedy zaszumiało, jakby wicher wielki powstał, i obrazki wszystkie ze ścian spadły, bo już diabli w ten czas przyciesie domu byli podnieśli. Gospodarz i wszyscy domownicy przelękli się bardzo, i dopiero biedny ślepy całą rzecz opowiedział, a gospodarz nie tylko sowicie go obdarzył, ale i do miasta, gdzie studnię robiono, odwieźć kazał. Ogłosił on tam zaraz, żeby się podjął wody w tém mieście dostać. Mówiono mu, że tam już nie tacy majstrowie pracowali, a dokazać tego nie mogli; on jednak nie dał się odstraszyć i żądał potrzebnych narzędzi. Nim go w głębią puszczono, zastrzegł sobie: aby gdy zawoła, lub da znak, zaraz go na wierzch wyciągniono. Ledwo tam przez godzinę kopał, a już otwarły się poniki (*), wołał więc by go wyciągniono; i gdy go do góry wydobyto, woda wierzchem studni poczęła się dobywać; on poskoczył po pierzynę do pierwszego domu, nakrył studnią, i woda utęchła. Rząd miasta zapłacił mu dobrze za tę usługę. Kupił on sobie zaraz bryczkę i parę koni i prędko jechał do Paprocin. Przybywszy tam, zgłosił się, żeby chciał Panią ozdrowić. Mąż mówi: „Zapłacęc ile będę w stanie, czyń tylko co możesz.“ Przychodzień kazał szafę ogromną na bok usunąć, rozciął szkaradną żabę mieczem, dobył z niéj hostyą i opłókawszy, dał ją pożyć wyschłéj i ledwie już dychającéj Jéjmości. Za kilka godzin już cokolwiek posiłku przyjęła, i siedzieć mogła; drugiego dnia już się w pokoju przechodziła; trzeciego już na dwór wyszła. Mąż zapłacił sowicie cudownemu lekarzowi, który też spiesznie do swoich wrócił. Gdy go zobaczył brat i żona, wielce się mu dziwowali, a on rzekł: „Chciałeś mi bracie złe wyrządzić, a mnie to na dobre wyszło; tak i tak mi się powodziło. Brat zazdrościł mu bardzo tego szczęścia, i raz mówi do niego: „Wiesz ty co, braciszku! zrób mi ty też tak, jak ja tobie zrobiłem, i zaprowadź mnie pod szubienicę.“ Brat niechciał tego żadnym sposobem zrobić, ale bogacz koniecznie prosił, i spoczynku mu nie dał. Niemogąc się tedy wymówić, zrobił tak jak on chciał i zaprowadził go pod szubienicę. Siedział tam, aż godzina jedenasta wybiła. Przyleciały znów trzy kruki, i nuż rozprawiać co słychać? Pierwszy mówi: „Źle, położnicę nam wydarli; w mieście wody dostali; a Pani w Paprocinach wyzdrowiała; trzeba patrzyć, ażali nas też tu kto nie podsłuchuje.“ Zleciał na dół, i wnet woła: „Przybywajcie! mamy tu tego szpaka.“ Kruki zleciawszy, żywo bogacza rozszarpały. Taką odebrał zapłatę, za nieczułość i chciwość swoję, brat wyrodny i chciwy.

(*) Ponik, znaczy źródło.

Memoryał dotyczący wstępu na tron i panowania Jana III., Króla szwedzkiego, i jego żony Katarzyny Jagiellonki, rodziców Zygmunta III., Króla polskiego i szwedzkiego.

Ciekawy ten memoryał, pisany w języku francuskim, a przetłumaczony przez autora Listów o Szwecyi, któreśmy w piśmie naszém w Nrze 7. wspomnieli, zawiera w sobie tyle objaśnień co do charakteru Katarzyny Jagiellonki, iż przez to razem usposobienie Zygmunta III. wytłumaczyć sobie możemy. Dla tego umieszczamy wiadomość tę w całkowitości.

„Król Eryk nie zaniechał ogłosić brata swojego Jana Vice-Królem, Namiestnikiem i Rządzcą Szwedów i Gottów. Przyzwał go na dwór, przyjął uprzejmie, i rozkazał swoim poddanym, ażeby go słuchali we wszystkiém, jak jego samego.

„Roztropny i mądry Książę, znając dobrze chimery, charakter i niedołężności Króla, brata swojego, ulegał nareszcie rozkazom, przyjmując ten wielki i trudny obowiązek. A kiedy mu przedstawił z czułością, że długi pobyt w więzieniu pozbawił go nie tylko sług wiernych, ale nawet dawnych znajomości i stósunków, jakie miał na dworze, i prosił usilnie J. K. M., ażeby mu naznaczył wiernych doradzców i godnego pomocnika, na którymby mógł bezpiecznie polegać, i któryby był świetnym widzem i towarzyszem jego czynności i postępowania, Eryk, widząc słuszną jego prośbę, przeznaczył mu Pontusa de la Gardie, szlachcica, Francuza rodem, którego mocno lubił dla jego rozsądku i waleczności, i tyle mu zaufał, iż używał go do rad swoich we wszystkich sprawach wysokiéj i wielkiéj wagi.

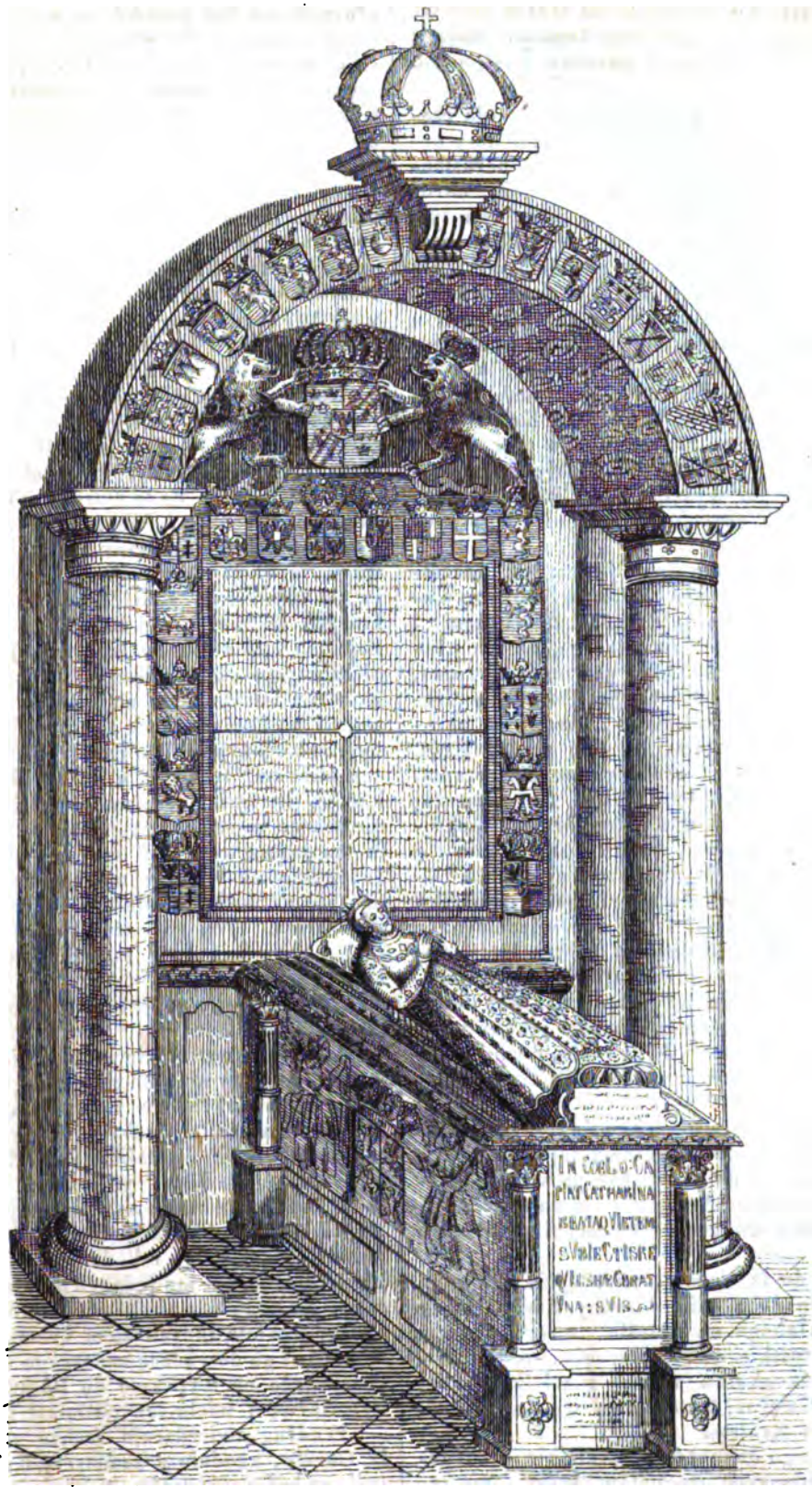

Nadgrobek Katarzyny Jagiellonki w Upsali.

„*Rozmowa Pana de la Gardie.*

„Pontus de la Gardie dnia jednego ośmielił się zbliżyć do Księżnéj Katarzyny i tak przemówił:

„— Pani! dwór cały zdumiewa się, dla czego wasz małżonek nie ma litości nad tém nędznem królestwem, gdzie wszyscy są bezustannie krzywdzeni, obrażani zuchwałością, okrucieństwem i tyranią Króla brata jego. On tylko może najłatwiéj temu zaradzić. Upewniam was, że wszystkie klassy w narodzie zwracają na niego oczy, aby mu, jeżeli zechce, włożyć koronę na głowę. On tyle na to zasługuje, o ile tamten barbarzyniec nie godzien jest w oczach całego świata. Jeżeli Pan mój, a wasz małżonek, zechce, łatwo może zostać władcą tego kraju, i w miejscu Wielkiego Księcia być Królem; a wtenczas bez wątpienia potrafi uniknąć śmierci, albo wiecznego więzienia, z którego on i ty Pani wyszliście jak przez cud jaki, w chwili, kiedyście się najmniéj tego spodziewali.

„— Wiém i upewniony jestem od Naczelników, że sześć tysięcy Szkotów, utrzymywanych przez Eryka na żołdzie, są zniechęceni, i pragną tylko zmienić Pana dla tego, że ich płaca nie dochodzi. Zkądinąd pewną jest rzeczą, że Książęta Magnus i Karol, jego bracia, z pierwszymi magnatami królestwa, bardzo są obrażeni, i cierpią nad tém, że tak wielki Król, jak brat ich, zaślubił córkę prostego sierzanta, nikczemnego stanu. Pani więc nie opuszczaj pomyślnéj zręczności dla dobra kraju, spokojności ludu i prowincyi, i dla pomszczenia się twojego drogiego małżonka i twojego domu.“ —

„Katarzyna słuchała téj rozmowy z wielką uwagą i cierpliwością, i tak odpowiedziała:

„— Pontus!... słyszałam dobrze twoje rady, które są bardzo sprawiedliwe i pochlebne, ale nazbyt trudne do wypełnienia. Mój dobry przyjacielu! jeżeli masz dla nas jakąkolwiek przychylność i szacunek, bądź roztropnym i skrytym. Pomówię o tém w sposób właściwy z moim Panem i mężem.“ —

„Nigdy de la Gardie nie mógł znaleźć stósowniejszéj pory do uczynienia téj propozycyi, jak wówczas, kiedy wszystkie prowincye królestwa były w zawichrzeniu i rozmaitego o tém zdania, z powodu zapalczywości i szaleństwa Eryka.

„Pontus de la Gardie, widząc, że wszystko skłaniało się do upadku i zguby Eryka, który widocznie słabnąc na umyśle, utracił rozum, zwrócił wszystkie swoje starania, ażeby doprowadzić do skutku wierną i wielkiéj wagi radę, daną Księżnéj Katarzynie, w celu ogłoszenia jéj męża Królem.

„Ażeby tego dokonać, upewnił się o skłonnościach pierwszych magnatów, którzy, nie radzi będąc wszyscy z Eryka i jego okrutnych rządów, byli gotowi do wypowiedzenia mu posłuszeństwa; co przyspieszając, przyciągnął na swoję stronę półki Szkotów i inne cudzoziemskie żołdactwo, rade zwykle odmieniać Panów; wyprowadził w pole trzysta koni z małym zasiłkiem pieniędzy, które Baron Sten Ericson chętnie mu pożyczył, ażeby przyspieszyć koniec tego ważnego przedsięwzięcia; poczém zawiadomił Wielkiego Księcia Jana o wszystkiém, czém mu niemało usłużył. Przezorny i śmiały Książę, dowiedziawszy się o pomyślnych nowinach, jako Rządca królestwa zajął i opanował z bardzo małym oddziałem wojska warownię Westerwijk, a w niéj skład zapasów wojennych i skarb koronny; wnet kazał bić monetę z mnóstwa sztab złotych i srébrnych, tam znalezionych, i témi pieniędzmi przyspieszył nowe powstanie w szeregach najemnych Niemców i Szkotów. Jan wszedł do Stokholmu przez bramę północną, którą obywatele otworzyli dla Pontusa de la Gardie. Wszędzie wołano po szwedzku: *Niech żyje Król Jan!*

„Eryk, nie straciwszy zupełnie dawnéj odwagi, wybiegł naprzeciw nim, rozkazując swoim po kilka razy zabić dwóch tych zdrajców, których widział przed sobą (tak nazywał Sten Ericsona i Pontusa de la Gardie). Jeden żołnierz z jego straży uderzył końcem halabardy Ericsona i trupem go na miejscu położył; inni natarli na Pontusa, lecz ten lepiéj był od Ericsona uzbrojonym. Waleczny i szlachetny Francuz otrzymał trzy cięcia halabardne w pancerz i jedno w ramie; lecz mało zważając na rany, nie tracąc męstwa, natarł tak silnie na Eryka, iż ten zmuszonym był schronić się do kościoła, gdzie na wieczór zniewolonym został oddać się na łaskę Wielkiego Księcia Jana, swojego brata. Ten go odesłał pod surową strażą jako więźnia do Westerâhs, gdzie życia dokonał.

„Takim to sposobem Jan opanował królestwo i t. d.“

Niektórzy autorowie powiadają, że Katarzyna, gorliwa obrońcielka religii katolickiéj, wszelkiego dokładała starania u Króla Jana, swojego małżonka, ażeby ją w Szwecyi na nowo zaprowadzić i ustalić; i że Król, ulegając jéj łzom i prośbom, powierzył to Pontusowi de la Gardie, jednemu z swoich najwierniejszych sług i ulubieńców, będącemu wówczas jeszcze Katolikiem, i który tak dalece potrafił ująć sobie Króla, iż dał mu jednę z naturalnych swych córek za żonę z majątkami i baroniami Calme, Colke, i wiele innych ziem i zamków, a nawet mianował go dowódzcą znacznego wojska, przeznaczonego na wyprawę do Rossyi, gdzie zdobył Narwę i wiele innych miast i fortec.

Według twierdzenia tychże pisarzów, de la Gardie, zgodnie z zamiarem Króla i Królowéj, radził rozpocząć w tym względzie układy z Papieżem, porozumieć się z Zygmuntem Królem polskim, postępując wszakże z wielką prze-

zornością w téj nader ważnéj sprawie, aby nic niewłaściwego nie popełnić.

Jan i Katarzyna, dzieląc jego zdanie, wyprawili go w poselstwie do Rzymu, w celu przełożenia Papieżowi tych tajemniczych i trudnych do ziszczenia przedsięwzięć. Jakoż udawszy się do stolicy apostolskiéj, działał zgodnie z włożonym na siebie obowiązkiem i danemi poleceniami.

Kiedy de la Gardie przebywał na dworze rzymskim, Grzegorz XIII. tyle uczynił za pomocą i wdaniem się Anny Jagiellonki, Królowéj polskiéj, żony Króla Stefana Batorego, a siostry Katarzyny, iż wysłał potajemnie kilka księży i Jezuitów do Szwecyi, dla osadzenia ich w prowincyach tego królestwa.

Lecz jeden z najpóźniejszych autorów zapewnia, że Król Jan, Królowa Katarzyna i syn ich Książę Zygmunt, tém mniéj lubieni byli przez Szwedów, że nie dozwalali im, jako nowym Luteranom i gorliwym swéj religii wyznawcom, szemrzeć przeciwko Królowéj za to, iż wysłała Pontusa de la Gardie do Rzymu do Papieża. To nie mało przyczyniło obawy Magnusowi i wszystkim możniejszym Panom; gdyż jeżeliby Król, brat ich, uznał władzę Rzymu, w takim razie zmuszeni byliby zwrócić ogromne dobra kościelne, jakie Król Gustaw, ich ojciec, i Król Eryk, nadali im w nagrodę zasług.

Arcy-Biskup, Biskupi, Proboszczowie i Plebani luterscy, wszyscy będąc żonatymi, lękali się, żeby nie pozbawiono ich żon i dzieci, których kochali z wrodzoną czułością i przywiązaniem; także, aby nie uznano ich potomstwa za nieprawe. Bojaźń ta tak dalece była posunioną, iż stan świecki i duchowny zaczął nalegać na Króla, ażeby odwołał swojego Posła z Rzymu.

Prawda, że Królowa Katarzyna, pojmując dobrze powody ich jawnego oporu, chciała temu zaradzić, dając im poznać w ogóle i każdemu pojedyńczo, że Król, jéj małżonek, wyjednał u Papieża wolność zostawienia Biskupów i Księży żonatych przy prelaturach i obowiązkach do ostatnich dni ich życia, i że miejsca wakujące po ich śmierci będą na przyszłość rozdawane tylko Kapłanom bezżennym; ci zaś, którzy wstąpili w małżeńskie związki, będą mogli żyć spokojnie i bez prześladowania na łonie swoich rodzin; że Panowie i szlachta także będą mogli władać podług swéj woli duchownemi dobrami, jakie im były nadane przy zmianie religii i przyjęciu reformy Lutra. Lecz co ich najbardziéj niepokoiło, jako dotknięcie głównéj zasady ich wyznania, to prośba do Papieża o pozwolenie ludowi szwedzkiemu dwojaką przyjmować kommunię.

Ale wszystkie te starania nie zdołały przekonać nawet najłatwowierniejszych; gdyż wiadomo było z pewnością, że nie tak łatwo to zezwolenie u Papieża i zgromadzenia Kardynałów mógł wyjednać Pontus de la Gardie, który przez długi czas miał tę nadzieję. Lecz w tych rokowaniach i w czasie pobytu Pontusa w Rzymie, Katarzyna umarła 1583 roku, a z nią i wszystkie jéj zamiary z dymem uleciały.“

Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

Koło mego okieneczka
Rosła pięknie jabłoneczka;
Któż mi będzie jabłka rywał,
Gdy się miły na mnie gniewał! —
Choć złorzeczy mi on w gniewie,
On nie gniewa się prawdziwie!

Wyjadę w poleczko,
Moja kochaneczko!
Już cię Bogu oddam,
I ludziom poruczę,
Bo ja się, ma miła,
Do ciebie nie wrócę!
Nadobna, miluszka,
Rwała wiśnie w sadku,
Już dawno się spodziała
Takiego upadku.
Do izbedki wlazła,
Jak chusteczka zbladła,
Od wielkiego żalu,
Już trzy dni nie jadła.
Sięgła do skrzyneczki,
Wzięła dwie chusteczki,
I dałać mu jednę
Złotem wyszywaną;
Oto masz kochanku,
Nic nie wie matka tu.
Choć i matka nie wiedzą,
Ale ludzie wiedzą,
Niepodarmo dwoje
Podle siebie siedzą.
Nadobny, miluszki,
Szedł z koszyczkiem za nią,
Za małą godzinkę
Uczynił ją panią.

Text do *Nru. 139.*

1. A kiedy myśliwy cały dzień poluje,
A gdy nic nie znajdzie, mocno się frasuje:
Cóż to jest, rzecze, o Boże!
Bym był bez zwierzyny, to być nie może.
2. Rzecze: gońcie pieski, po kniejach szukajcie,
A jak co znajdziecie, to mi odgłos dajcie.
Z ochotą pieski szukają,
Nie darmo po kniejach nadszczekiwają.
3. Rzuci się myśliwy na przesmyczą stronę,
Aż znalazł dziewczynę na trawie uśpioną;
Cieszy się, budzić żałuje;
Aby snu nie przerwał, to obserwuje.

(*Wacl. z Oleska*, P. I. g., str. 63.)

NB. Na tęż samą nótę śpiewają znaną pieśń w Płockiém:

„A kiedy odjeżdżasz bywaj zdrów,
O naszéj przyjaźni dobrze mów,“ etc.

№139.

x. Małopolski.

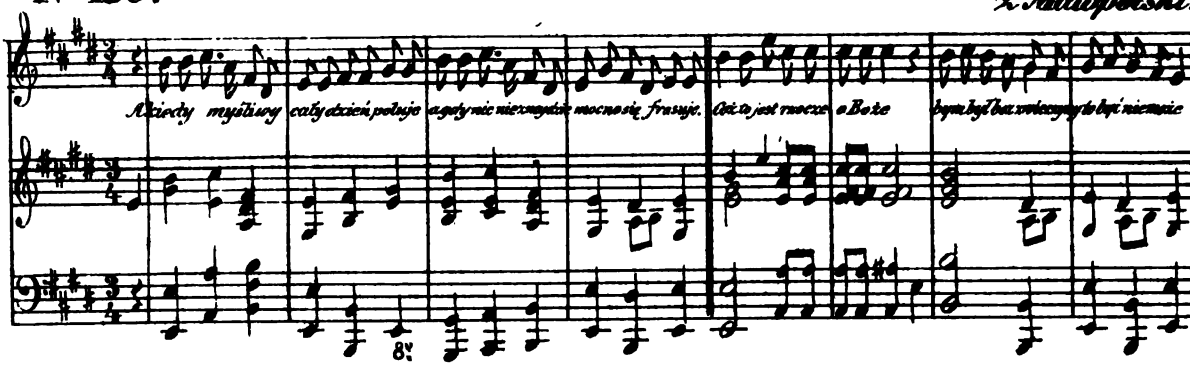

№140.

KRAKOWIAK.

od Skawiny.

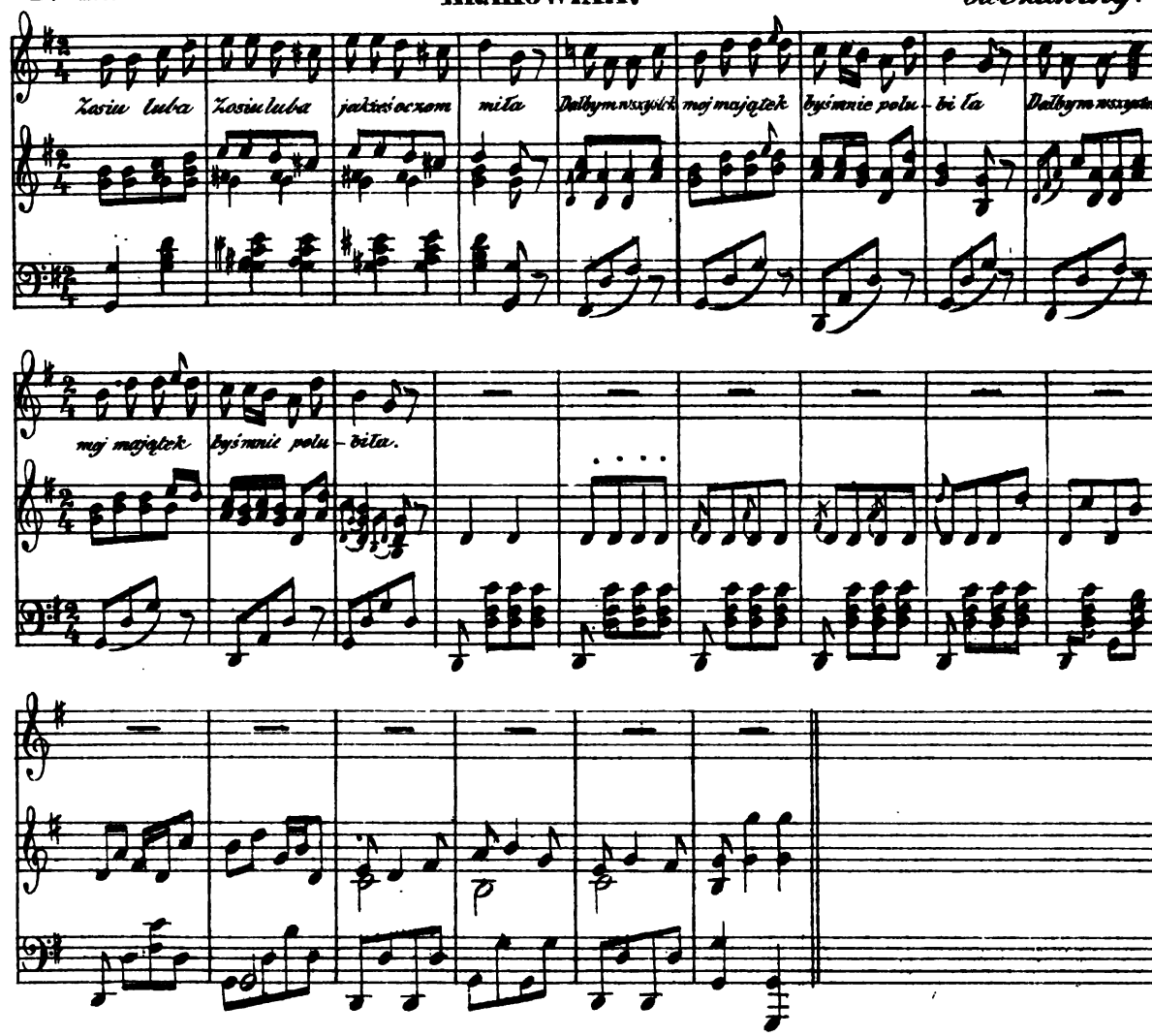

Text do *Nru.* 140.

Zosiu luba, Zosiu luba! jakżeś oczom miła,
Dałbym wszystek mój majątek, byś mnie polubiła.

Straciłem już swoją wolę i tyle tysięcy,
Wszak w twych oczach większa siła i brylantów więcej.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. Szymański.)

Nr. 14. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 4. Kwietnia 1846.

Kaźmierz Brodziński. — Mina diamentowa Sincura w Brazylii. — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

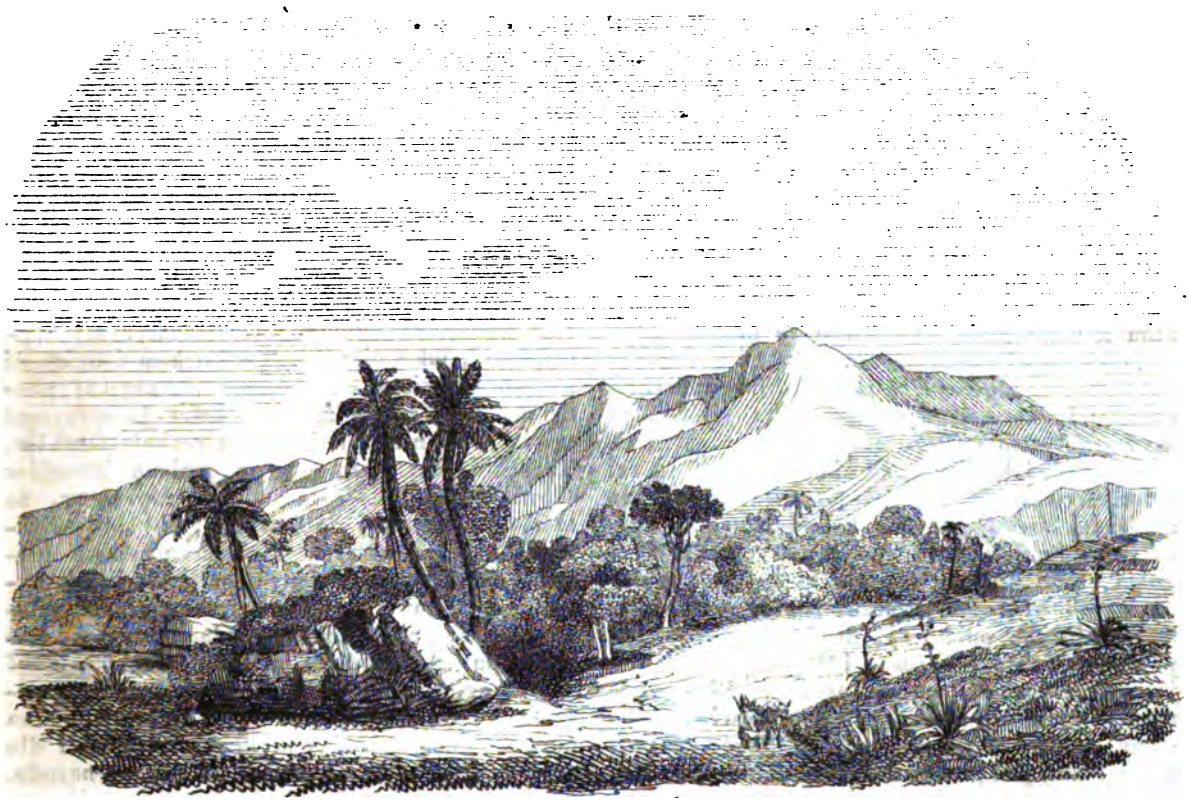

Góry Sincura.

Kaźmierz Brodziński.

Kaźmierz Brodziński, rodem z Galicyi, pomnożył sławę swéj rodziméj ziemi, która już tyle znakomitych poetów wydała. Urodził się 1791 r. w Królówce. Smutnie przepędził wiek dziecinny, a jeszcze smutniéj młodzieńczy; tysiączne przeszkody stawały mu na zawadzie.

Cudem prawdziwie nazwać to można, że doszedł do swego celu. Lecz Opatrzność nie opuszcza ludzi ze szczerą chęcią; dowodem tego życie Brodzińskiego. Sam opisał swój wiek młody p. t.: *Wspomnienia mojéj młodości;* w nich znajdujemy wiele tkliwych scen, które warto poznać, lecz że Wspomnienia te już w dwóch czasopismach, t. j. w Przeglądzie Naukowym, a z niego w Orędowniku zostały umieszczone, odsyłamy do nich naszych czytelników, sami zaś zastanowimy się więcéj nad dalszém jego życiem. W roku 1809. wstąpił wraz z bratem Jędrzejem do wojska Księstwa warszawskiego i podzielał trudy wyprawy z r. 1812. i 13.; lecz gdy ta nieszczęśliwie wypadła, straciwszy wszelką nadzieję, aby ojczyzna kiedy ocaloną została, usunął się z pola politycznego i odtąd żył tylko dla nauk i poezyi. Przyjąwszy obowiązki Professora literatury przy uniwersytecie warszawskim, umiał sobie zjednać szacunek i znaczenie, a gdy odstąpił od prawideł panującéj poezyi, zapatrując się na starożytną, gdy na téj posadzie chciał z pomocą sławiańskiéj utworzyć polską narodową, okrzyknięto go naczelnikiem romantyków, chociaż wprost przeciw romantyczności występował. W późniejszym czasie stracił wiele na popularności; młodzież zaczęła go odstępować, gdy widziała, po części słusznie, że płomień w nich gorejący chce przygasić. Lecz rok 1830. pojednał go z narodem. Powstanie Listopadowe wlało weń nowe życie, a tak mąż ten, który nie dawno prawił przeciw exaltacyi, zaczął w narodzie wzbudzać największy entuzyazm, aby myśl, którą powziął, albo spełnił, albo z nią wrócił na zawsze do grobu. Jego szczytne pojęcie przeznaczenia Polski godne jest wieszcza narodowego, a razem chlubę przynosi narodowi, że z jego dziejów taką myśl mógł wywieść. Oto są jego słowa:

„Niegdyś każdy naród siebie uważał za cel i środek wszystkiego, tak jak ziemię uważano za środek świata, około któréj wszystko krąży. Kopernik odkrył system świata fizycznego, i naród polski (powiem to śmiało i z dumą narodową) sam przeczuł istotny ruch świata moralnego; on uznał, że każdy naród być powinien cząstką całości i krążyć koło niéj, jak planety około swego ogniska; każdy potrzebną sporność i równowagę stanowi, i tylko ślepy egoizm tego nie widzi. Naród polski, powtarzam, jest przez natchnienie filozofem, Kopernikiem w świecie moralnym. Niezrozumiany, prześladowany, trwa w swojém; zyska wyznawców, i cierniowa korona jego zmieni się w wieniec zwycięztwa i obywatelstwa.“

Po rewolucyi pożył jeszcze kilka lat; umarł r. 1835. w Dreźnie, dokąd przybył dla poratowania nadwątlonego zdrowia. Przytomni tamże Polacy złożyli się na wystawienie mu skromnego pomnika na smętarzu w przedmieściu Friedrichsstadt.

Chcąc zasługi i znaczenie Brodzińskiego godnie ocenić, musimy się nań z dwojakiego stanowiska zapatrywać, raz jako na estetyka, drugi raz jako na poetę.

Ktokolwiek jego prace z uwagą przeczytał, z łatwością przyszedł do tego przekonania, że Brodziński nadzwyczajne posiadał wiadomości z literatury starożytnéj, jak nowszéj. Gruntownie obeznany z płodami Greków i Rzymian, potém szczególniéj Niemców i Francuzów, gdy się zapuścił w zgłębienie ojczystéj literatury, i wynieść ją chciał do tego szczytu, który duch polski z łatwością mógł osiągnąć, wydał piękne owoce swojéj pracowitości, starając się oczyścić pojęcie sztuki, a w szczególności poezyi z przesądów, że tak powiem, które w czasie jego powszechnie panowały i ten wpływ wywarły, iż poezya od prozy mało co się różniła. Zamiłowawszy nadewszystko płody starożytne, gdy się nadto przekonał, że się Polacy w wieku Zygmuntowskim może najwięcéj ze wszystkich narodów zbliżyli do ducha poezyi Greków i Rzymian, oparł na nim swoje badania, pragnąc, aby naród polski daléj uprawiał niwę, któréj starożytność zawdzięcza swą nieśmiertelność. Dla tego powstał przeciw tak nazwanéj klassycznéj polskiéj literaturze, ale niemniéj przeciw naśladownictwu Niemców i Anglików, którzy znaczny wpływ na młodych Polaków wywierać zaczęli; dla tego wreście lękał się, aby Byron nie przemówił do duszy młodzieży. Mimo to, ogłosiła go tu sama młodzież za naczelnika szkoły romantycznéj, chociaż wprost przeciw poezyi romantycznéj występował, jako niezgodnéj z duchem i dziejami narodu polskiego. Natomiast wskazywał poezyi polskiéj czyste źródło, które ją utrzymać miało w téj niewinności, jaka cechuje Greków. Tém źródłem była poezya gminna narodów słowiańskich. Zaiste nikt nie zaprzeczy, że ta myśl szczytna i dość ważna, aby imię Brodzińskiego na zawsze głośném uczyniła między estetykami polskimi; lecz jakkolwiek nadać mogła nowy i nader świetny kierunek poezyi polskiéj, nie zdołała jednak zapełnić potrzeb ducha narodowego. Brodziński usunął się od zgiełku świata, żył w krainach wymarzonych życia sielskiego, gdzie myśl swobodna panuje i namiętność pokoju nie narusza, i dla tego zapragnął takiéj saméj poezyi dla narodu. Lecz ten nie wątpił o swém ocaleniu; nie mogła więc tak spokojna muza, jaką była Brodzińskiego, wychowana i wypielęgnowana w życiu domowém, przemówić do wzburzonego ducha Polski, który pragnął wolności i niepodległości, chociaż go ścigał los przeciwny. Dla tego płonne były usiłowania występować przeciw exaltacyi, płonne obawy, aby Byron i poezya romantyczna przewagi nie wzięli. Duch

Byrona był duchem młodéj Polski, a świetność a razem i dzikość fantazyi poezyi romantycznéj, odpowiadała usposobieniu gorliwych patryotów. Dla tego swoboda poezyi klassycznéj nie mogła się z niém pojednać; jemu potrzebnym był polot orła, który znalazło w poezyi romantycznéj.

Z tém wszystkiem chociaż Brodzińskiego pojęcie poezyi jest zbyt tkliwe, opiera się jednak na prawdach niezachwianych i dla tego wielki wpływ na poezyą polską wywrzeć musiało. Zwolennicy poezyi wieku 18go zdumieli, bojąc się razem utracić swą sławę lekko nabytą; przeciwnie młodzież powitała myśli jego z największym zapałem, widząc w nich jutrzenkę wielkiego światła, które Polskę opromienić miało. Tak więc Brodziński przez oczyszczenie wyobrażeń o poezyi, przez wskazanie źródła najczystszego, przez wywołanie nareście narodowéj poezyi, słusznie stanąć może na czele tak nazwanych romantyków. Czego się lękał jego duch nieśmiały, to wykonał i uzupełnił mąż z polotem orła. Największa część jego dzieł prozaicznych składa się z rozpraw estetycznych; z nich najważniejsze są następujące: *O klassyczności i romantyczności*, tudzież *uwagi nad duchem poezyi polskiéj; Listy o literaturze polskiéj*, a potém *monografie*. Przytém zajął się zbadaniem języka ojczystego; owocem tych prac są pomniejsze rozprawy i jeden dość obszerny tom *synonimów polskich*. Tak dopełnił Brodziński jak najświetniéj powinności Professora literatury ojczystéj, a dzieła jego będą zawsze obfitém źródłem dla mężów w tym zawodzie pracujących.

Mówiliśmy dotąd o Brodzińskim jako mężu uczonym, pomówmy teraz o nim jako poecie.

Z tego, cośmy o jego pojęciu poezyi wyrzekli, łatwo sobie wystawić, jakiego wieszcza w nim spostrzeżemy. Jak życie jego było spokojném, ślachetném, swobodném, ale razem przez nieszczęścia zakłóconém, i dla tego smętném, tak w płodach jego poetycznych te same znamiona spostrzegamy. Sprzykrzywszy sobie życie polityczne, gdy w zaciszu domowém szukał wszelkiego zadowolenia, przeniósł się w mieszkania najliczniejszéj klassy narodu, ale razem najnieszczęśliwszéj. Tam znalazłszy podobne usposobienie do swego, tę samę swobodę, ślachetność i miłość kraju, obrał życie naszych wieśniaków za pole, w którém jego ideały tworzyć się miały. Szczęśliwie powiódł mu się jego zamiar i dla tego bez przesady śmiało wyrzec możemy, iż nikomu z naszych poetów nie udało się tak wiernie zidealizować chłopka polskiego. Szczytem jego utworów jest *Wieslaw*, który odważam się nazwać epopeją życia wieśniaczego, w któréj w małym obrazie odbija się cały charakter wieśniaka polskiego. Inne pomniejsze utwory tchną tym samym duchem. Jeżeli Karpiński zstąpił w swych pieśniach do życia ludu, wylewał jednak najwięcéj uczucia drobnéj ślachty, ślachty zaścianckowéj; Brodziński zeszedł jeszcze o jeden krok niżéj do samego wieśniaka. Dla tego, jeżeli kto w Polsce uczuł należycie piękność życia niewinnego, jeżeli kto umiał sobie przywłaszczyć powaby i uroki poezyi naturalnéj; przymiot ten przed wszystkimi Brodzińskiemu przypisać możemy. Ztąd tak silnie przemawiała do duszy jego poezya starożytna, ztąd z takiém zapałem zajął się poezyą ludów słowiańskich. O tyle był on więcéj Słowianinem, niż Polakiem; lecz przypatrując się jego bohatyrom wiejskim, jak szczerze Polskę pokochali, z jaką boleścią jéj klęski wspominają, przypisać musimy z drugiéj strony naszemu poecie żywioł prawdziwie narodowy, chociaż go nieugiętym patryotą nie nazwiemy. Jego charakter nie był dosyć jędrnym, i dla tego upadł pod ciężarem nieszczęść, pogrążywszy się w smutek, który się wszędzie przez poezyą jego przebija. O Brodzińskim powiedzieć możemy, iż pisze natchniony duchem starożytnym, biorąc przedmioty z życia narodowego. Lecz właśnie dla tego, ponieważ u niego największa spokojność panuje, gdy imaginacya go opuszczała, wydał razem wiele płodów, które mają wielkie podobieństwo do wierszy poprzedniego okresu.

(Dokończenie nastąpi.)

Mina diamentowa Sincura w Brazylii.

Już starożytni znali byli diament, ale nie umieli go szlifować; dopiero około roku 1475. odkrył tę sztukę Ludwik Berquem, Hollenderczyk. Szlifowanie diamentów, odbywa się za pomocą proszku diamentowego, a to w rozmaity sposób; szlifują je bowiem albo w rozetty z płaską podstawą, nad którą się wznoszą dwa rzędy trójkątnych facyat, z których sześć wierzchnich w jeden się szczyt schodzi, albo też w brylanty, które sobie jakby dwa stępione ostrokręgi, stykające się z sobą podstawami, wystawić można. Aż do wieku 18go znachodzono diamenty tylko w Indyach; w naszych czasach dostarcza Rossya z Brazylią daleko większéj ilości tychże, niż Golconda i Borneo; pomimo to, indyjskie miny zdobią jeszcze wszystkie europejskie dwory. Im to zawdzięcza Wielki Mogoł swój diament, który podług Tavernier'a ma ważyć 229 karatów, a jest oceniony na 12 milionów franków; im winien Cesarz rossyjski swego „księżyca gór," ważącego 193 karatów, a ocenionego na 7,605,000 franków; z min indyjskich nareszcie pochodzi „regent" Króla francuskiego, przeszło 3 miliony franków wartujący, który w roku 1790. od zgromadzenia prawodawczego na 12 milionów franków został oceniony. — Miny diamentowe nowego świata odkryto w pierwszych latach

Kopalnie diamentowe.

Zasłona transportu diamentowego.

18go wieku. Za złotem chodzący górnicy znaleźli przypadkowo kamyczki drobne, blask niejaki wydające; tak zaś mało na nie zważano, iż, zamiast owe kamyczki za najkosztowniejszy

płód królestwa mineralnego poczytać, odrzucono je po chwilowém ubawieniu się ich widokiem: szczególny jednak blask ich powierzchni, która, skoro na nię padały promienie słoneczne, naturalnym i żywym zajaśniała połyskiem, zwrócił na nowo uwagę górników. Po powtórném więc opatrzeniu posłano je do Lizbony, aby je tam należycie oceniono. Tutaj także nie wiedziano, z braku wiadomości, coby z niemi począć; posłano więc próby do Londynu i Amsterdamu, gdzie wkrótce odkryto, że owe kamienie wszystkie własności prawdziwych posiadają diamentów. Zaraz więc Portugalczycy szukać zaczęli owych diamentów, a to z takim skutkiem, że w 1732 r. flota z Rio-Janeiro 1,146 uncyj, czyli 163,024 karatów przywiozła do Lizbony. Po rozszerzeniu się wieści o tém odkryciu, powstały najzaciętsze spory; zaprzeczano bowiem, żeby się diamenty w Ameryce miały znajdować. Naturalnie pochodziło to tylko z samolubstwa; mnóstwo bowiem w roku 1733. na targ wywiezionych diamentów tak zniżyło ich cenę, że jeden karat już tylko luidora wartował. W Indyach wschodnich i Brazylii znajdują się diamenty w miejscach, które woda oblewa, szczególniéj w piasku rzecznym i glinie, często nawet bezpośrednio pod ziemią rodzajną. Wydobywają je, spuściwszy wodę rzeczną w osobne, do tego urządzone kanały; po wywiezieniu osiadłego szlamu zostaje piasek, w którym są diamenty; przepłukawszy go należycie, szukają potém diamentów. Dobywają je także z pewnego gatunku kamienia, *Pudding* zwanego, w którym się zamknięte znajdują; rozbiwszy takowy kamień na sztuki, płuczą go potém w wodzie i czyszczą. Ten gatunek kamienia jestto ów znany Cascalho, który obok diamentu także ziarna złota w sobie mieści. Kamień ten w czasie pogody zbierany, bywa podczas słoty przez Negrów płukanym; Negrowie, pomimo największéj przezorności dozorców, wiele jednak diamentów skradają, prowadząc niemi bardzo znaczną kontrabandę. — Największy diament, który dotychczas w Brazylii znaleziono, jest własnością Królowéj portugalskiéj; waży on 120 karatów.

W Rossyi został pierwszy diament 29. Czerwca 1829 roku na wschodniéj pochyłości gór Uralskich przez małego chłopca znalezionym. Już w roku 1826. starał się podróżujący Engelhardt dowieść, że te góry muszą mieć w sobie miny diamentowe; lecz dopiero, kiedy Alexander Humboldt to zdanie potwierdził, wydał urząd górniczy rozkaz szukania diamentów, a dziecię miało to szczęście, że pierwszy znalazło.

W Październiku nakoniec roku 1844. odkryto nową minę diamentową w Brazylii; list o téj minie z Rio-Janeiro w roku 1845. pisany, załączamy: dokładne bowiem i obszerne zawiera o niéj doniesienia:

„Od kilku miesięcy stósunki handlowe prowincyi Bahii nadzwyczajnie się wzmogły. Wielka liczba mieszkańców, spekulantów, awanturników, a nawet właścicieli plantacyj, wywędrowała wraz z niewolnikami do prowincyi Bahii, gdzie niezmierna diamentów mina odkrytą została. Skarby téj miny zdają się być niedouwierzenia. Mina owa została w Październiku roku przeszłego odkrytą przez niewolnika, który nagromadziwszy w 20stu dniach 700 karatów diamentów, do odległego miasta na sprzedaż je zaniósł. Wzbudziwszy podejrzenie, został schwytanym i uwięzionym; wzbraniał się jednak uporczywie wyznać, zkądby wziął owe drogie kamienie. Dozwolono mu więc natenczas umknąć, wysyłając za nim kilku przebiegłych Indyan; ci, przez kilka dni go ścigając, zdybali go nareszcie zatrudnionego właśnie zbieraniem diamentów nie daleko Caxoeira, drugiego miasta prowincyi Bahia. Natychmiast więc rozpoczęto poszukiwania na większą stopę wzdłuż łańcucha gór Sincura, (któreto góry minie téj nadały nazwisko) jako téż nad brzegami rzeki Paraguassu, do wybrzeża Bahia wpadającéj. Pierwszymi nad miną Sincura osadnikami byli po większéj części zbrodniarze, którzy swe życie mordami i pożogami napiętnowali. Nadzwyczajna trudność utrzymania życia w tym kraju, oraz i niebezpieczeństwo, na które się muszą wszyscy narażać, którzy się tamże udają, dla wymiany brylantów za papierowe brazylijskie pieniądze, stały się dla porządnych kupców w prowadzeniu handlu tego nie małą przeszkodą. Tymczasem od dnia do dnia pomnażała się ludność téj osady; nowi osadnicy zaprowadzili pewien rodzaj policyi; plony zaś kupieckie coraz się bardziéj pomnażały. Ludność, w przeszłym roku (1844.) tylko 8,000 dusz w wszystkich trzech miasteczkach wynosząca, do końca Lipca roku 1845. urosła już do 30,000 dusz, i ciągle się jeszcze pomnaża. Obydwa do Anglii odchodzące przewozowe statki z Maja i Czerwca przewiozły za 5½ miliona franków diamentów. Odtąd w samych tylko miesiącach Czerwcu i Lipcu wydawała mina Sincura codziennie blisko do 1,450 karatów. Skarby owe, od czasu odkrycia miny Sincura, rachują na 400,000 karatów w wartości 18,300,000 franków; z czego $\frac{5}{6}$ części wywieziono do Anglii, $\frac{1}{6}$ część do Francyi i Hamburga; ostatnia zaś część w Rio-Jeneiro i Bahia oczekiwała kupców. — Wszystkie szlifiernie drogich kamieni w Europie nie mogą podołać, aby chociaż połowę tylko wyszlifowano kamieni, które mina Sincura wydaje. Spodziewają się więc znacznego zniżenia ceny diamentów, co jest pochopem do najśmielszych spekulacyj. — Brazylia dostarczała corocznie przed odkryciem miny Sincura tylko 5—7,000 gram-

mów diamentu, które więcéj niż milion nakładu wymagały; nawet w surowym stanie były one bardzo drogie. Aż dotąd znachodzono w Sincura same tylko małe diamenty. — Mina Sincura przedstawia obraz niezależnéj osady w samém łonie ojczystéj ziemi. Rząd żadnego dotąd jeszcze nie uczynił kroku, aby sobie tę gałęź przemysłu zabezpieczył, która tak bogatém źródłem dla prowincyi Bahia stać się obiecuje; będzie on może nawet musiał poprzestać na zatwierdzeniu tych praw, które sobie mieszkańcy sami ustanowili w celu zabezpieczenia sobie ogromnych korzyści, z miny wypływających, która to mina już 30 przeszło mil francuskich obejmuje przestrzeni.“

Niechże się tą wieścią właściciele diamentów zastraszyć nie dadzą! Bo pomimo przepowiedni autora powyższego listu, cena diamentów wcale jeszcze nie spadła; diamenty bowiem z Sincura nawożone, nie mogą się z dawnemi diamentami, które pochodzą z min Indyj wschodnich, Borneo i Brazylii, żadną miarą równać, szczególniéj ze względu wody, t. j. zupełnéj białości i bezfarbności, (co, jak wiadomo, jest główną diamentów pięknością), stoją diamenty amerykańskie na daleko niższym stopniu. Słyszeliśmy wprawdzie rozpowiadających, że na tegorocznym na przykład jarmarku wielkanocnym w Lipsku jubilierów paryskich, którzy inne lata, stare kamienie, a szczególniéj diamenty, najbardziéj od polskich Żydów kupowali, wcale nie było; to jednak innym raczéj okolicznościom, a nie minom Sincura przypisaćby należało.

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Syn wędrowiec.

Jeden ojciec miał syna, gdy ten wyrosł na młodzieńca rzekł mu ojciec: „Jużby téż czas żebyś się udał zwietrzyć świat.“ — Syn rzekł mu na to: „Juścić ja nie jestem od tego, ale proszę was, abyście mi kazali zrobić laskę, któraby pięć cetnarów ważyła.“ — Ojciec kazał mu zrobić laskę półtrzecia cetnara ważącą; syn poznał, że nie trzyma wagi, i zaraz ją złamał; wtedy ojciec podług jego woli dał mu pięciocetnarową laskę. — Z tą poszedł na wędrówkę. — Przyszedłszy do jednego lasu, widzi że tam człowiek jedne drzewa wyciąga do góry, drugie wciska w ziemię; wędrowiec zapytał go: „Co ty robisz?“ ten odpowiedział mu: „Że równa las, żeby był od wierzchołków jednako wysoki.“ — Wędrownik rzekł mu: „To i ty jako widzę mocny jesteś.“ — Ten zaś rzekł mu: „Nie tak przecież jestem mocny jak górny Janek.“ — Wędrowiec z pięcio-cetnarową laską rzekł mu znowu: „Wiesz ty co! pójdź zemną.“ — Szli tedy oba, i ujrzeli męża, który się plecami oparł o jednę górę, a nogami zepchnął z miejsca drugą. — Wędrowiec zawołał: „O ho! to i ten widzę mocny jest.“ — Towarzysz jego rzekł: „Górny Janek daleko jeszcze od niego jest mocniejszy.“ — Wędrowiec wezwał Wali-górę, aby z nimi szedł; i tak się téż stało. — Gdy przychodzili do miasta, ujrzeli piwowara stojącego przed browarem, który na lewéj ręce trzymał półbeczek piwa, a to mu cewkiem przez gardło do brzucha płynęło. — Wędrowiec odezwał się do niego: „Ej, coś ty widać mocny i dobre gardło masz, gdy tak prędko łykać potrafisz?“ — Piwowar odrzekł: „Jeszcze jest jeden mocniejszy odemnie i nazywa się górny Janek.“ — Wędrowiec rzekł mu: „Pójdź i ty z nami, będzie nas więcéj.“ — Piwowar poszedł. Przyszedłszy społem do jednego pustego zamku, tam sobie w nim zamieszkali. — Razu jednego zachciało im się iść na łowy; zostawili więc Wyrwi-sosnę, aby dla nich jeść w kuchni gotował. — Gdy już wszystko na stół zastawił, przyszedł do niego mały dziadek; Wyrwi-sosna zapytał go: „A ty co tu chcesz?“ — Dziadek mu téż temi słowy odpowiedział. — Wyrwi-sosna nie wiele myśląc, rzucił się na niego, ale dziadek mocniejszym się okazał, dobrze mu skórę wyłupił i pod ławę wrzucił. — Gdy towarzysze Wyrwi-sosny wrócili i jego na ziemi ujrzeli, rzekli: „A tości się téż upił;“ on ani nie dychnął, że go dziadek nawiedził. — Na drugi dzień był Wali-góra kucharzem; tak się z nim stało jako i wczora. — Trzeciego dnia został Piwowar, mówiąc: „Ja poradzę beczkę piwa wypić, a trzeźwym będę; to się i dziś nie upiję;“ — aleć się i jemu dobrze po skórze dostało. — Wędrowiec z pięcio-cetnarową laską, który był górnym Jankiem, o czém towarzysze jego nie wiedzieli, rzekł czwartego dnia: „Idźcież wy dziś na łowy, a ja gotować będę, i pokażę wam, że się nie upiję, tak, jakowyście się upili.“ — Gdy odeszli, górny Janek począł się koło kuchni krzątać, a wtém wchodzi dziadek; górny Janek porwał na niego swą laskę, i przybił go nią do ściany, ale dziadek się wywinął, i tylko brodę zostawił. — Gdy towarzysze Janka wrócili, rzekł on im: „Terazci wiem, jakoście się upijali; ja téż miałem potyczkę, zwalczyłem dziadka, uciekł, i brodę mi tylko swoją zostawił; wiem jednak, gdzie go szukać, i pójdę za nim.“ — Zaprowadził ich nad wielką jednę dziurę i kazał się w nią na powrozach spuścić. — Były tam bardzo piękne pokoje, w jednym z nich siedziała panna przecudnéj urody. — Zapytał się jéj, czyli tu sama bawi? — Ona odpowiedziała: „Że mieszka z nią dziadek, który ją z wierzchniego świata porwał, ale teraz na brodę chory jest.“ — Poszedł do niego; dziadek zobaczywszy go chciał uciekać, lecz go górny Ja-

nek laską swoją na ziemię powalił, i jednym zamachem zabił. — Potém oznajmił pannie, że ją do góry wyprowadzi; i gdy chętnie na to przystała, wsadził ją do kosza, i dał znak, aby w górę ciągnęli. — Gdy panna na wierzchu była, zakochali się w niéj wszyscy towarzysze górnego Janka, i nie myśleli wcale w górę go wyciągnąć. — On to sobie naprzód pomyślał; skoro więc kosz znowu spuścili, z przezorności włożył do niego swoją laskę z kilkoma kamieniami, i dał znak, aby ciągnęli. — Gdy do połowy wyciągnęli, ucięli powrozy i upuścili go na dół, chcąc, aby się tam zabił. — Górny Janek przekonał się o zdradzie, ale też i o tém: że się na wierzch nie dostanie. — Chodząc w podziemnéj krainie wielce zasmucony, ujrzał gniazdo ptaków właśnie gdy deszcz padał; ulitował się nad pisklętami i okrył je swoim płaszczem. — Przyleciał wkrótce ojciec tych ptasząt i rzekł do niego: „Iżeś się ulitował nad dziećmi memi, za to cię też ztąd wyprowadzę.“ — Kazał mu tedy, aby wziął cztery ćwierci mięsa, i beczkę wody; i żeby mu, gdy się obejrzy w prawo, podał jednę ćwierć mięsa, a gdy w lewo, aby mu się dał napić. — Ptak niósł go z mięsem, wodą i laską; a gdy się oglądał, podawał mu górny Janek posiłek; lecz wkrótce wszystkiego mu zabrakło: ptak się jeszcze oglądał i coraz słabnął bardziéj, bo się niemiał już czém pożywić. — Aby ptak na dół nie upadł, górny Janek oderznął sobie jedno i drugie ikro, i wreszcie kawałki z pośladka: ptak zmocniał i wyniósł go na wierzch; i gdy już sobie na ziemi odpoczęli, ptak zapytał go się: „Cóżeśmi to za mięso na ostatku dawał?“ — „No! ratowałem cię jak było można,“ rzekł górny Janek; i pokazał mu oderznięte części swego ciała. — Ptak natychmiast te sztuki wyrzygnął i wskazał ziele, którém nasmarowane, zaraz się do ciała przyrosły. — Ptak potém odleciał, a górny Janek poszedł do zamku. — Tam towarzysze jego właśnie z panną przy obiedzie siedzieli, zobaczywszy go więc, przelękli się wielce, a on im rzekł: „A zaś to tak bracia zemną wam się obejść należało?“ — to powiedziawszy, uderzył każdego laską i na miejscu zabił; a pannę sobie za żonę poślubił.

Nº 141.

Modlnica pod Krakowem.

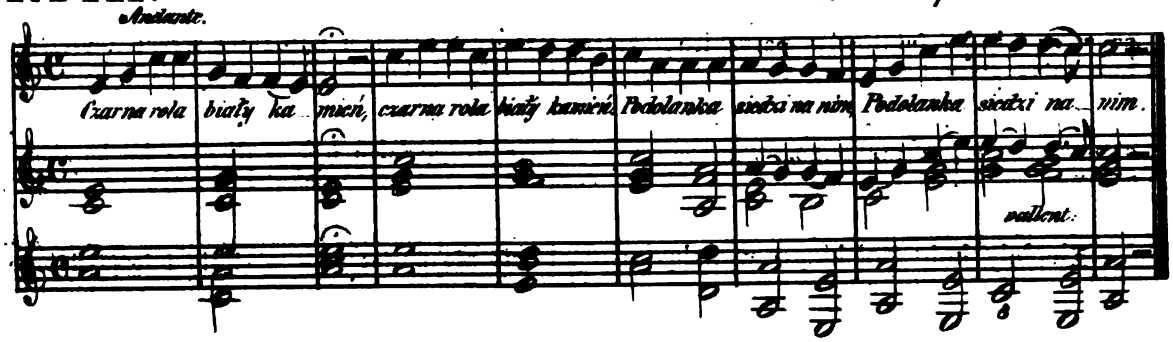

Text do *Nru. 141.*

Czarna rola, biały kamień,
Podolanka siedzi na nim;
Siedzi, siedzi, lamentuje,
Białe rączki załamuje.
Przyszedł do niéj cudzoziemiec:
„Moja panno daj mi wieniec.“
„Jabym ci go chętnie dała,
Żebym się brata nie bała.“
„Otruj, otruj brata swego,
Będziesz miała mnie samego.“
„Bym wiedziała czém go otruć?
Czém go otruć, Boże odpuść.“
„Idź do sadu wiśniowego,
Znajdziesz gada zjadliwego,
I usiekaj drobniuteczko,
I ugotuj prędziuteczko,
I wyléj go do szklennicy,
I wynieś go do piwinicy.“
Brat przyjedzie od Wiślice:
„Siostro, siostro, pić mi się chce.“
„Pijże bracie czarne piwo,
Boś go nie pił jako żywo.“
A brat pije, z konia leci:
„Siostro, siostro, patrz na dzieci!“
„Cóż ja biedna uczyniła?
Swegom brata utraciła;
Cóż ja biedna będę czynić,
Muszę jego dzieci żywić.“
Pisze listy do swojego
Chłopaka czarnobrewego.
On jéj listy odpisuje,
Że z przyjaźni już kwituje:
„Otrułaś ty brata swego,
Otrułabyś mnie samego.“

(*J. Konopka*, P. l. kr. str. 125.)
(*Żeg. Pauli*, P. l. p. g. str. 87.)
(*Wojcicki*, P. l., T. I. str. 72 i 232.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 15. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 11. Kwietnia 1846.

Jarosław. — Kaźmierz Brodziński (dokończenie). — Kilka słów o znaczeniu ludu. — Galicyanie. — List Jana Kard. Lipskiego do JW. Kasztelana Lędzkiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

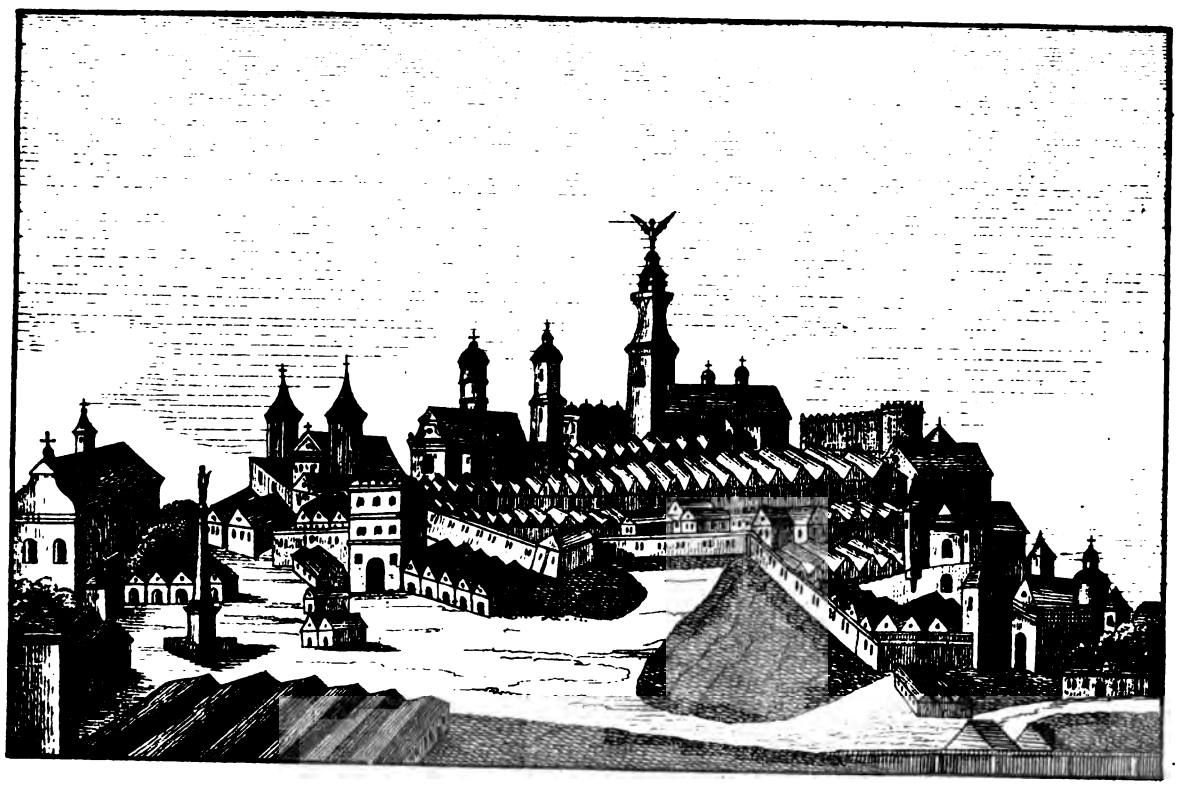

Jarosław,
wyobrażony na starym obrazie Ś. Michała, którego epoka przypada między 1633. a 1804 rokiem. Ten obraz zachowany jest w Jarosławiu w kościele Ś. Jana, dawniéj Jezuickim, a teraz parafialnym, z rozebranéj kollegiaty Ś. Michała przeniesiony.

Jarosław.

Wszedłszy do kościoła Ś. Jana w Jarosławiu, obaczysz po prawéj stronie obraz Ś. Michała, z ciekawém wyobrażeniem tego miasta, umieszczoném u stóp Ś. Patrona. Ten obraz nie sięga dawnością powyżéj roku 1633.; bo

na wieży kollegiaty widać już posąg archanioła z mieczem, który w tym roku z miedzianéj blachy, był wyrobiony i na wierzchołku utwierdzony. Gdy w roku 1804. bryła muru przebiwszy dach kościoła pokrytego blachą i zgruchotawszy sklepienie, 22 osób na śmierć ubiła, a nawet sklepy grobowe przełamała; po tém nieszczęśliwém zdarzeniu, wieżę Ś. Michała, wraz z kościołem dawnéj kollegiaty, rozebrano; a gdy wkrótce bramy: krakowska i pełkińska, i mury miasto do koła opasujące, do szczętu zniesionemi zostały, odmienił swoję powierzchowność, przedstawiony na obrazku Jarosław:

Sławny Panami, w których ręku bywał,
Tam dziedzic z Sprowy zacny odpoczywał;
Tam, które ciągle potomność pamięta,
Miały siedlisko Ostrogskie Xiążęta;
W buncie niewinnych co szukał pomocy,
Tam przytulenie chciał znaleźć Rakocy;
Z czasem, i zwykłą czasowi odmianą,
Brały w dziedzictwo ziemię pożądaną
Domy najpierwsze, miasto okazałe,
Gmachy poważne, świątynie wspaniałe.
(*Ignacy Krasicki*, Podróż z Warszawy.)

Niegdyś w Województwie Ruskiém, w ziemi Przemyskiéj, z powodu bliskości rzeki Sanu, tutaj spławną być zaczynającéj, i położenia na pograniczu prowincyj polskich i ruskich z Węgrami, kwitnęło w Jarosławiu kupiectwo, i głośne były jego jarmarki. Turcy, Ormianie, Persowie, tutaj towary wschodnie zwozili, a na ich kupno handlarze z zachodniéj Europy zjeżdżali. Wójt z Ławnikami i Burmistrz z Rajcami, wolnego mieszczan wyboru, osadzeni, sprawowali zwierzchność miejscową, według ustawy przez radę i wszystko pospólstwo ustanowionéj, plebiscita zwanéj, przez Króla Zygmunta Augusta zatwierdzonéj. Jakie przed tym czasem było urządzenie, niewiadomo, lubo wspominają dzieje, że Jarosław już za Daniela, Xiążęcia Ruskiego, było miasto obronne. Za Ludwika, Króla węgierskiego i polskiego, Władysławowi, Xiążęciu Opolskiemu, było nadane. Późniéj okazują się właścicielami Jarosławia: Leliwacy, ród rycerski, używający na tarczy: w środku xiężyca gwiazdę; to jest herbu Leliwa. Władysław Jagiełło pojąwszy za żonę Elżbietę Pilecką, trzeciego ślubu Granowską, udzielił pasierbowi Janowi Granowskiemu tytułu Hrabi na Jarosławiu, a za wygaśnięciem dzielnicy Jarosławskich, powrócił Jarosław do domu Leliwaków na Tarnowie, czyli Tarnowskich. Jan Tarnowski, Kasztelan Krakowski, Wielki Hetman koronny, Pan możny i czynami wojennemi sławny, szczególniéj to miasto podniósł, i zamek od Tatarów zrujnowany odbudował. Po bezpotomnéj śmierci syna jego Krzysztofa pozostała wdowa, Zofia ze Sprowy z Odrowążów, w powtórném małżeństwie Kostczyna, i córka jéj Anna, Xiężna Ostrogska, Pani świątobliwa i dobroczynna, licznemi przywilejami Jarosław obdarzyły. Jeden z tych przywilejów, względem Żydów, dla dobra miasta stanowi, że im tamże tylko dwa domy mieć wolno, w którychby się dwie rodziny pomieściły. Po śmierci Xiężnéj Ostrogskiéj, nietylko miasto ale i zamek między trzy córki był podzielony. Jedna z tych części przez Katarzynę w dom Zamojskich wniesiona, dostała się późniéj Maryi Kazimierze, w pierwszém małżeństwie Zamojskiéj, w powtórném Jana III. małżonce, która w Wysocku zamek i ogród założyła. Scheda Zofii z Xiążąt Ostrogskich X. Lubomirskiéj, utrzymywała się w domu Xiążąt Lubomirskich, aż przez Elżbietę, X. Lubomirską, W. Hetmana Adama Sieniawskiego małżonkę, przeszła do rodziny Sieniawskich. W czasie walki Augusta II. z Karolem XII., dobra Hetmana Sieniawskiego, sprawę Saskiéj dynastyi wiernie popierającego, od Szwedów spustoszenia doznały. Gdy w roku 1704. Sasi na powrót Jarosław zajęli, Szwedzi w przewyższającéj sile na miasto uderzywszy i warownią dobywszy, na zwyciężonych mieszkańców 20,000 tynfów okupu nałożyli. Sprzedaż w Gdańsku zawarta, przez którą dobra Jarosławskie, na własność Rakoczego po siedmiogrodzkich i węgierskich klęskach tutaj przytułku szukającego, przenoszonemi zostały, nie przyszła do skutku. I owszem te dobra napowrót w dom Sieniawskich powróciły, a przez Maryą Zofią, tego zacnego domu ostatniego potomka, Augusta Xiążęcia Czartoryskiego małżonkę, w dom Xiążąt Czartoryskich wniesione obszerne włości, których stolicą był Jarosław, aż do ostatnich czasów własnością Xiążąt Czartoryskich pozostały. Równiny Jarosławskie, nad któremi miasto na wzgórzu panuje, są niezmiernie urodzajne. Szczególniéj udają się tu cebule, i orzechy włoskie. Jarosław, przez Xięcia Adama Czartoryskiego niezależnością obdarzony, jest teraz królewskiém miastem. Członkowie Magistratu, to jest: Burmistrz, Syndyk i Assessorowie, odnawiają się z nominacyi krajowego rządu. Prócz ogólnych ustaw krajowych, podlega magistrat przepisom gubernialnym i cyrkularnym. Dochody czerpie głównie z propinacyi, t. j.: z prawa wyłącznie warzenia i szynkowania napojów. Ludność dzisiejsza wynosi 9 do 10,000 mieszkańców. W ich liczbie ¼ Żydów. Potrójne cło między Jarosławiem a Gdańskiem, ustanowione po rozdziale kraju, zniszczyło handel tego miasta, znaczne mieszczan majątki stopniały, a rozwaliny dawnéj giełdy, które jeszcze w przeszłym roku koło kościoła Ś. Jana zawadzały, niedawno uprzątniono. Prócz woskobojni i kommissyi mundurów wojskowych, Jarosław fabryk niema żadnych. Wielka liczba ubóstwa świadczy o upadku tego miasta.

L. K.

Kaźmierz Brodziński.

(Dokończenie.)

Kształcąc swego ducha poetyckiego, zapatrywał się na dawniejsze płody tak swego narodu jak innych, a ponieważ wszędzie do tego dążył, aby, cokolwiek rozpoczął, pożytecznem być mogło całemu narodowi, zajął się ich przekładem. Jakeśmy nadmienili, Brodziński był wielkim miłośnikiem literatury Zygmuntowskiéj, jéj prostota przemawiała do jego duszy. Dla tego pragnąc, aby była więcéj znaną, a szczególniéj łacińska, mieszcząca w sobie wiele prac znakomitych i pięknych, o któréj ziomkowie coraz bardziéj zapominali, zajął się tłómaczeniem *Elegij J. Kochanowskiego*, które wieszcz ten po części w młodym wieku utworzył. Niemniéj zajęła Brodzińskiego poezya gminna słowiańska i dla tego i téj dał znaczne próby, przełożywszy na język polski pieśni *Serbskie*, *Słowackie*, *Litewskie*, *Czeskie*, i inne. Do tych przydał własne na ich wzór utworzone. Oto kilka prób z jego przekładu:

Pieśni Serbskie.

Sąd.

Siały kwiaty trzy kochanki,
Bazyliki i tymianki,
Przyszedł chłopak nieżonaty,
I potłoczył wszystkie kwiaty;
Panny sieci zastawiają,
I szkodnika w ręku mają.
Jedna żąda, by go spalić,
Druga wykłuć i oddalić,
Trzecia radzi szubienicę.
Na to szkodnik ręce wznosi,
I sędzianek tak się prosi:
O słuchajcie mię dziewice!
Jam nie złoto, by mię topić
Jam nie jeleń, by mię tropić.
Lecz zalotnik jestem młody,
Powieście mię za swe szkody
Na najgorszéj szubienicy,
Bo na szyi, u dziewicy.

Wydana tajemnica.

Dwoje na łące późno siedziało,
Myśleli, że ich nic nie widziało;
Ale ich łąka widziała,
Białéj trzodzie powiedziała.
Trzoda pastuchowi swemu,
Pastuch znowu podróżnemu;
A podróżny żeglarzowi,
Żeglarz znowu okrętowi;
Okręt znowu zimnéj wodzie
A woda matce w ogrodzie.
Na to dziewica zaklęła:
Obyś już nigdy łąko nie kwitnęła!
Niechaj po trzodę wilcy się zgromadzą,
Niechaj pasterza Turki na pal wsadzą,
Niech podróżnemu nogi poustają,
Niechaj żeglarza wody zanurzają,
Niechaj ten okręt pioruny pokruszą
I niechaj wody do dna się wysuszą.

Uboga.

Idzie od studni dziewica,
A patrząc się w dzbanek wody
Rzekła sobie: twoje lica
Niepośledniéj są urody;
Gdybyś jeszcze wiano miała,
Jeszczebyś się milszą zdała.
Kochałby cię pasterz młody,
Pasterz z złotemi włosami,
Co tu idzie przodkiem trzody
Jako xiężyc przed gwiazdami.

Dziewica nad rzeką.

Leci jastrząb pod obłokiem,
Szerokiemi skrzydły krąży.
I ku Grodzkiéj bramie dąży.
A dziewica nad potokiem
Koło bramy lica myje,
I ogląda się w około.
Czarno-brewe wznosi czoło,
I wyciąga białą szyję.
A na przeciw chłopiec staje,
Który dla niéj miłość kryje;
Zapni prosi, zapni szyję,
Bo mi boleść serce kraje.

Pieśni Słowackie.

Zkąd miłość?

Miłości, miłości! zkąd cię ludzie mają?
W polu jéj nie sieją, w górach nie zbierają.

A gdyby się miłość na skałach rodziła,
Nie jedna dziewczynka, szyjęby skręciła.

Prowadzą tam dziéwczę po błoniu zieloném,
Czemu łzy jéj płyną po licu czerwoném?

Żałośnie płakała załamując ręce,
Nie może wydołać niepozbytéj męce.

„Straciłem ja pokój dla serca mojego,
Jak ta turkaweczka, co płacze miłego.

Gdy się jéj pić zechce, skrzydłem wodę trąci,
Trzepota skrzydełkiem i wodę zamąci.“

Młodość miniona.

Zahuczały góry, zahuczały lasy,
Kędy się podziały moje złote czasy!

Czasy moje, czasy, nie użyłam krasy,
Moje młode lata, nie użyły świata!

Młodości, młodości! jakżem cię zmarniła,
Jakobym ja kamień do wody wrzuciła.

Jeszcze się ten kamień we wodzie obróci,
A moja młodość nigdy już nie wróci.

Pieśń Litewska.

Pogoń.

Łagodne wiatry z zachodu wiały,
I tak i owak, lilije drżały.

Gdy uwożono dziewczynę,
Tam przez zieloną niżynę.

„Syny, siostry spieszcie z chatki,
By ją wrócić do swéj matki.“

Wybiegły córki, wybiegli synowie,
Dognali siostrę w zielonéj dąbrowie.

Jadą przez pola, aż pola tętniały;
Jadą przez mosty, aż mosty trzeszczały.

Wróć się siostro, wróć ku chatce!
Bo łzy płyną twojéj matce.

Już ja nie wrócę ku mojéj chatce,
Ale ten wianek odeszlę matce.

O siostro nasza! gdy od matki stronisz,
Gdzież ty się na noc uchronisz?

Na wzgórku stoi lipa zielona,
Tam będzie moja uchrona.

Pieśń Czeska.
Narzeczony.

Za tym dworcem stoją
Dwa dęby wysokie,
Zielenią się w wiośnie;
Między niémi rośnie,
Dziewica rumiana,
Już mi obiecana.
Ach! mój synku młody,
Uchroń się przygody,
Pięknyś ty młodzieniec;
A gdy się ożenisz,
Twarzyczkę odmienisz,
Zblednie twój rumieniec.

Pieśń Ruska.
Oddalona.

Tam smutno łabędź śpiéwa na dworze,
Tam smutna panna płacze w komorze.
Bóg niech osądzi ojca rodzonego,
Że mię oddaje do kraju obcego.
Bezemnie sady powiędną z wiosną,
Bezemnie grzędy chwastem zarosną.
Zwiędnie słonecznik wodą nie skrapiany,
Uwiędnie ruta, znikną majorany.
Powiem ja ojcu: „miły tateczko!
Wstawaj co rano, wyprzedź słoneczko.
Zlewaj te kwiaty czystémi kroplami,
Zlewaj je po mnie gorącémi łzami.“

Pieśń Nowogrecka.
Sarna i słońce.

Po całych nocach, przy świetle Semeli,
Po całych nocach, aż się dzień zabieli,
Krążą jelonki pośród gór i lasu,
Lecz jedna sarna nie dzieli ich wczasu;
Do ciemnéj gęstwy ucieka gromadzie,
I na bok lewy samotna się kładzie;
A gdy nad czystą krynicą postoi,
Piérwéj ją zmąci, niżli się napoi.
Widzi ją słońce i na chwilę stanie,
Takie stroskanéj zadaje pytanie:
„Czemu ty sarno! z innémi nie biegasz,
I tak samotna na lewy bok legasz?“
O! moje słońce! jam kochanka miała,
Z nim ja i z dziećmi po górach igrała,
Ale myśliwy wszystko mi zastrzelił,
Mnie z dziećmi mémi i z mężem rozdzielił.

Pieśń Teobalda,
Króla Nawarry.

Gdyby zapomnieć te oczy,
I te lica hoże,
I ten wdzięk uroczy,
Zdrówbym ja był może.
Ale to próżne marzenie! —
Któżby to był w stanie,
Widzieć jéj pojrzenie,
I zapomnieć na nie?
Jakby zapomnieć te oczy,
Tę anielską postać,
Ten jéj wdzięk uroczy? —
Lepiéj chorym zostać.

Chociaż Brodziński nie był zwolennikiem szkoły romantycznéj w Niemczech, umiał jednak godnie ocenić prace takich mężów, jakim był Goethe, Szyller, i dla tego zwracając na nich uwagę narodu, umieścił w dziełach swoich wiele przekładów z tychże pisarzy. Prace te są po większéj części umieszczone w nowém wydaniu wszystkich dzieł Brodzińskiego w Wilnie u Glücksberga w 10 T. od r. 1842.—44. Wydanie to zaradziło wprawdzie potrzebie na chwilę, życzyćby jednak należało, aby staranniéj pisma tego autora były wydane. Nie winujemy w tém wydawcy, lecz okoliczności zapewne go zmusiły, iż nie jedno zmienił, nie jedno opuścił.

Z tego wszystkiego, cośmy dotąd o Brodzińskim powiedzieli, pokazuje się, że mąż ten należy do najczynniejszych w naszéj literaturze. Podkopawszy zasady literatury sfrancuziałéj, podał w ich miejsce nowe, które obudziwszy w narodzie ducha tworczego, nowy nadzwyczajny ruch wywołały. Lecz nie dosyć na tém; sam urzeczywistnił w swych płodach swoje pojęcie poezyi, a razem wskazał wielkie źródła, z których Polacy czerpiąc, godne dzieła potomności przekazać mogą. Jeżeli zaś nie pojął ducha swego czasu, jeżeli nie umiał w sobie zachować tego płomienia, który bezustannie tlał w narodzie; nie wynarodowił się jednak, przeszedł tylko z życia czynnego do biernego i dla tego nazwać go możemy narodowym pisarzem, który z biernéj strony godnie ducha polskiego malował. Niezawodnie wiek młody, jak najboleśniéj strawiony, usposobił tak duszę czułą, iż łatwiéj uwierzył w nieszczęście, niż szczęście.

Kilka słów o znaczeniu ludu.

Jeżeli miłość, służąca za podstawę chrześciaństwu, najpiękniejsze wywołała owoce w życiu towarzystwa ludzkiego; jeżeli pomiędzy ludami, które w świecie starożytnym w zupełnéj żyły odrębności i wzajemną nienawiścią siebie niszczyły, zaprowadziła braterstwo; jeżeli w pojedyńczym człowieku ślachetność obudziwszy, nakłaniała go do składania ofiar dla dobra ludzkości: dziwić się trzeba, iż nader długi szereg wieków upłynąć musiał, nim ludy doszły do swéj godności, nim nabyły tego przekonania, że tylko wzajemne poszanowanie ustali ich potęgę i szczęście. Lecz brak oświaty, barbarzyństwo wieków średnich, wstrzymać musiało narody w postępie, któremu chrześciaństwo drogę torować zaczęło. Dla tego dopiero w ten czas, kiedy błogie światło nauk nie tylko pojedyńczych ludzi z brudu materyalizmu i egoizmu oczyściło, lecz wszystkie pokłady towa-

Bojki.

rzystwa ludzkiego ogrzewać zaczęło; zasady przez chrześciaństwo wszczepione, przyjęły się i głęboko korzenie zapuściły. W historyi cywilizacyi chrześciańskiéj długą stacza walkę ślachetność z egoizmem, duchowość z materyalizmem; dopiero wiek 19sty przechyla szalę zwycięstwa na stronę pierwszą, chociaż niedobitki drugiéj, zacięcie walcząc w obronie swéj wiekami uświęconéj sprawy, oręża z rąk jeszcze nie wypuszczają. Jéj stronnicy łudzą się nadziejami, że świat może się jeszcze raz da okuć w kajdany, które haniebnie długo dźwigał; ale czas ciemnoty już zniknął — ludy przejrzały — przeważny zrobiły krok naprzód i już się nie cofną. W historyi bowiem nie masz wsteczności, w niéj panuje tylko postęp; cofnąć się mogą pojedyńczy ludzie, wreście całe narody, ale ludzkość postępuje naprzód, wolnym wprawdzie, lecz pewnym krokiem.

Dotąd narody, a raczéj państwa, były tylko abstrakcyami, były to massy, bryły z gliny bez życia, które służyły za materyał do wyrabiania pomysłów często najdziwaczniejszych, bo od kaprysu zawisłych. Dzisiaj stan rzeczy się zmienił; dziś apatya i otrętwiałość starca ustąpiła bujnemu życiu młodzieńca, spokojność i milczenie państw zamieniło się w ruchawość i gwar ludów. Dotąd rządy wpływały na narody, dziś lud wpływa na rządy; dotąd z góry wszystko przychodziło, dziś z dołu się wydobywa. Dotąd towarzystwo podzielone było na kasty; utworzone stany zupełnie się odosobniły. Ślachta, duchowieństwo, mieszczanie i kmiecie, wszystko miało osobne cele, za któremi się każdy stan bez względu na drugi ubiegał; słowem, nie było żadnéj spojni, którąby wszystkich w jedności i zgodzie łączyła, a jeżeli istniała, nie żyła w sercach wszystkich, była im narzucona i dla tego zrywała się przy każdéj sposobności. Dziś to wszystko ustaje, znikają różnice, z niemi przesądy, przywileje, stany są zrównane w obliczu prawa; dla tego zakwita miłość, zakwita wolność, równość, braterstwo. Dziś nie masz uprzywilejowanéj ślachty, uprzywilejowanego duchowieństwa, uprzywilejowanych mieszczan i kmieci; dziś wszyscy równi w obliczu prawa; dziś sami obywatele; dziś sam tylko lud, a wkrótce przyjdą i czasy, gdzie będzie sam tylko naród. Gdy taki jest stan dzisiejszéj Europy oświeconéj, a w ogóle ludów oświeconych, bo o tych tylko mowa, cieszyć się możemy, iż najpiękniejsze owoce wyda oświata, światło nauki Chrystusowéj, która jest źródłem wszystkich ślachetnych celów ludzkości. Jakoż spostrzegamy już pierwsze zarody życia wyższego, które nie goni za materyalnością, egoizmem, lecz wyrzekając się zysków osobistych, nakłania do ofiar, do coraz większych poświęceń dla dobra ludzkości. Dzisiaj zmierzają wszystkie żywotne pytania ku temu, aby nasz bliźni nie jęczał pod ciężarem dolegliwości, które go pozbawiają wszystkiego, co dla człowieka jest najdroższym skarbem. Dziś nie dosyć wesprzeć ubogiego jałmużną; dziś wymaga świat, aby wynaleźć środki, któreby nie tylko utrzymanie każdemu człowiekowi zapewniały, ale nadto podawały mu sposobność, iżby mógł zająć miejsce godne członka towarzystwa ludzkiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Galicyanie.

Kraj znany dzisiaj pod nazwiskiem Galicyi, składa się z czterech różnych części: 1ód, z powiatów dawnych województw Krakowskiego i Sandomierskiego, położonych na prawym brzegu Wisły aż do szczytów Karpat; 2gie, z dawnego województwa Ruskiego albo Lwowskiego; 3cie, z części dawnego województwa Bełskiego, z dzisiejszego okręgu Zółkiewskiego; 4te, z Bukowiny.

Przed wprowadzeniem Chrześciaństwa nazywano okolicę tę Chrobacyą; zamieszkaną była przez Słowian, podzielonych na małe ludy. San dzielił ją na dwie części; po lewéj stronie rzeki ciągnęła się Chrobacya biała, a po prawéj Chrobacya czerwona. Włodzimirz Iwszy, Książę Kijowski, utwierdziwszy się we władzy swojéj na wschodzie nad krajem Słowian, poprowadził wojsko na zachód i nie stanął jak przy Sanie. Podbił Chrobacyą czerwoną i nazwał ją Rusią. W dwunastym wieku widzimy Chrobacyą czerwoną, podzieloną na małe księstwa, z których jedno znane pod nazwiskiem księstwa Halickiego, podbiło wkrótce wszystkie przyległe księstwa i dało im swoje nazwisko, które późniéj zostało zamienione na Halicyą albo Galicyą.

Galicya będąc krajem górzystym, przedstawia wiele miejsc malowniczych. Oblaną jest mnóstwem rzek, które ją we wszystkich kierunkach przerzynają; z tych najgłówniejsze są: Wisła, San, Bug, Dniestr, Prut, Stryj, Seret i Dunajec. Miasta główne są: Lwów, Brody, Stanisławów, Czerniowce, Tarnopol, Drohobycz, Jarosław, Tarnów i Rzeszów.

Ziemia Galicyi jest bardzo urozmaicona, a w ogóle żyzna. Wiele znajduje się łąk, zwłaszcza w górach, gdzie chodowanie bydła jest prawie jedyném zatrudnieniem mieszkańców. Trzecia część ziemi jest pokrytą drzewami i lasami. Wszystkie produkta mineralogiczne znajdują się w Galicyi; najznaczniejsze kopalnie są żupy solne w Wieliczce i Bochnii. Ludność tego kraju składa się z sześciu narodów; można ją jednak objąć dwiema klassami, które się należycie odróżniają. Pierwsza składa się ze Słowian, a zwłaszcza z Polaków i Rusinów; druga z Niemców, Mołdawianów, Ormianów i Żydów.

Polacy zamieszkują po większéj części kraj

położony pomiędzy granicą Szląską, wierzchołkami gór Karpackich, Wisłą i Sanem. Napotkać ich także można z tamtéj strony ostatniéj rzeki aż do Lwowa i Stryja, lecz w małéj liczbie. Mieszkają w miastach, trudnią się przemysłem, i stanowią klassę posiedzicieli. Osiedlenie Polaków z tamtéj strony Sanu sięga czternastego wieku, epoki, gdzie Kaźmierz Wielki sprowadził liczne polskie kolonie, składające się po większéj części z Mazurów, mieszkających w okolicach Warszawy, aby zaludnić kraj ten spustoszony i wytępiony do szczętu przez najazdy Tatarskie. W okolicach zachodnich Polacy dzielą się na Górali i na mieszkańców dolin. Możnaby powiedzieć, iż to są ludzie dwóch różnych ras, tyle się od siebie różnią zatrudnieniami, obyczajami i zwyczajami. Mieszkańcy gór odznaczają się kibicią kształtną, lekkością w bieganiu, śmiałością i wytrwałością w przedsięwzięciach. Z dolin są silni, weseli, otwarci, temperamentu żywego, namiętni w smutku tak jak w radości.

Rusini mieszkają od Sanu aż do Zbrucza, i od Karpat aż do granicy północnéj. Są wyznania grecko-katolickiego, mówią narzeczem słowiańskiém, mało różniącém się od dialektu polskiego; dzielą się także na dwa narody; jedni są rozrzuceni po górach Karpackich, a drudzy objęli dolinę. Rusini pomiędzy Dniestrem i Stryjem nazywają się Bojkami, a z okolicy Kołomyi noszą nazwisko Hucułów. Od niepamiętnych czasów, dostała część górali Ruskich, oddających się łupiestwu, przydomek Opryszków, imię osławione, wzniecające smutne i żałosne wspomnienia w mieszkańcach okolic sąsiednich Karpat, a nawet w ludziach z odleglejszych stron.

Niemcy, którzy osiedli w tych stronach, zachowali swój właściwy charakter, oddają się przemysłowi, handlowi i rólnictwu; a że kraj ten znajduje się teraz pod panowaniem Austryaków, piastują urzędy publiczne.

Mołdawianie zamieszkują wyłącznie Bukowinę, mówią narzeczem osobném, i wyznają religią chrześciańską schizmy greckiéj.

Żydzi są rozproszeni po wszystkich miastach Galicyi, stanowiąc prawie połowę ludności miejskiéj. Większa część mieszkańców Bród i Berdyczewa są Żydzi. Zwyczajném zatrudnieniem Żydów jest handel rzeczami wszelkiego rodzaju. Tylko kilku Karaitów w okolicy Halicza oddało się rólnictwu. Żyd jest prawdziwym mieszczaninem, przemysłową klassą Galicyi, jako i w innych prowincyach Polski. Jednakowoż z jego powierzchowności poznać w nim nie można człowieka przemysłowego; długa suknia, która go pokrywa od głowy do nóg, jest spięta pasem; włosy czarne albo czerwone, krótkie na czubku głowy, pokrytéj zawsze czapeczką, tak nazwaną *jarmulką*, spadają w długich kędziorach (pejsach), na jego twarz; długa broda spada aż na piersi; kapelusz okrągły, niski, z nadzwyczajnie szerokiemi brzegami, lub też czapka w kształcie ostrokręgu pokrywa twarz jego z rysami azyatyckiemi, bladą, wychudłą, długą; usta małe, zawsze wykrzywione uśmiechem sardonicznym, nos orli, oczy przenikliwe, ale spuszczone, trzewiki w złym stanie, pończochy podarte i laska w ręku, aby się obronić przed psami i ulicznikami, oto obraz Żyda polskiego. Jego żona ubiera się tak, jak inne kobiety w kraju, lecz pokrywa głowę gatunkiem turbana, albo czapką przyozdobioną klejnotami. Żyd się małą rzeczą pożywia; słony śledź, cybula, czosnek i suchy chléb, otoż zwyczajna strawa ludu żydowskiego. Jego mieszkanie brudne i smrodliwe; dzieci gniją w błocie, które pokrywa podłogę. Żyd mówi w familii zepsutym językiem niemieckim; język hebrajski nie jest używanym, jak tylko przy ceremoniach religijnych.

(Dokończenie nastąpi.)

List Jana Kard. Lipskiego do JW. Kasztelana Lędzkiego roku 1741.

Jaśnie Wielmożny Mnie wielce Mci Panie i Bracie!

Odbierając z wielu miejsc informacye, iż malevolentia hominum przykrzyć sobie w słodkim pokoju intendit na przyszłych deputackich i gospodarskich sejmikach zmieszać tranquillitatem publicam przez Confederacye sub praetextu aukcyi wojska, nie uważając, iż takowe Consilia extrema nieomylnie podać mogą ojczyznę in mille pericula, osobliwiéj gdy sąsiedzka wojna nie pozwala być absq. metu, w tym najbardziéj, ażeby miała okazyą, nie wkroczyła do nas et sedem w tym kraju sobie nie założyła, przychodzi mi per praesentes odezwać się WM. WM. Panu i upraszać wielce, abyś wielkim kredytem swoim w prześwietnych Województwach Wielkopolskich ruszył avertere illa motimina, któreby internam qvietem wzruszyć et inturbare mogły. Cóż bowiem za korzyść ex turbulento statu być może? tylko ruina ac lachrymae gementis populi, czyli nie lepiéjże profitować z tego pokoju, którego samego dulcedo allicit, niźli patrzyć na nieszczęśliwość dobra powszechnego. Cokolwiek WM. WM. Pan pokażesz applikaciéj i starania pro manutentione pożądanéj spokojności, będzie to opus et gloriosum et meritorium. Ja wyznawać non desinam, żem jest constanti tenoritudine.

Z Krakowa, dnia 27. Augusti 1741 r.

WM. MW. Pana i Brata
niskim sługą
Jan Kard. Lipski.

Nº 142.

Z Wielkopolski.

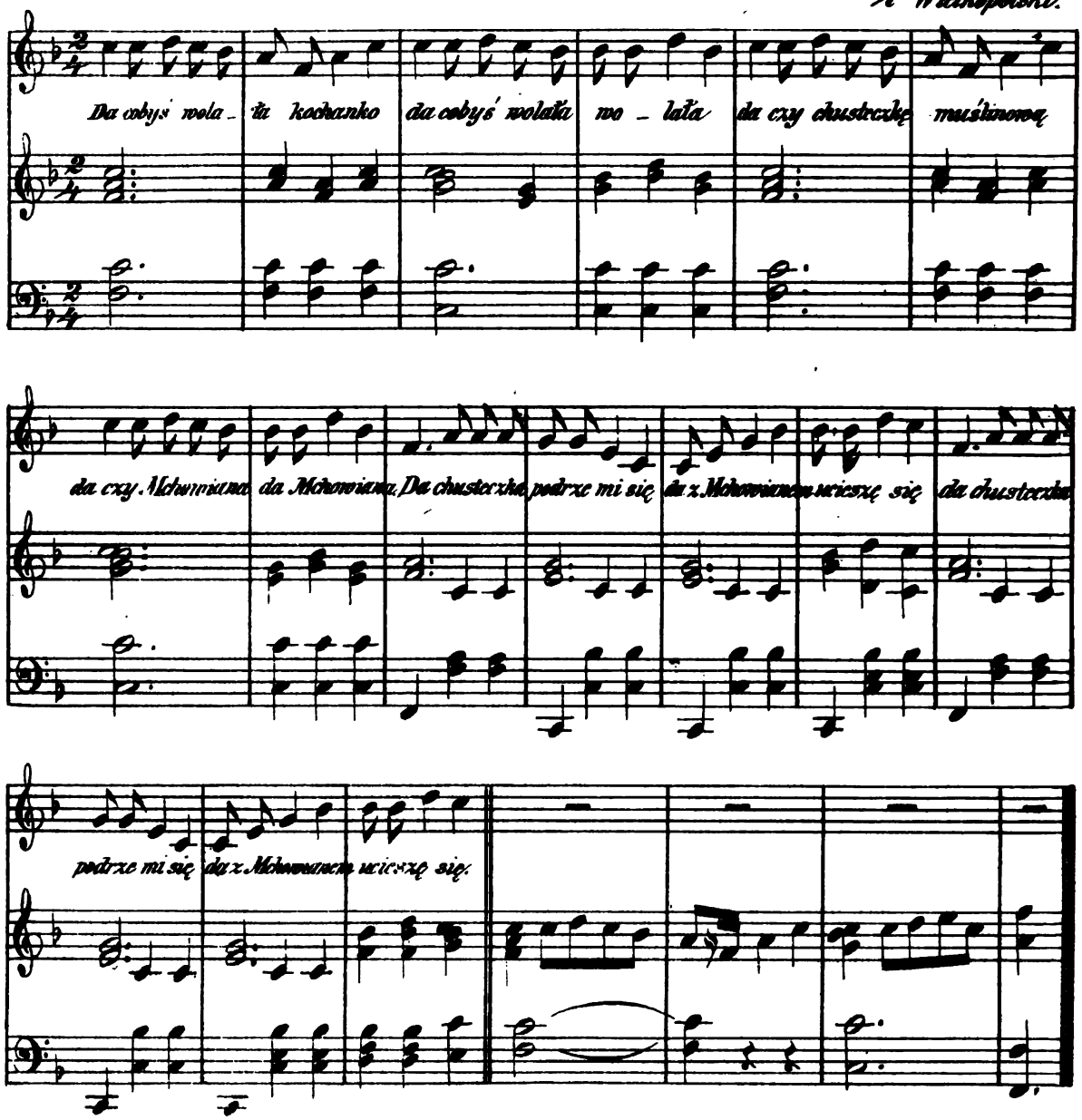

Text do Nru. 142.

Da, cobyś wolała kochanko,
Cobyś wolała, wolała;
Da, czy chusteczkę muślinową,
Czyli Mchowiana, Mchowiana?

Da, wolałabym chusteczkę,
Bo się ustroję, ustroję;
Da, o tego Mchowiana,
To ja niestoję, niestoję.

Da, cobyś wolała kochanko,
Cobyś wolała, wolała;
Da, czy chusteczkę muślinową,
Czyli Mchowiana, Mchowiana?

Da, chusteczka podrze mi się,
Da, z Mchowianem ożenię się;
Da, chusteczka podrze mi się,
Da, z Mchowianem ucieszę się.

(*J. J. Lipiński*, P. l. w. str. 19.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor Dr. *Szymański.*)

Nr. 16. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 18. Kwietnia 1846.

O Grzegorzu XVI. — Krótka wiadomość o Błog. Bronisławie. — Galicyanie (dokończenie). — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku (dokończenie). — List Prokopa Mielżyńskiego, Marszałka koła rycerskiego, do Jaśnie Wielm. Kwileckiego, z roku 1790. — Oświadczenie redakcyi Roku. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Grzegorz XVI.
Ur. 18go Sierpnia 1765., † 1go Czerwca 1846.

Kilka słów o Grzegorzu XVI.

Grzegorz XVI. (Mauro Capellari) urodził się w Belluno 18go Sierpnia 1765 r. Wstąpiwszy do zakonu Kamedułów, odznaczył się wkrótce w nim wiadomościami z historyi kościelnéj i z filozofii, nadewszystko zaś znajomością starożytnich i nowszych języków oryentalnych. Niezachwiana stałość w doktrynach religijnych, jako też najściślejsze zachowanie reguł zakonu, zjednały skromnemu zakonnikowi nawet po za klasztorem długi czas przedtém, nim został Kardynałem, szacunek, jaki się tylko Książętom kościoła zwykle okazuje. W Marcu roku 1825. mianował go Leon XII. Kardynałem. Dla nadzwyczaj obszernych wiadomości w językach, polecił mu Leon stér propagandy, którą się z zapałem zajął, mianowicie oddziałem afrykańskim i adryatyckim, dla którego najgłębsze posiadał nauki. W czasie Conclave z r. 1828. cała opinia publiczna mówiła za Kardynałem Capellari, lecz należał też do tych, którzy najostrzéj wystąpili przeciw partyi austryackiéj, na któréj czele Kardynał Albani stał. W Conclave z roku 1831., gdzie ta partya koniecznie Kardynała Pacca (ę) Papieżem obrać chciała; został przy ostatecznym wyborze Papieżem Capellari dnia 2go Lutego 1831. Zasiadł on na tronie papieskim, przybrawszy imię Grzegorza XVI. Panowanie jego trwało nieco dłużéj niż 15 lat.

Krótka wiadomość o Błog. Bronisławie.

Błogosławiona Bronisława pochodzi z domu Prandotów, herbu Odrowąż; zrodzona zaś: z ojca Stanisława Prandoty a matki Anny z domu Gryffów. Ta, w młodych leciech, pogardziwszy zaraz rozkoszami świata, i przekładając klasztorną celę nad wszelką swobodę; całą duszą pragnęła wstąpić do zakonu premonstrateńskiego na Zwierzyńcu przy Krakowie (1); jakoż, gdy się zupełnie stało według jéj życzenia a raczéj pragnienia, poświęciła całe swe życie rozmyślaniu męki Pańskiéj, postom, ustawicznéj pracy; słowem, poświęcając się różnym umartwieniom ciała, inne panienki nie tylko słowy, ale i przykładami duchowymi budowała; wszelkiego obcowania z ludźmi bardzo się strzegła, i wiele też tajemnic od Jezusa zasłużyła wiedzieć.

W modlitwie tak się zatapiała w bogobojności, że ją często od ziemi w górę podniesioną widziano. W doskonałości życia swego spędziła lat 40, a gdy się kres jéj życia zbliżył, ŚŚ. Sakramenta z wielką pobożnością przyjęła, i w obec sióstr zgromadzonych, ducha czystego Panu Bogu oddała, r. 1259. d. 29. Sierpnia.

Ciała jéj przez długi przeciąg czasu nie można było odkryć, bo pisma klasztoru Zwierzynieckiego zgorzały i dla tego zwłoki téj świętéj panienki przez 300 lat bez należytéj czci leżały. Znaleziono je dopiero r. 1612.; gdy mularze pracowali około naprawy kościoła, z rozpadliny jego wyleciało mnóstwo pszczół, i broniły przystępu pracującym; jakoż gdy dano Przełożonéj klasztoru i Księżom znać o tém, z wielką ceremonią wydobyto ciało święte, i obok ołtarza świętéj Anny złożono. O czém Maciéj Miechowita, Kanonik krakowski, pisze.

Kanonizacya owéj Patronki Krakowa, nastąpiła dopiero za dni Grzegorza XVI., Papieża, t. j. za dni naszych, w Krakowie dnia 2. Września 1840 roku; za staraniem czcigodnych Kapłanów: X. Karola Skórkowskiego, Biskupa krakowskiego; Suffragana X. Franciszka Zglenickiego (2); tudzież poświęceniem się osobistém J. X. Józefa Pawłoskiego. Wyręczał szanownego Biskupa J. X. Gładyszewicz, Kanonik katedralny krakowski, i bardzo liczne duchowieństwo tutejsze, jako też i zagraniczne; przeszło 20,000 ludu różnego towarzyszyło temu obrzędowi.

Jakież to szczęście dla nas! jakaż łaska Wszechmocnego Boga, żeśmy tak świętéj dożyli pamiątki! tak rzadkiego zdarzenia!... Jakiż to zaszczyt dla Krakowa i jego mieszkańców!

Wyrzeknę jeszcze ś. p. X. Wincentego Plebankiewicza (3) z zgromadzenia XX. Domini-

(1) S. Norbert, Arcybiskup magdeburski, który się urodził 1082 r., w księstwie Kleweńskiém, z wysokiego rodu rodziców, przy dworze Henryka V., Cesarza, zbrzydziwszy sobie dworskie życie, na dolinie Premonstrateńskiéj roku 1120. założył klasztor Kanoników regularnych podług reguły S. Augustyna i był ich przełożonym. W roku 1126., którego Honoryusz II., Papież, potwierdził ten instytut, było już klasztorów 9. Obrany Arcybiskupem magdeburskim, po kilku latach trudów pasterskich, zakończył życie roku 1134.; żył lat 52.

Pod berłem polskiém osiedli naprzód na przedmieściu Wrocławia roku 1124., fundowani od Piotra Dunina, za pozwoleniem Bolesława. jako zakon dla nowości wielce szacowany. Długosz 423. Miechowita, ks. 3. R. 13.

W Witowie, Archidyecezyi Gnieźnieńskiéj, w Płocku, w Busku w Krakowskiém, od Wita, Bisk. Płockiego, między rokiem 1182. a 1206. Długosz, Miechowita i inni.

W Brzesku, czyli Hebdowie, pięć mil od Krakowa, Iwo, Biskup krakowski, osadził i opatrzył.

W Sandeczu od Władysława Jagiełły roku 1410. Miechowita.

W Krzyżanowicach, prepozytura od roku 1415. Długosz, ks. 11., str. 369. Tenże dziejopis na str. 417. powiada o nich: „Za czasów naszych widzimy, że osobliwie w królestwie Polskiém w wielką wpadli oschłość.“

Zwierzyniec, dziś wieś tego nazwiska i przedmieście Krakowa, założył Kazimierz Wielki. Kościół na Zwierzyńcu ufundowany przez Jaxę, herbu Gryf, w r. 1162., który znacznym dochodem opatrzył Gedeon, Biskup krak., z téjże saméj rodziny pochodzący. (*Fr. Wężyk*, w okolicach Krakowa.)

(2) Który z powszechnym żalem w dniu 27. Stycznia 1840 r. zakończył dni swoje.

(3) Ksiądz W. Plebankiewicz, jako dobry Kazno-

kanów krakowskich, następujące słowa: „Oby Pan nieba! rychło uszczęśliwił podobném zjawiskiem Kraków. Cześć Świętych, która już dla niezaprzeczonych dowodów, z dawna zatwierdzoną być powinna, dla błogosławionych Polaków: Stanisława Kazimierczyka, Izajasza Bonera, Michała Gedrojca, Rafała Chylińskiego, Andrzeja Boboli; o gdyby nową uchwałą Stolicy apostolskiéj ważność uzyskała! Bo kiedyż ta ziemia, na któréj ci Święci mężowie światło słońca ujrzeli, liczniejszych potrzebowała Przyczyńców, Patronów?... Pozwól Panie, abyśmy się nie za długo cieszyli nowymi dobroci Twéj dowodami!“

O powodzie założenia kaplicy na górze zwaném *Sikornik*, przy Krakowie, nic stanowczego wyrzec nie można, bo w tym względzie rozmaicie są podzielone mniemania; ale idźmy za podaniem powszechném. Bronisława, będąc w zakonie premonstrateńskim, miała objawienie od Stróża Anioła, by na ową górę nocną porą uczęszczała na modlitwę; gdzie ją też nieraz rozmawiającą z Chrystusem widywano. Gdy się to o uszy Przełożonéj klasztoru obiło, mocno ją gromiła, że nie przystoi na pannę, nocą z klasztoru wychodzić, gdy ma w dzień dosyć sposobności, (ona właśnie w dzień nigdzie wychodzić nie chciała, ale jeszcze wszelkiego przestawania z ludźmi się strzegła, a trzeba o tém wiedzieć, iż zakony żeńskie w pierwiastkach nie były tak obostrzone, i zakonnym pannom, podobnie jak zakonnikom, wolno było na świat wychodzić. Dopiero Bonifacy VIII. obostrzył je nieco, lecz o tém nie wszędzie wiedziano), i wypatrywano ją, czyli dochowa przykazu? W rzeczy saméj zawsze ją już od owego czasu w celi widziano. Byłaż to Bronisława? bynajmniéj! był to Anioł stróż Bronisławy, bo ona była na swéj górze. Jak Chrystus na górze Oliwnéj, jak Mojżesz na górze Sinai; tak Bronisława na górze Sikornik z Chrystusem rozmawia, i błaga Go o odpuszczenie win swoim rodakom! Oto jest cała wiadomość o założeniu kaplicy na górze Sikornik, którą nam wieki aż dotąd w całości dochowały. Obok kościółka ma pustelnik mieszkanie, i jest utrzymywany kosztem panien Zwierzynieckich. Obowiązkiem jego jest ciągle znajdować się na swojém miejscu, zapisywać nazwiska zwiedzających, wskazywać mogiłę Kościuszki, i opowiadać niewiadomym jego nieśmiertelne czyny, że tylko prawdziwa cnota znajdzie sprawiedliwych wielbicieli. Dawniéj był zawsze pustelnikiem szeregowiec Kościuszki, lecz gdy i ci przenieśli się za nim, starzec tylko, znany powszechnie z cnoty, może sprawować pomieniony urząd. Ale com ja też to powiedziała: „Opowiadać niewiadomym,“ wstydzę się tego. Czyż jest kto taki, by czynów Kościuszki nie wiedział? czyż zapomnieli Amerykanie, że i on walczył za ich niepodległość? czyż małe dzieci z uczuciem serdeczném i miłém nie wymawiają tego słowa: „Kościuszko!“ jakże im się to podoba, jakież im to miłe czyni wrażenie!

Robiony pomiar mogiły Kościuszki w roku teraźniejszym, przekonał, iż o dwa sążnie wysokość się jéj zmniejszyła; góra Sikornik, wraz z mogiłą, wznosi się na 13 sążni Wied. nad powierzchnią błonia, dawniéj wysokość jéj wynosiła sążni 15.

Widać teraz wielkie rozpadliny z strony północnéj, tak, że tą stroną wejść na szczyt nie można, ale temu obywatele Krakowa zaradzą, bo i nie długo droga porządna bita ukończoną zostanie, i będzie można wybornie fiakrem pospacerować, gdy przedtém nawet na nogach iść nie koniecznie przyjemno było.

Wyjdźno na szczyt olimpu krakowskiego (na mogiłę Kościuszki), a ujrzysz po prawéj stronie zaraz nad Wisłą Tyniec, mogiłę Krakusa; daléj nieco rzuć okiem w stronę wschodu, ujrzysz mogiłę Wandy, a na niéj jakiś stary słup murowany. Wysokość mogiły Krakusa wynosi 8 sążni, Wandy tylko 7.

Franciszek Wężyk w poemacie: Okolice Krakowa, tak zakończa swoją dumę o Wandzie:

Wstrzymujcie wiatry bystre swe powiewy!
Stań tęskny kmiotku na sąsiedzkiéj roli!
Ucisz skowronku radosne wyśpiewy!
I ty Wisło płyń powoli!
Ten wzgórek w świeże przystrojony kwiaty;
Na którym czułość smutny głaz utkwiła;
Oto jest pomnik najdotkliwszéj straty,
Oto jest Wandy mogiła.

Kraków, dnia 15. Października 1845 r.

Marya Węgłowska.

---

dzieja i Pisarz w duchu religijnym, był ozdobą swego klasztoru; tego nikt nie zaprzeczy. Z kazaniami swemi dawał się słyszeć przez czas znaczny w katedrze krakowskiéj, a lud go słuchający, widział drugiego Birkowskiego w Plebankiewiczu. Zapadłszy później w słabość nieuleczoną, umarł w Krakowie, w miesiącu Wrześniu 1844 r., mając dopiero 39 lat. Żałowany i bardzo żałowany od wszystkich.

Wydał różne litanie i modlitwy, życie świętéj Katarzyny Senneńskiéj; mając sposobność zwiedzić Częstochowę i zabawić w niéj przez czas niejaki, napisał tam historyą obrazu „Boga Rodzicy Dziewicy,“ i zarazem „Wiadomość o Częstochowie,“ in 8vo. u Friedleina w Krakowie. Miał także napisać: „Życia ŚŚ. Polaków,“ a kazań znaczną liczbę, lecz i to, zdaje się, że z nim umarło.

Wreście i Przyjaciela ludu licznemi artykułami wspierał, ale artykułami dobrémi.

Galicyanie.

(Dokończenie.)

Nigdy nie byli Żydzi prawnie prześladowani w Polsce; lecz ich obyczaje, nieporządek i oszustwo, ich miłość do zysku, jest powodem, iż są znienawidzeni, wzgardzeni, i wyłączeni z każdego dobrego towarzystwa. Skutek to ich nieczystości, że po wielkich miastach są

zamknięci w jednéj tylko części, którą im zamieszkiwać wolno. Wiele nawet małych miasteczek w dawném województwie Krakowskiém są im zakazane, i przyznać trzeba, iż te miasta przedstawiają więcéj dobrego bytu i ochędostwa.

Pomimo ich nieczystości, ich życia mizernego, Żydzi się rozradzają nadzwyczajnie; żenią się bardzo rychło; mężczyzni w czternastym lub szesnastym, dziewczęta w dwunastym albo trzynastym roku. Śmiertelność jest wielka pomiędzy dziećmi; jednakowoż ludność Żydów powiększa się w Polsce z każdym dniem. Wyłączenie od służby wojskowéj, wynagrodzonéj przez osobny podatek, przyczynia się do tego wiele i wpływa bardzo na poniżenie całéj rasy. Nie masz też nic tak bojaźliwego, jak Żyd polski; ulicznik go prześladuje i napada bezkarnie.

Żyd jest handlerzem i factotum Polaka. Pożycza pieniędzy na wielką lichwę, kupuje i sprzedaje zboże, bydło, płótno, sukno, skóry, korzenie, wreście płaty i gałganki. Wszystkie karczmy są wydzierżawione Żydom, którzy, już dla samego różnego handlu, mogą większą dzierżawę płacić niż Chrześcianin, krajowiec lub obcy. I temu dziwić się nie można, bo Żyd opaja biednego krajowca, kredytuje mu, pozwala, aby się dług powiększył, podwoił, a nawet potroił, z pomocą oszukaństwa; bierze nareście w zamian jego sér, masło, drobiazg i jaja, jego len, konopie, ostatnią krowę, ostatnie cielę, ostatni wiertel pszenicy, a często wydziera mu ostatnią koszulę. Być pomocnym w robieniu długów, nakłonić do rozpusty, kupić za lichą cenę, a przedać bardzo drogo, otoż jest sztuka i zatrudnienie Żyda polskiego. Niezawodnie mógłby rząd liberalny i oświecony zrobić z nich ludzi użytecznych i godnych, lecz dotychczas jest plagą dla Polski i robactwem, które ją toczy.

Pozostaje nam jeszcze wzmiankę uczynić o innym narodzie, również pochodzącym z Azyi, również obcym dla Polski, a który jednakowoż przez swoję prawość i przemysł, umiał sobie zasłużyć na szacunek swojéj ojczyzny przybranéj, i tak się wcielił w naród gościnny, iż go dzisiaj nie można inaczéj poznać, jak po niektórych znakach jemu właściwych i niezmiennych. Zamyślamy mówić o Ormianach, którzy nawróceni na łono chrześciaństwa od trzeciego wieku, osiadli u stóp góry Ararat, szczycą się być jednym z najdawniejszych narodów świata. Zachowali oni swój obrządek, który należy do katolickiego, nabożeństwo odprawia się w języku ormiańskim; mają swoich biskupów i księży. Ormianin nosi w swojéj fizyonomii piętno odznaczające jego rasę: płeć śniada, włosy czarne, oczy żywe, nos orli, rysy regularne, kibić wysmukła. Trudni się najwięcéj handlem i wyprawianiem safianu. Znany jest z prawości, wstrzemięźliwości, ale razem z skłonności do skąpstwa. Ormianin jest Polakiem z serca, mówi po polsku i używa praw obywatelskich i politycznych.

Z tego to narodu pochodzi sławny poeta sielski, Szymon Szymonowicz Bendoński, którym się równie Ormianie jak Polacy szczycić mogą, bo on jest ozdobą literatury Zygmuntowskiéj.

Tyle o obyczajach i zwyczajach mieszkańców Galicyi; o Rusinach pomówimy późniéj, gdy o Rusi w ogóle mówić będziemy.

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

K o w a l.

Jeden majętny kowal, czynił wiele dobrego ubogim; sam nic nie jadał, tylko chleb z masłem, a wódki rzadko bardzo pijał, i to mało. — Jednego razu, spotkawszy ubogiego dziadka proszącego jałmużny, wziął go do swego stołu na obiad. — Dziadek uraczony, rzekł mu: „Ja jestem Jezus! a za to, żeś mnie tak mile przyjął, możesz sobie co chcesz u mnie wyprosić.“ — Kowal mówi: „Mam w kuźni beczkę, do któréj składam ucinki i stare kawałki żelaza; wiele jest takich ludzi, którzy gdy po robotę do mnie przychodzą, wykradają mi to żelazo z beczki; chciałbym więc, aby ten, który tam sięgnie, tak długo stał przy beczce, pókąd wola moja będzie.“ — „Stanie ci się jak sobie życzysz,“ odpowiedział dziadek, i odszedł. — Po kilku dniach przyszedł kowal do kuźni: patrzy, a tu chłop stoi, trzyma kawał szyny, ale się z miejsca ruszyć nie może. — Kowal mu dobrze grzbiet wysmarował, i odtąd mu już nikt z beczki żelaza nie brał.

Powoli przyszedł kowal do bardzo biednego stanu; diabeł umyślił sobie wtedy zwieść go z dobréj drogi. — Gdy jednego razu kowal w kuźni aż ku północy pracował, zjawił się przed nim pokuśnik i rzekł do niego: „Wiesz co, ciężko pracujesz, a ledwo masz co jeść; chcesz mi się zapisać, to ci dam pieniędzy ile chcesz.“ — Kowal nie bardzo długo myślał, podpisał się do czasu umówionego i wziął pieniędzy. — Gdy termin minął, przyszedł diabeł. Kowal się wymawiał, że musi kończyć obręcz, i rzekł: „Ot jeżli chcesz, żebym szedł prędzéj, to mi podaj kawałek żelaza z téj tam beczki.“ — Diabeł poskoczył, sięgnął po żelazo, ale się już ruszyć nie mógł: w ten czas kowal przykuł go obręczą do beczki, i tak przykutego, przez siedm lat trzymał, i wtedy go dopiero wypędził. — Po niejakim czasie przyszedł powtórnie diabeł, i znów po krótkich układach, dał kowalowi pieniędzy ile potrzebował. — Gdy termin minął przyszedł po ko-

Hucuły.

wala; kowal mu rzecze: „Idź jeno mój piękny! a urwij mi tam z tego oto drzewa parę garści pięknych wiśni na drogę,“ lecz ponieważ kowal wiśnie ową okuł był wprzód obręczą zrobioną z kawałków żelaza, które były w beczce, diabeł więc z pod wiśni ruszyć się nie mógł; i musiał tam tak długo stać, aż go kowal świętością odpędził. — Niezadługo diabeł przyszedł do kowala trzeci raz, ofiarując mu pieniądze. — Ale ponieważ kowal nie był już tak biedny, kazał więc diabłu, aby mu pieniądze, które dla niego przyniósł, zakopał w ogrodzie pod gruszką, i tak długo na nich siedział, póki mu kto świeżego placka nie przyniesie. — Usłyszał to komornik u sąsiada mieszkający, powiedział o tém swéj żonie, i kazał jéj na drugi wieczór świeży placek upiec, który na miejsce diabłu zaraz zaniósł, i pieniądze odebrał. — Nie długo potrzebował też i kowal pieniędzy, lecz gdy według umowy z plackiem przyszedł, nie zastał już ani pieniędzy, ani diabła, i musiał z niczém odejść. — Wkrótce on umarł. — Po śmierci udał się do Rajskiéj bramy, ale mu niechciano otworzyć; poszedł więc do piekła. — Tam krzyknął diabeł: „To jest ten sam, który mnie przez siedm lat w obręczy trzymał;“ — diabli to usłyszawszy, uciekli przed nim od strachu, bojąc się, by im zaś i tu jakiego figla nie wypłatał. — Wrócił się wtedy kowal przed Rajską bramę, i tam czekał aż inni do niéj wchodzić mieli. — Wtedy rzucił przed siebie zaścierę (*), i począł się za drugimi do Raju cisnąć. — Wołają na niego: „Ty tu wnijść nie możesz,“ i kiedy się już do połowy wcisnął, bramę przywarli; on zaś rzekł: „I cóżbym w piekle czynił, kiedy czarci przedemną uciekają? muszę tu zostać.“ — Zostawiono go więc tak, ale się daléj pomknąć nie może, i tak tylko do połowy w raju siedzi, a tyłem na ten tu świat wisieć musi.

XV.

Pustelnik i anioł.

Jeden świętobliwy pustelnik zapragnął raz wiedzieć, jakie też skryte grzechy ludzie na świecie mają? — Często odwiedzał go anioł, pustelnik oznajmił mu raz swoje życzenia; anioł rzekł: „Pojdziesz więc zemną pomiędzy ludzi, między którymi dawno już nie byłeś.“ — Gdy się do pewnego miasta zbliżali, napotkali dwóch młodzieńców cudnéj urody: anioł mijając ich, zatkał sobie nos i twarz swoją od nich odwrócił. — Poszli daléj, i napotkali ścierwo końskie, które z daleko cuchło: Pustelnik sobie nos zatkał, anioł zaś tego nie czynił. — Minęli miasto i przyszli na wieś, gdzie sobie u jednego wieśniaka nocleg zrobili; człowiek ten miał jedno dziecko, z którém się on i jego żona wielce pieścili. — W nocy, gdy ojciec i matka zasnęli i jedynaka między siebie włożyli, rzekł anioł do pustelnika: „Rodzice tego dziecięcia z zbytecznéj z niém pieszczoty, zapomnieli już zupełnie o Bogu; kładą się spać i wstają nie mówiąc pacierza, do kościoła nie wchodzą, tylko o pieszczochu myślą i z nim się bawią; muszę pójść i dotknąć się dziecięcia, a więcéj się nie ocuci, gdyby dorosło, rodzice i dziecko poszliby na potępienie.“ — Anioł uczyniwszy tak jak mówił, zawołał pustelnika, aby za nim szedł daléj. — Na drugą noc zostali w mieście u jednego oberzysty, który sobie kazał zrobić kielich złoty misternéj roboty, i w którym się niezmiernie kochał, a kładąc się spać lub wstając, zawsze nań rad był patrzeć i z niego pić, nie dbając już wcale o kościele i pacierzu. — W nocy rzekł anioł do pustelnika: „Widziałeś, jak ten człowiek „zaślepił się już w mamonie świata, muszę mu „ją odebrać;“ to uczyniwszy puścili się daléj w drogę. — Trzeciéj nocy zostali w karczmie pod lasem, gdzie zwyczajnie wieprzarze radzi nocowali. — Gospodarz robił im wygodę, i posławszy łóżka dał im pierzyny swoje. — Anioł zaś w nocy zawołał pustelnika, i w stajni, gdzie wieprze stały, z nim się przespał. — Rano zaś kazał się anioł pustelnikowi zapytać gospodarza, co winni od noclegu? — Gospodarz nic nie żądał, i wielce się dziwował, dla czego do stajni poszli spać? — Anioł rzekł: „Że nocleg zapłacony być musi;“ i dał mu ów złoty kielich. — Gdy daléj szli w drogę, rzekł do anioła pustelnik: „Wiesz co, ja ciebie za anioła nie uważam;“ — ten zaś rzekł: „A to czemu?“ — Pustelnik mówi: „Zatkałeś nos przed pięknymi młodzieńcami, a nie zatkałeś go przed stęchłém ścierwem. Zabiłeś dziecko niewinne; wziąłeś kielich złoty jednemu, a dałeś go drugiemu.“ — Na co mu anioł rzecze: „Młodzieńcze, których ty pięknymi widziałeś, przez zakamieniałość i mnogość swych grzechów, są obrzydliwymi przed Bogiem, a powonienie, które mnie od nich dolatywało, było mi nieznośniejszém od tego ścierwa, przed którém ty nos zatkałeś. Zabiłem dziecko niewinne, chcąc, aby niewinném przed Bogiem stanęło; gdyż pieszczoty rodzicielskie byłyby je uczyniły zbójcą i złodziejem; a ślepe rozmiłowanie się w niém jego rodziców, byłoby rodziców na wieczne potępienie zaprowadziło, boby byli zupełnie zapomnieli o B[illegible], którego teraz w ciężkim smutku swoim wrócą. Zakochanie się w zbytecznéj mamonie złotéj, byłoby oberzystę przyprowadziło do zbrodni; a gościnne przyjęcie karczmarza pod lasem, i jego dziwowanie się, że za nocleg w stajni chcieliśmy płacić, powinno cię było przekonać, że nie jest chciwy.“ — To powiedziawszy anioł, zni-

(*) Zapewne fartuch kowalski.

knął; a pustelnik wróciwszy do domu, inaczéj zaczął postępki ludzkie i wolą Bożą sądzić.

Kilka pieśni ludu polskiego w Dolnym Szląsku.

(Dokończenie.)

Piosnka żniwiarzy.

Nisko, jeno nisko,
Do kolan ściernisko;
Choćby za kolana,
Gdy tam niema pana,
Jest tam sługa jego,
Obstaje za niego;
Damy słudze jaje,
Ze nam nie nałaje.

Zuśka dzieciobójczyni. (*)

Przed burmistrzem na roli, przy jabłoniu,
Uwija się tam Jasinek na koniu;
Zuśka jego podle niego chodziła,
I maluszkie dzieciąteczko nosiła.
Mówi jeden do drugiego: weźma to,
Damy dzwonić na ratuszu, czyje to?
Po trzy razy na ratuszu dzwoniono,
I też wszystkie panny tam zwabiono.
Wszystkie panny poklękały w wianeczku,
Jeno jedna ta Zuziczka w czepeczku!
O cóż ci to, ty Zuziczko, cóż ci to,
I że ci tak tę główiczkę obwito?
O boć mnie to ta główiczka bolała,
Toch ją sobie tym czepiczkiem ściągała.
O nie toć to, ty Zuziczko, nie toć to,
Straciłaś ty małe dziecię, jak złoto!
I wziął ci ją ten Jabinek (?) pod boczki,
I wrzucił ci ją w ten stawek głęboczki.
Trzy razy ją woda na wierzch wrzuciła,
Ojca, matkę na ratunek krzyknęła,
Jako ciebie, o córko, mam ratować,
Gdy nie mogę tego stawka zgruntować.
Czegoż mnie matka moja nie karała!
Karałach cię, żeś mnie słuchać nie chciała!
Karaliście mię przez tydzień rózdżeczką,
Słaliście mię do Jasinka uliczką;
Karaliście mię jeno przez ten tydzień,
Słaliście mię do Jasinka każdy dzień!

* * *

(*) Obacz Wojcickiego pieśni Biało-Chrobatów etc. Tom I. str. 91. pieśń pod napisem: *Kara*, z Sandomirskiego; i druga z nad Bugu, tamże str. 93; oraz w tomie II. str. 293. *Burmistrzanka*, z Wielkopolski, która pierwotnie zamieszczona była w Przyjacielu ludu R. II, str. 216. Pierwsze dwie najbliższe mają podobieństwo z niniejszą pieśnią dolno-szląską.

Działo się na miejscu obradom przeznaczonym na Sejmikach deputackich województw Poznańskiego, Kaliskiego, Gnieźnieńskiego i ziemi Wschowskiéj, dnia 15. Mca Lipca 1790 r.

Jaśnie Wielmożny Mci Panie Kwilecki, pierwszy od Generała Wielko-Polskiego Pośle nasz, wielce Mciwy Panie i Bracie!

Mając honor mieć sobie powierzony styr obrad na teraźniejszym Sejmiku deputackim, po dopełnionym imieniem Generała Wielko-Polskiego JWW. Panom na Sejm teraźniejszy obranym Posłom, winnéj wdzięczności za troskliwą około dobra publicznego staranność, i z mojéj strony, przy oświadczeniu im winnego uszanowania, jak najmocniejsze składam dziękczynienie, i wolę województw punktami w następujący wyrażam sposób:

1mo. Aby wszystkie donatywy, starostwa i jakiéjkolwiek bądź natury królewszczyzny, na skarb odebrane były.

2do. Aby Komissya koekwacyjna, równając produkta z dóbr dziedzicznych, nie podwyższała szacunku kop, który jak najdokładniéj przez Komissye podatkowe i porządkowe cywilno-wojskowe jest sporządzony.

3tio. Iżby na żadne podatki JWW. Posłowie nie pozwalali, dopókąd intrata starostw, donatyw przez komutacye teraz do Rzeczypospolitéj w równych wyciągnioną i wyrachowaną dostatecznie nie będzie, gdyż obywatel mając Rzeczypospolitéj właściwe dobra i intraty, resztę co na opłatę wojska nie wystarczy, z wypracowanego majątku dopiero dodawać jest winien.

4to. Iżby wszystkie opactwa w pierwszym postawić stopniu, i z tych intratę wyszczególnić, i edukacyą młodzieży obrócić, opatów nad tym z pewną intratą dozorcami uczynić, czyli rektorami ustanowić; konwenta, osobliwie dobra posiadające, do dostarczania Professorów w akademii edukować się powinnych, zobowiązać; fundusz zaś całki z Pojezuickich dóbr na wojsko obrócić (z tym warunkiem), aby dobra Pojezuickie te, które z familij trwających jeszcze wyszły, tymże familiom powróconemi były, którą intratę całkowitą, jak najskrupulatniéj rachowaną i przez licytacyą wyniesioną, do skarbu oddawać będą.

5to. Dobra Kościelną wieś z przyległościami, do opactwa Tynieckiego dawniéj należące (zostawiwszy teraźniejszemu i następcom proboszczom po złt. 3,000 polskich), plus Offerenti puścić, a zbywającą intratę od złtp. 3,000 na opłatę wojsku do skarbu publicznego oznaczyć. Co i o innych probostwach podobnéj natury rozumieć się ma.

6to. Żadnego xiędza, któryby pierwéj w akademii lat czterech nauk nie skończył i od téj zaświadczonym nie był, w szkołach

narodowych lat sześciu ciągle nauk nie dawał, od posuwania na kanonie katedralne wstrzymać, gdyż ten tylko, który wpajać dobre obyczaje i nauki umie, do wyższych wynoszonym i posuwanym być powinien godności, tym sposobem zdatnych i przykładnych mieć będziemy Duchownych.

7mo. Iżby wszystkie dochody, fundusze, na edukacyą młodzieży przeznaczone, Komissye porządkowe wynalazły, i te na edukacyą bez possessyonatów ubogiéj szlachty urządziły.

Oświadczywszy wolę prześwietnych województw, z winnym zostaje szacunkiem i najmocniejszém uszanowaniem

JJWW. M. WM. Panów
życzliwym Bratem
i uniżonym sługą

Prokop Mielżyński,
Rot. kaw.ʳnar., Marszałek koła rycerskiego.

Oświadczenie Redakcyi Roku.

Ponieważ z pism czasowych dowiedzieliśmy się o rozkazie gabinetowym z dnia 20. Marca r. b., który przez ogłoszenie w pismach urzędowych w ciągu kilku następnych dni stanie się prawomocnym, a który stanowi, że pisma polskie miesięczne, lub w odleglejszych peryodach wydawane, potrzebować będą oddzielnego konsensu Ministra spraw wewnętrznych, w skutek czego nasz ROK przynajmniéj zatrzymanym zostanie we wychodzeniu, przeto ile dotychczas wydrukowaném zostało, tyle rozsełamy Szanownym Prenumeratorom, oświadczając, że dołożymy wszelkiego starania, abyśmy, za uzyskaniem konsensu rządowego, przez rozgłaszanie przedmiotów i późniéj jak dotychczas umiejętnych i naukowych, przyczyniali się do postępu, i służyć mogli dobréj sprawie.

Poznań, dnia 25. Kwietnia 1846.

Redakcya Roku.
Jędrzéj Moraczewski.

Nº 143. KRAKOWIAK

od Częstochowy.

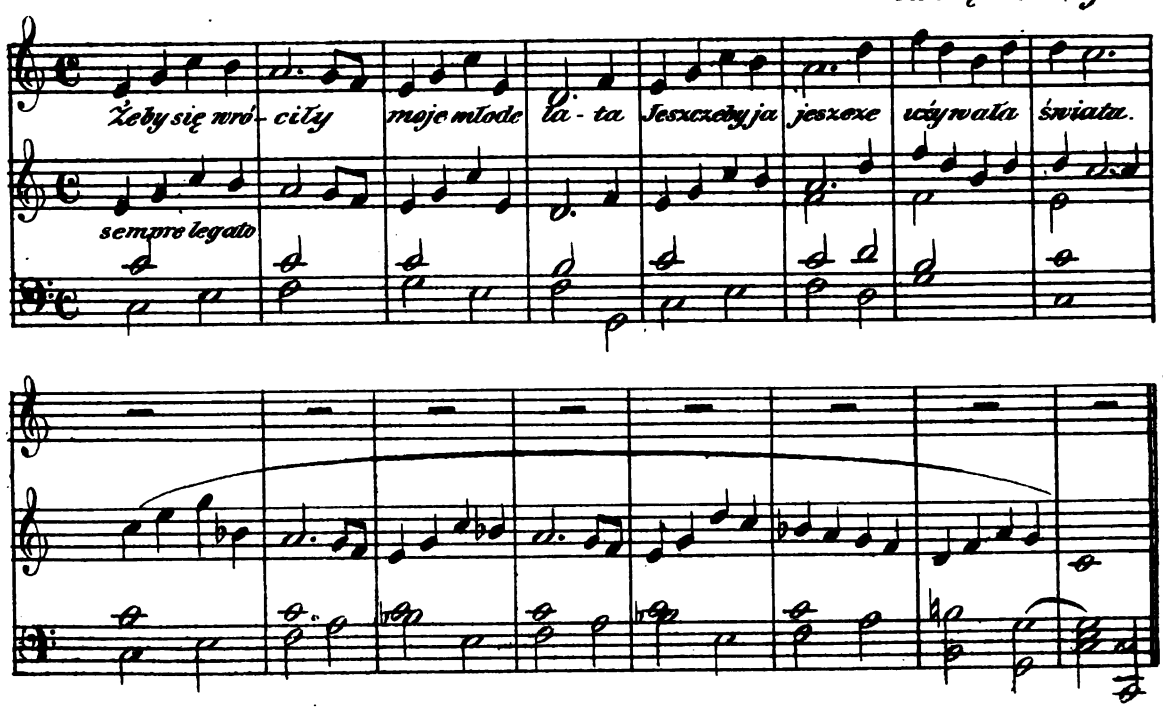

Text do *Nru. 143.*

Żeby się wróciły moje młode lata,
Jeszczeby ja, jeszcze, używała świata.

Żeby mi się wrócił aby jeden roczek,
Jeszczebym ja, jeszcze, podpierała boczek.

(*J. Konopka*, str. 11.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 17. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 25. Kwietnia 1846.*

Xiądz Symonowicz. — Kopia skryptu w gałce ratusznéj miasta Krakowa. — Wykradziona (powiastka wielkopolska). — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Przysłowia. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Sprostowanie.

X. Michał Symonowicz.

Xiądz Michał Symonowicz.

Symonowicz Michał, Xiądz, Wizytator Zgromadzenia XX. Missyonarzy, rodem z Tykocina r. 1775. Wstąpił do Zgromadzenia r. 1791., a zostawszy Professorem Seminaryum w Warszawie, uczył przez lat 21.

Wybrany przez Zgromadzenie Wizytatorem dnia 22. Lipca 1817. Urząd ten posłuszeństwem i prośbami braci zniewolony przyjął. Umarł w Warszawie dnia 23. Czerwca 1826 r. Opisał „Życie i czyny X. Piotra Gabryela Boduena, Missyonarza, założyciela szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, które Wincenty Hippolit Gawarecki w dziełku swojém pod tytułem: „Pisma Historyczne," w Warszawie 1824. wydrukowaném, zamieścił.

Wydał: „Opis historyczny kościoła parafialnego Śgo Krzyża XX. Missyonarzy w Warszawie," wydrukowany w Rozmaitościach warszawskich Nr. 1. i 2. Roku 1825.

Dwa tomy kazań jego, wzorowo, w duchu prawdziwie pobożności chrześciańskiéj i miłości bliźniego napisanych, jakiś lubownik literatury i przyjaciel jego pożyczył od X. Prefekta, w celu wydania ich drukiem, tego jednak nie dopełnił, i pożyczonego manuscriptu nie zwrócił, powinienby jednak to uczynić dla dobra duchownéj literatury.

G. J.

Kraków, dnia 8. Listopada 1845 r.

Rękopism, który mam honor Panu Dobrodziejowi przesłać, dziwném zdarzeniem znalazł się między mojemi papierami. Ma to być wierzytelna kopia skryptu w gałce ratusznéj miasta Krakowa wraz z numizmatami złożonego, który jeżliby dziś tam znajdował się, nie mogę ręczyć. Oryginał pisany r. 1684. przez Jana Gaudentego Zaherlle, Prowizora kościoła N. Panny w rynku krakowskim i Lonara krak.; sięga czasów Jana III., a mianowicie: przebiega w krótkości ciekawę zdarzenia w tém starożytném mieście zaszłe pod rokiem 1677., 1680. i 1683. (kopia zaś przez jakiegoś J. P. w r. 1783. i powtórnie 1789 r. zdziałana). Sam przedmiot rękopismu interessujący miłośników starożytności, rozumiem, że godnie zajmie kolumnę pisma, poświęconego wspomnieniom narodowym, którego Pan Dobrodziéj jesteś Redaktorem, i z przyjemnością czytanym będzie od wszystkich.

Przesyłając Panu Dobrodziejowi rzeczony rękopism, mam sobie za obowiązek, etc.

Antoni Więzownicki.

Kopia skryptu w gałce ratusznéj miasta Krakowa.

In Nomine Domini. Amen.

Roku 1680. dnia 23. Maja stał się straszliwy kazus w tym stołecznym mieście, gdy piorun w tę wieżą pod samą gałką uderzył, i tak wspaniałą, kosztowną i przewyborną machinę spalił, z zegarem i dzwonkiem dźwięcznym, ktorym Rzeczpospolitą do rady miasta tego konwokować zwykli, sposobu nie było ratowania tei wieży, dla ołowiu ktorym była ta wieża pokryta, gdy się topił, do obrony przystąpić nie dał. Miasto było w ten czas, i wszystek lud rożnei kondycyi stanu w nim zostający, w wielkim strachu i trwodze, gdy płomieniem cała ta machina gorzała, wiatr wielki nastąpiwszy, ogień na całe miasto nosił, co gdy ludzie obaczyli, tym bardziei strwożeni ręce opuścili, a na ten czas sam Pan Bog wszechmogący, miłosierdzie pokazał, gdy deszcz walny spuścił, ktory ow ogień, co wicher po mieście roznosił, zalewał. Wieża iednak z zegarem i dzwonkiem w proch zgorzała, ieno mury zostały, tak dalece, że żadne żelasko na nic się nie przydało. Gałka z sztybrem między kabaty spadła, w ktorei znalazły się te skrypta i numizma: ktore teraz znowu są w tę nową gałkę włożone; nad kabatami, nad arsenałem dachy pogorzały, pod Pańską izbą drzwi wygorzały, więźniow wszystkich rozpuszczono, strzelby siła naginęła, spiklerzów ledwie obroniono. Jednym słowem, ludziom na ten czas w mieście będącym zdał się bydź dzień sądny, a naywiększą pomoc i uśmierzenie ognia znać było; gdy Kapłani od Fary ogień z Nayświętszym Sakramentem obeśli i przeżegnali. O tym tak żałosnym i straszliwym przypadku Magistrat Krolowi JMci jako Panu swemu dał wiadomość, i dobrotliwy Pan miał wielkie nad miastem politowanie, rozkazawszy sobie posłać kopią wszystkich skryptow, ktore w gałce się znalazły. Wielkie dobrodzieistwa i łaski, ktore Krol JMć Pan moi miłościwy miastu temu pokazał *succincte* tu namieniam, aby na potomne wieki Obywatele tego miasta za iego Pana Pana Boga prosili. Sądził się Kaptur w tym mieście iuż po elekcyi, iednak ieszcze przed koronacyią teraźnieiszego Pana ciż PP. Sędziowie rigorose, na miasto, osobliwie na stan kupiecki nastąpili, do przysięgi, aby siedm tylko procento zarabiali; i na unkoszta powieść ich usiłowali, iakoż iuż byli Włoszy kupcy bławatni przysięgli. Czego gdy się Krol JMć dowiedział, posłał list do Sędziow kapturowych, za ktorym od wszystkiego suspendować musieli i tak Dobrotliwy Pan stołeczne miasto swoie od tak wielkiei ciężkości wybawił. Andrzei Trzebicki, Biskup krakowski, wielki

Protektor tego miasta i Dobrodziei, kazał pozywać do siebie Panow Sędziow kapturowych. Że się ważyli owieczki jego kupcow bławatnych do niesłusznei i nie podobnei przywodzić przysięgi, i kazał ich zaraz z tei przysięgi rozgrzeszyć. Wyszła potym assygnacyia na chleb zimowy na miasto Krakow, od Izby kommissarskiei, przez Seim postanowionei, Magistrat krakowski za szczegulną dobrotliwą łaską Krola JMci i to stołeczne miasto przy starożytnych prawach swoich i wolnościach iest konserwowane, tak na assygnacyią nic nie dali, iako też i deputatom, ktorzy z nią przyiechali, ani gospod, ani sustentamentu nie pozwolili. Otrzymało miasto kassacyią tei assygnacyi, przez rescript Krola JMci, et Senatus Consilio, stanęła i Konstytucyia, uwalniaiąc i konserwuiąc przy prawach miasto Krakow. A przedmieścia, dobra ziemskie dziedziczne Mieszczan krakowskich, od chleba zimowego i od wszelakiei exakcyi żołnierskich na wieczne czasy; to wszystko stanęło za miłościwą łaską i protekcyią Krola JMci. Cła wszelkie mieiskie in duplo i czopowe mieiskie na iednym Seimie do lat dwu, na drugim Seimie do lat dwu, na trzecim Seimie do lat czterech otrzymało miasto Krakow na potrzeby publiczne. Z osobliwei także miłościwei łaski i protekcyi Krola JMci, gdy wakowało Woiewodztwo krakowskie po śmierci JW. JMci Woiewody krakowskiego Alexandra Lubomierskiego, Krol JMć z osobliwei dobroci Pańskiei swoiei wskazał do Magistratu krakowskiego, aby suplikowali o wolną elekcyią Radzie i Prezydentow, to Magistrat ochotnie a pokornie wypełnił. Na co przywilei od Jego Krolewskiei Mości: Lege Publica, na Seimie grodzińskim stwierdzony otrzymał. Ktoż wyliczyć może dobrodzieistwa łaski Krola JMci, temu miastu wyświadczone. Dosyć, kiedykolwiek o co miasto do Krola JMci suplikowało, zawsze otrzymało, i choć w trzecim pokoiu Krol JMć Posłow miasta Krakowa obaczył, zaraz ich wołać rozkazał, i we wszystkim łaską swą miasto protegował i krzywdy miastu czynić nie dopuszczał. Anno 1683. gdy okrutny nieprzyiaciel Krzyża Ś. Turczyn Wiedeń obległ, Krol JMć czymprędzei do Krakowa ziechawszy, surowe uniwersały pod garłem Rotmistrzom wydał, aby się pod Krakow ściągali, potym wziąwszy publice benedykcyią na zamku krakowskim w kościele Ś. Stanisława od Nuncyiusza apostolskiego, groby Świętych Pańskich i kościoł Panny Maryi pieszo z Krolową JMcią, z Krolewiczami JchMościami nawiedziwszy w dzień Wniebowzięcia Nayświętszei Panny z Senatorami i woiskiem (ktore pokornie i bez krzywdy ubogich poddanych ciągnęło), szczęśliwie na odsiecz Wiedniowi wyieżdża. I złączywszy się z woiskami cesarskiemi, Bawarskim, Saskim i innych Xiążąt iako Generalissimus wszystkich woisk chrześciańskich, przez gory przykre, skały, chrusty i winnice, Duodecima 7bris pod Wiedniem stanie, i tam zaraz nieprzyiacielowi bitwę dawszy, nieprzyiaciela w iednym dniu cudownie, szczęśliwie, za osobliwą łaską Bożą zniosł, z pola zpędził, oboz ze wszystką armatą i municyią odebrał, i miasto Wiedeń, ktore iuż był Poganin prawie w pazury swoie wziął, oswobodził. Godzi się namienić, iż Duodecima 7bris Krolowa JeiMość, ktora na ten czas w Krakowie rezydowała, prawie z natchnienia Ducha świętego, aby w ten dzień solenna processyia była, prosiła Jmci Xiędza Biskupa krakowskiego; i tak gdy utarczka pod Wiedniem była, tu się w Krakowie processyia z Naiświętszym Sakramentem z kazaniami po ulicach odprawowała, szły wszystkie duchowieństwa, kości ŚŚ. Pańskich niesiono, ludzi niezliczona rzecz była, nawet i sama Krolowa JeiMość z Krolewiczami JeiMościami szła za Naiświętszym Sakramentem z zamku aż do kościoła Panny Maryi i znowu nazad. Prosili wszyscy gorąco Pana Boga. Komendę i Rząd miasta Krakowa Krol JMć Pan nasz miłościwy w niebytności swoiei zostawił przy mieście Krakowie, to iest przy Magistracie, lubo w bramach piechota Jmci Xiędza Biskupa krakowskiego z Muszyny wartę odprawiała. O! iak wszystko Chrześciaństwo za uwolnienie Wiednia Panu Bogu dziękowało, iakie tryumfy iakie wesołości po wszystkim Chrześciaństwie były, iakie Enkomia Krolowi JMci po wszystkim Chrześciaństwie dawano, wypisać trudno i niepodobno. Jako albowiem extreme wszystko Chrześciaństwo w żalu było, gdy Poganin niezliczoną potęgą obtoczył, tak się też extreme weselili, gdy był spędzon. Ruszył się po tym Krol JMć z woiskami Chrześciańskiemi ku Strygoniu; będąc iuż blisko Parkanu po południu w dzień Czwartkowy idąc przodkiem z woiskiem Polskim, niespodziewanie z między gor wyszły woiska Tureckie, nasze wsparły, tak dalece, że musiały circiter trzy ćwierci mile reiterować, nie bez szkody naszych. Jednak zaraz dnia trzeciego w Sobotę, za pomocą i łaską Boga wszechmogącego, Krol JMć sowicie im to nadgrodził, gdy woisko Tureckie toż pod tymże Parkanem zniosł, wyścinał, w Dunaiu potopił, tak dalece, że się Dunai krwią zafarbował, i trup Pogański, ktory swoią gęstością wodę w Dunaiu tamował, do Budy popłynął. Postąpiwszy potym woiska pod Strygonią, Xiążęta z Generałami cesarskiemi prosili Krola JMci, aby sami dobywali Strygoniu, aleć i bez naszych puskarzow i armaty się nie obeszli, i Turcy Niemcom się poddać nie chcieli, tylko Krolowi JMci polskiemu. Gdy ze Strygoniu wyszli, Krol JMć wiechał do zamku. *Te Deum Laudamus* śpiewano, węgierscy Panowie wielkie wesołości Enkomia Krolowi JMci polskiemu wyświadczali. Krol JMć armatę swoię ku Budzie obrocić rozkazał, a

Xiążęta i Generałowie cesarscy, dla nieszczęsnej zazdrości, widząc, że sława Krolowi JMci polskiemu przyznana była, przyśli do Krola JMci żegnaiącego, i deklaruiąc, że pod Budę nie poidą, ale na kwatery powrocą; i tak dla nieszczęsnej zazdrości Buda, ktora zapewne by była w ręce Chrześciańskie wpadła, gdyż w niej żadnej opatrzności nie było i nieprzyiaciel był postrachany, w rękach pogańskich została. A w tym roku gdy sami Niemcy pod Budę poszli, woisko potraciwszy, armaty odstąpiwszy, sromotnie od Budy odeszli, a Krol JMć od Strygoniu powracaiąc do Polski, Setyn miasto z rąk Tureckich na imię Krolewicza JMci Jakoba odebrał i cesarskim oddał. Weryfikowało się to i owo przysłowie Polskie: „Poki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem.“ Albowiem póki Niemcy byli w strachu, póki Wiedeń nie był eliberowany, poty Polakom dobre słowa dawali i prowiantami ich opatrowali; iak Wiedeń został uwolniony, prędko potym i prowiantów nie dawali, i woisku Polskiemu, aby nazad powrocili, ledwie nie mowili. Powracaiąc woiska Polskie przez Węgry, wielki szwank odniosły, siła ich zgłodniałych, zbiedzonych poumierało, choroby do Polski poprzynosili. Powrocił potym na granice z Opatrzności Boskiej Krol JMć, Pan nasz miłościwy, zdrowo i szczęśliwie. O czym gdy się Magistrat krakowski dowiedział, wyprawia na granice *obviam* Krolowi JMci dwóch kolegów swoich: Pawła Fryzniekiera i Adama Drużyńskiego, z powinszowaniem i powitaniem Krola JMci iako Pana swego miłościwego, przyieżdża potym Krol JMć, kędy go miasto cum Aplausu w bramie czekało. Wysiada do kościoła Ś. Stanisława na zamku krakowskim, kędy Biskup ze wszystkiemi Zakonnikami i Kapłany i niezliczoną wielkością ludu, psalmy i oracyie prześpiewawszy, *Te Deum Laudamus* skończywszy, wszyscy iednostainym głosem krzyknęli: *Vivat, vivat, vivat, Rex Poloniarum!* Potym tak w zamku iako i w mieście z dział bito, i nie tylko stołeczne miasto z cyrkumferencyiami ale i wszystkie okoliczności, kędy grzmot armaty doszedł, rozweselone zostały.

Szostego potym dnia, w dzień Ś. Jana Ewangelisty, Krol JMć z Krolową Jeimością i z Krolewiczami Ichmościami zjechał do Kościoła Panny Maryi, tam *Te Deum Laudamus* i wotywa cum summo aplausu odprawowała się, Panu Bogu dziękuiąc, że szczęśliwie i zdrowo Krol JMć powrocił z tak wielkiemi wiktoryiami; ztamtąd krolestwo Jchmoście iechali do kamienice Pana Tuccego na obiad, kędy Magistratus witał, i winszował Krolowi JMci. Oracyią miał Jmć Pan Doktor Łopacki bardzo piękną, a od Krola JMci mowił Jmć P. Kanclerz Wielki koronny. Po obiedzie samym wieczorem przypatrowali się Krolestwo Ichmość i wiele Ichmościow Panow Senatorow, ogniom kosztownym i kolosom misternie wyrobionym z rożnymi embsernatami i godnemi napisami; z dział bito, muzyki rozmaite grały, w kotły, trąby i insze rozmaite wesołości odprawiały się. Gdy tedy tyle pięknych i misternych sztuk ognistych odprawiło się, albowiem z ośmiu kul wielkich żelaznych, z ktorych fontanny ogniste wypadały, dwie się strzaskały, i kilkoro ludzi na śmierć zabiły, i tak lubo to w cichości było, iednakże dwoch puszkarzy poraziło, nie mogły te rzeczy należycie bydź skończone, iednak przecie iak bydź mogło dokończono. Niechciał Pan Bog dać miastu temu tei sławy pociechy, ktoraby była, gdyby nie ten kazus. Jednak co więcei, nie tylko to, za grzechy nasze u Pana Boga zasłużyliśmy. Zaprawdę rzeczy były bardzo piękne, widzenia godne, i stało to w rynku aż do postu, poki Krol JMć z Krakowa nie wyiechał. Te ogniste kule na fontanny, tak te co pięknie świeciły, iako i te co się zepsowały, robili dwai Włoscy puszkarze, czy to ex malivolentia przeciwko polskim puszkarzom zrobili, czy też Casu aliquo się stało, samemu to tylko Panu Bogu iawno; wzięci byli ci puszkarze do więzienia kryminalnego i kryminaliter byli sądzeni, iednak potym z woli Krola JMci, iako dobrotliwego Pana, są wypuszczeni i extra Regnum wyszli.

(Dokończenie nastąpi.)

Wykradziona.

(*Powiastka wielkopolska.*)

W pięknym zamku mieszkał Pan bogaty, a Pan był Wojewoda. Zamek otoczony wałem i wodą, na któréj białe pływały łabędzie, a w zamku wszystko się śkniło od śrebra i złota, a okna w nim były kryształowe. Ale piękniejsza nad złoto i kryształ była Kasińka, urodna córa starego Wojewody. Rumiana jak polna róża, świeża jak leśna malina, oczkami czarnémi, co by dwie tareczki połyskiwały, nie jedno serce młodzieńca do siebie wabiła. Przyjeżdżali Panowie, rycerze z dalekich stron, strojni i bogaci, a każdy, jak mógł, zakazywał się nadobnéj dziewicy, każdy z nich chciałby posiadać i serce i rękę, bo dziewczę jak słońce i posag nie mały. Ale Kasińka żadnego nie chciała, żadnego nie wybierała, jeden po drugim z grochowym odjeżdżał wieńcem.

Potajemnie już serce swe komu innemu oddała, i o tym swoim kochanku, siedząc przy kryształowym oknie na złocistém krześle, tęskne piosnki nuciła i wyglądała, rychło przed zamek zajedzie. Złote wrzecionko, na które jedwabne sprządała niteczki, jak pajęczyna jesienna delikatne, często opuszczając na ziemię, o nim myślała. Około zamku ogród był piękny, pięknemi kwiaty zasiany, i tam to Kasińka chodzić lubiła. A kiedy weszła do prze-

Mieszczanie ode Lwowa.

ślicznego ogrodu i kukaweczkę kukającą usłyszała, o wtenczas prędko jéj się pytała: „Kukaweczko, panieneczko, powiedzże mi, za ile dni Jasinek mój przyjedzie.“ Kukaweczka milczała, jakby powiedzieć nie chciała. Po chwili słyszy Kasińka w dali: kuku. „Raz tylko, to mego Jasia dzisiaj zobaczę jeszcze,“ rzekła dziewica, a serduszko radośnie bić poczęło, a uśmiech osiadł na krasnych ustach. „Dziś go zobaczę; ale ojciec, ale matka, oni choć go przyjmują, słodkim miodem częstują, jednak nie chętnie patrzą na nas, gdy ze sobą mówimy.“

Z Jasia był to wojak zawołany, choć był młody jak jagoda, jednak na dalekiéj był wojnie, ale cóż potém! nie był bogaty, a rodzice Kasiuli bogatego pragnęli mieć zięcia, a Jasiu na jednéj tylko siedział wioseczce, nie miał ani złotych rzędów na konie, ani sług licznych, świetnie ubranych, jak inni zalotnicy.

Zajeżdża Jasiu na biegłym koniu, a konik wrony raźnie nóżkami przebiera; zajeżdża przed dwór bogaty Wojewody. Wojewoda stary chojnie Jasia przyjmuje, słodkim miodem częstuje; ale rycerzowi nic nie do smaku, bo Kasiuli swéj nie widzi; pogląda ku kryształowemu oknu, próżne miejsce, gdzie siedziała, na złotém wrzecionku prządała. Kasiula w ogrodzie wśród kwiatów chodzi, piękniejsza niż białe lilije, z drobnych kwiateczków wianeczki wije, przeplatając je rozmarynem, bo i rozmarynek kwiat dla panienek; rozmawia z ptaszkami, co gadać umieją i pyta się znów tęskliwie: „Ptaszki moje, ptaszki, powiedzcie mi wieści, czy przyjedzie Jasiu dzisiaj, jak kukaweczka wróżyła?“ A ptaszki odpowiadają: „Gdybyś ty wiedziała, wzdyć byś ty prędko bieżała, bo Jasia wrony przed bramą.“ Wzięła się Kasiula czém prędzéj bieżała do dworu. Weszła skromna dziewoja jak liliowy kwiat, rycerz się skłonił, na licu zapłonął, i owa czarne spuściła oczęta. Mądréj głowie dość dwie słowie, a tym, co się miłują, jedno wejrzenie. — „Panie rycerzu, jużto od dawna widzę, jakoś się macie do mojéj dziewoi,“ zawołał Wojewoda, „ale, ale, nie będzie z téj mąki chleba. Wpadła wam w oko, a i w serce pewno; zamierzyłem ja ją wydać za innego. Bawić i bywać u mnie możecie, to pozwolę, pomnąc na usługi waszego nieboszczyka rodzica, ale o Kasiuli nie myślcie.“

Dziwnie brzmiały te słowa rycerzowi, który ciężkie westchnienie ledwo mógł powstrzymać; chciał się wymawiać, ale słowa utknęły w ustach. Śliczna dziewoja odwróciła się ku oknu, a łza stanęła jéj w czarném oku; rycerz Jasiu zadumał się trochę, po chwili udawał wesołość i gawędził i śmiał się ze wszystkimi. Nareście trzeba było odjechać, polecił ich Bogu; siadł na wronego i daléj cwałem w swą stronę; a Kasiula tymczasem wysunęła się do ogrodu, aby jeszcze z chwilę pomarzyć i zaczętego dowić wianeczka. Ale zamiast wianek wić, chodziła zadumana, myślała o Jasiu. A Jasiu przejeżdża koło ogrodu, widzi swoją kochankę po ogrodzie chodzącą, wstrzymuje konia i z niego schodzi, aby z nią parę słówek pomówić; powiedzieć jéj to, o czém milczeć był zmuszony. Długo, długo ze sobą rozmawiali, znać się namawiali; Jasiu odchodząc, za dni kilka przyjechać obiecał; Kasię ścisnął za rączkę, siadł na wronego i pojechał. Za kilka dni wielka uczta we dworze, bo to podobno były zaręczyny Kasiuli z bogatym jakimsiś Panem; wiele i pysznych i bogatych, a między nimi ubogi Jasiu. Kasińka choć smutnie chodziła, piękniéj i bogaciéj ubrana w złocistych szatach z pierścieniami na palcach, mile jednak na Jasia patrzyła. Trwała zabawa późno w noc, wesoło tańczyli, z wielkich złotych kielichów ochoczo i rzeźwo spijali. Zbliżył się Jaś do Kasiuli i tak ją zagadnął, aby nie wszyscy rozumieli: *Moja Panno tymczasem, stoi burza nad lasem: będzie, czyli nie będzie?* Na co mu Kasiula odpowiedziała i mile się uśmiechając: *Będzie, jeno się dąb z lipą powali, nim ci zagrają, co rogowe pyszczki mają.*

Ustała kapela; jedni odjeżdżali, drudzy się udali na spoczynek, a i Jasiu siadł na wronego i pojechał niby w swoją stronę. Kiedy się wszystko we dworze uciszyło, kiedy się dąb z lipą powalił, t. j. ojciec z matką zasnął, nim koguty piać zaczęły, wyszła Kasiula drzwiami do ogrodu i już ci była na koniu miłego rycerza, już jedzie, przebiera rączo konik nóżkami, bo wie kogo wiezie.

Rano wstają, szukają panny, i nie ma, i nie ma w bogatym dworze; gdzie się podziała, nie wiedzą; aż jaskułka, która gniazdko swe lepiła, w szczycie wyświegotała, w którą uciekła stronę. Siadajcie na koń, siadajcie na koń! biegnijcie, co konie wybiegną, przywieźcie mi córę jedyną.

Posiedli słudzy na rącze konie i pędzą, i pędzą różnemi drogami, i znaleźć nie mogą, i śladu nie mają, kędyby panna uciekała, bo kto ucieka ma jednę nogę bez liczby, którzy szukają, i często choć blisko są siebie, często się jednak mijają. W dalekiéj stronie Jasia zgonili z Wojewodzianką na koniu; pannę odebrali, Jasia puścili, bo taki rozkaz mieć mieli. Cieszą się wszyscy, jadą wesoło, a panna szlocha i płacze; a gdy do dworu wielkiego przybyli i bramą wjechali, ojciec jéj nie chciał przypuścić do siebie, ale w ciemnéj zamknąć kazał wieży. Tam to Kasiula, cudna dziewula, w smutku i ciężkiéj żałości płacząc, siedziała, małém okienkiem, rzewniąc sobie, na świat boży patrzała. Tam to w téj wieży wysokiéj i ciemnéj mijała jéj młodość, ginęła uroda. Ale nie długo było gniewu rodzica, dał się przeprosić, przebłagać, i żal mu się robiło, tak

krasnéj córy, jéj pięknéj urody; wypuścić ją kazał. I znów Kasińka w ogrodzie chodziła, wianeczki wiła i z drobnych kwiateczków, znów przy kryształowém oknie siadała, na złote wrzecionko niteczki sprządała. Nie długo potém i Jaś zajechał na swym koniu wronym, ojca przeprosił i matkę przeprosił, i córy rękę otrzymał.

Sprawili wesele, rozkosznie tam było, tańczono wiele, pić i jeść było do sytu, dziko zwierzyny, leśne ptaszyny, kaczory, gąsiory, pieczono obficie; a po weselu Pan Wojewoda córę jedyną mianował, połowę wiosek i miast połowę, i pieniędzy jéj dał co nie miara, a tak rycerz ubogi stał się Panem bogatym, ale, jak się zwał, nie pomnę; Jasiem go tylko wszyscy nazywają; dość, że na tém weselu i ja byłem, z młodą Panną tańczyłem, jadłem i piłem, aż z brody kapało, a w gębie nic nie postało.

*W.

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

XVI.

Pustelnik i Król.

Nie daleko jednego królewskiego zamku żył pustelnik prowadzący bardzo przykładne i bogobojne życie; wszyscy okoliczni znajomi kochali go bardzo, sam Król nawet hojnie go żywnością obdarzał. — Już mu szósty dziesiątek lat mijał, gdy raz czytając księgi święte, nad temi słowami się zastanowił: „O co kolwiek kto Boga gorąco prosi, zaiste uprosić może.“ — Zadumawszy się długo, mówił sam do siebie: „Zda mi się, iż się to nie zawsze sprawdza, ale zobaczę, będę Boga gorąco prosił, aby mi Król nasz dał córkę swoją za żonę.“ — Uczynił tak jak mówił; a gdy się już długo i gorąco modlił, usłyszał głos: „Idź do Króla i żądaj córki jego, a stanie ci się według twéj woli.“ — Pustelnik poszedł do Króla i prosił go, by mu dał córkę swoją za żonę; Król zdziwił się bardzo, ale odpowiedź obiecał mu dadź dopiero za parę dni. — Gdy pustelnik odszedł, Król powiedział to żonie swojéj, która rzekła: „Jeżelić to jest wola Boża, któż się jéj sprzeciwić może? ale powiem o tém córce, i usłyszę, co ona mi na to rzecze.“ — Córka zaś odpowiedziała Królowéj: „Jeżeli tak Bóg przeznaczył, żaden się Jego świętéj woli nie oprze.“ — Królowa donosi mężowi o tém. — Król począł dumać; a gdy pustelnik po parę dniach przyszedł znów po odpowiedź, Król mu rzekł: „Obaczymy, lecz jeszcze kilka dni czekać musisz.“ — Potém wezwał Ministrów swoich do rady, którzy tak uradzili: „Znaleźliśmy w starych księgach, że trzech synów królewskich naszego państwa dziedziczyli po ojcu dyament tak wielki, że się o podział jego zgodzić nie mogli; wyrysowali na nim dzień i rok téj sprzeczki, także imiona swoje i kazali ten dyament wrzucić w morze. — Radzimy więc Królowi, aby zadał pustelnikowi: iż jeżeli kamień ten z morza dostanie i odda go do królewskiego skarbcu, to życzenie jego może się spełnić.“ — Król oznajmił taką decyzyą pustelnikowi, który powróciwszy do domu; prosił znowu gorąco, aby mu Bóg dopomógł wypełnić to trudne żądanie. — Gdy się już długo modlił, usłyszał głos w ścianie: „Ja ci pomogę, ale i ty mi pomódz musisz.“ — Pustelnik chodził i macał po ścianie, a głos znowu odzywał się ze ściany: „Macaj wyżéj,“ lub też „macaj niżéj,“ nareszcie pustelnik trafił w ścianie na glinę, i gdy ją odkuł, znalazł flaszeczkę zapieczętowaną, w któréj była mucha. — Ta prosiła go bardzo, aby korek odetknął. — Gdy to uczynił, wyszedł z flaszeczki raźny myśliwiec, i przyrzekł mu, że mu dyament sprowadzi, i poszedł. Pustelnik czekał jeszcze czas jakiś, gdy wtém przed jego chatką coś okrutnie pukło, tak, że aż ziemia stękła; a potém myśliwiec zawołał: „Masz już czego ci trzeba było.“ — Pustelnik wyszedł i przekonał się, że prawda, ale sobie myślał, jakimby zaś sposobem i tego jegomości można do flaszeczki dostać; rzekł mu tedy: „Dziwuję się, jakoś mógł kamień tak wielki „tu przynieść, ale jeszcze bardziéj dziwuję się „nad tém, jakoś ty do téj małéj flaszeczki mógł „wnijść?“ — Zły duch odpowiedział: „To ci zaraz pokazać mogę,“ i w tém wsunął się do flaszeczki i w muchę przemienił; pustelnik zatknął go co prędzéj korkiem i zapieczętował. — Zły duch biadał bardzo we flaszeczce, ale pustelnik dopisał na flaszeczce: „Bądź potępiony na wieki wieków!“ jeszcze i słówko: „Amen,“ i tak flaszeczkę w dawném miejscu zalepił. — Potępieniec jeszcze długo biadał, ale gdy pustelnik wymówił słowo: „Amen,“ umilknąć musiał.

Potém zaś pustelnik poszedł do Króla, i oznajmił mu, że już ma dyament; ale prosi go, aby czterema końmi po niego przed pustynię przysłał. — Po sprowadzeniu kamienia, przekonali się Ministrowie, że jest ten sam, jak go kronika opisywała; Król przekonał się sam, i dzień wesela wyznaczył. — Na ten dzień przyszedł pustelnik we włosiennicy, chciano nań wdziać królewskie odzienie, ale on nie przyzwolił; powozy królewskie jechały do kościoła, on zaś wymawiał się jechać i szedł pieszo; Króla to gniewało trochę, ale mu nie przeszkadzał. — Przed ołtarzem pytał się ksiądz Królewnéj, jeżeli ma wolą wziąść sobie za męża tego, który przy niéj klęczy? ona odpowiedziała: „Mam.“ — Ksiądz pytał i onego o to samo, a on odpowiedział: „Nie mam.“ — „A to

dla czego?" rzecze ksiądz; — pustelnik odpowiada: „Czytałem w księgach świętych, że wszystko możemy uprosić u Boga, i próbując czy to prawda, o małom nie wpadł w pokuszenie i w moc złego ducha; widząc teraz, że miłosierdzie Boskie jest bez granic, chcę całą resztę mego żywota poświęcić na przebłaganie Boga, żem o tém śmiał wątpić." — Król się znowu gniewał, że sobie niepotrzebnego wydatku przysporzył, ale gdy sobie przypomniał dyament, udobruchał się; a pustelnik powróciwszy do swéj pustyni, spokojnie i szczęśliwie resztę swego żywota w pobożności, postach i ostréj pokucie zakończył.

Przysłowia.

Klaczka, pszczółka, pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica.

Dziewcze małe, czesz; starsze, strzeż;
Potém zapłać komu, by wziął z domu.

O przyjaźń nie stoję, gniewu się nie boję.

Kto kocha, ten nie uważa.

Im czarniejsza rola, tém lepiéj rodzi.

Kiedy z oczu, to i z myśli.

Nie dał Pan Bóg świni rogów, boby bodła.

Zachciało mu się, by staréj babie tarnków.

* *

Nº 144. *Modlnica pod Krakowem*

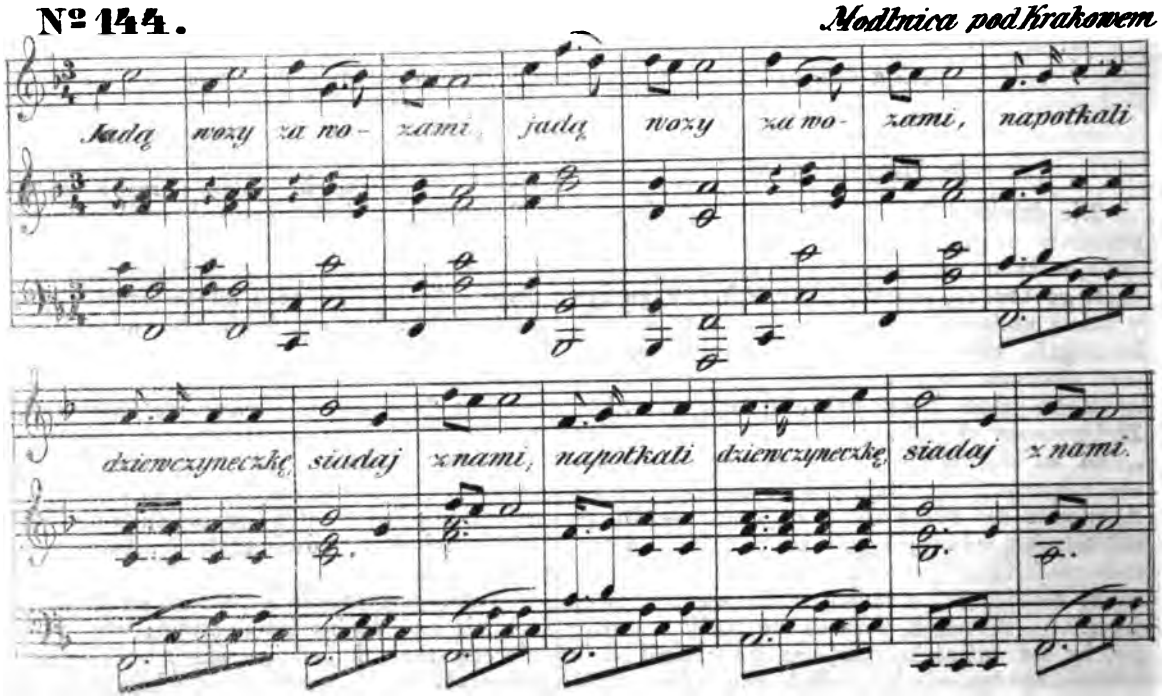

Text do *Nru. 144.*

1. Jadą wozy za wozami (bis),
Napotkali dziewczyneczkę, siadaj z nami (bis).
2. Siadaj z nami żołnierzami (bis),
Byłaś dotąd panieneczką, będziesz pani (bis).
3. A my tobie dopomożem (bis),
Wystawiemy chałupeczkę za obozem (bis).
4. I my tam bywać będziemy (bis),
Miodu, piwa, gorzałeczki wypijemy (bis).
5. A jak z wojny powrócimy (bis),
Za miod, piwo, gorzałeczkę zapłacimy (bis).

(*J. Konopka*, P. 1. kr. str. 147.)

Sprostowanie.

Nr. 7. str. 54., wiersz ostatni w nótce zamiast XXX. ma być *XIX.* — *Nr.* 8., str. 58, wiersz 31, zamiast sprzączki czytaj *sprzęciki.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor Dr. *Szymański.*)

Nr. 18. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 2. Maja 1846.

Miasto Lwów. — Kopia skryptu w gałce ratuszńéj miasta Krakowa (dokończenie). — Mazurzy. — Leon Haber. — Klechdy ludu polskiego w Szlązku (dalszy ciąg). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

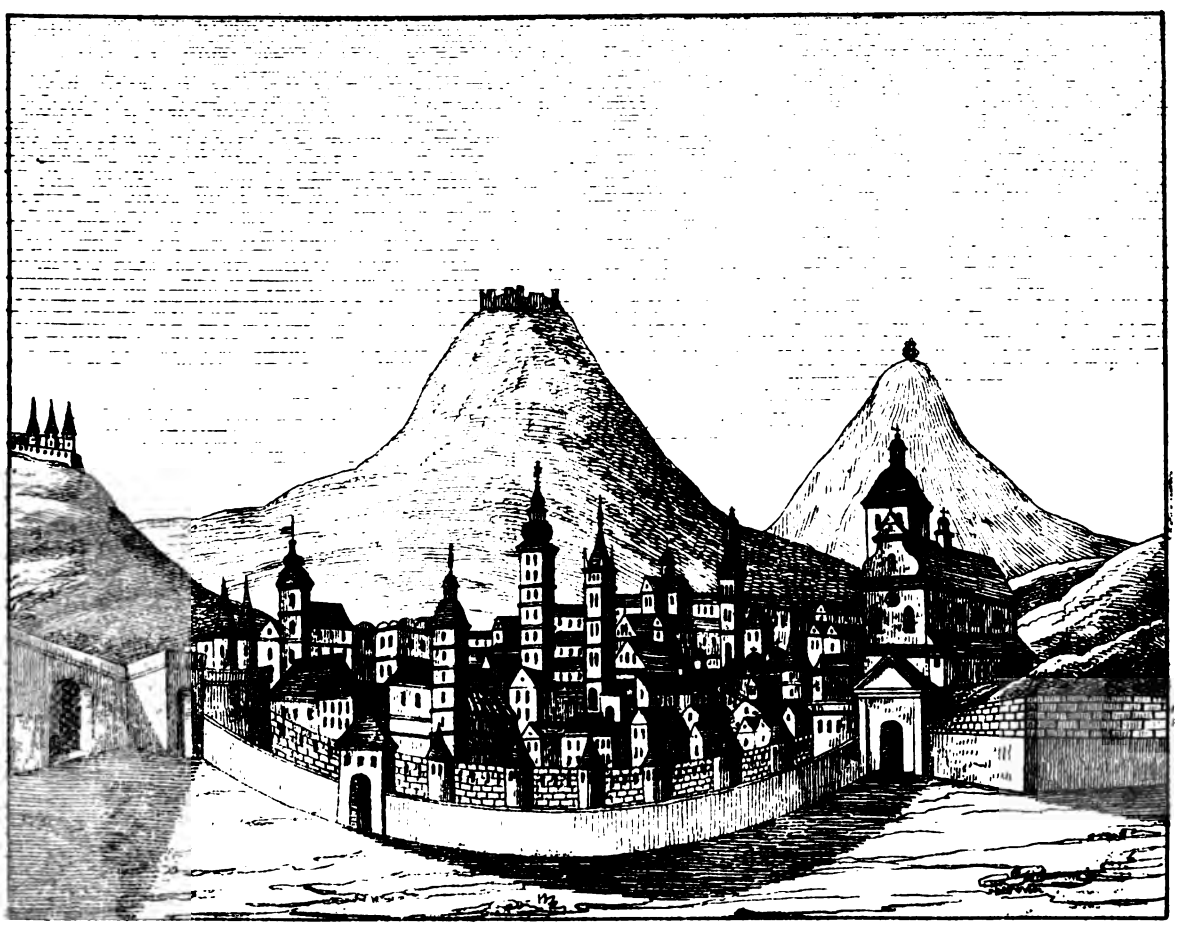

Wyobrażenie Lwowa przed rokiem 1731.,
umieszczone al fresco w klasztorze Xięży Dominikanów w Jarosławiu.

Lwów.

Braciszek Minorytów Joachimus Ornanus, malując w r. 1731. kościół Panny Maryi w Jarosławiu, umieścił w kurytarzu historyą przeniesienia podczas nieprzyjacielskich napadów cudownego obrazu, z któréj przerysowane jest niniejsze wyobrażenie miasta Lwowa. Że to jest kopia rysunku daleko dawniejszego, okazuje wieża ratuszna, na obrazku czworokątna, lubo, jak wiadomo, przez Marcina Kampiana już w roku 1616. na ośmioboczną przeistoczoną została. Nie ma także pięknéj okrągłéj wieży XX. Bernardynów; a kościół ten z ciosowego kamienia po zwycięstwie Zygmunta III. nad Moskalami, ze składek wracającego wojska był dokończony, i już w roku 1630. poświęcony. Gdy jednak ukończony w tym samym czasie kościół XX. Jezuitów z wieżą po 1830 roku zniesioną już istnieje, wnosić należy, że wieża bernardyńska późniéj dobudowaną została. Kościół Trynitarzy, czyli dzisiejsza biblioteka akademiczna, przy którym znajdowały się dwie wieże, przed piętnastu laty zdjęte, przez Annę Wielohurską, Kasztelanowę wołyńską, w roku 1729., podobnie też piękny kościół Dominikanów przez Józefa Potockiego, W. Hetmana koronnego, Kasztelana krakowskiego, dopiéro w r. 1749. założony, na obrazku nie znajdują się. Na wzgórzu widać cerkiew, przed wielu laty rozebraną, XX. Bazylianów, którzy jeszcze za panowania Leona Xiążęcia halickiego około roku 1292., przy sadzie pod górą zamku wysokiego osiedli, a teraz na Żołkiewskim przy cerkwi Ś. Onufrego znajdują się. Dzisiejszy Lwów, wielu gmachami powiększony i z przedmieściami połączony, ma zupełnie inną fizyognomię. Baszty, mury i bramy miejskie zniknęły. Góra zamkowa, jeszcze przed sześciu laty od szczerego piasku biała i naga, dziś młodemi drzewkami, już w las porastającemi, umajona, stała się miejscem najprzyjemniejszéj przechadzki. Nie mało ozdoby dodają miastu cerkiew Ś. Jerzego, przez Metropolitów Atanazego i Leona, braci Szeptyckich, około r. 1746. zbudowana, i pałac Arcybiskupów obrządku łacińskiego obok fundacyi Sobieskich przez zmarłego X. Arcybiskupa Piszteka w r. 1844. postawiony, co na dawniejszym rysunku oczywiście znajdować się nie może.

L. K.

Kopia skryptu w gałce ratusznéj miasta Krakowa.

(Dokończenie.)

Dotknął też Pan Bog to miasto anno 1677. powietrzem morowym, ktore w tym mieście lat 4 grassowało, umarło ludzi w tym mieście i cyrkumferencyach iego 21,572 komputuiąc i Żydow. Biskup krakowski Andrzey Trzebicki, i Kapituła krakowska, wielkie dobrodzieistwa na sustentament tych strawionych ludzi wyświadczali. Mnie, Jana Gaudentego Zacherle, Magistrat uprosił, ażebym temi ludźmi zawiadował, i rząd w mieście, quo ad Securitatem pestis, trzymał. Miałem od Krola JMci uniwersały, aby mnie w Krakowie, w Kazimierzu, w Kleparzu, i po wszystkich Jurysdykcyiach z tei i z tamtei strony Wisły słuchali. Jmć X. Biskup w kościołach przykazał, żeby nikogo bez moiei attestacyi i rewizyi nie chowano. I kędykolwiekby się, na mieiscach duchownych lub klasztorach powietrze pokazało, zdał mi zupełną iurysdykcyią postępować sobie, iakobym nailepiei rozumiał. Służyłem tedy ludziom według moiei możności, i Pan Bog dziwnym sposobem mnie i domowych moich, mowię, dziwnym sposobem, od tei zarazy zachował, lubom siła razy był w niebezpieczeństwie, i ktokolwiek tym ludziom bez interesu służył, każdego Pan Bog zachował. Bywszy tedy u Magistratu iuż to na rok piąty, uproszonym Lunarem, sporządziwszy sumptu publico wiele rzeczy potrzebnych miastu temu; dałem też ten zegar zrobić Pawłowi Mieczalowi w Gliwicach sumptu Errarii Publici, za złotych Currenti moneta dwa tysiące dziewięćset, a na cymbał z wieży mieiskiei przy kościele Panny Maryi dałem spuścić dzwon gwałtowny, ktoremu było lat trzysta trzy, a nie zażywano go iuż iako od zabicia Tęczyńskiego dwieście dwadzieścia lat. Spuścił ten dzwon Piotr Beber, Prusak, z wieży Panny Maryi Samotrzeć, a potym na saniach z ochotą pospolstwo porwawszy go iak pioro pod ratusz zaprowadziło na saniach, i tenże Beber znowu z troigiem czeladzi wprowadził go na wieżę ratuszną. Żalby mi było, żeby koszt publiczny, a praca moia miała zniszczeć, to iest, żeby ten zegar w koncie rdza nie ziadła, za wolą Magistratu sumptem z czopowego mieiskiego podiąłem się dozoru postawienia tei wieży; miałem tego Bebera, cieślę, człeka poczciwego, trzéźwego, wiernego i życzliwego, ktory tę wieżą buduie. Co wszystko niech będzie Panu Bogu na cześć, na chwałę. Pokornie suplikuiąc do Maiestatu Troice Przenayświętszei, aby i tę wieżą, i to miasto, i to Krolestwo, bronił od wszelakiei przeciwności i przygody, suplikuię do Panny Przenayświętszei Niepokalanie Poczętei, zawsze Panny Polskiei Krolowei, i tego miasta Protektorki, i Świętych błogosławionych, ktorych tu ciała też leżą, i pod imieniem ich kościoły są założone, o przyczynę.

Jeżeli kiedykolwiek po śmierci moiei ten skrypt, który teraz w tę gałkę kładę, będzie czytany, proszę za duszę mnie grzesznego o iedno do Pana Boga westchnienie. Proszę szlachetnego i prześwietnego Magistratu, także całei Rzeczypospolitei miasta tego, aby na potom-

ki moie, ieżeli się na ten czas znaydować będą, byli łaskawi. Gdyż miastu temu stołecznemu, szczérze, wiernie i życzliwie służą, iuż to rok dwudziesty szosty, nie z iakiei prywaty albo respektu, ale z samei miłości przeciwko mnie miłei i kochanei oyczyznie, miastu temu stołecznemu, kościołowi P. Nayświętszei, z woli Magistratu, iestem niegodny sługą i prowizorem rok piąty. Dał mi Pan Bog synow dwoch: Jacka Gaudentego, i Gaudentego Stanisława; synowcow: Jana, Mikołaia, Sebastyana, Krysztofa, Antoniego, Dyionizego. W kłopotach, turbacyiach, pracach i w zdrowiu słabym, z woli Pana Boga moiego, pędzę życia moiego rok czterdziesty piąty, znałem i znam zawsze nademną grzesznym miłosierdzie i wielką łaskę Bożą za co niechai Pan Bog w Troycy Świętei iedyny będzie na wieki błogosławiony. Datum w Krakowie, w kamienicy kochanych rodzicow moich, na rogu po prawei ręce wchodząc w ulicę Jana Świętego z rynku. Roku Pańskiego 1684. Dnia dwudziestego wtorego Grudnia.

Jan Gaudenty Zacherla, R. K.
Prowizor kościoła Nayświętszei Panny w rynku krakowskim, i Lonar krakowski.

Ten skrypt był pisany, i iest, na prawdziwym tureckim papierze pod Wiedniem w obozie zdobytym od iednego Obersztera mnie darowany.

Kopia tego przepisu 1783go roku spisana, odemnie Franciszka Kuderskiego przekopiowana i znowu powtornie odemnie roku 1789.

J. P. mp.

Mazurzy.

Nazwisko Mazurów i prowincyi Mazowsza odnosi się do najdawniejszéj przeszłości. Naród ten zamieszkuje okolice Płocka, Warszawy i Rawy. Mazury mówią dialektem, który nie jest czystym językiem polskim, połykają wiele liter, czasami nawet całe syllaby, co jest przyczyną przysłowia polskiego: „Mówi jak Mazur.“ Ich taniec, który nazywają Mazurkiem, znany jest w całéj Polsce i za granicą. Mazurzy są silnie zbudowani; z wesołém usposobieniem łączą chęć do pracy, odwagę i waleczność. Będąc doskonałymi strzelcami, zawsze byli przyzwyczajeni od najdawniejszych czasów nosić na ramionach strzelbę do polowania, lecz nakaz rządu zabrania im użytku téj broni. Lubią żyć w lasach, które nazywają swymi dobrodziejami, i przyznać trzeba, iż lasy w istocie są dobrodziejstwem dla chłopów polskich. Kiedy nieprzyjaciel zburzy ich wsie, zrabuje dobra, uciemięża mieszkańców, gdy ich pędzi w niewolę; starcy i kobiety ze swemi dziećmi zabierają co mają najdroższego i najkosztowniejszego w lasy, gdzie znajdują schronienie; osłabieni głodem i zimnem, pozbawieni wszelkich środków, unoszą z boru swego pana kilka sztuk drzewa do palenia lub budowli, bo nic nie posiadają; przedają je Zydowi któremukolwiek, ażeby zakupić soli i chleba, i opędzić pierwszą potrzebę życia, a reszty drzewa używają, ażeby się ogrzać. Lubo są bardzo bogobojni, nie uważają téj kradzieży za grzech, tłumacząc się swoją biedą, która ich zmusza poszukać sobie potrzebnych rzeczy do życia. „Marysia,“ mówi zwyczajnie Mazur do swéj żony, gdy powraca z chlebem i solą, „prawda, iż te zapasy zakupiłem drzewem mego pana; lecz zapewne mi to Pan Bóg nie policzy za grzech i dla tego możemy spać spokojnie; bór nie był zamknięty, to ziemia Mazurów, a ja jestem prawdziwszym Mazurem, niech mi to Bóg przebaczy, niż ten Ciarach.“

Te słowa dowodzą, jakie wyobrażenie mają chłopi polscy o własności swego pana. Lubo szanują prawa własności tego, u którego są w służbie, nie mogą się jednak uchronić od przykrego uczucia, gdy w chwili nieszczęścia przychodzi im na myśl, iż ta obszerna ziemia, zamieszkała przez ich ojców, jest od tak dawnych wieków w ręku kilku ludzi.

W dni świąteczne noszą chłopi Mazowsza sukmanę niebieską, która dochodzi do kolan, z wyłogami i sznurkami koloru amarantowego; spodem mają kamzelę z sukna niebieskiego lub zielonego, obszytą na przodku aksamitem czarnym lub białym. Spodnie są zawsze z płótna w paski, a naokoło ciała noszą pas czerwony lub żółty. W dnie robotne noszą sukmanę białą, czarną lub szarą; koszula spada na spodnie i nogi są bose. Czapki niskie i w różnych kolorach są obszyte barankiem; latem noszą kapelusz słomiany, lub z wełny białéj, lub szaréj, zwyczajnego kształtu.

Kobiety noszą spodnicę w różnych kolorach, fartuch w kwiatki lub w paski, gorset koloru jasnego, kaftan niebieski lub zielony; reszta ubioru podobna krakowskiemu.

Gdy młody Mazur ma chęć ożenienia się, udaje się sam do ojca ulubionéj, i odzywa się do niego w te słowa: „Mój ojcze, dajcie mi waszę córkę za żonę; bardzo mi się podoba, zarazbym chciał kazać się zapowiadać w kościele; lecz się zdecydujecie; bo jeżeli mi odmówicie waszą córkę, będę przymuszony szukać sobie innéj.“

W dzień zmowin udaje się zalotnik w towarzystwie przyjaciół i muzyki, która się składa z kilku skrzypcy i gra mazurka, do swéj narzeczonéj. Po zwyczajnych pozdrowieniach mówca stawa przed przyszłymi małżonkami, odmawia oracyą wierszem i przyozdabia ich głowy wieńcami z kwiatów. Pierwsza druchna, która zawsze jest przy boku młodéj panny, wyjmuje z jéj wieńca kilka kwiatów, z któ-

rych kładzie sobie kilka za gorset, a resztę podziela pomiędzy przytomnych. Gdy jeden z druchów również rozdał kwiaty z wieńca młodego pana, siada młoda panna na dzierzce, gdzie odbiera wszelkie posługi od swoich towarzyszek, które plotąc po raz ostatni jéj warkocz, śpiewają stósownie do téj okoliczności.

Po skończonym śpiewie uwieńczają młode dziewczęta głowę narzeczonéj, która przed wyjechaniem do kościoła rzuca się do nóg swych rodziców, aby odebrać błogosławieństwo. Młodzi parobcy wsiadają na konie, a młody pan przodem; za nimi ciągnie się wóz, na którym się znajduje narzeczona z młodemi dziewczętami; rodzice i przyjaciele jadą za nimi; muzyka gra piosnki narodowe, a gdy przestaje, śpiewają młode dziewczęta.

Gdy pochód powraca z kościoła i już jest na pół drogi, pierwszy drużba popędza swego konia, biegnie galopem do domu, porywa chleb i wraca do swoich. Po tém przybliżywszy się, z chlebem w ręku, do wszystkich wozów, zaprasza gości do rodziców narzeczonéj.

Po przybyciu do domu wchodzą rodzice, osoby najstarsze obojéj płci i muzyka do domu, tymczasem młode dziewczęta i parobcy stawają przededrzwiami, otaczają młodych małżonków i śpiewają w ten sposób: „O rodzice! Bóg wam dał za córkę ładną i dobrą Marysię; a dzisiaj daje waszéj córce ładnego i uczciwego chłopca za męża; Bóg im już pobłogosławił w kościele, przyjmiéjcie ich teraz w imię Boskie do waszego domu.“

Rodzice wychodzą przed dom, a podawszy młodéj parze chleb i sól, proszą ich, aby weszli do mieszkania z wszystkimi przytomnymi. Śniadają i tańczą aż do południa; potém jedzą obiad. Przed zapoczęciem pierwszéj potrawy, gospodyni domu pije za zdrowie młodéj mężatki; całe towarzystwo uderza pięścią o stół, i woła: „Niech żyje młoda mężatka!“ Potém pije ona za zdrowie swego męża, a za jéj przykładem idą wszyscy goście, którzy chwytają za kieliszki i wychylają je, winszując sobie po przyjacielsku. Groch, pasternak i flaki, są trzy potrawy niezbędne przy téj uczcie. Przed zaczęciem jadła śpiewają goście piosnkę stósowną do potrawy, którą im dano, i tony muzyki, pomieszane z głosami mowy, dodają nowego powabu uroczystości.

Po uczcie oczepia jedna z najstarszych kobiet, przyjaciółka familii, młodą mężatkę. Skoro ta rzecz swoję skończyła, przybliża się pierwszy druch do młodéj mężatki zdejmuje jéj czepiec, i kładzie natomiast swoją czapkę, mówiąc: „Ten czepiec jest nadto ciasny; niewygodnym ci jest, moja czapka będzie ci lepszą.“ Natenczas przybliża się pierwsza druchna, bierze czapkę, oddaje ją właścicielowi, a młoda mężatka odbiera z jéj ręki czepiec, który jéj był wsadzony; lecz drugi druch znów go bierze i pokrywa swoją czapką głowę młodéj mężatki, powtarzając jéj słowa pierwszego drucha. Ta scena, która bardzo przytomnych bawi, nie ustaje, aż wszyscy tę samą rolę odegrali. Gdy czepiec przeszedł już przez wszystkie ręce, kobieta najstarsza znów go kładzie na głowę młodéj mężatki, i w ten sposób kończą się oczepiny; poczém młode dziewczęta śpiewają piosnkę przy téj sposobności zwyczajną.

Po téj ceremonii daje każdy z przytomnych jaki podarek młodéj parze, a wesele trwa póki się młode małżeństwo nie uda do swego mieszkania.

Léon Haber.

W Warszawie roku 1829. mieszkała u Kapitanowéj Banickiéj, młoda śliczna sierota. Jéj kibić była smukłą jak topola, wiotką jak osika, jéj lice to pyłek róży na tle jazminowém, a oczy to nasze ranne wiośniane słońce za rąbkiem mgły majowéj.

Kapitanowa kończyła rok 45ty, była wdową, Kalwinką, szeptała pacierze, należała do redakcyi zbiorowego pisma plotek miejskich, ciągnęła pasyanse, wykładała kabały i zażywała tabakę. Kobieta ta miała córkę, pięcioletnią dziewczynkę, złe, rozpieszczone dziecko.

Emilia, bo tak było na imię sierocie, bawiła się z dzieckiem, z cackami, weseliła się lada fraszką, zanosiła się od śmiechu, zwyczajnie dziewczyna; to znowu krwawo zarabiała na kawałek chleba, często koło północy jasne oczka przyćmiła nad igiełką przy ciemnéj szabasówce. I posępniała czasami, i gorzko i rzewnie sobie zapłakała, zwyczajnie sierota.

Do liceum warszawskiego uczęszczał w 1829 roku Żyd Leon Haber. Nie zamknięty w sobie jak jego współwyznawcy, ale łgnący do każdego. Serce mający i w oku i w ustach, a w sercu przyjaźń. Jego koledzy słyszeli w domu, że Ewa skusiła Adama, i bili pierwszą, którą napotkali, Ewę. Słyszeli, że Żydzi ukrzyżowali Boga człowieka; bili zatem i nienawidzili Żydów. A przecież psotni malcy nie śmieli zaczepić Leona, a nawet nie jeden żartowniś, drwiący z innych Żydków, spuszczał oczy, gdy spotkał jego wejrzenie, i stawał zapyrzony jak gdyby młody filut złapany na gorącym uczynku; przycinek konał mu w gardle, szyderczy uśmiech zastygał na ustach. I wszyscy lubiliśmy Leona. Bo sercem, odwagą, szlachetnością był nasz, mówił jak wszyscy tamtejsi Żydzi dobrze po polsku, a czuł i myślał tak jak my. Pochodzeniem, pokrewieństwem i wyznaniem, był połączony z Żydami. Szanowaliśmy jego ujmowanie się za nieszczęśliwymi towarzyszami tych smutnych losów, które ich tak długo na uwięzi trzymają, przez jakieś dziwne niezrozumienie własnego stanowiska.

W téj ładnéj nieszczęśliwéj Emilii, poko-

Mazurzy.

chał się ten poczciwy, równie nieszczęśliwy Leon. Że się pokochać mogli — o! to mi zapewne przyznacie. Ona świeża i piękna jak ideał kochanka wymarzony gorącą piersią w pierwszém przeczuciu miłości. A jéj uczucie to było światło słońca, rozsnute dziewiczemi wdzięki w barwy tęczowe, a te barwy, jasne, żywe, lśniące, wabiły oko, nęciły zmysły, zachwycały duszę, bo przebijało się w nich tło niezatarte, pierwotnéj śnieżnéj jasności. Jéj głos w melodyjnych odmianach, odpowiadających obfitemu zdrojowi jéj uczuć, przypominał jakieś czarowne dźwięki, wymarzone, wypieszczone w lepszych może światach, albo podsłuchane w szmerze nadwiślańskiéj kępy, w jęku słowika na Maciejowickiéj błoni, i szczebiotaniu skowronka, zwiastuna lepszéj przyszłości.

Leona znowu ognisty charakter skąpał się w gorzkiéj toni smutnych doświadczeń melancholijnych rozmyślań. Jego twarz i głos, i mowa i życie, nacechowały się tém dwojakiém piętnem, szlachetności i nieszczęścia. Można było poznać z jego wzroku, wyższe cierpienie, które niewinnie ponosił; a taki stan duszy musi wzniecić współczucie w każdém czułém sercu, a tém więcéj w sercu, co także zakosztowało z kielicha goryczy. Nieszczęście lgnie nawzajem do siebie, jak dwa statki z potrzaskanemi masztami nadwątlonemi stéry łączą się do niebezpiecznéj żeglugi. Leon wszedł w dom Kapitanowéj Banickiéj jako nauczyciel jéj pięcioletniéj córeczki. Koledzy, którzy mu tę lekcyę nastręczyli, nie wspominali o jego wyznaniu. On sam nie kwapił się z rozmową o tym przedmiocie. Emilia była u Kapitanowéj już lat 9. Sześcioletnią dziewczynką dostała się do niéj, do delikatnéj hafciarskiéj roboty. Kapitanowa polubiła sierotę, i zatrzymała u siebie. Postępowała z nią z całą uprzejmością i delikatnością dobréj wykształconéj osoby, a jednak sierota często musiała gorzko zapłakać. Nie jedno bez rozwagi wyrzeczone słówko przypominało jéj okropne położenie, w którém się znajduje; to znowu grymasy Panny Kapitanówny zatruwały na długo jéj spokojność.

Leon przy pierwszém widzeniu odgadnął smutek Emilii i tegóż przyczynę. Polubił ją, jako siostrę spokrewnioną całém pasmem przeszłych życia kolei i widokami smutnéj przyszłości; pokochał ją, jako jedyną istotę, co go będzie mogła zrozumieć i pojąć. Ich zbliżenie było bardzo prędkie, nie wiele godzin z sobą rozmawiali, a już czytali sobie nawzajem w głębi duszy, już im dość było jednego spojrzenia, ażeby sobie cały zwój myśli udzielić. Zrażony przesądami świata, zawiedziony stokrotnie w uczuciu przyjaźni, czerpał Leon z oczu Emilii zdrój rozkoszy, osłodę poniesionych zmartwień, pokrzepienie do nowéj walki ze światem do nowego życia. Ona oddychała wolniéj, swobodnie przy jego boku; czuła, że nie jest samą jedną na tym świecie. Poznała duszę bratnią, co potęgą swego uczucia, miłość matki i ojca i rodziny zastąpić jéj zdoła. A jak mgła się rozpływa przed zorzą gońcem latowego słońca, tak mniejsze frasunki, co dawniéj gorzkiemi łzami zalewały jéj oczęta, rozpierzchały się na samą myśl o Leonie. Czasami tylko zadrżał Leon, gdy Emilia tuliła się do jego boku, bo przypomniał sobie tę całą przepaść, co go od niéj dzieli; wiedział, że ich miłość nigdy z sfery platonicznéj wyjść nie będzie mogła, bo wiedział, że sam jest Żydem, a o niéj myślał, że jest Chrześcianką. Czasami tylko gdy gorący oddech kochanka, zwabiony wonném tchnieniem Emilii, za nadto z bliska jéj różane usteczka owionął, gdy ich usta w szale zapomnienia ognistym miały się skleić pocałunkiem, jak oparzona wyrywała się dziewica z objęć kochanka i wylewała łzy rzewne, i jak dziecko zanosiła się od płaczu. Bo wiedziała, że mu nigdy niczém inszém nie będzie jak siostrą, myślała bowiem, że on Katolikiem, a o sobie jakąś głęboką ukrywała tajemnicę. Całe dnie następne bardzo lakonicznemi bywały ich rozmowy, ale potém, ulegali nieprzezwyciężonemu pociągowi. I mogłoż być inaczéj? Oni byli sobie wszystkiem: krewnymi, rodziną, wspomnieniem nieszczęść, tęczą nadziei, wszystkie uczucia czerpali nawzajem ze swego łona, wszystkie aż do najświętszego, do miłości ojczyzny. Świat bowiem zimny, świat przesądny, i tego im odmawiał. W częstych rozmowach, krwi chciwa zemsta młodzieńca, topniała w łagodnem uczuciu dziewicy, przybierała wznioślejsze zarysy, idealniejsze kształty. On znowu zapalał jéj szlachetne serce koniecznością ofiar, wzniosłością poświęcenia. Tajemnicę, tak im na duszy ciążącą, tysiąc kroć razy chcieli sobie wyjawić. Nie raz Leon przygotowywał dziewicę, że jéj ma coś ważnego, smutnego powiedzieć, ale gdy spojrzał w jéj zasmuconą twarzyczkę, w jéj łzami zabiegłe źrenice, słowa marły mu na ustach, myśli jadem żmij wracały do serca. Często i dziewczyna patrzała długo w oczy kochanka, jak gdyby jego widokiem na całą wieczność nasycić się chciała. Biedna ona nie wiedziała, że kto się puszcza w noc bezgwiezdną, ciemną, niech do światła łuny oka nie zwyczai. Im bardziéj pierwéj lśniła jasność, tém czarniejszą wydała mu się przyszła ciemność.

I tak żyli z dnia na dzień z miłością w sercu, a na sercu z tajemnicą okropną, bo też miłość zabijającą. I odkładali wyznanie, które, jak mniemali, rozdzielić ich miało dopóty, aż nieprzezwyciężone wypadki położyły między niemi przepaść istotną, nieprzebytą, wieczną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

XVII.

Paprzyca.

Pewien król był tak nieszczęśliwy, że żadnego dziecka dochować się nie mógł, bo mu każde umarło. Na ostatku miał dwóch synów, którzy już po kilka lat liczyli, i ochmistrzów swoich mieli; młodszy uczył się daleko lepiéj i pilniéj jak starszy. Razu jednego przyszedł czarnoksiężnik w postaci dziadka, proszącego o jałmużnę; król posłał mu pieniędzy, lecz dziadek ich nie przyjął; posłał mu zaś chleba, ale i tego dziadek niechciał; wyszedł tedy sam król do niego i pytał czegoby żądał? — Dziadek rzekł: „Masz dwóch królewiczów, daj mi jednego, jeżeli niechcesz, aby ci obu śmierć zabrała.“ — Król oznajmił to żonie swojéj, a ona rzekła: „Jużeśmy tyle rzeczy pogrzebli, mieliżbyśmy i tych obu utracić? lepiéj dajmy już jednego.“ — Król kazał więc dziadkowi, aby sobie jednego z nich wybrał; on zaś pozwolił królowi, aby sobie zostawił tego, który mu jest milszy; król dał mu młodszego. — Gdy wyszli za miasto i usiedli, dziadek pytał królewicza: „Cóż myślisz, jak dalekośmy też już od domu ojca twego uszli?“ — Młodzieniaszek rzekł: „Zda mi się jakie pół mili;“ — a dziadek powiada: „O ho! już to półczwartasta mil.“ — Czarnoksiężnik zaprowadził królewicza w gęstym lesie do zamku, w którym nikt nie mieszkał. — Tu rzekł: „Skoro się za róg tego stołu uchwycisz, co sobie zapomyślisz do jedzenia lub picia, zaraz będziesz miał; ja pójdę teraz na rok w świat, ty musisz tu co dzień izbę zamieść: masz oto klucze od zamku, ale do tych dwóch izb nie otwieraj.“ — Chłopiec bawił się przez ten rok w księgach i piśmie, czytał, pisał, izbę też każdy dzień zamiatał. — Za rok powrócił dziadek, właśnie gdy chłopiec jadł obiad: „Jak się masz, podoba ci się tu?“ rzekł dziadek; — chłopiec odpowiedział: „Dobrze i nic mi nie brakuje.“ — „No, to ja jeszcze pójdę na rok, ale jeno nie zapomnij izby co dzień zamiatać, a do tych dwóch izb nie otwierać.“ — I znowu poszedł. Chłopiec bawił się cały rok. — Za rok wrócił dziadek, i pytał go się jak wprzódy, ażali jeszcze na rok odejść może? — Chłopiec mu zaręczył, iż mu nic nie brakło, bo co chciał, to miał na stole, jak go za róg ujął. — Czarnoksiężnik odszedł więc znowu. — Chłopiec był już mądrzejszy, i myślał sobie: „Czemu też to dziadek nie da tych dwóch izb odmykać?“ — Odważył się i odemknął jednę izbę; tam znalazł wiele ksiąg, wszystkie przeczytał, ale izby zamiatać zaniedbał. — Otworzył potém drugą izbę, tam jeszcze więcéj ksiąg znalazł; ale też były między niemi i czarnoksięzkie. — Chłopak czytał je wszystkie, i na spodku jednéj doczytał się: że w tym zamku jest piwnica, w któréj są trzy konie zamknięte. Przeczytawszy to, szukał tak długo, aż natrafił na drzwi żelazne, które zaraz odemknął. — W stajni podziemnéj stały trzy konie, którym z gnoju tylko łby i grzbiety było widać. — Królewicz poszukał wideł i łopaty; a odgarnąwszy gnój od koni, wyrzucił go precz; znalazł i wiadro, doniósł im także wody. — Gdy to uczynił, odezwał się do niego jeden z koni: „Dziękujemy ci za posługę, którąś nam wyświadczył, dobrześ uczynił, ale z tobą źle będzie, gdy nas nie usłuchasz; gdyż jak tylko dziad powróci, zaraz o tem wszystkiem będzie wiedział, i ze złości zabije cię. Ledwo do zamku wnijdzie, będzieć się pytał: Jak się masz? — odpowiedz wtedy: Dobrze staruszku; ale zaraz co tchu na dwór uciekaj i stań się kobuskiem (1), a w tedy leć w świat.“ — Tak się też stało; ale dziadek przemienił się zaraz w dużego jastrzębia, i gonić go począł. — Kobusek gdy już był blisko zamku, w którym młoda królówna przy oknie otwartém się bawiła; przemienił się w pięknego gołębia, i wleciał do jéj pokoju. — Tam znów zaraz przemienił się w pięknego młodziana, i opowiedział jéj swoje niebezpieczeństwo, mówiąc: „Że w krótkim czasie dziadek przybędzie do niéj prosić o jałmużnę, i wtedy mógłby go zdradzić; ale stanę ja się ziarnkiem kaszy, ziarnko to proszę wrzucić do miski i wysypać z inną kaszą na ziemię na pastwę. — Dziadek się wtedy przemieni w koguta i zjadać będzie prędko kaszę, ja zaś skoczę na palec waszéj królewskiéj mości, i stawszy się pierścieniem uratowany będę.“

Dziadek wnet idzie po jałmużnę; królewna wystawia przed niego kaszę, on przemienia się w koguta i poczyna jeść chciwie. — Królówna nachyliła się, ziarnko skoczyło jéj na palec i miała pierścień. — Kogut zjadłszy co do ziarnka wszystkę kaszę, odezwał się i zapiał te słowa: „Niemasz go sam!“ — Na co królówna rzekła: „Obrzydły potworze, bodajże cię psy na kawałki potargały.“ — A zaraz po tych słowach ów pierścień w psa się przemienił i czarnoksiężnika poszarpał. — Z psa stał się znowu cudny młodzieniec; królówna chciała go u siebie zatrzymać, ale on udawał, że ma wielką podróż przed sobą; i podziękowawszy jéj, wrócił się do zamku w lesie, w którym owe trzy konie stały znowu w stajni podziemnéj, gnojem zawalone. — Gdy gnój wyrzucił, i gdy je wychędożył i napoił, stały się jeszcze daleko piękniejsze jak przedtém; — środkowy odezwał się wtedy do niego: „W ogrodzie stoją dwie kadzie przykryte, idź a umyj sobie

(1) Lud nasz nazywa mały rodzaj jastrzębi, które się za drobném ptastwem ubiegają: „kobuskami,“ albo „kłobuskami.“

włosy swoje; w większéj: staną ci się złote; w mniejszéj zaś zmaczaj mały palec lewéj ręki, a będzie się świécić, jak złoty.“ — Gdy tak uczynił i ujrzał skutek, wrócił do koni; a trzeci z nich odezwał się znowu do niego: „Teraz zaś każdemu z nas osobno wyrwij jeden włos z ogona; skorobyś był w jakiéj ciężkiéj potrzebie, skrzesz ogień, zapal jeden włos, a z nas pomoc pewną mieć będziesz.“ — Królewicz uczynił co mu konie radziły, i puścił się w świat; — lecz aby nikt palca i głowy nie widział, obwinął go płatami. — Przyszedł do zamku pewnego króla i prosił, czyby u niego nie mógł znaleść jakiéj służby? — Król kazawszy go przed siebie przywołać, pytał go, dla czegoby miał głowę i rękę obwiniętą? — Młodzieniec odpowiedział: „Że jest na głowę i rękę kaleka.“ — Król przyjął go zatem na pomocnika do swéj kuchni, i kazał, aby go doktór nadworny leczył, aleć o tém przykazie wnet wszyscy zapomnieli.

Gdy jednego razu ten król, mając trzy córki, do kościoła pojechał, wziął ze sobą dwie, a najmłodszą zostawił w domu. — Ponieważ to było podczas lata, oddany był więc ten młodzieniec ogrodnikowi, aby mu za stróża służył w ogrodzie; a że był ciągle z zawiązaną głową i ręką, dla tego nazywano go tutaj *Paprzycą* (2). — Ogrodnik przeto jadąc z królem do kościoła, przykazał Paprzycy, aby prosa w ogrodzie przed ptastwem pilnie strzegł.

(Dokończenie nastąpi.)

(2) Paprzyska na głowie znaczy prawie to samo co łupieże. Obacz słownik Lindego,

Nº 145. KRAKOWIAK. *Od Wieliczki.*

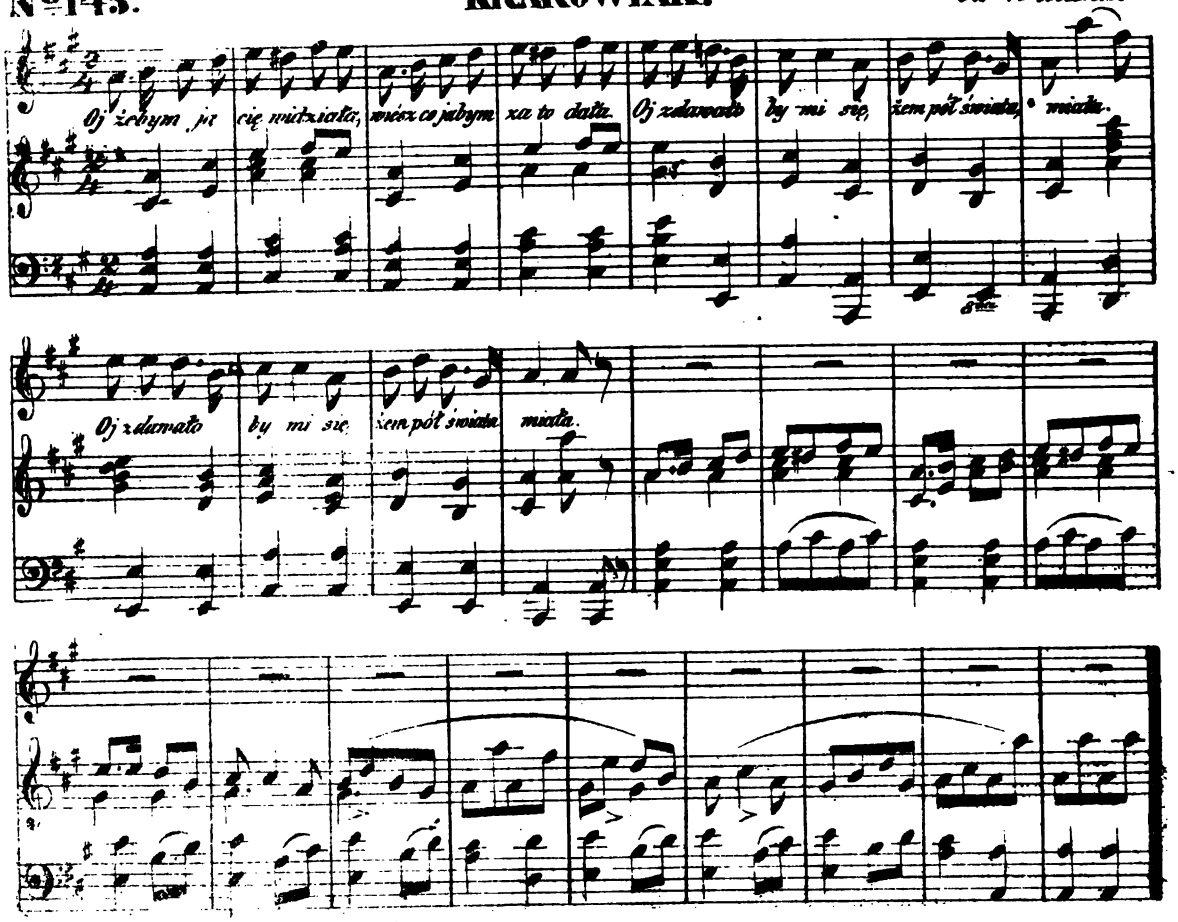

Text do *Nru. 145.*

Oj żebym ja cię widziała, wiész, co ja bym za to dała,
Oj zdawałoby mi się, żem pół świata miała.
Oj pocóż, pocóż mnie miłość, oj tak bardzo pokochała,
Oj kiedym niewierności w chłopczynie doznała.

(*Wacł. z Oleska*, P. l. g. str. 127.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor Dr. *Szymański.*)

Nr. 19. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 9. Maja 1846.

Mistres Niemcewicz, Amerykanka. — O'Connel. — Leon Haber (dalszy ciąg). — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dalszy ciąg). — Przysłowia. — Piosnki ludu wielkopolskiego ze zbioru Fr. Wawrowskiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie pana J. Lissnera w Poznaniu.

Mistres Niemcewicz, Amerykanka.

Mistres Niemcewicz.

Wiadomo, że Niemcewicz, ułaskawiony od Cesarza Pawła, pojechał za byłym naczelnym wodzem do Stanów zjednoczonych. Pewna wdowa, przejęta żywym udziałem co do losu smutnego wygnańca, ofiarowała mu swą rękę i majątek. Przyjął to Niemcewicz; atoli zastrzegł sobie przy ślubie powrót do kraju, skoroby oswobodzonym został. Miłém zapewne będzie czytelnikom widzieć rysy żony tak znakomitego i tak zasłużonego męża, który tylu jaśniał cnotami w całym biegu życia aż do swego zgonu.

* * *

Daniel O'Connel.

I.

Znaną powszechnie jest rzeczą, jak wielkich dopuszczała się Anglia okrucieństw przeciw Irlandyi, jak mordem i pożogą i kunsztownie zrobionym głodem kończyła jéj ujarzmienie, jak bezkarnie wypędzała katolickich posiedzicieli dóbr, ażeby ich własność rozrzucić pomiędzy szczęśliwych awanturników i protestanckich faworytów; wiadomo daléj, ile tysięcy Irlandczyków prawie w niewolę do Indyj zachodnich sprzedała i jak za pomocą wszystkich tych okrutnych środków nareszcie to osiągnęła, że 7 milionów krajowców katolickich zrobiła niewolnikami 1go miliona protestanckich Anglików. Na próżno chwytali rozpaczający Irlandczykowie po kilka kroć za broń przeciwko swym krwawym ciemiężcom, za każdym bowiem razem ulegli przemocy i nowe bezprawia ponosić byli zmuszeni.

Gdy ostatnia rewolucya z r. 1798. przytłumioną została, starała się Anglia nadać dotychczasowemu systemowi uciemiężania przynajmniéj pozór prawny. W czasie tak wojennym, jakim był r. 1800. wymógł Pitt za pomocą nieograniczonego przekupstwa na parlamencie irlandskim, z samych prawie Szkotów i Anglików złożonym, postanowienie połączenia się czyli tak nazwanéj unii z Anglią. W taki sposób znikł nawet ostatni i jedyny pozór prawodawczéj niezależności Irlandczyków, a Anglia nie myślała bynajmniéj o tém, ażeby dane przyrzeczenie nadania równego prawa i wolności, tak jak w Anglii, chociażby częściowo urzeczywistnić. Zwalono prócz tego na Irlandyą ciężar okropny długów, wynoszących około 840 milionów, zamiast 20 milionów, które rzeczywiście sama była zaciągła; nie dozwolono emancypacyi Katolików i nie dopuszczono ich nigdy do głównych urzędów państwa, zastępstwo zaś w parlamencie było nadzwyczaj niedokładne i słabe; podatki wyżéj podniesione aniżeli w bogatéj Anglii, uregulowanie stósunku panów do dzierżawców zostało pozostawione samowolności pierwszych, a hierarchia anglikańskiego kościoła pochłaniała wszelki pieniądz w pocie czoła krwawo przez biednych Katolików zarobiony.

W takim stanie rzeczy zastał O'Connel lud irlandski, biedny i do ostatniéj przyprowadzony nędzy przez łakomych dóbr właścicieli i nienasyconą angielską hierarchią, zdemoralizowany — i w braku wszelkiego wychowania, — prawie do stanu bydląt zniżony. Zgłębiwszy historyą kraju, którego jest synem głównym, zrobił celem życia swego: Zniesienie unii z Anglią i repeal. Doszedł bowiem do tego przekonania, że tylko za pomocą tych dwóch środków i byt materyalny Irlandyi i wykształcenie nieszczęśliwych jéj mieszkańców polepszonym być może. I mężnie walczył ku osiągnieniu tego celu i wiele dokazał.! Jeszcze nigdy nie było człowieka, któryby w pokoju i bez naruszenia praw krajowych, tak ogromną, prawie nie podobną do uwierzenia miał władzę nad ludem, jak Daniel O'Connel, i nigdy nikt szlachetniéj jéj nie użył. Pod jego opiekuńczą tarczą zebrał ojciec Matthew w kilku latach około 5 milionów Irlandczyków pod chorągwie wstrzemięźliwości. Z niezliczonéj massy pijaków, którzy jedynie dla zapomnienia na chwilę najokropniejszéj nędzy, w któréj życie przepędzać musieli, pijaństwu się oddali, stworzył O'Connel w krótkim czasie naród samodzielnych i o zaspokojeniu potrzeb szczérze myślących ludzi!

W młodości wystąpił O'Connel naprzód jako adwokat. Jego piękny organ, jego bystrość umysłu, jego palący dowcip, jego niezrównana znajomość prawa, daléj jego nadzwyczajna wymowa, która jak piorun przeciwników przerażała, ogromną zjednała mu wziętość w narodzie; jego poczciwość i bezinteressowność, jego odważne występowanie przeciw ciemiężcom, zapewniły mu miłość i nieograniczone zaufanie ludu. Partya Oranżystów, która bać go się zaczęła, chcąc się pozbyć tak silnego przeciwnika, poduszczyła na niego znanego zawalidrogę, jakiegoś Esterre, który miał go zaczepić i wyzwać na pojedynek. O'Connel położył przeciwnika trupem na placu i przysiągł zarazem, że nigdy na rozstrzygnienię zwad osobistych broni do ręki nie weźmie. Zycie jego stało się bardzo ważnem dla Irlandyi, a lud przekonał się, że O'Connel jest tą żyłą, która niesie życie całemu organizmowi. O nim można powiedzieć, używając słów Mickiewicza, że: „Ma serce i patrzy w serce!“

Za pomocą wrodzonéj bystrości wnet się przekonał, że tylko przy pomocy wszystkich skoncentrowanych sił Irlandyi, walka przeciwko angielskiéj, w silną falangę połączonéj arystokracyi, do zwycięstwa doprowadzić może. Utworzył na ten cel stowarzyszenia, czyli agita-

cyą, nazwaną — pokojową, i gdyby nic innego nie był uczynił, ten jeden pomysł zdołałby potomność o jego ogromnym, organizacyjnym przekonać talencie. Tak utworzył w roku 1823. stowarzyszenie Katolików, przywiódł obór swój na deputowanego hrabstwa Clare z nadzwyczajną odwagą do skutku i już w r. 1829. zmusił Peel'a i Wellington'a, mimo ich oporu, do przedłożenia parlamentowi prawa o emancypacyą Katolików. Poprzednio wniósł był o zniesienie unii Irlandyi z Anglią w parlamencie, lecz — jak się tego spodziewać było można — wniosek jego nie przeszedł. Walczył on także niezmordowanie o emancypacyą niewolników i Żydów, z wielką gorliwością wspierał Reformbill, z któréj Irlandya prawie żadnych nie odniosła korzyści, przeprowadził zniżenie dziesięciny o 50 proC., zniesienie 10 protestanckich biskupstw, przytłumienie protestanckich miejskich korporacyj i ustanowienie katolickich sędziów w Irlandyi z nieprzezwyciężoną usilnością i wytrwałością. Od r. 1833. porzucił zupełnie adwokactwo i oddał się całkiem usługom kraju. Lud wyznaczył mu natomiast pensyą nazwaną „O'Connel rente" w ilości 18,000 funt. szterl. To powodowało wielu do czynienia zarzutów O'Connelowi, lecz zważając na jego wziętość i sławę adwokacką, czyliż mu równéj nie przynosiło summy dawne jego zatrudnienie, które, poświęciwszy się całkiem interessom ludu, porzucić był przymuszony? „Ja jestem najemnym sługą Irlandyi i jestem dumny na ten mój stósunek," wyrzekł sam w liście do hr. Schrewsbury pisanym. Któż kiedykolwiek szczérzéj i lepiéj służył krajowi swemu? Wkrótce zapowiedział repeal w całéj Irlandyi, utworzył w r. 1836 tak nazwane Towarzystwo powszechne, potém w roku 1838 Towarzystwo przygotowawcze i nakoniec w r. 1840 prawne narodowe towarzystwo repeal. Celem tych towarzystw było, dać poznać ludowi konieczną potrzebę stowarzyszania się i pozyskać jego uchwałę i udział; zarazem dostarczała opłata od wstępu do tego towarzystwa, którą ile możności bardzo nisko ustanowiono, ażeby każdy mógł mieć udział, potrzebne do osiągnienia celów towarzystwa kapitały. Towarzystwo repeal zaś nie miało na celu politycznego oderwania się od Anglii, tylko pozyskanie własnego parlamentu dla Irlandyi, ażeby ta mogła stanowić prawa, które jéj położenie robi koniecznie potrzebnemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Leon Haber.

(Ciąg dalszy.)

Czy pamiętacie wiosnę 1831 roku. Słońce już nie z ukosa, ale z góry pełną garścią sypało jaskrawe promienie, a przecież jego światło było nie jasne, mgliste, tak jak gdyby mu się szklanemi przypatrywać oczyma. I skowronki nie po swojemu świérgotały, smętniéj i rzewniéj niż zwykle i słowik zawodził. A całą świętą ziemię i wszystek lud Boży jakiś zły duch owionął, niby przeczucie wielkiego nieszczęścia, niby złowróżba śmierci oznaka. W parę tygodni potém czy byliście w mieście. Czy uważaliście to mrowie ludzi, na których czole piętno bojaźni, a w łonie śmierć? Czy przebiegaliście te odludne spacery i miejskie place, te pustkami zaległe świątynie i publiczne gmachy? Czy wcisnęliście się w ten tłum koło aptek, cierpiący całe męczarnie powolnego konania? Rwały się węzły przyjaźni, miłości, uczucia przywiązania rodzicielskiego, dziecięcego stygły od zimnego grobowego oddechu. Syn osłupiały stał zdala od łoża konającéj matki, i kochanek nie całował zsiniałego kochanki lica. Jod i chlorina napełniły powietrze, owionęły ducha, przesiąknęły serce. Oko wszędzie spotykało orszaki smutne, czarnemi obleczone kirami, odprowadzające zmarłych. W pochodzie swoim zderzali się z innemi, smętarze przepełniły się grobami, i brakło miejsca na trupy. Ręce żywych nie starczyły sypać mogił umarłym. Czarne tylko wozy przeciągały ulice miasta; przeraźliwe skrzypienie, jęk dzwonka, budziły mieszkańców domu. Wyrzucali trupa, zapiły woźnica ciągnął go hakiem do swojéj kalwakaty. I powoli przyzwyczajali się wszyscy do tego okropnego stanu, do tego życia, śmierci. Ale i w miastach nie wszyscy stawali się łupem strachu. Były i tam te szczęśliwe charaktery, co i w tém grobowém życiu nie zaparły się wrodzonéj wesołości; co śmierć samą za przedmiot żartów i śmiechu obierały. Cieszyli się z przypadków, które się pijakom wydarzały; z krakowiaków, które do grobów zwożeni zmarli zupełnie karczemną wywodzili nutą. Naśmiewali się z tych, co umierali na samą bojaźń śmierci. Rozweseleni, pełni otuchy, wracali wszyscy do domów. Ale nazajutrz słysząc o zgonie osób, które najwięcéj dowcipkowały wczorajszego wieczora, nie jeden poczuł dreszcz przebiegający członki i rachował się z sumieniem, przypomniał sobie pacierze i zabierał się w pielgrzymkę — daleką. Świeże, zdrowe powietrze na wsi, a może téż żelazne nerwy naszego ludu, oparły się cholerze. Czasem tylko kilku wracających z miasta niedoczekało rana. Ale na tych pierwszych ofiarach kończyły się zwycięstwa moru, dalszych nie czynił postępów. Jednakże przyłączyła się do téj inna równie sroga klęska, co osobliwie wioski dotknęła; tak jak gdyby mściwe nieba ten rok na zagładę naszą przeznaczyły. Bo gdy zawiślańskie rzeki krwawą spłynęły powodzią, gdy nieszczęśliwa Praga i innych osad krocie, jaskrawą przyświecały łuną; a młodzież nasza bohatérską śmiercią okupywała drogo zwycięstwa, z których nie chciano, czy nie umiano ko-

rzystać, cholera wyprawiała po miastach swoje czarne gody, a tutaj po wsiach taki panował głód, jakiego najstarsi ludzie nie zapamiętali. Biedni chłopi odkopywali kilko-letnie kopce zgniłych ziemniaków, rozrywali ścierwa zarażonego bydła. Korzenie i łobody, bywały całotygodniowym pokarmem tysiącznych rodzin, a na śmiecisku bito się z psami o kości. Zboże leżało pod pecki we dworskich szpichlerzach, ale wszyscy lepsi Panowie przeprawili się na tamtą stronę. Ich siostry, żony, same nie mogły dozierać, pomoc udzielona zostawała w ręku sług niepoczciwych, bo poczciwsi poszli z panami. I sypało się żółte zagraniczne złoto za polską białą pszenicę, i Panowie, co po wsiach pozostali, powychodzili na Panków, a ich poddani głodem marli.

W wiosce G.., nad Wisłą, w téj błogosławionéj ziemi, gdzie słomę palą, a topią nawozy, mieszkała w lichéj lepiance uboga rodzina. Co mieli, sprzedali, co mogli, pożyczyli. Głód i drożyzna wszystko pochłonęły. Rano podzielili się kawałkiem chleba, ostatnim. Ojciec poszedł za zarobkiem; matka nie mogła odejść dziecka przy piersi. Kilko-letnia dziewczyna bawiła się z swoim młodziutkim braciszkiem. Już się miało ku wieczorowi, a jeszcze ojca nie było widać. Głód okropny, targający wnętrzności, dokuczał nieszczęśliwym pozostałym w chacie. Chłopczyk przy piersi kwilił z początku, potém zapłakał rzewnie, ale spojrzał w oczy matki. On wygrzany ciepłem jéj łona, wypielęgnowany jéj gorącém tchnieniem, wykarmiony jéj gorzkiemi łzami, snać zrozumiał rozpacz nieszczęśliwéj. Płacz jego zamienił się w głuche jęki. I jak gdyby chciał za to matkę przeprosić, rączętami obejmował jéj szyję, swoją drobną główkę tulił do jéj twarzy. I było coś nadziemskiego w rysach dzieciny. Ta walka ducha, nie zupełnie ujętego zmysłowemi kształty, z bólem fizycznym, nadawała chłopczykowi wyraz, z jakim sobie wystawiam aniołka boleści. Dziewczynka znacznie starsza, tłumiła westchnienia w piersi nabrzękłéj z głodu, połykała łzy, całowała ręce matki, bawiła braciszka. Tak przebyli noc okropną, długą. Już było dobrze ku południowi, gdy ojciec powrócił. Tata, papa! ojcze chleba! powitały go w progu dwa głosy słabe, wydobyte z głębi wątłych piersi. Mężu litości, jęknęła matka. Patrzaj! jacy bledzi, ledwie oddechają; przecież to twoje dzieci, litości nad niemi, litości! Nademną, nademną się zmiłujcie, bo oszaleję. Ot ta odrobina chleba, to wszystko, com zarobić zdołał. Czuć wasze cierpienia, a nie módz im zaradzić; patrzyć na to wasze powolne konanie, ha to nad siły. Boże! Ty to widzisz, Ty, co przyodziewasz lilie; co wróble rachujesz na dachu. Ja możem grzeszny; dobrze, niech ginę konaniem Kaina, Niech pioruny siarczyste palą moje ciało. Ale cóż przewiniły te tu niewinne robaczki? cóż ta nieszczęśliwa kobieta? I wypadł za drzwi. Biegł szalonym pędem. Ale gasnące siły zmusiły go do zwolnienia kroku, zataczał w koło wściekłemi oczyma, to znowu martwo jak upiór niemi spoglądał. Upadał i wił się po ziemi w kurczowych bólach. To znowu rzucił się kilka kroków naprzód, gdy cierpienie umysłu fizyczną boleść przemogło. Doczołgał się w ten sposób do pańskiego szpichrza. Oczy mu słupem stanęły, konwulsyjnie tłukł rękami, ciskał całém ciałem. Po chwili minął i ten napad, ustała nawet walka uczucia z czuciem, rozpaczy z głodem. Gwałtownie, zwierzęco wściekle rzucił się na skibę łupkowatéj gliny, połykał całe bryły. Podniósł się raz jeszcze, obrócił w stronę swojéj chaty, załamał ręce, przeżegnał, i padł bez zmysłów. W takich męczarniach ginęli, w najżyzniejszéj ze wszystkich okolic, najpracowitsi rolnicy. Koło ładownego szpichrza ginęli z głodu ci, których krwawym potem nagromadziły się owe zapasy. A naszą białą pszenicę za granicę wywieźli, a zły Pan złoto holenderskie na kartę postawił, lub przechulał w mieście, a może też sobie jaką setkę ludzi dokupił, których pracą napełni nowe szpichrze, a którym przed szpichlerzem z głodu mrzeć dozwoli.

Zdarzenie tutaj opowiedziane jest prawdziwe, zdarza się często. Tego roku powtórzyło się także. Pomimowolnie ciśnie się tutaj uwaga, jak niedostatecznym hamulcem na przestępstwa są wszystkie karne systemy. Cóż na przykład człowieka, konającego z głodu, zmusza do szanowania cudzéj własności, czy bojaźń śmierci, czy kaźni. On umrze za chwilę, a najsroższe tortury w swym stanie ponosi. Nie wieleby pomogły społeczeństwu więzienia, gdyby o prawości praw wątpić zaczęto.

Przeszłego roku po żniwach przejeżdżał jednę nadwiślańską wioskę Radzca sądu karnego Rzeszowskiego: „Niechaj będzie pochwalony!“ powitał go chłopek. — „Zdaje mi się, żem cię gdzieś widział,“ odpowiedział mu Radzca. — „O my się znamy Panie Konsyliarzu,“ odparł chłopek, „a jeżeli będzie ciężki przednowek, to ja tam nie długo znajomość z Panami odnowię.“ Tę rozmowę powtarzają dosyć często, dowodząc nią niedostateczność kary wymierzanéj. Rzecz szczególna, że tak rzadko wpadają na myśl odwrotną. Że niechcą stanu nieszczęśliwych tak polepszyć, aby utrata wolności i ograniczenie na potrzeby życia najkonieczniejsze prawdziwą dla nich były karą. Nie uważają, że powiększając kary za mniejsze przewinienia, za większe zbrodnie wypadałoby jednego winowajcę kilkadziesiąt razy kołem łamać lub ćwiertować, a to mimo najszczerszych chęci niepodobna.

Ale wróćmy do naszéj nieszczęśliwéj rodziny. Matka z dwojgiem dzieci rzuciła się ze

Daniel O'Connel.

zwierzęcą łakomością na kawałek chleba, który jéj mąż przyniósł. Nie uważała jak wyszedł, nie przypatrzyła mu się bliżéj, byłaby poznała ślad głodu w jego twarzy. Byłaby się dowiedziała, że nie chcąc zmniejszać posiłku żony i dzieci, pomimo męczarni nie ułamał ani kawałka chleba. Spostrzegłszy nieobecność męża, wybiegła za nim. Całą wieś przeleciała na próżno, nigdzie się nie mogła o niego dopytać, uspokoiła się, że znowu poszedł na zarobek, i wróciła do dzieci. Minęła noc w oczekiwaniu, a i na drugi dzień mąż nie przychodził. Coraz bardziéj rosła niespokojność małżonki, coraz głębiéj i smutniéj napawało ją jakieś złowrogie o jego losie przeczucie. Ale te niepewne myśli tkliwéj kochającéj żony, ustąpiły nie długo téj okropnéj pewności, co ją otaczała. Dziécię znowu jęczało, znowu załamywało rączęta i tuliło się do piersi matki, ale tylko kilka kropli krwi wyssało, pokarmu nie mogło wycisnąć. Starsza dziewczyna osłabła długiém wymorzeniem, zwiesiła główkę na prawą stronę, wlepiła wzrok w oczy matki, zmuszała sine usta do śmiechu, do śmiechu okropnego. Tak się może i młodzieniec zaśmieje, gdy ujrzy swoją kochankę w objęciach drugiego. Tak ochotnik, gdy za późno zleci na pole bitwy, stanowiące o losie ojczyzny. Tak się i żołnierz zaśmieje, jeżeli chytrze złudzony musi strzaskać broń, narzędzie nieśmiertelnéj sławy, lub oddać wrogowi krwawo na nim zdobyte działa. Tak się i trup zaśmieje, jeżeli

w męczarniach skonał. A matką, o! jéj katuszę opisać się nie ośmielę. Jéj serce drgało konwulsyjnie każdym jękiem chłopczyka, każdém westchnieniem dziewczynki. Jéj rysy osłupiałe i stężałe rospaczą, w dwa tylko kurczyły się kształty. Czasem wyrażały przechodzenie rospaczy w złość, wściekłość. To znowu padała na kolana, modliła się Bogu, ale i w téj modle więcéj już było bluźnierstwa niż wiary. Biła ręką piersi, ale głową tłukła ściany, padała krzyżem, ale próg się krwawił od rozbitéj skroni. Chodźmy Helenko jeszcze raz do nich! nagle zawołała. Porwała na ręce dziécię i pobiegła jak szalona. Helenka zwlokła się z ławki, osunęła przy drzwiach, i padła przed progiem. Nieszczęśliwa matka wpadła do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

Paprzyca, leżąc pod murem w ogrodzie, skrzesał sobie ognia i jeden z owych włosów, co mu konie dały, zatlił; a tu zaraz stawił się koń dzielny, i przyniósł na sobie drogie odzienie i kulbaki. — Paprzyca ustroił się, wsiadł na konia i po prosie w koło jeździł, tak, że je w niwecz zdeptał. Królowna przyglądała się temu w oknie, i widziała jak zaś koń zniknął; — lecz choć jéj to było bardzo dziwno, nic jednak rodzicom o tém nie powiedziała. — Ogrodnik zaś skarżył się przed królem, że przez niedbalstwo Paprzycy proso zniszczone. — Król odpowiedział: „I cóż z nim robić, może spał, trzeba mu przebaczyć.“ — Na drugi dzień proso jeszcze piękniejsze było. — W tydzień potém, król znowu do kościoła wyjeżdżał i najmłodszą córkę chciał wziąć z sobą, ale ona wymawiała się, że jest niemocną, i w domu zostać musi; ogrodnikowi jeszcze wypadło za lokaja do kościoła z królem jechać; przykazał więc Paprzycy wprzód ostro, aby był na proso baczniejszy. — Paprzyca znowu użył drugiego włosa, wedle przepisu, i proso jak wprzód ztratował. — Królowna tę jazdę całą i młodzieńca cudnego widziała, ale tego nie mogła dostrzedz, aby to był Paprzyca. — Ogrodnik wróciwszy, znowu znalazł proso z ziemią zrównane; zaniósł przeto skargę przed króla, ale go król jak wprzód odprawił; a gdy proso na drugi dzień piękniejsze obaczył, surowo go zgromił. — Znowu zaś na trzecią niedzielę, gdy się król do kościoła wybierał, najmłodsza córka chorą się uczyniła. — Jeździec jako rycerz cudnéj urody i najpiękniéj wystrojony, proso przed jéj oczami wdeptał do ziemi, tak, że ani znaku nie było; ogrodnik skarżył to królowi, ale król powolny kary nie wyznaczył i jeszcze na ogrodnika bardzo się obruszył, gdy dnia następnego proso do żniwa zdatne i najpiękniejsze obaczył.

Po niejakim czasie, kazał król ogłosić, że ma wolą wszystkie trzy córki swoje za mąż wydać, i że wolno będzie ubiegać się o każdéj z nich rękę, w dniu naznaczonym wszystkim walecznym książętom i rycerzom. — Dał też król zrobić trzy złote jabłka i dał każdéj córce jedno z temi słowy: „Któremu je oddasz, ten ma być mężem twoim.“

Ze wszystkich stron świata zjechało się rycerstwo, bo panny były cudnéj urody; w dniu przeznaczonym stanęli wszyscy szeregami. — Najstarsza córka szła naprzód; obejrzała sobie wszystkich i dała złote jabłko jednemu. — Druga szła za nią i to samo uczyniła. — Najmłodsza szła po kilka razy między szeregami, ale żadnemu złotego jabłka nie dała; było to znakiem, że jéj się żaden z rycerzy nie podobał. — Król zdziwił się nad tém wielce, gdyż sobie życzył, aby wszystkie trzy wesoła razem odprawowane (*) były. — Ogłosił tedy zjazd nowy, na któren i rzemieślnikom stawić się dozwolił. — Stanęło tedy powtórnie kilkuset młodzieńców, ale królowna znowu żadnemu złotego jabłka nie dała. — Król wtedy nie wiedział, coby czynić, i radził się ministrów; ci rzekli mu: „Jeżelić tedy królowna gardzi tylu zacnemi młodziany, trzebać jéj na ukaranie zwołać teraz wszystkich sług dworskich.“ — Tak się też stało. Gdy stanęli w szeregach, król pytał, czy żadnego nie brakuje? przypomniało się wtedy wszystkim, że Paprzycy jeszcze nie było. Daléj po niego i stawiano go do rzędu. Kiedy królowna przeszła szeregi tam i napowrót, ujrzała między nimi Paprzycę, i wnet, nie namyślając się długo, oddała mu złote jabłko. — Powstał ztąd śmiech wielki, ale król naznaczył im dzień ślubu. — Mężów dwóch starszych córek wziął do swego pałacu. — Paprzycy zaś i żonie jego wyznaczył mieszkanie w psiarni. — Paprzycowa znosiła wszystkie te obelgi cierpliwie, bo męża szczerze kochała. — Nie długo potém, wypowiedział król sąsiedniemu królowi wojnę; warunek był taki, że się wojska ich przez trzy dni tylko spotykać mają; a któreby wojsko dnia trzeciego zwyciężyło, ten wojnę wygra.

Król zgromadził wojska swoje, dwaj zięciowie także się z nim wybierali. — Paprzyca prosił króla bardzo, aby mu też konia dano; — dwaj szwagrowie jego śmiali się bardzo z takiéj prośby, i król sam mówił: „Zostań ty lepiéj w domu, i miéj dózór nad psami memi.“ — Lecz gdy Paprzyca prosić nie przestawał, radzili tedy jego szwagrowie królowi, aby mu dał onego kulawego konia, co się pasł na łące; mówiąc: „Wszak nim on na nim przyjedzie, to się i wojna już skończy, a tak nam sro-

(*) Odprawowane, znaczy: odprawiane.

moty nie zrobi.“ — Dano tedy Paprzycy tego konia i wyjechał za wojskiem. — Gdy już był za miastem, skrzesał sobie ognia, zatlił włos, i zaraz stanął przed nim koń piękny, niosący na sobie pancerze i zbroje wszelakie z bronią. Uwiązał tedy kulawego u drzewa, a sam przybrawszy się jak rycerz, wsiadł na owego tęgiego rumaka i ruszył za wojskiem. — Widzi zdaleka przemoc nieprzyjaciół, wielkie zamieszanie w wojsku ojca swéj żony, a jego samego w niebezpieczeństwie zabicia lub pojmania. — Paprzyca przybiegłszy jako rycerz odważny, uszykował wojsko, i króla z niebezpieczeństwa wybawił; ale w téj potrzebie ranił się cokolwiek w palec. — Król widząc, że mu cokolwiek krew ciekła, rozdarł na poły swą chustkę z kieszeni i dawszy rycerzowi nieznajomemu jednę połowę, aby sobie nią rękę obwiązał, dziękował mu za dzielną pomoc, i pytał o jego imię; ale paprzyca się z tém zataił, i zginął nieznacznie w tłumie wojska. — Rycerze potém wrócili na zamek do króla, który ich chojnie częstował. — Nie rychło za nimi przywlekł się i Paprzyca na swoim kulawym koniu; — dopierożto wtedy jęli się szwagrowie z niego naśmiewać, i o rycerskie czyny pytać. — Paprzyca spokojnie znosił drwinki, i kontentował się z żoną tém, co mu ze stołu przysłali; ale potém namówił żonę, żeby tę połowę chustki królewskiéj, którą miał palec obwinięty, przy ręczniku królewskim przypięła. — Król zastanowił się nad tém, ale nie miał czasu i pytać się o to, jak się tam ta połówka do niego dostała? gdyż się gotował do boju. — Drugiego dnia zaś trzeba było na wojnę ruszać. — Paprzyca prosił znowu, aby i on mógł jechać; król nie bronił. — Paprzyca postąpiwszy sobie tak jako wczoraj, wnet na plac przybył, i tak jak wczoraj mężnie się popisywał. — Lecz znowu skaleczył się w palec tak, że mu krew ciec poczęła; król sam zawinął mu palec, i prosił wielce do siebie na zamek; lecz Paprzyca w tłumie zginął; — a gdy jak wczoraj rycerze na zamku bankietowali, on żonie swojéj znowu połowę owéj chustki kazał przypiąć przy ręczniku królewskim. — Dzień trzeci miał całą sprawę wojenną rozstrzygnąć; — paprzyca w tym dniu jeszcze więcéj dokazywał, króla tak dobrze już jak pojmanego odbił i jako dowódzca rozumny, wojsko nieprzyjacielskie do ucieczki zmusił; za co mu znowu król wielce dziękował, i na znak swéj łaski pierścień z palca swojego zdiąwszy, na jego palec włożył; lecz nieznajomy rycerz jeszcze się zataił i prosił tylko swojéj żony, ażeby ten pierścień nieznacznie w umywalni królewskiéj położyła. — Nie wątpiła ona już teraz wcale o męztwie swojego męża, przecież czegoby tysiąc innych nie potrafiło, umiała milczeć i wypadku spokojnie czekać. — Król zobaczywszy pierścień na umywalni, zdziwił się mocno, i zawołał zacnych dwóch zięciów, pytając, czyby nie wiedzieli, co to znaczy? — Oni odpowiedzieli: „Ze nie inaczéj być musi, tylko że aniół do zwycięztwa tego się przyczynił;“ ale szydersko dołożyli: „Trzebaby zawołać Paprzycy, to się on pewno do tych czynów przyzna.“ — Król tak zrobił, i pytał go: „Czyliś ty w umywalni mojéj zawiesił przy ręczniku połówkę chustki mojéj?“ — Paprzyca odpowiedział: „Nie ja, ale żona moja.“ — Król pytał o drugie zawieszenie chustki i o pierścień, a Paprzyca to samo odpowiedział. — Wtedy to dopiero zaczęli szwagrowie z niego drwić, i naigrawać się; — on zaś im rzekł: „Jeźli wątpicie o mojém męztwie, chodźcież obaj na plac zamkowy do walki, a przyrzekam, że obydwóch was na raz położę.“ — Z razu im się to nie zdało, i żartami chcieli go zbyć, ale, gdy król tego żądał, musieli się skłonić. — Paprzyca zatlił włos i wnet stanął przed nim koń dzielny, przynosząc na sobie zbroję i broń wszelaką. — Paprzyca przybrał się jak rycerz, zrzuciwszy z głowy i ręki obwinięcia, a zaraz wszyscy przyglądacze poczęli się dziwować jego złotym włosom. — Wyjechali też wnet na koniach i w zbrojach jego dwaj szwagrowie i zaraz na niego z kopyta zacięcie uderzyli; on zaś ledwie machnął parę razy swoim mieczem, a już głowy jednego i drugiego szwagra na ziemi leżały. — Poczém oznajmiwszy swój ród królewski, był zaraz koroną ozdobiony, i od króla z wielkim respektem przyjęty. — Koń ów, który mu dotąd służył, podziękował mu teraz, i oznajmił: Ze on i bracia jego odtąd służyć mu już nie mogą, gdyż jako wyzwoleni z zaklęcia do dóbr swoich wracają.

Przysłowia.

Świat jak las, człowiek jak liść.

Kto chce mieć dobrą kochankę,
Niech sobie wybierze Kaliszankę.

Leniwego i mąka w ręce kole.

Chodzi po świecie i psy drażni, goni.

Broda stanie dziadowi za stodołę.

Czém krzywiéj, tém śmieszniéj.

Nie śpiewaj jedząc, bo głupią żonę dostaniesz.

Elegant z mogiły, co mu ślépie wygniły.

Strzelec ptaka zabije, a cielę zje.

W.*

Piosnki ludu wielkopolskiego ze zbioru (1) Fr. Wawrowskiego.

O Gogolewskim.

(Historyczna.) (2)

Gogolewski jedzie,
Trzysta koni wiedzie;
Poczekaj ty Gogolewski,
Nie twoje to będzie.
Podaj chłopcze konia,
Podaj mi gniadego;
Pojadę, przeproszę
Marszałka mojego.
Podaj chłopcze konia,
Podaj mi karego,
Pojadę, przeproszę,
Choć Króla samego.
Podaj chłopcze skrzypce,
Podaj mi te moje,
Zaśpiewam, zagraję,
Na tę śmierć, na swoję.

Gogolewskiego wzięto,
Głowę mu ucięto.
Gogolewskiego nogi,
Złote ostrogi,
Już nie będą zachodziły
Marszałkowi drogi.
Gogolewskiego ręce,
Złote pierścience,
Już nie będą wymachiwać
Szablą na wojence.
Gogolewskiego oczy,
. . . . . .
Już nie będą wyględywać
Gdzie się wojna toczy.
Gogolewskiego uszy,
. . . . . .
Już nie będą wysłuchiwać,
Zkąd się wojna ruszy.

(1) Drukuje się u I. K. Żupańskiego w Poznaniu.
(2) Pamiętniki Kitowicza do panow. Augusta III. i Stan. Augusta str. 128., 137. wydanie A. Woykowskiego.

№ 146. **PIOSNKA PIJACKA** *z okręgu Krakowskiego.*

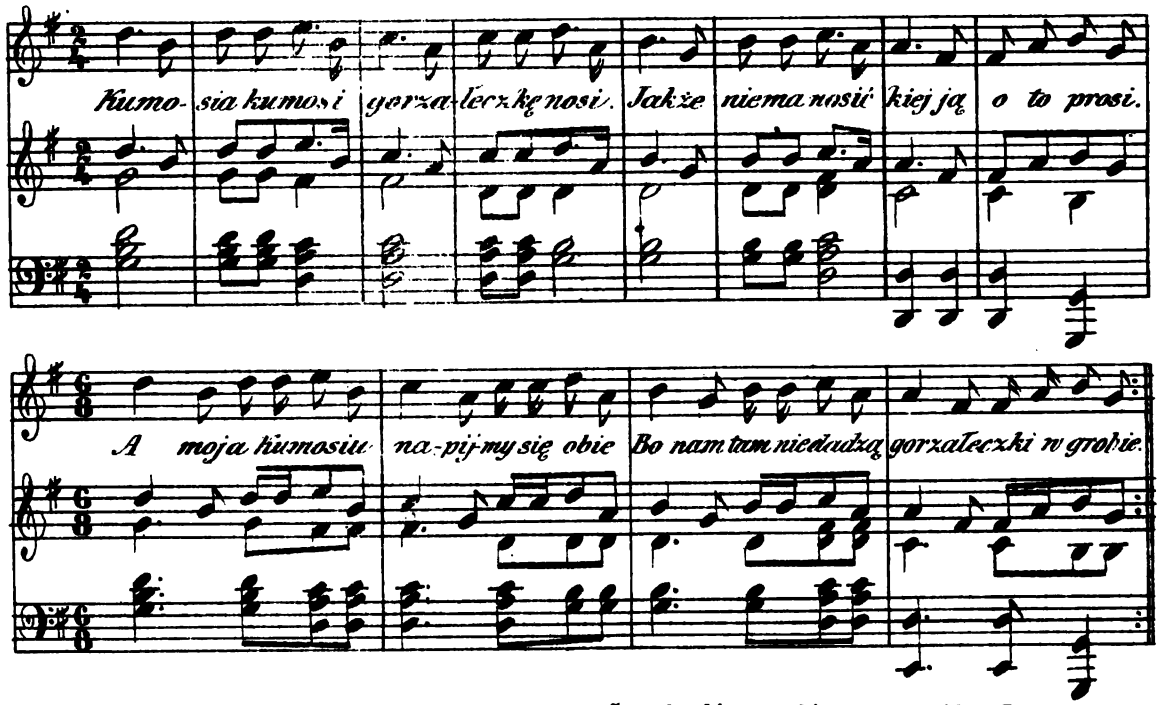

Text do *Nru.* 146.

Kumosia kumosi gorzałeczkę nosi;
Jakże nie ma nosić, kiej ją o to prosi.
A moja kumosiu napijmy się obie,
Bo nam tam nie dadzą gorzałeczki w grobie.

Gorzałeczki w grobie, gorzałeczki w Rzymie,
Już nam tam nie dadzą, jak się która zdrzymie.
Gorzałeczka z wyką, ja ją rada łykam,
Jak przyjdzie zapłacić, to ja się umykam.
(*J. Konopka,* P. l. kr. str. 249.)

Szanownym Miłośnikom literatury polskiéj poważam się powtórnie poleció mój nie dawno wydany katalog Nr. 7. z uwiadomieniem, iż właśnie wychodzi mój katolog dalszy Nr. 8., obejmujący najrzadsze dzieła starożytne, również rękopisma, krajobrazy i portrety sławnych Polaków. Wszystkie moje katalogi polskie tego rodzaju wydają WW.: Orgelbrand w Warszawie, Jabłoński w Lwowie, Deubner w Rydze.
J. Lissner, w Poznaniu.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 20. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 16. Maja 1846.

Grób Świętéj Jadwigi. — O'Connel (dalszy ciąg). — Kujawiacy. — Leon Haber (dalszy ciąg). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Zadanie do nagrody.

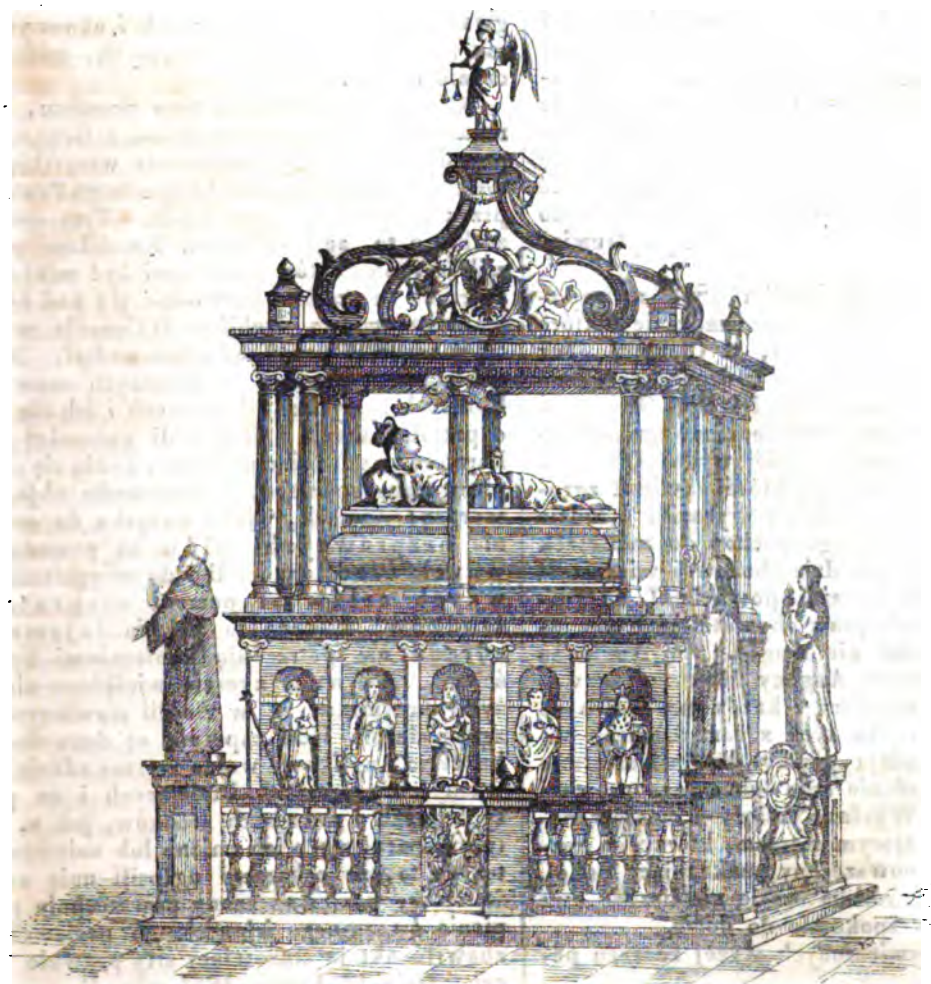

Grób Świętéj Jadwigi.

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

W numerze 13ym umieszczono rysunek Św. Jadwigi, Księżnéj Trzebnickiéj, dołączam widok jéj grobu w kościele Najśw. Panny w Trzebnicy. Przytém załączam rysunek relikwiarza (*), w którym jéj święta głowa przechowana.

D. 19. Czerwca 1846.

†

Daniel O'Connel.

(Ciąg dalszy.)

Dla owego Repeal towarzystwa został w Dublinie osobny, Domem pojednania nazwany, gmach wystawiony. Skoro się to towarzystwo zawiązało, zwołał O'Connel kilkanaście olbrzymich zgromadzeń, jako to: do Tara, Tuam, Mullaghmast i wielu innych miejsc, które powszechnie były miejscami smutnych dla Irlandyi zdarzeń i pamiątek. Tysiące ludu przysłuchiwały się tutaj słowom wielkiego agitatora, a myśl zniesienia unii przejęła wszystkich uniesieniem i zapałem. Mimo tego tak gorliwie starał się O'Connel o zachowanie spokojności i porządku, że sam raz o kilkanaście mil zboczył z drogi, ażeby tylko nie przejeżdżać przez wioskę, która miała zatargi z policyą o zburzenie dla O'Connela wystawionego łuku tryumfalnego, a po swym powrocie do Dublina całą tę wioskę ze spisu towarzystwa Repeal wykreślić kazał. Jakkolwiek rząd nie miał zaufania do O'Connela i jego zwolenników, nie przytłumiał jednakże zgromadzeń.

Na dzień 8. Października 1843 r. zostało zapowiedziane wielkie zgromadzenie, które w Anglii Meeting nazywają, w Clontarf. Już 7go, gdy tysiące ludu były w drodze do Clontarf, wydał Lord namiestnik Irlandyi Grey proklamacyą, zakazującą zapowiedziane zgromadzenie. Kilką godzinami późniéj wydał O'Connel kontrproklamacyą, na mocy któréj zawiesił zgromadzenie, ponieważ, jak się wyraził, „ludzie źli mogliby wziąć z tego pochop do zamieszek i gwałtów.“ Na giełdzie zbożowéj wieczorem tego samego dnia wyraźnie powiedział, że grube to nadwerężenie praw obywatelskich nic innego na celu mieć nie mogło. W Anglii są zgromadzenia, które Anglicy Meeting nazywają, publicznie dozwolone i każdy ma prawo do ich zwoływania. Na tych zgromadzeniach naradzają się i podają prośby do parlamentu o zniesienie lub nadanie tego lub owego prawa i tém podobnie. Wysłano księży i posłów naprzeciw nadciągającym massom, którzy im rozkaz O'Connela powszechny, nakazujący pokój, przynieśli, a w krótkim czasie niezliczone owe tłumy powróciły spokojnie do domu.

W skutek wymienionych wyżéj zdarzeń postanowił rząd zapozwać O'Connela przed sąd. Już w r. 1831. kazano go aresztować, lecz, że okoliczności temu bardzo nie sprzyjały, znów na wolność wypuścić go kazano. O'Connel stawił zakład (kaucyą) i processu zaniechano. Teraz zaś uwiadomił go rząd przez swego adwokata, że jemu i synowi jego Johnowi O'Connel proces: o spiski i przeciw-prawne zachowywanie się wytoczyć zamyśla i prosił go zarazem, ażeby czas, w którym się przed sędzim Burtonem dla dania zakładu stawić zamyśla, oznaczyć zechciał. Po złożeniu przez niego zakładu oznajmiono mu zarazem, że i księżom Tyrrel i Tierney i panom Steele, Ray, Dr. Gray, Barret i Duffy podobnież proces wytoczonym zostanie.

Oskarzono mianowicie obwinionych o bezprawne złośliwe i rewolucyjne rozsiewanie i rozszerzanie nieukontentowania pomiędzy poddanymi Królowéj Jéjmości, o podżeganie tychże do nienawiści i pogardy rządu, o rozniecanie zazdrości, nienawiści i niezadowolenia pomiędzy wojskiem, o podkopywanie zaufania obywateli do sądów państwa i że za pomocą gwałtu w rządzie, w prawach i ukonstytuowaniu państwa prawnie istniejących, zmiany poczynić chcieli.

Opuszczam szczegóły tego processu, podejrzane wykreślenie wielu imion z listy sędziów przysięgłych, daléj opuszczenie wszystkich Katolików i jedynego nawet liberalnego Protestanta przez urzędników rządowych. Tym sposobem zrobiono to, że 7 milionów Katolików przez 1 milion Protestantów sądzonemi być miało. Nie potrzeba tu szeroko rozwodzić się nad tém, że magistrat miasta Dublina O'Connela w świetnym tryumfie przed sąd odprowadził. Nie potrzeba tu wspominać o świetnych mowach obronnych samychże oskarzonych i ich obrońców, o prześladowaniu i złéj woli generalnego prokuratora, o stronniczém zapatrywaniu się na rzecz pierwszego sędziego, o bajecznem objaśnianiu wyrazu: „spisek,“ jako związku do osiągnienia bezprawnych celów za pomocą prawnych środków, albo do osięgnienia prawnych celów za pomocą nieprawnych środków! którego to pojęcia tajemność i zdrada nie potrzebują koniecznemi być częściami. Ani na to z resztą wielkiego nie położymy przycisku, że w Anglii stowarzyszenia i zgromadzenia ludu zupełnie są dozwolone, że każdemu Anglikowi wolno wyrzec zdanie o prawach i urządzeniach istniejących i za pomocą spokojnych i prawnych środków, jak n. p. petycyi, starać się o ich zmianę lub zniesienie, ani téż na to, że oskarzeni ogłosili unią za nieistniejącą, ponieważ znane powszechnie przekupienie ówczesnego irlandskiego parlamentu pozbawiło akt ją stanowiący siły prawnie wiążącéj. Dnia 12. Lutego 1844. zapadł wyrok, że: O'Connel i współobwinieni o spisek i

(*) Zob. w następującym numerze.

bezprawne postępowanie w sprawach kraju oskarzeni — są winni.

Okrzyk gniewu i oburzenia rozległ się po całéj Irlandyi, lecz O'Connel zalecił spokojność i Irlandya uspokoiła się. Jeszcze ani nawet na chwilę nie odebrano żadnemu z winnych wolności osobistéj, ponieważ wyrok sądu oznaczający miarę kary dopiero z końcem Kwietnia mógł zapaść. Zyczenia zwołania towarzystwa Repeal, które żadnéj nie doznało przerwy, zaczęły na nowo być głośne. Smith O'Brien, człowiek prócz O'Connela największy posiadający wpływ w Irlandyi, wielu prałatów i znakomitych mężów przystąpiło teraz, w chwili największego niebezpieczeństwa, do tego towarzystwa. Sama nawet Anglia, która tak wielkich dopuściła się okrucieństw i występków przeciw Irlandyi, która z tylu zakorzenionemi przesądami walczyć musiała, najpiękniejszą pokazała stronę charakteru swego, która nas do zapomnienia jéj egoizmu zniewala, t. j. to głębokie uczucie prawa, tę wrodzoną odrazę ku wszelkiemu przygnębianiu wolności obywatelskiéj. Gdzie się tylko O'Connel, ów przekokonany spiskowy, pokazał w Liverpool, w Manchester, w samym nawet parlamencie, wszędzie z wielkim przyjmowano go zapałem, wszędzie ganiono postępowanie rządu, wszędzie ganiono niegodną namiętność urzędników. Zwycięzko wyszedł O'Connel z tego processu, w którym go winnym spisku uznano. Lud milcząc zgrzytał zębami i spoglądał grożącém okiem na broń swą, lecz O'Connel skinął i wszyscy zaniechali rozlewu krwi. A sami jego nieprzyjaciele, Anglicy, szanowali w nim ofiarę bezprawnych zabiegów rządu; klassy średnie, towarzystwo przeciw nadaniu praw zbożowych (Anti-Corn-law-Leage) oświadczyły mu swoje współdziałanie, i, jak się zdaje, tak silnym stał się ten związek, że przetrwawszy probę ogniową, i w największych burzach czasu będzie mógł się ostać. Jest to może najpożyteczniejszy skutek owego processu, że klassy średnie Irlandyi i Anglii poznały, iż arystokracya angielska, tak Torysowie jak i Whig'owie, głównym i wspólnym ich jest nieprzyjacielem, którego tylko zobopólném sił natężeniem pokonać będą w stanie. Niezawodnie dziwić się będą u nas ci, którzy urządzeń politycznych Anglii dokładnie nie znają, że ów: „przekonany spiskowy“ jeździ po Irlandyi, prezyduje na Meeting'ach, miewa mowy tak jak dawniéj i wyraźnie ogłasza, że teraźniejszym jego celem jest, pociągnąć ministrów do odpowiedzialności!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kujawiacy.

Kraj, który się ciągnie nad brzegami Wisły, a składał się dawniéj z Województwa Brzesko-Kujawskiego, Inowracławskiego i ziemi Dobrzyńskiéj, nazywa się Kujawami. Jestto piękna okolica, bogata w łąki, pastwiska i oblana mnóstwem strumyków. Ziemia urodzajna, a w braku wielkich lasów, znajduje się wiele zagajeń.

Mieszkańcy, zręczni do wszystkiego, trudnią się najwięcéj rolnictwem i chodowaniem bydła. Kobiety oddają się gospodarstwu, używając większéj części czasu na przędzenie i robienie płócien. Kujawiacy są gościnni, otwarci i roztropni; przy szybkiém objęciu odznaczają się wielką prostotą charakteru. Mniéj doznając ciężarów, które inni mieszkańcy Polski znosić muszą, cieszą się losem szczęśliwszym i życiem spokojniejszém. Ich dialekt jest czysta polszczyzna, do któréj mieszają kilka prowincyonalizmów.

Ubiór Kujawiaków składa się z gatunku długiéj kamizeli, albo kaftana sukiennego, z trzema rzędami świecących guzików, na którym noszą pas bawełniany lub jedwabny koloru amarantowego; spodnie latowe są z płótna, zimowe zaś z sukna lub skóry; sukmana czyli raczéj surdut, koloru niebieskiego z wyłogami i podszewką amarantową. W czasie niepogody zarzucają na ramiona gatunek płaszcza z kapiszonem, który nazywają opończą. Włosy noszą dosyć długie i starannie obcięte, mężczyzni najstarsi noszą wąsy, lecz nigdy brody. Kapelusz czarny kształtu niskiego, jest górą przyozdobiony sznurkiem świecącym, a u dołu szeroką wstążką, gdzie zatykają kwiaty robione i pióra pawie. W ręku noszą kij okuty ołowiem.

Ubiór kobiet zamężnych w Kujawach, jako i w innych okolicach, mało się odróżnia od ubioru młodych dziewcząt. Noszą długi kaftan z sukna niebieskiego bez fałd, gdy tymczasem młode dziewczęta krótki i bardzo fałdzisty. Pierwsze pokrywają głowę czépkiem, który wstrzymuje ich włosy; drugie zaś opasują ją szlarką lub też chustką jedwabną, którą przyozdobiają kwiatami. Gorset i spodnica są koloru jasnego, spodnica najczęściéj niebieska, z tyłu bardzo fałdzista, a u dołu obszyta szeroką karmazynową wstążką. Pończochy są zwykle czerwone, trzewiki z sukna, obszyte sznureczkiem i przyozdobione na przodku kokardą. Na ramiona zarzucają szal w duże kwiaty. Lubią, jako i mężatki, pierścionki i naszyjniki. W ręku, zwłaszcza gdy idą do kościoła, noszą chustkę białą.

Kujawiacy, którzy, jakeśmy już wyżéj powiedzieli, mają wiele łąk i pastwisk, więcéj są oddani życiu pasterskiemu niż inni mieszkańcy Polski. Ztąd zachowali wszystkie zwyczaje takiego życia; przytoczymy więc kilka rysów, które dobrze charakteryzują ich obyczaje.

Każda wieś w Kujawach, z małym wyją-

Kujawiacy mają z resztą te same zwyczaje, co Mazurzy i Wielkopolanie. Ceremonie ślubne, które w kilku skreślamy słowach, różnią się tylko nieco od siebie: Gdy swat oświadczył się w imieniu kochanka i gdy otrzymał zezwolenie rodziców młodéj dziewczyny, odbywa się po dwu tygodniach wesele. Przez ten czas czynią potrzebne przygotowania, aby zaproszone osoby przyzwoicie przyjąć; zabijają wołu lub krowę, pieką placki i robią różne przysmaki. Konie, które mają zawieźć do kościoła młodą narzeczoną, znajdują się pospolicie w lepszéj porze. Młoda para w towarzystwie parobków i młodych dziewcząt odwiedza wszystkich wsi mieszkańców, tak bogatych jako i biednych, aby ich na wesele zaprosić. Przed udaniem się do kościoła młode dziewczęta prowadzą narzeczoną do dworu pańskiego, gdzie jéj głowę wieńczą kwiatami. Za jéj powrotem odzywa się pierwszy druch do towarzystwa: „Młoda Panna jest do ślubu gotowa, wozy czekają przed domem, czas więc udać się do kościoła;“ wtém podaje rękę narzeczonéj; drugi zaś druch bierze za rękę narzeczonego i tak ci dwaj prowadzą młode państwo przed rodziców, ażeby im podziękować za wszystkie dobrodziejstwa. Narzeczeni rzucają się do nóg rodzicom, kłaniają się przed swymi krewnymi i przyjaciółmi i proszą ich o błogosławieństwo, na co ojcowie łączą ręce swych dzieci, matki zaś pokrapiają ich wodą święconą, a młodzi piją za ich zdrowie. Po téj ceremonii goście, poprzedzani przez muzykantów, opuszczają dom. Sześciu druchów w białych przepaskach, trzymając w lewéj ręce chustkę a w prawéj bat krótki, towarzyszą konno narzeczonemu. Narzeczona, siedząca na wozie z czterema młodemi dziewczętami, trzyma w ręku bukiet z kwiatów. Najlepsze śpiewaczki z wsi i kobiety zamężne wsiadają na drugie wozy, których pochód najstarsi mężowie z swemi kończą żonami. Kiedy się już wozy poruszają, na ten czas muzyka, baczna na znak pierwszego drucha, zaczyna grać kujawiankę, woźnicy trzaskają z biczów, a młodzi śpiewają piosnki narodowe.

Cały orszak wchodzi do kościoła w największym porządku. Pierwszy druch oznacza każdemu miejsce, które ma zająć. Gdy wszyscy weszli, śpiewa organista *veni creator*, ksiądz ma mowę i daje ślub, po którym zgromadzenie wraca do domu wśród śpiewów, muzyki i okrzyków radośnych przytomnych. W ten czas dopiero młoda żona zajmuje miejsce między mężatkami, witającemi ją na progu chlebem i solą. Młody mąż rozpoczyna tańce. Ustawiają stoły, na które znoszą butelki z wódką, biały chleb, placki, masło i sér. Potrawy, z których się obiad składać powinien, są: czernina z prosięcia, gęsi albo kaczki, kluski, rzepa z mięsem, różne gatunki pieczeni, kapusta z kiełbasami i słoniną; na deser dają jabłka i orzechy.

Po obiedzie wracają wszyscy do zabaw, które trwają bez przerwy aż do oczepin. Po ich ukończeniu wstają goście, młodzi parobcy i młode dziewczęta tańczą po kolei, a pierwszy druch, stawając przed muzyką, uderza nogą i śpiewa do młodéj mężatki piosnkę, która się od tych słów zaczyna:

„Młoda i droga dziewczyno, ty dzisiaj jesteś przyczyną mego smutku, bo Jan cię posiada, a ja już niczego więcéj od ciebie spodziewać się nie mogę.

„Pójdź jeszcze tańczyć ze mną; chcę pozbawić Jana chwili przyjemności, bo jutro już mi tego jego zazdrość nie pozwoli.“

Skończywszy piosnkę, bierze młodą mężatkę do tańca, która po przetańczeniu kilka razy siada na dzieżce. Młode dziewczęta otaczają ją, odwięzują jéj warkocz, i, śpiewając, wynurzają jéj swój żal, którego doznają, że go stracić musi. Jedna z najstarszych kobiet, po obcięciu włosów, kładzie jéj czépiec na głowę. Potém dają wieczerzę, która się składa z gęsi pieczonych, nadzianych jabłkami, placków z rodzenkami, owoców i napojów w dostatku. Nakoniec rozpoczyna dziadek polonez bardzo wolny z młodą mężatką; za nim idą wszyscy mężczyzni i kobiety w wieku i w ten sposób kończy się pierwszy dzień wesela.

Leon Haber.

(Ciąg dalszy.)

We dworze po obszernéj komnacie biegał Pan w podłuż. Zęby miał zacięte, przygryzione wargi, ręce złożone w kułaki, jakby szedł do szturmu na boksy. Czasem ręce otworzył i miał jakąś karteczkę. Po jéj zupełném prawie starciu można było poznać, że się już dosyć długo w ten sposób po stancyi rozbija. Ale nim ją do reszty podrze, musimy przeczytać wierszyk, który był na niéj napisany:

Gdyś tu został z nami
O rycerzu prawy,
Nim Boginie sławy
Laurami cię zwieńczą,
Przyjm tę kądziel z konopiami
I skórkę zającą.

Konopnemi szlaki
Pierś ci przepaszemy,
Dla męstwa oznaki
Słuchyć przyszpilemy.
A gdy wrócą nasi,
Co daj prędko Boże!
Szlak wtedy w co innego
Przekręcić się może.

Czy ich diabli nadali, mówił do siebie Pan gniewny. Gdzie ich nie posieje, tam zejdą. Tak pięknie wszystko ułożyłem. Ten list umierającéj matki, zaklinający mnie jedynaka, aby przymknąć jéj powieki. Wszystkiego do-

szły, rozpaplały; teraz wie cały świat, żem zmyślał, aby nie iść na wojnę; cały świat będzie mnie wyśmiewał, mną gardził. I znowu miał kartkę w ręku i znowu deptał skórkę i konopie i łamał kądziel; w téj chwili weszła do pokoju nieszczęśliwa matka: „Panie!“ wołała, „moje dziécię z głodu kona, a ja matka. Panie! my krwawo tobie zarabiali, masz pełne szpichlerze, a my z głodu mrzemy.“ I coraz bliżéj i bliżéj przystępowała do Pana. Przeszywała go wzrokiem szaleństwa, wściekłości. W same oczy cisnęła mu dziecinę, pół trupa. Nieszczęściem nie było w całym domu żadnéj niewiasty, coby ją pojęła, poczuła choć skrę litości. „Precz szalona!“ krzyknął Pan, wypchnął ją do sieni i drzwi zatrzasnął. Potrącona, wysilona, usunęła się, za drzwiami omdlała. Obudził ją jęk dziecka długi, przeciągły. Porwała dziécię, poleciała gościńcem, stanęła na przyległéj błoni. Okiem powiodła w około. Tam się rysowała na niebios błękicie zielona smuga gór Świętokrzyskich. I wesoło spływało słońce na białe Winiary i na modre nurty Wisły, i na żółty piasek Powiśla. Bujnie porastały łany i swobodnie świergotały ptaszęta. Dziwnie odbijały wśród tego wesela natury płacz i krzyki rospaczającéj matki i straszne słowa pożegnania z własném dzieckiem, konającém z głodu. „Za trochę mleka dla cie„bie aniołku, wysączyłabym ostatnią krwi kro„plę; lata męczarni, wieczne zbawienie odda„łabym za kawałek chleba; zaprzedałabym się „zbrodni, czartowi.“ „Bądź zdrowe dziécię, umieraj, wkrótce pospieszy za tobą nieszczęśliwa matka. Tam nie będzie Panów, a chociażby byli, to dobrzy. Ci, co od nas wyszli, a nie co zostali. Tam nie ma z głodu konania. Bądź zdrów aniołku. Ktoś idzie, może się zlituje. Boże miłosierdzia wysłuchaj me błaganie.“ I wśliznęła się w gąszcz ostu. I tylko dwoje ócz, jak błędne dwa ogniki, jak dwa płomyki w trupiéj głowie, śledziły dziécię i wszystkie zbliżającego się ruchy. Nadszedł wieśniak, załamał ręce, przeżegnał dziecko i poszedł. Nie uronił nawet łzy żalu. Ale okropném ust wykrzywieniem, wściekłém zatoczeniem oka, zdradził uczucie, co mu w piersi grało. Matka zawyła z boleści, bo o jéj uszy obił się jęk dziecięcia ostatni. Nim dobiegła nadszedł drogą Żydek, ujrzał dziécię, położył mu rękę do piersi, myślał tylko chwilę, wlał w usteczka trochę napoju i otwarły się oczka dzieciny i trupie lica skraśniały rumieńcem. Dał mu chleba, dziécię jadło i usnęło. Matka patrzyła zdala. Skokiem lwicy, rzutem hjeny, padła do stóp swego stróża anioła, wybawcy konającego dziecięcia. Wstała, spojrzała w oczy Żydowi i odskoczyła jakby ukąszona od gadziny, taka szatańskość w oczach mu błyszczała.

„Ny! ja wezmę tego dziécię,“ mówił Żyd z cicha, „ono i tak zaraz zamrze. Ja go będę wychowywać. A jak będzie wielki, to mi będzie niósł wodę, drwa rąbał. Ty głodna, ny! masz kawałek chleba. Ny! gadaj, bo jak niechcesz, to ci go zostawię, niech zdycha.“ Matka wachała się długo. Nie patrzyła mu się już więcéj w oczy, bo byłaby zapewne skon dziecka przeniosła nad zostawienie go Żydowi. Żyd pobiegł z dzieckiem, biegła za niém i matka aż do lasku, gdzie się skręcał gościniec. Żyd biegł prędzéj, straciła go z oczu. Podjęła z ziemi kawał żydowskiego chleba, jadła sama i znowu biegła do dziewczynki do chaty.

Między ludem naszym powszechną jest wiara, że Żydzi potrzebują do pewnych obrzędów krwi chrześciańskiéj niewinnéj. W Ostrogu, na Wołyniu, pokazują w katedrze beczkę wybitą gwoździami krwią zbroczonemi. Od kilku wieków przechowują ten dowód okropnego zabobonu wraz z opisem całego zdarzenia i aktami urzędowemi, stwierdzającemi zbrodnię i wynowajców. Czyn, który tu opowiem, jest prawdziwy. Zaciągniony wywód słowny sądu karnego Rzeszowskiego. Nie śmiem tutaj obwinić religii żydowskiéj o tak barbarzyńską zbrodnię, ale może jest między nimi jakaś sekta, jacyś zagorzali fanatycy, których zaciekła zawziętość polubiła te krwawe ofiary. Gdyby religii naszéj dzieje podobnie jak żydowskiéj głęboka tajemnicy okrywała zasłona, czyliżby wierzono, że z łona chrześciaństwa wyrodziło się ciało, które postanowiło inkwizycyą, jako święty sprawiedliwości trybunał, a tortury i auta da fe kazało uważać za cześć wyrządzaną bóstwu, za sprawę nabożeństwa i żarliwości religijnéj? Ten sam Żydek, co podjął z gościńca dziécię, wszedł wieczór z wielkim koszem do miasteczka Dąbrowy. Daléj zaginął ślad dziecka. Byli świadkowie, co słyszeli płacz w koszu. Myśleli, że w nim bachor siedzi. Pytano nieszczęśliwą matkę, gdzie podziała dziecko; posądzono ją o dzieciobójstwo. Ona obłąkana cierpień natłokiem, to znowu wściekła zemstą za morderstwo dziecięcia, upominała się na Żydzie swego Józia. Żyd wypierał się wszystkiego, uciekał. Sąd karny uwolnił oboje dla braku dowodów. Ale wieść o popełnionéj zbrodni, przez całą żydowszczyznę wszerz i wzdłuż, po całéj Polsce się rozległa.

(Dokończenie nastąpi.)

Text do *Nru. 147.*

1. Polska korono, co słychać o tobie,
Drogie klejnoty utraciłaś sobie,
Ziemia nie rodzi, jak przedtém rodziła,
Czy jéj zakazano, czy się wypleniła?

2. Ni jéj zakazano, ni się wypleniła,
Jak jéj Bóg przykazał, ziemia uczyniła;

Oj przedtém stary lud brzydził się czartami,
A teraz młody lud liczy tysiącami.

3. Oj liczy, liczy, chodząc po ulicy,
Ojciec, matka słyszy, rózgą nie wyćwiczy.
Rózgą nie wyćwiczy, czarta nie wystraszy,
A czart go krępuje ten lud młody naszy.

4. Oj matko, matko! żebyś ty wiedziała,
Już twoja dusza w piekle pogorzała;
Żebyś ty matko rózgą dziatki siekła,
Wybawiłabyś swoją duszę z piekła.

5. Oj siostra siostry domu nie odwiedzi,
Bo się bogata za ubogą wstydzi.
Matka u córki miejsca nie zagrzeje,
Bo się w jéj domu złe przekleństwo dzieje.

6. Oj córko, córko! tyś tego nawykła,
Bodajeś była przed zrodzeniem znikła;
Wykarmiłam cię matka własnemi piersiami,
Co na cię spojrzę, zaleję się łzami.

7. Ojciec u syna prosi o wspomożenie,
Syn na ojca spojrzał, złe na nim odzienie,
Oj synci siadą jak pan do obiada,
Woła na sługę: „Wypędź tego dziada!“

8. Oj synu, synu! masz wszystkiego dosyć,
Nie odrzekaj się tegoż chleba prosić.
Ojciecci wyszedł za ostatnie wrota,
Jęła się syna nędza i ślepota.

9. A jakci przyszły te anielskie gody,
Prosił syn ojca o kropelkę wody;
Oj synu, synu! choćby całe morze,
Już tobie synu w piekle nie pomoże.

№ 147.

Od Piątku.

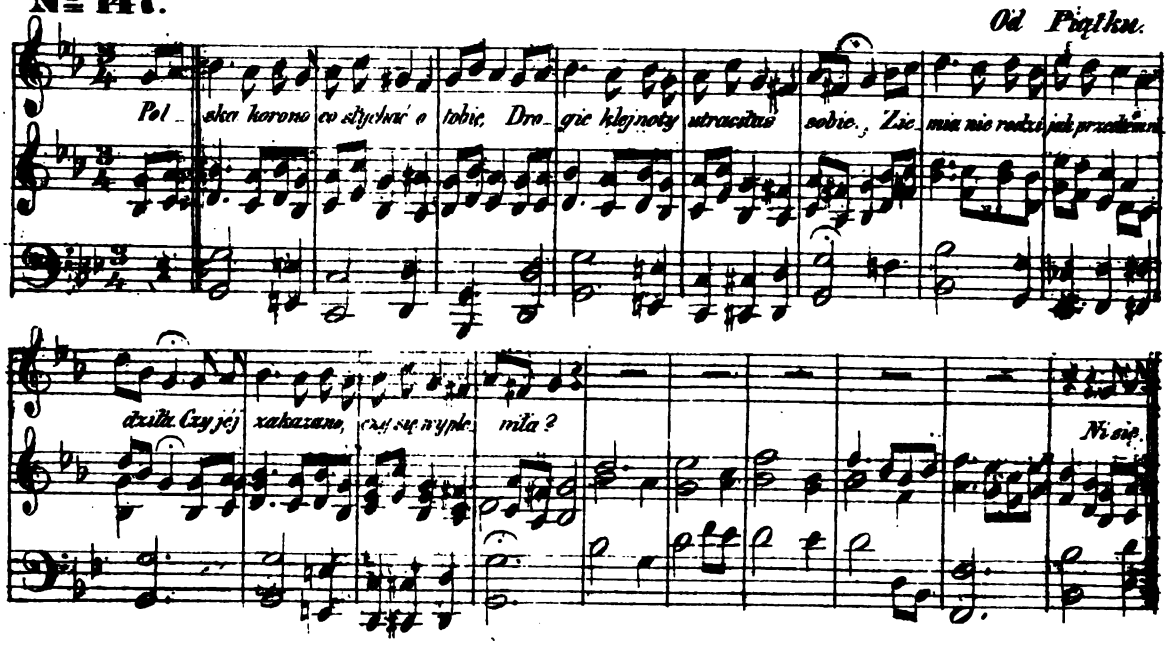

Zadanie do nagrody.

Komitet nieustający c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, dopełniając uchwały ogólnego zgromadzenia z dnia 30. Czerwca 1846., ogłasza następujące zadanie do nagrody:

Jakie byłyby najstósowniejsze środki do pomnożenia w jak najkrótszym czasie liczby i ulepszenia gatunku bydła rogatego w Galicyi?

Jest oraz życzeniem Towarzystwa gospodarskiego, ażeby chcący na to pytanie odpowiedzieć, mieli przedewszystkiém na względzie celniejsze rasy bydła rogatego krajowego; ażeby więc te dokładnie i gruntownie tak co do charakterystycznych cech i utrzymywania opisali, a przytém mieli na uwadze najznakomitsze teorye i sposoby chowu bydła rogatego w celujących w tym względzie krajach, z zastósowaniem do Galicyi: tudzież ażeby zwrócili swoją uwagę na wybór rasy bydła rogatego, któraby, jak w Anglii, w krótszym czasie przydatna była do wypasu i dawania większéj wagi mięsa.

Rozprawa, za najlepszą uznana, uwieńczoną będzie za pośrednictwem komitetu przez c. k. galicyjskie Towarzystwo gospodarskie nagrodą, ofiarowaną przez dwóch szanownych członków czynnych onegoż: JW. Tytusa hrabiego Dzieduszyckiego i W. Antoniego Mysłowskiego, w kwocie 400 zr. śrebrem, czyli 1,600 złpol., lub też, na żądanie uwieńczonego, wyrównywającym téj wartości medalem złotym.

Czas do nadesłania odpowiedzi wyznacza się od dnia ogłoszenia do roku.

Gdyby żadna z nadesłanych w tym czasie rozpraw nie odpowiedziała zupełnie zamiarowi, pytanie to powtórnie przez komitet ogłoszone będzie do nagrody.

Każda z nadesłanych rozpraw powinna mieć na czele godło i załączoną kartkę, dobrze opieczętowaną, zawierającą to samo godło i wewnątrz imię, nazwisko i miejsce mieszkania piszącego.

We Lwowie, dnia 13. Lipca 1846 roku.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 21. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 23. Maja 1846.

Głowa Świętéj Jadwigi, znajdująca się w pięknym relikwiarzu w klasztorze Trzebnickim. — O'Connel (dalszy ciąg). — Kurpie. — Leon Haber (dokończenie). — X. Andrzéj Pohl. — Przeczucie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Daniel O'Connel.

(Ciąg dalszy.)

II.

Miłość sprawiedliwości i wolnych instytucyi staréj Anglii nie dozwoliła Anglikom uznać O'Connela, zapatrując się na jego polityczne życie z stanowiska konstytucyjnéj Anglii, za winnego, jakim go uznał Sąd przysięgłych. Wyrokiem Izby Parów (Lordów), został O'Connel uwolnionym od kary, wyrok stronniczéj Jury został zniesiony, a O'Connel'a krajowi, ludowi i familii jego przywrócono!

Dnia 12go Lutego 1844 r. wydał Sąd przysięgłych wyrok, który, jak się to już wyżéj rzekło, uznał O'Connel'a winnym. W skutek tego dochodziło zaburzenie w Irlandyi do wysokiego stopnia i gdyby nie napominania do spokojności O'Connel'a, byłoby łatwo przyjść mogło do krwi rozlewu. Sama Anglia i Szkocya nie mniéj była rozgniewaną na pogwałcenie praw wolności obywatelskiéj w osobie O'Connel'a. Wszędzie odbywały się zgromadzenia ludu, które ogłaszały się za sprawą O'Connel'a i wstawić się za nim nie omieszkały. Miasto szkockie Glasgow wyrzekło w swéj do izby Parów podanéj petycyi, że dopóki panowanie kościoła anglikańskiego nad katolickim zniesioném nie zostanie, dopóty porządku i pokoju w Irlandyi spodziewać się nie można. Towarzystwo zaś „Przyjaciół Irlandyi" w Londynie wypowiedziało głośno, że, jeżeli oswobodziciela Irlandyi więzić zamyślają, ono nadzwyczajny Meeting na błoniu Kennington zwołać postanowiło, który tak głośno domagać się będzie sprawiedliwości, iż parlament zadrzy i dowie się zarazem, że O'Connel nie tylko irlandski, ale także i angielski lud ma za sobą! Tak starały się wszystkie stronnictwa, pełne szlachetnego zapału i gorliwości, wynurzyć Irlandyi i O'Connelowi swoje oburzenie, radykalni pod przewodnictwem J. Sturge z Birmingham'u jako i przeciwnicy praw zbożowych pod przewodnictwem Pana Cobden. Sami nawet Whig'owie, pod dowództwem swego naczelnika, Lorda Joh'na Russell, nie milczeli, jakkolwiek oni małą tylko są częścią arystokracyi angielskiéj i te same prawie co ta mają zasady. Tylko Torys'owie, zatwardziali arystokraci, którzy nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli w biegu i z doświadczeń czasu, tylko ci zapatrywali się ze złością i strachem z uboczy na zapał ludu ku najświętszéj sprawie sprawiedliwości i wolności każdego obywatela. Torysowskie ministeryum Sir Roberta Peel'a nie taiło się z tém, jak trudném było jego ówczesne stanowisko. Lecz zanadto rzecz ta się rozwinęła, ażeby ją było można wstrzymać lub cofnąć.

Naprożno starało się ministeryum pozornemi koncessyami pozyskać sobie i uspokoić Irlandyą; O'Connel i jego sprzymierzeńcy oznajmili natychmiast, że nie będą się w prawdzie opierać tym niedostatecznym prawom, ponieważ nie jedno zawierają w sobie dobre, lecz na żadem przypadek nie powinni ministrowie się spodziewać, że Irlandyą tém zaspokoją. Tak skończyło się i to ostatnie staranie pozyskania i ułagodzenia ludu irlandskiego na niczém, lud bowiem więcéj dowierzał w walce za swą wolność osiwiałemu O'Connel'owi, aniżeli ministrowi Panu Robertowi Peel. Gdyby nawet O'Connel był milczał, gdyby nawet był wniosek ministrów nazwał wielkiém dla Irlandyi dobrodziejstwem i prawdziwym postępem, zdanie ludu irlandskiego o nich nie byłoby się zmieniło. Pierwszy bowiem krok ministeryum, który z jego stanowiska prawdziwie konsekwentnie był uczynionym, byłby musiał ludziom, największe nawet do ministeryum posiadającym zaufanie, oczy otworzyć i pokazać, czego się po Torysach spodziewać mogą. Lord Campbell wniósł w izbie Lordów, ażeby nawet i kryminalnie obwiniony dopóty nie został uwięzionym, dopóki ostateczny wyrok nie zapadnie. Wniosek ten został usiłowaniem ministrów odrzuconym, a lord kanclerz Lyndhurst dla tego jedynie był przeciw wnioskowi, że tenże ściąga się oczywiście, jak się wyraził, na rozpoczęty process O'Connel'a w Dublinie. Czyliż nieprzyjemne położenie ministeryum ma być przyczyną do przytłumiania żądań sprawiedliwości i prawa? Takiém żądaniem był wniosek lorda Campbell, ponieważ jeżeli oskarżony wyrokiem pierwszéj instancyi wskazanym, a wyrokiem wyższéj instancyi za niewinnego uznanym zostanie, któż mu utratę najwyższego dobra ludzkiego, jakiém jest wolność osobista, wynagrodzić potrafi? Któż potrafi, nie uważając już na szkody materyalne, które z uwięzienia ojca wypływają, wynagrodzić ów niepokój i łzy, które rodzina od ojca opuszczona wylewa? Któż zdoła jéj smutek i troski osłodzić i złagodzić?

Że ministeryum Pana Roberta Peel'a ten wniosek odrzuciło, pochodziło jedynie ztąd, że nie chciało sobie dać wydrzeć owocu wszelkich usiłowań swoich, jakim było uwięzienie O'Connel'a. W udziale, jaki miała Anglia, Szkocya i Irlandya w jego nieszczęściu, znajdował O'Connel pociechę i złagodzenie wrażeń tryumfu, jaki chwilowo nieprzyjaciele jego nad nim odnieśli; daléj w uznaniu słuszności jego sprawy, którą mu adressy z najodleglejszych i najspokojniejszych stron cywilizowanéj Europy wypowiedziały.

Tak się rzecz miała przy zbliżaniu się Maja. Sąd Queensbench (*) zgromadził się w Dublinie w celu dania wyroku na O'Connel'a i jego współobwinionych. Naprożno natężali o-

(*) Za panowania kobiet w Anglii nazywa się najwyższy sąd tego kraju Queensbench (Kinsbench—Sąd Królowéj); jeżeli zaś na tronie mężczyzna zasiada, zowie się sąd ten Kingsbench (Sąd Króla).

brońcy oskarżonych całą swą wymowę, ażeby wymódz nową inkwizycyą dla swych klientów, napróżno protestowali przeciw sfałszowaniu listy sędziów przysięgłych, napróżno walczyli przeciw ohydnéj namiętności generalnego prokuratora, napróżno złorzeczyli stronniczemu wystawieniu sprawy przez pierwszego sędziego! wszystkie bowiem ich usiłowania spełzły na niczém. Napróżno żądali, ażeby pierwszy sędzia zaniechał sprawozdania śledztwa, ponieważ sędzia przysięgły powinien samodzielnie przekonać się o sprawiedliwości sprawy przez samoż śledztwo, które dzieje się przed jego oczami, i nikt nie ma prawa podsuwać mu swego zdania! Jakże trudną bowiem jest rzeczą w paletycznych processach znaleźć człowieka, któryby panując nad swemi namiętnościami politycznemi i swém zdaniem, zdołał sprawę bezstronnie, bez nienawiści i namiętności, tylko jako czysty zastępca sprawiedliwości ocenić i wystawić? Przynajmniéj przy processie O'Connel'a takiego człowieka nie widzimy!

Dnia 30. Maja zapadł wyrok O'Connel'a na jeden rok więzienia i 2,000 funt. szterlingów kary, jego współobwinionych zaś na 8 miesięcy i 50 funt. szterlingów wskazujący. Sędzia Burton odczytał wyrok ze łzami w oczach. Natychmiast podniósł się O'Connel i uroczystym oświadczył głosem: że boleśno mu jest wyrzec to przekonanie, iż nie wyrządzono mu sprawiedliwości. Kilka tych słów wywołało ze wszystkich stron huczne oklaski, od których się sami adwokaci wstrzymać nie mogli i których sędziowie przerwać nie odważyli się. Obwinionych oddano Scheriff'owi, który miał kazać oddać ich do więzienia w Richmond. Z odkrytemi głowami patrzał lud zgromadzony na więźniów, których obok niego odprowadzono na miejsce przeznaczone i łzy płynęły z ócz wszystkich przytomnych. Lecz ojciec Daniel nakazał spokojność i nikt jéj się przerywać nie odważył, i krótko przed swém uwięzieniem powiedział był na zgromadzeniu Repeal, że jak każdy ten, kto nie jest członkiem towarzystwa Repeal, tak i ten, któryby się odważył mieszać publiczną spokojność, byłby tylko gwoździem do jego trumny. Tak niepojętą ma O'Connel władzę nad tym ognistym ludem, że w największém nawet rozjątrzeniu nikt publicznéj spokojności mieszać nie odważył się i niezliczone tłumy spokojnie rozeszły się do domu.

(Dokończenie nastąpi.)

Kurpie,

czyli:

Mieszkańcy okolic Myszeńca i Ostrołęki.

Część Mazowsza, pokrytą lasami, które się ciągną pomiędzy Bugiem, Narwą, Uzgierką i Biebrzą, zamieszkuje od wieków gałęź narodu polskiego, Kurpie, ludzie pełni odwagi i waleczności. Imię to pochodzi od sandałów z kory lipowéj lub ze skóry zrobionych, które w języku ich krajowym Kurpiami się nazywają. Ich osiadłości ciągnęły się dawniéj nad lewym brzegiem Bugu. Miasto Myszeniec, Ostrołęka, sławna przez bitwy krwawe, są ich główną siedzibą. Mała rzeczka Ośmielew dzieli ich ziemię na dwie części. Chodowanie pszczół i polowanie są ich ulubioném zatrudnieniem, zkąd też wszyscy doskonali strzelcy. Pomiędzy nimi już chłopiec trzynastoletni goni za wilkiem, niedźwiedziem lub dzikiem, będąc pewien, iż nie chybi.

Nie raz dali Kurpie poznać swoją zręczność i nieustraszoność nieprzyjaciołom Polski. Pod Augustem II., w czasie wojny Szwedzkiéj, pewna niewiasta, Działyńska, żona Tomasza, wojewody Chełmskiego, zebrała 600 Kurpi, którzy się dzielnie nieprzyjacielowi opierając, kilka kompanij rozproszyli Szwedzkich, wziąwszy gwałtem kościół, a do niewoli zaś wszystkich tych, którzy tam schronienia szukali. W roku 1708., gdy Karól XII. przechodził przez Grodno i Toruń i gdy chciał także przez Myszeniec przejść, Kurpie zamknęli mu przejście i podali warunki. Król, dumny z swych zwycięztw, odesławszy deputacyą ze wzgardą, użył przeciw nim całéj mocy broni, nie przebaczył żadnemu niewolnikowi, i był tyle okrutnym, iż nakazał im, aby jeden drugiego wieszał. Oburzeni przeciw temu barbarzyństwu Kurpie, zebrawszy swe siły, rzucili się na swoich katów i taką im rzeź sprawili, że Karól XII., uchodząc do Szemczyna z jedynym trabantem, zaledwie im uciec zdołał. W roku 1733., dali Królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu, którego partyi się chwycili, dowody niezmiennego przywiązania; wszędzie wycinali oddziały nieprzyjacielskie, które napotykali. Garnizony Elbląga z jednéj strony i jenerała Birona z drugiéj były przymuszone iść przeciw nim, lecz stracili przeszło tysiąc ludzi i nie mogli zmusić Kurpiów, ażeby broń złożyli. Przy innéj okoliczności, w roku 1794., otworzyli regiment z strzelców Kurpiów, którzy się przeciw Prusakom z największém bili męztwem. W r. 1809. wiele się przyczynili do wypędzenia Austryaków z Polski, a w r. 1831., podczas ostatniéj wojny o niepodległość, nowe swego męztwa dali dowody.

Naród ten jest tak twardym, iż z łatwością znosi najgorsze niepogody i wszystkie przykrości życia. Moc charakteru jego stała się przysłowiem, i mówią w Polsce: „Jest mocny jak Kurp'." Domy ich są czyste i wygodne, na dobréj strzelbie i torbie do polowania nigdy nie zbywa mężczyznom, którzy je przekładają nad wszystkie bogactwa. Kurpie są żywi, weseli, i gdy się tylko w boru znajdują, śpiewają piosnki o polowaniu, o kochaniu, lub też o nieprzyjaciołach ich kraju.

Ubiór narodu tego jest skromny, ale bardzo wygodny. Koszula, u której kołnierz jest spięty spinką świecącą, spodnie wąskie z białego płótna na lato, a na zimę z sukna, sandały, suknia brunatna lub szara, która dochodzi aż do kolan, pod spodem długi kaftan z sukna, z dwoma rzędami guzików, a na to pas bawełniany czerwony, kapelusz czarny, okrągły, opasany wstążką zieloną i przyozdobiony czaplim piórem, zimą czapka z barankiem, otóż ubiór mężczyzn. Wszyscy noszą wąsy i długie włosy. Ubiór kobiet nie różni się wiele od ubioru kobiet z Mazowsza; tylko rękawy u koszul są szersze i młode dziewczęta obwięzują sobie głowę chustką, której końce spadają aż na plecy.

Kurpie mają z resztą te same zwyczaje i obyczaje, co Mazury.

Leon Haber.

(Dokończenie.)

Po téj wyprawie w okolicę Dąbrowy wróćmy znowu do Warszawy.

Oj znacznie odmieniła się przez ten czas scena mojéj powieści. Trzysta dział zionęło na miasto śmierć i zniszczenie. Świst kul przeszywał powietrze. Granaty pękały z trzaskiem, a ich odłamki bryzgały śmiercią w oczy żołnierzy. Bomby burzyły gmachy, osuwały mury, i ognistą łuną owiewały dachy. A w całém mieście dzwoniły okna i drżały gmachów podwaliny. A mieszkańcy — oni spokojni, przywykli do podobnéj muzyki. Krukowiecki kazał im pod karą śmierci broń złożyć i zachować się spokojnie. Nie wiedzieli nawet, że to całe wielkie drama zbliża się do tragicznego rozwiązania.

Na chwilę ucichły dział gromy. I wyciągnione smugi zielonéj piechoty, niby to wstęgi łąk na krańcu widnokręgu, zsunęły się w głębokie massy, jakoby w niskie siana pokłady. I powoli bez ustanku, bez życia, a nastajaszczo sunęły te ruchawe ogromy. Tak posuwają się błotne rzeki zalewy, tak bałwany wody zgęstwionéj śniegiem lub ściętéj krami. Biedna Warszawo! tak straszna zabójcza ciągnie na ciebie szarańcza, a dwadzieścia tysięcy najdzielniejszych synów, co strzedz byli powinni twojéj świętéj niwy, nieświadomi twéj walki o śmierć lub życie, aż pod Brześć litewski w nieużytecznym zabrnęli pochodzie.

W téj okropnéj chwili, kiedy wielka sprawa nowy cios ponieść miała, przebiegałem ulice Warszawy. I ja równie, jak wielu innych, pomimo najgorętszéj chęci nie mógłem pospieszyć na wały. Rozkaz dyktatora, uważania na wewnętrzną spokojność, przykuł mnie do bruku. Serce kipiało w łonie, gorączką płonęła głowa, w myśl się wślizgał jad podejrzenia, a jednak musiałem być posłusznym. Zbiegowisko ludzi koło klasztoru na Bednarskiéj ulicy, zwróciło w te strony moje kroki. Dowiedziałem się, że jakiś Żyd przechodzi na naszą wiarę. I zobaczyłem go za chwilę. Był to Leon, ten sam Leon, mój przyjaciel szkolny. Tylko go już nie okrywał studencki surducik z granatowego sukna, z białemi tasiemkowemi wypustkami, ale mundur gwardzisty narodowego. Twarz mu owiła smętność, w oku tlał jakiś niepokój. Otaczali go ojcowie chrzestni i inne gorliwych religiantów grono. Wiązowali mu otwartéj do nieba ścieżki, ofiarowali przyjaźń, obiecywali pomoc. A zdala tylko z zaułków klasztoru zawyła przeraźliwie zgraja Żydów i straszne zionęła klątwy. „Leonie!“ krzyknąłem zdziwiony. „To ty! przechrzciłeś się i w téj chwili.“ „Błagam cię na Boga naszego, nie mów mi o przeszłości,“ odparł Leon. „Ślepe ich cele, fanatyczna nauka, szalone obrzędy. Ciemnota, pieniądze, krew, to trójca ich religii. Oni waszéj, naszéj krwi potrzebują, łakną. Nie wierzyłem. Przekonał mnie ten świeży za Wisłą wypadek, i chwili żyć w takiém społeczeństwie nie chciałem.“

„Źleś postąpił Leonie. Nigdy się nie godziło porzucać stanowiska, na którem przekleństwo, czy przeznaczenie umieściło twoich braci. Cierpieć z nimi razem, kształcić słowem i przykładem w obywatelskich cnotach, w ludzkości, zbliżyć do własnego stopnia oświaty całe twoje społeczeństwo i z nim razem dopiero pokruszyć tę formę przestarzałego ducha, któréj treść zwiędła, wyschła w postępie czasu. Z niém razem rzucić się na łono nowéj myśli młodszego kościoła. To były twoje obowiązki, tyś je porzucił, zdradził.“

„Nie kończ, przez litość nie kończ,“ przerwał mi Leon. „Powiem ci wszystko, co mam na moje uniewinienie. Kochałem Chrześciankę. Zapomnij o niegodnym przyjaźni; bądź zdrów, szczęśliwszy odemnie.“ Mówiąc te słowa, zniknął mi z oczu. — W tymże samym czasie siedziała Emilia w małéj izdebce na drugim końcu Warszawy, oparta na stoliku. Przed nią leżała otwarta książka: „Konrad Walenrod;“ przeczytała aż do ostatnich wierszy:

„Taka pieśń moja, o Aldony losach;
„Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
„A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiewa.“

Oj widać, że jéj dusza pojęła myśl wieszcza, że w niéj taż sama uczuć zadrgnęła struna. Łzami zabiegły jéj modre oczęta, a z głębi piersi dobyło się smutne przeciągłe westchnienie. Myśl, wirem wyobraźni porwana, rzuciła się na nieszczęśliwe dzieje jéj własnéj miłości. Chciałaby z serca wydrzeć przywiązanie do Leona, ale łatwiéjby jéj było umrzeć sto razy, niż zabić to jedno uczucie. Jak gdyby w celu znalezienia lekarstwa przeciw miłości, przerzucała swoję małą biblioteczkę. Z wierzchu zdjęła: „Pamiątki po dobréj matce“, i inne dziełka Tańskiéj; na nich to wykształciła swoje uczu-

Kurpie.

cia, uszlachetniła serce. Miała także: Śpiewy historyczne, Dzieje Lelewela i inne książki, także Lejbe i Siorę Niemcewicza. Z pod tych książek wyjęła małą szkatułkę, a z niéj jakiś papier, dziwnemi, jak gdyby hebrajskiemi, podpisany znakami. Pierś znowu wezbrała westchnieniem, oczy kilka świeżych uroniły łezek. A jednak pismo kilkakrotnie do ust przycisnęła. I znowu płakała i znowu całowała. I już całe godziny upływały wśród tkliwych rozrzewniających rozpamiętywań. Wtém chód szybki zatętnił po schodach, drzwi się otwarły, wpadł Leon. „Co za roskosz, Emilio! oglądam cię znowu po kilku długich dniach niewidzenia. Jak się miewasz kochanko? Czyś zdrowa, wesoła? Mój Boże, zkądże ta smętność na twojém czole? co znaczą te łezki w oku.“ I mówił i całował zapłaniające się usta Emilii. „Cierpiałam, bardzo cierpiałam,“ odrzekła dziewczyna, „ale teraz, mój drogi! widzę ciebie, i już minął cały smutek. Ale mój drogi Leonie, co za przypadek tutaj cię sprowadził. Tam żelazo najezdcy szerzy rzezie między szeregami naszéj młodzieży. Dońców piki zagrażają piersiom niewiast. Kirgizów noże główkom niemowląt. Ta ziemia tak dobra, gościnna, tak piękna, a tak nieszczęśliwa. Twoi bracia walczą za nią, giną; a ty Leonie tutaj, ty tutaj?!“

„Przestań Emilko,“ przerwał jéj młodzieniec. „Także mnie mało znasz, że mnie o brak odwagi, lub obojętność dla świętéj sprawy obwiniasz. Nakazano nam broń złożyć i czekać dalszych rozkazów. Lada chwila zagra pobudka, uderzą w bębny, z piersi naszych nowe ustawim szańce przeciw kolumnom wroga, nowe wzniesiem przedmurze naprzeciw jego strzałom. Już nie długo Emilio, a moje skronie ozdobią wawrzyny, lub je roztrzaska kartacz z moskiewskiéj puszki. W téj stanowczéj chwili zaprzysiąż mi kochanko wieczną miłość, bo jeżeli nie padnę na polu bitwy, nic już naszemu szczęściu nie stanie na zawadzie. Przed godziną jeszcze należałem wprawdzie do was sercem i duchem, ale byłem członkiem innego kościoła. Teraz jestem wasz duszą i ciałem i rzeczą i słowem; przechrzciłem się, jestem Katolikiem.“ — „A ja Żydówką,“ jęknęła dziewica, i rzuciła mu do nóg pismo z hebrajskiemi znakami. Głową rznęła w ścianę, osunęła się po murze i padła w omdleniu. Na krzyk Leona zbiegli się ludzie. Odsznurowali piersi, otrysnęli wodą marmurowe lice. Tarli i ściskali rączęta. I wracał powoli na twarz lekki odcień krwi w cerze różowawéj i otwarły się oczka, ale znowu utonęły w łez powodzi. Pierś wylała się łkaniem, zanosiła płaczem. Leon przebiegał pismo złowrogie. „Czytaj dziécię moje, bo „te głoski pisane ręką ojca w godzinie śmierci. „Znienawidzony od swoich, bom im otwierał za„ślepione oczy; pogardzony od Chrześcian, bo „mi nie mogli zapomnieć, żem się Żydem uro„dził, umieram jako ofiara jednych, podstępu i „zdrady okrucieństwa drugich. A jednak dzie„cko serca mego, kochanko duszy mojéj, gwia„zdo na przyszłém szczęścia mego niebie, hoduj „te myśli, com ci w dziecięce wszczepił serce. „Nie dziel przesądów naszego wyznania, ale „pierwéj giń sto razy w przeciągłych torturach „powolnego konania, pierwéj zabij duszę, zbez„cześć ciało, zanim porzucisz świętą naszych „ojców wiarę. Pomnij na to, żeś siostrzenicą „naszego nieśmiertelnego Berka, mężnego do„wódzcy bitnego pułku. Pomnij, że i twój oj„ciec walczył za wolność i ojczyznę, a w téj „szkole nie nauczył się zapewne wiarołomstwa „i zdradzenia swoich braci.“ — Daléj Leon nie czytał. Zatoczył osłupiałym wzrokiem na około. Spostrzegł Emilię. Zadrżały mu nogi, padł na kolana przed jéj łożem. „Bądź zdrowa na wieki,“ wyjęknął boleśnie. „Miłość moja wpiła się jadem w twéj młodości kwiécie. Zatrutym oddechem twe szczęście zwarzyła. Niechaj przynajmniéj nie kala twéj świętéj anielskiéj duszy. Bądź zdrowa na wieki, jeszcze raz bądź zdrowa!“ — „Na wieki bądź zdrów Leonie; tam, tam się zobaczymy;“ szepnęła dziewica, i wzniosła ręce ku niebu; z piersi uleciało głębokie westchnienie, z ust wybiegła modła. Leon jéj słów nie słuchał. Bezprzytomny prawie zsunął się po schodach. Nie czekał już pobudki, ani tarabana. Pędził na szańce. Co mu tam do zakazu dyktatora. Cóż go tam obchodzi pogróżka śmierci; on jéj sam szuka. I z jednéj strony posuwało się w miasto po pomoście, usłanym trzydziestoma tysięcy zielonych trupów, ośmdziesiąt tysięcy bitnych moskiewskich żołnierzy. Głazy tętniały pod ich wymierzonemi krokami. Jedno tylko *hurra* Warszawskiego ludu, a byliby się na kolana powalili, jak niegdyś Żydzi na jedno słowo Zbawiciela. Szli w ponurém milczeniu, jak gdyby się bali zbudzić lwa śpiącego. I z drugiéj strony Warszawy pędził przeciwko nim bezbronny przechrzta. A oszukani mieszkańcy płonęli wstydem, połykali przekleństwa. A uwiedzione wojsko szło za wodzami drogą hańby, myśląc, że idzie na śmierć lub zwycięztwo.

W kilka godzin potém, zbiegła się na saskiéj kępie hurma ludzi koło trupa wisielca. Dzieci rzucały kamieniami, kopali starsi, kobiety nawet nań plwały. Okropne przekleństwa rzucano na całą jego rodzinę. Na matkę, co go wykarmiła swą piersią; na ojca, co takiemu potworowi dał życie; na miejsce, gdzie wyrosła gadzina. I dziwnie odbijał łagodny charakter naszego ludu w tym czynie sprawiedliwego okrucieństwa, w tém ukaraniu najszkaradniejszéj ze wszystkich zbrodni, zdrady własnego kraju. Bo im się zdawało, że tym wisielcem był szpieg ukarany przez sąd doraźny, a tym wisielcem był Leon Haber. — Lwów, d. 1. Września.

Mar.

X. Andrzéj Pohl.

X. Andrzéj Pohl, Generalny Wizytator Zgromadzenia XX. Missyonarzów i Siostr miłosierdzia, urodzony r. 1742. w mieście Łowiczu, odbył w témże mieście pierwiastkowe nauki; w roku 17. wieku swego przywieziony do Warszawy, wedle swego usilnego żądania wstąpił do Zgromadzenia XX. Missyonarzów, w którém pod naczelnictwem uczonych XX., Śliwickiego i Siemińskiego, Professorów Zgromadzenia, nauki stanu duchownego pobierał, i dwuletnie Seminaryum odbył, przyłożywszy się przez ten czas z pożytkiem szczególnym do kursów filozofii, teologii, prawa kanonicznego, wymowy duchownéj i dalszych nauk, powołaniu swojemu właściwych.

Mając lat 22., został Dyakonem i w tym wieku wysłany do Wilna na Professora w Seminaryum dyecezyalném, zaczął z podziwieniem i zadowolnieniem udzielać drugim światła, którego nabył w Warszawie; w roku następnym na Kapłana poświęconym został. Po trzechletnim pobycie w Wilnie, gdy z przyczyny ciągłéj naukowéj pracy na zdrowiu cierpieć począł, za radą Lekarzy do miasta Siemiatycz na mieszkanie był przesłany. Tam przy prefekturze kościoła większą część czasu strawił na Missyach, czyli nauczaniu Parafian prawd wiary i moralności chrześciańskiéj, po wiejskich parafialnych kościołach. Kazania jego, które natenczas miewał, wyszły z druku pod tytułem: „Kazania Missyjne.“ Wkrótce urząd Assystenta Zgromadzenia otrzymał.

Zwierzchność Zgromadzenia, a mianowicie X. Siemiński, Wizytator i Superior domu XX. Missyonarzy, będąc zatrudniony interessami domów całéj Prowincyi, wezwał z Siemiatycz do Warszawy X. Pohla na urząd Assystenta i rząd duchowny, naukowy i ekonomiczny onemu powierzył. Nie zawiódł X. Pohl dobrego o sobie rozumienia i zaufania swojego Przełożonego. Zajął się nie tylko naukami, ale i ekonomią, a dla pomnożenia dobra dla Zgromadzenia wybudował dwie kamienice, po obu stronach kościoła Śgo Krzyża będące. Oprócz domowych zatrudnień, zewnętrzne interessa Zgromadzenia własnego i domów Siostr miłosierdzia często nadarzały potrzebę udania się osobiście do Króla Stanisława Augusta, który go zawsze względami i uprzejmą poufałością łaskawie zaszczycał.

Po przemieszkaniu przez lat sześć w Warszawie z chwałą, gdy dom wileński Montis Salvatoris potrzebował doświadczonego Rządzcy i Superiora, Zwierzchność Zgromadzenia znaglona została, lubo z żalem, przeznaczyć X. Pohla na Superiora do Wilna, gdzie w roku 1782. objąwszy rząd domu wileńskiego, zajął się zaraz ułatwieniem ważniejszych zewnętrznych interessów Zgromadzenia, oraz pomnożeniem pożytków i wewnętrzną melioracyą samego domu. Za jego staraniem wybudowana piękna kamienica w Wilnie na przedmieściu Subocz; sam dom Montis Salvatoris, jako niedogodny, winien mu przeistoczenie, uporządkowanie i teraźniejszą dogodność, a erekcya wielu gospodarskich budowli, również jak i wygodne gospodarskie zabudowania po folwarkach funduszowych, jego pracy i starania są pamiątką.

(Dokończenie nastąpi.)

Przeczucie.

W pierwszych czasach stworzenia, Bóg poufale rozmawiał z ludźmi, i jak ojciec łaskawy opowiada pierworodnemu synowi wszystkie zamysły ku polepszeniu jego losu, tak i Bóg rozwijał przed pierworodnym Adamem wszystkie bogactwa swego miłosierdzia, i uchylał przed nim nie jeden z tajników przyrodzenia. — Adam zaś nie szperał w nich rozumem, ale uwielbiał i pojmował sercem, aż póki pycha rozumu, chęć wiedzenia, nabyta kosztem szczęścia na ziemi i w niebie zniszczyła ten błogi stósunek stworzenia z Stworzycielem. Odtąd człowiek skazany na wieczne pragnienie, umiera pod skwarem światła, którego objąć nie może, wiedzy, któréj nigdy nie posiędzie; własnym zostawiony siłom, chwyta chciwie każde podobieństwo prawdy, buduje wniosek na domyśle, teoryą na teoryi, już myśli, że zbadał przyrodzenie lub ducha, — a tu Bóg nowym pojawem obali pyszną budowę, obróci w niwecz chwałę badacza, zostawując mu jeszcze dosyć zarozumienia do nowych złudzeń i do nowych zawodów. Ale to, co bywa odmówione pysze, Bóg lubi niekiedy udzielać pokorze i prostocie, czego Święci nawet, po długich dopiero próbach, w uniesieniu miłości ujrzeli; to Bóg objawia dziecięciu. Są bowiem jeszcze owe dusze uprzywilejowane na świecie, które okiem aniołów na świat się zapatrując, pono nic ziemskiego od świata nie przyjęły; są jeszcze inne, które dopiero co z objęć matczynych wyszedłszy, na łono Boga przechodzą; z temi to Bóg rozmawia niekiedy, wesoło, poufale, dziecinnie, a stósując się do ich wyobrażenia, grób kwiatami potrząsa.

Kilka tygodni temu, dojeżdżałam w Niedzielę o wieczornéj porze do rodzinnéj wioski nad Wartą, i już witałam z daleka i biały domek z koroną drzew w około, i starożytny kościółek, równie może staremi otoczony lipami, gdy doszedł mych uszu boleśny dźwięk pogrzebowego dzwona. — Serce zabiło mimowolnie — kazałam prosto zajechać na cmentarz — tłum ludu go zapełniał — a najwięcéj kobiet, a w kołło małego grobu najwięcéj klęczało dziatek. — Dwoje z nich, ośmioletnie dziewczynki, ze łzami w oczach, z koszykami w dłoni, rzucały na grób zmarłéj towarzyszki równianki z kwiateczków polnych. — Gdy się skończył obrzą-

dek, zbliżyłam się do smutnego koła i wypytywać zaczęłam. — Biedna matka przed łzami odpowiedzieć nie mogła, ale mała Kasia przystąpiwszy ku mnie: — „Ach moja kochana Pani,“ mówiła, „wielki to mamy smutek, bo toćto Marysię w grobie my dzisiaj składali — Marysia, co tak była dobrą, że cała wieś ją kochała; a tak posłuszna, że biegła na skinienie rodziców; a taka pokorna, że nikomu złego słowa nie powiedziała; a tak wesoła, że aż miło się z nią bawić bywało. W Czwartek jeszcze pasłyśmy krówki na łączce za kościołem — Marysia nie tyle biegała co zwykle, tylko siedziała zamyślona, — ale nie smutna, bo się często uśmiechała, a zwłaszcza, kiedy na kościół spojrzała. — Pytałam jéj się pare razy: Marysiu moja, — co ci to? — ale ona tylko ręką czoło potarła, mówiąc, że ją trochę boli głowa; — wtém zadzwoniono na anioł pański, uklękła jak zazwyczaj, i złożywszy ręce patrzała długo w niebo, a przytém tak była ładna, jak te aniołki, co są w kościele na obrazie Matki Zbawiciela. Razem powstała, i, klasnąwszy w dłonie, zawołała: Kasiuchno miła, narwijmy kwiatków, ale dużo i ładnych kwiatków, zaniesiesz je w Niedzielę do kościoła, jak mnie już nie będzie. Nie rozumiałam jéj wtedy, ale szczęśliwa, że ona wesoła, bo ją kochałam jak siostrę — i pobiegłyśmy wesoło i dużo nazbierały kwiateczków. Marysia im się cieszyła, a za każdym piękniejszym klaskała w dłonie, mówiąc: to dla ciebie, ja w niebie piękniejsze mieć będę. — A kiedy ty będziesz w niebie spytałam ciekawie. — Ot widzisz, jutro, jak krówki z pola przypędzi, matynka kochana nie zastanie Marysi przy życiu. — A nie żal ci to umierać, zawołałam. — O nie wcale, bo w niebie tak ładne dla Pana Jezusa kwiatki zbierać będę! — I ona się uśmiechała, a ja rzuciłam jéj się na szyję, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, bo zkądże, ona dzisiaj tak zdrowa, jutro umieraćby miała; — a jednak pomyślałam sobie, ona tak dobra, że może ją Pan Bóg chce mieć aniołkiem w niebie. — I tak się też stało; Marysia zachorzała na głowę i nie popędziła bydełka. Rodzice poszli w pole; a gdy pod wieczór wrócili do domu, Marysia leżała wyciągnięta na łóżeczku, z uśmiechem na ustach, z założonemi na piersiach rękoma, ale już nie słyszała, chociaż na nią wołali.“

M.

N°148. PIOSNKA PRZY WESELU. *Wieś Przysucha*

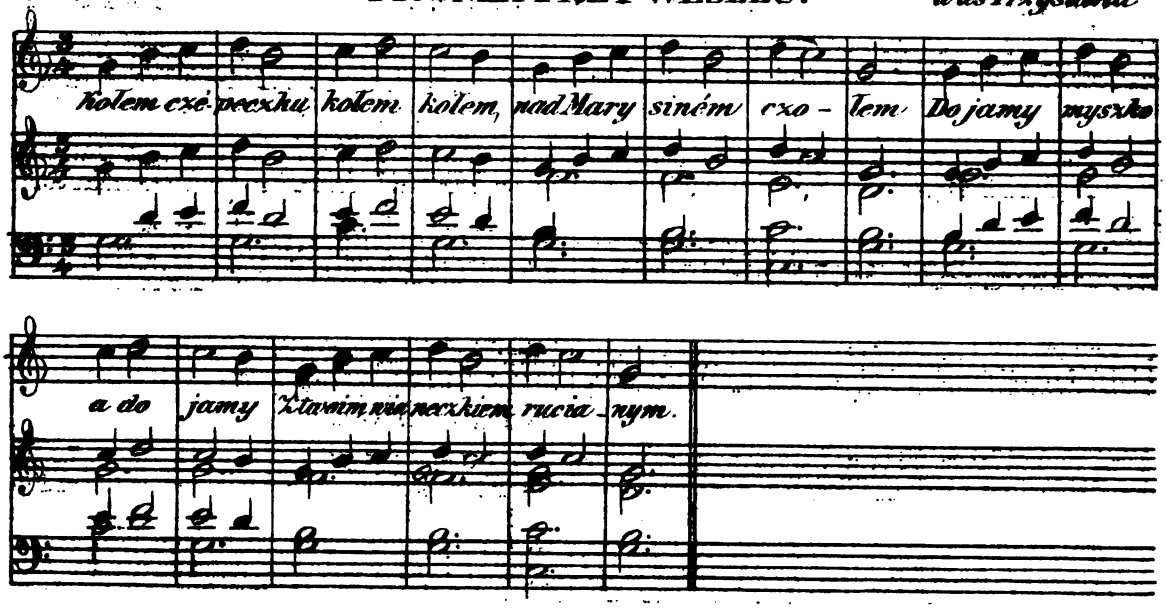

Text do *Nru. 148.*

Kołem czépeczku kołem, kołem,
Nad Marysiném czołem;
Do jamy myszko, a do jamy
Z twoim wianeczkiem rucianym.
A ty wianeczku na kołeczek,
Bądź dla innych dzieweczek!

Nie wdowa Maryś, a nie wdowa,
Siedzi w czépku jako sowa.
Idźcie druchny, lipową drogą
Odeszłyście pannę młodą.
Czyście jéj to ślepe były,
Kiedyście ją oczépiły?

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor; Dr. Szymański.)

Nr. 22. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 30. Maja 1846.

O'Connel (dokończenie). — X. Andrzéj Pohl (dokończenie). — Szpital górniczy pod Będzinem. — Klechdy ludu polskiego w Szląsku (dokończenie). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Daniel O'Connel.

(Dokończenie.)

Tak tedy osięgło ministeryum na pozór życzenia swoje; O'Connel i jego współwinni siedzieli w więzieniu jako przekonani o spiski. Lecz czy w rzeczy saméj miało ministeryum słuszny powód do tryumfów? O nie! o nie! Towarzystwo Repeal nie dało się tém bynajmniéj ustraszyć i pod przewodnictwem znanego Smith O'Brien dawną pokazało energią. O'Brien także wzywa do spokojności, lecz — mówi — w razie potrzeby znalazłoby się wielu mężów, którzyby za dobro kraju skonać potrafili. Ze wszystkich stron przybywały deputacye od różnych korporacyj do więzienia O'Connel'a; po wszystkich parafiach przedłożono adressy do Królowéj Jéjmości, przeciwko: „najśmieszniejszemu ministeryum, z jakiego kiedykolwiek się śmiano," w których „uwolnienia O'Connel'a jako rzeczy zupełnie prawnéj i słusznéj" żądano: „ponieważ żaden Irlandczyk takby się nie poniżył, ażeby o łaskę dla niego żebrać miał."

Takie same uczucia ożywiały Anglią i wszystkie zgromadzenia ludu energicznie oświadczyły się przeciw Rządowi. Do zgromadzeń towarzystwa Repeal cisnęli się ludzie wszelkich barw politycznych: Whigowie, Protestanci i urzędnicy w celu wyrażenia swego nieukontentowania. Renta, powstała z opłaty wstępu do Repeal towarzystwa, nadzwyczajnie poszła w górę. Ministeryum chciało zastraszyć Irlandyą i groziło wkroczeniem wojska przeciw zgromadzeniom Repeal, lecz O'Brien oświadczył natychmiast, że od zamiarów swoich nie odstąpi i processu lękać się nie będzie, a Peel ustraszony porzucił wszelkie groźby. Prawnie nie mógł nic rozpocząć przeciwko zgromadzeniom towarzystwa Repeal, mógłby był tylko przytłumić je uchwałą parlamentu, co w owéj chwili nader było niebezpieczną rzeczą. Sądzono, że pogłoska o zmianie ministeryum będzie w stanie żądanie zgromadzenia się towarzystwa Repeal przytłumić i skoro tylko mówić o tém będą, że Whig'owie uchwycą stér rządu! Naprożno! „Niechaj się liberalni i Whig'owie angielscy o tém dowiedzą," ogłosił O'Brien, „że naród irlandski żadną miarą nie dozwoli machinacyj, za pomocą którychby chcieli po jego karkach i jego kosztem dojść do władzy; każdy Minister, który Irlandyi pomoc osięgnąć sobie życzy, powinien do towarzystwa Repeal przystąpić." Rząd starał się poróżnić O'Connel'a z ludem, zakazał mu przyjmować nadal adressy i deputacye, także i odwiedzających miano w przyszłości nie wielu do niego dopuszczać. „Nierozsądni!" dał się o tém słyszeć dziennik jeden irlandski, „dźwięk głosu jego przetrwa wieki, brzmiąc w sercach wszystkich Irlandczyków, a każdy wietrzyk, powiewający na wyspie naszéj, jego przynosić nam będzie myśli. Starać się przytłumiać wszelkie dla niego uczucia, jest taką niedorzecznością, jak chcieć gołémi rękami gasić płomienie." Tak było w rzeczy saméj! Uwięzienie O'Connel'a było pobudką do ściślejszego pojednania się wszystkich partyj i wyznań; głos jego kierował ludem z więzienia, ustalał jego energią i wstrzymywał wszelkie groźne wybuchy; wpływ O'Connel'a dopiero w więzieniu pokazał się w całéj swéj wielkości. Uwięziony O'Connel był straszliwszym dla arystokracyi angielskiéj, aniżeli spiskujący.

O'Connel appellował przeciw wyrokowi sądu Queensbench do izby Lordów. Lordowie

wysłuchali obrońców oskarzonych i mniemania Sędziów angielskich. Z pomiędzy 9ciu Sędziów ogłosiło się 7miu przeciw zniesieniu wyroku; mniemania ich były, jak się później O'Connel w dzień uwolnienia wyraził, najśmieszniejsze w świecie, które tylko kiedykolwiek usta ludzkie wymówić zdołały. Powody zaś oskarzonych, jako to sfałszowanie listy Sędziów przysięgłych, nienawiść urzędników koronnych, stronniczość pierwszego Sędziego, dwom tylko Sędziom do uzasadnienia wniosku o odrzucenie wyroku dosyć ważnemi się zdawały. Nikt tedy nie wątpił o potwierdzeniu wyroku. Rozstrzygnięcie téj sprawy leżało jedynie w ręku 5ciu Lordów izby wyższéj, którzy muszą zawsze być prawnikami. Lord Kanclerz Lyndhurst i Lord Brougham oświadczyli się przeciw odrzuceniu wyroku. Lecz Lord Denman silnie przeciw nim wystąpił. Za główną przyczynę do uzasadnienia wniosku o odrzucenie wyroku uważał on opuszczenie wielu imion z listy Sędziów przysięgłych, ponieważ tak samowolnie wybrana Jury nigdy nie może wydać wyroku bez nadwerężenia obywatelskiéj wolności. I któżby się był spodziewał! powody te uznano za słuszne i wniosek przeszedł. Wyrok sądu Queensbench został przez Lordów Dentam, Cottenham i Campbell odrzuconym! Dzięki należą się tym mężom za ich nieustraszoną obronę praw i sprawiedliwości. W sercu ludu uchodziło wskazanie O'Connel'a zawsze za obrazę majestatu sprawiedliwości. Opinia publiczna surowy wydała wyrok o Lordzie Brougham, niepodobna bowiem było przypuścić, ażeby on przy tak namiętnéj nienawiści O'Connel'a zdołał był od wszelkiéj powstrzymać się zemsty i stronniczości. Człowiek ten w ogóle smutnym jest przykładem, jak próżność, żądza honorów i upór najświetniejszy talent zniszczyć mogą.

Niespodziewany wyrok izby Lordów, który Lord Kanclerz drżącym odczytał głosem, niesłychanie przeraził ministeryum. Większą jeszcze była radość zgromadzonego ludu, gdy się o odrzuceniu wyroku na O'Connel'a zapadłego dowiedział. W pierwszéj chwili nikt nie wierzył swym uszom, lecz okrzyk radości wzmagał się z każdą chwilą i przebiegał miasta i wioski. Skoro tylko dowiedziano się o tém w Irlandyi, co zaszło w Londynie, natychmiast uwolniono więźniów. Radośnym otoczony tłumem powrócił O'Connel, ów wyswobodzony wyswobodziciel, do domu, na łono uradowanéj familii, a wystąpiwszy na balkon domu podziękował prostemi i humorystycznemi zarazem słowy ludowi za jego udział i zażądał, ażeby spokojnie wrócono do domu. Uroczysty obchód uwolnienia O'Connel'a odłożono na drugi dzień. Przed więzieniem wsiadł O'Connel na wóz tryumfalny w towarzystwie Lord-Majora i Rady miasta Dublina; towarzyszyło wielkie mnóstwo ludu, który ówczesne dzienniki na 500,000 podają. Przy całéj téj uroczystości nie widziano ani jednego policyanta, ani żołnierza; O'Connel zaręczył za spokojność i na tém przestano. Najmniejsza nawet nie powstała kłótnia w tak niezliczonym tłumie; takim jest wpływ O'Connel'a, tak wielkiém jest poszanowanie praw u wolnego ludu. Śmieszny i niepolityczny zrobiło krok ministeryum, posyłając wojska do Irlandyi, cóż bowiem zdoła kilka pułków przeciw niezliczonym massom, jeśli O'Connel i prawo powstrzymywać ich nie będzie?

Jak sobie nadal O'Connel postępować będzie, jest to pytanie, które sobie bardzo wielu zadaje? Co się zaś tego pytania tyczy, dał on się w dniu swego oswobodzenia słyszeć, w którym go z niesłychanym zapałem i uniesieniem przyjęto, że tam właśnie zacznie, gdzie przed processem był zaczął. Pozostaje nareszcie wyrzec zimny lecz bezstronny sąd o O'Connel'u. Uczciwość i prawość jego charakteru, zamiłowanie wolności, odwaga i wytrwałość, bystrość umysłu i znajomość prawa i wymowa jego, powszechnie są znane. Większego mówcy, a szczególnie większego mówcy do ludu, nigdy nie było; za pomocą swéj wymowy kieruje on niezliczonym ludem i z prawdziwą dumą mógł wyrzec w dniu swego uwolnienia: Gdzież jest ten Król, który równą méj posiada władzę? Prócz pojęcia politycznéj wolności, nie ma on żadnego innego; a co się tyczy filozoficznego zapatrywania się na rzeczy, niżéj stoi od tych, którzy i w tym względzie z czasem się kształcą. Co się tyczy religii, jest on tylko tolerantem. Pod politycznym względem jest O'Connel jednym z najważniejszych ludzi naszych czasów; śmierć jego ważne bardzo miałaby skutki, czego nie o każdym powiedzieć można, którego pochlebcy wielkim głoszą. Wielki jego talent organizacyjny świetnie pokazał się przy tworzeniu rozmaitych, wyżéj wymienionych towarzystw i niezawodnie wielkie byłby zdziałał rzeczy, gdyby go mógł był użyć na uorganizowanie towarzystwa ludzkiego i pracy. Te idee przyszły dla O'Connel'a za późno, a jeden człowiek wszystkiego zrobić nie potrafi. W każdym razie utorował on drogę ideom socyalnym, przyzwyczajając lud do politycznego stowarzyszania się, usunął niezliczoną liczbę zabobonów i obudził u ludu zaufanie do własnych wrodzonych mu sił. Niechaj inni dokończą tego, co O'Connel tak świetnie rozpoczął, ponieważ prawdziwéj, rozumnéj a tém samém koniecznéj myśli nigdy nie zbywało na apostołach i wykonawcy.

M. E. S.

X. Andrzéj Pohl.

(Dokończenie.)

Na wezwanie Biskupów X. Pohl przyjął w roku 1796 urząd Wizytatora generalnego Zgromadzenia XX. Missyonarzy i Siostr miłosierdzia w prowincyi Litewskiéj, który to urząd aż do końca życia, przez 24 prawie lat, godnie i z chwałą sprawował.

Z podobną gorliwością i troskliwością czuwał zawsze nad interessami, osobami i stanem domów Zgromadzenia i Siostr miłosierdzia, które utraciły w nim troskliwego opiekuna, czułego o ich duchowne i doczesne dobro naczelnika, i szczerze kochającego ojca. Niespracowany w swoim urzędzie, w kalectwie nawet, któremu od roku 1808 uległ, odbywał wizyty odległych w prowincyi domów. I w ostatniéj słabości z tém się oświadczył: „O gdyby mo„żna, skrzydłami bym poleciał, dla zwizytowa„nia niektórych domów!“

Znany dobrze z swéj nauki i doświadczenia Biskupom dyecezyów i od nich poważany, wzywany bywał do rady i urządzenia Seminaryów dyecezyalnych. Pracowitość i gorliwość tego męża nie kończyła się na samém tylko wypełnianiu obowiązków urzędu swojego i ułatwianiu interessów obojga Zgromadzeń.

Wzywany często do publicznych zatrudnień i posług, dawał dowody zręczności i gorliwości swojéj, już to w zakładach dobroczynnych, już w cywilnych dla narodu usługach, już w dalszych dla kraju i publiczności podjętych duchownych i politycznych pracach, wszędzie ochoczy i czynny.

Jadwiga z Załuskich Ogińska, Wojewodzina Trocka, dobroczynna Pani, miała chęć i zamiar część majątku swego poświęcić na dobroczynny jakowy zakład; korzystał z téj okoliczności X. Pohl, jako dobry syn i naśladowca Śgo Wincentego à Paulo. Z ducha więc i porady jego rzeczona Pani w roku 1786. zapisała fundusz na sieroty, ubogie dzieci i niemowlęta podrzucone, poruczając X. Pohlowi uskutecznienie i nadal opiekę. W skutek tego założył 1788 fundamenta szpitala sierot, pod tytułem: „Dzieciątka Jezus,“ w Wilnie. Obecni natenczas w Wilnie Nuncyusz apostolski w Polsce, Arcy-Biskup Saluzo, późniéj Kardynał, i Xiążę Massalski, Biskup Wileński, z odpowiednią aktowi solennością, osobiście przytomni, założeniu takowemu błogosławili. Pracą zaś i staraniem jego część planu zamierzonego, która się teraz widzieć daje, uskuteczniona została. Wzniesienie fabryki wspierał w niedostatku, ile mógł, to materyałami, to inszemi pomocami.

W roku 1791 Metropolita Bohusz Siostrzeńcewicz, Arcybiskup Mohilewski, Siostry miłosierdzia z sierotami do nowego szpitala solennie wprowadził. Gdy dla pomnażającéj się ludności fundusz pierwiastkowy był nie wystarczający, X. Pohl częstokroć żywnością i różnemi artykułami potrzeb przez kilka lat szpital ten zasilał i wspierał. Nadto szukał sposobów ulepszenia bytu tego szpitala i do końca życia swojego troskliwie interessami jego zajmował się.

Pełen religii Kapłan z przykładném zawsze i budującém nabożeństwem obrządki kościelne spełniał. — W naukach duchownych gruntownie uczony, otrzymał w r. 1811 stopień Doktora teologii w Imperatorskim Uniwersytecie Wileńskim. Z powszechnym żalem Zgromadzenia i parafian umarł X. Pohl w Wilnie dnia 13. Listopada 1820 r., wieku lat 78., i na cmentarzu XX. Missyonarzów w katakombie osobno wymurowanéj pochowany został.

Opis życia jego w skróceniu wypisany jest z wydrukowanéj pod dniem 3. Stycznia 1821. przez X. J. Stankonowicza, Zastępcy Wizytatora Zgromadzenia XX. Missyonarzów: „Pa„miątki życia ś. p. J. X. Andrzeja Pohla pier„wszego w Państwie Rossyjskiém Generalnego „Wizytatora Zgromadzenia XX. Missyonarzów „i Siostr miłosierdzia; w Wilnie, w drukar„ni dyecezyalnéj przy kościele Śgo Kazimierza, „1821 roku.“

Nadto Dziennik wileński w tomie III. Nro. 4, na miesiąc Grudzień 1820 wyszły, na karcie 476 umieścił w krótkim opisie życie jego. Dzieła jego drukiem ogłoszone są następujące:

1. Zbiór krótki medytacyj stósowanych do reguł i obowiązków powołania Zgromadzenia XX. Missyonarzów, 8vo, tom 1, 1763 roku. — 2. Philosophia naturalis, Theologiae revelatae praeambula 6 partibus comprehensa, 8vo, 1794 roku. — 3. Rekolekcye na ośm dni rozłożone, 8vo, 1795 roku. — 4. Katechizm moralny, tomów 4, 8vo, 1806 roku. — 5. Kazania dwa pogrzebowe, 8vo, 1806 roku. — 6. Medytacye z pospolitych reguł Siostr miłosierdzia, 8vo, tom 1, 1808 roku. — 7. Katechizm dogmatyczny, części 2, 8vo, 1809 roku. — 8. Mowy kaznodziejskie, tom 1, 8vo, 1809 roku. — 9. Theologia Dogmatica et Moralis, 8vo majori, tomów 4., 1809 roku. — 10. Kazania na Uroczystoście Chrystusa Pana, Matki Najświętszéj i niektórych Świętych, tom 1, 8vo, 1811 roku. — 11. Konferencye podczas pięciodniowych rekolekcyj do duchowieństwa świeckiego miane, tom 1, 8vo, 1811 r. — 12. Rekolekcye duchowne, na pięć dni rozłożone, dla wygody duchowieństwa, tom 1, 8vo, 1811 r. — 13. Scriptura sacra per quaestiones exposita, responsionibus explicata, contra incredulos defensa; opus ad sciendas et intelligandas divinas litteras utilissimum; 8vo, tomów 5; tom 1, 1810., tom 2, 3, 4, 1811.; tom 5, 1812 r. — 14. Kazania moralne o powinnościach ku Bogu, bliźniemu i nam samym, tom 1, 8vo, 1812 r. — 15. Kazania dogmatyczno-moralne, tom 1, 8vo, 1814 r. — 16. Powinności chrześciańskie,

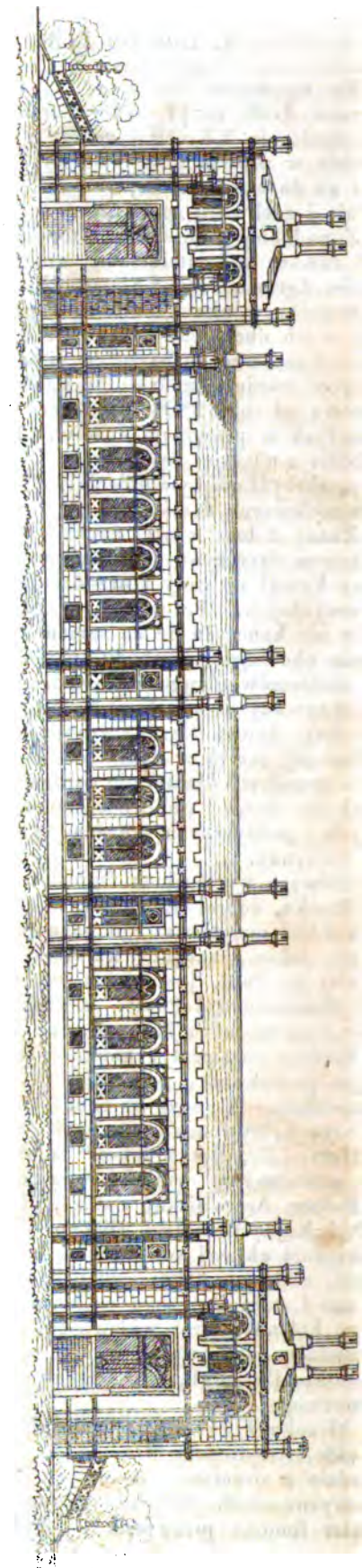

Front szpitala.

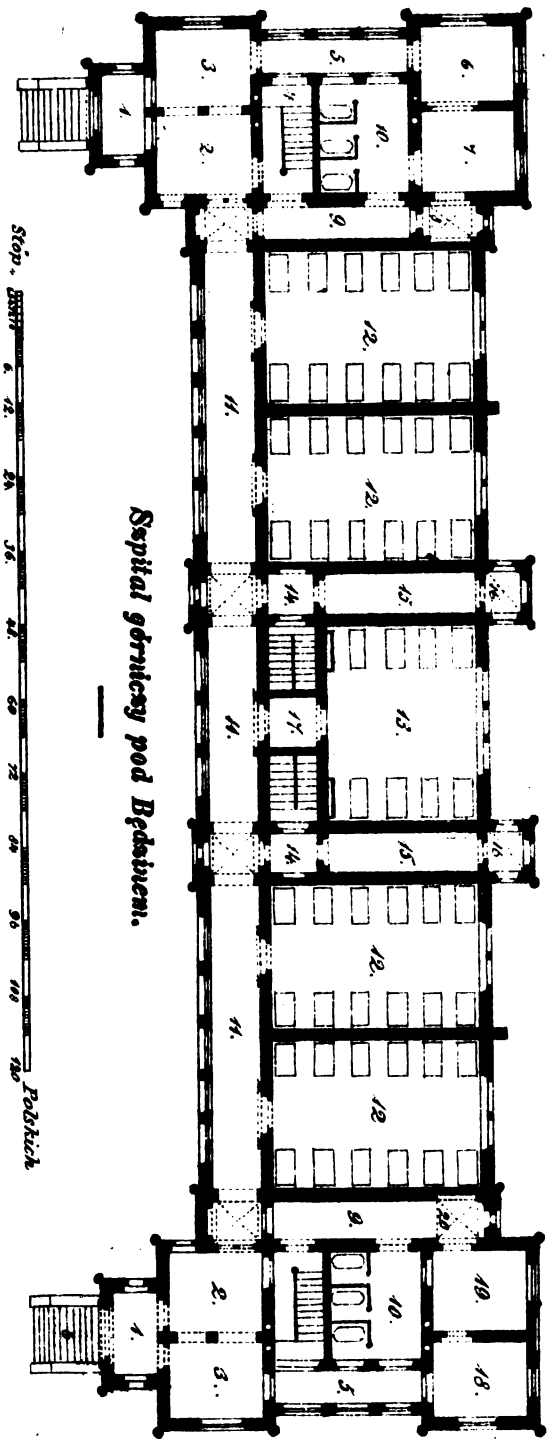

Szpital górniczy pod Będzinem.

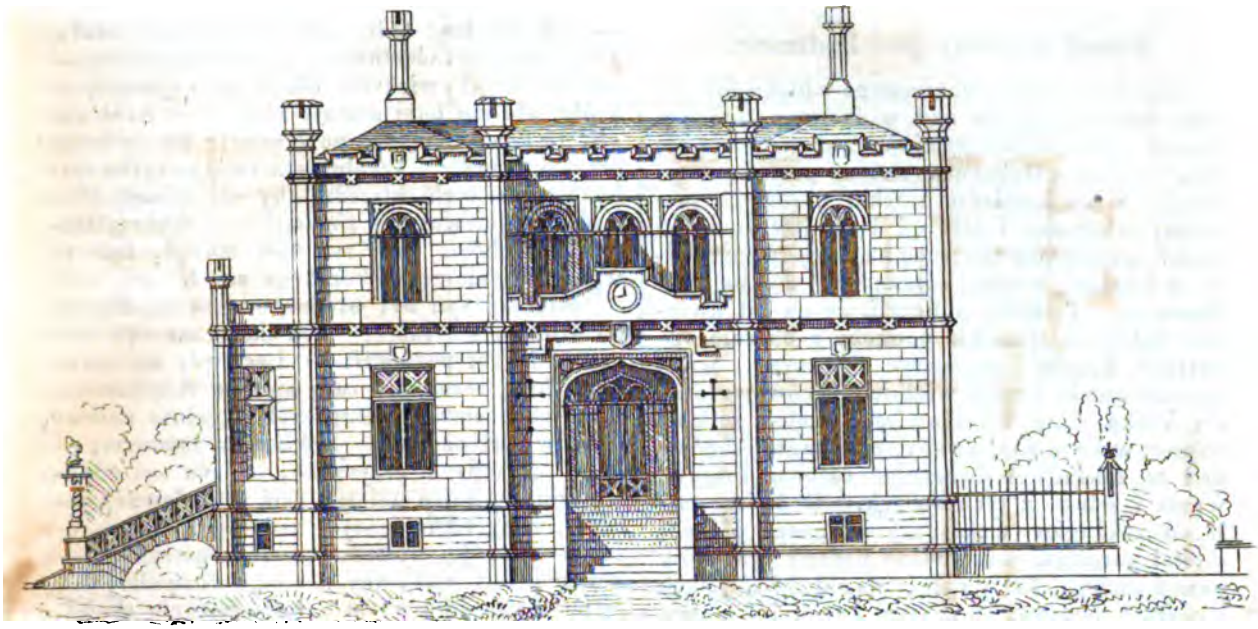

Bok szpitala.

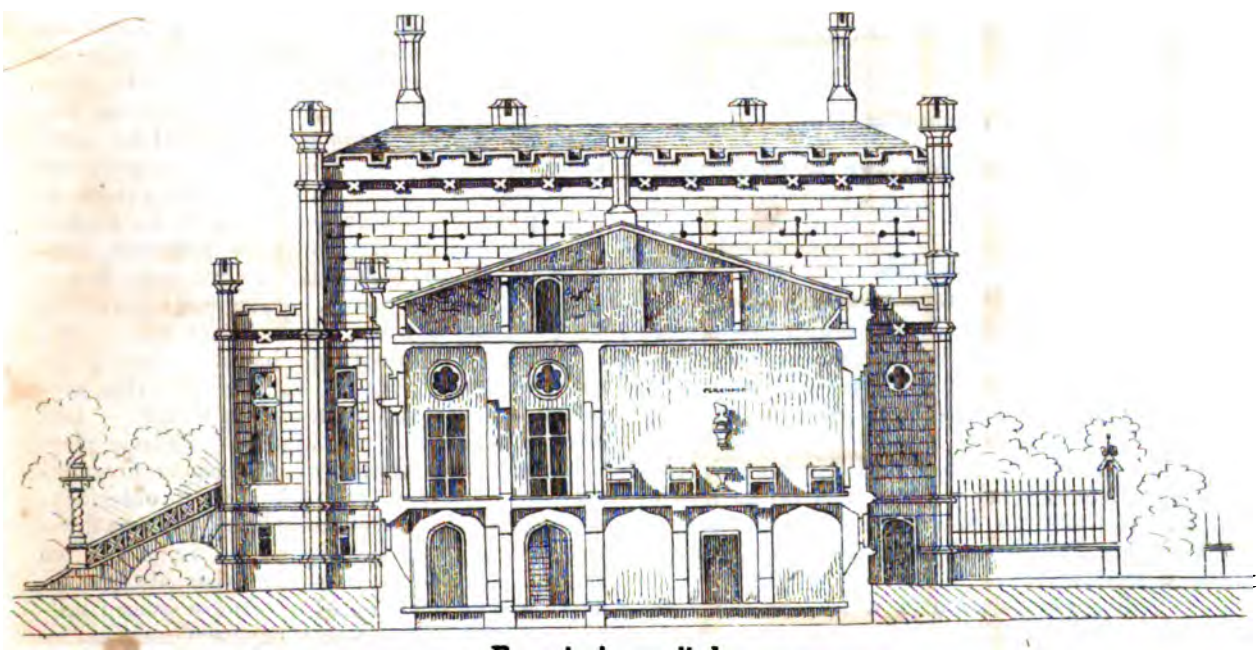

Przecięcie szpitala.

czyli Katechizm missyjny; 12mo, 1814 roku. — 17. Generalny rachunek sumienia, 12mo, 1814 r. — 18. Kazania missyjne, tomów 4, 8vo, 1815 r. — 19. Medytacye na Niedziele i Święta uroczyste, 8vo, 1817 r. — 20. Kazania postne, tom 1, 8vo, 1818 r. — 21. Kazania adwentowe, tom 1, 8vo, 1818 r. — 22. Nauki moralne, dogmatyczne, oraz medytacye dla odprawujących rekolekcye, tomów 3, 4to, 1818 r. — 23. Rubrum Missialis et Breviarii, 8vo, tomów 2, 1820 roku.

W rękopismach pozostały: Konferencye o cnotach stanowi duchownemu służących, na 3 części rozłożone. — Ceremonie Biskupie niedokończone w jednym tomie. — Wykład pacierza. — Kazania i wiele innych pism w rozmaitych materyach. *G. J.*

Szpital górniczy pod Będzinem.

Nie ma pewnie piękniejszego widoku dla rodaka przemysłowego nad widnokrąg Będzina. Po nad łącznemi brzegami Przemszy wznoszą się huty cynkowe Dąbrowy, sterczy przytém trzydzieści kilka kominów machin parowych rozmaitéj wielkości i siły od 4 do 100 koni: 30 takich machin przeznaczono na pompowanie wody z kopalni węgla, ciągnących się po nad Przemszą. Technicy obliczyli, że na lat dwieście Polska w wszelkie potrzeby z obecnie odkrytych kopalni zaopatrzyć się może: wielka walcownia i sześć wielkich pieców wznoszą się blisko huty Ciemkowice. Koléj żelazna Warszawsko - Krakowska podchodzić będzie pod te zakłady i dostarczać całemu krajowi węgla i żelaza z tych fabryk. O ćwierć mili od zakładów wznosi się na górze pięknéj szpital górniczy, wystawiony podług rysunków pana Lanciego, który należy do najpiękniejszych nowszych budowli w naszym kraju, i dla tego szczegółowo rys tu podaję. Wzorowy smak i trafne wewnętrzne urządzenie zakład ten odznaczają i świadczą o znakomitym talencie budowniczego, który tyle upiększeń w kraju naszym wykonał. Budynek ten przed 6 laty postawionym został.

† †

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Dokończenie.)

XVIII.

O Argelusie.

Pewny król miał dwóch synów; — starszy z nich imieniem Argelus był tak przecudnéj urody, że go ojciec w osobnym zamku trzymał i nigdzie mu wychodzić nie dał, aby na niego ani zły wiatrek nie wionął i jemu nie szkodził. — Królewicz miał wszelkie wygody i usługi, lecz chociaż go król sam często nawiedzał i z nim się bawił, przecież mu się takie życie bardzo nudziło i do wolności ciągle wzdychał.

Jednego czasu wyrosła w królewskim ogrodzie piękna jabłoń, mająca z rana złote kwiécie, a ku wieczorowi złote owoce. — Król, chodząc po ogrodzie, cieszył się wielce z téj jabłoni i umyślił sobie, zwołać znakomitsze książęta państwa, by im pokazać te dziwne owoce; — żeby zatém, jak zwykle w nocy, nie zginęły, postawił straż przy jabłoni. — Stróżowie lubo ani oka z drzewa nie spuścili, przecież nie wiedzieć, jak jabłka złote w nocy znikły; — rano zaś złote kwiécie, a ku wieczorowi złote jabłka znowu się pokazały. — Król na drugą noc podwójną straż kazał przystawić, lecz jabłka znikły. — Trzeciéj nocy to samo. — Nie wiedząc tedy, coby to znaczyć miało, kazał przywołać sławnego czarnoksiężnika; — ten rzekł: „Powiedział cibym ja, najjaśniejszy królu, ale się boję o moje życie.“ — Król naglił go koniecznie, aby powiedział; wtedy rzekł czarnoksiężnik: „Argelus, syn twój, mógłby tylko owoców tych ustrzedz, aby nie zginęły.“ — Król, rozgniewawszy się bardzo, rzekł: „Hultaju! ty chcesz, aby syn mój zginął, lecz ty wprzód zginiesz;“ i kazał go zabić.

Młodszy syn był błędnego rozumu, dla tego król go nie lubił; — on chciał owoców pilnować i król pozwolił. — Lecz gdy mu owoce znikły, oznajmił całą sprawę Argelusowi, bratu starszemu. — Gdy król Argelusa nawiedził, wydał on mu się być bardzo smutnym; — pytał go tedy o przyczynę, — syn zaś odpowiedział: „Śniło mi się dziś o cudownéj jabłoni, w ogrodzie naszym będącéj, i o tém, — że ja tylko jéj owoców ustrzedz potrafię.“ — Potém prosił ojca, aby mu tego dozwolił, ale ojciec z początku o tém ani słuchać nie chciał, i dopiero, gdy Argelus odgrażać począł, że się przebije, ojciec, lubo niechętnie, na to zezwolił.

Argelus kazał sobie łóżko i stół z lampami pod cudowną jabłonią postawić i wziął jednego ze swoich służebnych ludzi. Położył się na łóżku, lecz aby nie zasnął, czytał sobie różne księgi. — Około północy przyleciało siedm łabędzi i usiadły na jabłoni. — Argelus, widząc to, sięgnął zaraz ręką, jak daleko mógł dosięgnąć, na jabłoń, i uchwycił jednego łabędzia, z którego wnet stała się panna bardzo urodna; resztę sześć łabędzi zleciały na ziemię, i w panny się też przemieniły. — Pierwsza, którą uchwycił, była księżniczka zaklęta, drugie zaś jéj dworskie panny. — Argelus cieszył się z tego niewymownie, księżniczka mile z nim rozmawiała, i prosiła go bardzo, aby tak jeszcze trzy noce przepędził, gdyż tym tylko sposobem z zaklęcia wyratować ją może; — lecz ostrzegała go, aby nie zasnął. — Ledwie pierwsze promienie słońca błysły, panny przemieniły się znowu w łabędzie i wnet odleciały; — jabłka jednak złote zostały téj nocy na drzewie. — Król cieszył się z tego i nie dał ich zrywać. — Ale Argelus nic ojcu nie powiedział o pannach i kazał też słudze swemu milczeć, gdyż go za najwierniejszego uważał. — Ten sługa Argelusa zalecał się córce jednéj niewiasty, która była wielką czarownicą; powiedział więc pod sekretem swojéj kochance zdarzenie przeszłéj nocy. — Ta znowu pod sekretem matce. — Matka kazała mu milczeć i dała mu woreczek skórzany, mówiąc: „Jak się pan twój położy, otwórz cokolwiek woreczka, a natychmiast uśnie. — Jak zaś łabędzie odlecą, posmaruj mu maścią z tego słojeczka oczy, to się obudzi.“

Argelus czuwał następnéj nocy bardzo pilnie, ale skoro niewierny sługa z tyłu woreczek

za nim otworzył, usnął biedak jak zabity. — Przyleciały łabędzie i w panny się przemieniły: księżniczka ruszała śpiącego i słudze go budzić kazała, wszystko jednak było na próżno, bo sługa obudzić go nie chciał. — Gdy świtać zaczęło, księżniczka w wielkim żalu poleciła słudze, aby przyszłéj nocy pan jego był czujniejszym, potém wszystkie panny stały się łabędziami i uciekły. — W ten czas dopiero sługa potarł panu oczy maścią. — Gdy się obudził, powiadał mu o pannach, i co mu kazała jedna powiedzieć; — królewicz gniewał się wielce, i zaś słudze jeszcze ostrzéj milczeć o wszystkiém przykazał. — Sługa zwierzył się przecież znowu czarownicy, ta zaś radziła mu, aby tak jak w przeszłéj nocy uczynił. — Drugiéj nocy, silił się znowu Argelus, aby nie zasnąć; — lecz sługa niewierny upuścił wiatru z woreczka, a pan zaraz bez zmysłów został. — Wtedy łabędzie przyleciały, w panny się przemieniły, królewicza burdały (*), nawet go z łóżka wziąwszy prowadziły, ale to nic nie pomogło. — Księżniczka jeszcze raz zleciła słudze, aby pan przynajmniéj następnéj nocy nie spał, jeżli ją chce wyswobodzić; — sługa oznajmił to panu, gdy mu oczy posmarował, ale o czarownicy i woreczku zamilczał.

Argelus przymuszał się cały dzień do spania, żeby mu się w nocy spać nie chciało; — ale i to było na próżno, — usnął; — a gdy go panny obudzić w żaden sposób nie mogły, powiedziały słudze, że ich pan jego już więcéj nie obaczy, gdyż w bardzo dalekie strony na dalszą pokutę udać się muszą. — A gdyby Argelus chciał wiedzieć o przyczynie, niech miecz nad łóżkiem jego w zamku wiszący z jednego kołka na drugi przewiesi, a ten mu ją wskaże. — Jeżeliby zaś chciał nas jeszcze szukać, wtedy powiedz mu, że na wschód słońca w Czarném-mieście pokutę naszę skończyć musimy. — Biedny Argelus udał się do zamku swego, a ponieważ mu sługa mowę panien oznajmił, przewiesił tedy miecz swój z kołka na kołek. — Ten zaraz się dźwigać począł, i ku niewiernemu słudze obrócił. — Argelus, widząc to, miecz porwał, i nim niepoczciwemu słudze uciął głowę. — W ten czas oznajmił ojcu zdradę, i prosił, by mu pozwolił szukać swéj ukochanéj. — Ojciec nie chciał na to zezwolić; ale gdy widział, że syn zgryzotą trapiony coraz bardziéj wiądł, wyprawił go tedy i dał mu sług, powozów, i pieniędzy tyle, by mógł życzenia swego dopiąć.

Udał się więc Argelus w podróż. — Przejechał już wiele dalekich krain, aż mu też nakoniec i pieniędzy brakło. — Sprzedał tedy konie i powozy, a odprawiwszy sługi do domu, sam piechotą daléj wędrował. — Głód mu mocno dokuczał, gdy przyszedł do lasu jednego i napotkał tam trzech młodzieńców, którzy się społem z sobą bili. — Przystąpił tedy do nich, i oznajmiwszy im swój ród królewski, pytał ich o przyczynę sporu? — Młodzieńcy mu rzekli: „Jesteśmy trzej bracia, ojciec nasz zostawił nam tylko tyle, ile tu przed nami widzisz, to jest: stolik, bicz, siodło i konia. — Nie możemy się zgodzić o działy, bo wszystkie te rzeczy jednemu tylko przydatne być mogą: Kto bowiem na konia siodło włoży, siądzie na niego potém i biczem trzaśnie, mówiąc: „„Tam lub tam chcę być,““ w momencie tak mu się stanie. — Kto zaś w stolik uderzy, natychmiast koń z siodłem i biczem do niego wracać musi; — wiesz ty co, rozsądź nas w téj sprawie.“ — Królewicz szedł z nimi czas jakiś i wreszcie rzekł: „I to być może;“ a potém mówił do nich znowu: „Widzicie zdala owe trzy góry, „które są w równéj odległości. Puśćcie się te„dy razem do nich; a który pierwszy wszedł„szy na wierzchołek góry, na powrót z niéj do „mnie powróci, ten odziedziczy wszystkę spu„ściznę.“ — Przystali bracia na to, i ku górom pognali. — Argelus ich nie czekał, ale wsiadłszy na konia, rzekł: „Chcę być w Czarném-mieście,“ i zniknął.

Już go był koń na kilkaset mil ku Czarnemu-miastu uniósł, gdy bracia powróciwszy postrzegli podstęp; — jeden więc z nich uderzył w stolik i rzekł: „Niechaj koń natychmiast tu stanie;“ — wtedy koń spuścił Argelusa na wielkie bagna, z których ledwo się wydobył, i zgłodniały do jednego domu dostał. — Gospodarz przyjął go ludzko i pokarmem posilił. — Argelus pytał się, dalekoby jeszcze było do Czarnego-miasta? — Gospodarz odpowiedział: „Słyszałemci ja już o takiém mieście, ale jak „daleko jest do niego? o tém nie umiem po„wiedzieć; zatrzymaj się jednak u mnie dni pa„rę, będą tu przechodzić karawany kupieckie i „kompanie na odpust, to się od nich będziesz „mógł co dowiedzieć.“ — Przeszła jedna, druga i trzecia kompania, ale nikt w nich o Czarném-mieście nie wiedział; na ostatku trafił się człowiek, który mu powiedział, że ztamtąd Czarne-miasto o sto pięćdziesiąt mil leży. — Argelus miał jeszcze drogi pierścień, który mu ofiarował, jeżeliby go do Czarnego-miasta doprowadził. — Człowiek ten ale wyznał, że z Czarnego-miasta jako winowajca uciekł, i dla tego tylko do granicy obwodu odwieźć go przyrzekł. — Potém Argelus doszedł już do swego celu szczęśliwie; chodził więc po mieście i dumał sobie, coby czynić wypadało, i jakby się o swéj ulubionéj dopytać?

Księżniczka i jéj panny już w ten czas były wyzwolone, i miała mieć za kilka dni wesele z jednym zacnym księciem. — Posłała tedy na miasto jednę ze swoich panien, aby jéj kupiła

(*) burdały. to samo co „budziły.“

stroje. — Lecz ta, gdy tylko Argelusa ujrzała, wróciła czém prędzéj powiedzieć o tém księżniczce. Ta nie chciała temu wierzyć, i mówiła: „To jest rzecz niepodobna.“ — Posłała tedy drugą i trzecią pannę, a gdy obie z tą samą nowiną powracały i zaręczały, że jest ten sam, że go dobrze znają, bo mu się pod ową jabłonią dobrze przypatrzyły; — księżniczka nareszcie poszła sama na miasto, by go obaczyć. — Przypatrzywszy mu się tedy dobrze, poznała go od razu, przywitała się z nim serdecznie i w kilka dni potém odprawiała z nim wielkie wesele na zamku, na którém i ja téż byłem; — a gdy potém wybrali się w daleką podróż do króla i ja się téż z nimi zabrałem, i tak tu się dostałem.

№149.

Wieś Przysucha.

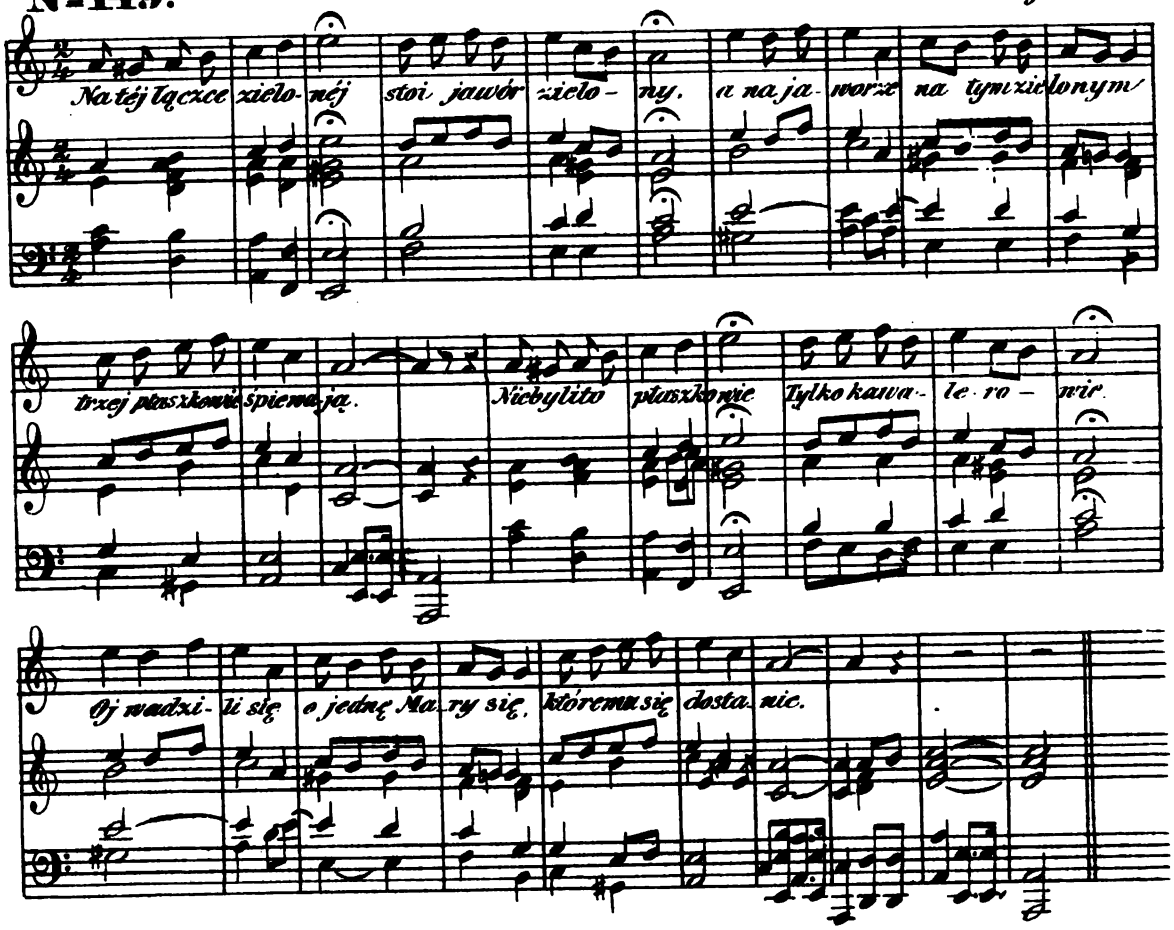

Text do *Nru. 149.*

1. Na téj łączce zielonéj
Stoi jawor zielony,
A na tym jaworze, na zielonym,
Trzej ptaszkowie śpiewają.

2. Nie byli to ptaszkowie,
Tylko kawalerowie;
Oj wadzili się o jednę Marysię,
Któremu się dostanie.

3. Jeden mówi: tyś moja;
Drugi mówi: jak Bóg da;
A trzeci mówi: serduszko moje,
Czemużeś mi tak smutna?

4. Jakże nie mam smutną być,
Za starego każą iść;
A serce moje rozbujało się,
Nie mogę go utulić.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 23. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 6. Czerwca 1846.

X. Marcin Białobrzeski. — Okna i oczy. — Wildbad, wody mineralne w wirtembergskiém. — Piosnki ludu Wielkopolskiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

X. Marcin Białobrzeski,
Biskup kamieniecki, Opat mogilski.

X. Marcin Białobrzeski.

Wielki ten mąż w kościele i literaturze uczył się prawa i teologii w sławnéj podówczas Akademii krakowskiéj. Po ukończeniu nauk wstąpił do zakonu Cystersów w Mogile pod Krakowem. Tu dotąd bowiem wszystkie klasztory cysterskie w Polsce wysyłały młodych swoich zakonników, aby się wydoskonalili w potrzebnych im wiadomościach. Świetny talent Białobrzeskiego w krótce uznany został. Wyniesiony na godność Opata w Mogile, a potém Suffragana krakowskiego, a naostatek za Stefana Króla na biskupstwo kamienieckie, piastował godności te z prawdziwie apostolską gorliwością. Chociaż jako Senator sprawami publicznemi był zajęty, nie zaniedbywał jednak obowiązków biskupich. Osobiście dyecezyę swoją objeżdżał, kazania miewał nauczając lud prosty. Z różnowiernymi gruntownie się rozprawiał, za tém poszło, że wiele obelg, potwarzy nie mało nań rzucali nie tylko w pismach, ale i w prywatnych dysputach i zgromadzeniach, które on nieustraszoném i cierpliwém ponosił sercem.

Dla gładkiéj wymowy i wybornéj łaciny zlecał mu Król Stefan Batory rozmaite urzędowania, w których się i gorliwym Biskupem i prawdziwym synem ojczyzny okazał. Posłany do Siedmiogrodu w imieniu Króla na pogrzeb Krysztofa Batorego, brata królewskiego, w mowie żałobnéj żal Króla oznajmiał. Gdy go jako Senatora na posługi Rzeczypospolitéj wzywano, wywiązywał się krajowi jako prawy obywatel. Na sejmikach koronnych i w senacie mądrą i zdrową radą radził. Najbardziéj zaś mocno oparł się Konfederacyi uknowanéj w Proszowicach r. 1575., gdzie i gruntowną wymową okazał ją być szkodliwą nie tylko Rzeczypospolitéj, ale i kościołowi katolickiemu, przeto i sam się nie podpisał, i innych do niepodpisania się skłonił. Do Maxymiliana Cesarza wysłany i drogę mu do Polski i wojnę niepożyteczną odradził, i do porzucenia daremnych zabiegów o koronę i tron w Polsce przywiódł.

Uczony ten Biskup przysłużył się kościołowi i literaturze kilku pismami religijnéj treści. Najznaczniejsze dzieło jego jest:

1) *Postilla orthodoxa*, t. j.: Wykład śś. Ewangelij niedzielnych i świąt uroczystych, drukowane w Krakowie u Łazarza 1581., fol., 2 tomy. Na czele jest dedykacya do Króla Stefana po łacinie, w któréj wyraża autor ze wszelką skromnością powody skłaniające go do wydania prac swoich, oświadcza przy tém, że lubo stawa w obronie wiary ojców, nie zapomina jednak, że obowiązkiem jego jest nauczać jako pasterz, naprawiać jako ojciec, co jest złém, napominać jako przyjaciel. Zaraz po dedykacyi oddrukowano list dziękujący Króla po łacinie i Królowéj Anny po polsku. Zawarte w tém dziele prace Białobrzeskiego, nie są to kazania, lecz homilie z Pisma św. i ojców kościoła, z wielką pracą zebrane, zalecające się szczerą prostotą, połączoną z wysoką, gruntowną prawd religii nauką i piękną wymową, szczególną uczonością, polszczyzną czystą i dobitną. W całém dziele przebija się wielka świątobliwość, pobożność i prawdziwa miłość bliźniego. Nie znajdzie tu surowa krytyka okazyi do posądzania go o fałszywe rzeczy wyobrażenie, o przesądy, uprzedzenia, stronnictwo, złośliwość ku innowiercom, chociaż sam był jak najgorliwszym papieżnikiem.

Jeżeli nie masz w Postyli jego ognia, którym gore Skarga; jeżeli nie masz tak bujnéj wymowy, jaką celuje Birkowski; jeszcze to nie stanowi o niższości jego talentów, bo obrał sobie rodzaj homiletyczny, poufały, więcéj do rozmowy potocznéj zbliżony, zamierzył tłómaczyć, oświecać, wskazywać drogę życia chrześciańskiego, nie potrzebował więc używać wielkich środków wymowy, roztrząsających umysły, rozczulających serca, jak to miał pole ku temu Skarga lub Birkowski w mowach przygodnych, dotykając najważniejszych interessów, spraw kraju.

Z polecenia władzy dyecezalnéj poczynił przed kilku laty X. Innocenty Krzyszkowski odmiany w nowém wydaniu téjże Postyli; skrócił ją znacznie. Sposoby mówienia i wyrazy niektóre staroświeckie, dziś nie używane, zamienił na nowsze powszechnie przyjęte, kilka homilij opuścił, lub nowe dorobił. Takie wydania nie mogą zadowolnić miłośnika literatury, bo są odarte z barwy swojego wieku, którą właśnie stanowią sposoby wysłowienia, tyle znaczące dla filozoficznego badacza mowy naszéj.

2) *Katechizm*, albo *wizerunek wiary chrześciańskiéj*, wedle nauki Pana Jezusa Chrystusa, przeciwko wszystkim obłędliwościom tych czasów bardzo pożyteczny. 1567. w 4to, bez miejsca; dziełko bardzo rzadkie.

3) *Orthodoxa confessio de Deo uno ex surris litteris descripta*, w Krakowie in 8vo, a potém w Kolonii 1579., przeciwko Aryanom i tym, którzy nauczali, jakoby dusza ludzka razem z ciałem umierała.

4) *Censura de raptu in coelum cum corpore cujusdam puellae.* Cracoviae 1577. in 8vo. Tu zbija pewnego mędrka, który rozsiał bajkę, i na piśmie rozgłaszał, o porwaniu pewnéj dziewczyny z duszą i ciałem do nieba.

Bentkowski liczy Białobrzeskiego między poetami lirycznymi, jako tłumacza pieśni nabożnych, lecz nie wyraża jakich. Pisał gładkie wiersze po polsku: o Jobie, o Tobiaszu, lecz czy wydane były kiedy? nie wiadomo; i piesnko małe o Mszy świętéj.

Okna i oczy.

Jak po oczach często poznawamy człowieka, tak po oknach budowę gmachu i dawność jego. Już Platon oczy nazwał oknami duszy, i w saméj rzeczy cały charakter człowieka nie zepsutego maluje się w jego wzroku. Niewinność serca z ócz młodzieńca i dziewicy łatwo wyczytamy, a szczerość i przyjaźń z wejrzenia przyjaciela wiernego. Nie potrzeba z kim, jak mówią, korzec soli zjeść, aby go poznać; dobrego człowieka wnet i łatwo poznajemy, złego zaś, obłudnego i chytrego nieraz trudno zgłębić, spożywszy z nim nie jeden, lecz dwa korce soli.

Jak oczy ludzkie, tak okna bardzo się różnią jedne od drugich; jedne zachwycają nas pięknością, formą i duchem, który się w nich objawia; drugie odrażają.

Porównając oczy z oknami, nie jedno jeszcze podobieństwo między niemi dostrzeżemy, ile że piękny nasz język dziwném natchnieniem tak szczęśliwie i rozumowo to podobieństwo wyraził, tworząc dwa słówka: oko i okno; z których pierwotny wyraz jest oko, pochodny zaś okno, jakoby kopia, czyli naśladowanie wzoru, ręką Boga stworzonego.

Największa między okiem i oknem różnica jest: że okna stósowny do rodzaju gmachu wymagają kształt (kościół, dom, więzienie, sklep, twierdza i t. d.); oczy zaś ludzkie jedno od Boga mają przeznaczenie, do jednego rodzaju budowli, t. j.: do ciała ludzkiego należą, i chyba przez wykrzywienie i nadużycie natury ludzkiéj od przeznaczenia się swego oddalają, do zwierzęcego działania upodlone.

1. Okna domów prywatnych. Te w naszym wieku bywają obszerne, dostatnie, większe od okien zeszłego wieku, i z większemi szybami, a zatem więcéj światła wpuszczające. Jest to postęp w życiu, bo korzystny dla wygody i zdrowia mieszkańca, chociaż z uszczerbkiem ciepła. Wielkie okna szerzą jasność i roznoszą ją w najciemniejsze zakątki, jak dzisiejsza oświata wdzierająca się w chaty włościan. Nic to nie zawadzi, że przed prozaiczną, białą jasnością urok tajemniczy i wyobraźnia poezyi ucieka. Patrząc w wązkie, niskie, zakurzone okienko, w okopciałe, spalone słońcem szyby, człowiek uczuje w sobie działanie wyobraźni, która obrazy życia za szybą ukrytego maluje i urok jakiś rozlewa. Czyste wielkie okno od razu jak na dłoni pokazuje wnętrze pokoju, szczerą prozę życia powszedniego, znika tu złudzeniem poezya. Oko wielkie, rozwarte, w którém wielką część białego tła na okół widzimy, także od razu odsłania nam wnętrze duszy. Nazywamy takie oczy cielęce. — Wie każdy z doświadczenia, czy za tém oknem mieszka poezya, natchnienie, urok. Okna duże, czyste, umyte, są piętnem wieku przemysłowego, goniącego za wygodami; u takich okien dla gniazdka jaskółki miejsca nie będzie; gość ten i zwiastun wiosny, co wolnością żyje, skalałby wymuskany i wypolerowany przybytek właściciela. Do okien niskich, zakurzonych ale gościnnych, staropolskich, tam przybywaj miły ptaszku, tam cię nie odpędzą, dzieci twych nie wyrzucą zazdrosne a mydłem obmyte ręce.

Gdzie chatki, gdzie stare domki z blochów i okopcone okna, tam zwierzątko znajdzie gościnność. Podobnie ty bracie, gdy cię smutek gniecie, nie idź tam, gdzie widzisz oczy wytrzeszczone, ciekawe, lecz udaj się w zakątki, gdzie oko mrokiem płaczu i boleści omglone zobaczysz; tam cię przyjmą, trafiłeś do swego, znajdziesz czułe serce.

2. Okna więzień. O jakaż tu odmiana! Strumienie światła, co się lały szerokiemi oknami, tu odcięte uwięzły na grubych murach i chciałyby wsiąknąć i przedrzéć się do głębi więzień, gdzie oko ponure, zmrużone, wlepia się w ziemię, lub w wązki otwór nazwany oknem, jak gdyby się chciało przewiercić do boskiego światła. Zgodne z celem więzienia powinno być jego okno. Jakiż to ćel więzień? Dawniéj ukaranie, dręczenie; dziś, (jeżeli wierzyć mamy humanistom, filantropom i kryminalistom) więzienie ma być narzędziem i środkiem poprawy, albo kary i poprawy. Bardzo dobrze; tylko że się świat jeszcze nie zgodził na to, jakie ma być urządzenie, i jakie środki najlepiéj temu celowi odpowiadają. Odosobnienie, milczenie, ciągła praca, nabożeństwo, nauki duchownych, przy wielkich, średnich, lub małych wygodach, bez kar cielesnych (wyjąwszy w przypadku nieposłuszeństwa lub przestępstwa), nawet zarobek; otóż środki rozmaite, które dziś są w modzie. Cała sztuka polega na tém, jak i wiele ich użyć. Od tego wyboru zależy oczywiście i kształt okien. Póki rządy w téj mierze nie ustanowią prawa i zasady, ja też nic o nich mówić nie będę. — Tyle wiadomo, że dawne więzienia miały okna małe; bo brak światła miał dręczyć człowieka uwięzionego. Doświadczenie zaś uczy, że dotąd więzienia były najlepszą szkołą złodziei i łotrów. Za dawnych czasów kara śmierci tępiła złych ludzi, ale ją zniesiono jako okrucieństwo. Jakkolwiek bądź, ile razy widzę okna małe, ciemne, kratą opatrzone, deskami zasłonięte, mimowolnie odwracam głowę i daléj spieszę. Z takich okien wyczytuje dwa słowa: winę lub nieszczęście, czasem i trzecie, które przeraża.

Do okien onych podobne są oczy ponuréj rozpaczy, albo oczy zbrodniarzy puszczonych lub wcale nie uwięzionych. Kraty także są ozdobą okien lichwiarzy, bogaczy, sknerów, tudzież okien kass publicznych, gdzie grosz narodu się składa. Musiał on to wiele zawinić, kiedy go tak karzą więzieniem i tak go strzegą.

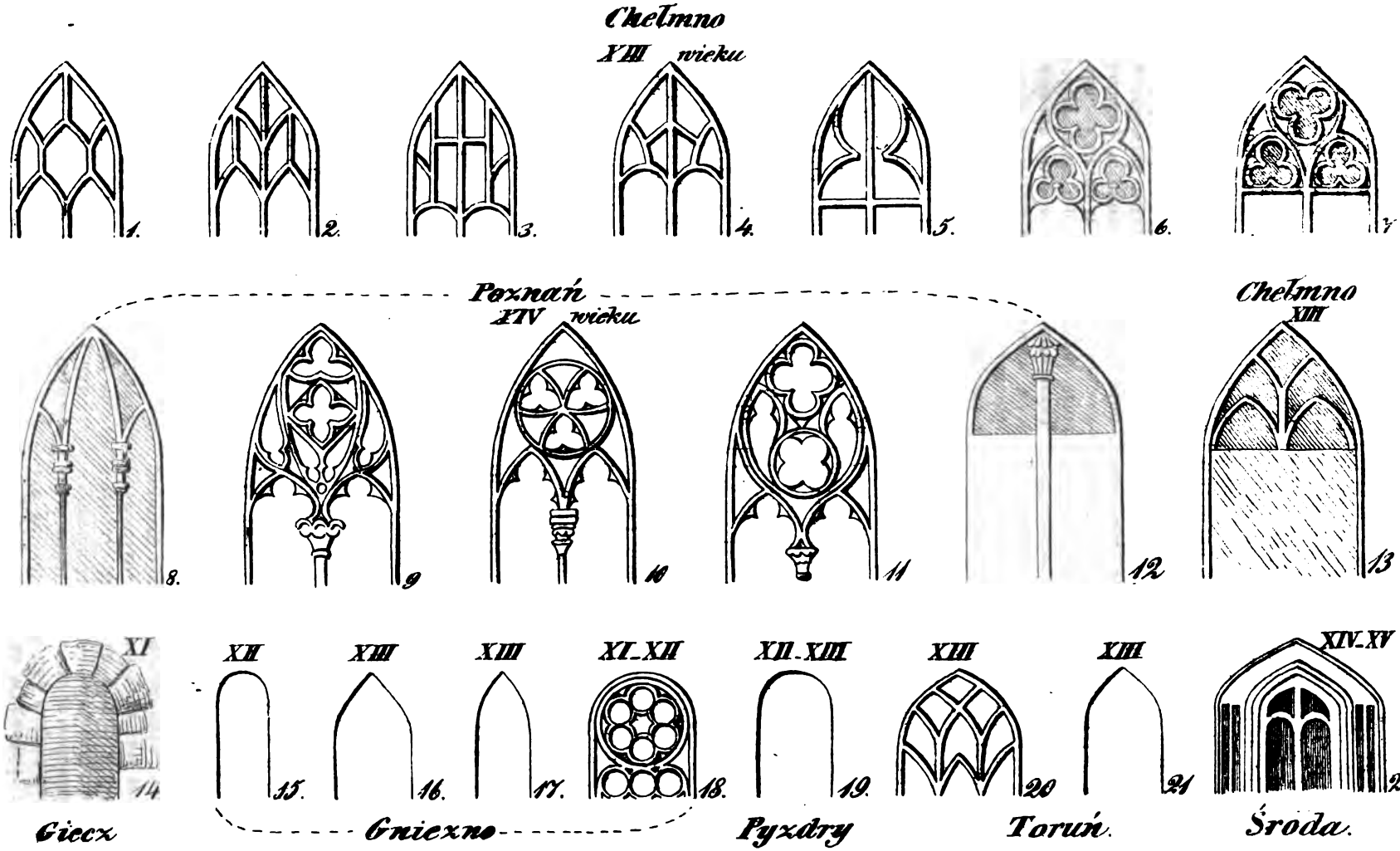

Okna boczne kościołów.

Wiek XI_XIV.

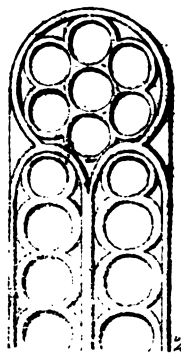

23.

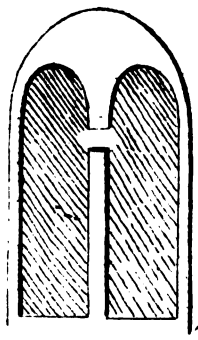

24

Gniezno

XIII.

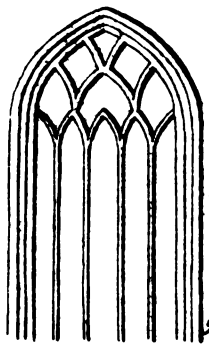

25.

XIII.

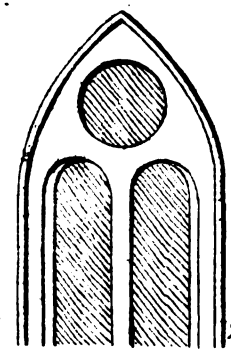

26.

Toruń

XII.

27

Lęda
nad Wartą

XIII.

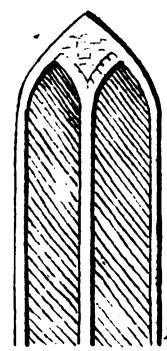

28.

Gniezno

XIII.

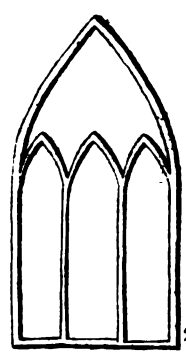

29

Chełmno

XIII. wieku

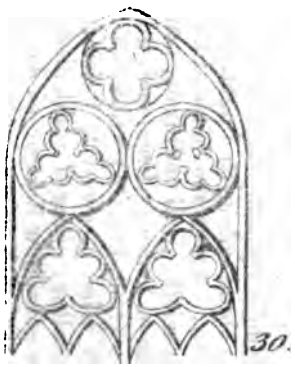

30.

Chełmno

XIII.

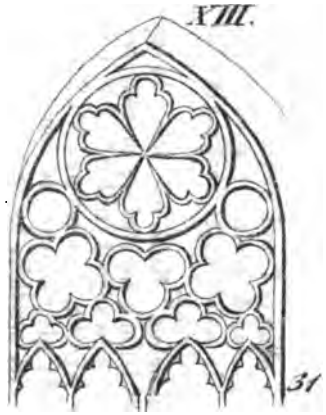

31

XIII.

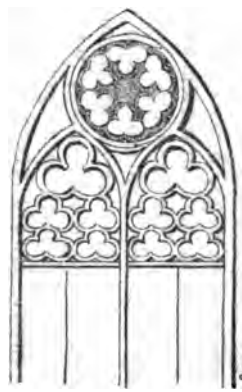

32.

Toruń.

XIII.

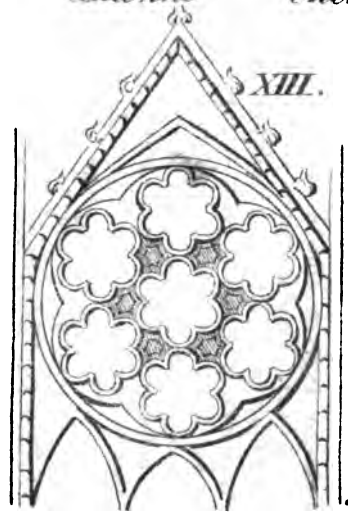

33.

Okna i blendy w szczytach kościelnych i wieżach.

3. Okna i strzelnice warowni są wązkie, głębokie jak łapki i zasadzki, lub okrągłe groźne, w których środku widać błyszczący pierścień z żółto-zielonego śpiżu (paszczę działa), jak oko drapieżnego tygrysa albo krokodyla, czychającego na zdobycz. Te okna wstręt wzbudzają w sercu spokojnego człowieka i Chrześcianina; bo je widzi w sprzeczności z wiarą i nauką Chrystusa, który jest Bogiem pokoju i miłości, nie mordów, zatracenia, podbojów i wojny. Przez nadużycie i upodlenie natury ludzkiéj nie jedne oczy podobnemi się stają strzelnicom warowni. Patrz, jak szpiega oko głębokie, nie zbadane, czatuje na każde poruszenie ust i twarzy twojéj, na każdy ruch ciała. Ciemna i jak piekło głęboka źrenica jego nie wyjawia, co się dzieje w duszy; ale nagle i zdradnie miota pocisk na przechodzącego, jak strzał z wązkiéj, z ciemnéj strzelnicy. Takie oczy szpiegów nie lubią światła, przymrużają się, unikają wzroku uczciwego, brwi spuszczają i z podełba, jak to mówią, i ukradkiem strzelają na wszystkie strony. Złe sumienie, wstyd, hańba, upodlenie i uczucie tego sromotnego upodlenia, czynią nieśmiałym wzrok nikczemnika; nie wytrzyma on wejrzenia cnoty, wzrok cofa się w głąb' oka, jak duch nocny przed zorzą słońca i prawdy. Do okrągłych zaś okien podobne jest oko srogiego człowieka, który otwarcie złość i nienawiść pokazuje, który się pastwi nad ofiarą swoją, będąc mocniejszym. Wszyscy, na których krew braci cięży, których ręce z niéj nie są obmyte łzami pokuty i skruchy, wzrok drapieżnych zwierząt mieć będą. Człowiek w zapale namiętności zaokrągla oko i ogniem wzroku błyska.

4. Okna kościelne. Któż nie wie, że są bardzo rozmaite; jednak zapytać się można, czy nie powinne mieć pewnego kształtu? — Z poprzednich uwag wynika, że okna pod Nr. 2. i 3. wspomniane byłyby niestósowne dla domu bożego; czy też szerokie, wielkie, jasne odpowiedzą przeznaczeniu i duchowi kościoła, to inne pytanie. Na sam przód mówię tu tylko o tym jednym naszym kościele, o świątyniach katolickich. Wiadomo, że się budownictwo kościelne od początku swego zmieniło. Pierwsze kościoły były szczupłe, naśladujące gmachy Rzymian i Greków, używane do obrad sądowych i publicznych posiedzeń rządców. Nazywano je bazylikami. Miały one kształt wielkiéj sali podłużnéj, czworobocznéj, na jednym końcu zaokrąglonéj, gdzie się wznosił stolec (tron, krzesło) króla lub sędziego. W tych więc pierwszych kościołach okna były nie wielkie, okrągło zasklepione, i tę formę widzimy późniéj w Europie aż do 10go wieku zachowaną. Duch wiary jednak, przenikając nie tylko życie domowe, lecz i sztuki wszystkie, musiał je sobą natchnąć i przelać w nie właściwe swe cechy. Wiara objawiona podnosi człowieka i nadaje mu dążność ku niebu; uszlachetnia, prostuje władzę i siły jego, i skieruje wszystkie jego działania ku Temu, który nam jest Ojcem i źródłem wszystkiego. Tak więc duch wiary ożywiając sztukę, zmienił architekturę, porywając ogromne massy bryły martwéj i dźwigając je ku niebu. Odtąd głazy, jakoby oderwane od ziemi, dążą za duchem człowieka, za natchnieniem, za myślą pobożną, wzlatującą do krainy nadziemskiéj. Ciężkie łuki okrągłe w oknach, drzwiach i sklepieniach, zaostrzają się i podnoszą coraz śmieléj i wyżéj na wysmukłych filarach i zastrzałach i wyrastają w ogromną wieżę, na któréj błyszczy godło odkupienia, krzyż święty. — Okna przybrały kształt ostrosklepisty i to jest cechą najdoskonalszego stylu budownictwa katolickiego, który nazywamy gotyckim, czyli średniowiecznym. Te więc okna najgodniéj odpowiadają duchowi kościoła. Są one wysokie, a w miarę wysokości wązkie, górą w ostry łuk zasklepione; widać jak się wszystko pnie w górę z niesłychaną lekkością, wielką mocą, sztuką i pięknością. Filary i zastrzały dzielą te okna i wysokie pola po murach oddzielają. Kwiaty kamienne, wieżyczki i posągi zdobią mury. W samych oknach coraz piękniéj rozwijają się kamienne przegrody, pałąki, kwiaty i symetryczne figury. Róże i koła z liści, plątaniny palmów, lilij i t. d. napełniają górne okien końce, a przepyszne malowidła na szkle tłumią białe światło słońca i rozlewają cudne smugi barwiste po całym kościele. Zdziwione oko nad sobą w kwaterach okien widzi postacie Świętych Pańskich w blasku nadziemskiéj jasności, jakoby w raju tryumfujących. Takie były okna gotyckie, kiedy kwitło budownictwo katolickie, to jest, przed odszczepieniem Lutra, w wiekach od 12go do 16go. Wielkie zaburzenia w kościele i w narodach, wojny, duch herezyi, materyalizmu, stłumiły owe sztuki, owo poświęcenie, natchnienie i odrętwienie nastało, dobry gust zniknął, małpiarstwo i mieszaniny jego miejsce zajęły.

Może teraz czytelnik pojmie, czemu kościoły katolickie nie powinny mieć okien szerokich, okrągłych, lub płasko zasklepionych. Prawda, że przechodzi siły nie tylko jednéj gminy, ale całych prowincyj i krajów, stawiać takie kościoły, jakie wieki średnie wydały; ale właściwe cechy i w skromnym kościółku mogą być zachowane, t. j.: dach spadzisty, wysoki, nad chórem wielkim, czyli wielkim ołtarzem, niższy; okna wązkie, wysokie, przedziały i pola, czyli kwatery w ścianach, bardziéj wysokie od góry do dołu, niż szerokie w poprzek; drzwi i okna i wszystkie sklepienia nie okrągłe, nie płaskie, lecz ostro zasklepione. Te znaki gdziekolwiek zachowane będą, (o wieży nie mówię wcale) łatwo każdy Katolik pozna kościół swój. Jest to puścizna wieków, w których się duch wiary najmocniéj objawił w sztukach, tych

więc wzorów trzymajmy się, bo są najdoskonalsze, niezrównane.

Załączając niektóre rysunki okien kościelnych, na miejscu z natury zdjętych, sądzę, że nie jednemu miło będzie mieć przed oczami kilka zabytków starożytnych, przypominających nie jednę kartę dziejów narodu. Zarazem one posłużyć mogą do zwrócenia uwagi na zeszpecenie kościołów z nowa stawianych lub w reparacyi będących. Pełno u nas takich świątyń, w których ledwo widać ślady pierwotnéj pięknéj struktury kościelnéj, przed zlepiskiem późniejszych czasów bez jedności, gustu i powagi. Okno tak ważną jest częścią kościoła, że z niego odgaduje się i poznaje architektura i wiek całéj budowy.

Mając zbiór rysów okien kościelnych w Polsce, możnaby nie mało wyjaśnić historyą budownictwa krajowego.

Może nie jeden miłośnik dziejów i sztuki zechce się zająć zbieraniem podobnych rysunków, dodając, ile będzie można, objaśnienia historyczne. Mało już szczątków takowych mamy — codzień więcéj ich ginie — jakoż z załączonych tu okien Nro. 18. 23. 24. już nie istnieją, i zdjęte z starego obrazu; Nro. 31. znajduje się w spustoszałym kościele; Nro. 27., tak arcyrzadki zabytek, w spustoszałym klasztorze.

Do okien kościelnych, jakież oczy podobne będą? Nie trudno na to odpowiedzieć. W czyjém sercu duch boży mieszka i przybytek swój obrał, w kim wiara pełna owoców żyje, kto bardziéj pragnie chleba duchowego niż wygód ciała — słowem: prawdziwy Chrystusa zwolennik, idący krzyża drogą — oko będzie miał łagodne, pełne miłości i wdzięku, pokój nieba odbije się w jego wejrzeniu, jak promienie słońca w barwistém szkle okien — wzrok jego otwarty, lecz nie natrętny, nie ciekawy, nie śledzący, bardziéj ku Bogu wzniesiony (jak okna gotyckie), niż do świata przylegający, zajaśnieje natchnieniem i życiem wyższém nad nędze ludzkie. — Wieki natchnienia minęły, ogromne świątynie po części stoją nie wykończone, oczekując ręki mistrza równie natchnionego; lecz burza, która wtedy przerwała dzieła olbrzymie, dotąd nie ucichła i wre w umysłach i wstrząsa światem, a pokolenia ludzi oczekują pokoju, oczekują szczęścia i téj chwili, w któréj braterstwo będzie w duchu Chrystusowym, w któréj więzienia spustoszeją i kraty u ich okien zamienione będą na brony, w któréj mury warowni runą, i będą mieszkaniem nocnego ptastwa, a działa z ich strzelnic przelane będą na dzwony. — Kiedy znikną z towarzystwa ludzi oczy szpiegów, łotrów i morderców, a widziane tylko już będą u lwów, tygrysów, wilków, żmij i krokodylów. — Kiedy każde oko ludzkie zapłonie ogniem miłości braterskiéj, a każde serce stanie się świątynią Boga, kościołem jeszcze wspanialszym od katedr średniowiecznych.

Dr. *N.*

II.

Wildbad, wody mineralne w wirtembergskiém.

Przez Panią *Karolinę z Potockich Nakwaską.*

(Patrz w Przyjacielu ludu 1wszy artykuł w Nr. 48. z 30. Maja i w Nr. 49. z 7. Czerwca 1845 r.)

Urządzenia miejscowe, co do kąpieli i picia wód; czas i sposób ich używania, i t. p.

Zakład cały kąpieli wildbadzkich nie jest dotąd zupełnie wykończonym, tak jak inne za lat kilka będzie. — Teraz więc są *dawne* łazienki, *tymczasowe* i *zupełnie nowe*, — z całym, że tak rzekę, przepychem rzymskich urządzone. — Kąpiele te, mają już teraz kilkanaście oddziałów, a to podług stopni ciepła, rozmaitych cen i wielkości, mają różne nazwiska, — o każdéj z osobna wspomnę.

Naprzód przedstawia się nam tak nazwana łaźnia Katarzyny, (Catharinen-Bad). Łaźnia ta, w dwóch oddziałach: męska i kobieca, dość duża i czysta jest tylko w 25½ stopnia podług ciepłomierza Reaumura. — Tu się zwykle odbywa pierwsza przygotowawcza kąpiel bezpłatna. Niektórym osobom lekarze nakazują i kilka kąpieli w niéj użyć, nim się do cieplejszych przeniosą. — W tym starym budynku znajduje się: Zakład — pod opieką Królowéj — dla ubogich, którzy w nim nie tylko kąpiele, lecz wszelkie utrzymanie podczas swéj kuracyi bezpłatnie dostają; również cały zarząd kąpieli wildbadzkich i nadto Dr. Fricker, rocznie płatny od rządu, tu mieszka. Prawie wszyscy chorzy Doktora tego rady zasięgają, przybywając do Wildbadu, oprócz Anglików, — bo ci zawsze do własnych zwyczajów nawykli — nawet pod względem zdrowia — mają osobnego lekarza Dra Fallati.

W Katharinen-Bad kosztuje kąpiel 15 x. przedpołudniem; — po obiedzie zaś tylko 10 x. (1). Aby się wam obrzydliwą nie zdawała kąpiel spólna (2), nadmienię, iż w *każdéj*

(1) W wirtembergskiém rachują na stopę reńską 24 grajcary na cwancygier. Reńskich 7, — z których każdy ma 60 x. — jest równe 4 tal. prusk.

(Patrz w *Dworze wiejskim*, w tomie 3. Pieniądze.)

(2) W jedném podobno Wildbadzie starano się nadewszystko o usunięcie obrzydliwości co do spólnych kąpieli, w czém bogactwo źródła szczególniéj pomogło. Kto Warmbrunskich łaźni używał i doznał nieprzyjemności, jakich się tam spotyka, z zachwyceniem użyje dobroczynnych starań Wildbadzkiego zakładu. — W Baden pod Wiedniem przed laty — nie wiem czy dotąd — nie tylko spólnie kobiety — lecz obydwóch płci osoby razem brały łaźnie. Nic śmieszniejszego, a razem bardziéj oburzającego, jak ten zwyczaj. — Córki Ewy, zawsze próżne, stroiły się idąc do wo-

łaźni woda ciągle się zmienia, przybywając z głębi ziemi wierconémi w opoce, jéj pokład pokrywającéj, dziurami. Odpływa zaś bocznemi otworami. Oprócz tych w koło znajdujących się otworów ma każda łaźnia dużą rurę, któréj otwór się przechyla tak, że woda zupełnie aż do dna odchodzi. Podług ostatnich urządzeń, co godzinę wodę wypuszczają. Nim świeża nadpłynie, trzeba znów czekać godzinę, kąpać się zatem tylko co drugą godzinę można, tak np.: od 5téj do 6téj rano, od 7méj do 8méj, od 9téj do 10téj, i t. d. — O południu *dwie* godziny jest przerwy. Przez ten czas chędożą zupełnie łazienki; w każdą zaś Sobotę, po południu, cały piasek przetrząsany bywa i wszystkie łaźnie z gruntu czyszczone.

Łazienka Prinzen-Bad, ok. 27 stopni ciepła mająca, nazwę *książęcéj* otrzymała, bo dla członków rodziny królewskiéj była urządzoną. — Kąpią się w niéj chorzy najznakomitsi, lub najbogatsi; monarchowie lub zwolennicy *złotego cielca*, bogaci Żydzi i t. p.; kąpiel ta najdroższa: 1 Reński, 24 x. kosztuje, ok. 5 złotych polskich, — ale téż najwygodniejsza; nawet ze zbytkiem ozdobiona. Obok łazienki téj znajduje się ubieralnia osobna, w téj długie krzesło do spoczynku, gotowalnia, zwierciadło duże i t. p. — Chorych w niemocy chodzenia spuszczają z korytarza hotelu *des Bains*, (z czego i inni jego mieszkańcy korzystać mogą), machiną aż na dół. Jest to ładnie ubrana framuga, w niéj stoi krzesło, które się winduje w górę, lub na dół. Ta łaźnia książęca jest okrągłą, także spólną, raz dla kobiet, drugi raz dla mężczyzn kolejno. Ktoby koniecznie chciał sam mieć ją dla siebie, ten musiałby za 12 osób płacić, bo na taką liczbę jest przeznaczona.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

dy! — Jedna podeszłego wieku dama, dla podwojenia wdzięków raz się wyróżowała przed kąpielą. Niestety! siarka poczerniła zdradziecko *blejweiss*, który się w malowidle znajdował — i biedna dama — zamiast wdzięków młodości — barwę murzyńską na licach dostała!....

Piosnki ludu wielkopolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Dziéwczyno,
Przędź jeno.
Nie brzęczy wrzeciono,
Nie brzęczy;
Nie będzie,
Bo Kasia nie przędzie.

Stoi szklanka koło wianka,
Idzie za mąż Kłodziejanka.
A za kogo, za onego,
Za Jasińka urodnego.

№150

Złaków borowy pod Kiernozią

Da uciekała po rowie da gonili ią panowie da nie ucie-kaj nie bój się da masz trzewicz-ki obój się

Ona trzewicz-ków nie chciała Jeno za wian-kiem płakała. Nie dam ja wian-ka nikomu Pójdę ja sa-ma do domu

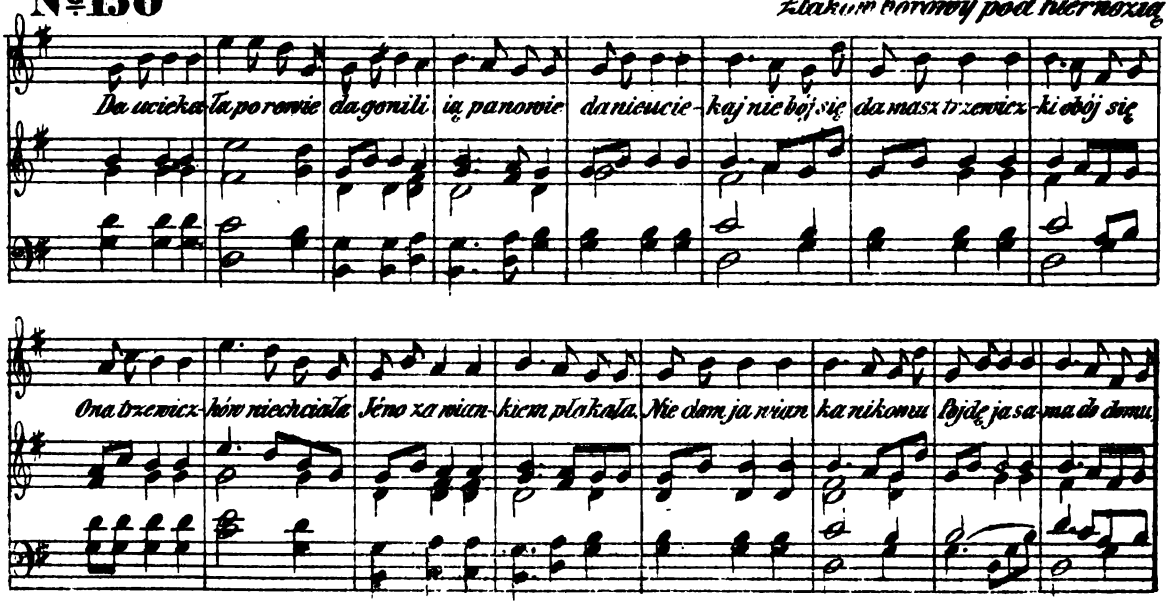

Text do *Nru. 150.*

Da, uciekała po rowie,
Da, gonili ją panowie.
Da, nie uciekaj, nie bój się,
Da, masz trzewiczki, obuj się.

Ona trzewików nie chciała,
Jeno wianuszka płakała.
A wolałbym ja trzewiczki,
Niźli wianuszek łowicki.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 24. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 13. Czerwca 1846.

Papież Pius IX., (Jan Maria Hrabia Mastai-Ferreti.) — Wildbad, wody mineralne w wirtembergskiém (ciąg dalszy). — Doniesienie, tyczące się prenumeraty na drugie półrocze roku trzynastego pisma niniejszego.

PIUS IX., PAPIEŻ.

Pius IX., Papież.

Mało mamy przykładów w dziejach kościoła katolickiego, aby po dwóch dniach nowego obrano Papieża. Wszędzie mniemano, że długo potrwa, nim wierni ujrzą Naczelnika swéj wiary, któryby i z ich pożytkiem i z chlubą dla siebie Chrystusowym rządził kościołem. Ale inaczéj mieć losy chciały, albowiem ledwo dyplomaci o intrygach pomyśleć, a nieprzyjaciele z nieszczęścia cieszyć się zaczęli, już oto Kardynał Kamerlengo z balkonu w Kwirynale błogą zwiastuje nowinę, iż: *nowego mamy Papieża, Piusa IX.*, a lud wierny znowu się cieszy i Boga chwali, że jego prośby wysłuchał.

Chwilą tą radosną był 17ty Czerwca r. b., a oczekiwanym ojcem świata katolickiego, Jan Maria, Hrabia Mastai-Ferreti. Urodzony z dość zamożnéj familii w Sinigaglia 13go Maja 1792., chciał początkowo wstąpić do *guardia nobile*, lecz dla epilépsyi, któréj wtedy podlegał, musiał swego zamiaru zaniechać. Idąc za radą Piusa VIIgo, obrał sobie stan duchowny, w którym po sześcio-letniéj nauce już tego w. r. 1822. dożył szczęścia, że mógł mszą świętą odprawiać. Nadzwyczajna zdolność, dobroć serca i litość ku ubogim, nie uszły uwagi jego zwierzchności, która spostrzegłszy w nim te przymioty, powierzyła mu zarząd szpitala Santo Giovani. Jakoż nie zawiodła się władza w swojéj nadziei, gdyż młody Kapłan z taką gorliwością poruczonego sobie dopełniał obowiązku, że nie tylko swe zabiegi, ale nawet, co miał, czas, złoto i zdrowie poświęcił. Ale nie na własnym tylko ograniczając się kraju, pragnął i na obcéj ziemi być użytecznym.

Zdarzyło się, że pod ów czas Biskup Muzi odbywał missyą do Chili w Ameryce południowéj. Mastai-Ferreti przyłączył się do niego, lecz na nieszczęście dla zaszłych okoliczności pomiędzy Wikaryuszem apostolskim a rządem wkrótce powrócił do Rzymu, gdzie przez Leona XII. najprzód na godność Prałata i Rządzcy szpitala Śgo Michała, a potém, w nagrodę za położone zasługi około cierpiącéj ludzkości, na Arcybiskupa spoletańskiego w r. 1827 wyniesionym został. Nowa ta dostojność stała się mu nowym powodem do okazania cnót większych, które Grzegórz XVI. wysoko ceniąc, w roku 1833 Biskupem go w Imoli, a w roku 1840 Kardynałem di Santo Pietro e Marcellino mianował. Dzieje się zazwyczaj, że ludzie, posiadający wyższą godność, unoszą się próżnością i dumą, zapominając o tém, że tylko prawdziwa pokora i skromność zjednać im przywiązanie i szacunek mogą. Nie tak sobie w tym względzie postępował Kardynał Mastai. Zawsze bowiem był skromny i pokorny, nawet i w dniu 16tym Czerwca r. b., kiedy o godzinie 6téj na wieczór najwyższą został głową kościoła Chrystusowego. Wybrany od Boga, starał się według możności, aby kluczy Piotra nie przyjąć; a gdy widział, że wszystkie opierania się są daremne, na ten czas z łzami w oczach i drżącemi usty wyrzekł te słowa: *Oto ja niegodny sługa Twój, niech się stanie wola Twoja.*

Jego Świętobliwość, lubo już 54 lat liczy, zdaje się, jak gdyby dopiero miał 45. Regularne i zdrowe rysy jego twarzy, przyjemny wzrok, okazała postać i wielka uprzejmość, miłe na widzu sprawiają wrażenie, z któremi połączona bystrość rozumu, głębokie pojmowanie rzeczy i moc charakteru wnosić każą, iż Pius IX. wiele usunie nadużyć w swém państwie i że przedsięweźmie środki, które poddanym prawdziwy pokój, a jemu sławę przyniosą.

Wildbad, wody mineralne w wirtembergskiém.

(Ciąg dalszy.)

Tak się zdarzyło, podczas mego w Wildbad pobytu, sławnéj ogromem bogactw, Pannie Burdett-Cougts (1). Musiała ona 14 Reńsk. za każdą kąpiel płacić; jedynie z obawy, aby kto natrętny ją nie odwiedził. Podczas pobytu rodziny królewskiéj, wchód do téj łaźni jest zabroniony, tylko wolny dla dworu.

Nowe dwie łazienki, jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn, są tak urządzone, że każda składa się z dwóch długich, wielkich oddziałów, — z których w każdym do 30 osób razem kąpać się może. Jeden oddział ma około 28 stopni, drugi około 29 stopni ciepła. Na około tych wielkich łazienek są gabinety, czyli małe na jednę osobę łazienki na różne temperatury, zawsze od 27 do 30 stopni. — Płaci się w téj łazience dużéj, przed południem za kąpiel 24 x., po południu zaś 16 x. — W gabinetach 36 x. i 24 x. — Są jeszcze mniejsze

(1) Ta Panna Burdett-Cougts, córka sławnego członka parlamentu Sir Francis Burdett, najbogatsza z angielskich dziedziczek, — okazuje w swéj osobie, że pieniądze same nie zdołają uszczęśliwiać. — Wątłego zdrowia, opryszczona na twarzy, nie może ona używać wszelkich przyjemności, jakie są zwykle młodych osób udziałem; — owszem brak wdzięków sobie większym wystawia niż jest istotnie. Zdaje jéj się, że nikomu podobać się nie potrafi, gardzi zalotami, jako oznakami chciwości, i uwielbienia raczéj *posagowi*, jak swéj osobie przypisuje — może nie bez powodu? Natarczywość niektórych starających się o jéj rękę doszła do takiego stopnia, iż ją zniewoliła do oddalenia się z kraju na czas niejaki; — nawet zmusiła do proszenia Rządu o pomoc przeciwko napaściom jednego z najszaleńszych, któremu proces musiała robić, co ją ścigał po miejscach publicznych i nigdzie spokojną nie zostawiał. O tym osobliwszym stanie możnaby powieść napisać pod nazwą: *Przygody zbyt szczęśliwéj kobiety.* Ona jednak szczęśliwą nie jest — biedna owszem, brak jéj największéj i najpożądańszéj w świecie pociechy: *Być kochaną prawdziwie!....*

dwie łazienki okrągłe wspólne na kilka osób, z których również jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet, téj ceny co i duże. — Gdy podobno czas znaleść sposobny do kąpania się w nieliczném gronie towarzyszek, jest dość przyjemną rzeczą używać tych dużych łazienek; lecz jeżeli wiele osób się nagromadzi, mianowicie bardzo chorych, kalek, wyschłych, cierpiących i jęczących, — widok ten przykrym się staje, wtedy lepiéj już obrać sobie jeden z tych gabinetów przyległych. Każdy z nich ma wchód osobny, ze spólnéj ubieralni, gdzie są znów przegrody z firankami. Tam się można ubierać i rozbierać niewidzialnie od drugich.

Najmilsza i najlepsza mém zdaniem łazienka — nawet przyjemniejsza — od książęcéj — bo woda w niéj cieplejsza — jest owa mała na kilka osób; rzadko zdarza się, aby więcéj jak przez jednę osobę zajętą była, bo się można między sobą układać o godziny. Ma ona 28½ stopni ciepła. Kamieniami wyłożona z okrągłém oknem w suficie. Na środku bije źródło jak wodotrysk silne, a bokami woda odchodzi. Tu jak wszędzie piasek miałki, mnóstwem świecącéj miki śkniący — ma po sobie gdzie niegdzie pasy czarne. Tym piaskiem należy nacierać bolące części ciała; jest to rodzaj szczotki, lub synapizmu, to jest drażni skórę, przez co ból na wierzch wychodzi. Kąpiel w téj łaźni tak wygodnéj — nie więcéj jednak od spólnéj — jak mówiłam — kosztuje. Podobna mała łaźnia znajduje się także i dla mężczyzn, z tą tylko różnicą od kobiecéj, że ma 29 stop. ciepła. Jest ona przeznaczona najbardziéj cierpiącym na podagry i rumatyzmy.

Bogactwo źródła i temperatura przyrodzona ok. 30 stopni ciepła, wody wytryskującéj ze skały za jéj przewierceniem, pozwala urządzać ciepło wody w łaźniach podług potrzeby. — W tym celu w nowym budynku są kanały na opoce budowane, i rozchodzące się po wielkich i małych łazienkach; te kanały napełniają się wodą, wytryskującą téż z głębi ziemi, — a w nich są otwory różnéj wielkości, małe jak ziarnko grochu, lub większe jak złotówka. Tam, gdzie otwór jest większy, — temperatura dochodzi do 29 stopni, — gdzie mniejszy — schodzi do 27; — ale zawsze jest jednakową bez stygnięcia, w czasie brania kąpieli. — Tym sposobem można sobie wybrać stopień ciepła, podług stanu zdrowia, przepisu lekarza; słowem, podług własnéj potrzeby; — czego w żadnych innych wodach uczynić nie można. — W Wildbad jednym, bogactwo źródła — jak mówię — podobne urządzenie zaprowadzić dozwoliło.

Dla uboższych są osobne w dawnych jeszcze budynkach kąpiele, tak dla tych, co w zakładzie Katarzyny umieszczeni, jak i przybywających z różnych okolic. Bardzo mało kosztują, są jednak dość porządne, — po 6 x. zrana, a po 4 x. po południu. — W nowym budynku będą również daleko lepiéj urządzone.

W każdéj łaźni jest kobieta do usługi i dziewka do pomocy. Od każdéj kąpieli się im płaci po kilka krajcarów. — Kto ma własną bieliznę, to jest płaszcz i prześcieradło, dodaje od suszenia i wygrzania ich po parę krajcarów. Biorący bieliznę domową — płaci osobno za płaszcz i za prześcieradło. — Wszystko, co się kładzie, bywa jak najlepiéj wysuszone i wygrzywane. — Są do tego suszarnie osobne, przyległe ubieralniom. Jest to nie równie lepiéj jak gdy suszą na węglach w koszach do tego sporządzonych, bo się tam często rzeczy palą, a swąd węgli szkodzi na głowę. Ubieralnie są ciepłe, osłonione firankami, wysłane kobiercem. W każdéj łaźni dzwonek się znajduje. Kilka ściennych zegarów oznacza czas kąpieli. W każdéj téż łaźni ciepłomierz wskazuje stopień ciepła. Wielkie łaźnie spólne mają osobne przegrody, w których chorzy mogą brać *dusze* (des douches) czyli kropliste i sikawkowe kąpiele.

Zdaje się, iż niepodobno nic więcéj wymyślić ku wygodzie kąpiących — jednak co rok jakieś ulepszenie przybywa. Król i Stany nie szczędzą nakładów na uporządkowanie zakładu i upiększenie miejsca tego, dotąd już więcéj milliona wydano!

Aby goście mogli swe żądania objawić lub zażalenia podawać, umieszczono skrzynkę w sali zebrań, — do któréj każdy może wpuścić swą prośbę na piśmie podaną, lub spostrzeżenia, jakie uczynił względem urządzenia wód, jako téż wymienić nadużycia, jeżeli się jakie wkradły. Tę skrzynkę na murze zawieszoną i na kłódkę zamkniętą, odnosi co rano sługa miejscowy do Pana von der Linden, Nadzórcy zakładów, czyli, jak go tam nazywają, *Kommissarza* rządowego. — On rozstrzyga rzecz i zadosyć czyni żądaniu, jeżeli je uzna sprawiedliwém. Pisma te można bezimiennie podawać. (2)

Pierwsze kąpiele nie długo trwają, — od 12stu do 15stu minut; stopniowo zaś aż do 3ch kwadransów. Już od 5téj z rana idą chorzy do łaźni i słychać granie pomp ciągnących wodę do *duszów*, a do 8méj wieczór znajdziesz kąpiących! Pora obiadowa zwykle urządza czas kąpieli; gdyż z wolnym żołądkiem brać należy. Kto jada n. p. o 5téj — ten łatwo i bardzo wygodnie może o 4téj iść do łaźni. Wtedy najmniéj spółzawodników znajdzie, bo Niemcy wszyscy prawie o 1széj obiadują. Mało komu dozwolono dwóch kąpieli na dzień używać; jakkolwiek woda niewinna się zdaje, sku-

(2) Napis francuzki na téj skrzynce jest nader śmieszny: *Mrs les étrangers sont priés de déposer tous leurs désirs dans cette boite.* — Byłaby to prawdziwie puszka Pandory, gdyby się w niéj wszystkie życzenia ludzkie zmieścić zdołały!

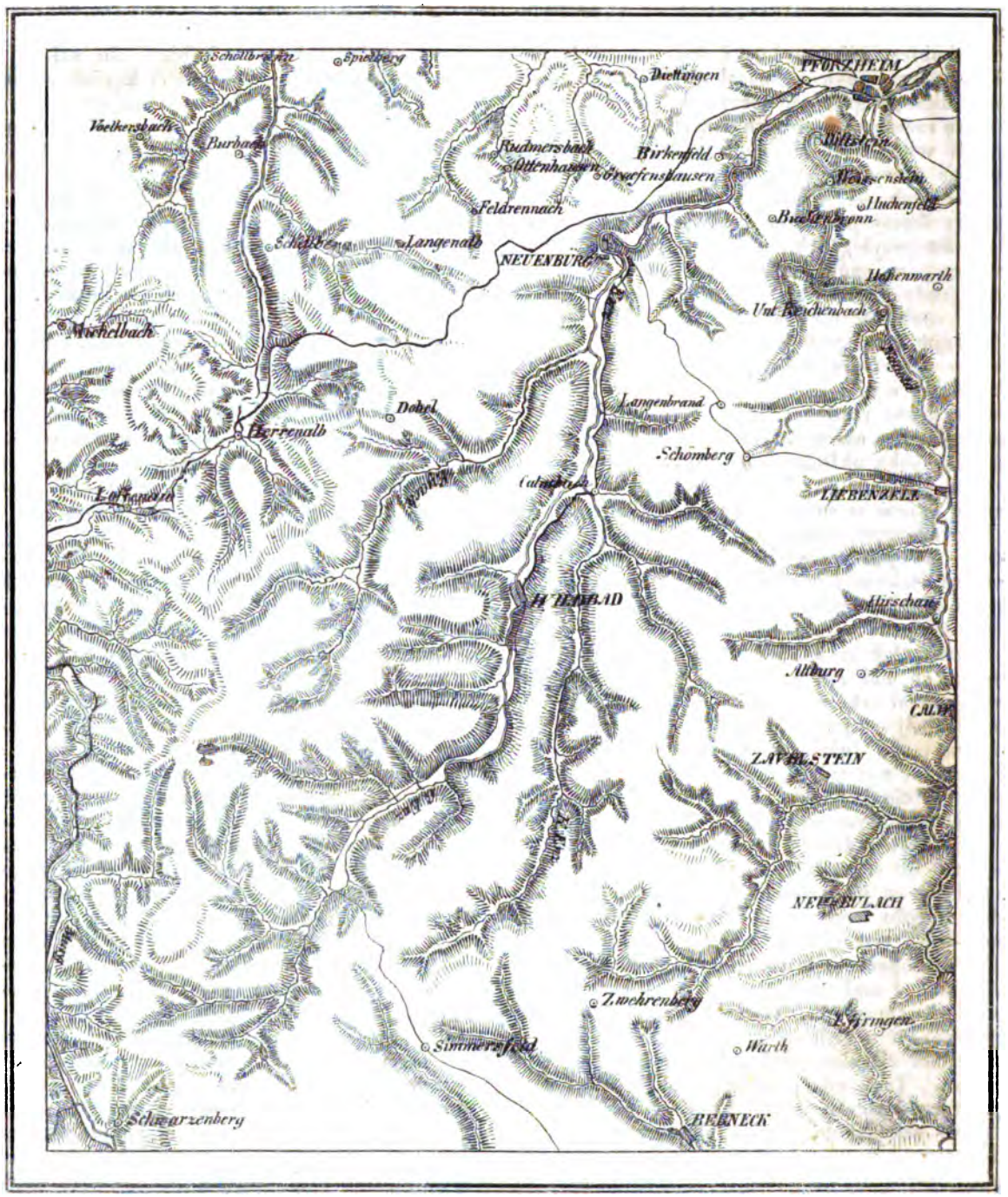

Karta okolic Wildbadu podług A. Fischera.

tki jéj okazują ogromną dzielność. Dzieciom zupełnie zakazują lekarze używania jéj; a nawet dorosłym osobom nie radziłabym kąpać się bez wiedzy doktora.

Po kąpieli, każdy — dobrze odziany — bo ta woda dużo na skórę działa i pobudza do potów, — idzie prosto do łóżka mniéj więcéj na kwadrans. — Leżeć trzeba spokojnie, ale spać nie wolno, boby głowa bolała.

Po kilku, — czasem po kilkunastu kąpielach, — następuje zwykle wysypka, podobna do téj, którą pospolicie *potówkami* nazywają. Ten znak jest uważany jako bardzo pomyślny. Istotnie krosty pokazują się mianowicie na cię-

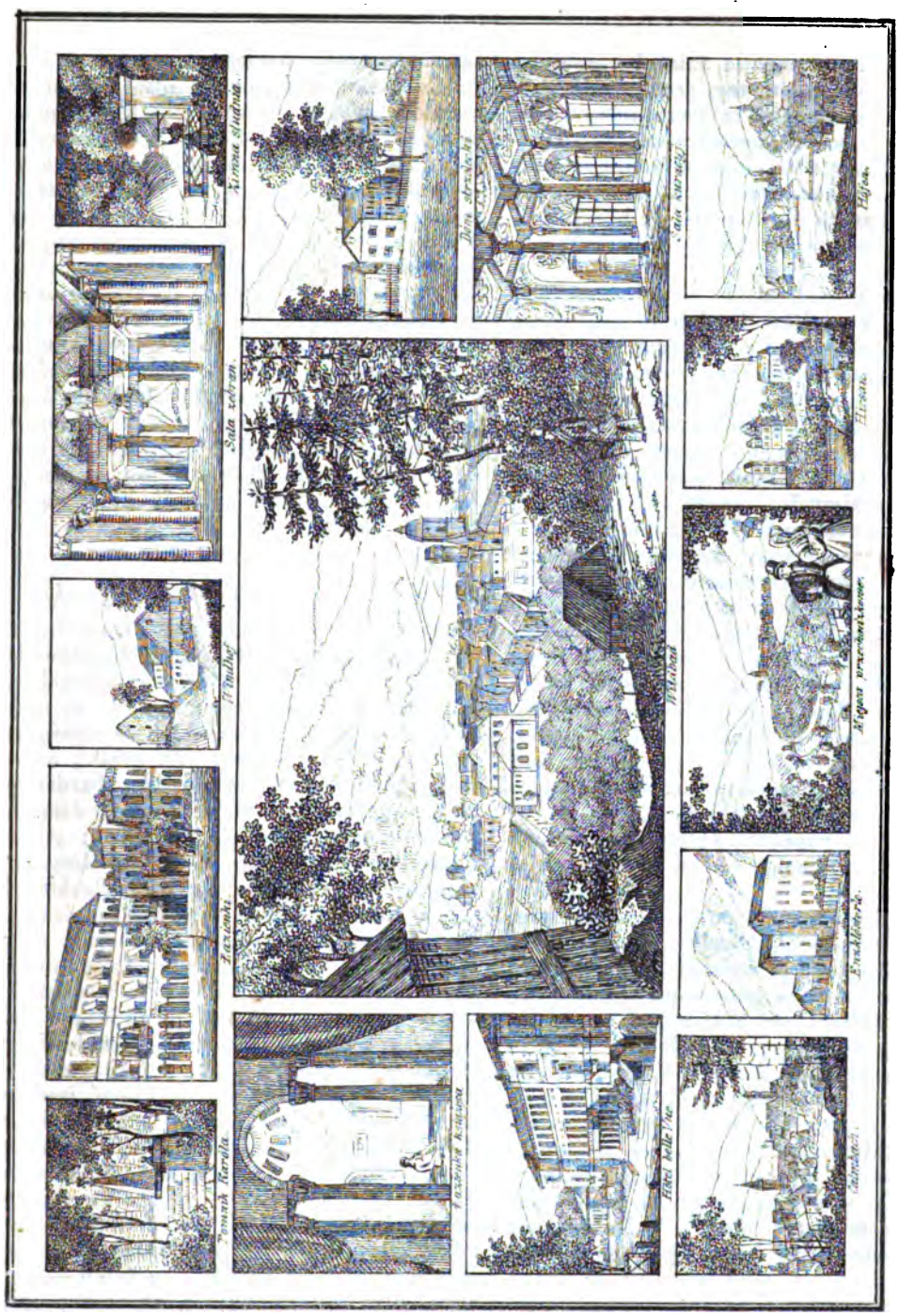

Wildbad i jego okolice.

ściach zbolałych. . Na rękach, nogach od rumatyzmu trapionych; często ból trwa dopóki się wysypka nie pokaże. W ów czas ciepło zachowywać się należy. Ten wyrzut nie jest jednak koniecznym i wielu osobom się polepsza, chociaż go nie miały. Zdarza się też często — że różne blizny, rany, bóle od dawna zapomniane, się odnawiają; lecz to na krótko i dla lepszego uleczenia.

Oprócz kąpieli, używają tu chorzy wewnętrznie i już od 6téj godziny z rana, przechadzając się pod słupami *hotelu-kąpieli* wychylają kubki przez młode dziewczyny podawane. Na chrypki i rozdraźnienie kanału gardlanego, ta woda ma być wielce pomocną. Na pół z mlekiem owczém, z dodatkiem kawałka cukru, ją piją.

Nie wszyscy kąpiący są zwolennikami wody wildbadzkiéj na napój; jest ona mdła, nieprzyjemna, bo bez żadnego smaku, i do nu-

dności pobudza. W bólach zębów i fluxjach bardzo pomaga. Należy ją trzymać ciągle w ustach, to ból koi i zapalenie dziąseł zmniejsza. Na wyrzuty, krosty na twarzy, jest bardzo skuteczną, gładzi skórę i wyczyszcza jéj ostrości.

Ku wygodzie mieszkających w hotelach *Niedźwiedzia* i *Belle vue* mają w tychże zakładach małe zamykane karetki, w których parobcy wożą chorych do kąpieli — bezpłatnie. Chorzy zaś z miasta po 12 x. za taką przejażdżkę płacą.

Ci, co wodę wildbadzką — lub inną jaką mineralną — w posiłku kąpieli biorą, — są do ścisłéj wstrzemięźliwości zmuszeni. Nie bardzo to łatwo przychodzi, przy ponęcie obfitych, a często i dobrych obiadów, jakie się na stołach tutajszych gospód znajdują. Jakby na przekor zakazom lekarskim, — wcale tu owszem nie panuje *dyeta!* Przepis wstrzemięźliwości nie tylko do tutajszych, lecz do wszelkich wód mineralnych się rozciąga. W ogólności zabronione są: tłuszcze, kwasy, surowizny, owoce. Nie tylko w ciągu używania wód się ich wystrzegać należy, lecz jeszcze *przynajmniéj* tydzień po przestaniu, woda bowiem długo działa na żołądek. Ta prawda jest rzetelną, co do działalności wody; mnogie są tegoż przykłady. Czasem dopiero w miesiąc — we dwa — we trzy — dają się widzieć skutki kuracyi. Niektóre osoby odjeżdżają z tego miejsca bez polepszenia, całkiem zniechęcone; — i dopiéro późniéj z podziwieniem znajdują ulgę; — częstokroć nawet — zupełne wyleczenie, a owa dobroczynna wysypka nie raz w kilka miesięcy się odzywa!

Czas średniéj kuracyi trwa — mniéj więcéj — cztery tygodnie. Rzadko kiedy nad 24 — do 28miu kąpieli przepisują lekarze. Kobiety zwykle dłuższego pobytu potrzebują; również osoby podlegające bólom głowy, — które powinny, podczas tych napadów — wstrzymywać się z braniem łaźni. Udając się do Wildbad, trzeba się zaopatrzyć w zimowe ubranie, — bo rano i wieczorem bywa nie tylko chłodno, ale zimno nawet!.. — Najlepsza pora liczy się od połowy Maja do połowy Września. Są tu wprawdzie piece, tak w pokojach, jako i po przechodach i w łazienkach; jednak nie sądzę, aby kto dotąd wygody téj zimową porą używał. Przystęp do Wildbad jest zbyt trudny, miejsce odludne — musi bardzo być smutne na ten czas, nie przynęca więc do siebie.

Jakkolwiek niedawno jest Wildbad tak uczęszczany, już od wieków słynie w okolicy ze skuteczności swych wód. Ma on, jak wszelkie miejsca jemu podobne, — swe dzieje, swe legendy i baśni. — Źródło pierwotne miało być odkryte przez *dzika*, który na łowach raniony, znalazł w jego wodach uleczenie. Późniéj znów ścigany i pokaléczony, naprowadził myśliwców na toż miejsce! Z tego powodu Wildbad *dziczém* źródłem nazwano, a woda jego zawsze na rany wielce pomaga.

Co raz więcéj nowych otworów przybywa, co zima wiercą opokę, pod któréj pokładem znajduje się ów cudowny wodozbiór. Praca ta, na wzór studni artezyjskich wykonywana, — jest wielce mozolną, na dzień zaledwie dwa cale przebić można; i to tylko w zimie gdy Wildbad jest pusty, bo tarcie żelaznych świdrów o kamień staje się bardzo dla ucha przykrém, można je porównać do zgrzytania zębów.

Źródła gorące w samym tylko parowie się znajdują. Widać, iż to jakiś wulkaniczny ogień je zasila. Dr. Granville zaś mniema, iż ciepło od elektryczności pochodzi. Zostawiając te mądre domysły uczonym, których tak mnoga liczba te cieplice opisywała (3) dodam, iż i zimna woda do picia jest tu doskonała. Zawiera pierwiastki żelaza, które ją bardzo zdrową czynią.

Mieszkania, ceny, zabawy, wygody i t. p.

W ogólnych na początku uwagach, w pierwszym artykule, mówiłam już o kilku domach zajezdnych, w Wildbad się znajdujących, i o ich wygodach. — Co do cen pokoi, te są rozmaite, od jednego do kilku reńskich na dzień, zwykle tygodniowo są godzone. Za reński, a nawet i taniéj, można mieć już porządny bardzo pokój; ma się rozumieć z wszelkiemi wygodami, sprzętami, łóżkiem, pościelą i bielizną; jak to powszechnie ma miejsce w tych okolicach; a na czém *wielce* nie dostaje u wód szląskich i czeskich, a nawet w Baden pod Wiedniem! — Obiad także, — z kilku dań złożony, — mniéj więcéj jeden reński kosztuje; śniadanie, to jest kawa lub herbata z bułkami i masłem, zwykle ¼ reńskiego. A tak jedna osoba dziennie za 3 do 4 reńskich, ze wszystkiem bardzo przystojnie i wygodnie może się utrzymać. — Po domach prywatnych można dostać jeszcze tańszych pomieszkań, ale nie są one tak blisko kąpieli jak hotele, — i w domu jadać nie podobno; byłoby to i drożéj i gorzéj i niewygodnie! Tak zwanych wyderkafów nie wiele, nie równie mniéj jak po innych zakładach, gdzie się i karty pobytu opłacają i rozmaite inne mnożą wydatki (4). Tu tylko — i to dobrowolnie — składają się na chorych ubogich — i na muzykę. Pierwsi prawdziwie do litości pobudzają, bo aż nadto widoczne ich cier-

(3) Doktor Granville, Dr. Heyn w języku niemieckim i francuskim, Dr. Fricker w rozmaitych czasopismach — Lady Vavasour w ładném angielskiém dziele: *My first work, und my last travel* i t. d.

(4) Podobne *Wyderkafy* najbardziéj nam dały się czuć u wód w Zoppot pod Gdańskiem; gdzie, przy wielkiéj niewygodzie, w wszech względach ogromna drożyzna! — O kąpielach tych obszerniéj mówię w 2. części: *Powieści dla dzieci.*

pienia. Muzyka zaś z Czechów dobrze złożona, — ciągle słyszyć się dająca — już rzec można od świtu — zasługuje na nadgrodę! — Każdy przybywający jest witany i zagrany od niéj, — przygrywają mu jego narodowe tańce i pieśni. Przy śniadach, — na przechadzkach, — w miejscach zebrań, — stale taż muzyka mu towarzyszy. Jest też to prawie jedyną rozrywką. Nie ma tu ani widowisk, ani gier, ani hucznych balów. Każdy dla zdrowia przybywa, — nie myśli — nie mówi — jak o tém; — czasem aż do znudzenia słuchających! — A gdy mu się polepszy, — jedzie daléj, — aby gdzie zabawniéj spędzić resztę lata, jeżeli mu stać na to, lub też wraca w rodzinne progi, zbogacony zasobem zdrowia....

Sala zebrań jest bardzo duża, piękna i ozdobnie przybrana (5). Stoi tu fortepian, na którym nie tylko biegli w sztuce muzycznéj słyszéć się dają, lecz na którym także młodzież zrana bierze lekcye. Tu się zbierają goście, osobliwie w dnie słotne, także w Niedziele i Czwartki. Grają w gry, rozmawiają; rzadko kiedy ktoś zawoła o potańcowanie walca czy polki, gdyż najwięcéj tu kulawych!... O godzinie 9téj wieczorem już wszystko cicho; — ciemno w oknach, — nie ma nikogo na ulicy; gdzie niegdzie światełko zabłyśnie, lampa przy chorym się paląca, lub świeca modlącéj się osoby!.....

Gdy pogoda rozjaśni niebo, cała wildbadzka gromada po przechadzkach się rozsypuje. Jest tu przecudne miejsce urządzone ku wygodzie chodzących. Ciągnie się brzegiem rzeczki, czyli raczéj szumnego potoku Ens, — w dłuż parowu, cienione niebotycznemi drzewami. Z obu stron otaczają je góry (6). Tu i owdzie poumieszczano ku wygodzie i dla spoczynku przechodzących: to ładne szałasy z kory — to chałupki, z których widok na około się rozciąga — to ławki i krzesła w miejscach ocienionych drzewami; niezapominając — o bardzo potrzebnych dla pijących wody — wychodkach! Są one w kształcie budek żołnierskich, korą pokryte — a choć otwarte dla każdego, tak czyste, że przed niemi schować się powinny nasze domowe!.....

Oprócz téj pobliskiéj przechadzki, cała okolica otaczająca Wildbad jest tak malowniczą, iż lubowników przyrody w różne strony przynęca. Wszędzie też są chodniki wygodne, wysypane żwirem; wszędzie suchą nogą i bezpiecznie dochodzić można.

Wspomniałam na początku o kościele wildbadzkim. Jest bowiem jeden tylko budynek Bogu poświęcony. Tu każdéj Niedzieli schodzą się wszystkie wyznania Chrześcian na nabożeństwo. Nie razem przecież — ale kolejno. — Ksiądz katolicki (o 7 *Stunden*, czyli więcéj jak o 3 mil naszych) co tydzień przybywa, dla odmówienia Mszy świętéj. — Poświęca on za każdą razą świątynię — gdyż to kościół luterski. Smutnym jest dla nas Katolików widok kazalnicy nad ołtarzem, — co cechuje tak wyraźnie duch protestantski, przenoszący wymowę ludzką w miejsce wyobrażenia ukrzyżowanego Boga (7). Nic biedniejszego jak ten kościół. — Stan obnażenia, w którym zostaje, jest prawdziwie wyrzutem dla bogaczy — którzy, odzyskawszy tu zdrowie, jak ów niewdzięczny trędowaty Śtéj Ewangelii — odeszli, nie podziękowawszy Bogu za dary. Jedna Polka bardzo słuszną uczyniła uwagę: iż do miejsca poświęconego bożéj chwale, które tak nędznie wygląda, należałoby chyba w grubych siermięgach przybywać, aby nie czynić sprzeczności między przepychem ludzkim, a ubóstwem świątyni!..... Po Mszy świętéj zgromadzają się Protestanci niemieccy, po nich Anglicy. Dziwną — i rzadką jest w swym rodzaju rzeczą, widzieć duchownych trzech wyznań przechadzających się pod jednym dachem w przysionku kąpieli. — *Jeden* też tu człowiek dzwoni na wszystkie nabożeństwa; i nie tu koniec jego zatrudnienia, roznosi on jeszcze bilety na koncerta i widowiska, gdy się zdarzą, zbiera pieniądze dla ubogich, zaprasza na zebrania, oddaje listy i t. p.

Już nie raz wspomniałam, że tu zabawy bardzo rzadkie. Nie ma zebrań, jak między ścisłymi znajomymi. Jedna tylko uroczystość — za mego w Wildbadzie pobytu, — była świetnie obchodzoną; to jest urodziny Królowéj würtembergskiéj. Od rana przybył Król z następcą tronu ze Stutgardu do Królowéj (która, jak mówiłam, bawiła tu dla córki); przyszły z życzeniami miejscowe władza, w czarnych sukniach, w jasnych rękawiczkach, a kobiety w bieli. Na środku rynku, przed oknami Monarchini, wystawiono bardzo gustowny i ogromny niby ołtarz ze mchu, ozdobiony kwiatami, splotami z wrzosa i liści. Na nim się palił wieczorem sztuczny ogień. Muzyka i śpiewy szkolnéj młodzi, przybranéj w świąteczne suknie, dały się słyszeć, Królowa wyszła na ganek z podziękowaniem. Jest ona dość młoda i przystojna. Mówią, że tu dużo miłosierdzia ubogim okazała. Co do towarzystwa jednak, żadnéj zmiany jéj tu pobyt nie przynosi, bo ona nie przyjmuje nikogo; tylko ją na przechadzkach codziennie z Księżniczką widać. W wieczór dnia opisanego Wildbad był pię-

(5) Patrz rycinę na stronie 189.
(6) Patrz rycinę w Nr. 48. z roku 1845.

(7) Przytoczę tu trafny opis Wiktora Hugo kościoła ewangelickiego: „Biedny, mały, noszący nad sobą kopułkę rzymską, z rzymskim przysionkiem, biały, czworoboczny, kątowaty, goły, zimny, smutny, nudny, posępny, niski, zawisny.“ — takim jest kościółek który przeciwko wspaniałéj farze — *protestuje!*
(Opis miasta Worms.)

knie oświecony. Różno-barwne latarnie w koło rynku się paliły, puszczano race i świece rzymskie, wszystkie okna łazienek i gospód ozdobione były przezroczami i światłem rzęsistém. — Narodzenie Najświętszéj Matki Boskiéj, które przed kilku dniami cicho, bez święcenia prawie się odbyło — bo to kraj protestancki — smutne na nas zrobiło wrażenie! Ledwie cichą Mszą odmówiono dla nielicznego zgromadzenia, sklepów nie pozamykano, nie przestano robót..... Jedna tylko pocieszająca myśl wiernych pokrzepiła ów smutek, to jest: że Narodzenie *Opiekunki niebieskiéj* po wszelkie wieki i tu i w tamtém życiu obchodzone będzie, gdy przeciwnie wszelkie inne pamiątki w cieniach czasu zaginą!.....

Już mówiłam, że do Wildbad mnóstwo osób przyjeżdża (8), co rok ich się powiększa, bo Wildbad, przez długie wieki zaniedbany, co rok świetniejszą przybiera postać. Był czas, gdzie drogi tak były niegodziwe, że nie liczni goście — zebrani w to miejsce dla zdrowia lub przyjemności — na tratwach przybywać musieli. Teraz tylko drzewo w taki sposób rzeczką spławiają; i jest to jedno ze zdarzeń sprowadzających publiczność na brzeg wody. Co do dróg, gościniec jeszcze ma najlepszy; przejazd przez Czarny-las przykry. Mnóstwo kamieni, korzenie od drzew występujące, droga koło przepaści się snująca, przymusiły pocztę do zmienienia traktu. Teraz na Neunbürg jeżdżą — nawet dyliżanse — choć to daleko daléj jak na Dobel; ale przynajmniéj bezpiecznie. Przyłączam tu kartę okolic Wildbadu, z któréj przekonać się można o górzystości i dzikości miejsca tego.

(Dokończenie nastąpi.)

(8) Nie tylko *przyjeżdża*, lecz i *przychodzi*: chcę tu wspomnić o sławnym wędrowcu, który całą kulę ziemską przeszedł piechoto — o ile ziemi mu stało do téj ogromnéj *przechadzki*. Jest to stary baron niemiecki (nazwiskiem Holberg, który właśnie od Ojca św. order otrzymał), człowiek bogaty, tylko dziwak. Przybył tu, wracając z Ziemi-świętéj. Strój jego niby wschodni: czarmarka, pas czerwony, niezmiernie długa siwa broda, okazywały coś niepospolitego. Zajęli się nim wszyscy. Kto go znał od dawna, opisywał różne o nim szczegóły. On zaś nam opowiedział dziwne zdarzenie swego życia, które tu przytoczę:

„Choć jestem tak stary, — mówił: — gdyż więcéj ośmdziesięciu lat liczę; — choć me oczy zagasły prawie — tak długiém na ten świat patrzeniem, — byłem jednak nie dawno bohatérem romansowym. — Ubiegały się za mną mnogie i urodziwe panny! Dnia jednego, po dobrym obiedzie, jeden z obecnych żartował z méj zgrzybiałości. — Ja mu na to odpowiedziałem, iż się *zakładam*, że chociaż nie będę taił mego wieku, znajdę *sto* panien, które mię będą pragnąć za męża. Uśmieli się słuchacze; — urągali méj próżności, jednak przyjęli zakład. — Złożono 1,000 reńskich i ja téż 1,000 przeciwko mym przeciwnikom dać miałem. Naznaczyliśmy sześć miesięcy czasu, a potém miałem złożyć dowody. Opisałem mą osobę w dziennikach, wyliczyłem dostatki i stan mego majątku, dodając, iż pragnę ożenić się z panną dobrego rodu, ładną, utalentowaną, między 18tu i 28u lat mającą. — *Bez grosza posagu.* Ach! cóżem téż sobie kupił za kłopot! Prawda, że było téż zadowolenie dla miłości własnéj. Listy do mnie jak grad spadały. Gdyby nie obwieszczenie uczynione w dziennikach, byłbym na się rządową ściągnął uwagę — mógłbym był o knowanie spisku być posądzony!..... Dostałem czternaście wizerunków. Cztery miniatur; a wierszy! — a odezw!..... Zgadnijcie wiele?..... Oto, słowem ręczę: — 807 wszystkiego.

„Zakład był wygrany — bez najmniejszéj wątpliwości. — Teraz dodam jeszcze słów kilka: w liczbie tych mnogich listów był *jeden*, który mnie niezmiernie uderzył. Pismo śliczne okazywało osobę z wyższém wykształceniem. Toż było proste, ale tak tkliwe i rozczulające, iż najżywiéj nabrałem chęci poznania osoby, która te wyrazy skreśliła. Pojechałem natychmiast do miasteczka Würtembergskiego, w którém moja nieznajoma mieszkała. Poznałem ją, a uwielbienie moje powiększyło się jeszcze!.. Była to młoda osoba, nie tyle piękna jak pełna powabu. Ponowiła mi zapewnienie, że za mnie pójdzie i będzie się starała jak najsumienniéj pełnić obowiązki przyjęte; lecz tak smętny miała wyraz na twarzy — tak głęboki żal malował się w jéj oczach — iż widziałem, że przedsięwzięcie jéj — jest skutkiem wielkiéj ofiary. Badałem o szczegóły — prosiłem o zaufanie; przyznała mi się wtedy, iż ojciec jéj, urzędnik, żyjący z małéj zapłaty rządowéj — podpadł w niezasłużone nieszczęście — miał tracić posadę, która całą żywiła rodzinę. Powodowana przywiązaniem, chciała córka, przez bogate za mąż pójście, wydobyć go z niedoli. Była to ofiara — tém większa — iż od dawna kochała młodego człowieka, ubogiego jak i sama. Dowiedziawszy się o tém wszystkiém — jakkolwiek byłbym i ja chętnie uczynił ofiarę z méj barońskiéj godności pojmując ją za żonę — nie dałem się wyprzedzić w szlachetnych uczuciach, zaniechałem zamysłu. Staraniem mojém uniewiniono ojca; — a owe wygrane 1,000 reńskich — oddałem czułéj parze na początek gospodarstwa.....“

Przy końcu pierwszego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na drugie półrocze roku trzynastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów. ***Ernest Günther*, wydawca.**

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 25. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 20. Czerwca 1846.

Święty Floryan. — Olkusz. — Skamieniałości formacyi Jura. — Mieszkańcy okolic Sandomierza i Radomia. — Wildbad, wody mineralne w wirtembergskiém (dokończenie). — Piosnki ludu Wielkopolskiego (dokończenie). — Doniesienie, tyczące się prenumeraty na drugie półrocze roku trzynastego pisma niniejszego.

Święty Floryan.

Święty Floryan.

W pierwszych wiekach zaprowadzenia wiary chrześciańskiéj w Polsce znajdujemy bardzo wielu mężów, tak Książąt jak poddanych, którzy dla dobra kościoła na jego ołtarzu wszelkie skarby i zaszczyty, a nawet życie składali. Poczet tych mężów jest nader wielki, trudno ich wymienić, dosyć wspomnieć Odrowążów, Jaxów, Bogoryów, Świnków i Duninów. Owym to czasom zawdzięczamy Patronów naszych, którym w opiekę oddano całość i bezpieczeństwo kościoła i królestwa polskiego. Lecz nie tylko sami rodacy znajdowali się w ich rzędzie; byli też pomiędzy nimi Święci z obcéj ziemi, którym się nasi pobożni przodkowie z silną wiarą w ich pomoc powierzyli. Do tych należy święty Floryan, którego szczątki Kazimierz Sprawiedliwy do Polski sprowadził.

Żył on za czasów Dyoklecyana i Maxymiana, Cesarzów, słynął pobożnością, męstwem i wielką gorliwością dla wiary; ztąd podczas srogiego prześladowania Chrześcian po wielu katowniach w rzece Anissu lub Evesu utopionym został roku 280. Skarga w Żywotach Świętych obszernie wylicza owe usilne zabiegi Kazimierza Sprawiedliwego o szczątki ś. żołnierza męczennika; i siedmio-milowe processye, jakiemi w tłumie nieprzeliczonego ludu te relikwie na ziemi polskiéj spotkane zostały. Egidyusz, Biskup Mutyński, z polecenia Lucyusza III. wręczył je Kazimierzowi i w śród najuroczystszych obrzędów za orędownika Polski impatronizował w Krakowie r. 1183.

Pobożne i starodawne podanie ludu niesie, że podczas pożarów widywano Ś. Patrona w obłokach, zalewającego płomienie, wyobrażano go więc w postaci zbrojnego męża z ugiętém na obłoku kolanem, w jedném ręku trzymającego tarczę, w drugiém naczynie, z którego płynie woda na palący się poniżéj Kraków. — Tak go wyobraża tu załączona rycina, w któréj widok Krakowa wykonany podług rysunku z XVI wieku. Herb zaś Krakowski na tarczy, wyjęty z dzieła „o Powietrzu," przez Sleszkowskiego w r. 1623 napisanego. W otaczającéj ten przedmiot starożytnéj ramie umieszczone są posągi Jaxy i Dunina, mężów, których imiona napotykamy w licznych podaniach religijnych i historycznych upłynionych wieków.

Modlitwy starożytne, błagające Ś. Floryana o odwrócenie ognia, usprawiedliwiają podania historyków, uważających miasto Kraków za *nieustające zgliszcza*. Kronika miasta napełnionanie przerwanym szeregiem pożarów; z tych na przykład: za panowania Bolesława Krzywoustego r. 1125 przypadkowy pożar ze wszystkiemi świątyniami i gmachami w perzynę go obrócił i na długi czas, jak Długosz podaje, w nędzę pogrążył. Roku 1285 powtórnie całe miasto przez Konrada II., Księcia mazowieckiego, spaloném zostało, zaś pod panowaniem Zygmunta I., Kleparz i miasto od Nowéj bramy aż do Świętego Szczepana, tak wielkiego i przez wiatr rozżarzonego doznało ognia, że jak Bielski na karcie 506 zaświadcza, *na murzech około sto strzelby stopiło się.*

Pomijam pożogi tatarskie roku 1241, 1260, 1287, w których nie tylko miasto całe w perzynę obróconem zostało, lecz i mieszkańcy jego albo wycięci, albo w niewolę zabrani.

Dzisiaj, kiedy ostrożność mieszkańców, porządniejsze zabudowania i czujność policyi zabezpiecza Kraków od przygód ognia, my przecież postrzegamy w mieście to nawet poprzewracane, co liczne pożary, mściwa nawet ręka nieprzyjaciół nie nadwerężyła, błagamy więc Ś. Patrona, aby ten ukrócił administracyjną swywolę, ostudzał publiczną manię porządku, i niepowściągliwą namiętność nowożytnych ozdób, gdyż w nich upatrujemy ostatnią i nieodżałowaną klęskę dla Grodu. Kraków jest świętém dla nas miastem, w którém każdy gruz napominkiem, każdy kamień naucza...

Olkusz.

Znajome jest z dziejów dawniejsze bogactwo Olkusza, pochodzące z kopalni śrebrnych i zupełny upadek tego miasta od czasów wojen szwedzkich; przyczyniło się głównie do tego zabranie koni, używanych przy kuralach do wypompowywania wody, pod rekwizyta wojskowe; zaniedbanie sztolni Ponikowskiéj, któremi odchodziła woda z kopalni, sprawiło zatopienie całych kopalni; albowiem rzeczka Baba, mająca ujście do Przemszy, podziemne znalazła kommunikacye w głębi dawnych kopalń.

Zdawało się, że kopalnie śrebra na zawsze będą stracone, gdy nagłe wzniesienie wyrobu i handlu cynku zwróciło uwagę Rządu polskiego na Olkusz. Przodkowie nasi nie znali wartości galmanu i wyrzucali go jako warpę z swych szyb olkuskich; teraz zaczęto galman ten przetapiać na cynk. Powstała piękna walcownia cynku w Sławkowie, zasługująca o tyle więcéj na uwagę, że cała jest zbudowana *na kurzawce*; jest to trudność naszemu krajowi właściwa, a którą nasi architekci i inżynierowie mozolni przezwyciężyć zdołali. Zamyślił Książe Lubecki wybić nową sztolnię dla osuszenia Olkusza, lecz wstrzymywał go brak funduszów; zaledwie o tém zasłyszał ś. p. Edward Raczyński, ofiarował milion na rozpoczęcie dzieła, żadnych sobie nie zastrzegał korzyści, pragnął tylko wrócić ojczyźnie dawne a tak bogate kopalnie; lecz wypadłoby Rządowi dodać sześć razy tyle, i długie na to poświęcić lata. Szczęśliwa myśl się nasunęła przed niewielu laty, wystawienia nad kopalnią machiny parowéj, którąby wodę pompowała z głębi, i ochroniła od budowy sztolni. Pod przewodnictwem W. Prezesa banku Łubieńskiego wyko-

nano tę myśl i wystawiono 100-konną parową machinę; lecz znów wielką przedstawił trudność pokład kurzawki, który trzeba było przebyć, aby się dostać do skały; przezwyciężono tę trudność za pomocą wielkiéj studni z lanego żelaza, którą spuszczono o czterdzieści kilka stóp; do dna téj studni spływa woda, którą wyciąga machina parowa. Gdym się w r. 1841 spuszczał wgłąb' téj studni, widziałem jak istne źródła, a raczéj strumyki, rzucają się gwałtownie z wszystkich szczelin skały w głąb' studni i jak silnie pompa wszelką wodę porywa; w głębi studni, wśród hałasu wody, tak nagle przypływającéj i pompowanéj, rozstrzelano skałę, aby studnię uczynić głębszą i aby bocznie bić sztolnie. Gdy machinę zatrzymano, studnia się zapełniała w ciągu 21 minut; gdy ją w ruch puszczono, wypróżniała się w 7 minut; machina ta więc zdoła jeszcze potrójną ilość wody wyciągnąć; a gdyby ilość wody była większą, nie trudno i drugą i trzecią stokonną postawić, nie idzie bowiem jak o dostawę węgla do opału pod machinę parową. Celem głównym jest osuszanie górnego pokładu skały, aby módz rozpocząć wydobywanie galmanu; wysokie bowiem ceny cynku sowicie nagrodzą koszta wyłożone na osuszenie téj kopalni, z któréj niegdyś ojcowie nasi tyle skarbów już dobyli. Załączam plan Olkusza, który zajmie czytelników.

Dnia 27. Lipca 1846.

† †

Skamieniałości formacyi Jura.

Uczy nas geologia, że wiele zwierząt wyginęło, które przed potopem bardzo rozmnożonemi były; dochodzi się ich budowy podług szczątków pozostałych w skamieniałościach. Załączamy rysunek zwierząt i roślin, jakie się znajdowały w formacyi Jura. Na szczególną zasługują uwagę ogromne jaszczury, znacznie przechodzące wielkością swoją dzisiajsze krokodyle; podobnież i małe smoki latające, które *daktylami* zwane. Paprocie dochodziły w ów czas téj wysokości, jaką w najgorętszych osięgają strefach. — Na skałach wapiennych formacyi Jura zbudowany jest Paryż.

Polskie skamieniałości opisali najdokładniéj Panowie Pusch i Zeuszner.

† †

Mieszkańcy okolic Sandomierza i Radomia.

Sandomierz, położony przy ujściu Sanu, który wpada do Wisły, był niegdyś miastem handlowém, tak ważném dla bogactw i znacznéj ludności, iż przez wieki został głównem miastem województwa tegoż nazwiska; lecz podupadło przez częste napady narodów sąsiednich, i Radom otrzymał pierwszeństwo, co jednakowoż nie zmieniło dawnego nazwiska województwa.

Okolice Sandomierza odznaczają się zadziwiającą żyznością ziemi, gdzie się pszenica obficie rodzi, i staje się co rok główną gałęzią handlu z Anglikami i innemi narodami, które ją kupują, aby się wyżywić, a zwłaszcza ażeby siew zmienić.

Obyczaje i zwyczaje chłopów Sandomierskich, zbliżają się do obyczajów Krakowian; lecz są temperamentu spokojniejszego, i mniéj skłonni do wesołości, odznaczają się w ogóle rozsądkiem i rozwagą; dotrzymują słowa, i dla tego jest przysłowie w całéj Polsce: „Polegaj na nim, jak na Sandomierzaninie.“ Jeżeli chwalimy zręczność Krakowiaka, przy użyciu lancy, nie możemy mniéj chwalić żołnierzy Sandomierskich, gdy z bagnetem w ręku na nieprzyjaciela uderzają. Pełni gorliwości i wytrwałości wśród niebezpieczeństw, stanowili zawsze wyborowe wojsko piechoty polskiéj.

Rólnictwo jest ich głównem zatrudnieniem; lecz ci, którzy zamieszkują brzegi Wisły i Pilicy, przewożą wodą do Warszawy i Gdańska pszenicę, drzewo i towary; inni, osiadli w okolicach Radomia, trudnią się wydobywaniem kruszczu, kuciem i wyrobieniem żelaza.

Sandomierzanie są wzrostu wysokiego, silni, włosy mają zwykle ciemne, oczy niebieskie, płeć biała. Sukmana biała, z kołnierzem prostym lub wywiniętym, stanowi ubiór męski; ozdoby i wyłogi są czerwone, karmazynowe, lub jasno-niebieskie. Pasem tego samego koloru zapinają się. Zimą noszą spodnie sukienne w różnych kolorach; latem płócienne w paski. Na koszuli noszą kaftan niebieski, który u dołu jest obszyty sznurami czerwonemi. Bóty noszą wysokie. Na głowie mają czapkę obszytą barankiem, to znów kapelusz słomiany lub też kapelusz czarny, dosyć wysoki, lecz z wązkim brzegiem. Kobiety Sandomierskie noszą się prawie tak samo, jak Krakowianki. Jeżeli mniéj noszą korali, za to więcéj używają innych różnobarwnych paciórków. Obszywają u szyi koszulę frezą, która spada aż na ramiona.

Mieszkania chłopów Sandomierskich są czyste, i wiele w nich widać porządku; każde z nich jest otoczone sadem i ogrodem warzywnym. Ich skromne pożywienie składa się po większéj części z jarzyn. Piwo i wódka są ich głównym napojem; bogatsi piją także miód, a nawet wino węgierskie.

Okrężne jest znane w całéj Polsce; osobliwie chłopi Sandomierscy obchodzą tę uroczystość polną, o któréj damy zaraz wyobrażenie w krótkości:

Gdy żniwa są ukończone na polu właściciela, wszyscy mieszkańcy wsi udają się do domu Pana z wieńcem ze zboża, który zwykle niesie najpiękniejsza i najgodniejsza dziewczyna, mająca wkrótce iść za mąż. Parobcy przynoszą pszenicę, którą wedle dawnego przesądu, pozbierali z pól swych sąsiadów; a młode dzie-

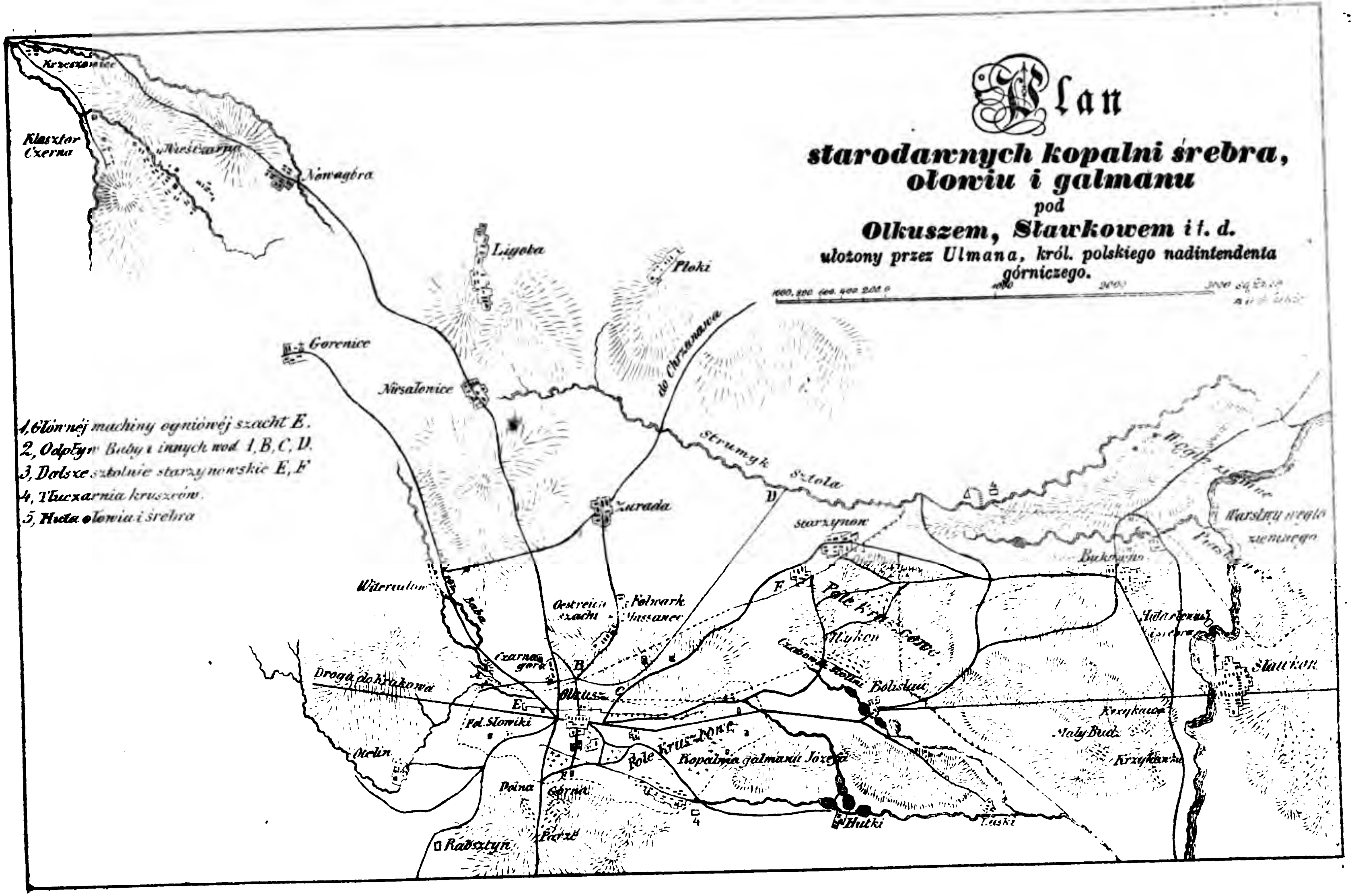
Plan
starodawnych kopalni srebra, ołowiu i galmanu
pod
Olkuszem, Sławkowem i t. d.
ułożony przez Ulmana, król. polskiego nadintendenta górniczego.
1, Główněj machiny ogniowěj szacht E.
2, Odpływ Baby i innych wód 1, B, C, D.
3, Dolsze sztolnie starczynowskie E, F
4, Tłuczarnia kruszców.
5, Huta ołowiu i srebra
Krzeszowice
Klasztor Czerna
Nowagóra
Ligota
Płoki
Gorenice
Nirsałonice
do Chrzanowa
Strumyk Szłola
Żurada
Starczynow
Witeradów
Baba
Ostreich szacht
Folwark Massaniec
Czarna góra
Droga do Krakowa
Olkusz
Fol. Słowiki
Otelin
Dołna
Górna
Rabsztyn
Parcz
Pole Kruszcowe
Kopalnia galmanu Józefa
Hutki
Łuski
Pole Kruszcowe
Bolesław
Bukowno
Sławkow
Krzykawa
Mały Bud
Warstwy węgla ziemnego

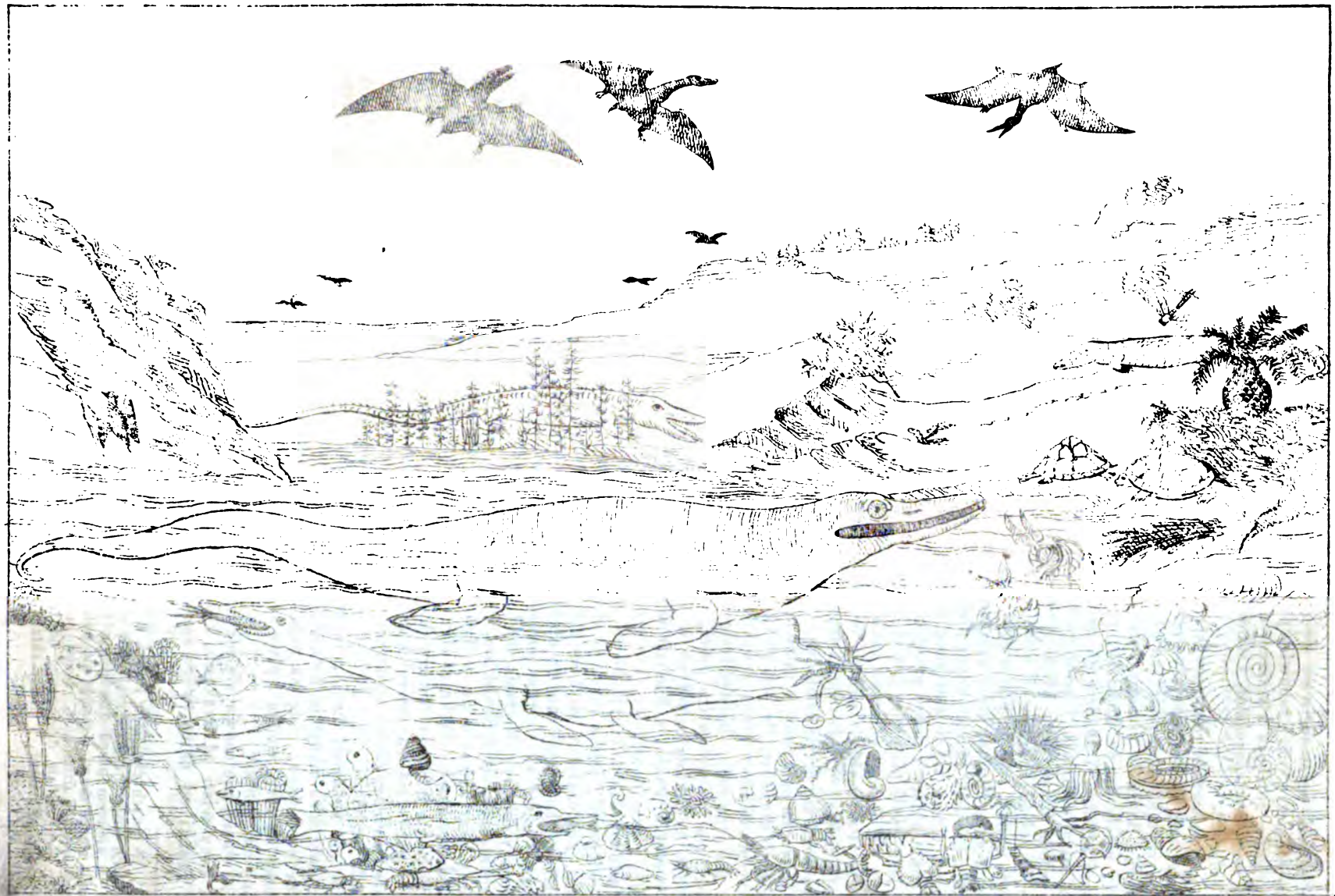

Skamieniałości formacyi Jura.

wczęta ze wsi, zgromadziwszy się u téj, która ma przewodniczyć całéj zabawie, przyozdabiają jéj wieniec ze zboża kwiatami, dzikiemi jagodami, orzechami złoconemi, i wstążkami w różnych kolorach.

Te przygotowania robią zwykle w wigilią Wniebowzięcia Najświętszéj Panny. Nazajutrz bardzo rychło kładą wieniec na głowę młodéj dziewczyny, która w towarzystwie całéj wsi i muzyki, niesie go do kościoła, przybliża się do stopni ołtarza, i kładzie go na stół. Gdy Ksiądz mszą odprawił i pobłogosławił wieniec, młoda dziewczyna kładzie go znów na głowę, i wśród śpiewów i muzyki udaje się do wójta gminy. Wójt przywięzuje u wierzchołka wieńca koguta, który zaczyna wybierać ziarnka z kłosów. Jeżeli kogut pieje, wszyscy przytomni cieszą się i zawczasu przyobiecują sobie obfite zbiory i dobre przyjęcie u właściciela; lecz jeżeli nie pieje, jest to złą wróżbą; oczekują zaś jeszcze gorszego roku, jeżeli jeść nie chce. Po przybyciu całego orszaku przed dom właściciela (*), śpiewają następujące słowa:

Otwórzcie się drzwi zamkowe, bośmy ukończyli żniwo na polu pana, i ustawiliśmy mu tyle pięknych snopków, ile jest gwiazd na niebie.

Przysposobiliśmy tysiąc snopków dla pana, tysiąc dla jego żony, dziesięć tysięcy dla synów i córek, sto tysięcy na ich gości, a milion na pieniądze Anglików, osiadłych w Gdańsku.

„Wychódź Panie, z białych murów twego „zamku, i przyjm wieniec, który ozdabia gło„wę młodéj dziewczyny; bo to jest wieniec „nad wieńcami, jest z czystego złota a nie ze „zboża. Zasłużyliśmy, abyś nas przyjął w Two„im pałacu; bo głowy nam się opaliły od słoń„ca, ręce nasze są sierpem porznięte, kolana „połamały się przy schylaniu się ku ziemi, no„gi pokaleczyły się ścierniskiem, krzyże zeszty„wniały przy zginaniu się w Twojém polu.

„Rozkaż Panie, aby krew płynęła potokiem „po zielonym trawniku Twego dziedzińca; aby „ognie paliły się na cztery wiatry ziemi; bo „wiele potrzeba, ażeby wynagrodzić żniwiarzy „za ich trudy.

„A nie zapomnij Panie, iż wół pieczony „jest dobry na ukojenie boleści w krzyżach, „owca na kolana, cielę na nogi, gęś, kogut, „kaczka na ręce, wódka i piwo na głowę spie„czoną od słońca.“

„O Panie, nie chowaj się już dłużéj; bo za„dął silny wiatr od Krakowa, który odsłania„jąc firanki od okien twego zamku, pozwala „nam widzieć Twoją twarz podobną do słoń„ca, które świeci na niebie, twarz Twojéj żony, „jak pełnia księżyca, twarze paniczów i pa„nien, jak świecące gwiazdy!“

Potém występuje mówca i podług swych zdolności ma mowę wierszem lub prozą do Pana. Ledwie kończy, daje się słyszeć muzyka, a gospodarz domu, jego żona i dzieci, rozdzielają podarunki pomiędzy parobków i dziewczęta, którzy w czasie żniwa odznaczyli się zręcznością lub pracowitością.

Gdy Pan słyszy głos śpiewaków, wychodzi z domu z żoną, dziećmi i służącymi. Pani zdejmuje wieniec z głowy młodéj dziewczyny, i kładzie go na stół, przykryty obrusem, który stoi przed domem lub w sieni. Młoda wieśniaczka, która przyniosła wieniec, dostaje podarunek najznaczniejszy, do którego dodają pewną kwotę pieniędzy. Po ukończeniu działów, służący zamkowi zastawiają duże stoły różnemi pieczeniami i innemi potrawami wiejskiemi, daléj zataczają beczki z wódką i z piwem, które stawiają na przeznaczone miejsce. Po tych przysposobieniach wszyscy zabierają miejsca, a uczta się rozpoczyna. Osoby z zamku, mają największe starania o swoich gości, i czuwają z natężeniem, aby niczego nie zabrakło. Gdy wszyscy są nasyceni, taniec się rozpoczyna. Gospodarz domu otwiera go z młodą dziewczyną, Pani tańczy z mówcą, a ich dzieci równie z innymi wieśniakami. Wśród uczty nie przestają służący nosić piwa i wódki. Zabawy innego rodzaju, przy których także są wyznaczone nagrody, zatrudniają zgromadzenie w innéj części dziedzińca, który jest zawsze dosyć obszernym. To widać młodych parobków w miechach po za szyję, przybliżających się na kształt żaby do celu, gdzie się znajduje jaki pieniądz; to znów szukają ustami jaki pieniądz w głębokiém naczyniu, napełnioném wodą lub mąką; to starają się dostać na wierzchołek masztu śliskiego, ażeby pozyskać ubiór nowy lub płaszcz, który wisi nad ich głowami; to z zawiązanemi oczami z cepami w ręku przybliżają się śmiało do garnka glinianego, postawionego w trawniku, i jeżeli go rozbiją za pierwszém uderzeniem, dostają pieczonego koguta, którego tam schowano; to widać młode dziewczęta, noszące statki na głowie napełnione wodą; a ta, która ani kropli z nich nie rozleje, dostaje wstążkę, paciórki lub też kwiatki robione; to jeźdzcy pędzą jak błyskawica, starając się przebić lancą gęś pieczoną, zawieszoną pomiędzy dwoma drzewami.

Uczta ta trwa bardzo późno w noc, a czasem aż do białego dnia, podług przyjęcia mniéj lub więcéj serdecznego, którego doznaje cały orszak.

(*) W innych częściach Polski, n. p. w Podlasiu, zachowują następujący zwyczaj: Gdy się orszak przybliża z wieńcem przed dziedziniec zamku, chłopcy chowają się za drzwi, i starają się polać młodą dziewczynę wodą z dzbanków. Jeżeli przez zręczną ucieczkę ochroni się dziewczyna od tego chrztu, okrywają ją oklaskami, i każdy składa jéj swoje życzenia.

Wildbad, wody mineralne w wirtembergskiém.

(Dokończenie.)

Wypis niektórych wyzdrowień.

Zdaje mi się, iż wypisanie niektórych chorób, równie jak przytoczenie wyleczeń, jakich albo sama byłam świadkiem, albo o których z ust lekarzy i samychże chorych słyszałam, zasłuży na uwagę. *Wyzdrowienie* bowiem jest najważniejszym celem każdego, co chce wód próbować. Naoczne przykłady mówią głośniéj jak wszelkie pochwały.

Jedna z najważniejszych chorób, która tu pomoc znajduje, jest: *niemoc pacierzowa*. Ta nieszczęsna dolegliwość, o któréj dawniéj nie słyszano, bądź że się z teraźniejszego sposobu życia wysnuła, bądź że jéj nie znali dawni lekarze, często się za dni naszych trafia. Trzy stopnie jéj przypisują. Pierwszy odznacza się bólem krzyża, ociężałością nóg, lecz te odznaki jeszcze nie wyraźne. Drugi stopień już widoczniejszy. Chód przybiera dziwaczny sposób podrygiwania, co lekarze mienią *chodem kogucym*. Tak nie stąpają ani podagrycy, ani cierpiący na rumatyzmy w nogach, ten chód zatém pacierzową chorobę cechuje. W ostatnim stopniu niemoc staje się zupełną i członki jakby zparaliżowane, zmysły stępione, nawet umysł osłabiony, gdyż szpik ma związek z mózgiem. Podług spostrzeżenia lekarzy (*) stan drugi téj choroby jest najtrudniejszy do wyleczenia. Z pierwszego można wyjść zupełnie, a w trzecim znaleść wiele ulgi. Ów stan drugi czasem największym zabiegom i staraniom się opiera. Jednakże w jednym, jak drugim i trzecim stopniu, zapewniali mnie lekarze, iż wiele przykładów wyleczenia po używaniu wód wildbadzkich widzieli.

Równie pierwszéj okropna słabość *paraliżu* ze skutkiem w Wildbad się léczy. Powiadał mi Dr. Chelius (ów sławny lekarz z Heidelberga, którego imię zna cała prawie Europa), iż posłał był przed parą laty do owych kąpieli Generała rossyjskiego, Księcia Witgenstein, który stracił był zupełnie władze w ręce i już od lat 26 ani więcéj myślał o odzyskaniu jéj. Był w Wildbad dla innéj wewnętrznéj choroby. Tymczasem po odbytéj kuracyi wracając do domu, z niewymownem zadziwieniem spostrzegł, iż władza w ręku powraca, palcami mógł ruszać, co mu od tak dawna nie podobném było. — Bardzo miła niespodzianka!

Księżna Augusta de Nassau, także paraliżem dotknięta, w skutku napadu krwistego do głowy, przybyła tu przed dwoma laty w stanie zupełnéj odrętwiałości, prawie bez życia. Stan jéj tak był niebezpieczny, iż prawie żadnéj nadziei nie zostawało. Jednak po wzięciu 48 kąpieli, było jéj nierównie lepiéj. Często w sali zebrań ją widywaliśmy. Przyjmowała u siebie gości, i wyjeżdżając z powrotem do domu, o swéj mocy siedziała w powozie.

Po długich, nerwowych gorączkach, częstokroć długo jeszcze pozostaje w tych, co je mieli, wielka niemoc. Ból w nogach, skurczenie członków i t. p. Liczne są przykłady zupełnego przyjścia do sił i czerstwości po wildbadzkich kąpielach. Już wspominałam o Królewnie würtembergskiéj, która tyle korzyści tu doznała dla zdrowia, do tego przykładu dodam jeden równie uderzający. Córka bogatego bankiera z Frankfurtu n. M. przybyła do Wildbad zupełnie skurczona, w skutku nerwowéj gorączki. Wożono ją małym wózkiem po chodnikach. Przykry był widok téj ślicznéj 15to-letniéj panienki, bladéj jak biała róża. Siedziała nieporuszona w tém krześle boleści, obsypana kwiatami, jakby dla wynagrodzenia, że jéj ze współtowarzyszkami ich zrywać nie może, ciągnęły ją dzieci, i różne psoty wyrządzały niebodze! Włosy miała ogolone — wszystko razem okazywało stan opłakany. — Otóż przy początku jesieni widziałam ją w Heidelbergu jedzącą u spólnego z nami stołu. Trudno ją było poznać. Chodziła, choć pomału, jednak tylko na ręku matki oparta. Twarz jéj odzyskała świeżość, utyła; słowem inna z niéj była istota.

Pani M....., z głębi Rossyi tu przybyła, w skutku przykrego połogu do takiego stanu była przyprowadzona, iż jak niemowlę po ziemi się czołgała, nie mogąc ustać na nogach. Po trzech latach kąpieli wildbadzkich, widzieliśmy ją biegającą codziennie po najdłuższych przechadzkach. Już odjechała do kraju, zupełnie zdrowa.

Dr. Granville przytacza przykład, którego był naocznym świadkiem. Oto są jego słowa:

„Chłopczyk czternasto-letni (którego ubiór „okazywał, iż należy do stanu wyższego spó„łeczeństwa), uderzył mnie swą bladością i cho„dem nie pewnym. Zapytałam prowadzącéj go „matki, czy się spodziewa polepszenia u tych „wód dla niego?“ — „O już mu się znacznie „polepszyło,“ z radością odpowiedziała, „dziś „właśnie złożył kule, bez których się nie mógł „ruszyć, i spodziewam się, iż ich więcéj po„trzebować nie będzie.“

W bólach podagrycznych niemniéj pomocną okazuje się woda wildbadzka. Hrabina Caumont la Force, osoba już bardzo podeszłego wieku, co rok tu jednak aż z Nicy we Włoszech przybywa. Powiadała mi, iż jéj się zdaje, żeby żyć nie mogła, i wytrzymać nieznośnych podagrycznych cierpień, gdyby do Wildbad po ulgę nie jeździła.

Dawne rany, blizny, stłuczenia, złamania

(*) Patrz dzieła Doktora Heyn o Wildbadzie. Dra. Fricker w gazetach würtembergskich: *Zdrowia z lat ostatnich*, i t. d.

członków, jakby czarodziejską rożczką się tu wyganiają. Pan Kaula, bankier ze Stutgardu, opowiedział nam okropny przypadek, jakiego doznał na kolei żelaznéj przez spotkanie dwóch parochodów (locomotives). Uderzenie było tak silne, iż on siedzący w jednym z powozów, obydwie nogi miał złamane przez ławkę przednią. Chorował okropnie, — ledwie o dwóch kulach i w ciągu kilku miesięcy mógł postępować. Po kąpielach wildbadzkich, to jest za dwoma tu powrotami, chodził z nami na najdłuższe przechadzki, naprzód o lasce, późniéj o własnéj mocy.

Pocztmistrz i oberzysta razem w miasteczku Badeńskiém Bruchsal, miał obydwie nogi pogruchotane, z powodu wywrócenia powozem. Zawieźli go do Wildbad jak kalekę, — po dwóch kuracyach tamże branych, usługiwał nam do stołu, i zwijał się i biegał jak gdyby nigdy nie cierpiał.

Stryj owego sławnego, cudownie nawróconego Księdza Ratisbonne, również miał złamaną nogę i całkiem skurczoną. Przybył kulawy. Po dwukrotném użyciu kąpieli, dawał naukę chodzenia pewnemu Lordowi szkockiemu, co nas niezmiernie ubawiło; obydwa w Wildbad swe szczudła zostawili.

Osoba, bardzo bliska memu sercu, bolesne cierpienia rumatyczne pozbyła w tutajszych cieplicach. Po kilko-tygodniowych kąpielach pokazała się wysypka na ciele, i trwała dopóki bóle nie ustały.

Mnóstwo innych opisów i szczegółów, mogłabym dodać, gdyby miejsca nie zabrakło — czas także krótki — lato nadchodzi — chciałabym wysłać ten krótki rys, tak, aby jeszcze kto z naszego kraju mógł z rady korzystać. Jeżeli choć jedna istota dozna ulepszenia w skutku podjętéj, — mą namową, podróży, — już mi się i podjęta praca i dobra chęć wynadgrodzi.....

Baden-Baden, Czerwiec 1846.

K. N.

Piosnki ludu wielkopolskiego.

(Dokończenie.)

Trzej ptaszkowie.

Z tamtéj strony jeziora
Stoi lipka zielona,
A na téj lipce, na téj zielonéj,
Trzej ptaszkowie siadali.
Nie ptaszkowie to byli —
Trzej rajnowie (1) radzili.
Radzili sobie o grzecznéj (2) dziewczynce,
A komu się dostanie.
Jeden mówi — mojać to.
Drugi mówi — jak Bóg da.
A ten trzeci — moja najmilejsza,
Coś mi taka smutniusieńka.
— Jak ja nie mam smutna być,
Za starego każą iść.
A on stary, stary Wojewoda,
A ja dziewczę jak jagoda. —
Znać roboty nie miała,
W ogródeczku biegała.
Suchą leszczynkę trafiła,
Świeżego listka szukała.
— Bym ja była wiedziała,
Za staregom iść miała,
Byłabym suchą leszczynkę
Choć łzami zakrapiała.
U matusi w komorze,
Stoi malowane łoże.
Oj łoże, łoże, śliczne malowane,
Kto na tobie będzie spał?
Jeżeli stary będzie spał,
Dajże Boże, by więcéj nie wstał.
A jeżeli młody,
A ślicznéj urody,
Żeby mu Bóg zdrowie dał.

Przede dworem wielki sad,
Nie przeleci tam żaden ptak,
Jeno jeden malusieńki,
Do Kasieńki na obiad.
Wystawiła mu dwa sery,
I na półmisku gęsiny,
Jedz sam Jasiu nieboże,
Bo Kasieńka nie może.

Idzie żołnierz przez ryneczek, czarny wąsik ma,
Będę prosić matusieńki, a coć mi go da,
Cóż ci po nim córo moja, bardzo ubogi.
Dobry, dobry, matusieńku, bardzo chędogi.
U mnie jadasz córo moja leśne zwierzyny,
Za żołnierzem jadać będziesz z łojem pokrzywy.

Oczki cię zdobią, dziewulo!
Oczki cię zdobią, da zdobią;
Ale rączki kata zjadły,
Nie rade robią, da robią.

(1) rajcy. (2) urodna i zalotna.

Przy końcu pierwszego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na drugie półrocze roku trzynastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów. ***Ernest Günther***, **wydawca.**

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 26. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 27. Czerwca 1846.

Kościół Panny Maryi w Jarosławiu. — Geologiczny rys brzegów Warty, podług Pana Puscha. — Kościół i klasztór Panien Benedyktynek w Jarosławiu. — Przywiléy na Kościół Kalwiński w Lesznie. — Przywiléy na Szkołę Kalwińską w Lesznie. — Wiadomości literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie, tyczące się prenumeraty na drugie półrocze roku trzynastego pisma niniejszego.

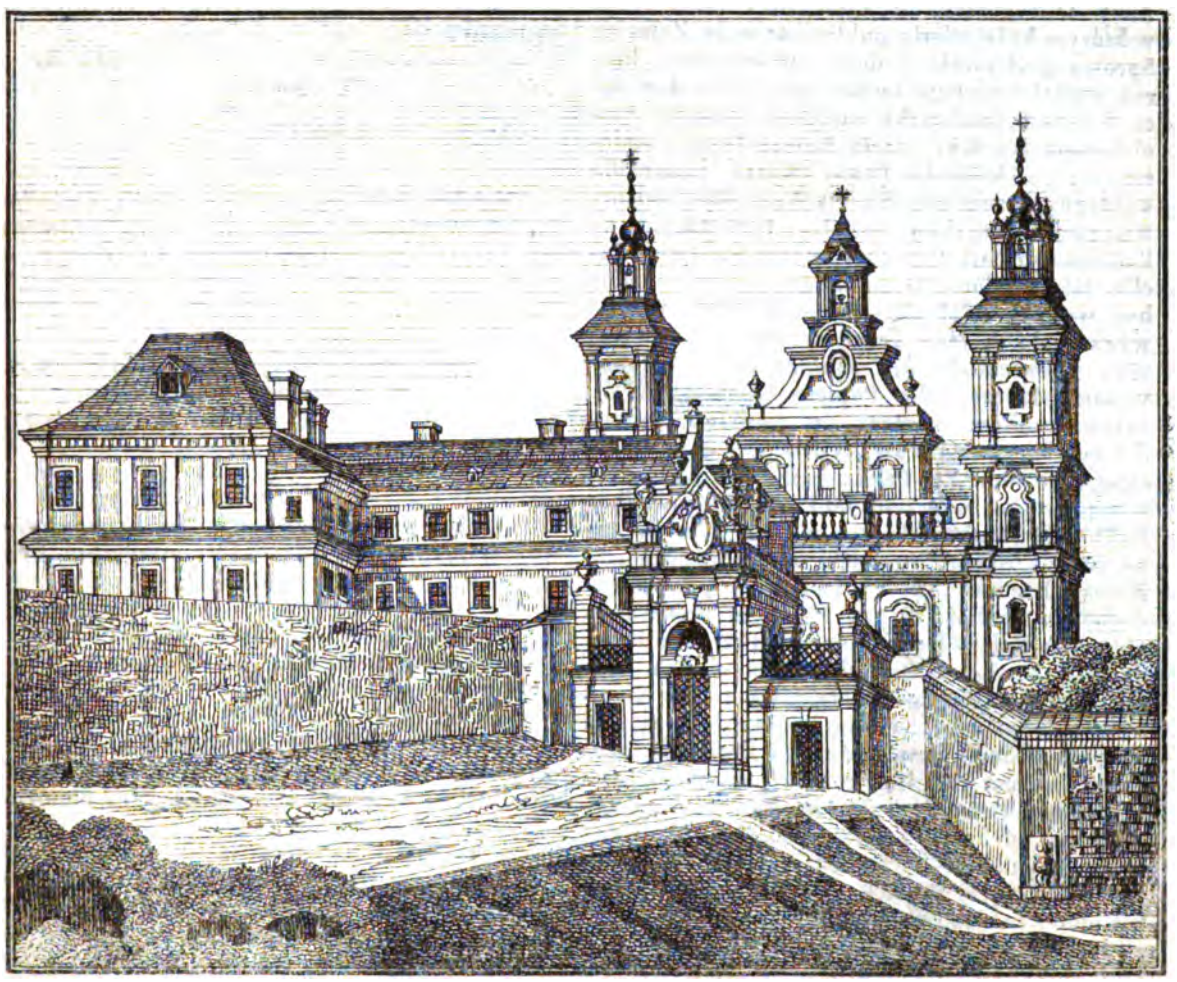

Kościół Panny Maryi w Jarosławiu, fundowany r. 1654., przerysowany na miejscu w Październiku 1845.

Kościół Panny Maryi w Jarosławiu.

„Słynął od dawna za miastem Jarosławiem „cudami Najświętszéj Panny Maryi bolesnéj po„sąg wyrobiony z drzewa, a który niegdyś na „temże miejscu, gdzie dziś jest na drzewie gru„szkowém, wśród lasu, w którym pastuszki by„dło paśli, ukazał się. Wzrastająca sława cu„dów zagrzała pobożność Księżnéj Anny Ostrog„skiéj, do nowych funduszów. W miejscu, gdzie „dotąd mały tylko był kościółek, wspaniały „z muru wystawiła kościół, i przy nim Jezui„tów, skłonionych do przyjęcia domu, i zna„cznych w dobrach dochodów, chęcią pomno„żenia czci boskiéj, osadziła.“ — Taką wiadomość podaje Ksiądz Franciszek Siarczyński, o początku budowli, w załączonym rysunku wyobrażonéj. Utrzymywali tu Księża Jezuici Nowicyat; mieli zaś w pośrodku miasta Jarosławia drugi kościół i gmach wspaniały, kollegium Świętego Jana zwany, przez Jana de Sternberg Kostkę, Wojewodę sandomierskiego, i Zofią ze Sprowy Kostczynę, rodziców Księżnéj Anny Ostrogskiéj, w roku 1571 fundowany, w którym były szkoły publiczne; a że Zofia ze Sprowy pochodziła z domu Odrowążów, któren wydał Świętego Jacka, gdy także dom ojca Księżnéj fundatorki zasłynął Świętym Stanisławem Kostką, przeto Księża Jezuici umieściwszy w kościele Panny Maryi ółtarz dla każdego, razem obu Świętych, i obie rodziny Księżnéj Ostrogskiéj, uczcili. Gdy później po kanonizacyi Świętego Jana, obraz Świętego Jacka, jak wiadomo Dominikana, z ołtarza miał być wyjęty, miał się temu sprzeciwić, wymówiwszy do Księży Jezuitów następujące słowa: *Exspectabo hic fratres meos.* Jakoż w saméj rzeczy bulla Papieża Klemensa XIV., zakon Jezuitów znosząca, w Jarosławiu przez delegowanego ze Lwowa Księdza Kanonika Pruskiego na dniu 21. Października 1773 r. ogłoszoną została. Gdy więc od Panny Maryi Ksiądz Rektor Bystrzanowski, ą z kollegium Ś. Jana Ksiądz Rektor Stadnicki ze Zgromadzeniem Księży Jezuitów, usuniętymi zostali, wprowadzono do kościoła Panny Maryi w uroczystym obrzędzie Księży Dominikanów z Przeorem Księdzem Prohaską, z Bochni sprowadzonych, którzy obecnie tym kościołem zawiadują. Na utrzymanie gmachu, i znajdujących się w nim czterech Księży Dominikanów z Przeorem, wypłaca fundusz religijny roczną pensyę po cztery tysiące Reńskich. Dobra Pawłosiów, kościołowi odebrane i sprzedane, już od dawna są w ręku osób świeckich. Obok klasztoru jest w okrągłéj kaplicy głęboka studnia, któréj obfite źródło zdrową wodą pokrzepia lud, zwłaszcza w czasie odpustów, gromadnie z okolic przybywający. Mimo, że klasztór przez długi czas na szpital wojskowy był obrócony, nie zatarły się dotąd w malowaniach kurytarza al fresco wyobrażenia fundatorek: Zofii ze Sprowy z Odrowążów Kostczyny, córki jéj Anny, Księżnéj Ostrogskiéj, i z niéj pochodzących wnuczek: Zofii na Wiśniczu Księżnéj Lubomirskiéj, i Anny Alojzyi Chodkiewiczowéj. Olejny obraz téj ostatniéj, dotąd w refektarzu przechowany. Cokolwiek uszkodzone fresco Katarzyny z Kostków Sieniawskiéj, W. Hetmana Sieniawskiego małżonki, i Jakóba Sobieskiego, nakoniec Jana III. i Jana Kazimierza, Królów polskich, którzy przywiléj téj fundacyi zatwierdzili. — Znajduje się jeszcze w tym kurytarzu al fresco obraz Księdza Biskupa Przemyskiego, Andrzeja Aleksandra Fredry, którego nakładem, sto tysięcy w złocie, kościół miedzią został pokryty. Przypomina fundatora herb (złocisty Jednorożec) z literami: *A. A. F. E. P.* (Andreas Aleksander Fredro, Episcopus Praemisliensis), u wieży kościelnéj pod signaturką umieszczony; z okna téj saméj wieżycy wychyla się w czasie pogody, a chowa przed słotą mnich, jako barometer ustawiony, od studentów gościńcem do szkół lub ze szkół przemyskich przejeżdżających, z ciekawością uważany.

L. K.

Napisy tamże będące:

1.

Sophia Odrowąxia Kostczyna, Palatina Sandomiriensis, fundatrix ad S. Joannem A. D. 1572. Annae Ducis in Ostrog, et Catharinae Sieniawska mater honorifica.

2.

Anna Aloüsia Chodkiewicz, Palatina .... Annae ducis in Ostrog filia, litterarum et pietatis mater, Collegiorum Ostrogiensis et Jaroslaviensis fundatrix.

3.

Joannes Casimirus Rex inilia fundationis clementissime probavit, expertus protectricem in Campis Mariam.

4.

Jacobus Sobieski.

5.

Joannes III. rex, munimenta bonorum subscripta, manu felicissimi patris Jacobi Sobieski, gratiose probavit, munitus victoriis.

6.

Alexander Andreas Fredro, episcopus praemisliensis, ecclesiarum gloria paterque de suo patrimonio Cathedralem ornavit digne Deo-Brzozoviensem (*) coelo infert

---

(*) Brzozów, w Sanockim, miasteczko należące do

splendide — Campestrem Jaroslaviae (In campo Mariano) milibus Centum in Auro contegit. — Sicuti unicornus cum D. Jesu exaltabitur cornu ejus!

Geologiczny rys brzegów Warty, podług Pana Puscha.

Geologia w kraju naszym w wielkiém pozostaje zaniedbaniu; powodem tego jest zniesienie szkoły górniczéj, którą Staszyc był założył. Nie mają ziomkowie nasi gdzie się kształcić na górników i hutników, a kraj nasz, celujący nad inne nieprzebranemi skarbami węgla, rudy i galmanu, nie produkuje jak nader mało żelaza i cynku. Jedyna produkcya soli w kwitnącym jest stanie.

Obecnie geologia naszego kraju trzech ma reprezentantów: Pana Puscha z Warszawy, Pana Zeusznera z Krakowa i Pana Łabędzkiego. Ostatni więcéj jeszcze się trudni hutnictwem, niż górnictwem. Pana Puscha opis całéj Polski wraz z mapą wyszedł przed 10 laty w Berlinie, w języku niemieckim. W Sławianinie ogłosił był poprzednio krótki zarys swych poszukiwań nad naszym krajem (*). Zeusznera geologia, oraz Opis Tatrów, ogłoszonemi być mają. Górnictwo polskie Łabędzkiego słusznie zajęło polską publiczność, nie tylko naturalistów, lecz i historyków. Teraz bezimienny wydał bardzo zajmujące *Badania* w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, w królestwie polskiém na Wołyniu i Podolu z mapą geognostyczną. W rękopisie pozostała geologia Pana Dumejki wraz z wielką mapą; uczony ten geolog poświęcił teraz długo-letnie prace Ameryce południowéj; spodziewać się po nim należy, że pobyt swój w tamtych stronach, tak ciekawych dla badacza natury, opisać nie omieszka. Rosta rozprawy umieściła Biblioteka warszawska, lecz nie obudzi się życie naukowe, pókąd szkoła górnicza przywróconą nie zostanie. Karpaty przedstawiają niezmierne bogactwa, lecz brak im hutników; podobnież i na Litwie i na Wołyniu wielkie są pokłady rudy łącznéj, dotąd wcale nie używanéj. Jak znajomości geologiczne są potrzebne, widzimy z owego procesu, jaki niedawno w księstwie poznańskiém wytoczono znacznemu dziedzicowi o *węgiel brunatny*, u niego odkryty. Cudzoziemiec chciał ten skarb jako swój zabrać, gdy tymczasem przed dwudziestu kilku laty Nadradzca górniczy, Pan Mielęcki, o tych pokładach zdał raport Panu Puschowi, który je w Opisie Polski umieścił.

Co do księstwa poznańskiego, życzyćby wypadało, aby szczegółowy opis geologiczny był wydany z wykazem dokładnym okolic okrytych skałami napływowemi (blocs erratiques) pokładów węgla brunatnego, torfu, wapna, gipsu, glinki ogniotrwałéj, marmuru, etc. Praca takowa wieluby była przydatną, dla obeznania się z tą częścią naszego kraju, o któréj dzieła geologiczne tak szczupłe zawierają wiadomości.

Załączam rysunek rejonu Warty aż pod Kalisz, wyjęty z dzieła Pana Puscha.

† †

Biskupstwa przemyskiego, zwykłe letne mieszkanie Biskupów.

(*) Wydał przytém Pan Pusch Paleontologią polską, czyli: Zbiór skamieniałości krajowi naszemu właściwych.

Kościół i klasztór Panien Benedyktynek w Jarosławiu.

Jan ze Szternbergu Kostka, Wojewoda sandomierski, Pan światły i kochany, a w roku 1575 jako Kandydat do tronu polskiego od rodaków przedstawiany, i Zofia, Stanisława ze Sprowy Odrowąża, Wojewody ruskiego, córka, byli rodzicami Anny, Aleksandra Księcia na Ostrogu, Wojewody wołyńskiego, małżonki.

Ta tedy Anna Księżna Ostrogska, ze Szternbergu Kostczanka, przedstawioną na rysunku budowlę kościoła i klasztoru Zakonnic Benedyktynek w Jarosławiu, przez matkę rozpoczętą, do skutku przywiodła, Zakonnice z Chełmna tutaj sprowadziła, w dochody i wszelkie potrzeby opatrzyła, a nawet sama w pośród nich, jako uprzejma gospodyni i siostra niejaki czas spędziła. — Trzy Kostczanki, jedna po drugiéj, Ksieniami Benedyktynek Jarosławskich były. — Druga Ksieni Kostczanka, była córką Starosty Kościerzyńskiego, z Pileckiéj urodzoną. — Klasztór Benedyktynek Jarosławskich słynął jako Zakład wychowania Panienek, które okoliczna szlachta i uboższi rodzice tutaj na naukę odwozili. — Dopiero za Cesarza Józefa szkoła i Zgromadzenie Zakonnic zniesione, a budynki na skład mundurów wojskowych obrócone. — Summy klasztorne Fiskus, jako zastępca religijnego funduszu, z prywatnych hypotek w obligacye rządowe do tych czas przeprowadza. — Cały ten budynek z obszernym dziedzińcem, basztami i wysokim murem, na spadzistości góry nawet podwójnym, do koła otoczony, stoi za miastem, nad rzeką Sanem. — Widok z tych murów na szerokie równiny jest cudnie piękny. — I nawzajem wieże, na wzgórzu wzniesione, z daleka wyglądają wspaniale. — Nad drzwiami kościoła świadczy o dawném przeznaczeniu marmurowa tablica z napisem:

D. O. M.
Divis tutellaribus
Nicolao Martiri
et Stanislao
Anna
de Sternberg
De fonte Kostkarum,

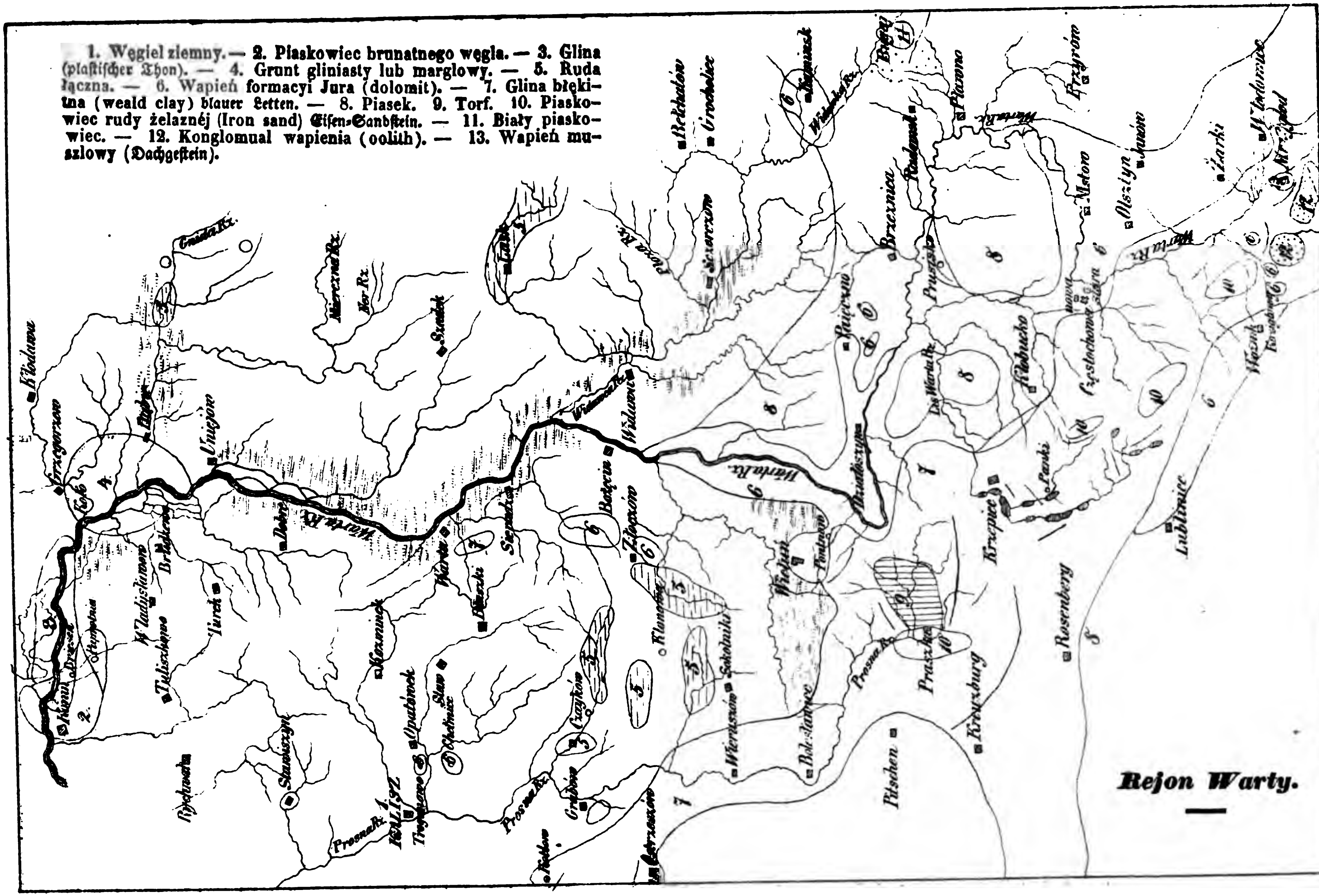
1. Węgiel ziemny. — 2. Piaskowiec brunatnego węgla. — 3. Glina (plastischer Thon). — 4. Grunt gliniasty lub marglowy. — 5. Ruda łączna. — 6. Wapień formacyi Jura (dolomit). — 7. Glina błękitna (weald clay) blauer Letten. — 8. Piasek. 9. Torf. 10. Piaskowiec rudy żelaznéj (Iron sand) Eisen-Sandstein. — 11. Biały piaskowiec. — 12. Konglomual wapienia (oolith). — 13. Wapień muszlowy (Dachgestein).
Rejon Warty.
Kłodawa
Grzegorzew
Koło
Uniejów
Turek
Tuliszkowo
Władysławow
Stawiszyn
KALISZ
Opatówek
Warta Rx.
Warta
Dobra
Szadek
Sieradz
Złoczów
Bałęcin
Widawa
Wieruszów
Sokolniki
Wieluń
Bolesławiec
Działoszyn
Pajęczno
Brzeznica
Radomsk
Bełchatów
Grocholice
Kaminsk
Pitschen
Praszka
Kreuzburg
Krzepice
Rosenberg
Lubliniec
Kłobucko
Częstochowa
Mstow
Olsztyn
Janów
Żarki
Przyrów
Pławno
Prosna Rx.
Ner Rx.

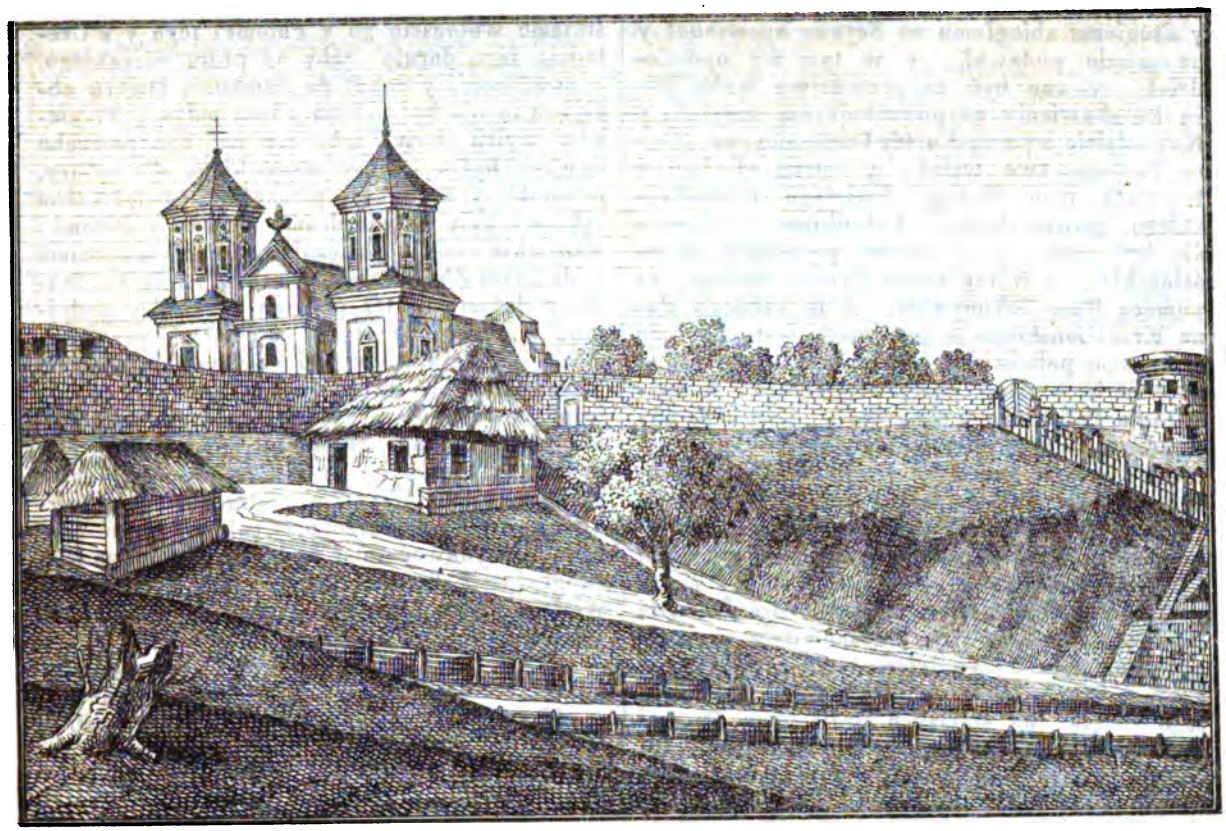

Kościół i klasztór Panien Benedyktynek w Jarosławiu, teraz skład Komissyi wojskowéj; rysowany w Wrześniu 1845.

Ducissa Ostrogiae,
Palatina Volhynensis.
Anno
A partu D. MDCXXI.

Stanislao Crac. Martiri
aedem hanc aeternam.

L. K.

Przywiléy na Kościół Kalwiński w Lesznie.

W Imię Boga Oyca, Syna, y Ducha Świętego, w Tróycy Świętey iedynego. Amen.

Ja Raphael z Leszna, Kasztellan Śrzemski, Pan y Dziedzic Państwa Leszczyńskiego, Gołanieckiego y Gołuchowskiego. Znaiąc y uważaiąc Słowa Boże w Psalmie świętym opisane, gdzie nam wszystkim Duch Pański iawnie mówi y nas upomina: Otwórzcie Xiążęta bramy wasze, aby wszedł Król chwały. A Pan Zbawiciel nasz Jezus Chrystus uczy nas porządku tego, mówiąc: Naprzód szukaycie Królestwa Bożego, a Sprawiedliwośći iego, a insze rzeczy wam snadnie przypadać będą, etc. A wiedząc to, iż nie żadne Decreta Cesarskie, Królewskie, Papieskie etc., ale Słowo miłego Pana Boga trwać będzie na wieki. Czuiąc śię w powinnośći swoiey Krześćiańskiey, iżem powinien na tym Świećie Rycerzem Krześćiańskim być, w pobożnośći y uczćiwośći żywiąc, o chwałę Bożą, o naukę szczyrą wedle Słowa Bożego, sam przez śię y przez wierne Sługi Boże, a Kaznodzieie Krześćiańskie, o to śię starać, aby Ewangelia Święta kazana y przepowiadana Ludziom była. Oznaymuię tym swym Listem wszystkim w obec, y każdemu z osobna, komu tego wiedzieć potrzeba: Iżem ia probuiąc Duchów wedle Słowa Pańskiego, y przypatruiąc śię owocom, z których kazał poznawać Proroki y Nauczyćiele, między tak wielkośćią różnych nauk, nie upatrzyłem szczyrszey, porządnieyszey, stalszey, pobożnieyszey, w przykładzie y w nauce uczćiwszey, a Kościołowi dawnemu Krześćiańskiemu równey, iako między Braćią Confessiey Waldeńskiey, która między Czechy przed okrućieństwem a tyrańskwem arcysurowym y ślepym Światem taiła śię, iakożem to śmiele za wspomożeniem Bożym, nie tylko privatim, ale y publice na Seymie Królowi przeszłemu Polskiemu Zygmuntowi Augustowi y Radzie J. K. M.

y drugiemu zbiegłemu na Seymie opowiadał y na piśmie podawał, y w tym się opowiedział, y onę być za prawdziwą wolą Bożą ku zbawieniu naypotrzebnieyszą przyiął, y Kaznodzieie z porządku téy Confessiey za wierne Pasterze swe wziął, y onych słuchać y Kościoła tego Bożego Świętego Krześćiańskiego powszechniego Członkiem powinnym się być znam, y w wierze pospolitéy Krześćiańskiéy, a w tey nauce Żywota moiego, za pomocą Bożą dokonywam. A iż każdego Pana Krześćiańskiego ta powinność iest, aby nie tylko sam pobożnie y uczćiwie żył, ale też tę powinność według powstania swego, a rozkazania Pańskiego wykonywał. Naprzód, aby poddane swe od wszelakiego bałwochwalstwa zwierzchnością swą iako stróż, według rozkazania oboiéy Tablice Bożéy odwodził.

„Potym sprawiedliwość między nimi y uspokoienie czynił. I temu onych iako owieczek od Nieprzyiaciół, tak dusznych, iako y ćielesnych, postronnych y domowych, bronił. Dla tego starałem się o tym, postanowiłem y postanawiam, tym Przywileiem tego potwierdzam, żeby ci Kaznodzieie za Bożą wolą y pomocą iego świętą, od starszych Braći téyże Confessiey Czeskiéy za Pasterze do Kościoła Leszczyńskiego perpetuis temporibus porządnie poddawani, (iako y Praeceptorowie albo Mistrzowie do szkoły Leszczyńskiéy) byli, Słowo Boże kazali, Sakramenty świętymi, krztem Ś. y wieczerzą Pana Krystusową, wiernym, godnym, posłusznym, zgotowanym Ludziom służyli, zachowywuiąc dyscyplinę Kościelną, a Regiment dobry w Kościele, według słowa Bożego postanowili y trzymali, a Ludzie wszyscy aby ich słuchali, a służeb Świętych używali, a powinne pożywienie, od starodawna postanowione, teraźnieyszemu Xiędzu Franciszkowi, tak y iego Successorom, od Braći starszych posłanym, a podanym do tego Kościoła Leszczyńskiego, żeby wydawali; któremu Plebanią, w któréy teraz mieszka, y z ogrodem przy niéy, y rolą wszystkę, y z łąkami od starodawna należącymi, oddawam.

A uważaiąc też poważność y zezwolenie starożytnego ieszcze od Apostołów Zwyczaiu, warniąc się grzechu y karania Ananiaszowego y Żony iego Zefiry, o czym mamy w Akćiech Apostolskich w piątym rozdziale; tedy te wszystkie pożytki, które z Miasteczka Leszna y ze Wsi Plebanowi przedeszłemu y iemu dawane były, choć dziesięciny abo sute Zboże y grosze z domu każdego, iako od starodawna było, postanowiłem a postanawiam, aby to wszystko było wydawano. Item z Folwarku moiego aby też ku pożywieniu iego wydawane było, y od Potomków albo Urzędników: dziesięć kóp żyta, cztery kopy pszenice, pięć kop owsa, iednę kopę ięczmienia, kopę grochu, to z miłości Krześćiańskiey postanawiam. A ku temu wszystkiemu wolnością go y Potomki iego y z Czeladzią iego daruię, żeby od płatu mieyskiego, y powinnośći y robót do Zamku, y Dworu obćiężowan nie był. Item z lasu mego y Potomków moich drew, żeby mu na iego potrzebę dawano było. Czego wszystkiego dla wiary, pewności y trwałości pieczęćią y podpisaniem ręki własnéy potwierdzam, a Syny y Potomki wszystkie moie obowięzuię, pod ich sumieniem y dusznym Zbawieniem, a cnoćie ich Krześćiańskiey dufam, że też pod ten Przywiley podpiszą, a pieczęć przyłożą, a choć nie przyłożą, y nie podpiszą, tedy pod dusznym zatraceniem obowięzuię, aby to wszystko darowanie a moie postanowienie w całości zachowali, tego Nabożeństwa Ewangelickiego nie odmieniali, y Ministry tey Confessiey Braći Czechów, od Seniorów podanych, przy tym opatrzeniu zaniechali: a onym to, co naznaczono, wcale wydawać rozkażą y wydawać sami będą, za co im Pan Bóg błogosławić będzie raczył. Dan w Gołuchowie, w dzień świętego Marcella, Roku Pańskiego 1580.

Raphael Leszczyński,
K. S. Starosta Radz.
(L. S.) ppm.

Jan Leszczyński,
Radz. St.

Andreas Leszczyński,
Woiewoda Brzeski, 1601
d. 21. Jan.

Bogusław na Lesznie
Leszczyński, Woiewodzic Bełski.

Rafał Leszczyński,
z Leszna, Woiewoda
Bełski.
ppm.

Przywiléy na Szkołę Kalwińską w Lesznie.

Raphał Leszczyński na Lesznie, Woiewoda Bełski.

Oznaymuię, komu to wiedzieć należy, iż życząc tego, aby chwała Boża, która tych teraźnieyszych ostatecznych czasów, a zwłaszcza u nas w Polsce, znacznie nisczeie, incrementum iakiekolwiek wziąć mogła, y młodź szlachecka prawowiernego Ewangelickiego Nabożeństwa przystoynie, w boiaźni Bożey y Woli Jego świętey, tudziesz y w Naukach wyzwolonych, na chwałę Bożą wyćwiczona była. Przeto przykładem Przodków moich Szkołę w Miasteczku moim dziedzicznym Lesznie, z dawna od Przodków moich ku temu celowi założoną; lecz per iniquitatem temporis zniszczoną, iako prędko te dobra y miasteczko pomienione w possessyą moią dostały się, restaurowałem y Praeceptory, Ludzie godne ćwiczenia téy Młodzi, za zdaniem Braći starszych Confessyi Czeskiey, czterech na-

znaczyłem y naznaczam, a mianowićie Reverendos et Doctos Viros Joannem Rybiński za Rectora y Moderatora pierwszego tey Szkoły, Michaelem Henrici za Con-Rectora, Davidem Ursinum za Coadiutora, et Joannem Decanum za Cantora téyże Szkoły podawam, którzy, pewienem, że omnem navabunt operam, aby powinności swoiéy dosyć czynili, sumieniu y vocatii swoiéy w téy mierze dogadzaiąc. A ia za ich podięte prace te im niżéy opisane Salaria naznaczam annuatim.

Naprzód Xiędzu Rectorowi na Rok Czterysta, Conrektora pomienionego podług osobney z nim umowy uczynioney, iż oraz iest y prywatnym Pedagogiem, Syna mego y Pana Dorchostayskiego, de proprio szkolnych pieniędzy nieruchaiąc, contentować będę. Xiędzu Ursynowi, który też ma być Aconomem u tychże, Syna mego i Pana Dorchostayskiego, y Stół móy wolny z żoną i czeladzią swoią mieć, naznaczam na Rok Sto dwadzieśćia złotych z szkolnych pieniędzy.

Panu Cantorowi Sto pięćdziesiąt złotych, a żeby ich to zawzdy nieomylnie dochodziło, rozkazałem pieniądze niżéy opisane: Naprzód śiedm tyśięcy złotych za rolę szkolną y Łąki do niéy należące złotych ośmset. Od Xiędza Jakoba przychodzące złotych sto sześćdziesiąt. Od Szołtysa Granowskiego złotych trzysta. Od Puszkarza dziewięćdziesiąt złotych. Za role różne mnie winne pięć set pięćdziesiąt złotych, od Zony moiéy na tę Szkołę naznaczone. Namiestnikowi moiemu, Mieszczanom Leszczyńskim dobrze ośiadłym, lub Kmiećiom w Maiętności moiey sparsim pieniędzy tych użyczyć, aby annuatim Interessu po dziesiąćiu złotych od Sta, do rąk Starszych szkolnych za wiadomośćią Namiestnika mego, y Xiędza Marćina Gratiana, połowicę Interessu na Ś. Michał, a połowicę na Ś. Woyćiech oddawali, z którychby Panu Rectorowi y Collegom iego dwiema zwyż mianowanym sposobem Salaria płaćić śię mogły. A co nad te Salaria zostanie, in dispositione albo w schowaniu Starszych szkolnych zostawać ma. To iednak postanowienie, tylko do większego Studentów zgromadzenia, y dalszéy moiéy dispositiéy uczyniłem. Które, ieśli Pan Bóg pobłogosławi, chwale Bożey in hoc casu nie będę chćiał deesse. Na co śię dla lepszey wiary y pewnośći ręką swą własną podpisawszy, pieczęć moię przyćisnąć rozkazałem.

W Baranowie, Roku Pańskiego MDCXXVI, Mieśiąca Września, dwudziestego ósmego dnia.

R. L. z Leszna, W. B. ppm. (L. S.)

Wiadomości literackie.

W ostatnich czasach wyszły następujące dzieła:

W Wiedniu:

Chorał Gregoryański, rytualny, historycznie objaśniony i na teraźniejsze nóty przełożony, dla użytku chórów kościelnych, z akomp. organu lub fortepianu przez X. Jana Jarmusiewicza.

W Wilnie:

Rozmyślania Ewangelii, rozdzielone na wszystkie dni roku, idąc za zgodnością czterech Ewangelistów. Wraz z wiadomością o życiu Księdza Dziekana, przełożone na język polski przez J. Szymanowskiego. 5 tomów.

Zabawy naukowe, czyli sposób uprzyjemnienia nabycia nauk przez T. Hausmana.

Obrazy Litewskie przez Ignacego Chodźkę. Serya czwarta, 2 tomy. Tom I.: Jubileusz. Duch opiekuńczy. Tom II.: Autor światem. Panna respektowa. Tajemnicze Domino, czyli skutki niestałości. Romans satyryczno-obyczajowy, przez Gabryela Ossowskiego.

Wspomnienia Odessy, Irdyssanu i Budzaku, J. J. Kraszewskiego. 3 tomy.

Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów, skreślona przez Ludwika z Pokiwa (Jucewicza).

Dramata i komedye mniejsze Józefa Korzeniowskiego. 2 tomy. W Iszym, Piąty akt: Zakład. Panna Katarzyna w długach. Stacya pocztowa. W IIgim: Pani Kasztelanowa. Fabrykant. Doktor medycyny. Pośredniczka.

Dzieciątko Jezus. Opowiadanie Ks. Hołowińskiego. O tym poemacie religijnym wyszły w Bibliotece Warszawskiéj w miesiącu Lipcu dwie zupełnie różne krytyki. Jedna, napisana przez K. W., wytyka bardzo wiele błędów; druga, przez J. J. Kraszewskiego, wynosi tę pracę tak, że ją do najlepszych płodów naszéj literatury policza.

W Warszawie:

Wypisy polskie dla użytku uczniów klassy pierwszéj przez T. Dziekońskiego.

Historya narodu i państwa Rzymskiego, podług źródeł i nowszych badań, napisana przez Jana Szwajnicę.

Pierwotne dzieje Polski i Litwy, zewnętrzne i wewnętrzne, z uwagą na ościenne kraje, a mianowicie na Ruś, Węgry, Czechy i Niemcy, wyłożył i z dorobioną do nich chronologiczną mapą wydał Wacław Aleksander Maciejowski.

Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława IIIgo, przez Ł. (ukasza) Gołębiowskiego, b. czynnego członka i sekretarza b. Towarzystwa królewskiego warszawskiego Przyjaciół nauk. Tom I.: Panowanie Władysława Jagiełły.

Historya Literatury Polskiéj w zarysach K. Wł. Wójcickiego, tom IVty.

Jerozolima wyzwolona Torkwata Tassa, przekład Ludwika Kamińskiego. 2 tomy.

Mappografia dawnéj Polski, przez Edwarda Barona Rastawieckiego.

Pedagogika, czyli: Nauka wychowania, ułożona przez Teodora Sierocińskiego, Professora języka polskiego, literatury i pedagogiki w instytucie Aleksandryńskim.

Pamiątka dla Eryszka przez Stanisława Jachowicza. 2 tomiki z rycinią.

Pamiętniki do panowania Zygmunta III., Władysława IV. i Jana Kazimierza, z rękopisu, wydał K. Wł. Wójcicki. Tom I.

Rudolf Czekanowski, czyli: Dwie Tatarki. Powieść z początku ośmnastego wieku, napisał J. Bohdanowicz. 3 tomy.

Zbiór wszystkich umiejętności, dla młodocianego wieku niezbędnych, przez autora Nowéj Metody, po polsku i po francusku. T. I. (Bóg. Ziemia. Człowiek. Historya naturalna. Geografia. Astronomia. Fizyka. Gramatyka. Arytmetyka. Siedm cudów świata.) Z 6. rycinami kolorowemi.

Niektóre poemata Lorda Bajrona z oryginału przełożył Antoni Zawadzki.

№ 151.

Michrów pod Tarczynem.

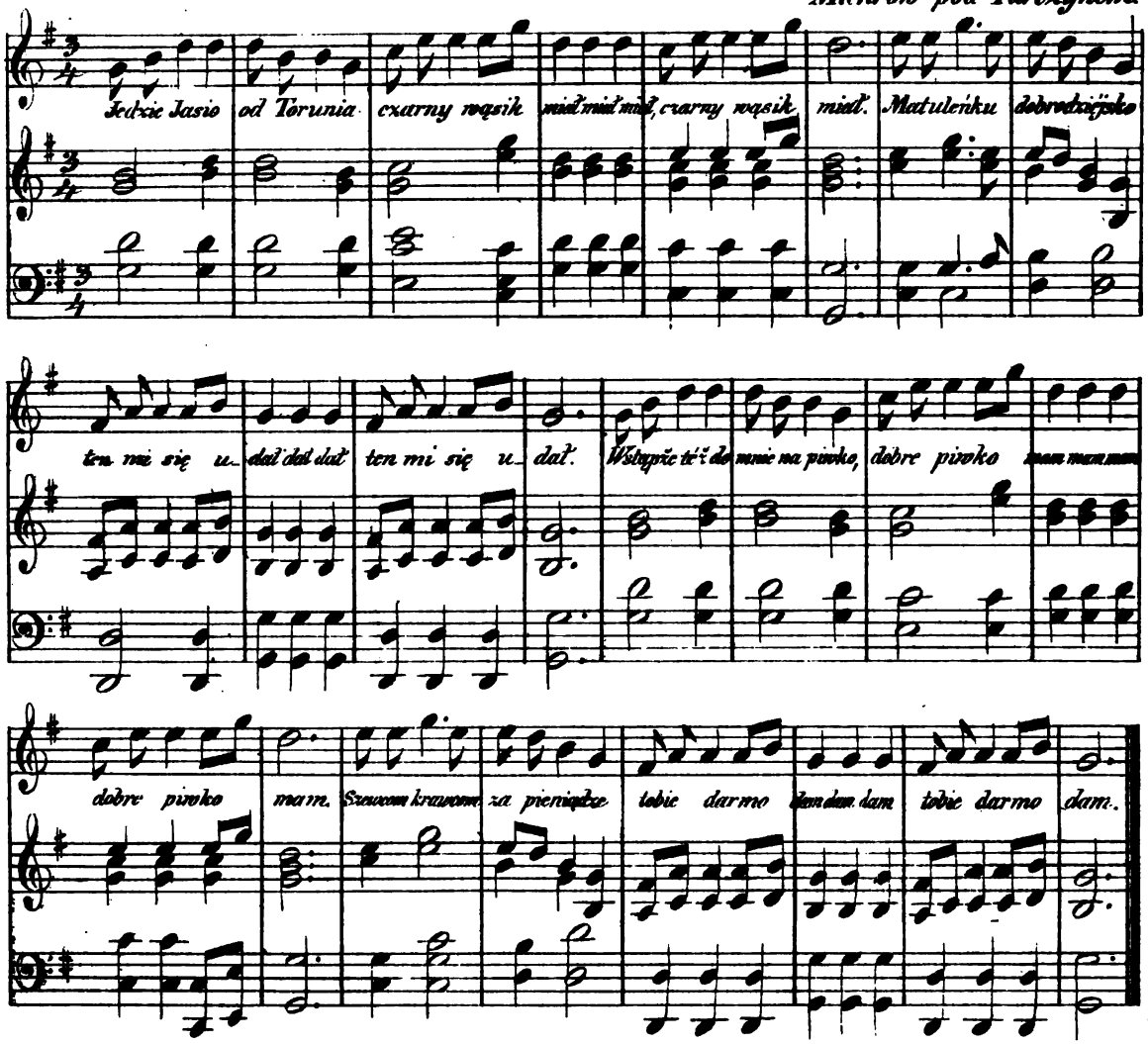

Text do *Nru. 151.*

Jedzie Jasio od Torunia, czarny wąsik miał.
Matuleńku dobrodziéjko ten mi się udał (*),
„Wstąpże téż do mnie na piwko, dobre piwko mam,
Szewcom, krawcom za pieniądze, tobie darmo dam.“
Skoczył z konia nieuważnie, wywinął nogę,
„Nieszczęśliwe zawołanie, chodzić nie mogę.

(*) *udał — podobał.*

Jedźże Kasiu po doktora, albo po pana,
Jeśli doktór nie przyjedzie, to przyjedź sama;
Połóżże mi poduszeczkę w nowéj komorze,
Potém powiedz grzeczne słówko, to mi pomoże.“
„Po doktora się nie wzbraniam, — gadać nie mogę,
Boby ci się ogień wezmógł w tę chorą nogę.“

(Patrz Nr. 122 i 123, melodyą do Nr. III., oraz *J. J. Lipiński*, P. 1. W. str. 84.

Przy końcu pierwszego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na drugie półrocze roku trzynastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów. ***Ernest Günther*, wydawca.**

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

PRZYJACIEL LUDU,

czyli:

Tygodnik
potrzebnych i pożytecznych wiadomości.

Rok trzynasty.

Tom II. Nr. 27—52.

W Lesznie. 1846.

Nakładem i czcionkami *Ernesta Günthera.*

Spis artykułów

w tém czasopismie zawartych.

*Artykuły oznaczone * mają dodane ryciny.*

	Strona
Abbé de l'Epée * . . .	226.
Dobrodzieniak. Podanie szląskie .	412.
Doniesienie o śmierci Dra. Karóla Marcinkowskiego	289.
Dzieciątko Jezus * . . .	362.
Georama *	211.
Gościnność Jana Tarnowskiego *	310.
Jan Lipski *	242.
Karykatury na wyścigi konne * .	267.
Kiedy kopalnie wielickie i bocheńskie odkryto?	354.
Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie	326. 330.
Ksiądz Franciszek Ksawery z Abgaro Zacharyasiewicz, Biskup przemyski obrz. łać., Jego c. k. Mości rzeczywisty tajny Radzca, Dr. teologii, Dyrektor wydziału zakładu teologicznego w Przemyślu, etc. *	251.
Litwa pod względem starożytnych zabytków obyczajów i zwyczajów .	267. 274.
Martin, malarz angielski * . .	321.
Naczynia kościelne * . . .	260.
Objaśnienia kilku numizmatów polskich *	314.
Oświęcim *	234.
Pani Dziubińska	294.
Panowanie Zygmunta I. * . .	210.
Pestalozzi * . .	218. 226. 234. 242. 250. 258. 266. 273.
Podlasianie * . . .	246. 254.
Podróż z Teb do półwyspu Sinai *	370. 377. 386. 394. 402.
Pomniki do dziejów litewskich, zebrane przez Teodora Narbutta; z ryciną i facsimile; w Wilnie 1846 *	281.
Pomysł, jakby pamięć Dra. Marcinkowskiego uwiecznić można .	338.
Portret Donny Maryi Ludwiki Ferdynandy, infantki hiszpańskiéj, i Antoniego Maryi Józefa Ludwika d'Orleans, księcia Montpensier . .	325.
Posąg Cesarza Franciszka w Wiedniu przez Pompeo Marchesi * . .	231.
Przemysław i jego żona Ludgarda *	330.
Przepowiednia mistrza Piotra Turellego, filozofa i astrologa . .	307.
Przewóz przy Kazimierzu lubelskim, legenda . . 333. 340. 348.	356.
Rękodzielnia gobelinów * . .	338.
Rewolucya grecka, zaszła dnia 15. Września 1843. . . . 300. 310.	316.
Rys życia Jędrzeja, świętego państwa rzymskiego Hrabiego Cetnera * .	222.
Sermo nuptialis copulae. (Wyjątek z dawnego rękopisma.) . .	414.
Spekulant Józefa Korzeniowskiego	276.
Szklanny człowiek . 284. 292.	298.
Thorwaldsena muzeum w Kopenhadze i jego pracownia * . . .	298.
Tum koloński	212.
Uboga kuzynka . 364. 373. 380.	389. 398. 404. 410.

Strona

Uwagi nad Towarzystwem naukowéj pomocy W. ks. poznańskiego . 290.
Waltera Skotta pomnik w Edinburgu * 340.
Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra. Pietraszewskiego . . . 306. 322. 346. 358.
Ziemia spiska * . . . . . 346.
Zła macocha . . . . . 237.

WIERSZE ROZMAITE.

Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga . 216. 223. 232. 240. 248. 256. 264. 272. 280. 288. 304. 312. 320. 328. 336. 344. 352. 360. 368. 376. 384. 392. 400. 408. 416.
Do Czech . . . . . 416.
Do trupiéj czaszki . . . . . 283.
Dwa ustępy z „Dzieciątka Jezus“ . 371.
Głos nędzarza . . . . . 222.

Strona

Lech I., czyli: Założenie Gniézna . 228.
Leszek Drugi. . . . . 412.
Na zgon najgodniejszego Męża . 314.
Niech go Pan Bóg kocha . . 215.
O gdyby! . . . . . 220.
Słowiczek i wiosna . . . 352.
Z Bogiem . . . . . 215.

PRZYSŁOWIA.

271.

ANEKDOTA.

Mikołaj Wężyk i pewien starzec . 264.

NOWINY LITERACKIE.

215. 264. 271. 343.

Nr. 27. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 4. Lipca 1846.

Zygmunt I. — Georama. — Tum kolońki. — Wiersze: Z Bogiem. Niech go Pan Bóg kocha. — Wiadomości literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie o wyszłém popiersiu teraźniejszego Ojca świętego.

Zygmunt piérwszy,

czasem przezwany Zygmunt stary,
trzeci syn Kazimierza Jagiellończyka.

Panowanie Zygmunta Iᵍᵒ.

Zygmunt I., Książę litewski, a rządzca Szląska, po śmierci Aleksandra, brata swego, na tronie polskim zasiadł. Na królestwo był namaszczony w Krakowie, a sejm koronacyjny tamże nastąpił, na którym radził Król o podźwignieniu państwa i poratowaniu skarbu, przez niezmierną rozrzutność swego poprzednika wyniszczonego. Gliński, ten nieprzyjaciel swojéj ojczyzny, kłócąc się ciągle z Panami Litwy, a Jana Zabrzezińskiego, wielkiego szacunku człowieka, wyzuwszy z godności wojewódzkiéj, najechał go w domu własnym i zabił. Spodziewając się, jaka go kara czeka za morderstwo popełnione, zemknął w Moskwę i tam przytułek znalazł; dał mu bowiem Car wojsko, aby niém krainę polską niszczył i plądrował. Zygmunt dowiedziawszy się o tém, ruszył na obronę Mińska z dość znaczną siłą, który był od Glińskiego oblegany; Gliński posłyszawszy o przybyciu Króla, cofnął się od oblężenia ku Dnieprowi. Moskwa posłała jeszcze Glińskiemu 60,000 wojska w posiłek, lecz i ten przez Polaków zupełnie zniszczony i do saméj Moskwy był zapędzony. Car, posłyszawszy o porażce swojego wojska, prosił o pokój, który był pod tym warunkiem zawarty: aby Moskwa w Litwie zawojowane, a bardziéj jeszcze wydarte pooddawała zamki, Gliński za jawnego nieprzyjaciela kraju polskiego osądzony i wraz z stronnikami swymi z utratą dóbr z kraju był wywołany.

Nie ukończyli jeszcze jednéj Polacy z Moskwą zaczepki, a jużci Bohdan, Wojewoda wołoski, wtargnął na Pokucie, i kraj ten ogniem i mieczem pustoszył, a nawet o wzięcie samego Lwowa kilka razy zapędzał się.

Mikołaj Kamieniecki, pierwszy Hetman wielki, koronny, wpada z wojskiem do Wołoch i Bohdana zmusza do powrotu w kraj własny; obadwa wojska spotkały się na przeprawie Dniestru, a chociaż nieprzyjacielskie liczbą przenosiło, jednak odważny i rozumny Hetman umiał poskromić tę zgraję i do ucieczki zmusił. Z różnych stósunków Polska od południa potrzebowała wielkiéj baczności Króla, jakoż ten owoc wieloletnich prac Zygmunta, w drugiéj połowie panowania jego się okazał; Zygmunt umocowywał warownie Rusi czerwonéj, stepy ukraińskie napełniał ludem łatwym na prędce do orężnego ruchu. Prostota, prawość i szczere życzenie pokoju Zygmunta przekonały wreszcie sąsiadów, a nawet i Turków, że z Polską żyć w przyjaźni, a nie wojować potrzeba. Po różnych traktatach dokonał tego nareszcie Zygmunt, iż z potęgą Ottomańską, tak straszliwą podówczas dla całéj Europy, w roku 1533 zgodę i przyjaźń zawarł. Turcya Tatarów i Wołochy powściągała, panowania polskiego nad Wołoszczyzną nie zaprzeczała, handel na morzu Czarném był wolny; zaczém Ruś czerwona, Podole, Wołyń, szybko w ludność i gospodarstwo wzrastały i zakwitały. Tymczasem miał Zygmunt I. i nieprzyjaciół; Moskwa pod dowództwem Glińskiego wpadła do Litwy i Smoleńsk przez namowy i wybiegi tego zdrajcy ojczyzny opanowała. Choć ta przysługa była wielką dla Cara, jednakże na złe Glińskiemu wyszła: bo Car nie chciał dać mu od razu dowództwa i rządów w Smoleńsku, przeto Gliński szukał okazyi do pojednania się z Polską, a Car dowiedziawszy się o tém, kazał natychmiast wtrącić go do więzienia. Polacy pod komendą Księcia Ostrogskiego lubo porazili nieprzyjaciół powtórnie pod Orszą, atoli ztąd korzyść bardzo małą, a rzeczywiście żadnéj nie otrzymali, bo Smoleńsk przy Moskwie pozostał się.

Maksymilian, nie mogąc żadnym sposobem Polsce szkodzić, usiłował drogą układów z Jagiellonów korzystać. Ułożył więc zjazd walny w Wiedniu roku 1515, gdzie Królów: Zygmunta i Władysława zaprasza, chcąc dla siebie królestwo czeskie i węgierskie pozyskać przez małżeństwo, jako już był tym sposobem Burgundyi i Hiszpanii nabył. Stanęła więc ugoda między Maksymilianem a Królami polskim i węgierskim. Ludwik, syn Władysława, miał pojąć Maryą, wnuczkę cesarską, a Anna, siostra Ludwika, przyobiecana była Ferdynandowi, wnukowi Maksymiliana; Zygmuntowi zaś przyrzekł Cesarz, że Moskwę do pokoju skłoni, a mistrza Krzyżackiego do hołdu i do posłuszeństwa Polsce przywiedzie. Ale na tém bardzo grubo Polska się zawiodła, bo podczas wojny z Albertem, mistrzem Krzyżackim, Maksymilian złamał dane słowo i pod komendą sławnego wodza Schonberga Albertowi posiłki z Niemiec nadesłał. Albert uprzykrzywszy sobie nareszcie wojnę z Polską, prosił o pokój, który też od Zygmunta był otrzymał. W owych czasach, poróżniło się chrześciaństwo w zasadach religijnych i od Rzymu się odrywało. Najpierwsi w Polsce należeli byli Gdańszczanie, którzy poszli za nauką Lutra i niszczyli kościoły katolickie. Zygmunt pospieszył na ukaranie Gdańska, i skazał na śmierć 14 pryncypalnych dowódzców buntu, a innych na wygnanie z kraju, i różnemi uchwałami wstrzymywał szerzenie się nowości, przez coby spokojność publiczna naruszona być mogła. Ale te wszystkie zabiegi Zygmunta w niwecz się obróciły, bo w krótce nie tylko Gdańsk, ale i całe Prussy od Rzymu się oderwały. Zakon Krzyżacki toż samo uczynił, i wielki ich mistrz Albert chwycił się sekty Luterskiéj.

Zygmunt, wielki miłośnik pokoju i zgody, skłonił do tego i sąsiadów, stawał się przykładem dla mieszkańców Rzeczypospolitéj. W tymże czasie wywyższyła się bardzo szlachta w Polsce, która swoje interessa za sprawę ogólną

Państwa uważała. Ta szlachta podzielała się jeszcze na wyższą i niższą, t. j. na możniejszą i uboższą; te obie klassy były obowiązane bronić kraju od napaści nieprzyjaciół, a stan kmiecy był w zupełném poniżeniu, i w nagłym tylko razie musiał ruszać na wojnę. Mniejsza szlachta, łudzona obietnicami od wyższéj, dawała się jéj we wszystkiem powodować, tak, że możniejsi wszelkie uchwały dobre dla siebie na sejmach stanowili, nie zważając na innych braci. Sejmy odbywały się z zupełną izby poselskiéj przewagą, milczenie znaczyło zezwolenie, krzyk zaś i wrzawa powszechne nieukontentowanie i opór. Zygmunt chcąc wyjednać ciche zezwolenie, musiał groźbą lub datkiem owych deputowanych dla siebie jednać.

Z takiemi to i innemi trudnościami ciągle Król walczyć musiał, bo sejmowe obrady na niczém się kończyły, przezco czasowych ustaw wielka mnogość urosła, równająca się ustawom ze wszystkich poprzednich Królów. Chciał Zygmunt, aby jedna księga była prawem Polski i Litwy, lecz szlachta na to przystać nie chciała.

Nie brakowało podówczas Polsce na znamienitych mężach; najwięcéj się odznaczyli: Jan Firlej, Konstantyn Książę Ostrogski, Jan Sapieha, Mikołaj Kamieniecki, Przesław Lanckoroński, Jerzy Radziwiłł, Jan Świerczewski, Wojciech Sampoliński, Jan Tarnowski, Piotr Myszkowski; oraz w innym rodzaju usługi Rzeczypospolitéj: Krzysztof Szydłowiecki, Kasztelan krakowski i Kanclerz koronny, Samuel Maciejowski, Biskup krakowski, Jan Łaski, Kanclerz koronny, potém Arcybiskup; Piotr Tomicki, Podkanclerzy. Z pomocą tych mężów Zygmunt nabywał powagi, i wyjednał to, że jeszcze za życia syna jego małoletniego Zygmunta Augusta Królem uznano i koronacya jego nastąpiła 1530 roku.

Tymczasem poczynała na dworze wielkiéj wziętości nabywać Królowa Bona. Przywiozła ona z Włoch, nieznane na Polskiéj ziemi, przewrotności i niegodziwości; dawała otuchę ludziom podłym i złego charakteru, a władając Królem starym, młodego Króla wychowaniem się opiekując, do nierządnego i niewieściego życia go zachęcała. Tym więc sposobem złe coraz to bardziéj w Polsce się powiększało. Narzekano na postępki Króla, na wyniesienie za życia syna do tronu, na rozrzutność, na rozdawanie urzędów nieszlachcie przeciw prawu, na wiernych celników Królowi, na miasto i t. d. Na tych narzekaniach zrywały się sejmowe obrady wtedy, kiedy Rzeczpospolita opatrzenia granic wymagała.

Napadł na Pokucie podówczas Wojewoda Mołdawski, ale od Tarnowskiego został odparty. Potrzeba było jednak niespokojnego Wojewodę poskromić lepiéj, i wojenną wyprawę nań uczynić. Gdy jednak sejm zerwany w tym razie nic nie zrobił, wydał Król rozkaz na pospolite ruszenie. Stanęło wprawdzie pode Lwowem 150,000 szlachty, ale nie w oręż, lecz w papier uzbrojonych, chcąc znowu swe nieukontentowanie ponawiać. Po dwumiesięcznym nieładzie nic nie zrobili przeciw Mołdawii, gmin zaś zakłócony z ciężkim żalem do domów wracając, rozniósł odgłos Europę gorszącego poburzenia po całéj Rzeczypospolitéj, w któréj smutne to zdarzenie na wzgardę *wojną kokoszą* nazwano. Pełen wielkich przymiotów Zygmunt, od całéj Europy poważany i czczony, broniący i ożywiający cnoty i talenta, umiejący powagę królewską utrzymać jak żaden prawie z panujących wówczas Królów, skończył dni swoje świetne w starości i zmartwieniu 1548 roku w Krakowie. Za Zygmunta wprowadzono, że hetmaństwa dożywotnemi się stały, gdyż przedtém na każdą wojenną wyprawę wodza innego wyznaczano.

Za Zygmunta żyło wielu bardzo sławnych naukami ludzi, jakoto: Mikołaj Kopernik, urodzony w Toruniu roku 1473, a zmarły 1543, 24. Maja; Maciéj z Miechowa, astrolog, medyk i historyk (1523 r. zmarły); Bernard Wapowski, matematyk i historyk (1535 r. zmarły); Klemens Janicki, Jędrzéj Krzycki; Jan Flaschbinder Dantiskus, wierszem lub prozą po łacinie pisali; Marcin Kromer, Liwiuszem polskim zwany. Najpierwsi i najsławniejsi wówczas drukarze byli w Krakowie: Jan Haller, Ungler, Victor i Szarfenbergowie.

J. P....

Georama.

Przedstawiając ziemię jako kulę zaprzeczyć nie można, że trudno ją z łatwością poznać, gdyż dla wypukłości zawsze tylko stosunkowo małą jéj część przejrzeć możemy i to tém mniejszą, im kula sama jest większą. Trzy wieki usilnéj pracy minęły, najmniejsze drobnostki geograficznych zadań rozwiązano, odkryto różnicę obu osi aż do tysiącznéj części stopy, ale zadanie to rozwiązaném nie zostało do tego stopnia, aby obraz ziemi ludziom w ten sposób przedstawiono, iżby go równie w ogóle jak w najmniejszych szczegółach wygodnie ujrzeć mogli, nie poznawszy poprzednio różnych map pojedyńczych krajów. Niejaki Francuz Delanglard ogłosił w roku 1823 rozwiązanie tego zadania, donosząc, że jest w stanie kulę ziemską widzowi tak przedstawić, iżby przynajmniéj jéj czwartą część naraz przejrzał. Postępowanie jego było bardzo proste, on przewrócił kulę na drugą stronę, t. j.: wyrysował to, co inni przed nim na powierzchni kuli skreślili na wewnętrznéj części kuli, i postawił widza w sam środek kuli. Myśl jego przyjętą została z oklaskiem, dopomagano mu zewsząd i w krótce był w stanie przywieść wynalazek swój do skutku.

Zbudował kulę z średnicą blisko 30 stóp, w któréj wnętrzu zbliżywszy się po schodach do dwóch galeryj, oglądać można było dokładnie kulę, która powleczona była pokostowaném płótnem; na niéj było morze biało malowane, oświecone światłem zewnątrz wpadającém, ląd zaś jako stałe ciało pokazywał się w różnych kolorach podług krajów. Nowy ten zakład nazwany został szczęśliwém mianem *georama*, t. j.: widok ziemi, i otworzonym został roku 1827; lecz ponieważ niepomyślne okoliczności przeszkodziły przedsięwzięciu temu, upadło dzieło razem z wynalazcą. Niezawodnie cała myśl doznałaby tego samego losu tak, iż bezpośrednie zapatrywanie się na kształt kuli ziemskiéj byłoby zapomnianém, gdyby się za nią nie ujął Guerin, odnowiciel georamatu, poświęcając jéj całą usilność i majątek swój. Ledwo otrzymał na polach elizejskich za 50 tal. rocznéj dzierżawy małe miejsce, na którém wystawił ten pożyteczny budynek w ciemném miejscu, chociaż słońca i wiele światła potrzebuje. To nowe georama otworzone zostało 1843 roku, wykonaném jest zupełnie podług planu pierwszego wynalazcy. Średnica jest prawie ta sama, lecz zamiast dwóch niedogodnych galeryj z dawném georama jest teraz tylko jedna na wysokości równika, do któréj zbliżają się goście pięknémi podwójnémi schodami. Żelazne laski, które są powleczone pokostowaną materyą, na któréj mappa przezroczystémi farbami jest skreślona, przedstawiają koła długości i szerokości geograficznéj. Wielkość kuli dozwoliła, iż na niéj najmniejsze szczegóły narysowano. Widać tam wielkie pasma gór, pojedyńcze góry, równiny i doliny poprzerzynane strumieniami i rzekami; granice krajów i położenie stolic jest oznaczone, niemniéj i wyspy; morza są przezroczyste, a wulkany soczewkami ze szkła purpurowego oznaczone; granice śnieżne i koloryt gorącéj strefy są równie dobrze naznaczone, tak, iż godzina spędzona wewnątrz kuli lepsze daje wyobrażenie o geografii, aniżeli tygodniowe prelekcye, które za pomocą map wyjaśnione być muszą, choć tylko niedostateczne wyobrażenie o tém, co istnieje, dają. W młody umysł uczącego wpaja się to, co widział, na całe życie; przytém lepiéj rozumieć będzie później wykład geografii, ponieważ mappy za to uważać będzie, czém są, t. j.: za projekcye powierzchni kuli na równinie. W ten sposób widział już te mappy, ponieważ obraz ten oczom jego w ten sam sposób się pokazał, ucząc się przytém zgadzać go z wyobrażeniem kuli ziemskiéj. Ktokolwiek się starał objaśnić uczniowi pojęcia i stósunki mappy do rzeczywistości, wie, jak ogromna trudność przez jedyne zwiedzenie georamatu uprzątniona być może.

Tum kolońki.

Jakkolwiek wieki średnie napiętnowane są barbarzyństwem, jednak zawierają w sobie tyle poezyi, iż do dzisiajszego dnia wiele rzeczy uroku nie straciło. Z jakiém to uniesieniem czytamy dzieje rycerskie, przypominając sobie ich poświęcenie osobiste tak w sprawach religijnych, jak światowych; ich turnieje, w których z siłą i zręcznością zabawę łączyli? A jednak tego dziś nie chwalimy, a przynajmniéj odnowić nie zamyślamy. Wprawdzie przyczyną tego nasz kierunek zbyt materyalny, z tém wszystkiem, jesteśmy na lepszéj drodze, bo więcéj zbliżamy się do celu. W ogóle mówiąc o wiekach średnich, powiedzieć możemy, iż te czasy odznaczają się największą sprzecznością; z jednéj strony napotykamy największą szlachetność uczuć, z czynami, nad któremi unosić się musimy, z drugiéj zatwardziałość połączoną często z największém okrucieństwem; z jednéj moralność, z drugiéj niemoralność; słowem, zastanawiając się nad temi czasami, przekonywamy się, że nie rozsądek, lecz uczucie, nie rozum, lecz imaginacya i fantazya była dźwignią wszystkich zdarzeń i dzieł średniowiecznych. Ztąd owa religijność, która się jak najpiękniéj w tysiącznych przedstawia przykładach, ztąd zamiłowanie sztuki, które tak piękne dzieła wydało, iż je po wszystkie wieki podziwiać będziemy. Pominę poezyą, malarstwo, a wspomnę tylko budownictwo. Ktokolwiek nieco poznał świat i w nim się obejrzał, kto przytém nabył choć małego wykształcenia, wie, iż budowle, które są dotąd ozdobą miast, w wiekach średnich powstały. Lecz nie w pałacach i innych domach zbytkowych objawiała się sztuka budownicza; duch religijny wieków średnich użył jéj ku wznioślejszym celom, wystawiając przybytki ku chwale Najwyższego. Zdaje się, jakoby ludzie owego czasu jedynie w tém szukali zaspokojenia swéj duszy, swéj wreszcie ambicyi, iż piękny kościół wystawili; przynajmniéj w inny sposób wytłumaczyć sobie nie można, jak mogli tyle nakładów, tyle prac i znojów, tyle wreszcie cierpliwości poświęcić jednemu dziełu. Dziś prawie wierzyć nam się nie chce, iż nad jedném dziełem wieki pracowali. Do takiéj wytrwałości potrzeba tak szlachetnego usposobienia, jakie w wiekach średnich napotykamy; tylko taka religijność, taka poetyczność, jaka się w ówczas objawiała, mogła ożywiać i wykonywać takie przedsięwzięcia. Wiele, bardzo wiele kościołów tego rodzaju moglibyśmy wymienić, które w owych czasach powstały; lecz ograniczymy się na jednym, który nas obecnie więcéj zajmuje, to jest na tumie kolońskim.

Pomimo, że ta świątynia nie jest jeszcze skończoną, co więcéj, dopiero rozpoczętą, mieści jednak w sobie tyle piękności, iż od dawna przez

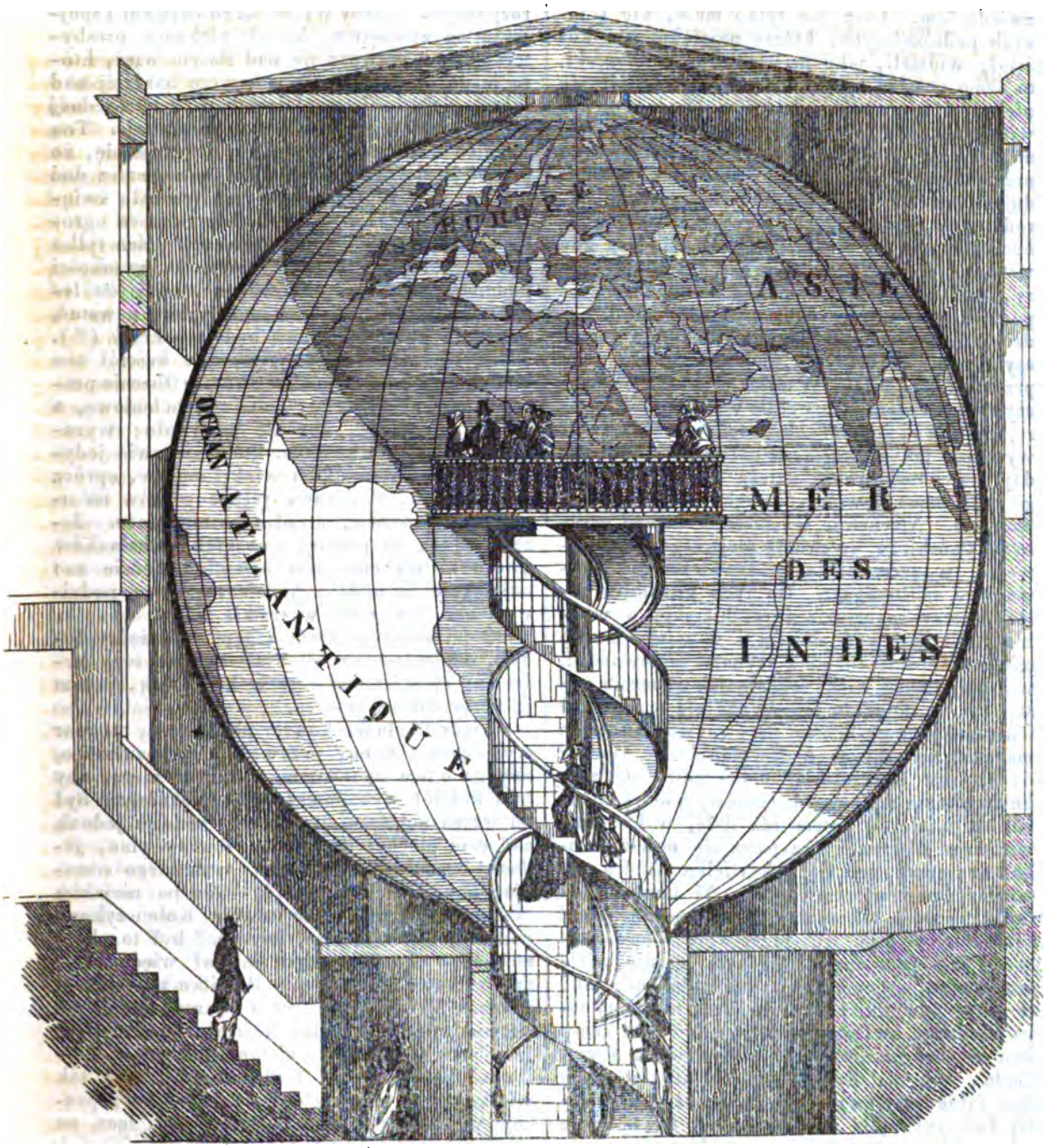

Geometrya na polach elizejskich w Paryżu.

znawców do najpiękniejszych dzieł architektury policzoną została. Kiedym ją pierwszy raz zoczył, wyznać muszę, iż oczekiwanie moje nie było zadowolone. Przyczyną tego było, iż najprzód spodziewałem się dzieła więcéj wykończonego, a potém zbytnie zabudowanie przez domy, które kościół otaczają, nie dozwalało mi od razu przejrzeć tego, co istnieje. Lecz im więcéj zbliżałem się do niego, im mu się dokładniéj na zewnątrz i wewnątrz przypatrywałem, tém coraz bardziéj się zdumiewałem nad śmiałością pomysłu i wykonania. Odtąd dusza moja tak była zajęta pięknością budowy, iż przez kilka dni po kilka razy dziennie go

zwiedzałem. Lecz nie tylko mnie, ale i innych podróżujących, którzy najpiękniejsze kościoły widzieli, jako to: monaster Strasburski, to samo uczucie opanowało; każdy dziwił się piękności i ogromowi budowy. Sądząc z powierzchowności, rozumiałbyś, że to tylko ruina; lecz gdy wejdziesz wewnątrz i wstąpisz do presbyteryum, pojąć prawie nie możesz, że znajdujesz coś tak pięknego i delikatnego w starodawnym, spustoszałym przybytku. W przybocznych nawach piękne podniebienia, lecz gdy wstąpisz do średniéj nawy i spojrzysz do góry, tak cię zachwyci wysokość i strzelistość podniebienia, iż nie wiesz co masz pierwéj podziwiać, czy śmiałość architekta, która graniczy z zuchwałością, czy piękność, z jaką swój przemysł wykonał. Wszystkie sklepienia spoczywają na filarach misternie wyrabianych, które, chociaż są znacznéj objętości, jednakże przez wysokość tak cieńczeją, iż całemu wnętrzu nadają powierzchowność dzieła nader delikatnego. To samo powtórzyć trzeba o zewnętrznéj budowie. Niechętnie wychodzisz z tego przybytku Pańskiego, co chwilę spostrzegasz coś nowego, w czém piękność dawniejszego budownictwa spostrzegasz. Do tych piękności należą rzeczy snycerskie i rzeźbiarskie w wielkim ółtarzu, pod chórem i w wielu innych miejscach; daléj okna z szybami malowanemi, w któréj sztuce wieki średnie tak znacznie postąpiły, iż dotąd im wyrównać nie można. O tém przekonać się można, porównywając nowsze malatury na szkłach z dawniejszemi. Wnijdź do katedry Brukselskiéj i przypatrz się pięknym oknom z dawnych czasów, z których ma bardzo wiele, a potém idź daléj w kierunku wielkiego ółtarza i przypatrz się nowszym oknom, a przekonasz się, jak wielka różnica pomiędzy dawnemi a nowszemi. W tamtych jest farba po szkle tak rozlana, iż przezroczystość szkła nic nie traci, gdy przeciwnie w nowszych szkło jest zaćmione. Mógłbym jeszcze wiele szczegółów o tumie kolońskim nadmienić, jako to różne pamiątki i pomniki, lecz nie mam tego zamiaru, zwłaszcza, że już dawnemi czasy inni w tém piśmie to skreślili (zobacz Przyj. Ludu, rok 8., Nro. 47.); chciałbym raczéj dać jakie takie wyobrażenie o całéj budowie téj świątyni i dla tego zmierzam ku opisaniu reszty. Kiedy wychodzisz z presbyteryum, które z przybocznemi kaplicami jest tak wielkie, iż samo kościół stanowićby mogło, wstępujesz do reszty środkowéj nawy i przybocznych, a ponieważ ta część w stósunku do presbyteryum musi być o wiele obszerniejszą, ztąd łatwo pojąć możesz, iż cały kościół jest ogromnéj objętości. Dziwić się więc nie można, że takie dzieło, które wymaga ogromnych kosztów i nadzwyczajnéj pracy, niedokonane; samo presbyteryum w dawnych czasach zostało wykończone; reszta tak wewnętrznie jak zewnętrznie tylko rozpoczęto. Kiedy wyjdziesz ze świątyni i spojrzysz na zewnętrzny kształt pięknego presbyteryum, zdumiewasz się nad ilością wież, które je na około otaczają, a jeszcze bardziéj nad subtelnością i misternością roboty, gdy z jednéj wieży coraz więcéj wieżyczek wyskakuje. Ten wieniec wież jest tak piękny, iż zdaje się, że piękniejszéj ozdoby kościołowi na zewnątrz dać nie można. W ten sposób ma być cała świątynia wykończoną. Lecz będzie to praca ogromna, bo z trzech wież głównych jedna tylko jest rozpoczętą i doprowadzoną do wysokości podniebienia nawy środkowéj, z drugiéj jest ledwo fundament, a trzecia ma dopiero powstać, gdy cały kościół dachem będzie pokryty (*). Zdaje się niepodobieństwem, aby kościół ten kiedykolwiek został wykończony. Obecnie pracuje zapewne kilka set ludzi nad tą budową, a jednak nie widać, aby się pomykała; wyrabianie ciosowych kamieni, które stanowią jedyny materyał wszystkich wież i murów, oprócz podniebienia, dźwiganie tychże głazów na ogromne wysokości, utrudza postęp pracy. Jeżeli jednak za pomocą nowszych wynalazków dzieło to wykończoném zostanie, będzie ono najpiękniejszą ozdobą Niemiec, a razem podziwem narodów przez wszystkie wieki.

O téj świątyni krąży legenda pomiędzy ludem, odpowiadająca zupełnie dziejom tego kościoła; opowiem więc ją w końcu tak, jakem ją posłyszał na miejscu.

Kiedy Kolończykowie powziąwszy zamiar wystawienia tumu, przywołali budowniczego, aby go o tém uwiadomić, żądali od niego, aby taki kościół wybudował, iżby piękniejszy był od trzech najpiękniejszych w świecie, a jednak żadnemu nie był podobien. Trudny plan, jednak budowniczy dokładał wszelkiego starania, aby go mógł ułożyć. Gdy po niejakim czasie przedłożył pracę swoję Kolończykom, podobała się im bardzo, lecz cóż? był to obraz monasteru Strasburskiego; musiał więc nieborak na nowo się męczyć. Po kilku miesięcach, przynosi nowy plan; lecz i tą razą lepiéj mu się nie powiodło. Plan kościoła był piękny; lecz była to piękność świątyni w Amiens. Gorliwość budowniczego i chęć sławy była tak wielką, że i tém nie dał się odstraszyć; pracuje więc znowu, układa nowy plan, lecz, na nieszczęście, wypadek był podobny do dwóch pierwszych. Zasmucony więc błąkał się po za miastem, układał nowe plany, robił nowe rysunki; lecz zawsze znajdował zbyt wielkie podobieństwo do jakiéj z 3ch sławnych świątyń. Kiedy tak jednego razu w myślach zatopiony chodzi po polu i na piasku rysuje kościół, zbliża się do niego człowiek, a przypatrzywszy się

(*) Kto chce nabyć jaśniejszego wyobrażenia o kształcie budowli, jaka jest i jaka ma być, niech zobaczy obrazki w Przyj. Ludu w 8mym roku w 47 numerze.

rysunkowi rzekł: „Toć jest monaster Strasburski.“ Rozgniewał się budowniczy; gdy w tém do niego w ten sposób przemówił obcy człowiek: „Wiem, że układasz plan do pięknego kościoła; na próżno się jednak mozolisz, nigdy go w ten sposób nie wymyślisz, jak ci zalecono. Lecz jeżeli mi swą duszę zapiszesz, dam ci go, a z pewnością wszystkich życzenia zaspokoisz. Jutro znowu tu będę;“ to rzekłszy zniknął. Budowniczy wrócił do domu zupełnie zmartwiony i zasmucony. Spostrzegła to jego gospodyni, a gdy się nareszcie dowiedziała, jaki był powód, rzekła do niego: „Idź tylko do owego Ks. Kanonika do spowiedzi, a on ci da radę najlepszą.“ Architekt, nie wiedząc co począć, poszedł za radą gospodyni. Ks. Kanonik wysłuchał go spokojnie, a potém namyśliwszy się rzekł do budowniczego: „Nie martw się, to mała rzecz. Zapisz mu duszę, a ja ci dam relikwie, które włożysz w cyrograf, gdy go będziesz wręczał diabłu. Lecz musisz to zrobić w ten sposób: trzymaj w jedném ręku cyrograf i pokaż mu go, lecz nie dawaj prędzéj, póki ci nie da wprzód planu kościoła.“ Budowniczy usłuchał rady Księdza i udał się na miejsce przeznaczone. Nie zadługo pokazał się i diabeł. Skoro go zobaczył architekt, „przystaję,“ rzekł, „na twój warunek; zapisałem ci duszę, oto mam w ręku cyrograf; lecz wprzód pokaż mi plan.“ Diabeł przystaje na to, oddaje mu rysunek; budowniczy obejrzawszy go, jest zadowolony. „Dobrze więc, mój kochany, twój plan jest taki, jakim miał być; masz za to cyrograf na moję duszę.“ Diabeł ucieszony sięga czém prędzéj, lecz ledwo się go dotknął, odskoczył i ze złością te wyrzekł słowa: „Oszukałeś mnie, nie ujdzie ci to jednak bezkarnie. Wiem, że jesteś człowiekiem dumnym i sławy chciwym; z tém wszystkiém, chociaż masz plan w ręku, do celu nie dójdziesz. Wiedz, że kościół ten nigdy ukończonym, a imię twoję w późniejszych czasach znaném nie będzie.“ To rzekłszy, zniknął, a przepowiednia dotąd się ziszcza.

Z Bogiem. (*)

Kiedy przed naszych pradziadów progiem
Brał wspomożenie nędzarz podróżny,
Odchodzącemu mówiono — *z Bogiem*,
Bo i dla duszy trzeba jałmużny.

„Kiedy przyjaciel opuszczał progi,
Żegnam! wołano za przyjacielem;
Krzyżyk był godłem szczęśliwéj drogi,
Bo niebo było podróżnych celem.

Dawne zwyczaje leżą dziś w grobie;
Z odmianą wieku odmienna mowa.
Ta, którą kochasz, tęskni po tobie,
A ty jéj zimno mówisz — *bądź zdrowa!*

Zdrowie jest skarbem życia na ziemi,
Lecz dusza innem zdrowiem oddycha;
Skrapiaj więc duszę słowy świętemi,
Jak wodą kwiatek, który usycha.

O! nie bądź nigdy duszy swéj wrogiem,
Gardząc opieką, co nie zawodzi.
I zdrowie służy temu, co *z Bogiem* —
Szczęśliwy! który *z Bogiem* odchodzi!

Ja z serca życzę — lecz za życzenie,
Jeśli mi który — *Idź z Bogiem* — powié:
Przyjmę z radością to pozdrowienie,
Wołając wzajem: — *bywajcie zdrowi!*

(*) Wiersz ten i następny wzięte ze zbioru poezyj Gabryeli Günther, p. t.: *W imię Boże.*

Niech go Pan Bóg kocha.

Każą mi kochać bliźniego,
A ja nie chcę ani trocha;
Cóż tu robić? nic lepszego,
Niech go sobie *Pan Bóg kocha.*

Wszystkich kochać czasu strata,
Serce codzień zapomina;
Nudny trochę on na brata,
Pan Bóg przyjmie go za syna.

Ten mnie hańbi, ów mnie łudzi;
Wygnam jego z mego proga;
Nie wart jest miłości ludzi,
Niech go przyjmie miłość Boga!

Ja żartuję! Ach! te żarty —
Pewnie na nich się poznacie;
Sens wiadomy w nich zawarty:
Bracia, bliźnich nie kochacie!

Wiadomości literackie.

W ostatnich czasach wyszły następujące dzieła:

W Krakowie:

Xiędza Hugona Kołłątaja korrespondencya listowna z Tadeuszem Czackim. Tom IV. Z rękopismu wydał Ferdynand Kojsiewicz.

Ojczyste spominki w pismach do dziejów dawnéj Polski. Dyaryusze, Relacye, Pamiętniki i t. p. służyć mogące do objaśnienia dziejów krajowych; tudzież listy historyczne do panowania Królów: Jana Kazimierza i Michała Korybuta, oraz listy Jana Sobieskiego, Marszałka i Hetmana W. koronnego, z rękopismów zebrane przez Ambrożego Grabowskiego.

Tom I. z wizerunkiem Zygmunta I., znajdującym

się w płaskorzeźbie domu, który w roku 1814 był własnością Jana Bonara.

W Poznaniu:

Dzieło Tadeusza Czackiego, zebrane i wydane przez Hr. Edwarda Raczyńskiego. Tom III.

W Strasburgu:

Powieści dla dzieci w trzech częściach, przez Panią Karolinę z Potockich Nakwaską. Wydanie ozdobne. Część pierwsza.

Text do Nru. 152.

Piękna Basiu, luba Basiu! rączek swych nie łam;
O twym Stasiu, o twym Stasiu dobre wieści mam,
Poszli nasi do Skalmierza przedać co Bóg dał,
Tam słyszeli od żołnierza, że Stach krzyż dostał,
Nosi na białéj sukmanie i jest o nim śpiew,
Że jak przysiągł swéj kochance, tak się bił jak lew.
Basia w tany, śliczne tany i powiada nam,
Jak powróci Staś kochany, obrączkę mu dam,
A wtém Stasio zdrów wyskoczył, bo go skrywał krzak,
I jak Basię swoją zoczył, wyleciał jak ptak;
Splatajcie hoże dzieweczki rutkę w wstążeczki,
A wy chłopcy i parobcy krzeszcie w podkówki.

№ 152.

Andante. *Z Krakowskiego.*

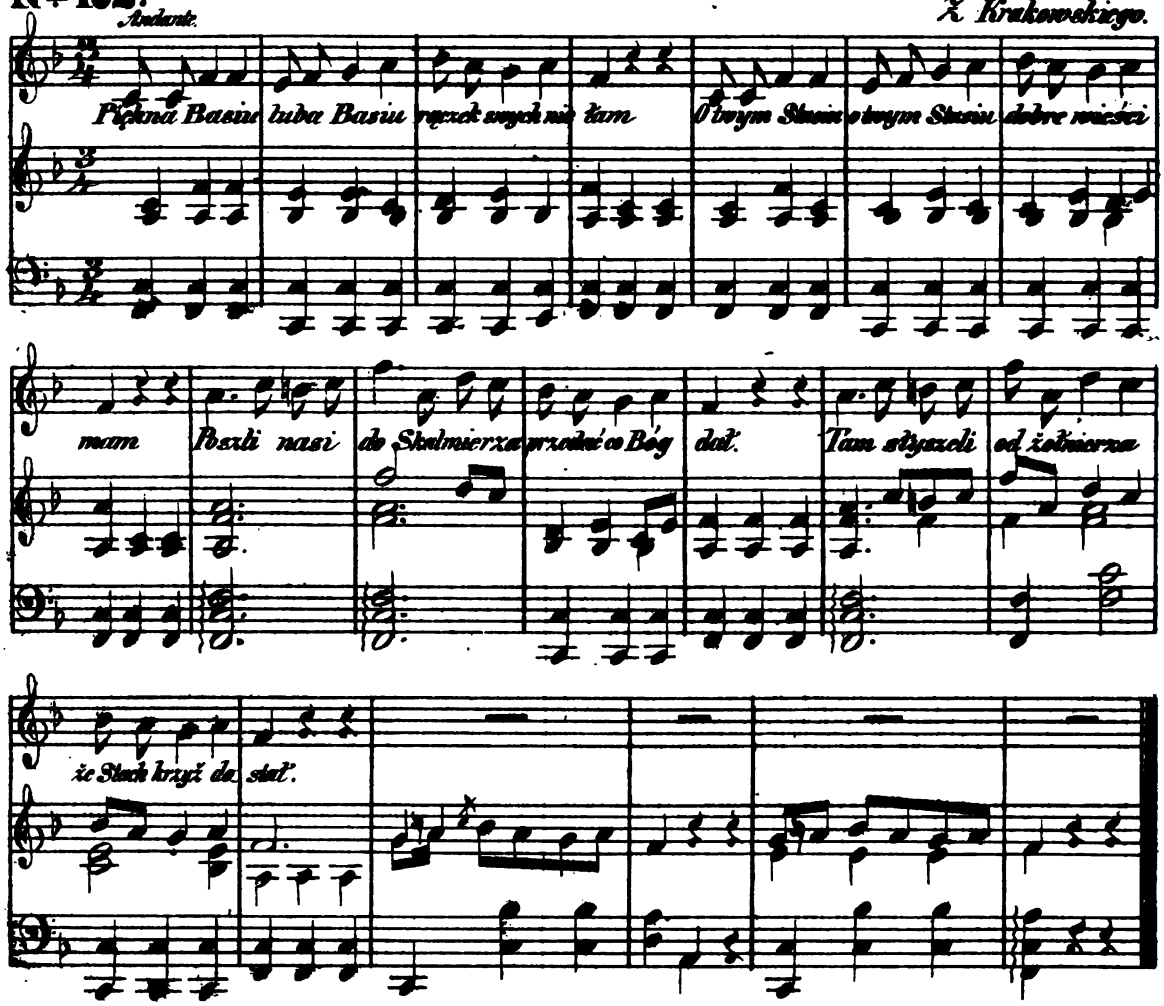

U nakładzcy niniejszego pisma wyszło i jest do nabycia w jego księgarniach w Lesznie i Gnieźnie:

Popiersie teraźniejszego Ojca świętego, PIUSA IX.

Cena eksemplarza: 2 śgr. 6 fen., czyli 15 gr. pol.

Pomienione popiersie, dla wiernego oddania, przyozdobi niezawodnie pomieszkanie każdego posiadacza onegoż, a pomierna cena ułatwi nabycie.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 28. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 11. Lipca 1846.

Pestalozzi. — O gdyby! — Hrabia Zetner. — Głos nędzarza. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie o piśmie miesięcznem: Kościół i Szkoła.

Henryk Pestalozzi,
urodził się d. 12 Stycznia 1746 w Zürich,
umarł d. 17 Lutego 1827 w Brugg.

Pestalozzi.

Po wszystkie czasy i wieki pojawiali się ludzie, którzy nowémi idejami swemu wiekowi dodawali światła; z nich jednak przeżyli się jedni, inni zaś po wszystkie czasy swą sławę utrzymali.

Kiedyż nadejdzie ów dzień, w którym myśl Pestalocego się przestarzeje? Pewno nigdy! Bo myśli zrodzone z prawdy cieszą się wieczną młodością i boską siłą. Nawet potęga ciemnoty ich nie zwalczy, raczéj sama w proch, w niwecz się obróci. — Pestalocego myśl wytryśnęła z prawdy, bo natura była nauczycielką owego wielkiego męża.

Przykre, okropne położenie ubogiéj klassy ludu zajmowało nasamprzód jego szlachetną duszę, nakazując mu, aby się zastanowił nad istotnie trwałémi środkami zaradzenia złemu. Od niepamiętnych czasów była wielka część biednych ludzi, którzy w nędzy smutne dni przepędzając, walczyli z ciągłemi przykrościami, aż nareszcie znękani i osłabieni śmierci ulegli. Z drugiéj strony mniejszość nie znała nędzy, opływała raczéj we wszystko, co tylko jest w stanie życie rozweselić i uprzyjemnić. Jeśli zechcemy dochodzić przyczyn téj nierównowagi, li w ludziach samych źródło wszystkiego złego znajdziemy. Bóg tworząc człowieka dał mu zarazem zdolność i środki do uprzyjemnienia sobie tego życia. — Rozbierzmy daléj położenie człowieka w duchowym względzie, a znajdziemy i tu nierównowagę w rozwijaniu i kształceniu czucia i rozumu. Obok małéj liczby ludzi, którzy przez szczęśliwy zbieg okoliczności doszli do wolnéj, duchowéj czynności, do wiedzy swéj moralnéj godności, spostrzegamy niezliczone mnóstwo ludzi spędzających życie w głupocie i ciemnocie. A przecież Bóg nie udzielił zdolności i sił ducha temu lub owemu stanowi w dziedzictwie, ani też nikt pewno téj bezczelności nie wypowie, że takie jest przeznaczenie ludzkości, aby pewna klassa istot ludzkich w głupocie i ciemnocie pozostawała na zawsze. Jeśli jakie prawo jest nienaruszalną własnością człowieka, to bez wątpienia prawo wolnego rozwijania i używania sił ducha; lecz do czegoż złość i przebiegłość ludzka się nie udawała, aby tylko to najdroższe prawo osłabić, zepsuć?

Jeśli więc winę owéj zasmucającéj, wielkiéj nierównowagi we względzie materyalnym jak duchowym, która wielkiéj liczbie naszych braci nie dozwala używać bytu czystego, swobodnego, li człowiekowi samemu przypisać należy; to niemniéj jest jego obowiązkiem, aby sam się starał stan ten polepszyć. Czy ludzie obowiązek ten zawsze sumiennie wypełniali? Bynajmniéj! nigdzieby bowiem, gdziekolwiek oczy nasze zwrócimy, nie było tyle nędzy! Nie napotykalibyśmy tylu obdartych żebraków po wszystkich gościńcach, miastach i wsiach. Nie powinnoby ani jednéj być familii, którąby w nędznem i niezdrowém pomieszkaniu ścieśniona, bez chleba i odzienia, z głodu i zimna mozniała. Nie powinienby już nikt na obrzydłém łożu, bez pokrzepienia i pociechy, życie kończyć! Głupota, ciemnota i zabobon nie powinnyby już panowania swego rozszerzać.

Lecz jakież są przyczyny, że dotychczas, mimo naglącéj oczywistéj nędzy, tak mało dla zapobieżenia téjże uczyniono? Samolubstwo, duma i wygody z jednéj, ospałość i obojętność z drugiéj strony, przyczyniły się do tego, że tak znaczne złe bez przeszkody się szerzyło. Gdyby ludzie, którym ciągła pomyślność sprzyjała, chcieli byli swe serce otwierać na smutne położenie biednych współbraci, gdyby raczéj nie byli się o to starali, aby ich zostawić w tak niskiéj sferze, stósunki ludzkie daleko korzystniéj byłyby się musiały ukształtować. Nie jedno wprawdzie uczynili, aby zapobiedz nędzy, pozakładali towarzystwa dobroczynności, instytuta miłosierdzia, dawali jałmużnę, przecież wszystko to jak mało skutkowało! Są one tylko lekarstwem zmniejszającém boleści w ciężkiéj chorobie, ale nie wykorzeniają złego. Obojętność przecież i wygoda tém się pociesza, że nędzy ludzkiéj, ubóstwa i niedostatku wyleczyć nie można, twierdząc, że odkąd ludzie raj opuścili, nędza panuje i aż do skończenia świata trwać będzie. Takie gadaniny niech zadowolnią, zaspokoją serce nieludzkie; kto zaś posiada głębsze uczucie, nigdy się tém nie zadowolni; lecz całémi siłami do tego zdążać będzie, aby ten czas wspólnego szczęścia jak najprędzéj nadszedł. Kto zaś tego pragnie, powinien się pozbyć samolubstwa, dumy i obojętności; jedno serce powinno we wszystkich dla dobra ludu bić; powinni zstąpić do ludu, aby złe ze źródła poznać, powinni czynnie przykładać się do dzieła odrodzenia! Pesta-

locy był jednym z tych ludzi; niezmierna, niezrównana miłość przyciągała go do ubóstwa, aby znieść nędzę drugich, o sobie zupełnie zapominał, z bystrością geniuszu wynalazł drogę, która go do celu doprowadzić musiała. Poznał on istotę ducha i dla tego pierwsze wrażenia duszy za najważniejsze uważał.

Pierwsze lata życia, pierwsze, iż tak się wyrażę, drgnienia życia indywidualnego, są często stanowcze na całe życie. Któż przecież jest w stanie wykazać, jakie wpływy i uczucia wywołały i pokarmem swym pożywiały obudzone życie duszy? Zkąd pochodzi, że dla obudzonego w pierwszych chwilach kierunku duszy człowiek z otoczenia swego, z obrazów i ze zdarzeń, to tylko z chęcią sobie przywłaszcza, co jest jednorodném z początkowym duszy jego pokarmem, że ów różniący się kierunek w kształceniu, rozwijaniu się, że owo tło indywidualności na zawsze się oznacza? Dopiero gdy piętno osobistości we wartości swéj wewnętrznéj i zewnętrznéj jest zaokrągloném, jesteśmy w stanie nie raz wykazać, jakich pokarmów dusza w pierwszych chwilach doznała, kiedy tak a nie inaczéj się objawiała. Pestalocy jest nam najlepszym przykładem, jak pierwsze wrażenia duszy nadają indywidualności właściwe piętno, i jak kierunek późniejszego działania już w każdym kroku chłopca się objawia.

Henryk Pestalocy urodził się 12. Stycznia 1746 r. w Zürich. Przodkowie jego pochodzili ze Szwajcaryi włoskiéj. Ojciec jego był lekarzem. Pestalocy był od dzieciństwa słabym i delikatnym; odznaczał się zaś już w pierwszéj młodości nadzwyczajną żywością umysłu i dążeniem do pewnego celu. Ojciec jego umarł zbyt wcześnie. Odtąd zbywało sześcioletniemu chłopcu na tém wszystkiém, co jest nieodzownem do wykształcenia sił młodzieńczych. Matka jego była zmuszona, dla szczupłego majątku, zaniechać wszystkie towarzystwa, poświęcając się od rana do wieczora li wychowaniu dzieci. Pestalocy zyskał wprawdzie przez owo oderwanie się swéj matki od świata o tyle, że jéj nieograniczona miłość sercu syna nowych sił dodawała; atoli zbywało mu z drugiéj strony na właściwych środkach i istotnym pociągu do rozwinięcia męskich sił i sposobu myślenia, na ćwiczeniach męskich i doświadczeniach, które dla jego słabowitości były nieodzowne. Od dziewiątego roku przepędzał Pestalocy u dziada swego ze strony matki, Pastora we wsi Höngg, milę drogi od Zürich, co rok kilka miesięcy, które do najszczęśliwszych w młodości jego należą. Z dziadem odwiedzał szkołę i kilka gospodarstw we wsi, których poczciwy staruszek z gorliwości doglądał, już to ze względu na stan gospodarstwa, już to dla obyczajów życia domowego i religijnego. W późniejszém życiu powtarzał Pestalocy nie raz tę głęboką prawdę, że dziecko powinno się przypatrywać prawdziwemu Chrześcianinowi. Przecież i inne wrażenia, których na wsi doznał, miały wpływ na przyszłe jego życie. Lud wiejski był uczciwy, silny i pochopny do wszystkiego, co jest prawém i dobrém. Uciski i gwałty miejskich patrycyuszów, ich niesprawiedliwości, oszczerstwa i obojętności, musiał wieśniak z odwagą i wytrwałością odpierać. Pestalocy już w młodym wieku był świadkiem zepsucia, które przez życie fabryczne w ubogiéj młodzieży się szerzyło; gdzie dawniéj li tylko zdrowie, swoboda, wesołość i niewinność panowały, tam dostrzegał kłopot i zmartwienie, osłabienie i zniszczenie sił. Takie pojawy i doświadczenia, które w późniejszych latach często się ponawiały, wskróś duszę jego przeszywały; wszędzie li tylko sercem się zapatrywał, i dla tego, gdzie postrzegał nędzę, niedolę, tyle nad tém ubolewał, jak gdyby go samego dotknęła; wreszcie obudziło się w nim wcześnie oburzenie na arystokracyą ciemiężącą lud. Powróciwszy zaś do domu, nie widział świata jak tylko w zakątkach domowych; dla tego prawdziwe życie ludzi zupełnie mu było obce, świat mu się wydawał tak być dobrodusznym i otwartym, jak on sam był; nie wystawiał sobie, żeby mogli być źli ludzie. Przytém objawiła się w nim bardzo wcześnie pewna jednostronność, niezgrabność i brak myśli w tém wszystkiém, co nie było w stanie wpłynąć na jego serce i duchowe usposobienie. W szkole zatrudniał się niektóremi przedmiotami z miłością, tak że swych współuczni przewyższał, w innych zaś był od nich słabszy, gdyż nie był w stanie przywłaszczyć sobie formy, którą za zbyteczną uważał; i tak kaligrafii i ortografii nigdy się nie nauczył. Tam tylko się odznaczał, gdzie szło o siły ducha, mniéj zaś, gdzie szło o praktyczne ćwiczenie środków. Nauczyciele owéj szkoły nie dosyć

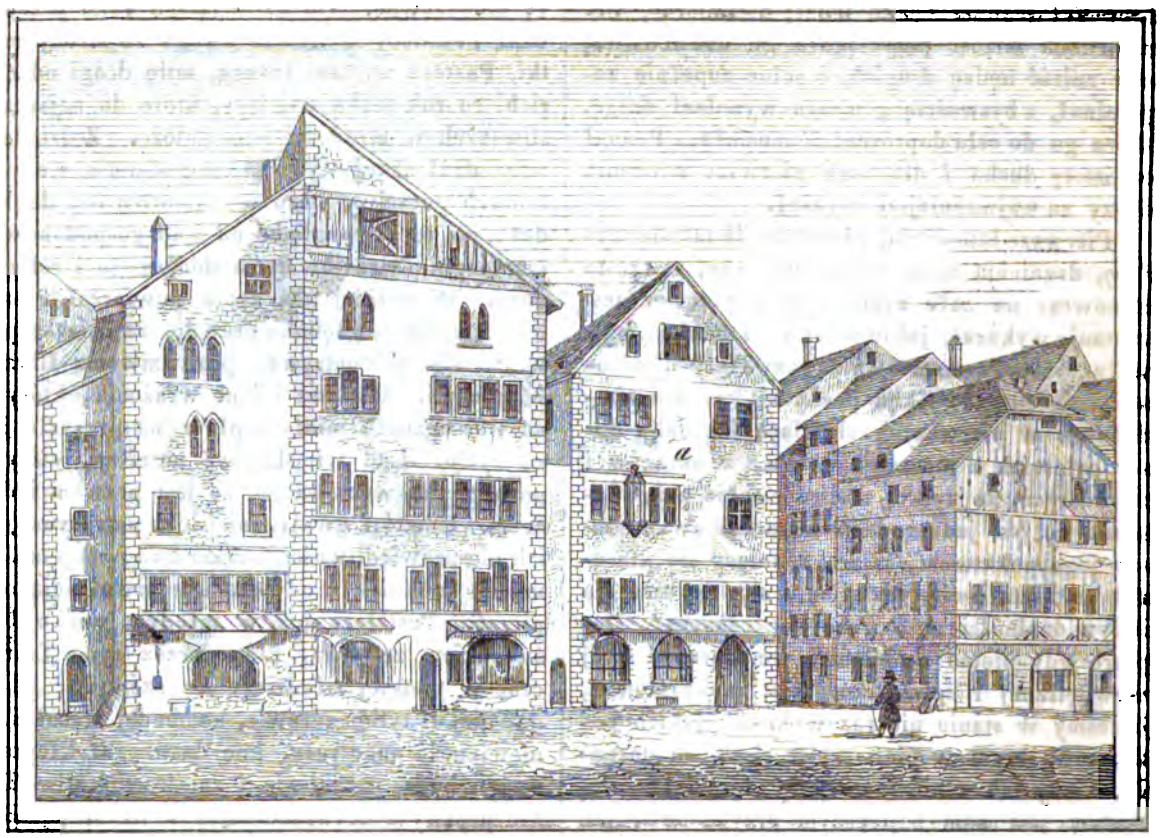

Plac Rüden w Zürich z domem, w którym się urodził Pestalozzi.

zwracali umysły uczniów do praktycznego życia. Niezawisłość, samodzielność, chęć poświęcania się, miłość ojczyzny, były wprawdzie bodźcem w owéj szkole; lecz środki do uskutecznienia tego i umysłowe wygórowanie, nie były w harmonii z prawdziwém wykształceniem sił praktycznych. I tak mówiono często i gęsto w obrazach żywych o wzniosłém stanowisku niezawisłości; atoli nie wykazano zarazem dość dobitnie potrzeby tego, co jest w stanie ugruntować niezawisłość wewnętrzną i zewnętrzną, domową i obywatelską. Ćwiczono się w zaparciu stoickiém i zahartowaniu; uczono uczni obojętności na bogactwa, honor i znaczenie; ale nie wskazano im owéj skromności i niewinności, spoczywającéj na zamiłowaniu natury. Pojawienie się pism Russa i Woltera nadzwyczajny wpływ wywarło na ówczesną młodzież, tak, iż wszystko prawie zarzucono, a jęto się tych pisarzy. Na Pestalocego nie tylko wten czas, ale przez całe życie Russo wielki wpływ wywierał. Przytém przykładał się z usilnością do literatury starożytnéj i owczesnéj. Stał się zwolennikiem szkoły Wolfa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O gdyby!

O, gdyby z Boga pomocą
Wyrwać te trosek tysiące,
Co dzisiaj i dniem i nocą
Serce mi palą bijące;
Ileż w niém jeszcze zapału,
Ileż szlachetnego szału,
Ileżby marzeń swobodnych,
I myśli było pogodnych!

W wiejskiém ustroniu, w przyrodzie,
Przy skromnym, lecz własnym chlebie
Coby nie malał w przygodzie,
A starczył bratu w potrzebie;
Jabym bogaczom żywota
Mnogiego nie zajrzał złota,
Ni zaszczytów, ni imienia,
Kontent, choć z drobnego mienia.

Czerstwy i duszą i ciałem,
W miłości Boga, przy cnocie,

Andrzéj Hrabia Cetner,
urodzony r. 1771, zmarły r. 1841.

Ileż w tym świecie ja małem
Szczęśliw byłbym w méj samocie.
Między pracą a rozrywką,
Z myślą w duszy, w ustach śpiéwką,
Jakżeż błogoby mi było,
Cóżby się tam nie naśniło!

Drogi skarb ojców są dzieje,
Kto szczerze kopać w nim umie;
W kwiat strojne życie się leje
W zagród kmiotków naszych tłumie;
Ileżby ztąd pieśni jeszcze
Wyśpiewało serce wieszcze,
Ileż wspomnień z grzęd tych łona,
Wydobyła myśl natchniona.

Gdy teraz głową i dłonią,
Na życie żony i dzieci,
Z nachyloną smutkiem skronią
Wśród miejskich trudząc się śmieci,
Z dręczącą o jutro troską,
Tłumię iskrę w sobie boską,
Drętwię serce, marnię duszę,
I tak żyw — umierać muszę!

O, gdyby z Boga pomocą
Wyrwać te trosek tysiące,
Co dzisiaj i dniem i nocą
Serce mi palą bijące;
Ileż w niém znowu zapału,
Ileż szlachetnego szału,

Ileżby marzeń swobodnych,
I myśli wrzało pogodnych!

+

Rys życia Jędrzeja, świętego Państwa rzymskiego Hrabiego Cetnera.

W cichym zakątku wiejskim ukryta cnota, która nieznacznie rozszerza w około siebie swobodę i szczęście, czyliż mniéj chwały zasługuje przed światem, jak dzieła mężów wsławionych, które świat podziwia i uwielbia. A gdy tym stawią pomniki współcześni, a dzieje ich imiona podają wiekopomnym czasom; tamci pamiątki po sobie zostawiają jedynie w sercach tych, którym się stali użytecznymi, a którym poniesiona po ich skonie strata, głębokie zadała rany. Do rzędu takich mężów liczę Jędrzeja Hrabiego Cetnera, któremu jako dobroczyńcy tych słów kilka o życiu jego, w dowód szacunku i wdzięczności, poświęcam.

Rodzina Cetnerów od półtrzecia wieku ze Szląska przeniosła się do Polski (*) z ogromnemi majątkami; i zaraz w Polsce znakomite posiadłości nabyła, i do senatu powołana z pierwszemi domami Sanguszków, Lubomirskich, Sapiehów, Zamojskich, Potockich, Danilewiczów, Krasickich, Mniszchów, Rzewuskich, w związki pokrewne weszła. Ojciec Jędrzeja, Ignacego i Eugeniusza, Dominik Hrabia Cetner, posiadał wielki majątek: dobra Ruzów na Ukrainie, Krupiec na Wołyniu, Uniatyn w Bełskim, Świérz, Knychnicze, Rychcice, Rajsko na Rusi, i utrzymywał pułk ułanów własnym kosztem. Przez nieład w znacznéj części dobra sprzedane, a resztę pod rozbiór poszło, tak że mało co pozostało. Lecz ciotka Ignacego, Eugeniusza i Jędrzeja Hrabiów Cetnerów, Eleonora z Cetnerów Księżna Sułkowska, dobra Podkamień i Rozdałó.r, a stryj Ignacy Hrabia Cetner, Wojewoda Bełzki, starostwo Przemyskie dwom bratańcom Ignacemu i Jędrzejowi zapisał dziedzictwem.

Jędrzéj Hrabia z Czetwerc Cetner urodził się w roku 1770 z Dominika i Ozdzanki. Początkowe nauki pobierał w konwikcie WW. OO. Pijarów w Warszawie, dalsze zaś w Teresianum w Wiedniu. Wychowaniem jego najwięcéj trudnił się i łożył na takowe stryj jego Ignacy Hrabia Cetner, Wojewoda Bełzki, Marszałek Wielki koronny, mąż znakomity w kraju i za granicą.

Po skończonych naukach udał się Jędrzéj Cetner za granicę i całą Europę objechał, gdzie lat kilkanaście bawił, wszędzie z nauk i umiejętności korzystał, z pierwszymi uczonymi w kraju i za granicą związki miał i na kilku panujących dworach był przedstawiony i dobrze widziany. W roku 1814 powrócił do kraju ojczystego i stale zamieszkał w dobrach swoich Bakończycach pod samym Przemyślem. Dom jego był najprzyjemniejszy na całą okolicę, każden się cisnął do niego aby korzystać z nauk, tudzież znajomości świata, skromne bez przesady i próżności wiódł życie. Dom jego skromny w Bakończycach był otwartym, gościnnym i prawdziwie polskim, nieskończenie przyjemnym dla znanego z świata gospodarza, pamięci tegoż szczęśliwéj dawniejszych czasów, pięknego wysłowienia się tegoż zamiłowania własnéj ojczyzny i dobra ludzkości; a szczera otwartość w przyjmowaniu przybyłych sprawiła, że tak był uczęszczany, że nigdy sam nie zostawał; zgoła, dom jego był wzorem nauk i gościnności staropolskiéj. Chociaż oddał się wiejskiemu pożyciu, jednak nie był zapomniany od Panującego: bo w roku 1829 mianowany Cesarskim krajowym pierwszym Komissarzem sejmowym.

W roku 1839 cierpiał na podagrę, a w roku 1840 wzmogła się słabość, a szczególnie całą swą srogość wywarła na ręce tak, iż mu zupełnie w nich władzę odjęła. W takim stanie nieszczęśliwym zostawał rok cały, nie tracąc jednakże ani honoru, ani przyjętego sposobu życia nie zmieniając. Dnia 14. Maja 1841 nastąpiło przesilenie słabości; długoletnią chorobą zepsuta budowa ciała, nie mogła dłużéj opierać się natarczywościom srogiéj słabości; a tak na dniu 16. Maja 1841 o godzinie 3., przeżywszy przeszło lat 70, duch opuścił spruchniałą lepiankę i wzniósł się ku niebu, by odebrać nagrodę za cnie na ziemi spędzone życie, a przyjaciołom jego nie została jeno jedynie pamięć na miło przeżyte dnie w towarzystwie jego i żal w sercach po utracie tego męża czcigodnego, którego stratę krajową nazwać można.

X. *Jan Szafrański*,
Proboszcz Mościsk, w dyecezyi Przemyskiéj.

(*) Kto się chce o tém przekonać, niech czyta dzieło: „Popis ojczystéj chorągwi," Lwów 1731. — Siarczyński Franciszek: „Obraz wieku Zygmunta III.," Tom I.

Głos nędzarza.

Więc się bawcie póki czas!!

Dzień niknie i noc swe cienie
Rozpościera na około,
Ja smętne pochylam czoło,
Mroźne mnie owiewa tchnienie.
Ciężką chorobą złożony,
Czekam śmierci, opuszczony,
Śmierci, co uczy cierpienia!
Jękom echo odpowiada;
Tylko słyszę w oddaleniu
Głos radosny: to biesiada!
O! tam na niczém nie zbywa,
Nic radości nie przerywa.

Życie na roskoszy łonie,
Póki młodość wieńczy czoło,
Wiosna życia się zieleni....
Więc igrajcie z nią wesoło!
Czas będzie myśleć o skonie
Gdy skroń siwy włos ocieni.
Dziś pieszczone świata dziatki
Śmiéjcie się do swojéj matki.
Czemuż więdnąć śród ukrycia?..
Czyż nie wiecie że nieraz
W czas przecięty wątek życia —
Więc bawcie się póki czas.

* * *

Cóż ztąd, że wielu ludzi na świecie,
Którym też płynie wiek młody,
Nie znają szczęścia swobody,
Nawet gorzkich prac nadgrody?
Wszakże wy o tém nie wiecie,
Wy nie chcecie wiedzieć o tém —
Wam tak wygodnie ze złotem —
Przytém macie potrzeb tyle!..
Płacąc każdą uciech chwilę,
Jakże zostać bez pieniędzy?

* * *

Tak okropny widok nędzy!
Niech go każdy z was oddali.
Bo gdybyście go poznali,
Możeby się wasze skronie
Pokryły wstydu rumieńcem:
Że dni wasze uciech wieńcem,
Że dla biednych zwarte dłonie.

* * *

Może nadobne, hoże dziewice,
Nędzaby was rozrzewniła,
Łezka by się uroniła —
A tak piękne, świeże lice — — —
Nie trzeba go łezką kalać —
O! nie trzeba wam pozwalać
Ronić łez nad żebrakami...
Wiem, że często powieść jaka
W rodzaju *Dumas* Balzaka
Każe wam się zalać łzami —
Bo tam tak wdzięcznie oddana
Walka uczuć i tak świetnie
Wyobraźnia kołysana...
I tam także jest cierpienie
Serca, głowy rozmarzenie,
Urojenie!...
Malowane tak szlachetnie,
Estetycznie malowane,
Cacko malowane!....

* * *

Precz z narzekaniem biedaka,
Prozaicznem narzekaniem,
Niespokojném, burzliwém na losy szemraniem!
Tak nikczemne jego żale...
On nie pomyśli o chwale,
Ni o cierpień ideale,
Nie zna wyobraźni nieba!
I czegóż jemu potrzeba?
Ach! tylko kawałka chleba.

* * *

O! żyjcie sobie w roskoszy,
Niech nic radości nie płoszy;
Choć mnie głód dotyka srodze,
Mym jękiem wam nie przeszkodzę.
Lecz gdy trąba archanioła
Na sąd Boga was wywoła
I Prorok rzeknie: „Już czas!“
Stanę i ja pośród was.

Alfonsa Kanigowska.

(Z Przegl. Nauk.)

Text do *Nru. 153.*

1. Hej z góry — z góry,
Jadą Mazury.
Stuk, puk w okieneczko,
Otwórz, otwórz kochaneczko,
Koniom wody daj.

2. Nie mogę ja wstać,
Koniom wody dać,
Bo mi matka zakazała,
Żebym z wami nie gadała,
Trzeba jéj się bać.

3. Matki się nie bój,
Siadaj na koń mój,
Pojedziewa w cudze kraje,
Gdzie są inne obyczaje,
Malowany dwór.

4. Przez wieś jechali,
Ludzie pytali:
A co to za pani,
A co to za pani,
Jedzie z panami?

5. Wyjechał w pole,
Krzyknął na konie,
Obejrzyj się Kasineczko,
Obejrzyj się Kasineczko,
Wszystko to twoje,

6. Wszystko to moje,
Wszystko co twoje,
Tylkom sobie zapomniała,
Tylkom sobie zapomniała
Wianka na stole.

7. Czy się mam wrócić,
Czy się nie wrócić?
Czyli ojcu, matce,
Czyli ojcu, matce,
Serca nie smucić.

8. A jużci to, już,
Po wieneczku już!
Srebrny rąbek, złoty czépek,
Srebrny rąbek, złoty czépek,
Na główeczkę włóż.

Wójcicki, P. l. T. I., str. 39, 229, 285 i 337. T. II., str. 309. — *Z Pauli*, P. l. g. st. 130. — *Wacl. z Oleska*, P. l. g. st. 409.)

№ 133.

Z Mazowsza i Sandomierskiego.

Allegro.

Hej z góry z gó- ry jadą Mazu- ry stuk puk w okieneczko otwórz otwórz kochaneczko koniom wody daj. Nie mogę ja wstać koniom wody dać bo mi matka zakazała żebym z wami niegadała trzeba jéj się bać.

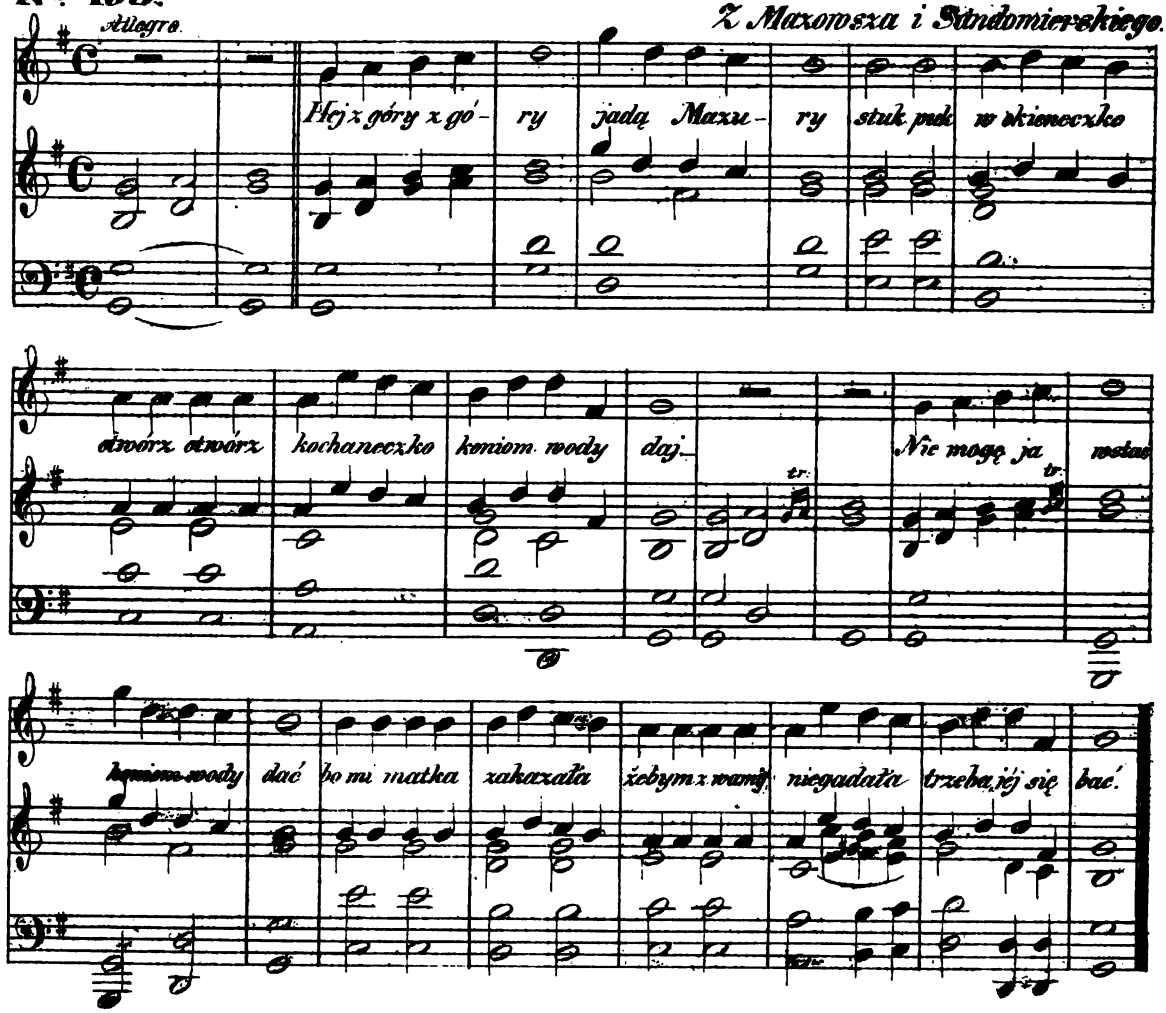

U Ernesta Günthera w Lesznie wychodzi od nowego roku i przez wszystkie księgarnie tutejsze i zagraniczne, jako téż przez wszystkie królewskie urzędy pocztowe jest do nabycia:

Kościół i Szkoła.

Pismo miesięczne.

Rok I.

Cena jednego rocznika z 12. zeszytów: 2 tal., czyli 12 złp.

Ostatnie dwa zeszyty pisma tego zawierają następujące artykuły:

Zeszyt piąty: 1. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania: §. 1. Do kolegów na posiedzeniu nauczycieli szkół elementarnych. §. 2. Śpiew w szkole elementarnéj. §. 3. Jakie są przyczyny opuszczania szkoły i sposoby zaradzenia temu? §. 4. O szczepieniu, oczkowaniu i łączeniu drzew owocowych, jakie wiadomości dzieciom udzielać? §. 5. Kilka uwag nad budownictwem kościelném w Polsce. §. 6. Kilka słów o urzędzie nauczycielskim. — II. Rozmaitości.

Zeszyt szósty: 1. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania: §. 1. O potrzebie modlitwy w szkole! §. 2. Na czém zasadza się prawdziwy duch szkoły? §. 3. O emancypacyi. §. 4. Uwagi tyczące się przyjmowania dzieci do bractwa wstrzemięźliwości. — II. Wykaz dzieł religijnych i szkolnych. — III. Rozmaitości: Modlitwy szkolne od Świątek aż do Adwentu. Jakiż jest cel wypytywania czyli badania dziecka? Siewacz. Nauczające wyznanie Księcia. Nagroda i t. d.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 29. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 18. Lipca 1846.*

Abbé de l'Epée. — Pestalozzi (ciąg dalszy). — Lech I., czyli: Założenie Gniezna. — Posąg Cesarza Franciszka w Wiedniu przez Pompeo Marchesi. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Abbé de l'Epée.

Abbé de l'Epée.

Sposób nauczania głuchoniemych dopiero w XVI wieku dokładnie zgruntowano. Rudolf Agricola z Gröningen powiada, że jednego głuchoniemego nauczył czytać, pisać; i, że swoje myśli mógł mu łatwo objawiać. Uczony Cardan (urodz. 1501, zmarł. 1576) na uniwersytecie Pawskim, odkrył i upowszechnił teoretyczne zasady, udzielania nauk głuchoniemym; Pedro de Ponce, mnich u Benedyktynów w Hiszpanii (zmarły 1584) starał się zastósować jego zasady do praktyki. W 40 lat po śmierci Pedra wydał Jan de Paul Bouet, podobno Hiszpan, dzieło o głównych zasadach w téj materyi, które dla Abbé de l' Epée bardzo się użytecznem stało. W Anglii był Jan Bulver, który wielkie także położył zasługi — i równie jak jego poprzednicy na wdzięczność zasłużył; po nim idzie Vallis, który nie ustępuje piérwszym.

We Francyi zjawił się znakomity Abbé de l'Epée, którego naszym celem jest życie i chwalebne czyny opisać. Karól Michał de l'Epée urodzony w Versalu roku p. 1712; jego ojciec był nadwornym budowniczym owoczesnego monarchy, rozumny i znakomity człowiek, nie zaniedbał swojéj familii w nauce wychować. Młody de l'Epée był zaraz w młodocianym wieku do stanu duchownego przeznaczony, i został też nim rzeczywiście. De l'Epée zwrócił szczególniéj swoją uwagę na wychowanie i nauczanie głuchoniemych. Gdy raz poszedł do pewnego domu i zastał tam dwa dziewczęta razem siedzące przy oknie, które się szyciem zatrudniały, chciał z niemi mówić; lecz te żadnéj odpowiedzi mu nie udzielały. Dziwiło go to niezmiernie, lecz matka ich w krótce nadeszła i z błędu go wyprowadziła. Obydwie siostry były głuchonieme. „Pewien człek przyjacielski chciał je zupełnie wychować, lecz śmierć przerwała jego zamiary;“ były to słowa matki. De l'Epée, którego los ich bardzo obchodził, radził matce, ażeby te biedne dzieci codziennie do niego przysyłała, aby się czegoś pożytecznego nauczyły. Matka na to z ochotą przystała. Abbé miał z nich w krótce pociechę, bo owe dziéwczątka z głębokiéj niewiadomości, w któréj dotąd zostawały, wyprowadził, przez zręczną i trafnie im udzielaną naukę. Abbé de l'Epée stał się w krótce nie tylko nauczycielem, ale i ojcem téj nieszczęśliwéj klassy ludzi, bo nie tylko udzielał nauki, ale i pomoc pieniężną niósł nieszczęśliwym z swego szczupłego dochodu; miał bowiem tylko 16,800 złp. rocznego dochodu. Z tego zostawiał na swoje potrzeby czwartą część tylko, resztę poświęcał swym wychowańcom głuchoniemym. Jego trafna metoda, jego ojcowska miłość i staranie około swoich nieszczęśliwych wychowańców, czynią go niezapomnianym i jednają mu wdzięczność nie tylko teraz, ale u późnych pokoleń! Arosmith w swojém dziele o wychowaniu głuchoniemych, tak o Abbé de l'Epée powiada: „naukę Alembarta, naturę Buffona, smak Voltera, czucie Russa posiadał; ale geniusz i miłość ku cierpiącéj ludzkości czynią go daleko wyższym od tamtych. W jego późnéj starości ofiarowała mu Katarzyna II., Cesarzowa Rossyjska, podarunki, i przez swego Posła złożyć mu je zaléciła. „Mój Panie,“ rzekł Abbé de l'Epée, „ja nigdy złota w podarunku nie przyjmuję; — powiedz Pan Cesarzowéj, że gdy moje starania tyle ją obchodzą — wszystko, o co ją upraszam, jest to, aby mi jednego Nauczyciela obznajomionego w téj materyi posłać była łaskawa, za co jéj nieograniczenie wdzięczen będę.“ Cierpiąca ludzkość jego uwagę do tego stopnia zajęła, że dochody swe w taki nieład wprowadził, iż często długi czas szczupłém zaspokojeniem najpierwszych potrzeb obywać się musiał. Z jednéj podobnéj dobroczynnéj jego czynności, usnuł Bouilly sztukę, pod tytułem: „*L'Abbé de l'Epée*,“ którą Kotzebue dla sceny niemieckiéj przerobił pod tymże samym tytułem. Abbé de l'Epée umarł dnia 23. Grudnia 1789 roku; opłakiwany i żałowany powszechnie, a szczególniéj od swych wychowańców, którzy w nim naraz swego ojca, swego dobrodzieja, swą pomoc utracili!..

J. P.

(Z niemieckiego.)

Pestalozzi.

(Ciąg dalszy.)

Dążenie powszechne ówczesnéj młodzieży, aby wesprzeć wszelkiemi siłami w sprawach publicznych miasto rodzinne i ojczyznę, daléj uczucie sprawiedliwości obudzone do najwyższego stopnia, już to przez zapatrywanie się na krzywdy, już to przez doświadczenie własne, spo-

wodowało go do poświęcenia się nauce prawa. Lawater, Füschli, Fischer i Pestalocy założyli towarzystwo w celu zniesienia wszelkich nadużyć, które lud znosić musiał; ujmując się zawsze za takimi, którzy albo dla ubóstwa, lub dla niskości urodzenia, nie mogli swéj sprawy popierać. To publiczne występowanie było powodem, iż musiał udać się do dziada swego, aby uszedł zemsty. Tu był świadkiem nowych niesprawiedliwości i uciążliwéj swawoli. Miasto Zürich coraz więcéj starało się handel wieśniaków niweczyć. To wzmacniało i ożywiało tém bardziéj w nim myśl wspierania uciśnionych. Prawa ludu, siła ludu, cnota ludu, były środkiem zespojenia wszystkich jego uczuć i czynności. Po śmierci swego najdroższego przyjaciela Blunschli, kazano Pestalocemu dla słabości zdrowia na wsi bawić się. W ten czas już doszedł był do tego przekonania, że w swym zawodzie nie zapewni sobie trwałego wpływu na życie publiczne, gdyż obroną ubóstwa i uciśnionych przeciw ciemiężcom i przemożnym zagradzał sobie drogę do wszelkich urzędów. Przejęty więc myślą nauczania i wychowania ludu, popaliwszy wszystkie swe historyczne wyciągi i prawnicze manuskrypta, zawołał: „Zostanę nauczycielem!“ I natychmiast udał się na wieś, gdzie wuj serdecznie go przyjął i zdrowiem jego szczerze się zajmował. Przyszedłszy do siebie, udał się do dziedzica wsi Kirchberg, pod Bern, nazwiskiem Tschiffeli, w celu wykształcenia się w gospodarstwie.

Przyjęto go w Kirchberg prawdziwie po przyjacielsku; atoli i Tschiffeli, mimo różnorodnych wiadomości, tak mało miał prawdziwéj podstawy w swém pojmowaniu gospodarstwa z praktycznéj strony, że Pestalocy utwierdził się wprawdzie w swoich kolosalnych planach, przecież praktycznego poglądu i biegłości nie nabył. W roku 1767 kupił, wsparty domem handlowym w Zürich, 100 mórg roli w celu sadzenia marzany farbierskiéj, wystawił sobie dom mieszkalny w stylu włoskim i nazwał całą tę posiadłość Neuhof. W roku 1769 zaślubił się z córką bardzo majętnego kupca z Zürich, z Anną Schulthess.

Działalność Pestalocego w Neuhof.

Chęć, naturalny popęd wspierania, głębokie uczucie prawdy i sprawiedliwości, nie dozwoliły Pestalocemu patrzeć z obojętnością na błędy świata, na ową dumę nieprzełamaną, która ciężyła na chatach ubóstwa, na ową obmierzłą obojętność na słabości i błędy. Wszystko to razem wziąwszy, niepokoiło go i leżało mu na sercu, ale tylko do odparcia złego dodało mu sił, nie zaś do wolnéj, swobodnéj i uporządkowanéj czynności. Tak postępując rozwinął w sobie odwagę i energią, wspartą przekonaniem, że cel, który sobie zamierzył, zupełnie odpowiadał jego usposobieniu wewnętrznemu; atoli z drugiéj strony czuł się nieszczęśliwym z disharmonii, jaka panowała z przyczyny ogromu jego woli a niedostatku sił i uzdolnienia praktycznego w tém wszystkiém, co jest nieodzowném w dojściu do zamierzonego celu. Nie długo cieszył się z swą pełną miłości i poświęcenia dla niego małżonką prawdziwém szczęściem domowego pożycia. Dom handlowy w Zürich dowiedziawszy się, że rola zakupiona ma być zupełnie niezdatna do uprawy, wysłał dwóch zacnych ludzi w celu przekonania się o stanie rzeczy. W skutek tego rozbiła się zupełnie spółka. Atoli nie zgadzało się wcale z naturą Pestalocego, aby tam, gdzie szło o wypełnienie powołania, w przedsięwzięciu, chociażby losy zupełną zgubą zagrażały, ustawał. Jak lew spłoszony z legowiska porwał się, chcąc się zmierzyć z przeciwnościami. Pomimo że usunięcie się domu handlowego w Zürich w bardzo przykre położenie go wprawiło, przeznaczył jednak swą wioszczynę na cel pedagogicznych i gospodarczych usiłowań. Odtąd postanowił żyć w towarzystwie dzieci żebraków, w ubóstwie z niémi chlebem się dzielić, postanowił żyć jak żebrak, aby się nauczyć, jak żebraka wznieść do stanowiska człowieka. W tenczas wypracował pełen zapału i wymowy plan swego instytutu dla ubóstwa. Przedsięwzięcie jego zwróciło uwagę publiczności, wychwalano cel jego pełen miłości, wielbiono jego zasady, i pomimo, że nie miano do jego zdolności praktycznych zaufania przyszło mu wielu bez zażądania procentów na kilka lat w pomoc. W roku 1775 otworzył instytut w Neuhofie. Zewsząd zbiegały się dzieci, nie mało ich sam Pestalocy z nędzy wyrwał, nieoledwie z ulic pozbierał. W krótkim czasie zeszło się 50 uczni, którzy się latem pracą polną, zimą przędzeniem i innémi ręcznémi robotami zatrudniali, a równocześnie szczególniéj ćwiczeniem w mowie ustnéj i rachunkami pamięciowémi

w celu rozwinięcia siły myślenia. Pestalocy bowiem przekonał się, że każdy człowiek już z natury dość sił i środków posiada, aby tu na ziemi zadowolnienie znalazł; że przeszkody, które w rozwijaniu się sił i zdolności znajdujemy, łatwe są do zwalczenia. Zwykłe środki na drodze łaski i miłosierdzia, którémi ludzie chcą zapobiedz złemu, więcéj drażnią i powiększają, aniżeli niweczą niedolę. Jako jedyny środek uważał rozwinięcie, ożywienie i oswobodzenie wrodzonéj każdemu człowiekowi siły, zaspokojenia chęci uzdolnienia się do wszelkich zatrudnień, obowiązków i stósunków życia. To przekonanie nie pozwoliło mu spocząć w pracy; najuboższego nawet człowieka chciał wznieść do tego stanowiska, aby ciało i ducha, całą moralną godność, sam przez się i przez stósunki, w których już to jako pojedyńcza osoba, już to jako ojciec familii, już to jako obywatel żyje, z pewnością mógł wykształcić, aby przez to wykształcenie założył sobie pewną i niewzruszoną podstawę w życiu. Pierwszy krok uczynił przyjmując dzieci żebraków, sieroty i zupełnie zaniedbane dzieci, aby je wyrwać z poniżenia, wrócić im godność utraconą, wskazać wreście wyższe ludzkości przeznaczenie. Jego instytut miał na celu wykształcenie w uprawie roli, w industryi pospołu z domowém gospodarstwem; za ostateczny jednak, a zatém główny cel uważał, obudzenie w człowieku własnéj godności. Przez obchodzenie się łagodne i względne, chciał w nich wzbudzić siłę ciągłego natrudniania się i przezwyciężania, a rozogniwszy serce do wszystkiego, co tylko jest wzniośłém i szlachetném, chciał ich do tego doprowadzić, aby każdy krok przekonaniem był napiętnowany. Na tak wzniosłych i silnych zasadach oparty, wpływał Pestalocy od rana do wieczora na sieroty, zawsze świadom tego, co czynił. Między przyjętémi dziećmi było bardzo wiele prawie zupełnie zdziczałych, a co gorsza, nawet z klasy żebraczéj rozpieszczonych, które uważały stan, w którym się znajdowały, jako poniżenie. Matki się schodziły, drażniły umysły dzieci narzekaniem na ich położenie, niektóre nawet starały się dzieci świeżo oporządzone i świątecznémi szatami okryte uprowadzić z tém wszystkiem. Trudności te można było przezwyciężyć, gdyby Pestalocy instytutu swego nie był za nadto rozszerzył i takich urządzeń wprowadził, które wymagały jak największéj znajomości fabryk i ludzi. Przeciw własnym zasadom, że bez znajomości grubszych robót subtelniejszémi zajmować się nie można, kazał najpiękniejsze muszlinowe chustki wyrabiać, zanim robotnicy jego bawełnianą robotę poznali. Przez tym podobne błędy, wypływające jużto z nieznajomości rzeczy, jużto z niepraktyczności, w kilku latach majątek jakby z dymem uleciał. Ów wysoki stopień zaufania, który sobie zjednał u ludzi, zamienił się w zupełne lekceważenie wszelkich jego przedsięwzięć i zwątpienie nawet o zdolnościach jego. Całe jego plany zniweczone zostały po pięcioletniéj pracy roku 1780. Nieszczęście jego było jawne, bo bieda do domu zawitała. Najwyższą boleścią przejmował go los jego żony, która ze zbytecznéj szlachetności cały swój majątek mu oddała. Nie raz zbywało im nawet na pierwszych potrzebach życia, aby się tylko uchronić od głodu i mrozu. Tak jeszcze przez 18 lat w biedzie z biednymi żyjąc, mógł lepiéj jak bogacz poznać źródła niedoli stanów niższych i własnego nieszczęścia, bo gdy cierpienie dzielił z ludem, pokazywał mu się lud w czystém świetle. Odtąd po utracie majątku na polu wychowania już nie mógł działać, za to przez prace literackie, w których uczucia swego serca i skarb swych doświadczeń i usiłowań złożył, tém bardziéj zajaśniał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Lech I.,
czyli:
Założenie Gniézna.

Miasto Gniézno —
Miasto sławne, miasto sławne
Dawnych Polaków!
Miasto Gniézno —
Miasto dawne, starodawne,
Starsze niż Kraków!
O Krakowie ani dudu,
Gniézno już Polskiego ludu
Już jest stolicą, Królową,
Twierdzą Lechową.

Owoż kiedyś
Lech a pierwszy, Król a śmiały
Jedzie z dziedziny.
Szuka żony,
Szuka sławy, sławy, chwały,
Szuka krainy.
Widział góry, smugi, gaje,
Widział kraje, gdyby raje,

Pomnik cesarza Franciszka,
przez Pompeo Marchesi.

Wreszcie do ciebie przybywa,
Ziemio szczęśliwa!

Było to tak
Po południu, po obiedzie,
Tak w odwieczerze. —
Wtém na przedzie,
Król se jedzie, wojsko wiedzie,
Wszystko rycerze.
Potém Panie i Panięta,
I pachołki, pacholęta,
Potém dannicy i kmieci,
Matki i dzieci.

Słońce piecze,
Słońce pali, strasznie pali
Króla i Pany;
Bo ze złota,
Bo ze srebra i ze stali
Czapki, katany.
Panie w szatach złotolitych,
Lud w sukmanach ciężkich, zbitych.
Trzeba posiłku, popasu!
Prędzéj do lasu!!

Prawda, prawda,
Pot się leje, mocno leje!
Mdleją konie!
A tu dzisiaj
Wiatr nie wieje, ni nie zieje,
Ani nie wionie!
Lecz już blisko las, bór, bory:
Dęby, klony i jawory!
Wkrótce odpoczniesz tam w chłodzie,
Mój ty Narodzie!

Tam i wody,
Tam jeziora; o jeziora
To wyśmienicie
Do kąpania.
Teraz pora, sama pora,
Tam to skoczycie,
Boć ten upał, bo ta spieka,
Prawie smaży cielsko człeka.
Daléj, o daléj ku wodzie,
Naszéj ochłodzie.

Ale cóż to?
Owo drzewo tak zielone,
Cudnéj zieleni, —
A tam znowu
U wierzchołka tak czerwone,
Takiéj czerwieni?
Maż to drzewo wysolachne
Takie jabłko wielgolachne?
Cóż to, rycerzu, pachołku!
Tam u wierzchołku? —

Jestto gniazdo
Tak cudowne, tak czerwone,
Tak czerwieniutkie!
W niém orlątka
Już podrosłe, opiérzone,
Białe, bielutkie! —
A gdy Król z rycerstwem, z dworem,
Koniem toczy już pod borem,
Orzeł z pod niebios zlatuje!
Cóż on zwiastuje?

Szczęście, szczęście!
Bo i orzeł bieluteńki,
Bielutynieczki!
Cały biały,
Śnieżno biały, śnieżuteńki,
Nigdzie plameczki!
Tylko oczy są szarawe,
A zaś nogi czerwonawe.
Nigdzie równego na świecie
Znajść nie możecie!

Szczęście, szczęście!
Bo i konik Króla, Pana
Taki jest biały!
A konika
Król odebrał z rąk Kapłana!
Bogić go dały!
Szczęście, radość i wesele!
Orzeł się pod nogi ściele!
Komuż? Białemu koniowi,
Raczéj Królowi.

A Monarcha
Chwat zesiada, orła bierze;
Orzeł się łasi.
Wtém się ozwał
W téjże chwili, w téjże mierze —
Cały ród ptasi.
Śpiéw i świergot, pisk, krakanie
Wita Cię, Monarcho, Panie!
Zostań w téj zyznéj krainie,
Tutaj jedynie!

Król się dziwi
I nie siada na konika,
Idzie zaś pieszą.
Idzie z orłem,
A tu naród w głos wykrzyka;
Wszyscyć się cieszą.
Wtém się orzeł z rąk wysuwa.
Dokąd, dokądże on fruwa?
Oto do gniazda, do dzieci
Wzmaga się, leci.

Wzmógł się, usiadł,
Wraz się ozwał. Cóż to znaczy?
Znaczy: O stójcie!
Taki naród
Nie stworzony na tułaczy.
Tu się rozbrójcie!
Tu wytchnijcie, odpocznijcie!
Tutaj pięknie, tutaj żyjcie!
Tutaj rycerska ma jazdo,
Tutaj, gdzie gniazdo!

Tu, gdzie gniazdo,
Niech i wasze gniazdo będzie!
Tutaj ma dziatwo!
O, słuchajcież,
I wstrzymajcie się w zapędzie!
Łatwoć to, łatwo!
Dość tu chleba, dobra gleba!
Tutaj dla was łaska nieba!
Tu się obozem rozłóżcie,
Miasto załóżcie!

Można tu mieć
Groch i żyto, groch, pszenicę, —
Ryby i grzyby;
Miejsce zdatne
I na twierdzę i stolicę!
Tak! bez ochyby!
W kołoć widać wody, wody!
Takie miejsca lubią grody.
Grom się zaś z was nie urągnie,
Wodać go ściągnie!

Mówię prawdę!
Póki tutaj Król pomieszka,
Naród nie zginie.
Nigdy, nigdy
Was nie spotka klęska ciężka
W téj tu krainie!
Słyszy Król, a dobra rada,
I stolicę tam zakłada.
Siedział tam długo na tronie,
W złotéj koronie.

A że najwprzód
W owym boru, w owym lesie
Gniazdo ujrzano:
Miasto Lecha,
Jak to wieść nam dawno niesie,
Gnieznem nazwano.
Orzeł, że był pierwszym ptakiem,
Stał się najwprzód miasta znakiem,
Potém i całéj równiny,
Całéj krainy.

Ów to orzeł,
Orzeł biały, śnieżno-biały,
Orzeł bez plamki!
Ów, przed którym
Serca drżały, miecze drżały,
Twierdze i zamki!
Orzeł ów w czerwoném polu,
Co się broczył na Podolu,
Broczył pod Wiedniem za Boga,
Lecz i za wroga, za wroga,
Lecz i za wroga!

Warszawa, d. 13. Listopada 1845 r.

Sierp Polaczek.

Posąg Cesarza Franciszka w Wiedniu przez Pompeo Marchesi.

Posąg ten wystawiony jest w rzymsko-greckim stylu, wysokość jego dochodzi 50 stóp wiedeńskich, kształt całości przedstawia się w piramidzie. Podstawę stanowi podłużny czworobok z granitu polerowanego, na téj spoczywa druga podwalina z granitu, któréj wydrążone a stérczące boki przystrojone są ozdobami z bronzu. Na kończynach trzeciéj podstawy granitowéj siedzą na zewnątrz zwrócone cztery figury kobiece, przedstawiające cnoty Cesarza Franciszka jako rządcy. Figura z przodu posągu przedstawia religią, postawa jéj poważna i wzniosła, ubiór jéj składa się z długich sukien, spadających aż od tylnéj części głowy, głowa wzniesiona do góry, wzrok w niebo zwrócony, a na wysokiém czole błyszczy gwiazda. Rękoma założonémi przyciska czule do piersi koronę. — Pokój, z drugiéj strony, opiera się prawą ręką na mieczu, którego pochwa laurem jest uwieńczona, w lewéj trzyma gałązkę oliwną. U nóg téj figury znajduje się róg obfitości, napełniony kwiatami i owocami. Z przeciwnéj strony posągu równolegle z pokojem siedzi na filarze praw oparta sprawiedliwość z mieczem i wagą w ręku, naprzeciwko niéj siła, tu zarazem potęga, z opuszczoną maczugą i wystawionym puklerzem, na którym lew spoczywa. Wśrodku tych trzech podstaw wznosi się kolumna w kształcie ośmiokąta, któréj podstawę zdobią dębowe i oliwne wieńce, kapitel zaś fryzy i starożytne floresy. Na ośmiu płaszczyznach kolumny mieszczą się płaskorzeźby z alegorycznémi figurami w naturalnéj wielkości, które przedstawiają błogosławieństwo pokoju i owoce mądrego rządu. Na czele tychże znajduje się umiejętność, czoło jéj wzniosłe, głowa uwieńczona, a w prawicy zwinięty papier, na którym „*Eureka.*“ U podnoża napis: „*A Diis Immortalibus Omnia capienda Primordia.*“ Obok téj figury umieszczono chrześciańską sztukę, mającą na głowie dyadem z krzyżem, na harfie opartą, trzymającą w lewicy kulę ziemską. Następuje silna figura rycerza z wzniesioną chorągwią i do obrony gotową bronią. Przedstawia ona potęgę broni. Młody pastucha, oparty na buhaju, i otoczony jagnięciem, kozą i źrebięciem, wyobraża chodowanie bydła. Dziarska wieśniaczka, trzymają-

ca w ręku drzewo morwowe z jedwabnikiem, a w podpiętéj sukni mająca winogrona, przedstawia rólnictwo. Górnictwo wystawia na młocie i słupie wolty oparty mężczyzna, mający w swéj fałdzistéj sukni ułomy kruszczowe: w głębi rozpalona chuta. Industryą wyobraża przy głównem kole maszyny siedząca i toż poruszająca dziewczyna. Przy jéj boku znajduje się handel w postaci mężczyzny, otoczonego towarami i kreślącego coś z zastanowieniem w książce. W głębi statek kupiecki. Napis: „*Bello extincto, Viis patefactis, Tergeste et Venetiis Portus Immunitate Donatis, Commercium Terra Marique Ductum*," oznacza prawo portowe Triestu i Wenecyi. Nad podstupiem kolumny wznosi się statua Cesarza, 17½ stóp wysoka, okryta fałdzistą szatą dowódzcy, skroń jéj laurami uwieńczona, w lewicy berło trzyma, a prawicą dodaje dobitności wyrazom: „*Amorem Meum Populis Meis.*" Napis ten, przypominający XIV rozdział testamentu Franciszka, mieści się na postumencie. Na odwrotnéj stronie podstawy znajduje się dedykacya: „*Imp. Francisco I., Pio, Justo, Forti, Pacifico, Patri Patriae, Augusto Parenti, Ferd. I., Austr. Imp. MDCCCXXXXVI.*" Twarz zupełnie Cesarzowi podobna, ma wyraz łagodny i poważny, odpowiada zupełnie zwyż przytoczonym wyrazom, tchnącym czystą miłością. Całość posągu przedstawia się wspaniale i majestatycznie; tylko plastyczne stósunki do objętości placu Franciszka zdają się być cokolwiek za olbrzymie. Najlepiéj się udały siedzące figury, których wysokość wynosi 10½ stopy, figur na płaskorzeźbie 9 stóp. Wszystkie figury razem z ornamentami wziąwszy, ważą 88,836 funt., statua Cesarza waży 22,300 funt., sprawiedliwość waży 9,098 funt., pokój waży 11,363 funt., religia waży 11,200 funt., siła waży 9,555 funt. Płaskorzeźba wynosi 11,940 funt., ornamenta ważą 8,380 funtów.

№ 154.

Frelki i Chochołów pod Kiernozem.

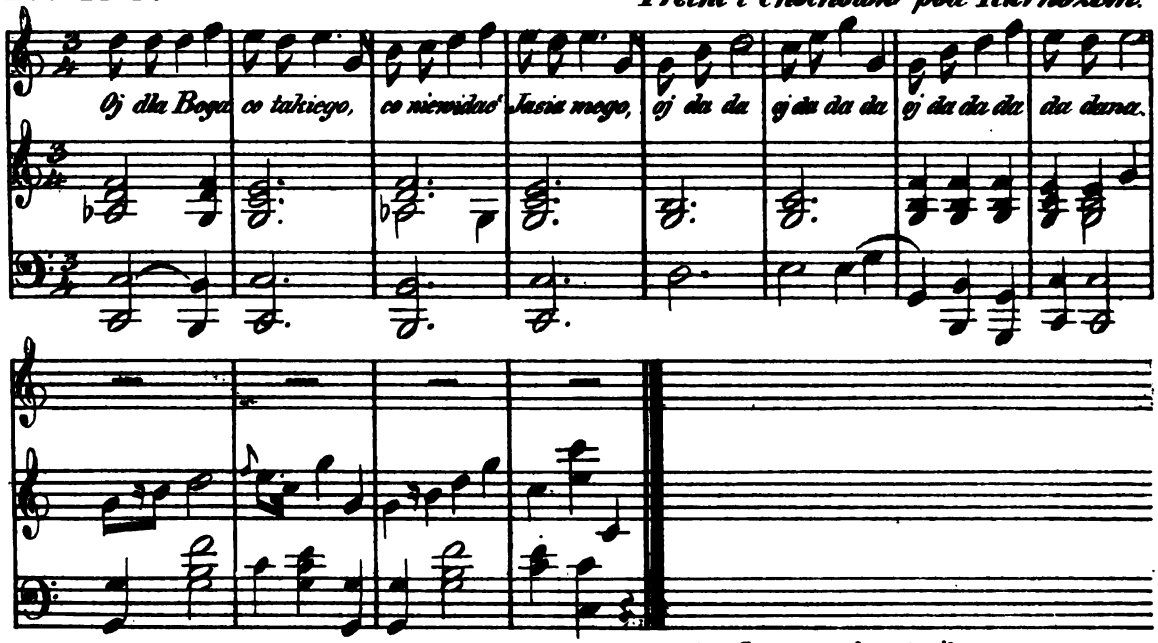

Text do *Nru. 154.*

1. Oj dla Boga co takiego,
Co nie widać Jasia mego!
Oj da da, oj da da da,
Oj da da da, da dana.

2. Czy go woda zatopiła,
Czy go inna odmówiła!
Oj da da, oj da da da,
Oj da da da, da dana.

(*Wójcicki*, P. I., T. II., str. 172.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 30. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 25. Lipca 1846.

Oświęcim. — Pestalozzi (ciąg dalszy). — Powieść. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu siódmego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.

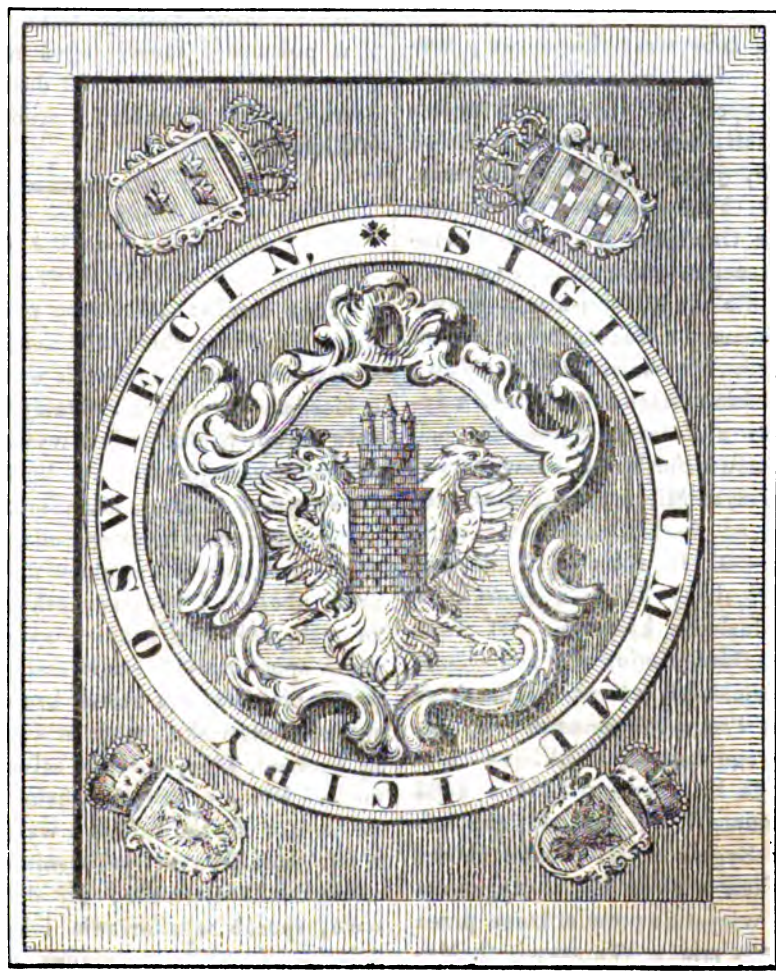

Herb miasta Oświęcima.

Oświęcim.

Miasto Oświęcim, położone na wzgórzu po prawym brzegu rzeki Soła, blisko jéj ujścia do Wisły, miało w dawniejszych czasach daleko większe znaczenie niż dzisiaj. Jakkolwiek historya założenia tego miasta nie jest znana, przecież podług wszelkich dat Oświęcim musiał być przed rokiem 1,000 założonym. Położenie geograficzne tego miejsca, zkąd rozległą płaszczyznę szczególniéj ku zachodowi przejrzeć można, daléj, że Wisła tam już jest spławną, że gościniec łączący Niemcy i Czechy z Polską prowadził na Oświęcim, że historya innych miast okolicznych poczyna się przed rokiem 1,000, że zresztą miasto to leży między Krakowem a Cieszynem, a ostatni już w roku 810 przez Księcia Kazimierza założonym został, wszystko to razem mówi za starożytnością Oświęcima. W roku 1291 miał Oświęcim przywiléj od Mieczysława III., Księcia na Cieszynie i Opolu, żeby wszystkie sprawy ważniejsze sądzili ławnicy i przysięgli tego miasta, bez dalszéj apelacyi; daléj miał prawo składu ołowiu i soli, prawo poboru z dwóch mostów, wszystko, jak się przywiléj wyraża, w celu polepszenia bytu mieszczan przez handel. Kiedyż więc Oświęcim już w 13ym wieku takie miał znaczenie, mimo ciągłych wojen, wzgardy szlachty dla stanu miejskiego, łatwo więc przypuścić możemy założenie tego miasta przed rokiem 1,000. Po śmierci Mieczysława III. księstwo Opolskie zostało podzielone, a dystrykt Oświęcimski z Zatorem dostał się pod tytułem księstwa Oświęcimskiego Janowi, synowi po bracie starszym Mieczysławie Kazimierzu II. Jan miał aż do 1322 roku swą stolicę w Oświęcimie. Około roku 1427 odłączono Zator od Oświęcima, każdy z dystryktów stanowił odtąd oddzielne księstwo. W roku 1453 był Jan na Oświęcimiu, dla poniesionéj klęski, w skutek zamieszek z Krakowianami, za 60,000 kop groszy Pragskich zmuszony do oddania księstwa swego koronie Polskiéj. — Dokumenta Kazimierza IV. z roku 1454 i 1464 tego miasta, Zygmunta I. z roku 1541, przywileje nadane przez Zygmunta II. z roku 1564 i 1565, Króla Stefana z roku 1577, Zygmunta III. z roku 1615., wszystkie potwierdzone przez Króla Jana III. na sejmie w Warszawie 6. Maja 1683 i przez Augusta III. tamże w roku 1739, potwierdzają prawo miasta tego co się tyczy składu soli, i zarazem zastrzegają, aby każdy kupiec, któryby do Szląska lub Morawii sól wywozić zamierzał, pod karą konfiskaty ładunku, prosto na Oświęcim jechał, i aby tamże sól kupił, lub się przez trzy dni zatrzymał. Surowość tego zastrzeżenia miała na celu, podług słów dokumentów, opiekę monopolu składowego i cła mostowego. Szesnasty wiek był złoty czas Oświęcima. Miasto było otoczone wałem i murem, liczyło 500 domów i więcéj jak 200 majstrów rozmaitych rzemiosł. Klasztór dominikański, dziś już tylko ruinę przedstawiający, już w szesnastym wieku był wystawiony. Przez wojny Szwedzkie za Jana Kazimierza dużo miasto to ucierpiało, tak że w roku 1660 już tylko było 40 domów, 6 rzemieślników i 10 rólników. Po rozbiorze pierwszym Polski dostało się księstwo Oświęcimskie pod panowanie Austryackie. Dziś z pomników dawnéj wielkości zostały tylko stare zamczysko i w północnéj części tegoż murowana wieża. Miasto to liczy dziś 2,872 dusz, z których połowa Żydów; mieszkańcy trudnią się po części rólnictwem.

Pestalozzi.

(Ciąg dalszy.)

Jego dzieło: „*Godziny wieczorne pustelnika,*“ zawiera zbiór wielkich, wybitnych spostrzeżeń i myśli, będących owocem przeszłości a ziarnem przyszłości. Daléj dzieło, które na całą Europę wielki wpływ wywarło: „*Lienhard i Gertruda,*“ jest dziełem dla ludu. Za to dzieło otrzymał w Bern złoty medal, który przecież niezadługo z biedy sprzedać musiał. W tém dziele przemawia Pestalocy po raz pierwszy do serca ubogich i opuszczonych z ludu, i do serca tych, którzy w kraju w sprawie ubogich ludzi i opuszczonych Boga zastępują, przemawia poraz pierwszy do matek kraju, pokazując im ważne stanowisko, jakie w świecie zajmują, że są istotami, których żaden człowiek zastąpić nie może. Przez tę książkę chciał wyrobić dla ludu lepsze wychowanie, wychowanie zgodne z ich prawdziwém położeniem i naturalnemi stósunkami. Gertruda, jéj domowe gospodarstwo, sposób wychowania i kształcenia swych dzieci, jéj pobożna rozsądna i do czynu zapalająca miłość wśród ogólnego zepsucia całéj

gminy wiejskiéj, jest ideałem Pestalocego. W roku 1782 napisał drugie dzieło dla ludu: „*Kryształof i Elisa*," które zarazem miało być próbą książki, któréj użyć miano w zakątku domowym, w téj dla ludzkości najlepszéj szkole wziętéj z życia rzeczywistego. Chciał on w niém wykazać związek przyczyn wyższych, ale zarazem przez przebiegłość zatajonych i zasłonionych zepsucia ludu z jawnémi, otwartémi, oczywistémi przyczynami. Ale nie uderzył w stronę ludu i dla tego książka ta mało dostawała się w ręce ludu. W rozprawie, którą umieścił w piśmie, przez niego założoném w roku 1782: „*O prawodawstwie i dzieciobójstwie*," mówi z głębokiém uczuciem o nieszczęściu zwiedzionych niewinnych ludzi; dochodzi źródeł złego, wskazuje wreście środki zaradzcze, szczególnie przeciw dzieciobójstwu. W zepsuciu ludzi, zatwardziałości serca, znajduje źródło złego, w mądrości zaś prawodawstwa szuka środków, któreby przez ożywianie i popieranie życia familijnego, przez czuwanie nad porządkiem, wstydliwością i poczciwością, ustalały szczęście domowe. W drugiéj połowie 1780 roku napisał: „*Figury do mego A B C*," albo „*do początków myślenia*," które przecież dopiero 1795 wyszły, a w roku 1805 pod tytułem: „*Bajki*" nowo wydane zostały. W nich kreśli zwierzęce uroszczenia natury ludzkiéj, daléj samolubne, egoistyczne przywłaszczenie potęgi ludu pod obrazem powieści wziętych z życia zwierząt. Bajki te, jakkolwiek niekiedy jednostronne, w ogóle są dobitne, naiwne i genialne. Wszystkie przenika jego miłość ludu, ojczyzny i wolności; daléj są dowodem głębokiego uczucia, wynikłego z przyczyny jawnego osłabienia najważniejszych fundamentów, na których spoczywał dawny błogosławiony byt Szwajcaryi i przeczucia jego niebezpieczeństw. Najsłabsze z jego dzieł jest: „*Poszukiwania postępu natury w rozwijaniu rodu ludzkiego.*" Na początku tego dzieła rozbiera człowieka w stanie natury, w którym człowiek jako nieskażone dziecko instynktu w prawdziwie zwierzęcéj czystości żyje; przechodzi potém do towarzyskiego pożycia, którego tło głównie obojętnością i egoizmem widzi nacechowane; w końcu zajmuje się człowiekiem żyjącym w stanie nieobyczajonym, gdy wzniósł się ze stanowiska zwierzęcego do ludzkiego. Tu się oczywisty wpływ Rousa pokazuje. Jakkolwiek Pestalocy we wszystkich tych pismach obszernie i z ogniem się rozwodzi nad środkami zaradczémi co do nędzy ludu, szukając ich w wychowaniu zgodném z naturą, nie znalazł przecież udziału. W ubóstwie zapomniany, niepokojony smutny żywot prowadził. Czuł on to bardzo dobrze, że, aby świat poprawić, nie wystarcza napisać książkę, którąby ludzie podziwiali. W skutek spustoszenia w roku 1798 kantonu Unterwalden przez francuskie wojsko, mnóstwo dzieci pozbawionych rodziców tułało się bez przytułku. Dyrektorowie Szwajcaryi, a mianowicie Le Grand, Stapfer i Rengger wezwali Pestalocego do założenia instytutu dla sierót w Stanz, na co mu wyznaczyli klasztór Urszulinek. Zbiegały się zewsząd dzieci nieschludne, brudne, wychudłe, wyżółkłe; w oku malowała się obawa, na czole zmarszczki niezaufania, niektóre napiętnowane były bezczelnością, fałszywością i kłamstwem, niecnotami nabytémi przez żebractwo, inne zupełnie nędzą pognębione pozbawione były miłości, bojaźliwe, leniwe, a w ogóle wszystkie zupełnie w nauce zaniedbane. Najmniéj go niepokoił zupełny brak szkólnego wykształcenia, bo miał zaufanie do sił ludzkiéj natury, zwłaszcza przekonawszy się nie raz, że zdolności często są ukryte pod zasłoną surowości, zdziczałości i zepsucia. Był przekonany, że serce jego ten stan dzieci tak szybko zmieni, jak słońce wiosienne zmarzłą ziemię. Głównem więc teraz jego staraniem było, całe błogosławieństwo, spływające z domowego wychowania, przenieść do szkoły. Słowem do tego zmierzał, aby publiczne wychowanie przejęło zalety domowego. Jak oko matki w domu codziennie, nieomal co godzinę spostrzega zmiany duszy w dziecku z oka, ust i czoła, tak téż i siła nauczyciela ma być prawdziwą na duchu domowego życia opartą siłą ojcowską. Dzieci miały z jego ócz wyczytać, że ich szczęście jego szczęściem, że co dla nich uciechą, roskoszą, to i jemu szczęście sprawia. Odtąd stał się Pestalocy ojcem ubóstwa. Ducha domowego życia, ową podstawę wszelkiego prawdziwego wychowania i wykształcenia człowieka, starał się wlać przez miłość i poświęcenie. Korzystając ze wszystkich sił ducha swego, pracował głównie nad tém, aby w dzieciach uczucie prawości i poczciwości wzbudzić. Pragnął, aby wszystkie dzieci uważały się za jednę rodzinę, i w istocie w krótkim czasie,

Objaśnienie liter.

a. Rzeka Soła, spław drzewa w taflach i siągach z Żywieckiego państwa (dóbr Arcy-Księcia) co do Oświęcimia i Krakowa ułatwiająca.
b. Most wiszący klockowy (Hängkloßelbrücke), 78 siąg długi, o 12 jarzmach (arkadach) z r. 1834.
c. Wieże, areszt ciemny pod ziemią, znacznie zniżona, na któréj u wierzchu mieszkania dla warty się znajdowały, oraz miejsce do strzelania; teraz stoi tryanguł trygonometryczny.
d. Zamku główna część, z którego herb orzeł z trzema liliami w r. 1835 wydany został przez mniéj dbającego o starożytności dziedzica zamku K. R. na zamek Zatorski.
e. Kościół Farny z r. 1527 nad drzwiami zakrystyi.
f. Kamienica z piętrem narożna, okazała, pod Opatrznością, Ks. Proboszcza M. S.
g. Ratusz o piętrze kwadratowy z wieżą na rynku w r. 1792 restaurowany.
h. Bóżnica żydowska.
i. Klasztór exdominikański, wysoki, w murach, w r. 1519 restaurowany, z sygnaturką pięknéj struktury, w r. 1845 jako zwaleniem grożące pokrycie zniesione.

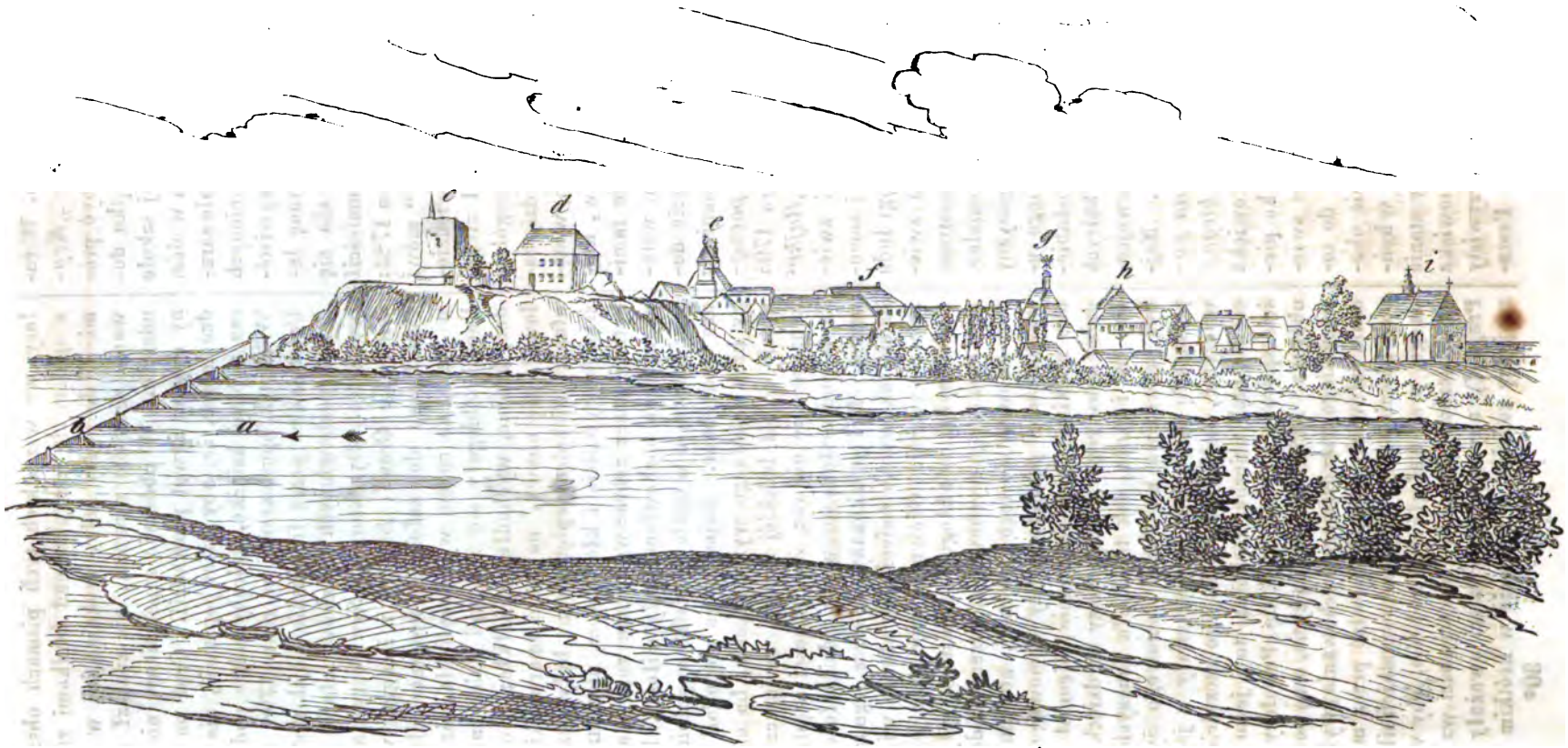

Miasto Oświęcim w Wadowickim cyrkule.

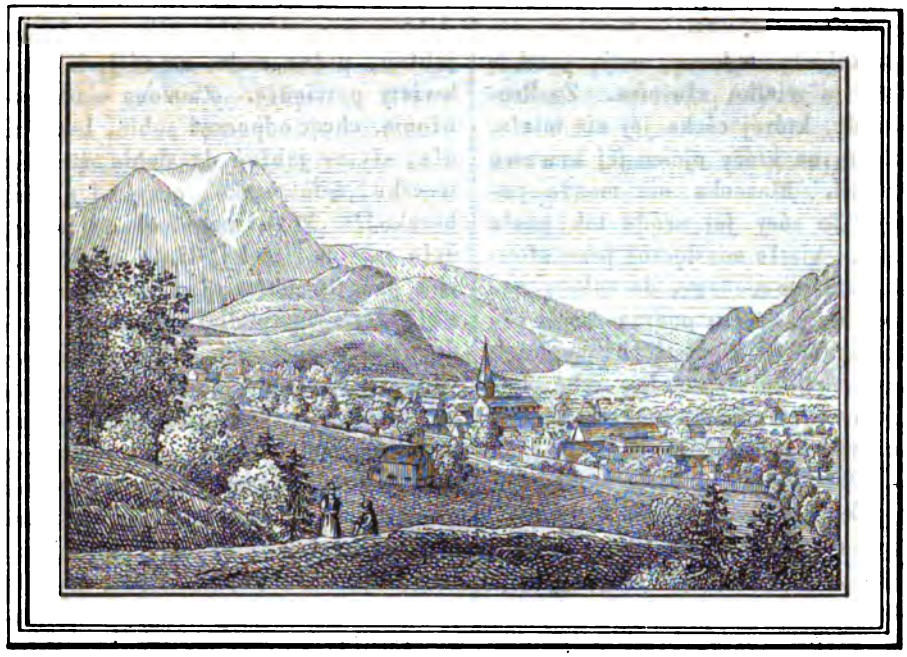

Stanz.

owe 80 dzieci zupełnie zdziczałe pałały ku sobie miłością, serdecznością; przez zaspokojenie ich potrzeb codziennych, przez przyzwyczajenie ich do prac przynoszących drugim ulgę, wskazywał im, na czém polega czyn, którego podstawą miłość i obyczajowość. Nie rozprawiał on o moralności i religii, ale gdy tak cicho było w klassie, że muchę można było usłyszeć, wtenczas pytał się ich: „Czy nie jesteście rozsądniejszémi i grzeczniejszémi, jeżli tak się zachowujecie, aniżeli gdy chałasujecie?“ Gdy zawisły na jego szyi i ojcem go nazywały, pytał się: „Czy jest słuszną rzeczą, że go teraz całują, a w jego nieobecności przyczyniają się do jego zmartwienia?“ Gdy się Altdorf spalił, zgromadził dzieci i rzekł: „Altdorf pogorzał, może w téj chwili jest sto dzieci bez schronienia, bez żywności, bez przyodziewku. Czybyście nie chciały naszę władzę prosić, aby ze 20 dzieci do tego instytutu przyjęła?“ A gdy wzruszone wołały: „Będziemy prosić;“ mówił: „Ale moje dzieci dom nasz nie posiada dosyć pieniędzy, będziecie zmuszone dla tych dzieci więcéj pracować, mniéj jadać i wasze suknie z niémi podzielać — czy dla ich nędzy chętnie wszystko znosić będziecie?“ A one wołały: „Niech przyjdą, ojcze, my chętnie będziemy więcéj pracowały i gorzéj jadały.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zła macocha.

Powiastka Wielkopolska. (1)

W jednéj wiosce przed laty mieszkał chłopek ubogi w słomianéj i lichéj chatce. Jedna krówka, skrzynka czerwono w kwiaty malowana i koniecznie potrzebnych sprzętów trochę, były jego bogactwem. Żona mu umarła, i zostawiła grzeczną a gładką dziewoję. Biedna dziewczyna, rzéwnie płakała, a płacząc izbę uprzątała, krówkę doiła, jeść gotowała, a ugotowawszy ojcu w pole nosiła. Ona to była ozdobą całéj wioski, choć uboga, choć nie miała wieńca ze złocistych kwiatów, ani tak wiele i różnofarbnych wstążek, w któreby się ustroić mogła, jednak chodziła chędogo, a we wieniec z rozmarynu, lub z polnych kwiatów przybrana, przewyższała urodą nie jednę córę gospodaraką. Nie długo jednak przy ojcu mieszkać mogła, przyszedł czas nieszczęsny, gdzie rozstać się z nim musiała, i porzu-

(1) Ze zbioru powiastek Wielkopolskich Fr. Wa[illegible]wskiego.

cić domek luby, w którym się urodziła, w którym jéj matuchna umarła. Ojciec bowiem ożenił się znów z kobietą, wdową, mającą także córkę; ale była to wielka złośnica. Zazdrościła Kasi i urody, któréj córka jéj nie miała, i kawałka chleba, na który ojciec jéj krwawo i ciężko pracował. Macocha nie mogła patrzyć na Kasię, bo córy jéj uroda tak gasła przy Kasinéj, jak światło miesięczne przy słońcu. Poniewierała więc niebogę, do roboty napędzając, rano wstać kazała, podczas kiedy córa jéj sobie dolegała, i wszystkich wygódek używała. Kasia chętnie wstawała, izbę chętnie umiotła, krówkę wydoiła, wody naniosła; ale wszystko macosze za mało było, wciąż na nią się dąsała. Bolało to i ojca; lecz cóż miał robić, święty pokój chcąc w domu zachować, przedstawiał tylko żonie i prosił, by się z córką jego lepiéj obchodziła. Nic to nie poradziło. Nareszcie naprzykrzyło się Kasi siedzieć przy tak złéj macosze, prosi tedy ojca by ją puścił z domu na służbę. „A kędy pójdziesz, córo kochana?“ zapytał ojciec ze łzami: „Pójdę w świat daleki, gdzie mnie oczy poprowadzą; a choć to trudna poniewierka u ludzi, może znajdę szczęście dla siebie u obcych ludzi miłosiernych.“ Dał jéj ojciec błogosławieństwo na drogę, ucałował jedyne dziecię, i puścił, poruczając ją Opatrzności. Cieszyła się macocha i radowała bardzo, że się pozbędzie znienawidzonéj dziewki. Szła Kasia płacząc, fartuszkiem łzy ucierając, co by perełki spływały po licu; szła drogą w świat daleki. Znużona przyszła nad studnią, ocienioną wysokim jaworem, usiadła nad nią i serdecznie rzewnić sobie poczęła, rozwodząc skargi na złośliwą macochę. Wśród łkania słyszy głos ze studni: „Dzieweczko, dzieweczko, wyczyść mnie rybeczko!“ a była ta studnia bardzo zamulona. (2) Wzięła się do pracy Kasieńka, bez ociągania się, studnię wybrała, a wybrawszy w dalszą puściła się drogę. „Będę pamiętała o tobie, gdy będziesz wracała;“ wołał głos za odchodzącą. — Idzie znów daléj rzewniąc sobie, aliści nade drogą rośnie jabłoń, pełno mchu na niéj, liście pożółkłe i kwiaty powiędłe. Znużona siada pod oną jabłonią, chcąc odpocząć sobie, lecz ledwie usiadła, słyszy jabłoń do siebie mówiącą: „Dzieweczko, dzieweczko, oczyść i podléj mnie rybeczko!“ W okamgnieniu dziewczę ochędożyło jabłoń z mchu, listki zżółkłe obrała, suche gałązki obłamała, a przyniosłszy wody z bliskiéj strugi podlała zemdlałe drzewo. Kiedy chciała odchodzić takie odebrała podziękowanie: „Nie zapomnę ci tego.“ — Znów idzie biedna dziewczyna daléj w świat nieznany, i przychodzi do pieca w polu stojącego; przechodząc mimo, słyszy znów wołanie proszącym głosem: „Dzieweczko, dzieweczko, wymieć mnie rybeczko!“ Wzięło się dziewczę do roboty, wybrało popiół i piec wymiotło, a za odchodzącą wołał głos: „Jak będziesz kiedy powracała, zajrzyj do mnie.“ Zdziwiona takiemi przygodami nieboga, idzie dzień i drugi, a nigdzie ani dachu, ani ludzi. Spotyka nareszcie starca, siwego jak gołąbka, który nie mógł przejść przez rów, i prosił nadchodzącéj, by go jakim sposobem przeprawiła. Wzięła go na plecy Kasia, i przeniosła. Starzec zaczął jéj się wypytywać, zkąd i dokąd idzie; a gdy się dowiedział o losie jéj, zapytał się, czyby u niego służyć nie chciała. „O czemu nie,“ rzekła dziewczyna, „jać przecie za służbą idę; a czy mi u was, czy gdzie indziéj służyć, toć mi jedno.“ Zgodziła się tedy na lat siedm, bo starzec tak chciał, i poszła do chaty ze starcem. W chatce nic prócz pieska i kaczki nie było. Te to zwierzątka starzec jéj pieczy poruczył, sam zaś często wychodził z domu i chodził po świecie. Kasia doglądała onego pieska i kaczuszki, a i starcowi posługiwała chętnie, kiedy do domu przyszedł. Minęło siedm lat, a Kasia zatęskniła do ojca, prosiła więc onego starca, by ją ze służby uwolnił, a obiecaną dał nadgrodę. Wypłacił jéj stary, dając pieniędzy co nie miara; lecz nie dość na tém, kazał jéj iść na górę i wybrać sobie pamiątkę. Stały tam skrzynie w piękne kwiaty malowane, złociste i piękne, ale też i proste drewniane; Kasia patrzy, którąby wziąć, ale widzi jednę w kącie stojącą, najgorszą ze wszystkich, i tę wybiera, a wybrawszy na dół znosi. „Dzieweczko, czemuś najładniejszéj nie wybrała,“

(2) Jest u nas zwyczaj i dziś jeszcze, że w zielone Świątki parobcy czyszczą, albo, jak zwykle mówią, wybierają studnię, potém za to, po kolendzie chodzą. Podobnie czynią, kiedy nową wykopią studnię, wtenczas obnoszą w dzbanku wodę od domu do domu, za co odbierają podarunki. W studniach mieszkają zaklęte królewne, wedle powieści ludu, do studni śpiewa pieśń: „Wpadły różczki rozmarynu z wieńca dziewczyny; i t. p.“

zapytał starzec; lecz dziewczyna kontentując się małém, rzekła: „Będzie to dla mnie dosyć, piękniejszéj nie potrzebuje.“ Starzec dał jéj taczkę, aby wieść mogła tę skrzynią, a aby jéj tęskno w drodze nie było, rozkazał biedz pieskowi i kaczusce z nią. Biegły tedy dwa te zwierzątka, a kiedy przybyły do wsi, wciąż wołał piesek: „*Hafu, hafu, hafula, jedzie nasza Kasiula; przed nią brzęk, za nią brzęk, wszystko ona dobre wiezie;*“ a kaczuszka mu przywtarzała, wołając: „*Tak, tak, tak.*“ Po kilku dniach swéj podróży przychodzi do onego pieca, który wymiatała, zagląda do niego, i widzi, zdziwiona, pełen najpiękniejszych kołaczy; a kiedy stoi i nie wie co począć, czy brać, czy nie, słyszy znów głos: „Bierz, ile chcesz, a co najlepszego.“ Nabrała więc kołaczów ile jéj dusza raczyła, i w dalszą poszła drogę; idzie, aż oto z daleka widzi jabłoń, którą ochędożyła ze mchu i suchych gałązek, a na niéj złociste połyskują jabłka; gdy się zbliżyła, znów woła coś na nią: „Urwiéj sobie kilka, bo tyś mnie chędożyła.“ Urwała siedm złocistych jabłek, a nie bawiąc się szła daléj. Znużona podróżą i spragniona przychodzi nad ową studnią, którą wybrała; napiła się wody czystéj jak kryształ, a chłodnéj; a gdy chciała odchodzić spostrzega trzy złote kule, a znów coś woła ze studni: „Dzieweczko, dzieweczko, weź te kule rybeczko!“ Wzięła je i schowała. Uradowana biegnie ku domowi, a tęskna miłość ku ojcu kroki jéj prędszémi czyniła, i już zdala widzi ojcowską chatkę i serce jéj bije, czy wszystkich zastanie, a osobliwie ojca przy życiu, i coraz prędzéj i prędzéj biegnie, i już blisko chaty. Stary ojciec na progu siedzi, i myśli o swéj biedzie, i patrzy ciekawie, co za dziewczyna ku niemu się zbliża. Poważnie podniósł się starzec, bo poznał swe dziecię, uściskał córę do nóg mu upadającą, a łzy radości spływały po licu, bo myślał, że się gdzie zmarnowała dzieweczka. Ale macocha nie chętnie spoglądała na Kasię, półgębkiem się z nią witała, a na boku szydersko się śmiejąc mówiła do córki: „Siedm lat służby, i cóż ma, stare skrzynczysko.“ Lecz jak się zdumiała, gdy Kasia skrzynczysko ono otworzyła, wykładać zaczęła szczerozłote wieńce i stroje i suknie co najpiękniejsze, i śrebrem tkane fartuszki; gdy zaczęła liczyć pieniądze i kule złote i jabłka, zazdrość porwała złośliwą kobietę i w okamgnieniu w sercu postanowiła i córę swoją wysłać na służbę. Wypytawszy się więc Kasi o wszystkiém, gdzie była; wysłała córę swoją z domu. Szła tą samą drogą co Kasia, i przyszła do studni, która jéj się prosiła, by ją wybrała, bo mułem zaszła, ale dziewczyna zamiast się wziąść do roboty, rzekła: „Daj mi pokój, muszę iść daléj,“ i poszła; przyszła do jabłoni, omszałéj i uwiędłéj, gdy pod nią usiadła, słyszy podobnie jak Kasia głos proszący, by jabłoń oczyściła i podlała: „A będę się tam skrabać na ciebie, i drzeć łachy,“ rzekła, i poszła daléj; przychodzi do pieca, i ten się prosił, by go wymiotła, a i tu się wymówiła. W drodze spotyka starca, siedział nad wodą, któréj przejść nie mógł, prosi się nadchodzącéj dziewczyny, by mu jako poradziła. Z początku wymawiała się, ale gdy jéj się przypomniał, że to może ten sam dziadek, co Kasi tyle dał bogactwa, przeniosła go przez wodę, i służbę u niego na siedm lat przyjęła. Ale jak mu służyła, o piesku i kaczusce, którémi się miała opiekować, żadnego starania nie miała; kiedy jeść starcowi gotowała, najlepsze kąski zjadała. Minęło siedm lat, dał jéj starek zasługi, i kazał jéj iść na górę wybrać sobie pamiątkę. Poszła dziewczyna, blask złocistych skrzyń dziwnie ją zastanowił, szuka najbogatszéj i najpiękniejszéj, a gdy wybrała na dół zniosła; dał jéj stary taczkę, włożyła skrzynią, do któréj zaglądać i otwierać nie miała, aż w domu, aby jéj się nie dłużyło; pieskowi i kaczce kazał stary jéj gospodarz biegnąć jak wprzódy; gdy już kilka dni szła, i jeść jéj się zachciało, poczuła zapach przesmacznych kołaczy, aliści widzi piec przed sobą, bieży prędko i widzi pełen rumianych kołaczy, chce brać, ale głos okropny słyszy: „Nie bierz, nie bierz, boś mnie wymiatać nie chciała.“ Zlękła się bardzo i idzie daléj; aż znów zalatuje ją przedziwny zapach jabłek, aż oto i jabłoń; chce rwać jabłuszka złociste, ale i tu odzywa się jabłoń: „Chędożyć mnieś nie chciała, nie będziesz rwała.“ Smutna idzie, aż znów przychodzi do studni, w któréj napić się przynajmniéj chciała. „Idź precz,“ zawołało coś ze studni i woda upadać zaczęła. Zesłabła, zadumana takiemi przygodami, szła pomału, pchając taczkę ze skrzynią. Przybywa do wsi, gdzie mieszkała jéj matka; dziwią się ludzie skrzy-

ni, ale piesek wprzód biegnie a woła: „*Hafu, hafu, hafula, jedzie nasza Jagula; przed nią brzęk, za nią brzęk, nic dobrego nie wiezie;*“ a kaczuszka przywtarzała, mówiąc: „*Tak, tak, tak.*“ „Widzisz, widzisz chłopie (3), moja córa idzie ze służby, o co za skrzynkę ma,“ i biegła czém prędzéj ku niéj. Wniosła czém prędzéj skrzynię do izby, i z wielką ciekawością i łakomstwem niezmiernem otwiera skrzynkę, aż tu, o zgrozo! zamiast wieńców złocistych i sukien i fartuchów śrebrem tkanych, pełno gadów, robaków, które się wiły jak ćma jaka i córkę chciwą z matką złośnicą zjadły. Taką to nagrodę odebrała zła ona macocha za poniewierkę biednéj sieroty!

(3) Tak kobiety nazywają mężów.

Text do *Nru. 155.*

1. Miesiącu, co się po ścianie
Błąkasz przed memi oknyma
Próżno zwiedzasz to mieszkanie,
Mego kochanka tu niéma.

2. Obróć twe blade promienie,
Do okien kochanka mego,
Zanieś mu moje westchnienie,
Powiedz, że tęsknie bez niego.

3. Lecz on już o innéj myśli,
O mnie już mniéj dbać zaczyna —
Z pamięci swojéj wykréśli...
To smutku mego przyczyna.

4. Twórco radości i smutku,
Co cieszysz jawnie i skrycie!
Prowadź me chęci do skutku,
Lub pozwól zakończyć życie.

(*Wacł. z Oleska*, P. 1. str. 271.), z towarzyszeniem fortep. K. Lipińskiego.)

Nº 155. PIOSNKA MIESZCZAŃSKA. *Z Galicyi.*

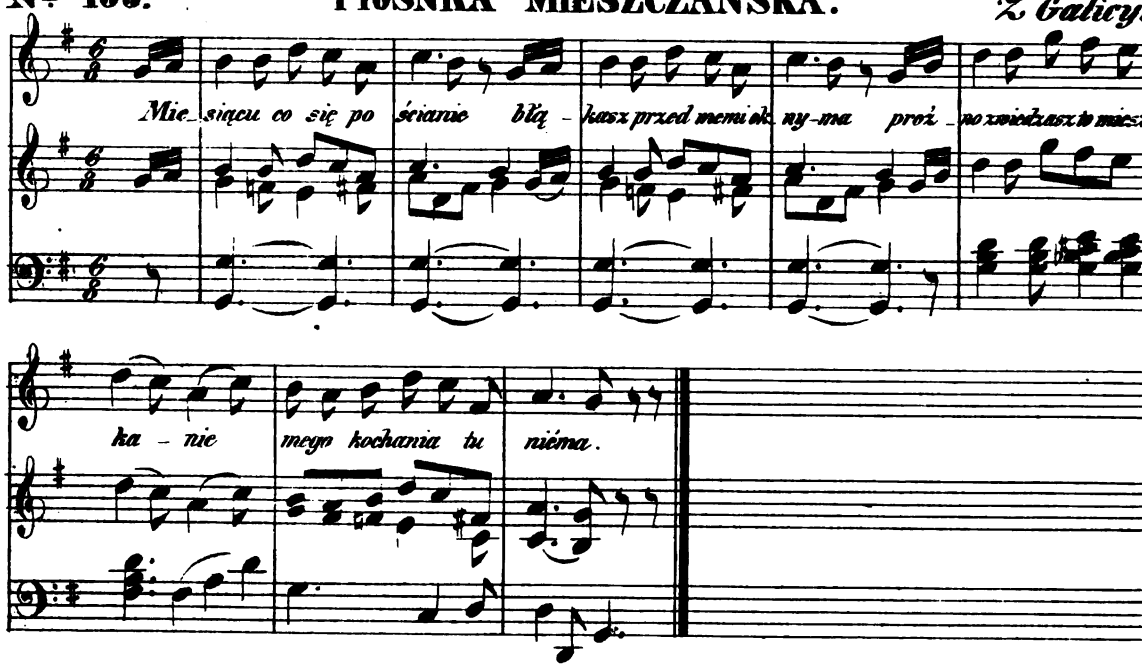

Zeszyt siódmy Roku I. pisma miesięcznego: *Kościół i Szkoła*, zawiera następujące artykuły:

1. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania: §. 1. O stósunkach nauczyciela do innych stanów. §. 2. Jakie przymioty posiadać musi nauczyciel. (Ciąg dalszy zadania: „*Na czém zasadza się prawdziwy duch szkoły.*“) §. 3. Kto ma prawo i obowiązek udzielać naukę ś. religii w szkole elementarnéj? §. 4. O emancypacyi. (Dokończenie.) §. 5. Czy ćwiczenia wyobraźni (Anschauungsübungen) są koniecznie potrzebne w szkole elementarnéj? §. 6. Jak użyć każdego przypadku w pożyciu ludzkiém na kształcenie rozumu i serca młodzieży szkolnéj. — II. Wykaz dzieł. — III. Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 31. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 1. Sierpnia 1846.

Jan Lipski. — Pestalozzi (ciąg dalszy). — Podlasianie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Jan Lipski,
Biskup Krakowski, Książe Siemierski, potém Arcybiskup Gnieźnieński.
Umarł r. 1641.

Jan Lipski.

Ciekawe, a wielce pożyteczne są opisy żywotów mężów, którzy na usługach kościoła i ojczyzny siły swoje stargali; a wiernie służąc jednemu lub drugiéj, na wdzięczność u potomków zasłużyli. Opisy takie, im więcéj w nich szczegółów przywieść, im więcéj można dać poznać wpływ, pod jakim się mąż taki wychowywał, im więcéj można zajrzeć w sprawy jego domowe, tém są przydatniejsze dla historyka, interessowniejsze dla czytelnika.

Podając rysy Jana Lipskiego do pisma, które będzie skarbcem pamiątek ojczystych, podobny opis żywota jego sporządzić pragnęliśmy, ale dla braku źródeł porzucić myśl tę tymczasowo musieliśmy, a przestać na szczerém wypisaniu tego, co Siarczyński w obrazie Zygmunta III. o nim powiedział, w nadziei, iż i tak dla czytelników korzystną rzeczą będzie.

Jan Lipski, Wawrzeńca, Sędziego Rawskiego, syn, młodość przez nauki w obcych Akademiach ćwiczył, a przy Krzyskim, Kanclerzu w. k., do urzędowania się sposobił. Już w schyłku życia Zygmunta III. mianowany Proboszczem i Kano. Krakowskim, Opatem Wąchockim i Referendarzem kor., przy Konstancyi Królowéj urząd Pieczętarza sprawował. Od Władysława IV. na biskupstwo Chełmińskie wyniesiony, jeździł do Wiednia, aby względem małżeństwa Króla z Cecylią Renatą, siostrą Ferdynanda III., Cesarza, umowę zawarł, i onęż do Polski sprowadził. Co gdy dopełnił, otrzymawszy arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, żyć wkrótce przestał r. 1641. Jerzy Ossoliński w pogrzebnéj mowie oddał mu należne pochwały. Pasterz gorliwy, sobór zgromadził, kościoły opatrzył, kacerzów nawracał. Dla obszernych wiadomości, Klaudyusz Memméusz, Poseł Francuski, Lipsiuszem polskim go nazwał. Lipski, nasz Rusin, mówi Stefanowicz, tak w prawniczéj nauce był biegłym, iż ledwie mu równego czasy nasze mieć mogły. Słynął z pięknéj wymowy, któréj dowody mamy: „Mowy łac. na śmierć Zygmunta III. i Konstancyi Królowéj," które miał z woli Władysława IV. na ich pogrzebie w Krakowie roku 1633. Tok mowy kwiecisty, napuszony, igraszkami wyrazów, i myśli upstrzony. Mimo tego jednak za najlepszego w tym wieku mówcę był miany, tak daleçe, że go Cyceronem Chrześciańskim nazwać śmiano. Urban VIII., Papież, (*) rzekł o Lipskim: iż ze wszystkich listów, które z całego świata do Rzymu przychodziły, najwymowniejsze te były, które od Lipskiego z Polski odbierał. Więc toż w Rzymie, co i w Polsce, o wymowie tedy sądzono. Jego jest płód: „Panegyricus Gustavianus Eliae de Nucrois cri-„bro phyltrino cribellatus Sirenatae 1628." Elias de Nucrois, znaczy Daniel Crusius, a Sirenata, Warszawę; rzecz przeciw Kruzyuszowi wymierzona. Mowy dwie łacińskie do Ferdynanda III. r. 1635. Na pogrzebie Aleksandra Karola, Królewicza, r. 1637. Są i listy jego. Żywot Lipskiego opisany jest przez Bużeńskiego. Śmierć jego przypisują zadanéj mu przez lekarza przekupionego od kacerzów trucizny, ale bez pewnego dowodu. Piasecki, który nikomu nie schlebiał, to o Lipskim napisał: „Z łaski Królowéj Cecylii po Wężyku został Prymasem, ale skępstwo w téj dostojności, któréj wiele znaczenie od okazałego i gościnnego życia zawisło, i inne zalety jego przyćmiło.

Pestalozzi.

(Ciąg dalszy.)

Tak więc żywe uczucia cnoty przewodniczyły zawsze rozprawianiu o cnocie. Z témi tak czystémi uczuciami łączył ćwiczenie w panowaniu nad sobą, zachęcając do wytrwania w przeciwnościach życia; codzienne przyzwyczajanie do prawości, a nawet udoskonalenie zewnętrznych zdolności, więcéj cenił, niż częste nauki moralne. Dusza jego dzieci coraz bardziéj zaczęła nabierać czystości, spokojności i zaufania. Twarzyczki ich anielskie sprawiły mu prawdziwą rozkosz, zmarszczonego czoła nie cierpiał. Dzieci uczyły dzieci, i dzieci chętnie się uczyły od dzieci, starsze chętnie i dobrze nauczały młodsze. A chociaż najmłodsze, byleby choć kilka liter więcéj umiało, siadywało między dwoma innémi, objęło je swémi drobnémi rączkami i uczyło je z miłością brata lub siostry. Odtąd opierał Pestalocy całe swoje kształcenie na wyobrażeniach. Proste, na drodze intuicyi zdobyte fundamentalne zasady ludzkiéj

(*) Po śmierci Urbana posłał go Król Władysław do następcy jego, Innocentego X., który wtenczas na Stolicy apostolskiéj zasiadł z pismem winszującém, które nam Pastoriusz de Hirtenberg w dziele swojém: „Florus Polonicus," pag. 456 zachował.

wiedzy były w oczach jego najpewniejszą podstawą wszelkich prawd. Tu już miał na celu ułatwienie wszelkich metod uczenia tak, aby każdy choć mniéj wykształcony człowiek, szczególniéj zaś, aby każda matka swe dzieci mogła uczyć, i ucząc, aby sama się kształciła; albowiem złe, które ze zbyt rychłego oddania do szkoły wynikało, za bardzo znaczne uważał. Po kilku miesiącach można było w dzieciach spostrzedz wesołość w uczeniu się i życiu, swobodne zaufanie, oczywisty wzrost umysłowych i obyczajowych sił, zgodę i serdeczność. Jeżeli się czasem jeszcze pojawiała zdziczałość pospołu z nieszlachetnością serca, natenczas postępował Pestalocy surowo i używał kary cielesnéj. Ale kary jego nie wywoływały krnąbrności, uporu, gdyż pokorze podawał rękę, albo nawet całował dziecko. Wiele nieprzyjemności doznawał od rodziców, którzy prace jego za nic uważali; twierdzili, że Pestalocy temu mozołowi li z biedy się oddał; uważali za łaskę, jeśli mu dzieci zostawiali; żądali nawet jałmużny od niego, ponieważ dzieci swych do żebractwa używać nie mogli. W roku 1799 nikt nie obcował z Pestalocym, miano go prawie za waryata. Położenie jego było okropne. Ubóstwo, zupełnie błędny o nim sąd, pogarda zewnątrz, w nim wzniosłość duszy, taka siła i czystość miłości, jaką mało kto z ludzi szczycić się może. Ten czas jest kwiatem jego życia, jest peryodem bohaterstwa w całéj jego pedagogicznéj działalności i czynności. Dotąd wszystko, co w nim natchnienie budziło, nie było jeszcze objęte pojęciem; jego siła bez wiedzy więcéj jak instynkt boski stykała się z potrzebami osierociałych dzieci; dotąd nie on nad ideą, lecz idea nad nim panowała. Zupełne oswobodzenie dzieci z dzikości i nieobyczajności, było owocem jego zapału boskiego. Cała działalność jego tchnęła religijnością, opierając się ciągle na sprężynie życia; porywał magicznie umysły sierot i wydobywał siłą twórczą zdolności uśpione. To pole odpowiadało jego wielkiéj naturze i duchowi twórczemu. Późniéj starał się panować nad ideą i nad nią się zastanawiał; ale więcéj zdziałać nie był w stanie. W roku 1799 wojsko francuskie zamieniło instytut jego na lazaret, tak, że Pestalocy był zmuszony rozpuścić swoje dzieci. Po niejakim czasie przyjął w Burgdorfie miejsce najniższego nauczyciela. Zapał, z jakim się wziął do dzieła, i miłość, którą sobie podbił serca dzieci, wznieciły w starszym bakałarzu obawę, że Pestalocy ma zamiar odebrania mu miejsca. Przyjaciele jego wystarali mu się o korzystniejsze miejsce. Bez względu na teoryą i obce doświadczenia, wprowadził z największą usilnością metodę rozpoczętą w Stanz. Długo zatrudniał dzieci początkami, a wydoskonaliwszy je w tychże, starał się poznać i posilić wewnętrzną siłę dzieci, przez co nie raz tam zbierał owoce swéj pracy i usilności, gdzie uważał ziemię za zupełnie nieurodzajną. Aby rozwinąć organ dzieci, kazał im długie i trudne zdania powtarzać, podczas gdy ołówkiem kąty, trójkąty i czworoboki rysowały; albo kazał im trudne przykłady rozwięzywać, w ten czas gdy przędły. Jak w Stanz, tak i tutaj, trzymał się téj zasady, aby dzieci mnóstwa wiadomości realnych i w języku na drodze praktycznéj nabywały, nim rozpoczną naukę czytania. Przekonywał się bowiem coraz częściéj, jak wiara we wyrazy, bez poprzedzającego prostego widzenia przedmiotów, szkodzi władzy poznawania i wiedzy. Tak więc coraz bardziéj rosła w nim idea uczenia ABecadła, zgodnie z wyobrażeniami i coraz bardziéj zagłębiał się w metodzie kształcenia, która wynikała z natury rzeczy. Całe kształcenie dzieci uważał za sztukę przyjścia w pomoc walce natury, aby się podług usposobienia własnego rozwijała, a sztuka ta cała polega podług niego na właściwości i harmonii wrażeń, których ma doznać dziecko i stopniu już rozwiniętych sił; ta sztuka postępuje krok w krok z wolna daléj, opierając się zawsze na już zdobytych rezultatach. Codziennie się bardziéj przekonywał, że z dziećmi wcale rozprawiać nie można; że przy rozwijaniu umysłu na tém ograniczyć się trzeba, aby zakres ich wyobrażeń coraz bardziéj rozszerzać; wyobrażenia, które zamieniły się w wiedzę, z ścisłością i pewnością wpoić; aby im na wszystko, czém się ich wiedza przez naturę i sztukę zbogaciła, znajomość języka wystarczała; aby rozwinąć ich siły intenzywne, a przez to dać stałą podstawę dalszym pojęciom, zapatrywaniom i poszukiwaniom. W tym czasie przybył Krüsi do Burgdorfu, w skutek wojny, z znaczną liczbą dzieci. Pestalocy poznał niezadługo prawdziwą wartość Krüsego. Odtąd ściśle się z sobą połączyli, a związek ten, zmierzający ku wspólnemu dziełu wychowa-

nia, stanowi ostatnie stadium prac pedagogicznych Pestalocego.

Jego instytut w Burgdorfie, Münchenbuchsen i Yverdun.

Pestalocy, poznawszy gorliwość, poczciwość, i poświęcenie się bez granic Krüsego dla dobra ogółu, proponował mu założenie instytutu wychowania na wielką skalę. Skoro Krüsi na to przystał, napisał prośbę do Rządu Szwajcarskiego o pozwolenie założenia instytutu w opuszczonym zamku w Burgdorfie. W krótce otrzymali pozwolenie. Pestalocy z Krüsim, zabrawszy z sobą dzieci, wprowadzili się do zamku i rozpoczęli swe dzieło z usilnością, odwagą i zapałem. Swoboda i chęć dzieci do nauk zwróciły wszystkich uwagę na nowy zakład; przysyłano dzieci nie tylko ze stanu średniego, ale nawet z wyższych klas; siły tych dwóch nauczycieli już nie wystarczały. Krüsi przywołał swego przyjaciela Toblera z Glaris, a Pestalocy pełnego fantazyi młodego Bussego z Tübingi do rysunków i śpiewu. Tu więc Pestalocy i jego koledzy uczyli nic z książek, ale podług własnych, z głębi przekonania czerpanych środków kształcenia. Ich wielką i zawsze otwartą książką była otaczająca ich natura i duch człowieka, objawiający się ciągle w języku, liczbie i formie, a dzieci uczyły się z taką łatwością i żywością, jak się rzadko zdarza w szkołach, gdzie rok w rok tych samych książek dla każdego wieku, bez względu na stopień wykształcenia, używają. Pestalocy dążył do tego, aby każda gałąź nauk nie dowolnie, lecz podług prawideł wynikających z konieczności była wykładaną. Uważał za prawdę oczywistą, że duch nie tak przez przyjęcie obcych myśli, jak przez własne tworzenie pojęć i sądów się rozwija i kształci, jeśli go się tylko utrzymuje we właściwym sobie kierunku i na prawdziwéj drodze; podobnie jak ziarno, mieszczące w sobie żywy zaród, cudowną siłą skórkę i skorupę przełamuje, jeśli tylko położenie, w którém się znajduje, jego rozwijaniu sprzyja. W tym celu ułożył Krüsi, wsparty przez Pestalocego i dwóch innych kolegów, na wyobrażeniach (Anschauungen) oparta naukę o języku, liczbie i przestrzeni. Najzdatniejszym z uczni Pestalocego był Jan Ramsauer, który dziś jest nauczycielem dzieci książęcych w Oldenburgu. Ten w szkicach swoich pedagogicznych tak o Pestalocym mówi: „Korzyści moje w miarę przepisów innych szkół były bardzo małe; atoli zapał święty Pestalocego, jego cierpliwości i poświęcenia pełna miłość, jego smutne, nędzne, nawet dzieciom podpadające położenie, do żywego mnie przejęły i na wieki me serce z nim złączyły. Więcéj z życia się nauczyłem, niż w szkole i już w ten czas poznałem, że sumienność, surowość względem siebie, a szczególniéj bezinteresowność tak na dobrych jako i złych, słabych i silnych ludzi, potężnie wpływa, nauczycielowi zaś wyrabia powagę, któréj się ani siłą ciała, ani przewagą duchową, ani stanowiskiem nabywa.“ Sławę Pestalocego Jan Niederer i Józef Schmid znacznie rozszerzyli. W książce pod tytułem: „Jak Gertruda swe dzieci naucza,“ skreślił owoce swego rozległego doświadczenia, swe coraz jaśniejsze i dojrzalsze zasady o rozwijaniu się ducha ludzkiego przez kształcenie; ona ma zarazem służyć za wzór, jak matki same swe dzieci kształcić mają. Dzieło to nieoledwie od wiersza do wiersza tchnie najszlachetniejszém dążeniem i braterską życzliwością dla ludu, a zarazem wiedzą nieudolności zadosyć uczynienia tym życzeniom; w niém pojawia się zacięta walka przeciw grzechom i błędom czasu, zwalcza i niweczy z nieprzełamaną siłą wszelkie zasady, które naturalne kształcenie się rodzaju ludzkiego wstrzymują. Przeciw temu złemu służy jego pozytywna część, w któréj środki prawdziwego kształcenia ludzi w stopniowém rozszerzaniu swéj metody we wszystkich stósunkach podaje. W Burgdorfie ogarniał Pestalocy wszystkich, swą wszystko ożywiającą miłością, dodawał sił swémi twórczémi myślami. Uczniowie szanowali i słuchali go jak ojca, nauczyciele łączyli się z nim w miłości, a między nimi a uczniami była spojnia oparta na zaufaniu i porządku. Uczniowie i nauczyciele ubiegali się z sobą, żeby bez wielu rzeczy się obywać, w celu ulżenia w ciężarach ojcu instytutu, przecież dzieci były zdrowe, a nabyły cnoty, która słodzi w życiu liczne przykrości. Po odbytéj rewizyi ze strony rządu w roku 1802, która nader korzystnie wypadła, zamieniono instytut ten na publiczny, narodowy; wyznaczono Pestalocemu i innym nauczycielom stałe pensye, wspierano wydanie książek elementarnych, a mianowicie: „Abecadła podług wyobrażeń“ i „Książki dla matek;“

Podlasianie Mazury.

wydano rozkaz, aby corocznie 12. nauczycieli tamże w téj metodzie się ćwiczyło. Lecz nie długo cieszył się tą pomyślnością w przedsięwzięciach pedagogicznych. Nowo zaprowadzony bowiem rząd przeznaczył zamek w Burgdorfie dla urzędu Oberamtmana. Pestalocy był zmuszony z kolegami opuścić kolebkę swego już kwitnącego dzieła i starać się o inne schronienie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podlasianie.

Pomiędzy Litwą, Mazowszem i Prusami ciągnie się kraj, który się dawniéj Podlasiem nazywał, a późniéj województwem Podlaskiém i okręgiem Białystockim. Rzeki: Bug, Narew, Biebrza, które przerzynają ziemię tę, ułatwiają komunikacyę pomiędzy mieszkańcami, i dostarczają im środków do sprzedania produktów krajowych. Blisko granicy Prus znajduje się wiele trzęsawisk i jezior, z których najznaczniejsze nazywa się Wizagny. Miasta główne są: Siedlce, główne miasto województwa Podlaskiego; Białystok, Tykocin, Augustów, Raygród, Bielsk, Brańsk, Węgrów, Międzyrzec, Biała, Łosiec, Łuków, Drohiczyn. Dwa ostatnie miasta, były dawnemi czasy głównem siedliskiem narodu znanego w historyi pod nazwą Jadźwingów, lecz z którego już ani śladu nie ma.

Kraj ten, którego większa część jest pokryta lasami, został pod panowaniem Jagielonów przetrzebiony (1386—1572), a przez to przeistoczył się na ziemię dosyć urodzajną na żyto i jęczmień. Stąd pochodzi, iż dotychczas większa część mieszkańców nie oddaje się niczemu jak rólnictwu, niektórzy tylko trudnią się rybołówstwem i żeglugą. Naród, który zamieszkuje Podlasie, składa się z Mazurów mówiących narzeczem polskiém, i z Rusinów, którzy zachowali narzecze ruskie. Pierwsi zamieszkują okolice graniczące z Mazowszem; drudzy są więcéj zbliżeni do granic Litwy. Jużeśmy przedstawili obyczaje i zwyczaje Mazurów; o Rusinach więc pomówimy.

Podlasianin, mówiący językiem ruskim, ma twarz śniadą, prawie nawet blado-brunatną, ciało miernéj wielkości, a ramiona szerokie. Młodzi noszą czasami wąsy, a starsi brodę, co im nadaje wejrzenie ciemne i surowe. Mieszkaniec Podlasia znosi z łatwością zmiany i ostrość powietrza, a kobiety wcale nie ustępują mężczyznom. Często nawet w dzień połogu, lub nazajutrz, oddają się najtrudniejszym pracom w polu lub w domu. Dobrze konno jeżdżą, co im się wcale podobać zdaje; dobrze są zbudowane, lecz rzadko kiedy są ładne.

Ubiór mężczyzn składa się z sukmany brunatnéj, spiętéj pasem czarnym lub karmazynowym; z koszuli, z kołnierzem bardzo wązkim, spiętéj metalowym guzikiem, lub wstążką kolorową; spodnie mają z płótna białego latem, a z sukna ciemnego zimą; bóty zachodzące aż po za kolana na święta, a sandały, zrobione z kory lipowéj, na codzień stanowią ich obuwie; na głowie noszą kapelusz lub czapkę obszytą barankiem.

Młode dziewczęta noszą na głowie chustkę, któréj dwa końce wiążą w kokardę z przodu. Włosy splecione w warkocz spadają na ramiona. Gorset zwykle niebieski, spodnica w paski w różne kolory, fartuch, a na tym kaftan elegancko zrobiony, otóż ich ubiór. Mężatki chowają włosy pod czapkę, którą obwiązują szalem białym z płótna cienkiego, tak że końce jego dochodzą aż do kostek. Ubiory te odróżniają się w niektórych okręgach; jednakowoż są sobie zawsze podobne w kroju i kolorach.

Zwyczaje i obyczaje ludu tego różnią się bardzo od tych, o których dotychczas mówiliśmy. Przytoczymy niektóre, zachowując sobie uzupełnienie opisu, gdy pomówimy o innych narodach mówiących językiem ruskim.

Jeżeli w ogóle sposób życia ludów, którzy zamieszkują ziemię polską, jest dalekim od utrzymania wygodnego i dostatecznego, życie Podlasian jest daleko nędzniejsze i smutniejsze. Tutaj wszystko, począwszy od ich pomieszkań, ubiorów, aż do żywności, wypoczynku i zabaw, przedstawia nam obraz największéj skromności, a razem niedostatku kraju. W istocie Podlasianin więcéj, niż mieszkańcy innych prowincyj Polski, zwłaszcza z Krakowskiego, Mazowieckiego i Poznańskiego i t. d., jest obarczony pracą dla swego właściciela. Prócz tego ziemia mniéj urodzajna, handel zupełnie zniweczony, utrudnia polepszenie ich bytu. Wprawdzie niektóre wsie przedstawiają przyjemniejszy widok, i niektórzy chłopi są zamożniejsi, ale ci znikają w ogromie powszechnéj nędzy.

Mała chałupka niska, z dwóch izb składa-

jąca się, otóż pomieszkanie Podlasianina; okna są bardzo małe, składające się z kawałków szyb, a najczęściéj zastępuje je deska, którą wewnątrz przybijają.

Rzadko kiedy znajdzie się komin, który nad dach wychodzi; dym się rozchodzi po całéj izbie, pada na ściany, które oczernia, i wydobywa się na zewnątrz przez szpary okien, drzwi, lub też przez otwór, który ku temu jest zrobionym w posowie. Ta izba jest jedyném mieszkaniem Podlasianina. Sprzęty jéj są: stół długi i wązki, ustawiony pod oknem; dwie ławki przy piecu; łóżko, lub właściwie kilka zbitych desek, wzniesionych czterema kawałkami drzewa, w jednym kąciku, w drugim dzieżka do robienia chleba, i skrzynka zawierająca wszystkie rzeczy całéj familii, nareszcie kilka garnków i misek glinianych i kilka naczyń drewnianych, które stoją wysoko na półce. Małoby się chałup znalazło, gdzieby inne sprzęty widzieć można. Dla małych okień ciągła ciemność panuje w izbach. Wieczorem oświecają je drzewem smolném.

Nie daleko swego pomieszkania, biedny chłop buduje sobie małą stodółkę i stajnią. Cokolwiek zboża, ziemniaków, dwie lub trzy owce, tyleż świń, parę wołów, krowa, i kilka sztuk drobiazgu, otóż cały jego majątek. Chłopi żywią się tutaj jarzynami, które sobie sadzą w ogrodach, owocem, kaszą i grzybami. Smalec służy im do przyprawy potraw. Prawie nigdy nie jedzą mięsa wołowego, bo nie mają na to, chociaż w bardzo niskiéj cenie sprzedawane bywa. Ledwie kilka sztuk drobiazgu zje przez rok cała familia; wszystko musi być obrócone na podatki rządowe, na czynsze dla pana, i nareszcie na daniny dla księdza.

Nędza ta i trudność polepszenia losu, zmusza biednego chłopa do zupełnéj prawie niedbałości o siebie samego; ochydna przebiegłość Żydów, którzy cały handel mają w swém ręku, interes pana, który sprzedaje wódkę swéj fabryki, pociągają chłopów do pijaństwa; niedługo staje się to u nich nałogiem, tak, że ostatni zarobek przepijają. Jestto przykry widok dla serca, które czuje i działa szlachetnie; nie można się więc powstrzymać od życzenia, ażeby przyszedł ten dzień, gdzie przekleństwo padnie na tych, którzy szukają swego zysku w poniżaniu godności ludzkiéj, w nędzy i upokorzeniu swych bliźnich.

Dusza Podlasianina, jest otwarta, religijna, szczera i mężna; lecz również, cicha, ponura i bardzo drażliwa. Mąż przywłaszcza sobie nieograniczoną władzę nad swoją żoną; karze ją, jeżeli zaniedbuje gospodarstwa, a ona z wielką cierpliwością znosi jego złe obchodzenie się z nią. Nie znają rozwodu; lecz nie mogąc żyć razem, mąż lub żona opuszcza dom, wychodzi ze wsi, i w krótce ani ślad po nich nie zostaje. Wszystkie przekroczenia w wierze małżeńskiéj pociągają za sobą nienawiść i zemstę; są one też bardzo rzadkie. Matka sama stara się o swoje dzieci; nowo narodzone obwija w kawałki staréj bielizny, kołysze je w kopance, lub też przywięzuje kołyskę sznurkiem do sufitu.

Małe dzieci do czwartego lub piątego roku chodzą prawie nago. Koszula tylko przepasana, chroni je tak latem jak zimą od zimna; chodzą boso i zawsze z odkrytą głową. Żadnéj strawy matka im nie broni. Jarzyny surowe są dla nich łakociami, a owoce na pół dojrzałe coś nadzwyczaj dobrego. Rodzice przyzwyczajają swoje dzieci od niemowlęctwa do picia wódki, ażeby je ochronić od robaków; i w istocie są od nich zupełnie wolnemi. Matka inaczéj swoich dzieci nie karze, jak przezywając je. Gdy idzie na pole, zamyka je w izbie, nieczuła na ich płacz, wiedząc, iż dziecko po zmęczeniu się płaczem uśnie, albo będzie się spokojnie bawiło. Dzieci zostają w bezczynności aż do dwunastego roku, i tylko paszą krowy, owce, świnie i gęsi; a jedno pomiędzy tysiącem uczy się czytać i pisać. Lubo Podlasianin nie posiada téj wesołości, która charakteryzuje Mazura i Krakowianina, lubi jednakowoż muzykę, która się składa ze skrzypcy, z basetli i piszczałki. Tańce ich nie są bardzo rozmaite; pierwszy, który nazywają zawieruchą, tańczy się w czterech, którzy się trzymają za ręce w kształcie krzyża; drugi, hajduk, jest rodzajem angleza, nakoniec sztajer i obertas, które się mało różnią od walca. Zwyczajnie kobiety same zaczynają tańczyć; nakoniec młodzi parobcy biorą udział w zabawie. Umiejętność i talent w tańcu zasadza się na tém, ażeby zmęczyć swoją tanecznicę; póki się wielkiemi kroplami nie zapoci i nie jest bez tchu, póty nie jest zadowoloną.

(Dokończenie nastąpi.)

№ 156. *W całéj Polsce znana.*

Largo

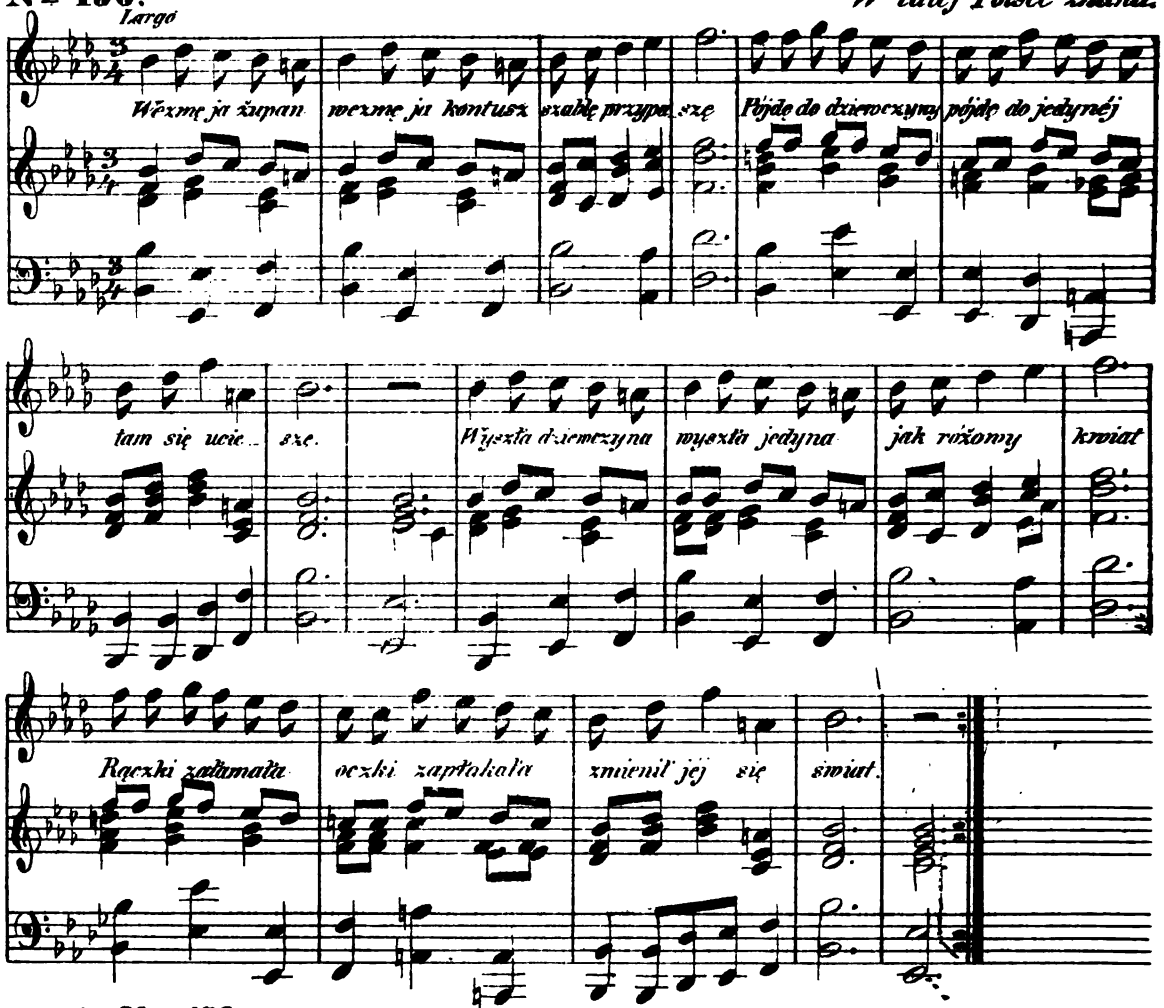

Text do *Nru. 156.*

1. Wyszła dziewczyna,
Wyszła jedyna,
Jak różowy kwiat,
Rączki załamała,
Oczki zapłakała,
Zmienił jéj się świat.

2. Czego ty płaczesz,
Czego żałujesz,
Dziewczyno moja?
Jak nie mam płakać.
Jak nie mam żałować,
Nie będę twoja.

3. Będziesz dziewczyno,
Będziesz jedyno,
Będziesz dalibóg,
Ludzie mi cię rają,
I rodzice dają,
I sam sędzia Bóg!

4. W niedzielę rano,
W niedzielę rano,
Wianek uwito:
Bodaj cię niecnoto,
Bodaj cię hołoto,
Na pal przybito!

5. Jak mnie zabiją,
Jak mnie zabiją,
Któż mnie pochowa?
Ja cię pochowam,
Ja cię pochowam,
Jak będę twoja.

6. Płacze dziewczyna,
Płacze jedyna,
Stojąc na ganku:
Na coś mnie zdradził,
Na coś mnie zdradził,
Jasiu, kochanku!

7. Ty pójdziesz górą,
Ty pójdziesz górą,
A ja doliną;
Ty zakwitniesz różą,
Ty zakwitniesz różą,
A ja kaliną.

8. Ty pójdziesz górą,
Ty pójdziesz górą,
A ja lasami,
Ty spłyniesz wodą,
Ty spłyniesz wodą,
A ja ślózami.

9. Ty pójdziesz drogą,
Ty pójdziesz drogą,
A ja gościńcem,
Ty będziesz panną,
Ty będziesz panną,
A ja młodzieńcem.

10. Ty będziesz panną,
Ty będziesz panną,
Przy wielkim dworze,
A ja będę księdzem,
A ja będę księdzem
W wielkim klasztorze.

11. Ty pójdziesz drogą,
Ty pójdziesz drogą,
A ja pójdę ścieżką;
Ty zostaniesz księdzem,
Ty zostaniesz księdzem,
Ja zostanę mniszką.

12. A jak pomrzemy,
A jak pomrzemy,
To każemy sobie
Złote litery,
Złote litery,
Wybić na grobie.

13. A kto tam przejdzie,
Albo przejedzie,
Przeczyta sobie:
Złączona miłość
Złączona miłość,
Leży w tym grobie.

(*Wójcicki*, P. l. T. I. str. 121.
Ż. Pauli, P. l. p. g. str. 142.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. Szymański.)

Nr. 32. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 8. Sierpnia 1846.

Pestalozzi (ciąg dalszy). — Ksiądz Franciszek Ksawery z Abgaro Zacharyasiewicz. — Podlasianie (dokończenie). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu ósmego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.

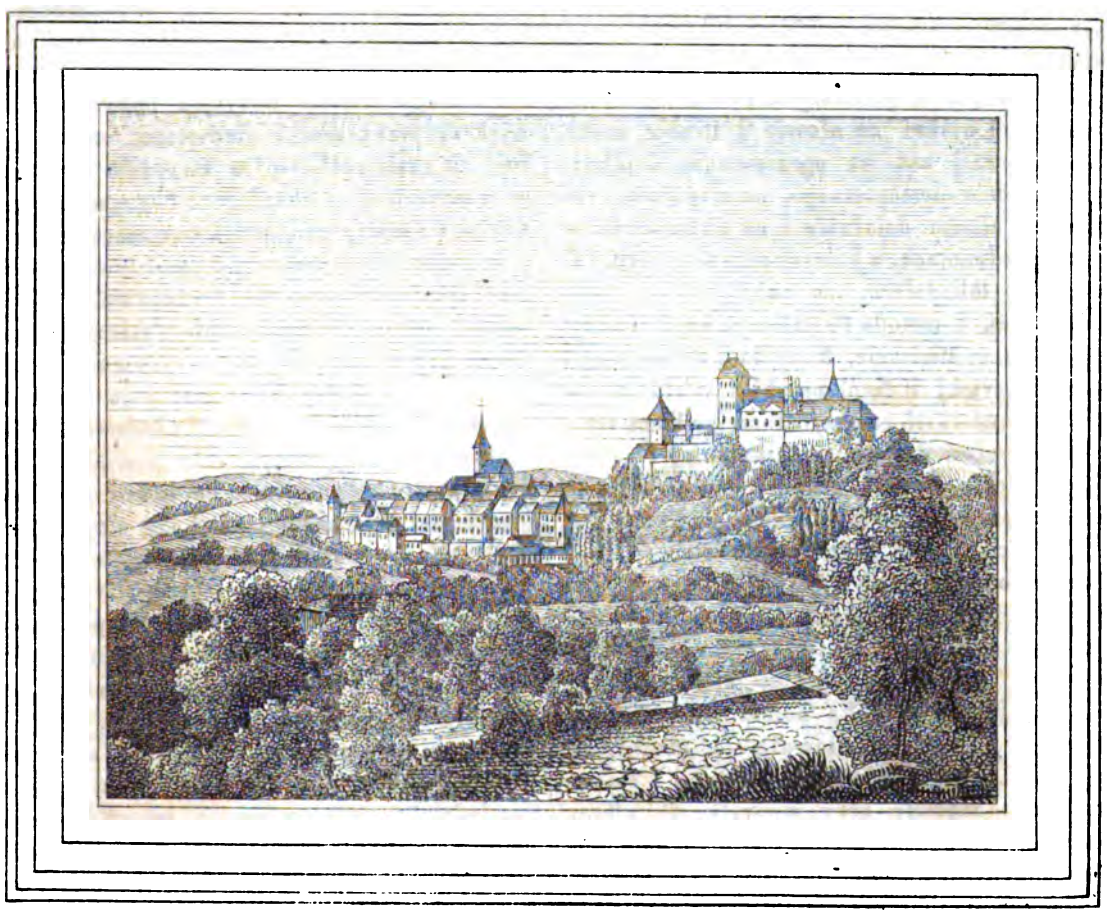

Burgdorf.

Pestalozzi.

(Ciąg dalszy.)

W roku 1804 zajął z swymi kolegami wyznaczone mu przez rząd zamki we Waadtland w mieście Yverdün, a 70 dzieci zostawił pod zarządem swego przyjaciela Fellenberga, dodawszy mu sześciu nauczycieli. W tym czasie opuścił Oldenburgski Radca sprawiedliwości Türk urząd w celu poznania bezpośrednio dążności i metody Pestalocego, aby potém w tém samém polu stać się użytecznym krajowi. Napisał on już w roku 1806 książkę, pod tytułem: „Listy z Münchenbuchsen o Pestalocym i jego metodzie kształcenia w elementarnym względzie.“ Pozostali nauczyciele i uczniowie w Münchenbuchsee uczuli to w krótkim czasie, że owo życiodawcze słońce już nie oświecało ich horyzontu, że słowa i miłość ich ojca już bezpośrednio ich nie ogrzewały i pokrzepiały. W Pestalocym panowało uczucie, w Fellenbergu rozum. Rozłączenie to nie długo trwało. Już w roku 1805 złączył instytut w Buchsen ze swoim, a zakład ten już w pierwszych latach ze strony zewnętrznéj zyskał na sławie i liczbie uczni, z wewnętrznéj zaś na opracowaniu środków wykształcenia elementarnego, na wspólném, ruchliwém, silném działaniu i na obfitości owoców w przedmiotach, w których przedewszystkiém pracowano tak dalece, że nabył sławy także europejskiéj, a metoda Pestalocego zaprowadzoną została w Madrycie, Neapolu i Petersburgu. Cesarz rossyjski i Król pruski i wiele innych Książąt niemieckich zaszczycali czcigodnego starca najwyższémi dowodami łaskawości i zaufania, a Fichte uważał w nim i jego działalności początek odrodzenia ludzkości. Nader jest trudną rzeczą oddać charakter Pestalocego choć tylko w zarysach, gdyż w téj szlachetnéj duszy największe sprzeczności się mieściły. Cała jego dusza już w rysach twarzy się malowała. Na twarzy można było już to miękkość i łagodność, już to głęboką boleść i smutek dostrzedz; w téj chwili malowała się surowa powaga, a tuż zaraz niebo pełne miłości i roskoszy. Jego zapadłe oczy mieściły się nieraz jak gwiazdy, na wszystkie strony promienie rozsyłając, niekiedy znowu cofały się, jakby w głąb' nieskończoności patrzały. Czoło jego było zaokrąglone, za zmarszczkami starości ukrywał się ogień młodości; ton jego głosu ulegał wielkiéj modulacyi; z łatwością wyrażał łagodność i dobrotliwość, jako też i piorunujący gniew. Chód jego był niejednostajny, jużto szybki, jużto powolny, niekiedy odważny i imponujący, piersi jego były sklepione, plecy szerokie i pałąkowate, a muskuły silne. Jakkolwiek wzrostu niskiego i wysmukłéj postawy, to przecież w ruchu objawiała się siła, która wszelkim przeciwnościom się oprzeć była w stanie. Cała jego zewnętrzność była obrazem osobistości, w któréj wszystkie strony natury ludzkiéj brzmiały. Miłość była jego głównym elementem w życiu, ów nieograniczony, boski popęd, który od młodości saméj nadawał wszelkim jego dążeniom i działaniom kierunek i cel. Stąd też pochodzi, że najchętniéj bawił w chatach. Ludowi chętnie poświęcał wszystko, co tylko posiadał, dla niego wszystko było miłem, ponieważ nigdy własnéj korzyści nie szukał. A chociaż zatrudnienia jego w Yverdün zdawały go odwodzić od tego najbliższego celu, to przecież głównie służył ludowi przez pracę i zapewnienie lepszego wychowania ludu i dla niego chętnie wszystko poświęcał, największe przykrości i niedostatek znosił. Miłość ta rozlewała się w zwykłém obcowaniu na wszystkich, na ubogiego i bogacza, na człowieka wysokiéj godności i bez znaczenia, gdyż w bogaczu i możnym mężu spodziewał się znaleźć sprzymierzeńca do wykonania wyższych celów. Stąd też można sobie wytłumaczyć stósunek Pestalocego do ludzi wpływu i Książąt, co nie jeden, który nie umiał jego szlachetności ocenić, uważał za znak próżności, lub za brak prawdziwéj dumy. Nim powodowała jedynie żarliwość przekonania ludzi o wpływie i ważności jego metody, aby się stawali przychylnymi przy zaprowadzaniu téjże w ich okólicach i aby drogę do lepszego wychowania ludu utorować. Gdy Król pruski przybył do Newszatelu, postanowił Pestalocy, lubo bardzo chory, podziękować osobiście Królowi za przysłanie kilku elewów do Yverdünu. Gdy po drodze kilka razy zemdlał, radził mu kolega jego Ramsauer, aby się wrócił; na co on odpowiedział: „Nie wrócę, ja muszę Króla widzieć, choćbym i dla tego zmarł; choćby dla mego pobytu u Króla jedno tylko dziecko lepsze wykształcenie odebrało, dostatecznie będę wynagrodzony.“ Siła poświęcenia, wynikająca z miłości, połączona była w nim ściśle z bez-

interessownością. W Yverdün piąta część dzieci szkólnego nie płaciła. Rozdawać, wspierać, radość komu sprawić, podzielić się z kim ostatnim groszem, tak było konieczną rzeczą dla jego natury, jak człowiekowi oddychanie. Nieograniczona miłość usposobiła go nie tylko do poświęcania skarbów czasowych i wygód, ale wyrobiła w nim także siłę panowania nad sobą, wytrwałość, skromność i pokorę. Ostatni przymiot duszy jego przebija się szczególniéj w piśmie pod tytułem: „Śpiew łabędzi," w którém z boleścią i z wzruszającą pokorą spogląda na swoje dotychczasowe pełne walki życie, siebie tylko oskarza, swojéj jedynie słabości, nieudolności w rządzeniu przypisuje zachwianie instytutu. Obok téj pokory posiadał Pestalocy odwagę, jaką mało kto szczycić się może. Jaką władzę nad ciałem duch jego posiadał, najlepiéj następujący przykład udowodni. Pestalocy w najwyższy stopień cierpieniem na reumatyzm męczony, był zmuszony łóżka nie opuszczać. W tym samym czasie przybył z Bernu Poseł francuski Reinhard w celu zwiedzenia jego instytutu. Ponieważ często błędnie o nim sądzono, a nawet zasług mu odmawiano, odwiedziny te były mu bardzo miłe. W najokropniejszych bólach wstał, kazał się ubrać, poszedł, na Krüsim oparty, chwiejąc się do klassy, powoli zapominał o cierpieniach cielesnych, czuł się dość silnym, aby wyjść na przywitanie gościa tak znakomitego, biegał z klassy do klassy, mówił i wyjaśniał z ogniem i życiem, tak że nawet ślady bólów znikły. Czynność, pilność jego była nadzwyczajną. Z małémi wyjątkami już o godzinie drugiéj z rana rozpoczynał swe prace literackie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ksiądz Franciszek Ksawery z Abgaro Zacharyasiewicz, Biskup przemyski obr. łac., Jego c. k. Mości rzeczywisty tajny Radzca, Dr. teologii, Dyrektor wydziału zakładu teologicznego w Przemyślu, etc. etc.,

roku 1770 w Stanisławowie z szlacheckiéj i szlachetnéj Ormiańskiéj rodziny zrodzony, od natury wysokiemi wyposażony zdolnościami, w rodzinném mieście szkoły gymnazyalne, a nauki filozoficzne i teologiczne w wszechnicy Lwowskiéj ukończywszy, r. 1795 kapłańskie wziął święcenie, i dla niepospolitych zdolności swoich do dusz pastérstwa przy archikatedrze Lwowskiéj obr. Orm. był użyty. — Przy licznych atoli z powołaniem nierozejmnych zatrudnieniach, coraz bardziéj w teologicznych naukach się kształcąc, otrzymawszy stopień Doktora ś. teologii, różnych umiejętności teologicznego wydziału zastępując Professorów, w r. 1800 dziejów kościelnych objął katedrę. — W odczytach jego, gruntowność treści, bez pedantycznego napuszenia naukowości, łatwy do pojęcia wykład, połączony z tą szczérą otwartością, jakąśmy do skonu jego w nim uwielbiali, dla równie szanownéj nauki jak i nauczyciela, słuchaczy jednał serca. W r. 1806 na godność Kanonika kapituły Ormiańskiéj wyniesiony, nie złożył tego ile miłego, tyle trudnego obowiązku professury publicznéj, i przy tych tak różniących się zajęciach, chlubną wiedziony gorliwością, często głosił słowo boże, z takim szczególniejszéj wymowy wdziękiem, że powszechnie piérwszym swego czasu był uznany Kaznodzieją. — Z końcem r. 1812 otrzymawszy pozwolenie Arcypastérza swojego i zatwierdzenie tegoż ze strony Stolicy apostolskiéj, z obrządku Ormiańskiego na Łaciński przeszedł. Mąż ten niezwykły, który już wtenczas wszystkich światłych i prawych rodaków uwagę na siebie zwrócił, tym czynem najdokładniéj zbił przesąd, niestety! dotychczas istniejący, że różnica obrządków religijnych stanowi ważną i istotną różnicę między Chrześcianami katolikami, tęż samą naukę wiary i obyczajów wyznającymi. — Na początku r. 1813 Asesorem i Referentem konsystorza arcybiskupiego Lwowskiego obr. Łac. nominowanym został; w r. zaś 1816 dla położonych przy tymże konsystorzu zasług, na godność Kanonika gremialnego wyniesiony, złożył urząd Profesora dziejów kościoła, lecz pragnąc dla rozszérzenia nauk działać, przyjął chętnie nadzór szkół gimnazyalnych w Galicyi. — Tu dlań szerokie działania rozwarło się pole: z najszczérszemi bowiem chęciami, łączył nader gruntowną znajomość literatury starożytnéj, równie jak i usposobienia młodzieży krajowéj; zdolnych nauczycieli i uczniów podniecał, zachęcał i wspierał, i śmiało rzec można, że jego przewodnictwo najwięcéj się przyczyniło do dźwignienia upadającéj téj gałęzi nauk, tak dalece, że wszechnicy Lwowskiéj Professorowie, uznając wielkie

jego we względzie naukowym położone zasługi, w r. 1826 ofiarowali mu zaszczytny nadzór nad tymże naukowym zakładem, a wdzięczne wysokie krajowe stany troskliwą jego staranność i wieloważne zasługi w chlubny spłaciły sposób, obrawszy go członkiem wyboru stanów królestw Galicyi i Lodomeryi, powierzając mu referat w wydziale stanów kraju przez przeciąg pięcioletni (1825—1830). W r. 1831 na godność Prałata kapituły Lwowskiéj obr. Łac. wyniesiony, złożył urząd Nadzórcy szkół gymnazyalnych; nie mogąc się atoli rozdzielić z najmilszém sercu swemu zatrudnieniem, rozszérzania ile być może prawdziwéj oświaty, w roku 1832 przyjął urząd Dyrektora wydziału teologicznego wszechnicy Lwowskiéj; jak zaś godnie to zaszczytne sprawował urzędowanie, i chlubne świadectwa ś. p. Jego Excelencyi ks. Arcybiskupa hrabi Ankwicza i nadany mu od Jego c. k. Mości zaszczytny tytuł Radcy gubernialnego świetnemi są dowodami. — Gdy w r. 1833 ś. p. Jego Excelencya ks. Arcybiskup hrabia Ankwicz przeniósł się na stolicę arcybiskupstwa praskiego, kapituła archydyecezyi Lwowskiéj obr. Łac. powierzyła mu nadrząd duchowny archidyecezyi; jak zaszczytnie z tego wywiązał się zaufania, najlepiéj ta dowodzi okoliczność, że po krótkich rządach J. O. Księcia Arcybiskupa Luschina, tęż samą godność naczelnego duchownego archidyecezyi zarządcy znowu jemu powierzono. — W r. 1835 gdy przez przeniesienie Jego Excelencyi ks. Arcybiskupa Franciszka Pisteka, po ten czas Biskupa Tarnowskiego, na arcybiskupstwa Lwowskiego stolicę, w Tarnowie biskupia stolica opróżnioną została; Najjaśniejszy Pan wynagradzając jego tak ważne dla kraju położone zasługi, dnia 2go Września 1835 mianował go Biskupem Tarnowskim, a od Stolicy apostolskiéj dnia 1go Lutego 1836 roku w tym apostolskim urzędzie zatwierdzony, dnia 26. Kwietnia t. r. przez Jego Excelencyę JW. ks. Arcybiskupa Franciszka Pisteka na Biskupa konsekrowany, — upatrując w każdéj życia kolei, jak i w tém położeniu wyrok woli bożéj, któréj, by godnie odpowiedział, wszystkie całego życia obracał starania, wszystkie poświęcał przyjemności. — Niechaj tu użyję słów rzeczonych jego własnemi usty, których chytre zaczajenie się, nikczemny fałsz i podła obłuda nie pokalały; — raczéj z żalem niż radością serca opuścił miejsce swego pobytu, niedalekie stron rodzianych, rozłączył się z drogą sercu swemu rodziną i gronem przyjaciół, w pośrodku których tak chlubnie i lubo przepędził lat tyle; bo miał to przekonanie, że miléj jest w ukryciu pełnić obowiązki swoje, niż na widowni wielkiego będąc postawiony świata, stać się dla ludzi i najmniejszego nawet do tego nie mających prawa, przedmiotem dowolnych, a najczęściéj złośliwych i zbyt niesłusznych osądzeń, tak co do sprawowania urzędu, jak i rozrządzenia dochodami z tymże złączonemi; i dnia 12. Maja 1836 zasiadł biskupstwa Tarnowskiego stolicę. Przejęty troskliwością o dobro powierzonéj jego pieczy dyecezyi, zwiedzał parafialne kościoły, tak u podnóża gór Karpackich, jakotéż nad brzegami Wisły położone, a prawdziwie z ojcowską troskliwością wchodząc i w najdrobniejsze szczegóły, usuwał przeszkody, postęp oświaty i moralności tamujące, — przywrócił dawne prawo pierwszemu Prałatowi używania insygniów biskupich, a z polecenia Jego c. k. Mości wprowadził wydział nauk filozoficznych i teologicznych w gmachu seminaryalnym. Po cztero-letnim tarnowskiéj dyecezyi zarządzie, idąc za wolą Najwyższego, przez skon wiekopomnéj pamięci ks. Biskupa Michała Korczyńskiego, biskupstwa przemyskiego opróżnioną zasiadł stolicę dnia 10. Października 1840. Teraz, kiedy już starganemu siłą czasu ciału wypocząćby należało, duch jego nie utraciwszy bynajmniéj męskiéj siły i młodzieńczego zapału, do ostatniéj życia chwili działał bez przestanku. Uzyskał od Stolicy apostolskiéj potwierdzenie prawa, by każdy piérwszy Prałat kapituły przemyskiéj używał insygniów biskupich, obrał dwóch gremialnych i trzech honorowych Kanoników, uzyskał od wysokich c. k. Rządów krajowych pozwolenie rozszérzenia gmachu seminaryalnego, a ciągle — ile tylko sprawowanie obowiązków pastérskich mu dozwalało — w zawodzie naukowym pracując, w ostatnich latach życia swojego wzbogacił literaturę krajową ważnemi dziełami tak historycznéj, jakotéż teologicznéj treści, i tym sposobem w świecie literackim, tak zasługami jak cnotami swemi w sercach wszystkich prawych rodaków wiekopomny wystawił sobie pomnik. Sprawowaniem tylu i tak różnych urzędów i ustawicznem kształceniem naukowém nabył ś. p. Jego Excelencya ks. Biskup Franciszek Ksawery Zacharyasiewicz nadzwyczajnéj

Ksiądz Franciszek Ksawery z Abgaro Zacharyasiewicz,

Biskup Przemyski obrz. łac.

znajomości świata i ludzi, która połączona z rzadką dobrocią serca, zrodziła tak pobłażające obejście z błądzącymi z słabości, tak roztropne i nigdy zbytnią surowością niezłączone zwrócenie podwładnych na drogę powinności. Umiał on rozróżnić rzeczywistość od pozoru, prawość istotną dążeń od udającéj ją obłudy, a będąc sam dalekim od faryzeuszowskiéj układności, mile widział otwartość postępowania, mając to przekonanie, że cnocie i nauce śmiało wystąpić, podłości tylko i niedołęztwu umysłowemu czołgać się przystoi; — nader więc

łatwo było dojść, lecz niepodobieństwem dopełzać jego względów. — Tkliwa dla familii miłość, niezłomna w przyjaźni stałość, troskliwa o przyjętych w opiekę swoją pamięć i staranność, skora ku przebaczaniu uraz wspaniałomyślność, i najmniejszego nawet pozoru dumy nieprzypuszczająca popularność i przystępność, dowcip, niezrównany umysł wesoły, ten pewny świadek czystego sumienia — oto czyny — cnoty — i zalety męża, którego śród sprawowania równie ważnego, jak trudnego pasterskiego obowiązku, zwiedzania parafialnych kościołów, przy téj sposobności głoszenia słowa bożego i udzielania Śgo Sakramentu bierzmowania, w skutek nad siły podjętéj pracy, ostatnia pochwyciła choroba, i zawcześnie dla chluby kraju i dyecezyi, zawcześnie dla szczęścia familii i przyjaciół, zawcześnie dla dobra podrzędnych, w ciemnym złożyła grobie. — Zwiedzając bowiem dekanat Leżajski, w Sokołowie dnia 10. Czerwca wieczorem jeszcze udzielając Śgo Sakramentu bierzmowania do dwu tysięcy prawowiernym, gdy strudzony tém uciążliwém dopełnieniem obowiązku, skołatane pracami, zużyte wiekiem siły ciała, napiciem się zimnéj wody chciał pokrzepić, tknięty chorobą zapalenia płuc, do Przemyśla, mimo mocnéj słabości, dnia 12go Czerwca z rana przywieziony, tegoż dnia opatrzony ŚŚ. Sakramentami, z spokojném zdaniem się na wolę bożą, przyjął uwiadomienie lekarzów o niebezpieczeństwie śmiercią zagrażającém, czyniąc uzupełnienie ostatniéj swéj woli i rozporządzenia tyczące się spraw dyecezyalnych, jak gdyby w ostatnich życia swego chwilach okazać chciał światu, że duch silny, a nawet od już poczynających gasnąć sił ciała niezależny działać może, o godzinie 3½ po południu dnia 12go Czerwca 1845 r., wśród otaczającego go duchowieństwa, złożywszy Najwyższemu Bogu dzięki za odebrane łaski, zastygającemi już usty rzekłszy: „Wielkie dzięki Bogu,“ przeniósł się do wieczności. Cześć jego cieniom!

Podlasianie.

(Dokończenie.)

Niedziela lub każde inne święto, jest jak wszędzie dla chłopa podlaskiego dniem wypoczynku i zabawy. W karczmie szukają rozrywki i tam to przepędzają dnie świąteczne. Piją zawsze we dwóch lub więcéj. Kolejno żądają napoju, i tym sposobem każdy jest obowiązany ponieść równy wydatek z największym pijakiem. Kobiety przybliżają się do pijących z pewnym wstydem i nieśmiałością, i prawie je do picia zmusić trzeba; gdy przyjęły kieliszek, wychylając go, zakrywają się fartuchem.

Chłopi podlascy nie lubią wtenczas, gdy są w karczmie, widzieć jakiego szlachcica; jednakowoż nie zważają na niego; lecz jeżeli szlachcic chce im imponować lub przeszkadzać w zabawie, okazują się hardymi. Przeciwnie zaś, jeżeli ekonom lub urzędnik ich pana przyjdzie, są bardzo kontenci i przyjmują ich bardzo po przyjacielsku.

Gdy Podlasianin chce się żenić, posyła kobietę lub mężczyznę, pod tytułem posła, do swéj ulubionéj. Jeżeli oświadczyny uczynione przez posła są mile przyjętemi, robią zaręczyny, wtenczas młody parobek przyjmuje nazwę: księcia, a młoda dziewczyna księżniczki. Błogosławieństwo małżeńskie zawsze się udziela w Niedzielę, w Sobotę lub w wigilią ślubu. W Sobotę gdy widzą narzeczonego nadchodzącego z swoją familią, ze swymi świadkami i drużbami, rodzice młodéj panny, jako i ich familia siadają do stołu. Zaraz po ich przybyciu, usadzają rodziców narzeczonego za stołem przy drugich. Starostowie wesela, wybrani z obydwóch stron, trzaskają z bicza lub też uderzają kilka razy kijem w belki, wykrzykując po trzy razy: „Rodzice, rodzeństwo, krewni i przyjaciele! prosimy was, abyście byli tak dobrzy pobłogosławić z głębi serca waszym dzieciom.“ Po téj prośbie, narzeczona, teraz księżniczka, w towarzystwie pierwszéj druchny, która jéj podaje rękę, skłania się aż do kolan przytomnym, począwszy od rodziców, i wszyscy udzielają jéj błogosławieństwo. Po téj ceremonii pierwszy swat sadza ją przy stole, a brat jéj lub najbliższy krewny siada przy niéj. Narzeczony z całą swoją familią wychodzi do sieni, zostawiając w izbie pierwszego swata z bratem narzeczonéj, ażeby oznaczyć cenę podarunku, który ma ofiarować swéj oblubienicy (bukiet do jéj warkocza, jak to nazywają). Druchny namawiają brata, aby był wymagającym, śpiewając do tego stósowną piosnkę.

Jeżeli targ długo trwa, dziewczęta żartują

sobie z narzeczonego i niby go pocieszając, radzą mu, ażeby nie żałował pieniędzy.

Po ukończonym targu, pierwszy swat kładzie na stół przed narzeczoną podarunki i pieniądze; książę wchodzi z swymi towarzyszami, a brat ustępuje mu miejsca tyle upragnionego. Poczém uczta się rozpoczyna, zdrowia wychylają z jednéj i z drugiéj strony, a tańce zakończają dzień miłości.

Uroczystości błogosławieństwa małżeńskiego, które się odbywają nazajutrz, nie różnią się w niczém od uroczystości w tym rodzaju innych ludów, noszących imię Rusinów; pomówimy o tém przy sposobności. Teraz poświęcimy kilka słów szczegółom, właściwym tylko ludowi, który nas teraz zajmuje.

Po błogosławieństwie, Podlasianie zapalają stós ustawiony z gałęzi i słomy, a młodzieńcy przeskakują przez niego. Ten zwyczaj pochodzi jeszcze od Słowian pogańskich, u których prawie żadna uroczystość nie obeszła się bez ognia.

Młoda mężatka wstawszy nazajutrz, bierze bochenek chleba, biały ręcznik, i w towarzystwie swego brata, idzie po wodę do swych sąsiadów, a gdy nabrała wody ze studni, stawia tam te rzeczy, aby pokazać, iż chce żyć w zgodzie z swymi sąsiadami. Wodę, którą przyniosła, wylewa w wanienkę, aby zrobić kwas, tyle ulubiony u narodu ruskiego, co oznacza, iż się nie obawia zdrady ze strony drugich mieszkańców, i że ufa ich przyjaźni.

Pomiędzy łakociami, które Podlasianin jé w dzień ślubu, jest jedna, która zasługuje cokolwiek na wzmiankę: jestto kapłon, nazwany bażantem, który przy téj uroczystości jest przyprawiony dziwacznym sposobem, lecz który nam jest nieznany. Przywięzują go u wierzchołka drabki, wychodzą ze wsi, i na umyślnie wyszukanym pagórku pieką go żywego nad wielkim płomieniem; potém po oskubaniu, przyrządzają go jak zwyczajnie. Wychodząc i wchodząc noszą go z wielką ceremonią, wśród krzyków całego towarzystwa i przy odgłosie muzyki.

W domu, gdzie się znajduje młody mężczyzna, który się chce żenić, kobiety nie odważają się prząść w Poniedziałek; wierząc, iżby musiał tak długo kręcić się około młodéj dziewczyny, jak się długo kręci wrzeciono. Jeżeli dwa wesoła spotykają się w drodze, jestto w ich oczach wielkie nieszczęście dla nowozamężnych. Żadna strona nie ustępuje; wtenczas walka się rozpoczyna, drogę sobie gwałtem torują,' lub się zgodnie układają, i jedni lub drudzy wracają na miejsce, skąd wyszli. Dopiero znów udają się w drogę używając wielkich przezorności, ażeby to samo spotkanie nie nastąpiło.

Podlasianin stara się więcéj znaleźć dziewczynę pracowitą niż ładną. Słowa następujące, które powtarza nieustannie, dowodzą téj prawdy:

„Nie patrz, mój bracie, czyli twarz jest biała i gładką; lecz idź i pytaj się ludzi, czyli „izba jest zamiecioną i dobrze utrzymywaną. „Nie zważaj, mój bracie, czyli dobrze tańcuje; „lecz idź i pytaj się ludzi, czyli umie płótno „robić i uszyć koszulę.“

Gdy kobieta która zlegnie, jedna z sąsiadek, która sama już karmi, przychodzi karmić nowonarodzonego, a inna tak nazwana baba, pielęgnuje chorą; obiedwie tak długo zostają, aż dopókąd matka sama bez ich pomocy może wypełnić obowiązki macierzyńskie. Jest to zwyczaj powszechny, mogący służyć za dowód braterstwa u wszystkich narodów słowiańskich, jakoto: u Dalmatów, Istryjczyków, Karyńtczyków i innych mieszkańców nad brzegami morza Adryatyckiego. Musimy tu jeszcze dodać kilka słów o zwyczaju przy pogrzebach, który jest właściwy Podlasianom i wszystkim sąsiednim okolicom.

Gdy trupa mają na smętarz zanieść, kładą mu w rękę kawałek płótna z kilkoma groszami, potém zioła święcone i flaszeczkę z wódką w trumnę. Na wieko kładą także kawałek płótna i bochenek chleba, który księdzu ofiarują. Gdy przez wieś niosą trumnę, uderzają w każde drzwi młotkiem, ażeby się na wieki pożegnać. Dawniéj najmowano płaczki, dzisiaj tego zwyczaju zaniechano. Gdy smętarz jest nadto odległym, ksiądz nie idzie daléj jak do krzyża, będącego przy wjeździe i przy wyjeździe każdéj wsi w Polsce. Potém jeden z najstarszych i najbardziéj poważanych, żegna się z przytomnymi w imieniu zmarłego, i prosi o przebaczenie za krzywdy i zniewagi, które ten mógł popełnić w ciągu swego życia. Po téj krótkiéj przemowie, przerywanéj często płaczem przytomnych, całują trumnę zawierającą ciało martwe, prowadzą je na smętarz, i po złożeniu

w grób przeznaczony, wracają do wsi na ucztę pogrzebową, która się składa z piwa, wódki, chleba, séra, ogórków kwaśnych i cybul surowych.

Cztery razy do roku obchodzą uczty żałobne, tak nazwane dziady. Te uczty przypadają: w wigilią Świątek, w tłusty Wtorek, w wielką Sobotę przed Wielkanocą i w dzień Wszystkich Świętych. W te dni od samego rana noszą ciepłe potrawy do kościoła, i gdy je ksiądz błogosławi, i odbywa przytém inne ceremonie religijne tak nazwane Parastas, każda matka familii trzęsie i mięsza te potrawy, w tém przekonaniu, iż para, która ulatuje, będzie przyjemną umarłym. W wieczór zastawiają stoły i zapraszają zmarłych temi słowami: „Prosimy was cienie umarłych, bądźcie przytomnemi naszéj skromnéj uczcie! Chodźcie, chodźcie, cienie umarłych, prosimy was z głębi serca.“

Aby uczcić ten zwyczaj napisał Adam Mickiewicz swój sławny poemat: „Dziady.“

Text do Nru. 157.

Stojała lipa przy dole, przy dole, przy dole,
Przy organiścinéj stodole, stodole, stodole;
Tamci Kasieńka stojała, stojała, stojała,
Roseczka na nią padała.
Biegłci Jasinek na rolą,
Wziął sukmaniska, odział ją.
Śpijże Kasieńku powoli,
Niech cię główeczka nie boli. —
Kasieńka wstała skoro dzień,
Poszłaci ona po ogień.
Nie po ogieńci chodziła,
Jeno Jasieńka budziła,
Wstajże Jasiu mój, umyj się,
Na gorzałeczki, napij się.
Ja gorzałeczki nie piję,
Jeno Kasieńkę za szyję.

Nº 157.

Złaków kościelny pod Łowiczem.

Adagio

Stojała li_pa przy do_le przy do_le przy do_le

sempre legato

Przy orga_niścinéj sto_do_le sto_do_le sto_do_le.

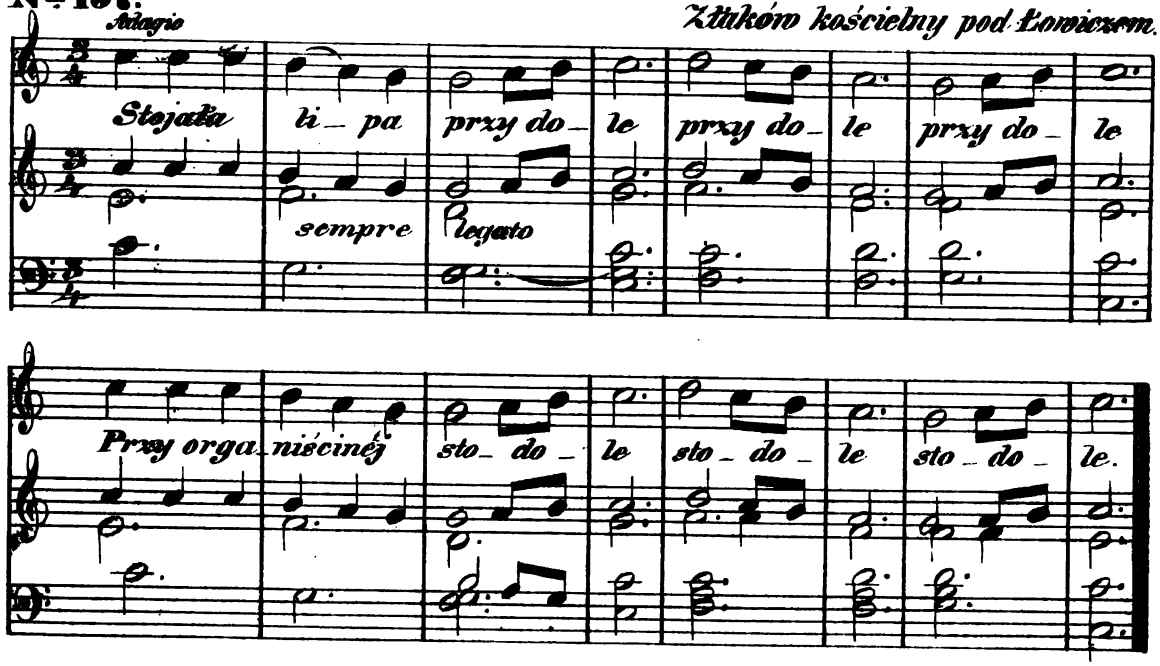

Zeszyt ósmy Roku I. pisma miesięcznego: *Kościół i Szkoła*, zawiera następujące artykuły:

I. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania. §. 1. Jezus Chrystus jako wzór modlitwy. §. 2. Głos zdrowego rozsądku do Chrześcian. §. 3. Kilka słów o ćwiczeniach mowy i rozumu. §. 4. Jakie nauki nauczyciel pielęgnować powinien. §. 5. O duchownych i nauczycielach. §. 6. Środki pomocnicze ku tworzeniu sobie pytań katechetycznych. — II. Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 33. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 15. Sierpnia 1846.

Pestalozzi (ciąg dalszy). — Naczynia kościelne. — Anekdota. — Nowiny literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

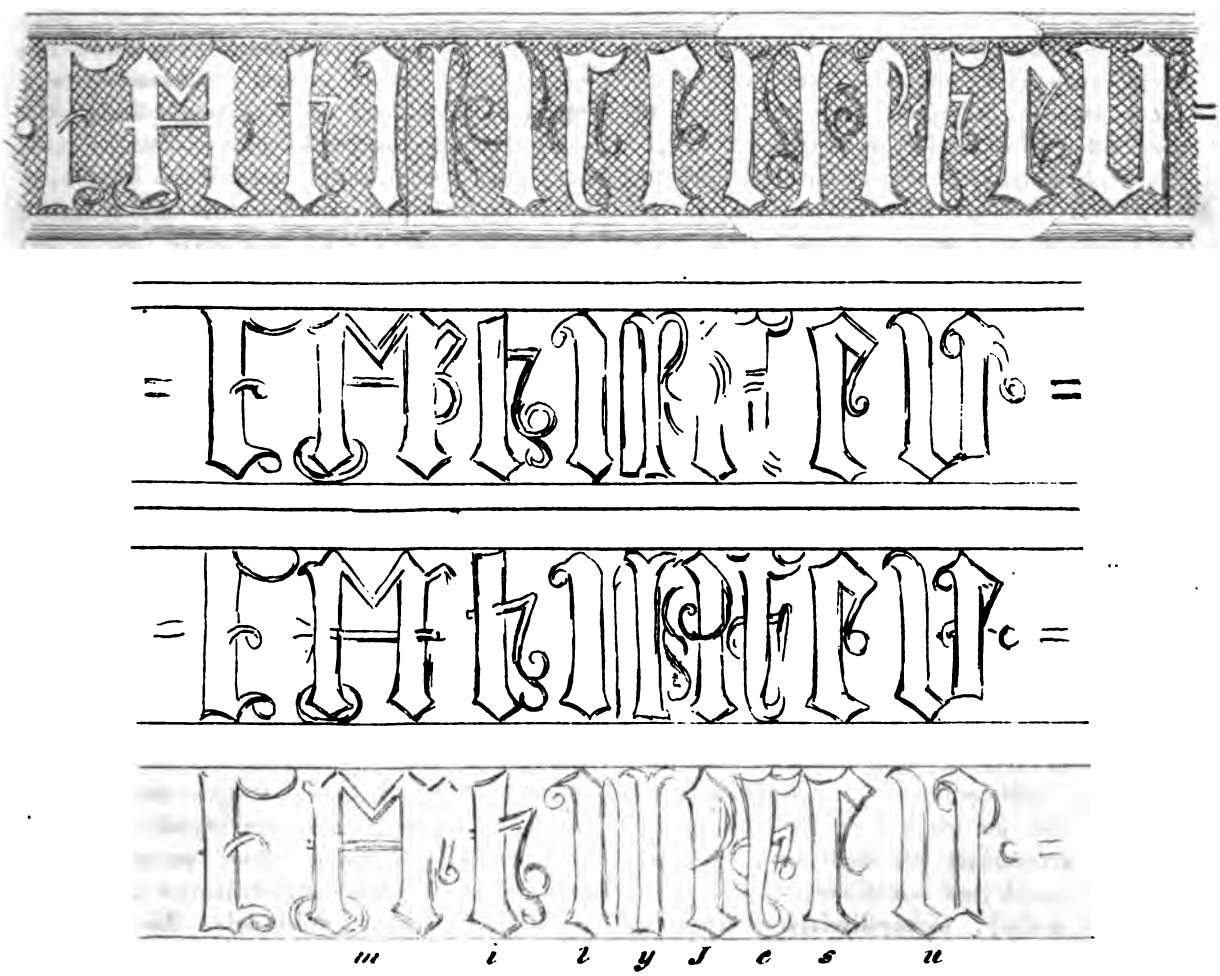

Napis na miesięznéj tacy z roku 1487.

Pestalozzi.

(Ciąg dalszy.)

W roku 1810 napisał: „O idei kształcenia elementarnego“ i „o niewinności, sumienności i szlachetności mojéj ojczyzny.“ Główna treść dzieła, w którém nie zbyt jasno smutny i nie pocieszający stan swojéj ojczyzny skreśla i środki zaradcze podaje, jest następująca. Cywilizacya powinna ulegać wyższym prawom kształcenia człowieka; kształcenie li przez cywilizacyą demoralizuje rodzaj ludzki, i zachęca potężnego człowieka do nadużycia swych sił, dumnego do wyszydzenia słabego, zadowolnionego czyni obojętnym na stan niezadowolnionego, w ogóle uważa człowieka li ze służby, nie zaś podług samodzielności jego istoty. Pojawy w zepsuciu cywilizacyi wywołują osłabienie samoistności narodowéj, w zburzeniu ludu barbarzyństwo rządu. Ród ludzki w naszym czasie jest fizycznie i duchowo osłabiony, pełen pretensyi, chciwy sławy i pieniędzy, a samolubny polityk, intrygujący, zimny, miłości ojczyzny pozbawiony obywatel, taką sławę i szacunek zyskuje, jakiegoby mu ojcowie nasi nie przyznali. Wśród téj co do obyczajowości, ducha i obywatelstwa tak podupadłéj godności człowieka, nie ma dla świata zbawienia jak tylko w wychowaniu i wykształceniu godności człowieka. Podstawą jest domowe życie. W pojawiającém się przed wszystkiemi innémi siłami uczuciu dziecka spoczywa święty zaród czystego rozwinięcia całego obszaru wszystkich obyczajowych i duchowych sił natury; źródłem, z którego prawdziwie człowieczeństwo wypływa, jest niewinność, prawda, miłość. Trzeba nam koniecznie dzieci lepiéj wychowywać, bo na téj drodze tylko nadejdzie chwila odrodzenia. — Za dnia dużo się zajmował przyjaciołmi, którzy właściwe cechy jego metody poznać pragnęli. Niezmordowana czynność jego była dowodem rzadkiéj ruchliwości ducha. Nie był to jednak elastyczny, lekki, swobodny polot geniusza, lecz gwałtowna siła. Miotany w tę i w ową stronę igraszką losu, bez prawideł, wzoru sztuki i umiejętności — od trzydziestu bowiem lat nic już nie był czytał — oddał się zupełnie przemożnéj sile medytacyi. Ten wewnętrzny popęd jego ścieśnionego serca, ta dążność do wolnéj, uszczęśliwiającéj czynności, połączona z niezaradnością odosobnionego badacza, obudziły w nim wprawdzie nowe, głębokie i śmiałe pomysły, ale utrudniały mu zarazem, aby pochwycił przedmiot jasno i wielostronnie. Stąd też przebija się w jego pismach otwartość cierpiącego, bolejącego serca, siła myśli i nadzwyczajnych pomysłów, szlachetnością i szczytnością przedmiotu rozpalona fantazya, wzniosłość obrazów, niezmordowane dążenie do źródeł prawdy i walka cierpiącéj duszy z jasnym poglądem, z silną wolą i pokonaniem niedokładności wysłowienia; stąd z drugiéj strony owo mnóstwo zawiłych myśli, przeważająca subjektywność, uderzająca jednostronność zdań, owo ponure grobowe skreślenie nędzy ludzkiéj. Nie tak przez ludzi jak sam przez się kształcony nie posiadał daru wpływania bezpośrednio na ludzi; zbywało mu na spokojności w rozwadze nad drobnostkami w życiu, na pewności czynu, na takcie towarzyskim. Świat nawet dziecinny umiał więcéj obudzić niż kształcić, a lubo najgłębsze prawdy prawdziwego kształcenia rozwijał, sam był najnieobrotniejszym nauczycielem. Ponieważ zaś głębiéj czuł, śmieléj myślał i większą odwagę we woli pokazywał niż jego współcześni, dla tego wielu go nazywało marzycielem. Ponieważ stare formy szkolne uważał za błędne, a w skutek szlachetnego oburzenia zapory przyzwyczajenia niweczył, zarzucano mu żądzę sławy Reformatora. Wiele z darów natury utraca człowiek przez własną winę, a zaprawdę mało ludzi czuje i uznaje tak głęboko i z taką pokorą jak Pestalocy, że z własnéj siły tyle utracili. Czystość i niewinność, wiara i miłość, łagodność dziecka zdobiły i uszlachetniały duszę jego aż do późnéj starości, ale pokazywał się w nim ciągły brak spokojności, przytomności, oględności, ostrożności i jasności w osądzaniu ogólnego stanu i osób. Większą część życia przepędził w ciągłéj sprzeczności z sobą. Pomimo swych całą ludzkość obejmujących ideałów nie posiadał tyle zdatności i zgrabności, aby szkołą wiejską zarządzał. Był on ożywiającą duszą domu swego, przenikał wszystkich głębokością swego ducha, czystością woli i siłą miłości. Do niezdatności Pestalocego w zarządzaniu przyczynił się wiele brak znajomości ludzi. Znał on człowieka, ale nie znał ludzi. Pojedyńczego człowieka przeniknął szybko i dokładnie. Nieobyczajny chłopiec wiedział o tém, że żadne ciemności nie ukryją błędu jego przed bystrością Pesta-

lecego. Ale czy ludzie mu dobrze lub źle życzyli, czy zamiary ich dobre lub złe były, to rzadko osądzić był w stanie; jego dobroduszność zaciemniała mu wzrok. Dużo go walki kosztowało przypisywać komu coś złego. — Obok łagodności, przyjacielskości, był on nieraz namiętnym, popędliwym, nawet niesprawiedliwym. Jeśli mu o czém doniesiono, nie starał się poszukiwaniem prawdy dochodzić, pozwolił raczéj nad sobą, jak się to u dzieci zdarza, chwilowemu wpływowi panować, w chwili pierwszego wrażenia natychmiast wyrokował. Do słabych stron Pestalocego należy także niedbałość o siebie, zewnętrzne opuszczenie się, brak schludności. Nie tylko, że się ubierał po prostu i ubogo, ale często wychodził nie umyty, z rozczochraną głową, nieogoloną brodą, w powykrzywianych trzewikach i z opadłemi pończochami. Przecież błędy i słabości téj wielkiéj natury nikły obok wielkości ducha i potęgi jego gorącéj miłości bliźniego, bo cały obraz jego duszy każdego w podziwienie wprawiał. Stósunek jego do żony był najwznioślejszy. Po pięćdziesięcioletniém prawie pożyciu z mężem była Pestalocego żona poważną, łagodną i życzliwą, w rysach jéj objawiał się spokoj skołatanego wprawdzie walką życia serca, atoli czystością sumienia napiętnowanego. Pestalocy osładzał sobie nieraz życie po trudach dziennych w jéj obecności, nigdy atoli przykrości doznanych jéj czułemu sercu nie udzielał, wolał w sobie ukrywać cierpienie, aniżeli widzieć swą towarzyszkę życia o niego się niepokojącą. W początku Grudnia 1815 roku zaczęły opuszczać siły matkę domu, a dwunastego Grudnia ze spokojem w duszy na wieki zasnęła. Po tych dniach smutku nastąpiły jeszcze smutniejsze dla Pestalocego i jego instytutu. Pomiędzy kolegami, którzy byli nieodzownymi do uzupełnienia jego indywidualności, odznaczali się Niederer i Schmid. Niederer poparł swe naturalne zdolności gruntownem wykształceniem gimnazyalném i uniwersyteckiém, szczególniéj zaś naukami filozoficznémi, przez co był w stanie stać się pośrednikiem głębokich pomysłów idei Pestalocego z umiejętnością, powiązać pojedyńcze prawidła wychowania i kształcenia w jeden system. Jako nauczyciel wykładał on religią w wyższych klassach, miewał dla dorosłych i gości prelekcye o metodzie, miewał kazania, odrabiał korespondencye instytutu i był nader czynnym w instytucie dla płci żeńskiéj. Przyjaźń, która Pestalocego z Niedererem łączyła, więcéj się opierała na przekonaniu o jego wierności i poświęceniu, aniżeli na uczuciach serca, owszem ich osobistości zupełnie sobie były sprzeczne. Kontrast ten tém więcéj się wzmagał, im się Niederer więcéj oddalał od Pestalocego prostych i empirycznych wyobrażeń. Niederer chciał swém samodzielném i głębokiém zastanowianiem się nad psychologiczną podstawą i istotą kształcenia elementarnego bez praktycznych doświadczeń dojść do przeważnego wpływu na instytut. Gubił się w metafizycznem skreślaniu idei, dla których zbywało mu na naukach opartych na wyobrażeniach, z resztą nie posiadał ani wymowy, ani silnych i dobitnych wyrażeń, aby pojęcia swe przystępnémi uczynić. Co tylko zgłębiał i przedstawiał, zdawało się być meteorem, bo nie łączyło się z żadną życia naszego rzeczywistością. Z resztą przez polemikę literacką ujmował swe siły instytutowi. — Józef Schmid posiadał silny charakter, wzrok jego był bystry i pewny, głos surowy, a czoło jego więcéj zachmurzone niż wypogodzone. Pilność jego i czynność niezmordowana, a siła panowania nad sobą i wyrzeczenia się wszelkich przyjemności rzadka; lubił porządek i karność, nie cierpiał ospałości i wygód. Naturalnym więc wypływem było nadzwyczajne zaufanie Pestalocego do Schmida, i to było przyczyną nieporozumień Niederera z Schmidem. W skutek tego opuścił nagle w r. 1810 Schmid instytut i udał się do Wiednia. Zakład dużo na tém stracił, ponieważ Schmid jedynie był w stanie porządek utrzymać. Na prośby samego Niederera, który wysoko cenił praktyczność i energią Schmida; wrócił Schmid w 1815 roku. Rozpoczął swoje działanie ze zwykłą energią i spokojną ale życie objawiającą czynnością i starał się na samprzód o to, aby ekonomiczny stan instytutu polepszyć. Ale na nieszczęście Pestalocy sam nie był zrodzony na sternika. W owym stanowczym czasie było obowiązkiem Pestalocego stać się pośrednikiem między Niedererem a Schmidem na drodze miłości wzniosłéj nad wszelkie przywiązanie lub odrazę. Atoli tu zbłądził jak nigdy w życiu, wypuściwszy ster z ręki. Żądza sławy i próżność Schmida dopiero się zaczęła objawiać, kiedy Pestalocy się

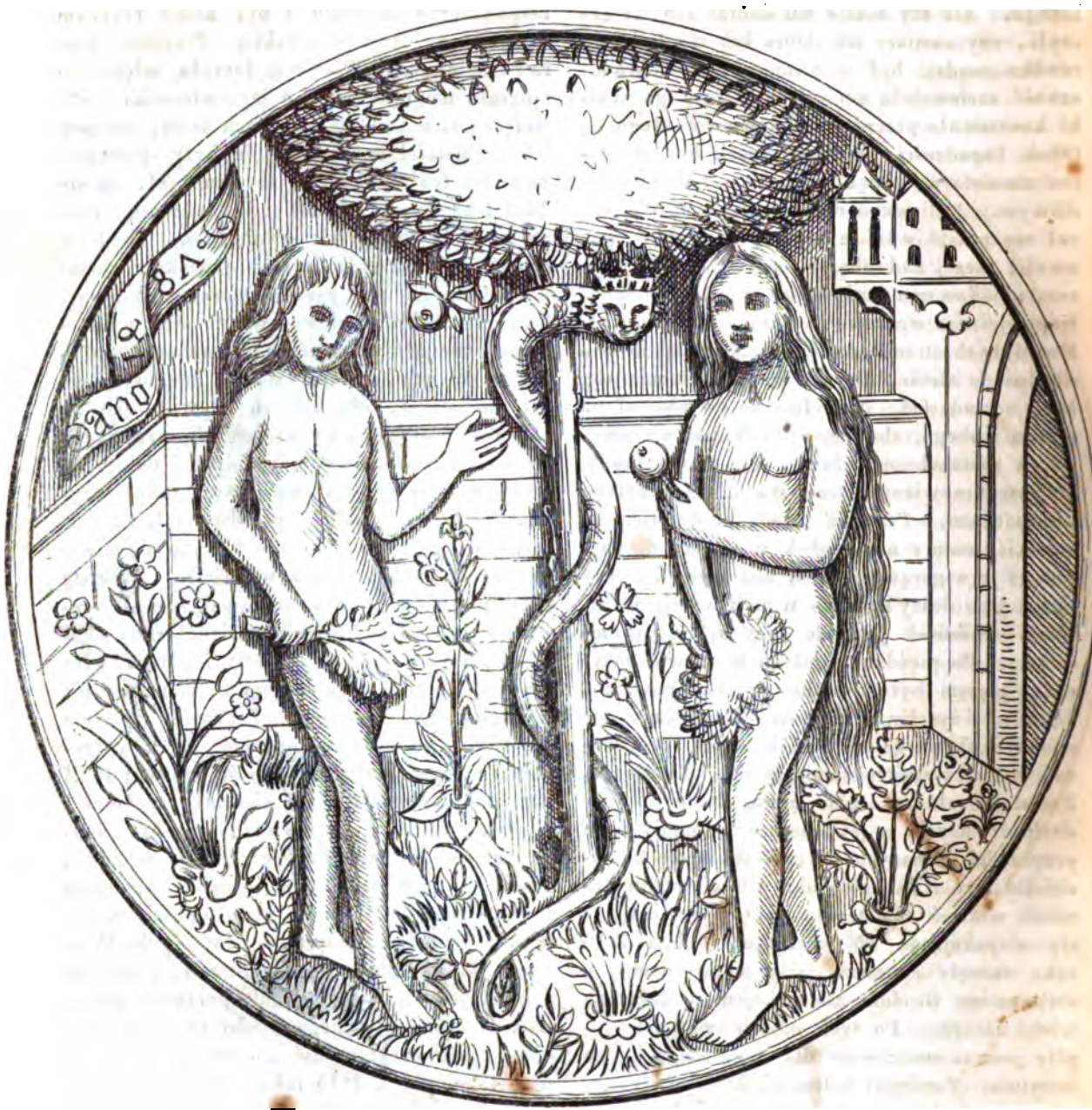

Wyobrażenie na mosiężnéj tacy z roku 1487.

w jego objęcia rzucił. Odtąd występował jako nieograniczony rządca, zniósł wszelkie konferencye, na których dotąd wszystko rozbierano i rozstrzygano wspólnie, wyrokował, zmieniał, rozkazywał wprawdzie w imieniu Pestalocego, atoli w istocie podług własnéj dowolności. Takie występowanie musiało naturalnie opozycyą obudzić. Oskarzono Schmida, atoli Pestalocego oślepienie zwaliło całą winę na podpisanych na zażaleniu szesnastu nauczycieli, i ludzi dorosłych, którzy w celu poznania metody do Yverdünu przybyli. W skutek téj słabości opuścili wszyscy goście instytut.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Naczynia kościelne.

Któż policzy mnóstwo łupów niezmiernych

Wyobrażenie na mosiężnéj tacy z wieku XV, znajdującéj się w kościele Stupeckim.

wywiezionych z ziemi Polskiéj ręką Tatarów, Turków, Szwedów, Krzyżaków i Moskwy! Któż odgadnie ilość bogatych naczyń z złota, srebra i kruszcu innego, które przed wieki zdobiły kościoły, dwory, zamki Polskie! Za dawnych czasów srebra i klejnoty nie były tak rzadkie jak dziś. Jaki taki mieszczanin miał swoje srebra; kubki, czary, dzbany, miednice, roztruchany, łańcuchy, śpinki, misy i t. d., dosyć często widziano w domach prywatnych, zbroje i rzędy kosztowne u szlachty; a w skarbcach Magnatów, Książąt i Królów bynajmniéj

na nich nie zbywało. Kościoły i klasztory bogate były w kielichy, pateny, monstrancye, relikwiarze, puszki, kadzielnice, świeczniki i ornaty. Mniéj łożono na ów czas na wygody domowe, na przepych i urządzenie pomieszkania; zato w skrzyniach więcéj było bogactwa i sreber lanych, grubych, litych. Jakie zasoby dwór Bolesława Chrobrego mieścić w sobie musiał, kiedy Cesarza Otona i dwór jego przez trzy dni Król podejmując w drewnianym zapewne dworze Gnieźnieńskim, po każdéj uczcie wszystkie naczynia złote i srebrne, jako i wezgłowia i kobierce, odesłać kazał do gospody niemieckich gości, w upominku im ofiarując te skarby!

Jakież bogactwa jeszcze za czasów Husytów katedra Gnieźnieńska posiadała, kiedy ogromne krzyże szczerozłote i lamy (blachy) z złota ulane, drogiemi kamieniami wysadzane, napastnicy z sobą zabierali.

Owe klasztory Cystersów, owe opactwa, kościoły, kollegiaty, pełne były złota, srebra i klejnotów. W nich pobożna ręka bitnych rycerzy zdobyte na pogaństwie łupy jako ofiarę Bogu składała; w nich na świętych ołtarzach złożone wota, ślubowane w chorobie, w nieszczęściu i niebezpieczeństwach; dla nich duchowieństwo i prałaty oszczędzone przez życie skarby, przy śmierci albo i za życia przeznaczali; dla nich skrzętny mieszczanin, pracowity kmieć sprawiał przybory kościelne, jako dar z szczerego a wdzięcznego serca, z miłości ku Bogu pochodzący. Chwała Boska była celem ofiar; upiększyć, przyozdobić przybytek Pański, ojcowie pragnęli, czując, że Bogu, dawcy wszystkiego, oddać najwyższą cześć przystoi.

Nie dla mamony odstępowano Boga i cnoty, nie dla złota i skarbów Boga i duszę przedawano, lecz owszem mamonę na ołtarzach Boga ofiarowano. Dziś spoglądając na domy Boże, widzimy w nich szczupłe szczątki dawnych bogactw. Wojny, klęski, upadek narodu i zubożenie powszechne, odarły z ozdób kościoły nasze; gdzie indziéj odszczepieństwo i niedowiarstwo, łakomstwo i dzikie barbarzyństwo, ogołociło z przepychu domy Boże.

Rzadkie u nas są kościoły, w których pokazują starożytne naczynia. Po zakrystyach i skarbcach wiele jest skrzyń, szaf i schowań, ale oprócz kilku najpotrzebniejszych naczyń i apparatów same pustki. Ledwie po katedrach przechowały się starożytne srebra i złota. Nie jeden może zabytek dziś jeszcze ginie, kiedy dla reparacyi kościoła srebra idą na przedaż.

Przyjaciel Ludu od początku istnienia swego zamierza sobie przypomnienie przeszłości, zachowanie pamiątek ojczystych rozsypanych po całéj ziemi słowiańskiéj; niezawodnie do tegoż zakresu należeć będą starożytności po kościołach zachowane. W dawniejszych numerach nieraz czytelnik znajdywał wyobrażenia przedmiotów z kruszcu robionych, jako to: Posągi, nagrobki, dzwony, monetę, broń, stroje; niepoślednie pomiędzy temi starożytnościami miejsce zająć mogą kielichy, relikwiarze, tace, i t. d. Wielce przysłużyłby się literaturze ojczystéj, któryby się podjął wydania pomników kruszcowych wszelkiego rodzaju, zacząwszy od złotéj bramy Kijowskiéj w Gnieźnie, aż do sygnetów i pieczątek. Poznanoby z tych zabytków rozwinięcie się sztuki plastycznéj w kraju naszym; nie jedno dzieło, co uchodzi dotąd za Germańskie, musianoby przyznać sztuce krajowéj, mistrzowi Słowiańskiemu. A że Słowianie bardzo dobrze znali topienie kruszców i górnictwo, że w téj mierze może byli nauczycielami Niemców, dowodzą po części wyrazy pradawne u górników Niemieckich w Turyngii używane, a czysto Słowiańskie. Odlewanie posągów i innych przedmiotów kruszcowych znane im dobrze było, jako świadczą posągi bożków Prylwickich, które Niemcy z uporem a niesłusznie swoim przodkom pogańskim przywłaszczają. Nareszcie brama Kijowska jest dziełem sztuki Słowiańskiéj a bynajmniéj Germańskiéj; ani architektura (styl budowy), ani draperya (sposób ubioru), nic zgoła w obrazach i figurach bramy, nie przypomina sztuki Staroniemieckiéj. Nie wiem, czy zabytki starożytne kruszcowe z napisami polskiemi gdziekolwiek w kraju odkryto; wiadomo bowiem, że powszechnie używano języka łacińskiego na pomnikach wszelkiego rodzaju, nawet na monecie; czasami też Niemieckie znachodzimy napisy, z powodu ludności Niemieckiéj w miastach Polskich, która będąc uprzywilejowaną i ztąd zamożną, nie jedno fundowała dzieło. Że jednak i Polskiemi napisy zdobiono szczególnie mniejsze przedmioty i dzieła sztuki, dowodzi zabytek z wieku 15. znajdujący się w Gnieźnie w kościele Ś. Michała.

Jest to taca mosiężna, okrągła, 14 cali śre-

dnicy mająca, 2 cale głęboka, któréj dno z okólnym napisem ma średnicę 8 cali, brzeg zaś wywinięty i spłaszczony 3 cale szerokości. Na brzegu widać kwiatki rytowane. Dno wyobraża upadek pierwszych rodziców; widać Adama i Ewę z jabłkiem, a pomiędzy nimi węża z koroną, wijącego się około pnia drzewa zakazanego. Rozliczne kwiaty rosną u nóg Adama i Ewy; wyraźnie lilia dwa kwiaty wydająca obok Adama pięknie wyrosła, jako godło pierwotnéj niewinności dwojga rodziców. Tuż za Ewą trzy liście bardzo ząbkowane bez kwiatu, może oznaczają oset, który ziemia od Boga przeklęta po utracie raju wydać ma, zamiast owocu. Przy oście wznosi się brama raju; bo raj jest opasany murem z ciosowych głazów, więc stósowną musi mieć bramę w guście owego wieku, z wieżyczką dla strażnika i okienkami, czyli wyględami. Widać, jak sztukmistrz wyobrażenia czasowe i stan oświaty ówczesnéj przeniósł w owe wieki, kiedy ród ludzki, u kolebki swojéj stojąc, składał się z dwojga ludzi i bez pomocy miejskiéj straży i policyi, bez żandarmów i warowni, chodził w obliczu Boga. Porównywając te wyobrażenia ówczesnych mieszczan Polaków z sąsiedniemi, ruskiemi, przekonamy się, że wcale inaczéj Rusini pojmowali raj i piękności jego, że nie po miejsku, lecz po wiejsku sobie wystawiali ową scenę na tacy wyobrażoną. Otóż ułamek z opisu raju, w języku ruskim:

„Na poczatku swiata nie było niczewo, ni na szto nikomu nie zdało sia, bo sia nie dało ni wziat' ni baczyt'. Wot Hospodyn miłosiernyj nawiosł chrostu, natiosał kołkow i zaharadił (zagrodził) sebia perepyszny raj. Nasadił w nim dubiny, chrobiny, bereziny, swiorezyny i innaho perepysznaho derewa. Naszczupił chranu, repy, czasnoku, bot'winy, łobudy, dyndery i innaho perepysznaho zioła. Hospodyn miłosiernyj Boh hadyt' sebia po raju, nadybał glinu — kak dumajut', tak dumajut, szczoby z téj gliny zdziałat', — ulepił Adama, postawił pod płotem, szczoby wysochł. Hospodyn miłosiernyj posmatryt' (wejrzał) na Adama i tak skazał: a szczo tebie tepier (teraz) treba? W odpowiedał Adam: Hospodyn miłosiernyj Boże, zle mene samemu, i t. d.“

Prostota wiejska przemawia z tego opisu i daje wyobrażenie o ówczesnym stanie ogrodownictwa; warzywa i dzikie drzewa, płotem chróścianym ogrodzone, stanowią przepych rajski; w Polskiém wyobrażeniu widzimy kwiaty i warowny gród. Na około zaś, jakoby rzewne wspomnienie upadku i tęsknoty za obiecanym Messyaszem, te słowa Polskie cztery razy powtarzane, niby na wszystkie cztery strony świata: „Miły Jezu, Miły Jezu, Miły Jezu, Miły Jezu.“ — Litery trudno odgadnąć bez pomocy dzieł paleograficznych (kluczów do dawnego pisma i abecadeł starożytnych.) Piękny zaiste pomysł sztukmistrza Polskiego, który żył około r. 1487, jak się pokazuje z napisu u głowy Adama umieszczonego.

Robota sama jest dosyć ładna; figury pokazują proporcyą dobrą i ułożenie naturalne, lubo są zbyt szczupłe w członkach, według gustu owych wieków, który na obrazach kościelnych nie przypuszczał żadnéj tuszy ciała, wiedząc, że ci, co byli wzorami świętobliwości, wiary, poświęcenia i pracownikami duchowymi, nie mogli ciału służyć i dogadzać i wypaść się na okrągłe, pełne osoby. Darmo szukać opasłych świętych w świątyniach katolickich, bo ich nie było w życiu; szczupłych, wycieńczonych postem, umartwieniem, prześladowaniem, czuwaniem i katuszami, pełno widzimy w dziejach kościoła i na obrazach i rzeźbie. — Litery napisu nieco wystają na tle rytowaném; obwody koliste obrazu i napisu są dęte i wypukłe, także figury, wąż i drzewo; a z tego powodu rysy twarzy, liście rąk i włosów długiém używaniem bardzo wytarte. Trawa, mniéj wypukła, lepiéj się zachowała. W napisie jedna pozostaje wątpliwość, t. j. znak pierwszy w każdym wierszu i powtarzanie 4 głosek w pierwszym wierszu, może przez omyłkę.

Podobną tacę posiada kościół farny w Słupcy. Obwód jest mniejszy, obraz na dnie zupełnie równéj wielkości i roboty podobnéj. Dno wystawia zwiastowanie N. Maryi P. Przed pulpitem, na którym widać bogaty kobierzec, klęczy Najświętsza Panna, modlitwą zajęta. Włosy jéj są rozpuszczone, szata długa, stan krótki. Za nią widać naczynie z kwiatem, lecz nie lilią, jak zwykle. Anioł Pański klęcząc zwiastuje Boską tajemnicę. Figura jego jest pełna uszanowania; ręka jego prawa podniesiona, lewa trzyma berło; z góry spuszcza

się gołębica i promienie z niéj wychodzące spadają na głowę Najśw. Panny. Napisu nie masz. I ta taca bardzo jest wytarta. Oprócz tych dwóch tac znajdują się w Gnieźnie u Ś. Michała mniejsza z rzeźbą na dnie, w tumie wielka z nieodgadnionym dotąd napisem.

Dr. N.

Anekdota.

Przy zaszczepieniu wiary na Żmudzi, kiedy Mikołaj Wężyk z zakonu kaznodziejskiego mówił (roku 1415) o stworzeniu świata, kłamcą go nazwał pewien starzec głos wznosząc do Króla, i zarzucając Kapłanowi, że w swoim wieku nie może pamiętać tak dawnych rzeczy. Zaledwie dał sobie wytłómaczyć, a raczéj z trudnością mógł pojąć, że o tém z podania ksiąg śś., nie zaś jako obecny o powstaniu świata mówił. (Ł. Gołębiowski: Dzieje. Polski za Wład. Jag. i t. d.)

Nowiny literackie.

Wyszły następujące dzieła w roku 1846.

W Wilnie:

1. Spekulant. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Książka ta zajmie niezawodnie czytelników Polskich; w następnych numerach pomówimy o niéj nieco więcéj.
2. Kataleptyk. Powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Sztyrmer. 2. Tomy.
3. Brat i siostra. Obrazek dramatyczny z Goetego przełożył John of Dycalp.
4. Jordan. Fantazya dramatyczna przez Antoniego Sowę.
5. Trzy Lilie, spisane z opowiadania ś. p. Józefa Szczygielskiego. 2 Tomy.
6. Pamiętniki umysłowe. Wydawca Jan ze Śliwina. Tom IIIci.
7. Bigos hultajski. Bzdurstwa obyczajowe przez Izasława Blepońskiego. Tom II.
8. Athenaeum. Oddział szósty. Zeszyt I., II. i III.

W Lwowie:

1. Wiadomość historyczna o krajach połączonych z Polską i o jéj Lennościach przez X. G. Praca ta zasługuje na uwagę miłośników dziejów ojczystych: ona może wielce posłużyć do nabrania jasnego wyobrażenia o historyi Polskiéj. Szkoda tylko, że autor nie wymienił wcale źródeł, z których czerpał wiadomości, układając swoje dziełko.
2. Powieści z życia towarzyskiego przez Józefa Dzierzkowskiego. 2 Tomy.

Nº 158.

Moszczonne pod Kikołem.

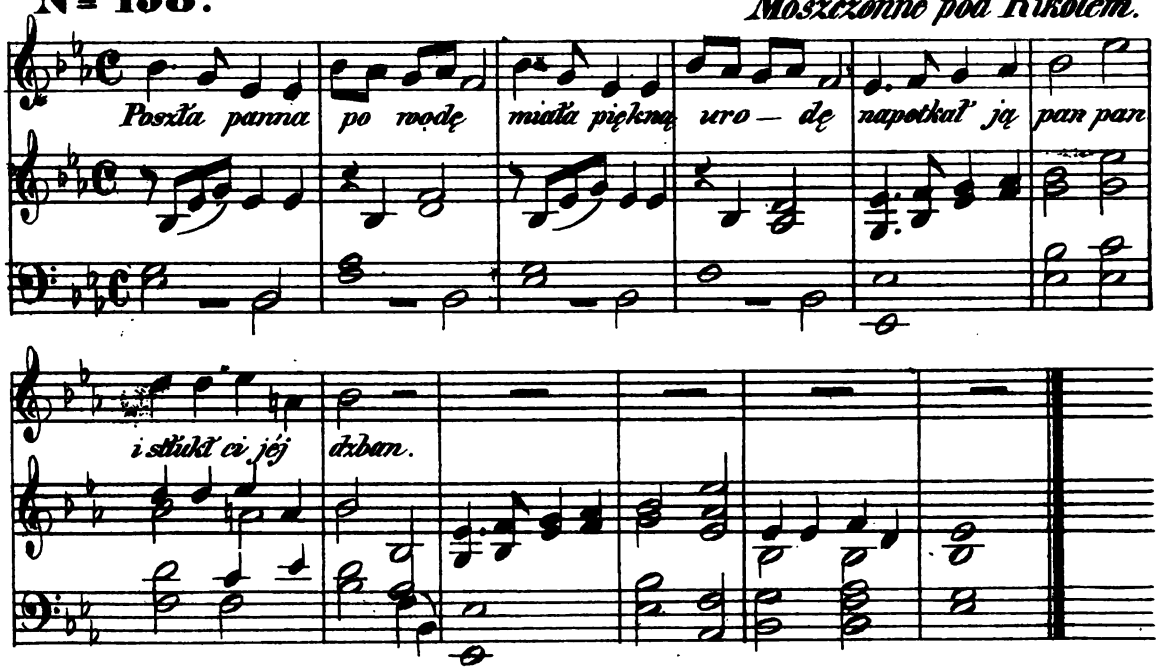

Text do Nru. 158.

Poszła panna po wodę,
Miała piękną urodę;
Napotkał ją pan, pan,
I stłukł ci jéj dzban.

(Patrz Nr. 127.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. Szymański.)

Nr. 34. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 22. Sierpnia 1846.

Pestalozzi (ciąg dalszy). — Karykatury na wyścigi konne. — Litwa pod względem starożytnych zabytków obyczajów i zwyczajów. — Przysłowia. — Nowiny literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

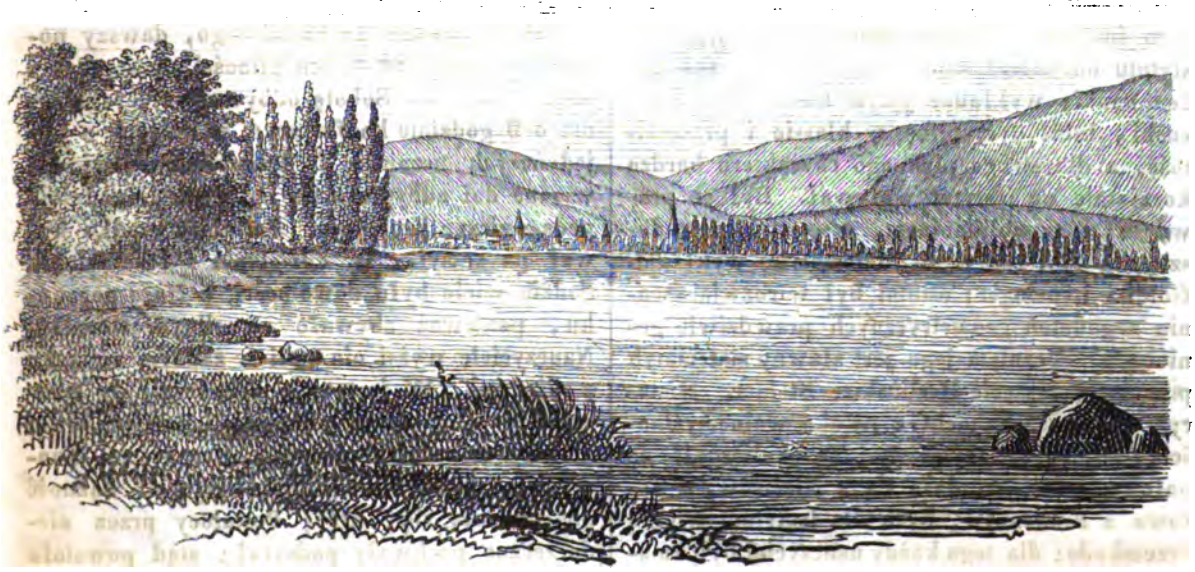

Yverdun.

Pestalozzi.

(Ciąg dalszy.)

Po tém zwycięstwie rozpoczął Schmid zaciętą walkę z Krüsim i Niedererem. Pierwszy z nich był zbyt łagodnego i dobrodusznego usposobienia, nie pragnął więc jawnéj nieprzyjaźni; starał się ciągle nieporozumienia niweczyć, a gdy swe usiłowania widział płonnémi opuścił zakład. Z tém większą zaciętością toczyła się walka między Niedererem a Schmidem. Pestalocy zaś tak był ściśle złączony ze Schmidem, że jego sprawę za własną uważał, przez co węzeł, który go dotąd z Niedererem łączył, rozerwać się musiał. Nienawiść Niederera ku Schmidowi, owemu w całéj naturze zimnemu, zatwardziałemu i egoistycznemu człowiekowi, zamieniła się w nieprzyjaźń przeciw osobie Pestalocego, którego przecież, jakkolwiek z owym jednę duszę stanowił, powinien był umieć odróżniać, a raczéj dla jego oczywistych zalet kochać i oszczędzać. Atoli do téj wzniosłości nie doszedł. Niederer chciał wykonać wielkie dzieło Pestalocego, nie zaś tłumaczyć tylko myśli jego. Ale do tego nie tylko potrzeba było bystrości i dialektycznéj biegłości, ale i miłością przejętego serca. Niederer utracił zupełnie wiarę w Pestalocego, nie w jego czyste i szlachetne serce, ale w siłę jego woli, uważał ją za nader niewystarczającą, aby Schmidowi właściwe stanowisko przeznaczył, a przez to dawny stósunek rozumnie i sprawiedliwie przywrócił. Tak 1817 roku opuścił Pestalocego i jego instytut. Między nauczycielami tego instytutu odznaczał się jeszcze Muralt, mąż pełen nauki; wykładał język niemiecki i francuski, lubił dyscyplinę w klassie i pracowitość, a dla swego pięknego charakteru bardzo korzystnie na instytut wpływał. Był on prawdziwym republikaninem, otwarty, prostoduszny, żywy i czuły. — Matematykę wykładali Göldi i Leuzinger; ostatni był w rozwiązywaniu zagadnień geometrycznych prawdziwie genialnym. Uczniem jego jest sławny matematyk przy uniwersytecie Berlińskim, Steiner. Historyą wykładał Schacht z rzadką wolnomyślnością, jasnością i wymową. Ta okoliczność, że połowa dzieci składała się z Niemców, a połowa z Francuzów, była dla instytutu wielką przeszkodą; dla tego każdy nauczyciel był zmuszony pół po niemiecku, pół po francusku wykładać; każde zdanie, zagadnienie, w obu językach powtarzać. Z resztą cały sposób życia był korzystny zdrowiu, sprawiał wiele przyjemności i swobody. Dzieci wstawały o piątéj godzinie z rana, a nauczyciele już o czwartéj. Od szóstéj do siódméj godziny pracowali uczniowie, potém Pestalocy odbywał modlitwę poranną, na którą schodzili się wszyscy domowi, zwykle także córki instytutu dla płci żeńskiéj, przytém wykładał miejsce jakie z Pisma świętego, zasady moralności lub jaki wiersz Gellerta. Po modlitwie myły się dzieci przy studni na podwórzu, silniejsi chłopcy myli się nie raz bez kaftanika w najtęższe mrozy; chustki na szyję i czapki żaden uczeń nie nosił; po odbytéj ogólnéj rewizyi wszystko spieszyło na śniadanie. Od 8—12 były godziny religii, języków, arytmetyki i geometryi. Od 12—1, młody czy stary, wszystko pospieszało do jeziora, gdzie albo się bawili, albo się kąpali. Obiad był krótki, ale z pożywnych potraw się składający. O drugiéj znowu się godziny rozpoczynały, które to urządzenie tak uczniom jak i nauczycielom szkodziło. O czwartéj bawiono się godzinę przy jeziorze, ćwiczono się w turniejach, kąpano się, a potém wszyscy jedli podwieczorek. Od 5—8 trwało przygotowanie na następny dzień, potém schodzili się znowu na modlitwę, a po kolacyi o godzinie 9 chodzili uczniowie na spoczynek. Każdy z nauczycieli miał co trzy dni dozór nad pewną liczbą uczni, każdy wyższy nauczyciel czuwał specyalnie nad pewną liczbą uczni. Tych zwoływał co tydzień do Pestalocego, dawszy poprzednio swój sąd o ich pilności, postępach i obyczajach. Co Sobotę odbywały się regularnie o 9 godzinie konferencye, w których o pojedyńczych uczniach i dyscyplinie mówiono; w inne dni odbywały się o téj saméj godzinie pedagogiczne prelekcye. Pestalocy rzadko bywał na sessyi. W udzielaniu i rozdzielaniu godzin wiele było dowolności, a mało porządku, ponieważ zbywało na silnym sterniku. Nauczyciele wyżsi nie stali w żadnym związku z niższymi. W instytucie odznaczali się nauczyciele wiernością, pilnością i sumiennością, ale zarazem nadzwyczajną jednostronnością. Nauczyciele ci zbyt wcześnie okazywali dążność popisywania się, którą Pestalocy przez niedorzeczne pochwały podsycał; stąd powstała w nich zarozumiałość i lekceważenie wszystkie-

go, co leżało za obrębem ich wiadomości. Jakkolwiek Pestalocy sam był skromnym, to przecież nie wzbudzał skromności w nauczycielach wykształconych w instytucie, owszem podniecał ich próżność pochwałami. Przecież i ten błąd pochodził li stąd, żeby przez oczywiste korzyści jego metody wszystkim ludziom i krajom szczęście i błogosławieństwo zgotować. Żądza sławy i próżność nigdy go nie opanowały.

(Dokończenie nastąpi.)

Karykatury na wyścigi konne.

Przed kilkunastu, a nawet kilku laty, mówiono z wielkiém uniesieniem o konnych wyścigach; każdy się ubiegał, aby je widział, a każda okolica się starała, aby w niéj powstały. Obiecywano sobie i krajowi bardzo wiele korzyści, lecz w krótce zmalały niezmiernie piękne nadzieje; miejsce uwielbiania zajęło wkrótce szyderstwo i szykana. Oto kilka karykatur na stronie 269, które wyszydzają staranność członków, którzy do tych towarzystw należą, aby i dżokéj i koń jak najmniéj ważyli.

Litwa pod względem starożytnych zabytków obyczajów i zwyczajów,

skreślona przez

Ludwika z Pokiewia (X. L. Jucewicza).

Wilno, nakładem R. Rafałowicza 1846, 8vo, str. 381.

Nie dawne jeszcze temu czasy, jak pilnie chodzić poczęliśmy około odgrzebywania starożytnych pamiątek naszych, aby je od ostatniéj zaguby zachować, aby je opisać i zebrać w jedno dzieło, któreby przyszłemu historykowi przyczyniło materyałów obfitych do historyi narodowéj, a już możemy się poszczycić plonem na téj niwie zebranym. Znani są mężowie pracujący około téj gałęzi literatury, którzy one roskoszne, a dawniéj tak pogardzane i wyśmiane piosnki spisują; czarodziejskie powiastki, podania, jakie wiejskie dziewice przy kądzieli lub piérzu wśród długich wieczorów opowiadają, zbierają, którzy zwyczaje i obyczaje ludu pamięci potomków przekazać pragną. Z tego to pola, z pod wiejskiéj strzechy, całe prawie dzieło o Litwie Ludwika z Pokiewia zebrane jest. A chociaż Litwa nie należy do przesławnéj Sławiańszczyzny, jednak starożytności jéj obchodzić powinny nas, dla tego już, że przez wieki połączona z Polską, pobratała się niejako z nami, dzieląc złą i dobrą dolę z nami.

Jeżeli starożytne pomniki ważne są dla nas, jeżeli ważne są dla każdego narodu, tém ważniejsze są dla Litwy, która i dzisiaj jest historyczną zagadką, trudną do rozwiązania. Litwin nie ma historyka, któryby dzieje ojców był przechował; nie troszczył się téż o to, czy kto dzieje jego spisze, czy nie, bo zresztą i czasu do tego nie miał. Koń i szabla, wyprawy na nieprzyjaciół i łupy, oto cała Litwina zabawa. A kiedy zdrów i cały z nich powrócił, otoczony familijném kołem, rozpowiadał czyny swoje, i to co słyszał od ojców, chluby w nich szukając. Cały lud Litewski jest żyjącą kroniką narodową, przyćmioną wprawdzie licznémi dodatkami, ale pilne oko badacza, znawcy, potrafi odróżnić fałsz od prawdy. Ale chcąc tego dopiąć, trzeba wiele przenikliwości, wiele znajomości ducha owych czasów, znajomości języka, zwyczajów i obyczajów. Popisalić dzieje Litwy cudzoziemcy, ale takie dziwne i śmieszne, że Litwin do nich przyznać się nie może, a i nasi kronikarze, jak Gwagnin, często nie mieli wyobrażenia o tém, co pisali.

Dzieło to L. z P. ułożone na wzór Wójcickiego zarysów dom. ważném będzie dla historyka przyszłego. Na początku po przemowie znajduje się rozprawka od str. 3—16 o języku i literaturze Litewskiéj. Czytamy tu, jak ubogą jest literatura w zabytki piśmienne starożytne, a to z téj przyczyny, że ojcowie ich nie dbali o oświecenie, a traktaty z ościennemi narodami spisywali po niemiecku, po rusku i po łacinie. Po nawróceniu się do religii chrześciańskiéj, którą w języku polskim po większéj części głoszono, po złączeniu się z Polską stał się język Litewski własnością gminu, bo możni panowie, jak to wszędzie, chcąc się przypodobać nowemu rządowi, przejęli jego zwyczaje i mowę. „Każdy język, (mówi Czacki) każda nauka, ma dzieciństwo, wzrost i dojrzałość;“ ale do języka Litewskiego, są słowa L. z P., to zdanie żadnym sposobem zastósowanem być nie może. „Jest on dziś takim samym, jak był w początku swego nastania, żadnym najmniejszym odmianom nie uległ, donośny i dziki, jak echo owych lasów, w któ-

rych się wylęgnął, męzki jak owe bohatéry, co wyszedłszy z zamieszchłych puszcz odgłosem swojego rożka przerażały chytrych sąsiadów Niemców i siały postrach w odległych siedliskach hord Perekopskich; gwarliwy, jak owe biesiady przy rozpalonych ogniskach po zwycięstwie nad wrogiem.“ Że język Litewski zdolny do poezyi, dowiódł tego Ks. Ksawery Bohusz, Prałat katedry Wileńskiéj, Czł. przyj. nauk; dowodzą tego liczne pieśni serdeczne i proste.

Jak wszędzie, tak i na Litwie literatury pierwsze płody są religijne. Na czele stoi tłómacz Pisma ś., nowego zakonu Józef Arnolf Książę Giedrojc, potomek monarchów Litwy, Żmudzkiéj owczarni pasterz. Tłómaczenie to Litewskie przypisane Cesarzowi Aleksandrowi I., drukowane nakładem Towarzystwa biblijnego. 1816. w 4ce. Ks. J. A. Giedrojc † 1838.

Dla wyznania protestanckiego tłómaczyli Pismo ś. Bretkunai, Chyliński i Kwandt.

Oprócz tłómaczów Pisma ś. jaśnieją imiona kaznodziejów na kartach literatury Litewskiéj, jako: Mikołaj Daukszą, Kanonik katedry Miednickiéj (Żmudzkiéj), tłómaczył Postyllę J. Wujka, S. J., tak doskonale, że zupełnie wyrównywa oryginałowi. Przekład ten przypisany Biskupowi Żmudzkiemu, Ks. Melch. Gedrojcowi; drukowany w Wilnie u Jezuitów r. 1599.

Ks. Konstanty Szyrwid, S. J., znakomity filolog i kaznodzieja Litewski, napisał kazania czystym językiem, tłómaczył katechizm dla ludu, aby go tém łatwiéj oświecić w rzeczach wiary.

Między poetami, którzy na wyższy ton nastroili swą lutnię, słynie Donalejtis, † 1780, Prawdziwy narodowy poeta. Poema jego: „Cztery pory roku“ jest najwierniejszym obrazem Litwy i ludu. Dr. Z. J. Rhesa, Professor teol. w Krolewcu, wydał je po niemiecku r. 1818. Szymon Staniewicz, Dyonizy Paszkiewicz † 1831, tłómacz Eneidy Wirgilego, i satyryk; ks. Antoni Drozdowski, którego pieśni nabożne brzmią po wszystkich kościołach katolickich Litwy; oto są poeci Litwy.

Celniejsi prozaicy są: Ks. Józef Rupejko (Kanonik), Ks. Cypryan Niezabitowski, Ks. Bonawentura Gojlewicz i Kajetan Niezabitowski. Pisali o języku Litewskim: Ruhig, Heder, Malte-Brun, Ks. Ksawery Bohusz. Słownikarze znakomitsi są: Milcke, Hack, Konst. Szyrwid.

Nad grammatyką pracowali: Klein, Schulzen, Hack, Ruhig i Ks. Kossakowski, Prałat katedry Żmudzkiéj. Należy tu jeszcze i grammatyka wydana we Wilnie przez Jezuitów 1718 pod tytułem: „Universitas linguarum Lithuaniae, in Principali ducatus ejusdem dialecto,“ tłómaczenie polskie, wyszło 1829 w Wilnie. Oto jest cała literatura, którą L. z P. przywodzi, czyniąc sobie nadzieję, że ziomkowie jego zamiłowawszy język narodowy, który jest własnością narodu, podniosą literaturę Litewską.

Od str. 17—42 przywodzi autor szczegóły mitologiczne Litwy, daje wyobrażenie ludu o bożyszczach, które to z opisami uczonych, nakręcających częstokroć wszystkie według swego widzimi się, sięgające aż do Greków i Rzymian, wcale się nie zgadzają. Bożyszcza wyliczone tu są następujące: Lauma, bogini przecudnéj piękności, mieszkająca w obłokach. Łajma, bogini płodów ziemi. Karaluni, istota rządząca niebieskiemi światłami. Dziwswits, opiekun żeglarzów i bóg morza. Gzeltiee, boginie Bałtyku. Gastitis, był to rybak mieszkający przy ujściu rzeki Szwenty do morza Bałtyckiego, w którym Królowa Jurata się zakochała. Kaukie, bóstwa domowe; Undiny, Gudełkami zwane, boginie wodne. Medźiosma, boginie myśliwstwa. Yszmintas, człowiek, którego bogowie obdarzyli mądrością; on to Litwinów nauczył strzelać z łuku, zasiewać zboże i dał im prawa, któremi się rządząc żyli bardzo szczęśliwi. Zdania jego powtarza lud jako nauki zebrane z doświadczenia, n. p.: „Prędzéj wypijesz wody całego morza, a niżeli poznasz charakter kobiety.“ „Chwal dzień wieczorem, niewiastę po śmierci, miecz gdy doświadczysz, a swoją narzeczoną po ślubie.“ Niektóre ze zdań tych znajdują się dosłownie w Eddzie Skandynawskiéj.

W ciągu dzieła przechodzi autor mitologiczne przemiany (str. 43—91), które czekają swego Owidyusza. Litwa daleko obfitsza jest w podania podobne jak Polska. u nich każdy ptak, każde zwierze było człowiekiem. Skąd przemiany? oto bogowie przemieniali ludzi za karę nieposłuszeństwa, lub litując się ich, nady. Piękny ten ustęp z pieśniami okazuje poetyczność Litwy. Przytoczymy tu niektóre przemiany po krótce.

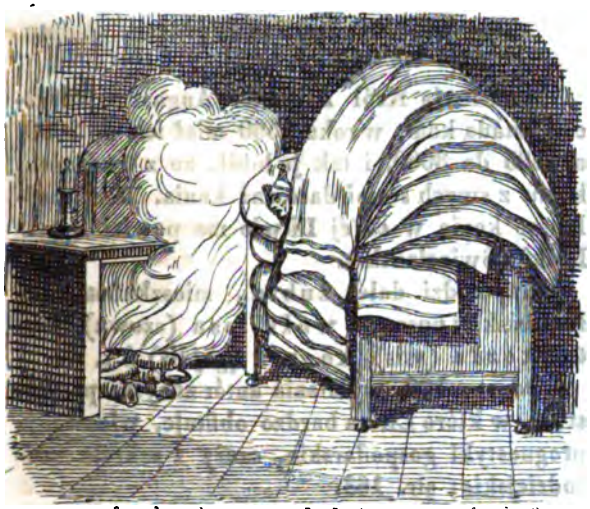

Zmniejszenie ciężaru dżokeja przez pobyt w łóżku.

Zmniejszenie ciężaru dżokeja przez dietę.

Zaniedbanie dżokeja, który do tego doszedł, że mu kości przejrzeć można.

Zmniejszenie ciężaru biegunia za pomocą środków gwałtownych.

Roztropne środki do zrównoważenia ciężaru za lekkiego dżokeja i biegunia.

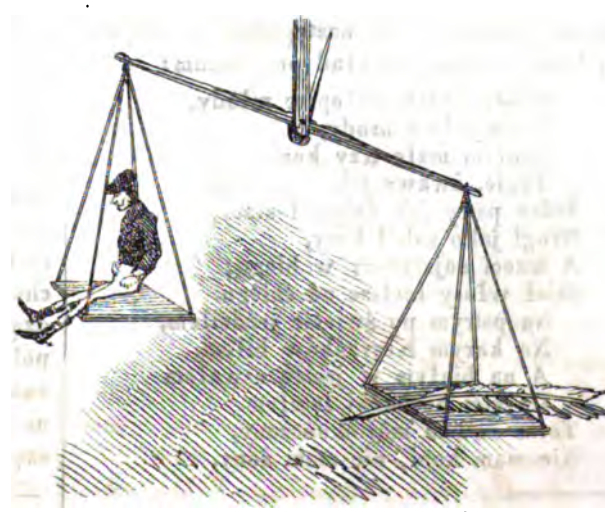

Dżokej, jakim być powinien.

Kukułka (Gieguzie). Była to córka bogatego szlachcica Litewskiego, siostra trzech braci, których bardzo kochała, dla nich szarfy tkała, haftowała czapraki, a kiedy do wojny pojechali i na niéj zginęli, nie mogąc się w żalu utulić długo się błąkała, aż bogowie zlitowawszy się nad nią, w kukułkę ją zamienili. Jak u nas (1), tak i na Litwie jest ona wróżbą; do niéj się udaje stary, pytając, ile lat żyć będzie; młoda mężatka czy córkę, czy syna powije i t. d.

Słowik (Łaksztingałas), przemieniony z młodzieńca pięknéj urody (Dajnas), który będąc nieszczęśliwy w miłości utopił się. Kochanka zaś jego (Skajstos), w różę stulistną przemienioną została, i rozkwita wtenczas, kiedy słowik śpiewać zaczyna.

Skowronek (Wituris). Lud Lit. mniema, iż to był rólnik nieszczęśliwy, któremu nic się nie wiodło, zawsze jednak był wesół i śpiewał, dla tego go bogowie po śmierci w skowronka przemienili.

Str. 95—135. Zwierzęta, ptaki, drzewa i zioła znakomitsze, do których lud Litewski pewne znaczenie lub moc nadprzyrodzoną przywięzuje. Najpierw opisuje konia (Arklis). Lud wojenny Litewski, całe życie swoje na koniu ze szablą w ręku przepędzający, polubił konia ze wszystkich zwierząt najbardziéj, otoczył go jakimś blaskiem uroczym. W powieściach opowiada o koniach obdarzonych nadprzyrodzonym rozumem, przewidujących przyszłość. Od konia dobrego lub złego zależy pozyskanie lub odmówienie ręki dziewoji ukochanéj; konie trzy lub więcéj, są bogactwem i zaszczytem bezżennego młodziana, pieśń następująca to stwierdza, któréj wolny przekład przytaczam:

Kiedy byłem chłopiec młody,
Pełen siły i urody,
Miałem małe trzy koniki,
Tęgie, żwawe jak chochliki,
Jeden pstry jak dzięcioł stary,
Drugi jako sobol kary,
A trzeci najszybszy w biegu;
Miał włosy bielsze od śniegu.
Na pstrym po świecie jeździłem,
Na karym Krzyżaków biłem,
A na białym w jesień czwałem
Do méj kochanki latałem.
Teraz zawód mój skończony,
Nie mam koni, nie mam żony,
Sam więc jeden po nich płaczę,
Pędząc me życie tułacze.

Na Litwie Król Zygmunt August miał liczne stada koni, w roku 1560 miał ich do 2000, a 1565 do 3000, i tak je lubił, że z trudnością komu z swych stajni darował konia. Dziś najlepsze konie w całéj Litwie ma powiat Zawilejski (Święciański).

Przywodzi daléj żubra, mieszkańca Białowieżskiéj puszczy; wołu, psa (szuwa), kota, kozła (viis), koguta (gajdis) i t. d.

Od str. 139. wymienia autór zabytki pogaństwa, w które Litwa bardzo obfituje, wieszczby, prognostyki gospodarskie, czary i sekreta czarodziejskie; str. 163.

Opisuje zwyczaje ludu przy witaniu się, przyjmowaniu gościa, ceremonie, pijatyki, nocleg znakomitego gościa u wieśniaka; tu właściwie się okazuje Litwin w całéj serdeczności, przyjmując w gościnę podróżnego bez żadnéj zapłaty. „Wielkie to dla niego szczęście, mówi L. z P., gdy kto w chateczkę zawita, przybycie gościa, jest to przybycie Boga (2), to jest Litewskiego i Żmudzkiego kmiotka przysłowie. Co to za radość! jaki ruch, ile to miłych kłopotów wiejskiéj gosposi, gdy czasem ksiądz pleban, wikary, ekonom, albo ktoś inny ze znakomitszych gości, wprosi się na nocleg. — Nie sądźcie jednak, aby natychmiast spać ich położono, bynajmniéj. Zaraz zastawiają stół krupnikiem, jajecznicą, pieczonemi kurczętami i t. d., trzeba choć pół kieliszka wypić krupniku i wszystkiego po trosze skosztować. Jeżeli zima, po wieczerzy natychmiast przynoszą kilka świeżych puchówek, kilka poduszek pokrytych cienkiemi, śnieżystéj białości nawleczkami, i usławszy łóżko, jeszcze na wierzch zamiast kołdry kładną puchówkę lekką, szeroką; ta puchówka zowie się patałaj. Gdy zaś jest lato, ścielą podobne łoże w świeronku, a nad niém zawieszają girlandy z kwiatów. Jak tylko gość się położy, zaraz jawi się gospodyni z karafką krupniku, i tu więc jeszcze raz trzeba choć pół kieliszka tego trunku wypić. Odchodząc gospodyni życzy gościowi dobréj nocy, poleca go aniołom stróżom i nad głową czyni znak krzyża świętego, a wszedłszy do piekarni upada na kolana i gorąco się modli, prosząc Boga o szczęśliwy sen dla noclegującego.

(1) Przyj. Ludu Nr. 17. R. 1846.

(2) Gość w dom, Bóg w dom, przysłowie Polaków.

Zwyczaj ten jeszcze się zachowuje, mianowicie na Żmudzi. — Pościel Żmudzkiéj wieśniaczki w niczém nie ustępuje najwikwintniejszéj pościeli najzawołańszego rozkosznika, a w białości i czystości o wiele razy przewyższa. W Litwie ta sama uprzejmość, lecz biedota większa, a zatem i mniejsza wygoda.“ Nie pięknyż to obraz gościnności, religijności ludu, a który rzadko dzisiaj natrafić. Nie wyliczył tu autór wszystkich zwyczajów, bo, jak powiada, rękopism gdzieś mu się zawieruszył i dla tego kilka tylko, które przypomnieć sobie mógł, do wiadomości podał. Rozdział następujący o zwyczajach do pewnych dni przywiązanych, jest także za skąpo obdarzony. — Tańce, któremi się niekiedy Litwin ożywia, są oprócz tych, które przywędrowały z Polski, narodowe, jako: Jaskółka (Blezdingieli), Topir (Kirwis), Bitwa (Musztini), u szlachty zaś poduszeczka, zajączek, dudek; przygrywają do nich na skrzypcach, klarnecie, na ruskiéj bałałajce, na dudce kręconéj z wierzby, lipy W a m z d i s zwanéj i t. d.

U b i o r y (str. 205) licznego plemienia narodu Litewskiego pod rozmaitemi rządami różne są; Żmudzkie opisał autór gdzie indziéj, w dziele: „Wspomnienie Żmudzi“; tu tylko zastanawia się nad drugiemi okolicami Gedyminowego państwa, jako okolicą nad Wiliją, Świadoszczyzną i Uszpolszczyzną, okolicami Lidy i Grodna i Łotwą.

U r o c z y s t o ś c i w i e j s k i e (str. 217.) na Litwie są: spotkanie wiosny, czyli powitanie bociana; Święty Jan, albo Kupała, Święty Mateusz w jesieni, albo próba piwa, dożynki i t. p.

(Dokończenie nastąpi.)

P r z y s ł o w i a.

Opuszczeni od ludzi, są w opiece u Boga.

Za łyżkę słodyczy beczką goryczy świat płaci.

Tydzień wesela, a do śmierci bieda. (O wesołach wiejskich, które zwykle cały tydzień trwają.)

Kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie.

Ksiądz, panna i anioł trzeci, to rodzone dzieci.

Chuda fara, sam pleban dzwoni.

Księże oczy, wilcze gardło, co zobaczy, toby żarło.

Co kto lubi; ksiądz kości, organista mięso.

Przebiera by organista na organach.

Bojący by Żyd, lub by nie chrzcony.

Siedzi by Żyd na popiele.

**

Nowiny literackie.

Wyszły następujące dzieła w roku 1846.

W W a r s z a w i e:

Pamiętniki do panowania Zygmunta III., Władysława IV. i Jana Kazimierza, z rękopismu wydał K. W. Wójcicki, Tom II.

W P o z n a n i u:

Zemsta Wandy. Poema satyryczno – żartobliwe w pięciu pieśniach przez Józefa Kalasantego z Sidorowa. 1846.

Ktokolwiek tę pracę przeczyta, podziwiać będzie uczoność autora i piękność języka; lecz z drugiéj strony i nad tém zdumiewać się będzie, jak mąż tak wykształcony mógł wpaść w błędy najzwyczajniejsze. Przy tak obszernych wiadomościach, jakiemi się na każdéj stronie popisuje, pojąć nie można, jak go historya nauczyć nie mogła, że pisać satyry a paszkwile jest rzeczą zupełnie różną, że zajmować się paszkwilami nie godzi się w naszych czasach, a zwłaszcza nam Polakom. Ja przynajmniéj pojmuje cały poemat tylko jako paszkwil na Borkowskiego. Ztąd wartość utworu nie jest wielka ze względu estetycznego; większe mógłby mieć jako mała encyklopedya różnorodnych wiadomości. Z resztą zgadzamy się na wiele uwag satyryka, lecz z wielu pokazuje się nader jasno, że stanowisko autora, z którego się na poezyą i stósunki towarzyskie zapatruje, jest przedawniałe. Pojąć tego nie mogę, jak dziś jeszcze powtarzać można zarzuty, które przed 20 laty romantykom czyniono. Nie przeczę, że i dziś mamy poetów, a raczéj pseudopoetów, w których utworach nie ma rozumu; lecz takich i dawniéj, kiedy o romantykach jeszcze nikt nie marzył, było pełno. Kto ma cokolwiek uczucia poetyckiego, nie będzie się ani chwili wachał, komu ma oddać pierwszeństwo, czy naszym tak nazwanym klassykom, czy romantykom. Bo nie rozum stanowi wartość poezyi, lecz fantazya twórcza, która nie radzi się rozumu, kiedy wydaje swoje obrazy. Prawdziwe natchnienie tworzy ideały, a te są rozumne, choć nie są owocem wszystko rozbierającego rozumu.

W Wiedniu:

Kurzgefaßte, tabellarisch bearbeitete Anleitung zur schnellen Erlernung der vier slavischen Hauptsprachen. Ein Leitfaden, um in kurzer Zeit sich die böhmische, polnische, illirische und russische Sprache vergleichungsweise eigen zu machen. Mit einer reichhaltigen gewählten Wörtersammlung und vielen Gesprächen des gewöhnlichen Lebens. Nach den vorzüglichsten Quellen im Vereine mit Mehreren bearbeitet und herausgegeben von R. A. Fröhlich. Wien 1847.

Układ książki obiecuje, iż może stać się pożyteczną dla tych, którzy się zajmują porównywaniem języków słowiańskich. Nie jest to jednak gruntowne dzieło, może ono posłużyć jedynie dla początkujących. Z dorywczego przeglądu przekonałem się, iż znajdują się w niém niedokładności. Późniéj może więcéj o téj pracy czytelnikom udzielimy.

№ 159. PIOSNKA SZLACHECKA. Z Galicyi

Gdy noc nadcho - dzi wszystko spo - czywa Sama się tyl - ko miłość od - zywa Amant znu - dzo - ny długiem cze - kaniem Napełnia echo swém narze - kaniem.

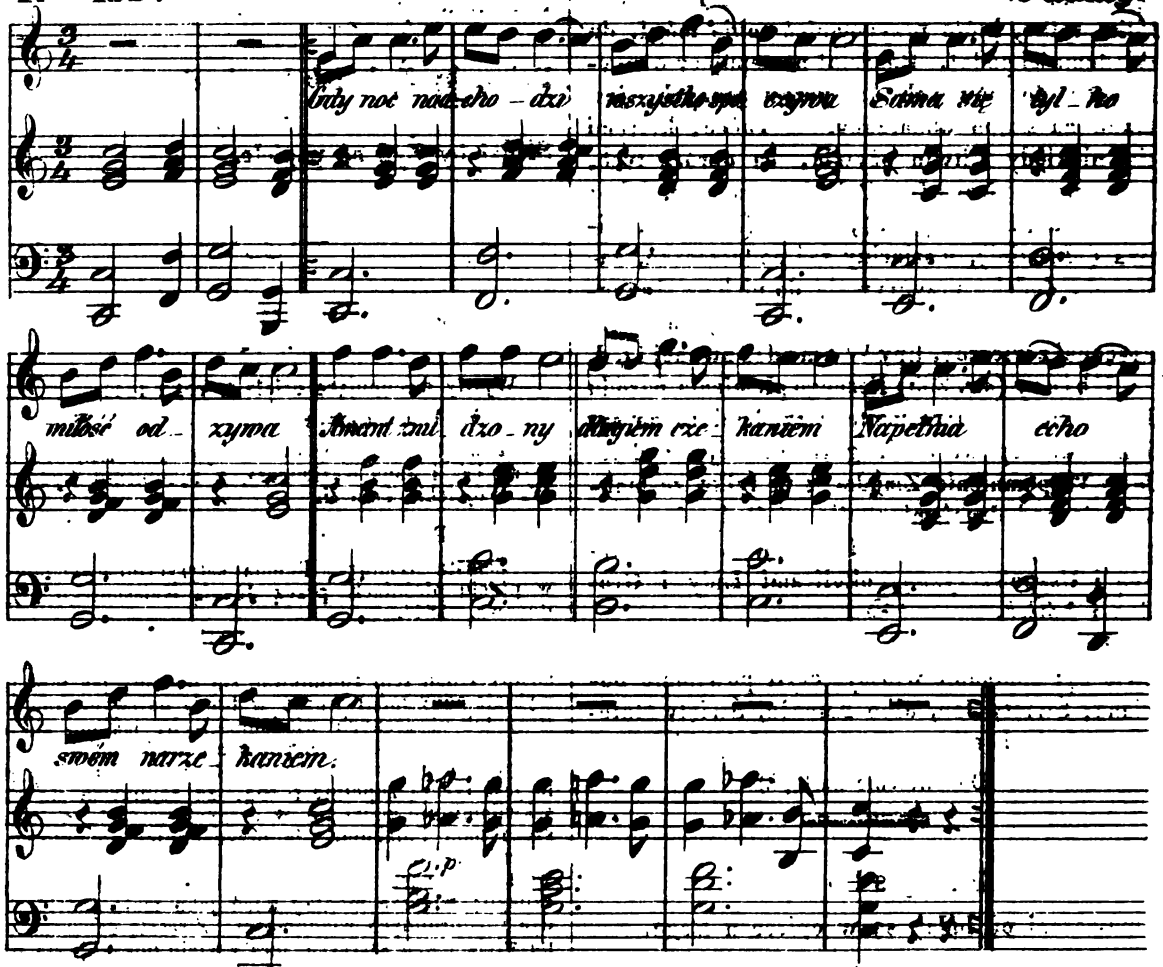

Text do Nru. 159.

1. Gdy noc nadchodzi, wszystko spoczywa,
Sama się tylko miłość odzywa;
Amant znudzony długiém czekaniem,
Napełnia echo swém narzekaniem.

2. Przybądź, czém prędzéj moje kochanie!
Zaspokój duszy mojéj żądanie,
Nie mam nic w świecie droższego nad ciebie,
Gdy siedzisz przy mnie, jak gdybym był w niebie.

3. Gdy twe różowe usta całuję,
Z całego świata szydzę, żartuję;
Możniejszy jestem nad wszystkie pany,
Kocham dziewczynę i jestem kochany.

4. Wy, co w samotnéj żyjecie stronie;
Nie znacie słodycz na lubém łonie:
Dziewczęta tylko w świecie rozkoszą,
Łagodnych lubią, dzikich unoszą.

(*Wacł. z Oleska*, P. l. p. G. str. 254.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 35. Rok 13.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 29. Sierpnia 1846.

Pestalozzi (dokończenie). — Litwa pod względem starożytnych zabytków obyczajów i zwyczajów (dokończenie). — Spekulant Józefa Korzeniowskiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

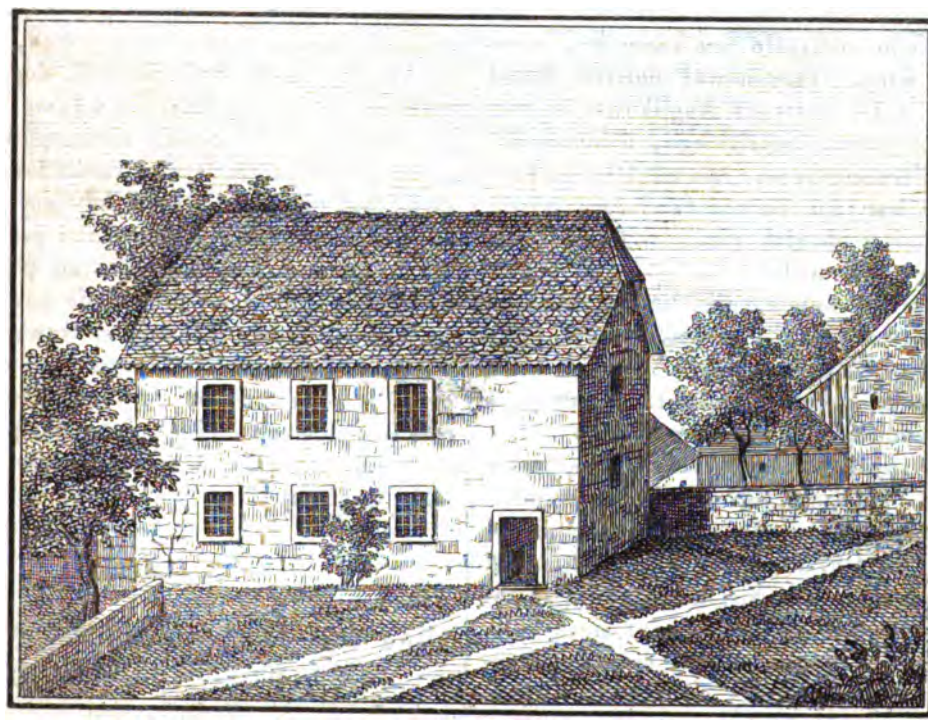

Szkoła w Birr z grobem Pestalozzego przed nią.

Pestalozzi.

(Dokończenie.)

Przy końcu życia utracił majątek, żonę, jedynaka syna, przyjaciele go opuścili, a nawet zatruwali mu żywot; chorobą i wiekiem pochylony siedział na ruinach swych nadziei i szczęścia. Schmid dopiął swego celu, doszedł on do samowładności, obsadzał miejsca nauczycielami, którzy mu byli powolnymi. Jednak

ma tę zasługę, że przez wydanie dzieł Pestalocego w 1817 roku zebrał mu 50,000 franków. Pestalocy udał się do Hofwylu za pośrednictwem generała francuskiego Jüllien, w celu połączenia swych sił z Fellenbergem. Atoli Schmid wdał się z całą energią wpływu swego na Pestalocego w tę rzecz, użył wszelkiéj przebiegłości i dyplomatycznego obrotu, aby tylko zapobiedz zamierzonemu połączeniu. Miał on przygotowany plan, przez który Pestalocy swe gorące życzenie zakończenia życia w szkole dla ubóstwa mógł urzeczywistnić. Radził mu bowiem, żeby funduszu z dzieł nabytego użył na założenie takiego instytutu. Pestalocy dał się nakłonić i wybrał na ten cel nad jeziorem w pobliżu Yverdünu położoną wioskę Klindy. Instytut ten dla ubóstwa założony w krótkim czasie znacznie się powiększył; całe serce Pestalocego przywiązało się do niego, i zdawało się przez czas niejaki, że dusza jego nabierała swobody, i odmładzała się. Ale nie długo sprzyjało mu szczęście, a to z własnéj winy. Przyjmował bowiem dzieci na pensyą, daléj pozwolił Anglikowi Greaves uczyć dzieci języka angielskiego, a innym łacińskiego i francuskiego. Nie miał on po krótkim czasie instytutu dla ubóstwa, lecz szkołę wyższą. Dzieci ubogich rodziców zaczęły się równać bogatym, wolały we wolnych godzinach z nimi się bawić, niż drzewo rąbać, a przez nauki, zwyczaje i pretensye wychodziły ze swéj sfery. W ten sposób cel czystéj szkoły dla ubóstwa zupełnie zniknął. Kiedy więc Pestalocy widział, że nawet w szkole dla ubóstwa swych nadziei urzeczywistnić nie może, oświadczył publicznie, że dla swych nieudolności nie może odpowiedzieć oczekiwaniom, które przez swój instytut w sercach wielu przyjaciół wychowania obudził. Nie długo potém w roku 1825 rozwiązał szkołę, i udał się z boleścią w sercu do wnuka swego, dziedzica Neuhofu. Na ustroni, wolny od zgiełku świata, przejrzał jeszcze raz swe życie pełne walki i czynów, i tam ostatnie ducha swego twory skreślił w „losach swego życia“ i w „śpiewie łabędzim.“ Wzniosłość natury, szlachetność serca ozdobionego rzadką miłością i życie niepokojone żądzą odwrócenia nędzy od ubóstwa za pomocą wychowania i wykształcenia, przedstawia nam obraz jego całéj duszy i wszystkich jego myśli. W krótce potém, bo w roku 1827 dnia 17. Lutego zakończył w Brugg życie, a zasługi jego dopiero w naszych czasach należycie oceniać zaczęto. Lecz to właśnie jest wspólnym i nieomal koniecznym udziałem wszystkich celujących ludzi, wszystkich tych, którzy wypowiedzeniem nowéj idei ospałéj, ociężałéj massie ludu nowe życie i ruch nadają, że współcześni błędnie ich pojmują, wcale im wyższéj dążności nie przyznają, wyśmiewają ich, a nawet litują się nad nimi. Dopiero potomność, poznawszy rzecz lepiéj, używając już owoców, oddaje ich czynom sprawiedliwość, uznaje wreście tych za swych dobroczyńców, którzy przez całe życie doznali obojętności, nienawiści i wzgardy, czci nawet ich popioły, gdy za życia nie wiedzieli, gdzie swą głowę schronić, czém pragnienie ugasić, głód zaspokoić, czém swe ciało pokryć. Czy można dla tego tych niepoznanych i prześladowanych dobroczyńców rodu ludzkiego nazwać nieszczęśliwszymi od innych? Bynajmniéj! Ich geniusz, zapał, wewnętrzny popęd, który im ani chwilki spocząć nie pozwoli, dopóki powołania swego nie spełnią, ich własne przekonanie oddala od nich chwile nieszczęśliwe, a każe im przezwyciężać przeciwności losu. Inaczéj nawet być nie może! Gdyby bowiem owe ideje od razu i wszędzie z oklaskami przyjęto, nie byłyby nowémi, a wszystko co tylko tchnie świeżością, nowością, potrzebuje pewnego czasu, nim się ludzie do niego przyzwyczają, sobie przywłaszczą. Nie nazywajmy więc owéj massy narodu nieczułą i niewdzięczną, jeśli twórcom nowych idei od razu nie poklaskuje, bo tylko stósownie do swego stanowiska w pojęciu występuje.

K. S.

Litwa pod względem starożytnych zabytków obyczajów i zwyczajów.

(Dokończenie.)

Religijność, pobożność, wszędzie jest widoczną w całym żywocie ludu Litewskiego. On to (jak i lud Polski) jeden, kiedy wyższe stany oziębły we wierze, kiedy Chrystusa z domów wypychają; on to jeden z nim na ustach przechodzi progi skromnéj strzechy, spotyka i wita sąsiadów, z nim zaczyna i kończy wszystko, a obrazami jego zdobi ściany ubogiéj cha-

ty. We wszystkich też obrzędach Litewskich, które są bardzo ciekawe, widać, jak nauka Chrystusa przeszła w lud i drugą jego naturą się stała. Nowonarodzone niemowlę, umywszy w wodzie chłodnéj, co obmyciem w pocie Laumy zowią (prausimas Laumies), znakiem krzyża św. znaczą, i matce dopiero oddają, a kiedy kichnie, zaraz wołają: „Jezus przy dziecięciu!“ Ojciec zaręczywszy córkę młodzianowi po przemianie pierścionków, żegna ich znakiem krzyża św., a potém przytomni pieśń do Najś. Panny śpiewają.

Za obszernie byłoby opisywać tu całe obrzędy, przywiedźmy sobie jednak dla ciekawości cokolwiek, abyśmy poznali i poetyczne usposobienie ludu i jakiegokolwiek wyobrażenia nabrali o prostocie jego. Kiedy swat przybywa z oświadczeniem od młodziana, w te słowa mówić poczyna: „U starego Zwyrblisa z Butenów jest młody gołąb', jak księżyc jasny, bieda tylko, że nie ma dlań gołąbki. Ależ jaki gołąb'! jaki gołąb'!! Za górami, za morzami, słyszeliśmy, że wy macie gołąbkę. Czy nie możnaby więc spuścić te gołąbki? Coby to było gołębiąt białych, złotych i dyamentowych!“ Jeżeli rodzice dziewki się zgadzają, powiadają: „dobrze, błogosław Boże!“ jeżeli nie mówią: „u nas żadnéj nie ma gołąbki.“

Młodzian przybrawszy sobie kilku towarzyszów i odebrawszy błogosławieństwo od swoich rodziców, jedzie do domu narzeczonéj na wesele, zimą saneczkami, latem na koniach, które zdobią pawiemi piórami, i rozmaitemi kwiatami i dzwonkami. Po przybyciu na miejsce znajdują drzwi na rygiel zamknięte. Na ten czas marszałek (drużba) potrzykroć uderza laską, wstęgami obwiniętą, we drzwi, a z sieni zapytuje się marszałek młodéj: „Kto tam?“ odpowiadają: „Goście nieproszeni.“

„Wieluż was tam jest?“

„Ile ma promieni zorza, ile piasku morze, ile liścia drzewo, ile kaprysów u pana, tyle nas młodych, rzeźkich chłopaków, bogato ustrojonych, na pięknych koniach siedzących, słodkie słówka mówiących.“

„A czegoż wam trzeba, jakiéj wygody, aby godnie przyjąć tak wielkich gości?“

„Potrzebujemy noclegu, zabawy, słodkich słówek, potrawy. My i konie znużeni, trzeba dla nas białych łóżeczek, pulchnych poduszeczek, cieńkich prześcieradeł, miękkich pierzańków, śnieżystych ręczników, koniom stajenek, czapkom gwoździ, żupanom stołeczków, dla błyszczących bócików czystéj, wymytéj podłogi, a dla naszego książęcia księżyca jasnego, słońca dziewicy.“

„Jeśli nic więcéj nie pragniecie, wszystko to znajdziecie u nas. Wejdźcie w Imię Boże.“

Wesele odbywa się wśród muzyki i śpiewów, gdzie śpiewają o korowoju, o chmielu i t. d.

Ach ty chmielniku,
Zielona szyszko!
Póki jeden byłeś,
Bitwy nie czyniłeś.

A jak się zmieszałeś
Z czystym jęczmieniem,
Ty chmielku
Bitwę uczyniłeś.

Gorzałka, jak wszędzie i tu gra wielką rolę, począwszy od zaręczyn do końca wesela; nią to zalewa wieśniak troski i kłopoty, nią okazuje radość swoje. Czy co kupuje, czy przedaje, gorzałkę pić musi.

Pogrzeby Litwy i Żmudzi opisał Wójcicki, z niego autór przytoczył ich opis, dodawszy swoje uwagi. Między innemi o Stryjkowskim, że po Litewsku nie umiał, opiera się na liście pisanym do ks. prałata Gimbutta, na którego Żmudzkie pisanie odpowiada po Polsku, wyznaje, że po Litewsku nie umie, mylnie nawet przez nieznajomość położył: Giejgeite begaite Pikole; zamiast: Ginkiet, biekiet Pikole; a i dzisiaj lud w téj chwili, gdy już człowiek kona, woła.

Następują niektóre obyczaje, zwyczaje, obrzędy starożytne, podług kronikarzy skreślone, medycyna ludu, stan rólnictwa dzisiejszego i dodatek traktujący o artykułach żołnierskich W. x. Lit. i senatorach i urzędnikach koronnych i W. x. Litewskiego.

Oto jest treść dzieła. Aczkolwiek ono nie tak zupełném jest, jakbyśmy życzyli sobie, o czém i sam autor napomknął, jednak ważném ono będzie do historyi ludu Litewskiego.

Wawrowski.

Spekulant Józefa Korzeniowskiego.

Nadchodzą znowu długie wieczory. Cóż w nie robić, jak je zapełnić? nad tém nie jeden biedzić się będzie. Lecz kto kocha ojczystą literaturę, kto po gawędce przy kominku, lub innéj zabawie niewinnéj szuka pożytku dla siebie i swoich, kto po trudach dziennych w gronie familijnéu swą duszę rozerwać pragnie, ten zatęskni nie raz za książką, aby ją albo sam przeczytał, albo wspólnie z drugimi, a potém z nimi o jéj treści i dążności pogawędził. W ten sposób przepędziła nie jedna familia wieczory zimowe, a błogo jéj, że ma usposobienie, które pragnie takiego pokarmu. Oby zwyczaj ten coraz bardziéj się utrwalał i rozszerzał, oby przeszedł od domu magnata aż do izby pracowitego rólnika lub rzemieślnika! W tym względzie niechaj wyżsi oświatą pełnią swoje obowiązki, a życzenie to będzie urzeczywistnione. Niechaj pan, ksiądz, nauczyciel, ekonom, udziela swych zasobów tym, którzy ich nie mają; niechaj się wreście stowarzyszają i zgromadzają małe czytelnie, a zwyczaj przepędzania wieczorów długich w ten sposób stanie się wreście potrzebą całego ludu. Lecz jak mało mamy państw, księży, u których znajdziemy książki do czytania. Zaledwie kupują te, które, że tak powiem, do ich rzemiosła należą. Nie jeden ojciec krzywi się, gdy ma dla syna kupić książek szkólnych za kilka talarów; lecz na co innego nie żałuje, często ani się nie namyśli, gdy kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt talarów na niepotrzebne rzeczy wyrzuci; dla tego samego syna gotów sprawić ubiór najwykwintniejszy, bo w tém dziecku ładnie, bo może pokazać się w salonie, bo to wreście w życiu jest koniecznem, a bez książek wszakże obyć się można, one są przecież, nie prawda? mniéj potrzebne. Tak przewrotne postępowanie codziennie spostrzegamy.

Aby temu zapobiedz, mało jest środków, bo trudno nauczyć rozumu tego, który drugich nauczać powinien. Pozostaje jedynie wymiana myśli zdrowych, a do tego podają nam książki jeszcze najwięcéj sposobności. W tym duchu działać powinni nasi pisarze. Z tem wszystkiem nie pragnę ja morałów, bo autor artysta ma inny cel, on tworzyć powinien ideały, obrazy żywe, któreby swém wykończeniem, a tém samem pięknością nas uderzały i zachwycały, któreby albo nas porywać powinny do życia wzniesłego, ślachetnego i moralnego, albo odstraszać od zbrodni, występków, słowem, od wszelkich brudów. Takie to myśli nasunęły mi się, gdym przeczytał powieść Korzeniowskiego p. t.: „Spekulant.“ Proszę mi wybaczyć, jeżelim się od celu mego za nadto oddalił; uczyniłem to w najlepszéj chęci. Może uwagi moje przydadzą się na co. Zobaczmy teraz, jaka jest treść „Spekulanta.“

„Na drodze z Odessy zjeżdża się Pan August z Panią Chorążyną, która wraca z swą córką, gdy ta edukacyą ukończyła. Pan August był to młody mężczyzna, dobrze wychowany, bystrym rozumem obdarzony, w ogóle od natury ani zewnętrznie, ani wewnętrznie nie upośledzony. Rychło wyjechał za granicę, poznał zwyczaje i obyczaje ludów, a nadewszystko salony z wszystkiemi dobremi (których mało) i złemi stronami. Tam bawił się, grał w karty, tysiączne miłostki miewał, słowem, rozkoszował i hulał jak zwykle Panicze, którzy za granicę wyjeżdżają. Strwoniwszy wiele czasu i majątku, wrócił wreście do domu, aby po rodzicach objął majątek. W kraju popisywał się tém samém życiem, a tak stał się głośnym i znanym w całéj okolicy. Ponieważ majątek jego nie był znaczny, bo tylko miał jednę wioskę, a zawsze tak wesoło i rozkosznie żyć pragnął, stąd do tego jedynie zmierzał, aby za pomocą dobrego ożenienia mógł wieść podobne życie, a że był piękny, wykształcony i rozumny, nie wątpił wcale, że dójdzie do swego. Z takim człowiekiem spotkała się w nędznéj żydowskiéj oberzy Pani Chorążyna. Pan August zaraz się od ludzi wywiedział, co to za Państwo, a że dosłyszał dawniéj, że córka jest jedynaczką, która kiedyś milion posagu mieć będzie, wszelkiego dołożył starania, aby się z Panią Chorążyną zapoznał. Przypadek mu posłużył. Pani Chorążyna nie mogła dostać wygodnéj stancyi; o czém gdy się P. August dowiedział, ofiarował jéj z największą zgrabnością swój pokój. Powietrze było po temu, iż Pani Chorążyna musiała korzystać z téj grzeczności, wprowadza się więc do téj stancyi, a P. August tymczasem kazał wszystko przygotować do herbaty. Tyle grzeczności zobowiązało bardzo Panią Chorążynę, a jeszcze bardziéj jéj córkę, Pannę Klarę, któréj od pierwszéj chwili bardzo przypadł do gustu P. August. Po herbacie pożegnali

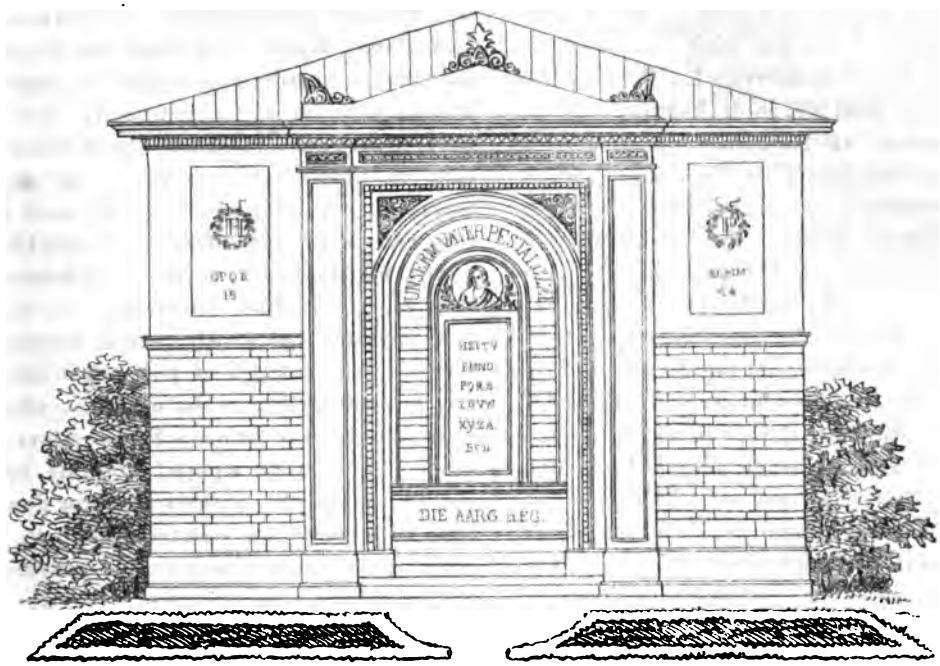

Pomnik Pestalocego w Birr.

się; Panna Klara spać nie mogła, noc jéj się dłużyła, lecz pocieszała się, że rano znowu młodzieńca zobaczy. Tymczasem ten nazajutrz jak najrychléj wyjechał. Panna Klara zasmuciła się, skoro to usłyszała, lecz tém większą była jéj radość, gdy dojechawszy do najbliższéj stacyi znalazła wszystko w największym porządku, z przysposobieniem wszystkiego, co do przyjęcia dobrego należy. W tenczas domyśliła się, kto był tego sprawcą; jakoż wkrótce pokazał się P. August, sadząc się na wszelkie grzeczności, szczególniéj, aby się Pani Chorążynie przypodobał. Odtąd był jéj nieodstępnym towarzyszem podróży; a że była właśnie przykra pora roku, tysiączne podawały mu się sposobności do nowych grzeczności. W kilka dni zakochała się Panna Klara zupełnie w Panu Auguście, tak że on ani wątpić nie mógł o jéj miłości. Nareście rozstać się musieli, ale nie bez nadziei, że się wkrótce w domu Pani Chorążyny zobaczą. Lecz P. August nie myślał tak prędko przyjechać, bo rozum mu nakazywał, aby użył wszelkich środków, któreby mu do dopięcia celu mogły być pomocnemi. Ztąd zmienił swój sposób życia, zaniechał miłostek, gier, w ogóle całéj rozpusty, aby rodzice Panny Klary o nim nic złego nie usłyszeli; przy tém różne okoliczności zaczęły mu jak najbardziéj sprzyjać. Niejaki P. Kasper Barski był jego szwagrem. Człowiek ten był znanym w całéj okolicy z bystrego rozumu, a jeszcze bardziéj z nadzwyczajnéj złośliwości; niczyim błędom nie pobłażał. Tego to bardzo się obawiał P. August; dla tego użył swéj całkowitéj siły w zmyślaniu uczuć fałszywych, aby go sobie zupełnie zjednał. Dotąd był ku niemu bardzo obojętny, równie jak ku jego żonie, a swéj siostrze, lecz powoli zmienił swoje postępowanie z taką pomyślnością, że udając najczulszego i najtroskliwszego brata, zdołał zwieść Pana Kaspra, który w odgadnięciu serca ludzkiego był zresztą nader przenikliwy. Kiedy tak swe plany, jak najbieglejszy wódz, z zimną krwią i rozwagą układał, kiedy o swéj kochance ani razu nie pomyślał, kiedy jéj żadném uczuciem miłości się nie wypłacał, lecz tylko o jéj majątku myślał; Panna Klara wyczekiwała go z największą tęsknotą; a widząc się zawiedzioną w swém oczekiwaniu, bardzo zesmutniała. Tymczasem sąsiedzi, ciekawi córki dorosłéj, która edukacyą już skończyła, zjeżdżali się często do domu Pana Chorążego. Był to człowiek

w pieniądzach jedynie zakochany, dla którego żadne przymioty duszy nie miały wartości, jeżeli pieniądz im nie towarzyszył. Przytém był bardzo próżny, miał się za doskonałego gospodarza, a razem za budowniczego z wielkim gustem. Dla dogodzenia swéj próżności, wybudował na miejscu wyniosłem zamek, tak, aby go zewsząd ujrzeć można. Przypstrzony wszelkiego rodzaju ozdobami, był prawdziwém monstrum. Żona i córka widziały to wszystko, śmiały się w duchu, ale przez słuszny wzgląd na męża i ojca nie dały tego zupełnie uczuć Panu Chorążemu. Z temi to słabościami obeznał P. Kasper Pana Augusta, dając mu najlepsze nauki, jak sobie zjednać może przychylność Pana Chorążego. Pomiędzy gośćmi, którzy w tym czasie do Pana Chorążego przybyli, znajdował się P. Marszałek Zabrzeziński, mąż bardzo majętny, rozsądny, należycie wykształcony, a przytém szczéry przyjaciel Pani Chorążyny. Chciał i on zobaczyć Pannę Klarę, bo ją znał od dziecka i lubił się z nią bawić. Panna Klara przywiązała się równie do Pana Marszałka, i dla tego, jeżeli kiedy przez długi czas do rodziców nie przybył, szczerze na niego się gniewała. To przywiązanie zamieniło się z czasem w Panu Marszałku w miłość, lecz taił się z nią, zapewne z tego powodu, że miał już przeszło 30 lat, chociaż był z resztą bardzo przystojny. Dla tego wielki smutek ogarnął duszę jego, gdy się od matki dowiedział, że jéj córka zakochała się w Panu Auguście i w tym względzie rady jego zasięgała. Tymczasem po wielu tygodniach przybył nareście P. August, radość była wielka dla Panny Klary, a w kilka dni tém większa, gdy się przekonała, że P. August sobie całkiem ojca zjednał. Bo chociaż o nią mniéj dbał, chociaż się najwięcéj ojcem zajmował, usprawiedliwiła go w duszy, że to czyni dla ich wspólnego szczęścia; a gdy wreście przez pochlebstwo, lecz zawsze podczas niebytności żony i córki, w pole go wywiódł, spadł jéj najcięższy kamień z serca. Obawiała się bowiem najwięcéj oporu ojca, któryby jéj zapewne za biednego Augusta, mającego tylko jednę wioskę, wydać nie chciał. Szczęście sprzyjało jak najbardziéj Panu Augustowi, tak, że w całéj okolicy nie wątpiono, że on rękę Panny Klary otrzyma. Wszyscy, nawet P. Marszałek, dobre świadectwo dawali o duszy Augusta. Lecz kiedy los mu tak sprzyjał, upojony powodzeniem, zbyt zaufany w miłość Panny Klary, nie mógł się dłużéj oprzeć skłonnościom swéj natury, tak że nagle do dawnego sposobu życia powrócił. Już dawniéj posłyszała Pani Chorążyna o jego skłonnościach, lecz on umiał tak zręcznie z tego się wytłumaczyć, iż z tych wieści ledwo ślad pozostał. I tą razą byłby może uspokoił Panią Chorążynę, gdyby nie wyrządził największéj krzywdy swéj siostrze. P. Kasper do żywego tknięty, a razem oburzony, że i żonę jego do rozpaczy przywiódł i jego samego w pole wywiódł, z zemsty, a razem z poczciwości użył wszystkich środków, aby zerwać związek Panny Klary z Augustem. W tę rzecz wplątał zręcznie Pana Marszałka, o którego miłości ku córce Pani Chorążyna tymczasem się dowiedziała. P. Zabrzeziński powodowany najczystszą przyjaźnią, bez względu na przykrości, na które się narażał, szukał sposobności, aby jak najgruntowniéj poznał Pana Augusta. Zjazd Berdyczowski posłużył mu w tém najlepiéj, a gdy się jawnie przekonał, że August nie Klarę, lecz jéj posag kocha, żeby wkrótce zrobił ją najnieszczęśliwszą, uwiadomił o wszystkiém Panią Chorążyną. Z boleści, że sama do nieszczęścia córki się przyczyniła, z rozpaczy, że ją oddać miała człowiekowi, któryby jéj życie zatruł, nie zważając na boleść córki, która szalenie kochała Augusta, postanowiwszy zerwać dawny stósunek, w uniesieniu wymogła na Marszałku, iż oświadczył się o rękę Panny Klary. Uszczęśliwiona, że córkę wyda za tak zacnego męża, pisze natychmiast w imieniu swojém i męża do Pana Augusta, oświadczając mu, aby się nie poważył przybyć do ich domu. Tymczasem Panna Klara o tém wszystkiém nic nie wiedziała, domyśliwała się tylko, że zagraża jéj nieszczęście; nareście uwiadomiła ją matka o zerwaniu wszystkich stósunków z Augustem. Można sobie wystawić jéj rozpacz, zwłaszcza, że była przeświadczona o niewinności swego kochanka; niczém jéj przekonać, niczém jéj pocieszyć nie można było, posłuszeństwo jedynie nakazywało jéj zastósować się do postępowania matki, i dla tego chociaż nie bez wstrętu przystała na to, iż ma być żoną Pana Marszałka. Tymczasem przyspieszała matka jak najbardziéj dzień ślubu. Nadszedł nareście, świadkowie się zjechali; lecz gdy młoda para uklękła przed ołtarzem, a ksiądz się zapytał: Czy ma wolę nie

przymuszaną, Panna Klara głośno wyrzekła, że nie ma. Na te słowa zemdlała Pani Chorążyna, Ksiądz zaczął odchodzić; co widząc Klara, tknięta boleścią matki, prosiła Kapłana, aby wrócił i związek jéj z Marszałkiem pobłogosławił. W skutek uporu Panny Klary i oburzenia na Pana Marszałka, jakoby on był sprężyną wszystkiego złego, następują po ślubie sceny nader nieprzyjemne; lecz ślachetny umysł Marszałka znosi z odwagą i poświęceniem grymasy Panny Klary, któréj nawet téj nie sprawia przykrości, iżby ją swoją żoną mianował. Ta delikatność Marszałka, jego zabiegi, aby Pannie Klarze we wszystkiém życie uprzyjemniał i serce zranione goił, nareście myśl, że niepodobno, aby matka, która ją tak bardzo kochała, nie miała mieć słusznego powodu do tak gwałtownego postępu, to wszystko zaczęło gniew jéj łagodzić. Lecz nic tak nie skutkowało, jak to, że nareście sama się przekonała, że P. August na wszystkie zarzuty zupełnie zasłużył, że w rzeczy saméj nie ją, lecz jéj posag kochał. To ją zupełnie wyleczyło i odtąd zaczęło się najszczęśliwsze pożycie pomiędzy Marszałkostwem.“

Znając autora z tylu dzieł, które nam z jednéj strony wiele przyjemności sprawiły, a z drugiéj wiele korzyści przyniosły, nie mało się ucieszyliśmy, gdyśmy go ujrzeli występującego jako romanso-pisarza. Radość nasza tém większa, żeśmy się w oczekiwaniu czegoś dobrego nie zawiedli; te same bowiem zalety, które napotykamy w jego dramatach, znajdujemy w powyższéj powieści.

Jako gruntowny znawca zwyczajów i obyczajów świata, a szczególniéj swego narodu, tak dalece, że często dziwimy się, jak autor wnika w najdrobniejsze odcienie, obrał sobie w powieści „Spekulant“ pole romansu obyczajowego, chcąc i tu przysłużyć się swym rodakom. Zapewne nie na próżno podjęta będzie ta praca; czytelnicy polscy znajdą wynagrodzenie za wiele dzieł tego rodzaju, które z nud cierpliwie do końca przeczytali.

Jak w dramatach, tak i tu rozwinął Korzeniowski swój talent w kreśleniu charakterów. Większa część zupełnie mu się udała. Pani Chorążyna, wyborna matka, przykładna żona, swe dziecko kocha nad życie. Miłość ta przechodzi niekiedy w słabość, dogadza córce nieraz bardziéj niżby powinna; lecz gdy poznaje swój błąd, chcąc go naprawić, występuje z energią matki, szukającéj szczęścia swego dziecka, a razem z należytym rozsądkiem. Ten rozsądek pokazuje najbardziéj w delikatném postępowaniu z swoim mężem, który obok głupoty jest zarozumiałym, myśląc, że jest biegłym gospodarzem i że gust ma jak najlepszy. Ich córka dobrze wychowana i dostatecznie wykształcona, stworzenie zupełnie niewinne, zapatruje się na świat, jak go sobie w głębi duszy uroiła; nie znając kłamstwa, nie przypuszcza fałszu; żyjąc w świecie ideałów, nie myśli nawet o tém, że są ludzie, którzy się tylko brudem materyalizmu kalają. Przytém dobra córka, w posłuszeństwie ku matce nie znająca granic. Lecz kiedy matka niszczy jéj najpiękniejsze ideały, podniecona niedoświadczeniem młodego wieku, z oppozycyą występuje, którą jednak nie tak matce, jak narzuconemu mężowi uczuć daje. Wybornie odmalował nam ją Korzeniowski w jéj grymasach. Pan August, jéj kochanek, jest to młody mężczyzna, od natury chojnie wyposażony. Piękna jest jego powierzchowność, któréj tém więcéj nadał powabu przez salonowe wzięcie i stósowne wykształcenie. Jego rozum bystry, lecz serce zimne, w materyalizmie zupełnie zakochane. Bawiąc za granicą, nawykł do życia wygodnego, rozkoszom oddanego. Ztąd kiedy wrócił do kraju, żył podobnie; a że majątek nie był zbyt wielki, za pomocą różnych gier dochody sobie pomnażał. Zgoła, wszystko co czynił i przedsiębrał, zmierzało li ku temu, aby mógł wieść życie lekkie, rozkoszne. Ztąd żadne ślachetne uczucie w duszy jego nie postało; dla dopięcia swego celu, gotów popełnić największe brudy. Zupełnie przeciwny obraz przedstawia nam P. Marszałek; jest to ideał dobrego majętnego obywatela. Lecz należy on do owych utworów Korzeniowskiego, w których posuwając się autor w idealizowaniu za daleko, pomija się z prawdopodobieństwem i rzeczywistością. Nadmienić nam trzeba jeszcze jeden charakter, t.j. Pana Barskiego. Autor stósując się do przysłowia polskiego, chciał pokazać, że ludzie cieleśnie upośledzeni przy bystrości rozumu zwykle bywają złośliwymi. Przytém miał jednak P. Barski być człowiekiem dobrego serca. Mnie się zdaje, że druga strona nie dosyć dobitnie przedstawiona.

Jak zwykle w romansach, tak i w Spekulancie intrygę stanowi miłość. Jéj zawiązanie jest zręczne, lecz późniéj zbyt nagle się rozwija, tak że z wypadkiem ostatecznym zaraz się pogodzić nie można. Gdyby autor nie pospieszył tak bardzo z oddaniem ręki Panny Klary Panu Marszałkowi, byłby dwa charaktery dokładniéj wystawił, t. j. Pana Augusta, a nadewszystko P. Barskiego, którego występowanie jako szwagra Pana Augusta przeciw temu, nie jest dostatecznie usprawiedliwione.

Sposób wystawienia rzeczy mieści w sobie wiele zalet; styl jest potoczysty, język piękny. Widać, że autor pisze z wielką pewnością, z zupełném przeświadczeniem, jaki kierunek nadać ma swéj powieści. Ztąd wstrzymać się nie może od uwag estetycznych, które niepotrzebnie tok rzeczy wstrzymują. Lecz może czyni to umyślnie, mając na myśli korzyść czytelników, aby wiedzieli, z jakiego stanowiska na rzecz zapatrywać się mają. Spekulant bowiem Korzeniowskiego ma obok wartości estetycznéj i tę zaletę, iż nie mało wpływa na oświecenie czytelnika. Obyśmy prac takich jak najwięcéj mieli! Wtenczas możeby Polki zaniechały czytać obce romanse, które drażnią tylko ich imaginacyą i przenoszą je w świat nam zupełnie nieznany; w ten czas szukałyby obyczajów ojczystych z dawną prostotą, unikając wad, w które wpadli Polacy przez obczyznę.

№ 160. PIOSNKA PO WESELU. *Modlnica pod Krakowem.*

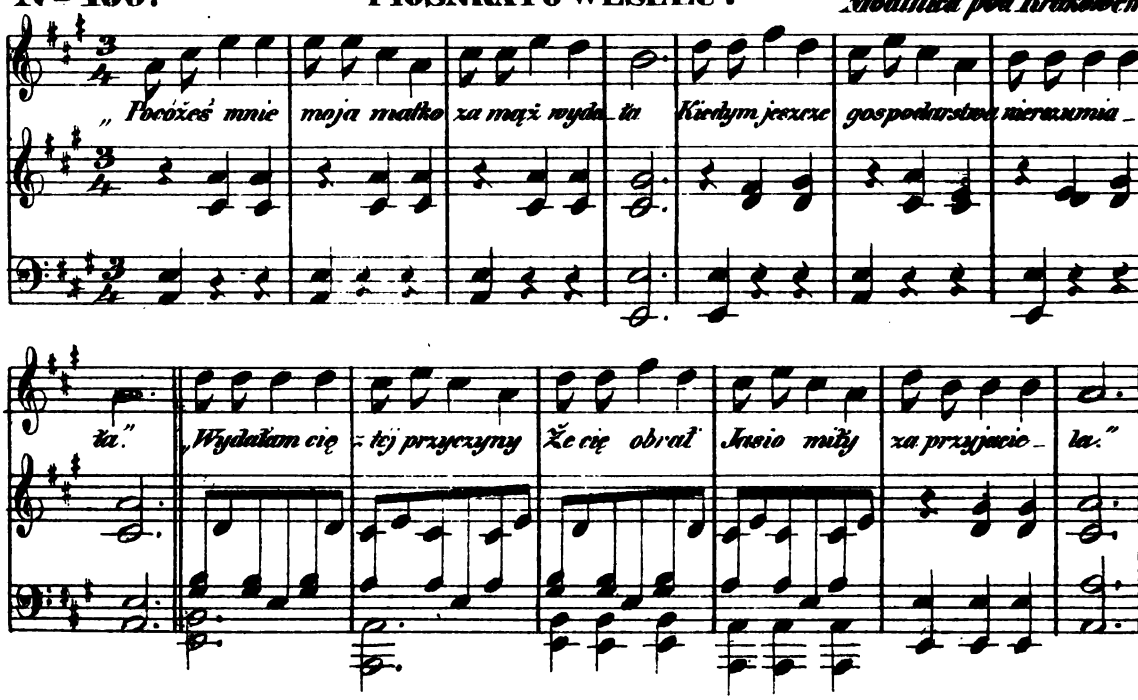

Text do Nru. 160.

Po cóżeś mnie moja matko za mąż wydała,
Kiedym jeszcze gospodarstwa nie rozumiała;
Wydałam cię z téj przyczyny,
Że cię obrał Jasio miły
Za przyjaciela.

Miło ci było, matusiu, słuchać muzyki,
Kiedy grali za oknami jako słowiki.
A teraz ci już nie miło.
Nie dawać mnie za mąż było,
Mamuniu moja.

Zaprzęgajcie cztery konie do téj karety,
Niechże ja sa poobjeżdżam wszystkie wizyty,
Zaprzęgajcie jak najprędzéj,
Niech nie smucę serca więcéj,
Mamuni mojéj.

(*J. Konopka*, P. I. kr. str. 129.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 36. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 5. Września 1846.

Pomniki do dziejów Litewskich, zebrane przez Teodora Narbutta, zryciną i facsimile. — Do trupiéj czaszki. — Szklanny człowiek. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu dziewiątego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.

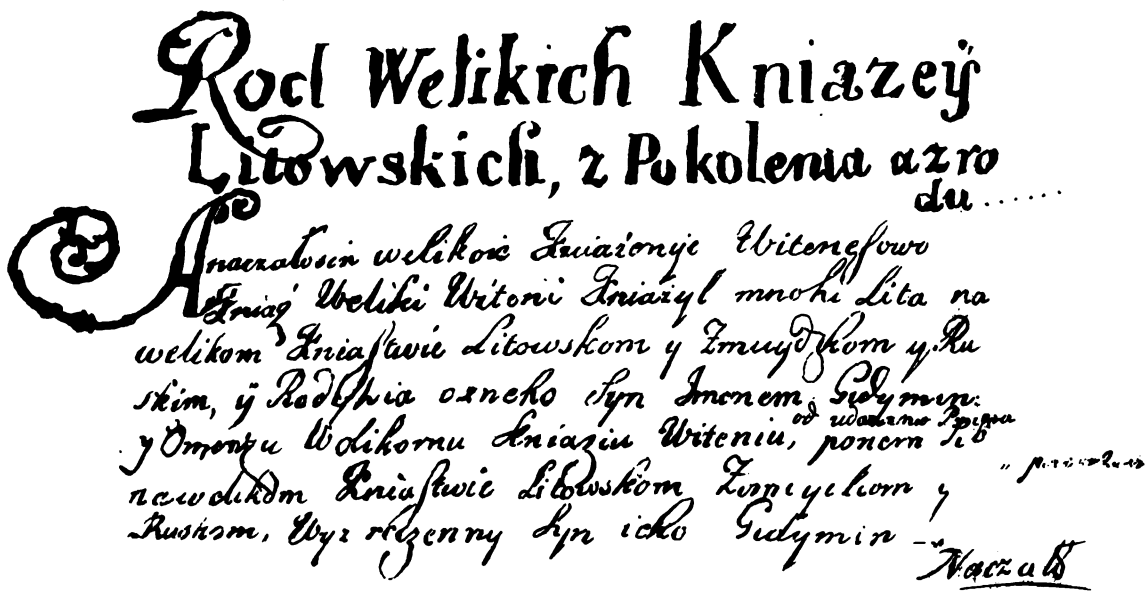

Facsimile czyli przerys z autografii stronicy 25.

Pomniki do dziejów Litewskich, zebrane przez Teodora Narbutta, z ryciną i facsimile; w Wilnie 1846.

Wydawca Kroniki Litewskiéj zdał nam sprawę z rękopisu we wstępie do tego dzieła. Nie będzie zapewne od rzeczy, gdy go czytelnicy Przyjaciela ludu poznają; dla tego umieszczamy w całkości słowa Narbutta. Z tego dzieła wyjęliśmy facsimile, daléj: Widok starożytnéj fasady Ostréj Bramy.

Oto są słowa Narbutta:

„Dowiedziawszy się po raz pierwszy z Noworocznika Wileńskiego na rok 1835, że się znajduje u JW. Alexandra Bychowca, b. Prezydenta Gran. Appell. powiatu Wołkowy-

skiego, kronika Litewska; i będąc wielce zciekawionym wyjątkiem umieszczonym w tymże Noworoczniku, od str. 91 do 102; przy zdarzonéj zręczności wyborów gubernialnych w Grodnie, starałem się osobiście poznać zacnego męża, miłośnika Literatury i Dziejów krajowych, który z prawdziwie obywatelską chęcią udzielił rękopism dla użytku powszechnego; winniśmy mu przeto największą podziękę i za ocenienie tego szacownego zabytku historycznego i troskliwe przechowanie wśród zaburzeń krajowych i za łaskawe udzielenie dla dobra ogólnego.

„Nie jest mnie wiadomo, jaką koleją ten rękopism dostał się do biblioteki JW. Bychowca, powiémy tylko, jak z obejrzenia zewnętrznego rękopism wygląda.

„Pisany literami polskiemi, pismem należącém najpóźniéj do początku wieku siedmnastego, a najraniéj do drugiéj połowy wieku piętnastego (1), wystawuje jakoby przekład z języka ruskiego, ponieważ na ostatniéj stronicy, jest napisano ręką spółczesną z przepisywaniem, ale odmienną: „*Kronika Litewska z ruskiego języka na polski przetłumaczona;*“ gdy tymczasem żadnego nie ma tłumaczenia, tylko przepisanie, słowo w słowo, textu ruskiego polskiemi literami. Pismo polskie dość poprawne, wyraźne, czytelne, wprawną ręką wykonywane, i od końca do końca tąż samą. Format in quarto, z załamanemi marginesami, jak do oprawy, bez żadnéj numeracyi stronic, których następstwo tylko custodiami odznaczone. Na nieszczęście ten rękopism widać już był spisywany z oryginału wielce uszkodzonego, bo nie tylko początku braknie, ale i we środku wielkie są przerwy i końca nie ma; ze znacznéj liczby stronic brakujących można postrzegać, że ten ułamek zaledwo może połowę oryginału zawiera. W papierze, który krajowéj Litewskiéj fabryki, znajduje się znak wodny ryba Karaś w obwódce, a na drugim półarkuszu litery G G, taki samy papier na tranzakcyach szlacheckich, z drugiéj połowy wieku XVI i początku wieku XVII, postrzegać się daje.

„Co do wartości wewnętrznéj nie będziemy tu czynić obszérnego rozbioru, dość jest powiedzieć, że choćby kilka szczegółów historycznych zawierał skąd inąd niewiadomych jeszcze, już tém samém wart zachowania od zagłady czasu, przez upowszechnienie drukiem. Lecz gdy takich szczegółów jest w nim niemało, albo potwierdzających rzeczy w drukowanych kronikach zawarte i cytacyami nie udowodnione, albo wykrywających związek rzeczy odrywkowie w nich wyłożonych, poplątanych z wyjątków nagromadzonych z wielu kronik. już za zaginione uważanych, których ciąg niniejsza do porządku przywodzi.

„Autor, ani przepisywacz, nie są wiadomi, ani też w całym tym ułamku nie ma wyrazu, z którego jakikolwiek domysł w téj mierze powziąć można było. Z rzeczy zaś pokazuje się: że autor czerpał początek z innéj kroniki nierównie starszéj, która o początkach narodu Litewskiego traktowała, wywodząc ród dawnych Litwinów od Rzymian przybyłych z Palemonem, którego nazywa na samym wstępie Apolonem, z mylnego przepisywania znać wyczytawszy, bo późniéj mówi o Palemonie i jego potomkach. Ciągle aż do stronicy rękopismu 15, prowadzi rzecz bardzo skróconym sposobem, widocznie z wyjątków robiąc wyjątki. Tu przepisywacz polskiemi literami nie szczędzi tytułów artykułom, na brzegu dopisując w języku polskim. Następnie zarywa z innych źródeł. Być może, iż stara oryginalna kronika już się kończyła na śmierci Mendoga, czyli raczéj na latach ostatnich jego panowania, gdyż odtąd rzeczy poczyna w treściach rozlegléj opowiadanych wykładać. Chociaż i tak skróconych bardzo, aż do panowania Gedymina. Ze wszystkiego zaś widać, że inna kronika była w tym okresie zasadą jego pracy, obok drugich, nawet Latopisca Wołyńskiego (2) naprzykład, z którego początek okresu tego bierze, jak słusznie postrzegł sam JW. Bychowiec, i na brzegu nanotował. Lecz i tu w rękopiśmie niniejszym są przerwy i niedostatki.

„Dalszy ciąg kroniki, to jest: od początku panowania Gedymina do ostatniego roku życia Alexandra, króla polskiego i wielkiego książęcia litewskiego, pokazuje się być ciągle wypracowaném dziełem przez autora, opartém na różnych tranzakcyach politycznych, dziejach pisanych i podaniach miejscowych. Nie widać

(1) Obaczyć facsimile dołączone.

(2) Wołyńska, czyli Ipatiewska kronika.

jednak z tego co mamy przed sobą, żeby z własnego widzenia lub spółczesnych sobie świadectw co opowiadał; z tego wnosić należy, że jeszcze ciągnęły się dzieje daléj cokolwiek; rękopism urywa się raptownie, i zapowiedziane *dywnyie reczy* o Hlińskim zaginęły z resztą kroniki.

„Cały zamiar dzieła jest oddanie dziejów Narodu Litewskiego wyłącznie i odrębnie, chociaż bowiem zakrawa rzeczy ruskich i polskich, nie dotyka ich, tylko tyle, ile się spływają z jego przedmiotem.

„Nie będziemy w niniejszém wydaniu tego ułamku, robić krytycznych postrzeżeń, albo sprostowań i tym podobnych prac pomnażających przypisy, dla tego, żeby czytelnik miał własną rozrywkę w dochodzeniu wartości rękopismu, przez porównanie ze znajomemi już źródłami historyi Litewskiéj. Dodamy tylko gdzie niegdzie postrzeżenia objaśniające rzeczy, nieodbicie tego potrzebujące.

„Przypisy na brzegach są ręki przepisywacza z ruskiego oryginału, które zostawujemy tak jak są.

„Naostatek winniśmy zwrócić uwagę czytelnika na to, że Stryjkowski, który miał pod ręką te same źródła, z których czerpał autor naszego rękopismu, w niektórych miejscach nagania go i poprawia, albo rozmijają się z sobą, nie w rzeczy saméj, lecz w sposobie jéj wyrozumienia. Nie przeto jednak piérwszy traci wiarę, lub na fałszerza wychodzić może, owszem wiele miejsc tu się znajdzie, które podnoszą cenność pracy jego. Wielkiemi przykładami słynne, szczególnéj wielkości narodu cechami odznaczone, niepospolitéj waleczności i miłości kraju zawierające pamiątki, z rzadkich przymiotów osobistych i zasług w kraju pamiętnych monarchów zachowujące czyny, dzieje narodu Litewskiego miały to nieszczęśliwe przeznaczenie, że będąc zebrane i pomieszczone w pismach znanych powszechnie w kraju do wieku szesnastego; późniéj podległy zatraceniu. Jakiemi uwagami zajęci, poświęcamy ziomkom rodakom niniejszy ułamek rozbitego źwierciadła przeszłości narodowéj Litewskiéj.

„Co się tycze wydania: druk został z samego oryginału wykonany, ze wszelką poprawnością, nawet zachowaniem omyłek pisarskich, któreby przeinaczając, potrzeba było nót i przypisów udzielnych, a dla czytelnika łatwych do postrzeżenia i poprawy; dla tego, iżby zachować zupełność pomnika historycznego, jaki on jest w swoim składzie. Rękopism zawiera stronic zapisanych 159; ostatnia z nich do jednéj trzeciéj części zapisana, a sto sześćdziesiąta biała, tylko nadpis wyżéj spomniany z góry mająca; liczby na brzegu stronic położone, obok znaku w texcie || oznaczają stronice rękopismu.

„Pisałem 1834. Grudnia 15. d. w Szawrach.

T. N.“

Do trupiéj czaszki.

Czaszko! co robisz w roskosznym salonie,
Obok kryształów, rzeźb i malowideł?
Z tronu próżności w kaznodziejskim tonie,
Chceszli nas bronić od piekielnych sideł?
Widok twój grono pomięszał godowe,
Nie jeden westchnął, na pierś zwiesił głowę....

Coś zrobił z duszą, powiedz trupie szpetny?
Zimna czeluści, gdzie twój płomień świetny?
Mów pusta klatko, kędy uleciała
Piękna ptaszyna, co w tobie śpiewała?
Gdzie twoje dymy i lawy, wulkanie!
Gdzieś podział pana? sługo! mów o panie.

Dusza, królowa, z całą dworską rzeszą,
Mieszkała w tobie. Jaki ruch dokoła:
Śpiewają, marzą, smucą się, znów cieszą....
Dziś pustki! tylko jaszczurka w głąb czoła
Wpełzła, i, owad wroił się skrzydlaty,
Banda cyganów, w królewskie komnaty.

Kto wie? kwitnącą może byłaś różą,
Z błękitném okiem o jasnym kędziorze;
Może młodzieńcem wrzącym, może dużą
Jaką figurą na królewskim dworze...
Któż zgadnie? — Życie grą kształtów zachwyca;
Lecz nicość, nicość wiecznie jednolica.

Człek się od ciebie, jakby od widziadła,
Żegna, i spiesznie pusty zrąb omija;
Duszy ni serca strzaskane zwierciadła
Nie odbijają; uśmiéch się nie zwija
Po ustkach; oko spójrzeniem nie lata....
Otóż i cała spuścizna dla świata!

A duch tymczasem do bram raju pnie się,
Po złotych wschodach... a w raju, jak w lesie,
Święty szum... cisza... z aniołmi pospołu,
Panu cześć bijesz jasny Cherubinie...
Nam zostawiłeś garść tylko popiołu —
Bóg wziął kadzidło, upuścił naczynie.

1846. *L. S.*

Szklanny człowiek.

W czasie pięknego czerwcowego poranku, dwóch młodych kasztelaniców, uczniów akademii Jagiellońskiéj, przechadzając się nad brzegiem Wisły, spotkało czerstwego wyrostka, śpiącego pod drzewem, który mógł był mieć około lat dwunastu. Ubiór jego był wieśniaczy z okolic Krakowa. Studenci zbliżywszy się doń zbudzili go, zapytując z kąd przybywa, i dla czego śpi na miejscu tak osobném? Chłopak ziewając i przecierając sobie oczy odpowiedział, że idzie ze wsi szukać służby w Krakowie, ale u takiego pana, coby go przytém dawał do szkoły.

— A umieszże czytać? — zapytał jeden ze studentów.

— Nie tylko czytać, ale i pisać, — odparł wyrostek.

Poczciwa i bystra mina chłopaka podobała się paniczom, którzy naradziwszy się między sobą, powiedzieli mu, iż go chętnie przyjmą do służby, i nie zabronią uczęszczać do szkoły, jak to zwyczajnie się działo, że przy panach co nie radzi brali się do książki, nie jeden chudzina kształcił się na znakomitego urzędnika lub prałata. Chłopak ucieszony tak pomyślnym trafem, uściskał nowych panów i powiedział im, że się nazywa Juziek Skiba i że ma zamiar zostać mecenasem, albo biskupem.

Kasztelanice widząc bystrość jego dowcipu i niepospolite przyrodzone zdolności, zajęli się nim, oporządzili go przyzwoicie, i zaprowadzili do szkoły. Juziek lubo po całych dniach i nocach oddawał się nauce, niemniéj jednakże umiał i panom swoim dogodzić, tak, że myślałby kto, iż całém jego powołaniem jest służba; wkrótce téż tak go pokochali, tak zasmakowali w jego dowcipie i rozsądku, iż prawie stał się nieodstępnym towarzyszem ich zabaw i prac naukowych.

Owoż w takiém koleżeństwie, przez ciąg lat ośmiu strawiwszy na naukach, nabył takiéj sławy w akademii ze swojéj gruntownéj i obszernéj umiejętności, że go powszechnie kochano i szanowano, stawiając za wzór młodszym i starszym uczniom. Nie tylko prawnicze kursa, ale nawet filozofię i literaturę starożytną przebiegł; w żadnym zawodzie nie mając sobie równego. Przedewszystkiem pamięć miał doskonałą; zbogacając ją codzień nowémi zdobyczami umysłu, nie tylko poszukiwany był przez wyższe towarzystwa, które umiał trafną rozmową ożywiać, ale co więcéj żadna publiczna dysputa nie mogła się obejść bez niego. Zbliżył się wreście czas skończonych nauk dla kasztelaniców; nie mając zatem co robić w Krakowie, umyślili wrócić do domu rodzicielskiego na Podole. Juziek, który teraz już został panem Józefem, uważany przez nich prawie za brata, miał im towarzyszyć. Starzy kasztelaństwo, na rekomendacyę synów, przyjęli go po rodzicielsku, prosząc, by dom ich uważał jak swój własny. Życie swobodne i wesołe na wsi, częste zabawy i polowania, niemniéj biblioteka w księgi rzadkie zamożna, wszystko to zdawało się być nie małą dla młodego serca ponętą, jednakże mimo tego jakaś nuda i tęsknota ciężyły na sercu i umyśle pana Józefa tak, że ustawnie tylko wzdychał za Krakowem, akademią i professorami, a najbardziéj za tém życiem umysłowém i publicznem, które się zwykle w stołecznych miastach objawia. W chwili takiéj tęsknoty oświadczył kasztelaniccom, żeby ich rad pożegnać i wrócić do Krakowa dla osiągnienia akademickich stopni. Młodzi przyjaciele wspaniali i dobroczynni nie tylko przystali na jego życzenie, ale nadto opatrzyli we wszystkie porządki i utrzymanie trzechletnie.

Pan Józef żegnając się z dobrodziejami swymi, wylewał łzy wdzięczności; kasztelaństwo i cały dom dawali mu krzyżyki błogosławieństwa: życząc, aby najrychléj powrócił i stał się ozdobą i pociechą ojczyzny. Kasztelan darował mu wierzchowca swego chowu, który objuczony wszystkiemi potrzebami na podróż, przyjął go na grzbiet swój i lekko poniósł przez stepy i łany. Że był czas pogodny i wiosenny, koń lekkiego chodu i wytrwały, przeto podróżny nasz w kilku dniach ubiegł tęgi kawał drogi, nie przykrząc sobie wcale, bo coraz nowe widoki, coraz nowe spotkania, mile mu czas podróży skrócały. Zbliżając się pod Lwów chciał w jednéj karczmie stanąć na popas, ale ją zastał zajętą mnóstwem powozów, koni i sług, tak, że go nie wpuszczono do stajni, a pyszny arendarz na widok ubogiego szlachetki pogardliwie kiwnął ręką, powiadając: rusaj sobie gdzieś daléj, u mnie miejsca nie ma; Jaśnie Wielmożny Wojewoda tu stanął. — Na takie niegościnne przyjęcie, już pan Józef kładł nogę w strzemię, chcąc daléj szukać popasu; gdy wtém persenat jakiś poważny,

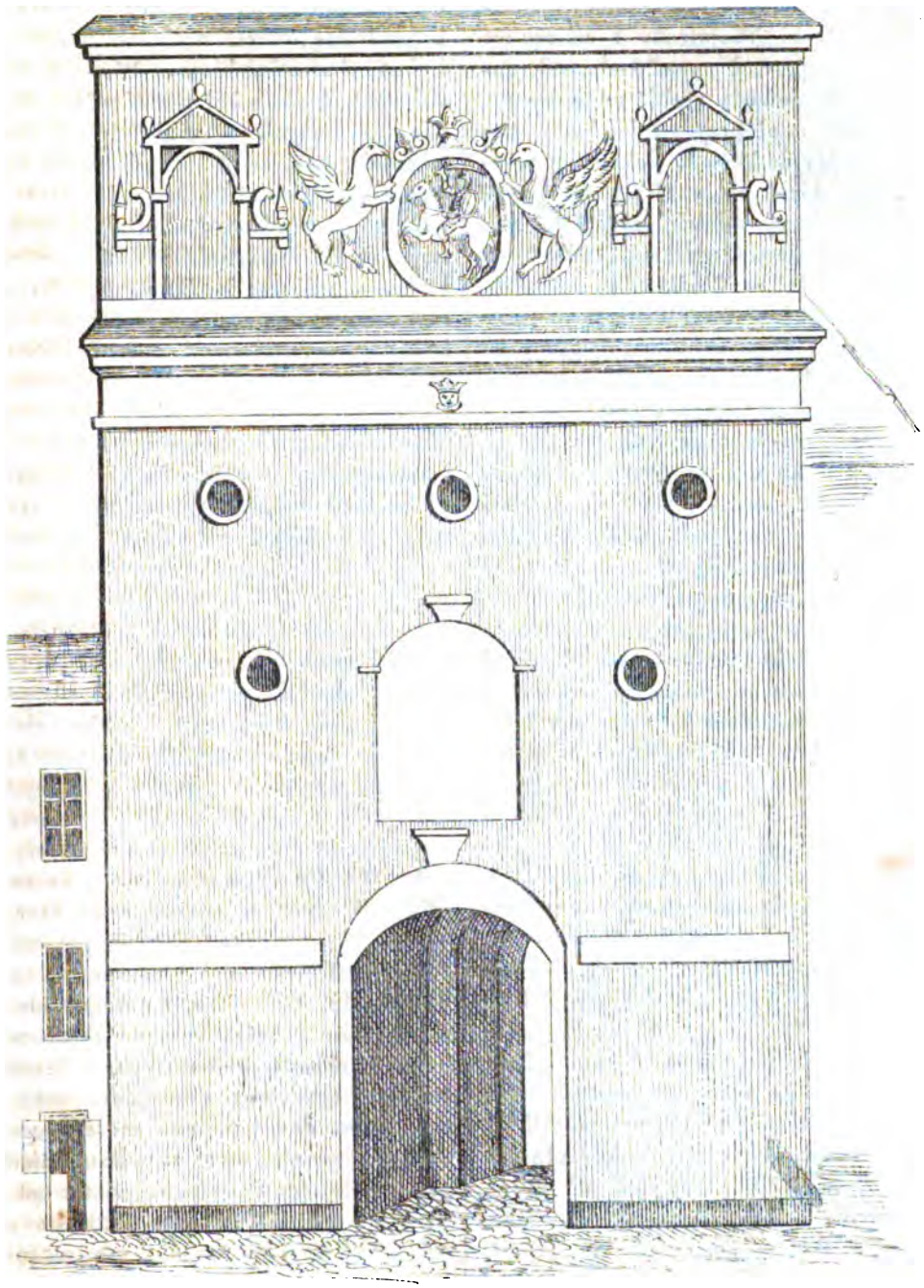

Widok starożytnéj fasady Ostréjbramy w Wilnie od wjazdu do miasta; zdjęty roku 1845.

stojący w oknie, ozwał się do Żyda: A poganinie! także to przyjmujesz gości? Hej Janie! Macieju! weźcie-no w kumy tego hultaja i wylieżcie sto batogów, niech się nauczy szanować krew szlachecką! — Już dwóch sążnistych hajduków ciągnęło arendarza na plac exekucyi, gdy pan Józef mocno tą katastrofą zmieszany, udał się w prośby do Wojewody, który ledwo nie ledwo dał się zmiękczyć; przebaczył Żydowi, a podróżnego zaprosił na dobry obiad, który właśnie kuchmistrz przy buchającym ogniu sporządzał. Z rozmowy przy-

obiednéj, skrapianéj starym węgrzynem, pan Józef popadł w łaski Wojewody i nawzajem pan Wojewoda skaptował pana Józefa, tak dalece, że kiedy Wojewoda zrobił mu propozycyę, iżby go rad miał przy swoim boku jako towarzysza podróży do Włoch, dokąd się właśnie udaje, pan Józef nie miał się czém wymówić i z niepomierną radością przyjął tę sposobność zwiedzenia ziemi klasycznéj. Obie strony rade były z układu: Wojewoda, że mógł z uczonym człowiekiem podróż odbywać; a uczony młodzieniec, że kosztem majętnego pana znajdzie przystęp do skarbów sztuki, otwartych tylko bogatszym, i że pozna szerszy świat i ludzi w najrozmaitszych stósunkach życia.

Zabawiwszy kilka dni we Lwowie, Wojewoda z sekretarzem swoim puścili się w dalszą drogę. Wiedeń nie wiele zajął pana Józefa, raz, że do niemieckiéj mowy mało miał pociągu, powtóre, że mu się wszystko zdało tam przymuszone i uciśnięte, za to wygody życia w niemały podziw wprawiały. Przejazd przez kraje niemieckie nie wiele go zajmował; lecz zbliżając się do Wenecyi serce mu biło. Pan Józef znalazł w niéj bogactwa nieporównane; rząd rostropny, położenie niezdobyte, obfitość niezmierną, okolice czarowne, słowem, tak części jak ogół godne były głośnéj sławy tego miasta; przedewszystkiem zastanowił go arsenał, gdzie budowano galery i niezliczoną liczbę okrętów. O mało, że Wenecya nie stała się dlań wyspą Kalipsy, tak w niéj był rad pozostać na całe życie, i z reszty Włoch skwitować. Ale Wojewoda po całomiesięcznym pobycie pociągnął go w dalszą podróż. Morze nastręczało im mnóstwo nowych wrażeń. Nająwszy nie wielką tartanę, puścili się do Ankony; mimo, że burza zaskoczyła ich w przeprawie, szczęśliwie zawinęli do portu. Pan Józef cierpiał niesłychanie chorobę morską, i czytając Odysseę, ustawnie się dziwił, dla czego bohatyrowie Homerowi wolni są od téj nieprzyjemnéj słabości. Z Ankony puścili się jako pielgrzymi do Loretu. Tam oglądano kościół, nie mogąc widzieć ani ścian, ani dachu, tak bowiem były zakryte szczudłami, łańcuchami, włosami, różnemi częściami ciała wylepionémi z wosku, niemniéj obrazkami, co wszystko świadczyło o nieprzeliczonych łaskach, jakie Bóg zlał na to miejsce cudowne, słynne domkiem N. Panny, w którym się odbyło anielskie zwiastowanie. Odprawiwszy tę pielgrzymkę pobożną, oczekiwał ich Rzym, Królowa świata chrześciańskiego. Przez pierwsze trzy dni nigdzie nie mógł pan Józef wychodzić, paliła go gorączka; ciągle prawił jak w natchnieniu; tak, że Wojewoda bojąc się by nieoszalał, przyzwał doktora i kazał mu krew puścić. Ochłodzony, i osłabiony, systematycznie zaczął zwiedzać kościoły, całować relikwie, dziwić się wielkim i spaniałym obrzędom; i podobnie jak z pazurów odgadujemy lwią siłę i drapieżność, tak odgadywał wielkość pogańskiego Rzymu z połamanych marmurów; z olbrzymich wodociągów, termów, łuków tryumfalnych, kolumn, posągów, z cyrków i amfiteatrów. Tyber płowy i święty, ciekący od wieków jedném korytem, świadek żywy tylu wypadków, mieszczący w swém łonie szczątki tylu świętych męczenników, nie mniejszą przejmował go cześcią i rozbudzał długie dumania. Góry Kwirynału, Watykan i inne, świadczące o potędze i wspaniałości ludu rzymskiego, napełniały go podziwem; a po via Appia, Flaminia, Julia stąpał z pychą, czując w głębi, że i on, syn wolnéj Rzeczypospolitéj, stojącéj na straży świata chrześciańskiego, starym Kwirytom w niczém ustąpić nie może. Napatrzywszy się wszystkich osobliwości, naczytawszy Wirgila, Horacego i Owida na miejscu, odprawił stacyę w siedmiu kościołach, wyspowiadał się, ucałował trzewik papiezki, i obciążony relikwiarzami i różańcami, puścił się do Neapolu, sam tylko, bo Wojewoda przeląkł się upałów i cofnął się do Florencyi, gdzie miał oczekiwać powrotu pana Józefa. Nasz podróżny tymczasem do podziwu, jaki mu sprawił Rzym, dodał podziw nad cudownem położeniem Neapolu, które to miasto uznał za najprzyjemniejsze w świecie. Z tamtąd objechał Sycylię; widział Palermo i Messinę, i oddał sprawiedliwość téj wyspie, przyznając jéj nazwisko śpichlerza całych Włoch. Nabujawszy się po morzach, doznawszy wiele przygód na lądzie, powrócił przez Rzym do Florencyi, która niemniéj go oczarowała schludnością ulic, spaniałością gmachów publicznych, świéżością wód i wykształceniem mieszkańców. W wspólném towarzystwie z Wojewodą ruszyli do Szwajcaryi, gdzie można sobie wyobrazić, w jakie zdumienie wprawiał ich widok alpejskich okolic i jezior. Nasyciwszy się widokami, ruszyli

brzegami Renu do Flandryi, gdzie kwitnąca pod ówczas Gandawa, Antwerpia i Bruga nastręczały im tysiąc ciekawości tak pod względem sztuk, jak rękodzieł i fabryk. Mieli jeszcze zamiar dostać się do Paryża; lecz w Paryżu wrzała wtedy wojna domowa, i obaj uradzili, aby palców nie kłaść między szpary i nie jechać w sam ogień. Jakoż wrócili przez kraje cesarstwa Niemieckiego do ojczystego Krakowa. Pana Józefa z otwartémi rękami przyjęli szkolni przyjaciele i znajomi; czuł się niejako zobowiązanym na ten dowód pamięci serca, więc podziękowawszy wspaniałemu Panu za wieloliczne względy, znowu wrócił do przerwanych nauk w akademii, i w parę lat pozyskał wszystkie stopnie.

Zdarzyło się, iż onego czasu, gdy pan Józef dobijał się doktoratu z prawa i filozofii, niejaka wdówka, bogata i lubiąca żyć hucznie a wystawnie, z wielkim trzaskiem zjechała na mieszkanie do Krakowa. Ledwo wieść o jéj przybyciu gruchnęła po mieście, zaraz cały rój gładyszów, zalotników i pochlebnisiów rozsypał się w koło nadobnéj pani, brzęcząc i krążąc by pszczoły nad różanym krzakiem. Doniosło się i do pana Józefa o szczególnych zalotach onéj pani, o któréj powiadano, że długo bawiła na Włoszech; spragniony więc miłéj pogadanki o uroczych utworach sztuki, pociągniony sławą jéj dowcipu, pospieszył złożyć swoje uszanowanie wraz z drugimi uwielbicielami. Nie inny był skutek onych nawiedzin, jak że nadobna wdówka szalenie się zajęła naszym doktorem, który, nie wiedząc nawet jaki wyłom zrobił w jéj sercu, nie życzył sobie bywać u niéj, chybaby go gwałtem pociągnięto. Słowem, po różnych intrygach i ceregielach, piękna pani odkryła mu bez ogródki swój afekt, ofiarując mu rękę i majątek. Pan Józef zatopiony bardziéj w księgach, niż goniący za względami płci pięknéj, wręcz odmówił. Taki postępek dał nadobnéj wdówce do myślenia; jakoż wnosząc, że zwyczajna broń zalotności nie zdoła zwyciężyć zimnego stoicyzmu pana Józefa, postanowiła wziąć się do sposobów skuteczniejszych. Poradziwszy się jakiéjś cyganki, znającéj się na czarach, zadała mu napój miłośny, pewna będąc, że są zioła i uroki, mogące złamać silną wolę mężczyzny. Z tego się pokazuje, że owe kobiety, które zadają takie napoje, trują tylko, jak tego dowód okazał się i na panu Józefie. Zażywszy bowiem on napój, zaraz zaczął gwałtownie robić rękami i nogami, jakby w konwulsyach. Tarzając się po ziemi, odszedł na kilka godzin od zmysłów, aż dopiero za staraniem lekarza przyszedłszy do siebie wyznał, że został otruty przez onę wdowę. Urząd dowiedziawszy się o tém, wysłał pachołków, aby ująć zbrodniarkę, lecz ta zwietrzywszy co się święci, wyniosła się z miasta cichaczem i nigdy już nogą nie postała w Krakowie.

Sześć miesięcy przeleżał pan Józef w łóżku, wysechłszy i wymizerniawszy w ciągu choroby, żebyś w nim wszystkie kości policzył. Umysł jego równie szwankował; a chociaż staraniem lekarzy postawiono go znowu na nogi, jednakże władze umysłowe zostały dziwnie skrzywione. Jakoż kiedy po pierwszy raz pokazał się między ludźmi, wszyscy krzyknęli, że waryat, a waryat osobliwszego rodzaju. Waryacya ta była z tąd osobliwą, iż sobie wyobrażał, że jest szklannym człowiekiem, i gdy się kto za nadto zbliżał doń, krzyczał przeraźliwie, zaklinając w sposób najczulszy i pełen głębokiego przekonania, aby go nie dotykano, gdyż będąc szklannym od stóp do głów łatwo podpada stłuczeniu.

Wiele osób chcąc go z téj manii uleczyć, niezważało na jego prośby i krzyki, porywało go w objęcia, dowodząc, że nie jest ze szkła i nie podpada stłuczeniu. Lecz to nieludzkie postępowanie sprowadzało najokropniejsze skutki; bo nieszczęśliwy padał jak długi na ziemię, jęcząc przeraźliwie i tracąc zmysły na kilka godzin. Z tego powodu zawsze z góry zaklinał wszystkich, aby doń mówili z daleka, pozwalając zadawać sobie pytania we wszelkich przedmiotach, i zaręczając, że na każdą rzecz odpowié daleko bystrzéj i głębiéj, niż dawniéj; ponieważ, jak twierdził, szkło jest delikatną materyą, przejrzystą i lekką, a zatém dusza może się objawiać przez nią wyraźniéj i dzielniéj, niż przez powłokę ciała grubą i ziemską. Niektórzy chcieli spróbować azali prawdę mówił, i zadali mu wiele pytań bardzo trudnych i metafizycznych; na wszystkie jednakże odpowiedział wręcz tak rozumnie, tak bystrze i przenikliwie, że wzbudził podziw w najuczeńszych doktorach akademii, którzy nie mogli pojąć, jakim sposobem człowiek dotknięty tak wyraźną waryacyą, zdobył się na tyle rozumu, rozwiązując każde zagadnienie.

Od téj chwili odmienił całkiem tryb życia. Ubierał się latem i zimą w szeroki kożuch; żadnego obówia nie kładł na nogi; a pożywienie przyjmował w koszyku, który mu po-

dawano na długim kiju. Ani mięsa, ani ryby nigdy nie jadał; pił zaś czystą wodę, którą czerpał w źródłach własną dłonią. Idąc przez ulicę zwykle trzymał się środka drogi, laseczką zastawiając się przechodzącym, a ciągle spoglądając w górę na dachy, w obawie, czy nań dachówka lub cegła nie spadnie. Czasu lata sypiał prawie zawsze w gołém polu; na zimę szukał przytuliska w jakim ustronnym domu, gdzie zagrzebawszy się w siano, zwykł mawiać, że to najwygodniejsze łoże dla szklannego człowieka. Kiedy grzmiało drżał jak liść i uciekał w pole, nie wracając do miasta, póki burza nie przeszła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Text do *Nru. 161.*

1. Ach ona widzę nieubłagana
I okiem rzucić nie raczy! —
Ta sroga na jéj twarzy odmiana,
Wyrok mi daje rozpaczy.
2. Poniosę z sobą czułe cierpienia
Między te lipy milczące,
Gdzie nie usłyszy mego westchnienia,
Ni się jéj oczom natrącę.
3. Na ulgę ranie, na żal najtkliwszy
Jeśli nie znajdę sposobu,
Czułe do szczętu serce zniszczywszy,
Poniosę żal mój do grobu.
4. Okrutna! może raz wspomnisz sobie,
I nad mą rzeczesz mogiłą:
„Oto kochanek leży w tym grobie,
Któremum była tak miłą.“
5. Ale przywalon twardym kamieniem,
Smutne zawarłszy powieki,
Niewczesną litość zbędę milczeniem,
Zimny i głuchy na wieki.

(*Wacł. z Oleska*, P. l. G. str. 265.)

№161. P. SZLACHECKA. z Lwowa

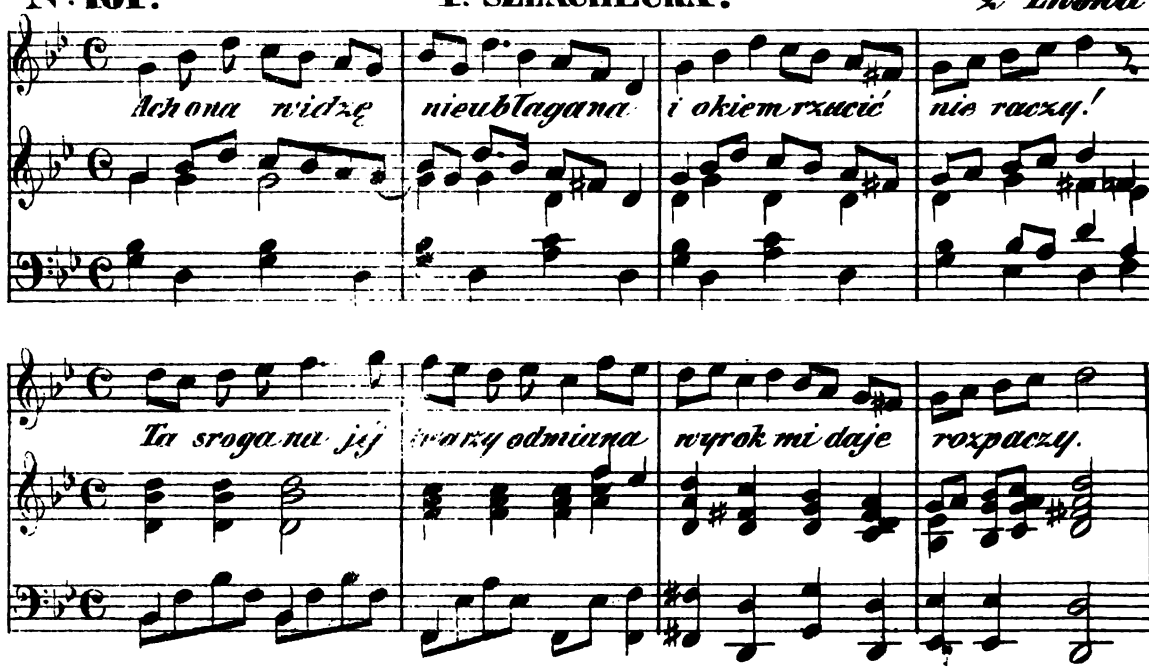

Zeszyt dziewiąty Roku I. pisma miesięcznego: *Kościół i Szkoła*, zawiera następujące artykuły:

I. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania:

§. 1. Czy czytanie i objaśnienie ewanielij niedzielnych i świątecznych jest w szkole potrzebném i jak je prowadzić?
§. 2. Uwagi nad szkołami komunalnemi.
§. 3. O ćwiczeniach myśli i mowy (dokończenie).
§. 4. Jakie nauki nauczyciel pielęgnować powinien (dalszy ciąg).

II. Ważniejsze zdarzenia lub ustawy tyczące się szkół:

1. Odejścia, podwyższenia i przesiedlenia nauczycieli w 2gim kwartale roku 1846.
2. Posady stanowcze obsadzone w 2gim kwartale roku 1846.
1. Odejścia, podwyższenia i przesiedlenia nauczycieli katolickich w 3cim kwartale roku 1846.
2. Stanowcze potwierdzenie nauczycieli.

III. Kronika literacka. — IV. Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 37. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 12. Września 1846.

Doniesienie o śmierci Dra Karóla Marcinkowskiego. — Uwagi nad Towarzystwem Naukowéj Pomocy W. x. Poznańskiego. — Szklanny człowiek (dalszy ciąg). — Pani Dziubińska.

W tych dniach (*) umarł Dr. *Karól Marcinkowski*, mąż niespracowany, który swe życie w najściślejszém znaczeniu dla dobra ogółu poświęcał. Nie wiek bowiem, ani słabowitość, lecz nadzwyczajne natężanie sił przecięło zbyt prędko pasmo dni Jego. Żyjąc wyłącznie dla drugich, nie znał wcale rozkoszy światowych, chociaż Mu się tysiączne sposobności podawały. Gardził bogactwy i wygodami, choć z łatwością mógł zbierać tysiące; gardził zabawami, choć go każda familia pragnęła i na rękach by Go niosła, gdyby się pokazał; gardził wreście zaszczytami, choć je łatwo mógł pozyskać, byleby się o nie starał. Słowem, był to mąż rzadki. Nie znając wcale ponęt świata materyalnego, żył samą ślachetnością. Z sercem, które tylko poświęcenia pragnęło, i rozumem, który jasno potrzeby kraju pojmował, łączył żelazną wolę. Dla tego cokolwiek w duszy Jego powstało, zostało urzeczywistnione, a jeżeli okoliczności były po temu, iż ich nie mógł zwalczyć, w ten czas jeszcze większa boleść panowała w Jego duszy, niżeli radość, gdy dopiął swego celu. Nie z próżności to jednak pochodziło, lecz z ślachetnego zapału a razem gniewu, że czyn dobry owoców wydać nie może. Śmierć takiego męża jest stratą niepowetowaną. Kto ma serce prawe i ślachetne, kto kocha swój kraj, ten uczuje tę wielką klęskę; lecz nie łzami oddajmy Mu ostatnią cześć; mąż czynu wymaga i od nas czynu. Dość długo zapatrywaliśmy się na Jego życie pełne poświęcenia; pokażmy teraz, że Jego pracá nie była bezowocną, że duch Jego i nas owiał. Niechaj nas połączy jedność, niechaj każdy z nas poświęca się wedle sił dla drugich, a duch Marcinkowskiego wiecznie nam towarzyszyć będzie.

(*) Dr. Karól Marcinkowski umarł dnia 7go Listopada r. b. o godzinie 10téj z wieczora w Dąbrówce. Późniéj umieścimy w naszém piśmie całkowity obraz życia Marcinkowskiego.

Uwagi nad Towarzystwem Naukowéj Pomocy W. x. Poznańskiego.

Żyjemy w czasach, w których dla dobra powszechnego poświęcać się powinniśmy. Tę potrzebę widzi każdy tak jasno i tak ją uznaje, iż nie masz prawie człowieka jakokolwiek oświeconego, któryby nie prawił o poświęceniu. Lecz jeżeli inne narody mają liczne powody do niego, jeżeli zmiana stósunków socyalnych bez niego obyć się nie może, u nas szczególniéj znajdziemy tyle bodźców do poświęcenia, iż chcąc pełnić obowiązki życia socyalnego, któreby sprawę całego narodu popierało, nie za potrzebę, lecz za świętą uważać musimy powinność, abyśmy w całym biegu naszego życia ofiary dla dobra drugich składali. Mieszkańcy W. x. Poznańskiego dowiedli założeniem wielu towarzystw, które do polepszenia bytu i stanu uboższych klass dążą, iż pojęli potrzebę czasu. Towarzystwo Naukowéj Pomocy góruje nad wszystkiemi, o niém więc szczególniéj pomówić wypada. Nim jednak do uwag moich przystąpię, nie będzie zapewne od rzeczy, przytoczyć wstęp sprawozdania dyrekcyi Towarzystwa Naukowéj Pomocy z piątego roku istnienia za czas od Śgo Jana 1845 roku do Śgo Jana 1846 roku, zwłaszcza, że się ztąd przekonamy o stanie i duchu tego towarzystwa. Oto są słowa dyrekcyi:

„Pięć lat już minęło, Szanowni Członkowie, od czasu zawiązania się Towarzystwa Pomocy Naukowéj. Wypełniliśmy niemal wszyscy sumiennie pierwsze zobowiązanie się nasze, przykładając się bądź to datkiem, bądź to czynnością, do kształcenia ubogiéj młodzieży, którąby kiedyś potrzebom krajowym swą nauką i zdatnością w pomoc przyjść mogła. Wszakże usiłowania nasze nie były nadaremne, zasiew bujny obiecuje, przy dalszém staraniu, obfite żniwo. Udało nam się w uboższéj klassie ludu obudzić chęć do nauk i przekonanie o konieczności wyższego wykształcenia; znaczna jest liczba zgłaszających się o wsparcie, których dla szczupłości funduszów naszych uwzględnić już nie możemy. Po Uniwersytetach, po zakładach naukowych i przemysłowych zagranicznych, we wszystkich prawie Gymnazyach i Seminaryach nauczycielskich Xięstwa naszego, sposobi się wsparta naszémi zasoby i pod opieką naszą, liczna młodzież, rokująca na przyszłość jak najpiękniejsze nadzieje. Wydobyliśmy ją z zapomnienia, skierowaliśmy na drogę oświaty, a nie jeden zapewne z wychowańców naszych wynagrodzi krajowi sowicie dług, który teraz zaciąga. — Lecz wytrwać nam trzeba w przedsięwzięciu, jeśli zbierać chcemy owoce, jeśli z usiłowań naszych błogi ma skutek wyniknąć i kraj z tak dobroczynnego zakładu korzystać. Zobowiązaliśmy się wprawdzie na pięć lat tylko do téj pracy około publicznego dobra, lecz pięć lat, jest zakres zbyt mały w tak rozległym zawodzie; ledwośmy nasienie rzucili, — należy teraz młodą latorośl pielęgnować i podsycać, aby drzewem wyrosła. — Młodzież nasza jest po części na początku wytkniętego toru, nie wielu jeszcze doszło środka, a mało kto w tak krótkim czasie zdążył do kresu. Czyż podobno, abyśmy jéj naraz usunęli opiekuńczą rękę, abyśmy ją teraz puścili na los niepewny, wyrwawszy ją z dawniejszych stósunków, wprowadziwszy ją w świat dla niéj obcy, — w chwili właśnie, kiedy najwięcéj potrzebuje opieki? Wiemy, Szanowni Członkowie, znając szlachetne Wasze uczucia, iż żaden z Was nie zechce zawieśdź nadziei i zaufania, które w nas uboga młodzież pokłada, iż żaden z Was nie opuści tych, których losem się zajął, i że każdy będzie uważał za świętą powinność, nie ustawać na pół drogi i do samego ostatka wypełniać to, co jest z pożytkiem i korzyścią dla kraju. — Oświata w naszych czasach, więcéj niż kiedykolwiek, jest zasadą i niezbędnym warunkiem istnienia narodów, — każdy z nas wie to i czuje, nie znajdzie się więc z pewnością żaden między Wami, Szanowni Członkowie, któryby się wzdrygał choć małą ofiarą być nadal jeszcze uczestnikiem wielkiego dzieła rozszerzania oświaty między ludem naszym. Po dwakroć odezwaliśmy się już, wyłuszczając konieczność powtórnego pięcioletniego zobowiązania się składkujących, i przekonani jesteśmy, że wzywania i prośby nasze nie będą głosem wołającego na puszczy, albowiem, skoro chodzi o sprawę publiczną, o korzyść krajową, obywatele skąpić poświęcenia nie będą i nie mogą. — Rozpoczęte dzieło nie skona w zawiązku, Towarzystwo nie upadnie z winy naszéj, a potomkowie nie będą nas obwiniać o oziębłość, egoizm i opieszałość w wypełnianiu najświętszych obowiązków! Wzywamy przeto raz jeszcze, Sza-

mowni Członkowie, tych z pomiędzy Was, którzy dotychczas sumiennie uiszczali się z obowiązków swoich, aby i na przyszłe lat pięć wytrwali; tych zaś, którzy zalegli w opłacie, aby pomni na świętość danego przyrzeczenia i publiczny interes, uiszczali się w składaniu wdowiego grosza.“

Daléj przytaczam z tegoż sprawozdania listę stypendyatów, którzy w roku 18$\frac{4}{5}$ wsparcie pobierali.

Nro. kolejny.	Wyszczególnienie Instytutu.	Na końcu roku 184$\frac{4}{5}$ pozostało Stypendyatów.	W ciągu roku 18$\frac{5}{6}$ przybyło	ubyło	pozostało w końcu roku
1	Na Uniwersytecie w Berlinie	5	5	7	3
2	Na Uniwersytecie w Wrocławiu	14	7	4	17
3	Na Uniwersytecie w Królewcu	—	2	—	2
4	W Gymnazium Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu	64	24	33	55
5	W Gymnazium Fryderyk. w Poznaniu	1	—	1	—
6	W Gymnazium w Lesznie	11	3	4	10
7	W Gymnazium w Trzemesznie	22	3	12	13
8	W Gymnazium w Bydgoszczy	1	2	1	2
9	W Gymnazium w Ostrowie	1	19	1	19
10	W Gymnazium w Chełmnie	6	1	4	3
11	W Seminarium Nauczycielskiém w Poznaniu	54	28	22	60
12	W Seminarium Nauczycielskiém w Paradyżu	19	8	7	20
13	W Seminarium Nauczycielskiém w Trzemesznie	11	3	6	8
14	W szkołach przygotowawczych	37	1	25	13
15	Do wyższego przemysłu sposobiących się . .	6	4	5	5
16	Rzemiósł uczących się	20	2	10	12
	Razem	272	112	142	242

Z tego wszystkiego się przekonywamy, że zakres działania Towarzystwa N. P. jest bardzo obszerny, że wpływ jego może wywołać skutki, które się obrachować nie dadzą. Lecz abyśmy sprawę tego stowarzyszenia lepiéj pojęli, trzeba nam się zastanowić nad jego celem. Wedle statutów ma pobierać wsparcie każdy, który posiada zdolności, jest pilnym i moralnym, a przytém ubogim. Jasno więc widzimy, że Towarzystwo nie wyklucza żadnego stanu, a nawet wyznania; daléj, że nie jest towarzystwem miłosiernem, które nędzy zapobiedz pragnie; słowem, że zajęło stanowisko wyższe, dążące do wzniesienia oświaty.

Zaprzeczyć nie możemy, że liczba gruntownie wykształconych jest u nas nader szczupłą. Czy to w zawodzie naukowym, czy przemysłowym, widać brak ludzi zdatnych. Skąd to pochodzi? Przyczyna jasna. Jak wszędzie, tak i u nas klassa bogatsza do nauk mniéj się przykłada. Zaślepiona majątkiem, nie widzi potrzeby, aby się mozoliła. Nauki jak przemysł łączą się z wielu trudami i przykrościami; trzeba pilnie pracować, trzeba w tém wytrwać, trzeba wreście zrzec się wielu przyjemności światowych. Na cóż się panicz ma wystawiać na takie przykrości, kiedy mu się uśmiecha życie wygodne, wesołe, rozkoszne, kiedy zamiast po cierniach, po różach chodzić może? Dla tego téż rodzice téj klassy równie jak ich dzieci starają się jedynie o takie wykształcenie, aby odpowiadało blaskowi ich pożycia domowego; nie gruntowne, lecz różnorodne nauki, aby niemi w salonach błyszczeć i na wiatr rozprawiać można, są upragnionym celem naszych panów. Porównać więc ich możemy z ludźmi, którzy wprawdzie nie grzeszą, lecz téż nic dobrego nie czynią, a jak tych moralnymi, tak owych oświeconymi nie nazwiemy, bo prawdziwa oświata musi wydawać owoce, musi nadewszystko być bodźcem do poświęceń, aby nasze życie nie spełzło na samych zabawach i wygodach dla naszego ciała, lecz było razem naznaczone czynami dla dobra ogółu. Z téj więc klassy nie może się świat spodziewać wielkiéj pociechy; jest to rzadki wyjątek, jeżeli się wśród niéj ukaże człowiek gruntownie wykształcony, mający oraz niezłomną chęć pracować dla szczęścia drugich.

Zkąd więc wziąć ludzi zdatnych? Z tych samych klass, z których w innych krajach biorą, t. j. uboższych, a przedewszystkiem z stanu miejskiego i kmiecego. Na nieszczęście znajdują się u nas równie mieszczanie jak chłopki w takiéj nędzy i takiém poniżeniu, że z tych nikt, a z owych bardzo mało jest w stanie dać dzieciom wyższe wykształcenie. Pozostaje tylko zubożała ślachta, lecz codzienne doświadczenie nas uczy, że dotąd, pomimo tylu klęsk, które na ojczyznę naszą się zwaliły, nie doszła do tego uznania, że zatrudnienia miejskie

jéj nie shańbią, że jéj klejnot ślachecki nie będzie splamiony, chociaż osiądą pomiędzy mieszczanami i z nimi się pobratają. Ich pycha tak się zakorzeniła, że zdaje się, jakoby téj głupoty żaden czas wytępić nie był w stanie.

W takim stanie rzeczy nic innego uczynić nie wypadało, jak stowarzyszyć się, aby obmyśleć środki, jakby klassom uboższym można przyjść w pomoc, aby indiwidua uzdatnione wydobyto i stósownie wykształcono. Tę myśl pojęli Wielkopolanie i z zapałem wykonali. Lecz na nieszczęście stygnie u nas zapał zbyt prędko. Już w pierwszych latach zawiązania dały się słyszeć liczne nagany, było wiele niezadowolonych, a nawet takich, którzy żałowali, że do niego przystąpili. Dziś jeszcze gorzéj. Niestety! mamy ludzi, którzy nie tylko Towarzystwo potępiają, ale nawet śmią mu przypisywać dążność złą, ku zgubie stósunków towarzyskich zmierzającą. Być może, że zarząd Towarzystwa popełnił błędy, które spełnienie celu opóźniły; lecz w takim razie trzeba wystąpić jawnie i wykryć wszystko, aby można złe naprawić. Takie postępowanie jest ślachetne i na wdzięczność narodu zasłuży; lecz pokątne szemranie jest hańbą, jest zdradą najświętszéj sprawy. To ohydne zdanie mogło tylko powstać z samolubstwa, z obawy, aby nie odkryto słabych stron, aby nie przestano czołem bić przed blaskiem, który dotąd ubogie klassy odurzał. Kto rozumie, że towarzystwo zmierzające do podniesienia oświaty pomiędzy ludem zgubne może wydać owoce; nie wart, aby się mieścił pomiędzy oświeconymi. Lecz zapewne mało takich samolubów. Mieszkańcy W. x. Poznańskiego pojmują ślachetny cel Towarzystwa N. P. i dla tego dołożą wszelkich sił, aby ono nie tylko nie upadło, ale raczéj coraz bardziéj kwitło. Niechaj każdy choć z małym datkiem do niego przystąpi, a gdy wspólnémi siły działać będziemy, zrównamy się w oświacie reszcie Europy. W ten czas powstanie współubieganie pomiędzy naszymi obywatelami, a różnice stanów, które nas dotąd gubiły, znikną, a ślachcic, mieszczanin, kmieć będą jeden lud, jeden naród.

Szklanny człowiek.

(Ciąg dalszy.)

Jakiś czas przyjaciele trzymali go pod kluczem; lecz przekonawszy się, że szaleństwo nie miało końca, postanowili dogodzić jego fantazyi i puścić na wolność. W rzeczy saméj, biedny szaleniec ujrzawszy się bez dozoru i na wolnéj stopie, zaczął wałęsać się po mieście obudzając litość w tych, co go dawniéj znali przy zdrowych zmysłach. Skoro się pokazał, zgraja pauprów i żaków, zwabiona dziwactwem jego ubioru i wyrażeń, chmarami latała za nim. On ich jak mógł odpędzał swoją laseczką, i uprzejmie prosił by doń z daleka mówili, ostrzegając, że za lada dotknięciem stłuc się może. Ulicznicy, plemie najnielitościwsze i najpsotniejsze, tém bardziéj na złość zaczęli dokuczać, rzucając nań drzazgami a nawet kamykami; co sprawiało, iż nieszczęśliwy krzyczał w niebogłosy, wzywając litości u starszych i poważnych osób, które zwykle pobudzone litością nad jego stanem, ujmowały się za nim, i rozpędzały złośliwą rzeszę.

Lecz biedny szaleniec znalazł inny sposób uwolnienia się raz na zawsze od psotnych dzieci. Od chwili jak przyszedł był do zdrowia a stracił rozum, wróciły mu wszystkie nawyknienia lat dziecięcych; równo z drugiemi dziećmi grywał w zająca, przesypywał piasek, stawiał młynki na strugach i przez to jednał sobie ich przyjaźń. W rozmowie zaś jego nie mniejsza zaszła odmiana; nie wdawał się w żadne rozumowania i długie wywody, ale zwyczajem ludu odpowiadał na wszystko przysłowiem, których miał zapas niewyczerpany; prawie jak ziarna różańca sypały się z ust jego jedne po drugich. Nowy ten rodzaj dziwactwa zwrócił nań uwagę powszechną. Ulicznicy przestali go zaczepiać, woląc wyciągać go na rozmowę, niż kamykami nań ciskać, a wiele poważniejszych ludzi szło za nim z ciekawości słyszenia osobliwych rzeczy, które prawił. Kilku z professorów, jak powiadają, nie miało sobie za ubliżenie, zbierać zdania jego, i pisać rozprawy o filozofii ludu. Kto wié, ażali zbiór przysłów starych Rysińskiego nie powstał tym sposobem.

Pewnego dnia ktoś go zagabał tém pytaniem: Mości doktorze, dla czego zawsze mówicie przysłowiami, a nie jak drudzy? — Przysłowia — odparł szaleniec — są to krótkie maxymy, zebrane z długiego doświadczenia. Od czasu Króla Salomona były i będą zawsze mądrością narodów. Jako istota odmiennéj natu-

ry, niż zwykli ludzie, nie mogę mówić zwykłym językiem. Z resztą kto odpowiada, ten nie mówi; odpowiadam krótko a węzłowato; dobréj głowie dość pół słowie. — Zgadzam się mości doktorze — mówił daléj pytający — wszelako chciéjcie mi powiedzieć, na czém szczęście zawisło? — Na czém je zawiesisz. — Co trzeba robić, aby dostąpić mądrości? zagadł student. — Pamiętaj, odparł zapytany — że trzy wiele a trzy mało o zgubę nas przyprawiają: wiele mówić a mało wiedzieć, wiele wydawać a mało mieć, wiele o sobie rozumieć, a mało wartać. — A teraz powiedzcie mi, pytał kupiec wychodzący z kramu, co robić, aby być bogatym? — Nic łatwiejszego, odrzekł pan Józef — nie ten ubogi, kto mało ma, ale ten kto wiele pragnie. Z resztą wiele jest sposobów zbogacenia się: Spadnieli na ciebie dziedzictwo, podziel się po bratersku, moje dla mnie, a twoje dla mnie i dla ciebie; maszli urząd publiczny, pilnuj przysłowia: „Kto smaruje ten jedzie.“ W handlu zaś zbieraj jak kura ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. To najpewniejsza recepta, bo kto chce być za rok bogatym, w pół roku może pojść na szubienicę.

Innego razu przybiegł doń zapłakany wyrostek i pytał o radę: Panie doktorze, ojciec mię bije za lada co, nie wytrzymam dłużéj i ucieknę z domu. — Broń cię Boże, mój chłopcze; nikogo nie znieważa ręka ojcowska, ale katowska. Klacz kopnie źrebię i nic mu. Chciałżebyś zostać włóczęgą? Pamiętaj: Od rzemyka do nożyka, a od nożyka na haczyk. — I kiedy mu dawał tę przestrogę, nadbiegł ojciec szukający syna: Mospanie, — wołał nań pan Józef — pamiętaj Waść ilekroć na dziecko rękę podnosisz: że pod kijem dobry staje się złym, a zły gorszym.

Ledwie ojciec oddalił się z synalem, zbliżył się jakiś człowiek w podeszłych latach i zapytał z niejaką tajemniczością: Jaką radę i pociechę mam dać jednemu z moich przyjaciół, którego żona z drugim uciekła? — Powiedz mu — odrzekł pan Józef, — niech zmówi pacierz i podziękuje Bogu, że w miłosierdziu swém ulitował się nad nim i uwolnił dom jego od takiego nieprzyjaciela. — A więc nie powinien ją odbierać? — Niech go Bóg broni; jeżeli odbierze, będzie miał na całe życie niepozbytego świadka swojéj hańby. — Mości doktorze, — mówił znowu przyjaciel skrzywdzonego męża, kiedy o téj materyi mówimy, powiedz, czy mi się żenić wypada? — Tobie! odparł zapytany, — tobie siwy gołąbku? Pamiętaj, że starzec zakochany, to kwiatek zimowy. Prawda, że to w starym piecu często diabeł pali; a jeśli trudno stare słomsko zapalić, jeszcze trudniéj ugasić. — Żarty na bok, mości doktorze; ale ta, którą chcę pojąć, jest osobą równego prawie ze mną wieku. — W takim razie — odrzekł pan Józef — jeżeli lubi się mizdrzyć i pragnie się podobać, powiedzą o niéj: kiedy baba puści się w tany, więcéj robi kurzawy niż młoda; jeżeli zaś nie swojemi tylko cudzemi będzie się zajmować miłostkami, powiedzą: gdzie czart nie może, tam babę poszle.

Przysłuchująca się téj rozmowie zamężna białogłowa zagadła: cóż trzeba, aby utrzymać małżonka w statecznym afekcie? — Mało mówić; albowiem dym i świegotliwa niewiasta wypędzają męża z domu; a jak drzwi, które nie skrzypią, tak i niewiasta, która milczy, najprzyjemniejsza; dużo pracować; próżnująca niewiasta zawsze w złéj koszuli chodzi; zawsze być słodką; dmuchając z węgla dobywamy płomień, a gniew z przykrego słówka; nakoniec strzedz się złéj okazyi; strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dobra nauka dla małżonki, wtrącił któryś z słuchaczy, teraz prosimy dla męża. Co powinien robić, aby dobrze żyć w tym stanie? — Niech pozwoli żonie wszystkim rozkazywać w domu; a zabroni rozkazywać sobie; złe bowiem gospodarstwo, gdzie kądziel przewodzi nad mieczem. Jeżeli zaś chce zasiągnąć jéj rady, niech pamięta na to słowo: Trzymaj się zawsze piérwszego zdania swojéj żony, a nigdy drugiego. Jeżeli ma tajemnicę sobie powierzoną, nie powinien zapominać téj maxymy: Maszli złą żonę, nie dowierzaj jéj, maszli dobrą, nie powierzaj nic. Powiadają: Na pochyłe drzewo i kozy skaczą, lecz kiedy garnek wre i mucha boi się przybliżyć. Z resztą nie broń białogłowie uczciwéj rozrywki; w czasie nudów, diabeł podsuwa złe rady.

Odgłos o osobliwszém szaleństwie naszego doktora, o jego dowcipie i bystrości, które zachowywał nawet przy stracie rozumu, a nadewszystko trafne odpowiedzi przez przysłowia sprowadzające, natłok ludzi wszelkiego stanu, rozszedł się szeroko, a nawet i do dworu, tak

dalece, że jeden z pierwszych panów zapragnął go mieć przy sobie, i w tym celu posłał swego dworzanina, aby go przemówił. Dworzanin spotkał naszego doktora na ulicy i rzekł doń: Panie doktorze, mój pan, kanclerz koronny, pragnie cię mieć u siebie. — Wybacz mi waszmość — odparł doktór, ale nie mogę; zawsze słyszałem: Na wielkim panu i na staréj poręczy nie spieraj się. — Ależ mój pan jest z rodzaju tych ludzi, którym zaufać można. — Może to być; z tém wszystkiem łaska pańska na pstrym koniu jeździ; a kto wlizie między wrony, musi krakać jako ony. Z resztą jakkolwiek chudy ze mnie pachołek, Pan Bóg mię na mojém miejscu postawił; a i kura śmielsza na swoich śmieciach. Jakżeżbym śmiesznie wyglądał przy tak wielkim panu? Za wysokie progi na moje nogi; Król sobie Królem w Warszawie, a ja w Nieświeżu.

Po długich ceregielach udało się nakoniec dworzaninowi przemówić doktora. Kanclerz mieszkał o kilka mil na zamku swoim. Podróż ze szklannym człowiekiem nie mało nastręczała trudności. Wynaleziono jednakże dowcipny sposób; oto urządzono lektykę, w którą nakładłszy siana i powstawiawszy butelki i szklanne naczynia, wsadzono w nią doktora, i tak skłoniono do podróży w towarzystwie przedmiotów, równie jak on podpadających stłuczeniu. Kiedy przybyli na dziedziniec zamkowy, wyszedł kanclerz i powitał gościa: Jakżeż droga służyła mości doktorze? — Każda droga dobra, kiedy się skończy, — odparł pan Józef — prócz drogi wiodącéj na szubienicę. — Tutaj będziesz mógł sobie żyć spokojnie — wtrącił kanclerz — będę się starał, by ci i ptasiego mléka nie brakło. — Radość z mego przybycia — odrzekł gość — zapewne nie długo potrwa; albowiem we trzy dni gość i ryba cuchną.

Owoż szklannego człowieka przyjął kanclerz bardzo uczciwie, dając mu wszelkie wygody w pałacu i najobszerniejszą wolność, która jest najdroższym klejnotem gościnności. Jak w stolicy, tak i tutaj chodził sobie swobodnie, wstawał, jadł, spał, kiedy mu się podobało, i zawsze widział koło siebie liczne towarzystwo, albowiem, zwyczajnie jak na dwór kanclerski, zjeżdżało się mnóstwo osób mających rozliczne sprawy, i szukających protekcyi do różnych dygnitarstw i urzędów. W téj liczbie cisnących się do dworu, postrzegł pewnego Wielkopolana z wygoloną czupryną, najeżonym wąsem, z niezmiernie szerokiemi cholewami, i zawiesistą karabelą u boku, na któréj się wspierał, a zadarłszy głowę do góry, zdawał się wszystkich rozumem i dostojnością przenosić. — Mości dobrodzieju! — zagabał go doktór — waszmość zapewne z daleka przybywasz; może panny poważnéj szukasz? W takim razie, kto daleko jeździ za żeniaczką, albo chce oszukać, albo być oszukanym. — Mylisz się mój doktorze — odparł szlachcic — przybywam starać się o urząd. — Na to możnaby odpowiedzieć: Kto wełny szuka, wraca częstokroć ostrzyżony. — Co tego, to się nie boję, mój mości bakalarzu! — przerwał zajędyczony szlachcic mierząc go pogardliwym wzrokiem, — spodziewam się, że pan kanclerz oceni moje zasługi i że mi przodek da przed tysiącem innych. — Dobre rozumienie o sobie, połowa szczęścia; — tylko to biada, że z pustéj stodoły nie wyleci chyba wróbel lub sowa. — Napuszony szlachcic już się porwał do korda, ale obecni zasłonili biednego szaleńca, przycinkami okrywając szlachcica, który, czapkę nasadziwszy na bakier, mruknął coś pod nosem i odszedł.

(Dokończenie nastąpi.)

Pani Dziubińska. (*)

(Nadesłano.)

Znana powszechnie u nas z niesłychanie wielkiego dowcipu Pani Dziubińska, pomnożyła świeżo literaturę polityczną dziełkiem bardzo ważném, godném umieszczenia obok nieśmiertelnych dzieł tego rodzaju Adama Gurowskiego. Dziełko to nosi tytuł: „*De la Russomanie dans le grand duché de Posen.*“ Dowcipna i nader uczona autorka przypisuje w niém wszelkie ślachetne usiłowania ślachty od r. 1791. chęci pognębienia chłopów. Mościa Pani Dziubińsko! czy przypominasz téż

(*) Uznając słuszność krytyki, która w dodatku do Gazety W. x. Poznańskiego w Nrze. 250. umieszczoną została, dogodzimy zapewne życzeniu czytelników Przyjaciela Ludu, gdy ten artykuł i w naszém piśmie wydrukujemy. Pisemko Eugeniusza Brezy: „*De la Russomanie dans le grand duché de Posen*“ musi nas oburzyć i dla tego warto przeczytać o niém sąd należyty.

Przyp. redakcyi.

sobie staropolskie przysłowie: Kto w piecu lega, ten ożogiem bliźniego w nim szuka? Cobyś sama robiła (sądząc z twojéj przewrotności), gdyby ci Opatrzność jaką wioskę na Wołyniu lub Podolu dała, to sądzisz, że wszyscy gotowi są czynić. U ciebie mała tylko liczba prawodawców konstytucyi 3. Maja była za ulżeniem losu chłopków. Jakimże się więc sposobem stało, powiedz, że w wiekopomnéj konstytucyi téj, którą nawet Burke podziwiał, opieka prawa rozciągnioną została na chłopów, gdy większość tego sejmu była przeciw ich emancypacyi? Czy twoja dobrze myśląca mniejszość (zapewne Ankwicze, Gurowscy i t. d.) tak silny wpływ na sejm wywierała, że i źle myślących ku swym widokom względem ludu wiejskiego pociągnęła? Daléj utrzymuje Pani Dziubińska, że konstytucya 3go Maja nie była dziełem odrodzenia Polski, ale tylko po prostu demonstracyą polityczną w celu pozyskania sympatyi Anglii i Francyi; ujarzmiająca chłopów Pani Dziubińska, kokietka z urodzenia, umizgająca się w téj chwili może do jakiego księcia, sądzi z siebie o całym narodzie. Niech zajrzy w dyaryusze sejmu wielkiego, niech przebieży wszystkie uchwały na nim zapadłe, a przekona się, że nie tylko sejm wielki, ale całe panowanie Stanisława Augusta zmierzało do odrodzenia narodu, do zrobienia go światłym, cnotliwym i potężnym. W czasie, gdy w całéj Europie przesądy średniowieczne panowały, gdy chłop wszędzie (nie tylko u nas) był niewolnikiem, w czasie, mówię, gdy w całéj Europie nie tylko chłopu, ale i mieszczaninowi droga zagrodzoną była do wyższych urzędów, gdy w wojaku cudzoziemskiém oficerem mógł być tylko *von*, czyli ślachcic, gdy w całych Niemczech były Ritter-akademien, wyłącznie dla dzieci ślacheckich ustanowione i t. d., u nas wychowaniem publiczném, otwartém dla wszystkich stanów, a zatem i dla chłopów, zajmował się i kierował rząd, i wszystkie stopnie w służbie publicznéj, cywilnéj i wojskowéj były dostępne dla nieślachty, a zatem i dla chłopków. Wielu też z ostatnich piastowało za Stanisława Augusta znaczne urzędy, między innymi Sikorski był sekretarzem wielkim koronnym. Ja sam znałem starca z tego stanu, niejakiego P. Jaworskiego, który był rejentem grodzkim. A Pani Dziubińska przypomni sobie może urzędnika z dawnych polskich czasów, Xiędza Staszyca, którego całe życie, acz pochodził z stanu wiejskiego, zmierzało do tego samego celu, co ślachta. On, człowiek cnotliwy, głęboko uczony, przyjaciel ludu i równości wszystkich w obliczu prawa, nie musiał tak złych zamiarów względem chłopów w ślachcie polskiéj dostrzegać, gdy jéj uczucia w odzyskaniu niepodległości ciągle podzielał. Ależ Pani Dziubińska mędrsza jest nad Staszyców. Ona wie nawet to, czego na świecie nigdy nie było. Wiecie też, Szanowni czytelnicy, czém Pani Dziubińska Targowicę mieni? Oto trzecią częścią sejmu wielkiego. Jeżeli nie wierzycie, przytoczę tu jéj własne słowa, pag. 6.: „Une troisième partie de l'assamblée, celle qui s'est confederée à Targowica.“ Daléj dowodzi pani Dziubińska, że Napoleon (którego, nie wiem dla czego, zaniechaném nawet od nieprzyjaciół tego wielkiego męża, nazwiskiem Bonaparte nazywa) dla otrzymania żeru dla armat (przenośnia godna takiego pisarza, jakim jest Pani Dziubińska) i furażu, zniósł w r. 1807. niewolę chłopów, która już od r. 1794. w Prusach południowych rzeczywiście nie istnęła. (?) Wiedzieli (podług Pani Dziubińskiéj) dobrze o tém dworacy polscy na dworze Napoleona, ale tam można było zyskać ślufy, dotacye i popularność i z resztą dogodniéj im było rządzić krajem zostającym w powstaniu, niż w dobrze już urządzonym, i dla tego też otoczyli chorągwie trzykolorowe z entuzyazmem, posuniętym aż do śmieszności. Jakże nikczemną trzeba mieć duszę, do jakiego stopnia być głupim, aby utrzymywać, że czcigodni mężowie, jakimi byli: Xiążę Józef Poniatowski, Małachowski, Potocki, Dąbrowski, Wybicki, Staszyc, Woronicz i tysiące innych, z całym narodem dla tego otoczyli chorągwie trzykolorowe z entuzyazmem, aby zyskać ślufy i dotacye! Pani Dziubińska pisała niegdyś pochwały żydów, zapewne przejęła się duchem ludu, u którego najwyższém dobrem cielec złoty. Ale coby jéj powiedzieli na to Niemcy, gdyby im się wyrwała z podobnie niegodziwém zdaniem: że Blücher, Scharnhorst, York, Bülow i t. d. otoczyli w roku 1813. dla tego chorągwie Alexandra, że od niego mogli się spodziewać orderów, dotacyi i t. p.? Czy Pani Dziubińska potwarzając tak bezecnie wielkich i cnotliwych mężów swego narodu, pomyślała o podobnym stósunku Niemiec w r. 1813.? — W dalszym

ciągu swego pisemka utrzymuje Pani Dziubińska, że cesarz Alexander uprzejmością swoją i orderami tak zawrócił głowy ślachcie Litewskiéj w r. 1812., iż gdy wojsko francuzkie do Wilna weszło, natworzono wielu pułkowników, adjutantów, muzykantów, ale nie było żołnierzy prostych. Pani Dziubińska była w r. 1812. roztrzepanym bębnem, nie dziw zatém, że nie sięga pamięcią po rok 1812., ale powinna się była od starszych od siebie dowiadywać o stanie rzeczy w tym roku, albo przynajmniéj czytać ówczesne pisma peryodyczne, które byłyby ją nauczyły, że w r. 1812. taki sam zapał pokazał się w Litwie, jaki był w r. 1806. w Wielkiéj Polsce; że wielkie mnóstwo młodzieży Litewskiéj wstąpiło do pułków Xięstwa warszawskiego, że uformowano kilka pułków kompletnych pieszych i jezdnych, a między innymi ów piękny pułk gwardyi Litewskiéj Napoleona pod dowództwem walecznego generała Konopki, którego niedobitki widziano nawet w Poznaniu, idące w r. 1813. do Francyi. — Po nieszczęśliwéj wyprawie Napoleona do Moskwy w r. 1812. — (zarzuca Pani Dziubińska swoim ziomkom) — Polacy nie robili żadnego usiłowania, aby się oprzeć inwazyi wojsk rossyjskich, posłali liczne deputacye do Alexandra, aby Polskę przyjął w swą opiekę i wszyscy ministrowie, wyjąwszy Stanisława Brezy, poddali się Alexandrowi wpierw, nim ich król Saski od przysięgi uwolnił, czyli wyraźniéj mówiąc, byli krzywoprzysiężcami. Ile wyrazów w tym okresie dziełka Pani Dziubińskiéj, tyle kłamstw, potwarzy, niedorzeczności. Księstwo warszawskie złożone w r. 1812. z 4ch milionów ludności, wyprowadziło na linią bojową 90,000 wojska, przez pięć lat bytu swego odbyło krwawą walkę z Austryą, zasilało co rok kilku tysiącami ludzi i broni półki polskie w Hiszpanii. Czémże, wycieńczone z ludzi, miało zasłonić granice swoje w roku 1813., gdy Napoleonowi w tym samym roku z Francyi bogatéj, ludnéj, mającéj 45 milionów dusz, trudno było wyprawić do Niemiec 100,000 wojska, prawie bez jazdy. Pani Dziubińska bardzo nabożna, religijna, posiada zapewne laskę Mojżesza, za któréj uderzeniem w ziemię wyskakują zbrojne zastępy. Takiéj laski czarodziejskiéj nie miał ówczesny rząd Xięstwa warszawskiego, którego Pani Dziubińska, mimo swojéj pobożności, jak zepsuta dewotka, nie wstydzi się potwarzać, zadawać mu krzywoprzysięztwo. Jakto! xiążę Józef Poniatowski, minister wojny, któremu w Krakowie złote góry obiecywano, jeźli się z sprzymierzonymi połączy, który przeniósł śmierć chwalebną nad hańbę, poddał się cesarzowi Alexandrowi wpierw, nim go król Saski od przysięgi uwolnił? Zapomniałaż Pani Dziubińska, kiedy Stanisław Potocki i inni ministrowie i prefekci Xięstwa warszawskiego do kraju wrócili i urzędowanie w nowym rządzie objęli? Pani Dziubińska zdaje się nawet nie wiedzieć, że Stanisław Breza, którego samego tylko od zakały krzywoprzysięztwa wyjmuje, był wziętym w niewolę od wojsk sprzymierzonych, (*) a zatem musiał robić z konieczności cnotę. Daleki wszelako jestem od posądzenia szanownego starca o najmniejszą podłość. Że Polacy wysełali liczne deputacye do cesarza Alexandra, zwycięzcy, nic w tém dziwnego, zwłaszcza, że inicyatiwa w téj mierze wychodziła od Alexandra. Niech tylko Pani Dziubińska zajrzy do pamiętników Ogińskiego. Wreszcie, cóż nienaturalnego w tém, że zwyciężeni prosili zwycięzcę o ochronę? Nie robionoż tak w sąsiedztwie w roku 1806., albo w Wiedniu 1809.?

Pomijam milczeniem inne niedorzeczności w pisemku Pani Dziubińskiéj, ale zastanowić się muszę nieco nad zdaniem zacnego i dobrze krajowi zasłużonego męża, które Pani Dziubińska za dewizę pisma swego położyła. Za czasów restauracyi we Francyi policya nakazała, aby z wszystkich domów nierządnych usunione wizerunki Ludwika XVIII. Takby postąpić należało z dewizą do pisemka Pani Dziubińskiéj. Hrabia E. Raczyński, ubolewając może nieraz nad naszemi wadami narodowemi, kochał przecież mocno swój naród, a brzydząc się ludźmi, którzy własne gniazdo kalają, oburzyłby się zapewne, gdyby wiedział, że pamięć jego, użyciem w tak niegodny sposób słów jego, została zprofanowaną.

A. N.

Urzędnik za czasów Xięstwa warszawskiego.

(*) Ówczesne Gazety niemieckie donosząc o pojmaniu w niewolę ministra Brezy, dodały: „muß nach Königsberg wandern."

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 38. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 19. Września 1846.

Thorwaldsena muzeum w Kopenhadze i jego pracownia. — Szklanny człowiek (dokończenie). — Rewolucya grecka. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

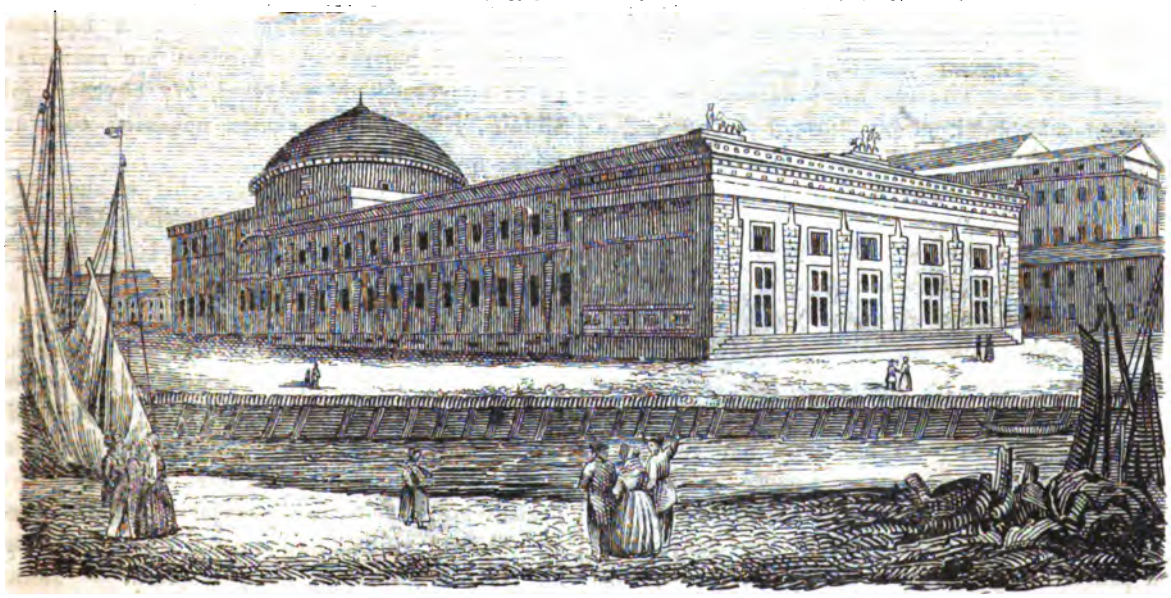

Thorwaldsena muzeum w Kopenhadze.

Thorwaldsena muzeum w Kopenhadze i jego pracownia.

Za czasów dawnych Greków sztuki plastyczne, do których nadewszystko rzeźbiarstwo i snycerstwo należy, tak dalece zakwitły i do tego stopnia się udoskonaliły, iż w późniejszych czasach powstało mniemanie, jakoby Greków w tym względzie nie tylko przewyższyć, ale nawet im zrównać nie można. Takie zdanie pochodziło z przesadniego uwielbiania starożytności i dla tego utrzymać się nie mogło. Historya sztuk pięknych zawiera z nowszych czasów takich mistrzów, których obok starożytnych umieścić możemy. Pomiędzy nimi może najszczytniejsze miejsce zajmuje Thorwaldsen, rodem Duńczyk, który swém dłutem unieśmiertelnił rzeźbiarstwo najnowszych czasów. Nieomal każdemu, co tylko nieco sztuką się zajmuje, znane są prace tego nieśmiertelnego artysty. Każdy kraj ubiegał się i ubiega, aby miał po nim jaką pamiątkę. I u nas możesz napotkać jego dzieła, np.: w Krakowie i innych miejscach.

Wdzięczni Duńczykowie wystawili dla niego muzeum, w tym celu, aby z czasem mieściło wszystkie dzieła Thorwaldsena, które po całym świecie są rozrzucone. Aby zamiar ten przyszedł do skutku, poruczono artystom, aby oryginały w marmurze kopiowali. Tym sposobem będzie to muzeum z czasem najpiękniejszym przybytkiem. Do jego zbogacenia przyczynił się sam Thorwaldsen; darował bowiem miastu cały swój zbiór, który był znaczny, a przytém 25,000 tal. na urządzenie muzeum.

Szklanny człowiek.

(Dokończenie.)

Po nim nasunął się inny i zagabał: Niegodzi się panie doktorze obrażać krew szlachecką; cóż złego, że człowiek pnie się do urzędu? i ja również w tym celu przybyłem na dwór kanclerski; mam po sobie naprzód: ród znakomity, bom herbowny jeszcze od Lecha; mam naukę, bom pierwszych mistrzów padewskich słuchał; sławę, bom się znajdował w przesławnéj bitwie z Tatary .... — Pofolguj! pofolguj! — wołał pan Józef, — dosyć téj litanii; kura, co dużo gdacze, zwykle mało niesie jajec. Każda liszka swój ogón chwali; a dzwón dla czego głośny? bo próżny. .... — Ja zaś, mości doktorze — mówił inny z obecnych, — mniéj wysoko patrzę, i niczego nie pragnę, jak dwór opuścić i zamknąć się na wsi. — To daleko rozsądniéj — odrzekł doktór — lepszy rydz, jak nic; — a nasz Kochanowski powiada:

Kto ma swego chleba
Ile człeku trzeba,
Może nie dbać o wielkie dochody,
O wsi i miasta i wysokie grody....

— Wyborna rada! — przerwał inny, — ależ chciéjcie mię nauczyć co robić, aby dopiąć rozumnego celu? — Naprzód — odrzekł pan Józef — patrz, z któréj strony wiatr wieje; potém, nie żądaj gruszek od wierzby; wzywaj raczéj pana Boga, niż wszystkich świętych; bo czego Bóg nie chce, tego święci nie mogą; następnie bądź grzeczny: bo czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą; przedewszystkiem zaś patrz dobréj sposobności, gdyż czas na czasie nie stoi. — A jeżeli otrzymam mój urząd, cóż mam robić? — Trzymać go, bo koniec dobra jest początkiem złego; a jak się drzewo powali, każdy je rąbie i pali.

Innego dnia zdarzyło się, że nasz szklanny człowiek spotkał jakiegoś utratnika, którego sądowi słudzy prowadzili do więzienia. — Czy to zbrodniarz? — zapytał. — Nie; to dłużnik, — odpowiedziano. — Dorozumiałem się tego; kupuj bratku zbytkowne rzeczy, a będziesz sprzedawał potrzebne. Nigdym nie rozumiał, co to pożyczać; nie pożyczaj, zły obyczaj; jak oddają, jeszcze łają; chcesz wiedzieć, co wart talar, pożycz go.

W chwili, gdy te uwagi robił w obec kilku osób, przystąpił doń jakiś szlachcic z wyrazem smutku, i zaczął mu opowiadać, jak go najszczerszy przyjaciel zdradził, przyjaciel, który zdawał się być bardzo pobożnym, cichym i świętobliwym. — O tak to bywa — odrzekł pan Józef — cicha woda brzegi rwie; pobożna minka, hajduckie sumienie. — Więc nie trzeba wierzyć nikomu — wtrącił ów zasmucony; — więc nie trzeba mieć przyjaciół? — Przeciwnie, życie bez przyjaciół, śmierć bez świadków. Ludzie powinni sobie pomagać; ręka rękę myje, noga nogę wspiera. — Jakaż tu rada, aby mieć niezawodnych przyjaciół? — Moja rada — mieć dużo przyjaciół w ogólności, a szczególniéj jednego a dobrego. Złe bowiem drzwi, które lada klucz odmyka; kto

przyjaciel każdemu, ten nikomu. Wybierając przyjaciela, nie powinieneś wątpić o jego poczciwości; bo jak kąkol w zbożu, tak podejrzenie w przyjaźni miejsca mieć nie powinno. Z resztą w przyjaźni, źle wieszać coraz nowe sitko na kołek. — Staraj się mieć przyjacielem uczciwego człowieka: ze złymi nie przestawaj, abyś ich liczby nie zwiększył; a stokroć lepiéj rozbijać z dobrymi, niż modlić się ze złymi. Nakoniec przyjaciel twój powinien cię kochać dla ciebie; przyjaźń z interesu, jaskółka na dachu.

Widząc pewnego razu dwóch bijących się, pytał o przyczynę zwady. — Są to dwaj przyjaciele — odpowiedziano mu — przed chwilą żartowali ze siebie, od słówka do słówka, przyszło do czubów. — Zwykła to historya — odrzekł doktór — nie wychylaj butelki do dna, bo poruszysz męty. Słówko wyleci ptakiem, a powróci wołem.

Przechodząc koło szpitala postrzegł dużo chorych, o wybladłych twarzach, grzejących się na słońcu. Jest to przybytek — zawołał — do którego prędko się wchodzi, a wychodzi pomału; choroba przyjeżdża na koniu, a wraca piechotą. —

W jednym domu kobieta jakaś zawodziła w niebogłosy. Co to jéj się stało? — zapytał szklanny człowiek. — Męża straciła — odpowiedziano. — Niczе jéj nie róbcie; im mocniéj będzie krzyczéć, tém prędzéj ustanie; ból w łokciu, a ból po stracie małżonka, mocny, lecz nie długi. Czyż nie ma jakiéj innéj przyczyny do smutku; bo nieszczęścia zwykle zlatują się, jak kruki na ścierw? — Ile wiemy — odpowiedziano — tylko to jedno spotkało ją nieszczęście. — Niechże podziękuje Panu Bogu: dobre to nieszczęście, co sam na sam przychodzi.

Zdarzył się wypadek, że Król i sejm wydali wyrok skazujący jednę wysoką osobę na wygnanie z kraju i odjęcie czci; ktoś opowiadając to naszemu doktorowi, utrzymywał, że taka srogość nie powinna dotykać tak dostojnéj głowy. — Przeciwnie — odrzekł — przykład powinien iść z góry; źle, gdyby mówiono o ludziach piastujących wysokie urzędy: dzwon dzwoni na mszę, ale mszy nie słucha. — Ktoś z boku dodał: ale cóż winni podrzędni urzędnicy, których razem z tym panem karą objęto? — Zwykle jaki pan, taki kram; — wart pałac Paca, a Pac pałaca; z resztą, gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą.

Szklanny człowiek wychodząc pewnego razu na przechadzkę, spotkał w sieni gładkiego młodzieńca przystojnie ubranego, który go grzecznie powitał, i tajemniczo zaprosił na bok: Mości doktorze — rzekł doń z niskim ukłonem — wiele słyszałem o waszéj mądrości; a więc przychodzę rady waszéj zasięgnąć w pewnym ważnym dla mnie przypadku. Wprzód jednak muszę wyznać o co rzecz idzie: oto jestem szalenie zakochany. — Na rany Chrystusa! — zawołał doktor! — interes strasznéj wagi! Waszmość kochasz! ale czy jesteś kochany? — Tuszę sobie. — Przedziwnie! dobra rzecz kochać, lepiéj jednak być kochanym; kochasz, służysz; kochany jesteś, panujesz. Jaki masz dowód wzajemności? — Słowo méj pani. — Słowo? powiadasz. — Trzymać kobietę za słowo, a piskorza za ogón, na jedno wychodzi:

Wszystko rzeczy zmienne:
Łaska pańska, gust kobiét, pogody jesienne.

U niewiasty między tak a nie nawet włoska nie przewleczesz. — Kiedym był człowiekiem z ciała i kości jak drudzy, nito ognia strzegłem się miłośnych sideł; bo w miłości jak na polowaniu, za jednę przyjemność tysiące cierpień; gdyby na świecie nie było wiatrów i kobiet, nie byłoby ani niepogody, ani chwil kłopotliwych.

— Jakżeż to się dzieje — wszczął rozkochany młodzieniec — że lada czarne oczki, lada białe ząbki i rumiana twarzyczka pozbawiają mię zaraz rozumu? — Wytłumaczę ci to — odrzekł pan Józef — człowiek ogień, niewiasta sucha słoma, diabeł przyjdzie i dmuchnie, i pożar wznieci.

— Stało się! — wtrącił młodzieniec — diabeł dmuchnął, a teraz dajcie radę, czy się mam żenić lub nie? — Nie lada pytanie, mój panie rozkochany! w dniu ślubu dajesz sobie życie lub śmierć. Małżeństwo jest to wór, w którym siedzi dziewięćdziesiąt dziewięć wężów, a jeden węgorz; włóżże rękę i szukaj węgorza. — Z resztą, jeżeliś dał słowo, trzeba dotrzymać; wołu bierzesz za rogi, człowieka za słowo; chcesz wybrać dynię lub kobietę, musisz mieć szczęśliwą rękę. Są wprawdzie niektóre dobre wskazówki, jakich się trzymać potrzeba. Jeżeli chcesz pięknéj, wybieraj w sobotę, a nie w niedzielę na mszy; niech nie będzie ani nad-

to piękna, ani nadto szpetna; kto ma ładną żonę, a groch przy drodze, a zamek na Ukrainie, ten nigdy nie ma spokoju. Co do majątku: lepsza kopa za żywota, niż po śmierci stérka; lepszy posag w ziemi, niż w gałganach; ubogie stadło i mucha powadzi. Co do wierności: szkło i kobieta zawsze w niebezpieczeństwie. Staraj się oddalać wszelkie złe pozory i zgorszenia. Nie spuszczaj się nawet na szpetność twéj żony; i najlichszy garnek znajdzie swoją pokrywę. — Wziąwszy to wszystko przedsię na uwagę, resztę spuścisz na Opatrzność i łaskę Boską. Strzeż się jednak powtórnie żenić; z pierwszéj żony masz sługę, z drugiéj panią.

Możnaby tu wypisać długi szereg prawd zawartych w filozofii gminnéj naszego szklannego doktora; w każdéj jest głęboka nauka, doświadczeniem i znajomością ludzi stwierdzona; pomijając inne znajomsze przysłowia, przytoczę rzadsze:

Myśl zwolna, czyń prędko.
Nie bądź dłużnym bogatemu, a nie obiecuj ubogim.
Na wilcze mięso, psi ząb.
Szukaj dobra, a zła zawsze się spodziewaj.
Długie włosy, krótki rozum.
O jarmarku każdy sądzi podług tego, jak sprzedał.
Grzeczne słowo mało kosztuje, a wiele waży.
Pan Bóg chléb daje, kiedy zębów nié ma.
Kto się modlić nie umie, nauczy się na morzu.
Między drzwi nie kładź palca.
Wiatr chorągiewką obraca, ale nie wieżą.
Zbieraj za młodu, na starość znajdziesz; młodość leniwa, starość płaczliwa.
Jesteś synem, ojcem będziesz; co dasz odbierzesz.
Jeszcze skóra na baranie, a już szewcy piją na nię.
Zjeść jaja, a polewkę na ubogich oddać.
Kto wiatr sieje, zbiera burze.
Rana się zagoi, zła sława nigdy.
Dobre słowo lepiéj gasi, niż wiadro wody.
Macocha choćby z cukru zawsze gorzka.
Kto chce być długo starym, niech się starzeje za wczasu.
Kto ma cztery, a wydaje pięć, worek mu nie potrzebny.
Usiądź na swojém miejscu, a nikt cię nie ruszy.
Gdyby głupcy nie chodzili na targ, nie sprzedawanoby złych towarów.
Jész kwaśne jabłko, a moje zęby oskominę cierpią.
Piękna śmierć uzacnia całe życie....

Prawie dwa roki dręczyła ta osobliwa manija naszego szklannego doktora. Chodził sobie wszędzie po Krakowie; wszyscy znali go jak zły szeląg, a cenili jak najdroższy klejnot; bo mądrość jego, podobna wyroczni, zyskała niezmierną wziętość u gminu. Zdawało się, że choroba jego nie była mu wcale nieznośną, bo i cerę miał zdrowszą, i humor zawsze wesoły i swobodny. Nikogo nigdy nie zaczepił, owszem stronił, by nie być zaczepionym. Jednakże, nieszczęście chciało, iż pewnego wieczora przechodząc się po nadwiślu, został zagabany od pijanych włóczków, którzy napadłszy nań z kijmi, zadali mu kilka razów, mimo że krzyczał w niebogłosy: co robicie! jam szklanny! — Ale darmo! pijacy nieupamiętali się, aż ujrzeli nieszczęśliwego oddającego ostatnie tchnienie i wymawiającego ostatnie przysłowie: Dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

L. S.

Rewolucya grecka, zaszła dnia 15. Września 1843.

Żadne zdarzenie najnowszego czasu nie zostało z tak wielkiém i powszechném przyjęte podziwieniem, jak rewolucya grecka; co zaś na tém większą w całéj Europie zasłużyło uwagę, to to, że cała ta rewolucya odbyła się w jednéj nocy i bez najmniejszego krwi rozlewu. Nie dla tego były zwrócone oczy wszystkich na Grecyą, jakoby z tego wypadku ważne i szczególne dla historyi i polityki europejskiéj wypłynęły skutki, lub na przyszłość wypłynąć mogły, lecz dla tego jedynie, że cała ta rewolucya tak niespodziewanie zaszła i że tak prędko i spokojnie się odbyła. Właśnie po Grekach nikt nie byłby się tego spodziewał, którzy okrutnym despotyzmem tureckim i niewolniczém się z nimi obchodzeniem pognębieni i zepsuci, pośród najdzikszéj anarchii niedawno z pod jarzma tureckiego się wyłamawszy, na drodze politycznego rozwoju nie wielkie byli zrobili postępy; których nam daléj większa część — szczególnie niemieckich — opisów, jako najchytrzejszy i najnikczemniejszy wystawiła naród.

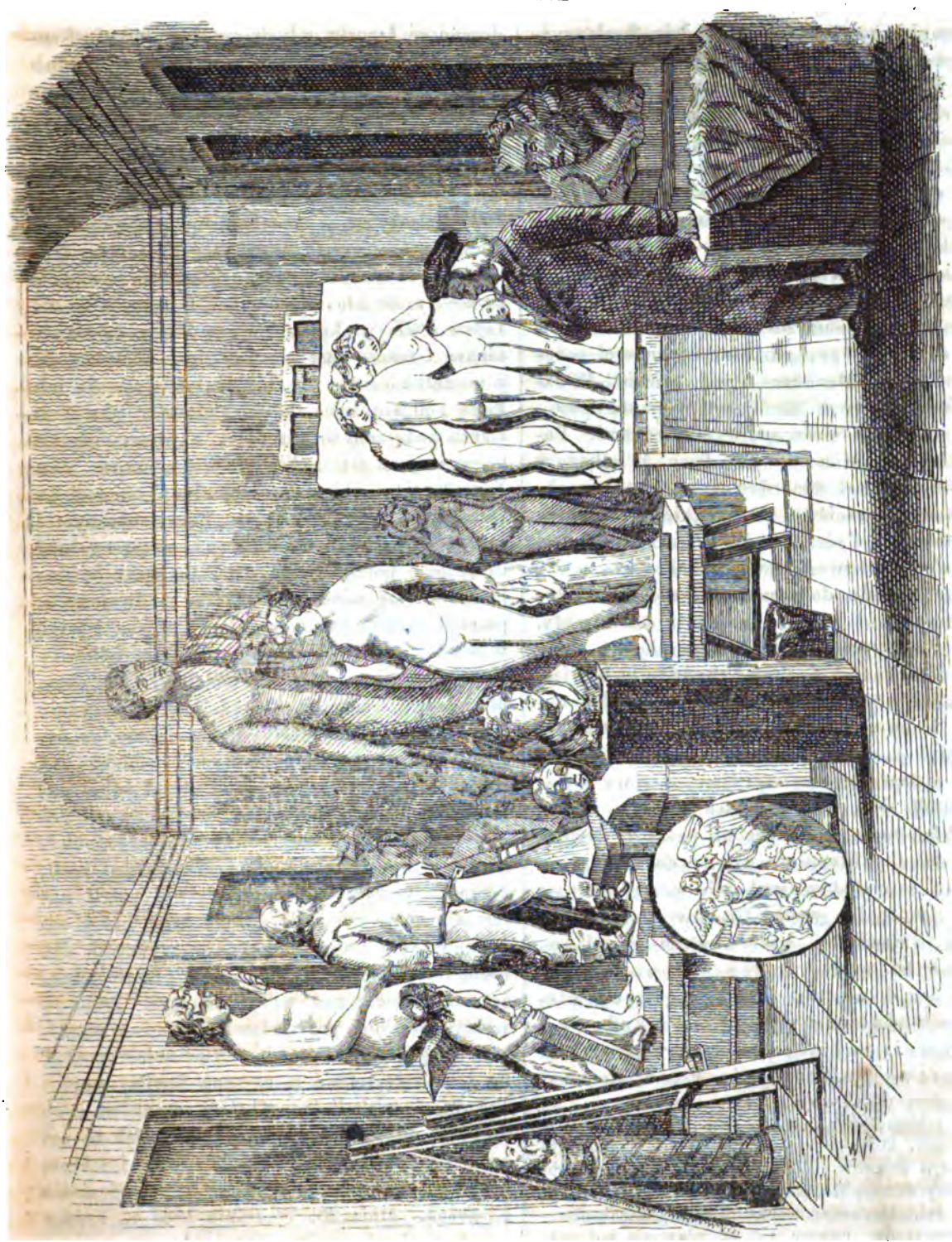

Pracownia Thorwaldsena.

Jeszcze wielu z nas przypomina sobie ów zapał, jakim cała Europa była przejęta, gdy o powstaniu Greków powzięła wiadomość. Przedewszystkiem oczy Niemiec, które w własném łonie politycznie wielkich ludzi nie posiadały, z niezrównaném spółczuciem na bohatyrów heleńskiéj wolności były zwrócone. Starożytna klassyczność grecka, owe świetne czasy wojen perskich, zdawały się na nowo odzywać w potomkach rycerzy maratońskich, którzy pierwsi

w Europie broń przeciw wschodnim barbarzyńcom podnieśli i jak bohatyrowie Termopylów walczyli. Romantyczne owe czasy wojen krzyżowych zdawały się na nowo rozkwitać w powstaniu chrześciańskiego ludu przeciw odwiecznym nieprzyjaciołom chrześciańskiéj wiary; krzyż przewodniczył znowu, jak w owych czasach pod Antyochią i Akką, chrześciańskim wojownikom. Święta kolumna, którą dowodził Ypsilanti, walczyła i zginęła, jak niegdyś owa święta kolumna Tebańczyków pod Cheroneą. Ypsilanti sam zaś ranny uszedł do państwa austryackiego, gdzie aż do śmierci pozostał na zamku Munkacz — w więzieniu! W całym kraju pastwili się Turcy w najokropniejszy sposób nad nieszczęśliwymi Grekami. Patryarcha Gregorius w sam dzień Wielkanocy w kościele został zamordowanym, wszędzie obdzierano Chrześcian i w wielkiéj liczbie ich mordowano. Podczas gdy odważnie Majnoci (1) pod dowództwem Mauromichalisa dali w Peloponezie hasło do powstania, spoglądały ludy europejskie na swe rządy i oczekiwały, który z nich podniesie najprzód rękę ku obronie uciemiężonych Greków; chodziło tu bowiem nie tylko o potomków wielkiego niegdyś narodu, który rozwinął nauki i sztuki i tém samém dał początek cywilizacyi europejskiéj, ale także o danie pomocy wyznawcom wiary chrześciańskiéj w krwawéj walce przeciw barbarzyńskim Poganom. Lecz na próżno! Dyplomatyczne i polityczne względy dozwoliły gabinetom europejskim spokojnie przyglądać się temu, jak małe garstki Greków padały w obronie wolności i wiary swych przodków. Dzienniki austryackie (2) nazywały Greków, którzy walcząc, zginąć woleli, niż dać się spokojnie mordować, buntownikami, podnoszącymi bunt przeciw prawemu Królowi i Panu! Lecz serdeczne spółczucie całych narodów dawało Grekom pomoc, któréj rządy dać nie chciały, lub nie mogły; ochotnicy i wsparcia pieniężne ze wszech stron przybywały do Grecyi.

Gdy po długich zmiennych i rozpaczliwych walkach coraz więcéj na siłach upadać zaczęli, gdy Missolunghi 1826 i Akropolis ateńska 1827 dostały się w ręce Turków, a Grekom już nic się nie pozostało, prócz Argolis i wysp Cykladów, utworzył szlachetny Canning związek pomiędzy Anglią, Francyą i Rossyą, dnia 6. Lipca 1827, w skutek którego Turcy do uwolnienia Greków przymuszeni być mieli. Gdy z początku usunąć się nie chcieli, została ich flotta pod Nowarino zburzoną przez wojska tych trzech połączonych narodów, a armia egipska przez wojska francuskie z Morei wypartą. Jan Kapodistrias, który dawniéj służył w wojsku rossyjskiém, został Prezesem Grecyi obranym i zaczął pod opieką trzech owych mocarstw kraj urządzać i porządkować, co z początku bardzo pomyślnie się wiodło. Połączył rozdwojonych, potrafił uregulować nieregularne wojska i wlać w nie tak mężnego ducha, że świetne odniosły zwycięztwa i aż do roku 1829 Teby, Liwadyą, Missolungę i inne miasta od Turków zupełnie uwolniły. Lecz w krótce pokazało się, że ów nowy Prezes zupełnie rossyjskim oddany był interessom; coraz samowolniéj zaczął sobie postępować i wszystkie ważne urzędy swemi poobsadzał zwolennikami, którzy w ręku jego byli narzędziami własnéj nie posiadającymi woli. Mężowie patryotycznie myślący nie mogli naturalnie na to zezwolić, ażeby kraj, który oni krwią własną z niewoli tureckiéj wykupili, dla osobistych widoków Prezesa miał przejść z czasem całkowicie pod wpływ Rossyi. Przez to wystawiali się na prześladowania i utratę wszelkich urzędów publicznych. Mianowicie spotkał los ten powszechnie szanowaną familią majnocką, Mauromichalisów, z któréj trzynaście osób legło w wojnie przeciw Turkom; większa zaś część téj familii została przez zdradę i wbrew danemu przyrzeczeniu pojmaną i do więzienia wtrąconą. Dnia 26. Września 1831 r., krótko przed zjechaniem się nowego kongressu, na który obór członków był utrudniał, został Prezes przy wejściu do kościoła św. Ducha w Nauplii przez dwóch braci Mauromichalisów zamordowanym. Próżny i niezdatny brat zabitego, Augustyn Kapodistrias, chciał i nadal pla-

(1) Majnotami nazywają się mieszkańcy pasma gór Maina, które tworzą za pomocą gór Pentedaktylon, czyli Tajgetus (dziś góry św. Eliasza), półwyspę pomiędzy odnogą Kolokothyia i Koron w południowéj Morei. Dawniejsi uczeni uważali ich za potomków Spartanów, nowsze zaś poszukiwania pokazały, że Majnoci są zlewkiem Greków i Słowian, którzy się w czasie swéj powszechnéj wędrówki do tureckiéj półwyspy z pierwotnymi Grekami zmieszali. Liczba ich wynosi około 60,000

(2) Szczególnie dziennik: „der Oesterreichische Beobachter."

ny brata swego urzeczywistniać, lecz wojna wkrótce potém wybuchła przeszkodziła zamiarom jego. Wojnę tę domową krótko przed przybyciem Króla Ottona d. 6. Lutego 1833 ukończono. Że zaś nowy Król dopiero dnia 1. Czerwca 1835 za pełnoletniego miał być uznanym, objęło rządy państwa trzech opiekunów: hr. Armansperg, Maurer i generał Hejdek, pod dozorem trzech państw opiekuńczych, które za pożyczkę 60ciu mil. franków na uorganizowanie młodego państwa były zaręczyły. Partya konstytucyjna, którą rządcy opiekuńczy już przy swém przybyciu do Grecyi byli zastali, nazwała się teraz partyą królewską; na przeciw niéj stali (3) Napiści, którém to nazwiskiem oznaczano wszystkich tych, którzy pierwotnym rządom Kapodistriasa sprzyjali, a późniéj także i tych, którzy byli ślepymi jego zwolennikami.

Do ostatniego odcienia téj partyi należała bardzo mała tylko liczba osób, do pierwszéj zaś frakcyi dość wielu, a pomiędzy tymi nie mało zacnych i poczciwych obywateli. Partya konstytucyjna odpychała obydwa odcienia partyi Napistów od siebie, podczas gdy naczelnicy partyi Napistów starali się rozsiewać niesnaski, rozdwojenie i wzbudzać nieufność do nowego rządu. Gdyby walka tych partyi pomiędzy sobą otwarcie, z stósowną do tego wolnością i poczciwie była prowadzoną, mogłaby była przynieść dla wyrobienia opinii publicznéj i zdań politycznych wielkie korzyści; lecz, że ją prowadzono za pomocą kryjomych i niegodnych intryg wszelkiego rodzaju, partye rozbiły się na kliki i koterye, które już nie o dobro kraju z sobą walczyły, lecz tylko o osiągnienie władzy i urzędów przeciw sobie intrygowały. Cały naród, chociaż mały tylko miał udział w całéj téj sprawie, tém więcéj cierpiał na tém, ponieważ rząd i chciwe władzy koterye tyle miały do pracy z samymi intrygantami i intrygami, że nie były w stanie zająć się szczerze uorganizowaniem administracyi i prawa.

Rząd opiekuńczy przyniósł z sobą plan administracyjny i system obsadzania urzędów, który od państw zupełnie dobrze urządzonych był wzięty. Nie przekonano się wprzódy, czy ów obcy system dla zupełnie innego stanu politycznych stósunków Grecyi, z których dopiero nowe państwo rozwinąć się miało, był przydatnym lub nie. Na tém większą zasługuje to uwagę dla tego, że sposób ten rządzenia krajem przyniesiony był z Niemiec, gdzie tak wiele o historyczno-organiczném rozwijaniu się każdego narodu gadać umieją. Wielka liczba Niemców poszła razem z rządem opiekuńczym do Grecyi, ażeby mu niby dopomódz w uorganizowaniu młodego państwa, czyli innemi słowy, ażeby uorganizować własne kieszenie i z niczego przyjść do czegoś. Że to Grekom nie bardzo było przyjemnie i że nie poczytywali sobie tego bynajmniéj za szczęście, łaskawy czytelnik łatwo to sobie i dokładnie wyobrazić potrafi. Trzeba jednakże przyznać, że Grecy potrzebowali do dokładnego uorganizowania swego kraju obcéj pomocy, ponieważ tych jedynie wyjąwszy, którzy w obcych krajach w wojsku służyli lub na zagranicznych kształcili się uniwersytetach, nie mieli dokładnego wyobrażenia o tém, co dobrze urządzoném i na doświadczeniu opartą organizacyą posiadającém państwem nazywamy. Lecz byłoby wystarczyło, gdyby rząd tylu tylko mężów uczonych był sprowadził, ilu ich Grecya na nauczycieli nowéj organizacyi potrzebowała, którzyby byli w łatwo pojmujących i wrodzony talent polityczny posiadających Grekach dobrych znaleźli uczniów. Pomiędzy tłumem obcych było niezawodnie wielu zacnych i wykształconych ludzi, lecz, że wybór pomiędzy tak wielką liczbą był trudny, znalazło się także aż nadto awanturników i przemyślnych ludzi, których jedyném życzeniem i staraniem było — zbogacić się w Grecyi i przy sprawowaniu danych sobie urzędów tylko o tém myślić, jakimby sposobem najprędzéj przyjść do pieniędzy! Z boleścią serca patrzyli na to Grecy, że najważniejsze miejsca, od najwyższego aż do najniższego, obcymi ludźmi były poobsadzane i często nawet takimi, których nieuctwo i niedołężność na pierwszy rzut oka było widoczne.

Stąd powstało u Greków to mniemanie, często nawet bardzo sprawiedliwe, że „dla tego tylko ten lub ów otrzymał urząd, że jest Bawaros (Bawarczyk).“ Niechęć przeciw obcym, t. j.: Niemcom z Bawaryi, których zawsze wyrazem obcy oznaczamy i nadal w tym artykule oznaczać będziemy, z każdym

(3) Napiści od „Napa,“ nazwisko, które dane było Augustynowi Kapodistrias z powodu jego wielkiego nosa.

prawie dniem nowych nabierała sił i przez szczególną okoliczność (nie zważając nawet na niegodziwość urzędników i uciemiężanie kraju od nich pochodzące, o czém później) w zupełną przemieniła się nienawiść. Wiadomo nam, że opinia powszechna nie bardzo pochlebnie sądziła o Grekach, którzy to jedynie fałszywym doniesieniom Bawarczyków przypisywali, a że dzienniki szczególnie opozycyjne, które sobie najniższéj nawet klassy ludzie czytywać kazali, nieomieszkały umieszczać szkodliwych opisów Grecyi, z niemieckich pism wyjętych, tém więcéj przez to Niemców nienawidzono. Trzeba przyznać, że największa część nieprzyjaznych opisów Grecyi od tych Niemców pochodziła, którzy z Grecyi, nieurzeczywistniwszy swych marzeń, do domu powracali, rozgniewani o to, że — mniemane — ich zasługi niedostatecznie zostały ocenione i wynagrodzone. Nie można wprawdzie temu zaprzeczyć, że Grecy podczas długoletniéj niewoli pod jarzmem tureckiém nieco zdemoralizowanymi zostali i pewnéj nabrali przebiegłości, lecz zarzut ten spotyka jedynie mieszkańców miast nadmorskich i tych z pomiędzy Greków, którzy dawniéj z ciemiężcami w bezpośredniéj stali styczności, ponieważ u mieszkańców środka kraju bezstronni podróżni prostego, silnego i niezepsutego charakteru i patryarchalnych cnót dosyć nachwalić się nie mogą.

Lepiéj natomiast spichnęli się z tłumem obcych urzędników ci z pomiędzy Greków, którzy się przekonali, że do urzeczywistnienia osobistych widoków bez obcych obejść się nie będą mogli. Daleko chętniéj łączyli się z obcymi niż z tymi, którzy szczerze starali się o dobro ojczyzny; co więcéj, takich patryotów starali się wyrugować z ich posad, ażeby potém tém lepiéj wichrzyć mogli. W taki sposób utworzyli w kraju sieć biurokratyczną, którą trzymali lud na uwięzi i żadnéj skargi przed tron nie dopuścili. Nareszcie nie wiedział lud, jak sobie w tém poradzić; a że powszechnie dobre serce młodego Króla znane, pocieszano się tém: „będzie nam lepiéj, skoro się Król o tém dowie.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№ 162.

Modlnica pod Krakowem

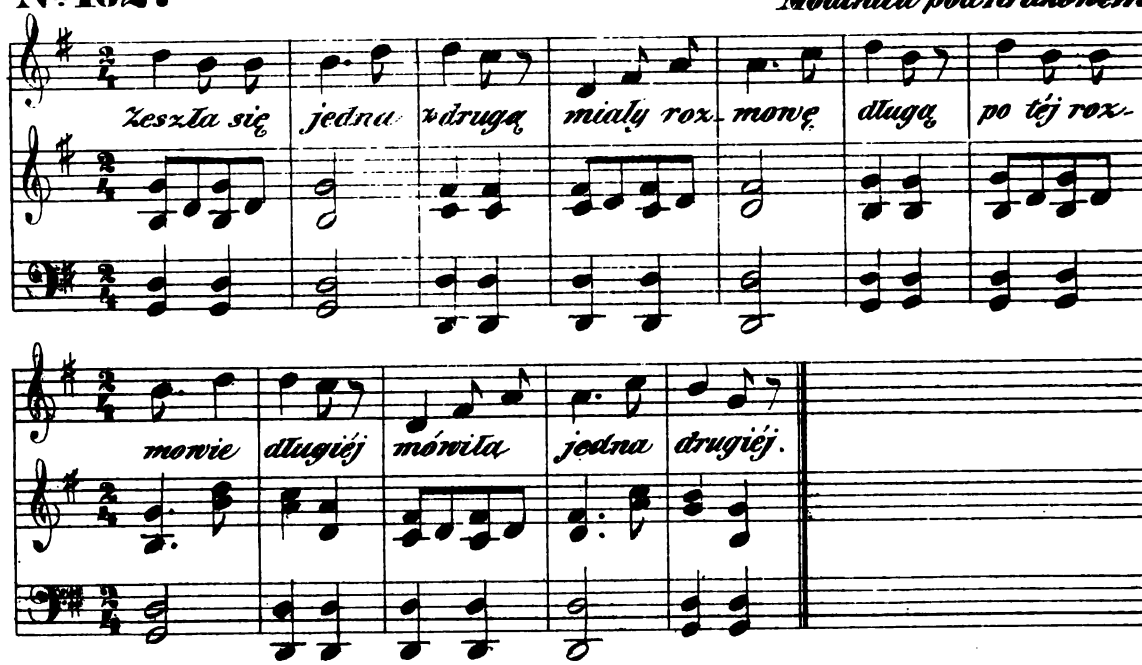

Text do Nru. 162.

Zeszła się jedna z drugą,
Miały rozmowę długą;
Po téj rozmowie długiéj,
Mówiła jedna drugiéj:
„Wypijmy po kubeczku,
Bo nie mamy nic w czubeczku.“
Skoro dziesiąty kubek,
Zagrzał się babom czubek,
A jak się baby popiły,
Oj o mężów się swarzyły;
„Nie turbuj się kumecska,
Jest u karczmarza beczka;
Wiem, że nam skredytuje,
I was kumko poczęstuje.“

(*J. Konopka*, P. I. kr. str. 150.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 39. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 26. Września 1846.

Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego. — Przepowiednia mistrza Piotra Turellego. — Gościnność Jana Tarnowskiego. — Rewolucya grecka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Widok Warszawy ze strony Pragi.

Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego.

Z Rozdziału XVII.

Co się zanotowało w Konstantynopolu, tego przepuścić nie myślę; a więc słowo tu jeszcze dodam o tamtejszych Perotach, zamieszkałych na przedmieściu tak nazwaném Pera. Niezaprzeczoną jest rzeczą, że w kraju, gdzie nie ma zwykłych dla dzieci szkół elementarnych, tam wychowanie zwierzęce prawie być musi. Perot przywykły z dzieciństwa do zapatrywania się, jakim sposobem zbiera się grosz dla wygodnego życia, o niczém więc nie myśli przez całe życie, jak tylko o groszu, o sposobach, jakby go prędko i mnogo uzbierać i naskładać. Zchodząc on z kolan matki, już mówić poczyna czterema językami, t. j.: greckim, włoskim, francuskim i tureckim; jednakże, wyjąwszy macierzyński, grecki, źle on zazwyczaj wymawia, a szczególnie turecki, z przyczyny braku wielu głosek twardych, a zwykłych tureckiemu i słowiańskim językom. Podrosłszy zaledwie bogaty Perot, naśladuje zaraz ojców swoich w handlu, lub też szuka dla siebie nobilizacyi przez wciśnienie się do poselstw europejskich na agentów, tłumaczów, kancellistów i doktorów, a w któréj to służbie, pomimo zwykłéj przedajności i ciągłéj niewiary, trzyma się mocno, przedaje takową w dziedzictwie dzieciom swoim i buja wolno; bo wie, że go Europa nieodbicie potrzebuje. Jednakże Francya już się dziś wybiła z pod tego jarzma; inne zaś państwa, a zwłaszcza Rossya, chowa ich ciągle i pieści nawet; przez co familia niegdyś genueńska Pizanych panuje na wschodzie, a Car na północy. Mniéj bogaty Perot przedaje się za tłumacza wojażerom, którym służy niby wiernie, towarzyszy w podróżach i jest dla nich żywym dykcyonarzem nauki i zwyczajów wschodnich. A co za banialuki oni im tam prawią! Litości istotnie jest godnym takowy wojażer wraz z dziełem swojém, które jednakże drukuje i światu głosi! Ale porzućmy takowe błędne dzieła, a wspomnijmy raczéj o kieszeni wojażera, którą on wypróżnia co moment i bezpotrzebnie dla niezbędnego tego mentora. „I jakże cię nie wstyd, brać tak drogo za ten czubuk?“ powiedziałem do Turka w przechodzie z pewnym wojażerem, którego poznałem trafem na kwaterze mojéj. „Panie,“ odrzekł mi Turek, „jakże ja nie mam brać tego, skoro z tych pieniędzy część tylko trzecią sobie biorę, *terdżuman* tego wymaga po mnie, a ja muszę to czynić, by mi i nadal *musztera*, t. j.: kupca, przyprowadził!“ Nie zła odpowiedź i piękna zarazem perocka cnota. Niezaprzeczoną jest rzeczą i to, że matki mieć powinne i mają wpływ największy na wychowanie dziatek swoich. Cóż jednak z tego wypływać może w Pera i na całym wschodzie, skoro i matki są bez najmniejszego wychowania? Brudy, nierządy, niedorzeczności! Córka wychowana bez przykładu cnoty, bez mocnéj zasady religii, igraszką widzi i modą ceni to wszystko, czém się wzdryga cnotliwa dziewica i młoda żona! Na wschodzie dziewice i mężatki, bez różnicy stanu, niczém się nigdy nie zajmują. Siedzą one ciągle w oknach już otwartych, już okrytych kratami, na sposób Muzułmanek. Żują tam mastykę, t. j. gumę, jako jedyny płód z wyspy Chyos, dla utrzymania w białości niby zębów swoich; obliczają zyski z miłostek wieczornych i szykują się i trefią na zyski dalsze. Pomimo, że wielki jest napływ nowych ciągle osób z Europy, znają one wszakże w ten moment prawie po imieniu każdego, przypisują mu byt wielki, stan okazały, bogactwa i urzędy co nie miara, a chociaż to wszystko ani się i śniło czasem wojażerowi, i jeśli się ten kiedy dozwoli ułudzić ich ponętą, to rozpacza on zaraz nazajutrz i ucieka zazwyczaj, boć to wszystko, co wysoko cenił, było tylko przybraném, pożyczoném dla ciała; a ów pączek róży, którego był pewnym i myślał zerwać niechybnie, już był dawno rozkwitły, zerwany i wymieniony na pyszne szale Lahora. Jeżeli zaś znajdzie się kobieta z cnotą, to religia tylko w niéj ją utrzymuje, chociaż wyśmiewaną jest od ogółu kobiet. . . . . Poznałem tam trzy córki, Polki; chociaż zrodzone w Pera, odróżne jednak od Perotek odebrały wychowanie; boć Ormianin, ojciec ich, Okólski, przykładnie je ukształcił w religii katolickiéj. Żył on do wielkiéj starości w Ortakioj — i chociaż śmiertelną ranę, a potém bliznę nosił na głowie, którą z pod ręki Suwarowa pod Pragą otrzymał, nie cherlał przecież, czuwał nad dziadkami. Znałem w Konstantynopolu i drugiego zażyłego Polaka; jestto jakiś Hulewicz, zbiegły w roku 1809. z kasą ruską, jako półkownik. Wyrzekł się on że-

ny, która z Polski tam do niego przybywała, zmuzułmanił syna i siebie, przyjął imię Kijajet-Bej, i dziś żyje w najzacieklejszym muzułmańskiego fanatyzmie w okolicy Aijuba. W roku 1834 poznałem tam czcigodnego ziomka, uczonego inżeniera, półkownika Szulca, z którym przysięgliśmy sobie, czuwać wiernie i wspólnie na wschodzie nad utrapioną, nieszczęśliwą matką, ojczyzną naszą. Wraz potém odwiedził mnie tam głośny z waleczności, nauki wojennéj i najszlachetniejszych uczuć do ojczyzny, półkownik L. Bystrzanowski, który to moment wprost do dni szczęśliwych życia mojego policzyłem. Spotkałem ja tamże i innych ziomków, którzy dopytywali się o mnie wprost w poselstwie Ruskiém, gdzie to wszystko Pawlaki Pizany na złą dla mnie karbował notę. W ich liczbie znajdowali się i tacy, których z łatwością, jako Muzułmanów i Tatarów polskich, na wygodne urzędy wojenne do Azyi mniejszéj pomieściłem, z czego w dalszych tam wojażach moich niewypowiedzianą miałem radość, znalazłszy ich w najlepszym stanie i położeniu. I poseł ruski Buteniew powrócił w tymże roku z Rossyi do Pera z nową małżonką Polką, Chreptowicz. Wielki tego człowieka rozum, wielkie serce, bo dla ludzkości tylko utworzone, zwabiło z powinszowaniem gromady Perotów do Bujukdere, letniego mieszkania, usadowionego w stronie Czarnego morza nad Bosforem. Przyjmował on mile wszystkich, chociaż straszna czuma grasowała w Konstantynopolu. Pawlaki Pizany stał wówczas obok niego i tworzył uderzający widok kontrastu; bo kiedy poseł witał i przemawiał mile, czy to do obcéj, czy do podwładnéj sobie osoby, Pawlaki zżymał się cały, drżał niby w febrze i usiłował jednym oka rzutem przenikać aż w głąb duszy, by dociec sposobu myśli każdego, sposobu, mówię, myśli czystéj; gdyż on zrodził się z duszą nieczystą, każdy więc podług niego człowiek, takim być koniecznie był powinien. Bo téż uposażyła go hojnie natura w dzikie przymioty. U niego oko grało zawsze bystrością kuny, tchórza, nos lisa czuwał bacznie na straży, włos wiewiórki strzępił się zawsze i jeżył, chociaż krótko przycięty. . . . . w drugim roku pobytu mojego w Konstantynopolu, poznałem szanownego Turka, nazwy Ismail Bej Ferruh. Był on niegdyś posłem w Anglii i Austryi, co go obeznało z światłem nauk i języków europejskich. Pomimo dziewięćdziesiąt i kilku lat wieku, nie przestawał on pracować jednak w językach wschodnich, w których mnie prawdziwie przyjacielską ręką prowadził. Pan Aksak, znakomity niegdyś wygnaniec z ujarzmionéj Polski, ojczyzny naszéj, żył z nim w ścisłéj przyjaźni. Bogate dla wschodnich języków jego księgi, zabrała po nim kancellarya ruska, a których noty z ciekawością przeglądałem. Ismail Bej opowiadał mi wiele nieszczęśliwych przygód tego człowieka, zbiegłego przed prześladowcami cnotliwych Konfederatów barskich. Papiery jego już w Pera znikły; bo się przeniosły do Petersburga. Pracował on bez ustanku i obeznawał możnych Turków i sam dwór z wielką niesprawiedliwością wyrządzoną Polsce przez trzy sąsiedne jéj potencye; starał się nawet utrzymać przy imieniu Polski dom wielki poselski, do niéj niegdyś należący; lecz to było niepodobną, dziś go Austrya posiada, przenajmując go holenderskiemu poselstwu i pono już sprzedaje. Jednakże ponieważ to był dom bardzo obszerny i ciągnący się z głównéj ulicy w Pera, aż prawie w niż ku Bosforowi do Topchana, więc przejście około tego domu, t. j. ulica dość obszerna, przybrała z dawnych czasów nazwę turecką *leh sokak*, t. j. ulica polska. Austrya usiłowała mocno, by zatrzeć w pamięci i to imię, ale zwyczaj przyjęty i ustalony od ludu prostego u tego narodu uwiecznił je i podaje ciągle do potomności. Mieszkałem na niéj cały mój pobyt w Konstantynopolu. . . . . .

. . . . . .

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia mistrza Piotra Turellego, filozofa i astrologa.

Przypomnijmy sobie, jakie wrażenie zrobiła przed kilką laty przepowiednia Oliwariusa, któréj autentyczności nie mogli zaprzeczyć najzaciętsi niedowiarkowie; gdyż książka przez niego wydana w r. 1542 ocalała w r. 1793, a przy wstąpieniu Napoleona była mu ofiarowaną. Otóż podobnie ma się z przepowiednią Turellego, która z wieszczbą Oliwariusa wiele ma podobieństwa; ostatni bowiem człowieka, mającego odmienić losy świata, nazywa *młodym wojownikiem*, w czém Turel dokładniéj

się wyraża, nazywając go: *vir bonissime* (sic) i *pacificator orbis*. Ma on walczyć podobnie jak młody wojownik Oliwariusa, lecz *bronią pokoju i religii*, godłem jego będzie *pax et labor* (pokój i praca).

Nim jednakże przytoczę tę przepowiednię, niech mi wolno będzie rzec słówko o książce Piotra Turellego.

Tytuł jéj następujący: „*Period*, zawierający stósunki rzeczy ziemskich przez moc i wpływ ciał niebieskich; napisany przez nieboszczyka mistrza Turella, filozofa i astrologa, a rektora szkół Dijońskich.“ Pod spodem czytamy rok 1531.

Autor tego dziełka był rodem z Autun. Przyszedł na świat w połowie 15 wieku, a w r. 1531 już nie żył, jak to sam tytuł świadczy. Turel liczył się do najznakomitszych ludzi swego czasu, mianowicie w matematyce nie miał sobie równego; niektórzy kładli go na równi z Ptolomeuszem i Cyceronem. Za przepowiednie swoje był oskarżony o czarnoksięstwo, lecz uczeń jego Piotr Castellan, tak dzielnie bronił swego mistrza, iż został uniewinniony.

Piotr Turel nie miał się za nieomylnego; z tém wszystkiém — mówił — nie chcę prognostykować, ani stanowczo prawić o przyszłości, lecz tylko wnioskować i przypuszczać.

Przebiegłszy jedne po drugich wszystkie zmiany i wstrząśnienia, sprawione zbiegiem planet, tak się wyraża: Pominąwszy, co się stało i o czém ludzie wiedzą, przystąpmy do ósméj maxymy i cudownéj konjunktury, o któréj astrologowie powiadają, że ma nastąpić roku pańskiego 1789, a zaś r. 1814 będzie czwarta i ostatnia stacya na najwyższym firmamencie. Powiadają astrologowie, że jeżeli do tych pór świat potrwa, zajdą bardzo wielkie i dziwne zmiany i nowy porządek, nawet sekty i prawa.

Księga Turella bardzo jest rzadką; dwa tylko znane są exemplarze. Z resztą część przepowiedni Turella była przedrukowaną w dziele X. Roussat, kanonika z Langres, wydaném w Lugdunie r. 1550; które exemplarze można widzieć w bibliotece królewskiéj w Paryżu i w bibliotece Ś. Genowefy.

Otóż dowody jasne i niezbędne w epoce powszechnego niedowiarstwa.

Druga część książki Turellego przepowiada z wielką śmiałością wypadki mające nastąpić w Europie, a mianowicie we Francyi aż do dwudziestego wieku naszéj ery.

Przystąpmy do rzeczy. Oto są słowa Turella, gdy mówi o roku 1814.:

„...Po trzech księżycach, i jednéj trzeciéj księżyca, gdy się skończy czwarta stacya na najwyższym firmamencie, potężny wygnaniec ciągnie do wielkiego grodu, chcąc odzyskać swoje prawa, i plemie swoje odnowić. Próżne usiłowanie! Bóg zawyrokował, i *człowiek słuszy chciwy* zwyciężony, opuszcza swoje zastępy i naród....

„Około sto sześćdziesiąt księżyców upływa, a ludy walczą między sobą pod znakiem Lwa i srodze się mordują. Kapłani kryją się w trwodze, a zwolennicy antychrysta ziejąc obelgi i potwarze,... Niebawem wszakże spokój następuje po burzy, a chwała pańska wzbija się pod niebiosy.

„Jeszcze sześć razy dwadzieścia księżyców upływa, gdy Celty, Germanowie, Gallowie i Hiszpanie dobijają się swoich wolności, a choć zwycięzcy, doznają losu zwyciężonych....

„Jakież odmiany na świecie! wczorajszy przyjaciel, jutro twoim nieprzyjacielem; zacierają się tradycye, obojętność owłada umysły; wszędzie zamęt, wszędzie panuje samolubstwo, nienawiść, rozpacz. Pozorny spokój, a burze wrą w głębi serc.

„Boże! wielki Boże! Któż lud Twój ocali?!...

„Jeszcze dwanaście razy dziesięć księżyców, a zło, podobne przybywającemu morzu, ciągle przybiera. Boska mądrości! gdzież jesteś?.., Ciebie Boga krępują, przedają, obchodzą się wszetecznie, bezwstydnie, z pohańbieniem!... Panowie ziemscy kupczą, cielec złoty gorliwych ma czcicieli. Rolnik jęczy, robotnik ręce łamie, mieszczanin w nędzy pogrążony, a zwolennicy antychrysta sieją ziarna kąkolu i anarchii....

„Boże! wielki Boże! Kto Twój lud ocali?!...

„Niedalekie są czasu, w którym głos Boga będzie słyszany. Ale człowiek musi jeszcze wiele cierpieć na ciele, w sercu, w duchu. Spiski i walki mordercze! Ludy zrywają się na północy i południu, na wschodzie i zachodzie. Szaleni! zamiast żyć w pokoju i zgodzie, wydają sobie wojnę; braćmi są, a mordują się! Bledną wszystkie sławy; świątła gasną, a naród znany tylko z nazwiska. Nuda śmiertelna

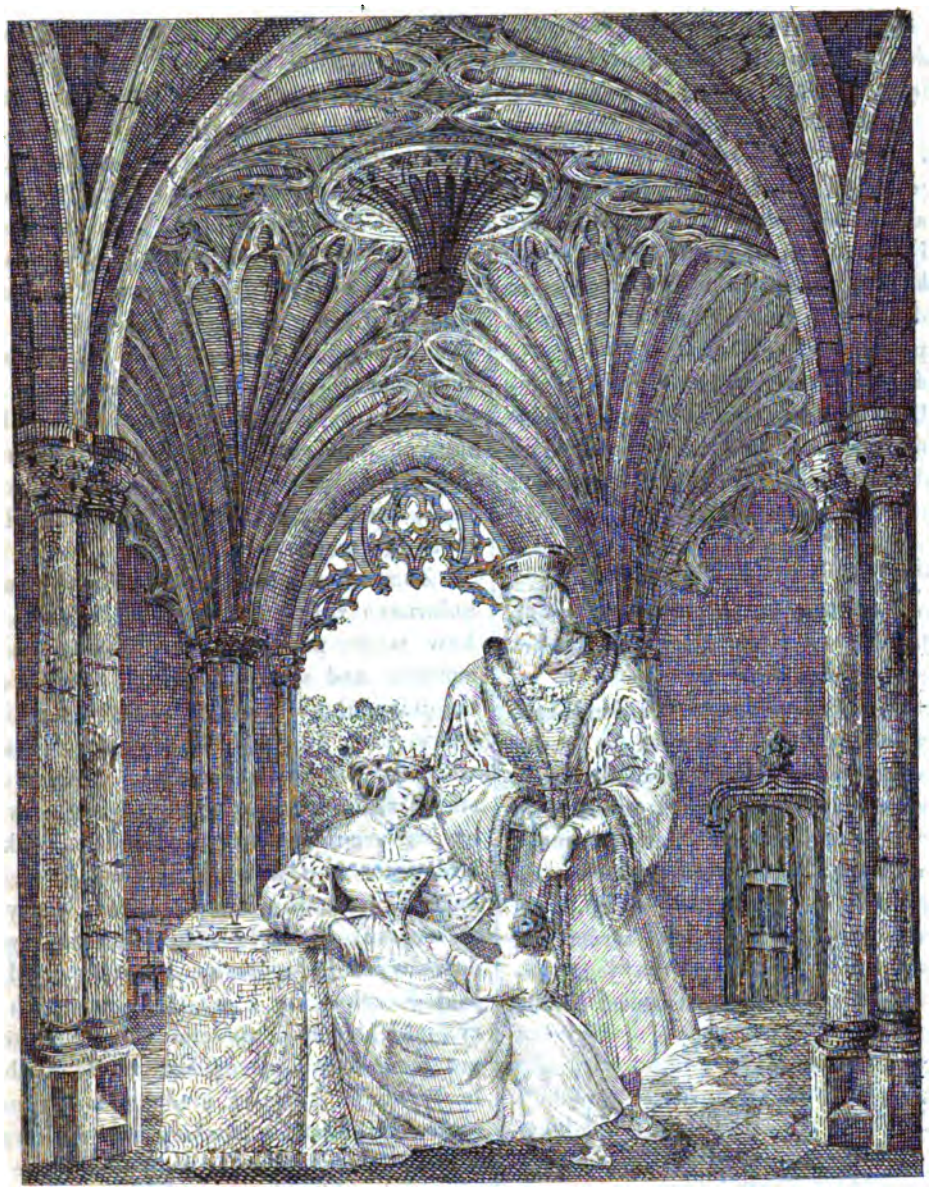

Jan Spizki, król Węgierski, wygnany przez Ferdynanda, znajduje wraz z familią swoją w zamku Jana Tarnowskiego troskliwą gościnność i bezpieczeństwo.

pożéra jednych, nędza dziesiątkuje drugich, wszyscy, wszyscy nieszczęśliwi!...

„Boże! wielki Boże! Kto Twój naród ocali?!...

„Zapomnijcie cierpień waszych, ukójcie boleści, otrzyjcie łzy, człowiek zbawca niebawem wystąpi. Poznacie go po wierze gorącéj, po promiennem i pięknem obliczu; pojawi się w znaku *Virgo*, a znak jego będzie *Pisces*; za godło weźmie *pokój* i *pracę*; narazi się na wszystkie prześladowania, aby wlać wiarę w Boga tym, co w nię nie wierzą, i roznieść żywe i dobroczynne światło religii w świecie ogołoconym z wiary....

„Uspokoiciel świata, ożywiony duchem Ewanielii, wróci nadzieję wszystkim, walcząc błogosławionym orężem pokoju i religii; nakaże

uszanowanie ołtarzom Stwórcy; da obfitość chatom, a miłosierdzie pałacom. Zgoda i związek zakwitnie między rodziną, spokój i cisza w sercach, radość na ustach, szczęśliwość i nadzieja wszędzie!...

„Ludy, będące sobie braćmi przez Jezusa Chrystusa, przestaną toczyć walk zabójczych, które ich ubożyły i wytępiały. Jedność kościoła rozrywana tylekrotnie, znowu w całym majestacie i potędze zabłyśnie. Bóg na ziemi panować będzie, jak panuje na niebie....“

„Nie wiem, kiedy to wszystko się ziści,“ dodaje Piotr Turel, „i kiedy przyjdzie Zbawca świata. Bogu samemu to wiadome. Pamiętajmy tylko na znaki niebieskie: *Pisces* i *Virgo*.“

Gościnność Jana Tarnowskiego.

O zamożności domów polskich w wieku 16tym, świadczyć może następujący czyn ślachetny Jana Tarnowskiego.

Gdy Jana Zapolskiego, króla Węgierskiego, Ferdynand wygnał, nie tylko przyjął go do domu swego, pomimo pogróżek cesarza, ale nawet ustąpił mu miasta Tarnowa i tam przez dwa lata zaopatrywał go, z uszczerbkiem własnego majątku, we wszystko, cokolwiek potrzebne do wygody, rozrywki i wspaniałości życia. Za to przysłał mu później król, gdy wrócił na tron Węgierski, z wdzięczności za jego gościnność, buławę i tarczę złotą wartości 40,000 dukatów.

Rewolucya grecka, zaszła dnia 15. Września 1843.

(Ciąg dalszy.)

Nim obszerniéj nad nadużyciem urzędników się zastanowimy, trzeba nam wprzódy zwrócić uwagę na siłę zbrojną w Grecyi. Cała siła zbrojna składała się powszechnie z nieregularnego żołnierza, pod przewodnictwem tak nazwanych Kapitanów, ludzi, którzy najwaleczniéj przeciw Turkom walczyli. Zdarzyło się jednakże nie raz, że sami z sobą krwawe staczali walki, których powodem często prywatne były urazy. Jan Kapodistrias starał się zaprowadzić pewien porządek, lecz gdy dla braku pieniędzy należącego się żołdu wypłacić nie mógł, stary powrócił nieporządek i anarchia, które po śmierci Kapodistriasa jeszcze bardziéj się powiększyły. Kapitani spodziewali się, że po przybyciu Króla stałą dostaną pensyą, lecz nadzieje te zupełnie ich zawiodły. Kilka tysięcy tych walecznych wojowników, którzy w krwawych bojach za kraj walczyli, zebrało się na równinach pod Argos i żądało, ażeby ich za o d z i e ż i c h l é b znowu do służby wojskowéj przyjęto. Rząd jednakże nie przyjął tych rot pod bronią zrosłych i wychowanych, częścią dla tego, że się obawiał tych zdziczałych, lecz w istocie prostych tylko i niezepsutych ludzi, częścią też dla tego, że za nadto wielką przypisywał wartość do wojska regularnego, które wprawdzie niebezpieczeństwo po drogach kraju i rozboje na czas niejaki uśmierzyć, lecz zakorzenionego złego zupełnie wytępić nie mogło.

Zamiast zająć się uorganizowaniem nieregularnego żołnierza, zaczęto do greckich pułków wielu przyjmować cudzoziemców i tych znacznie nad swoich wynosić. Bawarscy Officerowie daleko lepiéj byli płatni, niżeli greccy, nawet przy awansie Bawarczykom prawie zawsze dawano pierwszeństwo. Mimo tych wszystkich zachodów nie udało się rządowi utworzyć z armii martwego narzędzia, jak się to widocznie w powstaniu dnia 15. Września pokazało, ponieważ mimo wielkiéj liczby obcych w wojsku, potrafiła sobie zawsze myśl narodowa wyrobić przewagę, dla czego rząd nie takiéj doczekał się z wojsk regularnych podpory, jakiéj się był spodziewał. Prócz tego nieprzyjęcie wojsk nieregularnych do służby, wiele sprawiło krajowi niedogodności, ponieważ po całym tłumnie rozbiegłszy się kraju, po większéj części zaczęły prowadzić życie rozbójnicze i każdéj chwili oczekiwały hasła do nowych zamieszek. Stąd powstały owe bandy rozbójników w Peloponezie i północnych prowincyach. Za późno dopiero poznał rząd błąd popełniony, a chcąc go naprawić, ogłosił powszechną amnestyą dla tych, którzy przeciw Turkom walczyli, mając zamiar utworzyć 10 pułków strzelców, w których wszyscy mieli być umieszczeni. Lecz, że owe 10 pułków do umieszczenia wszystkich tych, którzy do tego mieli prawo, nie wystarczały, i dla tego słusznie się obawiano, że rząd o tych, których pomieścić nie zdoła, nadal zupełnie zapomni, nie chcieli ani przywódcy, ani wojsko samo przyjąć téj propozycyi, i z téj to przyczyny

większa część z nich do pierwotnego sposobu życia powróciła. Officerom i podofficerom, którzy się wsparcia od rządu spodziewali, dano małe gratyfikacye i po długim czasu upływie urzędy cywilne lub w żandarmeryi; największą jednakże ich liczbę w okropnéj pozostawiono nędzy. Tak pozostała bez kawałka chleba i pracy wielka liczba wyćwiczonych i doświadczonych ludzi, zawsze gotowych do każdéj gwałtownéj zmiany istniejącego stanu rzeczy, ponieważ nic nie mając do stracenia, wszystko pozyskać mogli. Prawie zupełnie tak wiodło się tak zwanym Prymatom, którzy w czasie dwunastoletniéj walki o niepodległość, stali u stéru cywilnych rządów kraju. Ci, chcąc pieniądze do dalszego prowadzenia wojny wymyślić, byli zmuszeni wkładać podatki i zaciągać długi, które potém z własnéj kieszeni popłacić ich przymuszono. W taki sposób niezmiernie się pozadłużali, a chociaż wielu z nich starało się o urzędy publiczne, to jednak, po długich zachodach i uwodzeniach, przekonali się nareszcie, że miejsca, do których się zdatnymi być sądzili, jakkolwiek dla obcych otwarte, dla nich były zamknięte, którzy wszystko za kraj stracili. Także i pomiędzy tymi ludźmi rząd wielu narobił sobie nieprzyjaciół. Bardzo wielu tych zrujnowanych Prymatów przez liczne i daleko rozgałęzione związki familijne podburzało lud przeciw rządowi, z obcych ludzi złożonemu, ponieważ innego nie widzieli środka do wyratowania się z ostatniéj toni, jak tylko gwałtowne zmiany polityczne.

Ważniejszą daleko przyczynę do narzekań dawało ludowi uciemiężanie go przez obcych urzędników, którzy, jak się to już wyżéj powiedziało, tylko wzbogacenie się i własne zyski mieli na celu. Pobór podatków nie należał wprawdzie do rzeczy niepodobnych do uskutecznienia, lecz sposób, w jaki je wybierano i wykonywanie praw tego się tyczących przez urzędników nie mało lud ciemiężyło. Gubernatorowie po prowincyach działali tylko stósownie do potrzeb i celów swéj partyi lub koteryi, a po większéj części stojąc w porozumieniu z celnikami i komissarzami poborów, starali się z tego związku jak największe wyciągnąć korzyści. W kilku tylko okręgach, których Gubernatorowie poczciwymi byli ludźmi, nie słyszano zwykłych skarg i narzekań. Komissarze poborów odznaczali się uciskiem i przekupstwem; przy każdym interessie finansowym patrzyli jedynie na to, jak sobie zapewnić zysk nie mały, co tak bezczelnie i publicznie czynili, iż nikt, widząc, jak bezczelność i oszukaństwo górę bierze, nie śmiał przeciw nim zanieść skargi. Przy komorach celnych, przy żupach solnych i po portach, ciągle niesłychane wydarzały się oszukaństwa i przemycania. Wszyscy urzędnicy od najwyższego do najniższego stali z sobą w porozumieniu. Jeżeli się przypadkiem znalazł poczciwy człowiek, który starał się zapobiedz temu nierządowi lub groził oskarzeniem, starano go się wszelkiemi środkami oddalić z jego miejsca, lub co więcéj — zupełnie zniszczyć całą jego exystencyą. Tak samo postępowali sobie dzierzawcy dziesięcin, którzy aż do roku 1840, t. j. aż do nadania prawa tyczącego się dziesięcin, prawdziwémi, lud ssącémi, byli pijawkami. Każdy chłop n. p. musiał zachować dziesięcinę do czasu, jaki poborca samowolnie naznaczył, często także 10 lub 15 mil na samowolnie naznaczone miejsce odstawić. Obrachowanie dziesięcin tak w naturaliach, jako i pieniędzach danych, działo się także w sposób jak najniegodziwszy. Powiedział n. p. podatek płacący, że ta beczka wina tyle a tyle ma kwart, to mu taxatorowie, stojący pod wpływem poborcy podatków, o ¼ wyżéj ocenili; przy opłacie podatków musiał tedy biedny chłop opłacać ¼ więcéj, niż się należało i to jeszcze zwykle taką droższą ceną, jako miało wino po większych miastach. Podobnie zupełnie postępowano sobie przy taxowaniu bydła i zboża i t. d., na czém zwykle prosty i biedny chłop najwięcéj ucierpiał. Poborcy tworzyli zupełny związek pomiędzy sobą, a chociaż się rządowi nieregularnie z wypłaty uiszczali i często pozostawali jego dłużnikami, to jednakże nie podobną było rzeczą dostać się komu innemu do ich wydzierzawienia, ponieważ wszyscy starali się o to jak najusilniéj, żeby taki nowator regularnie wypłacał, sami zaś brali podatki w najwyższą dzierzawę, co sobie, nieregularnie płacąc, sowicie wynagrodzić potrafili. Tak przynosiły podatki, które nadzwyczajnym były ciężarem dla ludu, nie wielkie dochody rządowi. Sędziowie i notaryusze potrafili z niedoświadczonego chłopka podwójną wyłudzić zapłatę; adwokaci brali od obydwóch stron pieniądze; w sądach toczyły

się sprawy nader wolno, a zwyczaj przekupywania tak się stał przy wszystkich sprawach sądowych powszechnym, iż się zdawało, że w krótkim czasie zażądają jego potwierdzenia. Najgorsze były zdzierstwa Dimarchów (przełożonych komunalnych), którzy się ani o policyą, ani o szkoły, ani o dobre drogi nie troszczyli, należne zaś opłaty z największém wybierali okrucieństwem. Rozsiewali najokropniejsze pogłoski i wieści o niedogodności życia w regularném wojsku, jedynie tylko dla tego, ażeby rodzice i krewni za uwolnienie od wojska synów lub innych pokrewnych tém większe płacili im summy. Bezczelność pozwalała im chełpić się z podobnych czynów. „Prawda, drodzy przyjaciele“ mówił pewien Dimarcha w Etolii, gdy mu w obec zebranéj rady miejskiéj czyniono zarzuty o nadwerężenie skarbu — „żem cokolwiek do własnéj wsunął kieszeni, jednakże dla tego to tylko zrobiłem, ażebym mógł długi moje popłacić. Prawda i to, że mi się jeszcze cokolwiek pozostało, ale też za to nie będziecie mieli od téj chwili żadnéj przyczyny do skarg przeciwko mnie.“ Przy wszystkich podobnych oszukaństwach urzędników potrafiło także i wielu przebiegłych krajowców często nawet przewyższyć obcych, i nie raz usunąć ich z posady.

(Dokończenie nastąpi.)

Nº 163. P. SZLACHECKA *ode Lwowa*

Text do *Nru. 163.*

1. Wszystko z czasem ulatuje,
Prócz mojego umartwienia,
Wszystko koniec swój znajduje,
Los się mój zły nie odmienia.

2. Płakać tylko i narzekać,
Los mi mój nakazał srogi,
Końca życia we łzach czekać,
Nie wzajemny przedmiot drogi.

3. Choć się czasem i roześmieję,
Umysł mój zawsze stroskany,
Na pozór się wszystko dzieje,
Gdyż ja w sercu cierpię rany.

4. Podobno więc cierpieć trzeba,
Cierpieć póki życia stanie,
Bo tak widzę chciały nieba,
I tak każe me kochanie.

(*Wacł. z Oleska*, str. 289.)
z towarz. fortep. K. Lipińskiego.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 40. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 3. Października 1846.

Objaśnienia kilku numizmatów Polskich. — Wiersz na zgon Marcinkowskiego. — Rewolucya grecka (dokończenie). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Numizmaty polskie z czasów Stefana Batorego.

Objaśnienia kilku numizmatów Polskich.

L. 1. (*) S. G. W perłowym obwodzie uzbrojonéj i ukoronowanéj pół osoby, w prawéj ręce trzyma berło; napis: STEPHANUS † D † G † REX † POLONIAE. Potém ozdoba z kwiatem.

S. O. Polski ukoronowany orzeł, na którego piersiach jest tarcza z herbem Batorych. Napis: MAG † DUX † LITVA † RUS † MAS † PRUS † etc. To jest talar.

L. 2. S. G. W perłowym obwodzie ukoronowanéj i uzbrojonéj pół osoby * STEPHAN: D. G. REX POLON: M. D. L.*

S. O. W podobnym obwodzie okryta tarcza z herbem jak pod liczbą 1. Napis: RUS: PRUS: MAS: LIVO: PR: TR: Między napisem podskarbiego herb, to jest: pół talara, bez liczby roku.

L. 3. S. G. Tak jak pod liczbą 2. Napis: STEPHA: D. G. REX PO: M. D. LI:

S. O. W obwodzie trzy herbowne tarcze, na wierzchu dwie, na prawéj polski, na lewéj litewski herb, na dole między rokiem 1581 herb Batorych, na wierzchu korona, pod którą liczba VI. Napis: GROSS: ARGE: SEX: M. D. LIT: Między napisem herb Leliwa podskarbiego litewskiego Hlebowicza. To jest: litewska sześciogroszówka.

L. 4. S. G. Tak jak pod liczbą 3.

S. O. Liczba III. znak trójgroszówki, na prawéj stronie orzeł polski, na lewéj pogoń litewska, niżéj wybito: GROS: ARG: POLONIAE, między liczbą roku 1585. herb Jana Dólskiego, zwany Przegonia, i litery J. D.

L. 5. S. G. Tak jak pod liczbą 4, a między napisem herb podskarbiego, jak pod liczbą 3.

S. O. Trzy herby jak pod liczbą 3. Tarcza dzieli liczbę roku 1583., pod którą jest napis w trzech wierszach: GROS: ARG: TRIP: M. D. LIT: to jest: litewska trójgroszówka.

L. 6. S. G. W okręgu perłowym pół osoby w xiążęco-królewskiéj koronie; napis: STEPHAN: D. G. REX POL: D. P.

S. O. W podobnym obwodzie herb miasta Gdańska, dzielący liczbę roku 1578. Napis: GROSSUS* CIVI* GEDANENSIS. To jest: grosz miasta Gdańska, dwie litery zaś: D. P., znaczą Dux Prusiae.

(*) Dla skrócenia znaczy L. liczba, S. G. strona główna, S. O. strona odwrotna.

L. 7. S. G. Jak pod liczbą 6. Napis: STEPH: D. G. REX PO: M. D. L.

S. O. W obwodzie herb miasta, koło którego liczba 81, to jest 1581., niżéj liczba wartości I. między dwiema różami. Napis: GROSSUS CIVITATIS RIGENSIS. To jest: grosz miasta Rygi.

Na zgon najgodniejszego Męża.

Wielka nas, wielka przestrzeń przedzielała!
Przecię dobrzmiała uszu mych Twa chwała;
Przeciężem często blisko Ciebie tchnął!
Blisko przy Tobie? Nie! W Twéj duszy tchnąłem!
Wniéj to się nie raz aż pod nieba mknąłem,
Albom przynajmniéj wzniosłą chęcią drgnął!

Nawet w odcieniu wzrok mój Cię nie witał,
Ani tam chwilki w rysach Twych nie czytał;
Jednak i skrytość myśli Twoich znam!
Znam, znam jak słońca tarczę świetniejącą;
Znam jak swą duszę szczęściem braci tchnącą;
Znam, i w swém łonie hołd dla Ciebie mam!

Ani mnie ród Twój, krew Twa nie zaszczyca!
Jednak ja Ciebie czczę, jak syn rodzica,
Co bez przykazań rad swój zaszczyt czci.
Czczę Cię! A chociaż świętsze Twoje lata,
Kocham Cię oraz jak czułego brata,
Nogi i usta wraz całując Ci!

Zkądże zaś taka cześć i chwała szczytna?
Zkąd ta dla Ciebie miłość czołobitna?
Możeś mię kupił, lub mi otarł łzę?
Może mnie ludzi jaka korzyść podła?
Może mnie tylko chwały chuć uwiodła?
Nie! Lecz i ja Cię słusznie uczcić chcę!

Błyszczą Mocarze na wspaniałym tronie;
Nawet im w laury świat przystraja skronie;
Hołdy im składa i rozdźwięcza cześć; —
Aleś i Ty był w swym obrębie Władzcą!
Iluż zaś bólów, trosk i łez Zaradzcą,
Że Cię przez wieki sławić winna wieść!

Ty nie należysz do tych zbyt szczęśliwych,
Których, nim zaczną istnieć pośród żywych,
Już oczekuje blask i skarbów zbiór. —
Przebóg! Na Ciebie czychał los zbyt srogi,
Który Ci drogę słał ostrémi głogi,
A przepaściami przekopywał tór.

Ileż bezsenі rozum Twój kształciło!
Ileż się razy niebo Twoje ćmiło!
Ileż zabiegów Twój suszyło szpik!
Ileżeś musiał zdeptać podłych gadów!
Ileż wytrzymać ciosów śród napadów!
Przecieś przełamał swych sprzeciwieństw szyk!!

Tyś to zwyciężył; losy zaś Twe jękły,
I zawstydzone kornie z żalem klęknły,
Klnąc się, że już Ci służyć będą wciąż!

Czynią Cię oraz Mistrzem boskiéj sztuki,
I nagradzają mozół Twéj nauki,
Trąbiąc rozgłośnie: Oto rzadki Mąż!

Szuka Go naród, aby Go oglądać,
I by od Niego ocalenia żądać,
Wznosząc ze łzami uwielbienia głos.
Onci z miłością Wszechpocieszyciela,
Chorych uzdrawia, smutnych rozwesela,
Nawet wstrzymuje zgrożny śmierci cios!

Ileż On razy w kruczą, straszną ćmotę,
Ileż On razy w zamieć, w krwawą słotę,
Drżący cwałował z poratunkiem swym!
Iluż On matkom wrócił drogie życie,
Iluż istotom w samym lat rozkwicie!
Ileż pociechy Mąż ten przyniósł im! —

Podbił też sobie serca i rozumy!
Rozwarł podwoje najzdrożniejszéj dumy!
Sama Go błaga: Wnidź w me progi, wnidź!
I samolubca nie jest dlań nieczuły!
Sknera a rad z nim dzieli swe szkatuły!
Lud Go zaś gotów jak Świętego czcić! —

Mógłeś bezpiecznie skarbów nagromadzić!
Mógłeś się szumno w świetny przepych sadzić!
Mógłeś swe łoże axamitem słać!
Aleś Ty tylko żył dla szczęścia ludu! —
Tyle znosiłeś dla swych bliźnich trudu,
Żeś się aż musiał ach ofiarą stać! —

Inni nie syci skarbów, ni też włości,
Pragną zbrodniczo braci swych własności,
Radzi ją wydrzéć dla rozrzutców swych!
Ty się zaś zrzekłeś nawet tchnień słodyczy,
Jakich i nędzarz swemu sercu życzy,
Luboś miał wybór w gronie Polek cnych.

Tybyś był gotów zrzec się i Anioła,
Aby nie zwęzić działań swoich koła,
Chcąc mieć za dzieci choćby cały świat!
Tyć to i starszych dobrym Ojcem byłeś,
Iluż swą łaską nie swych synów wzbiłeś,
Rad ich szukając i w zakątku chat!

Tyś to wydźwignął nowe pokolenie!
Tyś chciał rozpędzić czasów swoich cienie!
Tyś był sprężyną sił — potężnych dusz!
Tyś był ogniskiem mężów najwybrańszych!
Tyś był tajnikiem dążeń najkochańszych,
Że Ci równego nie ujrzymy już!

Takeś był godny, że aż można zbłądzić!
Któż śmie bez krzywdy wzniosłość Twą osądzić?
Rzadkić w głębiny zasad Twoich wnikł!
Sama pobożność źle Cię oceniła!
Bo i bezwierczość cnotą Twoją była! (*)
Aleć nam daruj! Świątci grzeszyć zwykł. —

Śmiało Cię każdy zwać swym może wzorem;
Śmiało iść może Twoich zasług torem!
Winien jest nawet drogą cnót Twych biedz!
Znaż kto większego nędznych przyjaciela?
Znaż kto lepszego współobywatela?
Onci był gotów nawet w krwi swéj ledz.

Tyści ludowi był nad wszystko drogi!
Ciebie kochały i Twych celów wrogi!
Tobie i dumny w duszy czołem bił!
Czemuż więc, czemuż serce nam zakrwawiasz?
Czemuż w sieroctwie tylu nas zostawiasz? —
Obyś był raczéj nam na wieki żył!!

Śmierci, tyś sroga! Ach, tyś zbyt okrutna!
Często nas gorszy młodzież czcza, rozrzutna, —
Hańbi nasz naród tylu ziomków złych:
Im to choć wszystkim mogłaś wyrwać duszę!
Czemuż ja dzisiaj męża płakać muszę,
Który to tron miał w ideałach mych? —

Lecz on się tylko wzmógł tam w nagród strony!
Tam od Kościuszki został pozdrowiony!
Tam uściśnięty za swych zasług trud!
Ztamtąd też wspólnie z ś. Stanisławem,
Będą patrzeli okiem wciąż łaskawem,
Na utrapiony bratni, drogi lud. —

Ach współrodacy z ziemi przeniesieni,
W których się miłość wszech cnót aż płomieni,
Oh, owiewajcież mię do końca dni!
Niech nie ostygną rzutne chęci moje!
Niech zaś z nich trysną godnych czynów zdroje,
Wraz mię wspierają moi bracia cni!

Lecz i mych ziomków ciągle owiewajcie!
Wy się w nich wolą i rozsądkiem stajcie!
A niech nas sławi każdy, każdy czyn!
Jęczym w sromocie, że sam wróg się żali;
Dzierzym i jarzmo z jak najtwardszéj stali; —
Aleć najwięcéj cierpim z własnych win!!

Jeszczem się w duszy z wad nie odrodzili!
Ztąd się też próżno zbrojna ręka sili;
Ztąd też z niéj stokroć wypaść musi miecz!
Liczba wybawców niknie jak śród boju,
Bo się nie uczym drogich cnót pokoju!
Ach i bez gwałtów śpieszy naszość wstecz!

Ale zaczniéjmy być Marcinkowskimi,
A bez morderstwa tysiąc walk stoczymy,
A nawet w więzach wolność musim mieć!
Wtedy ciemięzcy krew nam naszą wrócą!
Nawet się do nóg nam z daniną rzucą!
Nawet nam z ust ich pienia zaczną brzmieć! —
Lecz swéj poprawy musim najpierw chcieć!!
Lecz swéj poprawy musim najpierw chcieć!!! —

Sierp Polaczek.

(*) Zdania tego nie podzielamy; bezwierność nigdy cnotą być nie może. Marcinkowskiego co do wiary tak pojmujemy: Kto całe życie najślachetniejszémi czynami napiętnował, musiał mieć wiarę i to najpiękniejszą, bo na najślachetniejszych zasadach chrześciaństwa opartą.

Przyp. redakcyi.

Rewolucya grecka, zaszła dnia 15. Września 1843.

(Dokończenie.)

Widząc ten ciężar leżący na całym kraju, przewidywali przenikliwsi patryoci, że w ten sposób przez niegodziwych zupełnie urzędników i przewrotny system administracyi kraj zniszczeje do szczętu. Lud był obciążony podatkami, a mimo tego kassy rządowe próżne; prawda, że nie było tego widać, póki wypłata pożyczki trwała i rząd opiekuńczy pełnemi zawiadywał kassami. Dopiero w ten czas, skoro pożyczkę wybrano, dał się uczuć niedostatek; brakło wszędzie pieniędzy, tak na pokrycie wydatków państwa, jak na zapłacenie procentów od zaciągnionéj pożyczki. Trzy owe państwa dozorujące opiekowały się rządem greckim aż nadto przez londyńską konferencyą i ciągłe robiły mu przedstawienia, ażeby lepszy i oszczędniejszy zaprowadził system administracyi. Jakkolwiek pożyteczne i uzasadnione były te przedstawienia, bolało to jednakże patryotów greckich, że obce mocarstwa opiekowały się krajem, coraz więcéj mieszały się w szczegóły administracyi i zupełne dawały rządowi przepisy, jak sobie postępować powinien. Prócz tego intrygowali ambassadorowie tych trzech mocarstw, każdy kryjomo, każdy chcąc swemu rządowi największy wpływ zabezpieczyć, jakkolwiek wszystkie takie dyplomatyczne intrygi, które zwykle chętniéj krzywą, niźli prostą lubią chodzić drogą, żadnego lub tylko pozorny osięgają skutek.

Coraz liczniejsi nieukontentowani łączyli się pod oczyma niepojętnie zaślepionego dworu z każdym dniem silniéj i tłumniéj. Głośno żądano przyobiecanéj konstytucyi, lecz głos ludu nie dochodził Króla, którego tak dworacy potrafili odłączyć od wszystkiego, iż nie wiedział, co się w samych Atenach dzieje. Noty konferencyi londyńskiéj coraz były groźniejsze, tymczasem starał się każdy z trzech ambassadorów podżegać swych przyjaciół i zwolenników do wyparcia ministeryum, usiłując rząd na nową zupełnie wprowadzić drogę. Jak daleko się te zabiegi dyplomatyczne rozciągały i ile się do obalenia ówczesnego rządu przysłużyły, tego nigdy dokładnie wykryć nie można było; zdaje się jednakże, że ambassador rossyjski był w tym względzie najczynniejszym. Pokazuje się to najprzód stąd, że poseł francuski, widząc niezawodnie, iż wpływ rossyjski górę bierze, kilka dni przed rewolucyą o jéj wybuchu Króla uwiadomił i starał go się, jakkolwiek napróżno, namówić, ażeby przez dania konstytucyi zapobiegł powstaniu; daléj także i stąd, że pierwsze z rewolucyi powstałe ministeryum składało się z Napistów, t. j. z ludzi, którzy wprawdzie nie chcieli oddać kraju pod wpływ rossyjski, lecz daleko więcéj z Rossyą sympatyzowali, niż z Anglią lub Francyą. Niechajby się w reszcie rzecz miała przeciwnie, to jednakowoż pewna, że w całém tém poruszeniu myśl narodowa prześcigła wszelkie obce wpływy, a usiłowania zagranicznych dyplomatów, ażeby dostać rząd kraju w własne ręce, spełzły na niczém.

Na początku Września 1843 roku przyszła nota konferencyi londyńskiéj, w któréj rząd do dania przyrzeczonéj konstytucyi i do zaprowadzenia lepszego systemu finansów napominano. Posłowie trzech mocarstw napominali i intrygowali, rząd robił rozmaite wybiegi, zwłaczał, protestował i w starych pozostawał błędach. Grecy widzieli, że napróżno używali wszelkich zwyczajnych środków, ażeby rząd na narodową i lepszą wprowadzić drogę; wszyscy prawie znaczniejsi ludzie rozmaitych partyj jednomyślnie połączyli się z sobą, ażeby uczynić gwałtowny krok ku zmienieniu rządu. Wybuch rewolucyi umówiono na dzień 17. Września. Rząd wiedział o tém wprawdzie, ale nie wiedział nic pewnego; także i wyżéj nadmienione przestrogi posła francuskiego nie zawierały nic pewnego, kiedy i w jaki sposób ma wybuchnąć rewolucya. Nawet gdyby rząd był wiedział, kiedy ma wybuchnąć powstanie, byłoby mu trudno coś stanowczego przedsięwziąść, ponieważ wszystkie partye miał przeciwko sobie. Jedynym środkiem do pozyskania wszystkich dla siebie było, dać posłuchanie zażaleniom narodu i niedogodnościom wedle sił zapobiedz, lecz środka tego rząd się nie chwycił, pogrążony w niepojętém jakiémś zaślepieniu. Dnia 13. Września otrzymano pewniejsze wiadomości o wybuchu rewolucyi przez Minarchę (Prezesa) policyi, Tzinosa, człowieka bar-

---

Przypisek do następnego obrazka.

(*) Jest to ten sam mąż, którego dłóta pomnik w numerze 29. b. r. umieściliśmy.

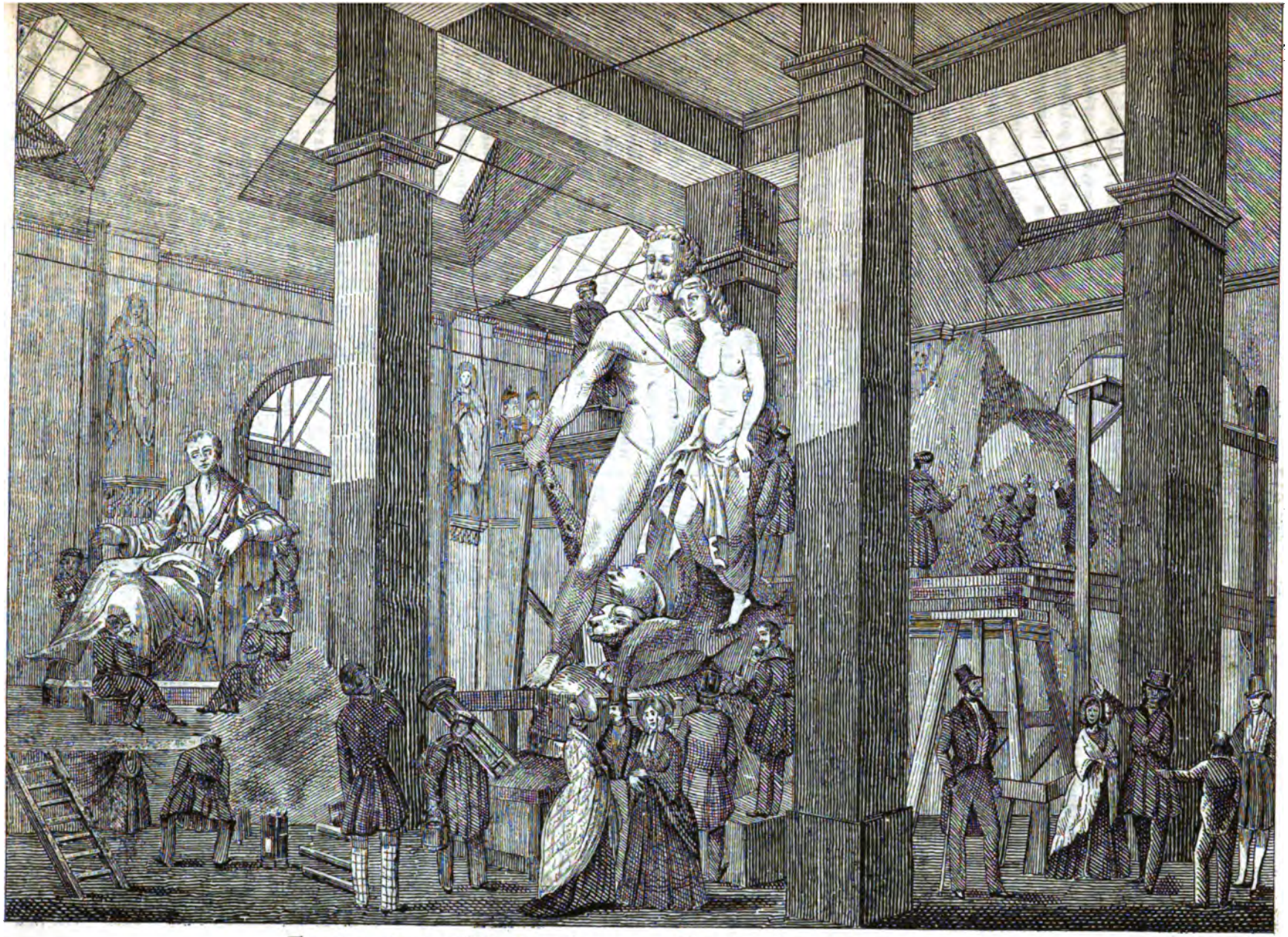

Pracownia rzeźbiarza Pompeo Marchesi w Medyolanie.

dzo przebiegłego, który odznaczał się samowolą i okrucieństwem. Dowiedzieli się o tém spiskowi i widzieli, że ani chwili nie było do stracenia, postanowili więc jednogłośnie, ażeby natychmiast przedsięwzięcie wykonać. W nocy z 14. na 15. Września o 2giéj godzinie dano kilku strzałami z pistoletu znak do powstania, lud zgromadził się cichuteńko po ulicach i cała załoga stanęła pod bronią. Pod dowództwem pułkownika Kalergiego i Makryaniego ruszyła cała ta massa, krzycząc: „niech żyje konstytucya“ i udała się ku pałacowi królewskiemu, nieco odlegle od miasta położonemu. W pałacu wszystko było w najokropniejszym strachu i nieporządku. Krótko przed północą powiedziała była jedna dama honorowa, Greczynka, księżnie Oldenburg (siostrze królowéj), że w nocy zostanie może wzbudzoną kilku wystrzałami, lecz niechaj się bynajmniéj nie lęka, ponieważ nikt nie ma zamiaru szkodzić królewskiéj familii. Nikczemny ów Tzinos uciekł był zaraz na początku poruszenia do pałacu królewskiego, ażeby ujść niebezpieczeństwa, wiedział bowiem bardzo dobrze, jaką ku niemu cały lud pała nienawiścią. W krótce potém stanęła cała massa ludu przed pałacem, wojsko obsadziło wszelkie wnijścia, za wojskiem zaś stał cały lud tłumnie, lecz spokojnie. Dowódzcy rewolucyi już naprzód zapobiegli wszelkim tumultom i gwałtom. Kalergi uwiadomił naprzód dyrekcyą banku o mającém wybuchnąć powstaniu i posłał oddział żołniérzy do obsadzenia i zasłonienia go od złodziei lub podobnego motłochu. Wszystkich ministrów aresztowano natychmiast w ich mieszkaniach, ażeby ich nie wystawiać na niebezpieczeństwo z strony ludu im zagrażać mogące i trzymano ich aż do dnia następnego, w którym ich uwolniono. Rada państwa zebrała się zaraz na początku poruszenia, w celu zajęcia się ułożeniem adressu do Króla i proklamacyi do ludu.

Gdy lud i wojsko pałac oblegało, nic się gwałtownego nie wydarzyło, tylko powietrze drżało od okrzyków: „niech żyje konstytucya!“ Król w ten sposób o żądaniach ludu uwiadomiony, przystąpił do okna i zaręczał, że o zaradzeniu potrzebom kraju, skoro się z ministrami, z radą państwa i posłami obcych mocarstw naradzi, pomyślić nie omieszka. Na to odrzekł Kalergi, że lud już ministeryum jako takie nie uznaje i że rada państwa właśnie nad tém się naradza, czego okoliczności wymagają. Gdy to mówił, wciąż brzmiały okrzyki: „niech żyje konstytucya!“

Jakkolwiek Król widział, że prawie cały lud ożywiał duch pokoju i sprawiedliwości, jednakże opuszczony od przerażonych dworaków, w bardzo trudném znajdował się położeniu. Nareszcie przyszła deputacya rady państwa i przedarłszy się przez tłum ludu i wojska, weszła do pałacu i podała Królowi adres rady państwa, w którym go proszono w imieniu całego narodu, ażeby: „natychmiast utworzył nowe ministeryum (złożone z panów: Metaxas, Londos, Kanaris, Mansolas, Leona Melas i M. Schinas) i podpisał rozkaz nakazujący nowemu ministeryum w przeciągu miesiąca zwołać sejm, który nad ostatecznem nadaniem konstytucyi miał się naradzić.“

Król wzbraniał się z początku uporczywie i nie chciał wypełnić tych żądań. Podczas gdy go deputacya do tego nakłonić starała się, brzmiały z zewnątrz okrzyki: „niech żyje konstytucya!“ Jakkolwiek nierozpoczęto walki, zaczęły się massy niecierpliwić nad tak długą zwłoką i nareszcie niepokoić. Deputacya żądała coraz usilniéj od Króla zaspokojenia żądań narodu, zwróciła na to jego uwagę, jak niebezpiecznem może być ociąganie się jego w skutkach swoich, tak co się jego samego jak tronu i kraju tyczy, jeżeli tak spokojnie zrodzone powstanie przez niespodziany opór jego w krwawą zamieni się wojnę. Chociaż — mówili daléj — siła zbrojna dotychczas zachowała się spokojnie, to jednakże działa wycelowane na pałac czekają tylko na rozkaz, ponieważ cały lud podniósłszy się jednomyślnie i dobrowolnie, nic nie zdziaławszy, zapewne się nie rozejdzie. Moc prawdy dozwoliła nakoniec Królowi, który dotychczas tylko głosu fałszywych i samolubnych słuchał dworaków i radzców, przejrzéć i prawdziwy stan rzeczy dokładnie ocenić. Poznał, że jego wzbranianie się zaspokojenia życzeń narodu mogłoby dotychczasową odgróżkę w gwałtowną zamienić rewolucyą, jego tronowi zagrozić niebezpieczeństwem i cały kraj wprawić w najdzikszą anarchią. Cała rozmowa Króla z deputacyą rady, trwała około dwóch godzin. Posłowie obcych mocarstw zebrali się tymczasem

około pałacu i żądali wnijścia. Kalergi odpowiedział im, że Król właśnie znajduje się w téj chwili na posiedzeniu rady państwa i że w czasie téj narady ani posłowie obcych mocarstw, ani ktokolwiek inny do pałacu wpuszczonym być nie może. Posłowie cofnęli się zdziwieni, poleciwszy wprzódy osobę Króla i jego mieszkanie szczególnéj baczności Kalergiego.

Skoro tylko Król zatwierdził przyjęcie adressu własnoręcznym podpisem, przyniosła deputacya odpowiedź radzie państwa, nowych zaś ministrów zawołano na naradę do Króla. Podczas gdy lud wiadomość o gotowości Króla z wielkim przyjmował zapałem i radością, ogłosiła rada państwa proklamacyą, w któréj ludowi i armii złożyła podziękowanie za wzorowe postąpienie sobie w téj sprawie i za zachowanie porządku, z jakim ten krok patryotyczny rozpoczęto i ukończono, i daléj dodała uwiadomienie, że od téj chwili armia będzie składała przysięgę: „Ojczyźnie i konstytucyjnemu Królowi,“ i że dzień 15go Września (t. j. 3go podług greckiego kalendarza) policzony będzie w poczet świąt narodowych. Obydwa te rozporządzenia zostały tegoż samego dnia przez Króla potwierdzone.

W czasie narady Króla z nowymi ministrami zostali obcy posłowie do pałacu wpuszczeni. Wszystkie dotychczas opisane wypadki trwały może do południa, a jeszcze cała ludność ateńska czekała końca na miejscu. Wtém pokazał się Król, otoczony nowymi ministrami i posłami obcych dworów, na balkonie. Natychmiast rozległ się okrzyk powszechny: „Niech żyje Król!“ „Niech żyje konstytucya!“ Cała załoga defilowała przed Królem z towarzyszeniem muzyki i głośnych okrzyków ludu i powróciła o 3ciéj godzinie po południu do koszar. W godzinę późniéj wyglądało miasto tak spokojnie, jak gdyby nigdy nic w niém nie zaszło.

Tak rozpoczęła i skończyła Grecya zmianę rządu w 12 godzinach. W całym tym czasie nie dopuszczono się żadnego gwałtu, ani nie naruszono bezpieczeństwa osób i własności. Prawda, że dawnych ministrów aresztowano w ich mieszkaniach, lecz, jak się wyżéj powiedziało, na drugi dzień zaraz puszczono ich na wolność. Dopiero późniéj, gdy przy rozpoczęciu oborów na sejm zaczęli robić intrygi, ażeby wpływ sobie zabezpieczyć, wezwał ich rząd, dnia 25go Września, ażeby na czas oborów i obrad sejmowych udali się na którąkolwiek z wysp Archipelagu, któremu to wezwaniu oprzeć się nie mogąc, musieli być posłuszni. Tzinos ukrywał się kilka dni w pałacu; takie było oburzenie ludu przeciw niemu, iż Król widział się spowodowanym wysłać go z Aten na wyspę Tynos. Chociaż mu dano straż, ażeby go uchronić od napaści, to jednak mimo tego musiał się skryć w jednym klasztorze, skąd po pięciodniowém ukrywaniu się na wyspę Syra się udał.

Król podpisał zaraz po rozpoczęciu sejmu ordonans, w którym pułkownikom Kalergiemu i Makryaniemu za wzorowe kierowanie sprawą dnia 15. Września, oddaje podziękowanie. Długo niechciał podpisać tego ordonansu, lecz nareszcie, gdy mu ministrowie zaczęli robić przedstawienia, sam się przekonał, żeby lud wątpił o jego przychylności do nowego stanu rzeczy, jeśliby jego sprawcom wachał się oddać podziękowania. Tegoż samego dnia ogłoszono rozkaz, mocą którego zwołano deputowanych w przeciągu miesiąca na sejm. Wszystkim, którzy czynny mieli udział w rewolucyi, dano medale bite na pamiątkę tego zdarzenia. Takiémi sposobami przywrócono węzeł, łączący lud z rządem, których niegodziwi doradzcy poróżnić ciągle starali się, a jeżeli od owéj pamiętnéj nocy obawa i niechęć pozostała w sercu Króla, to niezawodnie teraz zniknęła na widok dowodów miłości i zaufania do niego. Dnia 16. Września szedł Król sam jeden przez miasto, którego okrzykiem: „Niech żyje Król konstytucyjny!“ wszędzie przyjmowało, równie jak i dnia 17., gdy wedle dawnego zwyczaju z Królową i Księżną Oldenburg przysłuchiwał się muzyce rannéj. Wieczorem tegoż samego dnia zawinął admirał Kanaris do portu Pireu i złożył przepisaną przysięgę: „Ojczyźnie i konstytucyjnemu Królowi!“

W całym kraju przyjęto w stolicy poczętą zmianę rzeczy z zapałem i natychmiast ją zaprowadzono; wszyscy urzędnicy i gminy złożyły chętnie przysięgę nowemu rządowi, bez najmniejszego nadwerężenia pokoju. Tylko w pogranicznéj twierdzy Lamia przyszło pomiędzy mieszkańcami a załogą do utarczki, którą na korzyść nowego rządu rozstrzygnięto.

Nowe ministeryum rozpoczęło natychmiast urządzenie administracyi i zmianę urzędników,

którzy, jak się wyżéj już powiedziało, wiele nieszczęść przynieśli na Grecyą. Nasamprzód oddalono wszystkich cudzoziemców od urzędów, a późniéj i z kraju. Środek ten mógłby się wydawać za nadto surowym i niesłusznym, może nie jednego niewinnie spotkał i bardzo mu był uciążliwym, ponieważ obrany z wszelkiéj pomocy, którą za stałą uważał, nieruchomości swoje prędko i za jakąkolwiek cenę sprzedać był przymuszony; lecz zważając na nienawiść przeciw cudzoziemcom, któréj przyczyny wyżéj były wymienione, nie podobna było przypuścić, ażeby lud spokojnie był patrzył na to, że wszystkie prawie urzędy były w ręku cudzoziemców. Nie użyto środka tego przeciw Filhellenom, jakto niektóre dzienniki kłamliwie donosiły, którzy w wojnie o niepodległość w szeregach Greków przeciw Turkom walczyli i za to po skończeniu wojny od państwa wynagrodzonymi zostali. Takiéj niewdzięczności nikt się w Grecyi nie dopuścił.

Równocześnie zajęło się ministeryum utworzeniem gwardyi narodowéj, któréj wodzem naczelnym mianowano Makryaniego i urządzeniem oborów na sejm narodowy. Obory odbyły się podług praw oborowych z roku 1833., których przy ówczesnych oborach na kongres powszechnie się trzymano. Przy końcu Października ukończono obory i sejm rozpoczął posiedzenia. Owocem tych narad była konstytucya, na mocy któréj władzę podzielono pomiędzy Króla, izbę senatorów i izbę przez lud obranych posłów. Tak stała się Grecya państwem konstytucyjném!

M. E. S.

№164. *z Galicyi i Krakowskiego.*

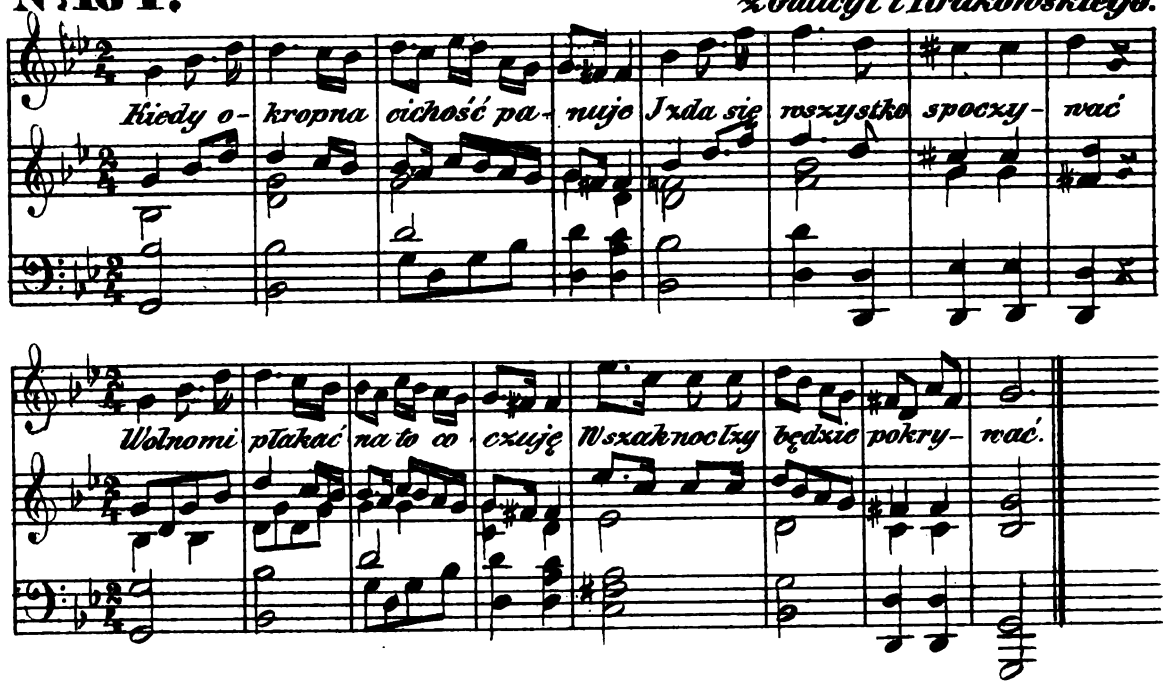

Text do *Nru. 164.*

1. Kiedy okropna cichość panuje,
   I zda się wszystko spoczywać,
   Wolno mi płakać na to, co czuję,
   Wszak noc łzy będzie pokrywać.
2. Nikt mnie podobno z ludzi nie słyszy,
   Bo tylko żyję samotnie,
   Wolno mi płakać w głuchéj zaciszy,
   I los mój łajać stokrotnie.
3. Losie, wszakcito z natury dano,
   Nad całym światem królować;
   Czemuż nie czynisz jak ci kazano,
   Losie, nie umiesz panować.
4. Boże, jeżeli z Twéj Opatrzności
   Do nieszczęść jestem wybrany,
   Wszak nie chcę złota, ani wielkości,
   Tylko żebym był kochany.

(*Wacł. z Oleska*, P. I. str. 295.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 41. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 10. Października 1846.

Martin, malarz angielski. — Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego (ciąg dalszy). — Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

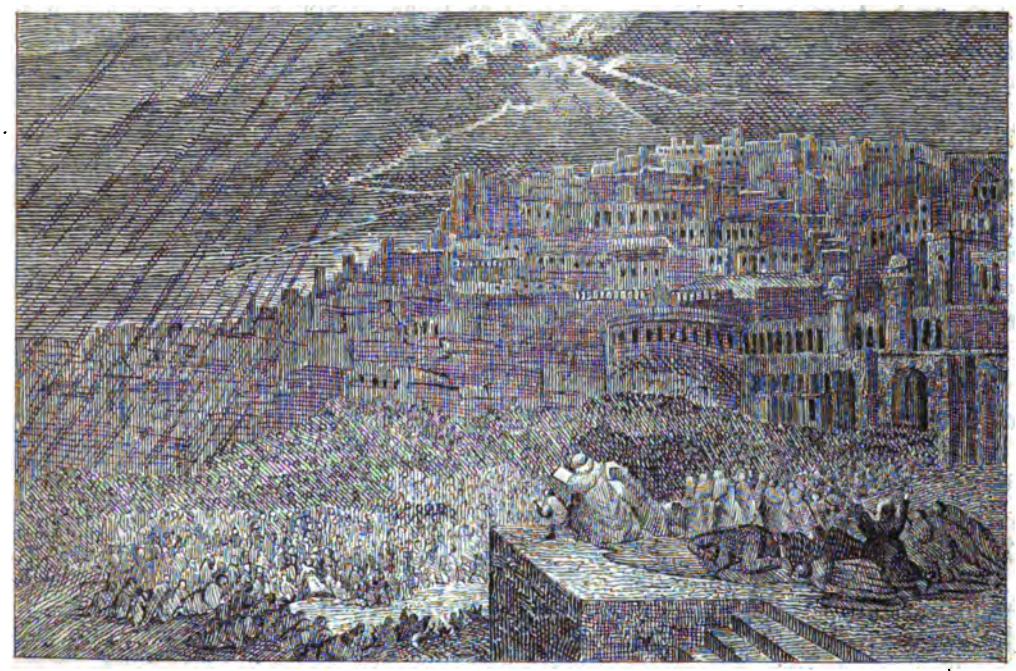

Upadek Niniwy.

Martin, malarz angielski.

Przed kilkunastu laty uderzyła mnie nader piękna rycina w składzie Dal-Trozza w Warszawie; ile zapamiętam, był to wzorowy sztych Martina. Późniejszemi czasy widziałem kilka rycin tego znakomitego malarza, a każda równie głębokie robiła na mnie wrażenie. Jest w nich jakaś mistyczna potęga, która gwałtownie wyrywa po za obręb zwykłego wesołego świata i w inne przenosi strefy; dla tego też obie sceny posępne są mu najwłaściwsze na wzorze zburzenia Niniwy, Pompei, potopu etc. Ujrzałem atoli na wystawie Londyńskiéj roku 1841 nader piękny obraz Martina, przedstawiający Jerozolimę niebieską, jako przyszłą sie-

dzibę zbawionych. Na najpiękniejszym lazurze, stanowiącym tło obrazu, spostrzegano na dole Jerozolimę ziemską, a nad nią w niezmiernéj wysokości rysowała się na niebie owa stolica obiecana świętym. Cieniutkie linijki czerwone oznaczały w lekkich zarysach owe przejrzyste niebiańskie świątynie; przez mury i gmachy miasta wszędzie przeglądał błękit nieba, a ogrom budowli udawał się niby lekkiém tchnieniem, mamiącém *fata morgana*. Nigdzie ujrzeć nie było można mieszkańców ni w niebieskiéj, ni w ziemskiéj Jerozolimie, tylko jeden archanioł w białych szatach spływał do niebieskiéj stolicy, niby posłannik Najwyższego. Ożywiał on cały obraz i dodawał mu jeszcze urok właściwy; cechował go piętnem rzeczywistości.

Takim widział obraz Martina i oderwać się od niego nie mógłem; lecz jakież były spostrzeżenia znawców Anglików! A cóż to za koloryt, co za brak rzeczywistości i t. p.; idealność wielkiego malarza niknęła w ich oczach, gdyż się oddalał z zwykłych obrębów sztuki.

Martin należy do szczupłéj liczby spółczesnych malarzy, w których się odzywa uczucie religijne; jedyny Overbeck zdołał z nim wszystkie swoje utwory ożywić. Szkoła Düseldorfska zaledwie się jęła religijnych kompozycyj, gdy wkrótce wpływ protestantyzmu ją z tego kierunku wyrwał, a teraz o zupełną oschłość przyprawił. Berlińskie kościelne obrazy ziębią współwyznawców. W Dreźnie Bendemann, tak nagle wsławiony swemi biblijnemi Düseldorfskiemi obrazy, już nic nie utworzył. Jedyne Monachium zachowało tradycye kościelnych kompozycyj i znakomici malarze się niemi zajmują; tu szczególniéj Plessa wspomnąć należy. Szkoła Francuska bardzo jest ubogą w malarstwie kościelném. Między polskimi malarzami, najbardziéj się religijnością pomysłu odznaczył Brzozowski, w jedynym swym obrazie, złożonym w kaplicy Królów w Poznaniu.

Lipiec, 1846.

† †.

Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

I Turcy mają zakonników swoich, a więc niby i monastery, które oni nazywają *Tekkie;* lecz ponieważ potworzyły się one w kraju, gdzie nie zabrzmiało nigdy słowo boże i nie sięgło w głąb duszy człowieka, zrodzonego w pokorze ulegać przed nim, więc wyrodziły z siebie nie duch pokory i uległości, lecz fanatyzm i zabobony aż do wściekłości, do ozwierzenia nawet człowieka. Rząd muzułmański zatém poniszczywszy je w wielkiéj liczbie, zostawił jednakże niektóre, a w tych rzędzie odznaczają się derwisze Mewlana, których fundatora grób i zbór zarazem ogólny w Konieh pozostał. W Pera widzieć można ich modlitwy każdego razu, bez obawy być pokrzywdzonym. Zebrani w sali, w cyrkuł zbudowanéj, odziani w kawowe suknie, zbliżają się do przełożonego pojedyńczo po błogosławieństwo, które on im daje, siedząc na ziemi, jedném mruknieniem: *hu!* on! t. j. Bóg! Poczém idą kręcić się boso, oczy zamknięte, ręce rozkrzyżowane, tak, że jedna sterczy w górę, a druga w dół. Po godzinie takowych pląsów, przy odgłosie bębna, skrzypcy i fletu, dochodzą znowu do Szejcha, jako ich przełożonego, po pierwsze owo błogosławieństwo. Po różnych zakątach w Konstantynopolu przeraża się niekiedy człowiek zarwaném wyciem i jękami siedzącego gdzieś derwisza, który wywodzi tonami i zaprasza niby na modlitwę słowem: *hu!* — Zaszedłem raz do ich zboru; nie byli to jednak derwisze Mewlana, lecz innéj sekty. Młodzianie wojskowi i cywilni łączyli się tam do ich modlitw, opartych na jedném tém słowie: *hu!* Pobrani za ręce, wszyscy utworzyli koło, w którém stał ich przełożony, powtarzali za nim niektóre wyjątki z koranu, poczynali się zwolna i jedném kołem posuwać, wymawiając głośniéj coraz słowa: *Allah-Ekber*, t. j. Bóg jest najwyższy! i w końcu schwyciwszy się za barki i utworzywszy jeden ciasny łańcuch, poczęli się konwulsyjnie targać, szamotać, skakać, śpiewać, ryczeć, wyć i w końcu już tylko jęczeć przeraźliwie; albowiem, spoceni i znużeni do słabości, padali nawet w mdłościach, okryci bladością śmiertelną, gdzie zimną wodą, jak wściekłe zwierzęta oblewano i unoszono pojedyńczo na bok. Przełożony nie przestawał jednakże ciągle donośnym głosem zagrzewać ich do dalszych ruchów, aż nim uszczupliło się i całkiem rozprzęgło koło, rozerwało się i znikło; bo ofiarnicy już polegli w konwulsyach i

tarzali się w grymasach. W takowych modlitwach im więcéj znajduje się ofiar, prawie do zupełnéj utraty zmysłów przywiedzionych, tém były one doskonalsze i przyjemniejsze Bogu, jak dowodzi ich Szejch. Rząd zniósł i te modlitwy zabobonności; bo istotnie wiele młodych żołnierzy zapadało w suchoty i umierało. Takowe zbory i nadużycia zdrowia odbywają się w piątek, a nawet i w dni inne, bez względu na czumę, na tę morową zarazę, w któréj ludzie, jakby zatrute muchy, bez ratunku padają. Czuma jest to dziedziczna, iż tak powiem, choroba wschodu, pochodząca z nieczystości, z obżarstwa, zwłaszcza fruktów, i ze ślepéj ufności w *kismet*, t. j. przeznaczenie. Konstantynopol co rok prawie zadaje sobie okropne klęski z przyczyny mnogoludności i bezrzędu. Ból głowy, womity, łamanie kości i ziębienie, zwyczajne są oznaki zarażonego. Po takowych symptomatach dostaje on na drugi lub trzeci dzień wrzód na szyi lub w kroku, lub też pod pachami; ten skoro dojrzewa rychło w kolorze brunatnym i też czerniejącym, zwiastuje zawsze śmierć niechybną. Guz zaś bladawy, z początku twardy i zwolna nabierający, pęka sam zazwyczaj i ocala życie. Ciało trupa wynoszą z domów Franków Chamały, t. j. nośniki, Muzułmani lub Ormianie, którzy przechorowali już czumę i są niby nietykalnymi na przyszłość, co jednak jest bajką. Familia pochowanego z czumy przymuszoną jest opuszczać dom na dni 40, jeśli w nim kilka familij się mieści, i szukać schronienia choćby i pod ziemią; gdyż nikt najbliższy, nawet z krewnych, w dom swój onéj nie przyjmuje. Cała ruchomość i sprzęt domowy, bez względu na kosztowność i łatwe zepsucie, kładzie się w wodę na dni kilka. Człowiek zamożny łatwo doradza sobie w takowych przypadkach; biedny zaś ginie. Tego byłém naocznym świadkiem w okolicach miasta. Znudzony ciągłą ostrożnością i przemokły cały; bo w czasie téj zarazy polewają się ciągle pokoje i zapierają się okna i drzwi, z obawy, by puch lub dźbło kociéj sierci nie doleciało, nie wcisnęło się gdzie ukradkiem, uprosiłem gospodarza, że dzień cały przepędziłem na wolném powietrzu w Azyi. Tam spotkaliśmy pogrążoną w rozpaczy kobietę z dzieckiem, która utraciwszy z czumy męża i odpychana od domu do domu, pozbawiona od krewnych i przyjaciół wszelkiego przytułku, postanowiła się utopić. Starzec Muzułmanin wyratował ją z wody w oczach naszych i zgromił mocno, że porzuciła dziecię na piasku przy morzu. Mała jałmużna zabezpieczyła jéj kęs chleba i mieszkanie na dni 40 u tegóż biednego a poczciwego Muzułmana, po których powróciła znowu do Pera. Zwyczaj zaleca zamykać urzędowi tureckiemu bramy miasta podczas téj zarazy, skoro tysiąc trupów już wyniesiono w dzień przez jednę bramę na mogiłki, i to bez względu, że choćby 999 już ich tam przeniesiono. — W trzecim roku pobytu mojego w Konstantynopolu, brama Edyrne-Kapusu, t. j. Adryanopolska, zamkniętą była na całe lato; a słuchy podawały liczbę nieboszczyków w dzień do 4,000 osób. Ja wychodziłem przeto na bazary, obcowałem, chociaż ostrożnie, z Muzułmanami, czego oni mocno nie lubią, i smutnych scen bywałem często świadkiem już po ulicach, już i po sklepach, w których częstokroć nowe dla mnie spostrzegałem osoby i z zimną razem odpowiedzią, że taki to był tu wczoraj, lecz umarł w nocy. Wąskie są nad zwyczaj ulice w tém mieście, i z téj przyczyny potrzeba było zbaczać często do jakiéj ławki znajomego Greka, Ormianina lub Turka, jeśli spotkało się z ciałem zaczumionego, które niosą tam zwykle Muzułmani w krzyku wielkim, dając znać przezto, by prędko umykać im z drogi, idącym szczególnie takoż szybko, bo coraz przy świeżych siłach napotykanych a łączących się do nich Muzułmanów. . . . . Przekonałem się w tych ciągłych brudach, że ufność w Opatrzność Boga, pokój duszy, częste zmienianie bielizny, skromne i trzeźwe życie, bronią częstokroć człowieka od téj zarazy. Lekarze przypisywali klęskę tę upałom słońca; boć w istocie dokuczały one tam nad wyobrażenie człowieka. A gdy tymczasem w zimowéj porze srogi śnieg spadł i zimno powstało, lud biedny cierpiał znowu srogo. I Krym, niegdyś tatarski i nadbrzeżne kraje Morza czarnego, daleko w głąb Europy cierpiały wiele niegdyś z czumy; lecz, gdy dziś nastał tam porządek, czystota i baczność na związki z Muzułmanami, nie słychać o téj klęsce, a przynajmniéj bardzo rzadko.

Z Rozdziału XVIII.

. . . . . Ramazan, jest to miesiąc, w którym, z przepisu praw religii, Muzuł-

manin pościć powinien. Post ten jest prawdziwym tylko wówczas, kiedy człowiek nic nie je od jutrzenki do zachodu słońca wciąż przez cały miesiąc — noce więc są biesiadą Muzułmanów... Post pod pięciu względami uważany być powinien: jako zupełny, dopełniający, pokutny, szlubowy i nadpowinny. Osoby w dojrzałym wieku i z czystą chęcią poszcząc, odbywają post zupełny. Ostatni dzień miesiąca Szaabana i nów wyryty na niebie, a ogłoszony przez rząd ludowi, bywa początkiem tego postu. Ktoby go zaczął podług obrachunku każdéj innéj osoby lub własnego, a ogłoszenie publiczne nowiu nie okazałoby się stósownem, rozpoczęty takowy post uważany być powinien jako nadpowinny tylko i zwyczajny Muzułmanom pobożnym; bo ci prócz tego wszelki poniedziałek, czwartek i dziesięć ostatnich dni każdego miesiąca, pościć zarówno powinni. Post dopełniający, pokutny i szlubowy, skoro się raz rozpoczął, staje się już postem powinnym; bo i takowe Bóg zaleca. Post zupełny w ramazanie jest tylko ten, gdy się takowy odbywa ściśle. Najmniejsza zaś rozkosz, a nie udręczenie ciała przez dzień cały, pomiędzy mężem i żoną nawet, oraz przyjęcie samego lekarstwa do środka, już czynią post nieważnym i naglą sumienie każdego do postu pokutnego, dopełniającego i do innych zarazem. Post pokutny odbywa się, albo poszcząc przez dni 60, albo dając wolność niewolnikowi swojemu, albo też dostateczne nakarmienie 60ciu osób biednych. I sama nawet chętka do zażycia czego bądź, jakoto: tytuniu, odorów i t. p., łamie post zupełny i nakazuje dopełniający, t. j. zaczynając go znowu od początku. Z tych praw wyjmują się tylko istotnie chorzy, podróżni, kobiety zostające w peryodycznem cierpieniu w błogosławionym stanie, mamki, pomieszani na umyśle, dzieci lat niepełnych i obciążeni starością ludzie. Jednakże za odzyskaniem zdrowia, za dojściem do celu podróży i ci wszyscy powinni odbyć post dopełniający. Śmierć tylko jedna uwalnia ich od niego, lecz nakazuje za to krewnym, spadkobiercom jałmużnę. Prawdziwie pobożni Muzułmani, bez różnicy płci przepędzają podczas ramazanu dnie i noce nawet w meczetach, gdzie błagać powinni i błagają Boga o łaskę tylko i miłosierdzie jego, jako nad grzesznikami, a nie o nic światowego. Czas ten postu jest zarazem i jedynym celem zabawy u Muzułmanów, i sam Sułtan nawet, pomimo, że on sam jeden siądą zawsze do stołu, w te noce świąteczne pozywa tam dzieci swoje i matki tych dzieci. Jednakże wówczas nie bywają przypuszczone do téj godności siedm dziewic, tak nazwanych *Kądyn*, które ciągle świeże, rzeźwe i hoże, jak pączek róży na rozkwiciu, nieodstępnémi są towarzyszkami tego Pana, skoro on w haremie się znajduje. — Dziwnie wydaje się całe miasto Konstantynopol w świątecznych tych nocach. Światła co niemiara, które są pozawieszane w różnych kolorach na minaretach meczetowych, światła pływające po ulicach, bo je tam noszą posługacze w ręku, oświecając osoby z wizytami idące, a które nic innego nie są, jak smolne tylko drzazgi, co topiąc się wielkim płomieniem w żelaznych, na drągu utkwionych naczyniach, gubią i rzucają prawie na przechodniów rzęsiste swe węgle i smołę zarazem. Trzeciéj nocy tego postu zaczynają wizyty do wielkiego wezyra ministrowie państwa, a w dniach dalszych i wciąż, aż do 25go, czyni je kler duchowny i urzędnicy wojskowi. Wezyr ugaszcza dziś takowych swych gości na sposób już prawie europejski, bo przy stole sporym i z łyżką i nożem nie w ręku, lecz na stole. Dawniéj zaś było to przy sofie, na ziemi, bez łyżek, bez nożów, bez przyboru wszelkiego; bo Bóg im dał przed tém wszystkiém palce, a pożywało się jednakże z gustem potrawy, na okrągłym tylko stołeczku z ogromną tacą i to w towarzystwie kilku tylko poufałych wezyra osób; bo inni, chociaż w jednéjże sali i równie pokotem i po kilku, boć stół takowy dla wszystkich nie wystarczał, jadali przecie smacznie i smaczniéj jeszcze zapijali, nie wino, jak oni dowodzą, lecz wodę tylko, wyciśniętą z winogron. Przy tych nowych wizytach i obiadach razem rozdawały się tam i rozdają podarki w imieniu Sułtana, co i pomiędzy prywatnémi a majętnémi osobami w zwyczaj weszło. — Dwa tylko są święta przepisane koranem Muzułmanom. Pierwsze jest Kydy-fitr, t. j. koniec postu Ramazanu, czyli inaczéj Bajram, drugie Kydy-Adha, t. j. Kurban-

---

Przypisek do następnego obrazka.

(*) Wiadomą jest rzeczą, jak wiele hałasu a nawet niezgody politycznéj narobił związek małżeński księcia Francuskiego z infantką Hiszpańską; dla tego ich portrety umieszczamy.

Donna Marya Ludwika Ferdynanda, Infantka hiszpańska.

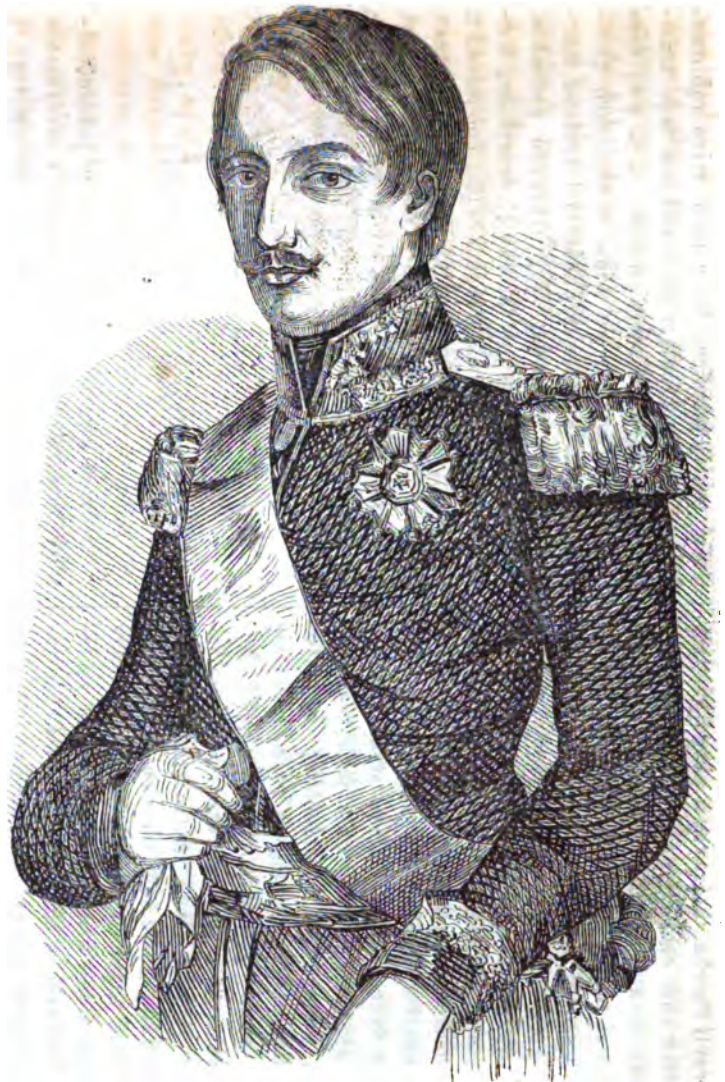

Antoni Marya Józef Ludwik d' Orleans, książę Montpensier. (✦)

Bajram, czyli Pascha, która trwa pospolicie trzy dni. Sułtan sam osobiście rozpoczyna to święto o świcie dnia z wielką wystawą. On tam pierwszy topi nóż w gardłach baranich, co też naśladują i możni przy jego boku, i to mięso biednym się rozdaje. Zdarza się częstokroć, że przy tych świętach muzułmańskich przypadają także święta wielkanocne Greków. Wówczas całe miasto Konstantynopol, wszystkie przedmieścia i okolice, same tylko grona hucznie bawiącego się ludu, różnych klass, stanu i wiary przedstawiają. Po ulicach zaś, jako wązkich, nie można po ten czas przechodzić; bo młodzież grecka, pobrawszy się za ręce, tarza się prawie po ziemi, już przy odgłosie gęśli, bębna, lub skrzypcy, już to bez wszelkiego instrumentu. Podchmielona ta tłuszcza ochotników, doszedłszy gdzie bądź obszerniejszego pola, przestrzeni pogorzałych miejsc, i zabrawszy w swą kupę kupy drugie pojedyńcze, a zwłaszcza dziewic osobno chodzących, wiążą się razem i poczynając tańczyć na zabój, bo w konwulsyjnych kontorsyach, nacyonalny taniec *Syrto*, gdzie Turcy jednak tolerują to wszystko i sami nawet tym widokiem się bawią. . . . . Pomimo największéj mojéj usilności, abym poznał liczbę ludności tego miasta, nie mógłem przecie dojść tego; bo w niém porządku z rządu nie ma zupełnie; ze względu jednakże na ciągły ruch ludu, już w samym Konstantynopolu, już w okolicach jego, śmiało naznaczyć mu można ilość miliona z górą ludności. — To miasto chociaż nie ma na około pól usiewnych, a tém samém bogatych rólników po wioskach, chociaż nie zna i fabryk najmniejszych, posiada jednak wszystko w podostatku z dowozu z wszystkich stron świata. Chléb zaś sam jeden w całéj Turcyi nie ziemia jéj rodzi i wydaje, lecz ziemia tylko kraju polskiego, i ten jest tam zawsze pszeniczny. Jeżeli zaś z rzadka gdzie dadzą się tam widzieć łany, to jest to sam tylko jęczmień dla pokarmu koni, ale i ten dostaje rzadko na pniu do dojrzałości swojéj; bo w miejscu trawy, zielono go na pokarm zcinają i małemi wiązkami sprzedają, kosząc go po dwa i trzy razy. Pod względem owoców i zieleniny, wielka jest obfitość w Konstantynopolu i zarazem w cudnych gatunkach, co tworzy przyczynę chorób, z obżarstwa w klassie biednéj pochodzących. Winogrona nie wydają ilości takiéj okolice, by z nich wino robiono. Wyspy zaś Archipelagu podostatkiem tego trunku dostarczają. *Czaus-uźum*, t. j. pod tém imieniem krzewiące się wino, w okolicach Skutary, jest szczególniejszéj dobroci i cenione bardzo przez cały naród. Fig, różnego gatunku, modrzewiów (*dut* po turecku), orzechów, kasztanów, cytryn, pomarańcz i wiśni (po turecku *wyszna*), prawie zawsze świeżych dostać tam można. Słowem, wielkie i dobroczynne jest to miasto, lecz też i pustków w niém nie mało pod wszelkiémi względami dla życia ludzkiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie.

Jedném z największych zadań w jakiémkolwiek towarzystwie jest rozmowa i utrzymanie onéj. Dla tego należy się w niéj ćwiczyć i kształcić, jak w każdéj innéj sztuce. Styl rozmowy nie jest ani mniéj godnym uwagi, ani ćwiczenia się w nim, jak styl listowy. Całą wartość rzeczy stanowi sposób wydania takowéj.

Pierwszym i głównym warunkiem zainteresowania rozmową jest nieprzerwana uwaga. Co pierwszą stanowi zaletę na scenie, niemniéj potrzebne w posiedzeniu; rozumiem tu, zwracanie ciągłéj baczności na akcyą sceniczną. Władze umysłowe i osoba, powinny nieustannie być w pogotowiu, i że tak się wyrażę, *nadoręczu*. Roztargnienie i nieprzytomność są zgubną rzeczą. Ztąd też tajemnica rozmowy może być tak określoną: *buduj na postrzeżeniach osoby z tobą mówiącéj*. Ludzie głębokiéj nauki, nawyknieni do samotnego życia z książkami, rzadko celują bystrością rozmowy, ponieważ przywiązują się li tylko do rzeczy, traktując przedmiot swój oderwanie, przez co nie mogą utrzymać się na stopie lekkiéj, potocznéj pogadanki. Trzymając się odwrotnego sposobu, zyskuje się nie tylko sławę rozumnego człowieka, ale i przychylność drugich, gdy się cudze zdanie szanuje i ocenia.

Spotykając się z kim nieznajomym przy stole, lub w salonie, nic nie przeszkadza, byś z nim nie zawiązał rozmowy, z téj prostéj przyczyny, iż oba uważani jesteście równi sobie wychowaniem, kiedy spotykacie się w uczciwym do-

mu. Ta jest niby teorya; lecz w praktyce powinieneś prosić gospodarza, lub gospodyni, by was z sobą zapoznał.

Zwykle ludzie różnych rodzajów zatrudnień spotykają się w towarzystwie. Że zaś znajdują się tam dla wytchnienia i rozrywki, nigdy nie wypada mówić z kimsiś o jego professyi. O polityce nie mów z dziennikarzem; o gorączkach z doktorem; z poetą o jego wierszach; z hreczkosiejem o urodzajach, a najmniéj z professorem o uczniach i trybie uczenia. Błąd ten bywa najczęściéj popełniony przez osoby zbyt uprzejme, które tym sposobem myślą każdemu w smak ugodzić; lecz taki rodzaj zawiązywania rozmowy pomawia o zupełną nieznajomość natury ludzkiéj i światowego pożycia. Raz, że wszyscy ludzie powinni być uważani za równych, w obliczu grzeczności; powtóre, że jakkolwiek miło być protegowanym i podnoszonym w świecie, daleko jednakże miléj doznawać takiego przyjęcia, jakbyś nie potrzebował protekcyi i był wyższy nad nią.

Dwóch znakomitych wpływem i majątkiem panów zaprosiło pewnego razu jednego z sławniejszych naszych pisarzy. Pierwszy, do którego przyszedł, przyjął go z natrętném nadskakiwaniem, wymawiając się, że dla tego go na niedzielę prosił, iż wiedział, że cały tydzień pracą zajęty; następnie széroko rozwiódł się nad zaletami jego prac, i odprowadził aż do sieni z najsłodszym uśmiechem i tysiącznémi oświadczeniami. Pożegnawszy go nasz uczony, udał się na drugą wizytę. On przyjął gościa tak uprzejmie, bez najmniejszego wymuszenia i szumnych oświadczeń, jakby mu był równien i z nim w senacie zasiadał; o książkach, autorach, ani wzmianki nie zrobił, lecz pokazując mu kilka pięknych obrazków, wpadł na materyę o sztuce malarskiéj. — Uczony mąż ocenił obydwóch, czując, że o ile pierwszy rozwodził się o swoim dla niego szacunku, o tyle drugi czynem mu dowiódł, że go poważa. — W téj anekdocie zawiera się cała tajemnica przyjemnego obcowania z ludźmi; a ta jest: że jakkolwiek można być wywyższonym w towarzystwie, przecież nie powinno w niém być żadnego wywyższenia, ani różnicy.

Błądzi, kto mniema, że w posiedzeniu towarzyskiém wypada koniecznie głos zabierać; daleko ważniejsza bowiem, słuchać z uwagą. Ażeby mieć powodzenie w świecie, potrzeba koniecznie uczyć się wiele rzeczy od ludzi, którzy ich nie rozumieją, a są uprzedzeni. Duch rozmowy mniéj się zasadza na tém, aby pokazać wiele dowcipu, a więcéj, by go drugim poddawać; kto z pogadanki z tobą wychodzi zadowolony ze siebie i ze swego rozumu, również zadowolony jest z siebie, w ogóle ludzie nie lubią kogoś podziwiać; ale podobać się pragną; gonią mniéj za nauczeniem się czegoś, lub ubawieniem się, a więcéj za oklaskiem i wziętością; z resztą najmilszy to rodzaj przyjemności, stać się komuś przyjemnym.

Dobrze jest drugich przekonać o swojéj wartości osobistéj, lecz abyś komu dał wyobrażenie o twéj wysokości umysłowéj i moralnéj, mniéj szanować jego zdanie i podziwiać rozum. Cierpliwość jest równie przymiotem towarzyskim, jak cnotą chrześciańską. Słuchać, być wyrozumiałym, nudzić się nawet, oto jest połowa przymiotów człowieka miłego w towarzystwie.

Jeżeli ci się zdarzy być na obiedzie, lub wieczorze z cudzoziemcem, który twego języka nie rozumie, dobre wychowanie wymaga, abyś się odzywał tylko w jego języku. Nawet do najpoufalszych nie mów ani słówka, któregoby wszyscy nie rozumieli.

Główna przywara naszych towarzystw, jest rozprawianie o rzeczach interesujących najczęściéj ciebie i osobę, do któréj mowę obracasz. N. p.: — A czy przypominasz sobie nasze spotkanie się tam i tam? Jak się téż miewa pani ta i ta, co to miała przypadek na balu? Jéj mąż podobnoć nie żyje? Za kogo poszła? — Za swego kuzyna, co tak ładnie tańczył mazurka. — Przypominam go sobie — ślicznie mówił po francusku?... i t. d. — Podobna rozmowa działa jak opium na obecnych, i tam zakrawa na to, jakby reszta osób była obojętną, lub zbytnią. Wszczynając rozmowę tego rodzaju, zawsze należy opowiedzieć całemu gronu początek owéj historyi, obeznać ich z osobami, aby nie siedzieli jak na niemieckiém kazaniu. — Również, jeżeli nowy gość wchodzi, a rozmowa daléj się toczy, przyzwoicie jest opowiedzieć mu, to, co przed jego przyjściem mówiono.

Zdarza się częstokroć, że w towarzystwie znajdują się osoby nie znane tobie; unikajże wszelkich dowcipnych sarkazmów i ucinków. Piękny mi dowcip, mówić o szubienicy przy synie, którego ojca powieszono! Jeszcze gorzéj

jest, wywlekać przed sąd opinii te lub owe osoby, choćby najosławieńsze, bo może się zdarzyć, iż ów nieznajomy, lub nieznajoma, złączone są lub związkiem krwi, lub innemi stósunkami z osobą, na któréj dowcip twój zaprawiasz. Przypadek to wcale nie rzadki; bywa nawet gorzéj: ty wyjeżdżasz z jakąś awanturą, lub nowiną o panu lub pani N. N. — a tymczasem, kiedyś w połowie się zapuścił, gospodarz lub gospodyni przerywa ci i prezentuje pana lub panią N. N. — Dopieroż pomięszanie! dopieroż exkuzy! chcesz inny nadać obrót, ale język plącze się w ustach, i nic ci nie zostaje, jak porwać kapelusz i zmykać co tchu do domu.

Niezręczność i nietrafność w prowadzeniu rozmowy, wiemy, jak nie miłém czyni wszelkie posiedzenie; z drugiéj strony równie nieznośném bywa sadzenie się na dowcip i ciągłe wyjeżdżanie z rozumem. Trudno pozyskać przychylność drugich, jeżeli bawiąc ich, obrażamy miłość własną. Pominąwszy i tę nieprzyzwoitość, jakżeż umęczylibyśmy słuchaczy, chcąc ich zarzucać niewyczerpanym potokiem dowcipów.

Przyjemną jest znajomość z człowiekiem dowcipnym, lecz ciągłe z nim pożycie i przyjaźń, nieznośną.

Pewna kobieta, znana z bystrych postrzeżeń, tak o tém mówi: Ten ma najwięcéj dowcipu w gronie towarzyskiém, kto najmniejszą odgrywa rolę. Przykra to rzecz, kiedy człowiek dowcipny opanuje każdą pogadankę, i nie da nikomu ust otworzyć, aby swoich trzech groszy nie wmięszał.

(Dokończenie nastąpi.)

№165. P. SZLACHECKA *ode Lwowa*

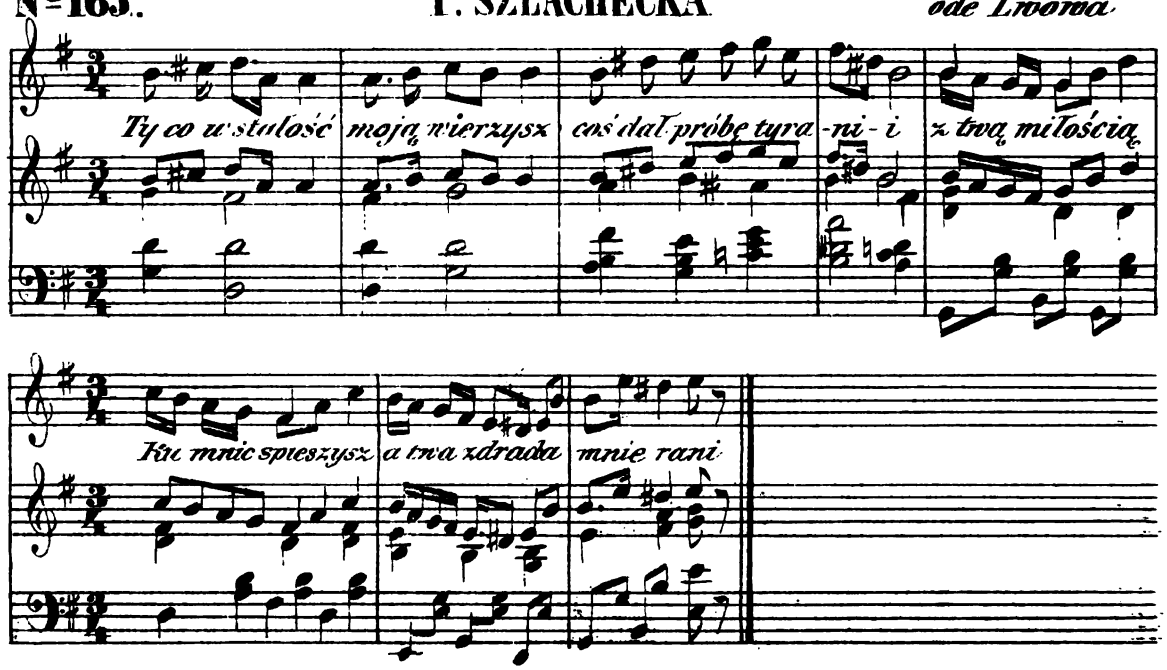

Text do *Nru. 165.*

1. Ty, co w stałość moją wierzysz,
Coś dał próbę tyranii,
Z twą miłością ku mnie śpieszysz,
A twa zdrada mnie rani.

2. Z radością tom wspominała,
Co twe usta mówiły,
Śpiąc, czuwając, tom myślała,
Twe mnie wdzięki zgubiły.

3. Teraz innéj tak powiadaj,
Żem się nie znała z tobą,
Przysięgaj się, ręce składaj,
Jak mnieś czynił przed dobą.

4. Rozpacz mi się zemścić każe,
Lecz ja myślę rozumnie,
Dość gdy cię z serca wymażę...
Nie kochanyś już u mnie.

(*Wacł. z Oleska*, P. I. str. 293.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 42. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 17. Października 1846.

Przemysław i jego żona Ludgarda. — Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie (dokończenie). — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu dziesiątego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.

Król Przemysław z żoną swoją Ludgardą.

Przemysław i jego żona Ludgarda.

Kiedy Polska przez blisko dwa wieki w skutek podziału pomiędzy synów Krzywoustego, domowemi wojnami gnębiona i wycieńczona, swą dawną sławę i potęgę zupełnie postradała; Przemysław, książę Poznański, otoczył ją znowu choć na krótki czas, świetnym blaskiem. Nie tylko bowiem przybrał tytuł Króla, którego od czasów Bolesława Śmiałego jego poprzednicy nie używali, i z wielką okazałością koronować się kazał, ale i znaczenie nadał swemu królestwu, przez znakomite ziemie, które już jako książę posiadał. Tak stała się Polska na raz potężną i cieszyła się nadzieją, że lepszych zażyje czasów; atoli przewaga Przemysława stała się powodem zazdrości, a wreście dla niego zgubą. Margrabiowie bowiem Brandenburscy, z domu Anhalt, którzy Nową Marchią w puszczach i gruntach Polskich byli założyli i do Pomorza się wdzierali, obawiając się, aby Przemysław ich postępowi nie przeszkodził, spiknęli się przeciw niemu. Od nich zabity Król w Rogoźnie, po ośmiomiesięcznem panowaniu, gdy go nad świtem niespodzianie po zdradziecku napadłszy gwałtem uwieźć chcieli. Co bardziéj gorszyć powinno, jest to, że do spisku Margrabiów niektórzy możnowładzcy Polscy wchodzili. Rzecz uwagi godna, że dom tych Margrabiów z linii Anhalt Alberta Niedźwiedzia w przeciągu lat dwudziestu i kilku, lubo dwanaście głów było przy życiu, ze szczętem zszedł bezpotomnie do grobu, a kraj dziedziczny poszedł na zabór innym, którzy do niego nie należeli, a zaś pokrewniona linia Anhalt, do któréj wtedy dostojeństwo Elektorstwa Saskiego także należało, tak od Brandenburgii, jak i od Saxonii dziedzictwa została odsunięta. Nałęczowie i Zarębowie niektórzy za współkę swoję przy zabójstwie Przemysława I. aż do Kazimierza III., W., mieli ponosić tę karę, iż nie wolno im było stawać z inném rycerstwem do boju, ani nosić koloru szkarłatowego, czyli czerwonego. Za zasługi na wojnach Ruskich uwolnił ich od tego Kazimierz III. Wielki, lecz to podanie Długosz jako powieść niepewną uważa.

Imię Przemysława splamione zostało okropnym czynem, który na żonie swojéj popełnił. Nią była Ludgarda, księżna pełna cnót i bogobojności, lecz na nieszczęście niepłodna. Król, pragnąc następcy, miał ją, jak wieść niesie, kazać zamordować; poczém pojął za żonę Ryksę. Z téj powieści korzystało kilku poetów. Kropiński napisał tragedyą, p. t.: *Ludgarda*, która przez długi czas była podziwianą, póki w ogóle dzieła naszych klassyków za wzór były uważane; dziś nie może mieć wielkiéj wartości jako dramat. Daleko szczęśliwiéj powiodło się Karpińskiemu. Korzystał on z tego podania, aby napisał dumę, która ma w sobie tyle piękności, iż niezawodnie do najlepszych płodów Karpińskiego należeć może.

Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie.

(Dokończenie.)

Wiele dodaje uroku rozmowie, jeżeli mówiący nie patrzy w sufit lub w ziemię, lecz zwraca się do jednéj, lub wielu osób, tym sposobem daje poznać, że dla wszystkich mówi, wszystkim zostawiając pole do wystąpienia ze zdaniem lub odpowiedzią.

W żadnym a żadnym przypadku nie czyń zapytań. Raz, że to rzecz nudna i niepotrzebna; powtóre, że możesz wywołać ambarasującą odpowiedź. Są ludzie tak nieszczęśliwi, którzy prawie na końcu każdego słowa mają znak zapytania. Ledwie zdobędziesz się odpowiedzieć na jedno, już drugie, trzecie i dziesiąte spada na ciebie. Znałem pewnego młodzieńca, z którym przeżyłem kilka miesięcy w bliskich stósunkach; miał on nieszczęśliwy nałóg robienia zapytań, przez co stawał się tak nudnie nieznośnym, żem mu zagroził nieodpowiadać na żadne odezwanie się w formie zapytania.

We wszystkich czasach i miejscach królowało i króluje samowładnie pochlebstwo. Mało kto nie ulega téj słabości, mniéj ktoby nad nią był wyższy. Na dworze, w obozie, w kościele, wszędzie rej wodzi. Kto umié trafnie pochlebiać, ten jest potęgą w towarzyskich kołach.

Potęga pochlebstwa z rozmaitych pochodzi źródeł. Bądź osoba, która odbiéra pochlebstwo, doznaje przyjemności i czuje się za to zobowiązaną, bez dochodzenia głębszéj przyczyny; bądź też wyobrażając sobie, żeśmy rzeczywiście wysoko położeni w dobrém rozumieniu osoby chwalącéj nas, wolimy przystać na jéj stronę, niż jéj szacunek utracić; bądź nakoniec pochlebstwo

uważamy za dowód grzeczności, i w tym przypadku wolimy poddać się zdaniu schlebiającego, niż odrzucając takowe, narażać się na zarzut niegrzeczności.

Pochlebstwo nie zręczne jest grubą częstokroć obrazą. Żeby się mogło podobać, powinno pochodzić niejako z natchnienia, powinno być mimowolnym wyrazem niezmyślonego podziwu i uwielbienia. W ogóle zręczne pochlebstwo musi niejako płynąć ze szczérości uczuć, a wtedy nigdy nie chybi celu, bo jest oparte na pierwiastku naszéj natury: nie możemy nie lubić tego, o którym mamy przekonanie, że nas lubi.

Mylą się ci, co uważają mężczyznę mniéj przystępnym pochlebstwu, niż kobiétę. Cała różnica: że kobiecie dość mówić o szacunku dla niéj, mężczyźnie trzeba dowieść, że go się szanuje.

Podrzędnym rodzajem pochlebstwa są grzecznostki, czyli komplementa; istne harcowniki przed wydaniem stanowczéj bitwy. Prędzéjbym porównał je do fałszywéj monety, którą dostawszy, radbyś co prędzéj pozbyć. Zwykle są to stereotypowane sposoby mówienia; bywają ludzie, mianowicie, co jeszcze augustowskich czasów zarwali, z niewyczerpanym zasobem komplementów, które całą garścią, razem z karmelkami rozdają. W pogadance bardzo są słodcy, niekiedy do unudzenia, w apostrofach do pięknych ócz, włosów i rączek, jednostajni.

Mężczyźni w powszechności strzegą się wszczynać poważną rozmowę w towarzystwie kobiét; mniemam, że mają w tém słuszność. W każdém gronie znajdzie się zawsze kilka młodych, pięknych, wesołych kobiet, którym wypadki dzienne, mody, bale, nastręczają tyle powabnych przedmiotów. Nie bez tego, aby nie było podeszłych matron, marcowych panien, mających pretensyę do głębokiéj nauki. Takim podobasz się, wprowadzając na scenę jaki przedmiot ściśle naukowy, o którym nie mają żadnego wyobrażenia; twoim obowiązkiem tak go poprowadzić, żeby im się zdawało, iż połowę rozwiązały zadania.

Chcąc pozyskać wziętość u kobiet, potrzeba znać na palcach ich słownik.

Nigdy nie powtarzaj kobiecie, że piękna, dowcipna, ładnie gra, tańczy i t. d. Ona to wié lepiéj od ciebie.

Jeżeli kochasz się w kobiecie, pamiętaj nie uchybiać reszcie téj płci. Tylko ta, która jest twéj miłości celem, postrzegać ją powinna.

Trochę miłości własnéj, byś nie zapominał, coś winien samemu sobie; trochę dobrego serca, aby cię ostrzegało, coś winien drugim; oto nie ledwie cały moralny zapas człowieka, mogącego być pożądanym w salonie.

Zbytnia żywość, zbytnie opuszczenie się, zupełnie przeszkadzają grzeczności; pierwsza nas prowadzi za daleko, druga za nadto w tyle zostawia.

Nil admirari stoickie, zwykłą bywa regułą w stósunkach mężczyzn z mężczyznami; w stósunku z płcią piękną, zupełnie inaczéj być potrzeba. Podziw, zachwycenie, entuzyazm, oto środki, którémi zręcznie trafia się do kobiet.

Sprzeczki, w obecności innych osób, zgoła unikaj. Jeżeli ktoś wyjedzie ze zdaniem, które uważasz z gruntu za fałszywe, wolisz zmilczéć; bo chcąc go przekonać, musiałbyś ruszyć całe góry prawd i dowodów. Jeżeli ktoś mylnie opowiada jaki małoznaczny wypadek, zbądź go obojętném kiwnieniem głowy; lub sprostuj, przy innéj sposobności.

Jedną z głównych przywar towarzystw naszych, jest nieumiejętność utrzymania rozmowy; najczęściéj jedni drugim wpadają w tok opowiadania, prostują, lub całkiem zrywają wątek, wyjeżdżając z czémś nowém. Z tego powstaje hałas nieznośny; ten sobie, ów sobie porywa słuchaczy, (jeżeli mogą być słuchacze tam, gdzie wszyscy mówią) z ogólnéj kompanii, tworzą się drobne kółka, i tym sposobem nigdy duch wyższéj pogadanki wyrobić się nie może, przechodząc zawsze na poufałą gawędę, gdzie się mówi, *co ślina do ust przyniesie*, gdzie nie masz potrzeby ważyć słów, dobierać ich harmonijnie, sadzić się na zwięzłość i trafność wyrażeń, gdzie nie odpowiadasz ani rumieńcem, ani pomięszanym wzrokiem za płaski koncept, lub nieokrzesany wyraz. Twoim sędzią, twój jedyny słuchacz, i nawzajem. Tacy cenzorowie muszą być wyrozumiałymi. Wytknąłem ten niedostatek wyższéj rozmowy, mamy ztąd nie lada szkodę dla języka narodowego, który z dniem każdym traci oryginalność potocznego stylu. Przecież dobrze pamiętam, jak starzy nasi umieli się i powitać i pożegnać, i grzecznie zaprosić, a nawet zręcznie wtrącić materyę ważniejszą, a zawsze zwrotem staropolskim, bez ratowania się francuszczyzną.

Dzisiaj, w przytrudnéj odpowiedzi, lub gdzie chodzi o niędraśnięcie czyjéj miłości własnéj, lub téż o gładką impertynencyę, wszyscy uciekają się do mowy cudzoziemskiéj. Namiętność, uniesienie, chwilka zapału, obraza, gniew, jakże rzadko dziś malują się w ojczystéj mowie! Właśnie tam, gdzieby język nasz mógł się w nowy kształt wyłamać, jak na złość łatamy się obczyzną! Nieszczęściem, język francuski stał się językiem dobrego tonu, dyplomem wyższego wychowania, więc jaki taki, co ani tonu nie ma, ani wychowania, garnie się do francuszczyzny, myśląc, że szychem cudzych wyrażeń, nędzę własną przykryje. — Jużby raz wypadało zrozumieć, co ton dobry, i wyższe wychowanie, i nie mięszać do polskiéj mowy słów francuskich. Tylu pisarzy w książkach i na scenie karciło ten szkodliwy zwyczaj; — śmieszność, broń za słaba, czy zużyta? nie wiem — czémże już walczyć? chyba pogardą!

Rozwiodłem się szerzéj cokolwiek w tym przedmiocie drażliwym, może nawet z obrazą przyzwoitości, którą przed chwilą tak zalecałem w posiedzeniu. Wracam tedy do zimniejszych reguł towarzyskich: W rozmowie wypada unikać przysłów i wszelkich czczych sposobów mówienia. Ustawiczne: *Mości Dobrodzieju — Mościa Dziko — słowo honoru — uczciwszy uszy — za pozwoleniem — tete fete* i t. p., które tak szpecą mowę, jak brodawki oblicze, śmiech tylko wzbudzają kosztem mówiącego.

Niemniéj jak używanie przysłów, rażące jest powtarzanie jednych a jednych anekdot w obecności tych samych osób. Znałem pewnego wiejskiego dowcipnisia, który zawsze miał na doręczu anekdotę; słysząc je po kilkanaście razy, wyrachowałem, że cały zapas nie przechodził tuzina. Z tego powodu zastósowaćby można do niego ten rys o panu Jowialskim z komedyi Fredry:

„A słyszeliście moją anekdotę?

— Słyszeliśmy. —

„A więc posłuchajcie i t. d.“

Nie masz nic przyjemniejszego, ani trudniejszego, jak opowiedzieć anekdotę z zupełną trafnością.

Potrzeba ją wprowadzać nieznacznie i bez naciągania, tak, żeby się odnosiła do poteczněj materyi i była w zupełnéj harmonii ze smakiem towarzystwa, oraz z treścią i tonem rozmowy. Przedewszystkiem powinna być krótką, dowcipną, dobrze opowiedzianą, świeżą, nie zaś wyjętą z gramatyki Majdyngiera, lub innych okłepanych zbiorów.

W pogadance ożywionéj, tocącéj się szybko, gdy niecierpliwość i namiętność mieta słuchaczami, jak na balu lub przechadzce, przestań na pokazaniu dowcipu i duszy twojéj powiastki, zręcznie wymijając szczegóły; w innych miejscach łatwiéj ci będzie wrócić do drobnostek i szczegółów, wszakże unikając znudzenia słuchaczy. Jeżeli opowiadasz zdarzenie prawdziwe, staraj się być dokładnym, i nic nie przesadzaj, ani dodawaj. Nadewszystko strzeż się zapomnieć rozwiązania historyi, lub głównego dowcipu w anekdocie. Trudno co pocieszniejszego, jak zacząć a nie umieć skończyć.

Nie łatwo jest dla kogoś, co wiele podróżował, zachować przyzwoity środek między skromnością a zbytniém rozwodzeniem się o doznanych przygodach. Każdy spodziewa się doznać rozrywki, słuchając twoich opowiadań; jest zatém rzeczą niezbędną ziścić oczekiwaną nadzieję. Opowiadający niech wszakże unika powtarzać co chwila: *Kiedy podróżowałem po wschodzie* i t. d.

Są niektórzy nieubłagani opowiadacze przygód doznanych w podróżach po krajach nie dalekich i nie ciekawych; tacy dorwawszy się głosu, męczą na śmierć słuchaczy. Zdarzyło mi się spotkać z pewnym jegomością, który przez trzy wieczory opowiadał podróż do Kalisbatu.... —

Rzeczą najnieznośniejszą, a razem najmniejszą, a razem najmniéj świadczącą o dobrém wychowaniu, nazwałbym używanie w pogadance dwóznaczników. Są, którzy na to cały swój dowcip łożą, i zaiste niéma im czego zazdrościć!

Między różnémi rodzajami prowadzenia rozmowy, uważałem pogadankę prowadzoną w duchu sprzeciwieństwa. Ktoś skwaszony, ze spazmatycznym atakiem, przychodzi i rzuca swoje *niepozwalam* w brew prawdzie jasnéj jak słońce. Jeśli się nie poznasz od razu na jego ostowym humorze, występujesz z nim w szranki i godzisz na ostre, i dopiero po kilku cięciach poznasz z kim masz sprawę, i żałujesz późnego uniesienia i zapału.

Na dobitek tych rozrzuconych rysów, dodał-

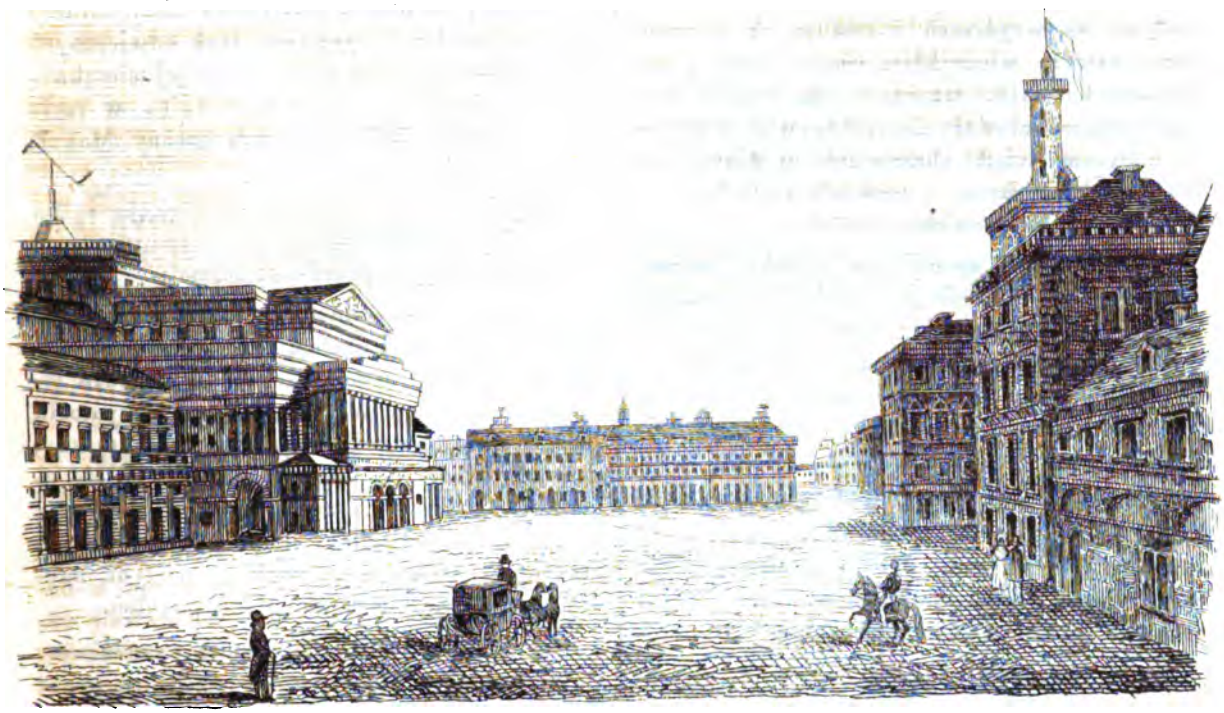

Plac przed wielkim teatrem w Warszawie.

bym maxymę wziętą z doświadczenia: Znajdując się w towarzystwie, jeżeli chcesz być miłym i dobrze widzianym, nigdy nie wymieniaj nikogo po nazwisku. Wprawdzie będziesz słuchany ciekawie, bo ludzie obmowę lubią; lecz dla obmowcy nie mogą mieć poważania. Zrób tak w kilku miejscach, a zaraz nabędziesz sławy ostrego języka, propagatora potwarzy; jaki taki stronić będzie od ciebie jak od zadżumionego, i nic ci nie pozostanie, tylko gdzie indziéj przenieść pole skandalicznych działań. Przeciwnie, jeżeli ci się trafi spotkać jaką złośliwą imościankę, co wszystkich rada na ząbki bierze, wystąp śmiało, język twój niech pali i siecze jak miecz płomienisty, pobij ją własną jéj bronią i pokaż, jak to niebezpiecznie wady własnego charakteru przypisywać drugim.

W stósunkach ze światem, bierz ludzi tak, jak są, a towarzystwo w zwyczajnym jego składzie; postępowanie twoje szlachetne i wzniesłe, wyrozumiałość dla słabości, skuteczniéj mogą działać, niż narzucanie gwałtownych reform, lub ostra krytyka. Rola bociana, aczkolwiek bardzo piękna, nie wytępi przywar i nałogów, bo zawsze znajdzie się jakaś strona w człowieku, która go od zupełnego potępienia zasłoni. Z resztą, cóż są te wszystkie salony i towarzystwa? oto komedyą, w któréj arlekin nigdy nie występuje bez maski. Uczucia twoje, skłonności wyższe, chowaj dla domowego zakątka, a rzeczywisty charakter dla poufałych przyjaciół — publicznie zaś, stósuj się do osób i rzeczy.

Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

Legenda
przez
Ad. Am. Kosińskiego. (*)

Piękny krajobraz mieli przed sobą podróżni. Nowo wybudowane miasto Kazimiérz zasiadło u stóp olbrzymiego wzgórza, tuż prawie

(*) Z Bibl. Warszawskiéj.

ponad brzegiem Wisły; rozmaitego kształtu i wielkości jego domy to się skupiały w obszerne ulice i rynek, to rozbiegały w różnych kierunkach po wzgórzach i czeluściach parowu. Ostre szczyty wieży klasztornéj i dwie parafialnego kościoła, wznosząc się wysoko pod mgłę chmur, zdawały się wskazywać wiernym wyznawcom świętéj chrześciańskiéj wiary, cel ich ziemskiego bytu, w troskach pociechę, modłów kierunek — niebo.

Na stromym i opoczystym pagórku, w małéj odległości od miasta, rozsiadł się zamek, górując nad skromnemi domami nowego grodu, przenosząc je siłą i wzrostem, wydawał się niby ojciec — orzeł pilnujący swych dziatek, niby baczny pastérz, czuwający nad bezpieczeństwem swéj trzody.

Na prawo miasta inny widok; tam założyciel grodu, mądry i gospodarny Kazimiérz trzeci, odwiecznego rodu Piastów, ostatni odłamek, długim rzędem frontami do Wisły, kazał wznieść śpichrze i składy zbożowe.

A te wszystkie budowle, obszerne, piątrowe, całe złotém napełnione zbożem, świadczyły o zamożności kraju, jéj rękojmią były.

Mury zaś ich grube, fronty rycersko wystąpione naprzód, przekonywały, że i bronić w razie potrzeby potrafiłyby powierzonych sobie skarbów krainy.

Przy mieście rozlegle na prawo i lewo, jak mętna Wisła szeroką wstęgą rozdziela Sandomiérską od Lubelskiéj dzierzawy potoczyste wzgórza, jedne wieńczy ciemną koroną świerkowy las, inne pług rozrył na skiby, odział w złote szaty zbóż i majowy płaszcz pastewnych roślin; na szczytach zaś tych wzgórzy dojrzysz tu i tam, to skromną zagrodę wieśniaka, to parafialną świątynię, lub wreszcie szlachecki dworzec, o ganku obszernym, o dachu wysokim, otoczony wirydarzem pełnym drzew owocowych i wonnego kwiecia.

Na skraju zaś widnokręgu, na wzgórzu wyższém od innych, dumnie wznosi się Bochotnicki zamek, jednocześnie wybudowan z Kazimiérzem, lecz niepodzielający jego ziemiańskich zatrudnień: hardy rycerz wyłącznie myśli o boju; z twardéj opoki, na któréj siedzi, chciwie i groźnie pogląda swemi żelazną kratą zbrojnemi oknami, czy z któréj strony nie nadciąga wróg, aby mu czém prędzéj plunąć w oczy chmurą strzał, zaszczekotać dzirytem i szablą.

A daléj na milę i dwie, niby ramy obrazowi, bladomodra wstęga lasu, tych odwiecznych kniei Lubelskiéj dzierżawy, które jéj mieszkańcom za niedostępną stają warownię, w razie gdy zuchwały Jadźwinga lub groźny Mogoł, jéj bujne najeżdżają niwy.

Oczy jednak podróżnych nie błąkają się po tym cudnym widnokręgu, nie rozpatrują jego piękności, inny je przedmiot zajmuje.

Cały przestwór niebiosów gruba chmura zaległa, tak gruba a czarna, jakiéj może nie widziałeś w twém życiu; słońce nie zapadło jeszcze za okoliczne wzgórza i lasy. Przyniosła jednak mrok późnego wieczoru, mrok tęskny, chłodny, uroczysty, ponury; niby ten, co cię ogarnia, dreszczem przejmuje, gdy wejdziesz w podziemia kościelne, między groby twych przodków, lub wnętrza gotyckiéj świątyni, między groby trzydziestu ubiegłych pokoleń.

Ta zaś gruba i czarna chmura, zwiesiwszy się w brudnych i gęstych tumanach tuż ponad mętnemi falami Wisły, nie samą sobą tylko straszyła podróżnych; zygzaczą po niéj błyskawice, huczy w niéj grzmot, burza w całéj jeszcze nie rozwinęła się sile, ale ją napędza, na swych potężnych skrzydłach niesie wicher gwałtowny, porywczy, sykliwy.

I zachwycona jego burzliwym oddechem Wisła, ta rzeka nasza tyle poważna, tak zwyczajnie spokojna, zaczyna się sromać, gniewać, bałwanić, modre fale poczerniały kałem dna, piętrzą się, tłuką jedne o drugie, lub o piaszczysty brzeg, i niby złe, że gdy one gniewne, człek śmiał swoją łódź na nie rzucić, tę łódź ujmą w mgliste swoje ramiona, szamoczą nią, rzucają bez odetchu, bez litości.

A gdy Wisła tak miota ową łodzią, gdy co chwila zgubą jéj grozi, przestrachu skargi i modłów głośne brzmią z niéj wykrzyki.

Bo na łodzi mnóstwo podróżnych, wszystkie główniejsze stany z ich odzienia napotkasz; są panowie, rycerze i szlachta, jest kupiec, filozof i żołnierz, mieszczanie i wieśniacy, niewiasty, dzieci i starce.

Zanim zaś zbliżyła się burza, a zbliżyła się tak nagle, pogodny choć upalny dzień zakłóciła tak niespodziewanie, że jéj nawet baczne

oko sternika dopatrzyć, jego żeglarski instynkt przeczuć nie zdołał. Oto jakie i w jakim porządku było osiedlenie łodzi.

Zaszczytną jéj część zasiedli panowie i szlachta, twarde ławki dla wygody pokryli makatem, rozwinęli nad sobą, aby się od skwaru letniego słońca zasłonić, bogaty namiot.

Cztéry zaś osoby reprezentowały magnacki stan: Elżbiéta z Bochotnicy, żona słynnego Poznańskiego wojewody, Maćka Borkowicza, jéj siostrzenica Jadwiga z Dzieżykraju, Spytko Zaklika, Lubelski kasztelan, i młody rycerz Toporczyków Prozarpij, Otto z Szczekarzowa Tarło.

Szlachta równąż liczbę reprezentantów liczyła; piérwszym z nich jest dziedzic na Głusku (wiosce niedalekiéj od Kazimiérza), Maciéj Zerwikaptur Kulesza, drugim plenipotent kasztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk; z dwóch innych, jeden zagrodowy pan brat, herbu Dębno, Grześko Powała, drugim dworzanin wojewodziny i jéj koniuszy Jakób Strzemieńczyk.

Szlachta i panowie, jak to wspomniałem, wyższą część zajmowali łodzi; w jéj środku usadowił się pośredni stan, w swych członkach: żołnierzu, juryście, akademiku Krakowskim i dwóch Kazimiérskich mieczczanach.

Nie mam potrzeby skreślać postawy, ni charakteru żołnierza; stary wojak, jak większa część jego kolegów, był zamaszysty, rubaszny, wąsaty, w ustach grube naśmieszki lub przekleństwa, w oku siła i męztwo, serce proste, poczciwość wielka, dodaj trochę ogłady i lepsze zasady moralne, a miałbyś wyśmienitego człowieka.

Filozof, akademik Krakowski, całkiem inna figura; człowiek to niski, pękaty, a cały czarno ubrany, na głowie doktorski biret, żywy rumieniec na twarzy, na zwiększoném łysiną czole dumna powaga, drobne oko żywo świéci i pyszne na okrąg miota spojrzenie, słusznie zaś tak jest a raczéj w trop charakteru akademika, dumny swoją mądrością, pyszny nauką, z góry na wszystkich pogląda i za nic sobie ich ma; cóż bowiem oni, umieją to co on? rozumieją co on rozumié? Czy bogaci magnaci, czy uboga szlachta, cóż dopiéro głupia czerń, godnaż mu zawiązać u trzewika rzemyk?

Każdy gatunek głupstwa jest szczęściem, a przedewszystkiém zarozumienie.

Kupiec, niepospolita figura przebiegu i rachunku; blady, wysoki a chudy, umieścił się tuż przy akademiku, wsparł się na dwóch pękatych, pełnych srebra workach, i duma, a duma, czy rozliczając swoje zyski wczorajsze, czy straty zeszłego tygodnia... Jak doktór w nauce, on w złocie swoje szczęście widzi, lecz doktór zadowolniony tém, co umié, kupiec niezadowolniony tém, co ma, grosz grosza, tysiąc innego tysiąca obudza pragnienie, i nasz spekulant w bezustannéj pracy wiedzie życie i ono mu niby długi jeden dzień gorączki, w któréj trawi pragnienie, a napój brany do ust nie gasi go, lecz owszem podwaja.

Z dwóch mieszczan, jeden Kazimiérski ławnik, zamożny kilku domów właściciel, dumny majątkiem i urzędem, rozparł się szeroko na ławce, charcze, dyszy, pot z czoła ociera, a półgębkiem z obok siedzącym kolegą rozmawia; ten ubogi rzemieślnik, szczęśliwy, że z swym ławnikiem na jednéj ławie usiadł, opowiada mu swoje niedolę, zajścia z żoną, kłótnie z sąsiadem, nieprzyjaźń pana burmistrza, wreszcie zakrój jurysty na jego chudobę.

A ten jurysta był właśnie na łodzi, nie pocieszna, ale wiele znacząca figurka, chytry, przebiegły, ruchawy, o sumienie mało dba, bo brudne, że nie warte niczego; prawo mu obszerną knieją, w któréj do woli może polować; téj kniei zna wszystkie ścieszki, łów więc idzie korzystnie, na łodzi nawet bezczynnym nie jest; to z dziedzicem na Głusku układa plany procesu, i obrony przeciw wierzycielom, to ubogiego mieszczana straszy, aby kilka groszy wyłudzić od niego.

Niższa część łodzi, a ta, w któréj sternik rudlem kieruje, cała zapełniona gwarnym biédnym tłumem: są tam starcy i dzieci, mężczyzni i niewiasty, a wszystko gmin, czerń, poddani wiejscy, okupnicy królewscy, i miejska Kazimiérska hołota; i tam przecież odcienia stanów widoczne, zamożni gospodarze i ich żony, sołtys, radni i służba dworska, arystokracye gminu stanowią; plebejuszami są, wyrobnicy i parobcy, dwóch żydów w obdartych opończach, dróciarz Słowak, chłopiec blady, chorobą strawiony i głodny, bo w tych stronach mało odbycia, i wreszcie, żebrak z tor-

bami na plecach, a kijem o jeżowéj skórze w ręku; i dwóch łotrów opryszków o groźnych postawach, dzikiém spojrzeniu, których w dybach pod sąd Grodzki wiedzie miejski pachołek.

Co do niewiast, tych jest pięć: żona sołtysa z córką, obie strojne w korale, w bawełniane spódnice i jubki wyłożone futrem; przekupka Kazimiérska, jéjmość indyczéj postawy, spasła, rumiana, jéj język kołowrot w bezustannym ruchu; biédna jakaś wieśniaczka z drobném dziecięciem u piersi, i druga, któréj stanu trudno odgadnąć, ubiór bowiem dosyć bogaty; jedwabna sukienka, manele na piersi, srebrne kolce w uszach, a na nogach żółty, kurdybanowy trzewiczek, młodość téż jest i urody nie brak, a jednak niby parya w owym tłumie; gdzie się obróci każden unika, przedewszystkiém niewiasty; ona nie zważa na to, wyszukała najdogodniejsze miejsce i sadowi się na niém, a uśmiecha się i minki stroi; jéj zaś wzrok przedewszystkiém ku wyższéj części łodzi zabiega, nie bez przyczyny zaś, odpowiada mu bowiem drugi, a to Jakóba Strzemieńczyka, poufnego wojewodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Text do *Nru. 166.*

„Chłopek ci ja chłopek.“
(Patrz Pieśni wysłe w Poznaniu r. 1826.)

№ 166.

Wielkopolski i Kujaw

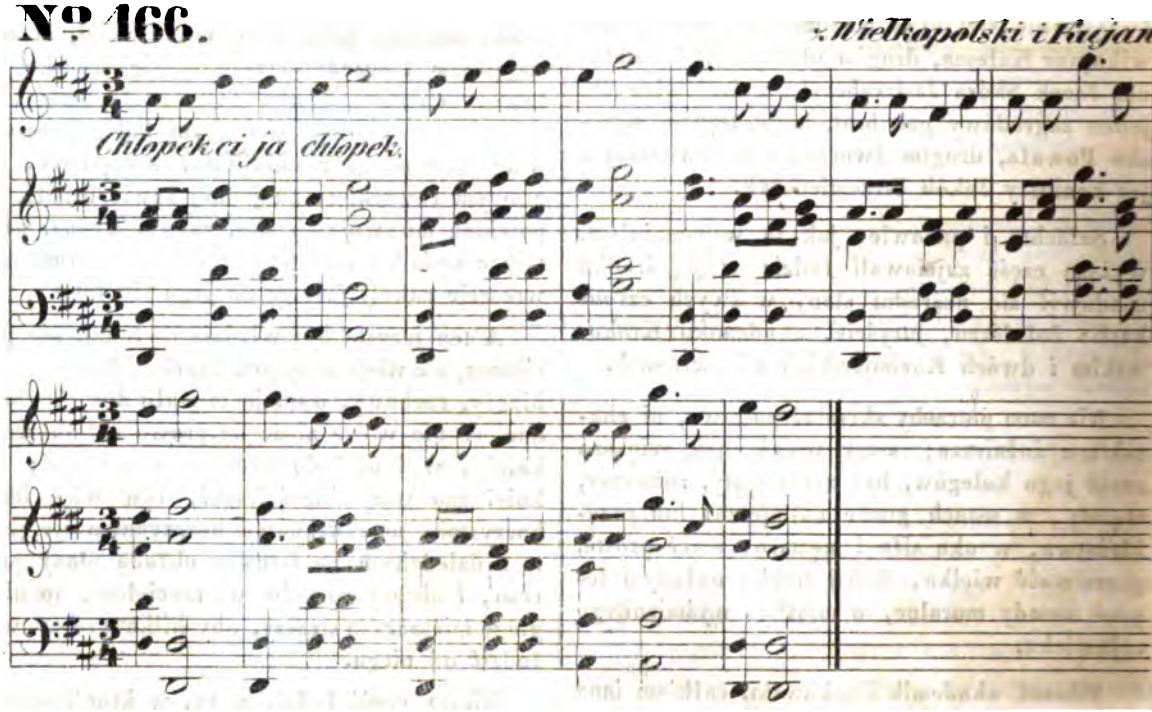

Zeszyt dziesiąty Roku I. pisma miesięcznego: *Kościół i Szkoła*, zawiera następujące artykuły:

I. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania: §. 1. O szacunku, który rodzice winni swym dzieciom. §. 2. Jakich zasad ma się nauczyciel trzymać, gdy starszych uczniów za pomocników przy nauczaniu używa? §. 3. Rozmowa nauczyciela z swymi uczniami o przyczynie świąt Bożego narodzenia. §. 4. O wychowaniu. §. 5. Jakie nauki nauczyciel pielęgnować powinien (dokończenie). §. 6. O kształceniu pedagogicznem duchowieństwa. — II. Ważniejsze zdarzenia lub ustawy tyczące się szkół: 1. Okólnik do wszystkich Radzców ziemiańskich Departamentu poznańskiego. 2. Okólnik. — III. Wykaz dzieł. — IV. Rozmaitości.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 43. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 24. Października 1846.

Rękodzielnia gobelinów. — Pomysł, jakby pamięć Dra Marcinkowskiego uwiecznić można. — Waltera Skotta pomnik w Edinburgu. — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego (ciąg dalszy). — Doniesienie literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

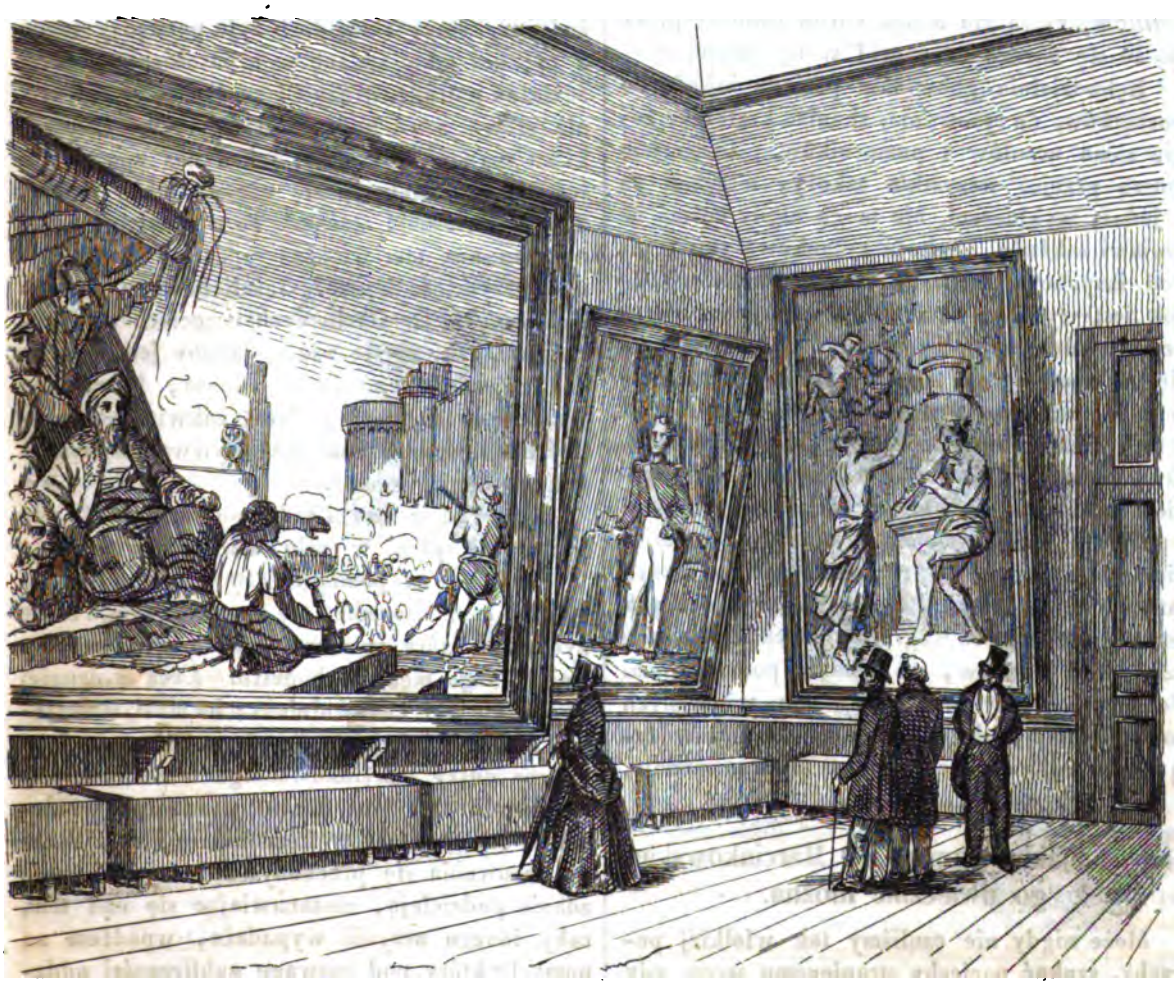

Sala wystawy gobelinów.

Rękodzielnia gobelinów.

Sztuka tkania kobiercy, pomiędzy którémi tak nazwane *gobeliny* osobny rodzaj stanowią, pochodzi ze wschodu. Pergamus, Tyrus, Sidon i Babilon posiadały kobierce, które złotem i srebrem były wyszywane. Gdy Krzyżownicy przynieśli tę sztukę do Francyi i tam się wydoskonaliła, użyto tych wyrobów do ozdobienia pałacy i kościołów. Tak w Krakowie do dziś dnia w kilku świątyniach je znajdujemy. Jakim sposobem wydoskonaliła się ta sztuka we Francyi, nie wiadomo, lecz mnóstwo kobiercy dowodzi, że musiała być znaną w 15. i 16tym wieku w wielu miejscach. Królewska rękodzielnia gobelinów była podług jednych w r. 1450, podług drugich dopiero za Franciszka I. w Paryżu w tém samém miejscu, gdzie się teraz znajduje, założoną, a znaną jest od początku 17go wieku pod nazwiskiem *domu Gobelinów*, którą mu nadał Gilles Gobelin przez to, że się bardzo odznaczył w téj sztuce.

Rękodzielnia gobelinów posiada szkołę do początków, do rysowania, tkania, kształcąc sobie sama uczniów i pomocników. Uczniowie muszą przejść wszystkie szkoły, a jeżeli są z jednéj wykluczeni, nie mogą nigdy zostać uczniami zakładu. Szkoła rysunkowa stoi teraz pod inspekcyą Mulard'a ucznia Dawid'a. Co rok jest wystawa na nagrody, a najlepszych uczniów odznaczają medalami. Podobnie rzecz się ma z szkołą do tkania. W niéj uczą ustawienia i urządzenia warsztatu, wyboru modeli i farb i pracy saméj. Zaczynają od ornamentów, kwiatów i owoców, a kończą naśladowaniem historycznego obrazu malarskiego. Stąd wybierają najzręczniejszych uczniów, oddając pierwszeństwo synom robotników. Po dwóch latach odbiera uczeń 120 franków (jeden frank jest prawie tyle, co 8 sgr.), a płaca jego rośnie aż do 400 franków, aż zostanie pomocnikiem. Uczniów, którzy przez dwa lata widocznych postępów nie zrobili, oddalają. Corocznie dają dwom najlepszym robotnikom srebrne medale.

Pomysł, jakby pamięć Dra Marcinkowskiego uwiecznić można.

Może nigdy nie czuliśmy tak wielkiéj potrzeby, szukać pociechy strapionemu sercu, gdy po tylu wypadkach, które całą duszę wstrząsnęły, umysł nasz prawie całkiem zakołatany został. W tym roku przekonaliśmy się o prawdzie zdania powszechnego, że kiedy los kogo ściga, to nie dosyć na jedném nieszczęściu, lecz cały szereg zwalić się musi. Pomiędzy témi klęskami niepoślednie zajmuje miejsce śmierć Marcinkowskiego. Lecz jakkolwiek srodze nas dotknęła i prawie do rozpaczy przywodziła, iż osierocił nas, nie zostawiwszy godnego następcy; uczuliśmy i czujemy niejaką pociechę, gdy widzimy, iż wszystko, starcy i dzieci, bogaci i ubodzy, panowie i kmiecie, Polacy i Niemcy, o tém tylko myślą, jakby zgasłemu cześć swoję okazać mogli. Pociecha ta tém więcéj nas pokrzepia, gdy wśród powszechnego smutku i zmartwienia dusze nasze tak zmalały, iż zdawało się, żeśmy opuściwszy ręce, o wszystkiem powątpiewać, co więcéj, rozpaczać poczęli. Była to chwila otrętwienia publicznego. Dziś, dzięki Tobie wiekopomny mężu! odżyliśmy; Twój duch żyje pomiędzy nami; a to, żeś taką zmianę w usposobieniu naszém zdziałać potrafił, służy Ci za lepszą pochwałę, niż słowa z ust najwymowniejszych. Dopiero kilka tygodni upłynęło, jakeś nas opuścił, a już liczne odzywają się głosy, jakby pamięć Twoję uwiecznić można. To wyjawienie uczuć napawa nas tém większą radością, bo rokuje nam przyszłość lepszą. Jeżeli bowiem do tego dośliśmy, iż w ślachetnych uczuciach się spotykamy, tak, że się zdaje, jakoby jedna dusza nas ożywiała, zgoda i jedność, która nam przedewszystkiem potrzebna, zakwitnie pomiędzy nami, a w ten czas przy wytrwałości wszystkiego dopiąć można.

Zapewne z nas każdy się ucieszył, gdy przeczytał plan w celu utworzenia zakładu w Poznaniu na pamiątkę Dra Marcinkowskiego; bo czuł, że może się spełnić jego własne życzenie, które w nim pierwsza wiadomość o śmierci tego męża wzbudziła. Lecz z drugiéj strony nie był zadowolniony; bo myśl wzmiankowanego planu jasno mu dowodziła, że jego twórcy duszy Marcinkowskiego w całkowitości nie pojęli. Kiedym doznał podobnego wrażenia, a razem z Gazety Poznańskiéj i codziennego obcowania się przekonywał, że inni moje zdanie podzielają, zastanawiając się nad tém, coby innego uczynić wypadało, wpadłem na pomysł, który pod rozwagę publiczności oddaję. Będę nader szczęśliwym, jeżeli choć czę-

ściowo przyjętym będzie; gdyby zaś i to nie nastąpiło, pocieszać się będę tém, iż wypełniłem powinność moję, jakem mógł.

W tém się wszyscy zgadzamy, że Towarzystwo Nauk. Pomocy, jest najdroższą dla nas puścizną po ś. p. Marcinkowskim. Jeżeli więc rzecz tak się ma, wystawimy zapewne najlepszy pomnik Marcinkowskiemu, dokładając wszelkiego starania, abyśmy jego dzieło nie tylko utrzymali, ale coraz nowemi siłami wzmacniali. Tę myśl objawili wszyscy, którzy się w Gazecie Pozn. słyszeć dali; nią powodowany pan N. podał w téjże Gazecie tę myśl, aby całe Towarzystwo *Towarzystwem Marcinskowskiego* nazwano. Zaiste pamięć Marcinkowskiego byłaby w ten sposób uwiecznioną. Lecz pytam się, jakaby korzyść ztąd wynikła? Czyliż godzi się, abyśmy, oddając cześć mężowi czynu, przestawali na tém, coby tylko czczą było formą? Nie ganię tego pomysłu, lecz sądzę, że chcąc uczcić Marcinkowskiego, który każdy krok życia swego czynem napiętnował, musimy coś uczynić, coby nam po wszystkie czasy męża tego przypominało, a razem narodowi prawdziwą korzyść przynosiło. W ten sposób wywiążemy mu się z długu wdzięczności, a razem pokażemy, że pojmujemy Marcinkowskiego, którego dusza nigdy próżności nie uległa.

Może nie mylę się, jeżeli utrzymywać będę, że Towarzystwo Nauk. Pom. ma dwie słabe strony, najprzód: że nie jest tak zabezpieczone, iżby w każdym razie bez przeszkody działać mogło, chociażby nadzwyczajne zaszły zdarzenia, któreby dochody jego uszczuplały; powtóre: że w całém swojém urządzeniu nie ma nic takiego, coby młodzież ożywiało i do ślachetnego współubiegania zachęcało. Aby temu zapobiedz, podaje nam się dzisiaj najlepsza sposobność, gdy wszyscy pragną uczynić coś dla Marcinkowskiego, a razem w tém się zgadzają, że, ponieważ Pomoc Naukowa jest jego najpiękniejszém dziełem, ją więc wspierać i zasilać trzeba, aby coraz zbawienniéj wpływać mogła. Do tego zmierza mój pomysł, jest on następujący:

1ód. Największe stypendya, których dotąd Towarzystwo Nauk. Pom. młodzieży udzielało, mają się nazywać stypendyami Marcinkowskiego.

2re. Do tych stypendyów ma być sam wybór młodzieży przypuszczany. Tylko uczniowie, którzy się wzorową moralnością i pilnością odznaczają, mogą być uważani za godnych, aby się nazywali i byli stypendyatami Marcinkowskiego.

3cie. Stypendya te nie mogą być liczne. Może byłby następujący stósunek wystarczający: na gimnazya 3, na wyższe rzemiosła 2, na seminarya nauczycielskie 1, na uniwersytet 1.

Z tych 3ch punktów pokazuje się, że Towarzystwo nie byłoby wystawione na nowe wydatki przez zaproponowane urządzenie; dotychczasowe dochody wystarczałyby, aby myśl ta urzeczywistnioną została. Na pozór więc żadnaby zmiana nie zaszła; lecz kto się głębiéj nad rzeczą zastanowi, kto ma cokolwiek wiadomości pedagogicznych, przyzna, że takie urządzenie będzie dzielnym bodźcem, aby młodzież się lepiéj zasługiwała. Znając bowiem ślachetne skłonności serc młodych, a razem żądzę, aby do pierwszych należały, wątpić nie możemy, że ubieganie się o stypendyum takiego męża, jakim był Marcinkowski, który tém więcéj służyć może za wzór ubogiéj młodzieży, że sam ubogi, przez własną pracę dobił się najwyższéj czci, wzbudzi największy zapał w młodzieży, aby usilnie pracując, naśladując swego dobroczyńcę, stała mu się wreście podobną.

Lecz w ten sposób doślibyśmy dopiero do jednéj rzeczy, pozostałaby jeszcze druga, równie ważna, aby byt Towarzystwa był więcéj ustalony.

Chociaż ustanowienie stypendyów Marcinkowskiego bez nowych wydatków dla Towarzystwa obyć się może, byłoby jednak rzeczą nader pożądaną i dla Towarzystwa bardzo zbawienną, gdyby te stypendya miały stały fundusz, któryby wcale nie zależał od rocznych składek. Trudno w naszych czasach zbierać kapitały; lecz gdzie jest prawdziwe poświęcenie, a zwłaszcza takie, które najpiękniejsze wydać może owoce, tam każda pora jest dobra.

Wdzięczność ku Marcinkowskiemu jest w nas tak wielka, iż jeżeli godnie ją okazać chcemy, powinniśmy ją nie tylko w sercu zachować, lecz i czynem objawić. Dziś podaje nam się do tego najlepsza sposobność; złóżmy na jego pamiątkę choć małą ofiarę, a gdy się wszyscy do niéj przyczynimy, urośnie bez wątpienia taki kapitał, iż dochody z niego wystarczą na utrzymanie stypendyatów Marcinkowskiego. Jeżeli zaś w ten sposób postąpimy, dopniemy po-

dwójnego celu; raz, obdarzymy Towarzystwo Nauk. Pom. żelaznym funduszem, który je oswobodzi od obawy, aby kiedykolwiek przez nieszczęsne okoliczności w swém działaniu wstrzymanem nie zostało; drugi raz okażemy się w najpiękniejszy sposób wdzięcznymi zgasłemu rodakowi, bo wesprzemy dzieło jego filarem, który mu dotąd do jego wykończenia był potrzebny. Tylko takiego lub podobnego pomnika pragnie dusza Marcinkowskiego; każdy inny, na czczym tylko blasku oparty, nie zgadzałby się z jego usposobieniem.

Waltera Skotta pomnik w Edinburgu.

Dnia 15go Sierpnia b. r., w urodziny Waltera Skotta, odsłoniono pomnik, który mu wdzięczność i uwielbienie ludu wystawiło. Do tego pomnika położono kamień węgielny przed sześciu laty. Składa się z wspaniałéj gotyckiéj spiczastéj wieży, która spoczywa na czterech łukach, ozdobionych bogato wieżyczkami. Niże zawierają najsławniejsze charaktery z romansów Waltera Skotta w naturalnéj wielkości. Zajmuje przestrzeń 60 stóp kwadratowych, a wysokość wynosi 130 stóp; koszta dochodzą oprócz posągu 15,650 funtów szterlingów. Posąg zrobiony przez Johna Steell, rzeźbiarza szkockiego, wielkości więcéj niż podwójnie naturalnéj, z marmuru karraryjskiego, powszechnie jest podziwiany dla prawdziwie artystowskiego pojęcia, dla dobitnego podobieństwa rysów, dla wierności w formie i ubiorze i dokładnego wykonania wszystkich drobnostek, które i Waltera Skotta charakteryzują. U nóg poety leży z głową do góry jego sławny pies Maida, jak gdyby się cieszył razem z panem z wykończenia nowego dzieła.

Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

(Ciąg dalszy.)

Co się tyczy wojewodziny i innego państwa, że mało dotąd zajmowałem się niemi, teraz to uczynić wypada.

Wielmożna to i poważna osoba pani z Borkowic; wysoki ród i dostojność poznasz z jéj powierzchowności od razu, ubiór bogaty, ciężki jedwabny płaszcz i suknia z podobnéj materyi, na piersi złoty łańcuch, na szyi Uryańskie perły, chłodna powaga na twarzy, usta blade i wązkie, oko dumne miota spojrzenia, dostojnością swoją przesiąkła puszy nią i od świata się zagradza. Nie jest to kobiéta, nie jest żona i matka, lecz tylko wojewodzina, piérwsza dygnitarka w kraju, pani jaśnie wielmożna.

Przy grabini z Borkowic siedzi jéj siostrzanka Jadwiga z Dzierżykraju, wielce szlachetnego rodu Nałęczów dziewica, wychowanka wojewodziny; jest jak ona poważna, układna i dumna, młoda krew nie grzeje duszy, serce może w piersi jest, ale czyż ono ma bić, czy ma z żywszém jakiém uczuciem ozwać się? Gdzieżby znowu tak było! Alboż kochanie przystoi hrabiowskiéj plemienniczce? plebejuszowie niech się miłują, uczy ciotka; to ich rzecz, nie raz jedyna w biédzie pociecha; od wysoko urodzonych dziewic podobne głupstwo dalekiém być winno; szczęście dla nich, nie jakieś tam uczucia serca, wzajemność, lecz świetny tytuł, honory i obszerne imiona.

Za panną z Dzierżykraju, do jéj ucha nachylony, stoi Otto z Szczekarzowic; urodny to młodzian, lat mu najwięcéj dwadzieścia pięć, włos czarny, wąs czarny, strój bogaty, jedwabny kaftan, podobny płaszczyk, na głowie kapelusz o strusiém piórze, za pasem kordelas o złocistéj rękojeści, u kordybanowych czerwonych bótów złote ostrogi, bo téż modny to kawaler pan Otto, ulubieniec niewiast i piérwsza ozdoba dworu króla Kazimiérza, z czary życia pełną miarką pije, na wołowéj skórze nie spisałbyś jego miłosnych intryg; teraz przecież wyłącznie grabianką Jadwigą zajęty, dla niéj opuścił dwór, dla niéj nudne życie w Bochotnickim zamku wieść będzie; straszy go to wspomnienie, ale przyszłość pociesza, niech tylko rękę grabianki otrzyma, jéj rękę, a z nią nie miłość; mało zważa na taką drobnostkę, lecz milionową fortunę, trzy miasta, cztérnaście zamożnych sioł, powróci do Krakowa, wynagrodzi sobie nudy konkurów, wynagrodzi z lichwą ciężar piérwszych dni małżeńskich węzłów. Rozwija się przed nim w czarujących kolorach przyszłość, a przyszłość szczęśliwa, bogata w złoto i wszystkie rozkosze żywota.

A gdy Otto z Szczekarzowic szeptał do ucha narzeczonéj, nie oświadczenia miłośne, kłamać bowiem nie umiał, a nadto snadno zrozumiał, że nie trafiłyby one do zimnego serca grabianki, lecz gdy w czarownych obrazach pluskał jéj w oczy blaskiem piérwszego miej-

sca na dworze, urokiem turniei, bogactwem sukienek, świetnością rydwanów; inną Spytko Zaklika wiódł z wojewodziną rozmowę.

Wielki zaś i możny pan był ten Spytko Zaklika, człowiek, jak wszyscy Toporczykowie, rycerski, za Łokietka Krzyżaków pod Płowcami bił, Tatarów i Litwę bił na Rusi Czerwonéj i Podolu już za Kazimiérza, dzielnie zaś walczył, trzeba prawdę dać; nie raz znakomicie przyłożył się do zwycięstwa, nie raz go swoją okupił krwią; ale cóż, samo rycerstwo nie zdobi człowieka, trzeba jeszcze, aby miał serce w piersi, sumienie w duszy; sumienia i serca brak przecież kasztelanowi, twarda stal jego zbroi, lecz twardszy jego charakter, silne ramię, lecz duma jeszcze silniejsza. Téj dumie położyć hamulca nie sposób, pohamować namiętności także nie sposób, wszystkie zaś one szpetne, złość, gniéw, upór, zawiść; dla tego kasztelan w powszechnéj niesławie i zgrozie u całéj krainy; co dzień skargi do króla przychodzą, jako sąsiada najechał, wdowę lub sierotę bez opieki, z majętności wyrzucił, poddanego, za lekkie jakieś tam uchybienia, wziął na tortury; kupca Ormiana z fortuny odarł, żyda bisurmana, że pieniędzy dać okupem nie chciał, powiesił. Król Jmć, dobry pan, lecz sprawiedliwy, a często i surowy sędzia, dobry kier rad widzi w kraju, a solą mu w oku bezprawia; dla tego napominał zuchwałego panka, do powinnego uszanowania praw skłaniał; lecz gdy nie pomogły łagodne słowa, rozgniewał się, odjął magnatowi zaszczyty, infamią zagroził, a z dworu i rady wygnał.

Co do czterech szlachty, różne ich postawy, ubiory, jak zamożność i charaktery różne. Dziedzic na Głusku, jegomość spasły, pękaty, puszy swoją fortuną, choć długów na niéj nad wartość, i za wielce ważną ma się personę, bo swéj moralnéj nicości nie widzi. Plenipotent kasztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk, figura Judaszowego układu, słodkie jego spojrzenie, ukłony nizkie, uściski gęste, słówka szalbierze zawsze na podorędziu, bo téż pan Jacek łotr, jak drugiego na Bożym świecie trudno napotkać; lichwiarz, łgarz, pieniacz, lecz, że wierny sługa pański, że ślepo do odebranych rozkazów umie się stósować, a gdy krzywdę ludzką mają na celu, to i wypełniający je z naddatkiem; miły więc, poufny, — wierność jednak przeszkodą nie jest słudze, aby pana nie

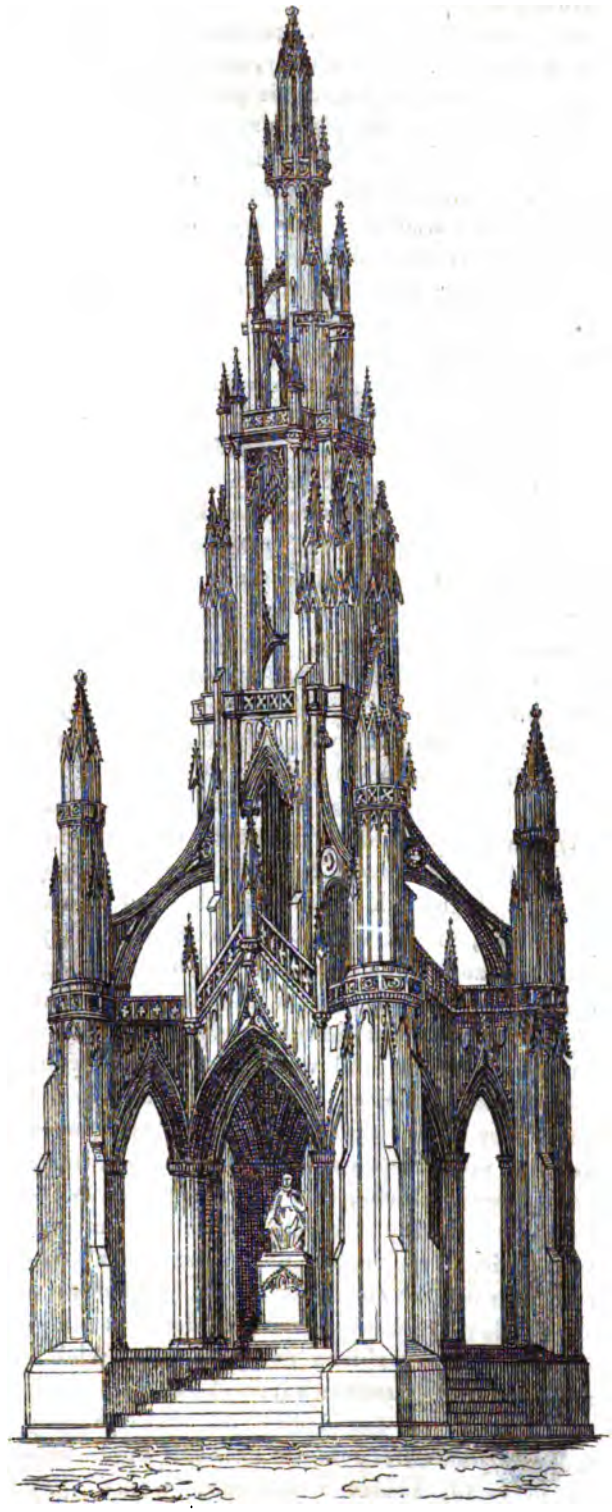

Pomnik Waltera Scotta w Edinburgu.

kradł, dla tego u plenipotenta grosz nie dziwo, kapitały są to w gotówce pod łóżkiem w brudne obwinięte szmaty, to na procencie u tego i tamtego panka, a nie pytaj jak je pozyskał, straciłbyś do pieniędzy pociąg. Nie jeden z tych groszy brudzi łza poddanego, nie na jedném jego krew błyszczy; inne skojarzyła lichwa i kradzież, lub frymarka poczciwością i zbawieniem duszy.

Gdy ubiór pana Jacka, brudny, wyblakły, właśnie jak jego sumienie i charakter, butny za to i strojny jego kolegi dworzanina wojewodziny, Jakóba Strzemieńczyka; ten też ubiór dziwowiskiem dla wszystkich, zkąd nań starczy człowiek, co nie ma żadnéj fortuny, a ordynaryi ledwie ćwierć kopy na rok? czy skarb gdzie odkopał, czy Ormiana kupca w lesie przydybał i jego worek znalazł przypadkiem w swojéj kieszeni? Nie ma potrzeby szukać skarbów i cudzych worków pan Jakób; bujny wzrost, olbrzymia siła, kruczy wąs i rumiana twarz, jego skarb. Niemi on pozyskał względy pani z Borkowic, a za względami stroje i grosze, — szczęśliwy, gdy podobną frymarkę szczęściem zwać można....

Grześko Powała, zagrodowy szlachcic z bliskiéj wsi Wąwolnicy, człowiek, któremu choć Pan Bóg 50 lat życia pozwolił, los nie nastręczył ni służby tak wygodnéj jak panu Jackowi Skórze, ni tak wdzięcznéj jak Strzemieńczykowi, pozostał biédnym, jak był biédnym jego ojciec i dziad, jak bez wątpienia syn i wnuk będzie, a przecież Grześko więcéj od innych na grosz pracuje, od wczesnego rana na roli; nie schodzi z niéj aż o późnym mroku, każdą garść ziemi swéj chudoby poruszy, ni jednego na niéj nie przepomni kłosa; lecz cóż, sama praca nie da chleba, trzeba mieć szczyptę przebiegu w głowie, a choćby łót jeden szczęścia w zapasie. Przebiegiem nie grzeszy nasz szlachcic, szczęście nie dopisało, więc biédny, a tak biédny, że litość bierze, że denar w kalecie cud, kromka chleba posypana solą, wielki, zwłaszcza na przednówku, bankiet.

Otóż gdy się tak działo, jak rzekłem, gdy wojewodzina z kasztelanem układali bujne plany przyszłéj zemsty i krwawéj wojny, gdy młody Tarło szeptał grabiance w ucho opis rydwanu, który właśnie na ślub obstalował u Niemca Maurstina w Krakowie, filozof, akademik Krakowski, Grześkowi Powale i żołnierzowi obok stojącemu, w górnolotnych wyrażeniach tłómaczył dziwy nieba i ziemi, gdy Gaszka niewiastka z Gaszkiem dworzanem domyślne zmieniali spojrzenia, a wieśniacy i hołota gwarnie rozprawiali o tém i o owém, o swym dziedzicu i księdzu plebanie, o włodarzu i biédzie, burza, o któréj wspominałem, z całą potęgą wybuchła.

— Do wioseł, do roboty, chłopacy! Kuba, zwiń żagiel! donośnym głosem wykrzyknął stérnik, flis znany w całéj okolicy z swéj sprawności, stary rzeczny wyjadacz, co Wisłę znał lepiéj od swéj chaty, bo pół kopy lat plondrował po niéj w różnych kierunkach. Do roboty chłopacy, wołał swym wioslarzom, czy widzicie, Poświst wyciągnął ku nam ramiona.

Chłopacy przewoźnicy, czterech ich było — w żylaste dłonie wiosła ujęli, Kuba starszy między niemi zwinął żagiel, a łódź popchnięta stérem i wiosłami, szparko niby strzała szybować ku Kazimiérskiemu brzegowi zaczęła.

Ale choćby miała sokole skrzydła, nie zdołałaby przecież ujść orléj burzy; w jednéj minucie dogoniła ją ona, objęła w mgliste swoje ramiona, i jak to rzekłem na wstępie, zbiła z drogi i miotała po gniewnéj rzece.

Niepodobna opisać trwogi, jaka wtedy ogarnęła podróżnych: ten się modlił, ów skarżył; ten biadał i ręce łamał, ów radził, inny z strachu głowę postradał, kasztelan do sternika podbiegł.

— A łotrze, a chamie, zgubiłeś nas!

— Ja nic nie winien, jaśnie panie; Bógby zgadnął, że pogoda tak się nagle zmieni; ni jednéj chmurki, gdyśmy od tamtego brzegu ruszyli, nie było na niebie.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? jak sądzisz?

Stérnik spojrzał na niebo i na łódź i Kazimierski brzeg, — jak długo żyję na świecie, nie widziałem podobnéj burzy, odparł. — Boże nas strzeż, pozwól przepłynąć war, lecz gdy będzie daléj jak jest, choćby ćwierć godziny, wątpię, abyśmy mogli zdążyć do lądu, nim się orkan rozdąsa.

Ale orkan nie czekał na ucieczkę łodzi; ledwie dorzekł swoich słów stérnik, jasna zygzaczna błyskawica czarne chmury rozdarła, i równo z jéj przenikliwym połyskiem, grom z trzaskiem walącego się świata, uderzył w rozhukane fale Wisły.

— Jezus Marya, ratuj! a słowo stało się ciałem! czterdzieści głosów wykrzyknie razem. Stérnik rudel z ręki wypuścił, magnat odskoczył na parę kroków, połowa podróżnych na

kolana upadła, grom był tak nagły a blizki, że się wszystkim zdawało, iż uderzył w samą łódź.

Wojewodzina blada, drżąca, podniesie się z swojego miejsca, nogi dygoczą pod nią, głos drży, sternikowi woła:

— Dla Boga, poczciwy człowieku, ratuj! uratujesz, sto złotych mieć będziesz.

— A gdy nie, to na piérwszém drzewie powiesić cię każe, dodał, ochłonąwszy nieco z trwogi, a wtrop swego charakteru, kasztelan.

Sternik ujął za rudel, nie straszy pogróżka magnata, nie nęci suta nagroda jaśnie pani, ale skłania do pracy poczciwość i obowiązek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Doniesienie literackie.

Jako wstręt do zdrowych i pożywnych pokarmów, powstały w człowieku, nieomylną jest chorobliwości ciała jego oznaką; tak obojętność na własne wykształcenie, pogardzanie książkami, prowadzącémi nas do Boga i zamiłowania cnoty, znamieniem są zepsutego serca. *„Niczego się nie możesz po człowieku spodziewać dobrego,* — mówi przeto S. Jan Złotousty, (*a* — *jeśli go widzisz niestarającego przez czytanie pobożnych książek i rozpamiętywanie prawd Bożych, o utwierdzenie w dobrém.“*

Jako owad przybiera częstokroć na siebie barwę liści i kwiatów, jakiémi się żywi; tak i człowiek, przesiąka niejako zdaniami tych, z którymi obcuje, jeśli nie jest dość ostrożnym i usposobionym, aby dobre od złego rozróżnił i odepchnął od siebie czarę trucizny, tak często za zdrowy sobie podawaną napój. I jeżeli w życiu twojém starasz się o wiernych przyjaciół, u którychbyś w potrzebie radę i naukę, a pociechę znalazł w strapieniu; nie mniéj troskliwym Ci być należy, ażebyś, wybierając sobie, w chwilach wolnych od zatrudnień i pracy, książkę, mającą Ci korzyść jaką przynieść, do takich się zawsze uciekał, któreby cnoty uczyć, do pełnienia jéj zachęcić i zagrzać zdolne, czystém były dla Ciebie źródłem prawdy, pociechy i przykładów naśladowania godnych.

Zdaniem wszystkich, z bogobojności swojéj znanych mężów, po księgach Pisma ś., owéj krynicy niewyczerpanéj wszelkiéj prawdy i niezmąconego źródła pociechy i ochłody, Żywoty Świętych Pańskich pierwsze zajmują miejsce. (*b*) Czytając je i podziwiając w Świętych Pańskich, miłość ową gorącą Boga i bliźniego, ową wytrwałość w dobrém, poświęcenie się bez granic dla prawdy i cnoty; któż nie będzie ich chciał naśladować i żywot swój podobnym ich żywotowi uczynić, a tém samém zapewnić sobie pokój duszy, którego świat nie zna i dać nigdy nie może? — Żywoty Świętych są dla nas najdzielniejszymi mówcami, porywającymi za sobą; i to nie słowy tylko, bez najmniejszego często przebrzmiewającémi skutku, ale czynami i dziełami, godnémi naśladowania. Cenili już poganie wysoko cnoty i zasługi tych, co dla kraju swojego coś uczynili znakomitego; imiona mężów takich zapisywano w rocznikach dziejów ojczystych, — stawiano im pomniki, — na cześć ich śpiewano pieśni, aby tym sposobem pamięć ich przekazać potomności i zachęcić ją do naśladowania. Miałżeby Kościół, — ta o szczęście dziatek swoich troskliwa matka, z taką pieczołowitością pielęgnująca je i prowadząca do żywota, — być obojętnym względem tych, co szczególniejszemi, pomiędzy jéj synami i córkami, zajaśniali cnotami? — Nie! zachowuje imiona ich Kościół, przypomina ich zasługi wiernym często, przemawiając do dziatek swoich: „Patrzcie, dziatki! oto przodkowie wasi, oto ojcowie i matki wasze, co podobnie jak wy żyli na tym świecie, — w podobnych wam znajdowali się stósunkach, — z témi samémi, co i wy, walczyli pokusami i przeszkodami, — pokonali je szczęśliwie, wytrwali w dobrém do końca, a w nagrodę cnót swoich, są dziś w niebie, u Boga, gdzie i wy obok nich staniecie, jeśli tylko w ślady ich będziecie wstępować.“

„Jeśli na niebo i gwiazdy i słońce tak piękne, z rozkoszą patrzysz: jeżeli ozdoby ziemi w górach i pagórkach i polach, i w zieloności i kwieciu i w rzekach i lasach i gajach ślicznych, uciechę tobie miłą dają; — pisze wielki nasz Skarga, (*c*) — jeśli na ptakach. śpiewaniu ich i piórkach pięknych, i na zwierzach rozmaitych dzikich i domowych, oko twoje chłodzisz: a jako się patrząc na Święte Boże nie ochłodzisz? — To wszystko nierozumne stworzenie jest, jako ślad tylko Boga nieogarnionego: a Święci są jako twarz i obraz i podobieństwo jego. Na Boga jeszcze patrzeć nie można: ale obrazem jego ucieszyć się możem. O jaka wielka ochłoda! Święci są obrazem Boga żywego: o jako pięknie i miło na nie patrzeć! Święci malowaną twarz Boską cnotami Boskiemi i od Boga wlanémi na sobie mają: o jako wdzięczny to obraz, o jako oczy wiernych uwesela!“

W gronie Świętych znajdziesz prawych sług Bożych z każdego niemal narodu, każdego wieku, płci i stanu, a w życiu ich, potrzebną dla siebie naukę, zachęcenie do zamiłowania cnoty, a w pokusach i cierpieniach, nieodłącznych od życia naszego, potrzebną ochłodę. Są pomiędzy nimi synowie i córki téj ziemi, którą w pocie uprawiamy czoła i po któréj chodzimy, — którą Bóg dał ojcom naszym w dziedzictwo. Tych to Świętych Żywoty, z pisarzy ojczystych i dziejów kościoła czerpane, zebrawszy, dla użytku wiernych, a mianowicie młodzieży, opowiedziane, za pozwoleniem Wysokiéj Władzy Archidyecezyi naszéj, pod napisem:

„Żywoty Świętych Polskich“

wydać umyśliłem.

Żywoty te drukowane będą w księgarni *Ernesta Günthera* w Lesznie i Gnieźnie, porządkiem, jaki jest w Mszale Rzymskim, i tak urządzone, iż każdy Żywot, z wizerunkiem litografowanym, osobno drukowanym, i za nader umiarkowaną cenę, przedawanym będzie. Wszystkie zaś żywoty jednę książkę stanowić będą, do któréj w końcu osobny tytuł dodanym zostanie.

Nim zaś książka niniejsza drukować się zacznie, do Was, Szanowni Bracia i Współpracownicy winnicy Chrystusowéj, pokorną prośbę moję zanieść widzę potrzebę. W wielu kościołach naszych śpiewa lud pieśni na cześć Świętych Polskich, których zebraniem — ile mi wiadomo — nikt się dotąd nie zajął. Chciałbym pienia te pobożne — jeśli P. Bóg pozwoli — zebrać i nie jedno z nich korzystać; upraszam więc Was jak najuprzejmiéj, abyście na pieśni tego rodzaju, na najmniéj mianowicie znane, uwagę Waszą zwrócić i takowe spisane, mnie wprost lub też przez księgarnią *K. Günthera* w Lesznie i Gnieźnie przesełać raczyli.

W dzień Ś. Katarzyny r. 1846. Winnogóra pod Miłosławiem. **X. A. Tyc.**

(*a*) Chrys. hom. III. de Lazar. T. I. p. 738. edit. Ben.
(*b*) S. Augustini Conf. l. VIII. c. 6.
(*c*) W przedmowie do Żywotów ŚŚ. Pańskich.

Nº 167.

Z Wielkopolski.

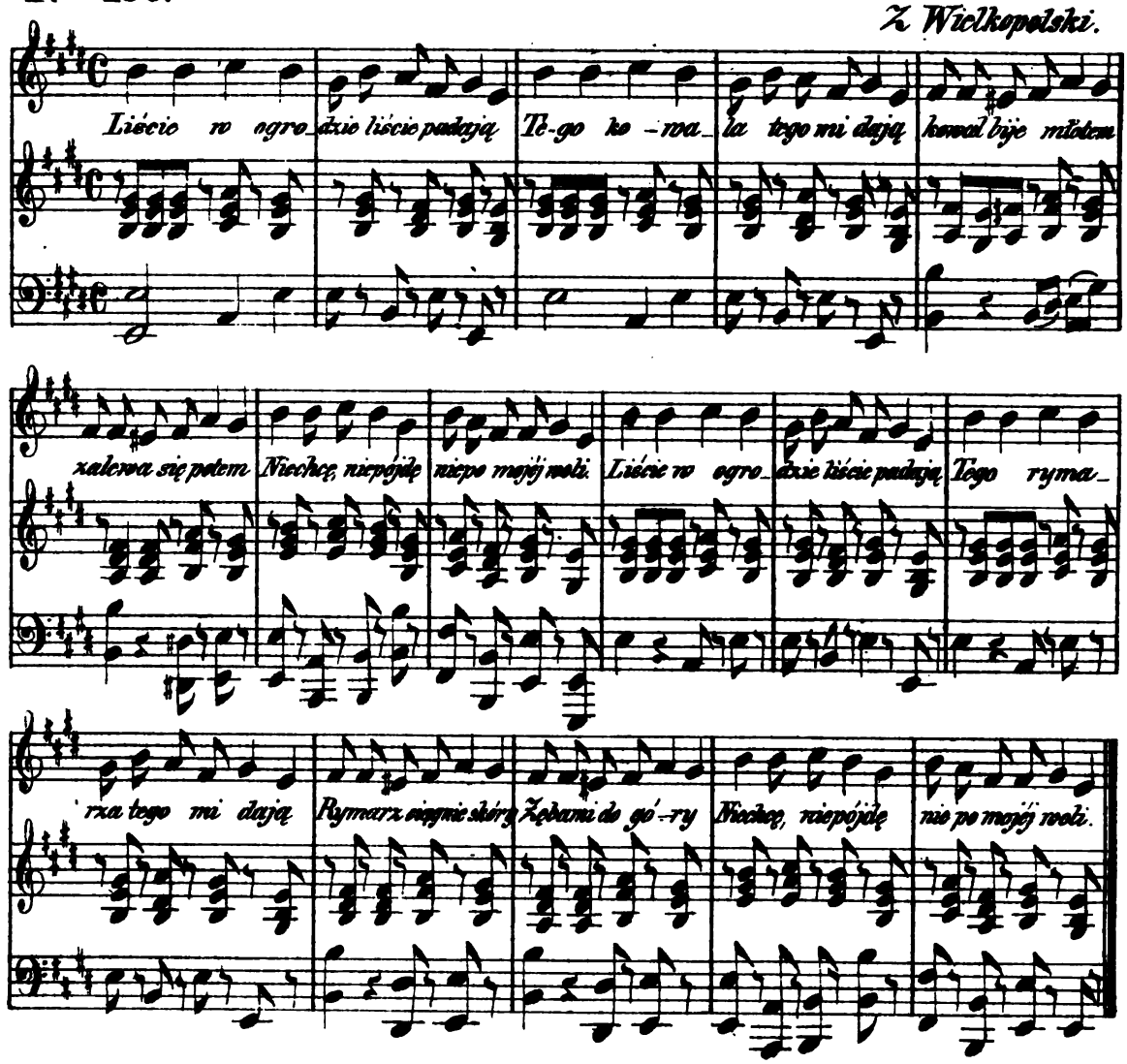

Text do Nru. 167.

1. Liście w ogrodzie liście padają,
   Tego kowala tego mi dają,
   Kowal bije młotem,
   Zalewa się potem,
   Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

2. Liście w ogrodzie, liście padają,
   Tego rymarza, tego mi dają;
   Rymarz ciągnie skóry,
   Zębami do góry;
   Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

3. Liście w ogrodzie, liście padają,
   Tego stolarza, tego mi dają;
   Stolarz robi skrzynki,
   Rad kocha panienki,
   Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

4. Liście w ogrodzie, liście padają,
   Tego skotarza, tego mi dają;
   Skotarz pędzi krowy,
   Rad on kocha wdowy,
   Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

5. Liście w ogrodzie, liście padają,
   Tego garncarza, tego mi dają;
   Garncarz robi garnki,
   Rad on kocha starki;
   Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

6. Liście w ogrodzie, liście padają,
   Tego młynarza, tego mi dają;
   Młynarz mele mączki,
   Rada jadam pączki;
   Chcę go i pójdę — bo po mojéj woli.

(*J. J. Lipiński*, P. l. W. str. 70.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański*.)

Nr. 44. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 31. Października 1846.

Ziemia Spiska. — Wyjątki z opisu podróży odmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego (ciąg dalszy). — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego (ciąg dalszy). — Słowiczek i wiosna. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

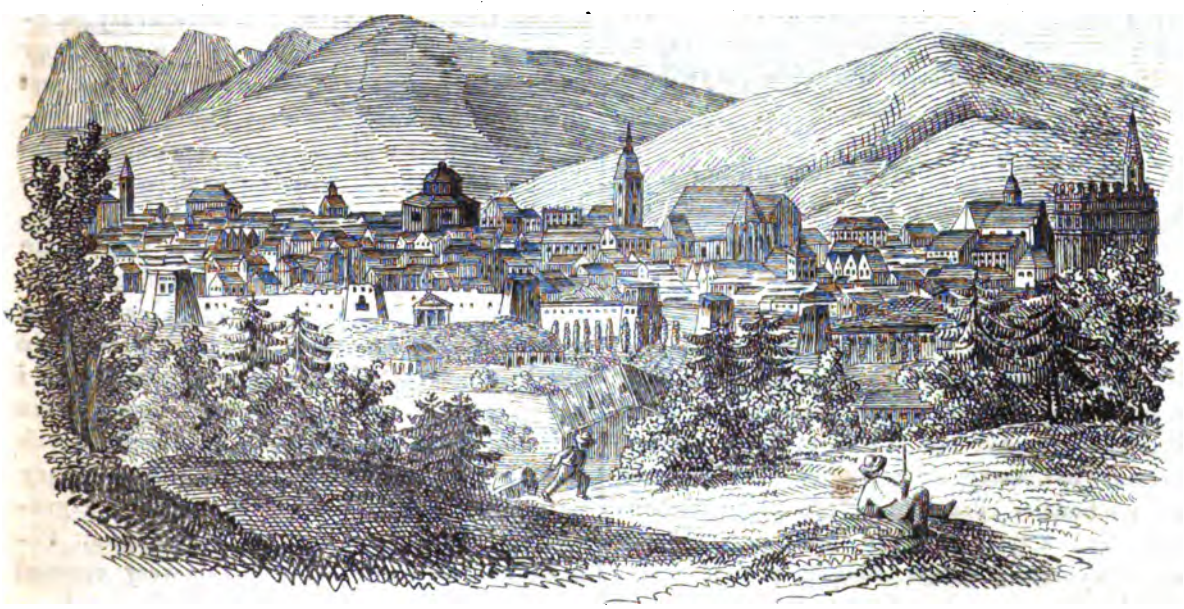

Leutschau.

Ziemia Spiska.

Był to mały powiat Węgier północnych, do dzisiejszéj Galicyi przytykający, za górą Łomnicą, między rzekami Popradem i Dunajcem, i w którym najznaczniejsze miasto jest Lubowla (Lublau). Roku 1412., Zygmunt, król węgierski, pożyczywszy u króla polskiego, Władysława Jagiełły, summę czterdziestu tysięcy kop groszy pragskich, oddał ten powiat koronie polskiéj prawem zastawném; i został on w tych stósunkach aż do roku 1772.; gdy przy piérwszym podziale Polski, weszła ziemia Spiska w zabór austryacki. W tych stronach, roku 1655, przy zdobyciu Polski koronnéj przez Karola Gustawa, zebrane zostały przez Jerzego Lubomirskiego ostatki wojska polskiego, i tu téż skarb katedry krakowskiéj został uchowany. Tędy téż powracał ze Śląska do Rusi polskiéj król Kazimierz Waza, gdy, za namową żony i Lubomirskiego, udał się przez góry karpackie do Lwowa.

Nie cały jednak dzisiejszy komitat Spiski należał do Polski; wyjęte były miasta: Leutschau, Kesmark, Kirchdorf i inne. Cała okolica odznacza się pięknościami natury; do nich należy brama w skale przy Straczena. Jeżeli się historyi i mieszkańców zapytamy, kto był szczęśliwszy, czy mieszkańcy ziemi Spiskiéj, należącéj do Polski, czy do Węgier? znajdziemy tylko jednę odpowiedź, iż pierwsi. Królowie obchodzili się bardzo łaskawie z tym krajem, zostawiając mieszkańcom wszystkie przywileje.

Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z Rozdziału XIX.

Wojaż do góry Athos.

Z pomiędzy wielu znakomitych wojażerów francuskich, z którymi się poznałem w Konstantynopolu, był Pan Texier, który przygotowany był szczególnie do ważnych podróży po wschodzie. Przybywali tam prawda i ruscy, lecz z tymi nie było ładu; przy ciemnocie i wybujałéj dumie Książąt prawie wszystkich i Grafów, nie było tam sposobu do nich się zbliżyć. Poznałem ja tam Dimitra Dawidowa, bogacza niezliczonych skarbów, bo wnuka owego przy Katarzynie II. sławnego Orłowa. Dążąc ten do chluby nauk niby, powziął zamiar zwiedzić górę Athos, a na niéj księgozbiory mnichów Greckich, i uprosił Buteniewa, Posła, bym mu tam towarzyszył. — Wieczorem 6go Września 1835, siedliśmy więc na parochód Austryacki pod nazwą *Marya Dorotea*. Pierwsza to była podróż, którą na morzu Marmora i daléj na Archipelagu płynąć miałem, dla tego téż z pełną radością przedsięwziąłem onę. Noc była miła i dziwnie luną księżyca oświecona; przeto, prócz szumu, bryzgów i bijących się wałów o boki statku, nic przed sobą i z boku nie widziałem. Nie prędkom mógł zasnąć, zmrużyć powieki, nim przywykłem do dziwnych niby hojdań kołyski, trzęskości łoża mojego i szumu i wrzasku ciągłego. Lecz na rozświciu świetnie się przedstawiały oku już wydęte, gdzie niegdzie urwiste, płaskie, posiane i puste pola brzegów Azyi i Europy razem, a w krótce ożywiły się one obrazem, nie opodal od Galipoli, dwóch wiosek, pod nazwą: Gałata i Majta, gdzie Turcy po raz pierwszy wkroczyli z Azyi do Europy. Pomiędzy témi wioskami słynęło niegdyś miasto Lizymachia. Zapadło w gruzy niebawem po rozkwitnieniu z trzęsienia ziemi. Mur na 6 mil długi, rozległy, już z czasem zapadł i po nim dziś gruzy wielkie są jeszcze widne. Dosyć jeszcze rano wylądowaliśmy w Dardanelach, czyli inaczéj w Czanak-kal'e, t. j. w twierdzy garnków, którą Turcy tak nazywają z przyczyny wielu fabryk tego rodzaju naczynia. Nie jest zbyt wielką ta twierdza, przy któréj dosyć spore miasteczko na płaszczyźnie Azyi się rozpościera; 13 przecież twierdz pomniejszych, usadowionych wzdłuż kanału, po obu brzegach, umnażają onę i sławią. Ponieważ chronił się w Dardanelach lud po domach przed grassującą czumą, zatrzymaliśmy się pod gołém niebem w rozwalinach domu nad wodą, zwłaszcza, że najęła się zaraz łódka z sześciu wioślarzami i tuż w podróż mieliśmy ruszać. Grono nasze składało się z siedmiu osób, z których dwóch ruskich mieli zdejmować plany, jeden służący na nas wszystkich, a reszta do rozbierania gruzyńskiego, greckiego i łacińskiego języka. Pogoda nadspodzianie miła i zarywczy czasami wiatr doprowadziły nas szczęśliwie po dwudziestu kilku godzinach do góry Athos. Łódka zatrzymała się pomiędzy wyłomem skały, port

niby tworzący, na którą wzgrabać się potrzeba było. U stóp szczytu góry, kryjącéj czoło w obłokach, budowa w kształcie twierdzy, dosyć obszerna, murem objęta, zwiastowała nam pierwszy klasztór Greków pod nazwą Ławra. Jeszcze zdala na morzu musiano nas zoczyć, bo tuż przy porcie już nas oczekiwał zakonnik, którego z kształtu wziąłem za mieszkańca Berdyczewskiego. Spytawszy się nas skwapliwie skąd, dokąd i po co przybywamy, i odebrawszy odpowiedź, kto my i że z celem pielgrzymki dążymy, prosił nas grzecznie zabawić na brzegu morza, przyjął paszport z rąk naszych i odprawił się do klasztoru, czepiąc się dość rączo po urwistych i nieogładzonych skałach, skąd powrócił niebawem z dwoma mułami, kazał je objuczyć naszą chudobą i z sobą poprowadził. W ćwierć godziny zdążyliśmy do klasztoru w pocie największym, gdzie starszyzna mnichów już nas oczekiwała przed bramą, witała uprzejmie, powiodła wewnątrz, orzeźwiła z okęską i do spoczynku zachęcała. Budowa ta obszerna, czworoboczna, mieszcząca w sobie cerkiew nie małą, ożywiona jest mnóstwem bujnych drzew cytrynowych, pomarańcz i fig. Fasady drewniane, w rodzaju kiosków tureckich, w mury wlepione, szpecą ją nadzwyczajnie. Sala wielka, usłana z trzech boków tapczanami, w rodzaju zawsze i smaku Turków, służyła nam wszystkim dniem i nocą za wypoczynek i łożę. Uprzejmość bez granic mnichów orzeźwiła nas mocno i dała nadzieję pełną, obejrzeć w całku bogate ich zbiory księgoskładów, o których nie wspomnieliśmy długo, bojąc się nieufności wrodzonéj wschodniemu narodowi; bo wybadywanie ich o jedyny cel podróży naszéj, o bogactwach naszych na ofiary wszystkich klasztorów téj góry, wyjaśniły ich chytrość. Rozmowa była powszechnie w Greckim i Tureckim języku. Uwiadomili nas, że samych mnichów zawiera Ławra sto osób, trzysta zaś drugich, a osiadłych w Skitach, t. j. w domach pustelniczych, gdzie już Grecy, Bułgary, Mołdawianie i Wołochy żyją. Cała zaś góra liczy ich wszystkich w ogólności około pięciu tysięcy, co jednak jest bajką, jak się przekonałem naocznie późniéj o tém w czasie kilko-miesięcznym pożycia mojego pomiędzy nimi. Jest ich tam z górą 10,000, nie licząc w to (*kalojerów*) kleryków, istotną liczbę ukrywają dla haraczu przed rządem Sułtana i przed obcymi. Na zajutrz rano przyzwano nas wszystkich do cerkwi na krótką modlitwę, a szczególniéj dla ucałowania moszczy, t. j. kości świętych, przy których jałmużnę składać potrzeba i to koniecznie i nie mało; bo od tego dalszy szacunek osoby zależy. Na obszernym stole rozstawiono przed nami wielki kawał krzyża Pana Jezusa, łokieć Śgo Jana złotoustego, głowę Śgo Andrzeja pierwozwanego, głowę Śgo Wasila Wielkiego, oraz różne członki innych Świętych. Cerkiew jest wielka, pusta, obszerna i wysoka. Wyszedłszy z cerkwi i klasztoru na wolne powietrze, lubowałem się miłym widokiem płaszczyzny morza, posianego gdzie niegdzie kępami niby wysp stałych. Pochyłość stałego lądu, gdzie przybyliśmy, jest jawnym rajskim ogrodem, na którym nie las gęsty, lecz miła krzewina drzew oliwnych, pomarańcz, cytryn i bujna trawa sterczy, po któréj się błąkały barany, wieprze, osły, muły i kapłony, gdyż żeńskiemu stworzeniu tam żyć nie wolno. Dowodzili mnichy, że dla świętości i czystości miejsca i ptaszki nawet nie parzą się w ich stronach. Prawda, że nie ma kobiet na całéj téj górze w klasztorach; lecz za to pełno ich w *chutorach*, nieco o podal, a dzieci tam co nie miara, które posługą niby i gotowaniem się do stanu duchownego po klasztorach żyją. Poszczą tam niby wszyscy, prócz zgrzybiałych i słabych osób; bo też przy obfitości najwyborniejszych płodów morza i owoców ziemi łatwo jest pościć i zdrowo. Wszakże przy tym dostatku wywiędłym jest mnich każdy, a bladość twarzy, zapadłe oczy i widoczne omamienie zmysłów dowodzi jasno nierząd. W liczbie wszystkich klasztorów téj góry cztery są najbogatsze, pomiędzy témi zaś Ławra się odznacza. W Ławrze księgozbiór jest największy i zamożny w ważne dzieła drukowane w 15. i 16tym wieku, zarazem w rękopisma na pergaminie i traktujące tylko o religii i greckim ich kościele. Uczone jednak te zakłady nie zwiały dotąd jeszcze grubéj powłoki ciemnoty z mózgów tych mnichów. Grzebiąc pięć dni ciągle w stósach woluminów rozrzuconych, podartych i zdziurawionych robactwem, przekonałem się, że zręczna, sprawna i ciekawa ręka przebrała już one i uniosła co było lepszego. Pomiędzy mnóstwem Alwarów i Kantyczek polskich, znalazłem także pisma polskie, powstałe z powodu prowa-

dzonego przez trzy lata w Polsce procederu, wynikłego z jałmużny przez Polaków Grekom użyczonéj. Datowane są z Poznania i z Kalisza. Że ciemnota panuje pomiędzy mnichami na górze Athos, nie ma dziwu, gdyż nie mają szkół żadnych. Hurtem zatém ćwiczą się tylko, dorastają w ciemnocie, i skoro zamężni, wdzierają się na przełożonych urzędy. Znalazłem także pomiędzy mnichami i rekrutów ruskich. Subordynacya ku przełożonym po klasztorach nie zbyt jest wielką. Owo tego przykład: Dwoma dniami przed naszém przybyciem do Ławry wsadzili mnisi swego Archireja do lochu; bo nie był ich zdania. Loch ten jest w baszcie przy cerkwi; uwięziony siedział tam cicho pogrążony w grobowéj, na łokci 10 głębokiéj, ciemności. Przestępnych karzą oni jeszcze, sadząc na dni lub godzin kilka do kostnicy. Kostnica ta ma jeszcze i inne przeznaczenie; od czasu do czasu rozbierają tam mnisi z największą uwagą kości, wąchając, ażali nie wydają aromatycznéj woni. Gdy im się to zdaje, odkładają one na bok i przeznaczają do cerkwi na moszczy dla celów świętobliwych pielgrzymów. . . . . .

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

(Ciąg dalszy.)

I łódź znowu fale szybuje, i wicher szparko ją niesie, jeszcze kilka chwil, a dopłyniem do brzegu, szepce stérnik. Boże wiedź.

— Dopłyniem, powtórzył radośnie tłum; nadzieja w sercach odżyła, zapomniano o niebezpieczeństwie, o wichrze, o burzy, lecz burza nie zapominała o nikim.

Nowy błysk rozdarł niebiosa, nowy grom zahuczał obok. Wisła się wzburzyła, wicher z podwojoną wściekłością, a przeciwnie kierunkowi łodzi zawył, i uniósł ją na bezdenne fale rzeki; a gdy sternik opór chciał stawić, rudel pękł mu w ręku, i z rąk przewoźników wyśliznęły się wiosła.

To wszystko było jednéj chwili wypadkiem.

Co się działo w sercach podróżnych, każdy snadno zrozumie, opisać tego nie sposób.

Któryś z przewoźników poszepnął:

— Boże! miéj nas w swojéj opiece; o staje drogi daléj, a w kierunku prędu rzeki, stérczą pod wodą opoki; gdy łódź w nie uderzy, w drobne kęsy ztrzaska się.

Szept to był cichy, a jednak posłyszeli go wszyscy, niby każdemu zosobna poniesiony był w ucho.

I nie zważając na świst wichru, ryk fali, piorunów trzask, wszystkie oczy zwróciły się ku fatalnym opokom, o których wspominał przewoźnik; te opoki, niby szczątki zniszczonego mostu, ciągnęły się wszerz rzéki; ich szczyty ledwie ze źdźbłami występowały nad fale, a jednak były dojrzane od wszystkich.

A nie tylko że były dojrzane, lecz owszem powiększone trwogą, nabiérały olbrzymiego rozmiaru, wzrastały w niebotyczne wzgórza, w nieprzebyte wały; o ich szczyty, tak się zdawało podróżnym, wspiéra się czarna chmura, z ich brudnych czeluści wyskakują gromy, obwija je, niby piastunka w powijaki dziecko, w kłęby płomieni, ognista błyskawica.

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, zmiłuj się nad nami! jednogłośny był wykrzyk podróżnych.

I Bóg się zmiłował.

Na łodzi, właśnie w jéj środku, stanął jakiś młodzian, lat 30 mniéj więcéj. Średniego on był wzrostu, ubiór skromny, zwierzchnia szata modréj barwy, fałdzista, włos jasno-długi, miękki, rozdwojony nad białém a szerokiém czołem, oko niebieskie, spojrzenie dziwnego uroku, nieco tęskne, lecz miłe, spokojne, poważne.

I gdy niém powiódł na okrąg, większa część podróżnych wzdrygnęła się, a nie z trwogi, nie z troski, lecz dla niezbadanéj siły pociechy, jaka z niego w ich dusze pełnym strumieniem zabiegła.

I niby czarodziejskiego zrządzenia wolą, najwięcéj trwożliwi nabrali otuchy; najgłośniéj rozpaczający umilkli.

I co więcéj, jakby oczekując co rzeknie cudowny młodzian, ucichł grzmot, wicher ukoił się i błyskawica nie majaczyła po czarnéj chmurze, ale niby skamieniała w połowie biegu, zawiesiła się ponad głową nieznajomego, obwinęła ją tym blaskiem, jakim malarze otaczają głowy boskich wybrańców.

A wszyscy pojęli, że chce coś mówić i słuchali w milczeniu, obawie, nadziei.

A jedno jeszcze wspomnieć winienem.

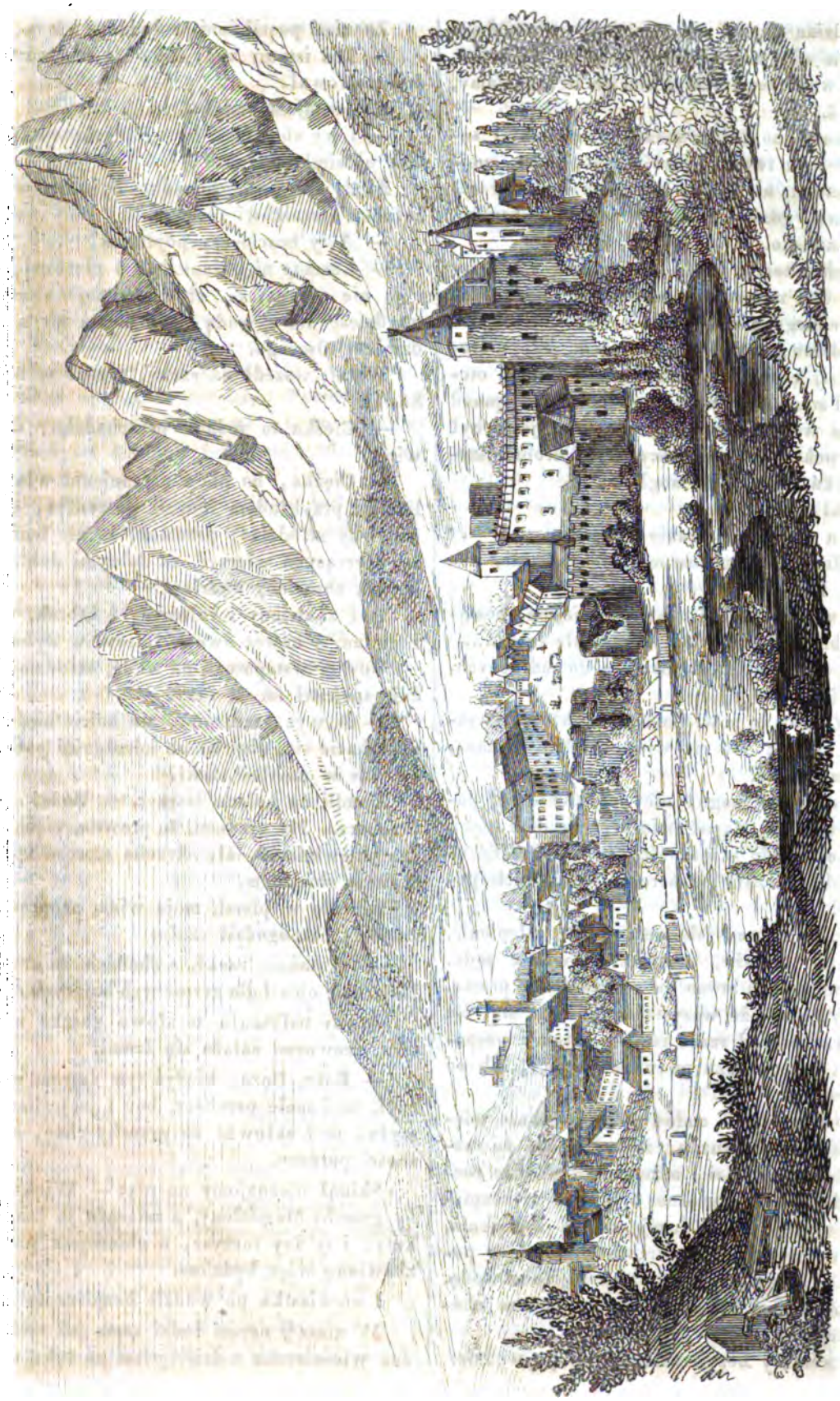

Kesmark.

Młodzian ukazał się tak nagle, niespodziewanie, że nikt nie wiedział, skąd się on wziął.

I dziwna rzecz, wszystkim on był znajomy, i nie był.

Znajomy, bo każdy snadno przypomniał sobie rysy jego twarzy, jego postać, ubiór, spojrzenie nawet, ale każdy napróżno łamałby sobie głowę, gdzie i kiedy go widział, kto on, jakie nazwisko.

Szlachta zatém brała go za kogoś z wieśniaków lub mieszczan; mieszczanie i wieśniacy, za jednego z szlachty.

Młodzian zaś, jak wspomniałem, stał w środku łodzi, głową nie przewyższał nikogo, otoczon był mnóstwem ludzi, a jednak jasno przed sobą tuż widzieli go wszyscy; głos jego był cichy, spokojny, a wszyscy do najdrobniejszego słówka słyszéć go mogli.

Rzekł zaś:

— Ja wam zmiłowanie przynoszę.

Zmiłowanie! zmiłowanie! machinalnie powtórzył lud.

Nieznajomy zszedł z swego miejsca, postąpił na brzeg łodzi i zstąpił na fale rzeki.....

Nim zaś zstąpił, zwrócił się do podróżnych, a mówił:

— Zaprawdę powiadam wam, kto ma wiarę, nie zginie; kto ma wiarę pójdzie za mną, a ocalon będzie.

I cud: suchą nogą, niby po kamiennéj posadzce świątyni, stąpał śmiało po bezdeni rzeki.

I znowu, nie w możności jest mi skréślić uczuć, jakie wrzały w sercach wszystkich podróżnych.

Było to dziwne jakoweś zajęcie, oślepienie, że się tak wyrażę, wszystkich władz sądu. Widziano cud, a brano go za rzecz tak prostą, tak zwyczajną, że wszystkim zdawało się, iść po wierzchu wód rzecz równie łatwa i pospolita, jak przechadzka po twardéj opoce, lub po bitéj drodze.

I że takie było cudowne przekonanie większéj części podróżnych, że mało kto do rozsądku odwoływał się, a zachował władzę rozwagi; że wreszcie groźne a blizkie niebezpieczeństwo nie dawało innéj nadziei zbawienia, nie dziw, że dwóch czy trzech wieśniaków posłuchało głosu nieznajomego, a zstąpiło na wodę.

— Zbawieni będziecie, boście duchem ubodzy, rzekł on im.

I wieśniacy bezpiecznie stąpali po wodzie.

Za nimi poszli inni, mówiąc:

— Toż istotny cud, Bóg się nad nami widno zmiłował.

A nieznajomy odparł im:

— I wy zbawieni, bo wierzycie w miłosierdzie niebieskiego ojca.

Kiedy zaś owa gromadka była na wodzie, żołnierz sternikowi rzekł:

— A ty bracie czy pójdziesz?

— Czemuż nie, inni idą a nie toną, więc i ja nie utonę..... choć na moje zbawienie trzydzieści lat z wodą znam się, a nic nie widziałem równego.

Wstał, wszedł na rzekę, grzązł w niéj po kostki.

— Ciężka to jednak przechadzka, szeptał więc.

— Ciężka, bo nie z natchnienia własnego, lecz za przykładem innych poszedłeś, odparł cudowny młodzian; przecież, że nie lenisz się za wierzącymi wierzyć, za dobrymi dobrą drogą iść, zbawiony będziesz.

Był zbawiony i żołnierz, i żebrak, i inni z gminu, a nawet dwóch łotrów w dybach.

Gdy ci wstępowali na wodę, młodzian groźnie spojrzał im w oczy.

— A wyż grzesznicy, nie boicie się pójść? nie lękacie się, aby wasze zdrożności pociągnęły was w otchłań rzeki?

Upadli na kolana łotrzy: — Boże! Panie! przebacz. My grzeszni, to prawda, ciężkie nasze przewinienia, ale skrucha szczera i poprawić się obiecujem.

Bili się w piersi, moja wina, szepcąc; nieznajomy rozpogodził czoło.

— Wstańcie, rzekł, a chodźcie za mną, miłosierdzie ojca i dla grzesznych bojących się jest.

A gdy usłyszała te słowa gaszka niewiastka, rzewnemi zalała się łzami.

— Boże, Boże, kiedyś tym łotrom przebaczył, to i mnie przebacz, boć i ja jeźlim grzeszyła, to i żałować za grzechy chcę, a sprosności porzucę.

Skinął nieznajomy na nią: — Większe były grzechy Magdaleny, a zmazała je łzami pokuty; i ty łzy toczysz, a obiecujesz poprawę, zbawioną więc będziesz.

I niewiastka po wodzie bezpiecznie szła.

W niższéj części łodzi sama już tylko biédna wieśniaczka z dziécięciem na ręku została.

— A ty czemu nie idziesz? nieznajomy zapytał.

— Ja, panie, lękam się.

— Lękasz się? — nie masz więc wiary i przykładu z innych nie bierzesz?

— O! ja mam wiarę, ja wiém, że ty mnie, gdy zechcesz, zbawisz Panie; nie o siebie téż boję się, lecz o to moje dziecko.

— Porzuć tę obawę, a na wodę zstąp.

I niewiasta zstąpiła, ale już za piérwszym krokiem grzęznąć zaczęła, a biadała:

— Dziécię, drogie moje dziécię, ono zginie!

— Nie zginie, młodzian rzekł, drobnę chłopię na ręce wziął; uśmiechało się ono do niego, drobne wyciągało rączyny. Pocieszyła się matka. — Już teraz łatwo mi iść, bo gdyś Panie wziął me pacholę w opiekę, nic mu się złego nie stanie.

Gdy podobnie wszystek gmin był już na wodzie, nieznajomy zwrócił się ku innym podróżnym.

— A wy ludzie, zostaniecież na łodzi, lub czy chcecie pójść za mną?

To zapytanie poruszyło wszystkich, piérwszy zagrodowy szlachcic skoczył na nurt rzeki.

— Panie, rzekł, zbaw mnie, boć ja wierzę tobie, zbaw, bo gdybym zginął, w coby się obróciła moja chudoba, czeladź, którą karmię pracą rąk moich, drobne dzieci i zgrzybiała matka, co odemnie jednego w swych troskach a niedoli pomocy wygląda.

Młodzian z dobrotliwym uśmiéchem spojrzał na niego: — Zaprawdę, poczciwyś ty człowiek, głodnyś, a z głodnymi kęsem chleba się dzielisz; biédnyś, a skarbów cudzych nie pożądasz, i dobryś syn téż; dla tego mówię przyjdzie ten czas, kiedy świat cały sprawiedliwość ci odda, kiedy będziesz wielkim jak przed Bogiem, tak i przed ludźmi, i światło twoich cnót pod korcem ukryte nie będzie i matka twoja dla twéj poczciwości nie zginie.

Wyszedł na nurt rzeki i biédny mieszczan i szedł po nim bezpieczny, lecz drżał febrycznie, straszny przed sobą widok miał.

Jego kolega, ławnik, wyszedł także z łodzi, ale zaledwie parę kroków postąpił, utonął.

Utonął, bo pomyślał, patrząc, jak nieznajomy wiódł za sobą po wodzie podróżnych.

— Zaiste, ten człowiek wielkie cuda robi, a rzeczy niesłychane nigdy, jakem ławnik i urzędnik magistratu wartoby się zapytać, co zacz on? a czy to czasem nie jaki czarnoksiężnik.

A nieznajomy w téj chwili bacznie spojrzał mu w oczy.

— A coś myślał ławniku?

Mieszczan ukłonił się nizko: — Ja, panie, myślałem, żeś ty wielki przed Bogiem i że ci niby Świętemu warto ołtarz postawić.

W duchu zaś dodał:

— Przecież kiedy przyjdziesz do miasta, na przesłuch cię wezmę, ba i na tortury, a dowiem się, ażali w tobie szatańskich sztuk nie ma; zasłużę się tém przed magistratem, ba i przed księdzem biskupem, bo dowiodę, jak dbały jestem o publiczne dobro.

— I to rzeczywiście tak myślisz jak mówisz, pytał daléj, a już surowo, młodzian; pomnij, że Bóg, jak w ewangielii stoi, zbawił celnika, grzesznikowi, zabójcy, przebaczył, ale Faryzeusza hipokrytę zatraceniu oddał.

Ławnik ukłonił się znowu, w pierś pokornie uderzył, trzeba kłamać, pomyślał: bo gdybym prawdę wyznał, rozgniewałby się i nie wziął z sobą, głośno rzekł więc:

— Pan Bóg czyta w głębi serca mojego.

Ledwie rzekł, utonął, a nieznajomy groźnie, a smutnie przemówił:

— Hipokryzya zabiła go.

Utonął doktór filozofii, professor.

Poszedł on za innymi, a mruczał:

— Według zasad fizyki, to tylko ciało może się na powierzchni wody utrzymać, którego ciężkość gatunkowa mniejsza jest od téj saméj objętości płynu; że zaś moje ciało cięższe jest, *ergo* tedy powinienem utonąć.

I tonął, ale tonąć pomyślał:

— Są przecie cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło nam filozofom, i dzisiejszy wypadek może podobnym jest cudem.

Wypłynął wtedy.

Zaledwie przecież bezpiecznym ujrzał się, znowu zagrzązł w uczone wnioski i powątpiewanie, zagrzązł zatém i w wodzie; gdy to się kilkakrotnie powtórzyło, utonął nareszcie.

— Rozum go zgubił, nieznajomy poszepnął.

Utonął i lichwiarz plenipotent, choć, aby się od zguby ocalić, kościół obiecał wystawić i hojne ubogim wysypać jałmużny; utonął i kupiec, bo nie chciał się rozstać z swemi workami pieniędzy, a te za sobą otchłań rzeki pociągnęły; utonął i jurysta, bo mu ciężyły łzy

wdowy i łzy sieroty, powszechne przekleństwo; a gdy ci przyciężają łzy i słuszne przekleństwa, lękaj się człecze, boć ich nie nagrodzisz złotem, nie zmażesz snadno pokutą....

(Dokończenie nastąpi.)

Słowiczek i wiosna.

Przyszła wiosna, luba wiosna i wszędzie zielono,
Wyszła Zosia się przechodzić na przyrody łono,
A w gaiku nad rzeczułką słowiczek miłosny
Śpiewał cicho pieśń swéj lubéj,
Śpiewał pieśń do wiosny.
I myśliła sobie Zosia: Ach! przyjdą te czasy,
Gdy słowiczek pieśń wyśpiewa, ciemne rzuci lasy.

Ale skoro roczek minie, znowu wiosna wróci,
To słowiczek znów przyleci i piosnkę zanuci.
Ale tutaj w mojém sercu, tutaj niemasz wiosny —
Ach dla niego już nie zabrzmi nigdy hymn radosny!
Bo słowiczka, co mu śpiewał, dzisiaj ach! już nie ma.
I na wieki wiosna przeszła, pozostała zima.
Wiecznie, wiecznie brzmi mu piosnka, lecz piosnka żałoby,
Już dla niego nie zielono, wszędzie tylko groby!

M. E. S.

№168.

Z Wielkopolski.

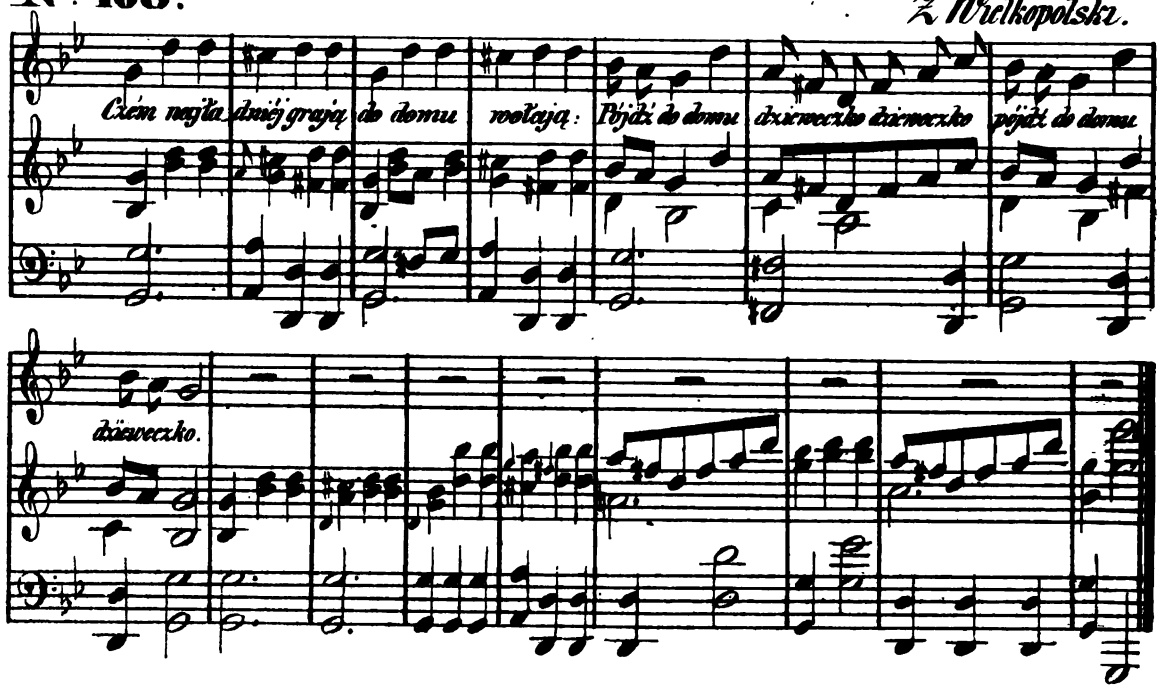

Text do *Nru. 168.*

1. Czém najładniéj grają,
   Do domu wołają:
   Pójdź do domu dzieweczko, dzieweczko,
   Pójdź do domu dzieweczko.

2. A ja jeszcze myślę,
   Że się jeszcze wyśpię,
   Jeszcze do dnia daleczko, daleczko,
   Jeszcze do dnia daleczko.

3. Co to za dziewczyna,
   Co to za jedyna,
   Co tak ładnie tańcuje, tańcuje,
   Co tak ładnie tańcuje.

4. A ja sama widzę,
   Że tak ładnie idę,
   Każdy mi się dziwuje, dziwuje,
   Każdy mi się dziwuje.

(*J. J. Lipiński*, P. l. W. str. 162.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 45. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 7. Listopada 1846.

Kiedy kopalnie Wielickie i Bocheńskie odkryto. — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego (dokończenie). — Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Od Redakcyi. — Doniesienie prenumeracyjne.

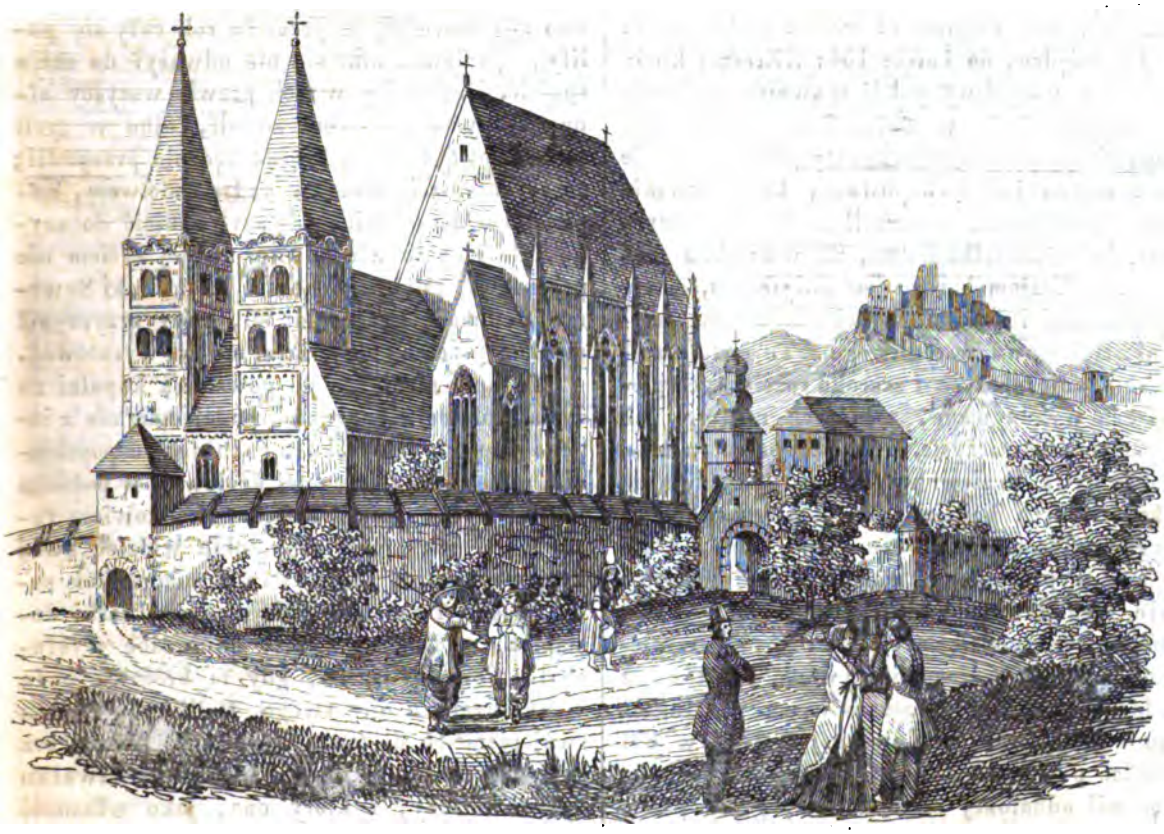

Tum Spiski z zamkiem Spiskim.

Kiedy kopalnie Wielickie i Bocheńskie odkryto?

O odkryciu, czyli powstaniu kopalni w Wieliczce i Bochni nic stanowczego orzec nie można, przecież przez różne badania i historyczne poszukiwania, natrafimy na myśl więcéj do prawdy zbliżoną, — i téj trzymać się postanawiamy.

Domyślać się trzeba, że niedostatek pewnych wiadomości stąd jedynie pochodzić musi, że sposób pisania nie był wszystkim dostępny, a jeżeli go duchowni posiadali, to byli zajęci opowiadaniem nauki Chrystusa, zwłaszcza, że takich mało było na tedy w kraju, bo dopiero późniéj książęta chrześciańscy ich sprowadzali. A jeźli wreszcie jaki czynny zakonnik osądził za rzecz potrzebną zanotować niektóre szczegóły o tychże kopalniach, to mogły do zagubienia tych źródeł najwięcéj przyczynić się wojny, lub inne niespokojności, od których ten kraj nie był wolny.

Marcin Kromer, jeden z dawniejszych historyków polskich, powiada w swojém dziele, pod tytułem: *De origine et rebus polonorum*, w IX księdze, na karcie 154: „Zresztą kiedy Bolesław wstydliwy pokój w swojém państwie przywrócił, były w małéj Polsce roku 1252 kopalnie przy wiosce Bochni wynalezione, gdzie teraz miasto jest wybudowane, które wielkie dochody książęciu przynosiły. Tę dobroczynność, która nie tylko Polsce, ale wszystkim graniczącym krajom bardzo jest pożyteczna, mamy z pobożności i świątobliwości Kunegundy, małżonki Bolesława wstydliwego. Te metale solne są w najgłębszych i szeroko rozciągłych pieczarach wykopywane, z których niektóre jak kryształ przezroczyste. Ta sól przez windowanie bywa ze ziemi wyciągana. Znajdują się także w tych podziemnych otchłaniach cudownéj wielkości wyrabiane słupy solne, które ze soli wypróżnione sklepienia, kondygnacye i całe wybudowane miasto podpierają. Woda, która z tych podziemnych jaskiń bywa wyciągana, albo na warzonkę używana, lub téż bez żadnego użytku wypuszczana bywa.“ Długosz Jan w swojéj historyi wydanéj r. 1711 w VII księdze powiada: „W wiosce i polu Bochnia, pięć mil oddalonéj od Krakowa, gdzie potém miasto zbudowano, wynaleziono sól twardą roku 1251, która w wielkich kawałkach z ziemi jest wydobywana, w niektórych miejscach bywa tak biała, że podobieństwo kryształu przedstawia i wielki pożytek krajowi przynosi. Jest tam także kościół parafialny, na cześć Śgo Mikołaja założony, i od Bolesława bardzo udarowany.“

Samuel Fryderyk Lauterbach w swojéj kronice z roku 1727, karta 373, pomiędzy innemi rzeczami mówi co następuje: „Wielkie skarby są w Polsce, saliny w Bochni i Wieliczce, gdyż tam sól jak wielkie kamienie jest wyrębowana, i rzecz ta, pobożnéj królowéj Kunegundzie jest przypisana między rokiem 1251 i 1252. Co Konnor mówi, że te saliny dopiero r. 1548 przez jednego szewca były wynalezione, który chciał w pobliskości studnię kopać, i na tę materyą solną natrafił, to się rozumie o innych nowych salinach (szybic), ale nie o prawdziwych kopalniach, które już dawno exystowały, i pod panującym tego czasu królem z przyczyny téż zagubione były, ponieważ przez nieostrożność wpadła iskra w końskie stajnie pomiędzy słomę, od czego się te saliny zajęły i przez jakiś czas, Neigebauer mówi przez parę dni, inne pismo zaś dowodzi, że przeszło rok cały się paliły, ponieważ nikt się nie odważył do salin spuścić, i robotnicy w nich prawie wszyscy albo od dymu zaduszeni zostali, albo w tych podziemnych lochach krążąc nędznie przepadli; aż się nareszcie dozorca nad górnictwem, nazwiskiem Koscielnius odważył spuścić do szybu, ale i on ledwie odwagi swojéj życiem nie przypłacił, gdyby go konsul Krakowski Seweryn Bethman, liczący lat 90, który przyczynił się do ugaszenia tego pożaru, nie był wyratował.

To upewnienie co do powstania kopalni za życia królowéj Kunegundy, podaje nam nie z innego popędu, jak tylko z pobożnego usposobienia, opis życia téj Świętéj królowéj, w polskim języku wydany przez Marcina Frankowicza roku 1718, jak ona życząc sobie widzieć swój kraj w szczęściu, który cierpiał niedostatek soli, prosiła Boga najusilniéj, poczém łaski dostąpiła, że Bóg najwyższy jéj prośbę wysłuchał. Pewnego czasu, gdy ta królowa była w Węgrzech u ojca swego, Belli IV., rzuciła swój pierścień do tamtejszych salin, który przez cudowne drogi, w Bochni w jednym kawałku był znaleziony, i który ona, jako własność swoją poznała.

Upewnieniom podobnym, w wiekach jeszcze bardzo cudownych, hołdowali wszyscy dziejo-

pisowie polscy aż do naszych czasów, a Bachmistrz, Szober i inni, chociaż w swoich postrzeżeniach, tyczących się salin polskich, to pobożne podanie namienić unikają; zgadzają się wszelako z innymi, że kopalnie soli odkryto między rokiem 1251 i 1253, czyli za panowania księcia Bolesława. Choć wzwyż rzeczeni pisarze, co do lat odkrycia tych salin zgadzają się, chronologiczny błąd zachodzi tu, który stąd pochodzić może, że nie tylko dawniejsi, ale i wzwyż rzeczeni pisarze, nie byli uwiadomieni z większą pewnością, tylko, czemu zaprzeczyć trudno, powtarzali jeden za drugim, nie starając się porównywać czasów obecnych z przeszłemi, przez coby omyłka tak gruba łatwo być mogła poprawioną.

Sam Długosz powiada: że Henryk brodaty w swém miasteczku Krośnie z tych kopalń solnych użytkował, który r. 1238 umarł. Skoro zatem Długosz tak powiada, to kopalnie te musiały już 14 lat wprzódy istnieć nad podanie Kromera i samego Długosza.

Że saliny Wielickie i Bocheńskie pierwéj jeszcze przed księciem Henrykiem istnieć musiały, zdaje się nie tylko z tych rzeczonych dowodów, ale i stąd: ponieważ w pobliżu Wieliczki klasztor zakonnic w Staniątkach posiada dwa oryginalne przywileje, z których jeden był przez księcia Konrada Mazowieckiego r. 1232 temu klasztorowi nadany, za którym pobierał klasztór tygodniowo miarkę warzonki ze salin Bocheńskich; a drugi przywiléj był nadany przez Bolesława V., syna Leszka Białego, 1248 roku, za którym klasztór pomieniony pobierał tygodniowo jednego bałwana, także z Bocheńskich kopalń. Z tego wszystkiego pokazuje się najoczywiściéj, że saliny Bocheńskie, pomimo upewnień Długosza, 20 lat wprzód istniały; ale téż, że r. 1232 w tych kopalniach znajdująca się woda na warzonkę używaną była.

Powiada jeszcze wspomniony Długosz w VI. księdze dzieła swego, że roku 1176 udzielił soli, przy założeniu klasztoru Sulejowskiego, Cystersom książę Kazimierz Sandomirski. Kiedy tak nasz historyk powiada, to kopalnie te musiały 76 lat wprzódy istnieć nad powyższe upewnienia, bo inaczéj darowizna nie mogłaby być w żaden sposób uskutecznioną.

Oczywistość téj darowizny nie może żadnéj wątpliwości podpadać, ponieważ w Wielickiém salinarném archiwum znajduje się oryginalny kommissyi protokół z roku 1698, który na polski język przełożony i podpisany przez owoczesnych członków kommissyi, brzmi jak następuje:

„OO. Cysterskiego zakonu w Sulejowie, pokazali nam 2 przywileja, na mocy których ma ich klasztór corocznie jeden alveus salis (bałwan soli) pobierać. Jeden z tych przywilejów był potwierdzony przez księcia Bolesława 1262 roku, który się na oryginalny przywiléj księcia Kazimierza z roku 1176 odwoływa. Drugi przywiléj jest potwierdzony przez księcia Konrada r. 1279. Mocą tych obydwóch przywilejów ten klasztór prosi, aby mu corocznie jeden bałwan soli pobierać był dozwolony. Choć te przywileje pokazują jak najuroczystsze prawo względem pobierania pomienionego bałwana soli, wszelako to żądanie, podajemy waszéj król. mości do rozstrzygnienia.

Jak Długosz rok powstania salin Wielickich, będąc bliżéj obznajomiony z starożytnością, mógł odnieść do czasu panowania księcia Bolesława i jego małżonki, tego pojąć nie można, gdyż te kopalnie z poprzedzających objaśnień, jeszcze przed urodzeniem się téj pobożnéj królowéj istnieć musiały.

Z dzieła Stanisława Szczygielskiego, bibliotekarza przy kościele Tynieckim, przekonywamy się, iż saliny pomienione jeszcze wcześniéj o 208 lat istniały nad powyższe mniemanie, gdyż klasztór Tyniecki na cześć Śgo Piotra wystawiony r. 1044 już był obdarzon solą. Królowa Judyta ten przywiléj nie tylko r. 1095 potwierdziła, ale jeszcze innemi przywilejami ten klasztór obdarzyła, jak to świadczy historya klasztoru Tynieckiego. Kiedy więc przy założeniu klasztoru Tynieckiego wyraźnie jest darowany corocznie przez Kazimierza Igo jeden bałwan soli temu klasztorowi, a żona Władysława, imieniem Judyta, ten przywiléj potwierdziła, musiały zatem saliny Wielickie jeszcze przed założeniem tego klasztoru exystować, gdyż inaczéj te darowizny nie mogłyby być do skutku doprowadzone.

Kiedy więc i jak Wielickie kopalnie odkryto? milczą o tém wszystkie historyczne podania. Przywiązywanie się zaś historyka do téj upowszechnionéj tradycyi, jest rzeczą śmieszną, jedynie z pobożnego umysłu przodków naszych wynikającą, gdyż, jak dowiedliśmy, kopalnie te już dawno przed pomienioną królową,

która miała oneż z Węgier do nas sprowadzić, istniały.

Ale niestety! cóż było przyczyną do zaciemnienia tak ważnego faktu w historyi naszéj, jeżeli nie napady hord Tatarskich, z któremi ciągle to przedmurze Europy, Polska, walczyć musiało?

Podaje nam historya, że kiedy Tatarzy zajęli Kijów i Ruś czerwoną, schronił się Michał, książę pomienionych ziem, do sąsiednich Węgier, aż dopiero Ratysław, syn Mieczysława, ochotnie na wrogi nacierał. Tatarzy nie mogąc się w cudzéj własności utrzymać, zrabowali i do szczętu zniszczyli kraj pomieniony, do czego się także przyłożyło powietrze.

Po tych niespokojnościach, mnóstwo kolonizantów Niemców osiadło w Galicyi, a osadami ich głównemi były: Barwald, Inwald, Landskrone i t. d., które dotąd swe nazwiska zatrzymały.

Co się zaś tyczy tradycyi, jakoby Królowa Kunegunda miała sprowadzić sól do Polski z Węgier, tę można sobie następnie wytłómaczyć: królowa ta, tak długo zaniedbane kopalnie po Tatarskich napadach, przez Węgierskich górników na nowo kazała odkryć roku 1226.

Ponieważ już w 15 sążni od powierzchni ziemi zaczynają się formacye soli, stąd wnosić możemy, że przez kopanie studni nasi przodkowie najprędzéj na tę materyą natrafić musieli, co im do dalszego szukania sposobność podało, aż nareszcie odkryto ten skarb tak drogi dla ziemi Polskiéj, bez któregobyśmy się obejść nie mogli.

Z tego wszystkiego, cośmy tu powiedzieli, wnieść bez wątpienia można, że też saliny Wielickie i Bocheńskie przeszło 8 wieków istnieją.

Kraków, dnia 10. Paźdz. 1846 r.

Jan Krystyn Pietrasek.

Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

(Dokończenie.)

A kiedy tak jedni tonęli, inni bezpieczni po wodzie szli, zostało na łodzi samo wielmożne państwo.

Widzieli oni cud, nie widząc go; słyszeli nieznajomego słowa zbawienia, a ucho ich było na nie zamknione.

Zdanie ewangielii: macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie; sprawdziło się na nich....

Wojewodzina zamiast pójść za biédakami, a w wierze i pokucie za grzechy ocalenia szukać, darła włos i odzienie, a biadała, że jéj tak marnie zginąć, z majątkiem i honorami tak marnie przyjdzie rozstać się.

Kasztelan biadał a złorzeczył losowi, że on wiele możny pan, herbowiec z przodków, magnat z wieka w wiek, wysoki koronny dygnitarz, niby jaki hołysz plebejusz utonąć musi, a utonąć wtedy właśnie, gdy szeroka droga zaszczytów i działania roztwiera się przed nim, gdy zemście swojéj dogodzić miał, a bezprawiom całkowicie wodze popuścić.

Grabianka Jadwiga może byłaby poszła za przykładem innych podróżnych, a nieznajomemu młodzianowi powierzyła swoje zbawienie; lecz cóż, od dziecka nauczyła się iść za radami ciotki wojewodziny, i teraz czekała na nie; a że ciotka w łodzi została i ona została, mniéj zaś lękała się od innych; bo jéj szeptał narzeczony w ucho:

— Nie bój się piękna Hedwigo, nie zginiesz, ja umiém pływać, nie jednokrotnie wpław tam i napowrót przepływałem Wisłę, ufam i teraz uda się to, trzymaj się tylko silnie mego płaszcza, a wierz mi....

I ona wierzyła w ludzką pomoc, a o Boskiéj zapomniała i zginęła, a zginął i Otto Toporczyk.

Zginął, bo zbyt swym siłom zaufał, bo w dumie swojéj potęgi zapomniał, że nie ma mocy tylko w Bogu, nie ma zbawienia tylko w jego imieniu....

Łódź bowiem, co na chwilę cudem nieznajomego młodziana oparła się potędze burzy, wichru i fali, zatrzymała się niepojętym wypadkiem na środku rzeki, teraz niby na skrzydłach sokolich niesiona, zagarnięta wodą i wiatrem, popłynęła ku groźnym opokom.

A gdy dopłynęła do nich, a uderzyła o twardy kamień, wyszły deski z swych składów i żelazne haki i gwoździe opuściły ją, że się na tysiąc cząstek rozłukła.

I nikt nie ocalał z wielmożnego państwa; ni kasztelan, ni wojewodzina, ni młodzi narzeczeni. Jednych zgubiły, jak to już rzekłem, duma, ciężkie sprosności i zatwardziałość w nich; drugich zarozumienie, zbytnia w siebie ufność

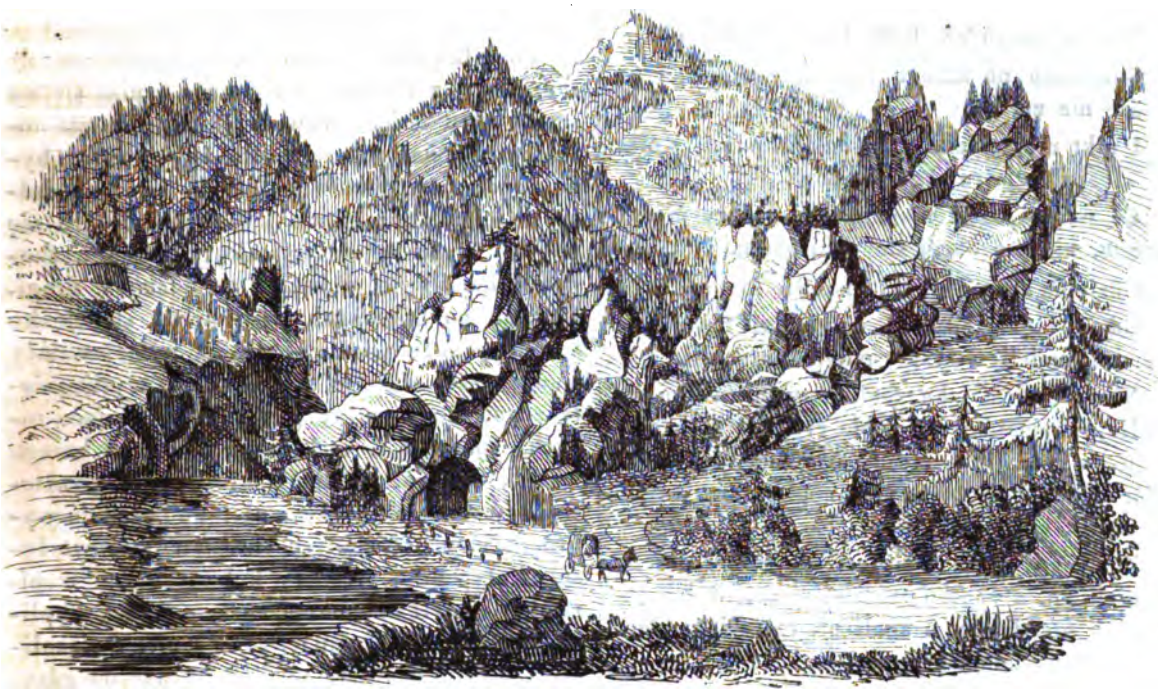

Brama z skały Straczena. (*)

lub obojętność na słowa prawdy i miłosierdzia niebieskiego Ojca.

A kiedy taki nieszczęśliwy los był wielkich przed ludźmi, maluczcy przed nimi spokojnie doszli do brzegu.

A już zanim doszli, burza jak gwałtownie i nagle wstrząsnęła Wisłą, tak się też nagle i niespodziewanie uspokoiła; może ją wicher zapędził gdzie daléj na góry i lasy, może Bóg skinieniem swéj woli rozproszył.

Gdy zaś stanęli bezpieczni na twardym lądzie, każdy na kolana upadł, a Bogu Ojcu miłosiernemu za ocalenie dziękował.

Sama tylko niewiasta matka objęła nogi zbawcy młodziana, a zrosiła je łzami.

— A czemuż ty niewiasto mnie, a jak inni nie dziękujesz wprzód Bogu? zagadnął on....

— O! ja nie wiém panie, ależ taki pociąg jest serca, może też że podwójne było zmiłowanie twoje, bo nademną i nad moją dzieciną.

— Dziękuj Ojcu Przedwiecznemu jednakże, bo od niego łaska jest, i ja byłem od niego i nic się bez jego woli nie stanie, odrzekł on.

A gdy niewiasta odeszła, aby się modlić, to piękne modre oko młodziana wzniosło się ku niebiosom, a błyszczało radością i pociechą dobrego czynu; szeptał zaś:

„Ojcze mój, dzięki Tobie, nie daremnie za lud Twój kiedyś wychyliłem do dna kielich cierpienia; boć jeźli mnogie są jego sprosności, to też i cnoty liczne i ufność wielka, i przyszłość w nim uśmiecha się wiarą, miłością, nadzieją.

„Dobry i poczciwy on, i grunt serc dobry i wiara jego wielka, nie zwódź go tylko z prawéj drogi a na pokuszenie nie wiedź.

„Boć on maluczki, mądrością i rozumem słaby, a jak ta maluczkość dała mu zbawienie, tak i zgubę może dać.

„Ojcze, Ojcze zlituj się nad nim, błogosław mu!“

A gdy młodzian w ten sposób skończył swo-

(*) Okolica ta leży także w ziemi Spiskiéj, o któréj w przeszłym numerze kilka słów powiedzieliśmy.

ję modlitwę, skończył ją i lud wszystek, i zbawcy chciał oddać winne podzięki.

Ze wszystkich jednak piersi jednozgodnie wyrwał się głośny wykrzyk podziwu, a nawet lekkiego przestrachu.

Nieznajomego nie było już pomiędzy nimi.

Spojrzano po brzegu i po wzgórzach, i po drodze nie ma go.

I nikt nie widział, aby on odchodził, i nikt nie słyszał szmeru jego kroków.

Co więcéj, gdy rozpatrywać mokry piasek zaczęto, nigdzie obcéj stopy ni śladu.

Gdzie on odszedł, jak odszedł, kto on był?

Gdzie i jak odszedł nie badał nikt; kto był, zrozumieli wszyscy, pojęli, przeczuli.

Niby bowiem jaka gruba zasłona z oczu im spadła, wspomniawszy sobie rysy lic nieznajomego, wyraz jego głosu, świętość spojrzenia, ubiór nawet, obliczywszy wypadki cudu, wątpić nie mogli, oni go znali.

Znali go duszą i ciałem i wiarą i okiem, widzieli go, a znali i widzieli i czcili, i kolano gięli przed nim, a znali nie człowieka, lecz Boga Zbawiciela Chrystusa.

I znowu na kolana upadli, i rzewnemi zalali się łzami, a te łzy nie były wewnętrznym skutkiem rozpaczy, lecz wdzięczności i wesela.

I wołali w pokorze:

— Boże, Boże, Tyś wielki, i Twój syn Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel, wielki; niech będzie imię Twoję po wszystkie czasy wielbione!

— A jak byłeś dla nas łaskawy, jak się zmiłowałeś nad nami, tak bądź łaskaw i zmiłuj się nad dziećmi i wnukami naszymi.

— Zbawiłeś nas i ich zbaw.

A ledwo dorzekli tych słów, rozwidniło się niebo, zabłysło pełnemi promieńmi złociste słońce, a na słońcu były jakieś znaki w nieznajomym zakreślone języku.

Jednak te znaki, dziwna rzecz, ów nieuków tłum choć nie piśmienny, nie mądry, snadno przeczytał, zrozumiał.

One mówiły:

— Wierzcie i miłujcie się!

Wyjątki z opisu podróży ośmioletniéj po wschodzie Professora Dra Pietraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z Rozdziału XX.

Po kilku dniach pracy w księgozbiorze uradziliśmy z Panem Dawidowem wpiąć się na szczyt góry Athos wówczas, kiedy reszta towarzyszów naszych zajmować się powinna była kończeniem planów położenia Ławry i dalszych jéj okolic; czemu jednakże krzywili się popy. Wypasłe muły poniosły nas o wschodzie słońca wraz z ludźmi świadomymi drogi. Chociaż po ścieszkach wzbijaliśmy się ciężko w górę, miłe przecież widoki uprzyjemniały trudy nasze. Kamyk tylko czasami wyślizgnięty z pod stopy muła, gdy zabierał tysiące innych, spadając w otchłań na urwistym brzegu morza, obudzał niekiedy myśli nasze gwałtownie i ostrożność nakazywał. Po południu wybrnęliśmy z pod gęstych chrostów i szczyt łysséj skały, niby gromada kul ułożonych w piramidę, jawił się oczom naszym. Przy kaplicy, poświęconéj Najświętszéj Pannie, uwiązaliśmy muły i pośliśmy w pion prawie do góry. Upał był nieznośny, na szczycie zaś zimno srogie, wiatr i śnieg gdzie niegdzie wyglądał. Druga mała kapliczka na szczycie góry, otulała nas od nieznośnego zimna i wiatru. Na próżno starałbym się opisać widoki okolic i skreślić zarazem uczucia duszy, którémi nagle byłem przejęty. Na wschód i północ sięga tam oko na obszerne błonie, na szczyty gór Hemus, na Dardanele i na zatoczyste w morze brzegi Rumelii, na wschód i południe ginie kraj Anatolii w obłokach garbami swojemi, cały zaś obszar morza świeci się cudnym, chociaż pstrokatym błękitem; bo tam sterczą wysp garby. Na wschód nie małe znowu błonie Macedonii i Tessalii jawią się wspaniale, lecz dumny Olimp zagradza one i broni patrzeć daléj. Cała odnoga góry Athos ciągnąc się długiém pasmem i nie odznaczając zupełnie odrywu, owego odrębu Xerxesa, który ją oddzielił od stałego lądu, obrosłe tylko skały oczom przedstawia, pomiędzy któremi sterczą szczyty i wieże cerkwi i klasztorów usadowionych jedne nad drugiemi prawie. Cudny to utwór Boga téj ziemi, przeznaczonéj na krótki tylko pobyt życia na tym świecie człowiekowi. O jak szczę-

śliwy, stokroć szczęśliwy jest ten, co w swojéj zagrodzie, w ojczyźnie własnéj, spokojnie żyć może? Ta myśl rozczuliwszy mnie rzewnie, zmusiła oddalić się z oczu Dawidowa. Spuściłem się więc ze skały nieco w przepaść, uklękłem i gorąco błagałem Boga o litość nademną i nad braćmi moimi. Boże! wołałem, czyliż to z wolą Twoją cierpi lud ten czystéj i jednéj Twéj wiary, czyliż to z wolą Twoją toczy się krew od wieków niewinnych tych ofiar, usiłujących bronić i obronić zagród wydartych im od tyranów? Lecz Boże! sądy Twoje są wielkie, niedościgłe, nieprzenikłe! Ty czekasz widno, aż upamięta się sam ten naród, aż uzna swą własną potęgę w swych własnych siłach, uposażonych hojnie od natury, aż wyrodne syny nie obudzą się w końcu i nie ustąpią z pola przewodnictwa niby ich myśli harda ich duma i zatargi, a nie pojawi się natomiast jedność, miłość wspólna, braterstwo, sąd stały, chęci stałe. . . . . .

Głos Dawidowa przerwał myśli moje, otarłem łzy i powróciłem weselszy; bo żywiłem się nadzieją i pełną ufnością w miłosierdzie sprawiedliwego Boga. Już zmrok był prawie, gdyśmy dosiedli mułów i puścili się napowrót. Po północy zmieniło się powietrze; deszcz nastał ulewny, a hojne pioruny i rzęsiste błyskawice, prowadząc nas bez upadku, doprowadziły szczęśliwie do pustelniczéj chaty, gdzie gwałtem przecie dobijać się potrzeba było z przyczyny uporu nieczułego, chciwego Greka. Łoskot wyłamanych drzwi owścieklił zrazu tego świętobnisia, udobruchał przecie widok złota i użyczył nareszcie ognia, suchych owoców, kęs chleba i gołéj ziemi na nocleg. Zaledwo powróciliśmy do klasztoru Ławra, opuściliśmy go w ten moment, w celu zwiedzenia w południowéj stronie téj góry umieszczonych klasztorów. Urwiste niebotyczne prawie skały, najeżone i gładkie (bo po nich toczą się ciągle kamyczki z szumem w spienione morze) bawiły oko nasze, zwłaszcza przy wskazywaniu nam palcem odludnie żyjących tam mnichów w dziurach w szczycie skał wykutych. Litości i podziwienia godni są ci ludzie i skoro z nich który postanowi żyć samotnie i błagać skrycie miłosierdzia Boga, oświadcza on wtenczas sąsiadom swoim, by go nie drażnili i nie śledzili nigdy. W oznaczoném jednakże, odległém od dziury mnicha miejscu, kładą mu chléb i bób przyparzany na pokarm, w zamian czego znajdują tam z twardego drzewa obrobione łyżki i krzyżyki. Jeśli ten pokarm nie był ruszony dzień jeden lub dwa, widno, że pustelnik słaby nie wychodził; jeśli zaś tam przeleżał nocy i dni kilka, znaczy, że już nie żyje. Imaginacya tych ludzi, grając ciągle z diabłami, ukazującymi się im, wywodzi ich często z dziur do walki i rzucając się częstokroć na szatana niby z zapalczywością, spadają i giną, druzgocąc się o skały w morzu. Jedenaście innych klasztorów téj góry, które zwiedziliśmy w téj stronie, mniéj więcéj podobne co do urządzenia do Ławry. W ich księgozbiorach zaniedbanych i poniszczonych znalazłem jeszcze dosyć wiele szczątek dzieł ważnych. Pomiędzy innémi odgrzebałem kronikę Bielskiego i Pindara, przedrukowanego w Frankfurcie w 16 wieku. Klasztór zwłaszcza jeden, fundowany przez króla Serbskiego Sawę, posiada mnóstwo autentycznych rękopismów. Mnichy odprawiają swoje modły w słowiańskim języku..... Chęć obejrzenia naocznie przesmyku owéj odnogi, którą Xerxes przeciął niegdyś i połączył z morzem, skłoniła nas do nowéj exkursyi, zwłaszcza, że z tego klasztoru było tam dążyć najbliżéj. . . .

Z Rozdziału XXI.

W siedm godzin najnędzniejszéj drogi dobiliśmy się w końcu na miejsce. Ile mógłem sądzić z oka, samo łoże tego kanału ma dziś jeszcze około 32 stopy szerokości, gdzie dziś Grecy sieją zboże. Herodot powiada o przecięciu téj ziemi przez Xerxesa w Rozdz. 22gim w księdze 7méj: „Przez trzy lata mozolono się oddzielić górę Athos od stałego lądu. Lud sąsiedni i jéj mieszkańcy byli użyci do kopania. Bubares, syn Megabara i Artaszy, syn Artea, z rodu Persowie, czuwali nad tą pracą. Odbywała się ona pomału, z przyczyny, że nieprzywykli do tego Grecy kroili ziemię w pion; więc co się wykopało w dzień cały, w minutę zapadało. Sami tylko Fenicyanie pracowali korzystnie, kopiąc ziemię w ukos. Okolice téj płaszczyzny pokrytémi były budami Fenicyan, sprzedających w nich prowizyą dzienną, sprzęty i mąkę sprowadzoną z Azyi mniejszéj. Kanał ten był tak szeroki, że dwie i trzy nawy przechodzić mogły obok.“ I Grecy usiłowali powtórnie przeciąć to miejsce w roku 1821, walcząc przeciw Turkom na czele 70,000 wojska; lecz niezgoda samychże Greków, a zwłaszcza Popów téj góry, przeszkodziła temu i przyspieszyła przezto dłuższą niewolę. Równo z tym przekopem kończą się zarośle góry Athos, a zaczynają gładkie pola Macedonii. O północy powróciliśmy na górę Athos i to wprost na północną stronę, w celu obejścia dalszych klasztorów, które znalazłem takiemi, jak wyżéj opisane. Księgozbiory zwyczajnie wielkie i bogate w dzieła klassyczne, jednakże nieporządnie utrzymywane. W jednym z nich od-

grzebałem w największym pyle najpiękniejszy rękopism pergaminowy jeografii Ptolemeusza i Strabona. Z ostatków rozwalin, jakie napotykałem na téj górze, zwłaszcza zbliżając się ku polom Macedońskim, sądzić można, że była więcéj zaludnioną niegdyś, lecz niewola Greków pod Turków jarzmem i wspólny ich nierząd, zarazem zamieniły w pustynią. Miasto Aryes, nazywało się w starożytności Alwara. Żyje w niém czterech mnichów, wybieranych corocznie z pomiędzy całego ich gminu, dla sądzenia ich wspólnych zatarg bez appellacyi; o decyzyi przecież zapadłego dekretu znać dają Patryarsze Greckiemu do Stambułu. Sprzedaż rzeczy grubych i niezbędnie potrzebnych dla ogólnego mieszkańców całéj téj góry życia, przechowuje się w sklepach tego miasteczka. Po 20 pięciu dniach pobytu na téj górze poczęliśmy myśleć o powrocie, zwłaszcza, że znudzili się już wioślarze nasi i porzucić nas nawet chcieli. Wsiedliśmy więc do łódki przy klasztorze Pantokrator, mając na celu wyspę Thazus.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Text do Nru. **169.**

Matusieńku moja,
Jam córeczka twoja;
Poślijcież mnie do ogrodu,
Jeśli wola twoja.

(*J. J. Lipiński*, P. l. W. str. 59.)

Od Redakcyi.

Aby uniknąć licznych niedogodności, które stąd wynikają, iż Przyjaciel Ludu już od przeszłego roku w oznaczonym czasie nie wychodzi, zaczniemy zaraz od 1go Stycznia 1847 roku wydawać rok 14ty naszego pisma. Czyniąc to jedynie w tym zamiarze, aby dogodzić Publiczności, starać się razem o to będziemy, aby Szanowni Prenumeratorowie 13go roku resztę numerów jak najprędzéj odebrali.

Nº 169.

x. Wielkopolski.

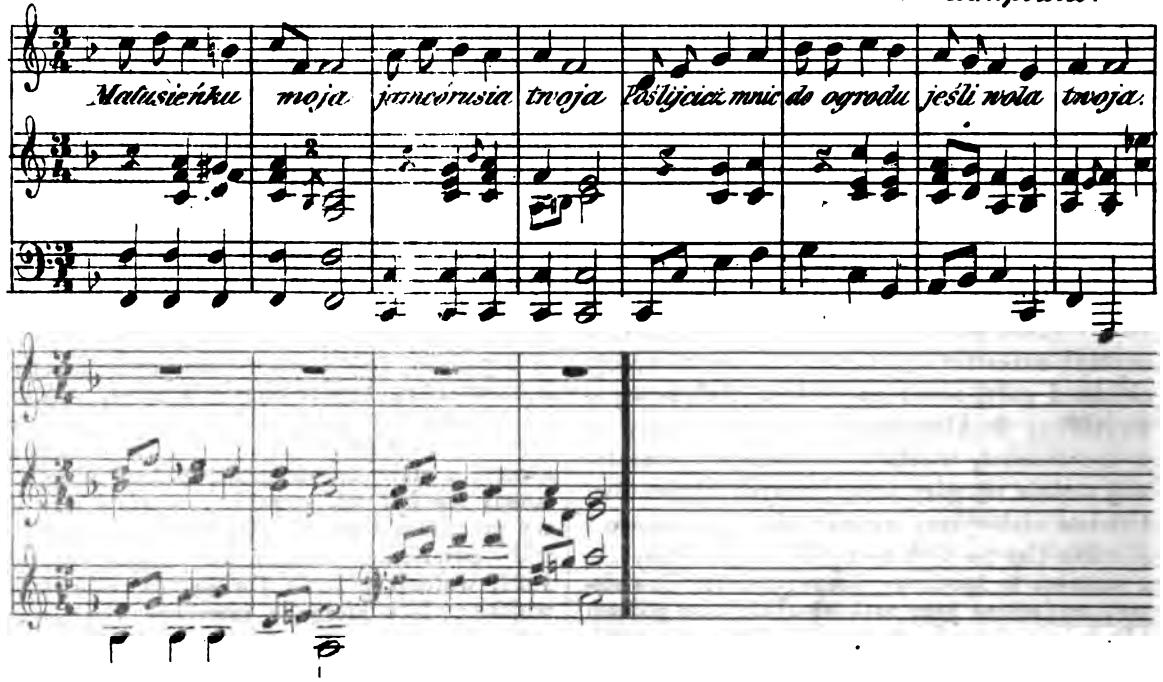

Przy końcu drugiego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na pierwsze półrocze roku czternastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.

***Ernest Günther**, wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. Szymański.)

Nr. 46. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 14. Listopada 1846.

Dzieciątko Jezus. Opowiadanie X. Hołowińskiego. — Uboga kuzynka. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu jedenastego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła. — Doniesienie prenumeracyjne.

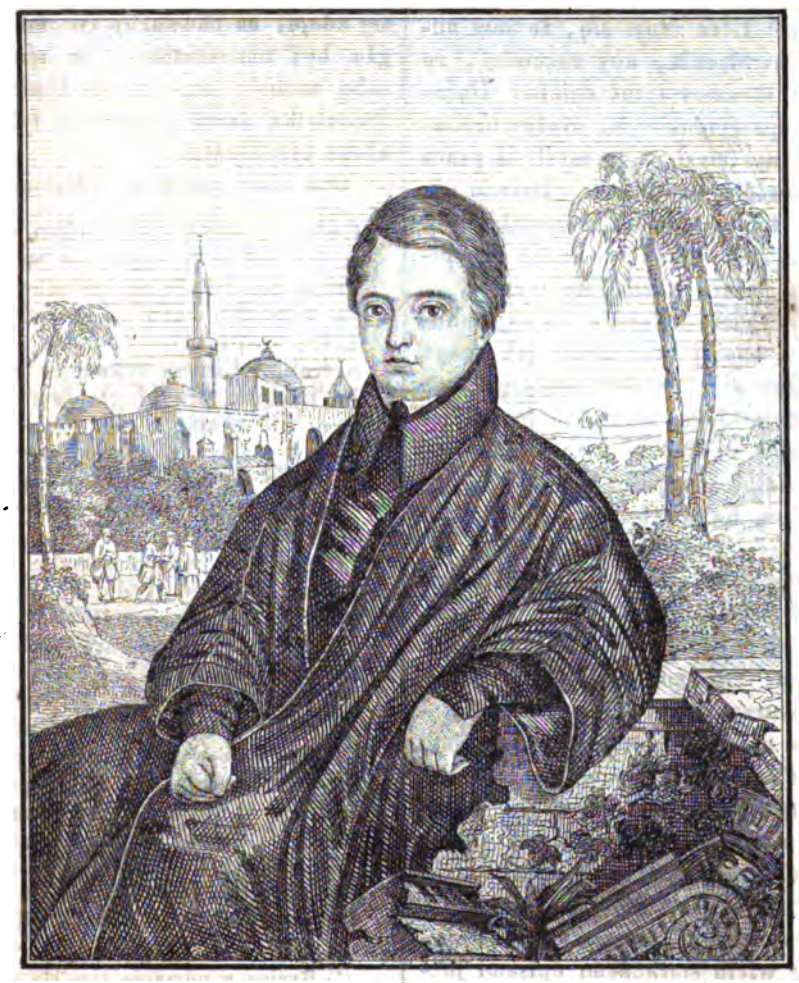

X. Ignacy Hołowiński.

Dzieciątko Jezus.

Opowiadanie X. Hołowińskiego.

Znany zaszczytnie w naszéj literaturze X. Hołowiński, którego pisma pożytek z przyjemnością łączą, przydał do prac swoich nowe dzieło p. tyt.: *Dzieciątko Jezus*, które nie będzie zapewne pozbawione zadowolnienia czytelników. Jużem dawniéj wspomniał dwie krytyki, które się w ocenieniu dzieła zupełnie różnią. Obydwie są w bibliotece Warszawskiéj z miesiąca Lipca 1846 r.; z tych jednę napisał Kraszewski. Jego sposób zapatrywania się na całą pracę wcale mi się nie podoba, cała recenzya brzmi jakby jaki panegiryk; więcéj podzielam zdania drugiéj krytyki, chociaż i z nią w głównéj rzeczy zgodzić się nie mogę. Wedle mego zdania zbłądzili obaj krytycy, iż nazywają pracę Hołowińskiego epopeją religijną. Jeżeli z tego stanowiska zapatrywać się mamy na Dzieciątko Jezus, całe dzieło za słabą pracę uznać musimy. Lecz zdaje się, że sam autor nie ma tego uwidzenia, aby rozumiał, że napisał epopeję; skromny tytuł dzieła: *Dzieciątko Jezus*, opowiadanie X. Hołowińskiego, naprowadzić nas musi na tę myśl, iż praca ta jest tylko powieść poetyczna. Dziwić się w rzeczy saméj trzeba, jak Kraszewski, tak znakomity pisarz, tak wielką wartość przypisuje temu dziełu, iż nie wachał się wyrzec, że Dzieciątko Jezus będzie należało do najznakomitszych dzieł w naszéj literaturze; jak mógł sponieważyć jednego z naszych największych wieszczy, t. j. Zaleskiego, uważając jego Przenajświętszą Rodzinę za słabszą pracę, niż Dzieciątko Jezus. Istotnie darować tego nie możemy Kraszewskiemu, bo wedle mego zdania nie masz w całém Dzieciątku Jezus ani jednego tak poetycznego miejsca, któreby z pięknemi obrazami Przenajświętszéj Rodziny mogły być porównane. W Przenajświętszéj Rodzinie widać wielkiego mistrza, któremu natchnienie poetyckie tysiączne tworzy ideały, obrazy; w Dzieciątku zaś Jezus podrzędnego poetę, który się biedzi przedmiot sam przez się najwznioślejszy upstrzyć pięknemi barwami. Poetycki talent Hołowińskiego nie umiał się wzbić do wysokości przedmiotu; brak stwarzania ideałów, obrazów całkowitych, jest wszędzie widoczny. Jest to proste opowiedzenie pierwszych lat Chrystusa, ozdobione wielu staranném opisami jużto natury, jużto niektórych zdarzeń, które światło rzucają na młode lata Jezusa. Z tego stanowiska pracę Hołowińskiego oceniając, zgodzimy się zapewne na to zdanie, iż z radością powitać ją możemy, bo pomnaża mały zapas dzieł w naszéj literaturze, które z popularnym wykładem łączą przedmiot ważny, a tém samém do ślachetnego dążą celu. Dla tego życzyćby trzeba, aby ta praca skromniéj była wydana, a tém samém za niższą cenę mogła być sprzedawana. W ten czasby się dostała w ręce ludu, a przynajmniéj ludu więcéj oświeconego, i wydarła ten wpływ, którego autor zapewne zapragnął, gdy się nią zajmował. Wydanie, które nas dotąd doszło, jest piękne wprawdzie, lecz tak drogie (3½ tal. za 280 stron wcale obszernego druku), iż zapewne będzie mało pokupne.

Jeszcze jedna rzecz nas uderzyła, którą niewiem, czy przypisać autorowi, czy wydawcy. Na samém czele dzieła znajdujemy piękną rycinę, przedstawiającą samego autora (*). Mnie się zdaje, że chociażby w inném dziele mogła być umieszczoną, w tém, które przed sobą mamy, zupełnie jest niestósowną. Do Dzieciątka Jezus wypadało tylko jaki święty obraz przyłączyć.

Oto kilka ustępów z Dzieciątka Jezus:

Ledwo rzuciła gród święta rodzina,
A już lud cały sypał się w pogoni.
Przed nią leżała tak gładka równina,
Że wszystko było widać jak na dłoni;
Tylko te płaskie ocieniała strony
Szérokim liściem sykomora gruba.
W trwodze przybiegła tam rodzina luba,
Lecz nie znalazła bezpiecznéj uchroni.
Marya wznosi w niebo łzawe oczy,
A wtém się nagle drzewa pień rozskoczy:
Wewnątrz był próżny jakby wydrążony.
Z mężem i dzieckiem gdy weszła niewiasta,
Dziwne się drzewo zamyka i zrasta.
Darmo lud szukał do słońca zachodu,
Wreście zdumiony powrócił do grodu.
Znów się pień rozwarł grubéj sykomory,
I tak otwarty stoi do téj pory.
Drzewo nabrało tyle dziwnéj mocy,
Że kiedy chory w jego wnętrzu stanie,
Doświadcza słodkiéj ulgi i pomocy.
Stąd je szanują nawet Egypczanie;
W jego szeroko wydrążoném łonie
Jak w dzień, tak w nocy zawsze lampa płonie.
Ale rodzina tak oswobodzona
Dostać nie mogła do napoju wody;
Bo się wejść bała do jakiéj zagrody.

(*) Rycina w numerze tym się znajdująca jest kopią téjże.

A w suchéj, białéj ziemi Faraena
Nigdzie nie było źródła i potoku:
Lecz Nil cysterny napełnia co roku.
Jednak Marya pełna żywéj wiary,
Siadła pod drzewem z dzieciątkiem na łonie;
Jéj oko w synku, to w niebiosach tonie,
Chociaż cierpiała męczarnię Agary.
Tymczasem źródła szukał Józef stary.
Do smutnéj matki dzieciątko się mili,
I nóżką tknęło piasek, a w téj chwili
Obfite źródło z pod ziemi wypłynie,
I leje strumień po całéj równinie.
Marya z razu szumem przelękniona,
Powstała, tuląc dzieciątko do łona.
Lecz kiedy piérwsza przeminęła trwoga,
Rzewną wdzięcznością wzniosła się do Boga.

Szczęśliwa para po trosce i znoju
Chléb swój łamała przy czystym napoju.
Marya skromną skończywszy wieczerzę,
Synka pieluszki u strumienia pierze,
I niemi w koło kamienie odziewa.
Po chwili znowu dziw ujrzeli wielki,
Bo uronione z pieluszek kropelki
Siały cudownie na téj ziemi drzewa,
I rosły w oczach i w godzinie śliczny
Powstał przy źródle ogród balsamiczny.

A Józef przy tym zasmucił się cudzie,
I rzekł: — Odjęto drogie drzewo Judzie,
Już w jerychońskiéj rośnie dolinie:
Dziś bałwochwalczy Egypt niém zasłynie. —
Marya milcząc patrzy dziecku w lice,
Jakby w niém chciała czytać tajemnicę;
I potém rzekła w proroczym zachwycie: —
— Któż nie podziwia twéj dobroci, Panie?
Chorągiew światła podniosą na szczycie!
W środku téj ziemi ołtarz pański stanie.
Egypt, ten kubek pogańskiéj ślepoty,
Co błędem, szałem napawał narody,
W ręku się pańskim zmieni w kielich złoty
Prawdy, nauki i téj żywéj wody,
Co jedna tylko gasi serc pragnienie.
Z grobów i zwalisk wstaje odrodzenie:
Widzę jak cierniem gród słońca zarasta,
Męże samotne w pośród ruin miasta
Cicho się kryjąc, jak pustyni kwiecie,
Znachodzą błogość w poście, włosiennicy:
To są najwięksi syna miłośnicy,
I najsławniejsi mędrcy w całym świecie.

Powoli zachwyt z jéj oblicza znika,
Chwila cichości święte myśli roni,
I płyną w rzewném uniesieniu modły.
Wkrótce przy wdzięczném szemraniu strumyka,
I przy balsamów zdrowiem tchnącéj woni,
Znużenia dzienne błogi sen nawiodły.
A odtąd Egypt to miejsce swą mową
Zwie *Mattarie*, czyli *wodą nową*.

Obrazie śmierci, dziedzino zniszczenia,
Strachów ojczyzno, smoków legowisko;
O ziemio piasku, ciernia i pragnienia,
Suche, niedrożne, strusiowe pastwisko,
Jakże twa postać martwa i milcząca
W głębokie człeka zadumanie wtrąca!

Bez granic przestrzeń ruchawa, grobowa
Budzi sieroctwo samotnością wielką;
A jednak miła z tobą jest rozmowa,
Pustynio, wzniosłych myśli rodzicielko!
Cóś z tobą wiąże, cóś błogo porusza,
I w pośród świata łaknie ciebie dusza.
Przed twojém groźném, posępném obliczem
Pierzcha miękkości, trosk i żądzy zgraja;
A duch się karmiąc życiem samotniczém,
Rośnie wielkością, mocą się uzbraja.
Tak spokrewniony z ogromem przestrzeni,
I sam w olbrzyma do tyla się mieni,
Że już są ciasne i zbyt niskie grody
Dla jego myśli lub jego swobody.
Ty z dawna uczysz ludzkie pokolenia,
Matko mądrości i zastanowienia.
Przez cię najkrótsza i najprostsza droga
Cudem się łączy z niebieskiemi wroty.
Ty odepchnąwszy doczesne przedmioty,
Sam na sam duszę wprowadzasz przed Boga.
Piastunko świętych, niebios powiernico,
Ty uczysz swoją dziwną tajemnicą
Jeszcze za życia zrzucać ciała brzemię,
I na twych skrzydłach wznosić się nad ziemię.
Kraino ducha, cudotworny świecie,
Plac bojów ciężkich zmieniasz w raj wesoły,
Gdzie zestępują chórami Anioły,
Gdzie na niezwiędłe wieńce rośnie kwiecie,
A palma wiecznych tryumfów ocienia.

Kędyż twa dawna i krasa i chluba,
Pustynio widzeń, objawień, natchnienia,
I modłów zbawcy towarzyszko luba?
Cóż cię w tak straszną postać dziś odmienia?
O, jeśli święta myśl cię nie zapłodni,
Musisz być matką dzikości i zbrodni.

W pustych łożyskach potoków na drzastwie,
Wśród zeschłych cierni, w jamach lub jaskini
Jak źwiérz się tai dziki syn pustyni,
I jak źwiérz tylko przemyśla o pastwie;
Albo na szybkim jak *Zilafa* (1) koniu
Trwogę roznosi po piaszczystém błoniu.
Straszna ojczyzno grabieży, rozboju,
Piłaś krwi więcéj niż rosy w swym znoju.
Pustynio, jesteś jak otwarta księga,
Gdzie ludzkiéj myśli spisana potęga,
Która cię może zrobić albo niebem,
Albo występku i gniazdem i chlebem.
Z granic *faryjskich* (2) aż ku Palestynie

(1) *Zilafa*, rodzaj gwałtownego wichru na Wschodzie.
(2) *Faryjskich*, t. j. egypskich.

Głuche i dzikie ciągną się pustynie.
Wywiędłym chwastem, albo krzakiem cierni
Step niezmierzony gdzie niegdzie się czerni,
Wzgórkami piasku obficie usiany,
Które przenoszą ciągle huragany.
Rzadko w głębokiéj i skwarnéj dolinie
Kilka palm nikłych ożywia pustynię.
Czasami w jamach pozostawią jeszcze
Wodę spleśniałą i przegniłą deszcze;
A tylko zdobią téj pustyni lice,
Jak dwoje oczu, dwie słodkie krynice.
Czasem źwierz przejdzie, lub przepełzną gady,
Lecz wiatr na piasku zamiata ich ślady.
A częściéj *Racham* (3) przelatując bada,
Czy wielbłąd jaki, lub pielgrzym nie pada.
Albo Arabów plemie najezdnicze
Czerni namiotem pustyni oblicze.
Czasem z pod zaspy piasków się przerzyna
Zamków i grodów zamierzchła ruina.
Czasem wskazuje drogę w téj przestrzeni
Izmaelity grób stósem kamieni.
Daléj płaszczyzna, co przy morskim brzegu
Skorupą solną błyszczy nakształt śniegu.
Lecz od potoku Egyptu do Gazy
Już częstsza zieleń, piękniejsze oazy:
Częściéj namiotów wybiega osada,
Częściéj wielbłądów w górach widać stada.
Żyzność do walki wyzwała pustynię,
A ta wśród boju coraz słabnąc ginie.

Lecz za to przy téj pustyni przestworze
Drugie straszniejsze ciągnie się ze wschodu
Opok i piasku nieskończone morze.
Nikt go nie zbadał, niéma tam przechodu,
Tylko się wicher sam jeden przechadza.
Tam w pełni buja duchów ciemnych władza,
Tam gniazdo dziwów, potworów, kosmaczy,
Tam swe pustynia kryje tajemnice.
A kto postąpi w tę straszną granicę,
Już go żyjąca dusza nie obaczy.

Uboga kuzynka.

Powiastka.

Są ludzie na świecie, którym szczęście osobiste nie wystarcza, lecz radziby to koło rozszerzyć, rozprzestrzenić, gdyby się dało, i na świat cały. Ich domu nigdy téż nie zamieszka uboga kuzynka, bo jeżeli wezmą sierotę, to jak własne dziecko otoczą uczuciem, osłonią staraniem.

Lecz któż z nas nie spotkał ubogiéj kuzynki, téj biednéj istoty, którą dziecięciem w domu bogatszych krewnych nigdy żadna pieszczota nie kołysze do snu, nigdy pocałunek nie osuszy łzy z lica, lecz karcona, naganiana, potulna, cichuteńka, chodzi ze spuszczonemi oczyma, a tak nie śmiało, jak gdyby się lękała stopami ziemi dotykać, czy i ta jéj nie złaje, nie ofuknie. Jeżeli czasami pogładzi ją dłoń protektorki, zatém idzie długa i cierpka reptymanda o ubóstwie i wdzięczności. Późniéj, kiedy już wyrasta na dziewczynkę, każdą fantazyę, każdy polot młodéj wyobraźni niby obuchem przygniatają temi słowy: „Jesteś ubogą, na łasce; zamiast o tém pamiętać i wysługiwać się, skaczesz i śmiejesz się;“ a ona westchnie, spuści główkę, jak gdyby zbrodnię popełniła. A jakież ją dopiero cierpienia czekają, kiedy uczucia w całéj pełni rozbudzają się w dziewiczém sercu, szczęście lub tęsknota wywołują w chwilach łzę w oku z pół uśmiechem. Któraż wtedy nie ma bogactw całego świata przed sobą w długiéj przyszłości, barwnéj w najpiękniejsze kwiaty wyobraźni, w uczuciu pięknego i dobrego, co się teraz stały zrozumiałemi dla jéj młodéj duszy. O wtenczas to niby gwoździami do krzyża boleści przybijają życie ubogiéj kuzynki: — jesteś biedną, nie dla ciebie rozkosze całego świata, nie dla ciebie miłość młodzieńca, który się zbliża, boś ty ubogą dla niego — odpychaj tę sferę, w któréj otoczeniu żyjesz, używasz jéj z łaski do czasu tylko, a myśl o nędzy, do któréj należysz. A na domiar wszystkiego, tysiąc kaprysów i rozkazów gniewnie wydawanych — posług cierpko przyjmowanych. I wśród tego wszystkiego, uboga kuzynka ma się śmiać, tańczyć, być swobodną — szczęśliwą nawet!

Opowiem tu kilka lat życia jednéj takiéj istoty. — Czym wymarzyła w noc bezsenną, czym słyszała jako prawdziwe zdarzenie, nie pamiętam. — Wiem tylko, że coś nakształt przypomnienia snuło mi się po myśli — i wpatrywałam się w niepewne rysy; one coraz wyraźniejsze kształty przybierały, a nakoniec stanęły przed moją duszą, jak w téj powieści opowiem. —

I.

Wśród trawników, na których rozsiane tu i ówdzie drzewa i krzewy, pod jesień przeplecione kilku klombami georgin, bieleje ścianami i czerwieniejе dachem murowany dworzec Pański. Bez żadnych ozdób, nie wysoki, obszerny tylko szerokością i długością ścian, całym cię-

(3) *Racham*, rodzaj wielkich sępów.

żarem przysiadł do ziemi. Stojąc na wzgórku przygląda się z jednéj strony folwarcznym budynkom i alei wiejskich chat, a z drugiéj obszernemu ogrodowi, który się ciągnie dalekim borem drzew.

Pod wieczór w jedném z okien siedziała młoda kobieta, i melancholicznie topiła wzrok w czysty błękit wrześniowego nieba, posianego tysiącem gwiazd, wśród których jaśniał księżyc całą pełnią. W tym samym pokoju, pół leżąc, pół siedząc, spoczywała druga osoba — obiedwie milczały, tylko głos męzki dolatujący przez uchylone drzwi z przyległego pokoju i kroki chodzącego w około mięszały tę cichość. Była to rozmowa bardzo prozaiczna, bo ekonoma z panem, o kopach wymłóconego zboża, o paszy dla owiec, i jutrzejszéj robociźnie. Widać, że siedząca przy oknie, tak do téj rozmowy przywykła, iż choć słowa głośno się rozlegały, ona ich nie słyszała, lecz marzyła, patrząc w twarz księżyca, Bóg wie o czém, bo raz po raz przelotny uśmiech osiadł na ustach, częściéj jednak lekki smutek białe jéj czoło zaciemniał.

Zégar alabastrowy, stojący na stoliku w rogu, wybił dwa, młoda kobieta siedziała nieporuszona, kiedy spoczywająca na sofie wyrzekła z pośpiechem: „Cóż to! panna Julia tak zadumana, iż nie słyszy, że pół do siódméj wybiło?“

Siedząca zadrgnęła jakby przebudzona ze snu, podniosła się spiesznie, i pociągnęła pas haftowany dzwonka, wiszący przy drzwiach. Po chwili wniósł służący lampę, a ta oświetliła salonik, mający niebiesko malowane ściany i z bronzami meble, już nie świeże, lecz jeszcze dość ozdobne. Pani na sofie przysunęła stół, i rzekła rozkazująco do drugiéj, która właśnie postawiła koszyczek z różnobarwną wełną i rozkładała haft na kanwie.

„Daj mi ławeczkę.“ Ta ją spiesznie pod jéj nogi podstawiła, i odebrała znów rozkaz przyniesienia książki. Lecz kiedy ją podawała, druga spojrzawszy na różową okładkę romansu wydania brukselskiego, porzuciła go z niecierpliwością.

Czyż nie wiész, żem wczoraj drugi tom skończyła, że znów go przynosisz?

„Nie wiedziałam,“ odrzekła pierwsza nieśmiało, biorąc ze stołu rzuconą książkę.

„Co potrzeba, nigdy tego nie wiész,“ i surowo spojrzała za odchodzącą.

Po chwili obiedwie siedziały przy okrągłym stole milczące — jedna zaczytana, druga pilnie szyjąc — tylko rozmowa pana z ekonomem ciągle mieszała cichość w salonie.

Słysząc pierwszy raz o młodéj kobiecie, może mimowolnie zapytamy się jednak: A czy ładna? W myśl tego zapytania opowiemy jak wyglądała Julia. Nie wybijała żadną szczególną pięknością, rysy prawie regularne, ale za drobne, brwi na okrągławém czole ledwie oznaczone, a przy jasnych włosach, ugładzonych na skroni, płeć choć biała, lecz nie dość przezroczysta; czasem lica pokryte tą jednostajną bladością, co chyba pokraśnieją silném wewnętrznem wzruszeniem, a do tego kibić niewyrosła, kształtna tylko giętkością. Ale jednak dużo w niéj wdzięku, bo w twarzy i postawie rozlana słodycz z prostotą, a w niebieskich wielkich oczach, przegląda jakaś spokojność, myśli osłonięte sennością. Z łagodnością też i w milczeniu wykonywała dawane jéj rozkazy przez panią w podeszłych latach, siedzącą na sofie — wysoką, rumianą, otyłą, z głową na krótkiéj szyi, z dumą w tył przegiętą. Rozkazy padały jeden za drugim: zapytaj się Julio! — przynieś — zamknij — otwórz, a dziewczyna bez zniecierpliwienia wracała na miejsce.

Nie długo ukończyła się konferencya przedpokojowa, a do okrągłego stołu przybył już dobrze podstarzały mężczyzna. Wychudły, nie wysoki, z pospolitą fizyognomią spekulanta agronoma.

Spójrzawszy na stół, zapytał: „A gdzież gazety z dzisiejszéj poczty?“

Julia podniosła się i położyła je przed nim. On zaś wsadziwszy okulary, wziął się do odczytywania małéj tabelki na końcu. „Co to będzie! co to będzie!“ wykrzyknął uderzając dłonią w stół — „zboże tanieje, a wcale go nie masz. Powiadam, że dzisiaj gospodarować bez pańszczyzny, to lepiéj być pastuchem. Jak przyjdzie zapłacić zasługi, wydawać ordynarye i jeszcze najmować, to człowiek pójdzie z torbami. Rozmarnuje się wszystko, co się z pracą uzbierało.“ Po tym monologu odkrząknął z nieukontentowaniem, wyjął srebrną tabakierkę, zażył tabaczki i znów czytał drugą tabelkę. „Papiery spadają, hołysze się cieszą, bo myślą, że będzie wojna“ — wyrzekł z ironi-

cznym, pół-głośnym uśmiechem. Pani, która na wszystkie uwagi głowy od książki nie podniosła, na tę ostatnią dopiéro poprawiła się na sofie i spójrzała na męża, mówiąc z przyciskiem:

„Oj! masz słuszność, że takim zawsze się chce odmiany, zawsze czegoś innego — nic nie mają do stracenia, więc mówią, że źle na świecie. A cóż dopiéro ci golce, co nawet nie wiedzieć, kto byli ich rodzice — nie tylko że zazdroszczą majątku, ale wszystkie wyższe względy, jakie na bogatszych ludzi spadają, chcą mieć za nic.“ „Przecież raz to zuchwalstwo musi mieć koniec“ — dodał jegomość przeglądając gazety.

„No proszę — znów izba we Francyi na zaciągnięcie summ pozwala — to jest ten wychwalony kraj, a długów jak włosów na głowie. Dziękuję za całą Francyą,“ a po chwili dodał: „żeby się tam tylko Teodorowi w głowie nie poprzewracało.“

„Nie bój się“ — odparła, uśmiechając się żona; „zobaczysz jaki rozsądny wróci — już on najmniéj z naszych chłopców skłonny do zepsucia.“

„To prawda. Pamiętasz, bodaj miał sześć lat, jak dostali od dziadka po dukacie na gwiazdkę; każdy z chłopców przemyśliwał, coby za tego dukata kupić, a on już wtedy z roztropnością powiedział: ja mego schowam. Schował i już pewnie miał lat dwanaście kiedy go przyłożył do kupienia płaszczyka. Dla takiego nie żal zbierać, bo umie grosz szanować.“

„Oh! pamiętam! pamiętam!“ — mówiła matka z czułém westchnieniem. „Już z dzieciństwa był rozsądny. — Poczciwe dziecko! Patrzyć go też tylko — przecież już więcéj miesiąc — wyjechał z Paryża.“ — I oboje państwo zapomnieli o czytaniu, przedłużając tę miłą dla siebie rozmowę. W pół godzinki może przerwał ją dopiéro turkot zajeżdżającego przed dom pojazdu. Jegomość wyszedł witać niewiadomych gości, i niebawem wśród zmieszanych głosów drzwi się otworzyły, a na progu stanął młody mężczyzna.

„Teodor!“ krzyknęła pani, podniosła się spiesznie i witała przybyłego pocałunkiem w głowę. A kiedy z kolei spostrzegł Julię, która przyjaźnie ku niemu spoglądała, powitał ją lekkiém skinieniem głowy, nie pozdrowiwszy i jedném słówkiem. Nie zmieszało jéj to wcale, znać zwykle tak ją witano — blada téż i spokojna wyszła do zatrudnień domowych.

W saloniku zaś między synem i rodzicami toczyła się rozmowa prędka i poplątana, składająca się z więcéj zapytań niż odpowiedzi, jak zwyczajnie między bliższymi, co się parę lat nie widzieli. Lecz młodzieniec nie obiegał wzrokiem ścian i sprzętów dawno mu znanych, nie wpatrywał się z czułością w rodziców, ale zasiadł wygodnie na miękkim fotelu, jak gdyby kilka lat już się z niego nie ruszał, i tak rozparty od niechcenia po chwili zamilkł i dość obojętnie przysłuchiwał się opowiadaniu rodziców.

Julia wróciła i zajęła swoje miejsce przy porzuconym hafcie, lecz nikt na nią nie zważał, nikt się do niéj jedném słówkiem nie zwrócił. Widać jednak, że bezprzytomnym słuchaczem nie była, bo się czasem lekko uśmiechnęła, to znów myśl poważniejsza czoło jéj przebiegła. Teodor machinalnie zwrócił kilka razy na nią oczy, lecz ich tam długo nie zatrzymał; jak obojętnie spójrzał, tak je obojętnie odwrócił. Nareszcie dano kolacyą i ona się zabrała do rozdzielenia, a kiedy z kolei podawała porcyą Teodorowi, przyjmując ją bez spojrzenia na dziewczynę, wyrzekł zimno: „*Merci.*“

Wszyscy byli zajęci jadłem, a Julia ze swoim talerzem usiadła na przeciwko młodzieńca i ukradkiem przypatrywała się: o ile go téż te kilka lat zmieniły. Prawda, że on ją zawsze zimno i z lekka traktował, jak wszyscy w domu; lecz w dzieciństwie kiedy nieraz tonąca we łzach szukała serca matki, na któremby rozpaloną głowę złożyć mogła i wypowiedzieć swoje krzywdy i żale, on sam wtenczas prawie dziecko, często ją słówkiem utulał i grudkę cukru lub jabłko siedzącéj w kąciku podał. Teraz po tak długiém niewidzeniu wszystko jéj w pamięci stanęło i choć ją tak zimno powitał i wcale na nią nie spojrzał, złagodziło to wspomnienie przeszłości. Prawda, że dla młodéj kobiety i teraz Teodor nie był odstraszający, bo piękny z postawy, piękny i z lica, i gdyby twarz jego sztukmistrz cerklem rozmierzył, niby w niéj nie znalazł do zarzucenia. Lecz na piérwszy rzut oka wyraz twarzy nie dopełniał téj zewnętrznéj piękności, owszem łamał jéj harmonią, bo brak tu młodzieńczego zapału — a czoło choć myślące, otwarte, oznaczone ciemnemi brwiami, myśli je-

dnak, co tam przebiegają spowite zimną refleksyą, kostnieją jak u starca. Nie masz tam téj wzniosłości, co myśl młodzieńca skąpaną w czuciu rwie w inne światy.

Kiedy jego ciemne oczy zwróciły się mimowolnie na Julią, i spotkały jéj spojrzenie z zajęciem w niego utopione, tak dziwnie ironicznym uśmiechem zabłysły, że aż dziewczyna — zadrżała — rumieniec obrażonéj miłości własnéj oblał jéj skronie — zmieszana opuściła grabki i jeść przestała. Prawie jéj się na łzy zbierało, tyle w tym jednym rzucie oka padło na nią przekąsu — szyderstwa. Chwilkę siedziała przyciśnięta, zmięszana tą ironią, bo choć miał wzrok spuszczony, czuła spojrzenie i uśmiech, co nad nią wisiały. On znać inaczéj to wzruszenie zrozumiał, gdyż chwilkę z widocznym uśmiechem na nią spoglądał, a spuszczając głowę ku talerzowi, pół głosem się nawet zaśmiał. Nikt na niego nie patrzał, nikt więc gry jego twarzy nie widział, a on dla lepszego zakrycia, wesołą anekdotkę zaczął opowiadać.

Lecz Julii serce żalem się ścisnęło, ten śmiech przeważył szalę jéj siły — bo wszystkie gorzkie słowa i kaprysy, wszystkie męczarnie moralne, które od ośmiu lat życia na nią spadały, czémże były w porównaniu jednego szyderstwa, ciśniętego przez młodego mężczyznę? Jam uboga kuzynka, a on syn moich chlebodawców, i dla tego mi urąga — pomyślała i czuła, że się nie wstrzyma, że głośno zapłacze — podniosła się i biegła ukryć łzę do swego maleńkiego pokoju. Tu upadła na kolana, schowała twarz w dłonie i gorzko zaszlochała: „Och! pójdę w świat, będę ciężko pracowała, zniosę wszystko — wszystko — tylko nie jego szyderstwo, rzucone mi jakby w przydatku do kawałka chleba“ — pomyślała w pierwszym żalu. Ale wnet jak błyskawica przeleciało przez jéj duszę przypomnienie matki — matki, na któréj smutnéj drodze życia, wśród walk z nędzą, przyświecało jakby gwiazdą wspomnienie, że córka szczęśliwa — bo ją widziała ładnie ubraną, kręcącą się po pięknych pokojach, jeżdżącą w powozie, otoczoną wszystkiemi wygodami życia, ona, która znała z doświadczenia, co to jest głód i mróz. I patrząc tak na Julią, zapominała o wszystkich swoich niedolach, wszystkich cierpieniach; — biedna! nie uchyliła nigdy zasłony, którą tak starannie swoje serce córka przed jéj czułością zakrywała, i była szczęśliwą szczęściem swego dziecka. — Kiedy Julia była małą, ocierając jéj łzy żałosne, zachęcała temi słowy do wytrwałości: „Jeszcze parę lat, a będzie ci późniéj lepiéj — a jak ty szczęśliwa, to i ja nią jestem“ i popieściła zpłakane lica i przycisnęła ją do piersi, a tą miłością choć chwilkę były szczęśliwe — bogate.

Teraz wiele mil je rozdzielało, jednak córka czerpała siłę z tego uczucia i osłonięta niém jakby puklerzem, szła z rezygnacyą wśród ciernistéj drogi życia. Nic dziwnego, iż jéj zabrakło zawsze odwagi do opuszczenia domu, gdzie nie raz tyle chwil gorzkich przecierpiała, bo czyż mogła wtłaczać jeden miecz boleści więcéj w serce matki? I tą razą znów to przypomnienie rozbroiło ją z postanowienia — silną wolą przytłumiła żal, — przestała płakać, podniosła czoło i wzrok utkwiła w obrazek na blasze N. Panny Częstochowskiéj, dany jéj od matki jako jedyne bogactwo, a wpatrując się w niego przy bladém świetle księżyca, czerpała siłę pod opieką matki w niebie i pamięcią matki na ziemi, kiedy drzwi uchylono, a w progu zabłysła para oczu Teodora. „A! przepraszam,“ wyrzekł widząc ją klęczącą. Dziewczyna wcześnie powstała, a on dodał z grzecznością: „Mama pannę Julią prosi.“ Ona z podniesioném czołem zbliżyła się do drzwi, a on się z delikatnością usunął.

Jeszcze oczy zwilżone miała łzami, na twarzy wzruszenie, a w saloniku już cierpkiemi słowy przyjętą została: że zawsze trzeba jéj szukać, kiedy potrzebna. I wysłano ją z kluczykami. A młodzieniec, rozkładając się wygodnie w fotelu, zapytał od niechcenia: „Mama już teraz ma z niéj wyręczenie?“

„Dosyć się wprawiła, kontenta z niéj jestem.“ — „Ale powiedz,“ wmieszał się jegomość, „że jéj też u ciebie jak w raju. Wyślesz ją z pokoju do pokoju, pokręci się troszkę z kluczykami, a potém siedzi wystrojona, jakby krocie w posagu miała. Nie raz myślę, że nic dobrego przez to nie robisz, bo proszę — co za koniec, czy się kto z nią ożeni, czy nie, musi nakoniec zawinąć rękawów i wziąść się do roboty.“

„Już się też dosyć nabiegałam po spiżarniach i piwnicach, i zdaje mi się, że mamy na to, żeby się kim wyręczyć,“ odparła jéjmość z przyciskiem. „A zresztą co Julia nahaftuje! wszystko w zielonym pokoju uszyte jéj ręką.“

„Tak jest, ptaszka wyszyje, a wółka zje“ — odrzekł mąż, sam się z swoich słów śmiejąc.

Nie długo powrót Julii przerwał tę rozmowę, a w półgodziny może przy okrągłym stole już tylko samą była, porządkując wełny i papiery. Zabrawszy książkę ze światłem w ręku przeszła sień i weszła do swego pokoiku. Teraz zapaliła lampkę i odetchnęła lekko i swobodnie, bo to były chwile, których wrażeniami życie swoje mierzyła; w tych godzinach czytywała, rozpamiętywała wszystko złe i dobre i marzyła o światach wyrojonych w swéj młodéj wyobraźni. I dzisiaj, choć po tak przykrém wrażeniu, długo światło w pokoiku nie gasło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nº 170.

Tempo di Polacca. *Od Puławska.*

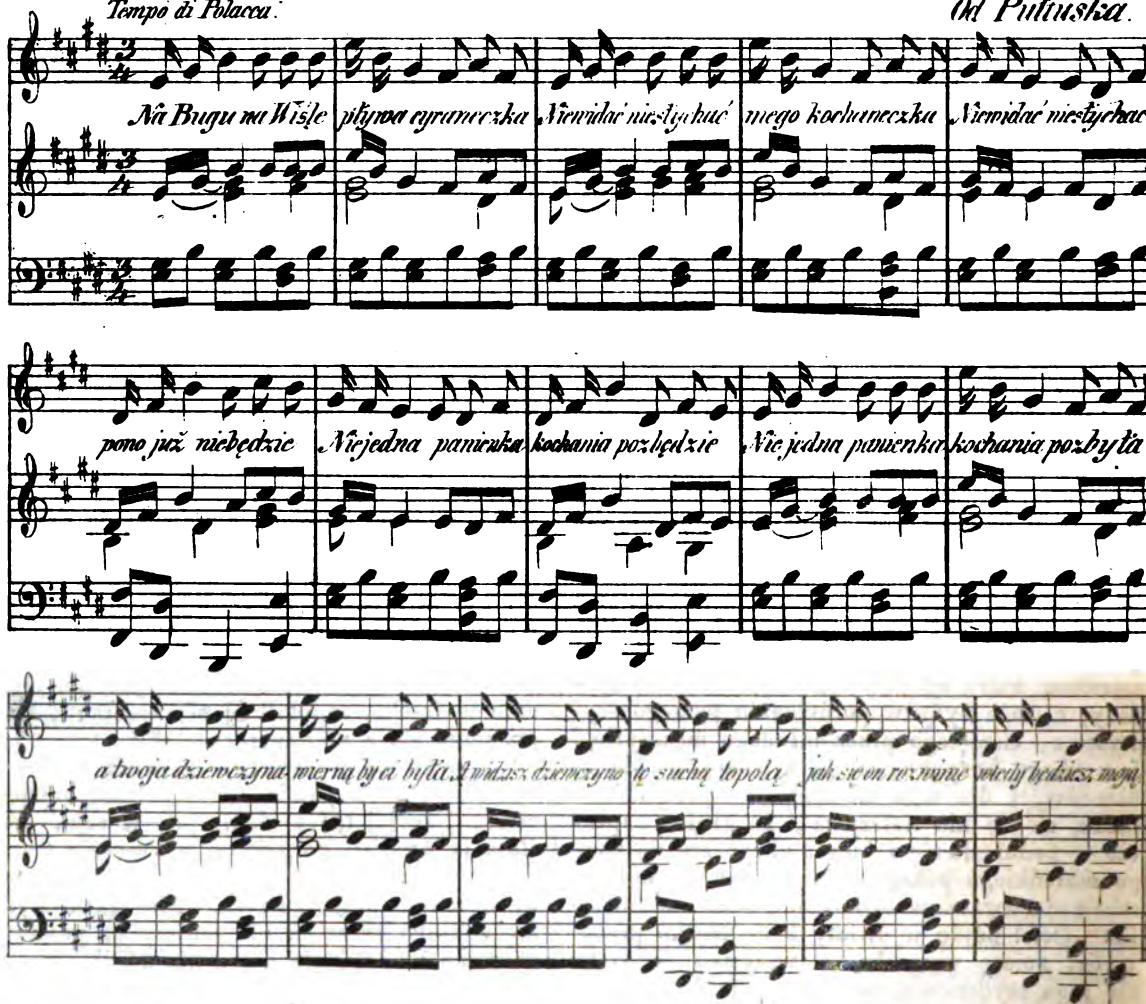

Text do *Nru. 170.*

Na Bugu, na Wiślę, pływa cyraneczka,
Nie widać, nie słychać mego kochaneczka;
Nie widać, nie słychać, pono już nie będzie,
Nie jedna panienka kochania pozbędzie.
A widzisz dziewczyno tę suchą topolą,
Jak się on rozwinie, wtedy będziesz moją;
Wezmę koneweczkę, będę wodę znosić,
Będę podlewała, będę Boga prosić.
Już się topolina rozwijać zaczyna,
Nie widać, nie słychać mego pocieszenia.

(Patrz Nr. 126.)

Zeszyt jedenasty Roku I. pisma miesięcznego: ***Kościół i Szkoła,*** zawiera następujące artykuły:

I. Rzeczy tyczące się naukowości i wychowania: Do Redaktora. §. 1. Przeznaczenie i nadanie życia ludzkiego i nauczycielskiego. §. 2. Ważna, zaniedbana lub lekce uważana nauka, czyli: Uwagi nad elementarną nauką o rólnictwie, ogrodnictwie, przemyśle i handlu. §. 3. Rzecz o właściwości książek elementarnych. II. Przegląd dzieł. III. Rozmaitości.

Przy końcu drugiego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu," upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na pierwsze półrocze roku czternastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.

Ernest Günther, *wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 47. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 21. Listopada 1846.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai. — Jeszcze dwa ustępy z „Dzieciątka Jezus.“ — Uboga kusynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Doniesienie prenumeracyjne.

Studnia Bir-Ambar.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

Skic *Maxa Weidenbach.*

Podczas gdy się karawana znajdowała w Karnaku, wiosce na zgliszczach wschodnich Teb odbudowanéj, towarzyszyłem professorowi Lepsius w podróży do półwyspu Sinai, inni zaś członkowie, jako architekt Erbkam, malarze Georgi i mój brat Ernst, zostali się, w celu zdjęcia najważniejszych miejsc z okolicy. Szczególniéj godne uwagi były z téj strony czerwonego morza: stare ułamki kamienne z wielu napisami hieroglificznemi na drodze z Keneh do Kzeir, Kozeir, i z tamtéj strony: Wadi Makateb z mnogiemi tak zwanemi *sinajskiemi* na skałach napisami — Wadi Maghana ze staroegipskiemi obrazami, ze skał ciosanemi, i góra Sarâbit el Châdem, nosząca na grzbiecie swoim egipskie ruiny.

3. Marca opuściliśmy z 5 sługami, podzieleni na dwóch małych okrętach, Teby, i płynęliśmy do sławnego miasta Keneh, położonego na prawym brzegu Nilu, do któregośmy w drugim dniu po 18-godzinowéj podróży zawinęli. Na brzegu było mnóstwo ludzi krzątających się około przygotowań na przyjęcie Baszy Kebîr, wielkiego Baszy, Mohameda Alego. Tamtejszy Madir, naczelny prezes prowincyi, zamienił wygodne w mieście pomieszkanie na niewygodny przy Nilu namiot, ażeby szybko płynącemu despocie na parowym statku nie dać oczekiwać na czołobitność mu się należącą. Po wypakowaniu naszych rzeczy odesłano okręty. Said Mohamed, kupiec i angielski tamże agent, przyjął nas po przyjacielsku w dom swój, i był nam przy naszém kupnie wielce pomocnym. Kupno to składało się mianowicie z Buksmatu, chlebów dwa razy pieczonych z mąki pszennéj, z ryżu, soczewicy, kawy, cukru i naczyń do wody, które są daleko lepsze od kubłów i worków skórzanych. Robią je tylko tutaj i w Kairze. Najęto 15 wielbłądów od Arabów, nie zaś od Fellahîn, chłopów, każdego po 4½ piastru — 9 — 9½ śgr. dziennie. Oprócz poganiaczy wielbłądów przyjęto dowódzcę, którego nazywano Szech Selîm. Ten jednakże był nam tylko przydatnym aż do Gebel Dochôn, jak to niżéj zobaczymy. Z Heneh posłano do Kzeir posłańca, który tamże miał nająć okręt, i posłać go do Gebel es Saît naprzeciwko Sinai, gdzieśmy go do przewozu użyć mieli. Po tych i wielu innych przygotowaniach zbliżył się wreście dzień naszego wychodu z Heneh, t. j. 6. Marca; lecz niepodobno było wyruszyć w dżdżystych godzinach porannych, i dopiéro około południa, po usunięciu wielu przeszkód, wyruszyliśmy z miejsca. Nigdzie, jak sądzę, udanie się w podróż nie jest podróżującemu uciążliwszém, jak na wschodzie; musi się koniecznie poddać wrodzonéj wschodnim mieszkańcom flegmie. Ta bowiem nie da się pokonać przez energią, lecz tylko przez cierpliwość. Że zaś cierpliwość człowieka niekiedy opuszcza, a niecierpliwość aż do gniewu wzrasta, i że w takiém położeniu puszczając gniewowi wodze, często się ludziom złorzeczy, częściéj jeszcze batogami okłada, nie powinno nikogo dziwić; albowiem wschodni mieszkańcy tylko za pomocą batogów powodować się dadzą. Słowa napomnienia byłyby bezowocnemi. Jeśliby im się kto pokazał słabym i bojaźliwym, może być przekonanym, że go wcale poważać nie będą, i w każdym razie tak sobie z nim postąpią, jak się z podobnym człowiekiem zwykle postępuje. Ich lenistwo, wracając do niego, przechodzi granice; charakteryzuje się bardzo dobitnie w ich wysłowieniu się przy zaczęciu każdéj roboty, którą zwykle na jutro odkładają i każdego jutrem pocieszają, mówiąc: *bukra, bukra iusch Allah!* „jutro, jutro jeśli Bóg pozwoli.“ — Podróż w pierwszym dniu trwała tylko 3 godziny aż do studni Bir Ambar, mającéj wiele bardzo dobréj wody, która się znajduje przy brzegu pustyni na południe od Heneh wśród gaju z drzew palmowych i akacyj. Zaraz obok stoi piękny gmach z 20 kopułami, który przed 30 laty Ibrahim Basza kazał wybudować dla wygody pielgrzymów, podróżujących do Mekki, gdzieśmy przenocowali. Na drugi dzień wyruszyliśmy rano o 6½, i zwróciwszy pochód nasz ku wschodowi, w pustynią, ciągnęliśmy pomiędzy pagórkami piaszczystemi; o 11. dośliśmy do traktu wiodącego z Kuft — Koptos — do Kzeir. Jeźdzcy, pomiędzy którymi i ja się znajdowałem, wyjechawszy naprzód, przybyli na stacyą Lekitę już o 1. godzinie; znajduje się tam kilka studzień i domów, lecz ani jednego drzewa. Zastaliśmy tutaj około 1000 wielbłądów, należących do rozmaitych karawan. Trakt ten z Keneh do Kzeir jest po trakcie z Kairu do Suez najludniejszy w całym Egipcie. Napotkaliśmy

wielu Hadyszów, pielgrzymujących do Mekki, którzy, jako prawowierni pełniąc swą powinność, Mekkę zwiedzili; zajmującą było rzeczą patrzeć na rozmaitość tych gromad, pomiędzy któremi kobiety i dzieci się znajdowały, jak wszystko pomieszane do jednego zmierzało celu. Jeszcze tego samego dnia opuściliśmy Lekitę i jechaliśmy w nocy przy świetle gwiazd 3 godziny; przy rzymskiéj stacyi przenocowaliśmy. Podobnych stacyj widzieliśmy z Kzeir do Keneh w ogóle 7, wśród których były studnie po większéj części piaskiem zasypane. Oprócz tych budynków, na stacye przeznaczonych, można jeszcze widzieć na górach wzdłuż drogi przez Rzymian zbudowane wieże, służące im zapewne za drogoskazy. O ile to wygodniéj, przyjemniéj i bezpieczniéj przebywano wtenczas te pustynie w porównaniu do teraz! Lecz można poznać po trakcie pomiędzy Kairem a Suez, że, gdyby pustynie te w europejskie przeszły ręce, znówby również dogodnie urządzonemi być mogły; trzebaby tylko, żeby podróże te mniéj kosztu wymagały, jak dotychczas; teraz bowiem towarzystwo angielskie, które się podróżującymi zajmuje, okropnie ich zdziera.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jeszcze dwa ustępy z „Dzieciątka Jezus.“

Józef z Maryą psalmy odmawiali,
A wtém usłyszą dziwny hałas w dali,
I z za pagórka gwałtownie wypada
Rozjadła zwierząt drapieżnych gromada.
Zdejmie się strachem najświętsza rodzina,
Matka na ręce pochwyciła syna.
Ale zaledwie z usteczek dziecięcia
Słodkie i ciche słóweczko wychodzi,
Natychmiast wściekłość każdego źwierzęcia
W zdumiewający sposób się łagodzi:
I te co pożréć pragnęły przed chwilą,
Teraz pokornie łaszą się i milą.
Jak gdyby pastérz w pośród owiec stada,
Rajskie pachole wśród nich się przechadza:
Bo téj dzieciñki, jak prorok powiada,
Nad strasznym zwiérzem rozciąga się władza:
I gdy skinęło swą drobniutką dłonią,
Wnet różną stroną źwierzęta pogonią.
Lew tylko jeden został przy rodzinie.
Rzekłbyś, że równie moc ciemności zginie,
Choć żądz potwory podobnie obudzi
Przeciwko Panu w sercu ślepych ludzi.
W słowie miłości baranka obrona,
Lecz wszystkich wrogów to słowo pokona.

Matka na synka patrząc zamyślona,
Przebiera ręką u pięknéj lwa grzywy,
Który z radości liże święte nogi.
W milczeniu Józef spoglądał sędziwy,
Siada w igraszce na lwa chłopczyk drogi,
A ten szczęśliwie pokornie mu służy.
Wezwał swą matkę znużoną w podróży,
Ta wierząc w dziecko najchętniéj to czyni:
I tak jechali na królu pustyni.
Wkrótce lew zboczył ze zwyczajnéj strony,
Józef go zwrócić chciał błogosławiony.
Ale do niego rzekła matka błoga; —
— Daj pokój; jemu lepiéj znana droga. —
Po małym czasie ujrzeli o zmroku
Palmę wysmukłą przy wód żywych stoku.
A wielbiąc Boga serdeczną podzięką,
Zaraz weseli przy krynicy brzegu
Stają pod cieniem drzewa do noclegu,
I czystéj wody napili się ręką,
Omywszy z prochu i nogi i lica.
A w téjże chwili ta żywa krynica
Przez łaskę Boga leczącą się czyni,
Dla wszystkich źwierząt w téj całéj pustyni.
Lampart, gazella i lwy dotąd bowiem
Biegną w słabościach pić wodę ze zdrowiem:
Nieraz wędrowców wielbłądy i osły
Stąd uzdrowienie swych cierpień odniosły.

Marya z sakwy chléb podróżny bierze,
Który ma składać całą ich wieczerzę.
Józef rzekł, patrząc na palmę przez chwilę:
— Jakże obficie zrodziły daktyle,
Lecz pod koroną drzewa tak wysoko,
Że nadaremnie nęcą moje oko. —
Wtém strwożył matkę dziwny szelest drzewa,
Już chce uciekać chwyciwszy młodzianka:
Ale gdy spojrzy cudem się zdumiewa:
Wkrąg ich otacza zielona altanka.
Bo się do ziemi drzewo tak zniżyło,
Że urwać owoc ręką można było.

W szczęściu biesiada upłynęła mile:
Rajski młodzianek albo rwał daktyle,
Albo z rąk karmił lwa, co przy altanie
Zwisłego drzewa układł się na spanie.
Wkrótce i całą rodzinę znużoną
Słodki sen przyjął na swe ciche łono.

Tylko co w nocy szary świt się rodził,
Już święta para do drogi się bierze:
Lubém głaskaniem chłopczyk lwa nagrodził,
I matka rajskim wzrokiem żegna źwierzę:
Tak lew pozostał i tęsknie spoglądał,
Jakby rozkazu pójścia z niemi żądał.

Tymczasem dziécie, starzec i dziewica
W rannéj modlitwie trzy podnieśli głosy:
Każdy z nich swoją rzewnością zachwyca,
I każdy płynie tak lubo w niebiosy,
Jak lubo ziemia górne pije rosy.

Czasem po drodze w téj głuchéj przestrzeni
W krzakach tamaryz pięknie się zieleni,
Który skwapliwie młodzianek obziéra,
I po gałązkach chléb pustyni zbiéra:
A te przed wschodem uzbiérane manny
Niesie rodzicom na posiłek ranny.

Już piękny wieczór chylił się do zmroku,
Gdy weszli w ciasny wąwoz i głęboki;
Groźniejszą postać przybrały opoki,
Nagie, strzaskane przedstawiały oku
Jakieś olbrzymów zamki murowane,
Mchem albo krzakiem gdzie niegdzie odziane.
I coraz więcéj przybywało zmroku;
Ścieżka szła wązko, a pełna kamieni,
Bo w czasie dżdżystéj zimy jesieni
Służy za łoże bystrego potoku.
A przepaścista w skale rozpadlina
Nieraz tę ściężkę okropnie przecina.

Biedzi się Józef i Marya w trwodze,
Bo jak iść daléj, jak wieść dziécie boże
Po téj o zmroku niebezpiecznéj drodze,
Kiedy i we dnie z trudnością iść może?
W ciasnym parowie stojąc pełni trwogi,
Troskliwém okiem do koła badali,
Czyby nie było jakiéj innéj drogi:
A wtém przed sobą ujrzą dwóch górali.

Jeden był starszy i czarno zarosły,
Nizki, barczysty, a twarz opalona;
Drugi młodzieniec, lecz wzrostem wyniosły,
A włos mu jasny spadał na ramiona.
Każdy z nich płaszczem krótkim przyodziany,
Na plecach stérczą łuki i kołczany,
W ręku żelazem nabita maczuga,
Szabla z pod płaszcza wyziérała długa:
Słowem, znać było, że w dzikie parowy
Z nadejściem nocy szli na ludzkie łowy.
Maryę trwoga okropna przenika,
Tuli do siebie rajskiego chłopczyka,
Który spokojnie patrząc na tych ludzi,
W tęskne, głębokie wpada zamyślenie;
Zda się ich widok w pacholęciu budzi
Jakieś bolesne i ciężkie wspomnienie.

Tymczasem Józef chociaż nie bez trwogi
Prosi ich kornie o wskazanie drogi.
Starszy w milczeniu wprawną swą zrzenicę
Rzuca na starca i świętą dziewicę.
Sędziwy piastun prośbę znów powtarza,
Góral w szyderczym śmiéchu odpowiada: —
— „Na podobnego tobie wyjdę dziada,
Jeśli każdego mam wodzić nędzarza.“ —

A młodszy czuje, jak się jego dusza
Losem zbłąkanéj rodziny porusza,
Ale obawa szyderstw towarzysza
Tę chęć pomocy tłumi i ucisza:
A tylko oko czułością przejęte
Obrócił rzewnie na pachole święte.
Wtém nagle ujrzał, że dzieciątku z lica
Wynikła jasność, jakby błyskawica.
Wzruszony cudem śmiało góral młody
Prosi ich na noc do swojéj zagrody.
Starszy się śmiejąc rzekł z szyderczą twarzą: —
— „Dobrze, mój Dyzmo; nie małym zapasem
Takie starania pewno cię obdarzą,
Bo przewodnikiem dziadów będziesz z czasem.“ —

I poszedł z lewéj strony u dziewicy;
Jezus rzekł cicho: — „To łotr po lewicy.“ —

Góral ku świętéj przybliżył się matce,
Głosem łagodnym przemówił z pokorą; —
— „Nie chciéj się trwożyć, bo przed nocną porą
Jeszcze staniecie w méj góralskiéj chatce.“ —
Wnet się na lewy bok wąwozu biorą;
W krzakach ukryta ścieżka ich prowadzi,
Co na opokę stromym wężem pnie się;
A wszedłszy na wierzch obaczyli radzi
Kilku chat ognie błyskające w lesie.
Na samym szczycie ta mała osada
Po nad przepaścią wdzięcznie się rozkłada:
Dąb i terebint i blada oliwa,
Jak piękny wianek w koło ją okrywa.
Z cichą modlitwą szła rodzina boska:
Przerwał milczenie jéj przewodnik młody;
— „To, rzekł, w Judei sławna Latrun wioska,
Lecz się nie bójcie przyjąć tu gospody:
Bo u góralów kto będzie w gościnie,
I jeden włosek z głowy mu nie zginie.“ —

Tak przemawiając wprowadza do chatki,
Pokarm gotuje dla znużonych drogą;
Bo oprócz staréj, ociemniałéj matki
Nie było więcéj w lepiance nikogo.
I ledwie goście skończyli wieczerzę,
Wiedzie w komorę, gdzie ich czeka łoże.
Rodzina wielbi miłosierdzie boże,
A sen ją w ciche swe objęcia bierze.

Gotów o świcie już był góral młody,
By gości lepszą przeprowadzić drogą.
Józef z Maryą rzekli, że nie mogą
Niczém nagrodzić uprzejméj gospody:
Lecz Bóg tych, którzy na bliźnich łaskawi,
Nigdy bez wielkich nagród nie zostawi.
Szedł koło śpiącéj młodzianek staruszki,
Na jéj powieki włożył dwa paluszki.
I w téjże chwili budzi się niewiasta,
A jéj zdumienie i wesele wzrasta,
Gdy się o wzroku wróconym przekona;
Głosem uwielbień chatka napełniona.
Wnet poszli w drogę, a góral na przedzie
Uszczęśliwiony rajskich gości wiedzie.

Po chwili przyszła na brzeg skał rodzina,

Skąd się rozwija sarońska dolina:
A na jéj równéj, ogromnéj przestrzeni
Mnóstwo się gajów i sadów zieleni,
I między niemi cisną się do koła
Z cudownym wdziękiem miasteczka i sioła,
W głębi się morze od wschodu czerwieni.
Święci podróżni stali zachwyceni,
Bo widok wlewał rozkosz do ich łona.
I jeszcze więcéj stąd byli weseli,
Że to nie obca lecz ojczysta strona,
Którą po długiém tułactwie ujrzeli.

Już góral młody na Saron dolinę
Spadzistą ścieżką przewiodłszy rodzinę,
Z żalem odchodził i na pożegnanie
Rzekł do młodzianka: — „Pomnij na mnie Panie.“ —
A Jezus odrzekł: — „Gdy ćwierć wieku minie
Ujrzym się znowu, lecz w strasznéj godzinie.

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

II.

Na wiosnę, kiedy trawniki zielenią się równiutko, drobno jak kobiercem z aksamitu, a jaźminy, bzy i róże, czarując oko, rozlewają woń w około, od kilku godzin siedział Teodor w ogrodzie na ławce z cygarem w ustach, a przed nim na stole porozrzucane książki i pisma: on brał jedno po drugiém, czytał, przerzucał karty, a raz po raz złożywszy cygaro, serdecznie ziewnął.

Słońce się już schylało ku zachodowi i na dobranoc tém ognistém okiem strzelało ku ziemi kochance, kiedy on się przeciągnął, oparł czoło na obu dłoniach i myślał: Co za czcze marzenia! Po co tém zapełniać grube tomy, co się w życiu nie sprawdzą — to mrzonki urojone, że człowiek poczuwa się w każdym człowieku, a ztąd i ludzkość kochać musi. Fałsz. Co mi do ludzi, którzy nie są mną? — ja nie czuję tylko siebie — jak mnie się jeść chce, to wiem, nigdy zaś, kiedy drugim. I dość długo dumał na ten temat, potém się podniósł, przeszedł parę ścieżek, a na końcu machinalnie wszedł do saloniku, gdzie zastał Julią siedzącą przy oknie i pilnie szyjącą na kanwie. Białą czapeczkę z głowy rzucił w kąt na stolik, a sam zasiadł wygodnie w fotelu na przeciw dziewczyny i wpatrywał się to w nią, tow jéj pracę obojętnie, jakby myślał o czém inném. I ona zdawała się na niego nie zważać, rachowała i szyła, jakby była samą.

Po kwadransie milczenia znać sobie przypomniał, że i ktoś drugi jest w pokoju, bo jakiś uśmiéch uprzejmości ożywił twarz jego, i zapytał:

„Kiedyż będzie ekram skończony?“

„Za kilka dni. Spieszę się, bo z nim będzie ukończony cały pokój, a pani bardzo będzie kontenta“ — odrzekła słodkim głosem, nie podnosząc wzroku od haftu.

„Ten pokój, to raj prawdziwy; bo kwiaty, zwierzęta i ludzie, wszystko stworzone ręką panny Julii.“ I przegiął się ku krosienkom i przypatrywał obrazowi dwóch Eleonór, do którego właśnie doszywała ten śliczny błękit po za Alpejskiego nieba. „Jabym się nie kochał w téj brunetce jak Tasso, wolałbym blondynkę“ — mówił tonem żartu.

„Pytanie, jakby się to skończyło“ odparła dziewczyna z uśmiechem i spojrzała na niego przyjaźnie, i widać, że już nie budził w niéj disharmonii, jak to było owego nieszczęsnego wieczora. Może przywykła tylko do jego uśmiechu i spojrzenia, a może ją téż ujęło postępowanie przyjaźne, które okazywał coraz mocniéj, a jakiém z całéj rodziny nikt dotąd jéj nie obdarzył.

Lecz cóż biedny Teodor miał robić? czegoż się nie probuje na odpędzenie nud? On, którego gwar stołu ledwie pierwsze dni potrafił zająć, a potém wszystko mu było obojętném, wszystko go nudziło! A teraz siedział tyle miesięcy na wsi w życiu jednostajném, między sąsiedztwem i rodzicami — potrzeba mu więc wrażeń, gdyż choć obciął skrzydła wystygłą myślą młodzieńczéj wyobraźni, choć serce pod tą myślą jakby zlodowaciało, lecz głowa marzyła jeszcze na przekorę.

Nie gonił on już za wrażeniami, ale ich nie unikał, a teraz w braku czego innego, proste serce Julii, wyobrażenia poetyczne, owiały go nie raz wonią świeżości, jakiéj nigdy nie czuł wśród piękności salonowych. I obrachował, że takie uczucie choć chwilowe jest kapitałem duszy, bo nadając jéj polot po za sferę dotykalnego życia, upiękni ją i natchnie siłą.

Teraz, kiedy siedzieli sami, a umysł jego trzeźwiał znużony czytaniem, prowadził z dziewczyną rozmowę lekką i swobodną, jak się to od wielu tygodni prawie każdego dnia działo, gdyż z wiosną Julia najczęściéj sama siedziała przy krosienkach. Teodor lubił z nią rozmo-

wę sam na sam, bo wtedy żywo i śmiało wypowiadała swój sąd o rzeczach i odsłaniała gorące uczucie na każdą myśl ślachetną i wzniosłą, a on zaglądał w jéj duszę, jak księżyc przez czystą powierzchnię na dno jeziora. Jéj twarz zwykle blada i spokojna, w takich chwilach uniesienia jaśniała całém życiem ducha i czarowną była tą pięknością, przed którą formy ciała nikną. Teodor choć nie czuł tego sercem, ale okiem i myślą nauczył się znać piękne. Z przyjemnością więc wpatrywał się w dziewczynę promienną tym urokiem. Nie wstrzymywał też żadnego polotu jéj duszy, owszem rzucił myśl, rozbudził uczucie, podał książkę, .któraby rozmarzyła jéj młodzieńczą wyobraźnię i stroiła we wszystkie kwiaty fantazyi — a wtedy wpatrywał się w każde.zadrgnięcie jéj płomiennego serca, które, nie zakryte przed nim, leżało jak niemowlę na łonie matki — i miał uczucie nowości, a tym sposobem nie jednę chwilkę nud szczęśliwie rozegnał.

Julia zaś w pierwszych tygodniach jego przybycia była z nim zimna, obojętna, zatopiona w swoich zatrudnieniach, taka, jaką ją w domu mieć chciano. Jeżeli czasami Teodor do niéj zagadał, pamiętna pierwszego wieczora, odpowiadając, nie spojrzała nawet na niego. Lecz kiedy jego słowa, osłonięte całym urokiem przychylności, dobroci, a nakoniec przyjaźni, padły na jéj serce pełne, świeże jak kwiat na wiosnę, którego listki rozwijają się pod pierwszemi promieniami słońca, nic dziwnego, że budziły w niéj uczucie jakiegoś rzewnego zaufania, które miłością nie było. Bo jak słońce nie od razu ukazuje się ziemi, lecz jutrzenka budzi kwiaty, owady i ptaki — wschód się bieli i rumieni, a szmer zmięszanéj przyrody wita kochanka ziemi — tak i miłość nim zaświeci całą jasnością w duszy, ma swój świt różany, budząc czarujące tajemnice i niepokoje w sercu. Julia tonęła w tém nowém dla siebie uczuciu, z myślą, że na dnie jego czysta przyjaźń leży.

Dzisiaj może po godzinnéj rozmowie, któréj nikt nie przerwał, usłyszeli poważny chód pani. Teodor sięgnął po gazetę i spiesznie zajął odleglejsze miejsce, a Julia szyła jak zawsze. Przybyła bez podejrzenia, spojrzała na młodą parę, zadysponowała Julii herbatę, a młodzieniec niby znużony czytaniem wyszedł na przechadzkę.

Była to chwila, kiedy słońce już się schowało za lasy, owce i bydło wracające z pastwiska słychać było w oddali, ptaszki świergocąc tuliły się w listki drzew, kwiatki nawet składały listki do snu, a człowiek tylko, ten pan natury, tém skłonniejszy do myśli i marzenia. Lecz Teodor i w takiéj chwili nie marzył. Choć się przechadzał sam jeden pod zieloném sklepieniem drzew, wśród balsamicznéj woni kwieci, chór wodnych ptaków zanucił w oddali pieśń wieczorną, a słowik gdzieś ukryty zdawał się błagać i jęczeć. Jego serce zawsze jednakowo uderzało i nie zawtórowało téj wielkiéj melodyi przyrody, myśl nie wzlatywała na złotych skrzydłach wyobraźni i nie podniosła się aż po za sfery ziemskie — i dusza nie prowadziła téj bezpośredniéj rozmowy z Bogiem, na którą słowa ludzkie nie starczą. Biedny! nigdy nawet nie stąpił na próg takiego raju! młodzieniec żył życiem starca... Przechadzał on się teraz zwolna, ręce w pobocznych kieszonkach eleganckiego latowego surduta i myślał porządnie, konsekwentnie: czy uczucie Julii dla niego jest przyjaźnią — miłością — czy tylko czystém przyzwyczajeniem? I przebiegał myślą jéj spojrzenia, wyraz twarzy i wachał się to na tę, to na ową stronę. Teodor był na podobieństwo tych sceptyków, co to nie wierzą w nieśmiertelność człowieka, a boją się ducha, bo nie wierzył w miłość, a chciał być kochanym.

Teodora przechadzka długo się przeciągnęła, gdyż już niebo posiało się gwiazdami i przedmioty ukazywały się w tém pół-świetle, co ani do dnia, ani do nocy nie należy, a on jeszcze był w ogrodzie. Lecz chłodek wieczorny i woń rozlana w około, mile głaskały jego zmysły.

Na raz ujrzał różową sukienkę Julii migającą się lekką chmurką wśród zieleni drzew, a nakoniec zniknęła w szpalerze z leszczyny. Cicho i ostrożnie zwrócił się ku téj stronie. Dziewczyna klęczała na zielonéj darni, dłonie złożone wsparła na kamiennéj ławce, a wzrok słała ku gwiazdom w rzewnéj modlitwie. W jéj postawie i wyrazie twarzy tyle uroku, że Teodor uchyliwszy gałęzie, z lubością spoglądał na nią. I pierwszy raz w życiu przypatrywał się Julii oczami młodzieńca — przebiegał jéj lica,

uśmiech, całą postać z jakiémś pomieszaniem — on, który zalotne spojrzenia pierwszych bogiń salonów przyjmował nie raz z zimnym uśmiechem. Pod tym urokiem postąpił krok naprzód i stanął przed dziewczyną. Osłupiała jego przytomnością, cała zarumieniona, porwała się z ziemi i z przelęknieniem odsunęła się od niego. Ale kiedy on stał nieporuszony i milcząc topił wzrok w jéj postawie, niewypowiedziana rzewność ścisnęła jéj serce i łzy rzęsiste puściły się po licach. Zakrywszy twarz dłońmi, wyrzekła: — „Pan mi przyszedł powiedzieć — że już nie chcesz być moim przyjacielem, bratem!“

„O nie! ja tego nie myślę,“ odrzekł Teodor, zdziwiony stanem jéj duszy. I ujął rękę dziewczyny i ścisnął po przyjacielsku. — Dłoń Julii zadrżała i już z wiedzą pierwsza iskra innego uczucia przyjaźni rozetliła się w sercu.

Młodzieniec wpatrnjąc się w lica dziewczyny, mówił:

„I zkądże miałbym chcieć zrywać tak drogi, tak miły dla mnie stósunek — zkądże ta myśl panno Julio?“

Ona wysunęła swą rękę, przestraszona własnemi słowy, które w zbytku wzruszenia była wyrzekła, kiedy głos służącego, wołający ją po imieniu, rozległ się po ogrodzie. „Pani mnie potrzebuje“ wyrzekła i spiesznie biegła ku dworowi. A Teodor prowadził ją wzrokiem, myślą. „Więc mię kocha“ i uśmiech zadowolnienia osiadł mu na ustach.

III.

W ciągu kilku miesięcy wielkie zmiany pozachodziły w murowanym dworze. Teodor czasami tu tylko bywał, bo miał oddany majątek i w nim mieszkał. Jéjmość zaś na wszystkich batystowych chustkach na gwałt kazała dziewięć punktów haftować, a jegomość wcale kwaśno list odbierał, jeżeli na adresie nie było: *Panu Hrabiemu.*

Było to może koło południa, jak nowa pani hrabina stała w sypialnym pokoju przed dużém zwierciadłem, w sukni perłowéj z ciężkiéj lionskiéj materyi, biały dyftyk zarzucony na szerokie ramiona, na głowie stroik z strusiém piórem, przepięty brylantem — a grzebień, kolie, bransoletki, wszystko z kosztownych kamieni. Z zadowoleniem przypatrywała się swemu ubiorowi, a potém poszła do stolika, gdzie stała szkatułka pełna klejnotów. Wyjęła sznur pereł i obwinęła koło ręki, na drugą zapięła bransoletkę z kameą — do stroiku przyczepiła spinkę z akwa mariną — broszów, szpilek, szpileczek nawpinała bez liku; widzi, iż więcéj kłaść nie może, bez stania się śmieszną, a tu większe pół szkatułki kosztowności! Bierze jedno po drugiém, przykłada do ręki, do szyi, do głowy, ale niepodobna.

Lecz na raz nasunęła jéj się jakaś myśl szczęśliwa, bo z ukontentowaniem i pośpiechem uchyliła drzwi do przyległego pokoju, wołając: „Julio! Julio!“ Ta wbiegła natychmiast z fartuszkiem u pasa, z pękiem kluczy w ręku.

„Ubieraj się jak najprędzéj i przyjdź tutaj.“

„Ale jeszcze nie powydawałam.“

„I tak dziś kręcić się nie będziesz, zostaniesz w pokoju! Idź się tylko spiesznie ubierać.“ Dziewczyna zdziwiona tym rozkazem, a jeszcze bardziéj myślą, iż ma siedzieć w salonie, ciekawie wpatrywała się w twarz mówiącéj, czekając rozwiązania téj zagadki. Lecz powtórnie naglona do spiesznego ubrania, szła wypełnić rozkaz. W moment splotła jasne włosy, dużą kosą uwieńczyła głowę, cały ubiór prędko wdziała, a na to wszystko suknię szamua z ciężkiego atłasu z czarną blondynową bertą. Wzięła w rękę batystową chustkę i białe rękawiczki i nie spojrzawszy nawet w zwierciadło, poszła do hrabiny, ucałowała jéj rękę, dziękując za ubiór. Ta właśnie rozkładała klejnoty na stoliku, podniosła więc na Julią oczy. „Hę! suknia jak nowa, plamy we fałdy dolne schowane, a blondynka ani znać że farbowana. Usiądź przed zwierciadłem, ubiorę cię w moje klejnoty; „ale pani, bo jeszcze zgubię!“ odrzekła przestraszona, kiedy ta już szła ze sznurem szmaragdów i zrobiła gest ręką, jakby się bronić chciała. Hrabina gniewnie wyrzekła: „Cóż to za hardość, choćbym ci kazała prostym sznurem się opasać, toś powinna. Gdyby nie ja, byłabyś gdzie kawiarką.“

Julia stała milcząca ze spuszczonym wzrokiem, a łzy, które się do oczu cisnęły, całą silną wolą popchnęła na dno serca. Na powtórny rozkaz usiadła, a hrabina przypinała i zawieszała na jéj ręce, szyję, głowę — szmaragdy, ametysty, turkusy. Zostały jeszcze dwa grube łańcuchy — cóż z niemi zrobić?! Już nigdzie nie masz miejsca myślała chwilkę i nareszcie upatrzyła, iż można niemi dziewczynę opasać.

W szkatułce już tylko kilka pierścionków i błyskotek mniejszéj wartości pozostało, a twarz rumiana hrabiny takiém szczęściem zajaśniała, jak kiedy służbista lokaj pierwszy raz użył do niéj tytułu hrabiny. Zapomniała téż całkiem gniewu na Julię i rzekła łagodnie:

„Nie wychódź już teraz i uważaj, jakby co upadło. Chodź!“ I poważnym krokiem szła do salonu, a za nią smutna ofiara obciążona złotem. W bawialnych pokojach podwoje poroztwierane, posadzki zasłane kobiercami, pokrowce, wazony, zwierciadła poodsłaniane, w świecznikach u sufitów założone świece; jedném słowem widać, że wszystko czeka na przyjęcie licznych gości. Kilku mężczyzn już tu było, między nimi i Teodor, który prowadził rozmowę z jasnowłosym młodzieńcem, nazywając go poufale Henrykiem. Spostrzegłszy Teodor śmieszny strój Julii i jéj zakłopotanie, zmarszczył brwi i lekki rumieniec gniewu zapłonił mu lica, znać podchwycił tam myśl matki. Ale to oburzenie było przelotne, bo zwyczajny uśmiech wrócił wnet na usta. Lecz Henryk dostrzegł téj gry jego twarzy i ośmielony rzekł do niego litośnie:

„Biedne stworzenie! żeby ją twoja matka przynajmniéj z połowy tych więzów rozkuła.“ Teodor zmieszał się, iż tak łatwo odgadnięto myśl jego i chcąc ukryć swoje zakłopotanie, odparł od niechcenia: „Co to szkodzi! Każdy się domyśli, że to nie jéj własne“ — i unikając dalszéj rozmowy, pobiegł za matką, aby z nią zrobić przegląd pokoi, czy wszystko na swojém miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№ 171.

Od Pułtuska i Ostrołęki

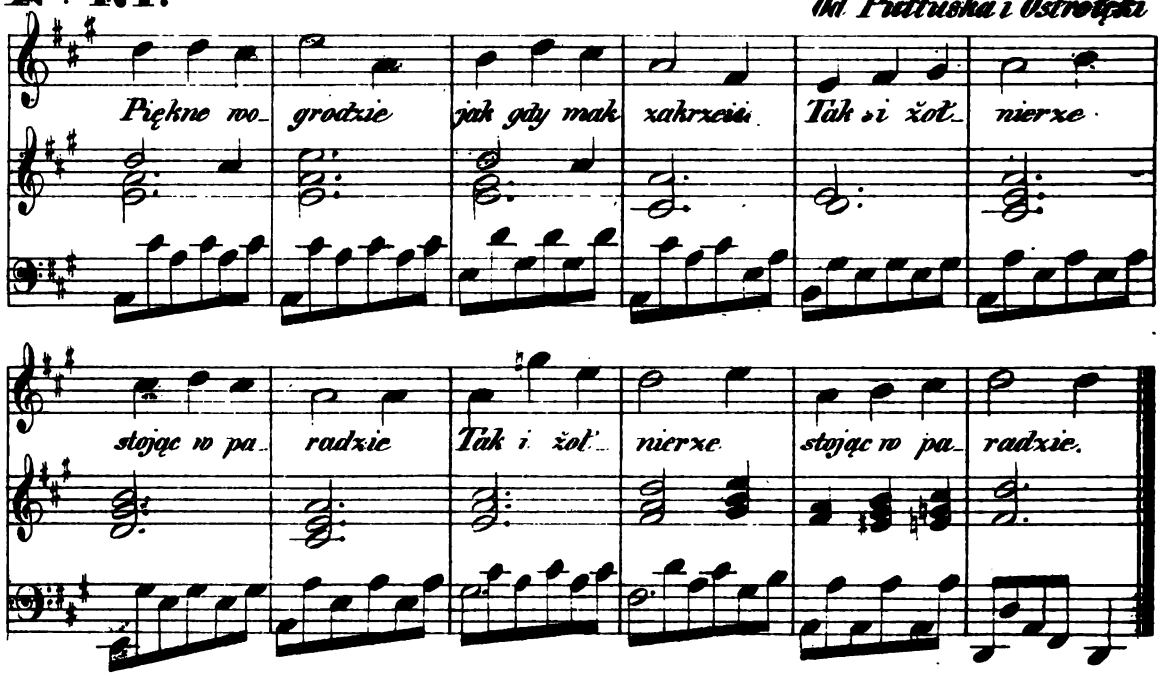

Text do Nru. *171.*

Pięknie w ogrodzie, jak gdy mak zakrzcie,
Tak i żołnierze stojąc w paradzie,
Boć to żołnierze nie jednéj matki,
Jak się ubiorą, jak w polu kwiatki,
Jak maszerują, tym się dziwują,
I tam im radzi, gdzie nie wstępują.

(Porównać text z J. J. Lipińskiego. P. l. W. str. 37.)

Przy końcu drugiego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ uprasza Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na pierwsze półrocze roku czternastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.

***Ernest Günther**, wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 48. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 28. Listopada 1846.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai (ciąg dalszy). — Uboga kusynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Ciąg dalszy.)

W 3cim dniu naszéj podróży maszerowaliśmy z początku to po małych płaszczyznach piaszczystych, to po ciasnych dolinach, otoczonych górami z piaskowych kamieni, i zatrzymując się nieco przy czytaniu hieroglificznego, greckiego i kufickiego pisma, na skałach wyrytego, jechaliśmy daléj obok staréj stacyi. Około południa zamieniły się żółte dotąd góry z piaskowego kamienia na krwawo-czerwone, i wkrótce po téj przemianie można było widzieć w miejscu kamienia piaskowego plutoniczne masy kamieni, które już wyższe tworzą góry i odarte gdzie niegdzie szychty piaskowego kamienia na grzbiecie swoim noszą. Przechodząc przez jednę z tych dolin, opasaną takiemi czarnemi górami, natrafiliśmy na szeroką, głęboką i dobrze wymurowaną studnię, z któréj dopiero po przebyciu 135 schodów wody gorzkiéj dostać można było; około téjże leżały dwa grubociosane z kamienia sarkofagi. W pół godziny przybyliśmy do pierwszego celu naszéj podróży w Wadi-Hammamat — gołębia dolina, tak nazwana dla tego, że się w skałach około niéj znajdujących wiele gołębi gnieździ. Rozłożono obóz i rozbito namiot w jaskini, co się pierwszy i ostatni raz w ciągu naszéj podróży wydarzyło, szczególniéj dla tego, że podróżując już rok 3ci pod tym klimatem, zupełnieśmy się do niego przyzwyczaili; było nam zresztą miléj odpoczywać pod zawsze czystém lazurowém niebem, i patrzeć na tysiące gwiazd z ich błyszczącémi, różnokolorowémi promieniami, jakich na północy wcale nie mamy. Cztery dni zabawiliśmy się w tém miejscu, spędzając czas na kopijowaniu napisów w skałach wyrytych, których było wielkie mnóstwo. Albowiem oprócz hieroglificznych znajdują się również greckie napisy, jako téż i arabskie; w ogóle było ich przeszło 100; są one z wielką pracą w tych gładkich czarnych skałach wykute i bardzo znaczne, gdyż się biało wydają. Wymieniają one nam 42 egipskich rządzców, którzy tu ztąd kamienie sprowadzali do wystawiania rozmaitych monumentów. Od 2500 lat przed naszą rachubą aż do cesarza Domicyana obrabiano te skały, a jednak żadnego uszczerbku w tym pięknym kamieniu dostrzedz nie można. Do téj ciężkiéj roboty zapędzano wielkich zbrodniarzy, jak Herodot opowiada, którzy tutaj dość znaczną utworzyli kolonią; jeszcze po dziś dzień można gdzie niegdzie w téj dolinie napotkać na ich dzikie pomieszkania, w skałach wyrobione. W Wadi-Fanachîr — przedłużeniu Wadi-Hammamatu — widać wśród ruin kolonii również ruiny małéj świątyni Euergetesa I. O dwie godziny podróży ztąd na wschód znajduje się

przez cały rok pomiędzy skałami dobra woda, którą zowią *Bir es Sid.*

W wieczór przed wyjazdem naszym z Hammamat otruliśmy się przy pożywaniu potrawy zaprawionéj z grünszpanem; w skutku tego napadła nas w nocy bezsenność, gorączka i wielkie rznięcie. Resztki téj potrawy zajadali Arabowie na drugi dzień z najlepszym apetytem, i co nas mocno dziwiło, bez żadnych złych skutków. Podobne żołądki jużeśmy dawniéj mieli sposobność poznać, albowiem udzielając jakiemu Egipcyaninowi, albo Nubijczykowi, lekarstwa, trzeba było wziąć podwójną dozis, w przeciwnym razie lekarstwo żadnego nań nie wywarło skutku. Pomimo naszéj choroby, siedzieliśmy na wielbłądach już o godzinie 7. rano 13. Marca i wyruszyliśmy z Hammamat. Zszedłszy z traktu do Kzeir prowadzącego, zwróciliśmy pochód nasz na północ w Wadi-Alla, ażeby przybyć w prostym kierunku na drogę Gebel-Fatîrech, na któréj dotąd żaden jeszcze Europejczyk nie postał. Uderzyła nas wegetacya w dolinach, któreśmy przebywali, napełnionych zielonemi ziołami, krzakami i drzewami, i mnóstwem rumianku, który chciwie nasze wielbłądy pożerały. Zastanowiło nas również szare zwierzę, wielkości kota, nazywane od Arabów Uaber, które się pięło po skałach; byłto Hyrax capiensis, albo Syriacus, jak się późniéj dowiedziałem. Góry w całym naszym widokręgu pokazywały nam się zawsze w najrozmaitszych kolorach i mięszaninach; prawie wszystkie były plutoniczne. Przy Gebâl — liczba mnoga od Gebel — Hamamat przenocowaliśmy.

Nazajutrz przed południem natrafiliśmy na zwaliska staréj osady, któréj mieszkańce zapewne w pobliżu kruszec kopali. Pełno śladów, wiodących z téjże osady, ginię wreście w rozmaitych kierunkach w górach. Jeden z nich stykał się z naszym traktem i prowadził po półgodzinnéj podróży w lewo od Gebel-Djuch, stercząc wyżéj jak 1000 stóp nad wielką płaszczyzną. Jeszcze około wieczora przedstawił się oczom naszym Gebel-Fatîrech, a w trzecim dniu osiągnęliśmy tę imponującą, wysoką górę, któréj wierzchołek w obłokach się gubi; jéj wysokość wynosi 2000 stóp. Rzymianie nazwali ją Mons Claudianus, i brali z niéj wiele białego granitu, który gdzie niegdzie był nakrapiany, że tak powiem, czarnym łupkiem. Leżały tamże 4 kolumny i 4 ołtarze okrągłe, które prawie zupełnie były wykończone; w jednym z nich jest wyryty grecki napis, który oprócz imienia własnego rok 22 wymienia; najdłuższy z tych filarów wynosi 30' stóp i ma 3 stopy i 4 reńskie cale w średnicy. W pobliskości tych skał granitowych leży ważne jakieś miejsce w ruinach. Zatrzymawszy się pół dnia w téj okolicy, wyruszyliśmy około wieczora daléj na północ ku Gebel-Dochân — dymiąca góra — byłto nasz wtóry cel, któryśmy z wielką biedą i nie bez niebezpieczeństwa osiągnąć mieli. Czwarty dzień pochodu z Hammamat był 16. Marca, niedziela; o 6¼ rano opuściwszy nasz obóz, jechaliśmy przez 3 kwadranse na równinie, która coraz wyżéj się wznosząc, nagle okropnie się kończyła; byłato spadzista przepaść około 500 stóp. Poznaliśmy, żeśmy zbłądzili. Cóż było począć? albo się wrócić o pół dnia drogi, albo z narażeniem życia zwierząt z góry się spuścić. Zgodzono się na ostatnie przedsięwzięcie. Uwolniono wielbłądy od ciężkich brzemion i sprowadzano je pojedyńczo; rzeczy poznosili ludzie, których do tak ciężkiéj pracy małémi pieniężnémi podarkami zachęcano. Bez straty i wielkiéj szkody wykonaliśmy wreście to tak śmiałe przedsięwzięcie i wypocząwszy 5 godzin, puściliśmy się w dalszą podróż. Professor Lepsius, tłumacz Józef, murzyn Gaben-Mariam i ja wyjechaliśmy, jak zwykle, z przewodnikiem Szech-Selîm naprzód, nic nie przewidując, ażebyśmy najbliższy nocleg wprzód osiągnęli, a tém samém prędzéj spocząć mogli. Jadąc ciągle przez 3 godziny dość szybko, odkryliśmy z wielką radością w północno-wschodniéj stronie Czerwone morze i na półwyspie górę Sinai, nazywaną od przewodnika naszego Gebel-Tur. Wychodząca mgła z morza rozciągnęła się przed nami i zasłaniała nam to piękne pasmo gór tak, żeśmy je tylko słabo rozpoznawać mogli. W krótce potém natrafiliśmy z wielkiém zadziwieniem na 3 zamieszkałe chaty, wybudowane z tyczek, na których słomiane matty wisiały. Wypytywaliśmy się kobiet i dzieci, któreśmy tylko spotkali, o stare budowy. Niechętnie w rozmowę się wdając, opowiedziały nam wreście, że się takowe znajdują w pobliżu; poczém wyprosiliśmy od jednéj kobiety jéj dziesięcioletniego chłopczyka za przewodnika, co nam nie mało robiło trudności, któreśmy jednakże za pomocą pieniędzy usunęli. Ledwo na kilka kroków oddaliliśmy się od chat,

aż matka, nie ufając nam, przybiegła do nas i towarzyszyła nam z swém dzieckiem. W pół godziny doszliśmy, zmierzając ku Gebel-Dochân, do rzymskiéj cytadeli z skalistego granitu, która mocno zbudowana tworzyła czworobok, mający 70 kroków długości i 60 kroków szerokości. Wewnątrz była podzieloną na rozmaite przestrzenie i ukrywała zasypaną studnię. Kilka kroków daléj znajduje się tak nazwana Akropolis. Jestto na osobności stojąca skała, mająca do 40 stóp wysokości, która jest mocnym murem otoczona.

Lecz że miejsce to nie było jeszcze celem dzisiejszéj naszéj podróży, przeto opuściwszy matkę z jéj synem około 5téj godziny, jechaliśmy daléj w kierunku północnym, sądząc, że źródło, do któregośmy śpieszyli, wkrótce osiągniemy. Postępowaliśmy więc za przewodnikiem z ufnością coraz głębiéj w góry. Zachwycający nader obraz widzieliśmy dzisiaj w zachodzącém słońcu, rzucającém jeszcze na ziemię swe błyszczące i czarujące światło, do którego piękności się nie mało przyczyniła starożytna góra, podobna gotyckiemu tumowi z wielu piramidami i wieżyczkami. Równocześnie, jak się różanne światło za góry chyliło, które teraz ciemno-niebieską mgłą się okryły, znikł także kwadrans trwający zmrok i otoczył nas ciemną nocą, która na dzisiaj wcale nam nie była pożądaną, zwłaszcza, że droga stawała się coraz niepewniejszą i uciążliwszą. W prawdzie przyświecał nam księżyc, lecz bardzo często zasłaniały go wysokie góry; wreście znikł nam zupełnie z oczu. Pomimo to, chcąc koniecznie dostać się do źródła, jechaliśmy daléj przez wąwoz utworzony z wielkich prostopadłych skał granitowych, który był tylko 5 kroków szeroki; ścieżka tak była głazem zawalona, iż dość często musieliśmy z wielbłądów schodzić, aby je prowadzić; a co najgorsza, że się ten okropny wąwóz skończył, a źródła widać nie było. Zniechęceni wracaliśmy znów tą samą uciążliwą drogą; kierując się potém podług gwiazd, daléj na północ ujrzeliśmy dolinę na lewo leżącą, do którejśmy za namową naszego przewodnika, który ją uważał w styczności z naszém źródłem, wielbłądy skierowali. Lecz i dolina się skończyła, a źródła nie było. Wszystkie okropności zbłądzenia stawiły nam się przed oczy, bo sam nawet przewodnik z tą okolicą nie był obeznany. Po krótkiéj naradzie wróciliśmy się znowu i rozłożyliśmy obóz już po godzinie 9téj przy wchodzie do téj doliny, gdzież bowiem mieliśmy szukać źródła lub karawany? Nie mając ani chleba, ani wody, ażeby głód i pragnienie zaspokoić; żadnego przykrycia, aby się zabezpieczyć przed chłodną nocą; położyliśmy się na piasku, i myśląc, że dzień jutrzejszy nas ocali, wkrótce zasnęliśmy. Lecz nie bardzo wzmocnieni obudziliśmy się, a wsiadłszy na wielbłądy, opuściliśmy ze świtem nasz obóz, kierując się ku północy. Jadąc po górach i dolinach, napotkaliśmy starą budowę, przy któréj się wcale nie zatrzymując, zjechaliśmy w lewo w piękną wielką dolinę, skierowaliśmy się potém około rzymskiéj stacyi w prawo, i wyjechawszy z téj wielkiéj doliny, którąby nas za daleko na południe zawiodła, przebyliśmy małą, kamienistą dolinę, prowadzącą na szczyt góry, po którejśmy prowadząc nasze wielbłądy powoli i nie bez mozołu, w inną dolinę zeszli. W celu naradzenia się, co daléj począć, stanęliśmy. Przewodnik rozumiał, że woda musi się gdzie w bliskości znajdować; chciał zatém pieszo iść jéj szukać i najdaléj w godzinę powrócić. Zgodziliśmy się na to, więc się oddalił o godzinie 9téj. Lecz godzina upłynęła, a przewodnika widać nie było; przeszła druga i trzecia, a on nie powracał. Położenie nasze było okropném. Słońce rzucając swe ogniste promienie prostopadle, paliło nas, skały nie dawały już żadnego cienia, ale za to więcéj gorąca. Ztąd pragnienie coraz więcéj się wzmagało, a nie mieliśmy żadnego widoku, ażeby je zaspokoić. Rozmyślając wiele, coby daléj począć, czy oczekiwać powrotu przewodnika, czy też starać się wynaleść te skały, któreśmy dzień wprzód odwiedzili, co było niebezpieczném i prawie niepodobném do wykonania, zwłaszcza, że nikt z nas dla rozmaitości miejsc, któreśmy przebywali, do nich trafić się nie podejmował; pomimo to zgodziliśmy się na rzecz ostatnią. Natychmiast zwróciliśmy się, dawszy wprzódy znak przewodnikowi kilka wystrzałami z flint, na które jednakże nie przybył. Widząc się znów w wielkiéj dolinie, nabraliśmy wszyscy otuchy, ciesząc się tém, że przecie nas tutaj prędzéj kto z naszéj karawany odszuka, jak w tym ciasnym wąwozie, gdzieśmy 3 godziny zostawali; i nie zawiodła nas nadzieja. Ujechawszy ledwo godzinę drogi, spostrzegliśmy dwóch ludzi, pieszo jednego,

drogiego na wielbłądzie, których zaraz poznaliśmy. Jak miłe było to spotkanie się dla nas, łatwo sobie każdy wystawi; nie tylko nie potrzebowaliśmy mieć obawy o dalsze błądzenie, ale nadto zaspokoiliśmy wodą i chlebami, które nam podano, nasze pragnienie i głód. Arab siedzący na wielbłądzie odjechał spiesznie od nas, ażeby uwiadomić swych towarzyszy o spotkaniu się naszém. Postępując za nim powoli, byliśmy już w pół godziny przy obozie naszéj karawany, zkąd nas głośna radość sług już z daleka dochodziła. Radość była wielka, całowano się i ściskano bez przestanku. Całą przeszłą noc czuwali oni, przebiegli w około i w szerz całą okolicę, zapalili na pagórkach ogień i powystrzelali wszystek proch. Że obóz jeszcze o dwie godziny był oddalony od źródła, więc wysłano do niego kilku ludzi, ażeby przywieźli wody. Z powrotem przynieśli również naszego przewodnika Szech-Selima na w pół nieżywego, którego znaleźli leżącego przy źródle bez znaków życia. Instynkt jego zaprowadził go szczęśliwie po kilku godzinach podróży do szukanéj przezeń wody, której z chciwością zanadto się napił. Lepsius złorzeczył mu bardzo za jego tak długą nieobecność i odebrał mu godność przewodnika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

Nie długo zaczęły też pojazdy przed dom zachodzić, a hrabiostwo neofici z całą majestatycznością, jak na państwo tyla kosztowności przystało, przyjmowali gości: pokoje napełniały się coraz bardziéj matkami w atłasach i piórach, córkami w lekkich przezroczystych sukniach, i elegantami, wijącymi się wśród niewieściego grona. Julia za wejściem do salonu wcisnęła się między serwantkę i ścianę, radaby tam siedzieć i skryć się przed wzrokiem wszystkich, lecz jakże to mogła zrobić bez okrycia się śmiesznością? Trzeba było wyjść i mięść wśród koła kobiet. Tą razą zmieszanie szczęściem dla niéj było, gdyż siedząc z oczami spuszczonemi, nie widziała tych spojrzeń pół-żonieuych, pół-litośnych, zwróconych ku sobie, ani hrabiny wyrazu twarzy, jak przebiegała okiem klejnoty rozwieszone na niéj, a potém wzrokiem dumy powiodła po przytomnych.

I kiedy Julia ośmieliła się nakoniec spojrzeć w około, pierwsze wrażenie już było przeszłe i na żadnych ustach śmiechu nie dostrzegła. Lżéj się jéj na sercu zrobiło i jak mogła brała udział do wspólnéj zabawy. A bawiono się u hrabiostwa, jak na każdych wiejskich imieninach. Po śniadaniu grano w kurty i większa część gości rozmawiała francuzczyzną złą i dobrą, jaką kto umiał, najwięcéj dla tego, żeby też pokazać, że ich czegoś uczono. Po długim zaś obiedzie zabrano się do tańców, a wtedy hrabina wywołała Julię i rozebrała ze wszystkich klejnotów. Szczęśliwa, lekka, wróciła dziewczyna wśród tańczących i mimowolnie szukała wzrokiem Teodora. On stał za krzesłem swojéj tancerki, prowadząc z nią rozmowę. Mimo tego spostrzegł wchodzącą Julię; ta szczęśliwa z rzuconych pętów, wdzięczna, że ją spostrzegł, uśmiechnęła się do niego — a on zmarszczył czoło i gniewnie ku niéj spojrzał, niby pytając: skądże ta pewność? Julii w głowie się zakręciło, nogi pod nią zaczęły się uginać, zebrała ostatek sił i jak zawsze wybiegła z salonu, kiedy serce zbytnią wezbrało boleścią. W pośród wijących się na wszystkie strony sług, spiesznie się przemknęła i biegła ku kamiennéj ławeczce w szpalerze z leszczyny. Tą razą nie uklękła, nie podniosła oczu w niebo, ale upadła na zimne kamienie i załamawszy dłonie, silnie je do skroni przycisnęła. I żadna łza nie popłynęła po licach, żadne westchnienie nie wypadło z piersi, ale leżała nieruchoma. Wiatr jesienny szumiał nad jéj głową i uszchłemi liśćmi obsypał jasne włosy, a przelatujące gęste chmury zlekka wilgiły lica i odkryte ręce; — ona tego wszystkiego nie czuła, bo przed jéj duszą stał Teodor, odpowiadający gniewem i wzgardą na jéj uśmiech. Księżyc wyjrzał z po za ciemnych chmur, na chwilę jasném światłem oblał wszystkie przedmioty, i znowu je w ciemności pogrążył — lecz ona ciągle nieporuszona, nie oderwała załamanych dłoni od czoła, nie spojrzała w około i nie widziała Teodora, który przy niéj stanął i wpatrywał się w nią wzrokiem obserwatora — lekarza. Nakoniec ujął jéj dłonie — ona się podniosła, krzyknęła i wyrwała swą rękę z przerażeniem. „Julio, ty mię nie kochasz — ty mnie się lękasz," — wy-

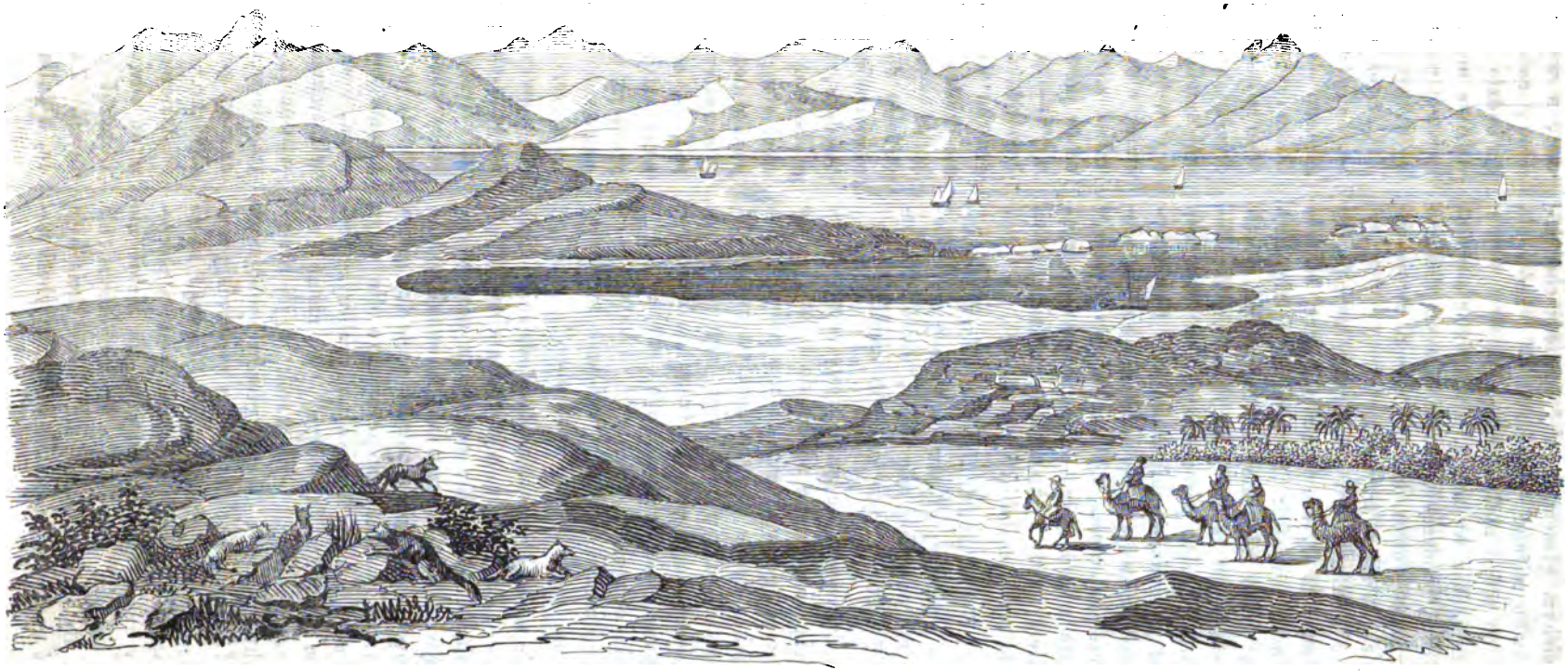

Morxe cxernone.

rzekł cichym głosem. „Ah! powiedz choć jedno słówko miłości,“ kończył — i znów się zbliżył do niéj i ujął za rękę.

„Pan żądasz wyznania, a wstydzisz się mojéj miłości,“ odrzekła przytłumionym, ledwie dosłyszanym głosem, usiłując usunąć swoją rękę, którą on silnie trzymał.

Znać Teodora nerwy zadrgnęły na chwilkę uczuciem, a to drzenie przeszło i serce, bo mówił głosem czułości: „O wysłuchaj mię pierwéj, a potém odepchnij — nienawidź, jeżeli twoje serce jest zdolne kogo nienawidzić. Julio! mój Aniele! przedewszystkiem choć raz w życiu powiedz, że mię kochasz.“ Dziewczyna wyrwała swoję rękę i cofnęła się od niego z przelęknieniem. „Nie szydź pan ze mnie,“ zawołała z godnością — „mężczyzna szanujący kobiety wtedy tylko żąda wyznania miłości, jeżeli ją myśli zaślubić.“

„Ja z ciebie szydzić Julio?“ mówił tym samym co i pierwéj głosem. „O chcę cię zaślubić — nie odpychaj mię tylko, nie uciekaj odemnie“ i złożył ręce jakby do modlitwy.

Nic dziwnego, że Julii proste serce, ślepe czystością anioła, nie zdolne do fałszu — nie przeczuwało go w drugich, a tém mniéj w tym, który jak gwiazda nowym blaskiem opromienił jéj duszę. Rozrzewniona więc jego słowy do głębi duszy, wyrzekła ze łzami: „Nie odpycham pana, nie uciekam przed nim — jabym go miała odpychać? uciekać?“ I zamilkła — potém załamawszy dłonie żałośnie kończyła: „Ale mnie pana kochać nie wolno.“

„Nie wolno?“ powtórzył młodzieniec zdziwiony. — „Pan bogaty, a ja uboga sierota.“ — „Nie bluźń! nie bluźń; czy twoje uczucie nie jest największém bogactwem dla mnie?“ I ujął znowu jéj dłonie i patrzał na te łzy szczerze płynące z serca przepełnionego dla niego uczuciem. A kiedy księżyc padł srebrnym promieniem na twarz dziewczyny, już zimną, refleksyjną rozkoszą, topił wzrok w jéj licach. I po chwili mówił do niéj głosem spokojnym: „Julio! ty mnie kochasz, te łzy zapewniają wyraźniéj, niż wszystkie słowa. Słuchaj, nasze przywiązanie musi być jeszcze tajemnicą pokryte. Ty znasz moich rodziców; dla siebie nie lękam się ich gniewu — bo czegóżbym nie zniósł dla twéj miłości: ale ciebie chciałbym otoczyć spokojem, dostatkiem, przepychem nawet, a wyznając teraz moje przywiązanie ku tobie, cofnęliby dany mi majątek. Niezadługo będzie on moją istotną własnością, a prawdziwe uczucie, osłonięte tajemnicą, czyż traci na swéj potędze?“ I czule przycisnął jéj rękę do ust.

„Jesteś więc moją narzeczoną w obliczu nieba, Julio?“ — „Jestem!“ wyrzekła uroczystym głosem. — „O będziesz nią i w obliczu ziemi.“ Dziewczyna w milczeniu uścisnęła trzymaną dłoń miłośnie, a zziębła i przejęta wzruszeniem, drżała jak cień na powierzchni wody. „Drżysz, mój aniele! Wracaj spiesznie do pokoju, szanuj swoje zdrowie, jeżeli nie dla siebie, to dla mnie; ale jeszcze mi przyrzecz, że odtąd będziesz mię nazywała Teodorem, wszak dusze nasze już zaślubione, potrzeba nam tylko formy.“ — „Do zobaczenia więc drogi Teodorze,“ i puściła dłoń jego i spiesznie jak strzała biegła ku dworowi. Rozrzewniona, zmięszana, zmęczona, wbiegła machinalnie do swego pokoiku — odpoczęła i bez poprawienia włosów wróciła do salonu. Ledwie spojrzała na zimne, uśmiechające twarze, ledwie spostrzegła już Teodora, który tańczył i prowadził rozmowę z obojętną grzecznością, a już cała rzeczywistość stanęła przed nią, i choć dusza wrzała jeszcze uczuciem, ale powierzchowność owiana tą atmosferą, zastygła, i była jak wszystkie inne. Jéj oczy spotkały wzrok Teodora, nie patrzał na nią groźnie, owszem jakiś uśmiech przebiegł na ustach, lecz uczucie do szczętu zagasło w jego licach, i upadło niby lodem na jéj serce. Cała pod tém wrażeniem machinalnie wpatrywała się w postaci, co w lotnych kręgach obiegały salon, kiedy przed nią stanął Henryk i zaprosił do walca. Zadrgnęła, jakby nagle ze snu przebudzona; on się uśmiechnął, podał ramię i puścili się w około. Po przetańczeniu postawił ją w próżnéj framudze okna, i wpatrując się w nią chwilkę, przemówił cichym głosem: „Pani ma suchy liść we włosach. Pani zziębła, drżąca — jak można tak nieszanować swego zdrowia i w zimny wieczór z gorącego salonu wychodzić na przechadzkę.“

Dziewczyna stanęła cała w płomieniach — a on odwrócił głowę, jakby tego nie dojrzał, i zaczął rozmowę o rzeczach zupełnie obojętnych. Zabawa długo w noc się przeciągnęła, a Julia choć Bóg wie z jaką walką w ser-

cu, lecz z powierzchownością obojętną, dotrwała do końca.

IV.

Drugiego dnia Teodor z Henrykiem siedzieli u stolika w kawalerskim saloniku piérwszego, i pijąc kawę, z cygarami w ustach, rozmawiali o wczorajszéj zabawie. Henryk skończył cygaro, wyjął drugie z pudełka, przyłożył do świecy palącéj się, i cały niby tém zajęty, mówił od niechcenia: „Teodorze! Ty kochasz tę dziewczynę?“

„Co za dziewczynę?“ zapytał z ciekawością. — „Juliję! Tyś wczoraj miał z nią schadzkę.“ — „To mię śmieszysz,“ odparł żartobliwie. „I cóż za występek mieć schadzkę z młodą dziewczyną, chyba ten, że ta, o którą mię obwiniasz, nie dosyć ładna.“ — Henryk dymiące cygaro wyjął z ust i z powagą spojrzał na drugiego, mówiąc: „Trzy lata, jakeśmy się poznali; ty mię znasz, ale ja widzę, że cię wcale nie znam. Już oddawna zbieram ci się powiedzieć, że wiele rzeczy u ciebie nie umiem sobie wytłumaczyć.....“

„Naprzykład?“ przerwał mu Teodor z lekkością, wypuszczając z ust kłęb dymu. — „Choć i ta twoja miłość z Juliją, spóźniła jakąś intrygę, jakąś tajemnicę.“ — „Aleś dziwny! zkądże miłość, zkądże do tego przychodzisz?“ i zaczął się śmiać. — „Więc nie miałeś z nią wczoraj schadzki?“ — „No i cóż? Ale dla czego ma być zaraz miłość?“ — „Teodorze! mówmy seryo! Ją zwodzić byłoby grzéchem nie do darowania, bo ona uboga, z łaski przyjęta w dom twojéj matki, a do tego z sercem czułém i płomiennem. Wykształcenie, które nabyła pokątném czytaniem bez wyboru, nie nadało jéj siły ducha, ale rozbudziło tylko fantazyą i tkliwość tém mocniéj, że żyje wśród wszystkich jakby zapomnianą. Za lada okazaną więc przychylność jest wdzięczną, wylaną bez granic i najdrobniejsze uczucie, odpłacić gotowa najgorętszą miłością.“

„Tak pięknie wystawiasz Juliję, że aż bierze ochota być od niéj kochanym“ — odparł z lekkością. — „Ale od kiedy zacząłeś gardzić ty miłością kobiet?“ — „Zadną miłością nie gardzę, bo każda dla mnie jest świętą. Lecz myślę, że mię znasz i wiesz, iżbym się nigdy nie zniżył do kłamania uczuć.“ Te ostatnie słowa wymówił z przyciskiem, a Teodor spoglądał na niego zdziwiony tą niezwykłą cierpkością. — Henryk zamilkł, spuścił oczy, a po chwili już mówił z łagodnością: „Nie gniewaj się Teodorze, że stawam dzisiaj w stósunku do ciebie, jak guwerner do ucznia, choćby pewnie właściwiéj było, gdybyśmy role zmienili. Ale zabijać biédną istotę moralnie, to niegodne ciebie.“ — „Henryku! cóż ty wygadujesz! czy zapominasz, że ona jest pod opieką mojéj matki.“

„Przez zabicie kobiety moralne, nie rozumiem koniecznie wydarcia jéj szacunku saméj siebie; — zabić kobietę moralnie można, kiedy miłość, w którą wierzyła jak w samego Boga, była kłamstwem. O wiele! wiele musi przeżyć, nim znów uwierzy co prawdą, co fałszem.“ — „Kiedy tak tę rzecz bierzesz na seryo, więc ci się wyspowiadam z moich grzechów,“ rzekł Teodor z uśmiechem. „Wysłuchaj mię, a potém daj rozgrzeszenie lub radę. Łajesz mnie, że zwodzę Julię! czy to jest uwodzić, jeżeli lubiąc jéj towarzystwo, nie unikam go; — małe tajemnice, które mi powierza, słucham bez znudzenia, z pobłażaniem; — wieczorem, zeszedłszy się przypadkiem, popatrzymy w gwiaździste niebo przez chwilkę, jak to wczoraj było. Wierz mi, to kształci młodą dziewczynę, to nadaję jakąś swobodę jéj myślom i uczuciom — ale nie widzę jeszcze, żeby to miało mieć koniec tak smutny, Werterowski, jak ty powiadasz. A zresztą, wszak miłość sama w sobie ma już być szczęściem, choćby przedmiot nie zasługiwał na nią, choćby się kochać i bez wzajemności.“ I uśmiechnął się tym ironicznym uśmiechem, co to nie wiedzieć, czy to jest wesołością, smutkiem, czy goryczą.

Henryk zniecierpliwiony tą ironią, odwrócił oczy, jakby tych słów nie słyszał, wyrazu twarzy nie widział — zamyślił się i chmura goryczy przyćmiła jego gładkie czoło. Teodor chwilę się w niego badawczo wpatrywał, a z tego szczerego i otwartego oblicza snadnie odgadł, co się w sercu działo. I znać nie chciał zatracić w jego przekonaniu dobrego mniemania o sobie, bo mówił bez uśmiechu, i jakby chciał się usprawiedliwić z téj ironii. „Już téż po dzisiejszéj rozmowie nie będziesz mógł

powiedzieć, że mię nie znasz, bo doprawdy więcéj ci powiem, niżbym chciał wyznać sam przed sobą. Powiem, że to życie jednostajne u moich rodziców nudziło mię, a Julia swojém towarzystwem nie jednę chwilkę nudów rozegnała. Choć nie ładna, bez blasku powierzchownego, ale lubię jéj twarz bladą, spokojną, jakby rozkwitającą dopiéro w wdzięki pod okiem patrzącego — a jéj postępowanie proste, otwarte, bez żadnéj kokieteryi, tchnie jakąś świeżością. Nasze towarzystwo jest nam wzajemnie miłém, ale nasz stósunek nie jest jednak miłością; — widzisz więc, że Julii nie bałamucę. Lecz dość już tego, wiesz, coś chciał wiedzieć," kończył jakby znudzony tém wszystkiém. I podniósł się, zrzucając z siebie aksamitny szlafrok. „Weźmy flintę i przejdźmy się, bo ładnie na dworze." Nie długo, opięci w ciepłe surduty, z fuzyami na ramieniu, szli przez pole. Była to godzina, kiedy po mglistym i zimnym ranku, słońce choć zbladłe, ale jasne, wisiało na niebie, i oświetlało ziemię melancholicznym blaskiem jesieni, która jakby spłakana łzami świeciła kroplami stopniałego śrenu. Pola puste ledwie się zielenią drobną oziminą, a wśród niéj dla myśliwego oka nie jeden kamień zdawał się zwierzyną przysiadłą do zagonu, a nie jednemu przelękłemu zającowi udało się znów, że go pominięto jak kamień. Nasi młodzieńcy chodzili od godziny milczący, Teodor puścił Henryka kilkanaście kroków przed sobą, który na wszystkie strony upatrywał zwierzyny, sam zaś zdawał się wcale nie pamiętać, że jest na polowaniu, a chmury cierpkości i nieukontentowania wisiały na jego czole, kiedy na raz Henryk wołał spiesznie: „kot! kot!" Teodor ujął fuzyą — strzelił, ale się tylko ziemia zakurzyła, a przelęknione zwierzę zmykało ku lasowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nº 172.

Pomyków pod Przysuchą.

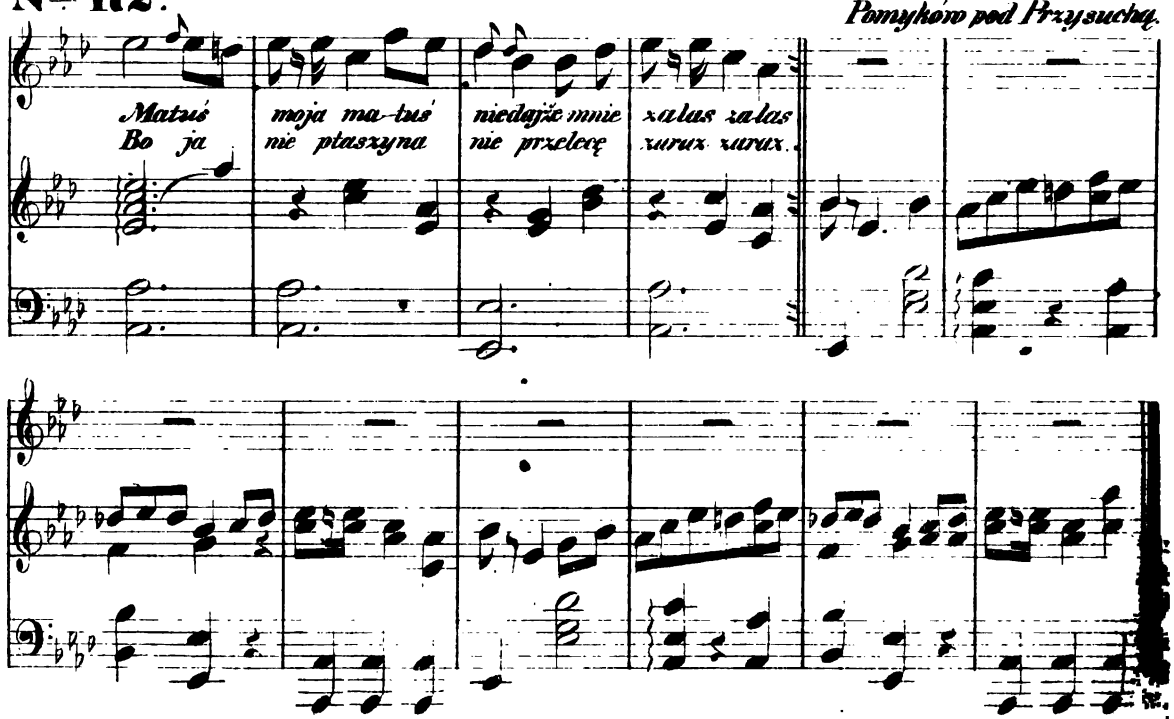

Text do *Nru.* 172.

Matuś moja, matuś, nie dajże mnie za las, za las,
Bo ja nie ptaszyna, nie przelecę zaraz, zaraz;
Matuś moja, matuś, nie daj mnie za wodę, za wodę,
Bo ja nie rybeńka, przepłynąć nie mogę, nie mogę.

(*Wacł. z Oleska*, P. l. G. str. 124.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 49. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 5. Grudnia 1846.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai (ciąg dalszy). — Uboga kuzynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

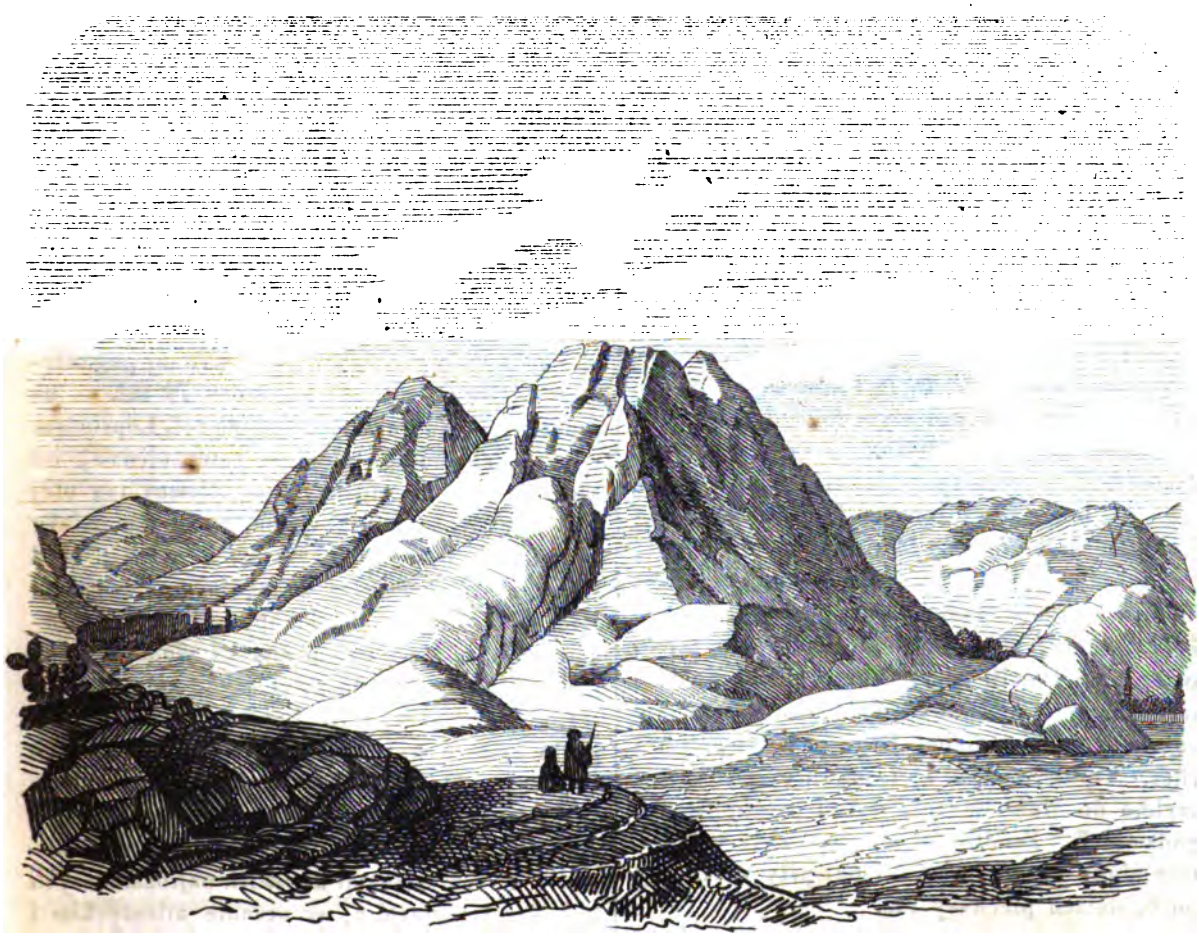

Góra Sinai,
podług podania Dra Robinsona.

z ukrytą Gebel-Muza; po lewéj zaś stronie wznosi się Gebel ed Der (góra klasztorna), a za klasztorem Gebel-Menaga; daléj jeszcze na prawo znajdują się dwa ogrody. Nie podobno wyrazić, jak wielki wpływ wywiera na umysł człowieka bujna zieloność drzew owocowych, i wysmukłych a posępnych i ciemno-zielonych cyprysów! Świecą one jakby w złoto oprawne szmaragdy. Z tego miejsca zapatrywałem się na górę Sinai; na téjto równinie mieli się, według professora Robinsona, Izraelici zgromadzić i odebrać z rąk Mojżesza dziesięcioro bożych przykazań. Czy ten wniosek prawdziwy — niżéj o tém pomówię. — Z tęskném a niezwykłém uczuciem, które widok okolicy sławnéj zdarzeniami biblijnemi wzbudził, pożegnaliśmy ową okolicę, dążąc ku klasztorowi. Była to piąta godzina, a jeszcze przed zachodem słońca trzeba nam było stanąć w klasztorze, aby jeszcze na dniu tym być weń przyjętym. Właśnieśmy stanęli w porę, bo o szóstéj godzinie byliśmy już przed bramami, — otoczeni mnóstwem ludu, oczekującego na rozdanie chleba przez zakonników klasztornych; — jest to prawo służące na okół klasztoru mieszkającym poddanym, za które ich wolni Arabowie nienawidzą. Przodkami ich bowiem byli ludzie, którzy za panowania cesarza Justyniana, przysłani zostali po ufundowaniu tegoż klasztoru na jego obronę i tutaj osiedli. Bylito naturalnie Chrześcianie; późniéj dopiéro stali się Mahometanami, którymi są do dziś dnia jeszcze. — List nasz przywiązaliśmy do sznuru nam spuszczonego, który potém znowu wciągniono. Po przeczytaniu listu i uznaniu go za prawdziwy — spuszczono linę z pętlicą i przez wchód na 29 stóp wyniesiony i oknu podobny, którą za pomocą windy w górę wciągniono, rzeczy nasze najprzód wciągniono. Na górze przyjął nas prior Nikodem, człowiek wysoki, stary i ponury — lecz jeszcze dość żwawy, który nas przez tłumacza — ekonoma kościoła — wypytywał, mówiąc nowo-greckim językiem; ten zaś naszemu tłumaczowi powiadał to po arabsku, który nam wszystko na język francuski tłumaczył. Prowadził nas potém prior przez kurytarze na górę, gdzie nam dał dwa pokoje. Na kurytarzu prosił nas usiąść w starożytne krzesła z poręczami, rozkazawszy przyrządzić kawy na sposób wschodni. Lecz na naszą pociechę wnet nas opuścił; byliśmy bowiem strudzeni i wcale nie usposobieni do prowadzenia nudnéj z nim rozmowy. — Natychmiast więc udaliśmy się do pokojów, gdzieśmy się na rozłożone dywany porzucili. — W tém położeniu i przekonani o naszéj samotności, oddaliśmy się myślom i wrażeniom, które nam podczas podróży w pamięci utkwiły. Przerwał nam nasze słodkie marzenia kucharz klasztorny, stara, pocieszna figurka w zakonnym ubiorze, wołając nas na wieczerzą, uniewinniając się zarazem, że nie dał mięsa na stół, gdyż właśnie post przypadał. Jak wiadomo, przypada wielkanoc u Greków, pięć tygodni późniéj, jak u nas. Wieczerza była tylko dla nas przygotowana; składała się ona z grzybka, ryżu, oliwy, z dobrego chleba i daktylowego likieru, który zakonnicy sami palą. — Naczynia były porcelanowe i szklanne; nie brakło także noży i widelców, co jest na wschodzie osobliwością. — Zajadaliśmy smacznie, bo dawno już nie mieliśmy podobnego jedzenia, wychwalając przytém klasztór, więcéj z widoków osobistych, niż dla zakonników w nim przebywających; mieliśmy już bowiem z domu złe o nich wyobrażenie. Ich lenistwo, chciwość i ciemnota wzbudzają przeciw nim odrazę. Mieszkając całe życie w owych stronach, ani tyle nie wiedzą, żeby mogli podróżnym wskazać i opisać miejscowość. Towarzyszą oni wprawdzie podróżnym w wycieczkach w okolice klasztoru, wskazując jak najdokładniéj miejsca zdarzeń biblijnych; lecz to téż jest z ich strony wszystkiem; w nagrodę zaś za podjęte podróże wymagają znacznych bardzo podarków pieniężnych. Czas całego życia prawie spędzają na ceremonialném i mało wzniosłego ducha mającém nabożeństwie, — nie robiąc żadnego prawie użytku z dobréj biblioteki, która posiada 1700 tomów, i istotnie ani wiedzą, jakie dzieła w swéj bibliotece posiadają. Jeżeli bibliotekę chce obejrzeć jaki podróżny, natenczas otwierać trzeba najprzód szczelnie i wielorako pozamykane okna i drzwi, a dopiéro można się dostać do zakurzonych ksiąg, które zresztą ani tkniętemi nie bywają. Nazajutrz w drugie święto wielkanocne oglądaliśmy klasztór wewnątrz; jestto mieszanina uliczek, zakrytych ganków, domów, sklepów, studzien i bram z pięknym w samym środku kościołem, zdumiewającym swą wewnętrzną wspaniałością, ozdobami i niezmierném bogactwem. Dwa rzędy granitowych filarów, formują trzy nawy, z których średnia

podwójną ma szerokość pobocznéj nawy. Ogromne i piękne pająki i liczne lampy wiszą u sufitu; zapalają je prawie wszystkie podczas nabożeństwa. Na ścianach i filarach wiszą starożytne malowidła olejne wraz z robotami tkackiemi. Ołtarz wchodzącemu najpierw wpada w oczy, największą na siebie zwraca uwagę przez swój przepych, który szczególniéj obrazem roboty mozaikowéj podwyższonym zostaje. Posadzka świątyni jest grubéj mozaikowéj roboty z marmuru, porfiru i kamienia „Pudding“ zwanego. Na wysokim suficie drewnianym przebijają się złote gwiazdy w zieloném polu, w którém na przemianę wyrobione ze szkła słońce i księżyc. Za ołtarzem umieszczone sanctissimum na miejscu owego krza gorejącego; wstępujący tutaj, równie jak Mojżesz zdjąć musi obuwie. Posadzka wysłana tu kosztownemi dywanami; ostatnie zaś miejsce w formie półkola za ołtarzem, pokryte jest szczerosrebrną blachą, na któréj się wznosi ołtarz w kształcie stołu; zawieszone na nim trzy lampy, goreją bezustannie. Starożytne, wielce szacowne malowidła, zdobią ten przybytek; za tą zaś przestrzenią zewnątrz kościoła pokazują jeszcze ostatnią odrośl gorejącego krzaku, która się po obok stojącym cyprysie pnie w górę. — Oprócz studni, od Mojżesza pochodzącéj, jest jeszcze inna w klasztorze, u któréj Mojżesz miał poić owce Jetrego. Z tego się pokazuje, że zakonnicy, z przyczyny wygody i bezpieczeństwa, wszystkie ważniejsze biblijne sceny i zdarzenia w swém pobliżu umieszczają. — Obiadowaliśmy, według naszego życzenia, w towarzystwie zakonników, których było obecnie oprócz priora dwudziestu czterech; czterech dopiero odebrało święcenia na księży — reszta zaś była lajkami. W sali jadalnéj był stół długi z szufladami, z których każdy zakonnik do zachowania noży, widelców, serwety i reszty jednę posiadał. Naczynia stołowe są z cyny wyrobione. — Po krótkiéj modlitwie podano każdemu talerz zupy, składającéj się, z przyczyny postu, tylko z wody i pływających po wierzchu ziół i soczewicy; — przed spożyciem téj zupy, jeszcze się raz modlono na znak dany dzwonkiem przez priora. Podczas obiadu czytał głośno zakonnik stojący na stronie książkę duchowną, a nikt nie wymówił i słowa. — Nastąpiły przy drugiém daniu: wielki groch solonym ukropem sparzony, oliwa, sałata z ziół, młode, surowe cebulki i surowa kapusta. — Po ukończeniu obiadu, modlono się znowu, odprawiając ceremonie przed ołtarzem. — Opuszczano potém pojedyńczo salę, udając się na zewnętrzny ganek na kawę; każdy wypił po dwie filiżanki, nalewając sobie z dużego dzbana; podczas tego tenże sam zakonnik czytał głośno, całując w końcu priora w rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

„O czémże też tak myślisz Teodorze?“ — „Żal ci zająca!“ odparł drugi z lekkim ironicznym uśmiechem. „Lecz ty, co masz tak litujące się serce, któreby rade cały świat objąć i przycisnąć do siebie, powinieneś się cieszyć, że jedno stworzenie więcéj po świecie hasa.“ — „Znowu ironia!“ odrzekł drugi z żywością — „i nawet nie przypuszczasz miłości dla drugich z wyparciem się siebie, tego najszczytniejszego uczucia w duszy człowieka.“ — „Bo we wszystkiem chcę miary, w niczém przesady,“ odparł z przyciskiem.

„Przesada w takiém uczuciu!“ zawołał Henryk zdziwiony. „Czyż ludzie, którym dobro osobiste nie wystarcza, mają się zasklepić w swéj skorupie, i z termometrem w ręku, mierzyć i powstrzymywać gorącość swych uczuć? Oh! gdyby połowa ludzi tak myślała, — niechby przepadła dla szczęścia drugiéj połowy.“ — „Któżby znów zaprzeczał istnienia uczuć,“ odrzekł Teodor z zimną powagą: „chyba ten, co nie pomyślał, że między sensualizmem i myślą jest łącznikiem uczucie, a ta troistość stanowi dopiéro ducha człowieka. Lecz one się powinny równoważyć, a żadna nie przechylać swéj szali. Piękne to marzenie odepchnąć świat nogą, i stanąć gdzieś na szczycie wyrojonych światów, chcieć oderwać myśl i czucie od ciała, i poić się boską rozkoszą miłości i poświęcenia. Ale ciało nasze to egoista, ono najpierw chce dla siebie pokarmu i ciepłego odzienia.“

„Teodorze! i ty się nie złąkłeś twoich własnych wyrazów!“ zawołał Henryk, stawając w miejscu. „Więc ty jak upiór ssałbyś krew drugich, gdyby to było potrzebném do twojéj exystencyi?“ — „I otóż znów komentarz do moich słów,“ odparł drugi z cierpkością. „Chcę myśli, któreby się mogły przyoblec w rzeczy-

wistość a nie marzenia.“ — „Teodorze!“ mówił Henryk uroczystym głosem, utopiwszy pełen uniesienia wzrok w obliczu drugiego: „wszak Bóg zesłał wielu świętych apostołów na ziemię, a iluż z nich nie zdjęło nigdy z piersi swoich krzyżą, tego symbolu wiary i poświęcenia? Ich życie było jakby jedną boleścią, jedném cierpieniem! A jednak takie życie, to raj prawdziwy, którego progu nie przestąpi nigdy stopa profana egoisty, ani czoło rozbłyśnie aureolą, lecz ciemne i pochylone szuka bogactw w około. Niebaczny samolub! nie pomyślał, że to tylko pył ziemski! i czémże on być może przy najdrobniejszym promyku tego wieńca, na który Bóg daje najpiękniejsze z gwiazd swoich — bo gwiazdę miłości. A choć czoła świętych apostołów już śmiercią zastygły, gwiazda ich skroni świeci wiecznie dla ziemi. Teodorze! powiedz, czy ich życie marzeniem?“ Teodor okiem obserwatora wpatrywał się w delikatne rysy mówiącego, które pokrasił żywy rumieniec, i w niebieskich oczach błyszczał ogień natchnienia; a choć z jego obojętnego wyrazu twarzy widać, że słowa Henryka nie znalazły echa w jego duszy, nie śmiał przeczyć — bo są ludzie, którzy cnoty naśladować nie chcą, lecz gdzież jest taki, coby jéj poszanowania odmówił? Chyba szatan, co przywdział ciało człowieka. Po téj rozmowie dwóch młodzieńców, zdziwi się każdy jak powiem: że ich stósunek świat nazywał przyjaźnią. Lecz tak się zdawało na pozór, i dawniéj tak nawet było. Henryk zimnego i reflexyjnego Teodora pojął jako człowieka potężnéj woli, i okrył go ideałem, który stworzył w swéj duszy. Długo — długo spoglądał na niego osłoniętego tym urokiem, ale na końcu coraz jaśniéj i wyraźniéj wpatrywał się w jego duszę. Lecz jakże mógł odepchnąć tę dłoń, która go mocno po dawnemu trzymała, a którą niegdyś ujął dobrowolnie? Brakło mu na to odwagi, i wlókł za sobą tę przyjaźń, któréj ciężar nie raz mu czoło zasępił. Teodor zaś strzegł całości tego stósunku, jak każdéj swojéj własności; bo cóż pochlebniejszego i wygodniejszego dla ludzi jego charakteru, jak ukazać światu człowieka ślachetnego, swoim przyjacielem? Po powrocie z polowania rozmowa toczyła się między nimi na pozór jak zwykle, każdemu jednak ciężał w duszy przymus, który dzisiejsza rozmowa tém silniéj rozbudziła. W kilka godzin, kiedy sobie na pożegnanie podali dłonie, i Henryk dosiadł lekkiéj bryczki, każdy z nich lżéj odetchnął.

V.

Od owego wieczora, w którym to nasi kochankowie tak uroczyście wyznali sobie swą miłość, Teodor jeszcze częściéj odwiedzał dom rodziców, lecz swojém zimném napozór postępowaniem umiał usunąć wszelkie podejrzenie romansowéj intrygi, którą prowadził. Dopiéro jak był z Julią sam na sam, o wtedy nie szczędził zaklęć miłośnych, nie szczędził marzących projektów o przyszłém ich szczęściu. A dziewczyna z całą wiarą słuchając słów jego, czuła coraz żywsze i gwałtowniejsze uczucie w duszy. — Tak płynęły tygodnie, miesiące, przeszła zima, nadeszły świątki, a całą rodzinę hrabiostwa zaproszono w gościnę o mil kilka. Nasi kochankowie po kilku dniach niewidzenia, tu się znów ujrzeli. Było to w sobotę przed wieczorem, gości się dużo zjechało, pełno ruchu, gwaru, a Teodor wśród tego wszystkiego siedział bardziéj znudzony i zadumany, niż zwykle. Julia raz po raz ku niemu niespokojnie spojrzała, zapytując wzrokiem: czy nie cierpiący? On ją zrozumiał, zbliżył się do niéj, zagadał kilka słów głośno, a potém szepnął: „Jutro o wschodzie słońca bądź w parku nad brzegiem jeziora.“ Zmieszana — zdziwiona tą propozycyą, odrzekła: „Czy podobna w obcym domu? i śpię w pokoju z twoją matką — nie, to być nie może.“ — „Więc mię nie kochasz,“ odparł zimno, i nie czekając odpowiedzi oddalił się. Znał Julię i wiedział, że pod tą słodką i spokojną powierzchownością miłość wrzała całą burzą — a któraż istota w takich chwilach nie jest zdolną popełnić najwznioślejszego szaleństwa? Spokojnie ją téż zostawił pod wrażeniem swoich ostatnich słów, i choć się do niéj już nie zbliżał, był pewien wygranéj. I tak się téż stało. Bo kiedy towarzystwo życząc sobie dobréj nocy, zabierało się do rozejścia, ona zręcznie przesunęła się koło niego i wyrzekła z cicha: „Jak chciałeś będę,“ a on skinął głową, i rzucił jéj uśmiech wdzięczności na podziękowanie! A ona cała pod urokiem tego uśmiechu szła za hrabiną, odbyła wszystkie posługi — mechanicznie uklękła do pacierza i złożyła dłonie, a po chwili dopiero łzy jakiegoś bolesnego roz-

rzewnienia popłynęły po jéj licach. Każdy też łatwo pojmie stan duszy młodéj kobiety, kiedy ją kilka godzin przedziela od kroku śmielszego, niż jéj przekonanie, a który w chwilach zimnéj rozwagi zdaje jéj się prawie niepodobnym. Ile też razy Julia w ciągu téj nocy zachwiała się w swojém postanowieniu, ile walk z sobą stoczyła, tenby tylko obliczył, ktoby widział konwulsyjne łamanie rąk, ciche łzy, i słyszał silne serca bicie. A jednak ledwie dzień zabłysnął, a jéj myśli jeszcze się błąkały gdzie zaczerpnąć wsparcia przeciw uczuciu, które ją w wir porywało, kiedy na raz zaszeleściły ciche kroki Teodora, ledwie uchem kochanki dosłyszane, drzwi ścienne z lekka warknęły, a już miłość takiego hartu jéj woli dodała, iż była zdolną znieść z obojętnością szyderstwo całego świata. I bez namysłu, tonąc cała w swém uczuciu, zarzuciła ranne odzienie, włosy ugładziła na czole, spiesznie park przebiegła, i stanęła nad jeziorem. W klombie złotych wierzb, oparty o drzewo, stał Teodor. Postąpił ku niéj i całując ją w rękę zimnemi jak lud ustami, mówił:

„Dziękuję ci Julio żeś przyszła — od kilku dni czuję jakąś tęschnotę i znudzenie, pewnie dla tego, żem nie spoglądał swobodnie w twoje lica, żem słów twoich, li dla mnie powiedzianych, nie posłyszał; patrząc więc na tę łudzącą się przyrodę, i słysząc twego serca bicie, wróci się pokój méj duszy. Przebacz mi Julio, żem cię tu dla tego zapragnął.“ I już czulszy i gorętszy pocałunek złożył na jéj ręku. Ona za całą odpowiedź uścisnęła dłoń jego, i uśmiechnęła się tak wdzięcznym, tak harmonijnym uśmiechem, że podrobiony sztuką wystarczyłby dla dziesięciu salonowych lalek. I tyle też było potęgi w tym uśmiechu, że nawet zimne Teodora serce oprzéć się mu nie zdołało, bo jego twarz obojętna przybrała wyraz czułości, ujął dziewczynę za rękę i usiedli na darni wśród drzew. Przed nimi jezioro jasne, przezroczyste jak z kryształu, a po za niém, rumieniło i złociło się niebo, strząsając zwolna mgły i chmurki, gotując się na przyjęcie wschodzącego słońca. Ptaki jak pierwsze dzwonki ranka, przelatują z białych gałązek brzóz na złote wierzby, z pośród drżących listków osiny między białe bukiety czeremchy, i ciągle dzwonią piosenki — a słońce coraz jaśniéj wysawa się na niebo, i na raz całą ognistą źrénicą spojrzało ku ziemi, otoczyło się promieńmi i odzwierciedliło w każdéj kropelce rosy. — Kwiaty z poroztwieranych kielichów wiały wonią w około, a słowik zanucił wschodzącemu słońcu najpiękniejszą z swoich pieśni. I w wiejskim kościółku za jeziorem dzwon uderzył na anioł Pański, jakby dla uzupełnienia modlitwy całéj przyrody, gdzie brakowało tylko ducha człowieczego.

Julia milcząca siedziała obok kochanka; choć żadna chmurka nie przebiegła jéj czoła, choć nic nie mąciło czystości jéj spojrzeń, jednak serce uderzało silniéj i niespokojniéj, niby liście gałęzi nad jéj głową, które zdawały się drzeć poruszone tą ranną modlitwą.

„Teodorze!“ zawołała po chwili z uniesieniem, „jeżeli umrzéć, to w téj chwili z duszą pełną miłości, bo dusza z taką miłością zastygła, wiecznie musi być w niebie.“ I znów z roskoszą spoglądała w daleką okolicę, to na jezioro, w którém słońce tarzało się w tysiąc promieni, jak gdyby kochanka i całą przyrodę chciało do siebie przytulić jednym uściskiem. Teodor nic nie odrzekł, z zadowolnieniem tylko utopił wzrok w dziewczynie, bo znał teoryę uczuć, a poezyą, która rozbrzmiała w duszy Julii, uważał jak swoje dzieło. I zimno zaczął porównywać, czém dawniéj była a czém jest teraz. Samolub! zapomniał, lub nie wiedział, że tylko Bóg w sercu miłość stwarza, a każda piękność ją rozbudza i do życia przywołuje — a cokolwiek ten płomień zatli, zawsze on odbija do Boga, bo jego źródło w nieskończoności. Po chwili znów Julia z całém uniesieniem spojrzała na kochanka, znów usta złożyła do słów miłośnych, kiedy spotkała jego twarz zimną, samolubnym uśmiechem ożywioną. Dreszcz ją przeszedł, odwróciła się, bo to spojrzenie padło jakby lodem na jéj wrzące uczucie, a ten uśmiech przeszył ją na wskróś dziwnym jakimś przestrachem. Teraz jeszcze spojrzała mu w lica, a na dnie spojrzenia dostrzegła jego duszę.

Wszak są chwile w życiu człowieka, gdzie myśli toną w uczuciu, a duszy zdaje się brakować tak mało, żeby wzleciała ku niebu!

W tych chwilach pełni ducha, kiedy spojrzymy w oblicze drugiego, niknie obsłona cielesna jak lód pod gorącém okiem słońca, i bezpośrednio zaglądamy w głąb jego serca.

Julia była w téj chwili natchnienia, i pierwszy raz zajrzała duszą w duszę kochanka — i bez wiedzy z przerażeniem odsunęła się od niego. Teodor zdziwiony, zmięszany, ujął jéj dłonie, wołając spiesznie: „Julio! ty mię nie kochasz! ty mię się lękasz, a ja cię w téj chwili silniéj niż kiedykolwiek miłuję.“ I w istocie obrażona miłość własna, obudziła w je-

go duszy jakieś uczucie, którém radby był przywołał miłość Julii dla siebie; jakieś pragnienie miłości, co w głosie błaganiem zabrzmiało. „Ach! wymów, że mię kochasz?“ i całował jéj dłonie; „powiedz, że moją będziesz na zawsze, na wieki!“ Po dziewczyny licach już łzy płynęły, zniknęło widzenie, które co dopiéro stało przed jéj duszą jak nocna mara, bo słyszała jego słowa miłości, czuła uściśnienie dłoni. „Teodorze mój drogi! choć się nie połączymy, kochać cię będę na wieki.“

Młodzieniec podniósł czoło, miłośnie spoglądał na kochankę, a potém wymówił z wyrzutem: „Cóż przeszkadza naszemu połączeniu? — Szukam tych przeszkód wszędzie i nie znajduję ich nigdzie, chyba w twojém sercu.“

„Teodorze! gniew twoich rodziców, twój majątek, oburzenie twoich blizkich — może ci zabraknie odwagi do przejścia tego wszystkiego.“ — „Jakto? więc twoja i moja miłość nie miałaby mi dać tyle siły? Julio! ty mię nie kochasz, bo mi wyrzucasz mój majątek. Czym zawinił, że go posiadam? A twoje zalety osobiste czyż nie starczą za skarby całego świata?“ I rzucił jéj jeszcze kilka spojrzeń, kilka słów, zapomniała o wszystkich przeszkodach, wiedziała tylko, że go kocha.

Dość długo przeciągała się ta rozmowa kochanków, Teodor wiele jeszcze wyrzekł zaklęć i przyrzeczeń, a na Julii licach łzy i uśmiech naprzemian błyszczały — każdą zaś zwrotkę miłośną zakończyły westchnienia i długie pocałunki na rękach dziewczyny. Tymczasem słońce nie stanęło w biegu, lecz coraz wyżéj się podnosiło, ruch i głosy ludzkie słychać było w oddali — trzeba się więc było rozstać, rozdzielić. Ale Teodor czuł taką lubość w całéj istocie, jego wyobraźnia tak silnie była uderzoną uczuciem, co jaśniało w licach Julii, że choć dusza nie rozpłomieniła się tym czystym ogniem, lecz dotknięta choć na chwilkę, podniosła się — uślachetniła, i miał widzenie jakby miłości. Przeciągał więc tę chwilę i zatrzymywał niespokojną dziewczynę słowami czułości. Lecz nakoniec ujrzeli przechadzającą się w oddali poważną postać niewieścią. Julia usunęła dłoń młodzieńca, spiesznie się podniosła, i w mgnieniu oka jéj niebieskie ranne odzienie mignęło tylko wśród zieleni drzew. Postać niewieścia mierzonym krokiem zbliżyła się, a Teodor powstał i szedł naprzeciw. „Ach! ce vous mon cher Theodore,“ zawołała z uśmiechem, kiedy się do niéj zbliżał. „Nigdym nie myślała, że jak arkadyjski pasterz siadasz nad brzegami jeziora i pieścisz się piękną naturą.“ Teodor zbliżył się do niéj i całując ją w rękę, powitał słowami: „Bon jour chere tante.“ — „Dites moi mon cher, tam był ktoś z tobą?“ i bystro wpatrywała się w niego. „Nikogo nie było,“ odrzekł jak najobojętniéj, jednak lekki rumieniec oblał mu czoło. — „Mój wzrok osłabiony sprawia mi nie raz takie illuzye. Doprawdy byłabym przysięgła, że obok ciebie siedziała jakaś ondina.“ — „Kiedy nasze jeziora tak prozaiczne, że ich nie mają,“ odparł z uśmiechem. I chcąc nadać inny kierunek rozmowie, spojrzał na książeczkę, którą trzymała w ręku: „Ciocia zawsze czyta.“ — „Nowy livraison revu.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nº 173. P. PIASTUNEK. *Przysucha.*

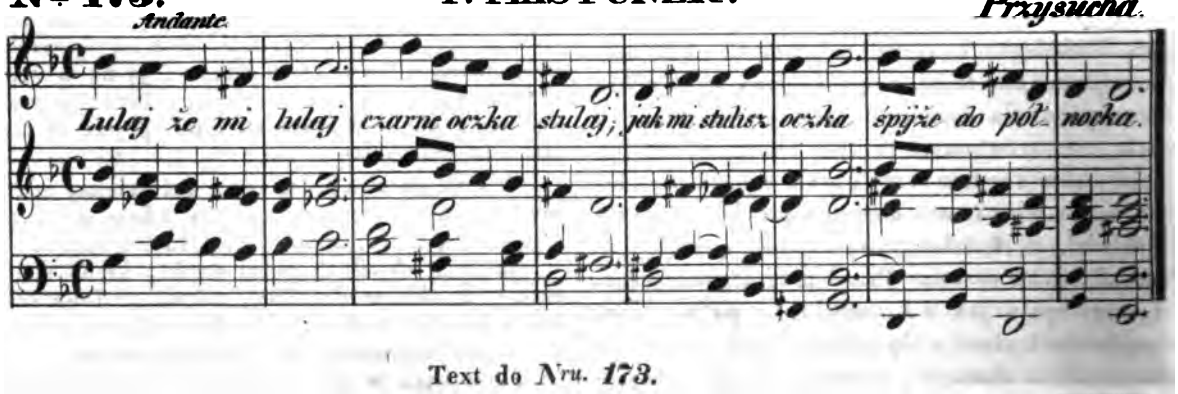

Text do Nru. 173.

Lulajże mi, lulaj, czarne oczka stulaj;
Jak mi stulisz oczka, śpijże do północka.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 50. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 12. Grudnia 1846.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai (ciąg dalszy). — Uboga kuzynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Góra Sinai,
podług professora Lepsiusa.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Ciąg dalszy.)

Po owym tak ceremonialnym obiedzie zabrałem się z panem Lepsius do wędrówki w góry. — Jak już wyżéj wspomniałem, towarzyszył nam braciszek zakonu, i oprócz tego dwóch służalców klasztornych, Arabów, niosących wór z sérem, chlebem, kawą, wraz z naczyniami do jéj gotowania. Wychodząc z klasztoru nie potrzeba się udawać owym otworem 30 stóp wysokim; można wyjść z klasztoru podziemnym, licznemi drzwiami opatrzonym gankiem, do ogrodu, odłączonego od klasztoru zupełnie; z ogrodu jest wyjście na pochyłą równinę, lecz wyjście umieszczone jest w murze ogród otaczającym, a 12 stóp wysokim; zwieszona tutaj jest lina, po któréj się każdy na dół spuszcza, lub do góry wspina. To ostrożne postępowanie jest zabytkiem z czasów prześladowania Chrześcian; zachowano go jeszcze i w tych czasach. Tuż obok owego wychodu zaczyna się równina coraz wyżéj wznosić — między górami Gebel-Harûf (owcza-góra) i górą Maria.

O trzy kwadranse na 1szą wyruszyliśmy byli w pochód, a o 2giéj przechodziliśmy obok kościoła Maryi; nie zatrzymując się wcale postępowaliśmy ciągle daléj, przybyliśmy w pół godziny potém na miejsce Eliasza, na którém wystawiono kościół i Eliaszowi poświęcono; tutaj znajduje się obok ogromnego cyprysu studnia z nadzwyczaj dobrą wodą. Ztąd dopiero ujrzeliśmy Gebel-Musa (góra Mojżesza), szorstkiemi ścianami i białawą farbą granitu odznaczający się czub góry. — Po wschodach częścią mozolnie wyrąbanych, częścią odrębnie kładzionych, dostaliśmy się na wierzchołek téj góry. Trudno jednak oznaczyć wysokość téjże góry, podług owych stopni, jak to czynili niektórzy podróżni; często się one bowiem zwracają w bok, albo téż kołują. O kwadrans na 4tą stanęliśmy szczęśliwie na szczycie góry, mając jak najwspanialszy widok; szkoda tylko, że zamknięty pobliskiemi górami — nie mogliśmy bowiem widzieć morza. Gebel-Musa wysoka 7030 stóp; znajdują się na téj górze ruiny starego klasztoru, który w dawniejszych czasach przez dzikie Arabów hordy zburzony został. Braciszek zakonny zwracał naszą uwagę na rozpadlinę, gdzie się miał Mojżesz znajdować, kiedy Pan obok niego przechodził, gdy przeciwnie Arabowie wskazywali na tropy wielbłąda Mahomeda, które się w skale głęboko odcisły. Po całogodzinnym pobycie na téj górze, którą pierw miano za górę Sinai, spuściliśmy się znów na dół, zmierzając ku Gebel-Horeb, nazwanéj przez Robinsona górą Sinai. Późniéj na stósownem miejscu wykażę, jak w ogóle o całém pasmie tych gór powątpiewać trzeba, czy było istotnie teatrem scen biblijnych; i owszem — podług mnie jest dziwne i uderzające podobieństwo innéj wcale okolicy, która się zupełnie da zastósować do opisu biblii. Jednakże już naprzód namieniam, że zmienienie nazwiska dotychczasowego góry Sinai jest pomysłem zupełnie prawie dowiedzionym przez prof. Lepsiusa, który to pomysł wspomniany Lepsius ogłosił już drukiem, przesyłając go akademii berlińskiéj z dołączeniem dwóch mapp objaśniających.

Droga na Horeb prowadziła obok Gebel-Harûf i Safsaf; napotkaliśmy tutaj wiele kapliczek pod nazwą „Wszystkich świętych.“ Bardzo szybko weszliśmy na górę Horeb, co było śmiałém i niebezpiecznem przedsięwzięciem, którego żaden podróżny, według zdania przewodnika, nie podjął. O kwadransie na szóstą — a więc w godzinę po opuszczeniu Gebel-Musa — znajdowaliśmy się na wierzchołku góry Horeb, która ma być o kilka stóp niższa od pierwszéj; widok jednakże z ostatniéj daleko jest obszerniejszy i znaczniejszy; można bowiem zupełnie przejrzeć dolinę Racha, na któréj się miało odbyć tyle zdarzeń biblijnych, według zdania zakonników. Tylko kwadrans zostawaliśmy na wierzchołku, bo spuszczające się słońce ku zachodowi nagliło do powrotu, który całą godzinę czasu i trudów zabrał.

Następnego dnia zabraliśmy się do wyjazdu z klasztoru; najęto więc w tym celu sześć wielbłądów i to tylko po pięć piastrów od każdego na dzień. Przedpołudnie spędziliśmy na otrzepywaniu ścian klasztornych, gęsto obsianych napisami, z których najważniejszy znajduje się nad zamurowaną bramą. — Najwyższego grzbietu gór wcaleśmy nie zwiedzili; — jest to góra pod nazwą „ś. Katarzyny,“ 8060 stóp wysoka. Klasztór wraz z ogrodem leży może 4000 stóp nad powierzchnią morza — a jednak udają się tutaj najpiękniejsze owoce, jako: aprykozy, figi, oliwa, migdały, brzoskwi-

mie i wino. W zimie wiele tutaj spada śniegów, co wielce użyznia ogrody, które nawet i latem mają podostatkiem wody. Z tém wszystkiem ogrody tutaj jednak bardzo źle utrzymywane. Braciszek zakonny jest ogrodnikiem, mając do roboty kilku niewolników. Pomiędzy zakonnikami znajdują się także szewcy, krawcy, stolarze, piekarze, kucharze i inni robotnicy, którzy pracują dla klasztoru. — Zabawiwszy więc spełna dwa dni, opuściliśmy klasztór z południa. Szafarz klasztorny zaopatrzył nas na drogę w wodę i chléb, poczémeśmy opuścili klasztór, rozdawszy upominki w pieniądzach pomiędzy ludzi nam usługujących. Celem najbliższym naszéj podróży była góra Serbâl, którą Lepsius prawdziwym Sinai być mieni. Z równiny Racha przechodząc obok pagórka Arûn (Aaron), udaliśmy się na prawo do Wadi ê Szech; w tym dniu dwie godziny tylko podróżowaliśmy. Nazajutrz jechaliśmy wciąż wzdłuż Wadi ê Szech ku północno-wschodniéj stronie, aż do południa, a po opuszczeniu Wadi ê Szech przebiegliśmy Wadi-Salaf w całéj jego szerokości, a przyszedłszy do Wadi-Rim, postępując ciągle w górę, rozbiliśmy po półjedenasto-godzinnéj podróży nareszcie u jednego źródła namioty, aby się z tego punktu nazajutrz dostać na górę Serbâl, do stóp któréjśmy się przerznęli. Niedaleko od nas był obóz Arabski.

27go Marca o 7méj rano opuściłem z professorem Lepsiusem obóz, biorąc z sobą trzech wielbłądów objuczonych wodą, chlebem i bronią palną, postępując pieszo ku potężnemu pięciogłowemu Serbâl. Widać go z każdéj strony, wpada on bowiem w oczy, tak swą postacią, jakotéż odosobnioném położeniem, gdy przeciwnie zwyczajnie mniemany Sinai ginie w pośród wysokich gór. Po godzinnéj podróży stanęliśmy u podnóża nagich skał góry Serbâl. Nie mogąc z téj strony wdrapać się na górę, obeszliśmy ją aż do południowéj strony, gdzie znalazłszy bitą drogę, nią postępowaliśmy. — Droga ta prowadzi około chat z kamienia budowanych, koło jaskiń i źródła, które się odznaczało nader wysokiém sitowiem i krzakami. Pomiędzy krzakami znajdował się także Jassur, czyli „Asa-t-Musa," tak nazwana laska Mojżesza, z którego to krzaka miał Mojżesz laskę cudowną urznąć — zapewne dla tego, że krzaki te mają długie, proste i gładkie gałęzie; w ogrodzie klasztornym widziałem także kilka tego rodzaju krzaków; podług Línneusza, należą one do gatunku „Colutea." Nazbierałem dojrzałego nasienia z krzaków, a w wodzie łowiłem małe wodne chrząszcze. Wzmiankowana droga skończyła się potém; nie znaleźliśmy wcale ruin klasztoru, o których Burkhart w swéj podróży wspomina; naszukawszy się ich nie mało, pięliśmy się na górę suchém korytem, wyrobioném ulewnemi potokami. O 12téj stanęliśmy wreszcie na wzmiankowanym szczycie; ale spostrzegłszy, że najbliższy szczyt, leżący na północ, był większym, spuściliśmy się z drugiéj strony i z wielkiém natężeniem dostaliśmy na ów wierzchołek. Było właśnie pół do drugiéj. Cóż za zadziwiający widok z owego szczytu! Cały półwysep rozciągał się pod naszemi nogami, jakby jaka rozwiniona mappa; zdawał on się nam jakby przez kretów poryty kawał ziemi; tak się wszystko gubiło w nicości pod naszém 7000 stóp wzniosłém stanowiskiem. Międzymorza, tworzące ów półwysep, nazwane od „Suez" i „Akaby", zdawały się nam być rzekami, a nasz widok dosięgał zabrzeżnych krajów, t. j.: Egiptu i Arabii. Nasze uczucie nam wskazywało, że tutaj musiał przemieszkiwać Mojżesz, jako prawodawca w obliczu ziemi przeznaczonéj ku długim wędrówkom. — Zebrawszy się nieco po tak zajmującym, czarownym uroku tego ogromnego widoku, spożyliśmy nieco jadła i napoju. Uschłe korzonki ziół posłużyły nam zamiast drzewa do zgotowania kawy. Na Serbâl używaliśmy zapachów Arabii; są to owe zioła rozmaite i rośliny w niezliczonéj liczbie, które zresztą wcale nieurodzajny Serbâl szczególniéj na wierzchołkach ukrywa, a które nam wszystkie zapachy w najrozmaitszych sprawiały odmianach. Prof. Lepsius zatrudniał się skrzętnie zdjęciem kierunków odznaczających się punktów za pomocą kompasu; spostrzegł on, że góra Um-Szomar, a nie Gebel-Katharin — jak dotąd mniemano — jest najwyższą górą całego półwyspu, czém ją téż także i Arabowie być mienią. O czwartéj godzinie największy był czas do powrotu; ażeby przed zapadnięciem jeszcze nocy dostać się do obozu, trzeba nam było pójść prostszą drógą, jak była owa droga na górę. — Znaleźliśmy takową wprawdzie niezadługo, lecz była niezmiernie stroma i popsuta. Była to parowa wyrobiona gwałtownemi ulewami,

przepełniona spławionemi głazami i gruzem, co każdy krok niebezpiecznym czyniło. Na ręku i nogach przedarliśmy się z największą ostrożnością przez owe walce i gruz. Była to straszna droga. U trzewików i pończoch zdarły się nam podeszwy, a bose nogi bolesne odbierały razy. Zwyciężywszy największą słabość, dostaliśmy się nareszcie po półtrzeciogodzinnéj najokropniejszéj podróży do obozu, i położyliśmy się osłabieni do najwyższego stopnia na piasek. Dla wewnętrznéj gorączki i febrycznego rozdrażnienia dopiéro późno sen słodki mnie nawiedził. Wcale to jednakże nie przeszkodziło do wstania nazajutrz równo ze świtem, aby daléj podróżować. O siédméj rano ruszyliśmy w pochód, powróciliśmy przez Wadi-Rim do Wadi-Salâf, a ztąd w półtoréj godziny do Wadi-Farân, który się bardzo osobliwie gliniastemi, 80 stóp wysokiemi, nasadami ziemnemi rozpoczyna po obu stronach ścian granitowych; w jedném miejscu zamyka wysoka owa zsychła ziemi prawie zupełnie dolinę. Zdziwiło nas bardzo, żeśmy tutaj tyle zobaczyli ziemi; że zaś od téjże ziemi owa wielka żyzność doliny zawisła, jest niezawodną i godną uwagi rzeczą. — Poza temi pagórkami z ziemi zaczyna się las krzaków manny, nazwanemi od Arabów „Tarfa“, a przez Ehrenberga „Tamarix manifera“; ciągnie się tenże las w dolinie długim ogonem, zostawując tylko wązką dróżkę. — W końcu zastępują go palmy daktylowe i drzewa Nebek (Ramnus spina Christi), z któremi się zaczynają Ganien, t. j. ogrody w szczególności, wywołane znacznem źródłem, które tutaj ze skały wytryska, a w kształcie strumyka równinę przerzynając, wszędzie bujną płodność rozprzestrzenia. — Dla nas stała się ta dolina zielona, opływająca w wodę, nie małą niespodzianką; ptastwo tutaj śpiewało, zwierzęta i ludzie pokazywali się, domy, dobrze uprawione pola i winne ogrody rozciągały się długim rzędem poza sobą, trawa i kwiaty rosły bujnie nad strumykiem. Tylko z wolna postępowaliśmy przez ten raj; w oddaleniu zaś widać było na górze, „Hererat-Zocheir“ zwanéj, ruiny starożytnego klasztoru. Im się daléj postępuje, tém się dolina coraz bardziéj rozszerza, w środku zaś téj znacznéj przestrzeni wznosi się pagórek Hererat-Kebîr, na którym jeszcze znaczniejsze ruiny klasztoru, noszący dziś jeszcze nazwę „Farân“ wraz ze zburzonem obok miastem, od czego cała dolina bierze swe nazwisko. Ktoby nie miał poznać, że dzisiejsza nazwa „Farân“ jest dawniejszém Pharan, przezco położenie dawniejsze zupełnie teraz oznaczone. Po 10téj rozłożyliśmy się w pobliżu tego pagórka przy wejściu Wadi-Alejân, prowadzącego do Serbâl, w cieniu krzaków Tarfa. Szukaliśmy na tych krzach manny, którąśmy też ku wielkiéj radości naszéj znaleźli w téj rychłéj porze roku. Czasem zbioru jest miesiąc Maj. — Bez wątpienia (?) owa manna jestto ta sama, któréj poszukiwali Izraelici, co się jeszcze do dziś dnia dzieje; zbiór zaś téjże wcale nie jest tak nikczemny, jakby sądzono, lubo już nie jest tak obfity, jak biblia podaje; lecz co do tego mogło się w przeciągu tylusset lat wiele odmienić. To się zgadza z podaniami, że dzisiejsza manna równie spada z góry, — t. j. z wierzchołka krzaków, jak manna biblijna. — Manna, nie zebrana przed wschodem słońca, jeszcze i dziś niknie; dzisiejsi więc Arabowie zbierają równie troskliwie, jak niegdyś Izraelici, — nią się bowiem wraz z swym dobytkiem żywią. — Krzak manny, jestto rodzaj krzaka rosnącego także w południowych Niemczech dziko pod nazwą: Tamariskenstrauch — „Tamarix germanica“ i „Tamarix gallica“. Na krzaku tym znajduje się poczwarka mała żywiąca się — nawet po swéj przemianie wraz z potomstwem, — pewnym gatunkiem czerwca (coccus), jak u nas tak nazwane „mszyce.“ Chociaż jednakże krzaki Tarfa tak w Egipcie jak i w Nubii się znajdują, to nigdzie przecież nie ma na nich owych mszyc; nawet na półwyspie Sinai tylko w dolinie Farân znajdują się one na owych krzakach. — Owad ten kłuje swém żądełkiem, służącém do przyjmowania pokarmów, w delikatne gałązki, dla nasycenia się sokiem tychże; wkrótce jednak spęcznia się tyle owego soku, że zwierzątko to tylko bardzo małą cząstkę spożyć może. Reszta więc zsiada się, jak to wiele innych soków roślinnych — np.: gumma, żywica, wisien i tereśni, — i spada potém w kroplach i grupkach z gałęzi na ziemię w piasek. To się szczególniéj nocą odbywa; podczas dnia bowiem piekące słońce zgrupić się sokowi nie dopuści; gorąco więc słoneczne jest przyczyną, że na dnia manny już się nic nie znajduje, — bo zgrupiony podczas zimnéj nocy sok owych gałęzi, na gorące palącego słońca wystawiony, znowu się roz-

pustynna i wsiąka w piasek. — — Wadi-Farân jest punktem najrozsądniejszym a zarazem jedynym na całéj półwyspie, gdzie manna pada; dla tego miejsce to daleko więcéj ma za sobą przyczyn, że było obozem Izraelitów podczas oczekiwania na prawa boże, jak dość dzika, przykra i nieprzystępna okolica około teraźniejszego klasztoru. Góra Serbâl oddalona jest od Wadi-Farân o godzinę drogi. W tém tylko miejscu mogli Izraelici doznać jakiego oporu; tutaj to pewno mieszkali Amalekici, nie chcący się z doliny ich żywiącéj wyruszyć; musieli być przeto wprzód przez Izraelitów pod przewództwem Mojżesza do szczętu zniesieni, bitwa zaś odbyła się pewno w przestroniu téj doliny z pagórkiem Hererat, na którym to pagórku stał Mojżesz wsparty podczas bitwy na Aaronie i Hur. W Raphidim wyprowadził Mojżesz wodę, a gdzież tę scenę lepiéj umieścić, jeżeli nie w tę dolinę, gdzie do dziś dnia jeszcze płynie najobfitsze źródło? Żeby się bowiem stan kraju tego miał istotnie o wiele zmienić, tego na żaden sposób przypuścić nie można; bo najprzód nigdy kraj ten nie uległ kulturze, a potém nigdy nie doznał zaburzenia. — Jeżelić więc dzisiejsi mieszkańcy téj krainy opisom biblii tak zostali podobnymi co się tycze obyczajów ówczesnych, ubioru i zwyczajów, o ileż więcéj musi w tym stósunku zostawać kraina? — Zdaje się także, jakoby najdawniejsi Chrześcianie górę Serbâl za istotny Sinai uznali; w pobliżu bowiem góry Serbâl znajduje się naokół téjże wiele bardzo ruin, szczątków i gruzów klasztornych i domów, czego u drugiego mniemanego Sinai wcale nie widać; że zaś miasto Pharan z klasztorem daleko jest starsze od dziś zamieszkałego klasztoru, na mniemanym Sinai, jest rzeczą wiadomą. Napisy także Sinai są na ostatnim bardzo rzadkie, na górze zaś Serbâl bardzo liczne. Są one płodem jednego tylko znajdującego się na téj półwyspie ludu chrześciańskiego, trudniącego się pasterstwem; daléj ich jeszcze nie odgadniono. Zresztą podobne do przepiórek kurki do dziś dnia się jeszcze często na półwyspie znajdują.

Rozłożyliśmy się więc na Wadi-Farân, pomiędzy wzgórzami Hererat i Wadi-Alejat. Ku wieczorowi dnia tego wstąpiliśmy na Wadi-Alejat, a po godzinnéj podróży stanęliśmy u podnoża góry Serbâl. Pięć jego wierzchołków sterczało na rozczerwienionem tle nieba przez zachodzące słońce, jakoby niebieskie, nagromadzone mgliste postacie. Z téj doliny ma być, według wieści ludu, bardzo dobra droga na górę Serbâl, którą Abu Hamâd nazywają. Godne są uwagi w téj dolinie liczne chaty z kamienia, jakoteż i napisy Sinai na skałach granitu. Późno dopiero w środ ciemnéj nocy stanęliśmy w naszym obozie. Nazajutrz ruszyliśmy w pochód z Farân dopiero pół do dziesiątéj, bo Lepsius oglądał dokładniéj jeszcze okolicę, ja zaś zdejmowałem szkic pagórka Hererat, wraz z ruinami klasztoru i miasta Farân. Jeszcze pół godziny drogi zostawało nam przebyć od naszego stanowiska, aż do strumyka; oddalenie więc téjże wynosi 2 godziny drogi. Tylko z niechęcią opuściliśmy tę tak piękną, żywą i malowniczą okolicę, ową widownią najznamienitszych zdarzeń biblijnych Mojżesza — a wstąpiliśmy znowu w martwą pustynię. Między 2. a 3. godziną wyszliśmy z Wadi-Farân, która daléj się rozpościerając, gubi się nakoniec nad brzegami morza; przeszedłszy równinę, okrążyliśmy górę z piaskowca Makateb, dostaliśmy się na Wadi-Makateb, na ową wspomnianą dolinę, na któréj miękkich ścianach piaskowcowych nieprzeliczone napisy Sinai są wyrytemi. Tuśmy stanęli, rozbijając namioty o 4téj godzinie, dla odkopiowania najlepiéj napisanych napisów, co nam także cały dzień następny zabrało. Pomiędzy temi napisami odkryliśmy wiele greckich i kufickich, a nieodgadnione jeszcze tak nazwane „Sinai napisy“ miały często krzyż przed i po sobie. — W poniedziałek dnia 31. Marca rano wyjechaliśmy z Wadi-Makateb daléj ku północy, dostaliśmy się po godzinnéj podróży do Wadi-Kinneh, a stąd wróciliśmy wkrótce do Wadi-Moghana, (dolina pieczar) gdzieśmy po niedługiém szukaniu znaleźli pieczarę z egipskiemi przedstawieniami, obrazami, które są wyryte na skalistych ścianach. Pieczary te powstały przez szukanie miedzi, co już w najdawniejszych czasach Egiptu (3000 lat przed Chrystusem) miało miejsce, jak wyobrażenia z napisami nam pokazują. Takowych obrazów jest dwadzieścia, a najstarsze przedstawiają króla Chufu (Cheops) i Numchufu, którzy największą piramidę pod Kahira zbudowali; przedstawiają ich owe obrazy w téj właśnie chwili, kiedy ścinają nieprzyjaciół. Te płaskorzeźby są więc bardzo wielkiéj wagi do historyi egipskiéj, ponieważ są w ogóle najdawniejsze,

a do tego jedyne istniejące przedstawienia tych królów. Oprócz tych wymienionych jest jeszcze dziesięciu królów ze starożytnego państwa i jedna królowa ze średniego. Aż do samego prawie wieczora zdejmowaliśmy owych obrazów kopie — a potém pociągnęliśmy daléj aż do góry Sarabit, albo Sarabut el Chadem. W tém miejscu miał nas oczekiwać nasz dragoman, który dzień przed tém pojechał był konno do okrętu dla przywiezienia żywności i zaspokojenia ludzi tamże zostających co do naszego długiego oddalenia. — Zwiedzeniem Sarabit el Chadem miał się wypełnić ostateczny cel téj podróży.

(Dokończenie nastąpi.)

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

„Nie widziałem go jeszcze;“ wziął go w rękę i zaczął przerzucać. „Śliczna tam powieść,“ ale a propos powieści, romansu, ja także coś podobnego mam z tobą do mówienia.“ — „Ja i romanse — to coś ciekawego,“ odparł żartobliwie troszkę — jednak zmieszany. Lecz ona tego nie dostrzegła, podała mu ramię i rozpoczęli przechadzkę.

„Mówiłam już z twoją matką d'un mariage de convenance, który mam dla ciebie. Jesteś majętny, z dobrém wychowaniem, twoi rodzice mają teraz un titre — potrzeba wam tylko stósunków z osobami du haut parage, cela impose a la petite noblesse, a nasz kraj tak tém nieszczęśliwie zarzucony. Osoba, którą ci proponuję, jest Fanny Babstyńska; jéj matka, jak wiesz, księżniczka z domu; brat ma księżniczkę. Outre cela w posagu dwa miliony, et je vous assure, że ładna dziewczyna.“ Teodor pilnie ją wysłuchał, a potém mówił: „Ale to pójdzie trudno — onaby mię nie chciała.“ — „Jak najłatwiéj mon cher. Dam ci list do hrabiny Maryi; już z nią o tém mówiłam — ona cię w dom wprowadzi, et avec vos elegantes manières, et que vous étes mon cousin wszystko pójdzie dobrze,“ kończyła z uśmiechem zadowolnienia. Potém obszernie zaczęła mu wykładać ułatwienia, które już porobiła, przechodzić bogactwa, przepych domu, wykwintne gusta, stósunki w wyższych towarzystwach, i zakończyła wystawieniem, o ile to wpłynie i podniesie jego stanowisko społeczeńskie. Nie wielkiéj trzeba było wymowy, żeby go przekonać; bo uderzony takiemi pojętami, tak się przerzucił w zwyczajną sferę swoich uczuć i myśli, że w chwilę zupełnie wytrzeźwiał z wrażeń, pod któremi go Julia zostawiła. Nie widział już gładkiéj powierzchni jeziora, nie słyszał pieśni słowika, lecz póki przechadzka trwała, rozważnie układał plany z ciotką na tę zaletną wyprawę.

VI.

W kilka dni po powrocie ze świąt Teodor był w domu rodziców, przesiedział już kilka godzin, a nareszcie zdecydował się nocować. Jego postępowanie z Julią, w niczém się nie zmieniło, tak jak dawniéj obsypywał ją czułemi słowami i spojrzeniami, wszak u rodziców zawsze były chwile nudów, które potrzeba było zabić. Nadszedł wieczór, młodzieniec z matką rozpoczął przechadzkę między trawnikami koło domu, prowadząc jakąś tajemną rozmowę, bo choć sami chodzili, cicho jednak rozmawiał. Przed domem na ławce siedział hrabia, przed nim stał ekonom, i radzili o gospodarstwie. O kilka kroków pod drzewem siedziała Julia; to ścigała oczami chodzącą parę, to wpatrywała się w pogodne wieczorne niebo! a kochanek i te gwiazdy, co nad jéj głową świeciły, zlewały się w jakąś całość w duszy dziewczyny, bo w nie patrząc, tém potężniejszą miłością go kochała, a myśląc o kochanku, gwiazd światło tém piękniejsze i jaśniejsze dla niéj było. Już miłość była dla niéj źródłem wszystkich uczuć i myśli — już rozbrzmiała jedną pieśnią, która odbrzękła w każdéj chwili życia. Teraz, kiedy w pomroce postać Teodora ledwie się rysowała, raz znikła i znów się ukazała wśród zieleni klombów, Julia okryła go całym swoim ideałem — formy jego ciała ulotniły się przed nią: zostało się tylko to, co potrzebném do osłonięcia ducha. I marzyła o nim jak o nieobecnym, a z tak rzeczywistém uczuciem, jak kiedy czuła uścisk jego dłoni. — Z tego stanu anielskiego dumania wyrwało ją dopiero głośne wołanie hrabiego, który upominał żonę o powrót do pokoju, bo poczynało być zimno. Sam poszedł spać, a chodząca para i Julia wrócili do salonu. Hrabina wyszła do przyległego pokoju, a dziewczyna zajęła miejsce przy stole, na którym stała świeca, i z jakiémś rzewném zadu-

mniem utkwiła oczy w światło przed siebie. — Teodor, jak zawsze, kiedy byli sami, tak i tę razą zbliżył się do niéj. Przenikliwe ciemne oczy utopił w jéj licach — potém zapytał spieszanym ucinkowym głosem: „Powiedz mi, co tobie jest Julio? Tyś jakaś smutna, obojętna dla mnie?“ — „Jeszcze obojętna,“ odparła i łza potoczyła się po licach dziewczyny. Ta czysta, bez najmniejszéj plamki namiętność Julii, która tak jasno w téj chwili wybijała z jéj oblicza, która się promieniła — w téj łzie, co zawisła na rzęsach, choć nie wniknęła do duszy Teodora, ale uderzyła jego wyobraźnię, i rozbudziła jakiémś uniesieniem serce. Zbliżył się do niéj, drżące ręce przyciskał do ust — prosił o miłość, zapewniał o swojéj. I jego nerwy, czucia, tak zadrżały, tak upoiły serce — że zapomniał o świecie, o stósunkach, o dumie — a każde słowo zdawało się Julii szczerém, jak modlitwa samotnego przed ołtarzem. I z całą ufnością przyjmowała to wylanie jego uczuć. A Teodor w uniesieniu opasał jéj giętką kibić, przycisnął do piersi i na ustach złożył pocałunek.

Przestraszona wyrwała się z jego objęć, poskoczyła ku drzwiom przyległego pokoju, kiedy na progu ujrzała groźną postać hrabiny, która ją przyjęła silném uderzeniem w policzek.

Dziewczyna zatrzymała się w miejscu prawie martwa, tchu jéj w piersiach zabrakło, oczy słupem stanęły, bo w jéj duszy zmieszało się uczucie miłości, przestrachu i poniżenia.

Hrabina z oburzenia słów znaleść nie mogła, lecz z twarzą jak ciemna chmura, z zaciętemi oczyma, z oczyma na wpół przymkniętemi, rzuciła się na pierwsze krzesło. Teodor pobiegł przywołać sług, a Julia bez myśli, bez wiedzy prawie, do nóg jéj się rzuciła: „Pani! jam zbrodni nie popełniła; on mój narzeczony, on mię zaślubi.“ Lecz silném popchnięciem nogi, odrzuciła hrabina klęczącą ubogą kuzynkę, i rzuciła na nią tysiącem najobelżywszych słów. Służące przyszły, hrabia na pół senny nadbiegł, i istotnie dzień sądny powstał w całym domu. Teodor tymczasem dosiadł konia i ujechał. W pół godziny Julia siedziała na małéj parokonnéj bryczce, blada i chwiejąca, cały ubiór w nieładzie — przed nią leżał spory węzeł z rzeczami, a w dłoni trzymała trzydzieści złotych. W jéj biednéj głowie tyle myśli na raz się krzyżowało, i w sercu tyle uczuć, że w duszy powstał chaos taki, iż na dobre nie wiedziała, gdzie i po co jedzie. Przy zmroku wieczornym rzuciła ostatnie spojrzenie na murowany dworzec, a po chwili unosiła ją spiesznie bryczka aleją topoli, które się ciągnęły nad brzegami drogi, i w ciemności przybierały postacie tego wszystkiego, czém jéj wyobraźnia najsilniéj była uderzoną. Widziała groźną postać hrabiny, zagniewane spojrzenie hrabiego, zdziwienie i ciekawość na twarzach służących. Lecz wśród tego przykrego obrazu snuła się jéj postać kochanka, z miłosném wejrzeniem, zwróconém ku niéj, a w lekkim szumie drzew słyszała słowa jego zaklęć i przyrzeczeń. I to wszystko razem splątane tworzyło jeden obraz boleści i szczęścia.

Tak mijały godziny — ledwie kilka gwiazdek przyświecało smutnéj téj drodze, a nikt, oprócz chłopka powożącego, pewnie o żalu Julii nie pomyślał. Ten słysząc to westchnienie, to czasem płacz głośniejszy, z czułością pytał: „czy nie chora?“ a przy każdéj wiosce: „czy nie chce spocząć?“ Lecz odebrawszy zaspokajającą odpowiedź, lub zachętę do dalszéj jazdy, pędził konie daléj. Raz tylko im chwilkę wytchnął, a nad ranem, w godzinie, kiedy wszystkie przedmioty wyrywają się z nocy i powstają przed okiem, jakby się rodziły, stanęły przed nędzną chatką na przedmieściu małego miasteczka. Tu mieszkała matka Julii.

VII.

W kilka dni po téj smutnéj scenie Teodor wyciągnięty w krześle siedział w swoim saloniku posępny i zadumany. Zamiast w ustach, tą razą w ręku trzymał niezapalone cygaro, i bez wiedzy zwijał i odwijał z niego tytuń, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł w podróżném ubraniu Henryk. Powitał powstającego Teodora z większą niż zwykle serdecznością i w milczeniu zajął krzesło obok niego. Widać, że każdemu z nich jakaś myśl ciążyła, bo razem spojrzeli ku sobie i razem wzrok spuścili, jakby każdy miał coś powiedzieć, a nie umiał zacząć.

Nakoniec Teodor podniósł czoło, i mówił z obojętnością: „pisała mi moja matka, że dziś przyjedziesz.“ — „Wezwała mię wczoraj listem i wstąpiłem dziś do niéj.“ I znowu zamilkli i każdy spoglądał w blask mahoniowego stołu. Nareszcie Henryk przerwał milcze-

nie i mówił z delikatnością: „Wiesz już Teodorze, po co mię twoja matka wezwała?“ — „Nie wiem,“ odrzekł nie podniósłszy oczu. — „Zakłopotana, żeś się zakochał w Julii, a ona ma jakąś bogatą żonę dla ciebie. Lecz, złego posła we mnie wybrała,“ dodał wesoło: „Cieszę się z twego wyboru; to słodka i pełna czucia dziewczyna.“ Teodor silnie się zarumienił, nie wiedzieć, czy z gniewu, czy na wspomnienie dziewczyny, bo ciągle milczący bawił się cygarem — tylko czoło się zachmurzyło. I Henryk znać nie rozumiał téj jego gry twarzy, bo zapytał jakoś wahając: „Mam więc powiedzieć twoim rodzicom, że nie odmieniasz zamiaru zaślubienia Julii?“ — „Zkądże znowu — nie myślę o tém,“ odparł sucho. — „Więc ty jéj nie kochasz, więc ją zwodzisz?“ zapytał drugi zdziwiony. Na to jego zdziwienie Teodor podniósł znów czoło, na którém w miejsce chmury nieukontentowania, osiadła przymuszona spokojność. Porzucił cygaro i zwrócił się do Henryka z całą postawą i głosem dyplomaty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nº 174. P. ŚLACHECKA.

Od Białegostoku.

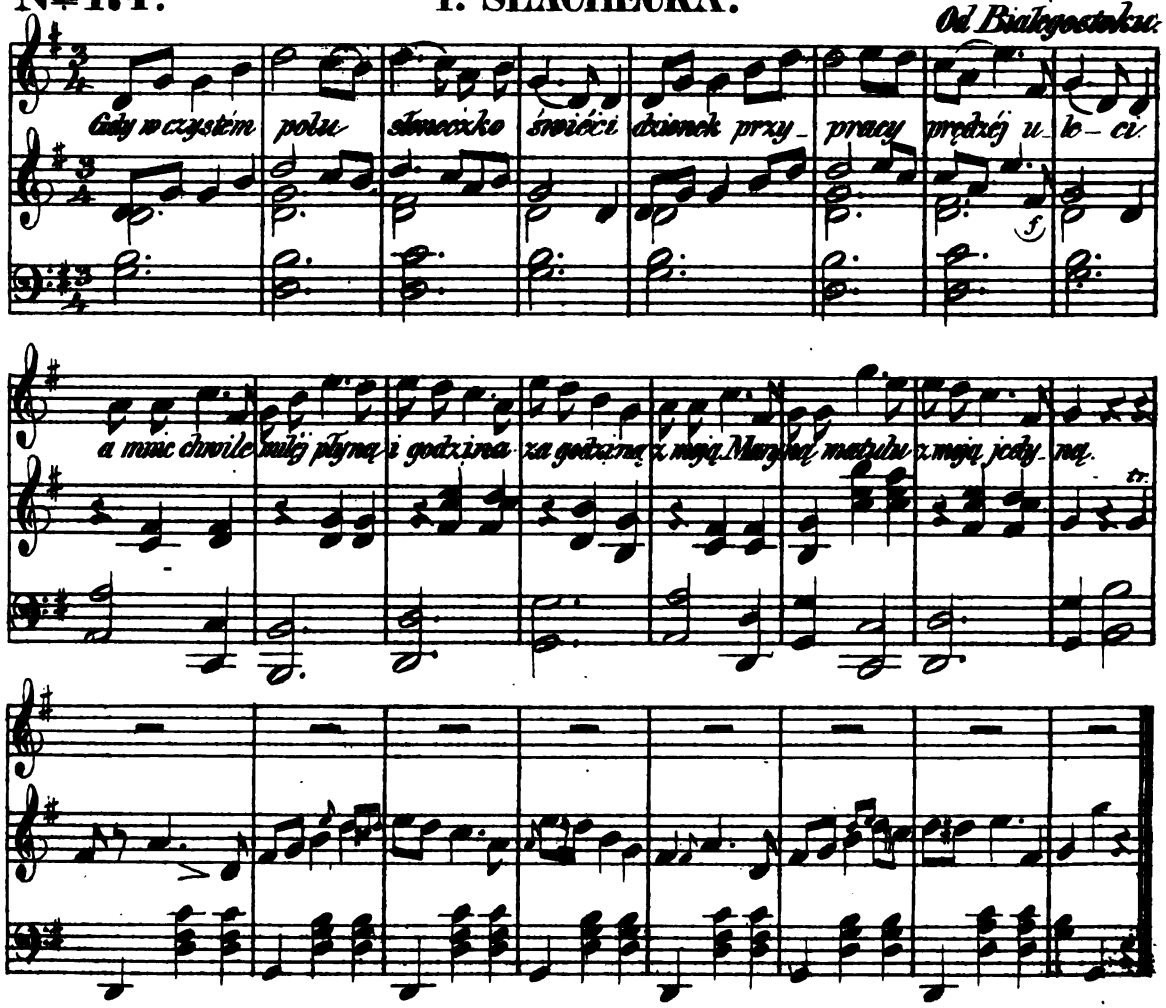

Text do *Nru. 174.*

Gdy w czystém polu słoneczko świéci,
Dzionek przy pracy prędzéj uleci.
A mnie chwile miléj płyną,
I godzina za godziną,
Z moją Maryną, matulu,
Z moją jedyną.

(Patrz Nr. 69.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 51. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 19. Grudnia 1846.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai (dokończenie). — Uboga kuzynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

Ruiny Faraonu.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Dokończenie.)

W nocy z ostatniego Marca na pierwszy Kwietnia cierpieliśmy wielkie zimno, a jeszcze mocniejsze przyszło wytrzymać w pochodzie na dniu 1. Kwietnia, chociaż jeszcze było 5° ciepła; lecz musieliśmy jechać pod wiatr północny gwałtowny i bardzo zimny, nie będąc w ciepłe opatrzeni suknie. W tym dniu natrafiliśmy na obóz Arabów, składający się z namiotów pokrytych szaremi kołdrami z włosów wielbłądzich; tylko kobiety i dzieci znaleźliśmy w obozie, które nas jednak z położeniem okolicy obznajmiły. Kobiety nawet na pustyni noszą zasłony na twarzach, a do tego białe; przeciwnie zaś kobiety nad Nilem noszą czarne zasłony. Kobiety te nie były szczególniejszéj piękności; oczy tylko zupełnie czarne, ogniste i świetne, są nadzwyczajnéj piękności. Czarne włosy splatają w węzeł nad czołem. Ubiór ich stanowi obszerna suknia z przestronnemi rękawami, bez talii, a na tym przez głowę przerzucony kawał materyi, zamiast woala, koloru zazwyczaj niebieskiego. Niektóre z tych kobiet były bardzo ciekawe i naprzykrzone; częstowały one nas rozczynem sérowatego mleka i świeżego zakalistego chleba. Po jednogodzinnym pobycie, rozłączyliśmy się z niemi, zostawując im mały podarek pieniężny. Około południa weszliśmy całkiem w kraj kamiennopiaskowy, a pół do trzeciéj stanęliśmy pod górą Sarabit el Chadem, gdzieśmy spotkali naszego dragomana z powrotem. Wynaleźliśmy tutaj dogodne miejsce do dłuższego pobytu; zebrało się téż naokoło nas z ciekawości wiele Arabów, którycheśmy wnet odpędzili. Ludzie ci nie noszą wcale spodni, tylko długą białą bawełnianą koszulę; tę przepasują nad biodrami szerokim, skórzanym pasem, za którym tkwi długi nóż krzywy; na to wdziewają oni obszerną wełnianą, w białe i czarne pasy robioną suknią, która jest otwartą z przodu. Na głowie noszą ogromny turban. Oprócz noża uzbrojony każdy jeszcze flintą ze skałką. Na nogach mają sandały. Resztę dnia tego użyliśmy na wdarcie się na górę, aby ztamtąd się zoryentować. Znaleźliśmy ruiny egipskiéj świątyni z wielą wązkiemi i wysokiemi kamieniami, które są obsypane hieroglyfami; kamienie owe ze względu na ich formę są bardzo rzadkiemi. Miejsce bóstwa pobytu wykute w skale i jest najdawniejszą częścią, zbudowaną za króla Möris (Amenemhet III). Na ścianach, filarach i siedzeniach (owych wspomnianych kamieni), są jeszcze nazwiska dziesięciu królów. — To stare miejsce nazywa się w hieroglyfach „Mafket“ — miejsce miedzi. Było ono siedliskiem egipskiéj osady, wydobywającéj w okolicy miedź i topiącéj ją w tém miejscu, na 500 stóp wysokiém połączeniu gór. Tego dowodzą na wielu otwartych miejscach znajdujące się pagórki ze żużli. Piece do topienia były pewno bardzo proste, a zamiast miechów, zdaje się, że ci ludzie po prostu używali wiatru północnego. Żużle owe zawierają znaczną ilość żelaza, jak w ogóle spiż jeszcze teraz dobywany więcéj ma w sobie części żelaznych, jak miedzianych.

Następnego dnia zdejmowaliśmy jeszcze ruiny świątyni, jéj gruntrys, zdejmowaliśmy napisy i szkicowaliśmy je. Nazajutrz porzuciliśmy Sarabet el Chadem, dążąc do studni Nasb, do któréjśmy się dostali po trzygodzinnéj podróży. Napotkaliśmy tutaj wiele ludzi i bydła, którzy już to wodę do domu brali, już trzody poili. Cały dzień szukaliśmy na próżno pieczar około téj studni, które Rüppell był widział. Dopiero nazajutrz opuściliśmy Nasb, a następny odpoczynek nocny miał być na okręcie. Droga aż do tegoż była bardzo zajmującą; prowadziła ona przez długie Wadi-Gich en Nasb, gdzie był wielki urodzaj; szczególniéj palmy się odznaczały, podsycane słodką i słoną wodą; słona woda strumyczkiem przebiegała dolinę, słodka zaś zbierała się w kilku dołach. Strome granitowe góry, 1000 stóp wysokie, tworzą tutaj ściany doliny, które się często na pięć kroków z sobą schodzą. Ziemie tu tworzył gruby żwir granitowy. W téj dolinie spotkał nas drobny, przenikający deszcz, który się już stał dla nas rzadkiém zjawiskiem natury; lecz na szczęście trwał tylko pół godziny. Z doliny Wadi-Gich en Nasb przeszliśmy znów w góry piaskowcowe, a z tych w okolicę kamienia wapiennego, którego góry „Buttra“ się zowią. — Tutaj zrobiliśmy skręt we Wadi-Szellal (dolinę wodospadów), dla oglądania napisów, które nam Arab pokazał. Po południu wydostaliśmy się z gór nad brzegi morza, ztąd ciągle postępowaliśmy wybrzeżem ku północno-zachodniéj stronie, ku naszemu okrętowi, który

stał na kotwicy za przylądkiem Marhât w Mersa (w miejscu ładowania) Abu-Selime. — Mieliśmy tutaj z pewnością rzadkie widowisko z czterech czeladników — widowisko razem rzadkie i śmieszne, z powodu ich postawy i ubioru. — Wszyscy bowiem czterej nie mieli jeszcze nawet miary, żołnierzom przepisanéj, ubrani byli po europejsku, a trzech z nich miało okrągłe kapelusze z ogromnemi skrzydłami, właśnie takie, jakich używają wędrujący sławiańscy druciarze; czwarty przeciwnie — stolarczyk — miał kapelusz słomiany, i jako starszy, umiejący nieco po arabsku, był naczelnikiem wszystkich czterech. Trzej inni byli: jeden szewcem, drugi fabrykantem pończoch, trzeci krawcem damskim. Ci dobrzy ludzie — sami ziomkowie, a do tego ze Szląska, przedsięwzięli byli odbyć rodzaj przechadzki, jak sobie podróż tę wystawiali, z Kairu do góry Sinai. Zbłądziwszy w górach, a spostrzegłszy z daleka okręt i spodziewając się w nim z pewnością znaleść ludzi, udali się do okrętu, i dostali się takim sposobem w dobre ręce; przyjęliśmy ich bowiem na okręt, daliśmy im pokarmów i napojów. Ich wory do chleba i do wody tak były urządzone, jak żeby na gościńcu miało się znajdować tysiącami karczm i gospód. Tak mało mieli oni wyobrażenia o tym kraju. Nazajutrz, 6go Kwietnia, o pół do siódméj, odbiliśmy przy najpomyślniejszym wietrze wraz z naszemi gośćmi od brzegów Abu-Selime, a po dziewięcio-godzinnéj szczęśliwéj podróży stanęliśmy w Tur. Tu wysadziliśmy naszych Szlązaków na brzeg, i urządziliśmy rzeczy w ten sposób, żeby się prędko, bezpiecznie i bez biedy dostali do klaztoru; dnia następnego odpłynęliśmy znów od brzegów w kierunku Kseir. Podróż naszą odprawialiśmy między afrykańskim stałym lądem a jego wyspami pierwszego dnia bardzo pomyślnie, bośmy pół drogi prawie od razu odbyli. Pierwszą noc przepędziliśmy przy Abu-Munkâr na stałym lądzie, naprzeciw wyspy Jaffatin. Przed odbiciem od brzegu przypłynęła do nas łódź, w któréj znajdujący się ludzie ryby za mąkę u nas wymienili. — Drugą połowę drogi tém dłużéjśmy odprawiali, bo aż trzy dni; raz bowiem była cisza zupełna, drugi raz znowu wiatr wiał przeciwny, i to właśnie pochód nasz tak bardzo utrudzało. Na drugim dniu naszéj podróży przypłynęliśmy aż do ławy piasku Safâig. Do téj popłynęliśmy sami w ten czas, kiedy okręt na miejscu spoczywał, racząc się pięknością najrozmaitszych muszli, ślimaków i korali. Szczególnie zabawnie przedstawiały się nam raki, tak nazwane „pustelniki“, kiedy uciekały przed nami ze swemi domkami ślimakowemi, w razie przeszkadzania i napastowania ich śpiesznie się przewracając i nieżywemi czyniąc. Niemniéj nas ubawiły wielkie raki, „kieszonkowemi“ nazwane, uciekając na swych długich, cienkich i sztywnych nóżkach, niby myszy, do swych głębokich i prostopadłych nór w piasku.

Trzeciego dnia naszéj podróży przypłynęliśmy do zarośli koralowych, u którycheśmy zarzucili kotwicę. Przepędziwszy noc następną w pobliżu Kseir, wylądowaliśmy 10. Kwietnia przed Kseir w pośród 30stu nieomal okrętów. Said-Muhamed, agent angielski z Kenneh, przebywał właśnie w Kseir, a dowiedziawszy się o naszém przybyciu, przyszedł po nas i w swym domu ugościł. Kseir leży bezpośrednio nad morzem w bardzo nieżyznéj okolicy, która mało ma w pobliżu wody, a która oprócz tego już jest zupełnie nie dobra; sprowadzają tu wodę z gór o kilka godzin drogi, którą handel prowadzą w mieście. Miasto to ma dość dobry, drewniany Molo. Liczba domów nie wielka, nie przechodzi 100. Za naszego pobytu był tu rządcą Szerim-Bee, któremuśmy oddali wizytę. Dom jego wytworny i wielki, nawet oknami szklannemi opatrzony, co tutaj jest wielką osobliwością. Po obiedzie zwiedziliśmy ruiny starego Kseir, o półtoréj godziny oddalone, lecz nic nie znaleźliśmy tamże uwagi godnego. — Dnia następnego opuściliśmy Kseir, odbywając podróż już na wielbłądach, i dążąc z weselem w sercu przez pustynią ku Nilowi. Bardzośmy dobrze pojęli tęsknotę Izraelitów za wodą Nilu i mięsem, bo i my tego sobie jak najbardziéj życzyliśmy. Zdawało nam się, że jedziemy do ojczyzny; od półtrzecia roku zamieszkaliśmy w ziemi Nilu, a 6 tygodni temu było, jakeśmy tę ziemię opuścili, któryto czas spędziliśmy w zupełnie innéj części świata i w obcym kraju; teraz znów mieliśmy wstąpić na ową znajomą i miłą nam ziemię, i zobaczyć miłych nam przyjaciół, ja zaś pozostałego brata. Pierwszego dnia około południa przybyliśmy do Biringlese (angielska studnia), którą w roku 1800 żołnierze angielscy byli wykopali, powracając z Indyów i mając zamiar walczyć z Fran-

cuzami o Egipt. Pierwszą noc przepędziliśmy przy domu stacyjnym rzymskim Akalet sel es Soliman. Drugiego dnia wypoczęto nieco u wód Sid. Za tą wodą pozdrowiliśmy znajomą dolinę Hammamât, gdzieśmy drugi nocleg odprawili. W południe trzeciego dnia wyjazdu z Kseir ujrzeliśmy już piękne góry libijskie z tamtéj strony Nilu, a w wieczór rozbiliśmy namioty przy studni Lekita. Nimeśmy jednak tu dotąd zdążyć byli w stanie, napadł nas nagle okropny orkan ze wschodu, pędzący przed sobą grube chmury kurzu, które nas zupełnie pokryły, a po kilku chwilach daléj przeleciały. Jestto zazwyczaj znakiem nastąpić mającéj burzy, która jednak tą razą na szczęście nasze nie nastąpiła. Czwartego dnia nie udaliśmy się już wcale do Kenneh, lecz wprost do Karnak, do Tebów. Około południa dnia następnego wyszliśmy z pustyni do kraju żyznego. Zielone pola uśmiechały się do nas; Fellahîn (chłopi) trafiali nas, pozdrawiając zwykłém powitaniem: „Bakdżisz ja Hanadże!“ (Na piwo, o Panie!) które u nich przeciw Europejczykom zawsze na języku, a które szczególniéj dzieciom w pamięć wbijają. We wsi Okob zesiedliśmy z wielbłądów, usiedliśmy w pobliżu maszyny czerpiącéj wodę w cieniu drzewa i napiliśmy się znów po raz pierwszy Nilowéj wody. Gromada kobiet i dzieci zkupiła się około nas z ciekawości, spożywając zostawione przez nas kości z kur. Ale nie długośmy tutaj zostali, bo dążąc bez odpoczynku daléj, zobaczyliśmy wnet świątynię w Karnaku w oddali, także dwa obeliski ukazały się nam, niektóre bramy miasta Teb, niegdyś o stu bramach; opuściliśmy wreszcie tę kupę niezmierną ruin wraz z wielkim krużgankiem z filarów. Im się więcéj zbliżaliśmy, tém więcéj rozdzielały się owe potężne zwaliska. Nakoniec można było dojrzeć na budowach płaskorzeźby, a w kilka chwil potém wjechaliśmy do Karnak i uściskaliśmy naszych przyjaciół zdrowo i wesoło.

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

„Jam jéj nie zwodził, jam czuł wtedy to uczucie, lecz to było chwilowe, przelotne, to nie była miłość.“

„Aleś ty stargał przyszłość téj kobiety!“ zawołał drugi głosem wyrzutu. „Zerwałeś najpiękniejsze struny jéj dziewiczego serca, bo wiarę i miłość; — nikt ich teraz nie nawiąże, nigdy już dźwięku nie wydadzą.“

„Przysłany do mnie jak doktor,“ odrzekł drugi z półuśmiechem, „a unosisz się jak poeta.“ A potém czy sztuką, czy doprawdy, osiadł na jego twarzy wyraz czułości, czy politowania. „Mnie jéj serdecznie żal; — postąpiłem lekkomyślnie; zrobię wszystko, co będzie w mojéj mocy. Uproszę moję matkę, że ją napowrót weźmie — pomyślimy o jéj majątku na przyszłość, a zresztą czas zetrze i uspokoi to nieporozumienie domowe.“

„Tyś lekkomyślny — to dziwnie,“ wyrzekł drugi z przyciskiem. „Ale mój Henryku! nie rób mi tak przykrego zarzutu. Jakże? żądasz odemnie, żebym ją oszukiwał, żebym kłamał miłość, kiedy jéj nie czuję?“

„Widzę, jak ci łatwo zrywać związki, któreś z taką lubością zawiązywał. Ale prawda, cóż tam myśleć o jéj łzach, rozpaczach, przecież jéj to wynagrodzicie.“

„Dziwne to uprzedzenie myśleć,“ mówił Teodor znów z lekkim uśmiechem, „że odsuwając się od kobiety, téj już nic nie pozostaje jak rozpacz. A z tém wszystkiém, choć takie rozerwanie nastąpi po najgorętszéj miłości, to się zawsze na niczém kończy. Z początku łzy, łkanie, łamanie rąk, modły, czasem nawet chęć śmierci — a nakoniec wieczne zapomnienie i....“

„Nie mówmy już o tém,“ przerwał Henryk zimno. „Ale jak mógłeś porzucić, zostawić gniewowi twoich rodziców przyjaciółkę, towarzyszkę tylu chwil razem przeżytych.“

„Wiesz, jak starzy ludzie są podejrzliwi, bo ze swojéj młodości najlepiéj pamiętają uśmiechy i spojrzenia miłośne, a wszystkich innych, które były z chwilowego wrażenia, pamięć zatraciła. Dla tego każde zbliżenie młodéj kobiety i mężczyzny, już mają za intrygę miłośną. W pierwszéj chwili, nicby téż moich rodziców nie było przekonało, dla tego się usunąłem, lecz teraz kiedy wystygli, jestem pewien, że to zrozumieją, i Julią w dom zaproszą.“ Henryk zdawał się już nie słuchać słów mówiącego, bo sięgnął po pisma, leżące na stole i zaczął je przerzucać, a Teodor, który z każdego zadrgnięcia jego twarzy umiał odgadnąć, co się w sercu działo, łatwo tam dostrzegł

wzgardę. — Znać to dostrzeżenie silnie w nim rozbudziło uczucie godności, bo żywy rumieniec oblał mu skronie — powoli nikł, a nakoniec pobladły mu lica i cierpko się zadumał. A choć wkrótce Henryk zabierał się do odjazdu, nie zatrzymywał go i jedném słówkiem, widać, że jego przytomność kamieniem mu ciężyła. Na pożegnanie wyciągnęli ręce po bratersku ku sobie, lecz ich dłonie ledwie się dotknęły, a już się rozpadły. „Kiedyż się zobaczymy?“ zapytał wskakującego na brykę Henryka. — „Nie wiem.“ — „Czy wyjeżdżasz gdzie w podróż?“ — „Może — nie wiem jeszcze.“ — I konie spiesznie go uniosły. A Teodor niekontent z siebie, nie rad nawet z całego świata, wrócił do pokoju.

VIII.

Julia już dwa tygodnie wśród ubóstwa matczynego przemieszkała. Choć ta najmniejszym gestem, najdrobniejszym słówkiem nie wypowiedziała swego smutku, ale je córka dostrzegła w skrytych łzach, w długich modłach, w bezsennych nocach, które matka przed nią taiła. Nadaremnie śpieszyła Julia z wyręczeniem jéj w najcięższych pracach, to podwajało tylko smutek matki, kiedy spojrzała na te białe drobne ręce, ujmujące okopcony garnek, na giętką kibić, uginającą się pod brzemieniem drzewa. „Moje dziecko! nie rób tego, bo mi serce z żalu pęknie,“ i spiesznie otarła łzę spływającą po licach. Julia zapewniała matkę jak mogła, że szczęśliwa przy niéj jak jeszcze nigdy nie była — że ta praca ją nie trudzi, nie męczy. Lecz odbierała zawsze odpowiedź: „Tyś do niéj nie stworzona, słabowita i delikatna; nie perswaduj mi, nie perswaduj“ — i płakać poczęła. A Julia znalazła moc do zniesienia tego wszystkiego! Bo ją czerpała w uczuciu, które napełniało jéj całą duszę, i budziło siłę na burze i przeciwności życia.

Po dwóch tygodniach ta sama bryczka zajechała przed ich okienko. Julia wyleciała z bijącém sercem na próg chatki, a ten sam chłopek z uśmiechem radości śpiesznie zeskoczywszy z bryczki, oddał jéj dwa listy. Dziewczyna cała drżéć poczęła, ujrzawszy na podpisie jednego rękę Teodora — otworzyła i znalazła te kilka słów:

„Wracaj panno Julio w dom moich rodziców. Matka moja puściła wszystko w niepamięć, a resztę czas uspokoi.“

Choć tu nie było najmniejszego słówka miłości, choć nawet był wymuszonéj krótkości i bez najmniejszego pozdrówienia, jednak dziewczynę szczęściem napełnił. Spojrzała na drugi list; ten był pod adresem matki. Wbiegła do izdebki, oddała go, a swój znów słówko po słówku, literkę po literce odczytywała. I za każdą razą znalazła w nim nowość, bo cała historya jéj serca zbudzona na raz, stanęła żywo przed jéj wyobraźnią. Zatopiona w tych myślach, nie spojrzała ku matce i nie widziała, jak ta na przemian, to bladła żalem, to się rumieniła oburzeniem. Czytała ona list hrabiny, w którym pisze: iż gotowa przyjąć Julią w dom napowrót, lecz przytém wylicza cały szereg jéj występków, o których poprawę ma ją matka upomnieć. Ah! były tam takie, że się matka nie wahała między nędzą swego dziecka a powrotem w dom, gdzie ją tak spotwarzano. I załamała dłonie i podniosła oczy ku dziewczynie, ale spotkała jéj twarz pełną szczęścia. Chwilkę się w nią wpatrywała, potém zapytała stłumionym głosem: „Od kogoż masz list?“

„Mam wracać do pani.“ I cała zarumieniona zbliżyła się do matki. „To on pisze,“ mówiła, podając jéj list.

Ta przeczytała i zapytała wahająco: „Pojedziesz?“ Julia w milczeniu uklękła przed matką, i całując jéj dłonie, oblewała gorącémi łzami. Biedne dziecko! jak ona go kocha, pomyślała i utopiła wzrok w postaci córki. Muskuły jéj twarzy ściągnęły się konwulsyjnie, jednak znalazła w uczuciu macierzyńskiém tyle mocy, że spokojnie wyrzekła:

„Wracaj, kiedy masz odwagę do zniesienia wszystkiego, lecz wyrzec się téj miłości, jeżeli masz siłę, a matka ci pobłogosławi.“

„Mamo! ja go tylko raz widzieć, raz jeszcze chcę usłyszyć, a potém, jeżeli każesz, pójdę w przeciwny koniec świata.“ I znowu zapłakane lica przyciskała do matki kolan.

„Jedź więc pod opieką twego Anioła stróża i Matki Przenajświętszéj!“ Uścisnęła córkę i podniosła się do układania jéj rzeczy, i niepostrzeżona wrzuciła list hrabiny w tlejący ogień na kominie.

W parę godzin już Julia była w drodze — gwiazda miłości świeciła przed nią, a ona spo-

glądając ku niéj, tak się silną czuła, iżby śmiało nadstawiła czoła śmierci.

IX.

Julia znów była w murowanym dworze. Zniosła ona wszystko, całe upokorzenie, w jakie ją jéj powrót stawiał, i uzbroiła się w cierpliwość, tę wielkość stałych i mocnych — żeby choć raz jeszcze ujrzyć, usłyszyć głos Teodora, a potém pójść gdzie w świat daleko i umrzéć. Tak czuła i tak robiła w zapale miłości, choć zimny obserwator nazwałby to brakiem godności. Lecz jéj dusza tak była pełną tego uczucia, iż wszystkie inne w niém tchnęły, a w takim stanie wiemy, gdzie się podziewają silna wola i refleksya.

Tymczasem płynęła godzina za godziną, dzień za dniem, a Teodora widać nie było, rzadko nawet wspominano jego imię.

Już ze trzy tygodnie przeżyła wśród tych samych zatrudnień, jak dawniéj, każdego tylko ranka i wieczora biegła na kamienną ławkę wśród leszczyny, i tu przechodziła myślą wszystko, co przegadali i przemarzyli, lecz nic nie znalazła, coby w miłości przewinieniem nazwać można, chyba tylko, że go coraz mocniéj kochała. Nie pojmowała więc, dla czego Teodor unikał jéj spotkania, dla czego ją porzucił, zapomniał może na zawsze.

Raz pod wieczór, biegnąc ku kamiennéj ławeczce, nagle stanęła, bo imię kochanka rozległo się śród leszczyny. Postąpiła kilka kroków i pochwyciła parę słów z rozmowy dwóch kobiecych głosów.

„Mais je vous assure, że to dójdzie Teodora, la comtesse Marie, z całém staraniem w dom go wprowadziła, a że przez nią rekomendowany, dość już żeby pannę dostał.“

„Podług ostatniego listu,“ mówił drugi głos, „już tam był trzy razy; zawsze dobrze przyjęty; nie podobna jednak, żeby się z deklaracyą ociągał, przecież to pięćdziesiąt mil drogi.“

Julia już daléj nie słuchała, ale spiesznie się oddaliła i w swoim pokoiku długo klęczała przed obrazkiem Najświętszéj Panny, lecz jéj usta i razu nie poruszyły się modlitwą, z oczu jedna łza nie popłynęła, nie nastąpił żaden wybuch boleści, ani rozpaczy, ale od téj chwili zniknęła ta siła, którą wzrastała i rozszerzała swoją duszę, bo odtąd kochała bez nadziei.

W kilka dni po owéj podsłuchanéj rozmowie, późno w wieczór, hrabiostwo i Julia byli w saloniku, kiedy wszedł Teodor. Wszystkich powitał jak zawsze i dziewczynę, zwykłym ukłonem. Ona nie zakraśniała radością, nie przestraszyła się, ani zdziwiła jego przybyciem, owszem raz tylko ku niemu spojrzała, a potém blada, z oczami spuszczonémi, siedziała na krześle wsparta, tylko dreszcz, który zlekka jéj ciało przebiegał, wypowiadał silne wewnętrzne wzruszenie. Przybyły troszkę pobladł, lecz przy małém oświetleniu pokoju, nikt tego nie dostrzegł, i choć zmieszany i z widocznym przymusem, prowadził jednak z rodzicami dość żwawą rozmowę. Lecz ta niema, blada postać dziewczyny, to zlodowaciałe cierpienie, zimnym potem oblewały jego skronie. Przyciśnięty, zmęczony jéj przytomnością, nie długo życząc dobréj nocy, wyszedł z salonu. Julia w téj saméj postawie chwilę jeszcze pozostała, jak gdyby poruszeniem lękała się przejść z przykrego snu, w przykrzejszą samą rzeczywistość.

Hrabiostwo spojrzeli na nią, ale wnet oczy spuścili, bo w jéj postawie tak było coś uroczystego i razem boleśnego — że i w nich budziło poszanowanie. Wszak są chwile w życiu człowieka, gdzie duch jego w całéj potędze wzniosłości lub boleści stawa przed okiem drugich, a wtedy wszystkie czoła z czcią lub bojaźnią pochylają się przed nim.

Nie długo podniosła się i wyszła machinalnie z pokoju, a pozostali jeszcze milczeli. Nareszcie hrabina, odwracając oczy od drzwi, które utkwiła za wychodzącą, zwróciła się do męża:

„To łazi jak trup.“

„Bo po co to było sprowadzać?“

„Wszak sam chciałeś, żeby się to nie rozniosło i nie szkodziło Teodorowi do ożenienia.“

Kiedy starzy prowadzili taką daléj rozmowę, Julia weszła do swego pokoiku i wsparłszy zmęczone ciało na łóżku, sama jedna ze swoją boleścią, wśród ciemności, długo w noc przesiedziała. — Lecz drugiego dnia, choć w twarzy były ślady głębokiego cierpienia, odbywała jednak swoje zatrudnienia ze zwykłą punktualnością. Teodora już nie zobaczyła, bo po kilkotygodniowéj niebytności, był tylko powitać rodziców i znów wrócił do siebie.

Przez Julii duszę przelatywały odtąd myśli i uczucia, jak chmury wiatrem gnane; on mię

nie kocha, on mię unika, on kłamał swą miłość — ścigało ją we śnie i na jawie. Choć z sumieniem w zgodzie wytrzymuje katuszé, które budzi zwątpienie, bo ten, co był aniołem dla niéj, i cały raj jéj marzeń na raz się rozpłynęły — nie wie, co prawdą, co fałszem. Zniknęła dawna czystość jéj serca, w jéj uczuciu nie było nic świętego, ale tylko boleść, rozpacz, nienawiść nawet. Lecz miała takie chwile, w których zaczerpnęła sił na tę scenę, w których się podniosła ze zwątpienia, a wtedy przeszłość zajaśniała całym urokiem na jéj zachmurzoném niebie, bo wyobraźnia podawała odłamek po odłamku z obrazu jéj miłości. I słyszała słowa i zaklęcia kochanka, widziała jego lica i wzrok tak żywo, jakby stał przed nią, czuła nawet uścisk jego dłoni i wtedy wierzyła, że on ją kochał, kocha i kochać będzie. Ale ta wiara znów ustąpiła miejsca zwątpieniu i znów się przerzuciła w drugą ostateczność. Nie raz myślała, że trzaśnie śród tych walk, jak struna zbyt wyciągnięta, a ta myśl zradzała w niéj rodzaj ponurego szczęścia. Takiém życiem żyła Julia od ostatniego spotkania się z Teodorem.

W tydzień może, hrabina pojechała odwiedzić syna, a dziewczyna zostawiona sama sobie, bez żadnego przymusu, tém smutniéj marzyła. Długo chodziła po ogrodzie, machinalnie odwiedzała wszystkie miejsca prawie, w których obok kochanka przebywała, a pod wieczór stojąc w cieniu drzew, słała wzrok aleją, zkąd hrabina wracać miała. Była to ta sama droga, którą od tak dawna nawykła wypatrywać Teodora.

Zachód słońca już jaskrawym blaskiem złocił ziemię, topole nade drogą długie kładły wieńce, kiedy ujrzała pojazd, a przy pojeździe ktoś konno jechał. „To może on!“ zawołała sama do siebie; — nie wiedziała, czy biedz naprzeciw, czy uciekać w drugi koniec świata. Lecz w miarę jak się zbliżali, i okiem kochanki rozpoznała Teodora, zniknęły wszystkie walki, nienawiści i rozpacz, widziała i czuła jego zbliżenie i nic więcéj. Zajechali przede dwór, konia oddał służącemu i znikł na progu sieni. Julia zaczęła się z wolna przechadzać, czuła, że jéj uczucie budzi się w całéj sile — żeby zdolną była rzucić mu się do nóg, całować proch jego obuwia — byle raz z ust jego usłyszéć: „kocham cię.“ Oh! czemuż — czemuż! nie mogę cię zapomnieć, pomyślała, po wiele razy załamując boleśnie ręce. Napróżno wzywała całéj potęgi ducha; czuła, że jéj wola niknie; bo coby była dała, żeby go w téj chwili mieć, widzieć koło siebie! Kiedy liście szeleściły pod brzegami jéj sukni, po kilka razy zdawało jéj się jednak, iż ktoś za nią idzie — gotową była do ucieczki, a jednak nie śmiała się obrócić i została na miejscu jak przykuta.

Nareszcie usłyszała kogoś, co się zbliżał do niéj cichuteńkim lekkim chodem, zadrżała — a obok niéj stanął Teodor. Ujął nie śmiało jéj rękę i złożył pocałunek.

Dziewczyna odsunęła się od niego i wyrzekła jakby podziemnym głosem: „po co to wszystko! po co! pan się z inną żenisz — pan mię nie kochasz.“

„Julio! nie uciekaj — ja cię proszę. Julio! zostań choć chwilkę zemną,“ i złożył dłonie.

Te słowa, głos i postać mówiącego, zatrzymały dziewczynę. — Zbliżył się do niéj, podał jéj ramię, ona je przyjęła, i pewnie z dawnego nałogu zwrócili się ku szpalerowi z leszczyny.

W milczeniu doszli do kamiennéj ławeczki, ona usiadła biała i nieruchoma, jak statua z alabastru, i z przerażającą spokojnością spoglądała w Teodora, który stał sparty plecami o drzewo, ręce splecione na piersiach, a czoło w niespokojném zadumaniu pochylił ku ziemi. Po chwili podniósł głowę i spojrzał z takim wyrazem, jakby miał wyrzec coś stanowczego. Ale snać odwagi mu zabrakło, bo lekki dreszcz przebiegł jego ciało, twarz wyraz litości przybrała. I topił wzrok w bladych licach dziewczyny, a po chwili mówił zmiękłym głosem, jak gdyby jéj boleści chciał cisnąć jałmużnę: „Julio! choć inną zaślubię, alem ciebie jednę tylko kochał, ciebie jednę do śmierci kochać tylko będę.“

Konwulsyjne drzenie jakby zewnętrznego bólu przebiegło twarz dziewczyny, ale jéj zbladłe czoło zajaśniało dumą dziewiczą, i choć głos był równy, bez żadnego zajęcia, i jakby płynął z zlodowaciałych piersi, wyrzekła jednak:

„Teodorze, dla czegoś mi dawno o tém nie powiedział, że chcesz inną zaślubić; nie miałam zamiaru narzucania ci się, ani być zawadą do twego szczęścia. Od téj chwili jesteś wolny.“

Te słowa Julii poruszyły miłość własną

Teodora, lekki rumieniec przebiegł mu skronie i odrzekł:

„Julio! ty to mówisz z taką obojętnością, jak gdybyś wychodziła z salonu, w którym się znudziłaś.“

Ten zarzut odbiła zimném milczeniem — tylko na jéj usta wybiegł uśmiech, istny uśmiech konającego. I jéj zbladłe czoło spadło ku piersiom, palce się mimowolnie zbiegły i załamały boleśnie. — Chwilkę w téj postawie siedziała — nagle się podniosła, wyciągnęła dłoń ku Teodorowi, i wyrzekła głosem spokojnym, bez wyrzutu: „Pamiętam chwilę twoich zaklęć i przysiąg miłości. — Ja wszystko zapomnę, ja ci nieba chcę przychylić — o bądź tylko szczęśliwą!“

I silna wola, na którą się zdobyła, tak ją wzruszyła, że się łzy z jéj oczu puściły. On podaną rękę do ust poniósł.

„Bądź zdrów — szczęśliwy! zapomnij mię!“ wyrzekła przytłumionym, ledwie dosłyszanym głosem, i oddaliła się od niego. Teodor nie miał odwagi zatrzymać jéj, ani pójść za nią, choć inny interes, jak interes czułego pożegnania, tu go sprowadził.

Julia weszła do swego pokoiku, i wysileniem spokojności zmęczona, prawie bez zmysłów upadła na łóżko. To chwilowe odrętwienie ujęło jéj cierpienia, bo choć wyobraźnia przesuwała scenę po scenie, które na dnie jéj serca leżały, lecz ich uczucia — prawie nie miała. Ten stan był bliższy snu jak rzeczywistości.

Dość długo tak spoczywała, bo się już ciemnić poczęło, kiedy się szeroko drzwi jéj pokoiku rozwarły, i weszła hrabina z lampką w ręku.

Julia się podniosła, lecz natychmiast bezwładnie upadła na łóżko!

(Dokończenie nastąpi.)

№175. *Przysuchа.*

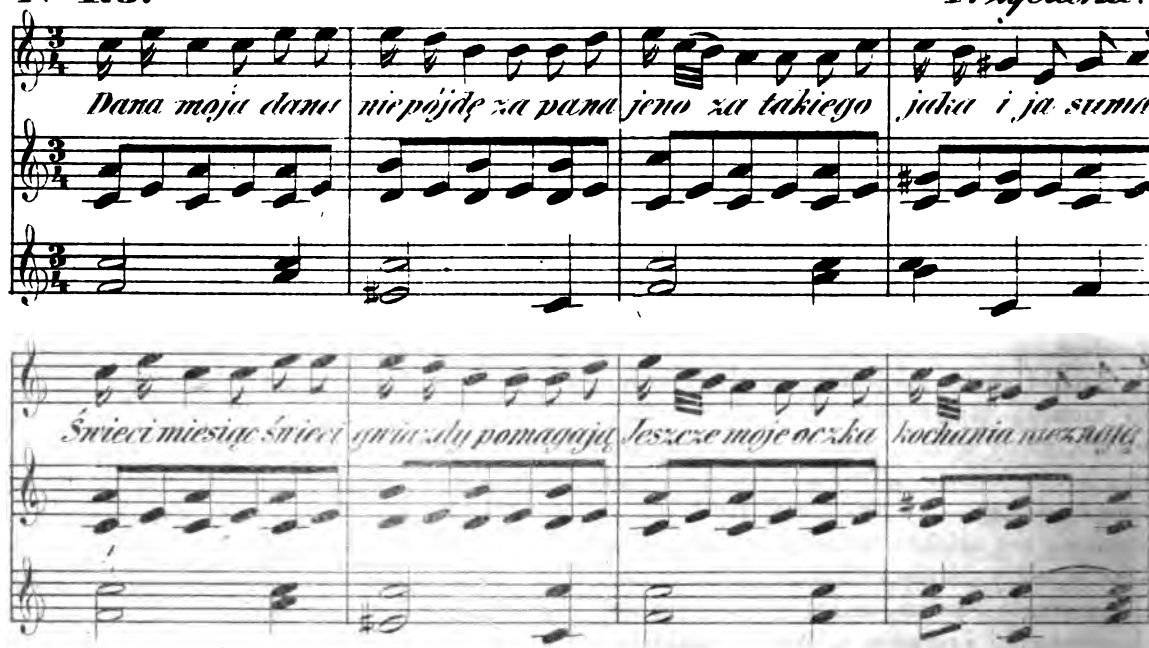

Text do *Nru.* 175.

Dana moja, dana, nie pójdę za pana,
Jeno za takiego, jaka i ja sama;

Świeci miesiąc świeci, gwiazdy pomagają,
Jeszcze moje oczka kochania nie znają.

(*Wacl. z Oleska,* P. I. str. 155.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)

Nr. 52. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 26. Grudnia 1846.

Uboga kuzynka (dokończenie). — Leszek Drugi. — Dobrodzieniak. (Podanie szląskie). — Sermo Nuptialis copulae. (Wyjątek z dawnego rękopisma). — Do Czech. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.

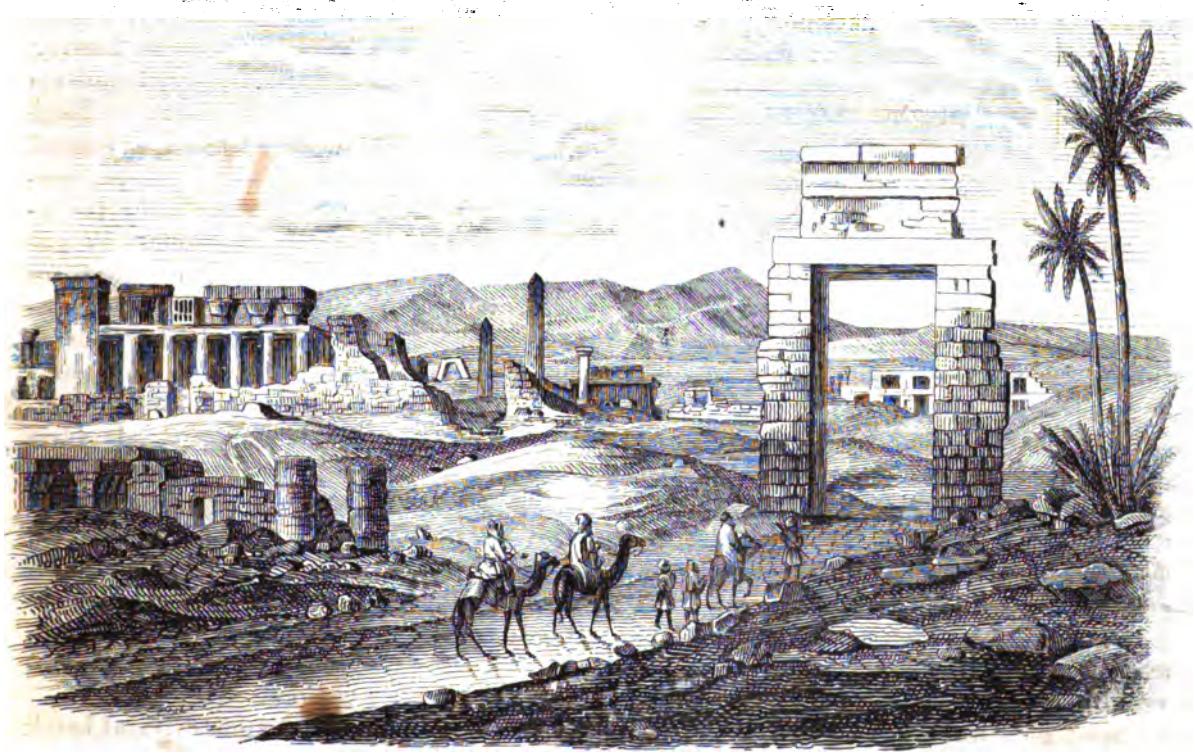

Ruiny Teb w Karnak.

Uboga kuzynka.

(Dokończenie.)

„Jesteś chora?“ zapytała krótkim głosem wchodząca, stawiając lampkę na stolik, i siadając na krzesło w głowach choréj.

„Nie dobrze mi,“ odrzekła Julia.

„Chociaż Teodora nie widziałam, lecz myślę, że ci wszystko powiedział, żeś przecież co raz starsza a więc rozsądniejsza i dałaś odpowiedź jak należy.“

„Miałam tyle siły, iż powiedziałam mu: że choć się z inną ożeni, mnie już ta myśl nie zabije. Teraz się czuje nawet silniejszą — spokojniejszą.“

Hrabina poczerwieniała gniewem, niecierpliwie poprawiła się na stołku i wyrzekła z przyciskiem:

„Nie o tém to mowa, ale o wydaniu ciebie za mąż.“ Julia jakby zelektryzowana znalazła moc do podniesienia się, lecz osłabiona opadła plecami na ścianę.

„Więc ci Teodor o tém nie mówił?“

„Nie.“

„Słuchaj!“ mówiła ucinkowym głosem, „po twoich scenach z Teodorem musimy cię wydać za mąż, bo trudno, żeby żona chciała w dom jego przyjechać bez słusznéj obawy pozostania się tych awantur. Choć cię raz tylko widział Zakrzewicz, mydlarz, ale chce się z tobą żenić. Dostaniesz od nas wyprawę i o posagu nie zapomnimy — a to zresztą człowiek pracowity i zamożny; będziesz miała z nim chleb.“

„Litości! litości!“ krzyknęła Julia, bledsza nad śmierć: „i Teodor tego żąda?“

„Myśmy to uradzili!“

„Zostaw mi pani dzień — godzinę jednę — chwilkę, żebym o tém wątpić mogła. Jam nie przygotowana do téj męczarni.“

Nagle umilkła, pierś jéj poruszała się silném wzruszeniem, oczy słupem stanęły, bo ta myśl, jak piorun rozdarła powierzchnię fali i na raz ukazała jéj samo dno Teodora duszy. I potém zaczęła powtarzać przytłumionym, jakby podziemnym głosem:

„On więc kłamał, on mię nigdy nie kochał, on mię odrzuca z taką obojętnością, nawet wzgardą, jak przepalone cygaro z ust swoich. Boże mój! Boże mój! a jam go tak kochała.“

I splecione konwulsyjnie palce przycisnęła do skroni.

Hrabina przestraszona krzyczeniem jéj głosu, bladością i spojrzeniem, spiesznie się wynosiła z pokoju.

Julia się podniosła z łóżka, stanęła na środku pokoiku i przelękniona obzierała się w około, kiedy zaraz blade światło lampy oświetliło jéj w progu na pół przegiętą postać Teodora. Krzyknęła, załamała ręce i upadła na kolana. „Julio, co robisz?“ i przyskoczył do niéj, wpatrywał się w lica. Oczy dziewczyny zabłysły jaskrawo błędnym ognikiem, czoło połamało się w marszczki przerażenia — konwulsyjnie pochwyciła jego dłonie, i siłą nadzwyczajną ciągnęła go ku ziemi, szepcąc:

„Teodor mną gardzi, wydaję mię o tam za tego mydlarza — żeby mię się pozbyć, żebym moją miłością nie stała na zawadzie jego ożenienia. Widzisz, te myśli jak latają w około, jak się splotły w łańcuch i ściskają mi serce. Słyszysz je — o widzisz jak je trzymam w ściśniętych dłoniach. — „Wychodźmy!“ zawołała, tuląc się bojaźliwie do niego. On zadrżał, pobladł, wyrwał się z jéj rozpalonych dłoni, i wybiegł z pokoju. Rozległ się za nim śmiech głośny, przeciągły — jak tylko może wypaść z piersi, gdzie harmonia ducha złamana. Teodor zrozumiał, że dusza dziewczyny, rozciągnięta na torturach boleści, trzasła na koniec.

Wpadł do matki, krótkim, przytłumionym głosem powiedział, że Julia chora; wybiegł spiesznie, w stajni dosiadł konia i wyjeżdżał do domu. Kiedy weszli do Julii pokoju, spokojnie leżała na łóżku. Służące suche łzy otarły i na palcach wyszły z pokoju. W godzinę może przyszły zobaczyć, czy się nie przebudzi, czy czego nie potrzebuje, ale blade światło lampy padało na próżną pościel. Nadaremnie biegały po wszystkich zakątkach domu i ogrodu, a nakoniec wypytywały się po wsi. Tu ją widziano jak szła spiesznie, ale gdzie poszła, w którą stronę, nikt nie wiedział.

Bez rozkazu państwa słudzy dworscy rozbiegli się na wszystkie strony, bo serdecznie kochali i żałowali Julii. Wiedzieli oni o jéj miłości z Teodorem, wiedzieli o zalotach dobogatéj panny; nie jeden więc, ale kilku biegło do niego z wiadomością o zniknięciu dziewczyny, jakby z wyrzutem.

Teodor pierwszy raz w życiu usłyszał krzyk swego sumienia — przeszłość jak czarna zasłona unosiła się nad myślą jego, na któréj tle wszystkie zaklęcia i obietnice powtarzane Julii.

Zimny pot go oblał, i w téj chwili z łatwością rzuciłby cały swój majątek, byle cofnąć przeszłość, kazał sobie podać konia, przebiegał drogi i pola, wołając ją po imieniu — ale nadaremnie.

Już było nad ranem, kiedy kilko-godzinne znużenie i świeżość powietrza chłodziły jego skronie, a myśl refleksyjna gorącość uniesienia studziła, wracał zwolna do domu, i na raz ujrzał jakąś postać biegnącą aleją topoli; pospieszył za nią — była to Julia. Sama jedna idzie śmiało, spiesznie; jéj postać blada, chwiejąca, włos rozwiany, fałdzistą białą suknię i mantylę wiatr w biegu unosi, a księżyc pobladły kładzie za nią długie cienie i gnie jéj postać w dziwnie fantastyczne kształty. Lecz coraz słabsza opada na siłach — chwieje się, kolana się uginają. Nagle krzyknęła, wyciągnęła ramiona, i biegła jakby w objęcia, co ją do siebie przytulić miały. Na wzgórku stał krzyż i Julia upadła u stóp jego, złożyła skromnie na zimnym kamieniu i leżała spokojnie.

Może usnęła na wieki? O pewnie! pewnie! lepiéjby tak było.

Teodor uwiązał konia i lekkim chodem zbliżył się do niéj. Pochylił się — oddychała, ujął ją za rękę — leżała nieporuszona. Zawołał więc cichym głosem: „Julio!“ Podniosła się nagle i usiadła, pół kibici naprzód przechyliła, i topiąc w nim szklniącą źrenicę powtarzała: „On mię nie kochał nigdy, on kłamał, on mię nawet pierwszemu lepszemu przy drodze dla swego interessu.....“

Teodor otoczył ją rękami i zawołał z rozpaczą:

„Julio! Julio! tom ja, Teodor. Tyś mię kochała, jam cię kochał, ja cię kocham.“ Ona długo wpatrywała się w niego obłąkanym wzrokiem, potém mierzyła go od stóp do głów, nie odpowiadając żadném słówkiem, ani uśmiechem. Po chwili położyła rękę na czole, jak gdyby sobie coś przypomnieć chciała, i na raz krzyk konwulsyjny, przeraźliwy, wypadł z jéj piersi. I wyrwała się z jego objęć wołając: „Zabiłeś mię! zabiłeś!“ A zbudzone echo powtarzało po trzykroć jéj długi przeciągły głos: zabiłeś mię! zabiłeś!

Teodor uderzony jakby piorunem odskoczył, załamał ręce i jęk rozpaczy wypadł z jego piersi. Po chwili pochwycił ją w pół kibici. Ona mu się nie opierała, lecz złożyła zbolałą głowę na jego ramieniu, a fałdy jéj odzienia i rozsiane włosy opasały wężem postać młodzieńca — i w téj chwili okropnie ściskały mu serce.

Teodor złożył ją w swoim saloniku na miękkiéj sofce.

X.

W cichych nurtach nie szerokiéj rzeki, przeglądają się piękne, obszerne budynki. Jak ściany jaśnieją białością wśród rozkosznych sadów i trawników, dachy wesoło się czerwienią po nad zielonemi szczytami drzew, a zatknięty złoty krzyż na kopułę kościoła, zdala wita przychodzących. Kiedy tu się stanie, wszystko miłe i swobodne dla oka. Ale cóż to za krzyki dzikie i zmieszane dolatują do uszu, cóż to za twarze blade wyglądają przez kraty okien, na każdéj spojrzenie, którego dusza błąka się gdzieś nie na naszym świecie. I znów jakieś wychudłe postacie wiją się wśród trawników — stanną, obzierają się w około, i w dziwnych pląsach i skokach znikają z przed oczu. W takiém otoczeniu żyje Julia już oddawna. Stoi zawsze niema, nieruchoma, jakby już była pomnikiem na swoim grobie. A Teodor? Z początku gorączka, drzenie na przemiany, dręczyły jego ciało, przygniatały duszę, bo sumienie obrażone — ten anioł stróż człowieka — paliło go jakby ogniem potępienia we śnie i na jawie, wśród śmiechów i uciechy. W ciemności nocy Julia stała nad nim jak mara grobowa, w uśmiechu i spojrzeniu każdéj młodéj kobiety dojrzał obłąkanie, a głos: „zabiłeś mię! zabiłeś!“ zakończył każdy takt balowéj muzyki. Zmienia rodzaj zatrudnień, ucieka od miejsc przypomnień, rzuca się w wir zabaw; to się zatapia w dziełach ekonomii materyalnéj, w pismach finansowych — oblicza swój przyszły majątek, rozpamiętywa podziwienia i hołdy, jakiemi nieraz jego zimny rozum otaczano; uśmiechy i spojrzenia kobiece, co się nie raz ubiegały o jeden jego uśmiech, o jedno spojrzenie — tą razą wszystko na próżno, bo sumienie nie złożyło broni przed miłością własną.

Lecz daléj a daléj, czas zagładzał wrażenia, wyobraźnia zatracała żywość kolorów tego przerażającego obrazu. — Jednak w téj ciągłéj rozterce samego z sobą, lica mu wklęsły, czoło pofałdowało się w jakieś tajemnicze hieroglify, a do ust i oczu przyrosł uśmiech gorzko-ironiczny, istny Mefistofelesa.

W kilka lat ożenił się z bogatą i ładną kobietą, i mówią, że jest spokojny, szczęśliwy!....

B. F.

Leszek Drugi.

Leszek, drugi Leszek,
Wrodził się w ojczaszka.
Skraść z zanadrza (1) mieszek, (2)
To dla niego fraszka.
Różne ma dowcipy,
Różne ma przebiegi, —
Że go nie podejdą,
Ani szelmy szpiegi.

Gdy po ojca zgonie
Szło o tron dziedziczny,
Siedzieć chciał na tronie,
Ten i ów mój śliczny.
Nawet szwabska rzesza
Zgłasza się natrętnie.
„Jeźliś godny bracie,
Tron ci damy chętnie!“

Ale tu niestety!
Trzeba pierw losować!
Pierwszym być u mety,
Aby wciąż przodkować!
Otoć tam już słupiec!
Na nim Orzeł biały! —
Daléj na wyścigi,
W cwał i na wycwały!

Pędzi Leszek Drugi,
Jeden brat i trzeci;
Niemców szereg długi,
Także wiatrem leci.
Ale cóż u Boga!?
Tyle koni pada!?
Leszek sam u mety!?
Ej, to jakaś zdrada!

Zdrada w saméj rzeczy!
Leszek zaś jest winny!
Zginąłby od mieczy,
Gdyby nie lud gminny!

Chłopek go od zemsty
Piersią swą zasłonił. —
„Podstęp tu zwyciężył!
Któż zaś wam go bronił?“

„Leszek jest chwatciejszy,
Niźli wiatr w swym pędzie!
On najprzebieglejszy!
On też królem będzie!
Naukrywał w piasku
Mnóstwo bron i kolców,
Sobie tór zachował,
I zostawił wel..... !“

„Ludzie z lepszą głową
Byliby wykryli,
I za wspólną zmową,
Zdrajcę zdradą zbili!
Leszek więc jest królem!
Któż się chłopkom oprze?
Jeźli głos za słaby,
To go... pięść ta poprze!“

„Lud ci wszystko może,
Skoro rozum w głowie.
Daje panom zboże,
Jęczy za ich zdrowie; —
By się pan mógł cieszyć,
Chłopek się biedoli;
Chłopek wojny kończy:
Słuchaj chłopka woli!“

Leszek więc aż rośnie,
Inni aż truchleją.
Bardzoć im żałośnie,
Miąć się z nadzieją. —
Leszek więc panował,
Nie najgorzéj rządził.
Jeźli zaś w czém zbłądził,
Pan Bóg go osądził.

Sierp Polaczek.

(1) Zanadrze, znaczy tyle co wyraz nieojczysty gors. W niektórych okolicach słyszałem także mówiących: za nadry schować (włożyć za gors).

(2) Mieszek, wyraz dawniéj używany zamiast: woreczek od pieniędzy, kieska, sakiewka.

Ojcem Leszka Drugiego miał być Przemysław Złotnik, dla chytrości i podstępów Lisem, Liskiem, Liszkiem, czyli Leszkiem nazwany, a w nadgrodę odniesionego pod Łysą górą, niby nad Rzymianami, zwycięstwa, królem wykrzyknięty.

Dobrodzieniak.

Podanie szląskie.

Za dawnych czasów, kiedy jeszcze towary wrocławskie przez Kraków do Brodów wożono, było w Dobrodzieniu (1) wielu furmanów, którzy do tych podróży i po czterdzieści koni trzymali. Jeden z tychże furmanów zostawszy w młodym jeszcze wieku wdowcem i mając jednę tylko córkę, ożenił się był powtórnie. Zaraz po weselu odjechał w świat na cały rok.

(1) Dobrodzień (Guttentag), miasteczko górnoszląskie w powiecie lublinieckim.

W powrocie zaś, kiedy już do domu się zbliżał, zaczął, podług swego zwyczaju, trzaskać z bicza na znak, żeby żona wyszła go witać. Gdy jéj nie było widać, nawrócił jeszcze raz, a trzaskał; ale żona nie wychodziła; — najeżdżał jeszcze raz, alić tylko jego córka wyszła i opowiadała ojcu, że macocha źle się zachowuje, bo z zalotnikami się bawi, a powrotu męża nie wyczekuje. Więc z wielkim gniewem furman wchodzi do izby i krzyczy na żonę i srodze ją łaje; a żona zapiera się wszystkiego i owszem powiada do męża te słowa: „Obaczysz ty jeszcze, jaką masz córuchnę; skoro drugi raz do domu wrócisz, pewnie ją z dzieciątkiem na ręku zastaniesz.“ Po niejakim czasie furman puścił się znowu w daleką drogę i dopiero po roku spodziewany był w domu. Tymczasem macocha poszła do swojéj ciotki, czarownicy, i wymogła na niéj, że pasierbicy coś takiego zadała, iż ta przed powrotem ojca w saméj rzeczy powiła syna. Za rok przyjechał ojciec i trzaskał z bicza dojeżdżając do domu; a na to hasło zaraz żona wyszła i powiadała mu, że córka jego przed trzema godzinami porodziła syna. Więc z wielkim gniewem furman wchodzi do izby i hałasuje na córkę, i każe jéj się natychmiast z domu wynosić. Córka chciała ojca prośbami ubłagać; ale gdy gniewu ojca nic zmiękczyć nie mogło, — patrzą, a tu wyskakuje nowo-narodzony chłopak z łóżka i jak wita tak wita staruszka swego, mówiąc: „Staruszku mój, jakoż wam się tam powodziło? witajcież do nas, a nie gniewajcie się na mnie i na moją matkę!“ — Skakał potém ów dzieciak po izbie, po ławach, po stole; ale staruszek na to nic nie uważając, kazał córce bez odwłoki z domu się zabierać, przykazując, żeby mu się już nigdy na oczy nie pokazywała. Córka téż musiała się nareszcie z łóżka wynieść i swoje rzeczy zbierać, a dzieciak cieszył ją i kazał jéj dwa manatki związać, powiadając, że on jeden sam poniesie. Wziął tedy dzieciak swoje zawiniątko, a matka drugie, i tak wyszli z miasta. Nie daleko za miastem matka tak mocno zesłabła, że i drugie zawiniątko synek musiał dźwigać. Tak wiódł on matkę aż do Wiednia, gdzie książę Rakuskie panowało. A że właśnie wtedy srogi nieprzyjaciel wszedł był do tego kraju i owemu książęciu brakło wodza dla wojska, a młody wędrowiec rozgadywał po mieście, że gdyby jego wodzem zrobili, toby wnet nieprzyjaciół wypędził; więc téż owe książę kazało go przyzwać i oddać mu dowództwo nad wszystkiemi swemi wojskami. Jakoż wędrowiec sprawił się, jak przyobiecał, bo w krótkim czasie nieprzyjaciela zwyciężył i z kraju precz wygnał. Od tego czasu i on i matka jego w wielkich byli dostatkach i łaskach u dworu. Ale miał ten książę syna, z którym się ów Dobrodzieniak namówił na wędrówkę. Przeszli już byli nie mało krajów, aż nareszcie młody książę chciał iść i do Syberyi, co mu towarzysz odradzał, powiadając, że tam ludźmi orzą, a nawet gorzéj jak z bydłem z nimi się obchodzą. Przecież książę się uparł na swojém i poszli jeszcze do onego kraju. Tam im się jednak źle powodziło, bo się w poimanie dostali i musieli ciężko pracować. Było tam oprócz nich przeszło dwustu innych więźniów z różnych krajów, których na noc do wielkiéj stajni zawierano. Raz gdy wszyscy stróże spali, rzekł Dobrodzieniak do więźniów, ażeby żaden rano nie wstawał, i że on za to odpowie, jeżeli im się co złego stanie. Gdy nadszedł czas do wstawania, a stróż przyszedł ich budzić, żaden więzień ani się ruszył; przyszedł stróż raz, drugi, trzeci, — zawsze nadaremno. Poszedł więc donieść o tém królowi, który kazał wystąpić wojsku, aby więźniów za karę przez rózgi przegnało. Stanęło wojsko, więźniów wywiedli, a Dobrodzieniaka naprzód prowadzono; — ale żaden wojak królewski ruszyć się nie mógł i więźnie przeszli nietknięci; na co król mocno się zatrwożył i nareszcie jął prosić wędrowca, że wszystkich wolno puści, byleby to uczynił, iżby jego wojsko znowu ożyło. Ten przystał na to, żołnierzy ocucił, a sam razem z wyzwolonymi więźniami w podróż się puścił. Król jednak markotny, posłał za nimi w pogoń jeszcze więcéj wojska, żeby ich zatrzymać. Lecz wędrowiec znowu to samo owym żołnierzom uczynił, że wszyscy na miejscu zdrętwieli; z czego król mocno zafrasowany, jął na nowo prosić wędrowca, że już wszystko mu da, czego będzie żądał, byleby to wojsko do życia przywrócił. Dobrodzieniak więc wymówił sobie dwa okręty pełne złota i srebra i drogich kamieni, a król téż chętnie mu takowe podarował, — lecz ponieważ jeszcze przemyśliwał, jakimby sposobem wędrowca i jego towarzyszów zatrzymać; przeto Dobrodzie-

niak, przenikając jego zamiary, sprawił, że wszyscy mieszkańcy onego kraju w kamienie się przemienili, a ziemia ich skrzepła się na wieczne czasy. Tak więc bez przeszkody owi wędrowcy, pod przewodem Dobrodzieniaka i młodego książęcia, płynęli morzem na owych dwóch okrętach z niezmiernem bogactwem ku domowi. Gdy byli na środku morza, młody książę dziękował za wybawienie swoje towarzyszowi, który mu na to oświadczył, iż za tę przysługę żąda tylko, ażeby młody książę wziął jego matkę za żonę, a że wszystkie skarby, które ze sobą wiezie, będą mu za wiano oddane; gdyby zaś temu się sprzeciwiał, będzie niebawem do głębokiego morza wrzucony. Książę więc rad nie rad przystał na żądanie towarzysza, i gdy już byli przyjechali do Wiednia, młody książę oświadczył ojcu, jakie zobowiązanie uczynił Dobrodzieniakowi za wybawienie swoje, na co stary książę też chętnie dał przyzwolenie, i wyprawili sute wesele młodemu książęciu z matką Dobrodzieniaka, która była jeszcze i młoda i wcale urodna. Po weselu dopraszał się Dobrodzieniak u starego książęcia, aby mu z matką i nowym ojczymem pozwolił jechać do Dobrodzienia. Gdy przyjechali do Skrzydłowic, o milę od rodzinnego miasteczka, kazał Dobrodzieniak, żeby go do skrzynki zawarli, i tak zawieźli w dom jego staruszka; a stanąwszy tam, aby go ze skrzynką postawili na miejscu, gdzie się był urodził. Skoro zajechali do staruszka furmana i prosili o gospodę, przyjął ich chętnie i miał sobie owszem za wielką łaskę, że tacy panowie wstąpili do niego. Pytał go się też książę, czy to nie ma dzieci? na co mu stary furman ze smutkiem się przyznał o córce swojéj, i narzekał mocno, że ją w gniewie od siebie oddalił, a teraz nie wie, kędyby jéj szukać. Nareszcie dała mu się poznać owa stracona córka w osobie dostojnéj księżny i cała rodzina była już wielce uszczęśliwiona, tylko brakło macochy, która właśnie wyszła była natenczas do ciotki swojéj czarownicy. Posłano tedy po nią, a skoro nadeszła i ciotkę ze sobą przywiodła, wyskoczył ze skrzynki mały Dobrodzieniak w takiéj postaci dziecięcia, jakby się dopiero urodził. I jak skakał, tak skakał, a staruszka witał, aż nagle pochwycił macochę swojéj matki i jéj ciotkę czarownicę, i pułapem z nimi wyleciał. Wszyscy z duszy wystraszeni, nie mogli z razu przyjść do rozumu, dopiero po trosze ochłonąwszy z trwogi, poczęli się krzyżem świętym żegnać i szeptać pomiędzy sobą o owém dziwném zjawisku złego ducha, którym nawiedziła ich czarownica, a który przecież niewinnéj rodzinie nic złego nie wyrządziwszy, porwał wreszcie do piekieł te tylko niecnoty, które go były sprowadziły na umartwienie poczciwych ludzi. Od tego czasu córka starego furmana szczęśliwie żyła ze swoim mężem, książęciem, i sędziwemu ojcu, za wszystkie troski życia, ostatnie lata stokrotnie uweselała (2).

Sermo Nuptialis copulae.

(Wyjątek z dawnego rękopisma.)

Jeżeli czym gruntownie się życie stánowi ludzkie, tedy zaprawdę uprzeymą przyiaźnią

(2) O podobnych dzieciach dziwotwornych znachodzimy podania w kronikarzach naszych, i tak n. p. w wieku XIII w krakowskiéj ziemi urodził się chłopiec z zębami, mówiący zaraz po urodzeniu. Lecz stracił zęby i mówić przestał, skoro ochrzcony został. Żył wszakże lat trzy. Słyszano, jak sześciomiesięczne chłopięta przemawiały, jak szczygły świegocąc ostrzegały o napadzie Tatarów. (Ob. Maciejowskiego „Polska," t. I. str. 204.) Na Białéjrusi znów powiadają, że u jednego bogatego człowieka, syn jak tylko się urodził, siadł i silnym głosem zakrzyczał: „Dajcie mi jeść!" przelękli się wszyscy, jednakowoż oderznęli mu pół bółki chleba i on to natychmiast zjadłszy, porwał się z miejsca i pobiegł do drzwi; tam stała kadź pełna wody; on wskoczył do kadzi i zanurzył się, rzucili się wszyscy ratować i wyciągnęli ztamtąd rybę, położyli ją na stole i długo patrząc na to, stali zadumieni; pobiegli do księdza, ten wraz przyjechał, i kiedy przeżegnał tę rybę, to się ona znów przemieniła w dziecię, ochrzcił go, i synek rosł dobrze, ale zawsze był zimny jak ryba. Starzy ludzie mówią, że kiedy prosił jeść, nie trzeba mu było dawać chleba, ale kamień, bo przez to bywa nieurodzaj i głód. I źle, kiedy wyrośnie zimny jak ryba, a broń Boże, jeżeli jeszcze będzie rozumny, wiele przyczyni biedy. (Obacz Jana Barszczewskiego: „Ślachcic Zawalnia," czyli: „Białoruś w fantastycznych opowiadaniach." Petersburg 1845., tomik II., str. 33.) Mamy i w pieśniach ludu podobny szczegół:

. . . . . .
Słowiczek śpiewa, a Kasia płacze,
Dla ciebie Jasiu, wianek swój tracę;
Pozbyłam wianka rucianego,
A nabyłam żyjącego. —

Wjeżdża braciszek w podwóreczko,
Wtém zapłakało dzieciąteczko,

Przyiaćielá dobrego. Y bespiecznie to rzekę, że nieták dźwiga marmorowy fundament budynku wielkiego, nie tak wspiera potężny filar domu ruiną grożącego, nie tak kotew rzucona okrętu zatrzymawa pod czás nawalney fale w nawalnośćiach morskich, iáko w życiu ludzkim tego wszystkiego dokazuie szczyro-serdeczna przyiaźń Przyiaćielá wiernego.

Jeśli pomyślę o ozdobie iákiey ná świećie, ozdobą przednią człowieká káżdego znayduię Przyiaćielá. Y nietak pięknie niebu z krásnymi planetami, nie tak złotemu pierśćionowi z dyamentem, nie tak drzewu wspaniałemu z chłodnym ćieniem, nie tak liliey pozorney z przyiemną barwą, nie tak balsamowi z wdźięczną wonią, iáko człekowi z Przyiaćielem.

Jeśli też iáka potrzebà w życiu ludzkim, nic potrzebnieyszego człowiekowi nad Przyiaćiela. Y rychleyby śię świàt mogł obeyść bez słońcá, rychley źiemia bez wilgotnośći, ptak bez powietrzá, rybá bez wody, niżeli człek bez Przyiaćielá: Odeymiesz ludźiom przyiaźń przyiaćielską, iákbyś świátu świecące zagaśił słońce.

Możeli też być iáka poćiecha? nic ućiesznieyszego nad Przyiaćielá. On z weselącym śię uweseli, z płaczącym zapłaknie, przygody pożałuie, w chorobie ustęknie, w frasunku poćieszy, gorzki piołun w słodki odmieni confekt.

Z tąd nie od rzeczy napisał Cicero, że áni ogniá, áni wody, áni pary nam tak często nietrzeba iáko Przyiaćioł. Dobrze y Xenophon powiedźiał, że Przyiaćiel iest to pożądane imię, ućieczką przed nieszczęśćiem, stateczne y trwałe odpoczynienie, y taka poćiecha, ktora godna iest, aby iey sobie iedynie życzyli ludźie. Lecz niech kto chce iák chce zaleca affekt przyiaćielski, ia to powiem co Sirach: Przyiaćielowi wiernemu niemasz porownánia, y niemasz wagi zacnośći iego. Przyiaćiel wierny iest obrona mocna, á kto go znalazł, skarb znalazł. Przyiaćiel wierny iest lekarstwem żywotá, a ktorzy śię boią Páná, znayduią go.

Kogoby takim mianować y pokazać Przyiaćielem, zaprawdę niewiem. Zadano tę gadkę kiedaś Philosophowi: Quis sit optimus amicus, *R.* Alter ego. Za takiego Przyiaćielá ia kładę poczćiwą, bogoboyną y roztropną Małżonkę, nabytą przes przystoine wstąpienie w stan święty Małżeński.

Żona poczćiwa naybliższy to Przyiaćiel Mężowi, z ktorym śię iednym ćiałem stawa, tak że rzec może, co Adam o Ewie, że to kość z kośći moich, ćiało z ćiała mego.

Tenći to Przyiaćiel, ktorym Bog szafuie. Dom y maiętność dźiedźictwem przypada po rodzicach, ale żona rostropna iest od Páná. Śmierć y żoná od Boga naznaczona.

Tenći to Przyiaćiel, ktory ubłogosławia. Błogosławiony to mąż, ktory ma żonę dobrą, bo liczba dni iego we dwojnasob przedłużona będźie.

Tenći to Przyiaćiel, ktory iest pomocą mężowi. Kto ma żonę dobrą, ma połowicę gospodarstwá, ma pomoc według śiebie, y śiła odpoczynienia. Tenći to Przyiaćiel dożywotni przyśięgą obowiązany, z ktorym związku śmierć tylko rozerwać, rydel á motyká rozćiąć może. Tenći to Przyiaćiel, bez ktorego źle, iáko to dobrze Bog upatrzył przy Adamie, przeto mowi: Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczynie mu pomoc, ktoraby była przy nim. Tenći to iest, o ktorym Poëta spiewa:

Może kto ręką sławy dostać w boiu,
Może wymową y rządem w pokoiu.
Lecz ieśli żona męża nie ozdobi,
Mąż prozno robi.
Żona uczćiwa ozdoba mężowi,
Y napewnieysza podporá domowi,
Na niey rząd wszytek, swego męża ona
Głowy koroná.
Ona mężowym kłopotom zabiega,
Y iego wczasu na wszystkim przestrzega,
Ona wywabić troskę umie z głowy,
Słotkimi słowy.
Trzykroć szczęśliwy, ktoremu ty zdarzysz,
Ten związek Panie, ale zły towarzysz,
Odeymie wszytko, że troski w puł wieka,
Zgryzą człowieka.

Nie dźiw, że wiele ich o takiego Przyiaćielá śię staraiąc, gorliwie śię Panu Bogu modlili, iáko Isaak o Rebekę. Że wielkie odwagi czynili, iáko Dawid, ktory dla Michole z Goliathem poiedynkował. Że śię długo wysłu-

— Czyje to dziecię, siostro, płacze? —
— Méj sąsiadeczki, panie bracie;
Sąsiadeczka mnie prosiła,
Bym jéj dziecię ponosiła.
— Podaj mi chłopcze ten ostry miecz,
Co zetnę siostrze swéj główkę precz.
Ale dzieciątko, choć niemowlę było,
Tak do wujaszka swego przemówiło:
„Któż mnie, wujaszku, teraz przytuli?
Gdy dzwony grają już méj matuli?
Twoja, wujaszku, żona jeszcze chodzi,
Mnie się matula więcéj nie urodzi.“

(Obacz Wojcicki: „Pieśni ludu Biało-Chrobatów, Mazurów i t. d.“ t. I., str. 64.)

gowali, iáko Jakob dla Rachele lat 14, a czas mu się zdał krotki. Że zdrowie odważali, iáko Tobiasz dla Sary, przy ktorey siedm mężów iuż był dyabeł zadusił, a on się przecie o nię pokusił. Takéi dla Przyiaćielá wszytkie fatygy zdadzą się bankietem, wszytkie zwłoki zdadzą się czasem krotkim, iáko Iakubowi dla Rachele, wszytkie poty zdadzą się ochłodą.

Takim Przyiaćielem, y tak szczyrodobrym obsyła P. Bog, WM. natenczas Mości Panie młody, kiedyć iák obraz swoy nadobny cery Jey-Mość za małżonkę daie. Daie iáko iednę latorośl z wielu drzew, iak iednę lilią z wielu żioł, iak iedyny klenot skarbnice. Daieć mowię połowę sercá maćierzyńskiego, źrzenicę oka pochmurnego, podporę bokow swoich zgrzybiałością natruchlałych.

A żeby iuż w Imieniu Pańskim Act ten ś. małżeństwá skutek swoy wźiąć mógł, Pytam etc.

Do Czech.

Z Córy Sławy [Slawy Dieva] Jana Kollara.

Gak te witat, slzau cili zpewem?

Jakże cię witać? łzami, czyli śpiewem?
Macochy imię, czy matki dać ci?
O ziemio! pełna i hańby i czci,
Pamiętna bogów łaskami i gniewem.

Dwory twe gadów i puszczyków dworcem,
Kraj poszedł obcéj niemowie na łup;
Lew silny twojém znamieniem — lecz trup
Bezwładny dysze pod jego proporcem. —

O cieczcie gorzkie łzy me ku Wełtawie!
Jako dżdże niebios, jak niebios płomienie —
Ponieście hasło braci mojéj w Sławie:

Skończcie raz rozterk, który grób wam wyrył;
Dawnéj was chwały niech natchnie wspomnienie —
Z was wstał Hus, Jan z Nepomuk i Cyryl.

R

Nº 176.

Willanów pod Warszawą.

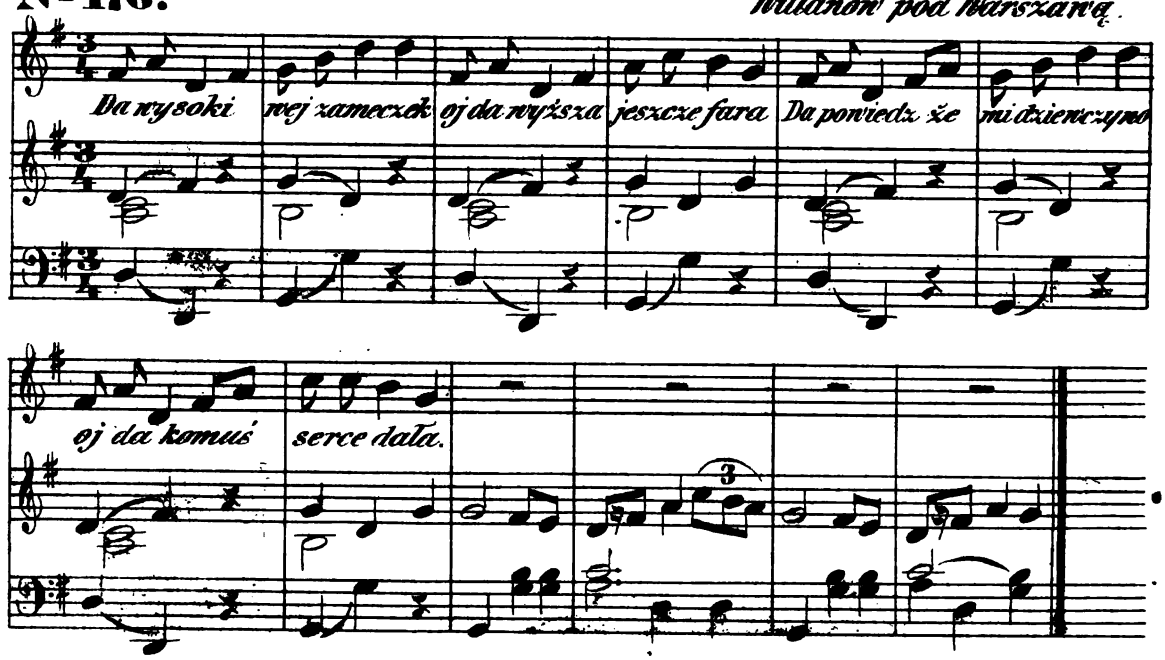

Text do *Nru. 176.*

Da wysoki wej zameczek, oj da jeszcze wyższa fara.
Da powiedzże mi dziewczyno, oj da komuś serce dała.
Nie dałam go żołnierzowi, nie dałam kawalerowi,
Oddałam go chłopakowi, oj tobie poganinowi.
Da pocóżeś tu przyjechał. — Da pocóżeś mi kazała,
Oj da bom malutka była — oj bom rozumu nie miała.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)